

KAROL MAY

SZATAN I JUDASZ

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „ORIENT” R.D.Z. W WARSZAWIE,
WARSZAWA 1925 — 1926 — 1927**

W SONORZE

Gdyby mnie kto zapytał, jakie miasto na ziemi jest najbardziej ponure i gdzie spędza się czas najnudniej, odparłbym bez namysłu: to Guayma w Sonorze, w północno-zachodnim stanie republiki meksykańskiej. Jest to co prawda przeświadczenie wręcz osobiste i kto inny mógłby się o nie spierać; ja jednak nie mogę go zmienić, gdyż — przepraszam za wyrażenie, lecz jest ono bardzo odpowiednie — przepróznaczyłem w tej (przeklętej dziurze dwa najbardziej jałowe tygodnie mojego życia.

Chciałem dostać się do Arizony, aby zaobserwować tamtejsze oryginalne życie. Nadarzyła mi się jednak sposobność poznania okolicy, której inaczej byłbym zapewne nigdy nie zwiedził; mianowicie wydawca pewnej gazety w San Francisco zaproponował mi, ażebym pisał dla niego komunikaty z placu boju powstania znanego meksykańskiego generała Jargasa, które właśnie w tym czasie wybuchło. Z radością przyjąłem propozycję.

Jargas nie miał szczęścia; powstanie upadło a wodza stracono. Odesławszy ostatnie sprawozdanie powróciłem przez góry Sierra Verde, ażeby dostać się do Guaymy. Miałem nadzieję znaleźć tam okręt, zdążający do jakiejś miejscowości nad Zatoką Kalifornijską, położonej bardziej na północ, gdyż celem mojej podróży była rzeka Rio Gila, gdzie według umowy miałem się spotkać z moim przyjacielem, wodzem Apaczów Winnetou.

Powrót mój nie odbywał się niestety tak szybko, jak sobie tego życzyłem. Jeszcze w samotnych górach Sierry potknął się mój koń tak nieszczęśliwie, że złamał przednią nogę, musiałem go zastrzelić i ruszyć piechotą w dalszą drogę. Całymi dniami nie widziałem ludzkiej twarzy, nie mogłem więc marzyć o kupnie konia Mb muła. Musiałem, się przy tym pilnie wystrzegać spotkania z Indianami Bravos^{*}, gdyż mógłbym to drogo opłacić. Wędrówka była długa i wyczerpująca, toteż odetchnąłem z ulgą, gdy wreszcie zeszedłem w trachitową dolinę, w której leży smutna miejscowość Guayma.

Miasto, którego widoku z taką tęsknotą oczekiwałem, nie przedstawiało mi się bynajmniej zachwycająca. Miało .wtedy zaledwie dwa tysiące mieszkańców i składało się z domów bez okien, zbudowanych z pustych wewnątrz cegieł. Otoczone naokoło wysokimi, nagimi skałami leżała w nieznośnym żarze słonecznym podobne do zbiełałego szkieletu i zdawało się być zupełnie wymarłe, gdyż zarówno na ulicach, jak w całej okolicy nie zauważyłem w pierwszej chwili żywej duszy.

Muszę jednak przyznać, że jeżeli Guayma wywarła na mnie niezbyt miłe wrażenie, to tym mniej moja osoba mogła wprawić w zachwyt mieszkańców tej miejsciny.

Odzienie, za które zapłaciłem 80 dolarów przed odjazdem ze San Francisco, podarło się już na strzępy; obuwie zbliżało się do kresu swojej egzystencji. Prawy but już dawno zapomniał o obcasie, przy lewym zachowała się jeszcze połowa tej ozdoby.

A wreszcie kapelusz. W szczęśliwszych czasach zwany sombrero, to znaczy cienisty, zrezygnował teraz w zupełności ze Swego zaszczytnego tytułu. Jego szeroka kresa zniknęła coraz bardziej (choć do dziś dnia nie rozumiem z jakiego powodu) a to, co tkwiło jeszcze na mojej głowie jako wierna pozostałość kapelusza, miało kształt mniej więcej tureckiego fezu i nadawałoby się wyśmianie do cedzenia atramentu. Jedyne pas skórzany, mój długoletni towarzysz, dowiódł i tym razem swej wytrzymałości.

Idąc powoli wzdłuż ulicy i rozglądając się w obie strony, czy nie ujrzę jakiejś żywej istoty, zauważyłem niski budynek, nad którego wejściem widniał duży napis zawieszony na dwóch drągach wystających z dachu. Litery były niegdyś białe, malowane na ciemnym tle, tak jednak wyblakły i spłowiwały od deszczu i kurzu, że zdołałem tylko przeczytać zachęcające słowa: MAISON de...

* Nie ujarzmieni Indianie

Stałem chwilę, usiłując rozszyfrować ostatnie słowo na szyldzie, gdy pośłyszałem czyjeś kroki. Obróciwszy się pozdrowiłem uprzejmie jakiegoś człowieka i poprosiłem, aby mi wskazał najporządniejszą gospodę w mieście. Przechodzień wskazał mi budynek, przed którym stałem.

— Niech pan dłużej nie szuka, senior! To najwykwintniejszy hotel, w mieście. Niech pana nie zraża, że obecnie brak na szyldzie słowa „Madrid”, jeśli się pan poleci gospodarzowi i oczywiście jeśli ma pan czym płacić, senior, będzie pan miał wszystkiego pod dodatkim. Gospodarz nazywa się don Geronimo. Moim słowom może pan zaufać, gdyż jako escribano* znam w Guaymie wszystkich obywateli.

Ufając tej znakomitości guaymskiej przestąpiłem próg gospody.

Hotel posiadał jedną jedyną izbę. Oprócz drzwi od ulicy zauważyłem naprzeciw drugie, prowadzące na podwórze. Okien lub jakichkolwiek innych otworów w ścianach nie było. Obok tylnych drzwi stało kamienne palenisko, czarne od sadzy; miejsce to było dowcipnie wybrane, gdyż pozwalało dymowi uchodzić wprost przez bramę bez specjalnego komina. Podłogę stanowiła twardo ubita glina; wkopane w nią pale tworzyły nogi stołów i ławek; krzesel nie było. Po lewej stronie wisiały wzdłuż muru hamaki jako łóżka dla gości, z których jednak mogli korzystać wszyscy według upodobania. Przy drugiej ścianie stał po prawej ręce bufet, prawdopodobnie zбитy z kilku starych skrzyń. Obok niego wisiało znowu kilka hamaków, buen retiro* rodziny właściciela hotelu: żony, córki i syna. W jednym z nich odkryłem przedmiot podobny do pierścienia barwy szarego lnianego płótna, który w pierwszej chwiliomalże nie wziętem za pas ratunkowy, jakiego się używa na okrętach morskich. Przyjrzawszy się jednak bliżej doszedłem do przekonania, że domniemany pas może zamienić się w razie potrzeby w coś szlachetniejszego; z tego więc powodu zdecydowałem się dać mu lekkiego szturchańca. W odpowiedzi na to pierścień poruszył się i rozwinął. Ukazały się ręce, nogi, nawet głowa i wreszcie pas ratunkowy wyprostował się całkowicie, zeskoczył z hamaka i stanął przede mną jako mały, chudy człowieczek odziany w szare, lniane ubranie, które przylegało jak udane do jego postaci. Przypatrzywszy mi się i zdziwionym wzrokiem, zapytał tonem, w którym miał być gniew, lecz brzmiał jedynie wyrzut.

— Czego pan chce, senior? Dlaczego przeszkadza mi pan w wypoczynku południowym? I w ogóle dlaczego pan nie śpi? Przecież w tym śmiertelnym upale każdy rozumny człowiek kładzie się na spoczynek!

— Szukam gospodarza! — odpowiedziałem.

— Ja jestem gospodarzem. Moje nazwisko brzmi don Geronimo!

— Przybyłem właśnie w tej chwili do Guaymy i chciałbym wyruszyć w dalszą drogę okrętem. Czy mogę tymczasem zamieszkać u pana?

— Zobaczmy później. Teraz jednak niech pan śpi, tam, w jednym z hamaków.

Wskazał na przeciwległą ścianę pokoju.

— Zmęczony jestem, to prawda — odpowiedziałem — ale i głód roi dokucza.

— Później, później! Tymczasem niech pan śpi — nalegał natarczywie.

— I w gardle mi wyschło!

— Dobrze, dobrze, postaram się o wszystko, niczego panu nie zabraknie, tylko niech pan teraz śpi, niech pan śpi wreszcie!

Z początku mówił zupełnie cicho, ostatnie słowa jednak zabrzmiały donośnie. Sąsiednie hamaki zaczęły się chwiać, wobec czego don Geronimo szepnął do mnie ostrzegająco:

— Ani słowa, senior, gdyż inaczej zbudzi się donna Elwira! Spij pan, spij pan!

Z tymi słowy wskoczył do swojego hamaka i zwinął się znowu w pierścień. Co miałem począć!? Zostawiłem w spokoju śpiący pas ratunkowy razem z jego rodziną i wyszedłszy

* Pisarz gminny

* Wygodne miejsce spoczynku

przez tylne drzwi, znalazłem się na dość obszernym podwórzu. W jednym kącie tego dziedzińca był sporządzony daszek z łądyg kukurydzy, wsparty na słupach, pod którym przechowywano przybory gospodarskie. Obok leżała spora wiązka słomy, a przy niej duży pies uwiązany na łańcuchu. Słoma była zapewne lepszym legowiskiem niż hamaki. Tak myśląc, zbliżyłem się do wiązki nieco zaniepokojony, że pies narobi hałasu i obudzi donnę Elwirę, jednakże obawa okazała się płonna — poczciwe psisko spało także! Otworzyło wprawdzie oczy, lecz aby zamknąć je natychmiast, i nie zwracało wcale na mnie uwagi, gdy sobie przygotowałem posłanie ze słomy i wyciągnąłem się na nim. Zasnąłem, mając obydwie strzelby na ramieniu. Znużony spałem tak twardo, że obudziłem się dopiero, gdy mnie ktoś silnie potrząsnął za ramię. Mijało już południe; nade mną stał mój mały gospodarz mówiąc:

— Niech pan wstanie, senior! Teraz mamy czas powziąć decyzję.

— Jaką decyzję? — zapytałem, podnosząc się.

— Czy panu będzie wolno u mnie zostać czy nie.

— Dlaczego potrzeba do tego dopiero decyzji?

Pytałem, chociaż bardzo łatwo mogłem się domyśleć, co miał na myśli. Przyjrzałem mu się dokładniej, niż to mogłem uczynić w południe. Był rzeczywiście nadzwyczaj mały i przerażająco chudy. Włosy nosił krótko przystryżone, prawie do skóry. Jego ostre rysy miały wyraz przebiegły i przy tym ogromnie dobroduszny.

— Donna Elwira życzy sobie, abym przyjmował tylko caballeros — odpowiedział — a senior przyzna chyba, że nie czyni podobnego wrażenia.

— Rzeczywiście? — zapytałem z uśmiechem, spoglądając nań z góry. Czy sądzi pan, że tylko ten jest caballero, kto ma nowe ubranie na sobie?

— Nie, czasem nawet porządному człowiekowi zdarzy się zaniedbać swoją powierzchowność, ale donna Elwira okazuje wrażliwość na tym punkcie i czuje do pana odrazę.

— Spała przecież, kiedy przyszedłem.

— Spała rzeczywiście; ona śpi w ogóle bardzo chętnie, jeśli nie ma nic innego do roboty; ale potem wyszła na podwórze, ażeby się panu przypatrzeć i gdy zobaczyła pańskie ubranie, pańskie buty, pański kapelusz, powiedziała sobie natychmiast... Senior, czy to konieczne, abym się wyrażał dosadnie?

— Nie. Ja pana i tak rozumiem, don Geronimo, i ponieważ nie podobam się donnie, poszukani sobie innej gospody.

Zwróciłem się ku wyjściu, wtedy jednak gospodarz zatrzymał mnie i powiedział:

— Stój pan! Zaczekaj, senior, jeszcze chwilę! W domu jest tak samotnie, gdy nie ma żadnego gościa, a wreszcie pan mi nie wygląda na rozbójnika. Chciałbym wstawić się za panem u donny Elwiry, do tego jednak trzeba udowodnić, że będziesz mi pożyteczny. Czy gra senior w domino?

— Gram — odpowiedziałem zdziwiony pytaniem.

— Dobrze! Wejdz, senior, do środka. Zrobimy próbę!

Donna Elwira leżała w swoim hamaku. Seniorita Felisa siedziała za bufetom przy szklance rumu. Chłopców nie było w izbie, zabawiali się z rówieśnikami na ulicy, obrzucając się zgniętymi pomarańczami. Don Geronimo przyniósł domino i zaprosił mnie, abym usiadł z nim przy jednym ze stołów. Gdy się rozległ chrzęst kostek, donna Elwira poruszyła się, a jej małżonek rzekł do mnie:

— Niech pan weźmie sześć sztuk, najwyższy dublet zaczyna — gospodyni podniosła głowę. Seniorita Felisa zbliżyła się ze szklanką w ręce i przysiadła do nas, żeby móc lepiej obserwować grę. Teraz pojąłem, kogo miałem przed sobą. Ci ludzie spali, gdy nie grali w domino, a budzili się, aby grać. A jednak Geronimo był zaledwie znośnym graczem. Wygrałem pierwszą partię, drugą i trzecią. Przy pierwszej ucieszył się gospodarz, przy drugiej zdziwił, na koniec przy trzeciej zawołał zachwycony:

— Pan jest mistrzem, senior. Pan musi u nas zostać, żebym się mógł uczyć u pana. Żaden człowiek nie zdołał mnie jeszcze pobić trzy razy!

Była to przesada; podczas gry nie zadawałem sobie żadnego trudu, natomiast on grał tak niedołąźnie, że nie trzeba było żadnego obliczenia, aby go pobić. Teraz wstał i podszedłszy do swojej żony, rozmawiał z nią cicho przez chwilę. Następnie udał się poza bufet, wydobył stamtąd jakąś książkę oraz olbrzymi kałamarz i postawił jedno i drugie przede mną na stole.

Otworzyłem podaną mi książkę. Zawierała same nazwiska, liczby i daty. Między kartkami leżało prastare gęsie pióro, którego koniec pokryty grubą, twardą powłoką zaschniętego atramentu był prawie dokładnie tak samo rozdziawiony jak nosy moich butów.

— Tym piórem mam pisać? — zapytałem ubawiony.

— Oczywiście! Nie mam innego do dyspozycji, a senior zapewne także nie nosi piór ze sobą?!

— Ależ tym ozogiem niepodobna dwóch liter napisać!

— Jak to?! Powiadam panu, że odkąd ten hotel posiadam, to jest, już prawie od dziesięciu lat, wszyscy moi goście posługiwali się tym piórem i tym atramentem.

Atrament był oczywiście od dawna wyschnięty.

— Jak oni zabierali się do tego?

— Z pomocą wody, jak to pan może łatwo się domyśleć, jeśli sztuka pisania jest mu znana, choćby tylko powierzchownie. Gdy się wymoczy pióro w gorącej odzie, staje się ono tak miękkie jak nowe. Jeżeli się naleje gorącej wody do kałamarza, otrzymuje się zupełnie nowy, doskonały atrament. Tutaj pisze się bardzo wiele, gdyż mój dom jest często odwiedzany, a każdy gość musi się zapisać. Z tych powodów nie mogę pozwolić sobie na rozrzutność, muszę oszczędzać pióro i atrament. Ponieważ jednak pan, jak mi się zdaje, nie zna sztuki pisarskiej, więc ja pana wyręcę.

— Będę wdzięczny, senior, proszę o to bardzo. Usunie mi pan wielki ciężar z duszy!

— Bardzo dobrze! Nie każdy potrafi władać piórem! Natychmiast zagrzej wodę.

Podszedł do bufetu, nalał spirytusu czy rumu do lampki, zapalił i wzięwszy blaszany garnek z wodą trzymał go cierpliwie nad płomieniem. Dziesięć lat zmuszał gości posługiwać się tym piórem i tym atramentem, spalając za każdym razem za grosz spirytusu, wszystko dla swojej rozumnej oszczędności. Skoro się woda zagotowała, co trwało przynajmniej kwadrans, zanurzył w niej pióro na chwilę, wylał zawartość naczynia do kałamarza, zamieszał silnie piórem i odezwał się zadowolony.

— Tak, teraz mogę przystąpić do dzieła.

Położył książkę przed sobą, ustawił dogodnie kałamarz, chrząknął energicznie, sięgnął po pióro, zakaszłał, zmarszczył głęboko czoło, ułożył książkę inaczej, kałamarz przesunął, zakaszłał znowu, usiadł wygodniej niż poprzednio, słowem, zabierał się do owych kilkunastu słów tak, jakby miał spisywać kronikę świata.

W czasie gdy gospodarz gotował wodę, przewracałem kartki książki. Pismo na ostatnich stronach było ciemnożółte, ku przodowi coraz bardziej blakło, tak że na koniec nie można było nic przeczytać. Pierwsze karty zdawały się nigdy nie być zapisane.

— Niech pan teraz uważa, senior — odezwał się on Geronimo — mam wpisać dzień i rok pańskiego przybycia do mnie, pańskie nazwisko, stanowisko lub zawód, wreszcie w jakim zamiarze pan tu przybył. Mam nadzieję, że senior poda mi to wszystko ściśle według faktycznego stanu rzeczy.

Udzieliłem mu żądanych wiadomości, a on przeniósł je na papier, malując litery, które pod względem wyrazistości nie pozostawiały nic do życzenia. Malował powoli, bardzo powoli i z wielkim przejęciem, należnym tak ważnej i szlachetnej funkcji. Po upływie pół godziny zakończył nareszcie ostatnią kreskę i odsunawszy książkę od siebie, zapytał mnie z rozjaśnionym obliczem:

— Skąd senior przybywa?

— Z tamtej strony Sierra Verde!
— Piechotę? Coraz bardziej żal mi pana!
— Wyruszyłem w drogę konno, jak to pan może poznać po tym, że noszę ostrogi, koń jednak upadł i złamał nogę, musiałem go zastrzelić.
— Dlaczego nie wziął pan ze sobą siodła i uprzęży?
— Ponieważ nie chciałem dźwigać ciężaru na takim skwarze i przez tyle dni.
— Ale pan mógł je sprzedać i z otrzymanych pieniędzy żyć przez całe dwa dni. Nie powinien pan raczej dźwigać tych dwóch starych strzelb, które tu widzę. Jest to konstrukcja dziś zupełnie nie używana. Nie warta ani pół dolara. Może mi pan wierzyć, gdyż dobrze znam się na tym!

Wziął do ręki sztucer Henry'ego. Zauważywszy przy zamku walec z nabojami, potrząsnął głową. Potem sięgnął po niedźwiedziówkę, chcąc ją podnieść, zostawił ją jednak na podłodze, gdyż nie uradził jedną ręką.

— Niech pan to wyrzuci — zalecał — nie ma pan z tego żadnego pożytku, a tylko zawadę w podróży. Dokąd senior udaje się z Guaymy?

— Okrętem dalej na północ, poza Hermosillo.

— No, to może senior długo czekać! Rzadko okręty zapuszczają się tak daleko.

— Jeśli tak, to pojedę konno.

— W tym celu musiałby pan kupić sobie konia lub muła; zapewniam seniora jednak, że teraz nawet za drogie pieniądze nie dostanie pan nigdzie zwierzęcia wierzchowego. Gdyby senior miał czas, mógłby skorzystać z kolei żelaznej, która prowadzi do Arispe.

— Kiedy odchodzą pociągi w tym kierunku?

— Pociągi? Zaraz można poznać, że pan tu obcy, senior. Kolej jeszcze nie gotowa. Mówią, że będzie ukończona w ciągu trzech, czterech, może pięciu lat; o tym wszystkim jednak panu nie wiadomo. Pan nie powinien podróżować po kraju, którego pan nie zna i który jest tak bardzo oddalony od pańskiej ojczyzny. Przy pańskim ubóstwie jest to rzecz niebezpieczna. Pan podał jako swoją ojczyznę Saksonię. Gdzie leży to miasto?

— To nie miasto, lecz księstwo należące do Niemiec.

— Całkiem słusznie! Nie można mieć w głowie wszystkich kart geograficznych! A zatem wolno panu u mnie zostać, ponieważ jest pan bardzo dobrym graczem i wskutek tego znakomitym towarzyszem, będę miał wzgląd na pana i policzą seniorowi możliwie niską cenę. Za całkowite utrzymanie zapłaci pan jednego peso dziennie. Jest to cena stosunkowo niewielka i spodziewam się, że targ będzie zbyteczny!

— Dziękuję panu i zgadzam się — oświadczyłem, gdyż za cenę jednego peso musiałem uważać „kompletne” utrzymanie ofiarowane jakby za darmo.

Don Geronimo skinął z zadowoleniem, odsunął książkę z nazwiskami gości na bok, sięgnął po domino i powiedział:

— Ponieważ pan jest głodny i spragniony, więc Felisa przygotowuje panu posiłek, a tymczasem możemy zagrać kilka partii. Zaczynamy!

Nie pytał wcale, czy mam ochotę do gry czy nie. Zdawał się uważać za rzecz zupełnie naturalną, że jestem takim samym namiętnym graczem jak on.

Zgodziłem się na grę, gdyż nie chciałem mu sprawiać przykrości. Miałem zamiar pozwolić mu wygrać, nie mogłem jednak tego dokazać, do takiego stopnia grał nieudolnie. Przy trzeciej partii poczułem od strony ogniska, przy którym krzątała się seniorita, woń przypalanej mąki. W połowie czwartej przerwał gospodarz nagle grę, uderzył się ręką w czoło i zawołał:

— Jak mogłem poprzednio o tym zapomnieć! Senior chce się udać poza Hermosillo, a ja nie pomyślałem wcale o tym, że nadarza się panu wspaniała sposobność. Mianowicie senior Enriqueo czeka na okręt, który tu przyjedzie i odpływa potem do Lobos.

— Ta miejscowość byłaby mi rzeczywiście na rękę. Ale co to za człowiek, którego pan nazywa senior Enriqueo?

— Mój gość, którego nazwisko zapisane jest w książce tuż przed pańskim. Nie czytał pan?

Otworzyłem książkę i przeczytałem: HARRY MELTON — święty dnia ostatniego. Te słowa były napisane oczywiście po angielsku: Saint of the Latter Day. A zatem mormon! Skąd on się wziął tutaj? Co go sprowadziło z wielkiego miasta nad słonym jeziorem tak daleko na południe, do Guaymy?

— Dlaczego spogląda pan w książkę tak zamyślony? — zapytał gospodarz. — Czy zauważył pan co szczególnego?

— Właściwie nie. Czytał pan te słowa?

— Tak, ale nie zrozumiałem ich. Ten senior jest taki poważny, dumny i pobożny, że nie chciałem zanudzać go pytaniami. Prawdopodobnie wymawiałem źle jego imię, gdyż mnie objaśnił, że Harry znaczy tyle, co hiszpańskie Enriquo. Dlatego tak go nazywam.

— Więc on mieszka u pana?

— Sypia u mnie, wychodzi z rana i wraca dopiero wieczorem,

— Co robi cały dzień?

— Tego nie wiem. Nie mam czasu zajmować się każdym gościem z osobna!

To było słuszne. Ten mały człowiek grał i spał, spał i grał, więc oczywiście nie mógł absolutnie zwracać uwagi na swoich gości. Po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Znam tylko jego nazwisko i wiem, że czeka na okręt zdążający do Lobos. Senior Enriquo mówi w ogóle bardzo mało. Jego pobożności jest rzeczywiście godna pochwały. Szkoda tylko, że nie umie grać w domino!

— Skąd pan wie, że jest pobożny?

— Widzę to, gdyż przesuwa ustawicznie w palcach paciorki różańca, nigdy nie wyjdzie ani nie wejdzie, nie ukloniwszy się przed świętym obrazem, wiszącym na ścianie i nie zaczerpnąwszy święconej wody z kropielnicy przy drzwiach.

Nie odpowiedziałem nic na to, gdyż uważałem za lepsze nie wyjawiać swych myśli. Mormon z różańcem! Wielożeństwo i woda święcona! Księga mormonów i ukłon przed świętym obrazem! Ten człowiek był na pewno obłudnikiem, a jego obłuda musiała mieć jakiś powód.

Nie mogłem zajmować się dalej tymi myślami, gdyż seniorita Felisa przyniosła właśnie filiżankę zawierającą brunatną, gęstą ciecz i życząc mi smacznego, postawiła przede mną na stole. Ponieważ gospodarz przyłączył się do tego życzenia, więc mogłem przypuszczać zupełnie słusznie, że mam spożyć podany mi napój. Przyłożyłem zatem filiżankę do ust i skosztowałem raz, drugi i trzeci, aż na koniec powiedział mi mój język, że mam do czynienia z miksturą złożoną z wody, syropu i palonej mąki.

— Co to jest? — zapytałem.

Na to Felisa załamała ręce ze zdumienia i zawołała:

— Czy to możliwe, senior? Pan nie pił nigdy czekolady?!

— Czekolady? — zapytałem. — Czekoladę piłem niejednokrotnie!

— A to jest wszak czekolada — rzekł don Geronimo.

Nie dałem mu poznać, że byłem wręcz przeciwnego zdania, tylko zapytałem:

— Co mi pan poda na kolację, don Geronimo?

— Kolację? — odpowiedział zdziwiony, po czym objaśnił mnie, wskazując na filiżankę — to właśnie kolacja stoi przecież na stole!

— Ach, tak! Co daje pan na śniadanie?

— Filiżankę czekolady.

— Na obiad?

— Filiżankę niezrównanej czekolady. To jest najlepsze, co można spożyć!

— Jeśli kto jednak chce mieć chleb i mięso albo coś podobnego?

— Ten musi iść do piekarza i do rzeźnika.

— Powiedz pan, czy masz wino? Czekolada nie pomaga na pragnienie.

— O. wyborne! Życzy pan szklanę?

— Tak jest. Ile kosztuje?

— Trzydzieści centavos.

Równało się to połowie talara. Don Geronimo uczynił mi zaszczyt, przynosząc wino osobiście, przy czym jednak podał je córce zamiast mnie. Seniorita Felisa wypłała połowę szklanki, nie skrzywiwszy się nawet, i podała mi resztę z miłym uśmiechem. Skosztowałem mały łyk, który jednak spowodował natychmiastowy wybuch kaszlu. „Wino” było istną trucizną, najprawdziwszym kwasem siarkowym!

— Niech pan pije powoli, bardzo powoli — ostrzegwał gospodarz. — Moje wino jest za silne dla pana!

— Rzeczywiście za mocne, don Geronimo — mówiłem kaszłąc — pozwoli pan, że pójdę do piekarza i do rzeźnika.

— Nie wypije pan areszty wina? — zapytała seniorita.

— Nie, muszę, niestety, bardzo dbać o swoje zdrowie.

Przytknęła szklanę do różanych ust i wypróżniła ją tak, jak poprzednio, nie mrugnawszy nawet okiem. Potem poprosiła mnie w poufnym tonie:

— Gdy pan pójdzie do piekarza i rzeźnika, to niech mi pan co przyniesie, senior. Goście szlachetni i ogładzeni zwykli zawsze tak czynić!

Zapłacić jednego peso, dostać trzy razy wody z mąką i syropem, spać w hamaku, najprawdopodobniej z żywym inwentarzem, a do tego zaopatrywać rodzinę gospodarza w żywność! „Maison de Madrid”! Najlepszy hotel miasta! O escribano, o pisarzu gminny! Twoją dobrą radę cenię bardzo wysoko, a przecież rozejrzę się raz jeszcze!

Poszedłem, nie mówiąc oczywiście ani słowa o moim zdradzieckim zamiarze. Całe dwie godziny szukałem lepszego pomieszczenia, jednakże w końcu doszedłem do przekonania, że pisarz gminny miał słuszość. „Maison de Madrid” był po prostu pałacem w porównaniu z jaskiniami, które widziałem. Kupiłem zatem za jednego peso mięsa, które, mówiąc nawiasem, cuchnęło całkiem znośnie, następnie wzięłem u piekarza; sporo płaskich placków kukurydzianych i powróciłem do hotelu, gdzie; zostałem przyjęty z wielkim uznaniem, skoro tylko zauważono, że nie przychodzę z próżnymi rękami.

Miła Felisa, nie pytając wiele, odebrała natychmiast wszystko ode mnie i rozpałała ogień, ażeby upiec mięso. Po godzinie seniorita Felisa położyła przede mną kawałek mięsa, oczywiście bez talerza i bez jakichkolwiek innych dodatków, ale za to ze swoim najbardziej słonecznym uśmiechem. Reszta mięsa powędrowała ze zdumiewającą szybkością na miejsce swego przeznaczenia, które jednak nie znajdowało się niestety w moim głodnym żołądku. Z gościa zamieniłem się albo raczej zostałem zamieniony w gospodarza!

Właśnie, gdy po ostatnim kęsie obtarłem mój nóż o rękaw i wsunąłem go z powrotem za pas, przyszedł ów gość, którego ukazania się oczekiwałem z wielką, chociaż tajoną ciekawością. Człowiekiem tym był mormon. Blask naszej lampy sięgał aż do drzwi, a ponieważ siedziałem wprost naprzeciw nich, więc mogłem dokładnie obserwować przybysza.

Pokłonił się w stronę świętego obrazu, następnie sięgnął końcami palców do małej kropielniczki wiszącej przy drzwiach, a potem dopiero zwrócił się ku nam z krótkim pozdrowieniem. Zobaczywszy mnie, obcego, przypatrywał mi się przez chwilę, po czym podszedł szybkim krokiem do stołu, otworzył książkę z nazwiskami, przeczytał dane dotyczące mojej osoby i życząc dobrej nocy, cofnął się w ciemną część izby, gdzie były umieszczone hamaki dla gości.

To wszystko odbyło się tak szybko, że nie miałem czasu przypatrzeć się dokładnie jego obliczu. Zarazem okazało się, jak wielki respekt miał gospodarz przed Meltonem, gdyż skoro tylko ten oddalił się od naszego stołu, rzekł don Geronimo do swoich:

— Senior Enriquo chce spać. Połóżcie się i nie róbcie hałasu!

Frontowe drzwi zamknięto na zasuwę, tylne, prowadzące na podwórze, pozostały otwarte. Donna Elwira położyła się z powrotem, seniorita Felisa podała mi rękę na dobranoc i podeszła również do swojej konopnej kołyski Morfeusza. Gospodarz, życząc miłego spoczynku, zdmuchnął mi światło przed nosem i wpełznął w swoją huśtawkę, gdzie zamienił się natychmiast w pas ratunkowy.

Wyszedłem na podwórze, ażeby ulokować się znowu na moim przednim legowisku. Pies zrazu warczał, wkrótce się jednak uspokoił, rozpoznawszy zapewne we mnie tego samego człowieka, którego w południe znosił przy sobie. Wsunąłem strzelby pod kupę łodyg kukurydzy, gdyż dawnym zwyczajem nie chciałem się z nimi rozstawać. Ułożyłem się, jak mogłem najwygodniej. Spałem wyśmienicie i obudziłem się dopiero, gdy słońce stało już dość wysoko na niebie. Wszedłem do izby.

Mormon siedział przy stole i zdawał się oczekiwać mego ukazania się, gdyż zauważyłem, że bacznie mnie obserwował. Starłem się nie mu poznać, że czynię to samo, a jednak nie mogłem po prostu oderwać oczu od niego.

Była to osobistość oryginalna i nadzwyczaj interesująca. Dobrze zbudowany, odziany bardzo starannie, przedstawiał się okazale. Oblicze miał ogolone zupełnie gładko. Ale co to było za oblicze! Skoro je zobaczyłem, przypomniały mi się natychmiast owe jedyne w swoim rodzaju rysy, które nadał malowanym przez siebie diabłom genialny Gustaw Dore*. Podobieństwo było tak wielkie, że można było przypuszczać, jakoby mormon pozował Doremu do rysunku. Wiek jego oszacowałem najwyżej na czterdzieści kilka lat. Czarne, krucze pukle włosów wiły się wokół wysokiego, szerokiego czoła i opadały prawie aż na ramiona; była to rzeczywiście wspaniała czupryna. Oczy miał duże, aksamitnoczarne, nos — lekko zakrzywiony, jednak nie zanedo ostry; drganie jego różowo zabarwionych nozdrzy świadczyło o żywym temperamentie. Usta miał bardzo delikatne, kształt ich jednak, a zwłaszcza kąci krzywione nieco ku dołowi pozwalały wnioskować, że Melton posiadał silną, energiczną wolę. Z osobna każdą część jego oblicza można by nazwać piękną, ale całości brakowało harmonii. A tam, gdzie nie ma harmonii, nie może być mowy o pięknie prawdziwym. Nie mogę powiedzieć, czy ktoś inny odniósłby takie samo wrażenie, co do mnie jednak to poczułem do niego odrazę. Ta twarz, złożona z nie harmonizujący za sobą części, wydała mi się fantasmagoryjną i wzbudzała we mnie uczucie przykrości. Do tego przyłączyło się jeszcze jedno. Im częściej spoglądałem na Meltona, tym wyraźniej odczuwałem, że był podobny do kogoś, kogo spotkałem w okolicznościach nie rzucających na niego bynajmniej dobrego światła. Biedziłem się nad tym długo, lecz nie mogłem absolutnie przypomnieć sobie ani osoby, ani miejsca lub czasu, w którym mogło nastąpić owe spotkanie. Podczas następnych dni widywałem mormona regularnie z rana i wieczorem i za każdym razem rosło we mnie przekonanie, że już kiedyś zetknąłem się z człowiekiem bardzo do niego podobnym, który postąpił wrogo względem mnie albo względem jakiejś ze mną zaprzyjaźnionej osoby.

Melton, ilekroć mnie widział, mierzył mnie byстрым spojrzeniem, w którym przebijała tylko ciekawość; mnie zdawało się jednak, że mormon starał się usilnie ukryć przede mną niemiłe wrażenie, jakiego doznawał na mój widok. Nie wiedział, że wrażenie to było obustronne. Piętnastego dnia wieczorem mormon przyszedłszy do hotelu, nie położył się natychmiast spać, jak to zwykle czynił, lecz zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Pan mieszka tutaj już od piętnastu dni. Czy pan zamierza pozostać w Guaymie?

Zdanie nie było wypowiedziane w tonie grzecznego pytania. Czuję, że Melton chciał uchodzić za przychylnego, przychodziło mu to jednak z trudem, jego pytanie brzmiało jak mowa urzędnika albo przełożonego, który zwraca się do podwładnej mu osoby.

— Nie — odpowiedziałem — nie mam tu nic do roboty.

* Genialny talent malarski; Francuz ur. w 1832., zm. 1883 r.

— Dokąd pan chce się udać?

— Może do La Libertad.

Wymieniłem to miasto, gdyż w jego pobliżu leżało Lobos, dokąd według opowiadania gospodarza miał płynąć okręt, oczekiwany przez mormona.

— Skąd pan przyszedł tutaj?

— Z gór Sierra Verde.

— Co pan tam robił? Szukał pan może złota? Znalazł pan co?

— Nie — odparłem, nie zwracając uwagi na jego pierwotne pytanie.

— Myślałem to sobie! Po panu widać od razu, że pan jest biedakiem. Obrął pan sobie bardzo nieszczęśliwe rzemiosło.

— Jak to?

— Przeczytałem w spisie nazwisk, że pan jest literatem. Otóż wiem dobrze, że w tym zawodzie można znaleźć tylko zubożałe i upadłe osobniki. Jak mógł pan zapuścić się w tę okolicę! Jest pan Niemcem. Gdyby pan był został w swej ojczyźnie, mógłby pan tam pisać listy lub sporządzać rachunki dla ludzi nie umiejących obchodzić się z piórem i zarabiać w ten albo w podobny sposób przynajmniej tyle, żeby nie cierpieć głodu!

— Hm — zamruczałem, nie dając mu poznać, że mnie bawił swoją logiką — pisanie listów nie przynosi takich dochodów, jak pan przypuszcza. Można przy tym przyciągać pasa, aż brzuch zetknie się z kręgosłupem.

— A pan nie znalazł na to innej rady, tylko powędrować w obce kraje, ażeby przyciągać pasa tak długo, dopóki pański brzuch zupełnie nie zniknie! Niech mi pan nie bierze tego za złe, ale to chyba głupota z pańskiej strony. Nie każdy ma takie szczęście, jak pański imiennik, który nie był zresztą literatem, tylko wyćwiczonym myśliwym, gdy wyruszał w świat.

— Mój imiennik? Kogo ma pan na myśli?

— Ach, myślałem, że pan był już w Stanach Zjednoczonych w zachodnich preriach; jednak pańskie pytanie zaprzecza temu, gdyż inaczej byłby pan słyszał o Old Shatterhandzie!

— Old Shatterhand? To nazwisko znam. Czytałem, prawdopodobnie w jakiejś gazecie pewną opowieść podróżniczą, w której występował człowiek. Zdaje się, że to myśliwy preriowy albo poszukiwacz śladów jak to się tutaj tych ludzi nazywa!

— Jest nim rzeczywiście. Lituję się nad pańskim smutnym położeniem i chcę panu dopomóc do podźwignięcia się z niedoli, oczywiście przypuszczając, że senior ma tyle rozumu, ażeby się chwycić z całych sił liny ratunkowej, którą mu rzucam.

Właściwie powinienem był wyśmiać go w oczy, jednakże pohamowałem się i nie porzucałem skromnej miny. Jego brutalny sposób wyrażania się mógł mnie złościć; bawiło to mnie jednak, że pozostawiam go w błędzie i dlatego odpowiedziałem spokojnie:

— Dlaczego nie mam mieć tyle rozumu? Nie jestem przecież dzieckiem, które nie umie ocenić proponowanego mu dobrodziejstwa!

— Dobrze! Jeśli pan się zgodzi na moją propozycję, pozbędzie się pan wszelkiej troski i otrzyma pan od razu bardzo popłatne stanowisko.

— Gdybym mógł w to wierzyć! Proszę pana bardzo, niech mi jak najprędzej wyjawi swoją propozycję!

— Tylko powoli! Niech mi pan naprzód powie, co pan zamierza właściwie robić w La Libertad?

— Chcę szukać pracy, rozejrzeć się za jakimś zajęciem. Ponieważ tutaj, w tej zamarłej Guaymie nic nie znalazłem, więc mam nadzieję, że tam będę miał więcej szczęścia!

— Pan się myli. La Libertad leży wprawdzie nad morzem, ale jest to miejscowość jeszcze smutniejsza niż Guayma. Setki głodnych Indian włóczą się tam, nie mogąc znaleźć roboty; pan znalazłby się jeszcze trudniejszym położeniu niż tutaj. Prawdziwe to szczęście dla pana. Opatrzność zrządziła nasze spotkanie. Może pan słyszał, że należą do świętych dnia ostatniego. Moja religia nakazuje mi każdą owieczkę którą znajdę w pustyni, zaprowadzić na

kwitnące pola szczęścia; jest więc moim obowiązkiem dopomóc panu. Czy pan mówi i pisze po angielsku?

— Znośnie!

— To wystarczy. Może pisze pan po hiszpańsku tak dobrze, jak pan mówi?

— Tak, ale nie mogę sobie dać rady z interpunkcją, ponieważ w języku hiszpańskim wykrzykniki i znaki zapytania stoją nie tylko po, lecz także przed zdaniem.

— To się jeszcze okaże — odparł z uśmiechem wyższości — nie żądam od pana mistrzostwa! Czy ma pan ochotę zostać tenedor de libros?*

Pytanie to wypowiedział z taką miną, jakby mi ofiarowywał co najmniej księstwo. Dlatego odparłem w tonie radosnego zdziwienia:

— Tenedor de libros? Jakże chętnie przyjąłbym takie stanowisko! Niestety, jednak nie jestem kupcem! Słyszałem wprawdzie, że jest jakaś pojedyncza i podwójna buchalteria, ale nie rozumiem się na tym!

— To niepotrzebne, senior, gdyż pan ma przyjąć miejsce nie u kupca, tylko w hacjendzie. Wprawdzie nie mogę oznaczyć wysokości pańskiej płacy, gdyż to należy do właściciela hacjendy, ale zapewniam pana, że będzie seniorowi bardzo dobrze na tej posiadzie. Ma senior wszelką swobodę i jestem przekonany, że otrzyma pan miesięcznie nie mniej niż sto pesów. Oto moja ręka. Uderz, pan! Kontrakt sporządzimy natychmiast.

Wyciągnął rękę. Udałem jakbym już chciał podać mu swoją, lecz w ostatniej chwili zapytałem, cofając powoli dłoń.

— Czy pan mówi poważnie, czy też żartuje sobie tylko ze mnie? Wydaje mi się bardzo dziwne, że senior obcemu człowiekowi, który prawie że nie ma się w co odziać, daje tak wspaniałą propozycję.

— Tak, to rzeczywiście bardzo dziwne i dlatego radzę panu nie zwlekać, tylko przyjąć ją czym prędzej.

— Chciałbym to uczynić, jak sam pan może przypuszczać, jednak jest przecież jasne, że powinienem przedtem dowiedzieć się bliższych szczegółów. Gdzie znajduje się owa hacjenda, do której chce mnie pan posłać?

— Nie chcę pana posłać, tylko sam pana tam zaprowadzę.

— To mnie cieszy jeszcze bardziej. Czy podróż jest bardzo kosztowna?

— Senior nie wyda ani jednego centavo, gdyż ja opłacam wszystko. Skoro pan się zgodzi ostatecznie, nie tylko uwolnię pana od wszelkich wydatków, ale nawet mam pełnomocnictwo wypłacić mu prendę.* Hacjendero jest moim przyjacielem. Nazywa się Timoteo Pruchillo i je właścicielem hacjendy del Arroyo.

— Gdzie leży ta hacjenda?

— Poza miastem Ures. Płynie się stąd okrętem „30 Lobos”, a później aż do samej hacjendy jest wspaniała droga lądowa. Podczas tej krótkiej, ale bardzo przyjemnej podróży będzie pan miał dużo rozrywki i nauki, zwłaszcza że znajdzie pan tam również liczne towarzystwo. Otóż senior Timoteo zwerbował około 40 robotników, którzy przybędą tutaj jutro; większość ma żony i dzieci. Podpisali już kontrakty i wszystko jest tak obmyślane, że staną się wkrótce zamożnymi ludźmi. Hacjendero posłał mnie, ażebym ich przyjął i objął przewodnictwo nad nimi przez resztę drogi.

— Z jakiej miejscowości pochodzą ci ludzie?

— Nie wiem tego dokładnie.

Patrzył na mnie z oczekiwaniem, zapewne przekonany, że otrzyma twierdzącą odpowiedź. Byłem w kłopotcie. Miałem poprzednio zamiar pozwolić mu mówić, a potem go wyśmiać, teraz jednak musiałem tego zaniechać. W jaki inny sposób odjechałbym z Guaymy? Już sama ta okoliczność nakazywała mi nie dawać mu odmownej odpowiedzi. Miałem jednak jeszcze

* Buchalter

* Zaliczka

jeden powód, ażeby odbyć z nim tę podróż. Oczekiwał emigrantów z Europy. To już wystarczyło, ażebym się ich losem żywo zainteresowałam, tym bardziej, że zadziwiła mnie droga, jaką obrał Melton do hacjendy. Wiedziałem, że miasto Ures, w pobliżu którego miała leżeć hacjenda, wznosi się nad rzeką Rio Sonora. Najkrótsza zatem i najwygodniejsza droga prowadziłaby z Guaymy przez Hermo a później rzeką w kierunku jej źródeł; tymczasem mormon chciał jechać aż do Lobos, a więc trasą zdecydowanie dalszą. Drogę lądową stamtąd opisał mi wprawdzie jako bardzo przyjemną i pociągającą, przeczuwałem jednak, chociaż nie byłem nigdy w tej okolicy, że mnie okłamał. Choćby był nawet powiedział prawdę, to szło tutaj o tak wielkie okrażenie, że domyślałem się jakiegoś szczególnie ważnego powodu, który go do tego zmuszał. Ponieważ nie nadkłada się tak drogi z ludźmi, mającymi ze sobą kobiety i dzieci, więc musiałem, wnioskować, że nie jest to jakiś powód przypadkowy i niewinny. Skutkiem tego przyszło mi na myśl, że emigrantom grozi jakieś niebezpieczeństwo. Czułem się w obowiązku zbadać je i ostrzec tych ludzi. To jednak było niemożliwe, gdybym pozostał w Guaymie. Musiałem jechać z Meltonem. Ale jak? Związać się z nim nie mogłem, a tym bardziej pisemnym kontraktem. Również okoliczność, że mormon zmuszał mnie po prostu do przyjęcia tak dobrej posady, chociaż uważał mnie za człowieka nie zdanego do niczego, wydawała mi się w wysokim stopniu podejrzana, zamiary ukrywały się za tą propozycją, tego niestety nie mogłem razie przewidzieć; na to potrzeba było czasu, który musiałem zdobyć podstępem. Dlatego odpowiedziałem na jego ostatnią uwagę:

— Pan ma słuszość, senior! Gdybym odrzucił pańską propozycję, to byłoby to nie tylko głupotą, ale i wielką niewdzięcznością z mojej strony wobec pańskiej dobroci. Zgodziłem się w tej chwili, gdyby nie jedna jeszcze bardziej uzasadniona wątpliwość.

— Wątpliwość? Chciałbym wiedzieć jakiego rodzaju?

— Nie prowadziłem jeszcze żadnej książki i nie przebywałem nigdy w hacjendzie. Wątpię więc, czy będę mógł zadowolić hacjendera!

— O tym nie ma mowy — przerwał mi. — Powiedziałem panu przecież, że pańska przyszła praca będzie dziecinną igraszką. Zapisuje pan, co zebrano z pola, ile się urodziło źrebiąt, ile cieląt, a wreszcie kwotę, którą senior Timoteo otrzymał za swoje zbiory. To cała praca, jakiej się żąda od pana.

— I za to mam dostać kompletne utrzymanie oraz sto pesów miesięcznie?

— Przynajmniej sto!

— Jeśli tak, to zgodziłem się w tej chwili, chciałem tylko wiedzieć, czy rzeczywiście zasługuję na takie wynagrodzenie?

— Niepoprawny Europejczyk z pana! Dla mnie, jako dla świętego ostatnich dni, jest najważniejszą rzeczą bogobojność i sprawiedliwość, pan jednak przesadza w uczciwości. Wy, w Europie, jesteście osobliwymi ludźmi.

— Może być, senior, niech pan jednak zauważy, że nie odrzucam pańskiej propozycji. Jadę z panem, jednak umowę podpiszę dopiero wtenczas, gdy przekonam się, że zasługuję na ofiarowaną mi zapłatę.

— Co za nedorzeczość! Ale jeśli pan nie chce inaczej, to niech i tak będzie. Ile posiada pan pieniędzy? Ponieważ pan tylko warunkowo ze mną jedzie, więc nie mam obowiązku za pana płacić. Mogę panu ofiarować tylko wolny przejazd na naszym okręcie, poza tym nic więcej.

— Poprzestaję na tym; na szczęście mam jeszcze kilka pesów, które zapewne wystarczą na czas, dopóki nie dostaniemy się do hacjendy

— Ale tak, jak pan jest teraz odziany, nie mogę pana wziąć ze sobą. Czy może pan wytrzasnąć sobie jakieś nowe ubranie?

— Tak, gdyż przy obecnym gorącu kupuje się tylko odzież lekką i tanią.

— Więc niech pan załatwi to wszystko jutro rano, ażebym nie czekał ma pana. Teraz dobranoc!

Skinął igłową i nie podając ani ręki, poszedł do swojego hamaka. Dzieci już spały, seniorita Felisa chrapała, donna Elwira drzemała także ciężko oddychając, mały Geronimo wydawał tony podobne do skrzywienia nie naoliwionych zawiasów. Zgasilem światło i skierowałem się ku mojemu legowisku z kukurydzy, gdzie pies, który przyzwyczaiał się do minie, przyjął mnie przyjacielskim lizaniem rąk.

Następnego, dnia obudziłem się bardzo wcześnie, a przecież gdy wszedłem do izby gościnnej, mormona już nie było. Gdzie przebywał przez cały dzień? Nikt tego nie wiedział. Fakt również uderzający, bo kto chodzi uczciwymi drogami, ten czynów swoich nie otacza tajemnicą. Nie czekając na sławną czekoladę seniority Melisy wyszedłem, ażeby poszukać jakiegoś toaratlillero.* Sklep, który wkrótce znalazłem, był podobny do budy tandeciarza, ale na szczęście dostałem tam, czego pragnąłem: spodnie, kamizelkę i bluzę z nie bielonego płótna oraz kapelusz słomiany z bardzo szeroką kresą. Kupiłem również kawałek taniej materii, z której chciałem uszyć futerał na strzelby; igły i nici mam zawsze ze sobą. Zmuszał mnie do tego ważny powód: chciałem, aby Melton uważał mnie jeszcze jakiś czas za takiego naiwniaka, jakim mu się wydałem. Mormon zdawał się wiele wiedzieć o Old Shatterhandzie, więc być może, broń moją znał również. Dlatego starałem się, przynajmniej z początku, ukryć karabiny przed jego wzrokiem. Kupiwszy jeszcze parę prostych skórzanych butów i przebrawszy się, wróciłem do hotelu. Don Geronimo, zobaczywszy mnie, splótł ręce ze zdziwienia i wykrzyknął:

— Co widzę! Pan się nagle wzbogacił?! Pan mógłby pokazać się zupełnie spokojnie u boku każdego starokastylijskiego szlachcica! Niestety, postanowił senior nieodwołalnie odjechać, ale gdybym był pana zobaczył wcześniej w tym ubraniu, zaproponowałbym seniorowi urząd majordoma mojego hotelu, a może zostałby pan nawet współnikiem!

Mój widok zdawał się być rzeczywiście czarujący, gdyż seniorita Felisa położyła rękę na sercu i westchnęła głęboko, a nawet donna Elwira wyprostowała się nieco w swoim hamaku, ażeby obdarzyć mnie spojrzeniem i... położyć się z powrotem ciężko westchnąwszy.

Okolo południa przyszedł Melton po mnie, gdyż okręt nareszcie, przyplynał.

Statek ów, był to mały szkuner, jeden z tych, jakie przynajmniej w owych czasach umieli budować tylko jankesi, szybki żaglowiec, posiadał tyle płótna na masztach, że nawet najśłabszy wiaterek wystarczał do wprawienia go w ruch. Skoro przybiliśmy do boku statku, spuszczone nam drabinkę sznurową, a równocześnie wyjrzało wiele głów z pokładu i przyglądało się nam z ciekawością. Weszliśmy na pokład. Pierwszą osobą, którą ujrzałem, była osiemnastoletnia dziewczyna nadzwyczajnej piękności, może za ozdobnie ubrana. Strój jej składał się z bucików sznurowanych, białych pończoch, czerwonej bluzki obrębjonej ciemnym aksamitem, błękitnego gorsetu ze srebrnym łańcuchem i srebrnymi spinkami, Na bujnych włosach, zwisających z tyłu dwoma warkoczami, miała mały ozdobiony piórem kapelusz. Ubranie tego rodzaju byłoby odpowiedniejsze na balu maskowym niż tutaj — na pokładzie amerykańskiego statku, przeznaczonego dla emigrantów. Obok niej stał chudy, starszy człowiek, który na mój widok rzekł: „To moja córka, Judyta”.

Inni pasażerowie byli to ludzie ubodzy, co można było zauważyć na; pierwszy rzut oka. Wiedząc, że miał tu przybyć ich nowy przywódca, obrzucali Meltona spojrzeniami zaciekawienia, gdyż oczywiście nie przyszło im na myśl, że ja mógłbym być oczekiwaną osobą; powierzchowność moja była na to za mało wykwintna. W każdym razie kapitan znał mormona, gdyż podszedł ku niemu i pozdrowił go przyjacielskim potrząśnięciem dłoni. Widziałem to, bo uważałem pilnie na wszystko, rozumiejąc dobrze, że obecnie najmniejsza drobnostka może mi wiele wyjaśnić! Obydwaj poszli na tylny pokład, ażeby przekazać sobie niezbędne wiadomości. Przeszedłem z wolna po pokładzie i wyszukałem sobie wygodne miejsce na zwiniętej linii pod masztem, o który oparłem strzelby, tkwiące ciągle jeszcze w

* Handlarz ubrań

futerale. Policzywszy pasażerów, przekonałem] się, że było: 38 mężczyzn i chłopców, 14 kobiet i dorosłych dziewcząt i 11 dzieci, więc razem 63 osoby.

Pasażerowie, do woli przypatrzyszy się mormonowi, skierowali uwagę na mnie. Widziałem, że gubili się w domysłach nad moją osobą. Wyratował mnie z tej sytuacji mormon, który właśnie skinął, że chce mi wskazać miejsce na statku.

Pod pokładem znajdowały się kajuty, każda była urządzona na dwie osoby. Steward zaprowadził mnie do przeznaczonej dla mnie kabiny; zauważyłem, że jedno miejsce było już zajęte.

— Z kim będę mieszkać? — zapytałem.

— Z tym wysokim i silnym mężczyzną, którego nazywają Herkulesem — brzmiała odpowiedź.

— Jaki z niego towarzysz?

— Bardzo spokojny. Lepszego pan by nie znalazł.

Ta wiadomość zadowoliła mnie, tym bardziej, że jak zauważyłem poprzednio, Herkules był odziany lepiej i schludniej niż inni; również zdawał się być człowiekiem honorowym.

Rozciągnąłem się na łóżku, zamierzając pozostać dłużej w kajucie gdyż było tutaj przyjemniej i chłodniej niż na pokładzie, gdzie brali osłony przed palącymi promieniami słońca. Po krótkim czasie otwarły się drzwi i wszedł Herkules. Obrzuciwszy mnie ponurym spojrzeniem powiedział:

— Steward objaśnił mi właśnie, że umieścił pana tutaj, chociaż płacę za kajutę. Ponieważ jednak, jak słyszałem, jest pan Europejczykiem, więc nie chcę się sprzeciwić, ale pod warunkiem, że nie będę miał potrzeby psuć sobie krwi z pańskiego powodu.

Były to słowa porywcze, ale usprawiedliwić je mogło jakieś strapienie Herkulesa, dlatego odpowiedziałem po przyjacielsku:

— Postaram się być dobrym kolegą, choćby już z tego powodu, pan jest mi najmilszym ze wszystkich pasażerów.

— Jak to? Przecież pan nie zna mnie wcale. Na co te pochlebstwa! Nie lubią tego!

— To nie pochlebstwa, ale szczerą prawdą. Nie będzie pan na mnie narzekał.

— Jeśli pan sobie tego naprawdę życzy, to niech pan się trzyma z daleka od Judyty! Każdego, kto by się odważył do niej zbliżyć, powalę pięścią na ziemię!

— Nie ma obawy — zaśmiałem się — na takim bezdrożu nie spotkamy się nigdy. Ale niech pan powie przynajmniej, jak się nazywa jej ojciec i jaki prowadził interes.

— Sprzedawał przeważnie wyroby tytoniowe a równocześnie prowadził ubocznie dość popłatną kasę zastawniczą. Grosz do grosza, uciulał sobie drobny majątek, więc pyszni się i sądzi, że posiada wielkie wpływy.

— Zapewniał minie, że w Meksyku zostanie wkrótce milionerem. Czy pana również opętały podobne złudzenia?

— Ani mi się śni coś podobnego! Nie jestem tak łatwowierny, jak Jakub Silberstein. Jestem raczej przekonany, że agent był łotrem i że ci biedacy, oszukani przez niego, idą ślepo w jego sidła, o jakich nie mają pojęcia. Dlatego pojechałem z nimi. Chcę bronić Judyty i jestem przekonany, że ona mnie wreszcie zrozumie.

Usiadł na swoim miejscu i milczał, ja zaś nie próbowałem prowadzić dalej rozmowy. Później, gdy zerwał się silniejszy wiatr, który złagodził cokolwiek żar, powróciłem na pokład i usiadłem w odosobnieniu, aby bez przeszkody oddać się obserwacjom.

Stwierdziłem, że o wygodę pasażerów dosyć się starano. Kajuty były obszerne, każdemu przypadała wystarczająca porcja wody, potrawy podawano pożywne i również w dostatecznej ilości. Nikt nie mógł narzekać i wszyscy patrzyli w przyszłość pełnymi nadziei oczami. Ja byłem jedynym, który myślał inaczej; Herkulesa nie liczę, gdyż jego podejrzenia były nieokreślone, nie miały ani pewnej, ani jasnej podstawy. Czyżbym nieufnością krzywdził mormona? Czyżbym się mylił w poszlakach? Chciałem przedostać się do Winnetou, poza

granicę, a Lobos leżało właśnie dokładnie w tym kierunku. Podróż nie kosztowała mnie nic, czy nie powinienem poprzestać na tym? Czy nie lepiej wyruszyć z Lobos w swoją drogę i nie troszczyć się więcej o Meltona i jego emigrantów?

Rozważałem te myśli i pytania, a jednak nie mogłem pozbyć się przecucia, że emigranci są prowadzeni na zgubę. Gdy następnie przeszedłem ma tył statku, odezwał się do mnie kapitan:

— Niech pan przyjmie gratulacje, master! Melton mi powiedział, że ma pan być przyjęty jako buchalter. Radzę seniorowi zgodzić się, gdyż taka posada nieczęsto się trafia.

— Zna pan to miejsce, kapitanie?

— Czy znam? Hacjendero to mój stary przyjaciel. Jest to człowiek bardzo bogaty i nieskazitelny. Skoro raz kogoś przyjmie, troszczy się o niego prawdziwie po ojcowsku. Tego może pan być pewny.

— Więc pan sądzi, że pańscy obecni pasażerowie będą się mieli dobrze u niego?

— Nie tylko sądzę, lecz jestem o tym przekonany.

Kapitan miał wygląd uczciwego człowieka; jemu musiałem wierzyć. Mimo to zapytałem:

— A czy kontrakt jest dobry?

— Co panu przychodzi do głowy? Zobaczysz pan zaraz, jakie uczciwe zamiary ma senior Timoteo względem nowych pracowników.

Kapitan poprosił jednego ze stojących w pobliżu emigrantów, aby mi pokazał swój kontrakt. Wezwany usłuchał chętnie. Dokument był podpisany przez robotnika, agenta, gminę i zawierał tylko jeden paragraf o następującej treści:

Robotnik otrzymuje wolny przejazd okrętem i drogą lądową aż na miejsce oraz odpowiednie utrzymanie podczas podróży; zobowiązuje się pracować osiem godzin dziennie w posiadłości Timotea Pruchilla, względnie prawnych jego następców, za opłatą jednego i pół pesa dziennie. Mieszkanie darmo. Po sześciu latach kontrakt wygasa.

Ogarnęło mnie zdumienie. To było nie tylko uczciwie, lecz nawet bardzo korzystnie, gdyż przy takiej płacy mógł robotnik zaoszczędzić rocznie około dwóch tysięcy marek. Teraz nie dziwiłem się, że agentowi udało się zebrać tylu ludzi i nakłonić ich do tak dalekiej podróży. Musiałem przyznać, że moje podejrzenie było nieuzasadnione. Czy aby rzeczywiście nieuzasadnione?

Pruchillo miał uczciwe zamiary, czy jednak mormon był także człowiekiem nieskazitelnym? Czemu nie? Czy miałem dowody przeciw niemu? Czy to ja raczej nie stałem się, oczywiście przez wielokrotne doświadczenie, zbyt ostrożny i nieufny? Czy Melton również nie miał zamiaru wyświadczyć mi dobrodziejstwa, które zobowiązywało mnie do i wdzięczności, nawet gdybym go nie potrzebował i nie mógł przyjąć?

Przed wieczorem powziąłem ostateczną decyzję wysiąść w Lobos i pójść w swoim kierunku, nie troszcząc się o nic więcej, gdyż doszedłem do przekonania, że robotnikom będzie w hacjendzie lepiej niż we własnym domu.

Jednakże całkiem niespodziewanie w parę godzin po owej decyzji wydarzyło się coś, co zmieniło z gruntu moje zapatrywania i zburzyło powzięte postanowienie.

Po kolacji zadziwiło mnie mianowicie, że wszyscy emigranci zostali wezwani, aby udali się pod pokład do kajut. Właśnie teraz, skoro słońce przestało parzyć i zerwał się chłodny wietrzyk, byłoby najprzyjemniej pozostać na pokładzie, odetchnąć swobodnie po upalnym dniu; my jednak musieliśmy poddać się rozkazowi, który był dla wszystkich niespodzianką, jak to mogłem wnioskować ze zdziwionych min i ociągania się emigrantów.

Skoro wszedłem do swojej kajuty, przyjął mnie Herkules mrukliwie:

— Co też przyszło do głowy Meltonowi, że nas wysłał do kajut! Czy pan przeczuwa, dlaczego to uczynił?

— Nie!

— Niech go diabeł porwie! Gdy człowiek cały dzień musi smażyć się na słońcu albo szukać cienia w tych ponurych kabinach, to przecież jest po prostu świętym obowiązkiem korzystać wieczorem ze świeżego, chłodnego powietrza. Tego nam dotychczas nigdy nie zabraniano!

— Rzeczywiście? Więc to jakieś nowe zarządzenie?

— Tak! Jestem przekonany, że wydał je Melton!

— Dlaczego pan tak sądzi?

— Po pierwsze dlatego, że dzieje się to, odkąd on się znajduje na pokładzie, a po drugie... otóż drugi powód jest nieco niejasny. Kontaktuje się potajemnie ze stewardem.

— Faktycznie? Nie zauważyłem tego.

— Oczywiście, starali się robić to ukradkiem. Wyglądało, jakby byli starymi znajomymi, a przecież udają, że się nie znają zupełnie.

Tej okoliczności nie zdążyłem zaobserwować, widocznie zazdrość zaostrzyła wzrok Herkulesa. Naturalnie mógł się również mylić. Dlatego zapytałem:

— Czy jest pan tego pewny? Steward zajmuje tak niskie stanowisko w porównaniu z mormonem, że trudno przypuścić między nimi taką poufałość, jest to prawie wykluczone. Mogli się kiedyś widzieć i nic więcej. Owe spojrzenia mogły być tylko pozdrowieniem.

— Niech pan tego nie mówi! Oczy mam sprawne, co widzą, to widzą dobrze. Jeśli ci ludzie chcieliby się witać, mogliby witać się otwarcie. Skoro jednak nie chcą pozwolić, ażeby ich pozdrowienia zauważono, to muszą mieć jakiś powód do ukrywania swojej znajomości, a ten nie może być ani uczciwy, ani błahy.

— To słuszne. Będę jutro obydwóch ostrzej obserwował niż dotychczas. Jeśli rzeczywiście mormon jest w porozumieniu ze stewardem, to mam wielką ochotę wyjaśnić tę tajemnicę,

— Tego pan nie dokaże, gdyż ci ludzie nie wtajemniczą pana w swoje sprawy!

— Jeśli jednak ja się ich pytać nie będę i wybadam wszystko bez ich wiedzy?

— To się nie uda, a dostanie pan tylko takiego klapsa za swoją ciekawość, że ucieknie pan do mysiej dziury!

— Do tego jeszcze daleko! Najchętniej podsłucham obydwóch natychmiast.

— No, jeśli tak, to nie chcę panu ani doradzać, ani odradzać. Jeśli pan za swój pomysł pozbiera tęgie, marynarskie kije, to nie mnie będą plecy piekły!

Muszę przyznać, że Herkules miał po części słusność. Mimo to pchało mnie coś po prostu, ażeby zamiar wprowadzić w czyn. Opuściłem więc kabinę i zacząłem skradać się na pokład. Nie były to przelewki. Ściany kajut, jak również ściany korytarza, przez który musiałem przejść, były nadzwyczaj cienkie, zatem ludzie znajdujący się wewnątrz mogli mnie łatwo posłyszeć. Atoli jeszcze więcej niebezpieczeństwa nastęrczała możliwość spotkania się z którymś z marynarzy albo nawet z jednym z tych, których chciałem podsłuchać. Doszedłem jednak aż do otworu, prowadzącego na pokład, nie natrafiwszy na nikogo. Stojąc na schodach i wysuwając ostrożnie głowę, mogłem obrzucić spojrzeniem przestrzeń dzielącą mnie od namiotu ustawionego specjalnie dla Meltona z części zapasowego żagla.

Na rufie, przy sterze, dawał właśnie kapitan sternikowi rozkazy na noc. Zapewne miał zamiar udać się wkrótce na spoczynek. Od stromy steru doszedł mnie również głos mormona. Przedemną, tuż przy dziobie okrętu, rozmawiali i śmiali się marynarze, którzy jednak byli za daleko, ażeby mnie mogli widzieć. Wskoczyłem więc na pokład i w kilku szybkich, lecz cichych krokach dostałem się poza namiot, gdzie ukryłem się pod pozostałą połową żagla, wszystko to odbyło się w przeciągu niecałej minuty. Leżąc pod płótnem, co prawda na twardych deskach ale poza tym zupełnie wygodnie, czułem się całkiem bezpieczny. Zwoje żagla osłaniały tak, że nikt nie mógł mnie zobaczyć. Ukrycie było znakomite; zachodziło tylko pytanie, czy przyniesie oczekiwane korzyści! Stać mi się nic nie mogło, w najgorszym

razie czekała mnie próba cierpliwości, w następstwie której mogłem najwyżej zostać wyśmiany przez Herkulesa.

Ułożyłem się tak, że mogłem od dołu wsunąć głowę do namiotu i sięgnąłem ręką do jego wnętrza. Uczułem cienkie, ale miękkie legowisko, usłane z koców. Widzieć nic nie mogłem.

Po krótkim czasie usłyszałem, jak kapitan życzył mormonowi dobrej nocy i oddalił się do kajuty. Melton przechadzał się jeszcze z kwadrans po pokładzie, następnie wszedł do namiotu, ażeby się położyć. Zatem pierwsze przypuszczenie, mianowicie, że namiot był dla niego przeznaczony, okazało się zgodne z prawdą; należało teraz oczekiwać, czy drugie także się sprawdzi, to znaczy, czy steward przyjdzie do mormona.

Minęła godzina, jedna, druga; zapadła noc. Rozmowa marynarzy ustała już dawno. Zrobiło się tak cicho, że słyszałem, jak okręt tarł bokami o wodę. W pewnej chwili rozległ się głos wartownika, który zameldował coś sternikowi. Już mi się zaczął czas dłużyć, gdy wtem usłyszałem poruszenie we wnętrzu namiotu. Wydawało mi się, jakby Melton podniósł się na równe nogi. Wsunąłem głowę głębiej, ażeby móc lepiej słyszeć. Nagle postyszałem pocieranie zapalką i zaraz potem zabłysnął płomyk. Przy jego blasku zobaczyłem mormona siedzącego na kocach i zapalającego cygaro. Widocznie więc oczekiwał kogoś i zapewne nie spał jeszcze dotychczas. Szczęściem, obrócony do mnie plecami, nie mógł spostrzec mojej głowy.

Znowu przeszła chwila, zanim podsłuchałem ciche pytanie:

— Weller, czy to ty?

— Tak, master — zabrzmiała z przeciwnej strony również cicha odpowiedź w języku angielskim.

— Wchodź prędko do środka, żeby cię nie zobaczono.

Zatem steward nazywał się Weller. Postępując za wezwaniem Meltona, wszedł do namiotu i powiedział:

— Nie ma obawy, master! Na pokładzie śpią wszyscy, oprócz sternika i wartownika, a ci stoją w takim miejscu, że nie mogą nas ani widzieć, ani słyszeć.

Nastała krótka przerwa w rozmowie, podczas której mormon zrobił Wellerowi miejsce, a ten usadowił się wygodnie. Potem odezwał się Melton:

— Możesz sobie wyobrazić, że jestem niezmiernie ciekaw przebiegu całej sprawy. Wsiadając na okręt czułem, jak napinają mi się nerwy z niepewności, czy cię zastanę na pokładzie.

— Co się tego tyczy, master, to nie było mi wcale trudno dostać się na statek jako steward.

— Czy kapitan nie zna cię przypadkiem?

— Kapitan? On nie ma pojęcia, kim jestem.

— Czy nie dowiedział się, że mnie znasz?

— Będę się strzegł, aby nie wypaplać. Niestety, nie mogłem otrzymać miejsca na statku na jazdę w jednym kierunku, musiałem je przyjąć także na drogę powrotną i jestem właściwie zobowiązany jechać z Lobos do Frisco.*

— To nic nie szkodzi, gdyż w Lobos nie będzie ci się trudno ulotnić.

— Myślę tak również i dlatego wziętem ze sobą mało rzeczy, żebym mógł w każdej chwili zejść na ląd, nie zostawiając nic na okręcie.

— Dobrze zrobiłeś, chociaż to rzecz małej wagi. Ale jak przedstawia się nasza sprawa? Kiedy odjechał twój stary?

— Trzy tygodnie przede mną; obecnie dotarł z pewnością do celu podróży. Bywał tam tak często i zna stosunki tak dokładnie, że nie może popełnić głupstwa.

— Ale czy Jumowie zgodzą się na to?

— Jestem zupełnie pewny! Takim łupem Indianin nigdy nie gardzi.

* San Francisco

— To mnie uspokaja. Zachodzi tylko pytanie, czy przybędą w odpowiednim czasie na miejsce.

— Z pewnością są już w drodze, master. Ale czy nam się tak śpieszy? Nikt nas nie pędzi. Możemy całą sprawę dokonać zupełnie spokojnie!

— Ja także tak myślałem, teraz jestem innego przekonania.

— Dlaczego? Czy się co wydarzyło?

— Tak. Miałem spotkanie!

— To znaczy, że zeszliście się ze znajomym. To przecież nie może mieć tak wielkiego wpływu na nasze przedsięwzięcie!

— Owszem, może mieć wpływ, nawet bardzo poważny.

— W takim razie ów człowiek, o którym mówicie, musiałby posiadać ogromne dla nas znaczenie?

— Posiada je też! Była to prawdziwa niespodzianka dla mnie, gdy ujrzałem go tutaj. Skoro posłyszysz jego imię, będziesz tak samo zdumiony, jak ja, gdy go poznałem.

— Niechże pan mi powie, kto to jest!

— Właściwie powinieneś już wiedzieć, gdyż widziałeś go tutaj na okręcie.

— Jeśli tak, to może to być tylko ów człowiek, który ma zostać buchalterem. Czy mam słuszność?

— Naturalnie! Przecież nikt więcej nie przybył ze mną na statek. A ty nie znasz go, rzeczywiście nie znasz? Widziałeś go już i to w takich okolicznościach, że to po prostu nie do wiary, jak mogłeś go nie poznać natychmiast. Byłem przekonany, iż się zorientowałeś i dlatego skinąłem na ciebie kilka razy, żebyś był ostrożny i jak najmniej z nim rozmawiał, gdyż on mógłby ciebie również poznać!

— Znaki widziałem, ale nie rozumiałem ich. Nie pojmuję, jakie obawy budzi w panu ten człowiek. Obieżyświat, który cieszy się, że może zostać pisarzem w odległej hacjendzie, nie może przecież być dla nas niebezpiecznym!

— I ja powiedziałbym to samo, gdyby ten człowiek miał w ogóle zamiar zostać buchalterem!

— Czy chce pan przez to powiedzieć, że on chce nas wystrychnąć na dudka? W takim razie największy to dureń na świecie albo największy wyga.

— To ostatnie, to ostatnie! Przypomnij sobie raz jeszcze, co przeżyłeś we forcie Uintah!

— Nic radosnego! W owym czasie grano tam na zabój. Interesy mi się powiodły i zebrałem tęgi worek dolarów, a straciłem je we forcie Uintah w przeciągu jednej godziny. Na szczęście był tam pański brat, podarował mi całą garść dolarów i wystarał się, abym został przyjęty jako kelner w pewnej gospodzie. Od tego czasu nie widziałem go nigdy.

Wie pan przecież, dlaczego musiał tę miejscowość tak nagle opuścić. Naturalnie, nie opowiada się o tym chętnie!

— Dlaczego nie? Kto jest człowiekiem, a ludźmi jesteśmy wszyscy, temu rozmaite mogą drogi wypaść. Zresztą mój brat wyrwał się z tej matni i spadł na cztery łapy!

— To słuszne! Wygrał już sutą, okrągłą sumę, gdy jednemu z oficerów podsunął diabeł myśl, że pański brat gra fałszywie. Doszło do sprzeczki, brat pana miał oddać zysk, zdołał się jednak uwolnić, zastrzelił owego oficera i uciekł. Dwaj żołnierze, którzy słyszeli krzyk w izbie i chcieli go na podwórzu zatrzymać, dostali także kulę w łeb i padli trupem; wydostał się z fortu, pochwycił jednego z pasących się na łące koni i odjechał bez uszczerbku.

— Uciec? Tak, z Uintah uciekł, ale...

— Nie tylko stamtąd, ale później także — przerwał Weller Meltonowi. — Co prawda to było z nim bardzo krucho. Nigdy już nie pochwycono by go, gdyby nie Old Shatterhand, który puścił się za nim w pogoń. Cztery doby szukano pańskiego brata, nie znajdując po nim ani śladu; niestety, właśnie wtenczas musiał przyjechać ów Old Shatterhand i dowiedzieć się

o całej sprawie. Zastrzelony oficer był jego dobrym znajomym i jedynie dlatego wyruszył natychmiast w drogę, ażeby schwytać pańskiego brata.

— Tak, po czterech dniach, gdy już żadnemu żołnierzowi ani scoutowi* nie udało się wykryć jego śladu. Ten łotr ma jednak nos psa gończego; znalazł trop i ścigał mojego brata aż do fortu Edwarda; tam wydał go komendantowi. Biedak miał już iść na szubienicę, ostatniej jednak nocy przed egzekucją zdołał uciec w ubraniu żołnierza, który go pilnował i był na tyle głupi, że pozwolił się udusić! Przecież widziałeś wtenczas Old Shatterhanda w forcie Uintah?

— Tylko przelotnie. Zabawił tam zaledwie pół godziny; posłyszawszy co się stało, wyruszył zaraz w pościg. Stałem właśnie przed drzwiami sklepu i słuchałem opowiadania sąsiada, gdy on przejechał przed nami.

— Jeśli tak, to nic dziwnego, że go dzisiaj nie poznałeś.

— Dzisiaj? — zapytał steward w tonie najwyższego zdumienia. — Co pan chce przez to powiedzieć? Chyba nie to, że ten tak zwany buchalter jest Old Shatterhandem?!

— Tak, to chcę właśnie powiedzieć!

— Jaka omyłka! Ten człowiek i Old Shatterhand! Kto tego myśliwego widział choćby tylko z daleka, w szybkiej jeździe, ten przyzna zaraz, że nie może mieć nic wspólnego z naszym pisarzem!

— A jednak jest tak, jak mówię! Zmiana czasu i miejsca, inne ubranie, to wszystko sprawia, że go nie poznasz!

— To niemożliwe zupełnie, absurdalnie niemożliwe!— Ten człowiek z miną półgłówka, który śpi w kabinie Herkulesa, miałby być Old Shatterhandem?! Sir, uwierzę we wszystko, bo mi pan powie, tylko nie w to. Nie, nigdy!

— Mam niezbite dowody! Czy widziałeś jego karabin?

— Nie! Zdaje się, że posiada dwa, tkwią w płóciennym futerale. — Są dwa, a wiadomo ogólnie, że Old Shatterhand zawsze ma ze sobą swoje obydwie strzelby: niedźwiedziówkę i sztucer Henry'ego, którym równych nie znajdziesz! Zauważyłem jeszcze w hotelu, że starał się ukryć je przede mną; toteż poprosiłem gospodarza, który miał je w rękach, ażeby je dokładnie mi opisał. Westman przedstawiał się za ubogiego, a żywił za swoje pieniądze całą rodzinę gospodarza! Gdyby był rzeczywiście tym, za kogo się podaje, to byłby się zgodził natychmiast i z radością na moją propozycję; on jednak wyprosił sobie czas do namysłu pod najśmieszniejszym pozorem, jaki tylko można wymyśleć. Nie widział mnie nigdy, a obserwował nieustannie i zawzięcie, uderzyło go zapewne podobieństwo do mego brata.

— Zatem przypuściwszy, że mamy rzeczywiście do czynienia z Old Shatterhandem, należy się zastanowić, w jakim zamiarze udaje się z nami do hacjendy?

— Będzie tu zapewne wiele różnych powodów. Jeśli poznał we mnie krew mego brata, to będzie przypuszczał, że musi go tam szukać, gdzie ja się znajduję. Dlatego przystał do mnie. Następnie musi go, jako człowieka doświadczonego i znawcę tutejszych stosunków, zadziwić przeznaczenie ludzkiego ładunku naszego okrętu. Zgodnie ze wszystkim, co słyszałem o tym człowieku, musi to mu podsunąć myśl, ażeby przyłączyć się do tych ludzi i wspierać ich w razie potrzeby swoją radą i pomocą. Do tego stara się nie podpisywać kontraktu, gdyż chce być swobodny i wolny. Musimy się z nim liczyć i to bardzo, bo chociaż nie przypuszczam, żeby zupełnie uniemożliwił nasz plan, to jednak należy oczekiwać, że spiętrzy przed nami przeszkody, które bardzo opóźnią jego wykonanie.

— Jeśli tak, to popełnił pan wielki błąd, biorąc go ze sobą. Należało po prostu zignorować go i zostawić w Guaymie!

— Byłbym to uczynił, gdyby gadatliwy gospodarz nie był mu powiedział o mnie i o okręcie, na który czekałem. Wprawdzie powiedziałem Old Shatterhandowi, że beze mnie nie zostałyby przyjęte na pokład, jednak jestem przekonany, że poczciwy i głupi kapitan, który nic

* Odnajdywacz ścieżek, tropów, wywiadowca

nie wie o naszych właściwych zamiarach, byłby go przyjął bez trudności. A nawet gdyby nie był z nami odjechał, to skorzystałby z najbliższego okrętu płynącego do Lobos, ażeby stamtąd podążyć potajemnie za nami. Nie czuliśmy się ani chwili bezpiecznie!

— Jak to, nas tyłu przeciw jemu jednemu? To brzmi przesadnie, pomimo że mamy do czynienia z Old Shatterhandem! Jedna kula uwolniłaby nas od niego!

— Podczas podróży nie możemy go tknąć, gdyż obudziłoby to podejrzania innych, ale gdy już znajdziemy się w hacjendzie, zostaniemy panami sytuacji i wtedy porachujemy się z nim. Nawet nie mam potrzeby porywać się na niego. Jumowie podejmą się porachunku!

— A jeśli im ucieknie? Tak często znajdował się w mocy czerwonoskórych, a przecież albo się uwalniał, albo w niepojęty zupełnie sposób doprowadzał do tego, że z zaciętych wrogów przeobrażali się w najlepszych jego przyjaciół. Czy nie walczył z Winnetou, na śmierć i życie? A dzisiaj jeden za drugiego oddałby życie!

— To byli inni ludzie, inne stosunki; to nie byłem ja! Przysięgam ci: jak pewne jest, że te gwiazdy nie mogą zboczyć ze swoich torów, tak pewne jest, że ten człowiek idzie z nami po swoją śmierć, gdyż chcę...

Przerwał, mając ku temu bardzo słuszny powód, gdyż przy ostatnim słowie upadł na niego cały namiot. Mianowicie, ażeby móc spojrzeć na gwiazdy, chciał odsunąć górną część płótna namiotu; nie licząc się jednak z tym, że słupy podtrzymujące żagiel nie były przymocowane do pokładu, pociągnął zbyt silnie, podpory poddały się naciskowi i przewróciły, grzebiąc pod sobą mormona, stewarda, a także i mnie.

Teraz należało spiesźnie działać, jeśli nie miałem zostać zdemaskowany. Wypełznałem jak mogłem najszybciej, spod fałdów żagla leżącego na mnie i podskoczyłem ku wejściu pod pokład. Skoro znalazłem się na schodach, zobaczyłem ich, wyłażących spod płótna; zdawali się nie wiedzieć, że katastrofa dotknęła także kogoś trzeciego. Naturalnie nie było już mowy o podsłuchiowaniu. Rozejrzawszy się jeszcze raz po pokładzie, powróciłem do kajuty. Herkules spał jak niedźwiedź; starałem się go nie zbudzić, gdyż w tej chwili nawet nie wiedziałbym, co odpowiedzieć na jego pytania. Jedno tylko było pewne, mianowicie, że musiałbym prawdę przed nim zataić, gdyż inaczej należało się spodziewać, że całkowicie popsuje mi szyki.

Położyłem się do łóżka, nie żeby spać, lecz ażeby pomyśleć nad tym, co słyszałem. Wreszcie zamknąłem oczy, gdy wpadł już przez małe okno kabiny pierwszy blask zorzy porannej.

A więc spisek na moje życie! To brzmiało niebezpiecznie, ale nie napełniało mnie obawą. Wiedziałem tylko, że podczas drogi do hacjendy nie stanie się nikomu żadna krzywda. Mormon powiedział wyraźnie, że w tym czasie nie przedsięwzięmie nic przeciw mnie, gdyż to by obudziło podejrzania emigrantów, stąd wniossek, że i im nie grozi nic w czasie podróży. W hacjendzie zechce mnie wziąć podstępem, więc musi sam paść ofiarą podstępowi. Więc zgoda! Chytróść przeciw chytróści i podstęp przeciw podstępowi! Przekonamy się, kto zwycięży.

Z tą myślą usnąłem.

Gdy się obudziłem, zobaczyłem Herkulesa stojącego przede mną, ledwie otworzyłem oczy, odezwał się:

— Spałem mocno i nie słyszałem, kiedy pan wrócił. Czy może złapano pana?

— Nie!

— Ale zapewne dowiedział się pan coś niecoś?

— Nic osobliwego — odpowiedziałem obojętnie,

— Myślałem to sobie — zaśmiał się. — Zresztą przepowiedziałem to panu. Powinienem wyśmiać pana!

— Służę panu, ale bądź pan tak dobry i milcz, ażebym nie został także przez innych wyśmiany.

— Uważa mnie pan za gadułę? — zapytał z właściwą sobie zgryźliwością. — Nigdy nie byłem i nie mam wcale zamiaru zostać nim z pańskiego powodu. Nie zdradzę pana przed

nikim, a tym bardziej przed ty dwoma drabami, których nienawidzę. Mam przecucie, że się zetknę kiedyś z nimi, a przynajmniej z mormonem na stopie niezbyt przyjaznej!

SZATAŃSKI CZYN

Lobos pozostało daleko poza nami; mineliśmy już San Miguel de Horcasitas i jechaliśmy w kierunku miasta Ures, stolicy powiatu o tej samej nazwie. Jechaliśmy? Tak jest. Postarano się o to, żeby żaden z emigrantów nie trudził się marszrutą. Nasz hacjendero, senior Timoteo Pruchillo, przysłał Indian z wozami i końmi wierzchowymi i jucznymi, które czekały na nas w Lobos. Trzeba było przyznać, że całe to przedsięwzięcie wraz ze wszystkim, co pozostawało z nim w związku, było rzeczywiście wyśmienicie urządzone.

Wozy niezgrabne, nieforemne, podobne były do tych, w jakich pierwsi emigranci przeciągali przez prerie Ameryki Północnej. Przeznaczono je dla kobiet i dzieci. W Lobos naładowano na nie całą chudobę emigrantów oraz narzędzia, które hacjendero kazał zakupić dowódcy orszaku we wspomnianym mieście. Konie pod wierzch pozostawiały na ogół wiele do życzenia, wszelako na tak krótką jazdę mogły jeszcze posłużyć.

Przewodnik był to, jak się zdawało, stary, wierny vaquero*, mruk zacięty, który z nikim słowa nie zamienił i zdawał się jedynie mormonowi okazywać szacunek. Obaj jechali stale obok siebie na czele orszaku. Ja przyłączyłem się do Herkulesa i udawałem, że inni mnie nie obchodzą. W rzeczywistości jednak uważałem na najmniejszą drobnostkę, starając się skorzystać ze wszystkiego, co mogłoby dopomóc w moich zamiarach.

Herkules był, jak się okazało, bardzo dobrym jeźdźcem, ale według europejskiej szkoły; dlatego też śmiał się często z mojego sposobu siedzenia na koniu, ganił mnie, że się nie trzymam prosto, że się chwieję, że nie ściskam odpowiednio konia nogami i wreszcie, gdy te napomnienia nie odnosiły żadnego skutku, zawołał pewnego razu prawie gniewnie:

— Człowiecze, mówi się do pana jak na wiatr. Mimo mojego trudu nie nauczy się pan przez całe życie znośnie jeździć. Siedzi pan na swojej szkapie jak żaczek na koniu z biegunami!

Uprzejmości z jego strony nie można się było spodziewać, mimo to zauważyłem, że nie zachowywał się już względem mnie tak obojętnie, nie był tak nieużyty, jak pierwszego dnia naszej znajomości. Często, gdy spojrzałem nań niespodziewanie, widziałem, że spoglądał na mnie życzliwym okiem, przyjacielskim, nawet tkliwym, ale szybko odwracał głowę, jakby się wstydził, że na chwilę stracił swój zjadliwy chłód.

Weller pozostał na okręcie, jak to się samo przez się rozumiało, a jednak byłem przekonany, że zdezerterował wkrótce po naszym wylądowaniu, ażeby w dalszym ciągu świadczyć usługi mormonowi.

A Melton? Melton nie okazywał już emigrantom takiej uprzejmości i przyjaźni jak na statku. Opiekował się wprawdzie nimi, jak to wypływało z jego domniemanego stanowiska, lecz im dłużej jechaliśmy, im bardziej oddalaliśmy się od morza, czyli im pewniej miał ich w swoich rękach, tym ostrzej się z nimi obchodził i stawał się coraz bardziej odpychający.

Po pewnym czasie zauważyłem, że mormon starał się, ażeby żaden z podróżnych, z którymi spotykaliśmy się, nie mógł z nami rozmawiać. Podjeżdżał stale do każdego i zajmował ich rozmową tak długo, dopóki nie oddaliliśmy się znacznie. Albo obawiał się, żebyśmy nie zostali ostrzeżeni, albo nie chciał w ogóle pozwolić, ażeby ktoś wiedział, kim byliśmy i dokąd zdążamy. Jego zachowanie się pozwalało przypuszczać, że każdemu dawał fałszywe wyjaśnienia. A przy tym jeszcze jedna okoliczność pogłębiła moje podejrzenia. Oto Melton zmienił kierunek pochodu na północno-wschodni. W tej stronie na pewno nie leżało Ures. Postanowiłem wprawdzie nie okazywać mu ani śladu nieufności, teraz jednak podjechałem do niego i zapytałem uprzejmie o położenie miasta i o czas, w jakim tam dotrzemy. Na to odpowiedział, obrzucając mnie jadowitym spojrzeniem:

* Pasterz bawołów

— Co wam do Ures, master? Czy może powiedziałem, że będziemy przejeżdżać przez tę miejscowość?

— Powiedział pan, że hacjenda del Arroyo leży poza Ures, myślę więc, że...

— Myśleć, co tam myśleć! — przerwał. — Tak, hacjenda leży poza Ures, ale nie w prostej linii, tylko z boku. Czy przypuszcza pan, że będziemy dla pana okrążyć i nadkładać drogi?

— Ani mi przez myśl nie przeszło! Zresztą musicie przyznać, że moje pytanie było zupełnie naturalne i nie byłem wcale natrętny!

Odwróciłem się od niego. Pierwsze pytanie zadałem w języku hiszpańskim, on zaś odpowiedział po angielsku, najprawdopodobniej dlatego, ażeby nie zrozumiał go stary vaquero jadący obok. Oprócz tego przypuszczałem, że omija Ures, aby się tam nie dowiedziano, że do hacjendy del Arroyo nadszedł transport emigrantów. To wszystko wskazywało coraz dobitniej, że zamiary jego względem nich nie były uczciwe.

Wieczorem tego samego dnia dotarliśmy do rzeki Rio Sonora, na miejsce leżące, jak przypuszczałem, daleko powyżej miasta. Brzegi rzeki opadały z wolna, a woda była dość płytka, więc bez trudu przeszliśmy z naszymi wozami na drugą stronę. Na przeciwległym brzegu powinniśmy byli właściwie rozłożyć się obozem, gdyż dzień już mijał, a długi marsz znużył ludzi i zwierzęta. Jednakże Melton wyjaśnił, że o godzinę drogi stąd znajduje się miejsce nadające się o wiele lepiej na obóz niż brzeg rzeki i że musimy dojść tam jeszcze dzisiaj.

Zatrzymaliśmy się zamiast po jednej, dopiero po dwóch godzinach. Pośrodku równiny, w pobliżu kilkunastu krzaków, nie było żadnego strumyka ani nawet wody stojącej. Uderzyło mnie, że rozłożyliśmy się obozem nie przy tych zaroślach, lecz w pewnym oddaleniu od nich. Żaden podróżny nie rezygnuje bez poważnego powodu z korzyści, a przynajmniej z przyjemności, jakie dają rośliny i krzaki w okolicy piaszczystej.

Rozbiliśmy zatem obóz. Zwierzęta pociągowe wyprzęgnięto, wozy ustawiono w jednym szeregu, konie wierzchowe rozsiodłano i oddano w opiekę kilku Indianom. Przy tym zauważyłem znowu, że Melton umieścił ich i konie oraz muły nie przy krzakach, lecz po przeciwnej stronie obozu. Zakrawało to na usilne zabiegi, ażeby nikt z nas nie znajdował się w pobliżu zarośli. Dlatego postanowiłem udać się tam potajemnie. Wszyscy byli bardzo znużeni, toteż wkrótce zwinęli się w koce i ułożyli na spoczynek. Pozornie poszedłem za tym przykładem.

Obserwowałem pilnie Meltona, który leżał sam, w pewnym od nas oddaleniu. Zdawało się, że śpi, jednak mniej więcej po trzech kwadransach zauważyłem, że się poruszył. Rozwinął koc i wstał. Stał dłuższy czas nieruchomo, nadsłuchując. Sądziłem już, że się oddali, on jednak podszedł ku mnie, położył na ziemi i przyczołgawszy się bez szelestu na rękach i nogach, przysunął ucho tak blisko do mojej głowy, że musiał słyszeć mój oddech. Oddychałem powoli, cicho i regularnie jak człowiek pogrążony w głębokim śnie. To go uspokoiło. Podniósł się i odszedł w kierunku zarośli.

Gdy oddalił się na tyle, że nie mógł mnie już słyszeć, wstałem i pośpieszyłem, jak mogłem najprędzej ku krzakom, ażeby przybyć tam przed nim.

Tam czekałem, dopóki mormon nie nadszedł. Ominął mnie tak blisko, że mogłem go wyraźnie rozpoznać. Potem stanął i mlasnął cicho językiem. W odpowiedzi rozbrzmiał z zarośli taki sam dźwięk. Zza krzaków wychyliła się jakaś postać, której nie mogłem widzieć dokładnie i zapytała po angielsku:

— Bracie Meltonie, czy to ty?

— *Yes* — odpowiedział zapytany — a ty?

— *All right!* Przyjdź tylko bliżej! Wszystko jest w porządku.

— Czy jesteś sam?

— Nie, wódz jest ze mną!

— Więc twój chłopak spotkał się z tobą?

— Tak! Wejdz w zarośla. Przede wszystkim ostrożność, skoro ten Old Shatterhand w pobliżu. Ja jednak nie wierzę w to jeszcze.

— On to jest, nikt inny, mogę na to przysiąc, gdyż...

Dalej nie słyszałem nic, ponieważ przy tych słowach obydwaj cofnęli się i zniknęli za krzakami.

Co miałem począć? Podstuchiwać ich? Wkrótce się przekonałem, że było to bardzo trudne, a nawet niemożliwe. Krzaki zajmowały niewielką przestrzeń i nie były gęste, mogło ich być najwyżej dziesięć lub dwanaście. Ponadto na horyzoncie ukazał się właśnie w tej chwili sierp księżycy. Musiano by mnie wykryć, nawet, gdybym był ciemno odziany; a skoro ubranie moje miało jasną barwę, głupiec jedynie usiłowałby się zakraść. Wobec tego doszedłem do przekonania, że najrozsądniej będzie powrócić do obozu. Cofnąłem się zatem na czworakach tak daleko, jak tego wymagało moje bezpieczeństwo, następnie podniosłem się i udałem do obozu, gdzie wszyscy spali, a nikt nie zauważył mojej nieobecności. Owinąłem się w koc ponownie i zacząłem zastanawiać się nad tym, co widziałem i słyszałem.

Kim był ów człowiek, z którym rozmawiał Melton? Odpowiedź łatwa. Obydwaj mówili do siebie „bracie”; zatem był także mormonem, tym prawdopodobniej, że nie posługiwał się używaną tutaj przeważnie hiszpańszczyzną, lecz językiem angielskim. Następnie Melton pytał się, czy „jego chłopak spotkał się z nim”. Tym chłopakiem był zapewne Weller, steward na naszym statku. W rozmowie z mormonem w namiocie na statku wspominał przecież, że jego ojciec wyruszył już dawno do Indian. A teraz przebywał ów przyjaciel Meltona w towarzystwie indiańskiego wodza. Dzisiejsze spotkanie było zatem już dawno omówione i postanowione. Młody Weller uciekł po naszym odejściu ze statku i zawiadomił swego ojca, że emigranci są już w drodze i że czas, aby się stawił na oznaczone miejsce spotkania. Wobec tego w krzakach znajdowali się teraz na pewno: stary Weller, Melton i jakiś wódz indiański, może był i młody Weller, a i to prawdopodobne, że wódz znajdował się w towarzystwie przynajmniej kilku Indian. Więc zupełnie słusznie nie narażałem się na niebezpieczeństwo odkrycia, gdyż było ono tym groźniejsze, im więcej osób znajdowało się w zaroślach.

Zadawałem sobie pytania, czy jestem odpowiednio przygotowany, ażeby stawić czoło niebezpieczeństwu. Odwagi mi nie brakło, czy mogłem jednakże przyjąć na siebie taką odpowiedzialność? Gdyby mnie wszak unieszkodliwiono, byłiby zgubieni ci, którym chciałem dopomóc. Zatem należało starać się przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Przypomniałem sobie w tej chwili, że Melton ominął miasto Ures zapewne dlatego, aby tam nie wiadomo nic o transporcie emigrantów, znajdujących się w drodze do hacjendy del Arroyo. On bowiem jako kierownik karawany byłby odpowiedzialny za późniejszy jej los. Przypuszczałem więc, że należało zawiadomić tamtejszą władzę. Kto jednak miał to uczynić? Naturalnie ja. Kiedy? Jak najprędzej, a więc jutro z rana. Ponieważ jednak nikt, a tym mniej mormon nie powinien o tym wiedzieć, więc musiałem oddalić się w sposób nie wzbudzający podejrzania. Jak się zabrać do tego? Pytać? Wtedy musiałbym powiedzieć, gdzie chciałem się udać. Oddalić się potajemnie? To wywołałoby właśnie podejrzanie, czego przecież chciałem uniknąć. Gdy biedziłem się nad tym, przypominałem sobie słowa Herkulesa, że nigdy nie zostanę dobrym jeźdźcem. To umożliwiło mi właśnie wykonanie planu. Mój koń powinien się spłoszyć i unieść mnie. Zamiar wykonania tego planu podziałał na mnie tak uspokajająco, że usnąłem dość szybko i obudziłem się dopiero wtedy, gdy inni już przygotowywali się do wymarszu.

Mormon starał się za wszelką cenę przyśpieszyć wymarsz; nietrudno było odgadnąć powód tego pośpiechu. Oto obawiał się, ażeby nie zwrócił uwagi na ślady, jakie zostawił, idąc w nocy do zarośli. Trop ten w miękkim piasku odcisnął się tak wyraźnie, że był widoczny z obozu na całej rozciągłości aż do krzaków. W razie gdybym zaczął go badać, byłbym musiał znaleźć także ślady tych, z którymi Melton w nocy rozmawiał. Ażeby tego uniknąć, naglił do szybkiego pochodu.

Siodłając konia, wetknąłem kilka ostrych ziarenek piasku między siodło a skórę i zaciągnąłem silnie gurt. Gdy następnie wsiałem nań, unosiłem się początkowo w strzemionach, starając uszczuplić swą wagę, aby zwierzę nie odczuwało jeszcze bólu, po chwili jednak usiałem całym ciężarem. Wtedy koń poczuł ostre ziarenka i zaczął rzucać się i wierzgać. Udawałem, że staram się wszelkimi sposobami uspokoić go, jednak na próżno. Koń chciał mnie zrzucić, a ja przybrałem taką pozycję, jakbym tylko z największym wysiłkiem utrzymywał się w siodle. Na koniec zwierzę tak się poczęło biesić, że zwróciło uwagę wszystkich, nawet mormona.

— Czego chce właściwie ta bestia? — zapytał Herkules, który jak zwykle jechał obok mnie.

— Czy ja wiem? Chce mnie zrzucić. Chyba nic innego!

— Więc ściągnij pan bydlęciu uzdę i daj mu ostrogi, aby nabrało respektu. Naturalnie, nie jest to nic dziwnego, że nie chce już dźwigać pana. Koń z charakterem, chce mieć dobrego jeźdźca! Pan jednak jest... oho... Hallo, a dokąd to?!

Posłuchałem jego rady i dałem koniowi ostrogę. Koń stanął dęba, naprzód przednimi, potem tylnymi nogami, następnie skoczył w górę Wszystkimi czterema równocześnie, potem na prawo i lewo, nie zdoławszy mnie jednak zrzucić. Wysunąłem umyślnie nogi ze strzemion, ześlizgnąłem się aż na zad i położyłem, ażeby ratując się na pozór, objąć konia rękami za szyję; naturalnie — nie spadłem. Świadkowie tej sceny wybuchnęli śmiechem, ten głośny, hałaśliwy śmiech podniecił moją szkapę do ostateczności; wykonawszy jeszcze jeden skok, popędziła ze mną w pełnym galopie wprost przed siebie, gdzie ją oczy poniosły. Okoliczność, że ta szalona jazda miała kierunek południowy, zdawała się być czystym przypadkiem; nikt się nie domyślał, że koniem kierowałem ja, a nie odwrotnie. Ures leżało przecież na południe od nas.

Obejrzawszy się zauważyłem, że kilku emigrantów jechało za mną, lecz wkrótce zawrócili. Herkules jechał najdłużej. Obawiał się o mnie, nie mógł mnie jednak dopędzić. Po dziesięciu minutach straciłem go z oczu i zsiadłem, ażeby usunąć piasek spod siodła i uwolnić biedne zwierzę od męki. Potem ruszyłem dalej, ciągle na południe, w kierunku miasta.

Już po godzinie drogi okolica przybrała zupełnie inny wygląd. Im dalej, tym bardziej stawała się ożywiona, coraz częściej napotykałem większe lub mniejsze folwarki i siedziby ludzkie. Następnie wjechałem na drogę utorowaną, prowadzącą pomiędzy ogrodami i dotarłem na koniec do miasta, które zrobiło na mnie daleko lepsze wrażenie niż Guayma. Przede wszystkim zapytałem jednego z przechodniów, gdzie znajduje się urząd policyjny. Stanąwszy przed opisanym mi budynkiem, przywiązałem konia do płotu i poprosiłem jednego z policjantów, ażeby mi wskazał mieszkanie dyrektora policji. Policjant zaprowadził mnie na podwórze, gdzie zauważyłem drzwi z napisem objaśniającym, że tu należy szukać najwyższego urzędnika powiatu. Skoro zapukałem, odezwał się ktoś z wewnątrz, wobec tego wszedłem i ukłoniłem się natychmiast głęboko, bardzo głęboko, gdyż znalazłem się nie wobec mężczyzny, lecz jakiejś damy! W pokoju nie było nic z tego, co przyzwyczajeni jesteśmy łączyć z pojęciem biura albo lokalu urzędowego. Były to bowiem puste, białe otynkowane ściany.

W podłodze, którą stanowiła twardo ubita ziemia, tkwiły cztery pale malowane w barwy narodowe, to znaczy: biało-czerwono-zielone. Na nich wisały dwa hamaki. W pierwszym leżała owa dama, paląc papierosy, ponad nią znajdował się przytwierdzony do słupa pręt, na którym siedziała papuga uwiązana na łańcuchu. Co zawierał drugi hamak, nie mogłem zauważyć, dopiero później przekonałem się, że w każdym razie nie był pusty. Zatem, jak już powiedziałem, ukłoniłem się głęboko i zapytałem w najbardziej uprzejmym tonie, czy mam przyjemność mówić z dyrektorem policji. Dama przypatrzyła mi się wnikliwie, następnie zrobiła ruch ręką, który mówił wyraźnie „nie chcę cię widzieć” — i, odwróciwszy głowę, nie

odezwała się słowem. Za to papuga najeżyła pióra, rozwarła krzywy dziób i zaskrzeczała na mnie: *Eres ratero!**

Dama pogłaskała ptaka, ja zaś powtórzyłem moje pytanie nader uprzejmie.

— *Eres ratero!* — odpowiedziała papuga, podczas gdy dama trwała w milczeniu.

Powtórzyłem pytanie jeszcze raz.

— *Eres ratero, ratero!* — lżył upierzony oszczerca; dama zadała sobie nareszcie tyle trudu, aby skinać ręką ku drzwiom, dając mi w ten sposób do zrozumienia, że nie chce nic o mnie wiedzieć.

Wobec tego otworzyłem drzwi i nie oddalając się wyjrzałem na dziedziniec. Policjant, który mnie tutaj przyprowadził, stał jeszcze. Ponieważ patrzył w przeciwną stronę, więc włożyłem palec do ust i gwizdnąłem tak przeraźliwie, jak tylko mogłem. Naturalnie papuga gwizdała także, dama skrzeczała jak przedtem papuga, a policjant obrócił się ku mnie. Skinąłem, ażeby przyszedł, i zapytałem go, gdy stanął przy mnie:

— Czy tu jest rzeczywiście urząd dyrektora policji?

— Tak, senior! — odpowiedział.

— Więc gdzie jest dyrektor?

— Tam, w pokoju.

— Przecież nie widzę go, a seniora nie chce odpowiadać!

— Na to nic nie poradzę, na to w ogóle nie ma rady!

Odwrócił się i odszedł. Wtedy skierowałem kroki ku damie i powtórzyłem moje pytanie, tym razem jednak nie w tonie uprzejmym. Na to zapytana wyprostowała się i odparła gniewnie:

— Precz natychmiast, bo każę pana zamknąć! W jakim stroju pan przychodzi! Widać przecież od razu, że pan nie ma czym płacić za czynności urzędowe!

Papuga zaczęła bić skrzydłami, dziobać i krzyczeć:

— *Eres ratero, eres ratero!* — ja jednak wyciągnąłem z zimną krwią mój trzos z pieniędzmi i zacząłem, nie mówiąc słowa, przekładać brzęczące monety z ręki do ręki. Papuga natychmiast zaczęła ludzako naśladować dźwięk złota, a dama zwróciła się do drugiego hamaka i odezwała najmielszym, dźwięcznym głosikiem:

— Podnieś się, mój drogi! Jest tu pewien caballero, który musi koniecznie z tobą pomówić. Tymczasem skręć mu papierosa!

Spostrzegłem jakieś poruszenie w drugim hamaku i po chwili zeskoczyła z niego niezmiernie wysoka i straszliwie chuda postać, która podeszła do mnie krokami powolnymi, niedosłyszalnymi niby widmo i zapytała bezbarwnym „tonem brzuchomowcy:

— Jaką takse jest pan przygotowany zapłacić, senior?

— Płacę według wartości odpowiedzi, które otrzymam — odpowiedziałem.

Na to długi obrócił się do żony i powiedział, wykrzywając okropnie oblicze, co miało zapewne oznaczać przyjacielski uśmiech:

— Czy słyszysz, gołąbko? On płaci według wartości. Ponieważ jednak wszystko, co ja mówię, posiada dla każdego wysoką wartość, więc proszę cię, skręć seniorowi jeszcze jednego papierosa!

Po chwili, skoro trzymałem już w palcach dwa robaki tytoniowe, przystąpił nareszcie do rzeczy mówiąc:

— Niech mi pan teraz przedłoży z zaufaniem i otwartością swoje życzenia, senior! Stoi pan przed najżyczliwszym ze swoich przyjaciół.

— Czy jest panu znane nazwisko Timoteo Pruchillo, senior?

— Nie. Tobie także nie, gołąbko?

— Nie! — odpowiedziała gołąbica.

* Jesteś włóczykij

— Szukam hacjendy del Arroyo, która ma leżeć niedaleko Ures. Czy mógłby pan mnie objaśnić o tym bliżej?

— Nie. Ty także nie, gołąbko?

— Nie! — powtórzyła jak echo gołąbica.

— Timoteo Pruchillo sprowadził z Niemiec emigrantów, którzy mają pracować w jego hacjendzie. Kto ma obowiązek wziąć tych ludzi w opiekę, gdyby Pruchillo postąpił z nimi nieuczciwie?

— Nie ja, senior!

— Ale przecież musi tutaj być ktoś, kto by się zajął tymi ludźmi, w razie gdyby groziło im niebezpieczeństwo!

— Nie, nie ma nikogo!

— Ależ senior, nawet przypuściwszy, że są oni pozbawieni opieki państwowej, należy oczekiwać, że gdyby jakiś Meksykanin postąpił z nimi nieuczciwie albo wręcz haniebnie, to zostałyby przez tutejszą władzę pociągnięty przeciw do odpowiedzialności?

— Nie, senior! Mnie nic nie obchodzi, co dzieje się z obcokrajowcami.

— Więc co by pan zrobił, gdyby mieszkaniec pańskiego powiatu zabił cudzoziemca?

— Nic, zupełnie nic! Moi poddani sprawiają mi tyle kłopotu, że nie mogę się zajmować obywatelami obcych państw. Cudzoziemcy, ich sprawy, stosunki, rzeczy — nie istnieją dla nas wcale. Pod tym względem niczego nie może pan od nas żądać! Czy poza tym ma pan jeszcze jakie życzenie, senior?

— Nie pańskie dotychczasowe odpowiedzi uwolniły mnie od wszelkich dalszych pytań!

— Wobec tego odprawię pana, skoro pan uzna wartość udzielonych mu wiadomości!

— Tak, skoro pan uzna ich wartość — potwierdziła seniora czarującym tonem, przy czym papuga zawtórowała milutkim minorem chrząkaniem.

— Wyjaśnię panu najsumienniejszą tę wartość — odpowiedziałem. — Ponieważ pan stale odpowiadał słowem nie, więc odpowiedzi pańskie nie posiadają dla mnie, niestety, żadnej wartości.

— Co? Jak? Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan nic nie zapłaci?

— Oczywiście!

Na to zrobił dwa kroki wstecz, zmierzył mnie gniewnym wzrokiem i zagroził:

— Ja mogę pana zmusić, senior!

— Nie! Ja także jestem cudzoziemcem i mam tylko zagraniczną walutę przy sobie! Ponieważ, według pańskich słów, nie istnieją dla pana zagraniczne osoby, sprawy, stosunki i rzeczy, więc nie mogę obrażać pańskich uczuć narodowych i pańskiego szacunku dla własnego kraju — ofiarowaniem panu obcej monety!

Seniora wypuściła z palców papieros i przygryzła wargi, papuga podniosła skrzydła i rozwarła dziób, senior cofnął się jeszcze o krok i zapytał, gulgocząc jak indor:

— Więc tylko obce pieniądze?

— Tak! Jedynymi krajowymi przedmiotami, którymi mogę pana zaszczycić, są te oto papierosy — rzekłem, wrzucając podane mi poprzednio gaśienice do skrzynki z tytoniem, przy czym papuga omal nie dziobnęła mnie w rękę.

— Więc pan nie zapłaci nic, zupełnie nic?! — zawołał senior.

— Nie!

Sięgnąłem po swoje strzelby, które oparłem przedtem o ścianę, i oddaliłem się spiesźnie.

— Skąpiec, człowiek bez czci i wiary! — grzmiał długi senior swoim głosem brzuchomówcy.

— Cudzoziemiec, obdartus, wagabunda! — skrzeczała donna z wściekłością.

— *Eres ratero, eres ratero, ratero!* — jesteś Włóczykij — *eres ra-tero... tero... ro... ro... ro!* — słyszałem jeszcze na podwórzu. Za bramą stał przy moim koniu policjant, czekając na mnie zapewne, gdyż wyciągnął rękę i powiedział:

— Napiwek za wiadomość, której panu udzieliłem. Pensję mam bardzo skąpą, a do wyżywienia żonę i czworo dzieci!

— Nic na to nie poradzę, na to w ogóle nie można poradzić! — odpowiedziałem jego własnymi słowami; odwiązałem konia, wsiadłem i odjechałem. Gdybym był w nieco lepszym humorze, byłby on przynajmniej coś dostał.

Zatem nadzieja, którą pokładałem w policji, zawiodła mnie zupełnie. W takich stosunkach najlepiej liczyć tylko na siebie, samego. Wobec tego precz z myślą o pomocy innych!

Gdy odjechałem dość daleko od budynku policji, zatrzymałem się w pierwszym, nieco porządniej wyglądającym hotelu, ażeby pożywić siebie i konia i zapytać się o sklep z ubraniami.

Wskazano mi dość duży skład, w którym dostałem dobry, mocny ubiór meksykański, oprócz tego zaopatrzyłem się w większą ilość amunicji. Przed odjazdem wypytałem o drogę do hacjendy; opisano mi ją tak dokładnie, że absolutnie nie mógłbym zabłądzić. Hacjenda leżała o dzień drogi na wschód nad strumykiem, który tworzył jezioro, pomiędzy lesistymi górami. Równocześnie zasięgnąłem bliższych wiadomości o charakterze jej właściciela.

Senior Timoiteo Pruchillo był człowiekiem uczciwym. Dawniej należał do najbogatszych ludzi prowincji, ale że przez ciągłe powstania polityczne i napady indiańskie wiele, ucierpiał, więc teraz był uważany jedynie za dosyć zamożnego plantatora. Z dawnych dóbr pozostała mu tylko hacjenda del Arroyo. Oprócz tego należała do niego kopalnia rtęci, o której wiedziano tylko tyle, że leży daleko poza hacjendą, w okolicy bardzo nieurodzajnej i że dawniej przynosiła wielkie dochody, jednak z powodu braku robotników i z obawy przed włóczęgami się w pobliżu Indianami została zaniechana i opuszczona.

Jeszcze do południa ruszyłem w dalszą drogę. Jechałem pod górę zygzakowatą linią długiej i wąskiej doliny. Góry otaczające ją były skaliste, prawie zupełnie bezdrzewne i posiadały kształty tak oryginalne i dzikie, że przypominały dalekie kraje Ameryki Północnej, tak zwane „Bad lands”. Rozpamiętywałem swoje przygody w tamtych okolicach, walki ze Siuksami, z którymi potykałem się tak często; wyobrażałem sobie, że słyszę ich przenikliwy okrzyk wojenny, głosy ich karabinów. Wtem — czy to było łudzące wspomnienie, czy też rzeczywistość? — padł strzał! Zatrzymałem konia i jąłem nadśłuchiwać. Tak, to była rzeczywistość, gdyż teraz posłyszałem wprost przed sobą w dolinie, poza najbliższym jej zakrętem — strzał drugi i trzeci.

Popędziłem konia, nie od razu jednak minąłem zakręt. Chciałem naprzód wiedzieć, kogo mam przed sobą. Dlatego zsiadłem i, zostawiwszy konia na miejscu, podszedłem pieszo do rogu skały, zasłaniającej mi dalszy widok. Zdjąwszy kapelusz, którego szeroka kresa mogła łatwo mnie zdradzić, i wysunąwszy poza skałę jedynie czubek głowy, zobaczyłem przede wszystkim, że dolina rozszerzała się w tym miejscu, łącząc się z bocznym wąwozem, w dole pośrodku doliny stali dwaj mężczyźni. Patrzyli w górę na skałę tworzącą róg dwóch przełęczy. Jeden z nich był białym, drugi Indianinem, obydwaj mieli karabiny w rękach. Właśnie w tej chwili złożyli się, wymierzili w górę i wypalili; strzały zahuczały szybko, jeden za drugim.

Do czego albo do kogo strzelali ci ludzie? W pobliżu stały trzy konie. Zapewne więc było ich również trzech. Lecz gdzie znajdował się trzeci? Wysunąłem głowę dalej i ujrzałem inne trzy konie, leżące na ziemi obok ściany skalnej. Zdawały się być martwe, gdyż nie poruszały się wcale. Ponad nimi, może na wysokości trzydziestu łokci, w miejscu, na które mógłby wspiąć się tylko dobry turysta, kryły się trzy młodziutkie postacie poza wysokim skalnym, który osłaniał je przed kulami. Byli to dwaj chłopcy i kobieta. Oczywiście nie mogłem ich rysów dokładnie rozpoznać; może bardziej odpowiadałoby im miano, młodzieńców. Nie mieli strzelb tylko luki, z których wypuszczali od czasu do czasu strzały ku swoim napastnikom; strzały jednak padały za blisko!

Mężczyźni przeciw chłopcom, przeciw bezbronnej kobiecie! Jacyż to mogli być mężczyźni! Chyba tylko ostatni łajdacy! Zdecydowałem się natychmiast pacholętom dopomóc, gdyż było jasne, że chodziło tu o życie. Ażeby jak najmniej wystawić się osobiście na niebezpieczeństwo, musiałem zaskoczyć napastników w chwili, gdy lufy opróżnią z naboju, a więc zaraz po wystrzale.

Wróciłem przeto do konia i wskoczyłem na siodło. Sztucer Henry'ego wziąłem w rękę, rozluźniłem rewolwery za pasem i czekałem. Strzały padły jeden po drugim, a prawie równocześnie pędził już mój koń wzdłuż skały, zakrętem, wprost ku nim. Widok mój tak ich zaskoczył, że skamienieli, patrzyli na mnie z oczekiwaniem, dopóki nie zatrzymałem się przed nimi.

Biały był człowiekiem średniego wzrostu, odziany w prosty ubiór meksykański. Kto by choć raz ujrzał jego niezwykle ostre, charakterystyczne rysy twarzy, ten nie zapomniaby ich nigdy. Za pasem miał zatknięty nóż i pistolet, a w prawej ręce trzymał dopiero co wystrzeloną jednorurkę.

Czerwonoskóry był podobnie ubrany, tylko głowę miał nie nakrytą, a w długie włosy wpięte orle pióro, oznakę godności wodza. Zza pasa sterczała mu rękojeść noża, strzelba jego była również jednorurką.

— Dzień dobry, seniores! — pozdrowiłem ich, wstrzymując konia gwałtownie tuż przed nimi i trzymając w prawej ręce sztucer gotów do strzału. — Jakie to polowanie urządzenie panowie tutaj? Chyba tylko na zwierzęta?

Żaden nie odpowiedział. Udałem, jak bym dopiero teraz zobaczył trzy nieżywe konie i mówiłem dalej:

— Ach! Do koni panowie strzelacie? A konie są osiodłane! Więc panowie godzicie na życie jeźdźców! Gdzie się oni podziali?

Czerwony sięgnął do worka po kulę, ażeby naładować strzelbę na nowo. Biały uczynił to samo i odpowiedział przy tym:

— Co to pana obchodzi? Uciekaj stąd i nie wdawaj się w nie swoje sprawy, gdyż inaczej nasze kule pokażą panu...

— Wasze kule, łotrze? — przerwałem, kierując lufę strzelby w jego pierś. — Powąchaj naprzód moich! Czy wiesz, ile kul mieszka w sztucerze Henry'ego? W tej chwili karabiny na ziemię! Inaczej przewiercę wam głowy nabojami.

— Sztucer Hen-ry-e-go! — wykrztusił biały, wlepiając we mnie wybałuszone oczy i bezwiednie wypuszczając karabin z ręki.

Indianin, nie pozwalając się ogarnąć przerażeniu, rozważył sytuację z zimną krwią. Mimo że lufa mojego karabinu nie była skierowana na niego, lecz na jego towarzysza, nie miał odwagi dokończyć ładowania, lecz przecież był jeszcze inny sposób działania. Wódz do tego sposobu postanowił się uciec. Siedząc, w jakim kierunku szły jego spojrzenia, byłem na to przygotowany. Wyrwał błyskawicznym ruchem pistolet zza pasa białego i złożył się na mnie. Równie szybko ja skierowałem sztucer w jego rękę i zanim zdołał odciągnąć kurek, padł strzał, przesywając mu dłoń. Przez chwilę stał jak osłupiały i patrzył to na mnie, to na krwawiącą rękę, z której wypadł mu pistolet. Następnie zwrócił się do białego i zawołał:

— Tave-szala!

Po tych słowach skoczył z największym pośpiechem ku koniom, rzucił się na jednego z nich i popędził pełnym galopem w głąb wąwozu.

— Tave-szala! — powtórzył biały, który aż do tej chwili stał nieruchomo. Następnie dodał w języku angielskim:

— *The devil**, gdzie ja miałem oczy! Wódz ma słuszość!

* Do licha! diabła tam!

W chwilę później siedział na drugim koniu i pędził co koń wyskoczy za czerwonoskórym, rzuciwszy na ziemię i strzelbę i pistolet. Oczywiście, nie starałem się wcale ich zatrzymywać. Co miały oznaczać owe słowa „tave-szala”? Pochodziły z narzecza, którego nie znałem.

Po ucieczce napastników rozbrzmiał ze skały potrójny okrzyk radości. Kobieta i chłopcy widzieli, co się stało, i uważali się za uratowanych, ja jednak, obróciwszy się ku nim, spostrzegłem jak dalece radość ich była przedwczesna.

Mianowicie, ponad nimi na najwyższym grzbiecie skały, na samej krawędzi, zauważyłem głowę jakiegoś człowieka, który przypatrywał się im przez krótką chwilę; ukazała się lufa karabinu i ręce; jasne było, że ów człowiek do nich właśnie mierzył. Z ich stanowiska trudno było spostrzec nowego wroga; stali w obliczu prawie niechybnej śmierci! Musiałem ich ostrzec, ale jak? Słowa radości, które poprzednio wykrzyknęli, zaczerpnięte były z języka Miinbreniów, znanego mi na szczęście, gdyż nauczyłem się go od Winnetou, toteż zawołałem:

— *Te sa arkonda, nina akhlai to-sikis-ta* — przyciśnijcie się do ściany skalnej, ponad wami wróg!

Posłuchali natychmiast i cofnęli się tak daleko poza występ, że z dołu nie mogłem ich już dojrzeć. Nieznajomy zapewne także stracił ich z oczu, zniknął na chwilę, ale... nie zrezygnował ze swego zamysłu. Ukazał się wkrótce ponownie na innym miejscu, które tworzyło rodzaj dachu wystającego dosyć znacznie, stamtąd mógł ich widzieć i osiągnąć kulami! Należało ratować życie trojga ludzi, a uratować nie zdołałbym, gdybym oszczędzał mordercę. Strzał na tę wysokość był bardzo trudny. Sztucer nie niósł tak daleko, a gdyby moja pierwsza kula nie trafiła, nieznajomy zyskałby na czasie i dokonał swego. Koń mój stał niespokojnie, dlatego zeskoczyłem z siodła, odrzuciłem sztucer i złożyłem się niedźwiedziówką. Właśnie w tej chwili nieznajomy skierował lufę karabinu na dół. Celowałem krótko, lecz pewnie. Strzał padł i odbił się echem od ścian wąwozu, stary, ciężki karabin miał tutaj głos prawdziwie armatni. Ale, rzecz dziwna! Nieznajomy leżał na skale tak, że widziałem tylko jego głowę i ramiona i to niewyraźnie z powodu oddalenia. Zdawało mi się, że głowa przeciwnika uskoczyła w bok po moim strzale, a jednak nie poruszył się, nie cofnął, a ramiona trzymały karabin nieruchomo w poprzedniej pozycji. Wobec tego posłałem drugą kulę. On jednak nadal nie zmieniał położenia, ale także nie strzelał. Dlatego naładowałem na nowo. Uratowani przeze mnie Indianie wystąpili naprzód i jeden z chłopców zawołał:

— Nie strzelaj, on już nie żyje! Zejdziemy do ciebie.

Zdarza się widzieć po bitwie ciała żołnierzy zmarłe w tej postawie, w jakiej zostały trafione przez pocisk nieprzyjaciół. Czyżby tu nastąpiło owe nagłe zeszytywnienie? Nie miałem czasu o tym myśleć, gdyż Indianie zeszedli już ze skały. Podszedłem więc do nich i powitaliśmy się uściskiem ręki. Zapytałem starszego chłopca:

— — Czy znałeś waszych wrogów?

— Błdej twarzy nie. Natomiast znam obydwóch czerwonych mężów. Stary był Vete-ya*, wódz Jumów, drugi Gaty-ya*, syn jego.

— Nie znam ani jednego, ani drugiego i nie słyszałem o nich nigdy. Z jakiego powodu chcieli was zabić?

— Przed wieloma księżycami przybyli, ażeby napaść i obrabować nasz szczep, chociaż żyliśmy z nimi w pokoju. Dowiedzieliśmy się o tym zawczasu i pobiliśmy wojowników Jumów. Wódza Vete-ya pojмалиśmy. Nalgu Mokaszi*, nasz ojciec, zaproponował mu walkę honorową i zwyciężył go. Następnie zamiast go zabić, zwrócił mu wolność. Jest to wielce hańbiący dowód lekceważenia, czego ty zapewne nie wiesz, gdyż jesteś bladą twarzą.

* Wielkie Usta

* Małe Usta

* Silny Bawół

— Wiem to, bo znam zwyczaje czerwonych mężów. Przebywałem wiele zim i wiosen wśród najdzielniejszych szczepów, a z Silnym Bawołem, waszym ojcem, paliłem fajkę pokoju.

— Skoro tak, to nie możesz być zwykłą bladą twarzą i musisz mieć wielkie imię, gdyż nasz ojciec jest dzielnym wojownikiem i zwykł palić kalumet tylko ze sławnymi ludźmi!

— Imię moje usłyszycie. Opowiedz mi przede wszystkim, w jaki sposób spotkaliście się tutaj z obydwoma Jumami i z białym.

Ta squaw jest naszą szilla* i żoną wodza Opatów. Przed dwoma miesiącami wybraliśmy się w drogę do Opatów, ażeby ją odwiedzić, teraz wracaliśmy, a siostra z nami, gdyż chciała widzieć się z ojcem.

— Postąpiliście nieroztropnie!

— Niestety! Żyjemy w zgodzie ze wszystkimi szczepami. Gromada Opatów towarzyszyła nam przez znaczną część drogi, a gdy nas opuszczali, byliśmy wszyscy przekonani, że żadne niebezpieczeństwo grozić nam nie może. Jumowie mieszkają daleko stąd, nie mogliśmy nic wiedzieć, o pobycie ich wodza w tej okolicy. Na kobiety i chłopców nie nastaje żaden uczciwy wojownik. A jednak Vete-ya strzelił do nas. Nie jesteśmy jeszcze wojownikami i nie mamy imion! Byliśmy zaopatrzeni jedynie w łuki i strzały, więc nie mogliśmy stawiać oporu napastnikom uzbrojonym w strzelby. Dlatego zeskoczyliśmy prędko z koni i schroniliśmy się za skałę. Tam mogliśmy się ukryć, a gdyby nieprzyjaciele odważyli się wspinać za nami, byłibyśmy ich zabili strzałami. Mimo to dziś jeszcze powitałyby nas Wieczne Ostępy, gdybyś ty nas nie uratował. Skoro bowiem Vete-ya ujrzał, że nie dosięgną nas jego kule, wysłał swego syna, ażeby inną stroną wspiał się jeszcze wyżej niż my i zastrzelił nas z góry.

— Czy biały strzelał również?

— Tak, chociaż nie znaleźliśmy go i nie zrobiliśmy mu nigdy nic złego! Dał nawet synowi wodza swoją strzelbę, która miała dwie lufy, ażeby mógł nas łatwiej i prędzej zabić. Za to będzie musiał umrzeć, skoro mnie spotka; zapamiętałem sobie dokładnie jego oblicze!

Wyciągnął nóż i zrobił nim ruch jakby przeszywał komu serce. Widziałem, że nie mówił tego na wiatr, Wzmianka o starszym Indianinie przypomniła mi słowa, które wypowiedział Vete-ya, gdy moja kula trafiła go w rękę. Dlatego zapytałem:

— Czy znasz mowę Jumów?

— Znam z niej wiele słów.

— To może potrafisz mi powiedzieć, co oznaczają słowa „tave-szala”?

— To wiem bardzo dobrze! Oznaczają one „druzgocąca ręka”, imię wielkiego, białego myśliwego, który jest przyjacielem sławnego wodza Apaczów, Winnetou! Blade twarze nazywają go Old Shatterhand. Nasz ojciec walczył raz u jego boku przeciw Komanczom i wypalił z nim kalumet pokoju o dozgonnej przyjaźni. Gdzie słyszałeś te słowa?

— Vete-ya wykrzyknął je, gdy mu zdruzgotałem dłoń kulą.

— Uczyniłeś zatem tak, jak zwykł czynić Old Shatterhand. On nie zabija żadnego wroga, jeśli może unieszkodliwić go tylko raniąc. Jego kule nie chybają nigdy! Posyła je albo ze swojej szosz-sesteh*, którą potrafi władać tylko bardzo silny człowiek, albo z krótkiego karabinu, który ma tyle kul, że można z niego strzelać bez...

Przerwał, nie wypowiedziawszy ostatniego słowa, obrzucił mnie spojrzeniem od stóp do głów i zawołał, zwracając się do swego rodzeństwa:

— Uff! Moje oczy były ślepe! Ten biały wojownik trafił naszego wroga z tak wielkiej odległości! Przypatrzcie się ciężkiej rusznicy w jego ręce! A tam, gdzie stał przedtem, leży jego drugi karabin, którym roztrzaskał rękę Vete-ya. Wódz nazwał go „Tave-szala”. Mój młodszy bracie i moja starsza siostrzo odstąpcie z szacunkiem, gdyż stoimy przed wielkim

* Starsza siostra

* Niedźwiedziówka

wojownikiem; nasz ojciec, który przecież jest wielkim bohaterem, powiedział, że on nawet nie może się z nim porównać!

— To prawda, nazywają mnie Old Shatterhandem. Jesteście dziećmi mojego dzielnego i sławnego przyjaciela. Serce moje cieszy się, że mogłem na czas przybyć i odpędzić waszego wroga! Zraniłem go ciężko w prawą rękę, nigdy już nie będzie mógł ująć nią toporu wojennego. Chodźcie teraz do koni!

Koń zabitego Gaty-ya stał w pobliżu mojego. Na ziemi leżał sztucer Henry'ego, obydwie jednorurki i pistolet. Zauważyłem, że moja kula przeszła naprzód przez rękojeść pistoletu, a potem dopiero, już spłaszczona, utkwiała w dłoni Indianina, skutkiem tego rana musiała być daleko niebezpieczniejsza i boleśniejsza, niż gdyby ręka została bezpośrednio przebita. Obie jednorurki należały do Indian. Biały pożyczył Małym Ustom karabin i otrzymał na ten czas jego strzelbę. Zdobycz należała do mnie. Podarowałem chłopcom obie strzelby, a starszemu także pistolet. Promienieli z radości, gdyż chłopiec indiański niełatwo otrzymuje broń palną; podarunki jednak przyjęli milcząco, gdyż czerwonoskóry musi umieć panować nie tylko nad bólem, lecz także nad radością. Piękny zaś wierzchowiec Gaty-ya dostał się ich siostrze.

Zawartość toreb przy zabitych koniach trojga Indian była nienaruszona, napastnicy nie odważyli się bowiem zbliżyć do skał, ponieważ tam dosięgłyby ich strzały chłopców. Siodła, uzdy i inne rzeczy, które uratowani Indianie mieli ze sobą, zostały zabrane na nasze konie.

Następnie musieliśmy wejść na górę, gdyż chciałem obejrzeć Gaty-ya. Squaw została na straży przy koniach.

— Uff, uff! — zawołali obydwoj chłopcy, spojrzawszy na głowę zastrzelonego. Moje obydwie kule przebiły mu skroń; wobec tej odległości był to jedynie przypadek, lecz później rozgłaszano go przy wszystkich ogniskach obozowych jako jedno z moich arcydzieł.

Wszystko, co znaleźliśmy przy zabitym, mogli chłopcy zabrać dla siebie. Trupa zostawiliśmy tak, jak leżał. Następnie zeszliśmy ze skały i ruszyliśmy spiesźnie w dalszą drogę.

Pośpiech nasz miał dwa powody: po pierwsze nic nas już tutaj nie zatrzymywało, a po drugie należało się spodziewać, że obydwoj zbiegowie powrócą, ażeby poszukać Gaty-ya. Vete-ya przypuszczał najprawdopodobniej, że syn jego spostrzegł mnie i że się schronił w jakieś bezpieczne miejsce. W każdym razie czekał zapewne na niego. Nie mogąc się doczekać, sądziłem, wróci do kotliny, znajdzie ciało, a wtedy pójdzie moim tropem, nieubłagany śmiertelny wróg!

Naturalnie miałem wielką ochotę wiedzieć, kim był ów biały towarzysz Indian. Dwururka należała do niego. Obejrzałem ją więc dokładnie i wykryłem dwie litery wycięte u spodu kolby, mianowicie: R. W. Pierwsza litera była zapewne początkową imienia białego, druga początkową nazwiska. Natychmiast przyszło mi na myśl nazwisko Weller. Tak przecież nazywał się ojciec stewarda. Przedwczoraj wieczorem rozmawiał z Meltonem w towarzystwie jakiegoś wodza indiańskiego. To przecież zgadzało się doskonale! Owym wodzem był bez wątpienia Vete-ya, a jego biały towarzysz, to właśnie ów nieznajomy z przedwczoraj, który mówił do Meltona „bracie”. Zapewne i Gaty-ya był z nimi. Okoliczność, że się dzisiaj tutaj na nich natknąłem, nie dziwiła mnie wcale, gdyż dolina 1.rzała w kierunku hacjendy del Arroyo. Jeżeli przypuszczałem słusznie, to należało się spodziewać, że w pobliżu znajduje się gromada wojowników Jumów, którą obydwoj zbiegowie mogli sprowadzić nam na karki. Należało zatem, nie zwlekając, opuścić dolinę, ażeby jak najprędzej postać się do hacjendy.

Indianie zdecydowali się towarzyszyć mi do hacjendy, chociaż nie leżała na ich drodze, spodziewali się bowiem dostać tam jeszcze dwa konie, które im były niezbędne. Squaw dosiadła konia, którego jej podarowałem, ja jechałem na moim zwierzęciu, chłopcy musieli iść pieszo. Byłbym im chętnie odstąpił swojego konia, gdyby to się dało pogodzić z „godnością Old Shatterhanda”. Im również nie przyszłoby do głowy, nawet we śnie, przyjąć taką propozycję.

Jechałem na przedzie, oni postępowali za mną w pewnym oddaleniu. Byłoby mi przyjemniej z nimi rozmawiać; jednakże psychika i obyczaje czerwonych absolutnie wykluczały fakt, ażeby wojownik tej miary, co ja, gwarzył z chłopcami. Wszyscy Mimbreniowie załamałoby ze zdumienia ręce, gdyby się o tym dowiedzieli.

W Ures nie chciano mnie zapewne odstraszać, dlatego powiedziano, że do hacjendy jest dzień drogi, tymczasem dopiero dzisiaj, to jest drugiego dnia po południu, zobaczyliśmy przed sobą owe lesiste góry, które mi opisano. Wjechaliśmy w las.

Na dwie godziny przed wieczorem dojechaliśmy do jeziora leżącego u krańca doliny gęsto okrytej lasem, a niebawem ujrzelśmy rozległe, bujne łąki porośnięte tu i ówdzie kwiecistymi krzakami. Po pewnym czasie łąki ustąpiły miejsca polom uprawnym. Wkrótce ujrzelśmy ogromny sad, w którym znajdowały się prawie wszystkie drzewa owocowe Europy i Ameryki, na widok ich zdriczenia i vegetacji po prostu żal chwycił za serce. Skoro przejechaliśmy przez ten ogród, zobaczyliśmy wreszcie leżące przed nami zabudowania hacjendy otoczonej murem.

W chwili naszego przybycia brama była otwarta na oścież, więc nic nam nie przeszkadzało dostać się na dziedziniec. Pomimo budynków czynił on wrażenie pustkowie. Nie zauważyliśmy na podwórzu żywej duszy.

Zsiadliśmy z siodeł. Jeden z chłopców przytrzymał mojego konia, ja zaś zwróciłem się ku domostwu. W chwili gdy przechodziłem przez most, otwarto się drzwi domu i ukazał się w nich człowiek, którego nabrzmiała i ospowata twarz nie budziła we mnie zachwyty. Człowiek ten spojrzał na mnie z góry i krzyknął:

— Stój! Przez most wolno przechodzić tylko caballeros! Czego chcesz?

Pomimo tych słów szedłem dalej. Gdy miałem już most poza sobą i stanąłem przednim, odpowiedziałem:

— Czy senior Timoteo Pruchillo jest w domu?

— Jest.

— Więc zapewne można się z nim widzieć?

— Nie, z takimi rozbójnikami don nie rozmawia. A teraz precz stąd!

— Dobrze, senior, odchodzę! Nie wiedziałem, że posiadam twarz rozbójnika, a senior Melton, który przyrzekł mi miejsce buchaltera w hacjendzie, nie przypuszczał chyba, że będzie to dla was tak niebezpieczne!

Odwrociłem się i powoli wracałem mostem. On zaś zawołał za mną:

— Senior Melton? Buchalter? Czy dobrze słyszę? Więc gdzie pan idzie?! Zostań, senior, przecież! Chodź pan, chodź pan!

Mimo to szedłem dalej, pobiegł za mną, chwycił mnie za ramię, zatrzymał i zapewniał:

— Jeśli pana posyła senior Melton, to nie wolno mi pana odprawić z kwitkiem.

— Czy pańskie zaproszenie odnosi się także do moich towarzyszy?

— Na to pytanie nie mogę jeszcze odpowiedzieć, ponieważ muszę przedtem zapytać o to don Timotea.

Podczas rozmowy zawróciliśmy ku domowi, teraz staliśmy przed drzwiami. Majordomus chciał wejść do środka, a mnie zostawić na dziedzińcu. Tego było przecież za wiele! Potrząsnąłem głową i odparłem:

— Nie należę do ludzi, którym się każe wyczekiwać przed drzwiami. Idę z panem do środka, a nawet pozwoli mi pan wejść pierwszemu!

Otworzyłem drzwi, on postąpił za mną, nie mówiąc słowa. Gdy obejrzałem się, wyczytałem w jego obliczu wyraz gniewu i zakłopotania.

Znaleźliśmy się w niskiej, lecz szerokiej sieni. Po obydwu jej stronach zobaczyłem drzwi zbite z białych, oheblowanych desek, bez śladu malowania. Proste drzwi stajenne, według naszych pojęć. Majordomus wskazał jedno z nich i zniknął za nimi, po chwili wrócił i dał mi do zrozumienia poruszeniem ręki, że mogę wejść.

Pokój, do którego prowadziły drzwi, wykazywał w umeblowaniu taką samą niewybredność jak sień. Posiadał dwa bardzo małe okna, tkwiły w nich szyby zabrudzone, jedyne zresztą, jakie znajdowały się w tym domu. Przy jednej ze ścian stał stół powleczoney pokostem i trzy krzesła grubo ciosane. W kącie wisiał hamak. Ściany były bielone wapnem, trzy z nich zupełnie puste, na czwartej wisiała broń różnego gatunku.

O ile urządzenie pokoju było więcej niż skromne, o tyle strój człowieka, który podniósł się przy moim wejściu i obserwował mnie ciemnymi oczami na poły ze zdziwieniem, na poły z ciekawością, po prostu mnie olśnił. Hacjendero był ubrany tak wykwinicie, że wystarczyłoby mu tylko wsiąść na konia, ażeby móc pokazać się w sławnych alejach spacerowych stolicy Meksyku,

Odzienie jego, skrojone z ciemnego aksamitu, zdobiły na wszystkich szwach złote taśmy i frędzle. Spoza pasa, okrytego całkowicie szerokimi srebrnymi pierścieniami, wyglądały rękojeści noża i pistoletów — roboty drogiej i kunsztownej. Szeroki kapelusz, leżący przy nim na stole, był spleciony z najdelikatniejszych liści palmowych, a wreszcie ostrogi na stopach hacjendera posiadały kółka zrobione ze złotych dwudziestodolarówek.

Oczywiście, że wobec tak imponującego indywiduum musiałem wyglądać jak wagabunda. Dlatego nie zdziwiłem się wcale, gdy hacjendero pogładziwszy białą brodę wypielęgowaną ręką i ściągawszy brwi, odezwał się, jakby nie do mnie, lecz do siebie, z wielkim zdziwieniem:

— Zameldowano mi tenedora de libros, a oto... któż to wchodzi? Człowiek, który...

— Który potrafi godnie piastować to stanowisko, don Timoteo — dokończyłem.

Jego napuchnięty senior Adolfo mógł popisywać się grubiaństwem, nie obrażając mnie, czy miałem jednak pozwolić, ażeby właściciel hacjendy był dla mnie również niegrzeczny? Dlatego wypowiedziałem te słowa dość ostro i z naciskiem. Don Timoteo odrzucił głowę wstecz z udanym przestraszonym i uśmiechnął się kpiąco:

— Ach, jest się obrażalskim! Kim jest się więc właściwie? — zwrócił się do mnie bezosobowo.

— Jest się kimś, o czym pan nie ma nawet pojęcia, don Timoteo — odpowiedziałem z takim samym uśmiechem, jaki on mi zademonstrował. Podałem mu legitymację, którą kazałem sobie wystawić meksykańskiemu konsulowi w San Francisco. Skoro ją przeczytał i oddał mi, zniknął humorystyczny wyraz z jego oblicza.

— Mam oczywiście uznać, że pan jest prawnym posiadaczem tej legitymacji? — zapytał.

— Naturalnie! Niech pan porówna łaskawie moją osobę z rysopisem!

— Zauważyłem już, że się zgadza, senior! Ale co pana do mnie sprowadza? Dlaczego kazał się pan zameldować jako mój buchalter?

— Ponieważ Melton zapewnił mi to miejsce.

— O tym nic nie wiem! Przecież ja nie potrzebuję żadnego buchaltera. Te kilka kropel atramentu, które się tutaj zużywa, wypisuję sam, własną ręką i własnym piórem.

— Ja też tak sądziłem.

— A mimo to przyszedł pan do mnie?

— Mimo to, a mianowicie z pewnego, bardzo ważnego powodu. Przede wszystkim muszę pana prosić, ażeby pan zachował w najgłębszej tajemnicy wszystko, co panu teraz powiem.

— Senior, to brzmi całkiem tak, jakby mi groziło jakieś niebezpieczeństwo!

— Jestem rzeczywiście przekonany, że się zanoszą na coś podobnego!

— Więc mów pan, proszę, prędko!

— Najpierw pańskie słowo, że o tym, co panu powiem, nie dowie się nikt, przynajmniej w najbliższym czasie.

— Ręczę moim parolem caballera! Niech pan mówi!

Usadowił się wygodnie na swoim krześle z wyrazem wielkiego zaciekawienia, ja zaś opowiedziałem mu, co przeżyłem w Guaymie i w drodze do hacjendy, jakie poczyniłem

spostrzeżenia i co z tego wszystkiego wywnioskowałem. Hacjendero przysłuchiwał się nie drgnąwszy nawet powieką i nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Natomiast, gdy skończyłem, zaśmiał się ironicznie i zapytał, patrząc niedowierzająco spode łba:

— Pan mi opowiada prawdziwe fakty?

— Szczerą prawdę!

— Z legitymacji, którą mi senior pokazał, dowiedziałem się, że pan pisał czy też miał pisać sprawozdania do gazety.

— Tak!

Na to zerwał się z krzesła i zawołał, śmiejąc się głośno:

— Zaraz to sobie pomyślałem! Nie może być przecież inaczej! Taki, gazeciarz widzi wszędzie rzeczy, które istnieją tylko w jego fantazji! Melton najlepszy, najszacowniejszy, ba, nawet najpobożniejszy caballero, jakiego znam. Melton ma być łotrem! To rzeczywiście może twierdzić tylko człowiek, który żyje w niedościgłych dla zwykłych śmiertelników zaświatach! Senior, pan mnie bawi! Zgotował mi pan wspaniałą rozrywkę!

Chodził po pokoju tam i z powrotem, zanosząc się od śmiechu. Zaczekałem, aż się nieco uspokoi, i powiedziałem obojętnie:

— Nie mam nic przeciwko temu, że pana moje opowiadanie tak bawi, i tylko życzę seniorowi, żeby chwilowa wesołość nie przyniosła mu później gorzkiego rozczarowania!

— Nie ma obawy, nie troszcz się o mnie, senior! Pan widzi niebezpieczne słonie tam, gdzie nie ma nawet nieszkodliwej muchy!

— A jednak ów Weller...

— Nazywa się Weller i jest stewardem na statku, nic więcej!

— A jego rozmowa z mormonem?

— Źle pan słyszał. Pańska fantazja nieziemskie ma uszy!

— A jego ojciec, z którym Melton rozmawiał w zaroślach?

— Istnieje również w pańskiej wyobraźni. Przecież senior tylko przypuszcza, że to jest starszy Weller!

— A obecność wodza indiańskiego?

— Okaże się zupełnie zwykłym przypadkiem!

— Na koniec moje spotkanie z wodzem Jumów i z białym, którego karabin był oznaczony inicjałem R. W.?

— Nic a nic mnie to nie obchodzi. Tysiące nazwisk zaczyna się na literę „w”.

Przypuszczałem, że imię Old Shatterhand nie było znane hacjenderowi, dlatego nie wymieniłem go podczas opowiadania. Teraz, skoro zostałem po prostu wyśmiany, nie przyszło mi oczywiście na myśl próbować jeszcze tego środka, gdyż byłem pewien, że nawet wtedy by nie uwierzył. Pruchillo był fizycznie okazałym, lecz duchowo bardzo przeciętnym człowiekiem, moje zupełnie logiczne wnioski wydawały mu się grą imaginacji. Widziałem, że nie uda mi się zachwiać jego zaufania do Meltona i że dopiero fakty, które odczuje na własnej skórze, przekonają go o słuszności moich przypuszczeń; wobec tego zrezygnowałem z wszelkich dalszych przedkładań i ponowiłem tylko moją prośbę o zachowanie tajemnicy, na co hacjendero odpowiedział, śmiejąc się znowu:

— Co do tego, to może pan być spokojny, gdyż nie mam ochoty narażać się na wyśmianie! Senior Melton musiałby mnie uważać za szalonego, gdybym mu zaczął opowiadać takie brednie. Będę więc milczał! Tylko o jednym muszę z panem pomówić. Jak się przedstawia sprawa z pańskim stanowiskiem buchaltera? Czy Melton przyrzekł je panu rzeczywiście?

— Tak!

— Niemożliwe, nie do wiary po prostu! On wie przecież równie dobrze, jak ja, że nie potrzeba mi żadnego buchaltera.

— Wobec tego miał tylko zamiar tutaj mnie zwabić!

— Po co? Co miałby pan tu robić?!

— Czy ja wiem?

— Otóż to! Pan twierdzi tylko, ale nie wie nic pewnego. Przypuszczam, że ten buchalter istnieje także tylko w pańskiej wyobraźni!

— Więc pan uważa mnie za obłąkańca, don Timoteo?!

— No, za obłąkańca pana nie uważam, ale to pewne, że któreś kółko w mechanizmie pańskiej głowy obraca się prędzej niż powinno; radzę panu dać się zbadać w jakimś zakładzie leczniczym: może jest jeszcze czas uratować pozostałe kółka!

— Dziękuję, don Timoteo! Rzecz naturalna, że jedna głowa pracuje prędzej niż druga i wobec tego może zajść sytuacja, że posiadacz drugiej głowy zarzuci posiadaczowi pierwszej nadmiar fantazji, a pierwszy drugiemu zbytnią powolność myślenia. Ze stanowiska buchaltera rezygnuję, w ogóle od samego początku nie miałem zamiaru zgodzić się na nie!

— To mnie cieszy, senior, gdyż wnoszę z tego, co pan mówi o powolności myślenia, że nie byłby pan dla mnie odpowiednim pracownikiem. Kiedy pan odjeżdża?

— Za pańskim pozwoleniem, jutro rano.

— O, pozwolenie daję panu już dzisiaj, natychmiast!

— To znaczy, że mnie pan wyrzuca za bramę?

— Nie tylko za bramę, ale poza granice moich włości!

Pruchillo klasnął w dłonie, majordomus ukazał się tak szybko, że musiał chyba stać za drzwiami i podsłuchiwać naszą rozmowę. Pruchillo polecił mu, ażeby kazał nas odprowadzić poza granicę posiadłości, zatrzymując jednak mojego konia. Skoro opuściliśmy pokój i znaleźliśmy się znowu na podwórzu, zaśmiał się senior Adolfo ordynarnie:

— Więc nic z *tenedora de libros*?! Jesteś tym, za co cię uważałem od początku, mianowicie waga...

— A tyś najokazalszym osłem, jakiego kiedykolwiek widziałem — przerwałem mu — za swoje przyjacielskie *hablarle de tu** musisz otrzymać nagrodę. Masz ją tutaj!

Wymierzyłem mu potężny policzek, naprzód z lewej strony, tak że zatoczył się na prawo, a potem z prawej, dwakroć silniejszy, tak że runął na ziemię. Może nie byłbym tego uczynił, gdyby hacjendero nie stanął w otwartym oknie, ażeby widzieć mój odjazd. Słyszał z pewnością obelżywe słowa majordomusa, dlatego chciałem, ażeby moja odpowiedź uczyniła na nim odpowiednie wrażenie. Senior Adolfo zerwał się szybko, wyciągnął nóż, który w tych okolicach każdy nosi przy sobie i rzucił się na mnie rycząc:

— Drabie! Obdartusie! Na coś ty się ważył! Musisz za to odpokutować!

Odparowałem z łatwością jego pchnięcie, wytrącając mu nóż z ręki, następnie chwyciłem go za biodra, podniosłem i wrzuciłem do strumyka. Chociaż woda przykryła go, potok nie był tak głęboki, aby majordomus mógł się utopić. Ukazał się prędko znowu i wyszedł na brzeg, kaszląc i prychając. Byłby mnie może zaczepił raz jeszcze, gdyby nie przeszkodziło temu ukazanie się osoby, której się tutaj bynajmniej w tej chwili nie spodziewałem.

Gdy rzuciłem majordomusa do strumienia, musiałem obrócić się twarzą ku wejściu. Brama stała jeszcze otworem a przez nią wjeżdżał... Melton! Widząc co się stało, popędził konia, zeskoczył przy nas na ziemię i zawołał:

— Co się tu dzieje? Bijatyka, jak widzę? To z pewnością nieporozumienie? Spokoju, rozwagi, na Boga!

Ostatnie wezwanie tyczyło majordomusa; potem zwrócił się do mnie:

— Szukaliśmy seniora, na próżno. Jak pan tu się dostał?

— W najprostszym sposób! Jak pan wie, koń mnie poniósł i przybiegł aż tutaj!

— To dziwne! Będzie mi senior musiał później opowiedzieć o tej osobliwej jeździe!

— Na to nie ma czasu, muszę odjeżdżać, wypędzono mnie!

— A pan z wdzięczności wrzuca ludzi do wody?!

* Tykanie, traktowanie per „ty”

— Oczywiście! Jest to moja właściwość, od której nie mogę się absolutnie uwolnić!

— Muszę wiedzieć, co tu zaszło, wtedy wszystko się wyjaśni! Niech pan zaczeka, aż się rozmówię z hacjenderem. Niech pan jeszcze zostanie, powrócę w tej chwili!

Wszedł do domu. Mokry majordomus pokulał za nim, nie rzuciwszy na mnie ani jednego spojrzenia.

Jak miałem postąpić, zostać czy też pójść? Byłem stanowczo zdecydowany opuścić hacjendę, a równocześnie ciekaw, w jaki sposób mormon będzie usiłował mnie zatrzymać. Nie wyruszyłem więc natychmiast, lecz poszedłem do konia, ażeby odwiązać od siodła paczkę z nowym ubraniem. Następnie zdjąłem strzelby, które wisiały na łąku siodła i objaśniłem moich Indian:

— Moi młodzi bracia i moja siostra widzieli, że mnie przyjęto nieżyczliwie. Pójdziemy zatem i będziemy tej nocy spać w lesie!

— Kim jest ów jeździec, który teraz przybył i rozmawiał z Old Shatterhandem? — spytał starszy z braci.

— Przyjaciół Vete-ya, człowiek zły, przed którym musimy się mieć na baczności — odpowiedziałem.

Podczas rozmowy obładowaliśmy konia Indianki naszymi pakunkami, zostaliśmy więc skazani wszyscy czworo na pieszą wędrówkę. W tej, chwili właśnie wyszedł z domu mormon i zbliżywszy się spieszenie do nas, oświadczył:

— Senior, sprawa jest załatwiona! Zostanie pan w hacjendzie.

— Jak to?

— Don Timoteo, który dotychczas rzeczywiście nie potrzebował buchaltera, nie pomyślał o tym, że po przybyciu takiej ilości robotników nie da sobie rady bez odpowiedniej pomocy. Więc chodź pan, do niego z powrotem! Będzie senior przyjęty i wolno panu tutaj zostać!

— Tak? Więc wolno mi, wolno?! To wyrażenie jest fałszywe. Nie idzie o to, czy mi wolno, tylko o to, czy ja chcę!

— Niech i tak będzie. Ale pan z pewnością zechce!

— Nie, wręcz przeciwnie! Widzi pan, że jesteśmy przygotowani do drogi.

— Nie rób, senior, głupstwa! — ostrzegwał gorączkowo. — Pan wie, w jakim beznadziejnym położeniu się znajduje. Tutaj czeka pana przyszłość, którą można nazwać wspania...

— Proszę tylko bez frazesów! — przerwałem. — Wiem, co mam o tym myśleć!

— Przypuszczam, że jest senior przekonany o moich uczciwych zamiarach względem pana! Jeśli pan zostanie, to będą mogli również zostać pańscy towarzysze, na których przecież także musi mieć pan wzgląd!

— Więc pan myśli, że przyjmę posadę na lata całe po to, ażeby dać im przytułek na jedną jedyną noc? To już chyba nadmiar naiwności!

— Senior, mówi pan w gniewie, a gniew oślepia! Niech pan pomyśli o swoich współziomkach! Wyjechałem naprzód, ażeby zawiadomić hacjendera o ich przybyciu; oni wszyscy polubili pana bardzo i niepokoją się o pański los.

W ten sposób wyszukiwał najrozmaitsze powody, jakie tylko wydawały mu się odpowiednie do zatrzymania mnie, ale na próżno. Gdy się wreszcie przekonał, że jestem niewzruszony, uderzył w ton gniewu:

— Dobrze więc, jeśli pan chce koniecznie zdeptać nogami swoją dolę, to nie mam nic przeciwko temu, ale w każdym razie jest to po prostu bezgraniczna niewdzięczność z pańskiej strony względem mnie! Zająłem się seniorem i przewiozłem go za darmo aż tutaj, a pan teraz, gdy chcę widzieć owoce mojej dobroci, odchodzi sobie, jak gdyby mi nic nie zawdzięczał!

Zapytałem go zimno i obojętnie:

— Czy senior chce mnie zmusić do przyjęcia tego tak zwanego szczęścia?

— Nie! Mam tego dosyć! Może pan wynosić się do stu diabłów. Skoro jednak pan nie pozostaje, to będę mu towarzyszył kawałek drogi.

— Dlaczego?

— Hacjendero oświadczył, że jeśli pan nie zostaje, to on nie ścierpi pana na swoim gruncie. Chciał przecież rozkazać parobkom, ażeby seniora wyprowadzili za granicę jego posiadłości. Ponieważ jednak już raz się panem zająłem, więc chcę ustrzec pana od tej hańby i sam będę seniorowi towarzyszył. Mam nadzieję, że przynajmniej przeciw temu nic pan nie ma!

— Zupełnie nic, przeciwnie, jestem uradowany zaszczytem, jaki mi senior sprawia! Zna pan więc okolicę tak dokładnie? Nawet granicę obszaru należącego do hacjendy?

— Znajdę granicę w ciemności!

— Najprawdopodobniej będzie też ciemno, zanim ją osiągniemy. Zmierzcha już gwałtownie. Nie zwlekajmy więc z wyruszeniem!

Melton podszedł do swego konia, stojącego jeszcze przy moście i wsiadł nań, nie przeczuwając, że go przejrzał. Nie bez celu pytałem go, czy zna granicę. Skoro tak, to był na pewno dobrze obznajomiony z całą okolicą i nawet po omacku mógł znaleźć miejsce sprzyjające jego zamiarom.

Jakież to były zamiary? Teraz przypuszczenia moje nabrały pewności. Mormon wiedział, kim byłem, i czuł przede mną obawę. Był przekonany, że jego plan względem emigrantów mogłem, jeśli nie zniweczyć, to przynajmniej znacznie utrudnić. Wziął mnie ze sobą, ażeby mieć na oku i przy odpowiedniej sposobności postarać się, ażebym „zniknął”! Ponieważ nie chciałem zostać w hacjendzie, musiał działać spiesznie. A sposobność do działania miał jedynie podczas drogi z hacjendy do granicy posiadłości Pruchilla; teraz musiało się rozstrzygnąć.

Życie moje zawisło na włosku i wyruszyłem w przekonaniu, że śmierć będzie szła krok w krok za mną.

Opuściliśmy hacjendę i Melton poprowadził nas wzdłuż strumienia, w kierunku przeciwnym jego biegowi.

Jechał tak wolno, że mogłem iść obok niego, trzymając rękę na grzbiecie konia. Znajdowałem się nieco poza nim i mogłem go bacznie obserwować. Nie mówiliśmy ani słowa. Indianie szli za nami, prowadząc objuczzonego konia.

Ściemniało się bardzo prędko i niebawem zapadła noc. Minęliśmy już dawno otwarte łąki, a strumień wił się pomiędzy zaroślami; w miarę jak szliśmy, coraz gęściej sterczały drzewa. A więc zbliżaliśmy się znowu do lasu, wobec tego przewidywałem, że już niedługo wypadnie nam czekać na rozstrzygającą chwilę.

Jak przypuszczałem, tak się stało. Po krótkim czasie ujrzeliśmy róg lasu. Strumień zwracał się na prawo, skraj lasu biegł, jak się zdawało, w prostej linii, wzdłuż niego ciągnął się niezbyt wąski pas otwartej łąki.

— Tutaj! — pomyślałem sobie. — Każe nam iść wzdłuż lasu, sam się wróci, po chwili zsiądzie, przywiąże konia do najbliższego drzewa i wyprzedziwszy nas, zaczął u brzegu gęstego lasu.

Zaledwie to pomyślałem, mormon zatrzymał konia, wskazał ręką przed siebie i powiedział:

— Wracam! Pogardził pan szczęściem i jestem przekonany, że ono opuściło pana na zawsze!

— Niepotrzebne mi pańskie względy! Dowie się senior wkrótce, że lepiej liczyć tylko na siebie samego!

— Nie zależy mi na tym, żeby kiedykolwiek usłyszeć o panu! Zawrócił konia i ruszył z powrotem. Skoro poszliśmy dalej, objaśniłem po cichu moich towarzyszy.

— Ten człowiek wejdzie teraz w las, ażeby nas wyprzedzić. Chce mnie zastrzelić. Ja jednak udowodnię mu, że z Old Shatterhandem nie można żartować! Niech moi bracia nie idą

brzegiem lasu, lecz niech się trzymają lewej strony tak, aby nie mógł rozpoznać, że mnie nie ma z wami. Weźcie także moje strzelby, żeby mi nie przeszkadzały. Jeśli was zaraz nie zawołam, idźcie aż na miejsce, które nam Melton opisał i czekajcie tam na mnie!

Słowa moje były dla nich oczywiście wielką niespodzianką, jednakże przyjęli ją w milczeniu i wzięwszy karabiny, poszli powoli we wskazanym przeze mnie kierunku, podczas gdy ja, trzymając się blisko drzew, śpieszyłem jak mogłem, ażeby wyprzedzić Meltona.

Szedłem prędko.

Tymczasem zajaśniały na niebie gwiazdy, mogłem teraz widzieć na odległość mniej więcej trzydziestu kroków. Po dziesięciu minutach drogi zauważyłem ostry występ lasu, jakby wąski półwysp wcinający się w łąkę, gęste liściaste drzewa i krzaki zapewniały wysmienitą kryjówkę. Jeżeli w ogóle nie pomyliłem się co do zamiarów Meltona, to było pewne, że zechce je wykonać w tym właśnie miejscu. Tu można się było ukryć, a my musieliśmy przechodzić tak blisko zagajnika, że kula mormona nie mogłaby chybić. Przeszukałem zarośla i z łatwością znalazłem dogodną kryjówkę, z której można było śledzić otoczenie. Stanowisko to musiał wybrać Melton, jeśli nie chciał chybić. Wpełznąłem więc pod pobliski krzak; zakrywał mnie całkowicie, a był tak giętki i elastyczny, że nie obawiałem się zdradzieckiego szelestu, gdybym został zmuszony do nieprzewidzianych poruszeń.

Gdy się usadowiłem w krzakach wygodnie, przyłożyłem ucho do ziemi i nasłuchiwałem. Przyjdzie czy nie? Czuję, jak wzrasta we mnie napięcie oczekiwania. Naraz posłyszałem kroki i szelest gałęzi, które nadchodzący potraçał, gdy potykał się o wystające korzenie, zahaczał o sękaty pnie, nie mogąc ich rozróżnić dokładnie w ciemności nocy. Zbliżał się szybko. Już słyszałem jego głośny oddech, widocznie pośpiech rozdał mu płuca. Teraz skręcił ku mnie, precyzyjnie się szybko przez krzaki i stanąwszy pod ostatnim drzewem, wystawił głowę, nasłuchując.

— Oh haga! — zaklął półgłosem z angielska. — Niech to diabli porwą! Oddycham tak głośno, że nie mogę słyszeć nic innego! Chyba ten łotr nie przeszedł jeszcze? Niemożliwe! Biegłem jak szalony, a oni idą powoli. Ale cicho. Zdaje mi się, że nadchodzą!

Przyklęknął na prawe kolano, na lewym oparł łokieć i przyłożył strzelbę do oka. Widziałem go pewnie i wyraźnie, gdyż klęczał przed wyrwą w gałęziach, przez którą się wkradało światło gwiazd. Przypuszczałem, że się usadowi bardziej na lewo, musiałem więc podpełznąć nieco ku niemu. Nie przyszło mi to z trudem, gdyż całą jego uwagę do tego stopnia pochłonął skraj lasu, że nie mógł słyszeć lekkiego szelestu, jaki wywołałem.

Teraz posłyszałem i ja, że Indianie nadchodzą.

— Do kata! — szeptał mormon. — Te psy trzymają się dalej, niż myślałem. Trzeba dobrze celować!

Nie dziwiłem się wcale, że Melton mówił do siebie. Wiedziałem z własnego doświadczenia, że im bardziej człowiek jest podniecony, tym chętniej na głos wypowiada swe myśli. Mormon składał się kilkakrotnie dla próby. Gdy poczuł się już pewnie, wymierzył ostatecznie. Teraz musiałem działać, gdyż mógł wziąć którego z chłopców za mnie i zastrzelić. Szybko poderwałem się z ziemi i chwyciwszy go za szyję, przewróciłem. Melton wydał okrzyk przestachu i wypuścił z rąk strzelbę. Ponieważ leżał na wznak, twarzą zwrócony do mnie, więc przycisnąłem mu kolanem klatkę piersiową. Wtedy złapał mnie za szyję i zaczął z wielką zaciętością dusić. Szybko chwyciłem przeguby jego rąk, próbując oderwać je od mojej szyi. Tchu zaczynało mi brakować. Wzmocniłem uchwyt i usłyszałem najpierw słaby trzask pękającej kości u jednej ręki, a następnie głośniejszy w drugiej. Wyraz dogłębnego bólu odmalował się na jego brzydkiej twarzy, gdy cicho wysyczał:

— Moi bracia odpłacą ci za to w dwójnasób.

— Czyżby — odpowiedziałem. — Lepiej milcz i proś Boga o przebaczenie za swe nieczne postęпки.

Następnie wyciągnąłem z kieszeni rzemienie i skrępowąłem nimi Meltona. Leżał potulnie jak baranek. Obserwowałem go uważnie, gdyż wiedziałem, że na pewno coś knuje, mimo że swoich zamiarów nie będzie zdolny wprowadzić w czyn.

Wtedy cicho zawołałem na mijającą nas trójkę Indian. Powiedziałem, że się udało i mogą spokojnie podejść.

Gdy się zbliżyli, rzekłem:

— Oto ten, który nie ma własnego oblicza. Swoje czyny objawia tylko nocą. Myśli, że jest chytry i przebiegły, ale Old Shatterhanda nie wyprowadził w pole. A teraz musimy pomyśleć o was, jak postąpić, abyście szybko mogli dotrzeć do swych braci. Potrzebne będą konie, i to trzy. Ja wracam do hacjendy, a wy pilnujcie jeńca.

— Old Shatterhand może liczyć na nas — zapewnił starszy chłopiec. — Spełnimy jego rozkaz, chociaż smuci nas to, że on idzie sam do hacjendy!

— Mój sławny biały brat mówi przez to, że uważa nas za niedoświadczonych chłopców, którzy nie potrafią uprowadzić konia.

Znałem na tyle obyczaje i zapatrywania Indian, ażeby zrozumieć, że ci młodzi ludzie czuli się pokrzywdzeni. Obecne okoliczności zmuszały mnie wejść w ściślejszy kontakt ze szczeniem Mimbreniów, wobec tego uważałem za korzystne okazać im zaufanie. Dlatego odpowiedziałem:

— Widziałem, jak dzielnie broniliście się przed wrogami, i uważam was za odważnych młodzieńców! Nie wątpię, że oprócz odwagi posiadacie także potrzebną zręczność i spryt, dlatego pytam was, czy chcecie podjąć się uprowadzenia koni?

— Chcemy! — zabrzmiała radosna odpowiedź. — Dobrze! Zapewne nie potrzebuję was objaśniać, dokąd macie się udać?

— Nie! Widzieliśmy, gdzie są konie. Będzie bardzo łatwo dwa z nich dostać.

— Dwa? Nam potrzeba trzech!

— Przecież jeniec posiada jednego konia. Będzie musiał powiedzieć, gdzie go ukrył?

— Tego konia nie weźmiemy. Melton jechał na nim od Lobos aż tutaj, zwierzę jest znużone, a na pastwisku możemy znaleźć konie wypoczęte. Idźcie zatem, czekam na was tutaj!

Bracia oddalili się natychmiast, ja zaś pozostałem w trawie obok mormona, który leżał jak martwy. Duma nie pozwoliła mu wypowiedzieć słowa prośby, chociaż bolały go zranione ręce, chwilami oddychał ciężko i chrapliwie.

O moich Indian nie obawiałem się wcale, to co mieli wykonać, było zadaniem łatwym i mogło tylko przez szczególny zbieg okoliczności pociągnąć za sobą trud wielki czy też okazać się niemożliwością. Wtedy wróciliby z niczym. To było wszystko, czego się mogłem obawiać, gdyż nawet mi na myśl nie przyszło, żeby mieli dać się pochwycić. Tak przeszły dwie godziny; wtem, najwyżej o cztery kroki przede mną, wyrosła z ziemi, jakaś postać. Zerwałem się momentalnie, ażeby pochwycić przybysza, opuściłem jednak podniesioną już rękę, gdyż poznałem, że był to starszy z braci.

— Mój brat jest już z powrotem? — rzekłem. — Dlaczego przychodzi tak potajemnie?

— Ażeby pokazać Old Shatterhandowi, że nikt mnie nie zobaczy i nie usłyszy, gdy ja sobie tego nie życzę!

— Twój chód jest niedostłyszalny jak lot motyla, zostaniesz dzielnym wojownikiem. Gdzie twój brat?

— Wyprzedziłem go, ażeby ciebie zapytać, czy jeniec może widzieć przyprowadzone konie?

Zadał pytanie po cichu, ja zaś odrzekłem głośno:

— Niech twój brat przyprowadzi konie! Nie spostrzegł was nikt?

— Pasterze byli ślepi i głusi. Mieliśmy nawet czas wybrać spośród koni te, które nam się najbardziej podobały!

Powiedziawszy to, gwizdnął, natychmiast posłyszałem odgłos kopyt zbliżających się koni. Chłopcy byli nadzwyczaj dumni, że udało się im przyprowadzić konie tak blisko bez zwrócenia mojej uwagi. Obejrzałem je na tyle, na ile oczywiście pozwalała noc, przekonałem się, że konie były niezgorsze, zauważyłem poza tym, że jeden z nich miał siodło. Gdy zagadnąłem starszego z braci, odpowiedział:

— Mój biały brat nie ma siodła, dlatego wyszukaliśmy konia jeńca i zdjeliśmy z niego siodło. Konia puściliśmy wolno, wszak jeńiec nie może go dosiąść i kierować nim zwichniętymi rękami!

Postępek młodych Indian dowodził, że mogłem żądać od nich czynów, których inni w ich wieku nie byliby zdolni wykonać.

— Koniokrad! — zawołał teraz do mnie mormon z pogardą. — Sławny Old Shatterhand nie jest więc niczym innym, tylko zwykłym Opryszkciem!

Nie obraziłem się, przeciwnie, rozwiązałem mu rzemienie i odparłem:

— Macie tu na powrót waszą wolność, master skrytobójca! Zabierajcie się stąd. Dla waszego dobra chciałbym, żebyśmy się już nigdy nie zobaczyli, gdyż jestem przekonany, że spotkanie nasze miałyby złe skutki dla was!

— Raczej dla ciebie! Miej się przede mną na baczności i bądź przeklęty, łotrze!

Rzuciwszy mi te złowieszcze słowa, odszedł spiesźnie. Gdybym go był nie oszczędzał, a wpakował w głowę ołów, byłbym zapobiegł wielu nieszczęściom. Ale czy można zastrzelić człowieka jak dzikie zwierzę?

Osiadaliśmy konie, żeby przede wszystkim opuścić to miejsce, gdzie można się było wkrótce spodziewać niezbyt miłych odwiedzin. Jechaliśmy wprost przed siebie, nie zastanawiając się nad kierunkiem drogi, gdyż umyśliłem pozostać w tej okolicy przez czas dłuższy. Po chwili milczenia zapytałem:

— W jakim czasie dotarliby moi czerwoni bracia do swoich wojowników, gdyby jechali prędko, nie mitrząc czasu?

— Po trzech dniach — odpowiedział starszy.

— Czy Nalgu Mokaszi, wasz ojciec, bawi obecnie wśród swoich wojowników?

— Tak, ucieszy się bardzo, gdy zobaczy Old Shatterhanda.

— Niestety, jednak nie mogę udać się do niego osobiście! Muszę go prosić, aby przybył do mnie.

— Nasz ojciec przybędzie natychmiast, gdyż ma dwa ważne powody ku temu.

— Jakież? — zagadnąłem, chociaż wiedziałem, co odpowie.

— Po pierwsze, palił z Old Shatterhendem fajkę pokoju i straciłby honor, gdyby nie poszedł natychmiast za jego wezwaniem. Drugim powodem będzie zemsta nad wodzem Jumów za napad na nas, który przypłacilibyśmy życiem, gdyby Old Shatterhand nie był nas uratował. Przyjaźń i zemsta będą przyświecały naszemu dzielnemu ojcu w tej wyprawie.

— Więc przypuszczasz, że może stanąć w tej okolicy za sześć dni?

— Tak, trzy dni tam i trzy z powrotem. Ilu wojowników ma przyprowadzić?

— Nie wiem, jaką siłą zgromadzą Jumowie, ale do napadu na osiedle tej wielkości co hacjenda del Arroyo potrzeba mniej więcej stu ludzi, wasi wojownicy powinni im przynajmniej dorównywać liczbą.

— Gdzie mają się spotkać z Old Shatterhendem?

— Nie byłem jeszcze w tej okolicy, więc nie mogę wybrać natychmiast odpowiedniego miejsca. Poszukamy jednak, zanim się rozstaniemy. Poza tym mam jeszcze jedno polecenie. Umówiłem się z moim bratem krwi, wodzem Apaczów Winnetou, że się spotkamy w oznaczonym miejscu, teraz nie mogę się tam stawić punktualnie, bo muszę pozostać w pobliżu hacjendy. Proszę więc twojego ojca, ażeby posłał do Winnetou odpowiedniego posłańca z wyjaśnieniem, dlaczego nie mogę dotrzymać słowa.

— Jeśli mi Old Shatterhand opisz miejsce spotkania, to sławny wódz Apaczów zostanie niezwłocznie zawiadomiony. Mój młodszy brat i nasza siostra niech słuchają także, ażeby mogli naszemu ojcu wszystko dokładnie powtórzyć.

— Oni? Więc ty nie? Dlaczego?

Zwlekał chwilę z odpowiedzią, następnie chrząknął z zakłopotaniem i rzekł:

— Mój młodszy brat i siostra odnajdą nasz szczep, ja jednak zostanę tutaj!

— W jakim celu?

— Chcę odszukać i śledzić wodza Jumów, ażeby później zawiadomić naszych wojowników, gdzie można go znaleźć.

— To wszystko przecież ja biorę na siebie!

— Wiem o tym! Old Shatterhand jest wielkim wojownikiem, a ja chłopcem bez imienia, dlatego muszę postąpić, jak mi Old Shatterhand każe. Jeśli mnie wyśle, to pójdę, ale serce moje będzie bardzo tym zasmucone, gdyż chcę zostać na śladach Vete-ya, dopóki nie zemszczę się na nim. Chcę zdobyć sobie imię. Chcę powrócić do namiotów naszego szczepu jako wojownik!

Mówił nieśmiało, z zażenowaniem. Życzenie jego było rzeczywiście niezwykle, toteż zwlekałem z odpowiedzią.

— Mój sławny biały brat gniewa się na mnie? — dorzucił po chwili. Na to wyciągnąłem do niego rękę i odpowiedziałem:

— Jak mógłbym się gniewać na takiego młodzieńca. Podobasz mi się, a twój ojciec będzie rad, skoro się dowie, że cię zatrzymał. Pozwalam więc, mogę mieć z ciebie wiele pożytku.

Można sobie wyobrazić, z jaką radością przyjął moją zgodę. Nie powiedział jednak ani słowa, bratu młodszemu wyrwało się pełne zachwyty „uff”, a siostra klasnęła wesoło w dłonie.

— Czy jednak twój brat i siostra odnajdą szczęśliwie swój szczep — dowiadywałem się — skoro ciebie przy nich nie będzie? Od tego zależy wiele, a może nawet wszystko!

Na to odpowiedział młodszy Mimbrenio głosem skromnym, lecz pewnym siebie:

— Nic się nam stać nie może, skoro mam strzelbę w rękę, nie boję się żadnego wroga!

W tej chwili natknęliśmy się znowu na strumień; było to więc miejsce, które zalecał. Melton na nocleg. Oczywiście minęliśmy je, nie zatrzymując się wcale. Jechaliśmy aż do północy, gdyż musieliśmy się tak oddalić od miejsca napadu, ażeby ślady nasze zupełnie znikły już następnego ranka.

Nareszcie znaleźliśmy się na terenie skalistym, gdzie kopyta koni nie zostawiały żadnego tropu. Księżyc, który ukazał się na niebie, rozjaśnił ciemności na tyle, że mogliśmy zauważyć las, rozciągający się na północnej stronie horyzontu. Skoro zbliżyliśmy się ku niemu, rozpoznałem na jego Skraju potężne drzewo wyrastające koroną ponad wszystkie inne.

— Uff! — odezwał się starszy brat. — Oto przybyliśmy znowu do znanej okolicy. Jest to las Wielkiego Dębu Życia. Teraz mój brat będzie wiedział dokładnie, jak ma jechać; omylić się nie może absolutnie.

— Dobrze! — odpowiedziałem. — Więc tutaj się rozłączymy, a ten Dąb Życia niech będzie także miejscem naszego spotkania. Po sześciu dniach będę tu oczekiwał waszego ojca i jego wojowników!

Następnie udzieliłem młodszemu bratu jeszcze raz wyczerpującej instrukcji, dokładnie opisałem miejsce, na którym miałem się spotkać z Winnetou, na koniec dałem mu broń, odebraną mormonowi, ażeby ją wręczył ojcu jako podarunek ode mnie.

Wszyscy troje byli zaopatrzeni w suszone mięso. Teraz podzieliliśmy prowianty. Ja i starszy Mimbrenio otrzymaliśmy zapas żywności na dwa dni, co było mi bardzo na rękę, gdyż polowanie mogłoby nas zdradzić i tracilibyśmy na nie tak cenny czas. Po odjeździe naszych gońców położyliśmy się do snu, gdyż nie mogliśmy wiedzieć, czy jutrzejszej nocy znajdziemy czas na spoczynek.

Obudziwszy się następnego poranka, stanęliśmy przed podwójnym zadaniem. Po pierwsze, należało znaleźć obóz Jumów, temu odpowiadała pora dnia; po drugie, chciałem zakraść się do hacjendy, ażeby podpatrzeć, co się dzieje z emigrantami, i o ile będzie to możliwe, rozmówić się z Herkulesem. Dlatego też niecierpliwie oczekiwałem wieczoru.

Aby spełnić pierwsze zadanie, postanowiłem udać się na miejsce, gdzie Vete-ya dokonał napadu na moich towarzyszy.

Na próżno usiłowaliśmy odnaleźć ślady Jumów; dolina była jak gdyby wykrojona w całkowicie gładkiej, twardej skale. Czy nikły trop, który zdradzało parę kamyków poruszonych z miejsca kopytem końskim, pochodził od Indian czy od nas samych z poprzedniego dnia? Nie znalazłszy nic pewniejszego i dokładniejszego, towarzysz mój zawołał wreszcie zniechęcony:

— Oni byli tutaj, to rzecz pewna! A jednak nie można nic wykryć! Moje oczy są dzisiaj jakby ślepotą rażone. Niech Old Shatterhand nie myśli przecie, że tak jest zawsze!

— Pociesz się tym, że oczy Old Shatterhanda, które są bardziej wyćwiczone, niewiele więcej mogą odkryć. Ale są oczy ciała i oczy ducha. Gdy jedno zawodzi, trzeba uciec się do drugich!

— Oczy mojego ducha nie widzą więcej niż oczy ciała!

— Ponieważ zwracasz je prawdopodobnie we fałszywym kierunku.

— Więc niech mi Old Shatterhand powie, dokąd zwrócić mam myśli.

— Naturalnie za wodzem Jumów!

— To czyniłem przecież dotychczas, a jednak bez powodzenia!

— Ponieważ snujesz je wyłącznie od dzisiaj. Zaczynaj od dnia wczorajszego! Gdy obydwaj napastnicy uciekali, stałeś przecież na występie skalnym i mogłeś lepiej widzieć niż ja. Pojechali prosto wzdłuż doliny. Kiedy obraliśmy ten sam kierunek, podczas całej drogi, nie zauważyliśmy ani ich samych, ani ich śladów. O czym to może świadczyć?

— Prawdopodobnie opuścili dolinę, jak mogli najprędzej.

— Ja także tak sądzę! Zbocza doliny są strome. Czy jeździec może się po nich wydostać na górę?

— Nie! Musieli skrócić w jeden z wąwozów wpadających do doliny.

— Tak! Widzę, że mój młody brat umie korzystać z oczu swego ducha! Oni oczywiście nie wybrali pierwszego lepszego wąwozu.

— Nie, wjechali do tego wąwozu, w którym czekali ich wojownicy.

— Całkiem słusznie! Do tego samego rezultatu można dojść także inną drogą. Jeżeli założymy, że Jumowie chcą napaść, na hacjendę c i oczekują tylko oznaczonej chwili, to stąd wniosek, że muszą czaić się w ukryciu. Ponieważ dolina leży po drodze do hacjendy i często bywa odwiedzana, więc Jumowie ukryli się w jednym z bocznych wąwozów. Oczywiście muszą być oddaleni od głównej doliny przynajmniej o godzinę drogi konno. Niech mój brat teraz powie, jak powinien wyglądać wąwóz, w którym się zatrzymali?

— Musi być porośły drzewami, żeby się można było za nimi ukryć i musi mieć trawę jako paszę dla koni.

— Bardzo słusznie! Teraz może mój młody brat przypomina sobie, że przechodziliśmy wczoraj obok ujść trzech wąwozów. Jak daleko stąd leżał wylot pierwszego?

— O pół godziny drogi!

— A następnych?

— Drugi jeszcze o kwadrans dalej, a trzeci daleko, bardzo daleko stąd!

— Tak jest, tak daleko, że wcale nie może wchodzić w rachubę. Niech mój brat przypomni sobie jeszcze, jakie były te dwa pierwsze ujścia? Czy wskazywały, że jest to początek wąwozu, który ciągnie się przynajmniej kilka kilometrów w góry?

— Nie — odpowiedział bez namysłu, dając dowód, że posiadał dobry zmysł orientacyjny.

— Pierwszy zdawał się być krótki i wąski. Natomiast ujście drugiego było bardzo szerokie.

— Wobec tego należy prawdopodobnie szukać Jumów w drugim wąwozie. O tym możemy się upewnić, jeśli zobaczymy, że rosną tam drzewa. Nie traćmy zatem czasu!

Dosiadłem konia. Chłopiec poszedł za moim przykładem i odezwał się przy tym z młodzieńczą powagą:

— Ale musimy dbać o ostrożność, gdyż poza drzewami mogą czyhać wojownicy Jumów!

— Tego sobie właśnie życzę — zaśmiałem się — smuciłbym się, gdyby ich tam nie było!

— Ale wtedy i oni nas zobaczą!

— Już my się postaramy o to, aby nas nie zauważyli! Jechaliśmy tą samą drogą, co wczoraj. Starłem się, żeby konie szły ciągle po gruncie skalistym, nie pozostawiając śladów. Niezbyt bezpieczna była to jazda, jeśli każdej chwili mogliśmy natknąć się na któregoś z Jumów albo nawet na cały ich oddział. Na szczęście jednak obeszło się bez przygodnych spotkań. Po upływie mniej więcej pół godziny dostaliśmy się do ujścia pierwszego wąwozu, który podobnie jak drugi prowadził na lewo. Mając już plan gotowy, skrzyłem konia i wjechałem do wąwozu. Indianin wahał się przez chwilę, podążył jednak za mną, nie mówiąc ani słowa. Nit mógł mnie zrozumieć, ale milczał obawiając się, że go skarzę. Po co wjeżdżaliśmy do pierwszego wąwozu, skoro mieliśmy szukać Jumów w drugim? Odpowiedź otrzymałem wkrótce.

Pierwszy wąwóz był taki, jak przypuszczaliśmy: wąski i płytki. Wznosił się szybko i mniej więcej po dziesięciu minutach dotarliśmy do wylotu. Tutaj leżała równina, pusta i bezdrzewna, ciągnęła się aż po widnokrąg. Na wschodzie widniały w oddali góry, na północnym zachodzie w niezbyt wielkiej odległości zauważyłem ciemne pasmo.

Ruszyliśmy galopem, żeby nie mogli nas spostrzec Indianie. Przybywszy do celu, zsiadliśmy z koni i przywiązawszy je do drzewa, przeszukaliśmy skraj lasu na odpowiedniej przestrzeni. Nie znaleźliśmy nic podejznanego. Następnie zaszyliśmy konie w takiej gęstwinie, że nawet bystre oko niełatwo by je odkryło.

— Czy mój brat będzie strzec koni, czy pójdzie ze mną? — zapytałem.

— Idę!

— A może wolisz sam działać? Gdy się rozdzielimy, dojdziemy do celu w połowie czasu.

— Jeśli Old Shatterhand żywi do mnie zaufanie, to niech powie, co mam uczynić. Błądu nie popełnię żadnego!

— Więc chodź! Musimy wyszukać naprzód brzeg drugiego wąwozu.

Weszliśmy głębiej w las i wkrótce przybyliśmy na domniemane miejsce; grunt opadał tu stromo na dół. Schodziliśmy tak długo, aż rozchyliło się przed nami dno wąwozu, porastało trawą i przepływał przez nie mały strumyczek. Na zboczach rósł gęsty las.

— Teraz się rozejdziemy — rzekłem. — Ja będę szedł kwadrans drogą w dół, ku głównej dolinie, ty idź przez ten czas w górę, potem wrócimy tutaj. Jeśli nic nie zauważymy, to będziemy szukać dalej, dopóki nie przetrząśniemy całego wąwozu. Nie wolno popełnić najmniejszej nieostrożności, przede wszystkim nie strzelaj!

Ostrzegałem go, gdyż nie byłem zupełnie pewien, czy potrafi opanować żądzę zemsty, gdyby zobaczył Vete-ya.

Przeszedłem oznaczoną przestrzeń, nie spostrzegając nic osobliwego.

Wróciłem na miejsce, z którego rozeszliśmy się, prędzej niż Indianin; niedługo wszakże na niego czekałem.

— Nie widziałem nikogo — rzekł — a jednak przez trawę przebiega trop.

— To samo ja zauważyłem!

— Nos mój widział dalej niż oczy, czułem woń dymu.

— Czy może również zapach pieczonego mięsa?

— Nie, tylko dymu! Powyżej miejsca, z którego zawróciłem, z pewnością płonie ogień.

— Więc chodźmy się przekonać!

— Czyżby to byli biali?

- Bardzo wątpię!
- Przecież czuć woń haby!
- Fasolę jadają również Indianie. Chodźmy dalej!

Wkrótce i ja wyczułem zapach gotowanej fasoli. Fasola to ulubiona potrawa Meksykanów i Indian mieszkających w Meksyku; jedzą ją chętnie. Że jednak tutaj, w dzikim lesie gotowano fasolę, to było po prostu zdumiewające! Fasola jako zapas żywności na wyprawie wojennej Indian! Do tego potrzeba przecież kotłów, garnków... Był to dowód, że w tej wyprawie brali udział nie tylko czerwonoskórzy!

Niebawem podeszliśmy tak blisko, że nie tylko czuliśmy zapach, ale ujrzeliśmy na własne oczy fasolę w sześciu kotłach żelaznych, wiszących nad ogniskami; dokoła stało mniej więcej dwadzieścia namiotów sporządzonych z grubego mocnego płótna; namiot wodza wyróżniał się trzema piórami orlimi zatkniętymi na wierzchołku. Niższy, stojący nieco na uboczu, zdawał się służyć za spiżarnię. Indianie leżeli lub siedzieli koło namiotów pojedynczo bądź w grupach. Kilkunastu z nich mieszało w kotłach, ażeby się fasola nie przypaliła. Przyznaję, że byłem zaskoczony. Spodziewałem się ujrzeć oddział Indian w każdej chwili gotów do wyruszenia, a tymczasem znalazłem obozowisko ze wszystkimi wygodami, na jakie pozwala sobie Indianin, jeśli się czuje bezpieczny!

— Otóż oni! — szepnął chłopiec. — Zupełnie tak, jak Old Shatterhand przypuszczał, są w drugim wąwozie! Czy mam ich policzyć?

— Nie policzysz ich teraz, ponieważ wielu siedzi w namiotach. Ale możesz porachować konie! Stoją zapewne dalej, w górze wąwozu, bo dotąd ich nie napotkaliśmy.

— Czy mam iść?

— Tak, lecz miej się na baczności!

Gdy po pewnym czasie wrócił, otworzył i zamknął kilkakrotnie dłonie, ażeby mi pokazać liczbę koni, i powiedział:

— Widziałem dwa razy pięć razy dziesięć koni i jeszcze trzy do tego! Naliczył więc sto trzy konie. Ponieważ wchodziła w to pewna liczba jucnych, więc można było wnioskować, że Indian jest około dziewięćdziesięciu. Kobiet nie było. Obozowali tu jedynie wojownicy i to, jak się zdawało, uzbrojeni wyłącznie w broń palną!

Pomimo znacznej liczby ludzi panowała w obozie zupełna cisza. W pewnej chwili zobaczyłem, jak jeden z wojowników, zajętych przy kotłach, wszedł do namiotu wodza, zawiadomił prawdopodobnie, że fasola już ugotowana, bo zaledwie wyszedł, klasnął kilka razy w dłonie i zawołał głośno:

— Miuszycam, ma — chodźcie, posiłek gotów!

Obóz zakipiał życiem. Jedni wychodzili z namiotów z naczyniami w rękach, drudzy śpieszyli do nich po swoje miski, wszyscy garnęli się do ognisk, tylko dwaj pozostali obojętni. Duma im nie pozwalała jeść wspólnie ze wszystkimi wojownikami. Byli to Vete-ya i jakiś biały. Wyszli z namiotu wodza i stali przed nim, obserwując ożywiony ruch oborowy. Nie mogłem z miejsca rozpoznać, kim był ów biały. Wszakże po chwili, gdy się obrócił do mnie twarzą, ujrzałem... młodego Wellera. Więc przypuszczenia moje okazały się ze wszech miar słuszne. Teraz zachodziło jeszcze pytanie, gdzie się znajdował ojciec Wellera. W każdym razie nie tutaj, gdyż byłby wyszedł razem z nimi.

— Chodź — szepnąłem do Mimbrenia. — Musimy jechać.

— Dokąd?

— Tego nie wiem jeszcze, prawdopodobnie do hacjendy!

Pośpieszyliśmy z powrotem tą samą drogą, którą przyszliliśmy tutaj. Zanim wydostaliśmy się z lasu, zobaczyłem Wellera, jadącego w dół wąwozu. Niebawem dotarliśmy do naszych koni. Wyprowadziwszy je z gęstwiny, co tchu popędziliśmy do pierwszego wąwozu, aby ukryć się za skałą, przy jego ujściu do głównej doliny. Jeśli Weller pojechał w dół doliny, to

musielibyśmy go zobaczyć, jeśli zaś nie ukaże się, to znaczy, że celem jego jazdy była hacjenda.

Czekaliśmy mniej więcej kwadrans. Weller nie nadjeżdżał. Wobec tego postanowiłem go śledzić.

— Dlaczego jedziemy za tą bladą twarzą? Czy mogę dowiedzieć się o tym od Old Shatterhanda?

— Siedzę go, gdyż jest to wysłannik Vete-ya!

— Do kogo?

— Przypuszczam, że do Meltona. Prawdopodobnie zejdą się gdzieś j potajemnie i omówią sprawę napadu, który ja chcę udaremnić. Poza tym mogę się także dowiedzieć, co zamierzają właściwie zrobić z emigrantami.

— Mój wielki biały brat chce ich podsłuchać?

— Tak!

— Ale przecież nie zna miejsca, gdzie ci dwaj będą rozmawiać!

— Mam nadzieję, że się tego dowiem.

— Wobec tego musielibyśmy jechać ciągle za białym i nie spuszczać go z oczu. Tymczasem on, skoro się tylko odwróci, musi nas spostrzec!

— Pojedziemy za nim dopiero, kiedy się ściemni. Potem wyprzedzimy go łukiem.

— W takim razie zobaczy nasze ślady!

— Będzie je uważał za ślady dwóch pasterzy z hacjendy, a może nie zobaczy ich wcale z powodu ciemności. Znamy drogę, którą musi jechać, przebyliśmy ją już wczoraj. Pojedzie prawdopodobnie aż do jeziora, do którego wpada strumień Arroyo. Tam będziemy go oczekiwać. Zadanie mamy tym łatwiejsze, że właśnie mrok zapadnie, zanim dotrzemy do Arroyo.

Podczas tej krótkiej rozmowy Weller zniknął nam z oczu, mogliśmy więc ruszyć w dalszą drogę. Z początku jechaliśmy powoli, ażeby się zanadto do niego nie zbliżyć, później w bocznym węższym ruszyliśmy szybciej, a wreszcie dostawszy się na równinę, pogналиśmy galopem, dając koniom tylko od czasu do czasu wypoczynek. Popuściliśmy wodze dopiero wtedy, gdy zaistniała obawa, że przybędziemy nad jezioro sporo za wcześnie; nie należało się bowiem pokazywać tam za dnia.

Właśnie, gdy słońce zniknęło na zachodzie, zobaczyliśmy na wschodnim horyzoncie wynurzający się las.

— Będą to zapewne drzewa nad doliną jeziora Arroyo — odezwał się Mimbrenio.

Byłem tego samego zdania i zdążyłem wprost ku lasowi. Zmierzchało właśnie, gdy dotarliśmy do niego. Zsiedliśmy i poprowadziliśmy konie za uzdy. Znaleźliśmy wkrótce odpowiednie ustronie. Indianin został przy koniach. Dałem mu obydwie strzelby, które by mi tylko przeszkadzały. Nakazałem przy tym, żeby się nie oddalał z kryjówki pod żadnym pozorem. Następnie udałem się na drugą stronę jeziora, na miejsce, obok którego Weller musiał przechodzić.

Po upływie mniej więcej pół godziny usłyszałem ciche kroki, zbliżające się z tej strony, z której miał nadejść dawny steward. Jeszcze chwila i ujrzałem go.

Młody Weller bystrym, szybkim spojrzeniem obrzucił niewielką polanę. Ta pograżona w nocnym śnie, zdawała się jakby nie dostrzegać intruza, niczym nie zdradzając mojej obecności. Steward wolno obszedł zarośla, a następnie otuliwszy się szczelniej płaszczem usiadł na brzegu jeziora.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy od strony hacjendy pojawiła się druga postać mężczyzny. Ukryty wśród krzaków, na razie nie mogłem rozpoznać kto to. Wkrótce zagadka sama się rozwiązała. Gdy przybyły mężczyzna zbliżył się do siedzącego stewarda, ten cichym głosem rzekł:

— Witaj, ojczcie. Od dłuższej chwili z niecierpliwością oczekiwałem twego przyjścia. Czy wszystko w porządku?

— Witaj, synu. Tak, wszystko rozwija się zgodnie z planem.

— Powiedz mi, ojczcie, co też odpowiedział ci hacjendero na twoją propozycję?

— Don Timoteo przyjął mnie dość życzliwie, niemniej stanowczo i odrzekł, że za żadną cenę nie sprzeda hacjendy, że jest z nią emocjonalnie związany, że tutaj spędził prawie całe życie i w innym miejscu nie potrafiłby się czuć tak dobrze. Starłem się wykazać mu wszystkie braki i zaniedbania, ale odparł, że skoro teraz przyjechali nowi robotnicy, to w szybkim czasie postara się hacjendę doprowadzić do świetności.

— A co ty na to mu odpowiedziałeś?

— Odrzekłem mu, że historia lubi się powtarzać. Już kiedyś przecież był bardzo bogaty, no i że został mu obecnie niewielki majątek. Dodałem, że jeżeli będzie obstawał przy swoim zdaniu, może przydarzyć się jakie nieszczęście, a wtedy hacjenda straci na swej wartości. On zaś nie mając pieniędzy na odrestaurowanie jej — może nawet błagać, ktoś ją chciał nabyć za jedną czwartą!

— Tak tanio chyba nie!

— Przecież hacjenda po napadzie będzie ruiną, a kapitału na odbudowanie hacjendero nie posiada. Jeśli nie chce iść z torbami, to musi ją sprzedać!

— Więc kości rzucone, a ciąg dalszy nastąpi. Wszystko składało się dobrze i byłoby poszło jak z płatka, gdyby nie wlaź nam w drogę ten przekłety westman. Po prostu nie chce się wierzyć, a jednak ten członek może zniszczyć cały nasz plan! Któż by pomyślał, że ten Old Shatter...

— Czy to rzeczywiście Old Shatterhand? — przerwał syn. To należałoby jeszcze udowodnić. Możemy się mylić!

— O pomyłce nie ma już mowy! Dowodów dostarczył wczoraj, gdyż sam przyznał, że jest Old Shatterhandem. Pomyśl, doszło do walki między nim a Meltonem!

— Niemożliwe!

— Tak, i ten łotr wykręcił Meltonowi obie ręce w przegubach! Naturalnie przez dłuższy czas nie będzie mógł władać bronią.

— To okropne! O czymś podobnym jeszcze nikt nie słyszał! Ale poza tym Meltonowi nic się nie stało?

— Nic! Drab puścił go, ostrzegając, że porzuca wprawdzie okolicę ale ma niewzruszony zamiar powrócić!

— Dokąd mógł odjechać?

— Do Mimbreniów, ażeby przyprowadzić ich na pomoc, przeciw naszym Jumom.

— Niech go diabeł porwie! Jeśli ma rzeczywiście taki zamiar i jeśli go w czyn wprowadzi, nasz plan można uważać za stracony!

— Nie tak pochopnie! Czy musimy czekać, aż przybędzie ze swoimi Indianami? Uważa się za najrozumnniejszego człowieka pod słońcem, a przecież tak głupio postąpił wyjawiając, że zna nasze plany. Ja na jego miejscu byłbym zdmuchnął Meltona! Miał do tego najzupełniejsze prawo! A teraz chociaż Melton nie może osobiście brać udziału w walce, to przecież bezwładne ręce nie przeszkodzą mu wydawać rozkazów i objąć dowództwo!

— O walce nie będzie prawdopodobnie mowy! Poczciwym emigrantom, którzy tak pięknie weszli w naszą pułapkę, nie przyjdzie nawet do głowy bronić się, zwłaszcza gdy zobaczą, że życiu ich nic nie grozi. A gdyby tych kilku pastuchów z hacjendy chciało stawić opór, to sprzątnie się ich w oka mgnieniu. Ale pośpieszyć się musimy!

— To samo właśnie myślę i Melton zgadza się ze mną. Nie możemy czekać tak długo, jak pierwotnie zamierzaliśmy, musimy akcję rozpocząć jak najprędzej. Jednego dnia napad, drugiego ugoda z hacjenderem, trzeciego jazda do Ures, ażeby zawrzeć prawny kontrakt

kupna może przyjść ten wybawca ze swoimi Mimbreniami. Nie będzie mógł nic zrobić i zostanie wyśmiany!

— Należy więc wyznaczyć czas i godzinę. Czy mam donieść wodzowi coś dokładnego?

— Nie, bez niego nie możemy nic postanowić! Rozmówię się z nim sam i razem zadecydujemy o terminie napadu. Powiedz mu zatem, że jutro na krótko przed zmierzchem przyjdę do obozu.

— Czy możesz oddalić się z hacjendy, nie zwracając niczyjej uwagi?

— Co tam! Wyjeżdżam na przykład na polowanie, zresztą są jeszcze inne preteksty.

— A jeśli nie wrócisz tego samego wieczora?

— To powiem następnego dnia, że zabłądziłem i byłem zmuszony nocować w lesie. Daleko prędzej może kogo zadziwić, że się teraz oddaliłem. Dlatego chciałbym już wracać. Czy masz mi jeszcze co do powiedzenia?

— Nie!

— Jesteśmy więc gotowi. Dobranoc, mój chłopcze!

— Dobranoc, ojcze! Życz Meltonowi ode mnie rychłego powrotu do sił!

Po tych słowach rozeszli się, ojciec ruszył w górę strumienia ku hacjendzie, syn wzdłuż jeziora do swojego konia. Ja również wyszedłem z wody i zabrawszy rzeczy, zwróciłem się w tę samą stronę, co młody Weller, ażeby powiedzieć swojemu towarzyszkowi, że mi szczęście sprzyjało i muszę się teraz udać do hacjendy.

Chodziło zatem rzeczywiście o napad indiański. Zamierzano przeprowadzić go później, a dziś z mojego powodu postanowiono przyspieszyć. Trzeba więc było ostrzec moich ziomek, chociaż z tego, co słyszałem, wynikało, że nie groziła mi śmierć.

Tego właśnie nie rozumiałem! Dlaczego, jak się wyraził Weller, życiu ich nic nie groziło? Dlaczego mieli zostać „sprzątnięci” tylko pasterze, w razie gdyby się bronili? Był to ciemny punkt, którego nie mogłem wyjaśnić, pomimo że wyteżałem całą bystrość umysłu, na jaką mnie było stać.

Rozstawszy się z Indianinem, poszedłem znowu w górę strumienia ku hacjendzie, unikając wszelkiego szmeru, ażeby przypadkiem nie spostrzegł mnie któryś z pasterzy. Nie było bowiem jeszcze bardzo późno, miałem nawet nadzieję, że zastanę bramę otwartą. Wtedy nie byłoby mi trudno zobaczyć się z Herkulesem. Do nikogo innego zwracać się nie miałem ochoty. Herkules znał już poniekąd moje zapatrywania i chociaż nie mogłem mu wyjawić wszystkiego, to przecież uważałem go za pewniejszego od innych, a co najważniejsze byłem przekonany, że się nie wygada przed nikim.

Niestety, bramę zastałem zamkniętą. Poza murami znajdowali się tylko pasterze, do których nie mogłem zwrócić się o pomoc; musiałem sam sobie dać radę! Do hacjendy prowadziła jedna jedyna droga, mianowicie strumień, który przepływał przez jej podwórze, przechodząc pod murem północnym i południowym. Zaszkozić mi woda nie mogła, byłem już przecież do nitki przemoknięty, co zresztą sprawiało mi nawet ulgę po całodziennej spiekocie.

Zawróciłem do miejsca, gdzie strumień zataczał łuk na polanie i pogrążyłem się w wodzie. Obeszło się nawet bez przepływania pod murem, przejście bowiem było tak wygodne, że wystarczyło drobne skłonienie głowy i wnet znalazłem się w obwodzie hacjendy, ciągle jednak stojąc w potoku.

Po drugiej stronie muru było widno jak w dzień. Przy ogniskach emigranci przyrządzali kolację. Na sznurach przeciągniętych przez żerdzie suszyły się półcie mięsa. Zarżnięto, jak stwierdziłem, większą ilość bydła i wieprzy, by przygotować potrzebny zapas żywności.

Zbyt silne światło nie sprzyjało moim zamiarom, choć tylko dzięki niemu mogłem od razu znaleźć Herkulesa. Jak zwykle, stronił od reszty robotników i spacerował, znacznie ode mnie oddalony, z cygarem w ustach. W pewnym momencie zbliżył się do strumienia. Zawołałem na niego półgłosem po imieniu — drgnął, lecz widocznie nie dowierzał sobie, gdyż głowy nie

odwracał, pewien, że jest sam. Znowu wymówiłem jego imię, przyłączywszy swoje, i wyszeptalem:

— Nie bój się, pan! Stoję tutaj w wodzie i czatuję, by pomówić z tobą. Chodźże prędzej!

Ociągając się, posłuchał mego wezwania. Głos dochodzący z wody przestraszył go. Wyprostowałem się, ażeby blask ogniska padł na moją twarz. Poznał mnie i rzekł również szeptem:

— Czy to doprawdy pan? Czy to możliwe? Albo zamieniłeś się w rusałkę, albo też łowisz ryby w mętnej wodzie...?

— Ani jedno, ani drugie! Siadaj, pan, na trawie! Stać nie możesz, zwróciłoby to uwagę!

Herkules usiadł i rzekł:

— Ma pan prawdopodobnie ważne powody, aby skradać się potajemnie. Gdyby pana zobaczono, nie chciałbym być w pańskiej skórze, a to z powodu Meltona.

— Jak to?

— Napadłeś go przecie z ukrycia i obrabowałeś. Zabrano mu pieniądze i broń. Tylko z trudem zdołał uciec. W drodze spotkało go nowe nieszczęście: wskutek ciemności runął wraz z koniem i złamał ręce!

— Ach, tak!

— Tak, tak. A w dodatku skradł pan konie!

— To prawda, przyznaję, chociaż nie ja właściwie to uczyniłem. Namówiłem tylko do tej kradzieży!

— Pyszny z pana jegomość! Ale żarty na bok! Gdzie się pan podziewał przez cały czas i co się stało z posadą buchaltera?

— Nie dostałem jej, bo nie chciałem przyjąć, a podziewanie się — byłem tam, gdzie prawdopodobnie włóczyć się będę jeszcze przez dłuższy czas, mianowicie w okolicy hacjendy.

— Po co? W jakim celu? Czy ciągle jeszcze dręczą pana podejrzenia?

— Moja nieufność okazała się uzasadniona. Hacjenda zostanie napadnięta przez Indian!

— Proszę bardzo! Już ja ich przyjmę!

— Niech pan tego nie lekceważy! Mówię poważnie! Czy nie przybył tu niejaki Weller?

— Tak! Przybył dzisiaj po południu.

— W jakim celu?

— Hm! Słyszałem, że chce kupić hacjendę. Ale don Timoteo ani myśli jej sprzedać!

— Czy ci dwaj znali się dawniej?

— Myślę, że nie!

— Czy nie widział pan Meltona razem z Wellerem?

— Nie, z bardzo prostego powodu. Melton w ogóle się nie pokazuje. Podobno leży w łóżku, gdyż ma gorączkę. Niech ją diabli porwą!

— Co takiego? Tylko gorączkę, a chorego nie?

— Właściwie mogliby jego również porwać! Nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby i pana zabrali!

— Jestem mocno zobowiązany! Co złego panu wyrządziłem, że obdarzasz mnie tak pobożnym życzeniem?

— Pyta pan o to jeszcze? Pękam prawie z wściekłości, a ten pyta sobie spokojnie, co mi zrobił! Czy wie pan, gdzie jest Judyta?!

— Nie! Skąd mogę wiedzieć! A dlaczego pan o to pyta? Czy jej tu nie ma?

— Nie ma jej?! Ależ jest.

— Nie rozumiem ani słowa. Mów, pan, jaśniej! Gdzie jest i co robi?

— Gdzie jest...? — zgrzytnął. — Tam, u Meltona! Co robi? Pielęgnuje go! Co się z nią w ogóle stało? W ogóle już... krzyżyk. Pomyśl, pan, ona jest pielęgniarką! Tego łajdaka!!!

— Dlaczegoż nie? Czy nie nadaje się na samarytankę?

— Nadaje się w ogóle do wszystkiego, a najbardziej do tego, by zawracać mężczyznom w głowie! Zawracać do szaleństwa!

— To i pan prawdopodobnie oszalał?

— I obawiam się, że w szaleństwie zrobię coś, czego się nie robi tak łatwo! Mianowicie, ukręcę Meltonowi ten czarny łeb!

— Lękam się, że z kolei straci pan własny!

— A niech tam! Swój własny dawno już straciłem. Widzi pan, że mam słuszne powody do urazy! Gdybyś pozostawił Meltona w spokoju, nie zachorowałby i nie potrzebował pielęgniarstwa!

— Czy mogę odpowiadać za to, że ta dziewczyna ma dobre serce? Po cóż ofiarowała swe usługi?

— Na złość mnie! A ojciec pozwolił jej na to, aby przypodobać się Meltonowi! Chciałbym, żeby pańscy Indianie istnieli w rzeczywistości! Bodajby już raz przyszli i wycięli w pień tę całą hołotę!

— Wraz z panem! Czyż nieprawda? Zresztą nie powinien się pan obawiać, bo to humanitarne życzenie spełni się wkrótce. Indianie przybędą! Są już nawet niedaleko.

— Żartuje pan?!

— Nie! Widziałem i obserwowałem ich. Z nimi jest nasz były steward.

— Do licha! Miał pan rację wtedy!

— Naturalnie. Niech pan posłucha!

Opowiedziałem mu o wszystkim, co widziałem i słyszałem, a właściwie tylko tyle, ile uważałem za stosowne. Z satysfakcją zauważyłem, że jego wątpliwości znikły. Począł całą sprawę brać na serio i rzekł, gdy skończyłem:

— Dziwny człowiek! Myślałem pierwotnie, że przyroda wyposażyła pana w nadmierną fantazję, dzięki której roją się panu smoki i inne bestie apokalipsy, a w najlepszym razie mucha wyrasta na słonia! Teraz jednak muszę zmienić zdanie, gdyż przekonałem się, że myśli i działa pan logicznie, a nawet planowo. Wszystko co mam na świecie, moje pięści, są od dziś na pańskie rozkazy!

— Dobrze! Przydadzą mi się! Myśleć będę za wszystkich, lecz gdy przyjdzie do czynu, liczę i na pana!

— Tak! Licz pan na mnie! A teraz co mam robić?

— Teraz zupełnie nic.

— Nic? Czy towarzyszą panu powiedziec, co ich czeka?

— Nie. Wszystko, co opowiedziałem, musi pozostać w tajemnicy. Jeśli ktoś to zdradzi, zmieniliby mormon swój plan i zabiegi nasze poszłyby na marne. Teraz sądzi, że jestem gdzieś z dala od hacjendy, i czuje się bezpiecznie. Jedno tylko ma pan zadanie, zważać bacznie nawet na lada drobnostki w hacjendzie. Wszystko, co będzie miało jakiś związek z naszą sprawą, przekaże mi pan natychmiast!

— Ale gdzie? Przecież nie może pan przybyć tutaj otwarcie.

— Niech pan przychodzi wieczorem, przed północą do tego strumienia i przechadza się kilkakrotnie tam i z powrotem. Będę czekał w tym samym miejscu, jeśli zechcę z panem porozmawiać!

— A jeżeli pan będzie mógł przyjąć dopiero po północy? — Śpimy tam w barakach czy koszarach, gdzie jeden przy drugim leży tak gęsto, że nie można wyjść po ciemku, nie potraciwszy przy tym z pół tuzina nóg. Trzeba więc będzie wynaleźć jakiś powód, by mi pozwolono spać na otwartym powietrzu. Nie wiem jeszcze gdzie, lecz postaram się, aby mógł mnie pan z łatwością znaleźć.

— Pięknie! Więc palec na ustach! Zawiadomię pańskich ziomek, gdy nadejdzie pora ku temu. Teraz musimy być ostrożni!

— Bądź pan więc również ostrożny i nie kradnij koni! Zaraz by wpadli na myśl, że się jeszcze wałęsasz po okolicy. Poza tym uważam takie środki w najwyższym stopniu za niemoralne!

Uśmiechnął się z lekka. Odparłem również żartobliwie:

— Bardzo mi więc przykro, że pański brak moralności jest nie mniejszy od mojego. Ukradniesz również!

— Nigdy!

— Doprawdy? A jednak ukradnie pan mięso i to dziś jeszcze.

— Ach, rozumiem! Dla kogo?

— Dla mnie i mego młodego Indianina. Nie mam czasu na polowanie, a zresztą zdradziłyby mnie strzały, a jeść niestety muszę! U was zarżnięto dzisiaj dość bydła, aby i dla mnie znalazł się jakiś kąsek. Tam oto wisi mięso na sznurach. Jeśli...

— Głowę masz nie tylko do kapelusza, to ściągniesz dla mnie kawałek — przerwał mi — nieprawdaż, to właśnie chciał pan powiedzieć?

— Tak jest! Muszę obserwować Indian Jumów, a więc powinienem być zawsze w ich pobliżu, uniemożliwia mi to jednak polowanie. Idź więc, pan, i postaraj się o tyle prowiantu, ile tylko będziesz mógł niepostrzeżenie unieść!

Wstał i odszedł wolno, jakby się dalej przechadzał. Przystanął w najciemniejszym miejscu podwórza, gdzie wisało mięso. Obserwowałem go, a jednak nic nie mogłem zauważyć. Dopiero po chwili, gdy już powracał, spostrzegłem, że dźwiga kilka pości mięsa. Słowa nie wyrzekłszy, rzucił je na brzeg potoku. Potem zawrócił do ogniska i przyniósł trochę czekolady.

Ponieważ nie mieliśmy już nic ważnego do omówienia, pożegnaliśmy się i ruszyłem w drogę powrotną, unosząc ze dwadzieścia funtów żywności. Zapas powinien był wystarczyć najmniej na cztery dni. Mogłem więc z Mirnbreniem przez cały ten czas śledzić bezustannie Indian. Zależało mi bardzo na tym, by dotrzeć do obozu indiańskiego przed wschodem słońca. Dlatego też podążyliśmy natychmiast przez boczny wąwóz.

Gdy dotarliśmy do obozu, szarzał poranek. Naprzód poszukaliśmy odpowiedniego ukrycia dla koni. Musiało być obszerniejsze od wczorajszego i dostarczać większej ilości paszy. Znalazłszy niebawem odpowiedni zakątek, przywiązaliśmy wierzchowce u drzew. Miinbrenio ułożył się do snu, a ja zająłem wczorajszy posterunek, gdzie pozostałem aż do południa. Nie spostrzegłem nic godnego uwagi, stwierdziłem tylko, że młody Weller znowu znajdował się w obozie.

Po południu uczułem znużenie, powinienem był również nieco wypocząć i pokrzepić się snem. Wróciwszy do naszej kryjówki, dałem mojemu młodemu towarzyszowi potrzebne wskazówki. Oddalił się, a ja leżałem w trawie. Dla wygody opróżniłem wszystkie kieszenie, pas z zamkniętą za nim bronią położyłem obok na trawie. Zmrużyłem powieki i po chwili zapadłem w głęboki sen, na który po wysiłkach długiego dnia rzetelnie zasłużyłem.

Wtem... przeraźliwy krzyk, krzyk ścinający krew w żyłach spędził mi sen z powiek! Skoczyłem na równe nogi. Krzyk się powtórzył. Słyszałem triumfalne wycie wojownika indiańskiego. Po nim nowy krzyk, lecz już nie radosny ryk dzikiego, tylko błagalny jęk, wzywający pomocy. Pochodził ze strony, w której czuwał Mimbrenio!

Zawisło nad nim niebezpieczeństwo! Nie tracąc ani sekundy, nawet na podniesienie broni, pobiegłem jak strzała w kierunku, skąd rozległ się krzyk. Gdy tam dotarłem, nie było już nikogo; usłyszałem tylko odgłos walki, która prawdopodobnie toczyła się na trawie i w krzakach. Widocznie nieostrożny chłopiec nie pozostał na wyznaczonym miejscu, lecz odważył się na szaleńczy czyn dotarcia do samego obozu! Naturalnie spostrzeżono go i napadnięto. Musiałem ratować syna przyjaciela, w przeciwnym razie czeka go okrutna śmierć! Dlatego skoczyłem bez namysłu do kotliny. Wtem... zaczepiłem ostrogami o korzeń, straciłem równowagę i runąłem jak kłoda! Zanim zdążyłem się podnieść, rozległ się wokół

szelest rozsuwanych krzaków i... pięciu, sześciu, piętnastu Indian mnie opadło. Próbowałem się bronić, lecz nie mogłem oswobodzić nogi, oplataną korzeniami. To mnie zgubiło! Gdybym zdołał rozluźnić przekłętą ostrogę, może bym się przebił. Korzeń jednak trzymał mnie mocno, aby wydać w ręce wroga! Naturalnie broniłem się co sił, używając jedynie pięści, gdyż strzelby zostawiłem w kryjówece — przewaga była po stronie Indian i musiałem w końcu ulec. Skrępowano mnie mocno rzemieniami.

Teraz przybyli inni i oglądali mnie z zadowoleniem. Jeden z nich zawołał, pomalowaną twarz wykrzywiając w grymasie radości:

— Tave-szala! — Old Shatterhand!

Groziło mi niebezpieczeństwo i to dość duże. Chwilowo jednak nie zawisło jeszcze nad moją głową. Indianie bowiem, jak wiadomo, wziętym do niewoli wrogom śmierć zadają przy palu męczeńskim. Nader rzadko jednak odbywa się ta procedura w obozie, zwykle wloką jeńców do swoich siedzib, by członkowie całego szczepu mogli wziąć udział w akcie zemsty. Okoliczność ta dość jest pomyślna dla jeńców, bo zwłoka może posłużyć do ucieczki, naturalnie, jeśli są na to dość przebiegli. Bądź co bądź lepsza mitręga niż śmierć natychmiastowa od kuli.

Zaprowadzono mnie przed oblicze wodza. W twarzy jego mogłem wyczytać wyraz śmiertelnej nienawiści i nieubłaganego głodu zemsty. Plunął na mnie, prześwidrował na wskroś ponurym, kłującym wzrokiem, nie mówiąc jednak ani słowa. Za to Weller odezwał się z ironią:

— Welcome, sir! Witamy! Rad jestem, że widzę pana znowu. W tak krótkim czasie, gdy niestety nie było mi dane zaofiarować panu mych usług, przeobraził się master w Old Shatterhanda, aby za wszelką cenę nam bruździć! Teraz unieszkodliwiono pana i jestem ciekaw, co uczynisz, żeby ocalić swoje sławne imię i w jaki sposób wywiniesz się od pala męczeńskiego, który cię czeka?!

Nie przyszło mi nawet na myśl odpowiadać temu człowiekowi, chociaż chętnie bym mu wyjaśnił, biorąc pod uwagę szyderstwa, którymi mnie obrzucił, że sytuacji swojej nie uważam wcale za straconą. Przemowa jego brzmiała beczelnie i śmiesznie zarazem. Wyczuł to nawet Wielkie Usta i skarcił tonem, którego nie można było nazwę wersalskim:

— Milcz! Twoja mowa jest jak kłos bez ziaren i jak woda bez ryb. Ciebie się jeniec nie zleknie. Trzeba stu takich ramion i oczu jak twoje, by go móc zatrzymać. Ale zbiec mu się nie uda, będzie wisiał tygodniami na palu męczeńskim, bo zamordował mi syna! Powiedziałem. Howgh!

Weller mówił po angielsku i zdziwiło mnie bardzo, że Wielkie Usta zrozumiał go, a nawet odpowiedział mieszaniną słów angielskich, hiszpańskich i indiańskich, używaną nad Rio Grandę i Rio Pecos. Następnie zwrócił się do swych ludzi, którzy otoczyli nas półkolem:

— Czy to Old Shatterhand podkraść się tak blisko naszego obozu?

— Nie! — odpowiedział jeden z wojowników.

— Jak to? Któż więc to uczynił?

— Indianin, młody chłopiec, nie mający zapewne jeszcze imienia.

— Opiszcie mi jego wygląd.

Czerwony określił mego młodego towarzysza.

— Uff! — zawołał wódz — to jeden z młodych Mimbreniów, którzy uciekli nam, gdy nadszedł Old Shatterhand. Musi również zginąć na palu! Przyprawdźcie go!

— Nie możemy, nie udało nam się go schwycić — odpowiedział czerwony półgębkiem.

— Co?! — zapytał Wielkie Usta z gniewnym zdziwieniem. — Jesteście dorosłymi mężczyznami, zwiecie się wojownikami, liczebna przewaga była po waszej stronie, a szczenię tak młode i mdłe, że nawet imienia nie nosi, wyprowadziło was w pole? Czy mam temu wierzyć?

Czerwony opuścił oczy ku ziemi i nie odpowiedział. Reszta stała w zakłopotaniu, milcząc również. Wódz ciągnął dalej.

— Uff! A więc to prawda! Stare squaw wyśmieją was, a dzieci będą wytykać palcami! Pomyślcie o drwinach wszystkich szczepów, kiedy dowiedzą się o tym, że tylu wojowników Jumów nie było w stanie zatrzymać marnego Mimbrenia! Wszak to ten sam chłopiec, który poprzednio towarzyszył Old Shatterhandowi, a którego zmuszony byłem puścić wolno. Prawdopodobnie i brat jego, i siostra, żona wodza Opatów, są w pobliżu. Natychmiast ruszycie na poszukiwania! Przetrząście cały las. Trzech albo czterech wojowników wystarczy do pilnowania obozu!

Wyzaczył wartę. Reszta oddaliła się, aby wypełnić rozkaz. Weller naturalnie pozostał. Sądziłem, że teraz wódz rozpocznie rodzaj przesłuchania, lecz nic podobnego nie nastąpiło. Kazał mnie jeszcze mocniej skrępować i przywiązać do pała podtrzymującego namiot, następnie odwrócił się i zdawał się nie zwracać wcale uwagi, zauważyłem jednak, że od czasu do czasu spoglądał ku mnie ukradkiem.

Teraz nastąpiło dla mnie przykre, pełne niepokoju oczekiwanie. Można było postawić stu przeciw jednemu, że Mimbrenio zostanie schwytany. Było ich tylu, tych psów gończych, że nie miałem nawet najmniejszej nadziei, aby niedoświadczonemu chłopcu udało się ukryć. Schwytanie jego pociągnęłoby, niestety, stratę moich strzelb, jedyną stratę, którą w tych okolicznościach gotów byłem uważać za niepowetowaną. Po pewnym czasie głośne krzyki objaśniły mnie, że znaleziono ślad chłopca. Odgłosy rozlegały się z coraz większej odległości: Mimbrenia ścigano! Upłynęło wiele czasu, więcej niż godzina. Powrócił wreszcie liczny oddział czerwonych. Ogarnęła mnie radość niezwykła! Mimbrenia z nimi nie było! Wódz zawołał gniewnie:

— Nie sprowadziliście ich?!, Czyście oślepli, że nie możecie zobaczyć tropu trojga ludzi?!

— Wojownicy Jumów nie są ślepi! — odparł jeden z czerwonych. — Znaleźliśmy ślad chłopca!

— Tak, ale jego samego nie umieliście schwycić! Gdzie jest ten pies?

— Zobaczysz go wkrótce. Trop szedł przez cały las, a stamtąd na równinę.

— W jakim kierunku?

— Na południe.

— Upłynęło niewiele czasu i nie mógł was bardzo wyprzedzić! Czyście go widzieli, czy uciekał przed wami?

— Chłopiec jest niepokazny, postać jego niknie nawet z niedalekiej odległości. Za to ślady były bardzo wyraźne i doprowadzą nas wkrótce do niego. Kilku wojowników wystarczy do schwytania młokosa, dlatego powróciliśmy!

Wódz odwrócił się w milczeniu i usiadł, oczekując wiadomości. Wściekłość nim targając, starał się jednak opanować, rozumiejąc, że gniewne słowa nie mogą odmienić sytuacji ani przyspieszyć rezultatu pościgu. Co do mnie, to nadzieja moja wzrastała z każdą chwilą, gdyż postępowanie chłopca było tak zręczne, że ja sam nie spisałbym się lepiej. Zostawił bowiem konie, strzelby i resztę przedmiotów na miejscu, a sam pobiegł spiesznie brzegiem lasu na równinę. W ten sposób zwrócił uwagę prześladowców na siebie, odciągając ich od naszej kryjówki. Okazał również rozwagę w wyborze kierunku, gdyż na południu teren skalisty nastęrczał mnóstwo schronień, a ślady łatwiej się zacierają.

Minęło już południe i zapadał wieczór. Indianie zapalili kilka ognisk, by przygotować posiłek. Wódz ciągle jeszcze siedział na miejscu i milczał. Wszystko w nim wrzało. Weller poszedł był na spacer do lasu, aby rozerwać się nieco. Teraz powrócił. Wódz zapytał go tonem, w którym przebijał zły humor:

— Gdzie podziewałeś się tak długo? Czyś zapomniał, że już czas sprowadzić twego ojca!

Weller oddalił się bez słowa. Niezadługo powrócili pozostali Jumowie z pustymi rękami. Gdy wódz zobaczył, że Mimbrenia z nimi nie było, skoczył jak tygrys i schwytał jednego z wojowników za ramię i począł trząść nim jak osiką:

— I wy wracacie z niczym? Jesteście robakami smrodnymi, które żrą brud i grzebią pod ziemią, a nie widzą tego, co się dzieje na wierzchu! Odeślę was do domu. Będziecie tam mogli włożyć spódnice i łątać namioty, co czyniły dotychczas tylko stare squaw, z których nie ma innego pożytku.

Była to największa obraza, jaka mogła ich spotkać. Obelgą przekroczył granicę swej władzy. Wódz indiański nie posiada bowiem większej mocy ponad tę, jaką mu nadał szczerp, a właściwie rada starszych, władza w każdej chwili może mu być odebrana. Gdyby okazał się niegodnym doznanego zaszczytu lub przekroczył granicę swych uprawnień, mogą natychmiast go pozbawić godności, a wtedy zostaje na równi z innymi członkami plemienia, zwykłym wojownikiem. Czerwony, którego wódz obrzucił obelgami, wyrwał się naprzód i odpowiedział strofująco:

— Kto ci pozwolił poczynać sobie ze mną w taki sposób, lżyć i uragać? Jeśli nie wypełniłem swoich obowiązków, niech zbiorą się starsi mojego szczepu na sąd, którego uchwałam poddam się bez szemrania, lecz kto mnie obraża, ten musi wyjąć swój nóż i walczyć ze mną na śmierć i życie! Niech Wielkie Usta rozważy, iż obrażając mnie, upokorzył wszystkich wojowników, którzy byli ze mną!

Ci, o których wspominał, przytaknęli jednogłośnie pomrukiem. Wódz spostrzegł, że przeholował w gniewie, więc rzekł pojednawczo:

— Niech mój brat uzna, że nie wypowiedziałem słów, które słyszał, gniew mówił przez moje usta.

— Mężczyzna powinien miarkować swe dąsy, lecz postaram się zapomnieć twoje słowa. Wiem, że gdybyś sam udał się na poszukiwanie chłopca, też byś nic nie wskórał!

— Ale nogi dziecka są przecież krótsze od nóg dorosłych ludzi. Nie rozumiem, dlaczego nie doścignęliście tego malca!

— Biegliśmy co tchu w piersiach, a nie dojrzeliśmy go nawet! Znacznie nas wyprzedził! Potem ślady jego znikły na skalistym gruncie.

— Czy spostrzeżliście trop tylko jeden?

— Tylko jeden!

— W takim razie siostry ani brata nie było już przy nim! Tylko Old Shatterhand mu towarzyszył, musi nam udzielić informacji!

Przystąpił do mnie i przemówił po raz pierwszy:

— W jaki sposób przybyłeś tutaj z chłopcem? Piesz czy konno?

— Dlaczego pytasz o to? — odpowiedziałem. — Zwiesz się wodzem, a żądasz wyjaśnień tam, gdzie nawet rozum dziecka wykryje prawdę! Udaj się po pomoc do swojego rozsądku, jeżeli miejsce przeznaczone nań nie jest doszczętnie puste w twjej głowie!

— Nie chcesz mi odpowiedzieć, psie! — ryknął.

— Szczekaj do woli! Ode mnie się niczego nie dowiesz! Wyraz „szczekać” rozsierdził go tak, że wyrwał nóż zza pasa, natychmiast się jednak pohamował. Nauka, udzielona mu poprzednio, snadź nie poszła w las, zatknął nóż z powrotem i rzekł, uraczywszy mnie kopnięciem:

— Milcz więc! Niedługo już poczujesz tak wyć i ryczeć, że usłyszą cię za górami!

— Na pewno nie z twojego powodu, tchórzku, który porzuciłeś flintę i wzięłeś nogi za pas ze strachu przede mną!

— Milcz, bo zakłuję cię natychmiast!

— Zakłuj! Jeśli nawet zmusisz mnie do milczenia, wstyd twój i hańba będzie mówić za mnie! Strzelba twoja jest w rękach Mimbreniów, twoich śmiertelnych wrogów. Jak wielką sprawisz im uciechę, gdy się dowiedzą, że ty — wódz Jumów porzuciłeś broń ze strachu i uciekłeś jak płochy jelen!

Drażniłem go umyślnie, by skłonić do mówienia. Nie chciałem dłużej czekać, wolałem dowiedzieć się natychmiast, czy zamierzają mnie zabić na miejscu czy też odłożą to na

później, gdy przybędą do rodzinnych wigwamów. Wódz wściekł się tak, że podniósł rękę do ciosu. Jednogłośny ostrzegawczy okrzyk wojowników zmusił go do opanowania swej porywczosci. Opuścił ramię i odpowiedział, siląc się na ironiczny uśmiech:

— Przenikam twój zamiar. Chcesz mnie rozdrażnić, bym cię zabił w gniewie, lecz złudna to nadzieja! Teraz ci włos nie spadnie z głowy, gdyż musisz dojechać zdrów i cały do naszych wigwamów! Utyjesz, nabierzesz tłuszczu i siły, byś mógł wytrzymać przeznaczone ci męki. Dajcie temu psu zarcia, ile pomieści!

Rozkaz spełniono natychmiast. Jadło, składające się z mielonej fasoli uwarzonej na wodzie, było gotowe. Jakiś stary, brudny drab, zamierzał mnie nakarmić jak małe dziecko. Usiadł przy mnie z garnkiem pełnym zupy, zanurzył w niej rękę i chciał napchać mi jedzenia do ust. Począłem się opierać. Widząc to, wódz rzekł:

— Ten pies jest za dumny, aby spożywać strawę czerwonych wojowników. Zwolnij mu jedną rękę i daj mięsa! Przrzekłem, że nie zazna głodu, tym głośniejsz będzie później jęczał. Howgh!

Stary poszedł do namiotu służącego za spiżarnię i po chwili wrócił z dużym kawałem wołowiny. Odwiązano mi ramię, zjadalem z apetytem. Potem związano mnie znowu.

Właśnie, gdy Indianie kończyli wieczerzę, nadszedł z lasu stary Weller w towarzystwie syna. Przywitawszy się z wodzem, podszedł ku mnie i rzekł na poły uprzejmie, na poły dobrodusznie, a w zupełności obłudnie:

— Dobry wieczór, sir! Jak szanowne zdróweczko, mister Shatterhand?

Odwróciłem twarz i nie odpowiedziałem.

— Ach, dumny z siebie boy! Jestem widać dla pana tak mizerną personą, że nie raczysz odpowiedzieć na moje grzeczne pozdrowienie. Nauczy się pan jeszcze u nas grzeczności. Przedstawiam tobie mojego syna, wspaniały chłopak! Poza tym doskonały aktor. W roli stewarda nawet i pana wyprowadził w pole, he?

Znów nie odpowiedziałem, stary ciągnął dalej:

— Ku niewymownej radości dowiedziałem się, jaki mieli połów czerwoni! Wsuwałeś nos, master, w sprawy, które nic cię nie powinny obchodzić, teraz musisz myśleć o własnym gardle! Sam diabeł ci nie pomoże! Tak się zawsze dzieje z tymi, którzy nieproszeni ofiarują swe usługi w charakterze domorosłych adwokatów! Przegra pan proces i poniesie wszystkie koszty sądowe, płacąc własną głową. Smacznego!

Odwrócił się i poszedł do wodza, który obrał miejsce poza obrębem wigwamów, tak że głos prowadzonej tam rozmowy nie dochodził do mnie. Syn poszedł za nim i wszyscy trzej zaczęli debatować. Temat prawdopodobnie, jak wnosilem z gestów, był niebłahy. Po naradzie wstali i Wielkie Usta zawołał wojowników, by zaznajomić ich z decyzjami powziętymi przed chwilą. Wellerowie jakby mimo woli zbliżyli się do miejsca, na którym leżałem, usłyszałem, jak stary rzekł do syna:

— Teraz pojedę z powrotem, a ty pozostaniesz u Indian, którzy niezadługo wyruszą do hacjendy del Arroyo. Macie kawał drogi; skoro jednak zaraz ruszycie, powinniście zdążyć przed wschodem słońca.

— Ale brama będzie zamknięta — odpowiedział syn, a ja po tonacji poznałem, że idzie tylko o to, bym ich słyszał.

— Nic nie szkodzi! Byłem na polowaniu, zbłądziłem, dlatego tak późno wracam i proszę majordomusa, ażeby mi otworzył.

— Ten wcale się nie zjawi, mieszka w głównym budynku i nie usłyszy stukania!

— Usłyszą mnie emigranci i otworzą bramę! Co się was tyczy, to znajdziecie zapewne już wrota otwarte!

— A cóż mamy począć, jeśli jednak będą zamknięte?

— Dostaniecie się z łatwością wpław przez strumień, który przepływa pod murem na podwórze. Co zaś do ciebie, to lepiej, żebyś się nie pokazywał z początku, aby się nie dowiedzieli, że jesteś w zmowie i czerwonymi. Przyjedziesz dopiero po wszystkim!

Po wymienieniu jeszcze kilku uwag bez znaczenia stary zwrócił się do mnie:

— Chcesz pewnie wiedzieć, sir, dlaczego mówimy o wszystkim przy tobie? Czynimy to po pierwsze dlatego, że pracowałeś usilnie, by nam pokrzyżować plany, teraz zaś będziesz zgrzytać zębami, iż wszystkie twoje wysiłki poszły na marne.

— Po wtóre — podchwycił syn — dajemy panu niezbity dowód, że jest sir zgubiony, bez ratunku!

— Tak, tak jest — potwierdził stary. — Gdybyśmy uważali, że istnieje najmniejsza bodaj szansa ocalenia, na pewno nie czynilibyśmy pana świadkiem takiej rozmowy. Przygotuj się, master, na śmierć najstraszniejszą, jaka być może! Krzyż nad Old Shatterhandem! Przetransportują pana do pastwisk Jumów, byś zakosztował pała męczarni, stosu, stryczka czy też innych podobnych rozkoszy! Przedtem jednak złoży panu wizytę nasz przyjaciel Melton, by podziękować za okazaną mu braterską miłość. Wizyta jego będzie dla pana prawdziwym świętem, gdyż z tej okazji pomaca ci również rączki, jak to sir z nim uczyniłeś! Bądź zdrow! Nie zobaczymy się niestety już nigdy!

A więc tak! Teraz dowiedziałem się wszystkiego! Może wyjawiliby mi jeszcze więcej, gdybym odpowiadał na zadawane pytania. Przyśpieszono zatem z niewiadomych mi powodów napad, mający odbyć się później. Byłem w strasznym położeniu! Wiedziałem o wszystkim, nie mogąc pomóc moim ziomkom! Herkules czekał na wiadomości, a ja nic mogłem ich udzielić! Może spróbowałbym, pomimo że byłem otoczony wrogami, rozerwać krępujące rzemienie i przebić się pięściami, lecz więzy zbyt mocno wpijały się w ciało już teraz, zanim je począłem naciągać! Jedno mi tylko pozostawało, co też postanowiłem uczynić, nie szczędzić życia, jeśli nadarzy się okoliczność sprzyjająca ucieczce! Lecz i ta nikła nadzieja miała się rozwiać. Gdy młody Weller odszedł, Indianie zwinęli obóz, by ruszyć w kierunku hacjendy. Przywiązano mnie do konia tak mocno, że chyba cud uwolniłby mi z więzów choć mały palec! Ponadto dwóch czerwonych wzięło mnie pomiędzy siebie, związawszy razem wszystkie trzy konie. Chwilę przedtem miałem jeszcze słabą nadzieję, że uda mi się popędzić wierzchowca, by uniósł mnie, chociaż związanego. Teraz nie mogłem już ani o tym myśleć.

Hacjenda była stracona!

WINNETOU

A więc hacjenda była stracona!

Czyżby rzeczywiście? Był jeszcze jeden, jedyny ratunek, lecz tylko w wypadku, gdyby zaprowadzili mnie w jej pobliże, aby można było usłyszeć ostrzegawcze okrzyki. Postanowiłem uczynić to, choćby groziła mi nawet śmierć.

Niestety Indianie odgadli mój zamiar czy też zachowali zwykłe środki ostrożności, dość, że po kwadransie jazdy pięciu czerwonych zatrzymało się wraz ze mną, podczas gdy reszta ruszyła dalej. Staliśmy w szczerym polu. Gdyby przynajmniej ocieniały nas drzewa, może udałoby mi się umknąć pomimo krępujących więzów. Tutaj nie mogłem marzyć o ucieczce! Nie bacząc na to, czerwoni strzegli mnie w wyrafinowany zaiste sposób: ręce i nogi miałem przywiązane do wbitych w ziemię kołków, a więc byłem po prostu rozkrzyżowany.

Panowało głucho milczenie. Wtem usłyszałem jakiś niewyraźny, jakby metaliczny odgłos pochodzący z daleka. Poznałem — było to echo bojowego okrzyku Indian.

Nie mogę opisać, co się ze mną działo. Owładnęła mną taka wściekłość, że musiałem całą siłą woli zapanować nad sobą, by nie zdradzić uczucia, które mi pierś rozsadzało. Wrzask się powtórzył. Była to zwycięska fanfara Indian. Widocznie nie stawiano oporu. Napad się udał!

Upłynęła godzina, jedna i druga, a nikt nie nadchodził. Zrozumiałem, że żaden z tych łotrów nie chce opuszczać hacjendy, gdzie zapewne rozpoczęło się już plądrowanie. Wreszcie po trzech godzinach zjawił się, a raczej nadbiegł jeden z wojowników. Opowiedział z radością, że wszystko poszło jak z płatka i można jechać do hacjendy. Osiodłano konia i ruszyliśmy. W lesie napotkano młodszą latorośl domu Wellerów. Były steward (pozostał tutaj, nie chcąc się pokazywać w hacjendzie. Obrął sobie miejsce, z którego mógł wszystko widzieć i słyszeć. Leżał na trawie, przy nim stał koń przywiązany do drzewa. Zobaczywszy nas, podniósł się i zawołał:

— Co teraz pan powie, master? Gdyby nawet poruszyć niebo i ziemię, nie zmieni to ani na jotę niemilej dla pana rzeczywistości! Hacjenda jest nasza, a dla pana wybiła ostatnia godzina!

Miałem zamiar nie odpowiadać wcale, a jednak nie mogłem się powstrzymać i zawołałem:

— Raczej dla ciebie, łotrze! Dosięgnę cię, skoro tylko będę wolny; w to możesz nie wątpić!

— Zrób to, zrób to! — zaśmiał się. Zostać zastrzelonym przez Old Shatterhanda, to nie tylko zaszczyt, ale po prostu rozkosz. Przyjdź więc jak najprędzej! Będę cię oczekiwał z tęsknotą!

Ten człowiek śmiał się w żywe oczy, ja jednak pomimo beznadziejnej sytuacji miałem wrażenie, że skierowuję już na niego wylot swej strzelby, że słyszę jej krótki, ostry huk.

Wyjechawszy z lasu, dostaliśmy się na owe łąki, wśród których widziałem dawniej trzody hacjendera. Trzody pasły się i teraz. Warty jednak trzymali przy nich czerwoni; zamordowani pasterze leżeli w trawie, żaden z nich nie uszedł z życiem.

Zatrzymaliśmy się przed hacjendą na odległość strzału. Leżeli tam na ziemi skępowani emigranci, między nimi hacjendero. Ten, zobaczywszy mnie, zawołał:

— Pan tutaj, senior? Skąd pan tu się wziął?

— Chciałem pana ratować, lecz niestety sam dostałem się w ręce morderców. Czy teraz przyznaje, senior, że miałem słuszność?

— Miał pan słuszność, ale przecież niepełną. Napad sprawdził się, lecz Melton jest niewinny, jak się pan może sam o tym przekonać!

Wskazał głową w bok, gdzie leżał Melton i Weller senior, również związani. Była to oczywiście komedia, za pomocą której chciano udowodnić, że nie mieli oni nic wspólnego z

dziełem czerwonoskórych. Zamierzałem objaśnić hacjendera, gdy w tej samej chwili porwali mnie strażnicy i uprowadzili tak daleko, że nie mogliśmy już więcej ze sobą rozmawiać.

Przede mną rozgrywała się dzika scena. Brama hacjendy stała otworem, Indianie przechodzili całymi gromadami tam i z powrotem, wynosząc z budynków wszystko, co tylko dało się zabrać. Pozostały chyba jedynie futryny okien, drzwi oraz gwoździe w ścianach.

Grabież trwała prawie do południa. Potem spędzono trzody i zgromadzono je na wolnej przestrzeni na północ od hacjendy; mieli je pilnować Indianie. Skoro się z tym uporano, przywleczono ciała zabitych pasterzy, wrzucono je do domu, ażeby spłonęły razem z wszystkimi zabudowaniami. Wkrótce podniosły się gęste kłęby dymu, najpierw z głównego budynku, potem z małych domków stojących na podwórzu. Słyszałem, jak hacjendero krzyczał z przerażenia, żona wtórowała mu głośnym lamentem.

A miało spaść na niego jeszcze gorsze nieszczęście. Trzydziestu czy czterdziestu czerwonych wsiadło na konie i pojechało w różnych kierunkach. W jakim celu, tego nie mogłem się domyślić. Po upływie pół godziny zobaczyłem na wzgórzach, po stronie wschodniej, unoszący się w powietrzu dym, następnie zauważyłem to samo na południu, a wnet potem na północy. Ku zachodowi nie mogłem patrzeć, gdyż leżałem zwrócony głową w tym kierunku. Nie było żadnej wątpliwości: czerwoni podpalili las! Wyschnięta trawa posłużyła za hubkę, którą ogień pożerał z przerażającą szybkością, od niej zajęły się suche gałęzie i pożar wzmógł się wkrótce tak, że płomień dosięgał wierzchołków drzew. Hacjendero prosił, jęczał i klął na przemian — bez skutku, Czerwoni podsycali ogień, dopóki nie rozgorzał tak potężnie, że żadna siła ludzka nie mogłaby go powstrzymać, i nie ulegało wątpliwości, że soczyste rośliny, wysuszone na jej o skwarze, będą musiały spłonąć.

Żar wzmógł cię gwałtownie, zmuszając Indian do natychmiastowego odwrotu. Nałożył koniom siodła juczne i obładowali je zdobytym łupem. Następnie uformował się pochód. Na czele jechał wódz, po nim następowałem ja z moimi pięcioma strażnikami, dalej znowu kilku Indian, a za nimi emigranci z hacjenderem i jego żoną; wszyscy byli skrupowani i eskortowani z obydwóch stron przez czerwonoskórych. Za tymi ostatnimi pędzono zdobyte konie, bydło rogate, owce i świnie. Pochód nasz skierowano na północ, z początku wzdłuż strumienia, potem skoro ten zwrócił: się łukiem na prawo, my zboczyliśmy na lewo i niebawem zatrzyma no się, nie wiem, czy umyślnie czy przypadkowo na tym samym miejscu, gdzie mormon chciał mnie zastrzelić, a gdzie został przeze mnie unieszkodliwiony. Unieszkodliwiony? Niestety, nie! Żałowałem obecnie z całego serca, że nie wpakowałem mu kuli w łeb. Teraz jechał razem z Wellerem obok hacjendera związany tak samo, jak jeńcy.

Strażnicy przywiązali mnie do drzewa stojącego na uboczu; był to dowód, że mi nie ufano. Mógłbym więc mieć słuszne powody do dumy, że czerwoni jedynie po mnie spodziewali się niemiłego figla i, przyznając, wyteżyłem cały swój umysł, aby im go spłatać, przecież chodziło tu nie tylko o mnie, lecz także o uwolnienie wszystkich innych jeńców i odebranie Indianom łupu.

Indianie zarznąli wołu, świnie, wiele owiec i mięso ich upiekli. Wieczere sprawili obfitą. Nawet jeńcy nie mogli się uskarżać na głód. Mnie się dostało tak sporo, że nie mogłem zjeść wszystkiego. Przy tym uwolniono mi znowu ręce na czas jedzenia, okoliczność ta, jeśliby tak zawsze czyniono, stać się mogła dla mnie środkiem ratunku, o ile nie nadarzyłoby się coś lepszego i łatwiejszego.

Nadeszła noc. Położono się wcześniej na spoczynek. Strażnicy owinęli mnie w koc i tak obwiązali sznurami, że nie mogłem się ruszyć. Mimo to spałem dosyć dobrze i na pewno nie byłbym się obudził wcześniej niż nad ranem, gdyby nie pewne wydarzenie, które stanęło temu na przeszkodzie. Mianowicie, poczułem nagle szarpnięcie za włosy i skutkiem tego otworzyłem oczy. Wokoło panował półmrok, a pod drzewem było prawie zupełnie ciemno. W odległości niecałych dwóch łokci od moich stóp siedział jeden ze strażników paląc cygaro, pochodzące zapewne z hacjendy, czterej inni leżeli naokoło mnie i spali.

Kto mnie dotknął. Z pewnością nie żaden z Jumów. Z jakiego powodu miałby mnie w ten sposób budzić ze snu? A gdyby to był uczynił, odezwałby się teraz, powiedziałby, czego chce. Tymczasem wokoło mnie panowała cisza. Pomyślałem natychmiast o moim małym Mimbreniu. Oczywiście, nie odezwałem się ani słowem, tylko poruszyłem kilka razy głową do góry i na dół, ażeby pokazać, że się obudziłem. Mój sprzymierzeniec musiał leżeć poza inną w trawie, wysokiej ponad Stopę, dawała więc ona w ciemności nocy wystarczającą osłonę zwinnemu chłopcu; nawet strażnik siedzący w pobliżu nie mógł go zauważyć. Ale mimo wszystko była to podziwu godna śmiałość, że się odważył przekraść poprzez śpiących wokoło Indian i dotrzeć aż do mnie.

Skoro wykonałem znamienne ruchy głową, posłyszałem za sobą cichy delikatny szmer, jakby się ktoś z największą ostrożnością czołgał w trawie, ów „ktoś” przysunął się tak blisko, że słowa jego znalazła się tu obok mojej, przyłożył usta do mego ucha i szepnął ledwie dosłyszalnym głosem:

— Jestem Mimbrenio! Jaki rozkaz ma Old Shatterhand dla mnie?

A więc to on był rzeczywiście! Uczułem głęboką radość. Ten chłopiec obok wielkiej odwagi posiadał bystrość i przebiegłość, która mu była potrzebna jako przyszłemu wojownikowi. Pragnął sobie zdobyć imię, był przekonany, że jego życzenie spełni się prędzej u mego boku niż gdzie indziej. Dobrze więc, jeśliby wykazał się w tym stopniu co teraz zaletami wojownika, to pragnienie jego mogło się ziścić w bardzo krótkim czasie.

Zanim mu odpowiedziałem, nasłuchiwałem kilka chwil, ażeby się przekonać, czy przypadkiem ostatecznie jego poruszenia nie zbudziły któregoś ze śpiących strażników. Ponieważ nie zauważyłem nic podejrzanego więc zwróciłem się ku niemu i szepnąłem, jak mogłem najciszej:

— Czy masz konie?

— Tak — odpowiedział Indianin równie cicho.

— I wszystkie moje rzeczy?

— Wszystkie.

— Gdzie?

— Nie opodal hacjendy, umocowane na skale, gdzie nie można znaleźć śladów.

— Bardzo roztropnie. Jak przyszedłeś tutaj?

— Widziałem, że Old Shatterhand chciał mnie oswobodzić i że został wzięty do niewoli. Przeczuwałem, że Jumowie będą mnie szukać i znajdą konie. Chciałem odwieść od nich nieprzyjaciół i dlatego pośpieszyłem przez równinę ku terenowi skalistemu, gdzie prześladowcy stracili mój trop. Szczep Mimbreniów zna szybkość moich nóg, żaden Juma nie mógł mnie dopędzić, zostali daleko w tyle. Skoro zorientowałem się, że zgubili mój ślad, pobiegłem łukiem, ażeby nie spotkać Jumów, z powrotem ku dolinie, tam ległem czatując. Widziałem ich, wracających z niczym. Obserwowałem obóz. Gdy wyruszyli, zabrałem nasze konie i pojechałem za nimi, ażeby uwolnić Old Shatterhanda. Oddam chętnie swoje życie, ponieważ Shatterhand został schwytany z mojego powodu.

— Odważasz się na wiele, widzę jednak, że jesteś dosyć ostrożny i roztropny, ażeby wszystkiemu podołać. Myślę że z twoją pomocą będę wkrótce wolny.

— Wkrótce? Czemu nie zaraz? Mam nasze noże, więc rozetnę ci więzy.

— Nie, ja się sam uwolnię. Ponieważ jednak moje nogi są ścierpięte od więzów i nie mógłbym biec daleko, więc życzę sobie, żebyś był w pobliżu w chwili mojej ucieczki i trzymał konie gotowe do drogi

— Pójdę trapem Jumów i skoro tylko rozłożą się obozem, będę czekał na ciebie w ukryciu.

— Ale z największą ostrożnością. Muszę wiedzieć, w jakim kierunku mam cię szukać. Postępuj zawsze z tyłu za obozem. Chciałbym także znać jak najdokładniej miejsce, w którym się będziesz zatrzymywał.

— Jak mam cię o nim zawiadomić, skoro nie mogę się z tobą rozmówić?

— Czy umiesz naśladować głos jakiego ptaka?

— Kuglarz naszego szczepu umie mówić głosami wszystkich zwierząt, a ja byłem jego uczniem. O jakim myślisz zwierzęciu czy też ptaku?

— Musimy wybrać takie zwierzę, które się odzywa we dnie i w nocy, gdyż nie wiem, kiedy mi się nadarzy sposobność ucieczki. Słyszając, skąd dochodzi ów głos, będę wiedział, gdzie jesteś.

— Zwierzę, którego głos rozbrzmiewa i w dzień i w nocy jest rzadkością. Czy nie byłoby lepiej, wybraćienne i nocne zwierzę?

— Może być i tak, jeśli ci to przyjdzie łatwiej. A przecież meksykańska żaba łąkowa przebywa wszędzie, zarówno w lesie, jak i na otwartym polu, i odzywa się o każdej porze dnia i nocy. Jej głos byłby najodpowiedniejszy.

— Dobrze, jak Old Shatterhand sobie życzy! Umiem tak doskonale naśladować głos tej wielkiej żaby, że zmylę najbystrzejsze ucho.

— To mnie cieszy. Słuchaj więc, co ci teraz powiem! Prawdziwe szczęście, że przyniosłem z hacjendy tak dużo mięsa, masz jadła w bród i nie musisz odrywać się od swego zadania. Nie wiem, kiedy stąd wyruszymy i gdzie będziemy obozować. Masz iść za nami, oczywiście w odpowiednim oddaleniu, a skoro się rozłożymy obozem, wyszukasz sobie ukrycie jak najbliższe, ale też zupełnie bezpieczne. Potem zaczekasz na spokojną chwilę w obozie i wydasz trzy razy krzyk żaby łąkowej, nie raz po raz, gdyż to wzbudziłoby podejrzenie, tylko w odstępach, wynoszących mniej więcej kwadrans. Jeślibym przy pierwszym okrzyku miał wątpliwość co do miejsca, w którym się znajdujesz, to drugie i trzecie wołanie wskaże mi je dokładnie. Od trzeciego okrzyku musisz być przygotowany na natychmiastowy odjazd ze mną.

— Będę tak pilnie czuwał, że zobaczę cię nadbiegającego i wyjdę naprzeciw.

— Pięknie! Mój koń musi być gotów do jazdy. Nie mogę tracić ani chwili, gdyż prześladowcy będą tuż za mną. Tak samo muszę mieć pod ręką sztucer, tę małą strzelbę, z której mogę mierzyć dużo razy bez ładowania. Masz go przecież?

— Mam go.

— Spodziewałem się tego. Daj mi teraz nóż, wszak masz go przy sobie?

— Jak mogę dać ci nóż, skoro twe ręce skrępowane? Czy wsunąć go w koc, którym jesteś owinięty?

— To niemożliwe, ponieważ koc jest zbyt silnie ściągnięty, a zresztą znaleziono by go zaraż, gdyż na dzień zdejmują ze mnie tę derkę. Wetknij nóż w ziemię, w pobliżu mojego prawego łokcia tak, żeby rękojeść nieco wystawała. Nie zobaczą jej, trawa jest gęsta.

— Czy potrafisz pomimo więzów wyciągnąć go i schować?

— Potrafię. A teraz idź! Za długo już rozmawiamy, zmiana warty może nastąpić w każdej chwili.

— Idę. Przedtem jednak ulżyj całkowicie mojemu sercu! Popełniłem błąd nie do przebaczenia, a ty jesteś tak dobry, że nie powiedziałeś mi nawet słowa wyrzutu. — Czy odmówisz mi przebaczenia?

— Nie! Byłeś zbyt śmiały, zbliżając się do Jumów, tak że mogli cię zobaczyć, ale tej właśnie odwadze— mam do zawdzięczenia, że cię teraz widzę przy sobie.

— Dziękuję ci! Moje życie należy do ciebie.

Wetknął nóż w ziemię i cofnął się tak cicho, że nawet ja nie słyszałem tego, chociaż uważałem na wszystko. Po pewnym czasie rozbrzmiał z oddali głuchy krzyk żaby łąkowej, który miał mi powiedzieć, że mały Mimbrenio powrócił szczęśliwie.

Teraz byłem pewien, że ucieczka się uda. To przekonanie odjęło mi wszelką troskę i skutkiem tego zasnąłem na nowo tak spokojnie, jakbym był już na wolności.

Rankiem zbudziła mnie wrzawa życia obozowego. Strażnicy odwinęli ze mnie derkę, gdyż za dnia uważali tę ostrożność za zbyt dużą. Udałem, że sen mnie jeszcze chwyta, obróciłem

się na i bok i posunąłem, niepostrzeżenie wstecz tak, że ręce moje znalazły się mniej więcej na równej linii z nożem tkwiącym w ziemi.

Rąk już nie miałem tak silnie związanych, jak poprzednio, palcami mogłem poruszać. Toteż skoro po chwili obróciłem się powtórnie i położyłem na brzuchu, spieszenie zacząłem domacywać się rękojeści noża. Musiałem jednak szukać przynajmniej dziesięć minut, zanim wyczułem jej koniuszek wystający z ziemi najwyżej na dwa cale. Jeszcze dłużej trwało wydobywanie noża z ziemi, gdyż nie mogłem podźwignąć tułowia i wyciągnąć ostrza pionowo. Gdy już tego dokonałem, wiele musiałem zużyć trudu i czasu, zanim udało mi się wsunąć go końcami palców pod kamizelkę i nadać mu tam takie położenie, aby nie mógł wypaść.

Szczęśliwym trafem nie wcześniej, aż to wykonałem, odwrócono mnie, ażeby rozwiązać mi ręce do jedzenia. Podano znowu obfite śniadanie, ponieważ, jak się wkrótce przekonałem, mieliśmy wyruszyć w drogę do wsi Juma; trzody popędzono naprzód. Wojownicy, którzy nie byli tym zajęci, pozostali jeszcze jakiś czas w obozie, gdyż nietrudno im było później odpędzić powoli idące zwierzęta. Po trzech godzinach drogi rozdzielono pochód na dwa oddziały. Mniejszy rozbił obóz na nowo i miał strzec jeńców jeszcze przez dwa dni, a potem wypuścić ich. Zarządzono tak dlatego, ażeby hacjendero nie znalazł czasu na sprowadzenie pomocy i dopędzenie Jumów z trzodami, zanim ci znajdą się w bezpiecznym oddaleniu. Drugi oddział, prowadzony przez Vete-ya wyruszył w dalszą drogę, zabierając mnie oczywiście ze sobą. Ażeby zaś czujność straży nie osłabła, przydano mi pięciu nowych wartowników. Gdy odjeżdżaliśmy, posłyszałem głos wołającego za mną mormona:

— Farewell*, master! Pozdrów ode mnie diabła, gdy po kilku dniach powie ci w piekle „dzień dobry”!

Udało mu się, niestety, wprowadzić w czyn szatański zamach na hacjendę, a teraz był przekonany, że uwalnia się ode mnie na zawsze.

Wszakże mnie wieziono, abym zginął przy palu męczarni.

Pochód sunął w znanym mi dobrze kierunku, mianowicie Wprost ku lasowi Wielkiego Dębu Życia. Z początku okoliczność ta wydawała mi się pocieszająca, ponieważ mogliśmy łatwo spotkać się z Mimbreniami, którzy mieli właśnie w tych dniach przybyć do lasu. Rozważywszy jednak dokładnie sytuację zmiarkowałem, że nie powinienem życzyć osobie tego spotkania, gdyż groziłoby mi ono wielkim niebezpieczeństwem. Przewidywałem bowiem, że w razie napadu Jumowie zabiliby mnie raczej, niż mieliby pozwolić, ażeby Mimbreniowie mnie uwolnili.

Niebawem jednak okazało się, że obawy były płonne. W lesie zwróciliśmy się na prawo, podczas gdy moi sprzymierzeńcy mieli nadjechać z lewej strony, od tej więc chwili mogłem uważać spotkanie prawie za wykluczone.

Las rozciągał się bardzo szeroko. Wieczór nadszedł, a jeszcze nie dotarliśmy, do jego kresu. Oczywiście, trzody zrabowane nie pozwalały na szybki pochód. Powolność, która w innym wypadku zniecierpliwiałaby mnie, w obecnej chwili szczęśliwie podwajała czas, jedyny, jaki mogłem wykorzystać do ucieczki.

Czekałem na znak Mimbrenia. Niestety, głos żaby łąkowej rozbrzmiał dopiero wtedy, gdyśmy już zjedli i gdy byłem znów owinięty w derkę. Dzisiaj więc nie mogłem uciec. Jednak świadomość, że pomoc jest w pobliżu i że sprzymierzeniec dokładnie trzyma się moich wskazówek, była dla mnie wielkim uspokojeniem. Mimbrenio znajdował się, jak to rozpoznałem po krzyku, bardzo blisko obozu, na miejscu jednak bezpiecznym, gdyż las dawał mu pewną i niezawodną osłonę.

Następnego dnia wyruszyliśmy w dalszą drogę. Wodzowi cknęła się zapewne tak powolna jazda, więc postanowił wyjechać naprzód, a na przybycie trzód czekać przy wieczornym

* Zegnaj!

obozowisku. Wziął ze sobą połowę wojowników i mnie ze strażnikami. Niebawem trzody zniknęły nam z oczu. Krok ten pokrzyżował mi plany zupełnie. Mimbrenio mógł jedynie z wolna podążać za trzodami i zbliżyć się do obozu dopiero po ich przybyciu, a wtedy znowu owinięty w straszliwą derkę i bezwładny jak niemowlę nie będę mógł nawet myśleć o ucieczce.

Jak przypuszczałem, tak się stało. Po kilku godzinach drogi skończył się las. Jechaliśmy jeszcze jakiś czas przez kraj miejscami pustynny, gdzieniegdzie znowu o charakterze stepowym, i wreszcie zatrzymaliśmy się, gdy nadeszła pora południowego posiłku. Ręce mi rozwiązano, mogłem spróbować ucieczki. Jak daleko jednak byłbym uciekł? Albo może wskoczyć na jednego z pasących się koni? Także nie. Pasły się bez dozoru, rozproszone na wszystkie strony. Najbliższy był tak oddalony, że wprawdzie mógłbym dobiec do niego, zanim pochwycono by mnie, ale miałbym wnet na karku wszystkich Indian uzbrojonych od stóp do głów, podczas gdy ja byłem zaopatrzony jedynie w nóż, ponadto nie mogłem przypuszczać, że dosiędę właśnie najszybszego konia. Nie, musiałem zrezygnować z próby, która łatwo mogła mi zgotować śmierć.

Po południu jechaliśmy przez taką, samą równinę, wieczorem rozbiliśmy obóz na szerokiej, otwartej łące. Po kolacji owinięto mnie w derkę. Trzody nadeszły dopiero, gdy noc już zapadła, a wkrótce potem usłyszałem trzykrotny skrzek żaby łąkowej. Jak przewidziałem, Mimbrenio przyszedł za późno; o ucieczce nie było mowy. Czułem litość nad biedakiem, że wyrzekął się snu nadaremnie.

Przyszedł dzień następny, a po nim czwarty. Gdy się nadarzała sposobność do ucieczki, nie było mojego towarzysza, a gdy dawał mi znak, że jest w pobliżu, chwila przychylna już była za mną. Jednakże piąty dzień miał przynieść zmianę.

Droga prowadzić od samego poranka przez skaliste wzgórza, doliny wąskie i ciemne wąwozy. Tutaj nie mogli się czerwoni rozdzielać, gdyż często konieczna była podwójna liczba poganiaczy. Obudziło się we mnie przecucie, że dzisiaj nastąpi rozstrzygnięcie. Przy spoczynku południowym nie zawijano mnie nigdy w koc, a ukształtowanie okolicy pozwalało mojemu towarzyszowi postępować tak blisko za nami, jak tylko mogłem sobie życzyć.

Na krótko przed południem przeszliśmy przez dziki, wijący się licznymi zakrętami wąwóz. Naraz oczom naszym ukazała się duża polana, pokryta wysoką trawą, sterczały na niej z rzadka rozsiane krzaki. Bydła nie można było powstrzymać, ruszyło pędem z wąwozu na zieloną wabiącą łąkę i rozpieczęło się w przeciagu kilku minut po całym jej obszarze. Czerwonoskórzy poganiacze zadali sobie wiele trudu, zanim spędzili je znowu w gromadę.

Wódz natychmiast rozkazał, ażeby mnie odwiązano od konia i położono na ziemi. Strażnicy usiedli przy mnie. Dokoła rozbito obóz w odległości mniej więcej; czterystu kroków od ujścia wąwozu.

Z rozkazów wydanych przez wodza domyśliłem się, że dzisiaj nie pojedziemy dalej. Zrabowane trzody były tak wyczerpane marszem ostatnich czterech dni, że musiano im dać wypoczynek przynajmniej do jutrzejszego poranka, ażeby mogły wytrzymać trudy dalszej drogi. Rozbito namioty. Podczas gdy wojownicy byli tym zajęci, wódz podszedł do miejsca, na którym leżałem i usiadł na ziemi w odległości kilku kroków ode mnie. Właśnie w tej chwili zabrzmiał pierwszy krzyk żaby łąkowej, na który jednak żaden z Indian nie zwrócił uwagi.

Vete-ya założył stopy jedna na drugą, skrzyżował ręce na piersiach i zatopił we mnie kłujący, przenikliwy wzrok. Domyśliłem się, że rozpocznie teraz coś w rodzaju przesłuchania, choć do tej pory nie zaszczycił mnie jeszcze rozmową. Po chwili zaczął od niezbyt wybrednego pytania:

— Jesteś bladą twarzą, czy tak?

— Tak — odpowiedziałem. — Czy nie odróżniasz barw, że uważasz mnie za Indianina?

Omiijając moje pytanie, wódz ciągnął dalej:

— I nazywasz się Old Shatterhand?

— Nie ja się tak nazywam, lecz zarówno sławni biali, jak wojownicy i wodzowie czerwoni nadali mi tę imię.

— Nadali je niesłusznie! Twoje imię jest kłamstwem. Twoja ręka jest związana, nie potrafi zdruzgotać ani chrząszcza, ani robaka, a tym bardziej człowieka. Popatrz, jak szacuję twoje imię.

Powiedziawszy ostatnie słowa splunął na mnie. Ja zaś odpowiedziałem obojętnie:

— Jeśli moje imię jest kłamstwem, to twoje zawiera tym więcej prawdy. Nazywają cię Wielka Gęba i rzeczywiście posiadasz pysk tak rozdziawiony, że na próżno by podobnego szukać. Ja na twoim miejscu nie byłbym z tego dumny. Nie jest chwałą i bohaterstwem pluć na jeńca, kiedy ten nie może się zemścić, ponieważ jest całkowicie skrepowany. Wykaż prawdziwą odwagę: zdejmij mi więzy i walcz ze mną! Wtedy się przekonasz, kto kogo zdruzgotuje: ty mnie czy ja ciebie!

— Milcz! — huknął na mnie. — Jesteś jak ta żaba, która tam z tyłu rechocze. Jej skrzeczeniem gardzę.

Właśnie w tej chwili rozbrzmiał drugi krzyk żaby łąkowej. Słowa wodza pozwoliły mi spojrzeć otwarcie ku ujściu wąwozu bez obawy, że wzbudzę tym podejrzenia strażników. Krzyk pochodził z tak niewielkiej odległości, że Mimlbrenio musiał się chyba ukryć tuż za najbliższym występem skalnym. Podniosłem głowę jeszcze wyżej, ażeby mu pokazać, że patrzę w tym kierunku, i rzeczywiście ujrzałem, jak mała brunatna ręka chłopca wysuwa się spoza krawędzi skały, aby zniknąć natychmiast. Kto by nie wiedział z góry, że się tam znajduje człowiek, nie dostrzegłby ręki wcale.

Teraz byłem już stanowczo zdecydowany uciec. W przeciągu kwadransa, a najwyżej pół godziny musiałem odzyskać wolność albo — legnąć trupem. W tej myśli dałem wodzowi odpowiedź, która inaczej byłaby bardzo śmieszna:

— Nie pogardzam tym skrzeczeniem, ale cieszę się z niego. Czy znasz głosy zwierząt?

— Znam je wszystkie.

— Pytanie moje rozumiałem inaczej, mianowicie, czy rozumiesz mowę zwierząt?

— Żaden człowiek jej nie rozumie!

— Ja ją przecież rozumiem. Czy mam powiedzieć, jakiej wiadomości udziela ci ta żaba?

— Powiedz, owszem — odparł, śmiejąc się pogardliwie.

— Żaba powiada, że poniesiesz dzisiaj stratę i skutkiem tego powrócisz tą samą drogą, którą tu przyjechałeś.

— Wielki Duch pomieszał ci zmysły!

— Nie, wyćwiczył je i zaostrzył.. Słyszę huk padających strzałów, słyszę tętent waszych koni i wycie wściekłości waszych wojowników, będziecie walczyli z dwoma ludźmi, jednym dużym i jednym małym, i nie będziecie mogli ich zwyciężyć. Hańba was okryje, a ci, z których szydziliście, wyśmieją was!

Wódz otworzył już usta do gniewnej odpowiedzi, rozmyślił się jednak, opuścił ramiona i wbił we mnie poważny, zamyślony wzrok.

— Czy rozumiem cię dobrze? Old Shatterhand nie mówi nigdy jak szaleniec. Jego mowa ma zawsze sens, nawet wtedy, gdy się jej nie rozumie. Co chcesz wyrazić tymi słowami? O jakiej hańbie mówisz?

— Pomyśl nad tym, może się dowiesz. A jeśli nie, to zaczekaj. Wkrótce stanie się to, o czym mówię!

Vete-ya myślał przez chwilę tak gorliwie, że aż oczy w słup postawił, następnie zawołał:

— Znalazłem, wiem już! Hańba tutaj, a potem pojedziemy z powrotem? Ty myślisz, że będziesz mógł uciec i że będziemy cię ścigać aż do owej doliny poza hacjendą, gdzie ten młody pies Mimbreniów ciągle jeszcze czeka na ciebie. Przypuszczasz dalej, że będziemy tam z tobą i z nim walczyć i nie zwyciężymy. Old Shatterhand chce mnie rozgniewać, ażeby

móc się śmiać ze mnie jak z dziecka, zawiódł się jednak. Chce nas wprawić w niepewność, abyśmy dzięki niej popełnili jaki błąd. Tak jest, Old Shatterhand nie czyni nic bez namysłu, ale tym razem się przeliczył!

— Uff, uff! — zawołali strażnicy na znak, że są tego samego zdania. W tej chwili Mimbrenio dał trzeci znak. Vete-ya zawołał z wściekłością.

— Czy słyszysz, jak znowu skrzeczy? Tak samo skrzeczysz i ty. Odtąd będę surowszy, żeby ci odjąć ochotę i nadzieję ratunku. Jak prawdą jest, że słyszysz głos tej żaby, tak prawdą jest, żeś już zgubiony!

— Mylisz się. Jak prawdą jest, że słyszę skrzeczenie, tak prawdą jest, że nie możecie mi nic złego uczynić!

— Dobrze więc, udowodnię a to! Odtąd będziesz stale owinięty derką, na każdym obozowisku, skoro tylko zdejmą cię z konia. Wtedy przekonasz się, czy potrafisz uciec! Rozwiążcie ręce — zwrócił się do moich strażników — i dajcie mu mięsa, potem zawinę go w koc. Od dzisiaj będę to sam zawsze czynił, żeby temu psu odebrać nawet cień nadziei!

Jeden ze strażników przyniósł mięso, inni zdjęli mi rzemienie z rąk. Chwila działania rozstrzygająca o moim losie była już blisko. Mimo to okazywałem i w duchu czułem zupełny spokój. Tak być musi. Kto w takiej chwili drży i traci pewność siebie, temu niełatwo uda się przeżyć ją szczęśliwie.

Porcję suszonego mięsa pocięto mi na długie, cienkie skrawki, które mogłem z łatwością rozgryzać zębami, nie używając noża. Żułem je tak powoli i niewinnie, jak gdybym poza apetytem do niczego w świecie nie przykładał wagi. Podniosłem się przy tym i przeginałem, trzymając nogi i stopy w ten sposób, że mogłem jednym ruchem rozciąć wszystkie więzy i rzemienie, którymi byłem skrupowany. Dwa cięcia wymagały już za wiele czasu, chociaż różnica wynosiła jedno mgnienie oka. Życiu moje zależało od ułamków sekundy.

Wódz obserwował mnie z ponurym wyrazem twarzy, gniewała go moja powolność i wygodnictwo w jedzeniu.

— Kończ prędej! — rozkazał. — Nie myślę tak długo na ciebie czekać!

Ażebym uzyskać czas potrzebny do pochylenia się naprzód i wyciągnięcia noża, udając przestрах wobec nagłego i ostrego rozkazu, wypuściłem mięso z rąk. Nikogo więc nie zdziwiło, że się pochylałem, ażeby je podnieść, wyciągnąłem po nie lewą rękę. Podczas gdy oczy wszystkich były zwrócone na mięso i dłoń lewą, sięgnąłem prawą pod kamizelkę odpowiadając:

— Prędej? Dobrze, niech się więc zaraz stanie. Uważaj!

Przy ostatnim słowie miałem już ostrą klingę noża między ciałem a rzemieniem; jedno cięcie — zerwałem się, postawiłem wodzowi prawą nogę na ramieniu i przeskoczywszy przez niego popędziłem wprost przed siebie ku ujściu wąwozu. Muszę przyznać, że gdy po skoku przez głowę wodza dotknąłem nogami ziemi, odniosłem wrażenie; jakby się nogi załamały pode mną, musiałem jednak biec dalej, więc biegłem; mus podsyca siły. W pierwszej chwili, gdy przelatywałem ponad trawą długimi skokami, panowała za mną najgłębsza cisza, cisza wywołana niespodzianką i zaskoczeniem. Wszyscy zgłupieli po prostu; myśl niewiarygodna stała się tak nagle rzeczywistością. Potem jednak — gdy przebiegłem może sto kroków — rozwiął się czar i zabrzmiało z tyłu wycie, jakby chór tysięcy diabłów akompaniował mojemu popisowi. Nie oglądając się jednak, pędziłem dalej. Musiałem wyteńczyć od razu wszystkie siły, żeby dobiec do konia. W stanie, w jakim się znajdowałem, nie byłbym wytrzymał takiego biegu nawet przez dwie minuty.

Wtem ujrzałem mojego Mimbrenia wychodzącego spoza skały. Trzymając w prawej ręce swoją strzelbę, a w lewej mój sztucer popędził naprzeciw mnie. Jeszcze z daleka zawołałem do niego:

— Czy konie są tutaj, za skałą?

— Nie, poza pierwszym zakrętem.

- Ile kroków?
- Pięć razy po sto.
- Pięć razy po sto.

O, biada! Jeszcze pięćset kroków w takim tempie! Nie, nie zdołałbym przebiec ich zdętwiałymi nogami, dopędzono by mnie na pewno. Wobec tego nie mogłem oszczędzać Indian. Krew musiała niestety popłynąć, chociaż — jak zawsze — byłbym najchętniej uniknął jej rozlewu.

W biegu wyrwałem chłopcu sztucer z ręki i obmacałem zamek; wzorowy porządek, w jakim był utrzymany, tak pokrzepił moje siły, że stanąłem i obejrzałem się za prześladowcami. Byłem przekonany, że nie tracili czasu na szukanie broni palnej, lecz starali się dopędzić mnie jak najprędzej. Teraz okazało się, że tak było rzeczywiście. Biegli bezradną kupą, krzycząc i machając rękami w powietrzu, na przedzie moi strażnicy i Vete-ya.

— Stać, bo strzelałem! — Zawołałem do nich.

Choć nie bardzo pewnie stałem na osłabianych nogach, przypuszczałem, że trafię. Przyłożyłem broń do oka. Jumowie, nie zważając na przestrogę, zbliżyli się już mniej więcej na sto kroków. Wobec tego dałem dwa strzały; dziewięćdziesiąt kroków, znowu dwa strzały; osiemdziesiąt, siedemdziesiąt, sześćdziesiąt kroków — po dwa strzały na każdą dziesiątkę; było to razem dziesięć kul, z których każda utkwiała w biodrze jednego ze ścigających. Trafieni padali natychmiast, inni zobaczywszy to stracili pewność siebie.

— Stać! — zawołałem powtórnie. — Powystrzelałem was do nogi! Jeszcze dwie kule, obie celne. Dzielnym Mimbremio stał przy mnie i strzelał także. Ja wrogów raniłem, jego kula niosła śmierć. Indianie stanęli, nie mieli ochoty narażać się na dalsze strzały. Wielu pobiegło z powrotem, ażeby przynieść strzelby. Jeden jednak pędził dalej zaślepiony gniewem: był to Vete-ya. Krzycząc ze wściekłości, jak dzikie zwierzę, wywijał nożem, jedyną bronią, jaką posiadał w tej chwili; ścisnął nóż w lewą rękę, gdyż prawą miał bezwładną od czasu naszego pierwszego spotkania, gdy ratowałem moich Mimbreniów od śmierci. Popępiał po prostu szaleństwo, goniąc za mną w ten sposób; nieostrożność tę mogło wytłumaczyć tylko nadzwyczajne podniecenie. Ponieważ nie chciałem okaleczyć mu i drugiej ręki, zdecydowałem się nie strzelać, lecz przyjął go uderzeniem koliby w głowę. Był już blisko, podnosząc wysoko nóż do pchnięcia, rzucił się na mnie. W tym jednak momencie uskoczyłem w bok i zamierzyłem się odwróconym sztucerem, klinga wodza przecięła powietrze, mój cios kolbą rozciągnął go nieprzytomnego, na ziemi.

Wojownicy, którzy to widzieli, podnieśli przeraźliwy wrzask, przypuszczając, że ogłuszyłem wodza tylko po to, żeby go spokojnie zakłuć. Ci z nich, którzy pobiegli po strzelby, wracali teraz. Inni, przezorniejsi, pędzili do swoich koni. Nie mogliśmy dłużej zwlekać. Pospieszaliśmy więc do wnętrza wąwozu, ażeby dosiąść wierzchowców.

Chłopiec wyprzedził mnie oczywiście, tak, że zanim przebiegłem trzysta kroków, zniknął już na zakręcie. Po chwili ukazał się z powrotem, siedząc na koniu i prowadząc mojego za uzdę. Podjechał galopem, naprzeciw mnie, w mig siedziałem w siodle, a był już najwyższy czas, bo właśnie w tej chwili ukazali się pierwsi Jumowie uzbrojeni w karabiny. Wystrzelili, chybiając w pośpiechu. Obróciliśmy konie na miejscu i pocwałowaliśmy przez wąwóz tą samą drogą, którą Jumowie przybyli tutaj ze mną przed południem.

Byłem pewien, że nie będą szczędzić wysiłków, żeby mnie znowu schwytać przede wszystkim dlatego, że mieli pomścić śmierć Gaty-ya, a też modą ucieczką z niewoli. Twardo trzymali mnie w rękach, szydzili te mnie, przydali mi pięciu strażników, chociaż byłem otoczony prawie setką Indian; ja zaś powiedziałem im zupełnie otwarcie, że ucieknę, i dokonałem tego nie w nocy pod osłoną ciemności, lecz w biały dzień na oczach wszystkich wojowników. Przy tym okulałem dwunastu z nich na całe życie, a dwóch zastrzelił Mimbrenio. Jaka hańba, nie tylko dla nich, ale dla całego szczepu. Hańba niezmyta, którą złagodzić mogli jedynie, biorąc mnie do niewoli po raz drugi i zadając śmierć!

Z tych powodów wnosiłem, że będą mnie ścigać zaciekle, do skutku. Jeśli stu ludzi nie zdołało mnie zatrzymać, to ilu potrzeba, aby mnie znowu schwytać? W każdym razie więcej! A tych nie było. Przeciwnie, liczba Jumów zmalała o czternastu. Dwunastu zranionych musiano pielęgnować, nie mogli ruszyć w dalszą drogę, gdyż kula w biodrze jest raną bardzo niebezpieczną. Skąd więc wziąć ludzi do transportowania zrabowanych trzód?

Rozważywszy to wszystko doszedłem do przekonania, że Vete-ya, gdy oprzytomniał, wydał następujące zarządzenia: trzody muszą na razie pozostać na miejscu, ranni zostaną także, a z nimi tylu wojowników, ilu potrzeba do ich opieki i dozoru nad zwierzętami. Wszyscy inni muszą wyruszyć, żeby dopędzić Old Shatterhanda i uratować honor szczepu. Prawdopodobnie więc miałem za sobą czterdziestu lub pięćdziesięciu prześladowców których gorliwość była tym większa, że do dawnych porachunków przybyły nowe.

Mógłbym z łatwością uciec im natychmiast, gdybym skręcił na prawo lub na lewo, popełniłbym jednak błąd, bo straciwszy z oczu moje ślady i przekonawszy się o bezowocności dalszego pościgu, powróciliby do trzód, aby na nowo podjąć przerwana jazdę do swojej wsi. Trzody byłyby dla hacjendera stracone. Ponieważ chciałem właśnie zachować je dla niego, musiałem zwrócić uwagę prześladowców na moje tropy.

Kiedy podzieliłem się myślami z moim towarzyszem, przyjął je z zupełnym zrozumieniem rzeczy i zapytał ze swą nieodstępną powagą:

— Więc Old Shatterhand myśli, że pogoni za nami pięćdziesięciu Jumów?

— Przynajmniej czterdziestu do pięćdziesięciu — potwierdziłem.

— Tylu nie będzie mogło ruszyć natychmiast. Muszą czekać, aż wódz się zbudzi z omdlenia ażeby usłyszeć jego rozkazy.

— Tylko kilku udało się zaraz za nami, żeby nie stracić śladów dopóki inni nie nadjadą.

— Odpowiedzi twoje świadczą, że będziesz kiedyś nie tylko dzielnym wojownikiem, ale roztropnym i przezornym doradcą w zgromadzeniu wodzów i najstarszych plemienia. Życzysz sobie mieć imię? Skoro usiądę z twoimi braćmi przy ognisku powitania, opowiem im, jak wyraźnie udowodniłeś, że jesteś godzien imienia.

— Uff, uff! — wykrzyknął z błyszczącymi radością oczyma, prężąc się w siodle.

— Tak jest, zaproponuję im, żeby ci dali imię.

— Chciałbyś to zrobić rzeczywiście? Moja wdzięczność byłaby tak wielka, jak cała ziemia, i trwałaby aż do końca mego życia!

— Tak, już postanowiłem to sobie.

— Zapytają mnie, jakie imię pokazał mi Wielki Manitou i jaki lek znalazłem? A ja nie będę mógł dać im odpowiedzi!

— Ja im dam odpowiedź, jeśli zapytają.

— Ty?

— Tak, gdyż mam imię dla ciebie.

Na to pochylił głowę, ażeby opanować swoją radość. Chętnie byłby zapytał o to imię, gdyby nie było to sprzeczne z wszelkimi regułami grzeczności i skromności. Dlatego nie omieszkalem sam zaspokoić jego ciekawość.

— Czy możesz się domyślić, jakie imię ci przeznaczyłem?

— Nie.

— Więc dobrze, ty pomogłeś mi odzyskać wolność i zastrzeżiłeś przy tym dwóch Jumów, zaproponuję więc przy ognisku rady najstarszych twego plemienia, aby ci dali imię Yuma Shetar, czyli Tępicieł Jumów, i jestem przekonany, że zgodzą się na tę propozycję.

— Z pewnością zgodzą się, z całą pewnością! — zawołał, raczej wykrzyknął głośno. — Jest to przecież zaszczyt i sława dla całego szczepu Mimbreniów, otrzymać od Old Shatterhanda taką propozycję. O Manitou, Manitou! Wiedziałem dobrze, że przy Old Shatterhandzie znajdę daleko prędzej i daleko lepsze imię niż gdziekolwiek indziej! Nasi wojownicy będą mi zazdrościć, kobiety będą opowiadać o mnie, a przede wszystkim mój

ojciec. Nałgu Mokaszi, przyciśnie mnie do swego serca, a mój mały brat ucałuje mnie w usta. O, gdyby on mógł pozostać przy tobie! Przypuszczam, że zdobyłby sobie również imię podobne do mojego!

— Najprawdopodobniej! To może jeszcze nastąpić, gdyż jestem przekonany, że wkrótce zobaczę znowu twego brata. Jeśli jest podobny do ciebie nie tylko zewnątrz, to po przybyciu do swoich nie spocznie, i dopóki nie uzyska pozwolenia od ojca, aby mógł razem z nim wyruszyć przeciw Jumom.

— Ja również tak sędzę. Mój ojciec, wielki wódz Mimbreniów, jest bardzo surowy, rzadko zważa na zwykłe życzenia swoich dzieci, ale ze spełnieniem takiej prośby, która musi go uradować, z pewnością nie będzie zwlekał. Jakby to było wspaniale, gdyby uroczystość nadania imion mnie i mojemu bratu przypadła w jednym czasie!

Podczas tej rozmowy przebyliśmy nie tylko wąwóz, lecz również szereg wijących się za nim dolin. Na każdym zakręcie spoglądaliśmy w tył, czy prześladowców jeszcze nie widać. Nie zauważyliśmy ich dotychczas. Mimo to byłem przekonany, że są już niedaleko za nami.

Niebawem znaleźliśmy się na pewnego rodzaju małej prerii, szerokiej na kwadrans jazdy konnej. Po przeciwnej stronie rosły krzaki, dające bardzo dobre ukrycie. Dojechawszy tam, zatrzymałem wierzchowca i zeskoczyłem na ziemię.

— Czy Old Shatterhand chce już tutaj odpocząć? — zapytał Mimbrenio.

— Nie, zatrzymamy się tylko na krótki czas, żebym mógł pomówić z wojownikami Jumów.

Chociaż zamiar mój wydawał mu się zapewne więcej niż dziwny, nie odezwał się słowem. Odwiązałem od siodła pakunek z nowym ubraniem, ażeby się nareszcie w nie przebrać, gdyż stare ucierpiało tyle podczas mojej niewoli, że już teraz mogłem uchodzić naprawdę za włóczęgę lub żebraka. Przy tej sposobności muszę nadmienić, że Indianie mieszkający na południu są o wiele wrażliwsi na strój człowieka niż ich północni bracia; Meksykanin również ubiera się daleko ozdobniej i wytworniej niż praktyczny Jankes. Północny Siuks albo Crow nie odmawia białemu myśliwemu szacunku, nawet gdy ten stanie przed nim w łachmanach, natomiast Pimo lub Yaqui nie może się pogodzić z tym, żeby lichy ubraną osobę uważać za dzielnego człowieka. A przecież o stosunkach między ludźmi stanowi wrażenie pierwszej chwili. Gdybym nie był się pokazał w hacjendzie w moim starym ubraniu, Timoteo Pruchillo prawdopodobnie uwierzyłby mi prędzej i nie byłbym zmuszony spoliczkować i wrzucić do strumienia jego majordomusa. Z tego widać, że nawet w tych odludnych okolicach sądzą ludzi po sukniach.

— Uff! — zawołał Mimbrenio zdziwiony, gdy wyszedłem zza krzaków, za którymi się przebrałem. — Prawie, że nie mogę cię poznać. — Ale też tak wyobrażaliśmy sobie z bratem Old Shatterhanda, gdy nam opowiadano o nim i o Winnetou.

Milczeniem zbyłem to otwarte wyznanie, które trochę mnie zakłopotало. Podałem mu niedźwiedziówkę, mówiąc:

— Niech mój młody, czerwony brat zostanie tutaj i weźmie tę strzelbę, której nie potrzebuję teraz. Jeśli Jumowie ukażą się, wyjadę im naprzeciw i pomówię z nimi. Jeśli nadciągną z taką siłą, że odważą się mnie zaczepić, będziemy się bronili spoza tych zarośli.

Stanąwszy tuż za pierwszymi krzakami, obserwowałem drogę przez nas przebytą. Stało się tak, jak przypuszczałem. Już po niedługim czasie zobaczyłem po przeciwnej stronie łąki trzech jeźdźców, którzy zbliżali się do nas klusem. Wyjechałem naprzeciw nich, przybrawszy postawę człowieka, który zupełnie spokojnie i bez troski udaje się w swoją drogę. Przy tym pochyliłem się nieco naprzód, jak gdybym był tak zmęczony, że nie zwracam wcale uwagi na leżącą przede mną okolicę.

Jumowie, dostrzegłszy mnie, przystanęli na chwilę, nie widząc jednak nikogo więcej, ruszyli dalej, nie obawiali się przecież człowieka jadącego samotnie. Udałem, że ich nie widzę. Sztucer trzymałem w poprzek siodła, żeby móc jednym ruchem złożyć się do strzału.

Byłem przekonany, że nie poznają mnie, a przynajmniej nie od razu; przecież tak bardzo byłem zmieniony dzięki nowemu ubraniu. Ponadto owinąłem twarz jaskrawą meksykańską chustą, zwaną gargantille, służącą do ochrony przed słońcem, ponieważ zaś szerokie sombrero zachodziło j i mi aż na oczy, więc z no jego oblicza widoczny był tylko nos.

Kiedyśmy się tak zbliżyli, że musiałem słyszeć tętent ich koni, wyprostowałem się, udając, że spostrzegłem ich dopiero w tej chwili i zatrzymałem konia. Indianie stanęli w odległości mniej więcej dziesięciu kroków ode mnie. Byli to trzej z moich strażników. Jeden z nich odezwał się w używanym tutaj żargonie hiszpańsko-indiańskim:

— Skąd przybywasz?

— Z hacjendy del Arroyo — odpowiedziałem zmienionym głosem, co przyszło mi łatwo, gdyż szal zakrywał usta do połowy.

— Dokąd się udajesz?

— Do Vete-ya, wodza dzielnych Jumów.

— W jakim stanie znalazłeś hacjendę?

— Zburzoną, zniszczoną doszczętnie.

— Przez kogo?

— Przez Jumów.

— A ty jedziesz do nich? Czego chcesz od nich?

— Chcę pertraktować z nimi o trzody, które zabrali.

— Z czyjego polecenia?

— Jestem wysłańcem hacjendera, pragnie odkupić zwierzęta, więc polecił mi zapytać wodza o cenę.

— Jedziesz na próżno, wódz zwierząt nie sprzeda.

— Skąd wiecie o tym?

— Należymy do jego wojowników.

— Jeśli tak, to naturalnie znacie jego postanowienia; a jednak mimo to chciałbym się z nim widzieć, gdyż muszę spełnić wolę hacjendera.

— Zdaje się, że nie doceniasz niebezpieczeństwa. Wojownicy Jumów wykopali topór wojenny przeciw białym.

— Wiem o tym, nie obawiam, się jednak, gdyż jako poseł jestem nietykalny. Gdzie rozbili obóz wojownicy Jumów, którzy byli w hacjendzie?

— Jeśli zaczekasz tutaj albo pojedziesz powoli naszym śladem, to spotkasz w krótkim czasie wodza z pięćdziesięcioma wojownikami.

— Dziękuję wam. Bądźcie zdrowi!

Udałem, że chcę już pociągnąć za cugle, chociaż byłem pewien, że czerwoni zagadną mnie jeszcze o wiele rzeczy. Właśnie na tych pytaniach zależało mi najbardziej, ponieważ miałem nadzieję jak najwięcej się dowiedzieć.

— Stój, zaczekaj jeszcze! — zabrzmiał ich rozkaz. — Więc rozmawiałeś z hacjenderem?

— Naturalnie! Inaczej nie mógłbym zostać jego pełnomocnikiem!

— Hacjendero był w drodze do Ures w towarzystwie bladej twarzy, która nazywa się Melton?

— Nie widziałem białego nazwiskiem Melton.

— Może widziałeś innego białego, nazwiskiem Weller i jego syna?

— Nie widziałem.

— Więc zapewne natrafiłeś na oddział naszych wojowników, u których te blade twarze były przez dwa dni w niewoli?

— Nie. Widziałem tylko hacjendera i z nim jedynie rozmawiałem.

— Gdzie?

— W ruinach jego domu. Przybyłem do hacjendy, żeby mu zwrócić pieniądze, jakie mu byłem winien. Za te pieniądze chce odkupić wszystko swoje bydło i prosił mnie, żebym podążył za Jumami i pertraktował z nimi.

— Kto ma pieniądze, ty czy on?

— On naturalnie.

Moi byli strażnicy spoglądali po sobie z zakłopotaniem. Ten, który dotychczas mówił, odezwał się po namyśle, nie zważając na moją obecność:

— Musiało się tam stać coś niespodziewanego! Hacjendero wrócił, a reszty bladych twarzy nie ma przy nim! Nasi wojownicy nie pokazali się, chociaż powinni być już w drodze za nami. Hacjendero chce odkupić bydło, ma pieniądze! To może im pomieszać szyki! Gdzie wobec tego są owe blade twarze, które razem z żonami i dziećmi mają zaprowadzić w góry nasi wojownicy?

Dwaj jego towarzysze potrząsnęli głowami w milczeniu, on zaś zwrócił się znowu do mnie:

— Czy nie spotkałeś niedawno dwóch jeźdźców?

— Tak. Był to biały z młodym Indianinem.

— Jak był biały ubrany?

— Jak obdartus i włóczęga.

— Jaką miał broń?

— Widziałem dwie strzelby.

— To się zgadza, ten pies Mimbrenio je przyniósł!

Powiedział to, jakby do siebie albo do swoich towarzyszy, potem zwrócił się znowu do mnie

— Czy jechali bardzo prędko?

— Nie — odpowiedziałem, ściągając ostrzej uzdę, ażeby cofnąć konia o kilka kroków. Zsiadli z koni.

— Gdzie?

— Tam za mną, w zaroślach.

— Uff! Musimy się więc cofnąć prędko, gdyż długi karabin białego sięga aż tutaj, a jego mała strzelba strzela bezustannie bez ładowania. Chodź z nami! Zawróćmy, aby połączyć się ze swoim oddziałem. Będiesz mógł pomówić z wodzem.

— Mamy czas na to. Zaczekajcie jeszcze chwilę! Chciałbym dostać coś od was.

— Co?

— Wasze strzelby i wasze konie.

— Dlaczego i po co? — zapytał, patrząc na mnie zdumiony.

— Dlatego! — odpowiedziałem, zsuwając lewą ręką szal z twarzy, — a prawą kierując na nich sztucer. — Powiedzieliście sami, jak długo mogę strzelać z tej strzelby. Kto z was ruszy się z miejsca, dostanie w tej chwili kulę w łeb! A tam, w zaroślach, stoi Mimbrendo z moją niedźwiedziówką, której kule sięgają o wiele dalej poza to miejsce!

Trzej czerwoni, skamienieli, nie na skutek mego rozkazu, lecz ze strachu przed lufą sztucera, i patrzyli osłupiałymi oczami na moje odsłonięte oblicze.

— Uff! — wykrztusił ten, który ze mną rozmawiał. — To jest Old Shatterhand!

— Old Shatterhand, Old Shatterhand! — powtórzyli jego obydwaj towarzysze.

— Tak, Old Shatterhand — potwierdziłem. — Chcieliście mnie schwytać, a oto jesteście sami w niewoli. Puszczę was jednak wolno i pozwolę wrócić do waszego wodza. Rzućcie strzelby na ziemię!

Zwyczajem indiańskim trzymali strzelby w rękach, choć nie gotowe do strzału. Teraz nie odważyli się wprowadzić zrobić z nich użytku, ale rozkazu również nie posłuchali.

— Prędko, bo strzelam! Nie czekam ani chwili! — huknąłem na nich. — Raz, dwa...

Wypuścili karabiny z rąk, zanim jeszcze wypowiedziałem „trzy”.

— Zsiądźcie i zejździe na bok!

Usłuchali.

— Teraz uciekajcie! Który z was się obejrzy, dostanie kulę! Popędzili natychmiast, co sił w lędźwiach. Ucieszny był to widok, kiedy umykali z takim zapałem. Dopóki mieli mnie w swoich rękach, szydzili i wyśmiewali się ze mnie, teraz stulili uszy jak zające, kiedy dają drapaka.

Nie czekałem, aż znikną, gdyż byłem przekonany, że nie odważą się odwrócić. Zsiadłem, żeby podnieść ich strzelby i przytrzymać konie, i które zaczęły się niepokoić, gdy ich panowie pierzchli.

Mimbrenio nadjeżdżał już pełnym galopem, żeby mi pomóc.

Umocowaliśmy strzelby Jumów na łąkach siodeł zdobytych koni, Mimbrenio wziął jednego za uzdę, ja dwa i niebawem ruszyliśmy, z początku powoli poprzez zarośla, a potem gdy dostaliśmy się na wolne pole — pełnym galopem. Z tą Szybkością pędziliśmy tak długo, dopóki groziło nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. Gdy krzaki były już rzadkie zatrzymaliśmy konie. Wszak chciałem wodzić za nos Jumów. Należało pokazywać im się od czasu do czasu, żeby ich złość wciąż na nowo podsycać.

W czasie tego postoju Mimbrenio zwracał ku mnie spojrzenia nieśmiałe, w których odczytywałem prośbę. Domyślałem, się, iż ciekaw był, o czym rozmawiałem z Jumami. Opowiedziałem mu przebieg spotkania. Podzieliłem się też moimi wątpliwościami. Wiedzieliśmy sporo, lecz nie wszystko, gdzie uprowadzono emigrantów. Dlaczego hacjendero jechał z Meltonem do Ures? A wreszcie, gdzie są Jumowie, którzy strzegli pojmanych białych? Jeśli ci są na wolnością to ich strażnicy mogą podążyć za głównym oddziałem. Powinni już być tutaj, wszak jadą daleko prędzej niż my z trzodami.

— Możemy spotkać ich jeszcze dzisiaj!

— Dlatego musimy być ostrożni, abyśmy nie wpadli im w ręce. Ale, patrz! Czy widzisz naszych prześladowców?

— Nadjeżdżają. Zatrzymują się przed krzakami. Czy sądzisz, że nas widzą.

— Tak. Jeśli my ich widzimy, to oni muszą nas również zauważyć. Ruszają galopem. Możemy jechać dalej. Skoro nas widzą, nie przyjdzie im na myśl zawrócić. Najwyżej mogliby odesłać z powrotem trzech, którym zabraliśmy konie. W drogą więc!

Popędziliśmy dalej przez równinę, potem dolinami i łańcuchem pagórków, wreszcie znaleźliśmy się znowu w okolicy płaskiej i nizinnej. Tutaj ciągnął się ów długi las, na skraju którego obozowaliśmy przed kilkoma dniami, mogliśmy dojechać do niego jeszcze przed zapadnięciem nocy. Naturalnie, przebiegaliśmy teraz tę przestrzeń o wiele szybciej niż poprzednio z trzodami poruszającymi się jak ślimaki. Siady naszej jazdy były jeszcze bardzo wyraźne, wydrążyły po prostu koleiny, które nawet ślepy mógł namacać.

Czas upływał, słońce obniżało się na zachodniej stronie nieba coraz bardziej; byliśmy już blisko lasu. Naraz mój towarzysz wyciągnął rękę i, wskazując wprost przed siebie, zawołał: — Patrz, tam nadjeżdżają Jumowie, byli strażnicy białych emigrantów, z którymi nie chcieliśmy się spotkać.

Miał słuszną przynajmniej pod tym względem że jeźdźcy się ukazali. Była ich spora gromada. Liczby sprecyzować nie mogłem z powodu znacznej odległości. Okoliczności przemawiały za tym, że mieli przed sobą Jumów pozostawionych w pobliżu hacjendy, podążających obecnie za swoim głównym oddziałem. Zboczyliśmy pod kątem prostym na prawo, żeby im zejść z drogi, i ściągaliśmy cugle. Sądziliśmy, że jeźdźcy nie spostrzegli nas jeszcze. Kiedy jednak obejrzałem się kilkakrotnie, spostrzegłem małe punkt, który odłączył się od oddziału i zwrócił się w naszym kierunku. Co prawda nie wziąłem w rachubę nisko stojącego słońca. Jego jaskrawe promienie; oświetlały nas z przodu, dlatego musieliśmy być zauważeni przez jeźdźców zdążających na wschód. Jednakże uspokajała mnie okoliczność, że

oddział nie zmienił kierunku, a wysłał tylko jednego człowieka, który według wszelkiego prawdopodobieństwa nie dopędzi nas.

Oddział zwolnił, zapewne aby ułatwić powrót swemu wysłańcowi posuwał się z zachodu na wschód, my jechaliśmy galopem z południa na północ. Drogi nasze tworzyły więc kąt prosty albo dwa boki prostokąta, po którego przekątnej cwałował ów pojedynczy jeździec. Miał najdłuższą drogę do przebycia, a jednak jak szybko posuwał się naprzód! Nie przypuszczałem, aby mógł nas dopędzić, a tymczasem postać jego tak niespodziewanie rosła z chwili na chwilę, że musiałem uznać swoją pomyłkę. Punkt, z początku ledwie dostrzegalny, teraz urósł do wielkości dyni, jeszcze chwila, a mogliśmy już rozróżnić kształty jeźdźca i konia. Ten miał naprzód wielkość małego pieska, później psa owczarskiego, charta, doga; rósł jeszcze, zbliżał się coraz bardziej, chociaż nie zmniejszaliśmy galopu naszych zwierząt. Mojemu towarzyszowi wyrwało się wielokrotnie „uff” a ja byłem nie mniej zdumiony tą trudną do uwierzenia chyżością rumaka.

W innych krajach nie tylko widziałem, ale sam jeździłem na szlachetnych, czystej krwi wierzchowcach, tutaj jednak, w Ameryce Północnej, były znane dwa tylko konie o takiej szybkości, którą można nazwać prawie lataniem; mianowicie obydwaj karosze, na których ja i Winnetou przebiegaliśmy tak często przez prerie i sawanny.

Winnetou! Mimo woli zatrzymałem konia i przysloniłem oczy ręką, żeby lepiej widzieć. Koń był czarny, nogi migwały tak szybko, że nie można ich było zobaczyć. Dokoła jeźdźca świeciło kolorem jasnym i czerwonym, ciemny welon powiewał za nim, a na strzelbie jego zauważyłem srebrne i złote iskry. Serce zabiło mi radośnie. Czerwony odblask pochodził od koca, który Winnetou nosił zawsze jako szarfę, ciemny welon tworzyły, jego długie, czarne włosy, a iskry krzesaly promienie zachodzącego słońca, odbijając się od błyszczących gwoździ, którymi była obita jego osławiona i groźna srebrna rusznica.

Winnetou nie poznał mnie jeszcze, gdyż nosiłem się po meksykańsku, a koń mój był po prostu chabetą w porównaniu z jego szlachetnym rumakiem. Pozostawał więc sygnał, który mogłem mu przekazać. Głosy naszych strzelb znaliśmy tak dokładnie, że niejednokrotnie dzięki nim odnajdowaliśmy się nawzajem w dziewiczym lesie.

Winnetou był jeszcze tak daleko, że szczegółów jego wysokiej, smukłej postaci nie można było rozpoznać, gdy podniosłem niedźwiedziówkę i wypaliłem. Skutek był momentalny. Jeździec w największym pędzie zatrzymał konia, który stanął dęba tak wysoko, że się o mało nie przewrócił, potem popędził dalej, podniósł się w strzemionach i zawołał pełnym radości głosem:

— Szarlieh, Szarlieh!

W ten sposób zwykł był wymawiać z angielska moje imię Karol.

— Winnetou, Winnetou, n'szo, n'szo! Winnetou, Winnetou, jak dobrze, jak dobrze! — odpowiedziałem, jadąc naprzeciw.

Wódz Apaczów siedział na pędzącym karoszu ze strzelbą opartą na kolanie, dumny, wyprostowany; jego szlachetne, lekko brązowe oblicze o rysach prawie rzymskich promieniało radością, oczy świeciły jasno. Zeskoczyłem z konia. Winnetou nie zadawał sobie wcale trudu, aby zatrzymać w biegu swego rumaka. Spuścił strzelbę na ziemię i przelatując obok mnie, zsunął się bokiem z siodła, padając w moje otwarte ramiona i przyciskając mnie do siebie — całował raz po raz.

Niegdyś wrogowie śmiertelni, byliśmy teraz dozgonnymi przyjaciółmi. Jego życie należało do mnie, moje do niego — w tych słowach zawiera się wszystko! Tak długo nie widzieliśmy się, a oto teraz stał przede mną w swoim półindiańskim, dobrze mi znanym stroju, w którym wyglądał tak wspaniale. Długo pozostaliśmy we wzajemnym uścisku. Gdy nareszcie ochłonałem z pierwszego wybuchu radości, zobaczyłem jego konia, który zatoczywszy krótki łuk powrócił do niego jak wierny pies, słysząc mój głos, zarżał radośnie, potarł swoją małą, zgrabną głowę o moje plecy i wreszcie wargami dotknął mego policzka.

— Patrz! Poznaje cię i całuje! — uśmiechnął się Winnetou. — Old Shatterhand jest przyjacielem ludzi i zwierząt i dlatego nie zostaje przez nikogo zapomniany.

Po tych słowach spojrział na mojego konia i przez oblicze jego, zwykle tak poważne, przemknął wesoły uśmiech.

— Biedny Szarlieh! — rzekł. — Gdzież byłeś, że się nie znalazło dla ciebie nic lepszego. Ale od dzisiaj będziesz jechał na godnym zwierzęciu.

— Co mówisz? — zapytałem prędko. — Masz ze sobą Hatatitlę*?

Takie imię nosił karosz, na którym jeździłem, podczas gdy Winnetou nazwał swego ogiera Ilczy — Wiatr.

— Chowam go dla ciebie — odpowiedział. — Jest jeszcze młody i ognisty jak dawniej, miałem go ze sobą, ponieważ oczekiwałem twojego przybycia.

— Wspaniale! Na tych koniach mamy przewagę nad wszystkimi wrogami. Ale jak dostałeś się tutaj, do Sonory, skoro miałem cię spotkać wyżej, nad rzeką Rio Gila?

— Musiałem udać się do kilku plemion Pimów, żeby załagodzić niesnaski, i pomyślałem przy tym o moim walecznym, czerwonym bracie Nalgu Mokaszi, wodzu Mimbreniów, którego już tak długo nie widziałem. Pojechałem więc, żeby go odwiedzić. Gdy siedzieliśmy razem przy ognisku, powrócił właśnie jego młodszy syn z siostrą, przyniósł poselstwo od ciebie. Zwołaliśmy natychmiast stu pięćdziesięciu wojowników i zabrawszy zapas mięsa na wiele dni, wyruszyliśmy w trzy godziny po otrzymaniu wiadomości. Czy Old Shatterhand jest zadowolony?

— Niezwykle! Dziękuję mojemu bratu Winnetou! Czy mój przyjaciel, wódz Mimbreniów, przyjechał także?

— Jak mógłby zostać, gdy woła go Old Shatterhand, który palił z nim fajkę pokoju i właśnie teraz uratował od śmierci jego troje dzieci! Młodszy syn przybył również, nie chciał zostać w wigwamie, ponieważ jego starszy brat jest przy tobie. Mamy sobie dużo do opowiedzenia, ale teraz siadaj na konia, gdyż Mimbreniowie nadjeżdżają i musisz się z nimi przywitać!

Najchętniej byłbym mu natychmiast opowiedział ostatnie moje przeżycia i zasięgnął informacji, nie było to jednak zgodne z jego zwyczajem. Wskoczyliśmy więc na konie. Mimbreniowie przejechali tymczasem koło miejsca, z którego zoczyłem poprzednio na północ. Winnetou wystrzelił w powietrze, by zwrócić uwagę naszych sprzymierzeńców, oni zaś, widząc nas jadących spokojnie obok siebie, zatrzymali konie. Ruszyliśmy ku nim, za nami mój młody towarzysz, który nie odważył się wypowiedzieć ani słowa, tylko wpatrywał się w najsłynniejszego wodza Apaczów pełnym szacunku i podziwu wzrokiem.

Skoro podjechaliśmy do Mimbreniów, przekonałem się, że wszyscy byli dobrze uzbrojeni i posiadali karabiny. Na czele posuwał się Nalgu Mokaszi, mój wierny, chociaż nieco szorstki przyjaciel z dawnych czasów. Wszyscy mieli twarze pomalowane barwami wojennymi ich szczepu, to jest w żółte i ciemnoczerwone pasy; był to dowód, jak poważnie brali przysługę, którą mieli mi wyświadczyć.

Wódz, wysoki i grubokościsty, jechał na krzepkim dereszku. Patrzył na nas z oczekiwaniem, nie poznając z daleka, gdyż nie widział mnie jeszcze nigdy w meksykańskim ubraniu. Skoro jednak zbliżyliśmy się dostatecznie, oblicze jego pomimo warstwy farb przybrało wyraz radosnego zdumienia.

— Uff, uff! — zawołał. — To przecież Old Shatterhand, przyjaciel naszych serc, którego nie widzieliśmy przez tyle księżyców! Przybyliśmy, aby mu pomóc w walce z tymi psami Jumami!

Indianin zwykł panować nad wzruszeniami, jednak tym razem radość Mimbreniów była tak wielka, że wybuchnęli głośnym okrzykiem. Nalgu Mokaszi zeskoczył z konia, ażeby się

* Błyskawica

ze mną przywitać. Sądził, że uczynię to samo. Według zwyczajów indiańskich mieliśmy na miejscu spotkania wypalić fajkę powitania i pokoju. Ja jednak zostałem w siodle, podałem mu tylko rękę i odpowiedziałem:

— Moja dusza raduje się na widok brata Nalgu Mokaszi i jego dzielnych wojowników, chciałbym im wiele opowiedzieć i zapytać ich również o wiele rzeczy, ale musimy natychmiast opuścić to miejsce, gdyż Jumowie nadciągają w ciągu kilku minut. Niech moi bracia zawrócą, pojedziemy z powrotem.

— Te psy jadą za tobą? Zaczekamy więc tutaj na nich i zabierzemy im wszystkim życie i skalpy!

— Gdybyśmy tutaj zostali, Jumowie uciekliby na nasz widok. Dlatego niech wódz Mimbreniów postąpi inaczej. Jedźmy prędko do lasu, który moi bracia niedawno mijali. Tam możemy oczekiwać na nich w ukryciu. Ślady czerwonych braci zatrzymamy, żeby nasi prześladowcy nie mogli ich odczytać dokładnie.

Odpowiedź wodza na moje słowa przerwało coś, czego się nikt nie spodziewał. Mianowicie spoza szeregów Indian rozległo się głośne, radosne rżenie. Był to koń, którego Winnetou przyprowadził dla mnie, poznawszy mój głos, starał się wyrwać z ręki trzymającego go za uzdę Indianina i przybiec do mnie.

— Hatatitla! — zawołałem. — Puśćcie go!

Mądre, wierne zwierzę przybiegło w podskokach, obwąchało mnie, a gdy pogłaskałem je po wysmukłej szyi i długiej, błyszczącej grzywie, okrążyło mnie kilkakrotnie rżąc i prychając, wreszcie stanęło spokojnie obok mnie.

— Uff, uff! — wykrzyknęli Indianie wzruszeni tą wiernością nie mniej ode mnie. Wszak była to moja Błyskawica, koń, który wyniósł mnie z tyłu niebezpieczeństw i nieraz ratował życie dzięki rozumowi i niezrównanej szybkości. Wyglądał tak świeżo, jak dawniej i jego duże, rozumne oczy błyszczały radością. To samo siodło indiańskie, którego zawsze używałem, miał na grzbiecie. Przeskoczyłem na niego. Jeszcze nie zdążyłem znaleźć strzemion, a już karosz rzucił się w powietrze wszystkimi czterema nogami. Biegł ze mną jak uradowany pies, tam i z powrotem, zataczał koła i stawał dęba bądź przednimi, bądź tylnymi nogami. Pozwoliłem mu przez kilka chwil na tę zabawę. Gdy potem ścisnąłem go kolanami, posłuchał natychmiast i zatrzymał się właśnie przed Winnetou i Nalgu Mokaszi, który tymczasem dosiadł znowu swego konia.

— Mój brat Old Shatterhand widzi, że nawet koń nie zapomniał o nim — odezwał się Apacz. — Jak więc często myśleli o nim ludzie, z którymi przebywał! Gdy zasiądziemy w spokojnym kole przy ognisku obozowym, opowiem memu bratu, co się działo na Dzikim Zachodzie w czasie jego nieobecności. Teraz nie możemy się dłużej zatrzymywać. Jumowie nie powinni nas zobaczyć. W jakiej odległości jechali za Old Shatterhandem?

— Prawdopodobnie tak blisko, że mogą się w każdej chwili, ukazać na horyzoncie.

Kto inny byłby zapytał przede wszystkim o liczbę nieprzyjaciół, Winnetou był jednak zbyt dumny. Odwinął lasso, uwiązał do niego swój koc i skinąwszy na wojowników, żeby uczynili to samo ze swoimi derkami, ruszył naprzód, wlokąc koc za sobą po ziemi. W ten sposób powstaje jeden szeroki trap, wskazujący tylko tyle, że ktoś tędy przejeżdżał, szczegółów jednak nie można rozpoznać ani też nie da się określić liczby koni i ludzi. A nam zależało właśnie na tym, żeby Jumowie nie dowiedzieli się, jaką mają przed sobą siłę.

Kłusem ruszyliśmy dalej. Jechałem pomiędzy Winnetou i Nalgu Mokaszi. Ten nie pozdrowił swego syna nawet spojrzeniem, chociaż z okoliczności, w jakich nas spotkał, mógł wywnioskować, że chłopiec przeżył rzeczy niezwykle. Taki już jest Indianin. Wódz z pewnością kochał swoje dziecko nie mniej niż biały, ale byłoby to oznaką słabości i niemęskości, gdyby jakim pytaniem lub słowem zdradził swą troskę o syna.

Nareszcie wynurzył się przed nami nieco z boku leżący ów las, tak wielką odgrywający rolę w naszych przygodach. Skierowaliśmy się tak, aby mieć go po prawej ręce i aby zasłaniał

nas przed wzrokiem Jumów. Niebawem natrafiono na wystający cypel lasu, który nadawał się wybornie na zasadzkę, objechawszy go, zatrzymaliśmy się po przeciwnej stronie.

— Czy Old Shatterhand uważa to miejsce za odpowiednio? Skinąłem potakująco i zsiadłem z konia.

— Czy dwie straże wystarczą?

— Jeden jedyny człowiek, dopóki się nie ściemni.

— Niech więc wojownicy Mimbreniów rozsiadają swoje konie i puszcza je na paszę. Old Shatterhand i Winnetou pozostawią swoje w pogotowiu.

To powiedziawszy zsiadł i podobnie jak ja zarzucił uzdę na kark konia.

Widać było, że jego słowa wywołały powszechne zdumienie. Mimbreniowie przypuszczali, że zaczaiemy się tutaj i nie zsiadając z koni zaczekamy na Jumów, aby wypaść na nich niespodziewanie. Nawet wódz był tego zdania, gdyż zapytał Winnetou:

— Dlaczego mój brat chce dać koniom zupełną swobodę? Przecież będą nam potrzebne, skoro Jumowie nadjadą.

Przez usta Winnetou przemknął dobrze mi znany uśmiech wyrozumiałości, zanim odpowiedział pogodnie:

— Mój brat przypuszcza, że Jumowie nadejdą?

— Tak, przecież Old Shatterhand to powiedział.

— Słusznie, przyjadą, ale nie aż do tego miejsca, gdzie się znajdujemy. Skoro zobaczą nasze ślady, zawrócą i pojadą pozornie z powrotem. Zniknąwszy na wschodzie zatoczą łuk, objadą las naokoło i zbliżą się z tyłu, od zachodu, żeby nas zaskoczyć. Mamy więc dosyć czasu i możemy dać swobodę koniom.

— Czy Old Shatterhand jest tego samego zdania? — zapytał mnie Nalgu Mokaszi.

— Tak — odpowiedziałem. — Mój brat Winnetou odgadł moje myśli.

— Jeśli mimo to przyjadą aż tutaj?

— Byliby zgubieni, dlatego też nie odważą się.

Ponieważ wódz patrzył na mnie ciągle jeszcze z niedowierzaniem, więc mówiłem dalej:

— Czy sądzisz, że Jumowie nie zobaczą miejsca, na którym przyłączyłem się do was?

— Zobaczą je, gdyż nie są ślepi, nie będą jednak wiedzieli, kim jesteśmy ani ilu wojowników mamy.

— Mylisz się. Poznają po tropie, że połączyłem się z wami dobrowolnie; wywnioskują, że jesteście moimi przyjaciółmi. Ponieważ widzieli ze mną twojego syna, więc mogą łatwo domyślić się reszty.

— Ale nie poznają ilu nas jest!

— Nie mogą obliczyć dokładnie, tylko w przybliżeniu. Kiedy spotkaliśmy się, twoi wojownicy stali obok siebie, a nie jeden za drugim, dlatego też na dużej przestrzeni pozostawili ślady.

— Te ślady zatarliśmy przecież!

— Tak, śladów pojedynczych nie widać, ale widać całą przestrzeń, na której trawa została wygnieciona, im szersza ta przestrzeń, tym więcej ludzi musiało ją zajmować. Jeśliby Jumowie nie powiedzieli sobie tego, to byliby mniej wari od starych kobiet. Jestem przekonany, że pojmujesz to jeszcze łatwiej niż oni.

Wódz poczuł się nieco zawstydzony i odpowiedział prędko.

— Wiedziałem to już dawno, a pytałem tylko po to, aby moi wojownicy słyszeli także. Dlaczego jednak powiedział Winnetou, że jego i twój koń mają pozostać osiodłane?

— Wódz Apaczów powiedział, że Jumowie spróbują nas podejść, zawracając na pozór i objeżdżając las. Chce ich przy tym obserwować, żeby się przekonać o słuszności naszego przypuszczenia, a ja mu mam towarzyszyć. Dlatego nasze konie, które są najszybsze, imają stać w pogotowiu.

— Uff! Moi bracia mają słuszość, niech będzie tak, jak powiedzieli. Podczas tej rozmowy ja i Winnetou usiedliśmy na trawie, Nalgu Mokaszi zajął miejsce przy nas. Wojownicy rozłożyli się wokoło, uważali jednak, żeby puszczone na paszę konie nie oddaliły się poza cypel, gdyż wtedy spostrzegą je Jumowie. W występie lasu jeden z wojowników, ukryty w zaroślach, oczekiwał ukazania się nieprzyjaciół.

Gdyby nie Winnetou i ja, byłiby chyba wszyscy Mimbreniowie stali na czatach. Aczkolwiek pragnęli to ukryć, zauważyłem, że w duchu nie byli tak spokojni, jak wyglądali z pozoru. Winnetou natomiast zdawał się nie troszczyć więcej o Jumów, chociaż mogli się ukazać w każdej chwili. Wyciągnął swoją fajkę pokoju, aby przeprowadzić ceremonię powitania, której szczegóły zajmują przecieź tak wiele czasu. Nie dziwiłem się, że Mimbreniowie spoglądali na nieco ze zdumieniem. On jednak, nie zważając na to, odpiął od pasa pięknie wyszywany worek z tytoniem, napełnił kalumet* ozdobiony piórami kolibrów i rzekł do mnie:

— Ponieważ musieliśmy tak prędko się cofnąć, nie mogliśmy powitać naszego białego brata, teraz jednak mamy czas, niech więc Old Shatterhand wypali z nami fajkę przyjaźni i pokoju.

Kiedy zajęty był zapalaniem tytoniu, przybiegł spiesźnie strażnik, stanął przed nim i zameldował tak natarczywie, jakby zawisło nad nami groźne niebezpieczeństwo:

— Jumowie nadchodzą, widzę ich! Zbliżają się tak prędko, że będą tutaj za chwilę?

Otoczający nas wojownicy zerwali się na równe nogi, wódz nawet wykonał ruch do powstania, ale Winnetou skarcił wartownika surowo:

— Jak śmie Mimbrenio przeszkadzać Winnetou, gdy on zamierza zapalić fajkę pokoju! Co jest ważniejsze: święty dym kalumetu czy ukazanie się kilku psów Jumów, którzy zawrócą natychmiast ze strachu?

Czerwonoskóry stanął jak wryty i spuścił głowę. Winnetou zaś dodał:

— Niech Mimbrenio wróci na swoje miejsce i niech obserwuje nieprzyjaciół, żeby mógł później, gdy skończy się ceremonia powitania Old Shatterhanda, donieść mi, że zniknęli!

Indianin odszedł zmieszany. Mimbreniom nie pozostało nic innego, jak usiąść z powrotem, chociaż niełatwo opanowali podniecenie. Nalgu Mokaszi rad był zapewne, że nie zerwał się na równi z innymi i nie ośmieszył w naszych oczach.

Tak pewien siebie był Winnetou! Bądź co bądź przecieź Jumowie mogli przyjechać aż tu, gdzie się zatrzymaliśmy. W tym wypadku nie zaskoczyliby nas co prawda niespodziewanie, przeszkodziłoby jednak ceremonii, a to przynosi zły omen, niemal hańbę.

Palenie fajki pokoju tak często opisywałem, że mogę je tutaj opuścić. Nadmienię tylko, że trwało bardzo długo, zanim kalumet, kilkakrotnie napełniany i zapalany, przeszedł przez tyle rak i ust. Winnetou, Nalgu Mokaszi i ja musieliśmy, każdy z osobna, wygłosić przemowę. Pociągnąwszy z fajki sześć razy, wypuszczaliśmy dym ku niebu, ziemi i na wszystkie cztery strony świata, pozostali Indianie wykonali tylko po dwa pociągnięcia i wydmuchiwali dym w twarze swoich sąsiadów.

Gdy Winnetou otrzymał kalumet z powrotem od ostatniego Indianina i worek z tytoniem chciał zawiesić u pasa, wziąłem mu jedno i drugie z ręki mówiąc:

— Niech mój czerwony brat pozwoli mi jeszcze swego kalumetu. Jeden z nas nie chłonał dymu fajki pokoju, chociaż jest godzien wziąć ją do ręki jako jeden z pierwszych.

Słowa moje wywołały zdziwienie, chociaż niezbyt wielkie. Przypuszczano, że mówię o strażniku, który czuwał na skraju lasu i nie mógł brać udziału w ceremonii. Jednakże okoliczność, że nie tylko pamiętałem o nim, lecz nazwałem go nawet jednym z pierwszych, musiała wydawać im się bardzo osobliwa. Napełniłem tymczasem fajkę, wstałem, wyszedłem

* Fajka pokoju

z koła, chwyciłem rękę chłopca, wprowadziłem go do środka na moje miejsce i powiedziałem, zwracając się do wszystkich siedzących:

— Tutaj stoi Old Shatterhand. Niech moi czerwoni bracia słuchają i patrzą, co powie i co uczyni. Kto będzie potem innego zdania, ten może walczyć z nim na śmierć i życie!

Zapanowała głęboka, uroczysta cisza. Oczy wszystkich były przykute do mnie i do chłopca. Ręka młodzieńca drżała w mojej dłoni, przeczuwał, jak ważna dla niego chwila nadeszła.

— Niech mój młody brat uczyni to, co mu powiem, od razu i śmiało, nie zwlekając ani chwili — szepnąłem.

— Postąpię tak, jak mi Old Shatterhand każe — odpowiedział młody Mimbrenio równie cicho.

Zapaliłem fajkę, pociągnąłem raz, wypuściłem dym ku niebu i rzekłem:

— Ten obłok świętego dymu idzie do Manitou, Wielkiego Dobrego Ducha, który zna wszystkie myśli i zapisuje czyny zarówno najstarszego wojownika, jak i najmłodszego chłopca. Tutaj siedzi Nalgu Mokaszi, sławny wódz wojowników Mimbrenaów; jest moim przyjacielem i bratem, a moje życie jest jego własnością. A tu przy mnie stoi syn jego, i wiekiem chłopiec, czynami jednak wytrawny wojownik. Wzywam go, aby postąpił za moim przykładem i dał Wielkiemu Manitou święty dym kalumetu!

Przy ostatnich słowach podałem fajkę chłopcu. Włożył ją natychmiast do ust, pociągnął głęboko i wydmuchnął dym ku niebu. Była to z jego strony zuchwałość, za którą wszakże nie on, lecz ja odpowiadałem. Skutek był natychmiastowy. Niczego podobnego nie widzieli dotąd — chłopiec bezimienny pali fajkę pokoju! Indianie powstali i podnieśli głośnie okrzyki. Wódz zerwał się również i utkwił we mnie osłupiały wzrok. Tylko Winnetou siedział spokojnie. Na jego spiszowym obliczu nie można było wyczytać ani zgody ani potępienia mego czynu. Ja tymczasem skinąłem ręką na znak milczenia, wziąłem fajkę z powrotem, wykonałem pięć pozostałych pociągnięć i dałem ją znowu chłopcu, który zdecydowany na wszystko naśladował mnie szybko. Na to podniosły się głośnie wycia, okrzyki gniewu przelatywały z ust do ust. To co uczyniłem, uważano za znieważenie świętych zwyczajów narodu. Oczy wszystkich błyszczały groźnie, pięści zaciskały się, wyciągano noże, a z okrzyków, które słyszałem, powtarzał się zwłaszcza jeden:

— Chłopiec, który nie ma imienia!

Wódz, aczkolwiek chodziło tutaj o jego własnego syna, nie zgadzał się ze mną absolutnie, chwycił chłopca za plecy, odsunął ode mnie i zawołał:

— Na co się Old Shatterhand odważył! Gdyby to był kto inny, zabiłbym go na miejscu! Chłopcu, który nie ma imienia, dać kalumet?! Taki czyn śmiercią się karze. Staniesz przed sądem plemienia, nie mam mocy, aby cię obronić, chociaż jesteś moim przyjacielem.

Gdy zaczął mówić, Mimbreniowie uspokoiли się nieco. Chcieli słyszeć jego słowa. Teraz przeszedł przez ich szeregi przychylny pomruk zadowolenia i zgody. Chłopiec stał przy swoim ojcu i pomimo groźnej postawy wojowników spoglądał na mnie z ufnością. Właśnie chciałem odpowiedzieć, gdy nagle wstał Winnetou, skinął ręką, obrzucił wszystkich obecnych długim, przejmującym spojrzeniem i oto rozległ się głos jego dźwięczny, który słyhać było daleko nawet wtedy, gdy nie natężał go wcale:

— Nalgu Mokaszi nie ma mocy obronić Old Shatterhanda? Kto powiedział, że nasz przyjaciel potrzebuje jego wsparcia? Jeśliby chodziło o obronę, Winnetou walczyłby za swego białego brata, ale kto śmie twierdzić, że Old Shatterhand nie potrafi obronić się sam? To, co zrobił, jest czynem niezwykłym: on go jednak usprawiedliwi. Jedynie tego, kto nie ma imienia, pomija się, paląc fajkę pokoju. Czy ten chłopiec rzeczywiście nie ma imienia? Czy Old Shatterhand ma prawo dać komu imię?

— Tak jest. Old Shatterhand ma to prawo.

Wtedy wziąłem znowu chłopca za rękę i zawołałem donośnym głosem:

— Słyszeliście słowa wodza Apaczów, Winnetou, teraz uważajcie, co powiem! Tu stoi Old Shatterhand, a obok niego jego młody przyjaciel i brat, Yuma Shetar. Naraził on swoje życie dla mnie, ja oddam moje życie dla niego. Patrzcie na tę zdobytą broń, którą ma na sobie! Yuma Shetar będzie wielkim wojownikiem swego plemienia!

Yuma Shetar znaczy tyle, co Tępicieł Jumów. Oczy mojego młodego przyjaciela zabłyśły radością, ale zarazem ze wzruszenia napełniły się łzami. Winnetou podszedł do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Yuma Shetar jest to zaszczytne imię. Old Shatterhand nadał ci je, musiałeś więc na nie zasłużyć. Winnetou cieszy się, że może cię nazywać Yuma Shetar, jest on twoim przyjacielem i chętnie wypali z tobą kalumet. Daj go tutaj!

Wziął fajkę z ręki młodzieńca, zapalił ją i „wypił” z nim dokładnie a taki sam sposób, jak ja to poprzednio uczyniłem. Wódz przypatrywał się bez słowa. Widziałem, że wargi drżały mu od nadmiaru wzruszenia. Oblicza Mimbreniów odmieniły się również. Winnetou pochwycił Tępicieła Jumów za rękę, ja go wziętem za drugą i powiedziałem:

— Wojownicy Mimbreniowie, widzicie tutaj trzech braci: Winnetou, Yuma Shetara i Old Shatterhanda, który trzymał się wiernie razem.

Na te słowa stary, wódz nie mógł się już dłużej opanować. Wydawszy nieartykułowany okrzyk zachwytu, wyrwał swój nóż z za pasa i zawołał:

— Yuma Shetar nazywa się ten waleczny wojownik, którego ja jestem ojcem, słyszycie? Yuma Shetar!

Przez chwilę panowało głębokie milczenie, wreszcie zawołał jeden z Mimbreniów:

— Yuma Shetar, Yuma Shetar, Yuma Shetar! — krzyknęli za nimi wojownicy, nie myśląc już wcale o Jumach, którzy przecież znajdował się w pobliżu. Potem wszyscy, stu pięćdziesięciu, zaczęli cisnąć do nas, ażeby potrząsnąć ręką ich nowego i najmłodszego towarzysza. Pierwotna niechęć zamieniła się w zachwyt. Stary wódz pochwycił mnie w obie ręce i chciał rozpocząć mowę dziękczynną, przeszkodził mu jednak Winnetou:

— Mój brat może później powiedzieć, co czuje jego serce, teraz już nie ma na to czasu. Dzień się kończy i ściemnia się szybko. Tam oto stoi wywiadowca, który chce z nami pomówić. Czas już, abyśmy poszli śledzić nieprzyjaciół.

Miał słusność, bo strażnik już wyszedł za krzaków i stał niedaleko nas. A więc nie miał już kogo obserwować, wszakże poprzednio skarcony nie odważył się teraz zbliżyć bez wezwania. Podszedł dopiero na skinienie Winnetou i rzekł:

— Jumowie nadjechali, później jednak zawrócili w tym samym kierunku, skąd przyszli.

— Na jaką odległość zbliżyli się?

— Nadeszło naprzód dwóch wywiadowców, zatrzymali się na miejscu, gdzie spotkaliśmy Old Shatterhanda, i zaczęli na główny oddział. Po długim obserwowaniu śladów pojechali Jumowie jeszcze kawałek dalej, aby przypatrzeć się naszemu tropowi, następnie zawrócili powoli i zniknęli na horyzoncie.

Winnetou skinął ręką na znak, że strażnik może odejść i odezwał się do wodza:

Nalgu Mokaszi słyszy, że miałem słusność. Jumowie zawrócili, ale tylko w tym celu, żeby nas zmylić i uspić naszą czujność. Niech wojownicy Mimbreniów zostaną tutaj, dopóki nie powrócę z Old Shatterhandem.

Dosiedliśmy koni. Gdy odjeżdżaliśmy, już tak ściemniało, że z wielką trudnością można było rozpoznać ślady kopyt końskich. Wyprawa nasza zaczęła nabierać cech awanturniczych. W ciemną noc mieliśmy odszukać i śledzić wroga, o którym wiedzieliśmy, a raczej przypuszczaliśmy jedynie tyle, że jechał już nie w tym kierunku, w którym się oddalił.

Ilekrót przedsiębrałem z Winnetou takie wyprawy, z pozoru na ślepo, zawsze podziwu godny instynkt Apacza prowadził nas do celu! Cieszyłem się więc, że będę mógł dzisiaj znowu, po tak długiej rozłące, być świadkiem jego olśniewającej bystrości.

Ażeby zrozumieć sytuację, w jakiej znajdowaliśmy się, należy sobie przedstawić las o długości dwóch godzin jazdy konnej, szerokości mniej więcej pół godziny. Ciągnął się prawie dokładnie z zachodu na wschód. Na stronie południowej, blisko wschodniego końca, leżał ów cypel, za którym zostawiliśmy Mimbreniów. Należało zatem przypuszczać, że Jumowie, wracając w kierunku zachodnim, objadą las od strony północnej, skręcają na południe, a następnie pójdą wzdłuż jego południowej strony, żeby nas niespodziewanie napaść od zachodu. Chcąc więc natrafić na nich, powinniśmy byli dostać się zawczasu do skraju północnego i tam oczekiwać ich przybycia. Tak właśnie postąpiliśmy. Objechawszy las od strony wschodniej, zatrzymaliśmy się na jego północno-wschodnim rogu, pewni, że uprzędzamy Jumów, gdyż nie mogli tutaj przyjechać przed nastaniem zupełnej ciemności.

Do tej chwili nie mówiliśmy nic, teraz zapytałem krótko:

— Ty dalej czy ja?

— Jak Old Shatterhand chce — odpowiedział Apacz.

— Więc niech Winnetou pojedzie dalej, jego uszy są lepsze od moich.

— Słuch Błyskawicy wesprze ucho mojego przyjaciela.

Po tych słowach odjechał Winnetou; kroki jego nie podkutego konia były prawie niesłyszalne.

Odjechałem nieco od lasu, następnie zsiadłem, położyłem się na ziemi. Mój koń zaczął natychmiast skubać trawę.

— Hatatitla, iteszkuś! Hatatitla, połóż się! — rzekłem.

Koń wyciągnął się natychmiast i od tej chwili nie poruszył ani jednego źdźbła.

Leżałem głową na wschód, skąd mieli nadejść Jumowie. Koń był zwrócony w tym samym kierunku. Od czasu do czasu podnosił głowę i wciągał powietrze powoli, badawczo przez nozdrza. Po upływie mniej więcej kwadransa zamienił się cichy początkowo oddech konia w silniejsze parskanie, karosz nadstawił uszu i zdawał się czegoś wyczekiwać. Przyłożyłem głowę do ziemi, nic jednak nie mogłem usłyszeć.

Teraz parsknął koń głośniejsz, jednak nie z obawą, jakby to był uczynił za zbliżaniem się dzikiego zwierza. Nadchodzili zatem ludzie. Położyłem rękę na nozdrzach karosza i przycisnąłem je. Wiedziałem, że od tej chwili zwierzę, dzięki indiańskiej tresurze otrzymanej od Winnetou, nie wyda z siebie żadnego głosu i nie poruszy się, nawet gdyby strzelano.

Teraz należało tylko życzyć sobie, żeby kierunek, w którym się posuwali zbliżający, nie prowadził wprost przeze mnie. Niebawem pokazało się, że obawa moja co do tego nie była przesadna. Po pewnym czasie usłyszałem głuchy odgłos wielu kopyt końskich, zbliżały się coraz bardziej i, jak się zdawało, wprost na mnie. Wtem zobaczyłem ciemną masę ludzi i zwierząt. Teraz nie mogłem już powstać i usunąć się, gdyż zostałem spostrzeżony. Przycisnąłem się więc do konia, jak mogłem najbliżej, i trzymałem silnie dłoń na jego nozdrzach.

Jeszcze chwila — oczekiwani nadjechali, szczęściem nie tak blisko, jak przypuszczałem. Pierwszy minął mnie w odległości trzydziestu może kroków, za nim postępowali inni, jadąc nie pojedynczo jeden za drugim, lecz gromadnie, po kilku obok siebie. Twarzy nie mogłem rozpoznać, a postacie bardzo niewyraźne, liczba jednak zgadzała się mniej więcej: byli to Jumowie.

Zaledwie zniknęli, a ja dosiadłem konia, ukazał się Winnetou.

— Gdzie? — zapytał krótko.

— Tam, przed nami.

Od tej chwili nie zamieniliśmy przez dłuższy czas ani słowa. Jechaliśmy w milczeniu za czerwonoskórymi w takiej odległości, że rozpoznawaliśmy ich jako niewyraźną plamę na łące. Oni jednak nie mogli nas zobaczyć absolutnie ani też słyszeć kroków naszych koni.

Tak jechaliśmy przez dwie godziny wzdłuż północnego skraju lasu następnie zboczyliśmy na południe, równoległe do jego strony zachodniej. Winnetou odezwał się teraz, wypowiadając moje własne myśli:

— Ponieważ Jumowie nie wiedzą, gdzie są Mimbreniowie, więc rozłożą się wkrótce obozem i wyślą wywiadowców.

— Mój brat ma słuszość. Wyprzedzamy ich i zaczekamy.

Niebawem wynurzył się przed nami południowo-zachodni róg lasu, Jumowie zatrzymali konie, my zaś cofnęliśmy się nieco, aby uniknąć przygodnego spotkania

— Niech Old Shatterhand potrzyma wodze mojego konia — rzekł Winnetou. — Chcę wiedzieć dokładnie, gdzie oni się znajdują.

Zeskoczył z siodła i odszedł. Miejsce, gdzie zostałem, leżało w odległości może czterystu kroków od czerwonoskórych. Nic nie zdradzało ich obecności, gdyż oczywiście nie odważyli się zapalić ogniska. Nie przeczuwali, że Mimbreniowie, przed którymi tak bardzo mieli się na baczności, byli od nich oddaleni zaledwie o dwie godziny drogi.

ODWET

Winnetou powrócił bardzo prędko. Obserwując obóz Jumów, przekonał się, że wysłali dwóch wywiadowców.

— Tych oczywiście schwytamy? — zapytałem, on jednak nie odpowiedział wcale, gdyż uważał to za rzecz zupełnie naturalną.

Odjechaliśmy zatem nieco od lasu, żeby czerwonoskórzy nie posłyszeli kroków naszych koni, i skręciliśmy potem na jego południową stronę, wzdłuż której musieli posuwać się wywiadowcy. Mniej więcej po kwadransie jazdy skierowaliśmy się znowu ku lasowi i dotarłszy i pierwszych drzew zsiadliśmy z koni. Przywiązawszy je do krzaków, cofnęliśmy się i usiedli na ziemi w upatrzonym miejscu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musieli owi dwaj Jumowie tędy przechodzić.

Tymczasem rozjaśniło się nieco, księżyc wszedł na niebo i oświetlił wspaniałe łąkę, nie widzieliśmy go jednak, gdyż był jeszcze ukryty i lasem, który rzucał cień na dość znacznej przestrzeni.

Czekaliśmy może około dziesięciu minut, gdy nagle dobiegły nas kroki zbliżające się z prawej strony. Wywiadowcy nadchodzili, trzymając się tak blisko lasu, że widzieliśmy dokładnie ich postacie, rysów twarzy nie mogliśmy jednak rozpoznać. Szli jeden za drugim. Jeden z nich, wyższy i cięższy od swego towarzysza, wydawał mi się znajomy.

— Ja pierwszego, ty drugiego — szepnąłem do Winnetou.

Jeszcze chwila i przeszli obok nas powoli, ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Za ledwie minęli, wyskoczyliśmy zza drzew. W paru szybkich skokach przyskoczyłem do drugiego, uderzyłem go pięścią w skroń, żeby ułatwić Winnetou walkę, a następnie chwyciłem pierwszego Indianina obydwoma rękami za gardło, uderzyłem go kolaniem w plecy i pociągnąwszy wstecz przewróciłem na ziemię. Gdy potem klęknąłem mu szybko na piersiach i zbliżyły się nasze twarze, poznałem, kogo mam przed sobą. Był to Wielkie Usta, wódz Jumów we własnej osobie. Prawe ramię miał na temblaku i nawet gdybym go tak mocno nie ścisnął za gardło, nie mógłby się bronić skutecznie swoją lewą ręką.

Rzut oka na Winnetou powiedział mi, że ten skorzystał wiele z uderzenia, jakie wymierzyłem towarzyszowi wodza. Apacz, klęcząc na plecach wywiadowcy, zdjął z niego lasso i zawiązał mu nim ręce z tyłu.

Czerwonoskóry, oszołomiony chwilowo, nie próbował się bronić. Winnetou podszedł do mnie i podczas gdy ja trzymałem wodza, związał go tak samo, jak swojego jeńca. Rozpoznał teraz rysy skrepowanego i zaskoczony zawołał wbrew swemu zwyczajowi:

— Uff! Czy mój biały brat widział, kogo wzięliśmy do niewoli?

— Tak — odpowiedziałem, uwalniając szyję Vete-ya. — Połów był znakomity.

Jeniec zaczerpnął głęboko powietrza i zgrzytnął, patrząc na mnie przeszywającym wzrokiem:

— Old Shatterhand! Ciebie mógł tylko zły duch tutaj sprowadzić!

— Nie zły duch, lecz ten wojownik, którego widzisz przy mnie — odpowiedziałem, wskazując na Apacza. Spójrz! Czy znasz go?

Właśnie w tej chwili okazał się księżyc spoza rogu lasu, oświetlając jasno mojego czerwonego przyjaciela.

— Winnetou! Uff, uff! Wódz Apaczów! — wyrwało się z ust Jumy.

— Tak, Winnetou! — podchwyciłem. — Przyznasz zapewne, że nie oswobodzisz się już nigdy. Kto dostanie się w moc Winnetou, ten odzyska tylko wtenczas wolność, gdy mu wódz Apaczów da ją dobrowolnie.

— Mylisz się! — odpowiedział Vete-ya tonem groźby. — W ciągu kilku minut będę znowu wolny.

— Jak to?

— Uwolnią mnie moi wojownicy. Ja i mój towarzysz wyprzedziliśmy ich tylko, a oni postępują tuż za nami. Jesteście zgubieni. Jeśli nas jednak natychmiast rozwiążecie, będę gotów was puścić.

— Najgłupsze to słowa, jakie kiedykolwiek wypowiedziałeś — zaśmiałem się na głos.

— Mówię prawdę! — obstawał wódz.

— Gdybyś mówił do ludzi niedoświadczonych, mógłby ci się udać podstęp, ponieważ jednak masz przed sobą mnie i Winnetou, więc to jedynie śmiechu warte, że nas usiłujesz zastraszyć. Czy twoi wojownicy mają konie czy nie?

— Mają, wiesz przecie o tym. Tym prędzej przybędą tutaj.

— Więc oni mają konie, a wy nie jedziecie, lecz idziecie pieszo przed nimi? Nie uważasz nas chyba za dzieci! Już to, co powiedziałem, wystarczyłoby, żebyśmy wszystko zrozumieli, my wiemy jednak oprócz tego, że Jumowie rozłożyli się obozem, a wy dwaj poszliście na poszukiwanie Mimbreniów. Jesteście wywiadowcami i wasi wojownicy niej wyruszą nigdzie przed waszym powrotem.

— Obrażasz mnie! Jak możesz wodza nazywać wywiadowcą?

— Dlaczego nie, jeśli nim jesteś? Tak bardzo zależało ci na tym, aby mnie schwytać powtórnie, że sam się wybrałeś na poszukiwania.

— A ja powiadam raz jeszcze, że się mylisz. Rozwiążcie lassa, gdyż inaczej uwolnią nas wojownicy nasi w ciągu kilku chwil. Wtedy nie będę mógł się za wami wstawić, zginiecie z ich rąk niechybnie!

— Nie boimy się was — odparł Winnetou. — Jak wywiadowców przed chwilą schwytałyśmy, tak schwytałyśmy wszystkich waszych wojowników!

— Oni będą się bronić i zniszczą was — groził Vete-ya.

— Twoja mowa jest próżna jak worek od prochu, z którego wysypano ostatnie ziarno. Mówie ci, ja, Winnetou, że tym samym wydasz rozkaz swoim wojownikom, żeby zaniechali wszelkiej obrony przeciw nam.

— Nigdy!

— Nigdy? Postąpisz tak, skoro tylko dzień zaszarzeje! Jestem tego tak pewny, że nie będę chował przed tobą żadnej tajemnicy, lecz powiem otwarcie, co mam jeszcze mówić w tej sprawie z moim bratem Old Shatterhandem. Możesz się przysłuchiwać.

Zwróciwszy się po tych słowach do mnie, ciągnął dalej:

— Który z nas pojedzie z jeńcami do naszych przyjaciół? Jeden ma pozostać, żeby obserwować Jumów i przeszukać okolice ich obozu jeszcze dokładniej niż przedtem, a drugi musi sprowadzić naszych sprzymierzeńców.

— Niech Winnetou postanowi — odpowiedziałem.

— Więc ja zostanę, a ty pojedziesz. Gdy wrócicie, znajdziesz mnie na tym samym miejscu, gdzie teraz jesteśmy. Jeńcy wsiądą na mojego konia i pozwolą przywiązać się do niego. Na najmniejszą próbę obrony odpowiedzielibyśmy nożami!

Przyprowadził konie. Jeńcy uznali, że muszą zrezygnować z wszelkiego oporu. Nie przyszło im na myśl wołać o pomoc, gdyż byliśmy tak oddaleni od ich obozu, że najgłośniejsze nawet wycie nie doszłoby uszu Jumów.

Obydwaj czerwoni musieli wsiąść na karosza Winnetou. Niebawem też odjechaliśmy w kierunku wschodnim ku obozowisku Mimbreniów podczas gdy Winnetou udał się na zwiady.

Nie chcąc tracić czasu, korzystałem z blasku księżyca i jechałem galopem. Jeńcy zachowywali długi czas zupełne milczenie. Jednak nie mógł się wódz powstrzymać od zapytania:

— Kim są ci ludzie, do których Old Shatterhand jedzie?

— Moi przyjaciele — odparłem krótko.

— O tym wiedziałem, nie pytając. Chciałem żebyś mi powiedział, czy to są blade twarze czy też mężowie czerwoni.

— Czerwoni.

— Z jakiego szczepu?

— Mimbreniowie.

— Uff! — zawołał przestraszony. — Czy dowodzi nimi Winnetou?

— Nie. Przebywa u nich tylko jako gość.

— Więc któż jest wodzem?

W innym wypadku z pewnością nie przysłoby mi do głowy udzielać mu odpowiedzi, obecnie jednak miałem ku temu ważne powody. Wiedziałem o nienawiści, jaką żywili do siebie, on i Silny Bawół, więc jasne było, że imię tego wodza musiało Vete-ya odebrać resztą nadziei jeśli ją jeszcze w ogóle posiadał. Dlatego odpowiedziałem chętnie:

— Nalgu Mokaszi.

— Uff! Silny Bawół! Właśnie on! Nie mógł to być kto inny?

— Przestrach cię ogarnia? Czy nie wiesz, że wojownikowi nie wolno bać się żadnego niebezpieczeństwa, żadnego człowieka?

— Ja się nie boję! — zapewnił dumnie. — Nalgu Mokaszi jest moim zawziętym wrogiem. Ilu wojowników ma przy sobie?

— Daleko więcej niż ty.

— Wiem, że będzie żądał mojej śmierci. Czy wezmiesz mnie w opiekę?

— Ja? Pytanie twoje jest pytaniem szaleńca. Chciałeś mnie zamordować przy palu męczarni, a teraz pytasz, czy cię wezmę w opiekę!

— Słyszałem, że Old Shatterhand jest przyjacielem czerwoni mężów?

— Przyjacielem tak czerwonoskórych, jak i białych; jestem jednak wrogiem każdego złego człowieka, bez względu na to, czy barwę oblicza ma jasną czy też ciemną.

— Czy uważasz mnie za złego?

— Tak.

— A gdybym się poprawił?

— Nie masz na to czasu.

— Więc daj mi czas!

— Dlaczego? Po co? Dla mnie jest rzeczą najzupełniej obojętne czy się poprawisz czy nie. Gdybyś nawet miał czas i mógł się zmienić, to przecież nie przyniosłoby mi to żadnej korzyści.

Po tych słowach spuściłem głowę i udałem, że się namyślałem, następnie rzekłem:

— Jednakże, zastanowiwszy się nad tym dochodzę do przekonania, że przecież znalazłby się jeszcze powód, dla którego mógłbym zająć się tobą.

— Więc mów! Wyjaw ten powód!

— Jestem gotów złagodzić twój los, a może nawet będę przemawiał za uwolnieniem twoim, żądam jednak za to, abyś mi powiedział prawdę.

— Jaką prawdę?

— Zapytam się o Meltona i Wellera, od szczeroci odpowiedzi zależeć będzie twój los.

— Więc pytaj! Jestem gotów powiedzieć ci wszystko!

— Nie teraz, lecz później, gdyż zbliżamy się do celu naszej jazdy.

Galop obydwu szybkonogich wierzchowców zaniósł nas prędko na miejsce, gdzie obozowali Mimbreniowie. Zwolniłem więc biegu i ostatni kawałek drogi przejechaliśmy kłusem. Wkrótce wynurzyło się kilkunastu Indian, którzy skierowawszy na nas swoje strzelby kazali stanąć.

— Old Shatterhand! — zawołałem do nich.

Zostaliśmy przepuszczeni przez linię straży. Mimbreniowie nie palili ognisk, cofnęli się w cień lasu. Ponieważ wartownicy nie mogli się oddalić, ażeby nas zaprowadzić do wodza,

nadeszło kilku wojowników; sam w ciemnościach niełatwo odnalazłbym miejsce postoj. Nalgu Mokaszi zobaczywszy dwa konie przypuszczał, że wracam z Winnetou, gdy jednak zatrzymałem się przed nim i zeskoczyłem na ziemię, spostrzegł dwie obce postacie siedzące na drugim koniu i zapytał:

— Powracasz bez wodza Apaczów? Gdzie on jest i co to za czerwoni mężowie, których przyprowadzasz ze sobą? Dlaczego nie zsiadają?

— Bo nie mogą. Z powodu ciemności nie widzisz, że są do konia przywiązani.

— Przywiązani. Więc są to schwytane psy Jumowie?

— Tak.

— To dobrze! Nie zobaczą już nigdy wolności i mam nadzieję, że najgorszy z nich, Vete-ya, wpadnie nam również w ręce. Zdejmijcie ich z konia i przywiążcie do drzew!

Wydawszy ten rozkaz, chciał się odwrócić od jeńców i rozmawiać ze mną w dalszym ciągu, dlatego rzekłem:

— Mówisz o wodzu Jumów. Czy nie zechcesz przypatrzeć się bliżej jeńcom?

Na te słowa podszedł Nalgu Mokaszi do konia Winnetou i spojrzał na postać pierwszego jeźdźca. Następnie cofnął się szybko i zawołał:

— Uff! Czy widzę dobrze, czy też myli mnie cień, w którym stoję? Czy to jest rzeczywiście ten pies, który chciał zamordować moje dzieci?

— Tak jest.

— A więc naprawdę! Vete-ya! Słuchajcie, waleczni wojownicy Mimbreniowie: Vete-ya w niewoli!

— Vete-ya, Vete-ya! — przeleciało przez szeregi czerwonoskórych. Wszyscy zbliżyli się do nas, każdy chciał go widzieć, każdy ciskał groźby i przekleństwa, które nie dadzą się powtórzyć. Zerwaliby go z konia pomimo więzów, gdybym temu nie przeszkodził.

— Cofnijcie się! — rozkazałem. — Jeniec należy do mnie, nie wy, lecz ja wziąłem go do niewoli!

— Ale ty należysz do nas — przerwał mi Nalgu Mokaszi — dlatego i jeniec jest zarówno nasz, jak i twój. Teraz jednak nie stanie mu się nic złego. Przywiążcie jego i towarzysza do drzewa i strzeżcie pilnie, żeby ich odeszła wszelka nadzieja ucieczki!

— Nie — odpowiedziałem. — Przywiążcie każdego z nich do osobnego konia! Musimy wyruszyć natychmiast do Jumów, którzy obozują za południowo-zachodnim rogiem lasu. Winnetou pozostał w ich pobliżu, ażeby obserwować.

— Czy napadniemy na nich?

— Sądzę, że nie ma wcale potrzeby rozpoczynać walki. Nie miałem czasu naradzić się z Winnetou, ale jest on na pewno tego samego mniemania co ja, że weźmiemy nieprzyjaciół do niewoli bez rozlewu krwi.

— Tym lepiej, wówczas umrą wszyscy przy palu męczarni, a w wigwamach Mimbreniów zapanuje wielka radość i uciecha. Czy słyszeliście wojownicy, Old Shatterhand każe wyruszyć w drogę!

W dwie minuty później siedzieli wszyscy na koniach i galopem popędzaliśmy tą samą drogą, którą dopiero co przybyłem. O jeńców się nie kłopotalem, przekonany, że znajdowali się pod strażą więcej pewną. Jadąc z Nalgu Mokaszi na czele oddziału, opowiedziałem przebieg naszej wyprawy wywiadowczej.

— Mój brat, Old Shatterhand, znajdował się w wielkim niebezpieczeństwie — rzekł wódz, gdy skończyłem. — Sądzisz więc, że obejdzie się bez walki?

— Tak jest.

— Jumowie są to tchórzliwe żaby, ale nadciągnęli z wielką siłą: Jestem przekonany, że będą się bronić.

— Kto się broni, ten musi być napadnięty. My jednak nie będziemy ich wcale zaczepiać.

— A mimo to się poddadzą?

— Tak.

— Wtedy zasługivaliby tylko na to, żeby ich oplwano i wyśmiano. Jestem stary i przeżyłem już wiele rzeczy, których inni nigdy nie doświadczą, nie zdarzyło mi się jednak widzieć, żeby się kto poddał bez przymusu.

— Usłyszysz resztę później, gdy się porozumiem z Winnetou. Teraz spieszmy, aby jak najprędzej do niego przybyć!

Jak wiatr pędziliśmy wzdłuż lasu, dopóki nie dotarliśmy do miejsca, na którym rozstałem się z Winnetou. Stał tam wyprostowany w księżyc, żebyśmy go natychmiast spostrzegli. Zsiadłszy z koni, przywiązaliśmy je do drzew wzdłuż skraju lasu; jeńców obstawiono podwójną strażą; wszyscy czerwonoskórzy usadowili się w cieniu i wkrótce panowała taka cisza, że chyba tylko jakiś zawołany wywiadowca mógłby nas tutaj wysledzić.

Winnetou, Nalgu Mokaszi i ja siedzieliśmy razem, żeby omówić plan pojmania Jumów. Żaden z wojowników nie odważył się zbliżyć do tak, żeby móc słyszeć rozmowę. Indianin jest wprawdzie wolnym wojownikiem i nie zna wojskowej dyscypliny, dowódcy swemu jednak okazuje nie mniejszy szacunek niż żołnierz generałowi.

Nalgu Mokaszi był daleko starszy niż ja lub Winnetou, a przecież ustępował nam pod względem cierpliwości. Zaledwie zajęliśmy miejsca obok siebie, rozpoczął:

— Te psy Jumowie zabiegły nam drogę, pośpieszmy się, nie pozwólmy im wrócić do ich dziur i jaskiń!

Winnetou zwlekał z odpowiedzią, ja również milczałem. Stary wódz był chciwy krwi, mnie jednak śmierć tylu ludzi przejmowała wstrętem. Ponieważ zwlekaliśmy z odpowiedzią, więc Nalgu Mokaszi ciągnął dalej:

— Czy moi bracia — słyszeli me słowa? Czemu nie mówią nic? Old Shatterhand nie chce walczyć. Cóż więc mamy przedsięwziąć? Czy Winnetou może mi to powiedzieć?

— Mogę — odparł Apacz.

— Moje uszy są otwarte i pragną go słuchać.

— Jumowie poddadzą się nie podnosząc broni.

— Czy Winnetou potrafi ich przekonać?

— Tak, jeśli pomogą mi wojownicy Mimbreniów.

— Więc powiedz, jaki masz plan!

— Otoczmy Jumów. Gdy Old Shatterhand odjechał, przypatrzyłem się dokładnie obozowi. Jumowie są bardzo znużeni, śpią w trawie na skraju lasu, nie rozstawili straży, gdyż liczą na swoich obydwu wywiadowców. Tylko w pobliżu koni pasących się na trawie czuwają dwaj wojownicy, aby zwierzęta nie oddaliły się zanadto. Czy nie jest więc łatwo otoczyć śpiących?

— Od strony lasu łatwo, niepodobna zaś od strony łąki. W lesie jest ciemno, więc można się tam zakraść. Łąkę natomiast jasno oświetla księżyc. Ludzie czuwający przy koniach zobaczyliby, jak nadchodzimy, i zbudziliby innych.

— Tak jest, księżyc świeci jasno, a jednak oczy Nalgu Mokaszi nie widzą, w jaka sposób możemy sobie poradzić. Jumowie nie spostrzegą nas absolutnie. Zakradniemy się pieszo, nie na koniach. Żaden, z nieprzyjaciół nie dojrzałby teraz człowieka pełzającego na brzuchu w trawie.

— Uff! Jeśli Winnetou tak sobie tę rzecz przedstawia, to nie mogę nie przyznać mu słuszności. Co jednak dalej uczynimy?

— Zażądamy, aby złożyli broń.

— Czy mój brat ufa, że posłuchają?

Nalgu Mokaszi wypowiedział to pytanie z niezbyt tajonym uśmiechem. Winnetou zaś odparł spokojnie:

— Jestem nawet przekonany o tym.

— Wobec tego powiem wodzowi Apaczów, co się stanie. Jumowie spostrzegłszy, że są otoczeni, przebiją się z łatwością przez nasz krąg i uciekną.

— Niech więc Nalgu Mokaszi powie, jak rozumie owe słowo „łatwo”. Czy mogą uciec przez las?

— Nie, gdyż tam będą stali nasi wojownicy, ukryci za drzewami, a każdy z nich mógłby zabić dziesięciu wrogów, zanim jedenasty dotarłby do niego. Muszą więc rzucić się w stronę łąki.

— Ale tam będą przecież także nasi wojownicy!

— Ci nie przeszkodzą w ucieczce, gdyż najlepszy nawet biegacz nie dopędzi konia.

— Uff! Zatem Nalgu Mokaszi myśli, że Jumowie zaatakują nas konno?

— Tak jest. Skoro zobaczą, że są otoczeni, wskoczą na konie i przebiją się przez szeregi naszych, kierując ku łące.

— Słusznie, ale koni nie dosiędą — odparł Winnetou z właściwą sobie pewnością.

Teraz dopiero zaczęło coś świtać w głowie Nalgu Mokaszi. Wydmuchnął powietrze przez usta z przytłumionym świstem, jakby na znak zdziwienia, i zapytał:

— Winnetou chce im zabrać konie? Przyjdzie to z trudnością, z wielką trudnością.

— Przyjdzie to z łatwością nawet dziecku. Bez koni nie przepuścimy ich. Każdą próbę w tym kierunku przypieczętują krwią.

— Więc nie uczynią tego, ale się też nie poddadzą. Co zamyśla Winnetou wtenczas?

— Wezwiemy ich, aby złożyli broń. Wielkie Usta każe swoim ludziom się poddać.

— Czy chcesz go zmusić do tego pod groźbą śmierci?

— Możemy spróbować tego środka.

— To się nie uda, chociaż jest tchórzem. Wie, że nie zabijemy go zaraz, lecz weźmiemy ze sobą, aby umarł przy palu męczarni. Będzie się więc spodziewał, że umknie nam po drodze.

— Mój brat przypisuje mu zbyt wielką niezaradność. Czy przypuszczasz naprawdę, że Vete-ya, pozwoliłby zastrzelić wszystkich swych wojowników w tym celu, żebyśmy go samego wlekli dalej ze sobą? Czy nie zgodzi się, aby jego ludzie byli z nim razem w niewoli? Im więcej jeńców, tym łatwiejsza ucieczka.

— Ale tym większa nasza czujność! Gdyby ucieczkę miał zapewnioną, uwierzyłbym, że zgodzi się na pozór na nasze żądanie.

— Więc trzeba tylko dać mu tę pewność, a ja znam człowieka, który może to zrobić z łatwością. Jest nim Old Shatterhand.

— Old Shatterhand, mój biały brat? W jaki sposób mógłby wpoić w wodza Jumów nadzieję i przekonanie, że jeśli się podda ze wszystkimi swoimi wojownikami, będzie mógł umknąć, a jeśli nie, to zginie?

— Zapytaj jego samego! Podczas gdy ja rozmawiałem z tobą, on się namyślał nad tym. Vete-ya chce go oszukać, nie będzie więc trudno Mimbrenia w błąd wprowadzić.

Było to rzeczywiście godne podziwu, jak Winnetou potrafił odgadnąć moje myśli. Nie wspomniałem mu o tym, nie wiedział, jakie słowa zamieniłem z pojmanym wodzem, a przecież zapowiedział teraz, jak myślę postąpić.

— Czy jest naprawdę tak, jak Winnetou mówił? — zapytał Mimbrenio.

— Tak jest rzeczywiście — Vete-ya wezwie swoich ludzi, żeby się nam poddali.

— I ty, ty podejmujesz się doprowadzić do tego?

— Tak, podstępem, ponieważ on ze swojej strony, pragnie mnie podejść. Przyrzeknę, że jego i wszystkich Jumów po kryjomu uwolnię.

— Vete-ya nie uwierzy.

— Uwierzy, gdyż wie, że Old Shatterhand nie złamał jeszcze nigdy danego słowa.

— Tym razem jednak musiałbyś je przecież złamać i zostać kłamcą! A może chciałbyś dotrzymać przyrzeczenia i wypuścić ich wbrew naszej woli?

— Tak jest!

— I ja mam ci pomóc? Czy z przyjaciela i brata stałeś się moim wrogiem?

— Nie, gdyż nie pozwolę, żeby Jumowie uciekli.

— A przed chwilą mówiłeś coś wręcz przeciwnego. Nie wiedziałem, że posiadasz dwa języki, któremu mam wierzyć?

— Mam tylko jeden język i jemu musisz wierzyć.

— Ale on prawi raz czarno, raz biało!

— Mówi prawdę, nic więcej! To, co tobie mówię, jest prawdą i to, co powie wodzowi Jumów, będzie także, prawdą. Vete-ya wpadnie we własne sidła. Przrzeknę mu wolność pod pewnym warunkiem. On się zgodzi pozornie, później jednak nie spełni umowy, a wtedy będę zwolniony ze słowa.

— Więc wiesz na pełnio, że Vete-ya nie dotrzyma przrzeczenia?

— Wiem.

— Jaki to warunek mi postawisz?

— Żeby mi powiedział prawdę, co za powód skłonił Meltona do napadu na hacjendę del Arroyo. Wymyśli jakieś opowiadanie, które jednak będzie kłamstwem. Zresztą nie ma potrzeby już teraz o tym mówić. Wystarczy, że wiem, co się stanie i jak mam się zabrać do rzeczy. Plan jest dobry. Nie traćmy czasu, lecz wykonajmy go! Północ już przeszła, a Jumów musimy otoczyć, zanim wstanie dzień.

— Powiedzieliście wasze zdanie i tak chcecie uczynić, niech więc się stanie według waszej woli. Winnetou i Old Shatterhand wiedzą zawsze, co czynią. Nie chcę się zatem sprzeciwić, chociaż nie mogę was w zupełności zrozumieć. Howgh!

Słowo „howgh” oznacza stwierdzenie, że to, co zostało postanowione, nie może już ulec zmianie.

Teraz wydano odpowiednie rozkazy. Pięciu Indian miało zostać tutaj z jeńcami i zabić ich raczej niż pozwolić uciec. Sześćdziesięciu czerwonoskórych wyznaczono, aby się ukryli w lesie poza obozem Jumów, reszta zaś miała udać się na łąkę, ażeby utworzyć drugą połowę pierścienia i połączyć się z wojownikami pierwszej gromady. W lesie miał dowodzić Winnetou, na łące Nalgu Mokaszi, resztę pozostawiono mnie. Zdawałoby się, że zadanie moje nie było trudne, a jednak w pewnych okolicznościach mogło nabrać pierwszorzędnej wagi. Najmniejszy przypadek, nie opanowany przeze mnie, zburzyłby wszystko.

Winnetou, który stanął na czele sześćdziesięciu wojowników zawezwał mnie przed wyruszeniem.

— Niech mój brat towarzyszy mi, gdyż najchętniej z nim pójdę i bez koni. Gdybym wziął ze sobą kogo innego, musiałbym zabić strażników.

Było mi to na rękę. Przyłączyłem się do niego i wyruszyliśmy w drogę. Pokonanie dwóch strażników znajdujących się przy koniach by właściwie zabawką. Musieliśmy jednak działać z największą ostrożnością, gdyż najdrobniejszy podejrzany szmer mógł nas zdradzić i zniweczyć cały plan.

Posuwaliśmy się wzdłuż skraju lasu. Nie opodal jego rogu weszliśmy między drzewa, postępowując dalej ze zdwojoną uwagą. Znajdowaliśmy się teraz na zachodniej stronie lasu i przybyliśmy wkrótce na miejsce, ta daleko którego na łące obozowali Jumowie. Idąc jeszcze wolniej i ostrożniej, zostawialiśmy co kilka kroków jednego wojownika. Gdy ostani z nich stanął na posterunku, tworzyli wszyscy łuk naokoło leżącego pod lasem obozu. Każdy Mimbrenio wyszukał sobie takie stanowisko, że mógł dokładnie obserwować nieprzyjaciół, sam nie narażając się na odkrycie. Instrukcje dotyczące ich czynności otrzymali zawnazu.

Po tych przygotowaniach stanąłem z Winnetou pod pierwszymi drzewami, żeby się rozpatrzeć w sytuacji. Chociaż do tej strony lasu nie dochodziło światło, mogliśmy rozróżnić prawie każdego Juma.

Niektórzy z nich padli zmożeni snem przy koniach, inni jednakże, a tych było najwięcej leżeli pokotem tam, gdzie kto znalazł miejsce nie opodal widniała broń złożona razem. Dalej pasły się konie, pilnowali je dwaj czerwoni.

Winnetou wskazał na nich i szepnął:

— Darujmy im życie. Mój brat weźmie na siebie jednego, a ja drugiego!

Chciał się oddalić, lecz zatrzymałem go pytaniem:

— Czy Winnetou spostrzegł, że warty zmieniają się co godzina?

— Tak.

— A więc musimy poczekać. Odkryto by wszystko za wcześnie!

— Old Shatterhand ma słuszość. Dopiero gdy opaszemy pierścieniem cały obóz, obojętne nam będzie odkrycie. Niech więc mój brat powróci i powie Silnemu Bawołowi, żeby wyruszył ze swoimi ludźmi.

— Dobrze! Będę im towarzyszył. Wiem, gdzie są końce oblężniczego półkola, sam dopilnuję, by szczelnie zacieśniono pierścień. Nie wymknie się żadna żywa dusza!

— Potem wrócisz do mnie?

— Gdzie cię znajdę?

— Będę czekał tutaj.

W powrotnej drodze napotkałem całą sześćdziesiątkę i przekonałem się, że wszyscy trwali na stanowisku, żaden Juma nie mógł się tędy przedostać.

Kiedy dotarłem do Silnego Bawołu, rozkazał natychmiast wyruszyć. Wziąwszy konie za cugle pomaszerowaliśmy gęsiego, ja i wódz na czele. Najpierw minęliśmy kraniec lasu, zatoczywszy koło, średnicą jego był brzeg lasu, a środkiem obóz Jumów. Co pewien czas pozostawialiśmy jednego wojownika wraz z koniem, dopóki nie stanął ostatni na wyznaczonym stanowisku.

Posterunki były tak oddalone od obozu, że nie mogły ich dosięgnąć kule Jumów. Każdy z nas najpierw przywiązał konia, potem popełnął dwieście kroków naprzód, aby tam czekać wschodu słońca. Konie były niezbędne do ścigania wrogów, gdyby Jumowie przerwali łańcuch naszych ludzi.

A więc pierścień dokoła obozu zamknięto! Wewnątrz koła stały również wierzchowce Jumów. Należało je schwytać za wszelką cenę.

Teraz położyłem się i poczołgałem na czworakach do miejsca, gdzie miał na mnie czekać Winnetou. Spostrzegł mnie z daleka i nie czekając, aż się z nim połączę, popęzł na moje spotkanie.

— Przed kilkoma minutami zmieniono warty — rzekł szeptem. — Położyli się natychmiast i z pewnością usną wkrótce.

— Możemy więc przystąpić do dzieła. Gdzie umieścimy tych dwóch?

— W lesie przy naszych ludziach, aby ich pilnowali.

— Tego nie życzyłbym sobie. Nasi ludzie powinni wyteńczyć całą czujność w kierunku obozu. Jeśli nadto powierzmy im inne zadanie, nie będą mogli sprostać i popełnią jakąś nieostrożność. Pozostaw ich mnie. Powiodę strażników do wodza, gdzie będą dla nas nieszkodliwi, podczas gdy tutaj mogą zaalarmować cały obóz swoimi krzykami.

— Mój biały brat ma słuszość. Zatem zajmij się tym, który nadchodzi.

Mijał nas nie opodal jeden ze strażników, trzymając wierzchowca za cugle. Popęzłem na czworakach, przyciskając się do ziemi, na miejsce, do którego zdążył, i położyłem się pomiędzy końmi. Czerwony nadszedł, stanął w pobliżu i spojrzał na niebo, odwróciwszy się do mnie plecami. Nie wiem, jakiego rodzaju były jego rozmyślenia, astronomiczne czy poetyckie, dość, że skutek miały dla niego fatalny.

Prześlizgnąłem się pod brzuchem wierzchowca i stanąłem za Indianinem. Schwyciłem go lewą ręką za gardło, pięścią prawej grzmotnąłem w skroń — runął jak kłoda, odrętwiałego powlokłem w bok.

Obejrzałem się na drugiego strażnika. Już go nie było. Winnetou załatwił się z nim równie szybko. Teraz zbliżał się pełznąc i ciągnąc sobą Jumę. Zawlekliśmy obydwóch do najbliższych posterunków Mimbreniów. Nadszedł czas, by się zabrać do koni Jumów. Urowadzenie ich nie nastęczało trudności, gdyż wierzchowce coraz bardziej się oddalały, poszukując paszy. Z początku popędziliśmy dwie sztuki poza linię naszych. Zaczęły natychmiast zajadać świeżą trawę, pozostałe spostrzegłszy to, przysły za nimi dobrowolnie. Gdy zmiarkowały ich nie odpędzamy, poczęły się coraz bardziej oddalać, dopóki nie pędziły się w poszukiwaniu trawy aż do naszych koni, gdzie wreszcie obrały sobie popas.

Figiel się udał!

Apacz powrócił na swoje stanowisko. Teraz, gdy już nie mieli koni a wokoło otaczali ich wrogowie, mogli się wojownicy Jumów obudzić. Nasi przygotowali się do walki w zupełności. Trzeba było jeszcze umieścić w bezpiecznym miejscu pojmanyh strażników.

Doszliśmy do południowej części lasu, gdzie leżał wódz Jumów wraz z pozostałymi jeńcami pod strażą pięciu Mimbreniów. Prawdopodobnie był zdumiony i wściekły, że znowu sprowadziłem dwóch jego wojowników, lecz nie odezwał się ani słowem. Szło mi o to, aby mu dowieść, że okrzyżyliśmy Jumów i że żadnemu z nich nie uda się przedostać przez nasz łańcuch. Musiałem zatem pokazać wodzowi nasze pozycje, dlatego odwiązałem rzemienie krępujące mu nogi, aby mógł pójść za mną. Natomiast ze zdwojoną mocą skrępowałem jego ramiona, pomimo zranionej ręki, i umocowałem wokoło pasa rzemień, drugi koniec przywiązałem do mojego i rzekłem:

— Wielkie Usta na pewno tęskni za swoim obozem, niech pójdzie za mną, a ujrzy go.

Na przeciwnym końcu linii wartowników napotkałem wodza Apaczów. Gdy ujrział Jumę, odgadł mój zamiar i zawołał:

— Przychodzisz się przekonać, czy żaden z tych psów nie przedostanie się tędy? Są tysiackroć gorsi od psów, gdyż te zwierzęta czuwają przynajmniej, podczas gdy Jumowie chrapią pokotem. Wstyd być przywódcą takich ludzi! Gdy zbudzą się, ogarnie ich śmiertelny strach. Jeżeli nie zechcą się poddać, wystrzelamy wszystkich bez litości!

Ruszyliśmy dalej, wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń, póki nie obeszliliśmy całego półkola. Po drodze spotkałem Silnego Bawołu, który tutaj przewodził. Nie dorastając inteligencją Winnetou, nie odgadł mego zamiaru. Dlatego spytał tonem brzmiącym prawie niechętnie:

— Dlaczego Old Shatterhand taszczy ze sobą tego psa? Czy chce mu dać sposobność ucieczki? Zostaw go lepiej dozorcem! Ty masz tylko jedną parę ramion i oczu, oni zaś pięć!

— Moje oczy są równie dobre jak ich dziesięcioro, a co się tyczy moich ramion, to więcej zdziały niż ich. Czemu się gniewasz? Czyś sam przedtem nie powiedział, że Old Shatterhand wie zawsze, co czyni?

— Ale jeśli przybywasz przekonać się, czy jesteśmy czujni, po co sprowadzasz jeńca? To zupełnie niepotrzebne!

— Nie przyszedłem wcale, by was kontrolować, lecz z zupełnie innego powodu. Czy sądzisz, że chociaż jeden z Jumów, przedostanie się tędy?

— Po cóż pytasz, kiedy wiesz równie dobrze, jak my, że to niemożliwe? Jeżeli spróbują ucieczki, wystrzelamy ich co do jednego!

Odwrócił się, plunął w twarz wodzowi Jumów i odszedł. Spostrzegłem, że słowa i całe zachowanie się starego wodza Mimbreniów wywarły na jeńcu silne wrażenie.

Skorzystałem z tego i pozwoliłem mu się odezwać.

— Teraz wolno ci mówić. Wiesz, że Mimbreniowie mają więcej wojowników od Jumów. Pokazałem ci ich stanowiska, wszystkie strzelby są gotowe do strzału. Wielu z twoich ludzi padnie od pierwszej salwy, pozostali zaś będą musieli się poddać, nie chcąc zginać marnie.

— Przebiją się!

— Przez ogniwa naszego łańcucha nie prześlizgnie się nawet jaszczurka. Wiesz o tym sam!

— Jestem przekonany, że tak nie jest. Jeżeli gwałtownie i niespodziewanie ruszą galopem jak lawina, to co prawda kilku zginie od waszych kul, ale reszta ujdzie.

— Na wierzchowcach? Lecz gdzie je mają?

— Tam — odpowiedział, wskazując palcem okolicę, gdzie pasły się konie.

— Tam, to prawda. A gdzie leży wasz obóz? Czyś nie zauważył po drodze, że konie wasze uprowadzono?

— Uff! — zawołał przerażony.

— Spójrz i przekonaj się, że nasi wojownicy leżą pomiędzy końmi a twoim obozem! A więc plan przebicia się, jak widzisz, jest niewykonalny.

Schylił w milczeniu głowę ku ziemi, a i ja nie odzywałem się, nie chcąc osłabiać wrażenia. Przeszło parę chwil. Juma wreszcie podniósł głowę i rzekł:

— Jeśli Mimbreniowie zaraz dadzą ognia, będzie to zwyczajne morderstwo, gdyż moi wojownicy nie są przygotowani.

— A ty, czy nie napadałeś bezbronnych i łupiłeś ich wioski? Również nie byli na to przygotowani. Czy nie chciałeś zabić dzieci Silnego Bawołu? Czyś nie napadł na hacjendę del Arroyo, pałac, mordując i niszcząc. Położenie twoich wojowników w tym wypadku także nie zasługuje na litość! Ty nie znasz, co to miłosierdzie, więc i ja nie znam! Milczał. Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Już wiedział, że nie było ratunku dla niego i jego wojowników.

— Walka przegrana Vete-ya. Daję wam szansę uratowania życia. — Ty teraz każesz swoim wojownikom poddać się, a potem wyjawisz mi plany Meltona. Ja gwarantuję wam życie.

— To nie życie, lecz wieczna hańba — rzekł i spuścił głowę. Widząc, że wódz nie wyda rozkazów, postanowiłem rozmówić z wojownikami Jumów sam. Kazałem przyprowadzić dwóch pojmanych uprzednio wojowników i przedstawiłem im swoje warunki:

— Widzicie, że sytuacja wasza jest beznadziejna. Old Shatterhand nie pragnie waszego życia, musicie jednak za napad na hacjendę ponieść zasłużoną karę. Oddacie broń, konie oraz zrabowane trzody i łupy w hacjendzie. My puścimy was wolno pod dodatkowym warunkiem, że Vete-ya wyjawi nam plany złych białych twarzy.

Obaj wojownicy oddalili się natychmiast do obozowiska Jumów.

Wkrótce rozległo się w nim głośnie wycie, zawodzenie, a potem zapadła cisza. Wiedziałem, że wojownicy naradzali się co dalej robić. Indianin często woli śmierć w walce niż poddanie się.

Po upływie pewnego czasu od strony lasu ukazały się trzy sylwetki. Byli to wysłannicy oraz najstarszy wiekiem wojownik, który zastępował wodza.

Czekałem na nich w towarzystwie Winnetou. Kiedy zbliżyli się zapytałem, co postanowili wojownicy Jumów.

— Poddamy się — odrzekł najstarszy z nich, lecz zostaniemy twoimi jeńcami, a nie tych psów Mimbreniów.

Położył nacisk na słowie „twoimi”, miał bowiem powód ku temu. Chciał być moim jeńcem, gdyż ja obiecałem im wolność.

— Idźcie więc teraz, by oddać broń, lecz tylko pojedynczo. Nikt nie powinien się zbliżać przed rozbrojeniem poprzednika!

— A czy wolno nam przynajmniej zachować świętości?

— Wielki Duch sprawił, że dostaliście się w nasze ręce, oblicze jego odwróciło się od was, dlatego wasze leki pozbawione są wartości, lecz ja nie chcę poniżyć was tak głęboko. Pozwalam zachować leki i kalumety.

Była to dla nich ogromna ulga. Jeśli nawet przypadkowa zguba leków powoduje szkodę niepowetowaną, to oddanie świętości i kalumetów zwycięskiemu wrogowi jest hańbą na wieczne czasy.

Przygotowali się, by powrócić do obozu. Gdy uszli z piętnaście kroków, stanął mój rozmówca, odwrócił się i spojrział na mnie. Było to wyraźne wezwanie, bym podszedł do nich, gdyż ma mi coś do powiedzenia. Posłuchałem.

— Niech Old Shatterhand wybaczy, że przemówię powtórnie — rzekł. — Wiem, iż tamci dwaj przywódcy nie powinni tego słyszeć.

— Mów, byle krótko!

— Czy to prawda, że Old Shatterhand przyrzekł nas uwolnić?

— Tak, jeśli wasz wódz wypełni przyrzeczenie.

— Jakie?

— Nie pozwolił mi powiedzieć tego.

— A jeśli nie spełni?

— Wówczas zmuszony będę przysiąc, że ja w ogóle nie składałem przyrzeczenia!

— Uff! Powiemy mu, że musi dotrzymać słowa, Howgh!

Po kilku krokach zatrzymał się ponownie i spytał:

— Dokąd nas zaprowadzicie?

— Tego jeszcze nie postanowiono.

— Jakimi mękami będziecie nas trapić po drodze?

— Żadnymi, gdyż wy nie męczyliście mnie również. Nie zaznacie ani głodu, ani pragnienia, gdyż i ja go u was nie zaznałem.

— Czy wolno nam będzie chodzić lub jeździć pod waszą strażą?

— Nie, będziecie skrepowani. Do jedzenia rozwiążą wam ręce. Względy, które mnie okazaliście, będą nagrodzone, krzywdy, które mnie wy rządzyliście — ukarane. Każdy zbiera to, co posieje. Lecz dość na teraz, dobrnijmy wreszcie do końca!

Kazałem trzydziestu Mimbreniom utworzyć koło, w którym miał złożyć broń. Zaledwie stanęli, na pięćdziesiąt kroków od obozu, podszedł mój rozmówca, by złożyć strzelby. Sprowadziłem jeszcze paru Mimbreniów, którym poleciłem przeszukiwać kieszenie jeńców. Gdy ujrzał i Winnetou, przybył ze swoimi ludźmi. Ci krepowali i kładli w trawie każdego Jumę po rozbrojeniu.

Procedura odbywała się nadzwyczaj prędko, bo Jumowie mieli przy sobie dość lassa i rzemieni. Moje zadanie okazało się nie mniej żmudniejsze. Niełatwo było odróżnić własności czerwonych od łupu pochodzącego z hacjendy tym bardziej, że często rzeczy, które — mógłbym przysiąc — pochodziły z hacjendy, podawano za leki, a leki wszelkie przyrzekłem pozostawić czerwonym. Nalgu Mokaszi był wszędzie i doglądał usilnie, by znienawidzeni przez niego Jumowie, nie uniknęli ostrego obejścia.

Południe już nadchodziło, gdy uwinęliśmy się z tą niewdzięczną pracą. Jumowie leżeli obok siebie powiązani jak worki z kartoflami. Odebrana broń piętrzyła się jak kopiec, miano ją rozdzielić po południu. Podobnie z rzeczy hacjendera uzbierał się spory skład. Poleciłem kilku Mimbreniom o wypróbowanej rzetelności dobrze go pilnować.

Spożyto posiłek po raz pierwszy dzisiejszego dnia. Wszyscy byli syci, gdyż obydwie strony miały dosyć żywności. Ponieważ nie spaliśmy w nocy, postanowiono przespać upalne godziny. Przed wieczorem mieliśmy wyruszyć. Dokąd — rozumiało się samo przez się — mianowicie do miejsca, gdzie rozbili obóz pozostali Jumowie ze zrabowanymi trzodami. Wojowników postanowiliśmy wziąć do niewoli, stadniny oddać hacjenderowi.

Teraz nastąpił podział zdobytej broni. Wszczął się nieopisany gwar. Każdy chciał chwycić najlepszą sztukę. Wydzierano sobie flinty, pogardzając łukami i strzałami, a ponieważ większa część broni palnej była bez wartości, więc wynikły spory i kłótnie, które mógł uśmierzyć tylko rozkaz wodza.

Rozłożyliśmy się obozem w cieniu drzew. Kto tylko nie miał czuwać, ten wypoczywał, aby zebrać siły na daleką jazdę. Zamierzaliśmy bowiem zatrzymać się dopiero u celu podróży. Straż pełniło dziesięciu ludzi, ilość w zupełności wystarczająca mimo pokaźnej liczby pojmanych. Co godzinę luzowano wartę. Podobnie ja, Winnetou i Silny Bawół, zmienialiśmy się co godzinę, aby coraz inny z nas dozorował wartowników. Pierwszą straż miałem ja, zluzował mnie Winnetou. Gdy obudził mnie wódz Mimbreniów, czułem się jeszcze bardziej zmęczony niż poprzednio. Zaraz też zerwałem się, żeby znowu czuwać. Warty chodziły tam i z powrotem, pilnie bacząc na pojmanych, aby nie uszedł ich uwagi żaden odruch podejrzenia. Vete-ya jako wódz otrzymał legowisko nieco oddalone od pozostałych, zdawał się leżeć nieruchomo, pewnie spał. Gdy przeszedłem obok niego po raz drugi, otworzył jednak oczy i zawołał i na mnie po imieniu. Przystąpiłem do niego i spytałem, czego sobie życzy. Zrobił zdziwioną minę i odpowiedział:

— Jakie życzenie? Czy doprawdy Old Shatterhand nie wie, o co mi chodzi? Mam tylko jedno — wolność!

— Wierzę ci. Miałem je również, gdy byłem twoim jeńcem!

— Otrzymałeś ją. Kiedy odzyskam swobodę? Czy dzisiaj?

— Jeszcze dzisiaj? — spytałem ze zdziwieniem. — Spałeś, śniesz jeszcze z pewnością.

— Nie śnię! Prócz ciebie czuwa tylko dziesięciu wojowników. Czy ci kto zabroni przeciąć moje więzy? Uczynisz tak, a ja skoczę na konia i zniknę, zanim zdążą mnie pojmać!

Na tę skromniutką prośbę inny zaniemówiłby ze zdziwienia lub gniewu, co do mnie, to wydała mi się zbyt komiczną. Toteż wybuchłem głośnym śmiechem, większa część śpiących obudziła się, a wartownicy zdziwieni spojrzeli ku mnie.

— Czemu się śmiesz? — zapytał gniewnie Wielkie Usta. — Czy sądzisz, że to żart?

— Naturalnie! Mam ci dopomóc w ucieczce teraz, w biały dzień, aby wszyscy ujrzeli, że ja cię uwolniłem?

— Nikt się nie ośmieli ukarać Old Shatterhanda. A przyrzekłeś mi wolność.

— Przyrzekłem uwolnić ciebie i twoich wojowników, a nie zaś ciebie samego. Oswobodzę Vete-ya tylko razem z nimi.

— A więc przyśpiesz to wreszcie! Musisz wypełnić przyrzeczenie!

— Racja! Ale jak z twoim?

— Dotrzymam go, skoro ty dopełnisz swojego!

— Myślisz pewnie, że wynalazłeś dowcipny kruczek, lecz tym wybiegiem nie uzyskasz nigdy wolności! Nie puszcę cię, zanim nie odpowiesz na moje pytania.

— Odpowiem ci tylko jako wolny wojownik!

Otwarłem usta, by znowu wybuchnąć śmiechem, lecz natychmiast przybrałem powagę, gdyż w tej samej chwili Nalgu Mokaszi, który, leżał w pobliżu i zdawał się chrapać w najlepsze, skoczył na równe nogi, i zawołał chrapliwym głosem wściekłości:

— Czy Old Shatterhand ma czas odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Tak — skinąłem.

— Niech więc podejdzie, aby je usłyszeć!

Podszedłem do niego. Poprowadził mnie na stronę, stanął, obrzucił gniewnym spojrzeniem i rzekł:

— Old Shatterhand rozmawiał z Vete-ya. Słów, co prawda, nie słyszałem, ale odgadłem ich treść!

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to nie mogę pojąć, dlaczego nie stałeś spokojnie na swoim miejscu. Sen ci potrzebny tak samo, jak wszystkim.

— Jakże mam spać, gdy widzę i słyszę, że zdrada opasuje nas niby wąż!

— Zdrada? Czy mój czerwony brat zechce mi powiedzieć, w kim widzi zdrajcę?

— Ty nim jesteś, ty sam!

— Ja? Zdrajcą? Jeżeli Nalgu Mokaszi uważa za zdrajcę Old Shatterhanda, któremu nikt najmniejszego fałszu zarzucić nie może, to chyba z jednego tylko powodu: Wielki Duch zabrał mu pamięć i pomieszał zmysły! Współczuję ci, a ponieważ jestem twoim bratem i przyjacielem, więc boli mnie bardzo, że muszę Silnego Bawołu na tak długo wykluczyć z naszej rady, póki mu rozum nie powróci na miejsce!

Zestawiłem go i poszedłem dalej, ale on pogonił za mną, chwycił za moje ramię i zawołał pieniąc się z gniewu:

— Coś powiedział? Rozum chcesz mi odebrać, zmysły pomieszać? Czy myślisz, że przewyższając innych siłą i rozumem, możesz nie tylko wrogów zwyciężać, lecz obrażać przyjaciół?! Wyjmij swój nóż i walcz ze mną! Taką obelgę tylko krew zmyć może!

Zarówno jego słowa jak wykrzywione wściekłością rysy powiedziały mi, że stary choleryk jest rozdrażniony do najwyższego stopnia. Wyrwał nóż zza pasa i stanął w pozycji zapaśnika. Odpowiedziałem spokojnie:

— Czym może być zmyta taka obelga, pytasz? Sąd o tym do mnie należy, nie do ciebie, gdyż ja zostałem obrażony. Nazwałeś mnie zdrajcą. Cóż może być większą obelgą dla wojownika? Jeśli mnie obcy tak nazwie, natychmiast miażdżę mu czaszkę, gdy czyni to przyjaciel, muszę przypuścić, że zwariował nagle. Jeżeli czujesz się dotknięty, nic na to nie poradzę, wszakże sam wywołałeś mój sąd!

— Ja nie cofam swojej obelgi. Chcesz uwolnić Vete-ya!

— Tak, lecz, postawiłem mu warunek, którego nie wypełni, wiem tedy, że wolności nie odzyska.

— Co ty w ogóle masz z nim do mówienia! To właśnie wydaje mi się podejrzane, że pertraktujesz z Vete-ya po kryjomu, sądząc, że jesteśmy pogrążeni we śnie!

Położyłem mu rękę na ramieniu z taką siłą, że zgiął się na pół stopy i odparłem poważnie:

— Od kiedy to wódz Mimbreniów jest moim strażnikiem? Skoro Old Shatterhand czuwa, inni mogą spać spokojnie. Pamiętaj o tym! Wybaczam ci, żeś mnie nazwał zdrajcą, bo wkrótce przekonasz się, jak dalece zbłądziłeś! Lecz dość na tym! Skończyłem!

Chciałem odejść, on zatrzymał mnie powtórnie i krzyknął:

— Nie, to jeszcze nie koniec! Musisz walczyć ze mną! Natychmiast wyciągnij nóż, inaczej zakłuję cię bez pardonu!

Czerwoni, którzy jako dzicy sen mają o wiele lżejszy od białych, obudzili się na krzyki starego. Winnetou wstał również i podszedł, aby spytać:

— Dlaczego mój czerwony brat wyzwiał Old Shatterhanda?

— Obraził mnie. Oświadczył, że postradałem zmysły!

— Dlaczego tak oświadczył?

— Dlatego, że nazwałem go zdrajcą.

— Jaki powód miał ku temu wódz Mimbreniów?

— Old Shatterhand stał przy Wielkich Ustach i mówił z nim.

— Czy omawiali zdradę?

— Tak. Old Shatterhand sam przyznał, że chce potajemnie uwolnić wodza Jumów.

— Czy to jedyny powód do nazwania go zdrajcą? Powiadam ci: mój brat Shatterhand wie zawsze, co czyni, a gdyby wszyscy biali, czarni i czerwoni mieszkańcy ziem zdradzili każdą uczciwą sprawę, on jeden pozostałby wierny do końca!

— Tak mówisz ty, ja jednak wiem, że jest inaczej! Com rzekł, to szczerą prawdą! On zaś obraził mnie, musi więc ze mną walczyć!

Winnetou obrzucił starego od stóp do głów ironicznym spojrzeniem i odezwał się drwiąco:

— Czy mój czerwony brat chce koniecznie stać się pośmiewiskiem swoich wojowników?

Słowa jego bardziej jeszcze rozdrażniły wodza, teraz zaczął prawie ryczeć:

— Czy i ty chcesz ze mną zadrzeć? Spójrz na moją postać, ramiona, plecy, mięśnie! Czy sądzisz, że ulegnę?

— Tak. Jeśli Old Shatterhand zechce, za pierwszym uderzeniem utkwi ci klinga jego noża w sercu! On jednak nie zechce z tobą walczyć!

— Będzie chciał, musi chcieć, żądam tego, a jeśli nadal będzie zwlekał, to jest marnym tchórzem i zakłuję go bez wahania!

Brwi Winnetou ściągnął gniew, a twarz jego przybrała wyraz kamienny, niewzruszony. Poznałem, że Apacz nie zamierza już grać dłużej roli anioła pokoju. Znajomym mi z dawna odruchem podniósł w, górę jedno ramię i rzekł:

— Nalgu Mokaszi postanowił stracić szacunek wszystkich. Old Shatterhand będzie walczył. Jakie warunki stawia, mój czerwony brat?

— Walka będzie na śmierć i życie.

— Kiedy?

— Natychmiast!

— Jakie mają być zasady walki na noże?

— Żadne. Uderzam, kiedy mi się podoba?

— Co nastąpi, jeśli jeden z walczących zgubi swój nóż? Czy przeciwnik ma prawo go zakłuć?

— Tak, lecz pierwszy może bronić się pięściami i drugiego zatłuc lub zadusić.

— Dobrze! Teraz wiem, kto dzisiaj uda się do Wiecznych Ostępów, jeśli zechce jego przeciwnik. Moi bracia pozwolą mi być sędzią spotkania. Jestem gotów. Możecie rozpocząć walkę na śmierć i życie!

Oczy starego impetyka pałały żądzą krwi. Znał moją siłę i zręczność, ale czy teraz mógł o niej pamiętać? Wpadając we wściekłość przekraczał wszelkie granice. Skoro jednak gniew mijał, nie było sympatyczniejszego człowieka nad niego, naturalnie w pojęciu indiańskim. Co prawda, własny gniew niejednokrotnie spletał, mu już dotkliwego figla i na pewno straciłby dawno stanowisko i szacunek swego szczepu, gdyby poza tym nie był dzielnym przywódcą i niepospolicie silnym człowiekiem. Nazywając go starym, nie miałem bynajmniej na myśli słabości lub zgrzybiałości. Miał może lat sześćdziesiąt, wzrost i budowę olbrzyma, a ponadto sprężystość, którą rówieśnicy jego od dawna utracili. Był więc godnym przeciwnikiem i właściwie miał nade mną przewagę, ponieważ walkę brał na serio, gdy ja, naturalnie, nie zamierzałem go nawet zadrasnąć, a cóż dopiero zabijać!

Nie wymawiałem się od walki wiedząc, że tylko pogorszyłbym sytuację, gdyż zaślepiony gniewem stary rzuciłby się na mnie, a wówczas musiałbym poważnie się bronić. Stałem więc naprzeciw niego, wyciągnąwszy nóż z za pasa, nie prawą jednak ręką, tylko lewą, prawą pięść bowiem chciałem mieć wolną. On wszakże nie zwrócił na to uwagi. Mimbreniowie słyszeli, o co chodzi, i przybiegli wszyscy. Pojmani Jumowie, nie mogąc podążyć za nimi, usiłowali się wyprostować nie bacząc na więzy, aby ujrzeć cokolwiek. Na wszystkich twarzach widniał wyraz oczekiwania. Tylko obydwaj synowie wodza maskowali się obojętnością. Lubo nie chcieli tego pokazać po sobie, widziałem doskonale, jak wielka trapi ich troska. Jeśli ja zwyciężę, zginie ich ojciec, jeśli odwrotnie — polegnie człowiek, któremu zawdzięczali wolność i dla którego czuli cześć prawie bałwochwalczą.

Staliśmy więc oddaleni od siebie o pięć kroków, każdy trzymając nóż w ręce i pilnie bacząc na przeciwnika. Winnetou spytał:

— Czy mój brat, wódz Mimbreniów, oznajmi jakie ma życzenie na wypadek śmierci?

— Nie umrę! — zaśmiał się gniewnie zapytany. — Daj znak, a natychmiast ostrze mego noża zakosztuje krwi Old Shatterhanda!

— A może mój biały brat da jakie zlecenie? — pytał dalej Apacz.

— Tak. Jeśli Nalgu Mokaszi zakłuje mnie, to powiedz mu, że byłem zbawcą jego dzieci i jednemu z nich nadałem imię. Być może, będzie wówczas powściągliwszy w obejściu z przyjaciółmi, którym winien wdzięczność.

Sądziłem, że moje słowa opamiętają starego, grubo się jednak pomyliłem, wódz bowiem począł ryczeć konwulsyjnie:

— Zdrajca nie może liczyć na wdzięczność. Chcę krwi, krwi, krwi! Walka więc musiała się odbyć. Przedtem miałem zamiar obejść się ze starym delikatnie, teraz postanowiłem dać mu dobrą nauczkę. Krew zakipiła we mnie. Skinąłem na Winnetou. Ten podniósł rękę w górę i powiedział głośno:

— Żaden z was nie śmie ruszyć się z miejsca, póki na to nie zezwolę, Walka się zaczyna! Howgh!

Wyciągnął nóż, aby każdego, kto się do nas zbliży, zakłuć na miejscu, i stanął przypatrując się walce.

Kto zacznie? To było teraz najważniejsze pytanie! Nie ja! Byłem w każdym razie zdecydowany unieszkodliwić wodza zaraz po pierwszym ataku. Miałem nadzieję, że mi się powiedzie. Nie było czasu na wahanie, im dłużej wystawiałem się na nóż przeciwnika, tym łatwiej mógł mnie trafić.

Silny Bawół stał cicho i spokojnie jak wykuty z kamienia. Czyżby i on nie chciał natrzeć pierwszy? Jakkolwiek nie ruszał się z miejsca, żywe błyski oczu zdradzały, że tylko po to stał niby wrosły w ziemię, aby znużyć mój wzrok i potem — napaść niespodziewanie. Nie omyliłem się, gdyż nagle oczy jego formalnie stanęły w ogniach. Rzuciłem nóż przekonany, że wódz skoczy na mnie. Rzeczywiście podnosił już nogę, lecz znowu postawił ją na ziemi i zawołał:

— Czy widzieliście, jak Old Shatterhand się boi? Opuścił nóż, bo strach rozwarł mu palce!

Zamiast odpowiedzi schyliłem się udając, że chcę podnieść nóż. Wiedziałem jednak, że on jako doświadczony wojownik spróbuje wyzyskać do ataku nadarzącą się sposobność. Zaraz też wykonał rozstrzygający skok, rozstrzygający, bo skokiem tym zadecydował o swojej porażce. Ponieważ ja się schyliłem, więc i on musiał również skurczyć swą wysoką postać, aby trafić mnie w plecy. Ja jednakże błyskawicznie odskoczyłem na bok — wyprostowaawszy się. Stałem obok niego i mogłem użyć całej swojej siły, podczas gdy on, schylony, uderzał w miejsce mego uprzedniego stanowiska. Grzmotnąłem go pięścią w kark, upadł jak wór piasku, bezwładną masą zwałił się na ziemię. Wyrwałem mu nóż z ręki, odwróciłem go położywszy na wznak, aby ukłębnać mu na piersiach, i chciałem przyłożyć ostrze do jego gardła. Było to jednak zbyt ciężkie. Powstrzymał mnie wyraz jego oczu, źrenice szeroko rozwarte i nieruchomo wbite w niebo, jak gdyby szklane. Usta miał również otwarte. Ciemna, spalona wiatrami i słońcem twarz, zastygła w kamiennym bezruchu. Leżał nieruchomo. Powstałem i rzekłem do Winnetou:

— Wódz Apaczów widzi Nalgu Mokaszi, leżącego w prochu, a jego nóż w mojej ręce. Niechaj rozstrzygnie, kto jest zwycięzcą!

Apacz zbliżył się i ukląkł przed Mimbreniem, aby go zbadać. Gdy podniósł się, twarz mu oblokła surowa powaga, a głos drżał, gdy rzekł:

— Wódz Apaczów miał rację, mówiąc, że Silny Bawół dzisiaj jeszcze uda się do Wiecznych Ostępów. Pięść Old Shatterhanda jest jak głaz; gruchocze bowiem na miąsgę nawet wtedy, gdy nie zamierza zabijać!

Wojownicy stali w milczeniu, obydwaj synowie zwyciężonego zwiesili głowy. Schyliłem się, aby sprawdzić, czy Winnetou miał słuszność. Oczy wodza patrzyły jak martwe, usta zdradzały paraliż, a tylko serce ledwie biło. Żył więc jeszcze. Spróbowałem nacisnąć powieki — ruszył wargami i wydał parę nieartykułowanych dźwięków. Oczy jego poruszyły się również, jakby szukając kogoś, wreszcie utkwiły we mnie. Rozszerzała je trwoga. Wargi otwierały się i zamykały, jakby chcąc przemówić, bez skutku jednak. Ciałem wstrząsały konwulsyjne drgawki, wskazując, że wódz wyteża siły, aby przezwyciężyć bezwład. Wstałem więc i powiedziałem czerwonym, którzy z niecierpliwością oczekiwali na rezultat badania:

— Nie umarł, żyje. Dusza nie opuściła go jeszcze, ale czy ciało słuchać jej będzie jak dawniej, tego wiedzieć nie mogą, czas to pokaże.

Wtem rozległ się z miejsca, gdzie leżał wódz, długi, przeraźliwy krzyk. Leżący skoczył na równe nogi, jak sprężyna machał ramionami i wołał:

— Żyję, żyję, żyję! Mogę mówić, poruszać się mogę! Nie umarłem, nie odszedłem do Wiecznych Ostępów!

Wówczas wyjął mi Winnetou nóż z ręki, pokazał wodzowi i spytał:

— Czy Nalgu Mokaszi przyznaje, że został zwyciężony? Old Shatterhand mógł go zakłuć, pragnął jednak oszczędzić.

Mimbrenio podniósł z wolna rękę, wskazał na mnie sztywno, a twarz jego przybrała wyraz zgrozy:

Biała twarz ma w pięści wcieloną śmierć. Jak to strasznie jest żyć, a jednak być umarłym. Stokroć wołałbym umrzeć, umrzeć naprawdę. Niech Old Shatterhand uderzy mnie nożem w serce, lecz tak, abym nie mógł już ani słyszeć, ani widzieć!

Stał przed mną i przybrał postawę, człowieka oczekującego śmiertelnego ciosu. Ująłem Silnego Bawołu za rękę, zaprowadziłem do miejsca, gdzie stali obydwaj jego synowie i powiedziałem do młodszego z nich:

— Twój starszy brat otrzymał ode mnie imię, ty otrzymasz nie mniejszy podarek: daruję ci twego ojca. Weź go i upomnij, by już nigdy nie zwątpił w Old Shatterhanda!

Stary spojrział na mnie badawczo, jakby ze zdziwieniem i spuścił wzrok ku ziemi:

— To jeszcze gorsze od śmierci! Składasz moje życie w ręce dziecka — rzekł. — Stare skwaw będą mnie wytykać palcami, bezzębne usta szeptać jedno drugim, że zwyciężyłeś mnie, a teraz należę do chłopca który nie ma imienia. Życie moje będzie wieczną hańbą!

— Nigdy! Nie jest hańbą ulec w pojedynku, a twój młodszy syn uzyska niebawem tak samo słynne imię, jak jego starszy brat. Nie zabrano ci czci. Spytaj Winnetou i starszych twego szczepu, potwierdzą moje zdanie!

Odwróciłem się i oddaliłem. Co prawda, darowanie życia było dla niego ciosem nie lżejszym od tego, jaki otrzymał w kark. Wrócił na swoje miejsce, przykucnął ze smutkiem. Reszta wojowników podążyła również do swych koców, ale nikt nie mógł już usnąć. Po upływie oznaczonego czasu zluzował mnie Winnetou:

— Domyślam się, o czym mówiłeś z Vete-ya. Żądał pewnie, abyś go już dzisiaj uwolnił?

— Tak.

— Lecz nie odpowiedział jeszcze na twoje pytania?

— Nigdy zresztą nie powie prawdy, okłamię cię. Żądając natychmiastowego uwolnienia, okazał czelność godną zwierzęcia, które się żywi padliną! Zasługuje na śmierć przy palu męczarni! Jaki los go czeka?

— Ten sam, jaki mu przeznaczył Winnetou.

— Moje myśli są twoimi. Old Shatterhand, i Winnetou nie łakną krwi, ale nie mogą uratować Wielkich Ust. Gdybyśmy go uwolnili, wina za wszystkie jego późniejsze zbrodnie spadłaby na nasze głowy. Jest śmiertelnym wrogiem Mimbreniów. Niechaj go wezmą ze sobą, aby sędzić podług swych praw i obyczajów.

Więc znowu zgadzały się nasze zdania. Byliśmy, jak to pospolicie zwą „jednym sercem, jedną duszą”.

Niespodziewany pojedynek nie wyprowadził mnie bynajmniej z równowagi. Usnąłem tak mocno, że nie ocknąłem się sam, a musiano mnie budzić. W oznaczonym Czasie wyruszyliśmy. Nic nie zakłóciło naszej jazdy. Przed wieczorem dotarliśmy do wąskiego wąwozu, którego wylot leżał przy obozie pozostałych wraz ze zrabowanymi trzodami Jumów. Przewidywaliśmy, że wystawili warty u wylotu. Natężałoby więc zachować ostrożność i ludzi na zwiady wysłać pieszo, aby nie usłyszano głośnego tu echa kopyt. Ponieważ zadanie było

ważne i wąwóz jako tako, znałem, więc sam objąłem rolę wywiadowcy. Gdy usłyszał o tym mój młody przyjaciel Yuma Shetar, zbliżył się do mnie i rzekł kornie:

— Czy Old Shatterhand zechce mi wybaczyć, jeśli odważę się przedstawić prośbę?

— Mów!

— Old Shatterhand ma zamiar iść na przespiegi. Znam również okolicę. Czy mogę mu towarzyszyć?

— Co prawda towarzysz przydałby się, lecz ty już dość uczyniłeś i pozyskałeś nawet imię. Droga do wielkich czynów stoi dla ciebie jako wojownika otworem. Dlatego wolałbym otworzyć wrota sławy innemu. Przyślij młodszego brata. Będzie mi towarzyszył!

Mały Yuma Shetar wolałby, abym spełnił jego prośbę, łącz ponieważ odrzuciłem ją ze względu na jego brata, odpowiedział z radością:

— Mój wielki biały brat ma serce pełne, dobroci i łaski. Młodszy brat Yumy Shetara okaże się godnym jego zaufania, umrze raczej, niżby miał popełnić błąd jaki!

Pochód musiano zatrzymać z obawy przed wartownikiem Jumów, który mógł stać w wąwozie i zobaczyć nas z daleka. A przy tym nie dowierzałem jeńcom. Łatwo mogli zaalarmować swoich, gdyby ci byli w pobliżu, a wtedy nie zaskoczylibyśmy ich zniecka. Zatrzymano się więc. Zsiedliśmy z koni i ja wraz z chłopcem ruszyłem pieszo.

Szedł za mną w milczeniu. Czasem oglądałem się poza siebie, by sprawić sobie przyjemność popatrzenia na jego minę. Czuł się dumny z mojego wyboru i doniosłości naszej wyprawy, stąd więc pochodził wyraz szczęścia i pewności siebie rozlany na jego miękkich rysach.

Różnica między mną, dorosłym wojownikiem, a nim nie pozwalała mu chodzić ze mną w jednym rzędzie, jednakże zauważyłem, że od czasu do czasu czynił parę szybkich kroków naprzód, by zaraz się cofnąć. Miał coś na sercu, chciał mi coś powiedzieć, lecz nie śmiał rozpocząć rozmowy. Dlatego zwoleńłem kroku i rzekłem:

— Niech mój młody brat idzie przy moim boku!

Usłuchał natychmiast. Uprzejmym wahaniem okazałby tylko nieposłuszeństwo.

— Mój mały brat życzy sobie rozmawiać ze mną — ciągnąłem dalej.— Niech przemówi.

Mądre jego oczy rzuciły mi spojrzenie pełne wdzięczności, lecz nie odezwał się ani słowem. Więc nie wypowiedź, tylko pytanie ciążyło mu na sercu. Nie mógł go postawić, bo dopuszczając rozmowę, nie upoważniłem go jeszcze do zadawania pytań.

— Wiem, co mój czerwony brat ma na języku — mówiłem dalej.— Czy mam mu to powiedzieć?

— Old Shatterhand powie, gdy zechce.

— Chodzi o twojego ojca, Nalgu Mokaszi. Czy mam rację?

— Old Shatterhand trafia zawsze w sedno.

— Chciałbyś mnie spytać, dlaczego podarowałem ci jego życie?

— Tak, nie mogłem się jednak na to odważyć.

— Wyczytałem pytanie z twojej twarzy. Powinieneś mówić do mnie jak do swego rówieśnika.

— Jeśli Old Shatterhand pozwala, to powiem mu, że mój ojciec umrze!

— Dlaczego tak sądzisz?

— Poznają po nim, a mój starszy brat jest tego samego zdania. Zabije się, gdyż nie zniesie podwójnej hańby.

— Nie jest to hańbą ulec w walce ze mną. Zwyciężyłem niegdyś Winnetou, zanim został moim bratem. Spytaj go, czy się tego wstydzi. Pomów z ojcem. Duma nie pozwoli mu zagadnąć mnie o to, lecz ty jesteś jego synem, ciebie wysłucha. Mówiłeś jednak o podwójnej hańbie. Czy masz na myśli to, że darowałem tobie jego życie?

— Tak.

— Czy doprawdy sądzisz, że to hańba?

— Bardzo wielka. Dlaczegoś tak uczynił?

— Aby oszczędzić mu sromoty. Nie chciałem Nalgu Mokaszi podarować życia bezpośrednio. To, co nazywasz hańbą, nie jest nią, owszem, jest zmyciem hańby.

Pomyślał chwilę i odparł:

— Serce moje pełne było troski o ojca, ale teraz stało się lekkie. Słowa Old Shatterhanda są mądre i prawdziwe. Postępowanie jego jest bez zarzutu i nie wiem, czy inny wojownik potrafiłby cię naśladować. Ojciec mój żyć może nadal bez wstydu. W zamian za to, życie moje i tej chwili należy do mego, wielkiego białego brata. Old Shatterhand wyrzeknie słowo, a gotów jestem pójść na śmierć!

— Nie życzę sobie takiej ofiary. Powinieneś żyć, aby zostać nie tylko dzielnym wojownikiem, ale i dobrym człowiekiem. Nie w mojej mocy natchnąć człowieka dobrocią, musisz sam dążyć do tego i nigdy nie postępować niesprawiedliwie. Mogę cię tylko zaprawić w odwadze i dzielności. Postaram się, abyś zawsze był w pobliżu mnie, dopóki zabawię w tych okolicach.

Mały westchnął głęboko. Słowa moje dotarły do głębi jego serca i na pewno padły na żyzny grunt.

Nastał zmrok. W wąwozie było już ciemno. Musieliśmy więc pilnie baczyć. Szczęściem, chłopiec umiał chodzić bez szelestu. Indianie ćwiczą się od wczesnej młodości w tej sztuce, bo prawdziwie jest sztuką skradanie się bez szmeru.

Okazało się, że w wąwozie nie ma ani jednego nieprzyjaciela. Doszliśmy do wyjścia przy ostatnim blasku dnia, który pozwolił nam rozejrzeć się w sytuacji.

Gdy byłem jeńcem Jumów, obozowaliśmy nie opodal wąwozu. Tymczasem pasące się zwierzęta zjadły całą roślinność i dlatego musiały się oddalić wraz z pasterzami znacznie dalej. Ujrzeliśmy bydło z daleka, konie i krowy wielkości owczarków. Indianie, pilnujący ich, wyglądali na trzyletnie dzieciaki.

Tylko jeden z nich zdawał się być większy, ponieważ był bliżej nas. Tak, zbliżał się widocznie do nas, to znaczy do ujścia wąwozu. Aby zbadać stopień inteligencji chłopca, zapytałem:

— Widzisz Jumę, który zbliża się do nas. Czy zbliży się zupełnie, czy też zawróci po drodze?

— Przyjdzie, by stanąć tutaj i oczekiwać wojowników, którzy pogonili za tobą.

— Czy to nie zbyt bezpieczne?

— Nie. Ma im powiedzieć, gdy nadejdą, w jakim miejscu znajdą pozostałych czerwonych.

— Znaleźliby ich łatwo, kierując się światłem ognisk.

— Nie, są zbyt ostrożni, by rozpalić ognisko. Nie wiedzą, czy ich towarzyszem udało się schwytać Old Shatterhanda, a ty jesteś wszak niebezpiecznym człowiekiem dla wrogów.

— Hm! Dlaczego ten czerwony dopiero teraz przechodzi? Dlaczego nie ustawili wart już za dnia?

— Gdyż oczekiwani zobaczą przy świetle dziennymi trzody już z daleka, nie potrzeba więc im przewodnika.

— Słusznie. Odpowiedzi dawałeś mi rozumne. Ale sama wiedza nie wystarcza, trzeba umieć działać.

— Old Shatterhand powie mi, co mam uczynić! Jestem na jego rozkazy!

— Chciałbym pojmać tego Jumę!

Ciemna twarz chłopca zaczerwieniła się jeszcze bardziej, gdy odparł:

— Gdy Old Shatterhand wyciągnie ramię, nie ujdzie mu żaden Juma.

— A czy ty nie masz również rąk?

Spojrzał na mnie błyszczącym wzrokiem, lecz rzekł:

— Moje dłonie są rękoma chłopca, który nie powinien działać w obecności wielkiego wojownika.

— Wielki wojownik pozwala ci na to. Powinieneś pokazać ojcu, że byłeś przy moim boku.
— A więc zastrzele go!
— Nie. Jego towarzysze usłyszeli by wystrzał. Powiedziałem ci, że chcę go mieć żywego.
— Old Shatterhand powie, czego ode mnie żąda.
— Sam powinieneś wiedzieć, co czynić. Czyn twój nie będzie samodzielny, jeśli wspierać cię mam swoją radą. Rozważ więc prędko, póki nie za późno!

Spojrzał na Jumą, aby oszacować odległość, dzielącą nas od niego, a następnie przebiegł: wzrokiem po okolicy. Twarz jego przybrała stanowczy wyraz.

— Wiem, co uczynię — odezwał się. — Stoimy teraz u wylotu wąwozu. Juma nie zostanie na zewnątrz, lecz wejdzie, do środka.

— Być może.

— Wybieram sobie ukrycie, w którym zostaną, dopóki nie nadejdzie. Potem skradam się za nim, uderzam kolbą w głowę.

— Gdzie obierzesz miejsce?

— Tuż za nim, w skale.

Parę kroków dalej tworzyła ściana skalną niszę szerokości może dwu łokci. Przechodząc obok, nie można było dostrzec ukrytego w niej człowieka. Dlatego spytałem:

— Nisza dość wysoko, a ściana gładka. Jak się tam dostaniesz?

— To nic — odpowiedział lekceważąco. — Mogę dostać się znacznie wyżej.

— Ale usłyszysz cię, gdy zeskocysz.

— Nie zeskoczę, tylko cicho się zsunę.

— A więc prędeż. Już czas!

— Gdzie ukryje się tymczasem Old Shatterhand?

— To moja sprawa. Nie licz na mnie. Jeśli nie postąpisz zręcznie i prędko, przeciwnik cię zabije.

Odpowiedział dumnie:

— Żaden Juma nie zabije Mimbrenia! Schwytam go i pošlę na pal!

Był zręcznym gimnastykiem, w jednej chwili stał już na skale. Wrósł w nią tak, że nie mogłem go dostrzec.

Teraz i dla mnie był najwyższy czas się ukryć. Jumą dzieliło od nas najwyżej trzysta kroków. Powróciłem więc spiesźnie i ukryłem się za wyrastającym głazem. Przedsięwzięcie było dla małego bohatera, pomimo mojej obecności, dość niebezpieczne. Gdyby Juma zauważył i przedwcześnie i doszło by do walki, nie zdążyłbym mu pomóc, nie mogąc strzelać, gdyż zaalarmowałbym czerwonych. Czekałem więc z niecierpliwością i biciem serca na wypadki tym bardziej, że byłem za nie odpowiedzialny. Z całego serca życzyłem chłopcu powodzenia. Chętnie dałbym mu imię, jak starszemu bratu. Winienem mu był bowiem wdzięczność za szybkie sprowadzenie pomocy.

Ciemność ułatwiła wykonanie zamiaru. Prócz tego stało się coś, czego nie przypuszczaliśmy. Juma nie zapuścił się w wąwóz, tylko chodził przed nim tam i z powrotem. Kilkakrotnie mijał skałę, gdzie leżał zacząjony chłopiec. Odległość jednak była zbyt duża, aby go dosięgnąć kolbą.

Sądząc, że mały Mimbrenio zaczeka, aż Juma się zbliży zupełnie, uzbroiłem się w cierpliwość. Przeszło pięć minut, znowu pięć... Było tak ciemno, że widziałem zaledwie na odległość dwudziestu kroków. Nasłuchiwałem i chciałem właśnie opuścić kryjówkę, by w razie potrzeby nieść malcowi pomoc, gdy usłyszałem szmer, jakby odgłos uderzenia, przypominał pusty dźwięk, jaki wstaje kij bijący w próżną tykwę. Było to więc uderzenie zadane wojownikowi. Stałem na miejscu nasłuchując. Dobięły mnie zduszone jęki, potem powtórzył się poprzedni szmer. Juma dostał w głowę po raz drugi. Teraz już nie troszczyłem się o chłopca, czekałem tylko, co zrobi. Po upływie krótkiego czasu usłyszałem kroki, a potem zawołał na mnie półgłosem i stanął tuż obok. Spytałem:

— No, jak się wywiązał mój miody brat z zadania? Czy mu się udało?

— Tak. Juma chodził pod moją kryjówką tam i z powrotem, uderzyłem go tak silnie, że upadł. Jęczał i chciał się podnieść. Zeskoczyłem na dół i zadałem mu cios ponownie. Zamilkł, leżał nieruchomo. Związałem go moim lassem. Nie wiem, czy żyje czy też go zabiłem.

— To się okaże. Chodź, zobaczymy!

Zbadałem leżącego Jumę. Ocknął się już z chwilowego ogłuszenia. Nie wołał na pomoc, gdyż nie wiedział z iloma przeciwnikami ma do czynienia, a zresztą towarzysze nie usłyszeli go z takiej odległości. Wypróżniliśmy mu kieszenie, zawartość miały nad wyraz marną. Uzbrojony był tylko w nóż i łuk z kołczanem, w którym tkwiły trzy czy też cztery kiepskie strzały. Życzyłbym sobie większej zdobyczy dla mojego małego bohatera, gdyż u czerwonych czyn mierz się zdobyczą.

Teraz należało powrócić, wziąwszy ze sobą jeńca. Wiedziałem, że niezadługo zluzują go, musieliśmy więc być tutaj na czas znowu, aby przyjąć jego następcę. Było do przewidzenia, że ten ostatni, nie zastawszy swego poprzednika, zaalarmuje wszystkich. Dlatego spytałem Jumę:

— Czy poznajesz mnie?

— Old Shatterhand! — zawołał, patrząc na mnie z przerażeniem. — Tak, poznaję cię!

— Jeśli ci miłe życie, nie krzycz i odpowiedz prawdę na moje pytania. Czy od czasu mej ucieczki przyłączyli się do was jeszcze jacyś Jumowie?

— Nie.

— A czy zdarzyło się coś ważnego?

— Nie.

— Kiedy cię zluzują?

— Po upływie podwójnego czasu, który biali zwą godziną.

— Teraz pójdziesz z nami. Odwiążę ci więzy na nogach, abys mógł chodzić. Jeśli będziesz usiłował uciec, zakłuję cię na miejscu!

Zwolniłem mu lasso z nóg, silnie skrepowałem ramiona i przywiązałem do siebie, aby upewnić się, że nie ucieknie. Teraz spiesznie powróciliśmy pomimo ciemności, nie obawiając się jak za dnia, że nas ujrzą Indianie.

Po powrocie objaśniłem Winnetou, gdzie obozują Jumowie.

— Będzie bardzo łatwo ich schwytać — rzekł. — Naturalnie, nie weźmiemy ze sobą jeńców, gdyż mogliby nas zdradzić. Jak sądzi brat mój Shatterhand, ilu Mimbreniów wystarczy, aby napaść i aby żaden z Jumów nie uszedł?

— Połowa wystarczy w zupełności, lecz zawsze lepiej wziąć m więcej, gdyż trzeba liczyć się z nieprzewidywanymi okolicznościami.

— A druga połowa wystarczy, by dopilnować jeńców?

— Tak.

— Kto nimi będzie dowodził?

— Silny Bawół, gdyż ja i Winnetou musimy być obecni przy napadzie. Należy udać się najpierw na zwiady, aby zbadać położenie Jumów. Musimy iść sami, przedsięwzięcie wymaga biegłości, nie zapalili bowiem ognisk.

— Wolałbym zostać z Nalgu Mokaszi, gdyż nie dowierzam mu tak dalece, jak dawniej. Nie jest ani ostrożny, ani przezorny. Od czasu pojedynku z Old Shatterhandem stał się innym człowiekiem. Wzrok jego zwrócony jest do wewnątrz, nie interesuje go to, co się dzieje wokół.

— To nie przeszkadza oddać mu pieczę nad jeńcami. Nie troszczę się o nich, gdyż było to zbyteczne, ale teraz będzie czuwał. Pojedynek był właśnie skutkiem jego nienawiści do Jumów. Zdawało mu się, że chce czerwonych, a naprzód wodza, uwolnić. On zaś pragnie ich widzieć na palu męczarni i na pewno nie popełni błędu, który pozwoliliby bodaj jednemu z nich uciec. Pomówię z nim.

Silny Bawół nie słyszał mojej rozmowy z Winnetou, gdyż oddalił się od nas. Podeszedłem do niego, prowadząc syna i jeńca.

— Dlaczego wódz Mimbreniów nie zasiada przy Winnetou? — spytałem. — Winnetou ma mu coś ważnego do powiedzenia.

— Nie ma dla mnie nic ważniejszego od utraconej sławy! — odpowiedział ponuro.

— A czy sława twych synów nie jest dla ciebie równie ważna?

— Czy mówisz o Yumie Shetarze?

— Nie, o młodszym.

— Ten nie ma ani sławy, ani imienia, nie ma powodu o nim myśleć.

— Mylisz się. Zostanie słynnym wojownikiem. Dowiódł mi tego.

— Że poszedł z tobą zobaczyć, czy Jumowie znajdują się w wąwozie, to żaden bohaterski czyn. Wyspiegować nieprzyjaciela potrafi każdy chłopiec Mimbreniów.

— Ale pobić wroga i zabrać do niewoli, temu chyba nie każdy podoła? Twój syn jednak nie zawiódł moich nadziei. Tu oto stoi Juma, którego pojmał.

— Mów prawdę! Sam go schwytałeś i podarowałeś chłopcu, podobnie jak podarowałeś mu moje życie.

— Nie! Uczynił to bez żadnej pomocy. Odszedłem, a on podkraść się do Jumy, jednym uderzeniem powalił go na ziemię i związał lassem. Gdy powróciłem, było już po wszystkim.

Twarz starego zmieniła się nie do poznania. Podniósł się, położył synowi rękę na głowie i rzekł:

— Jesteś moim młodszym synem, nie powinieneś jednak zazdrościć starszemu bratu sławy ni imienia. Old Shatterhand jest z nami i pokaże ci drogę, na której osiągniesz imię. Jeniec jest twoim, otrzyma z twojej ręki śmiertelny cios na palu męczeńskim!

— Musisz się troszczyć o to, by jeńcy rzeczywiście dostali się na pal — napomknąłem. — Teraz oddamy Jumów twojej pieczy, w tym celu zostawimy ci połowę wojowników.

— A z drugą połową chcecie pojmać resztę Jumów. Ja zaś mam tutaj beczynnienie pozostać? Dlaczego nie chcecie mnie zabrać ze sobą?

— Gdyż jeden z nas; trzech, ty, Winnetou — lub ja, musi pozostać, a wiemy, że twoja czujność jest większa od naszej. Jeńcy należą do ciebie, musisz więc ich pilnować.

— Mój biały brat ma rację. Dopóki jestem tutaj, nie uda się żadnemu z tych psów ujść. Możecie być spokojni!

— Dobrze. Przygotuj się wyruszyć za nami, jeśli zawezwie cię goniec.

Wybrano wojowników, którzy mieli nam towarzyszyć. Wsiedliśmy na konie i skierowaliśmy się do wylotu wąwozu. Tam oddaliśmy wierzchowce kilku wojownikom, którzy mieli ich dopilnować. Lada chwila mogła nastąpić zmiana warty u Jumów. Obawiając się, by Indianin nie usłyszał rżenia koni, podeszedłem wraz z Winnetou naprzeciw niego. Kierunek był mi znajomy. O kilkaset kroków za wąwozem stanęliśmy, aby nasłuchiwać. Po upływie paru minut usłyszałem kroki. Rozeszliśmy się, ja na lewo, Winnetou na prawo. Gdy Juma chciał przejść pomiędzy nami, został schwyty z obydwu stron i zawleczony do naszych posterunków w wąwozie.

Poszliśmy z Winnetou wytropić obóz Jumów. Nie zapalili ognisk, pomimo to wywiązaliśmy się z zadania już po upływie pół godziny. Powróciłem, aby wydać naszym ludziom rozkazy. Wrogowie mimo woli ułatwili nam zadanie. Siedzieli wszyscy razem pośrodku pastwiska, tylko czterech przechadzało się pilnując stada. Gdyby udało się nam unieszkodliwić tych czterech bez hałasu, z łatwością mogliśmy resztę okrążyć tak, że musieliby poddać się bezzwłocznie. W przeciwnym razie, to jest gdyby któryś z nich wszczął alarm, zmuszeni bylibyśmy użyć broni.

Na szczęście przemoc okazała się zbyt skuteczna. Z łatwością pojмалиśmy czterech wartowników, jednego z nich posłałem do reszty okrążonych Jumów, by przedstawił im beznadziejność położenia. Dałem Jumowi dziesięć minut do namysłu. Po upływie tego czasu

zostaliby obrzuceni gradem kul. Byli na tyle przezorni czy tchórzliwi, że poddali się przed upływem terminu.

Rozpalono ogniska i przyprowadzono konie. Posłaliśmy gońca do Nalgu Mokaszi, wzywając go do wyruszenia. W obozie zawrzało ruch. Obejrzelśmy trzody zrabowane hacjenderowi. Kilka bydłek padło przy tym pastwą naszej żarłoczności. Sądziłem, że nie weźmie nam tego za złe. Mieliśmy wszak solenny zamiar oddać mu uprowadzone zwierzęta! Postanowiliśmy z Winnetou wyruszyć zaraz nazajutrz z trzodami do hacjendy. Gdy powiedziałem o tym wodzowi Mimbreniów, spytał:

— A co się stanie tymczasem z jeńcami?

— Jeńcy są twoją własnością. Zrób z nimi, co ci się podoba — odparł Winnetou.

— Zabiorę ich do pastwisk mego szczepu, gdzie urządzimy sąd nad nimi.

— Będą ci do tego potrzebni wojownicy, a Old Shatterhand i ja nie popędzimy przecież sami trzód do hacjendy!

— Dam wam pięćdziesięciu ludzi do pomocy.

Oczekiwaliśmy naturalnie tej propozycji i przyjęliśmy ją z wdzięcznością. Należało pomówić jeszcze z Vete-ya, aby dowiedzieć się o zamiarach mormonów. Co prawda byłem przekonany, że będzie się wzbraniał wyjawić całą prawdę, bądź co bądź jednak miałem nadzieję wycisnąć z niego przynajmniej tyle, że reszty dopełnię wnioskami własnymi. Wiedziałem, że Juma sam mnie zaczepi, gdy tylko spostrzeże. Dlatego zbliżyłem się do niego, udając że badam więzy jeńców. Gdy pomacałem jego ramię, spytał gniewnie, lecz tak cicho, abym tylko ja słyszał:

— Dlaczegoś napadł na moich wojowników?

— Ponieważ są naszymi wrogami.

— Ale po coś to uczynił, skoro musisz dotrzymać przyrzeczenia i zwolnić ich znowu?

— Musiałem im wszakże odebrać zrabowane trzody, chcę je zwrócić hacjenderowi.

— Don Timoteowi Pruchillowi?

— Tak.

— On nie jest już hacjenderem! — zaśmiał się czerwony.

— Teraz jest nim blada twarz, którą zwiecie Meltonem.

— Melton? W jaki sposób u licha został hacjenderem?

— Odkupił hacjendę od don Timotea. A może jemu chcesz oddać bydło?

— Tego by jeszcze brakowało. Dostarczę je don Timoteowi Pruchillowi.

— Nie znajdziesz go. Wyjechał z kraju.

— Skąd wiesz o tym?

— Od Meltona, który to postanowił z Wellerem.

— Melton jako właściciel mieszka w hacjendzie?

— Nie.

— Gdzie jest więc?

— Na... w...

Przerwał jękając się. Początkowo chciał moi odpowiedzieć, lecz teraz się rozmyślił, i gdy powtórzyłem pytanie, odparł:

— Nie wiem.

— Właśnie chciałeś mi odpowiedzieć, a teraz poczynasz kręcić! W takim razie powiedz mi, co się stało z białymi emigrantami!

— Muszą... są... znajdują się... Znowu zaczął się jękać.

— Mówże wreszcie! — krzyknąłem na niego.

— Kiedy wie wiem.

— A jednak poznałem po twojej minie, że wiesz o wszystkim doskonale

— Skądże mam o tym wiedzieć? Wszyscy ludzie, o których mówisz, byli moimi jeńcami. Wiesz, że zwróciłem im wolność. Jakże mam wiedzieć, co uczynili i gdzie obecnie przebywają?

— Musisz wiedzieć, gdyż poznałeś plany Meltona. Za jego namową napadłeś na hacjendę.

— Kto cię tak haniebnie okłamał?

— To nie kłamstwo, lecz szczerą prawdą. Gdy Melton był w drodze z emigrantami, odwiedziłeś go z Wellerem i uradziliście plan cały.

— To również bezczelne kłamstwo!

— Nie łgaj! Sam was podglądałem.

— A więc uległeś pomyłce.

— Mam dobre oczy, nie zawiodły mnie nigdy. Uporczywe kłamstwo nie przyniesie ci pożytku. Chcę i muszę bezwarunkowo wiedzieć, co stało się z emigrantami po napadzie i spaleniu hacjendy.

— Ja ci tego nie mogę powiedzieć, bo sam nic o tym nie wiem.

— A jednak wiesz. Przyrzekłeś powiedzieć mi prawdę.

— A ty, czy nie przyrzekłeś nas uwolnić? Zamiast wypełnić słowo, bierzesz nas wszystkich do niewoli!

— Spełnię je, gdy ty dotrzymasz swego.

— Dotrzymałem, powiedziałem a wszystko.

— To wierutne kłamstwo, nie będę się jednak z tobą sprzeczał! Bylibyśmy w porządku wobec siebie, gdyby każdy z nas spełnił przyrzeczenie, teraz jesteśmy również w porządku, wszak słów nie dotrzymaliśmy obaj. Dzisiaj jestem po raz ostatni z wami. Jutro o świcie odłączę się. I od Silnego Bawołu, który powiedzie was do swoich pastwisk, gdzie zginiecie śmiercią męczeńską.

Udałem, że chcę obejść. To pomogło. Jutro rozłąka! Miał nadzieję odzyskać z moją pomocą wolność. A ja odjeżdżam ze świtem! Nie mógł spodziewać się łaski z rąk Nalgu Mokaszi.

— Poczekaj jeszcze! — zawołał, gdy oddaliłem się na kilka kroków.

— Więc? — spytałem, odwróciwszy się.

— Czy doprawdy uwolnisz nas, jeśli ci powiem prawdę?

— Tak, ale ty nie wiesz przecież o niczym!

— Wiem wszystko, lecz Melton nakazał mi milczeć.

— Otwórz usta nareszcie! Co się stało z emigrantami?

— Zaraz! Przedtem musisz dotrzymać słowa! Czy pamiętasz, co ci powiedziałam, gdy nas pojmałeś? Że na pytania odpowiem tylko jako człowiek wolny!

— A ja oświadczyłem, że nie wrócę ci wolności, dopóki nie zdradzisz mi waszych machinacji!

— Obstawiam przy swoim!

— Ja również nie zmienię postanowienia, a więc Nalgu Mokaszi weźmie was jutro ze sobą.

Ponownie odwróciłem się, by odejść. Tym razem zaczekał dłużej, potem zawołał znowu:

— Niech Old Shatterhand podejdzie raz jeszcze!

Powróciłem i napomniałem go stanowczo:

— To moje ostatnie słowo. Przede wszystkim musisz mówić, potem cię uwolnię, nigdy w życiu nie postąpię na odwrót. Zdecyduj niezwłocznie! Czy chcesz mówić?

— Tak, lecz mam nadzieję, że i ty natychmiast wprowadzisz swe słowa w czyn!

— Co przyrzekam, zawsze dotrzymuję. A więc czy za namową Meltona napadłeś na hacjendę?

— Nie.

— Czy obydwie blade twarze, zwące się Wellerami, zmówiły się z Meltonem?

- Nie.
- Ale Melton kupił hacjendę?
- Tak:
- Co chce uczynić z emigrantami?

Zwlekał przez chwilę, jak gdyby szukał wymówki lub też zbierał się, aby wypowiedzieć i góry obmyślane kłamstwo, i dopiero gdy powtórzyłem pytanie, odparł:

- Chce ich sprzedać.
- Sprzedać? Sprzedać ludzi? To niemożliwe!
- Tak.
- Kto to uczyni?

— Melton. Emigranci należą do niego, może więc z nimi robić, co mu się żywnie podoba. Sprowadził ich z dalekiego kraju i zapłacił za nich bardzo dużo pieniędzy.

— Nie były do jego pieniądze, lecz hacjendera.

— Odkupił od niego hacjendę a wraz z nią białych. Chciał odebrać pieniądze, a ponieważ nie mogli mu zwrócić, sprzedał emigrantów wodzowi okrętu.

— Skąd wiesz o tym?

— Od niego samego. Zanim zwróciłem mu wolność, powiedział mi, że ich sprzeda.

— Gdzież był ten wódz okrętu?

— W Lobos. Teraz powiedziałem ci już wszystko, spełniłem twoje życzenie, żądam, byś i ty dotrzymał słowa.

— Czy doprawdy tego żądasz? Tak! Nie w ciemną cię bito, człowieczku, ale nie wzięłeś jednej drobnostki pod uwagę, mianowicie, że istnieją ludzie bardziej przemyślni od ciebie.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć! O co ci chodzi?!

— Kto ma zamiar oszukać drugiego, musi być bardzo ostrożny i długo ważyć każde słowo, nim je wypowie, szczególnie, jeśli ten drugi ma więcej doświadczenia. Zapamiętaj to sobie! Bo kto o tym nie pamięta, ten sobie gotuje klęskę, ten wpada we własne sidła. Historia, którą mi opowiedziałeś, to zwyczajne bajanie od początku do końca. Wódz okrętu siedzi tylko w twojej głupiej mózgowicy. Zresztą musisz wiedzieć, że żaden kapitan nie kupuje kobiet ani dzieci na marynarzy.

— A więc nie wierzysz? Dla ciebie szkoda słów! Powiedziałem, co wiem od samego Meltona. Spełniłem przyrzeczenie, teraz kolej na ciebie!

— Słusznie. Dałem słowo, że zwrócę ci wolność, jeśli powiesz mi prawdę. Nie jestem więc obowiązany dotrzymać przyrzeczenia, skoro kłamiesz beczelnie!

— Co słyszę! Nie pomożesz mi uciec?

— Nie!

Gdyby mógł, skoczyłby ze wściekłości. Ponieważ jednak więzy pozwoliły mu zaledwie na wyprostowanie się, zasyczał jadowitym głosem:

— Zwiesz mnie kłamcą, ale ty sam jesteś najohydniejszym łgarzem, jakiego ziemia nosi! Gdybym miał wolne ręce, udusiłbym cię na miejscu!

— Bardzo wierzę, przynajmniej spróbowałbyś mnie udusić! Ale nie dlatego, że kłamię, lecz że jestem za mądry, aby uwierzyć twoim banialukom. Taki drab, jak ty, nie potrafi mnie oszukać!

— Sam jesteś podłym kłamcą, drabem...

— Milcz! — przerwałem. — Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Jedno tylko jeszcze ci rzeknę, że powiedziałeś więcej niż sądzisz, naturalnie bezwiednie. Teraz wiem, czego się trzymać. Ty zaś pociągniesz jutro jako jeniec Nalgu Mokaszi.

— Nic nie wiesz, zupełnie nic. Nigdy się niczego nie dowiesz! — zaśmiał się ironicznie ze sporą dozą utajonej obawy.

Odszedłem, lecz wkrótce zatrzymałem się, gdyż; podczas rozmowy z Vete-ya dobiegły mnie jakieś podejrzone szmery spoza krzaka, obok którego leżałem. Ktoś się z pewnością

ukrył. Wiedziałem, kto to mógł być, a gdy spojrzałem na miejsce, gdzie powinien leżeć Silny Bawół, tam go nie było. Ponownie skierowawszy oczy na krzak, spostrzegłem jakąś postać oddalającą się, schyloną.

Znalazł się jednak wzrok znacznie ostrzejszy od mojego. Kiedy usiadłem przy Winnetou, Apacz zwrócił się do mnie:

— Mój biały brat mówił z Vete-ya. Czy widział krzak, przy którym leżał wódz Jumów?

— Tak.

— Czy widział również tego, który się za nim ukrywał?

— Tak.

— Nalgu Mokaszi ciągle jeszcze pełen jest nieufności, ale teraz przekonał się wreszcie, jak dalece zbłądził.

Tak niezwykłą inteligencję posiadał Winnetou. Widział tylko, jak rozmawiałem z Jumą, nie słyszał ani jednego słowa, a jednak zmiarkował, że rozmowa nasza osiągnęła cel i sprawa została załatwiona.

Silny Bawół przeglądał swych ludzi. Chciał minąć nas, nie zwracając uwagi, lecz zatrzymał go Winnetou:

— Niech mój czerwony brat usiądzie przy nas. Mamy ważne rzeczy do omówienia.

— Jestem gotów wysłuchać — odparł Mimbrenio siadając.

— Mój biały brat Old Shatterhand — ciągnął Winnetou — dowiedział się od Wielkich Ust wielu rzeczy, które musimy zaraz omówić.

Nagle zaskoczył wodza ironicznym pytaniem:

— Nalgu Mokaszi nie widziałem na swoim miejscu... Pewno poszedł zobaczyć, czy znajdzie się jakiś krzaczek...

— Nie rozumiem wodza Apaczów — odparł zmieszany Mimbrenio.

— ...za którym mógłby się ukryć, aby usłyszeć, o czym pomówi Old Shatterhand z wodzem Jumów — kończył Winnetou.

— Uff! A więc Winnetou mnie dostrzegł?

— Widziałem tylko, jak pełzałeś tam i z powrotem. Teraz będziesz już chyba wiedział, że niesłusznie obraziłeś mego białego brata. Old Shatterhand nie jest zdrajcą, lecz uczciwym człowiekiem. A człowiekiem tym jest ten, kto niesłusznie dotknąwszy bliźniego nie wyzna świadomie, iż nie ma słuszności.

To pośrednie wezwanie, ukryte w ostatnich słowach Apacza, zmieszało wodza do reszty. Przez chwilę walczyła duma jego z poczuciem lojalności, zanim wreszcie wzięło ono górę:

— Tak, dotknąłem ciężko a niesłusznie mego dobrego białego brata. Nazwałem go zdrajcą. To największa obelga, jaką można obrzucić zwyczajnego wojownika, jakże ją tedy nazwać, skoro zwrócona była przeciwko Old Shatterhandowi! Wiem, że nie wybaczy mi jej nigdy!

— Wybaczam ci — uspokoiłem go. — Masz porywcze ramie, ale serce dobre. Jeśli przyznajesz, żeś nie miał słuszności, nie mogę dłużej chować żalu do ciebie!

— Tak, wyznaję; i powiem o tym wszystkim, którzy słyszeli, jak cię obraziłem. Nigdy już nie zwątpię w ciebie!

— Mam nadzieję! Nie tylko ze względu na naszą przyjaźń, lecz i z wielu innych powodów. Lecz nie mówmy już o tym!

— Tak. Dajmy temu pokój. Nigdy się już nic podobnego nie powtórzy. Z drugiej jednak strony nie rozumiem wielu rzeczy z tego, o czym mówiłeś z Vete-ya.

— Wiem o tym. Ten tylko mógłby je zrozumieć, kto by znał moje myśli.

— Nie uwierzyłeś w jego opowieść o tym kapitanie?

— Nie.

— A więc białych emigrantów nie sprzedano?

— Nie. W każdym razie nie w sensie Wielkich Ust. Nie sprzedano, lecz oszukano, haniebnie ich oszukano, a uczynili to Melton i obydwaj Wellerowie.

Ponieważ Winnetou również przypuszczał tylko, a nie wiedział nic konkretnego, więc opowiedziałem całą rozmowę. Wysłuchawszy uważnie, zamyślił się na chwilę głęboko i zapytał:

— Kto sprowadził obcych, hacjendero czy Melton?

— Hacjendero, don Timoteo Pruchillo.

— A więc zapłacił za nich?

— Tak.

— Czy sądzisz, że miał względem nich uczciwe zamiary?

— Jestem o tym przekonany. On również padł ofiarą podstęp.

— Czy Melton odkupił od niego hacjendę?

— Teraz przypuszczam, że tak. Przedtem jednakże kazał na nią napaść, obrabować ją i spalić, aby mógł potem odkupić za bezcen.

— Czy emigrantów również kupił?

— Sądzę, że tak. Umowa zawierała warunek, który zobowiązywał ich względem następców hacjendera. Ta okoliczność właśnie nasuwa mi wielkie obawy. Jeśli Melton został ich panem, z pewnością czeka ich niedola.

— Jednego nie mogę zrozumieć. Kazał hacjendę spustoszyć i spalić, aby pozbawić wartości, a następnie odkupił pogorzeliśko. Więc hacjenda nie przedstawiająca żadnej wartości dla hacjendera, dla niego mimo wszystko musi być cennym nabytkiem?

— Słusznie. Ja również nie mogę domyślić się, o co chodzi. Wszystko tam leży w gruzach i zgliszczach. Hodowla bydła i uprawa roli została przerwana na długie lata. Musi więc być inny rodzaj pracy i do niej chce Melton zaprzęgnąć emigrantów. Jestem przekonany, że plan miał gotowy już wówczas, gdy namówił hacjendera, aby sprowadzić emigrantów. W każdym razie kryje się w tym świeże łośrośtwo, przed którym muszę ustrzec moich ziomeków.

— Old Shatterhand jest moim bratem, ziomekowie jego są więc również moimi braćmi. Winnetou odda swoje ramiona i głowę na ich usługi.

— Dziękuję ci. Pomoc twoja jest więcej warta od wielu wojowników! Emigrantom grozi niebezpieczeństwo. Musimy spieszyć, nie będziemy więc wlekli się z trzodami, które chcemy zwrócić hacjenderowi. Do celu dotarlibyśmy dopiero po czterech dniach.

— Tak, pojedziemy sami. Co uczyni Nalgu Mokasi? Czy będzie nam towarzyszył?

— Pojechałbym chętnie z wami, lecz moi bracia sami przyznają, że lepiej będzie, jeśli pozostaną z jeńcami. Wojownicy Mimbreniów nie mogą się obejść bez wodza tym bardziej, że będą podzieleni. Jeńców musimy zabrać ze sobą, a trzody zaprowadzić do hacjendy. Na pasterzy wyznaczę pięćdziesięciu wojowników, przewodzić im będzie jeden z najbardziej doświadczonych Mimbreniów. Stanąwszy w hacjendzie, zwrócą się do was po rozkazy — będą was słuchać jak mnie. Z resztą zabiorę jeńców. Im dalej od hacjendy, tym mniej troski o to, że mogą uciec i pomieszać wasze plany.

Były to słowa rozumne. Co do mnie, to nie zależało mi wcale na towarzystwie starego zgryźliwego choleryka. Wiedziałem, że dojdziemy sami z Winnetou prędzej i łatwiej do celu niż z tym nieopanowanym i niepohamowanym w gniewie człowiekiem. Dlatego przyklasnąłem jego zamiarom, a Apacz rzekł:

— Słowa mojego czerwonego brata są słuszne. Być może, że przydadzą się nam twoi ludzie, gdy odprowadzą trzody. Być może również, że będziemy zmuszeni zawiadomić ich o czymś ważnym, jeżeli ich wyprzedzimy. W tym celu powinien towarzyszyć nam wojownik, który zarazem posłuży za gońca.

— Wolałbym poprosić Silnego Bawołu o obydwu synów — wtrąciłem. — Odważni są, zręczni i dowiedli, że w zupełności nadają się na szybkich posłowi Czy mój brat Winnetou zgadza się ze mną?

— Stanie się tak, jak tego sobie życzy Old Shatterhand — odpowiedział Apacz.

Mimbrenio nie miał również nic przeciwko temu. Był nawet dumny, że pomimo młodego wieku na jego synów padł nasz wybór, dlatego przyrzekł wyszukać dla nich dwa najlepsze i najwytrwalsze wierzchowce. Było to nam bardzo na rękę, w przeciwnym bowiem razie nie mogliby dotrzymać nam kroku.

Omówiwszy jeszcze parę szczegółów, udaliśmy się na spoczynek, aby wcześniej ruszyć w drogę. Rankiem dosiedliśmy koni. Mimbreniowie pożegnali się z nami serdecznie. Wodzowi musieliśmy przyrzec, że odwiedzimy go po zakończeniu sprawy, w razie zaś gdyby zaszła potrzeba pomocy, mieliśmy się zwrócić tylko do niego. Pojmani Jumowie spoglądali na nasz odjazd spode łba, żegnając nas ponurym wzrokiem. Wódz ich Vete-ya zawołał:

— Tam oto jadą zdrajcy i potrójni kłamcy. Gdybym nie był pojmany, pokazałbym im, gdzie raki zimują!

Tak, był pojmany. Byłem niemal pewien, że nie wydostanie się z niewoli, a jednak już wkrótce mieliśmy znowu ujrzeć przed sobą niebezpiecznego wroga.

PLAYER*

Obawiając się o los emigrantów, co sił popędziliśmy konie, sądziliśmy bowiem, że odpoczną sobie, przybywszy do celu podróży. Już po południu następnego dnia ujrzelśmy pogranicza hacjendy.

Jechaliśmy znowu kierując się strumieniem, niezadługo ujrzelśmy mury okrążające zgliszcza zabudowań. Nikt nie bronił nam wstępu. Pomimo to ociągałem się z wjazdem na podwórze. Winnetou odgadł myśli moje i rzekł:

— Niech mój brat Old Shatterhand sam naprzód poszuka. Hacjendę napadli czerwoni mężowie. Jeśli jest ktoś tutaj a zobaczy nas z daleka, może pomyśleć, że to Jumowie. Wtedy niechybnie ucieknie i nie będziemy mieli u kogo zasięgnąć informacji.

Wjechałem więc sam do środka. Podwórze tworzyło przygnębiający obraz zabudowań szerniałych od dymu. Przeszukałem je, ale nie znalazłem żywej duszy. Zawróciłem więc poza mur, chociaż miałem słabą nadzieję, że kogoś tam spotkam. Zaledwie znalazłem się za południowym węglem, spostrzegłem człowieka nadchodzącego wolnym krokiem. Był to biały, miał na sobie długi, ciemny surdut, który nadawał mu wygląd duchownego, ujrawszy mnie, przystanął zaskoczony.

— Buenos dias — pozdrowiłem. — Czy należy pan do tej hacjendy?

— Tak — odpowiedział mierząc mnie nieprzyjemnym, kłującym wzrokiem.

— Kto jest tu Właścicielem?

— Senior Melton.

— A więc jednak! Szukam go. To mój znajomy.

— Bardzo mi przykro, że pan go nie zastał w domu. Pojechał z poprzednim właścicielem, seniorem Timoteo Pruchillo do Ures, aby prawnie zatwierdzić akt kupna.

— A może są tu jego przyjaciele?

— Seniores Wellerowie? Nie. Udali się w górę rzeki do Fuente de la Roca*.

— A robotnicy cudzoziemscy?

— Udali się tam również; przewodzą im właśnie ci dwaj seniores. Oczekują ich tam Indianie Jumowie. Musi pan być przyjacielem seniora Meltona, skoro pyta o nich wszystkich. Czy mogę wiedzieć, kim...

Urwał nagle. Postępując wciąż naprzód obok siebie, doszliśmy właśnie do węgła. Ujrzał Indian, słowa ugrzęzły mu w gardle, wlepił przerażony wzrok w Apacza i zawołał po angielsku, podczas gdy uprzednio posługiwaliśmy się językiem hiszpańskim:

— Winnetou! Wszyscy diabli! Tego sprowadził sam szatan!

Mówiąc to, a raczej krzycząc, odwrócił się i zaczął uciekać. Przeskoczył w mgnieniu oka strumień i pobiegł jak ścigany jeleń. Pędził tak po gruncie leśnym usianym popiołem. Gdziekolwiek wystawały pnie spalonych drzew i resztki gałęzi. Winnetou, zobaczywszy go i usłyszawszy, spał konia, minął mnie i galopem pośpieszył za białym, nie tracąc czasu na objaśnienia. Pięknym łukiem przesadził strumień i puścił się dalej. W każdym razie wiedział, co sądzić o tym człowieku i na pewno poznał się na nim, skoro uważał za stosowne schwytać go i unieszkodliwić.

Była to jednak ciężka sprawa. Niezliczone pnie spalonych drzew trudno było odróżnić od wysokiej na stopę warstwy popiołu. Wierzchowiec, gnając galopem, mógł zranić sobie kopyta tak dotkliwie, że o dalszej jeździe nie byłoby mowy. Spostrzegł to również Winnetou, gdy potknął się kilkakrotnie. Zatrzymał więc konia, zeskoczył i ruszył dalej pieszo. Był doskonałym biegaczem. Wiedziałem, że nikt go nie zdoła przegonić, wszak tylekroć życie nasze zależało od jego nóg. Teraz jednak zawadzała mu nie tylko strzelba, ale wszystkie

* Gracz, hazardzista, szuler

* Skalne Źródło

manatki, podczas gdy tamten nie nosił nic przy sobie i gnany strachem pędził z szybkością, na którą w zwykłych warunkach na pewno by się nie zdobył. Znacznie wyprzedził Winnetou, aby Apacz mógł go doścignąć w krótkim czasie. W każdym razie wiedziałem, że dopędzi go na dłuższym dystansie, gdyż Apacza cechowała wytrwałość, jaką z pewnością nie mógł się ścigany poszczycić.

Zbieg skierował się w stronę wzgórza, łysego od czasu pożaru, a leżącego poza budynkami hacjendy. Dotarł doń o całą minutę wcześniej od Winnetou i zniknął z drugiej strony. Apacz, znalazłszy się na wzgórzu, z początku chciał się również puścić dalej, przystanął jednak, zamyślił się, ocenił wzrokiem odległość dzielącą go od ściganego i — podniósł broń do oka. Jednakże zamiast dać ognia, opuścił strzelbę, wykonał ruch ręką, który miał oznaczać „nie, wolę tego zaniechać”, odwrócił się i zszedł z góry. Niebawem dosiadł wierzchowca i powrócił przez strumień.

— Winnetou woli go puścić — rzekł. — Tam, w drugiej kotlinie, jest znowu las, który się nie spalił, dotarłby przede mną i nie ujrzałbym go więcej.

— Pomimo to mój brat doścignąłby go na pewno — odparłem.

— Tak, schwytałbym, ale z wielką stratą czasu, być może, przeszło dzień cały musiałbym iść jego śladem. A rzecz niewarta takiego zachodu.

— Brat mój chciał strzelać. Dlaczego tego nie uczynił?

— Chciałem go tylko zranić, ponieważ zaś odległość była zbyt duża, nie byłem pewny swego strzału. Wiem o nim dużo złego, ale nie tyle, abym miał prawo odbierać mu życie.

— Mój brat zna tego człowieka?

— Tak. Mój przyjaciel Old Shatterhand, zdaje się, nie widział go, lecz słyszał o nim z pewnością. Należy do bladych twarzy, zwanych mormonami, zalicza się do świętych dnia ostatniego, lecz całe jego życie po dziś dzień — to stek występków. Niebezpieczny to człowiek, ba, nawet morderca. Nie zabił jednakże nikogo z moich braci, muszę więc darować mu życie.

— A jednakże ścigałeś go. Byłeś więc przekonany, że wyciągniemy korzyść z tego pościgu.

— Tak. Ponieważ mieszka w hacjendzie, więc bez wątpienia jest sprzymierzeńcem Meltona, zna zapewne jego zamiary i plany, i, być może, udałoby się nam zmusić go do wyjawienia zbrodniczych zamysłów tego bractwa.

— Gdybym wiedział o tym, nie uszedłby, schwytałbym go, gdy rozmawiał ze mną, lub zatrzymał kulą w ucieczce. Kim jest ten człowiek, którego nazywasz niebezpiecznym, a nawet mordercą?

— Prawdziwego nazwiska nie znam, zwykle nazywają go Player.

— Player! Aha! gracz. O tym słyszałem bardzo wiele. Wiesz, że Melton miał brata, słynnego szulera Karcianego, który zastrzelił w forcie Uintah oficera i dwóch żołnierzy. Pogoniłem za nim aż do fortu Edwarda. Schwytałem go i wydałem, lecz później zdołał ujść. Player był kamratem tego właśnie Meltona. Wielka szkoda, że udało mu się uciec.

— A może popędzimy za nim? Old Shatterhand znajdzie jego trop równie łatwo, jak ja, więc nam nie ujdzie.

— Jestem przekonany, ale Winnetou powiedział słusznie, że zabrałoby to zbyt wiele czasu, który możemy wykorzystać z większym pożytkiem. Player wziął mnie za dobrego znajomego Meltona i dlatego wyjawiał parę rzeczy, których na pewno teraz żałuje. Muszę o nich powiedzieć memu czerwonemu bratu.

Gdy skończyłem, powtórzył zamyślony:

— Wellerowie udali się z emigrantami nad Puentę de la Roca, a Melton z hacjenderem do Ures. Co mają do roboty ziomkowie Old Shatterhanda nad Fuente?

— Gdybym wiedział! Czy Winnetou zna to miejsce?

— Raz polowałem tam w górze przez dwa dni, udając się z Chihuahua do Sonory; nocowałem wtedy nad Fuente. Znam tę okolicę tak dobrze, jak gdybym bywał tam często. Na pewno nie udali się na polowanie. Uprawa roli jest również wykluczona. To dzika i pustynna miejscowość. Gdyby mieli orać, pozostaliby w hacjendzie, gdzie praca pilniejsza.

— A więc to zagadka. A może prawdy trzeba szukać w tym, że chcą się spotkać nad Fuente z Indianami Jumami, a więc sprzymierzeńcami Meltona, których współplemieńcy za jego namową zniszczyli hacjendę?

— Jacy Jumowie? Przecież nie Vete-ya ze swoimi ludźmi, których wzięliśmy do niewoli?!

— Nie, chodzi o inny oddział z tamtym jedynie zaprzyjaźniony. Przypuszczam nawet, że Wielkie Usta wie o spotkaniu nad Fuente i z pewnością zachodzi tu ścisły związek ze zburzeniem hacjendy. Należy się spodziewać, że raz dokonawszy łotrstwa tam, nad Fuente, przygotowują jakiś nowy szatański plan.

— Old Shatterhand wypowiada myśli Winnetou. Twoim ziomkom znowu grozi niebezpieczeństwo; jestem gotów natychmiast wyruszyć do Fuente.

— Nie zwlekałbym z pomocą, ale mój brat słyszał, że Melton udał się do Ures z don Timoteem, aby prawnie zatwierdzić sprzedaż.

— Mój brat woli więc udać się do Ures, pozostawiając emigrantów swojemu lodowi?

— Nie. Melton jest sprawcą wszystkiego. Wellerowie to jego podwładni i na pewno nie uczynią nic, ponad kroki przygotowawcze. Właściwy taniej: nastąpi dopiero w obecności Meltona. Możemy nie tylko unieważnić kupno, lecz nawet wtrącić go do więzienia. Jeśli nam się powiedzie, Unieszkodliwimy mormona, a Wellerowie wraz z Jumami będą na niego daremnie czekali.

— Mój biały brat sądzi więc, że Melton ma zamiar udać się z Ures bezpośrednio do Fuente, nie wstępując do hacjendy?

— Tak.

— W takim razie jedziemy do Ures. Nasze dwa konie, być może, wytrzymają jeszcze jazdę, lecz wierzchowce Mimbreniów są tak zmęczone, że nie ruszą z miejsca.

— Jestem tego samego zdania. Toteż pojedziemy sami, a chłopcy zostaną. Tutaj się bardziej przydadzą niż w drodze, gdzie będą dla nas ciężarem.

— Czy brat mój sądzi, że powinni wykryć Playera?

— Tak.

— Niech się więc stanie, jak rzekł mój brat. Mogą śledzić go nie spuszczać z oka, byle ostrożnie, aby czasem ich samych nie odkrył. Gdy powrócimy z Ures, powiedzą nam, gdzie się ukrywa, a wówczas schwytamy go i wyciśniemy zeń prawdę.

Winnetou zgadzał się więc ze mną. Nie było potrzeby zakomunikowania Mimbreniom o naszym postanowieniu, gdyż słyszeli całą rozmowę. Naturalnie, musieliśmy udzielić im koniecznych wskazówek ze względu na ich młody wiek i brak doświadczenia. Napoiwszy konie w strumieniu, bez wypoczynku ruszyliśmy do Ures. Droga była mi znana, jechałem już raz tędy i z zapadnięciem wieczoru zatrzymaliśmy się na kilka godzin odpoczynku. Do celu podróży dojechaliśmy po południu następnego dnia dzięki niezwyklej wprost wytrwałości wierzchowców; co prawda był to już kres ich wytrzymałości. Na ulicach miasta zaczęły się potykać, więc musieliśmy stanąć w pierwszym lepszym zajeździe. Pomimo opłakanego wyglądu dostaliśmy tam wina i tortillo*, a dla koni maiz*. Nie troszczyłem się o zapłatę, w kieszeni przeglądało mi płótno, lecz Winnetou był zawsze zaopatrzony, jeśli nie w pieniądze, to w piasek złoty.

Dokąd należało się zwrócić, aby znaleźć Meltona i hacjendera? Nietrudno było ich odszukać w mieście liczącym niespełna dziewięć tysięcy mieszkańców; przybysze zwrócili na pewno powszechną uwagę. Nie wpadło mi zresztą na myśl dopytywać się o nich. Spożywszy

* rodzaj placków

* kukurydza

tortillo od razu udaliśmy się z Winnetou do niezbyt sympatycznego urzędnika, którego odwiedziłem podczas poprzedniego pobytu. Policjant, który zbeształ mnie wówczas, wałęsał się znowu przed biurem, seniora naturalnie leżała w hamaku. Za nią wisiał — jak wtedy — godny małżonek, lecz obok niej umieszczono trzeci hamak, na którym siedział ku memu zdziwieniu jeden z poszukiwanych — mianowicie hacjendero, trzymając wspaniałe cygaro w ustach i kołysząc się błogo. Widać, dobrze mu tutaj było obok seniora wypuszczającej z różanych usteczek również obłok dymu. Ujrawszy nas, zawołał, nie czekając na powitanie:

— Per Dios, buchalter! Czego pan chce w Ures? Myślałem, że jesteś, senior, w niewoli u Indian. Jak to się stało, że wypuścili pana?

— Pan również był jeńcem — odparłem, a widzę, że jesteś wolny.

— Składam za to dzięki seniorowi Meltonowi, gdyby nie on, w najlepszym wypadku po dziś dzień jęczałbym w niewoli. Zdołał tak zręcznie nastraszyć Indian karą, jaka im grozi, że pod wpływem trwogi wypuścili nas. Czy i pan miał również takiego obrońcę?

— Tak, mój nóż.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że sam się uwolniłem. Zbyteczni mi byli adwokaci w rodzaju Meltona. Nie chciałem zresztą zaciągać u niego długu. Myli się pan sądząc, że winieneś mu wdzięczność. Ostrzegłem seniora przed nim i miałem bezwzględna słuszność.

— Ja nie miałem słuszności, chce pan powiedzieć. Senior Melton zachował się jak gentleman i muszę upatrywać w tym jedynie złośliwość, że po wszystkim, co dla mnie uczynił, pan szkaluje go ponownie!

— Jeżeli senior tego człowieka nazywa gentlemanem, to największy łotr pod słońcem może się zwać caballero. Czy to, że podszczył Indian, by napadli i spustoszyli pańską posiadłość, nazywa pan przyjacielską usługą?

— On? Już raz wyłuszczył mi pan swoje nieprawdopodobne przypuszczenia, widzę jednak, że tamto moje sprostowanie nie odniosło skutku. Muszę więc parna przekonać, że oczernia senior niesłusznie tego poczciwego człowieka. Pomijam już okoliczność, że miesza się senior nieproszony do obcych spraw i narzuca z niepotrzebnymi radami. Jedno tylko panu powiem, czego na pewno senior nie wie, mianowicie, że Melton odkupił ode mnie hacjendę.

— Wiem o tym.

— Doprawdy? Wie pan o tym? A pomimo to waży się pan tego seniora oczerniać?! I nie chce pan uznać, że postępek ten jest dowodem niezwykłej szlachetności.

— Szlachetności? Jak to?

— Wskutek napadu Indian hacjenda straciła prawie wszelką wartość. Trzeba by długiego szeregu lat i dużego kapitału, by przywrócić ją do poprzedniego stanu. Od razu zszedłem na nędzarza i nikt nie dałby mi nawet centavo za posiadłość. Tylko ten zacny człowiek, wruszony moją niedolą, zaproponował mi kupno.

— Tak! A pan naturalnie ucieszył się tym szlachetnym aktem współczucia?

— Nie szydź, senior! Było to doprawdy miłosierdzie z jego strony, że zapłacił mi za hacjendę sumą, której nie zdoła odebrać przez dziesięć lat! Może nawet dwadzieścia lub trzydzieści! Tak długo musi czekać, zanim jego ciężko zarobione pieniądze przyniosą mu choćby centavo dochodu.

— Czy mogą spytać, ile dał seniorowi?

— Dwa tysiące pesów. Z tymi pieniędzmi mogę wszystko zacząć na nowo, podczas kiedy na gruzach hacjendy skończyłbym z głodu.

— Kupno zostało prawnie zatwierdzone i nie może być cofnięte?

— Tak. Byłbym zresztą największym idiotą, gdyby tak absurdalna myśl strzeliła mi do głowy,

— Czy zapłacił te dwa tysiące pesów?

— Tak, kiedyś ubili interes, a właściwie, kiedy doszliśmy do porozumienia.

— A więc nie tutaj w Ures po prawnym zatwierdzeniu kupna?

— Przedtem jeszcze, zaraz po naszym uwolnieniu. Sumę wypłacił mi w pięknych okrągłych dukatach. A czy ta okoliczność, że nie czekał, aż stanie się prawnym właścicielem hacjendy, nie świadczy o jego dobrym sercu i uczciwości?

— Mam nadzieję, że go tu jeszcze zastanę?

— Nie, wyjechał wczoraj.

— Dokąd?

— Naturalnie do hacjendy. Senior musi się więc tam udać, jeśli ma pan zamiar przeprosić go za niesłuszne kalumnie.

— Czy wie pan na pewno, że pojechał do hacjendy?

— Tak. Dokąd zresztą miałby się udać? Chciał rozpocząć natychmiast odbudowę posiadłości.

— Wszystkiego tam brak, prawdopodobnie więc w Ures zaopatrzył się w środki.

— Co miał zabrać?

— Naprzód robotników.

— Ma ich. Są tam pańscy ziomkowie.

— Czy narzędzia również? Stare spaliły się na pewno. A potrzeba nasion, zapasów żywności. Nie obejdzie się bez murarzy, cieśli, innych rzemieślników. A materiały budowlane do nowych baraków? Czy zabrał to wszystko?

— Nie pytałem i nic mnie to nie obchodzi. Hacjenda nie należy teraz do mnie. Wiem tylko, że odjechał.

— Pewnie natychmiast po zatwierdzeniu kupna?

— Tak, nie zabawił nawet godziny dłużej.

— Czy odjechał sam?

— Naturalnie! Zresztą nie wiem, dlaczego miałbym odpowiadać na pytania stawiane bez powodu, bezprawnie. Pan przecież przybył tutaj w innych sprawach, więc proszę pozostawić mnie w spokoju!

Odwrócił się niedbale, aby dać mi do zrozumienia, że pragnie ukrócić rozmowę. Nie zbity z tropu, oświadczyłem:

— Niestety, nie mogę pana zostawić jeszcze w spokoju, którego pan sobie życzy. Nie przybyłem tu z innego powodu, lecz tylko i jedynie dlatego, by pomówić z seniorem o tej sprawie.

Teraz napadła na mnie gniewnie dama.

— Co za niegrzeczność! Jaka bezczelność! Słyszał pan, że don Timoteo nie życzy sobie rozmowy z panem.

— Wypraw tych ludzi natychmiast! — zwróciła się do męża.

Władca z Ures ześlizgnął się z hamaka, podszedł do mnie, przybrał pozę nakazującą szacunek i rzekł, wskazując na drzwi:

— Senior, czy pójdzie pan natychmiast, czy też mam cię wtrącić do więzienia za opór wobec władzy?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, szybkim krokiem przystąpił do niego Winnetou, schwycił pod ramiona, podniósł, zaniósł do hamaka, ułożył pieczołowicie i rzekł:

— Niech mój biały brat pozostanie tutaj i poczeka spokojnie, dopóki nie będziemy z nim mówić. A jego biała żona ma milczeć, gdy mówią mężowie. Squaw powinna się zajmować dziećmi, nie zaś zasiadać w radzie dorosłych mężów. Przybyliśmy, aby pomówić z hacjenderem, czy chce czy nie chce, musi nas wysłuchać! Kto chce nas wyprowadzić, niech spróbuje! Tutaj stoi mój biały brat Old Shatterhand, ja jestem Winnetou, wódz Apaczów, którego imię nieobce jest w Ures!

Był rzeczywiście znany, gdyż zaledwie przebrzmiały jego słowa, seniora, pomimo obrazy doznanej wraz z czcigodnym małżonkiem, zawołała innym zgoła tonem:

— Winnetou! Wódz Apaczów! Interesujący Indianin! Słynny czerwony! Czy to możliwe, czy to prawda?

Zbyt dumny, by podjąć jej słowa, udał, że nie słyszy wcale, dlatego wyręczyłem Apacza, mówiąc:

— Tak, tak jest, seniora. A teraz mam nadzieję, że seniora pomimo paru naszych uwag, które jej się zapewne nie podobają, nie będzie miała nic przeciwko temu, iż załatwimy naszą sprawę. W przeciwnym razie wyniesiemy panią na ulicę, podobnie jak to uczynił Winnetou z jej małżonkiem, rzucając go na matę!

Klasnęła w dłonie i zawołała zachwycana:

— Jakaż to przygoda być niesioną przez Winnetou! Całe Ures pękałoby z zazdrości.

— Radzę, nie czyń tego, seniora! Co innego być niesioną na rękach, a co innego — wyrzuconą na ulicę.

Zapaliła świeżego papierosa i położyła się w hamaku z miną osoby oglądającej w cyrku ósmy cud świata. Winnetou zaś opuścił pokój.

Zadowolony z wyników osiągniętych dzięki Winnetou, zwróciłem się do hacjendera:

— Uważał pan, don Timoteo, moje pytania za zupełnie zbyteczne, dla mnie były one jednak cennej wagi, a wkrótce staną się takimi dla pana. Indianie Jumowie zniszczyli pańską hacjendę i zabrali seniorowi wszystko. Sądzę, że przeszukano i wypróżniono zawartość pańskich kieszeni?

— Wypróżniono do cna.

— Czy kieszenie Meltona również?

— Tak.

— A w takim razie jakże mógł wypłacić panu dwa tysiące pesów ciężkimi dukatami?

Oblicze don Timotea nigdy nie zdradzało wybitnej inteligencji, teraz jednak formalnie zgłupiał. Odparł, jękając się:

— Tak... skąd wziął... te pieniądze... tyle pieniędzy?

— Niech pan nie pyta skąd wziął, tylko dlaczego Indianie nie zabrali mu tych pieniędzy?

— Do wszystkich diabłów! O tym co prawda nie pomyślałem! Sądzi pan, że miał pieniądze przy sobie?

— Tak, on lub jeden z Wellerów. Przede wszystkim dwa tysiące pesów w złocie nie ujdą oczom Indian, po wtóre zaś suma taka jest bogactwem nawet dla najzamożniejszego wodza. Jeśli Vete-ya zrezygnował z takiej fortuny, to musiał mieć wyjątkowy i szczególny powód. Czy nie domyśla się pan jaki?

— Nie.

— Jeden jedyny tylko istnieje, żaden czerwony nie pozostawi takiego skarbu obcemu, a co dopiero nieprzyjacielowi; Melton musi więc być jego sprzymierzeńcem.

— Nie wierzę!

— Twierdziłem, że czerwoni mają zamiar napaść na hacjendę. Ostrzegałem pana, nie uwierzył senior mi, a miałem rację. Tak samo nie myślę się teraz, tylko z pana znowu niewierny Tomasz!

— Melton tak szlachetnie, tak wspaniałomyślnie postąpił! Nie mogę po prostu przypuścić, żeby sprzymierzył się z czerwonymi. Jeśli się nie mylę, twierdził pan nawet, że napad miał nastąpić za jego namową?

— Nie pamiętam dokładnie treści tamtej rozmowy, ale jeśli wtedy nie twierdziłem tego z całą stanowczością, czynię to dzisiaj.

— Myli się pan. Musi się pan mylić! Melton jest moim przyjacielem! Dowiódł tego kupnem!

— Tak, dowiódł! Ale nie tego, że jest pańskim przyjacielem, a tylko — niecnym zdrajcą, judaszem i łotrem. Jaką wartość miała hacjenda przed napadem?

— Nie chcę, nie mogę mówić o tej strasznej stracie!

— A czy w ogóle sprzedałby pan wówczas swoją posiadłość?

— Nie, nie przyszłoby mi to na myśli.

— No, teraz ma pan wszystko, jak na dłoni. Upoważniono mormonów do osiedlenia się w tej okolicy, do nabycia gruntu i ziemi. Hacjenda nadawała się, lecz była za droga. Aby zniżyć cenę, Melton kazał ją spustoszyć. Umowa zawarta z Vete-ya brzmiała: cały łup należy do Indian, zniszczoną posiadłość kupię za bezcen. Napad się udał, łup byli cenny, musieli więc pozostawić mu jego pieniądze. Czy pan tego nie rozumie?

— Nie, taka złośliwość z jego strony jest nie do pomyślenia. Zresztą, niech pan sam osądzi; na cóż przydadzą mu się grunt i pola, jednym słowem cały ten obszar, skoro spłonął i utracił wartość?

— Melton go przywróci do dawnego stanu!

— To będzie kosztowało daleko więcej niż hacjenda była warta po przednio, nie licząc już całego szeregu lat, które upłyną, zanim doczeka się dochodów ze swego kapitału.

— I ja tak sądzę, ale to właśnie orzech, którego nie mogę na razie, rozgryźć.

— Zaraz po pańskim odjeździe ruszyli wszyscy nad Fuente de la Roca. Czy może domyśla się pan po co?

— Nad Fuente? — zapytał zdziwiony.

— Tak, Wellerowie wraz z emigrantami. A w górze rzeki oczekuje ich oddział Jumów.

— Czy to możliwe? Skąd wie pan o tym? — spytał, wyskakując z hamaka.

— Dowiedziałem się od Playera, który wziął mnie za przyjaciela Meltona i dlatego wygadał wszystko!

— Nad Fuente, nad Fuente! — powtórzył, biegając po pokoju tam i z powrotem silnie zdenerwowany. — To mi daje dużo do myślenia!

— Tak, tak! Niestety! A teraz zabrali mi trzody i nie mam już nic, zupełnie nic!

— Jak to? A dwa tysiące pesów?

— Nie szydź ze mnie, senior!

— Nie szydę. Ma pan dwa tysiące pesów i trzody wraz ze wszystkim, co Jumowie zrabowali w hacjendzie.

— Senior, to okrutne żarty!

— Nie żarty, a szczerą prawdą. Kiedy umknąłem z niewoli, mój brat Winnetou nadciągnął z Mimbreniami i pojmał wszystkich Jumów. Musieli zwrócić pańską własność, a teraz prowadzą ich do sadyb Mimbreniów, gdzie poniosą zasłużoną karę. Pięćdziesięciu Mimbreniów jedzie z pańskimi trzodami, aby je sprowadzić do hacjendy. My dwaj pośpieszyliśmy naprzód, żeby uprzedzić pana. Naturalnie nie przeczuwaliśmy, że senior sprzeda hacjendę.

Stał skamieniały ze zdziwienia i radości.

— Jumowie pojmani!... Kara!... Pięćdziesięciu Mimbreniów... do hacjendy... z moim byłem... Tak! Odbiorę swoje trzody, ale czy nie można odebrać hacjendy wraz z kopalnią i robotnikami? Czy kupno jest zatwierdzone?

— Tak — skinął urzędnik.

— A czy nie wydarzyło się jakieś przeoczenie, jakaś mała niewidoczna omyłka, jakaś szczelina, przez którą wszedłbym do swojej hacjendy?

— Nie. Pan sam prosił o jak największą ostrożność, ostrzegałeś, bym nie popełnił najmniejszej omyłki. Chodziło seniorowi wszak o to, aby czasem nie stracić owych dwóch tysięcy pesów.

— Zatrzyma pan pieniądze, a pomimo to odbierze hacjendę — pocieszyłem Timotea. — Melton będzie zmuszony zwrócić seniorowi posiadłość, dwa tysiące zaś przypadną panu jako wynagrodzenie strat, poniesionych przez sprzedaż.

— Czyżby to było możliwe?

— Co do mnie, to twierdzą, że można dokazać jeszcze więcej. Można cofnąć akt kupna. Musimy tylko dowieść, że Melton wynajął Indian, aby napadli na hacjendę i spustoszyli ją.

— A czy pan będzie mógł to osiągnąć?

— Prawdopodobnie. Przynajmniej mam nadzieję.

— O, gdybym zaufał panu wtedy! Mówi senior tak stanowczo, tak pewnie! Wszystko, co dla mnie jest niepodobieństwem, dla pana wydaje się błahostką!

— Winnetou, Winnetou musiał dokonać bohaterskiego czynu! — zawołała zachwycona Indianinem seniora. Piękne jego poważne rysy, dumna, spiżowa postać wywarły na niej ogromne wrażenie.

— Mniejsza, jak się to stało, w każdym razie odzyskałem majątek! — odezwał się hacjendero, tak pochłonięty był myślą o sobie, że zapomniał o podziękowaniu.

— Żądam, żebyśmy natychmiast jechali za Meltonem. To jest nasz obowiązek — zawołał.

— Pięknie! Otóż po tym wszystkim wymaga pan, ażebym go nadal wspierał. Nie prosi, senior, lecz żąda? Pytam seniora zatem, co mnie z panem wiąże? Pan słyszał, ile uczyniliśmy dla seniora. Czy jednak usłyszeliśmy z ust pańskich choć jedno słowo wdzięczności? Obraził mnie pan, wyrzucił za drzwi, zagnał w niewolę. Naraziłem życie dla pana i nam je dalej narażać, a senior? Straciłem wiele słów. Krótki zaś sens mojej mowy powiem panu teraz: od tej chwili niech senior sam się troszczy o siebie! Nie mam ochoty pozwalać, żeby w dowód wdzięczności przypominano mi obowiązki względem własnego honoru!

Po tych słowach udałem, że chcę odejść, wtedy chwycił mnie hacjendero za rękę.

— Ze stań przecież, senior — prosił — niech pan jeszcze nie odchodzi! Zapewniam, że nie dziękowałem tylko przez zapomnienie.

— Wobec tego nie zna pan siebie tak dobrze, jak ja pana poznałem. To nie zapomnienie, lecz wręcz coś innego. Przypisując sobie wyższość: nad europejskim barbarzyńcą, a nawet nad człowiekiem tej miary, co Winnetou, nie prosi pan, tylko żąda lub rozkazuje. Obchodzono się ze mną tutaj po grubiańsku, nie tylko dzisiaj, lecz już za pierwszym razem. A teraz rozważcie, czy ja nie mam prawa z góry traktować, czyj nie mam prawa pociągnąć was do odpowiedzialności! Szukałem u was opieki nad emigrantami, a odprawiono mnie, z kwitkiem. Wy zaś, zatwierdzając kupno, wydaliście tych biedaków w ręce złoczyńcy. Powiedzcie mi więc, jak wobec tego powinienem właściwie postąpić?

Na to nikt nie odpowiedział. Wtem drzwi się uchyliły i Apacz, zajrzawszy przez skrzydło, zapytał:

— Czy mój brat gotów? Winnetou nie ma ochoty dłużej tutaj przebywać.

Szybko podszedł do niego hacjendero, ujął za rękę i prosił:

— Niech pan wejdzie jeszcze raz, senior! Proszę pana o to usilnie! Senior wie, że bez pańskiej rady nic nie pocznę.

Apacz wszedł do pokoju, zmierzył go poważnym wzrokiem i rzekł:

— Czy błada twarz podziękowała memu bratu Old Shatterhandowi?

Był to znowu przykład, jak dalece zgadzały się nasze myśli. W krótkim pytaniu Apacz wyraził to samo, co przed chwilą tak długo wykladałem hacjenderowi.

— Nie miałem jeszcze sposobności. Przecież tyle spraw jest da omówienia — brzmiało usprawiedliwienie hacjendera. — Chcecie za stać w Ures do jutra?

Winnetou potwierdził skinieniem głowy.

— A tymczasem można by wiele zdziałać. Każda chwila droga! — nalegał Pruchillo.

— Rzecz najważniejsza, aby nasze konie wypoczęły i odzyskały siły — odpowiedział Winnetou. — Zresztą, o jakich czynach mówi błada twarz? Old Shatterhand i Winnetou nie mają nic przeciwko temu, jeśli hacjendero zamierza jeszcze dzisiaj wziąć się do dzieła. Może robić wszystko, co mu się żywnie podoba, ale sam!

— Przecież powiedziałem panu, że bez waszej pomocy nie podołam.

— Więc niech blada twarz prosi Old Shatterhanda. Na co on się zgodzi, na to i ja przystanę;

Prosić przyszło hacjenderowi ciężko, a jednak zdołał się przewyciężyć, potrafił nawet podziękować nam za wszystko, co uczyniliśmy dla niego do tej pory. Rzecz prosta, kierował nim jedynie wzgląd na korzyści, jakich się jeszcze po nas spodziewał. Ponieważ jednak nie miałem wcale zamiaru odmawiać mu dalszej pomocy, więc odpowiedziałem w końcu:

— Zgoda. Powiedz nam, senior, jak pan przypuszcza, co należy teraz zrobić?

— Myślę, że powinniśmy natychmiast wyruszyć, ażeby Meltona dopędzić i zatrzymać.

— Powiedzieć łatwo, ale nasze konie padłyby w drodze. Oprócz tego musi pan wziąć pod uwagę, że przez jedną szóstą dnia ujechalibyśmy przestrzeń, jaką przebywa się zazwyczaj w ciągu mniej więcej dni sześciu. Nie wierzę, senior, abyś po takim wysiłku potrafił odbyć natychmiast podróż do Fuente de la Roca i w góry Juma. Odpoczynek kilkunastogodzinny jest nam nieodzowny, dlatego zostaniemy tutaj do jutra. Jeśli się panu tak śpieszy, jedź naprzód. Niech pan weźmie ze sobą kilku policjantów!

Na to seniora klasnęła w ręce i zawołała:

— Co za wspaniała myś! Pojechać naprzód i wziąć ze sobą kilku policjantów! Co ty powiesz na to, mężuniu?

— Jeśli ci to przypadł do gustu, to myśl jest rzeczywiście bardzo szczęśliwa — odpowiedział zapytany.

— Nawet niezwykle szczęśliwa! Czyż nie masz ayudo^{*}, który potrafi załatwić wszystkie twoje sprawy i obowiązki służbowe, abyś ty chociaż raz mógł przedsięwziąć niewielką podróż?

Ten człowiek zapewne już od dawna nie czuł się tak szczęśliwy: wyrwać się spod wodzy kierowanych jej pięknymi rękami! Podróż! A do tego sam — bez niej! Twarz jego formalnie promieniała z radości. Nie dowierzając jeszcze swoim uszom, zapytał:

— Dokąd pojedziemy, moja duszko?

Na „my” położył nacisk.

— Ja zostaję w domu — brzmiała kojąca odpowiedź.

Jeśli przedtem twarz jego błyszczała tylko, teraz jaśniała niby słońce, gdy pytał dalej:

— Więc gdzie mam się udać?

— Daję ci sposobność zdobycia takiej samej sławy jak Winnetou. Ponieważ don Timoteo życzy sobie kilku policjantów, więc pojedziesz z nim osobiście i będziesz dowodził naszymi oficiales de la policia.

Na te słowa radość z jego oblicza ulotniła się w jednej chwili, twarz mu się wydłużyła i ściągnęła w niezliczone posępne zmarszczki. Drżącym prawie głosem zapytał:

— Ja? Ja sam mam wyruszyć w góry? I do tego wierzchem?

— Naturalnie, iść piechotą nie możesz w tak daleką drogę!

— Czy nie przypuszczasz, że taka podróż jest nieco męcząca, może nawet niebezpieczna?

— Dla meksykańskiego caballera nie ma niebezpieczeństwa. A więc?!

Przy ostatnim słowie spojrziała na niego rozkazująco i tak groźnie, że biedak zdobył się tylko na odpowiedź:

— Tak jest Jeśli tak uważasz, moje serce, to pojedę.

— Uważam, uważam, naturalnie! Za niespełną godzinę będziesz miał spakowane wszystko, co potrzebujesz do podróży: bieliznę, konia, papierosy, mydło, dwa pistolety, rękawiczki, pieniądze, w które obficie zaopatrzę, czekoladę, flintę i poduszkę, żebyś nie zapadał głęboko, gdybyście byli przypadkiem zmuszeni spać w kiepskich łóżkach, i nie miał skutkiem tego złych snów. Widzisz, jak się troszczę o ciebie. Ty jednak postaraj się nie

* Zastępca

zawieść moich nadziei. Wracaj do domu okryty sławą. Takiemu juriskonsulto*, jakim ty jesteś, nie może to za danie sprawiać trudności. Nieprawdaż, senior?

Pytanie było skierowane do mnie, odpowiedziałem więc:

— Zgadzam się w zupełności ze zdaniem pani, o ile znajomość prawa może się przydać w takiej podróży.

— Czy słyszysz? — zapytała męża. — Senior jest tego samego zdania. Kiedy wyruszyście, don Timoteo?

— W ciągu godziny — odpowiedział hacjendero, który byłby chętnie pojechał ze mną lub z Winnetou, a tymczasem musiał przystać na śmieszny i niedorzeczny plan seniory.

— Prawdopodobnie schwytaacie Meltona, zanim was dopędzimy — odezwałem się do hacjendera. — Jesteśmy jednak potrzebni jako świadkowie. Gdzie was możemy spotkać?

— Zaczekamy na was przy Fuente de la Roca.

— Jaką drogę obierzecie teraz?

— Przez hacjendę.

To mi nie było na rękę. Mogli się natknąć na naszych Mimbreniów, a nawet Playera, i popsuć nam szyki. Nie sprzeciwiałem się jednak, wiedząc, że inną drogą można ich odwieść od tego zamiaru prędzej i łatwiej. Dlatego rzekłem:

— Bardzo słusznie, don Timoteo! Oszczędzicie nam trudu. Player, o którym wam opowiadałem, z pewnością tam jeszcze przebywa. Trzeba go naturalnie schwytać, a ponieważ to łotr zuchwały i umie się dobrze obchodzić z bronią, więc pojmanie jest połączone z niebezpieczeństwem. Będzie się bronił rozpaczliwie i jestem przekonany, że nie ulęknie się dwóch, nawet trzech silnych ludzi. Dlatego cieszę się, że pojedziecie przez hacjendę. Przybywszy tam przed nami, weźmiecie go do niewoli i gdy my się tam zjawimy, będzie robota skończona. Tylko nie dajcie się przypadkiem zastrzelić z zasadzki! To zwyczaj Playera, że walczy podstępnie.

Słowa moje tak poskutkowały, że don Timoteo zbladł, a urzędnik zbiegał jak kreda. Przekonałem się więc zawczasu, że będą unikać hacjendy jak ognia.

Mając dość tej dziwnej gościny, opuściliśmy dom bez słowa pożegnania.

Nie uśmiechał nam się pobyt w mieście. Zakupiwszy kilka drobnostek wyprowadziliśmy konie na pola, gdzie czuliśmy się lepiej niż w murach. Znalazłszy odpowiednie miejsce nad strumykiem — było dosyć trawy dla koni — ułożyliśmy się na spoczynek. Zanim jeszcze zasnąłem, przejechali w niewielkiej od nas odległości „bohaterowie”. Widocznie seniora trwała przy swoim planie, pomimo że opuściliśmy ich dom. Jeźdźców było pięciu: hacjendero, juriskonsulto i trzech policjanci. Stróże bezpieczeństwa wraz z przełożonym byli ubrani w mundury, co zmusiło nawet Winnetou do śmiechu. Konie mieli dobre. Hacjendero i trzech policjanci byli niezgorszymi jeźdźcami, przywódca jednak trzymał się na siodle w pozycji niezbyt rycerskiej. Na jednej poduszce siedział, a drugą miał umocowaną z tyłu siodła. Obydwie musiały być świeżo obleczone, bo już z daleka lśniły śnieżną białością. Z takim okładem w dzikie góry Zachodu! Szczęśliwej drogi, panie dowódco! — pomyślałem i zamknąłem oczy, święcie przekonany, że szacowna „piątka” nie będzie się uskarżać na nadmiar sławy...

Spaliśmy bez przeszkody przez całe popołudnie i noc. Gdy następnego dnia słońce wschodziło, siedzieliśmy już w siodłach. Wypoczęliśmy solidnie, a ich wierzchowce nie zdradzały śladu zmęczenia. Rzały wesoło, ciesząc się świeżym, orzeźwiającym powietrzem świtu.

Ruszyliśmy, rzecz prosta, z powrotem ku hacjendzie. Z początku wił się wciąż przed nami trop wczorajszych pięciu rycerzy, po krótkim jednak czasie zбочył znacznie na prawo.

* Prawnik, jurysta

Jechaliśmy cały dzień i noc, na krótko przed świtem dnia następnego dotarliśmy do granicy hacjendy. Odszukawszy miejsce, na którym mieliśmy się zejść z naszymi obydwojma Mimbreniami, zastaliśmy ich tam ukrytych wraz z końmi w zaroślach.

— Jesteście obydwaj? — zapytałem. — A więc nie ma już potrzeby śledzić Playera. Gdzie jest teraz?

— Niedaleko stąd, nad strumieniem, położył się na spoczynek — odparł Yuma Shetar. — Jest znużony drogą, gdyż wrócił dopiero wczoraj.

— Nie wiecie, gdzie przebywał w tym czasie?

— Miejsca nie znamy, ale odległość można obliczyć. Gdy Old Shatterhand i Winnetou odjechali, udałem się za tropem Playera, który prowadził przez wyżynę, a następnie w dół do lasu. W lesie miał biały człowiek ukrytego konia, wsiadłszy na niego odjechał bardzo prędko na wschód, a skoro wydostał się z lasu, ruszył galopem, jak to ze śladów wyczytałem.

— Jaka tam jest okolica?

— Płaska, porośła trawą, pokryta niewielkimi niskimi pagórkami.

— Czy ślad jego szedł prosto jak tropy zbiega, który chce uciec jak najprędzej?

— Nie, okrążał wzgórza, zamiast przejeżdżać przez nie.

— Wobec tego pędziła go nie tylko trwoga przed naszymi. Prawdopodobnie zdążył do swoich sprzymierzeńców, ażeby im donieść o naszym przybyciu.

— Tak jest. Nie wychodziłem z lasu, żeby przypadkiem Player wracając nie spostrzegł moich śladów. Powróciłem spieszenie do mego brata. Ukrywając konie, dotarliśmy do skraju lasu, gdzie trop białego wychodził na prerię. Tam położyliśmy się na czatach, daleko jeden od drugiego, aby ogarnąć większą przestrzeń, i czekaliśmy na jego powrót.

Postępowali tak roztropnie, że sam nie mógłbym nic lepszego wymyślić.

— Czy moi młodzi bracia widzieli go, jak wracał? — zapytałem.

— Tak jest; wczoraj, gdy słońce stało na najwyższym punkcie swej drogi.

— Czyli w środę w południe, a odjechał w poniedziałek. Za okolica, w której był, leży o dzień drogi stąd, w kierunku wschodnim. W tej stronie znajduje się Fuente de la Roca. Musimy się dowiedzieć, czy tam jest, pojedynczy posterunek, czy też większa siła. Zdaje się, że wyznaczono cały szereg takich posterunków, począwszy od hacjendy, ażeby każdą ważniejszą wiadomość można było szybko przesyłać dalej.

Na to odparł Yuma Shetar:

— Tam, gdzie był Player, musi biwakować wielu Indian, gdyż jechał na koniu białym, a powrócił na karoszu, który miał uprzęż indiańską.

— Miał poprzednio białego konia? Przecież nie widziałeś go!

— Nie, ale tam, gdzie był w lesie uwiązany, zauważyłem na gałązce krzaka zaczepiony biały włos z ogona końskiego, który mógł pochodzić tylko od siwka.

— Hm! Wobec tego masz słuszość. Wymienił zmęczonego konia, ażeby prędko wrócić. Wiadomość, jaką przyniósł, musi zostać posłana dalej, także na świeżym koniu. Z tego wynika, że jest tam wiele wypoczętych koni i oczywiście ludzi. Dobrze, iż to wiemy, chociaż zapewne zmusimy go do wyjawienia nam prawdy. A więc moi bracia wiedzą, gdzie się teraz zatrzymał?

— Tak jest. Widzieliśmy, gdzie się położył. A ponieważ był znużony, więc zapewne nie opuścił jeszcze obranego miejsca. Najprawdopodobniej śpi teraz.

— Dobrze! Zaprowadźcie nas do niego!

Przywiązawszy konie, poszliśmy za obydwojma braćmi ku murom hacjendy. Dzień już szarzał i niebawem zobaczyliśmy draba ubranego jak ksiądz, leżącego nad brzegiem strumienia, który zataczał tutaj ostry łuk. Player miał derkę pod głową i spał snem głębokim, obok leżała strzelba, której nie zauważyłem przy pierwszym spotkaniu. Zbliżywszy się cichaczem, obsiedliśmy go z czterech stron. Strzelbę zabrałem i odłożyłem tak daleko, że nie mógł jej dosięgnąć. Czekaliśmy. Nie zależało nam na czasie, wszak musieliśmy dać koniom

wypoczynek. Dlatego pozwoliliśmy mu spać nadal, zawczasu ubawieni myślą o niefortunnym jego ocknieniu.

Spod nie zapiętego surduta wyglądał pas, za którym tkwił nóż bowie* i dwa rewolwery dużego kalibru. Spróbowałem je wyciągnąć, ażeby go do ostatka rozbroić. Ostrożnie, powoli wyjąłem nóż i jeden z rewolwerów, drugi tkwił nieco mocniej. Hayer poczuł dotknięcie i obudził się. Teraz wyrwałem rewolwer jednym ruchem. Zbudzony wyprostował się, usiadł szybko, bez śladu rozespania, jak prawdziwy westman, i w mig sięgnął ręką do pasa po broń. Nie znalazłszy jej jednak, otworzył usta, jakby chciał krzyknąć, aliści nie wydobył dźwięku, tylko wlepił w nas duże, osłupiałe oczy.

— Good morning, mister Player! — pozdrowiłem go. — Spał pan mocno i długo, co też się słusznie należy po dalekiej dwudniowej jeździe.

— Co? Wiecie o mojej... jeździe? — wykrztusił.

— Niech pan nie pyta tak naiwnie. Ludzie tego gatunku, co my, muszą przecież wiedzieć, gdzie bawił pan tak długo! Pojechał master w góry do Indian, żeby im donieść o naszej tutaj obecności. Przy tej okazji zamieniłeś swego siwka na karosza.

— Naprawdę, on wie o tym! Czego tu chcecie, sir? Dlaczego przebywacie całymi dniami w tej smutnej okolicy, gdzie trudno o pożywienie jednako dla człowieka, jak i dla zwierzęcia?

— O to właśnie mógłbym ja pana zapytać, zamiast jednak przelewać z pustego w próżne, wolę się przedstawić. A może wyjawilem swoje imię już w poniedziałek?

— Zbyteczna formalność. Gdzie Winnetou, tam nietrudno o Old Shatterhanda. W poniedziałek nie pomyślałem o tym od razu.

— Wierzę! Gdyby pan o tym pomyślał, zaniechałby ucieczki. Wie pan zapewne, jakim dobrym a nawet serdecznym jestem przyjacielem Meltona i Wellerów. Ponieważ zaś i pan jest z tymi gentlemanami w ścisłej zażyłości, więc ucieczka pańska to odruch zgoła niedorzeczny. Zbyt pochopnie również doniosłeś Indianom o naszej obecności. Możemy to sami załatwić daleko lepiej niż pan, ponieważ udajemy się także w góry.

— Do Almaden Alto? — wyrwało mu się mimo woli.

Była to nazwa owej kopalni rtęci, należącej do hacjendy. Wyraz „Alto” oznaczał, że kopalnia leży wysoko w górach.

— Tak jest, do Almaden Alto — podchwyciłem. — A przedtem do Puente de la Roca, żeby złożyć wizytę mojemu przyjacielowi Meltonowi. Jak pan wie, odczuwa dolegliwości w rękach.

Player wiedział doskonale, co się stało z Meltonem, musiał więc rozumieć moje słowa i uważać je za to, czym były, to znaczy za szyderstwo. Znajdował się w położeniu niezbyt przyjemnym, ponieważ jednak ani ja, ani Winnetou nie mieliśmy powodów do osobistej zemsty nad nim, więc czuł się przynajmniej spokojny o swoje życie. Dlatego uważał za wskazane nie okazywać nam trwogi i zapytał tonem słusznego zdziwienia:

— Co mnie obchodzi wasz stosunek do Meltona? Już w poniedziałek przypuszczałem, że jest pan jego przyjacielem, skoro pytał master o niego i wiedział o moim pobycie w hacjendzie. Ale czego chcecie ode mnie? Podeszliście mnie ukradkiem, otoczyliście, zabraliście broń. Co to ma znaczyć? Uważałem zawsze Old Shatterhanda za człowieka uczciwego!

— Jestem nim też i dlatego zawarłem tak serdeczną przyjaźń z Meltonem i obydwoma Wellerami. Opowiadali panu zapewne wiele dobrego o mnie? Musieli mnie przy tym darzyć niezwykłą czułością.

— Mówili o panu rzeczywiście. Słyszałem od nich, że dostał się pan do niewoli Indian Jumów i ma umrzeć przy palu męczarni. Tymczasem widzę teraz, ku memu zdumieniu, że odzyskał pan wolność!

* Myśliwski nóż obusieczny, kłujący; nazwa od nazwiska wynalazcy — pułkownika Bowie

— O, temu dziwić się nie powinieneś, master. Prawdopodobnie otarło się o pańskie uszy, że częstokroć bywałem jeńcem i nieraz już miałem umrzeć przy palu. Zdaje się jednak, że nie tak łatwo utrzymać mnie w niewoli. Posiadam pewną fatalną dla czerwonoskórych właściwość, dzięki której opuszczam ich zawsze bez pożegnania, aby niespodzianie zjawić się znowu, właśnie wtedy, gdy najmniej pożądamy mojego widoku. Tak było również tym razem. Wymknąwszy się wojownikom Jumów, powróciłem i wziąłem ich do niewoli.

Następnie odsłoniłem mu w krótkich słowach tyle, ile uważałem za stosowne. Skutek okazał się natychmiastowy.

— Co? Mimbreniowie nadchodzą? — zapytał błędąc.

— Tak jest, nadchodzą. Widzicie tu przy mnie dwóch młodych wojowników z ich plemienia. Widzi mi się, że napełnia to was obawą. Prawdopodobnie stosunek mister Playera do Mimbreniów nie jest przyjazny. Jeśli tak, to gotów jestem wziąć pana w opiekę, aby ci, czerwoni, nie wyrządzili wam jakiej krzywdy.

— Wielką okażecie mi przysługę! — odezwał się Player skwapliwie. — Nie mam wcale zamiaru z nimi się spotkać.

— Pięknie! Dogodzę waszym chęciom, biorąc pana ze sobą w góry Juma do naszego przyjaciela Meltona.

Zakłopotanie Playera rosło. Wiedział przecież, że słowa moje zawierały tylko ironię i że o żadnej opiece nie mogło być mowy; musiał się raczej obawiać stosunku wręcz przeciwnego. Ażeby więc wyjaśnić sytuację, rzekł:

— Przyjmijcie moje podziękowania, sir, za tę przysługę. Ale dlaczego zabraliście broń, jeśli mi tak dobrze życzycie?

— Dla waszego dobra, mister Player. Gdyby Mimbreniowie nadeszli jeszcze przed naszym odjazdem, osławiona waleczność mogłaby skusić pana do zupełnie zbytecznego popisu. Nierozważny krok obruszyłby czerwonych, dlatego odebraliśmy panu chwilowo te narzędzia ze względu na pańskie zdrowie i bezpieczeństwo.

Jeniec milczał, nie wiedząc, co ma na to odpowiedzieć. Ja zaś mówiłem dalej:

— Zajmiemy się jeszcze gorliwiej panem, mianowicie, zwiążemy pana nieco, żebyś przypadkiem nie rozdrażnił Mimbreniów, a wreszcie — przeszukamy pańskie kieszenie.

— Sir, czy mówi pan poważnie? — wybuchnął Player. — Co wam zawiniłem, że napadliście, że chcecie mnie związać i zrewidować?

— Nam? Nic! Przecież mam przyjemność widzieć pana niemal po raz pierwszy, co więc złego mógł mi master wyrządzić?! Ale ponieważ życzy pan sobie szczerości, więc powiem, czego od pana chcę. Czy byłeś w Almaden Alto?

— Nie, jeszcze — tam nie byłem.

— A ja mówię, że był pan. Ponieważ nie chce master dobrowolnie odpowiadać, więc panu otworzę usta. Jeśli pan przypuszcza, że uda się Playerowi mnie oszukać, to dostanie taką nauczkę jak Melton.

— Co panu przychodzi do głowy! Co wam zrobiłem złego?! — krzyczał. — Ja nie jestem zwykłym człowiekiem! Macie przed sobą mormona, należę do świętych dnia ostatniego. Teraz wiecie już, jak macie się ze mną obchodzić!

— Zgoda, będę pobłażliwy. Ale niech pan odpowiada prawdą na moje pytania! Za kłamstwo pękną panu kości natychmiast! Więc był pan w Almaden, a także w Fuente de la Roca?

— Byłem.

— Zna pan tę okolicę tak dokładnie, że może służyć za przewodnika?

— Tak. Bywałem tam częściej, jeszcze przed Meltonem i Wellerami.

— Więc to pan był właściwym wywiadowcą wysłanym dla zbadania okolicy?

— Tak jest. Ja zwróciłem uwagę Meltona na hacjendę i na kopalnię.

— Emigranci zastaną wywiezieni do Almaden Alto i zaprzęgnięci do pracy pod ziemią?

— Tak.

— Tak postanowiono jeszcze przed sprowadzeniem ich z Europy?

— Tak.

— Czy są tam Jumowie?

— Są w Almaden i w Fuente. Po drodze rozstawiono posterunki w odległości jednego dnia jazdy konnej. Każdy posterunek składa się z pięciu ludzi!

— Na co są wam potrzebni Jumowie w Almaden?

— Mają się starać o prowiant i przewóz, za co zostaną wynagrodzeni dochodem z kopalni.

— Ilu ich jest?

— Trzystu obozuje w Almaden, dwudziestu w Fuente, a posterunki, o których poprzednio mówiłem, są cztery.

— Kiedy emigranci przybędą do Almaden?

— Z pewnością są już na miejscu.

— Ilu z nich pójdzie pod ziemię?

— Wszyscy.

— Przecież dzieci chyba nie pójdą?

— Wszyscy, dzieci także.

— Skoro tak, to nie mamy czasu do stracenia. Musimy wyrzec się odpoczynku i ruszyć natychmiast. Gzy mój brat Winnetou zgadza się na to?

— Winnetou uczyni wszystko, co Old Shatterhand uważa za stosowne — odpowiedział Apacz.

— Dobrze! Posłuchajcie więc, co według mego zdania należy przede Wszystkim zarządzić!

Z tymi słowy odszedłem na bok, żeby Player nie mógł słyszeć naszej rozmowy, i rzekłem do młodszego syna Nalgu Mokaszi:

— Mój mały brat wie, co zeznał Player. Ażeby wziąć do niewoli dwudziestu Jumów przy Fuente oraz owe cztery posterunki, potrzebujemy trzydziestu Mimbreniów. Niech więc mój brat pojedzie do tych wojowników, którzy prowadzą trzody, i wzięwszy trzydziestu ludzi pośpieszy z powrotem za nami. Dziewiętnastu zostanie przy trzodach, a jeden podąży do Nalgu Mokaszi i poprosi, aby stu wojowników czym prędzej pojechało za nami do Almaden. Skończyłem.

W dwie minuty później Mimbrenio odjechał. Po upływie pół godziny byliśmy również gotowi. Wyruszyliśmy w drogę, prowadząc ze sobą Playera, którego przywiązaliśmy do konia. Na razie więc było nas trzech przeciw trzystu nieprzyjaciołom, ale nie miałem czasu na wahanie ta gdzie rozstrzygał się los moich ziomków.

NAPRZECIW NIEBEZPIECZEŃSTWU

Zdążyliśmy zatem do starej kopalni rtęci Almaden Alto. Droga prowadziła przez Fuente de la Roca.

Okolo południa odpoczęliśmy chwilą nad strumykiem, żeby napoić konie. Dłużej popasaliśmy dopiero w kilka godzin później. Obraliśmy sobie w tym celu róg lasu, z którego szeroko rozciągał się widok w trzech kierunkach. Playera, zdjąwszy z konia, położyliśmy na ziemi. Teraz była pora odpowiednia na posiłek — jeniec otrzymał także swoją część. Przez drogę nie zamieniliśmy z nim ani słowa. Przypuszczając, że pierwszy posterunek jest już niedaleko, zapytałem Playera:

— Wczoraj przejeżdżając tą drogą, master, nie przypuszczałeś zapewne, że już dzisiaj będzie pan tutaj powtórnie, i to jako jeniec?

— Ja tedy przejeżdżałem? Myli się pan bardzo — odpowiedział.

— Nie mydl nam oczu! Wiem nie tylko, że był pan tutaj, ale nawet, widząc po śladach, iż nawróciłeś konia, aby spojrzeć wstecz. Oczy mam dość bystre, ażeby rozpoznać ten szczegół, pomimo że trop pański prawie już zginął.

— Nieprawda! — twierdził Player. — Nie byłem jeszcze nigdy w tej okolicy.

— Hm! Widać zapomniał master, co pana czeka, jeśli będzie trwał przy swoim głupim matactwie! Nie mam zwyczaju ludziom dokuczać, posiadam jednak tę słabą stronę, że nie znoszę kiepskich żartów. Zapamiętaj to sobie, master! Czy przyzna pan więc, że był tutaj i zatrzymał się na tym miejscu?

Jeniec, nie mogąc zdecydować się na odpowiedź, milczał.

— Czy otworzyć panu usta, jak dzisiaj z rana? Ażeby panu wyjaśnić położenie, wyznam otwarcie, że nie mamy wcale zamiaru pana krzywdzić, jeśli zostanie spełnione wszystko, czego zażądam. W przeciwnym razie niech pan nie liczy na żadne względy. Wiemy, że pierwszy posterunek jest w pobliżu. Odszukamy go bez pańskiego zeznania. Pański trop zaprowadzi nas do celu. Możemy jednak zyskać na czasie, skoro pan wyjawi, gdzie obozują Jumowie.

Po chwili z rezygnacją Player rzekł:

— Jedzie się najpierw przez łąkę, którą tu widzicie. Następnie w las, pod górą. Poza wzniesieniem leży staw. Przy nim obozuje posterunek.

— Czy las jest gęsty?

— Tak. Ale na górę prowadzi przezeń wąska ścieżka, rzadko zarosła drzewami, jakby umyślnie wykarczowana, a stamtąd aż do stawu.

— Czy z owego wzniesienia można widzieć łąkę, którą musimy te przebyć?

— Nie, drzewa są zbyt wysokie.

— Indianie mają zapewne obowiązek nie oddalać się od stawu?

— Naturalnie, ponieważ jednak muszą zaopatrywać się w żywność więc któryś z nich może się zapuścić w las z tej strony góry, w tym wypadku spostrzegłby, jak nadjeżdżacie.

— Jak są uzbrojeni?

— W łuki i dzidy.

— Jak się nazywa wódz wszystkich Jumów z wami sprzymierzonych?

— Nie wiem, kto nimi teraz dowodzi. Później miał przybyć Vete-ya z którym Melton zawarł kontrakt.

— To wystarczy na razie. Reszty mogę się dowiedzieć potem, w był pan w Ures i czy zna drogę prowadzącą stamtąd do Almaden Alto?

— Tak jest.

— Prawdopodobnie prowadzi obok stawu, o którym mówił mi przed chwilą?

— Tak, gdyż tam właśnie schodzi się z drogą od hacjendy.

Nie bez powodu pytałem. Hacjendero i jego towarzysze, jak teraz się pokazało, musieli przejeżdżać obok posterunku i prawdopodobnie wpadli w ręce Indian, Winnetou był tego samego zdania. Słyszając odpowiedź Playera, wstał i rzekł:

— Wobec tego musimy jechać dalej, ażeby uratować białych mężów, którym brak roztropności i doświadczenia.

— Więc mój brat sądzi, że...

Nie kończąc pytania, rzuciłem znaczące spojrzenie na Playera. Winnetou zrozumiał mnie i odrzekł:

— Ta blada twarz nie okłamała nas, a wyznała prawdę ze strachu przed pięścią Old Shatterhanda. Winnetou zna ów staw i znalazłby go nawet w nocy.

— Teraz nie możemy wyruszyć, dzień w całej pełni, więc Jumowie spostrzegą, gdy będziemy jechać przez łąkę!

— Winnetou nie jest tak nieostrożny, aby jechać wprost do lasu. Zboczmy na południe. Stamtąd przybyli biali z Ures, musimy natknąć się na ich trop, którego wieczorem nie moglibyśmy wykryć.

Apacz miał słuszość, jak zawsze. Poszliśmy za jego radą. Staw leżał pół godziny drogi na wschód, my jechaliśmy przynajmniej pół godziny na południe. Po upływie tego czasu okazało się, że obliczenie mego przyjaciela zgodne było z rzeczywistością, gdyż natrafiliśmy na szeroki trop biegnący na północny wschód. Winnetou zsiadł z konia, zbadał ślady i oznajmił:

— Pięciu jeźdźców. Są to niedoświadczeni biali, gdyż nie jadą jeden za drugim, a tylko obok siebie. Wódz Apaczów przypuszcza, że mamy przed sobą ludzi z Ures.

— Jak dawno przejeżdżali tędy? — zapytałem.

— Prawdopodobnie wczoraj. Jeśli blade twarze wyruszają przeciw Indianom, wyciskając po drodze ślady tan wyraźne, to śmierć ich pewna. Znaleźliśmy trop, a wkrótce ujrzemy ich na własne oczy.

Z tymi słowy wskoczył na konia. Ruszyliśmy za śladami naszych znajomych, głęboko przekonani, że zastaniemy ich jako jeńców w rękach posterunku Jumów.

Ponieważ zboczyliśmy z poprzedniej drogi, las ukazał nam się z południowego zachodu, mogliśmy więc przypuszczać, że nikt nas nie spostrzegł. Konie ukryliśmy w gęstwinie leśnej. Playera przywiązano do drzewa. Następnie odezwał się Winnetou do naszego młodego towarzysza:

— Niech mój brat Yuma Shetar zostanie tutaj aż do naszego powrotu. Idziemy wyśledzić Jumów.

Yuma Shetar wyciągnął nóż zza pasa i usiadł przy jeńcu, nie rzekłszy ani słowa.

Winnetou i ja zapuściliśmy się w las. Po chwili Apacz przystanął i zapytał półgłosem:

— Jak mój brat myśli, ilu Jumów obozuje przy stawie?

— Trzech — odpowiedziałem nie namyślając się długo.

— Old Shatterhand ma słuszość. Jest nas dwóch przeciw trzem, uwolnimy pięciu białych prędko i bez trudu.

Nie było w tym nic dziwnego, że wiedzieliśmy tak dokładnie, ilu przeciwników mamy przed sobą. Player doniósł, że widział nas przy ruinach hacjendy, jeden więc z czerwonych odjechał natychmiast, aby przekazać tę wiadomość do Fuente de la Roca. Pozostało czterech. Następnie przybyli biali z Ures i zostali wzięci do niewoli. O tym ważnym wydarzeniu musiano również zawiadomić posterunek przy Fuente. Przy stawie zostało więc tylko trzech Indian. Hacjendero i jego towarzysze obficie zaopatrzyli się w żywność, którą im oczywiście teraz odebrano, a więc rzecz prosta żadnemu z czerwonoskórych nie przyjdzie na myśl trudzić się polowaniem.

Wspinaliśmy się pod gęstymi drzewami tak cicho, że w odległości i kilku łokci nie można było słyszeć naszych kroków. W krótkim czasie dotarliśmy do szczytu wzniesienia, nie było szerokie, a opadało szybko po drugiej stronie Winnetou posuwał się z taką pewnością siebie,

jakby już niejednokrotnie przemierzał tę okolicę. W pewnej chwili odwrócił się ku mnie i podniósł ostrzegawczo palec, aby mi zwrócić uwagę, że odtąd należy poruszać się z jeszcze większą ostrożnością. Położył się i zaczął nasłuchiwać. Zarówno zabiegi Apacza, jak świeży zapach wody upewniły mnie, że jesteśmy tuż-tuż obok stawu.

Przesunawszy się na czworakach, przystanąłem obok Winnetou i mogłem spojrzeć przez najniższe gałęzie krzaków, dotykające prawie ziemi. Pośrodku małej polany leżał wspomniany staw. Rodzime jego źródło było zapewne tak słabe, że woda nie odpływała, tylko wsiąkała z powrotem w porowaty grunt leśny. Miejsce było otoczone z trzech stron krzakami i drzewami, wzdłuż czwartego boku ciągnęła się naturalna droga prowadząca z hacjendy do Fuente. Po przeciwnej stronie źródła, tuż przy drzewach, siedzieli trzej Indianie, a przy nich stali przywiązani do pięciu pni nasi znajomi z Ures. Był to więc widok, którego się spodziewaliśmy.

Czerwoni i biali rozmawiali żywo ze sobą, posługując się mieszaniną wyrazów różnych języków, używaną w tych stronach przez obie rasy jako jedyny środek porozumienia.

Trzej Indianie byli to zwykli wojownicy. Dwaj z nich siedzieli na świeżo obleczonych poduszkach jurysty i z widocznym zadowoleniem połykali delikatesy, w które zaopatrzyła go na drogę małżonka. Jakże ucieszenie wyglądał w swoim uniformie, który nie licował bynajmniej z otoczeniem lasu, łąki i... czerwonoskórych. Trwoga, jak gdyby literami wypisana na jego obliczu, mało odpowiadała zadaniu, którym obarczyła go seniora, wysyłając w dzikie góry Juma. Towarzysze jego również nie grzeszyli wesołością. Wszystkie rzeczy jeńców złożono na jednym miejscu, podział miał nastąpić dopiero później.

Rozmowę prowadził tylko jeden z Indian, zapewne ten, który miał największy zasób wyrazów hiszpańskich. Ze sposobu, w jaki się nimi posługiwał, wynikało, że ma szczerą ochotę zapędzić białym duszę w pięty. Właśnie, zaledwie ułożyłem się wygodnie, dobiegły mnie jego słowa:

— Nietrudno poznać, że jesteście bardzo dzielnymi wojownikami. Słusznie postąpiliście nie broniąc się wcale. Teraz pożyjecie sobie jeszcze kilka dni, dopóki nie zetniemy wam skóry pasami, aby z niej skrócić rzemienie.

— Zapłacę wam okup, jeśli mi zwrócicie wolność — powiedział z trwogą hacjendero.

— Czerwoni mężowie nie cenią pieniędzy. Cały kraj do nich należy, wszystko, co wy macie, nam tylko zrabowaliście. Nie nęć nas podarunki, gdyż sami odbierzemy naszą własność, a wy musicie umrzeć!

— Ja także zapłacę okup! — zawołał juriskonsulto. — Dam sto piastrów!

Juma zaśmiał się tylko.

— Dwieście piastrów!

— Jesteś najbogatszym człowiekiem w Ures i chcesz dać tak mało?

— Więc dam trzysta, pięćset piastrów, najłaskawszy panie!

— Słyszałeś już, że nie chcemy pieniędzy. Zbyteczny to dla ciężar. Musicie umrzeć. Posłaniec pojechał. Bystra Ryba przybędzie jeszcze dzisiaj, żeby postanowić, jaką śmiercią macie zginąć.

W tej chwili hacjenderowi zabłysła pewna myśl, którą też natychmiast wyłożył:

— Jeśli nam wyrządzą choćby najmniejszą krzywdę, śmierć was czeka. Mamy potężnych przyjaciół, oni nas pomszczą!

— Kpimy sobie z waszych przyjaciół. Nie ma białego, którego by obawiał się wojownik Juma!

— Jest jeden, którego boicie się wszyscy, mianowicie Old Shatterhand!

Czerwony lekceważąco poruszył ręką i odparł:

— Old Shatterhand jest białym psem, którego zabilibyśmy uderzeniem w pysk, gdyby się odważył przyjść do nas. Ale on nie przyjdzie, nie ma go w tej okolicy.

— Mylisz się. Był w mojej hacjendzie, a potem rozmawiałem z w Ures. Zamierza udać się do Fuente i do Almaden, aby uwolnić białych robotników.

Te słowa zastanowiły Indianina. Zdawało się, że chce przewiercić hacjendera spojrzeniem, gdy rzekł niedowierzająco:

— Kłamiesz. Usiłujesz nas zastraszyć, ale Juma nie zna obawy!

— Ja nie kłamię! Senior juriskonsulto, niech pan potwierdzi moje słowa!

Wezwany, widząc w tym jedyną nadzieję, podjął spieszenie:

— Tak jest, don Timoteo mówi prawdę, najszanowniejszy pan może w to wierzyć. I Old Shatterhand, i Winnetou byli u mnie.

Wcale nie było mi na rękę, że ci ludzie opowiadali o nas. W innych okolicznościach, gdybyśmy byli jeszcze daleko, mogli zarówno sobie, jak nam niepowetowaną wyrządzić szkodę, świadczyło o tym wrażenie, jakie wywołały nasze imiona na Indianinie.

— Uff! Uff! — wykrzyknął Juma, zrywając się z miejsca. — Winnetou był u was i Old Shatterhand także?

— Tak jest! Old Shatterhand był nawet dwa razy u mnie, najszanowniejszy panie. Ci obydwaj najślawniejsi ludzie wyruszyli za nami, obierając drogę przez hacjendę del Arroyo.

Wtedy czerwonoskóry wyciągnął ręce i zawołał do swoich towarzyszy:

— Czy moi czerwoni bracia słyszeli? Old Shatterhand i Winnetou są razem.

Nagle Juma umilkł i odwrócił się przestraszony. Tego, co teraz stało się, nie spodziewał się z pewnością. Ledwie przebrzmiały jego nie słowa, zerwał się naraz Winnetou, przyskoczył doń błyskawicznie, położył mu ręką na ramieniu i rzekł swoim głosem spokojnym, a przecież tak władczy:

— Więc Juma kłamał, gdy mówił przed chwilą, że nie zna trwogi! Chciał zabić Old Shatterhanda jak psa uderzeniem w pysk, a teraz gdy posłyszał, że ten biały wojownik jest gdzieś w pobliżu, czym prędzej szuka ukrycia, przyznaje, że Old Shatterhand i Winnetou znaczą więcej niż stu wojowników! Powiadam wam: żaden Juma nie dotknie Old Shatterhanda, bo padnie zdruzgotany, zanim się zdoła zamierzyć!

Tak prosta, tak naturalna, a przecież tak imponująca była wielkość Apacza. W rękę nie miał żadnej broni. Srebrna rusznica wisiała na plecach, nóż tkwił nie tknięty za pasem, ale stał przed Jumą tak dumnie wyprostowany, patrzył mu w twarz tak przeszywającym wzrokiem i przygniatał mu ramię w tak potężnym uścisku, że zaskoczony Indianin stał bez ruchu, jakby oniemiały, nie mogąc się oprzeć sile, którą tchnęła postać Winnetou. Obydwaj pozostali Jumowie, zerwawszy się, wnet przyrosli do ziemi ze zdziwienia. Przy sobie mieli tylko noże, a dzidy, łuki i strzały leżały na uboczu; broń ta na razie była bezużyteczna. Wtem pierwszy Juma nabrał odwagi, cofnął się o krok i zapytał:

— Nie znany czerwony wojownik! Kto... kto... kto?

Chciał zapewne zapytać, kim jest ów obcy Indianin, gdy słowa uwięzły mu w gardle, przecież nie otrząsnął się jeszcze ze strachu. Ale pytanie jego okazało się zbyteczne, albowiem hacjendero zobaczywszy Apacza zawołał z nieopisaną radością:

— Winnetou, tak, to Winnetou! Chwała Bogu, jesteśmy ocaleni!

— Winn... Winn... Winnetou? — zapytał Juma urywanym głosem. Naraz się otrząsnął, zrozumiał sytuację i krzyknął:

— Uff! Uff! Apacz jest tutaj? Uff! Chwycie za broń, wojownicy, gdyż inaczej...

Mówiąc to sięgnął po nóż, towarzysze jego byli mniej przytomni, imię Winnetou oszołomiło ich do reszty. Apacz jednym kopnięciem wrzucił włócznię i strzały do wody i huknął na przywódcę:

— Milcz, Juma, i nie ruszaj się! Tam oto stoi Old Shatterhand! Może spróbujesz uderzyć go w twarz?

Mnie wydało się to wyrażenie śmieszne, Apacza jednak rozgniewało naprawdę. Stąd jego słowa. Wszedłem zza krzaków i lufy rewolwerów skierowałem na czerwonoskórych.

— To... to jest... Old Shatterhand? — zapytał Juma, zwracając ku mnie osłupiałe oczy.

On jeden spośród tych ludzi zdolny był do szybkiego i stanowczego oporu. Jego należało przede wszystkim unieszkodliwić. Podszedłem Więc bliżej.

— Tak, ja jestem Old Shatterhand, jak to zaraz poczujesz — to mówiąc uderzyłem go ręką rewolweru w głowę, padł na ziemię i legł bez ruchu. Wtedy huknąłem na jego towarzyszy:

— Odrzućcie noże, bo dostaniecie kulą w łeb!

Posłuchali natychmiast. Było to ich pierwsze poruszenie, odkąd zerwali się z ziemi po wystąpieniu Winnetou.

— Połóżcie się w trawie.

Usłuchali szybko, nie próbując oporu, Rozwiązawszy białych, poleciłem im tymi samymi rzemieniami skrępować Indian. Można sobie wyobrazić, jak chętnie to uczynili. Odważny juriskonsulto rzucił się na ogłuszonego przeze mnie Jumą, gdyż ten był najmniej niebezpieczny. Owijając rzemieniami jego ręce i nogi z gorliwością kata wołał:

— Tak, musi być związany, skrępowany, zabity jak wściekły pies, ten drab, ten łotr! Przywiozę go do Ures w powrozach, w łańcuchach, żeby wszyscy widzieli, iż wyszedłem zwycięsko z rycerskiej walki z najdzikszyimi bestiami gór. Powracam do domu jako zwycięzca; kto potrafi mi się oprzeć!

Ta chępliwość, choć w gruncie śmieszna, złościła mnie jednak. Wszak ten człowiek prawił o swojej sławie, dla wybawców nie mając ani jednego uprzejmego słowa. Dlatego ofuknąłem go gniewnie:

— Milcz, samochwalco! Kto pokonał czerwonych: pan czy ja? Niech senior raczej łaskawie podziękować mi za pomoc!

Na to urzędnik wyprostował się i odparł na poły z urazą, na poły z wyrzutem:

— Senior, ja jestem... Zresztą pan wie przecież, kim jestem. Uważam, że spełnił pan jedynie swoją powinność. Uznaję to skwapliwie, ale dziękować seniorowi nie mam potrzeby. Nieprawdaż, don Timoteo?

— Bardzo słusznie! — przytaknął szlachetny hacjendero. — Dostyc mamy odwagi i doświadczenia, aby obejść się bez ludzi, którzy nieustannie i natrętnie wsadzają nos w nie swoje sprawy!

Tego było rzeczywiście za wiele! Odruchowo zacisnąłem pięści. Ile trudu poniosłem dla tego nadętego „don”! Musiałem zebrać całą siłę woli, żeby odejść spokojnie, nie wymierzwszy mu należnej zapłaty. Jednakże znalazł się ktoś, kto na tę nikczemność nie został dłużny w odpowiedzi. Zaledwie bowiem ostatnie słowa przebrzmiały, odwracając się od hacjendera, usłyszałem za sobą dwa głucho uderzenia. Obróciwszy się szybko z powrotem zobaczyłem Pruchilla i urzędnika, leżących bez przytomności na ziemi. Winnetou powalił ich kolbą swojej rusznicy i zamierzał się właśnie na policjantów, którzy przestraszeni jego błyskawicznym odruchem nie myśleli o oporze ani o ucieczce,

— Stój, tych nie! — zawołałem, chwytając Apacza za rękę. — Oni temu nie winni!

Winnetou opuścił podniesioną już do ciosu strzelbę i rzekł stanowczo, ciskając z oczu błyskawicę gniewu:

— Dobrze, jeśli mój brat tak chce. Oszczędzę ich, ale pod warunkiem, że pozwolą się przywiązać z powrotem do drzew. Inaczej roztrzaskam im głowy!

Równocześnie stanął pomiędzy nimi a ładunkiem rzeczy odebranych jeńcom, odcinając policjantów od karabinów. Tak rozgniewanego jak w tej chwili nie widziałem go jeszcze nigdy. Nie wiem, czy pod wpływem groźnej postawy Apacza, czy też pod wrażeniem wypadków, które się rozegrały w ostatnich dziesięciu minutach, jeden z policjantów wystąpił naprzód, wyciągnął do mnie obie ręce i powiedział:

— Tak jest, zwiążcie nas, senior, nie będziemy się sprzeciwiać! Wiem, że nie wyrządzą nam krzywdy, że chcecie tylko pokazać tym obydwu niewdzięcznym seniorom, z kim mają

do czynienia. Pragniemy udowodnić panu naszą wdzięczność przez to, że wykonamy wszystko, czego senior od nas zażąda.

— Dobrze! Muszę was związać ze względu na waszego przełożonego. Gdyby wezwał was, abyście go uwolnili, musielibyście posłuchać jego rozkazu, a ja znowu nie zgodziłbym się na to. Zresztą, będziecie wkrótce wolni.

Związałem ich jak również obydwu ogłuszonych seniorów. Winnetou poszedł po naszego towarzysza, wkrótce wrócił, prowadząc konie i Playera.

Teraz Yuma Shetar otrzymał od nas dokładne wskazówki, jak się ma zachować wobec jeńców; miał bowiem pozostać przy nich jako strażnik, podczas gdy my wzięliśmy na siebie schwywanie dwóch pozostałych Jumów, którzy służyli za posłańców do Fuente de la Roca. Powrotu ich należało się spodziewać w każdej chwili. Wyruszyliśmy naprzeciw nich natychmiast, nie chcąc dopuścić, aby się zanadto zbliżyli do obozu. W tym wypadku mogliby nas wcześniej spostrzec niż my ich i uciec, być może, raniąc którego z nas z zasadzki.

Naturalnie, trzymaliśmy się drogi, którą musieli jechać Indianie. Poszliśmy pieszo, nie biorąc strzelb ze sobą, były nam bowiem zbyt ciężkie.

Drogę, o której wspomniałem, wyznaczał wąski pas łąki, biegnący w poprzek gęstwiny i z rzadka tylko porośnięty drzewami. Doszedłszy do skraju lasu usiedliśmy pod osłoną ostatnich krzaków, gdyż odtąd zaczynała się otwarta preria, na której nie było ukrycia. Wieczór zapadał, więc raczej na słuch, aniżeli na wzrok zdać się należało. Czekaliśmy długo w milczeniu, aż na koniec odezwał się Winnetou, który nie zamienił ze mną jeszcze ani słowa od czasu, jak mu przeszkodziłem ogłuszyć policjantów.

— Czy mój brat Old Shatterhand gniewa się na mnie, że ukarałem te dwie blade twarze?

— Nie — odpowiedziałem. — Wódz Apaczów postąpił zupełnie po mojej myśli.

— Tacy mogą się trafić tylko między białymi. Indianin, nawet gdyby dotychczas był moim śmiertelnym wrogiem, ofiarowałby przyjaźń i swoje życie, gdybym go ocalił z takiego niebezpieczeństwa. Blade twarze mają tylko słowa piękne, czyny ich są smutnym świadectwem, zrobimy z tymi niewdzięcznikami?

— Niech Winnetou postanowi.

Ponieważ Apacz nie odrzekł nic, więc ja także milczałem. Tymczasem ściemniło się zupełnie. Od tej chwili musieliśmy bacznie nasłuchiwać w kierunku łąki. Posłańcy wyruszyli wprawdzie pojedynczo w dłuższym odstępie czasu, spodziewaliśmy się jednak, że powrócą razem. Przypuszczenie to sprawdziło się niebawem. Po pewnym usłyszeliśmy odgłos kopyt, a pochodził od dwóch koni jadących siebie. Porzuciliśmy kryjówkę, aby zbliżyć się do drogi.

— Ty bliższego, a ja z drugiej strony — szepnąłem do Winnetou i przeskoczyłem na przeciwny skraj wąziutkiej łąki.

Indianie nadjechali i chcieli nas minąć, nie spostrzegając nic podejrzanego. Wierzchowce miały bystrzejsze zmysły, zwierzyły ludzi, zaczęły parskać, wzbraniały się iść dalej. Winnetou lub ja na miejscu Indian popędzilibyśmy natychmiast z powrotem, aby później, podkradłszy się pieszo, zbadać owe podejrzone miejsce. Tymczasem dwaj czerwoni, czy to przez nieostrożność, czy brak doświadczenia, czy wreszcie dlatego, że zbyt bezpiecznie czuli się w tej odludnej okolicy, opór wierzchowców gotowi byli przypisać raczej bliskości dzikiego zwierzęcia. Więc głośnymi okrzykami usiłowali przepędzić domniemanego drapieżnika. Cofnąłem się o kilka kroków poza Indianina, którego miałem obezwładnić, rozpedziłem się i wskoczyłem z tyłu na jego konia. Zaledwie usiadłem, lewą ręką ścisnąłem mu gardło, prawą wyrwałem uzdę z ręki. Czerwony umilkł i w pierwszej chwili zapomniał o obronie, a gdy się opamiętał, było już za późno. Wysadziłem go z siodła i zająwszy jego miejsce położyłem przed sobą jeźdźca ani na chwilę nie wypuszczając krtani Jumy z uścisku. Za zbyt ciężkie uważam nadmieniać, że i Winnetou nie przespał sprawy. Spieliśmy konie ostrogami i galopowaliśmy ku obozowi. Co prawda, w mroku nie była to jazda bezpieczna,

przy znacznej jednak szybkości nie mogli się czerwonoskórzy bronić skutecznie, a i nasz wysiłek nie trwał długo.

Mimbrenio okazał się domyślny i rozpałił ogień, który nas zawiódł wprost do obozowiska. Gdy zeskoczyliśmy z koni, nie wypuszczając jeńców z rąk, nasz młody towarzysz skrepował ich pośpiesznie. Położenie było osobliwe. My mieliśmy jedenastu więźniów: pięciu Jumów, Playera, hacjendera, dyrektora policji z Ures i jego trzech podwładnych — a jeszcze chcieliśmy unieszkodliwić przynajmniej owych dwudziestu Indian obozujących przy Fuente de la Roca.

Obydwaj Jumowie, ostatnio przez nas pochwyteni, mogli teraz swobodnie odetchnąć, z czego też natychmiast skorzystali, obrzucając obelgami i żądając bezzwłocznego uwolnienia.

W innych okolicznościach z pewnością nie otrzymaliby odpowiedzi jednak z powodów, które się zaraz wyjaśnią, chciałem poznać ich imiona, a także imię przynajmniej jednego z owych trzech Jumów poprzednio przez nas pokonanych. Dlatego odpowiedziałem temu, który gardłował najdłużej:

— Przypuszczasz, jak się zdaje, że usta są tylko po to, aby mówić, człowiek rozumny potrafi ich użyć do milczenia.

Winnetou rzucił mi zdziwione spojrzenie, choć nie rzekł nic, domyślając się słusznie, że skoro zniżam się do odpowiedzi, nie czynię tego bez powodu. Jeniec zaś odparł z gniewem:

— Jesteśmy wojownikami Jumów i żyjemy w zgodzie z białymi. Jakim więc prawem odważacie się nas napadać?!

— Każdy może twierdzić, że jest wojownikiem, ale nie każdy potrafi dowieść prawdy swoich słów. Ciekaw jestem, jak brzmi twój sławne imię?

— Nie szydź! Przed moim imieniem drżą wszyscy nieprzyjaciele. Nazywam się Czarny Sęp.

— A twoi towarzysze?

Jeniec wymienił ich imiona i dodał:

— Są oni równie sławni, jak ja. Będziesz gorzko żałować, że się na nas porwałeś.

— Twoja gęba większa niż czyny. Nie słyszałem jeszcze nigdy waszych imion, a gdybyście byli rzeczywiście tak sławnymi mężami, z jakich się podajecie, nie bylibyście wpadli tak głupio w nasze ręce.

— Było już ciemno, nie mogliśmy was widzieć, a ponieważ żyjemy w zgodzie ze wszystkimi białymi i czerwonymi mężami, więc nie podejrzewaliśmy nikogo o wrogie względem nas zamiary. Żądam natychmiastowego uwolnienia!

— Milcz! — zawołał Winnetou i zwrócił się do mnie.

— Old Shatterhand zniżył się do rozmowy z tym Jumą. Z jakiego powodu mój brat nie zbył go milczeniem?

— Nakazała mi to roztropność. Chciałem poznać imiona Jumów.

— Jaką korzyść mogą ci przynieść?

— Chcę się przekonać, co odpowiedział Bystra Ryba na doręczone mu poselstwo. Dla nas to wiadomość bardzo ważna. Ponieważ wysłańcy nie zaradzą nam jej ani dobrowolnie, ani pod przymusem, więc musimy uciec się do podstępu.

Apacz spojrział na mnie bystro i ze skupieniem, wszakże tym razem myśli moich odgadnąć nie mógł.

— Wódz Apaczów rozumie mowę Jumów, cieszyłbym się, gdyby językiem ich tak władał, żeby mógł ujść za rodowitego wojownika tego szczepu.

— Winnetou zna ten język jak rodowity Juma.

— To bardzo dobrze. Kazałem umyślnie położyć obydwu posłańców z daleka od tamtych trzech Jumów, aby nie mogli się nawzajem porozumieć. Wódz Apaczów słyszał ich imiona. Jeden z posłańców nazywa się Czarny Sęp, a jeden spośród tych trzech poprzednio schwytanych — Ciemna Chmura. Wybieram jego, ponieważ wydaje mi się najmniej sprytny,

a zatem najodpowiedniejszy do naszych zamiarów. Otóż umyśliłem plan następujący: nie będziemy już ognia podsycać, a pozwolimy mu zgasnąć. Skoro okryją nas ciemności, zakradnie się Winnetou do Czarnego Sępa, poda się za Ciemną Chmurę i...

— Uff! — przerwał Apacz. — Teraz rozumiem mojego brata. Jestem Ciemna Chmura i udało mi się uwolnić z więzów?

— Tak jest.

— Wspaniały pomysł. Naturalnie mam zamiar rozwiązać moich czerwonych braci, żeby mogli także uciec. Podczas gdy będę usiłował uwolnić Czarnego Sępa, opowie mi, co postanowił Bystra Ryba!

— Tak jest, oczywiście tylko wtedy, gdy cię nie pozna.

— Pewien jestem, że mnie weźmie za Ciemną Chmurę, zwłaszcza, że będę musiał szeptać, wtedy głosy wszystkich ludzi brzmią jednakowo.

Wobec tego nie dokładaliśmy już szczap do ogniska. Winnetou i ja wyciągnęliśmy się na trawie i po kilku minutach ogarnął nas sen. Yuma Shetar objął pierwszą straż i usiadł, odwracając się plecami do Ciemnej Chmury. Skoro czuwał chłopiec, łatwiej w mniemaniu Indianina mógł się uwolnić jeden z jeńców, niż gdybym ja albo Winnetou pełnił służbę wartownika. Mimbrenio zabrał się bardzo zręcznie do rzeczy. Jak gdyby — zmorzony wysiłkami dnia położył się również, oparł łokieć na ziemi, dłoń podłożył pod głowę i po kilkakrotnych pozornych próbach odpędzania snu zamknął oczy.

Zanim jeszcze ogień wygasł do cna, rozwarłem nieco powieki i spostrzegłem, że czerwonoskórzy przenikliwie obserwowali naszego strażnika, rzucając sobie przy tym wiele znaczące spojrzenia. Nie uszło również mojej uwagi, że policjanci szeptali z urzędnikiem i hacjenderem. Zrozumieli od dawna moje postępowanie względem tych ostatnich i zapewne dawali im teraz dobrą radę — jedyną, jaka w obecnych warunkach mogła ich uratować. Tymczasem płomień malał coraz bardziej. Indianie nie omieszkali skorzystać ze sposobności. Wyciągali się i wili w swoich więzach, usiłując je rozerwać. Jeszcze przez chwilę żarzyło się kilka gałązek, potem wygasły ostatnie szczapy i nastąpiła ciemność tak gęsta, że choć oko wykol.

Mogło się zdawać, że nasz plan był ryzykowny, nawet niebezpieczny. Jumowie byli wprawdzie skrepowani, ale nie przywiązani do drzew. Pod osłoną ciemności mogli się oddalić, tocząc po ziemi, a następnie rozplatać sobie nawzajem więzy zębami. Tego jednak nie obawiałem się, bo ciemność nie miała trwać długo, a Winnetou, znajdując się przy Czarnym Sępie, musiałby natychmiast zauważyć wszelkie poruszenie wśród czerwonoskórzych.

Apacz trąciwszy mnie na znak, że odchodzi, dopełnił tak zręcznie, że nawet ja nie słyszałem najmniejszego szmeru, jakkolwiek leżałem tuż obok niego. Odłożył wszystko, co miał przy sobie, i zachowując największą ostrożność znalazł się po chwila obok Czarnego Sępa. Lekko go ręką dotknąwszy, szepnął:

— Cicho! Niech się Czarny Sęp nie przestraszy i nie zdradzi żadnym ruchem ani okrzykiem!

Czerwonego zaskoczyły te niespodziewane słowa, upłynęła bowiem długa chwila, zanim zapytał szeptem:

— Kto tu?

— Ciemna Chmura.

Czy Juma da się zwieść czy nie? Winnetou oczekiwał wyniku z napięciem. Wtem jeniec szepnął:

— Poczulem rękę mojego brata. Czy wolna jest od więzów?

— Obie moje ręce są wolne. Ciemna Chmura nie był mocno związany i uwolnił się bez trudu.

— Niech więc Ciemna Chmura rozwiąże prędko i mnie! Te psy śpią. Napadniemy na nich i zabijemy!

Winnetou zaczął pozornie rozplątywać rzemienie więźnia, pytając:

— Czy nie byłoby lepiej zostawić ich przy życiu? Bystra Ryba cieszyłby się, gdyby ich ujrzał schwytyanych żywcem.

— Ciemna Chmura nie myśli roztropnie. Ludzi takich, jak Old Shatterhand i Winnetou powinien zabić każdy, komu życie drogie. Inaczej wisiałoby nad nami ciągle niebezpieczeństwo. Bystra Ryba nie mógł jechać natychmiast, przybędzie tutaj przed południem z pięcioma wojownikami, żeby zabrać białych niewolników. Ale dlaczego Ciemna Chmura mitręży? Przecież węzeł rozwiązać nietrudno!

— Węzeł jest rozwiązany, ale inny, nie ten, o którym myśli Sęp.

Po tych słowach Winnetou cofnął się szybko i powróciwszy do położył się obok mnie, udając, że śpi. Mimbrenio rozпалиł ogień na nowo i czuwał nadal.

Przez szpary powiek obserwowaliśmy z wielkim zadowoleniem, jakimi zdziwionymi oczami spoglądał Czarny Sęp na Ciemną Chmurę. Widział przecież teraz, że towarzysz jego leży skrepowany. To musiało nasunąć podejrzenia. Po chwili jednak oblicze jego rozjaśniło się. Pewien był, że trafił w sedno zagadki: oto Mimbrenio obudził się i poruszył, a Ciemna Chmura posłyszawszy to, wrócił czym prędzej na swoje miejsce, założył sobie więzy z powrotem, żeby zmylić czujność strażnika.

Po krótkim czasie usnąłem. Skoro wypadła moja kolej czuwania, zbudził mnie Winnetou. Pierwsze spojrzenie skierowałem na Czarnego Sępa. Udawał, że śpi, w rzeczywistości jednak czekał jeszcze na Chmurę. Usiadłem tak, jak poprzednio Mimbrenio, to znaczy plecami do Chmury. Sęp otwierał od czasu do czasu oczy i ciskał wściekle spojrzenia na swego towarzysza, którego ospałość już od dawna nie pomieścić mu się w głowie.

Skoro nastał dzień, zbudziłem Winnetou i Mimbrenia. Czarny Sęp nie mógł już dłużej ukryć wściekłości. Rysy miał wykrzywione, z oczu strzelały błyskawice gniewu. Winnetou zauważywszy to, przystąpił do niego i rzekł z lekkim uśmiechem:

— To byłem ja.

— Ty... ty to byłeś?! — zawołał Czarny Sęp z bezgranicznym zdziwieniem. — To niemożliwe! Przecież poznałem Ciemną Chmurę po głosie!

— Jesteś więc nie tylko ślepy, ale i głuchy, bo nie jego, tylko mój głos słyszałeś. Zdradziłeś mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

— Czy słyszycie! — zawołał Ciemna Chmura. — On uważał wodza Apaczów za mnie i wydał mu nasze tajemnice. Hańba mu! Szczep powinien go wygnać!

— Zarówno ty, jak on nie będziecie już należeli do szczepu Jumów, bo zanim stąd odjedziemy, poczęstujemy was kulami. Wtedy słońce zaświeci w wasze otwarte czaszki i przekona się, że nie było w nich nigdy rozumu!

Groźba tak przstraszyła Jumów, że umilkli natychmiast, ale za to otwarła usta komuś innemu: mianowicie, przemówił juriskonsulto. Policjanci wyjaśnili bohaterowi sytuację. Wiedział, że chcemy zastrzelić Indian i odjechać, zostawiając jego i towarzyszy skrepowanych. Posłyszawszy więc ostatnie słowa Winnetou, uznał, że zbliża się chwila krytyczna i odezwał do mnie błagalnym głosem:

— Senior Shatterhand, czy czerwoni zostaną naprawdę rozstrzelani?

— Tak jest — odpowiedziałem. — W przeciagu kwadransa. Potem odjedziemy.

— Ale przedtem uwolnicie nas!

— Nie.

— Ale niech pan pomyśli, najszanowniejszy panie, że my przez to zginiemy!

— A pan jak czynił? Poza tym wypraszam sobie tego „najszanowniejszego”. Rezygnuję z tytułu, jaki dawaliście już poprzednio Jumom. Zdaje się, że uprzejmy bywa pan tylko wtedy, gdy włosy panu stają dęba.

— Nie, nie! Umiem być uprzejmy i będę uprzejmy. Jeśli senior nas uwolni, nie usłyszysz pan już ani jednego niemiłego słowa. Przyznaję, że byliśmy niewdzięczni, że bez pana zginęlibyśmy marnie, hacjendero doszedł także do tego przekonania. Nieprawdaż, don Timoteo?

— Tak jest, senior Shatterhand — odpowiedział zapytany. — Przez tę noc wiele przemyślałem i teraz wiem, że gdybym pana usłuchał, nie spadłoby na mnie tak wielkie nieszczęście.

Prosił hacjendero i prosił urzędnik. Skruszyła ich noc spędzona w więzach w postawie stojącej. Tego właśnie pragnąłem. Zapytałem więc tonem bardziej przyjacielskim niż dotychczas:

— Cóż więc zrobicie, skoro was uwolnię? Powróćcie do Ures i zaskarżcie mnie?

— Nie, nie! — odparł hacjendero. — Przyjechałem tutaj, że schwycić Meltona i odebrać swoje mienie. Tego w Ures nie osiągnę. Jeśli pan będzie tak dobry i rozwiąże nas, pojedziemy z panem do Almaden Alto, żeby tam ukarać oszustów.

— Tak jest, pojedziemy z panem — potwierdził juriskonsulto. Pociągniemy tych łotrów do odpowiedzialności i dokonamy wielkich czynów walcząc z wojownikami Jumów.

— Jeśli tak, to wolałbym was zostawić, gdyż jestem przekonany, że bez was dostaniemy się prędzej i łatwiej do celu. Przecież wy będziecie ciągle tylko świeże głupstwa popełniać.

— Nie, nie! Przysięgamy panu, że będziemy postępować mądrze jak węże i nie uczynimy nic, nie zapytawszy pana o pozwolenie.

— Jeśli macie silne postanowienie dotrzymać tego przysiężenia, że dam się uprosić, przedtem jednak musicie podpisać dokument tej treści, że nie macie najmniejszego powodu robić wyrzutów mnie i Winnetou i że jesteście zobowiązani do wdzięczności względem nas jako ludzi, którzy wybawili was od śmierci.

— Zgadząmy się.

— Następnie musicie się zwrócić z prośbą do Winnetou. On ma na równi ze mną prawo postanowić, czy macie odzyskać wolność.

Jeńcy wykonali polecenie, Winnetou jednak nie odpowiedział im wprost, lecz zwrócił się do mnie:

— Błede twarze są jak pchły, które nie przynoszą nikomu pożytku, ale i szkodzić nie potrafią. Dokuczają tylko. Jeśli Old Shatterhand wlecze ze sobą takie robactwo, to jego rzecz i jego wola. Wódz Apaczów nie ma nic przeciwko temu.

Na skutek tej odpowiedzi rozwiązałem im rzemienie. Teraz okazało się, że czuli naprawdę trwogę, gdyż chwycili mnie za ręce i zaczęli dziękować. Szczęściem przeszkodził im w tym ktoś, kogo się tu najmniej spodziewałem. Mianowicie, dokładnie w tym samym miejscu, w doszliśmy wczoraj do stawu, rozwarły się zarośla i ukazał się — młodszy Mimbrenio, którego posłałem do Indian pilnujących trzód hacjendera z rozkazem przyprowadzenia mi trzydziestu wojowników. Ponieważ wrócił tak prędko, więc musiało wydarzyć się tam coś niedobrego. Przybyły podał rękę swojemu bratu, a potem zwrócił się do nas ze słowami:

— Moi wielcy bracia zostawili tak wyraźny trop, że mogłem iść za nimi szybko i bez trudu. Niestety, nie wszystko stało się tak, jak sobie Old Shatterhand życzył. Nasi wojownicy prowadzący trzody zostali napadnięci przez Jumów.

— Co?! A więc w tej okolicy grasują całe bandy tych czerwonoskórych. Naprzód był Vete-ya ze swoją gromadą, potem owych trzystu w Almaden, a teraz trzecia trupa, która napadła na trzody. To dziwne!

— Old Shatterhand zdziwi się jeszcze bardziej, skoro powiem, że na czele tego oddziału stał Vete-ya.

— Vete-ya? — zapytałem prawie z przestachem. — Ten przecież jęczy w niewoli u twego ojca, który ma go razem z innymi jeńcami zawieść do pastwisk Mimbreniów!

— Zapewne udało mu się zbiec. Teraz napadł na trzody.

— Sądę, że wasi wojownicy stawiali opór?

— Tylko krótki czas. Vete-ya miał ze sobą kilkuset wojowników. Kilku Mimbreniów zostało zabitych, a wielu trafionych, widząc, że opór nie zda się na nic, uciekli. Kierunek obrali ku hacjendzie, ponieważ wiedzieli, że w tej okolicy znajdują Old Shatterhanda i Winnetou. Dlatego przybyli tam znacznie prędzej, niż mój biały brat się spodziewał. Spotkałem ich już przy lesie Wielkiego Dębu Życia. Obecnie czekają u stóp tego wzniesienia, a ja poszedłem naprzód na zwiady, ponieważ domyśliłem się, że w tym lesie czuwa pierwszy posterunek naszych nieprzyjaciół.

— Nie wiadomo wam zatem, w jaki sposób uwolnił się Vete-ya?

— Nie.

— Wobec tego powinniście byli posłać kilku ludzi, żeby się dowiedzieli, czy ojcu twemu i wojownikom nie grozi przypadkiem niebezpieczeństwo i czy nie potrzebują pomocy.

— Tak właśnie postąpiliśmy. Dwaj pojechali odszukać mego ojca, a dwóch innych posłałem do naszych pastwisk z wezwaniem, żeby natychmiast dwustu Mimbreniów wyruszyło za nami do Almaden Alto. Czy powinniśmy byli uczynić coś ponadto?

— Nie. Ze względu na okoliczności i konieczny pośpiech uczyniliście dosyć. Sprowadź swoich wojowników. Przychodźcie jak na zawołanie, chociaż zasmuca nas powód tej szybkości.

Mimbrenio odszedł. Żaden z naszych jeńców nie słyszał ani słowa z tej rozmowy, gdyż zachowując ostrożność, staliśmy w odpowiednim od nich oddaleniu. Teraz, skoro zostaliśmy sami, odezwał się Winnetou cicho, lecz surowo:

— Czy mój brat Old Shatterhand mógł się tego spodziewać? Jak mógł Nalgu Mokuszi do tego dopuścić!

— Rzeczywiście! Jak strasznie rozgniewał się na myśl, że ja chcę uwolnić Vete-ya! A teraz oto pozwolił mu uciec, mając do dyspozycji przeszło stu wojowników.

— Może nie tylko on uszedł.

— Tak, jest nawet prawdopodobne, że wszyscy jeńcy zdołali się uwolnić. Zapewne większa liczba Jumów napadła na Mimbreniów i jeńcy zbiegli w czasie walki.

— Nalgu Mokuszi powinien był raczej zabić Vete-ya niż pozwolić na ucieczkę! Zapewne niezadługo zobaczymy tego niebezpiecznego przeciwnika. Wódz Jumów może się domyślić, dokąd pojechaliśmy, i albo uda się za nami, żeby nas doścignąć, albo obierze najkrótszą drogę wprost do Almaden Alto, żeby przyprowadzić posiłki obozującym tam Jumom. Ponieważ jest nas mało, więc starajmy się, go uprzedzić. Każdy z nas musi starczyć za dziesięciu, a co się nie da zdobyć przemocą, musi dokonać podstęp.

W tej chwili nadeszli Mimbreniowie. Było ich czterdziestu. Kilku rannych. Pozdrowili nas w milczeniu i na żądanie nasze opowiedzieli przebieg walki. Stracili sześciu ludzi. Widząc przewagę nieprzyjaciół powiedzieli sobie, że przyniosą mi więcej korzyści, gdy przybędą w znacznej liczbie, niż gdyby miały dotrzeć do mnie tylko niedobitki. Wobec tego uciekli i skierowali się ku hacjendzie. Tam spotkali syna Nalgu Mokuszi.

Chociaż czas naglił, musieliśmy jeszcze zaczekać na przybycie Bystrej Ryby i jego pięciu ludzi. Należało ich schwytać. Nie czekaliśmy długo. Już około dziewiątej przed południem przybiegł nasz młody towarzysz z informacją, że spostrzegł sześciu jeźdźców. Liczba zgadzała się, wobec tego wziąłem piętnastu Mimbreniów, aby przygotować zasadzkę. Mieliśmy przewagę tak znaczną, że o oporze nie było mowy. Przestraszony wywołany niespodziewanym napadem miał dokonać reszty. Jumowie zostali ściągnięci z koni i rozbrojeni, zanim się zorientowali w położeniu. Skrępowanych zaprowadziliśmy nad staw, gdzie nasi poprzedni jeńcy podnieśli wycie wściekłości i rozpaczy na ich widok.

Bystra Ryba znał Winnetou, toteż na widok Apacza zawołał przerażony:

— Uff! Wódz Apaczów! Przecież powiedziano mi, że znajduje się w hacjendzie del Arroyo!

Winnetou odpowiedział z ironiczną uprzejmością:

— Czy Bystra Ryba sądzi, że Wódz Apaczów został rolnikiem lub hodowcą bydła, że zamieszkał na zawsze w hacjendzie? Słyszałem, iż zostałeś zawiadomiony o mojej obecności i że chcesz mnie widzieć. Ponieważ jednak jesteś tak sławnym wojownikiem, więc uważałem swój obowiązek oszczędzić ci dalekiej drogi i dlatego wyjechałem na twoje spotkanie. Przy tej sposobności możesz poznać mego brata Old Shatterhanda, który tu stoi obok mnie.

— To... jest... Old... Shat... ter... hand?! On jest przecież w niewoli u Vete-ya, naszego najwyższego wodza!

— Jak widzisz, jestem wolny — odpowiedziałem. — Vete-ya zasługuje na swoje imię w zupełności, gęba jego wielka i mowa brzmi dumnie, ale Old Shatterhanda nie potrafił zatrzymać ani on, ani jego wojownicy. Uciekłem, a potem wziąłem go do niewoli!

Oczywiście, nie uważałem za stosowne mówić mu, że Vete-ya zdołał się uwolnić. W odpowiedzi na moje słowa jeniec zapytał:

— Nasz wódz w niewoli? Gdzie się znajduje?

— W rękach Nalgu Mokaszi, waszego śmiertelnego wroga, który poprowadzi jego i wszystkich wojowników Jumów przez nas schwytanych do pastwisk Mimbreniów, gdzie umrą przy palu męczarni.

Ta odpowiedź zamknęła czerwonym usta. Nareszcie mogliśmy wyruszyć do Skalnego Źródła.

Drogę mieliśmy wygodną. Jechaliśmy całymi godzinami przez wąwozy, gęsto poprzerzynane wątlami strumykami.

Wkrótce zapadł zmrok. Wierzchołki gór błyszczały jeszcze jakiś czas w czerwonej zorzy wieczornej, potem nastąpiła zupełna ciemność. Winnetou jako przewodnik jechał na czele oddziału. Znał położenie Skalnego Źródła i pewien był, że pomimo ciemności nie zbłądzi. Mniej więcej po trzech godzinach jazdy zatrzymał się nad potokiem, który wypływał z bocznej doliny, dość szerokiej i wygodnej do przebycia. Zwracając się do mnie, rzekł:

— Ta dolina kieruje się na północ, jak mój brat widzi. Jednakże niedaleko stąd prowadzi boczny wąwóz na prawo, zatem na wschód, u wylotu zaś jego tryska źródło, dające początek strumieniowi, który tutaj widzimy. Źródło tryska ze skały i dlatego nazywa się Fuente de la Roca. Nieprzyjaciele będą już zapewne wszyscy razem. Trudno przypuścić, żeby się jeszcze wałęsali w tej ciemności. Musimy zostawić tutaj jeńców, gdyż mogliby nas zdradzić wołaniem. Pójdę na zwiady. Do źródła mam kwadrans drogi, a więc za godzinę mogę być z powrotem.

Apacz odszedł. Ja zaś poleciłem zdjąć jeńców z koni i ułożyć na ziemi, aby łatwiej było ich pilnować.

Winnetou wrócił już po trzech kwadransach. Oznajmił mi, że Jumowie czują się bardzo bezpiecznie, gdyż broń złożyli w jedno miejsce i wcale nie rozstawili straży. Co prawda konie pasą się nad strumieniem, nie zwietrzą nas jednak, jeśli pójdziemy drugim brzegiem, bo najlżejszy wietrzyk nie przenika do doliny.

Wybraliśmy dwudziestu pięciu Mimbreniów, reszta pozostała przy jeńcach. Wyruszyliśmy gęsiego, z Winnetou na czele. Z powodu gęstych ciemności szliśmy bardzo blisko siebie, żeby się nie stracić z oczu. W bocznej dolinie postępowaliśmy jeszcze ostrożniej, każdy położył prawą rękę na ramieniu swego poprzednika, lewą zaś osłaniał się przed drzewami napotykanymi od czasu do czasu. Niebawem ujrzeliśmy przed sobą blask ognia, a z drugiej strony strumienia dobiegało nas stapanie pasących się koni.

Podszedłszy bliżej przekonałem się, że trudno o lepsze miejsce do napadu. Skała tworzyła małą jaskinię, w której wnętrzu tryskało źródło. Indianie obozowali właśnie w tej grocie; przed wejściem, przy ognisku trzej Jumowie przyrządzali wieczerzę. Broń naszych przeciwników leżała na jednym miejscu, blisko wstępu do jaskini.

W porozumieniu z Winnetou rozkazałem utworzyć półkole przed grotą. Następnie skoczyliśmy, Apacz i ja ku ognisku; trzy uderzenia kolbą i trzech czerwoni leżeli na ziemi. Równocześnie nasi wojownicy obsadzili wejście i skierowali na Jumów lufy strzelb. Ci zerwali się przerażeni, wnet jednak poznali, że opór byłby szaleństwem. Po krótkich pertraktacjach Jumowie się poddali. Jeńców związaliśmy ich własnymi rzemieniami, a następnie Winnetou wrócił, żeby przyprowadzić resztę Mimbreniów. Postanowiliśmy bowiem przemocować tutaj. Spaliśmy wyśmienicie, oczywiście z wyjątkiem rozstawionych straży. Skoro świt, wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Z Fuente skierowaliśmy się dalej na wschód, w górę doliny. Ponieważ żaden z nas nie był jeszcze w Almaden, więc należało zapytać Playera o drogę i wszystkie szczegóły odnoszące się do kopalni. Wprawdzie mogłem zasięgnąć wskazówek od hacjendera, ale nie chciałem zdradzić się przed nim nawet z odrobiną niepewności, bo zarówno on, jak juriskonsult, gotowi by okazać swoją dawną a tak nieznośną butę. Starłem się obejść bez ich usług. Zresztą byłem przekonany, że zeznania Playera, który dotarł przecież do Almaden jako szpieg, dla mnie będą posiadały większą cenę niż opisy hacjendera.

Ażeby jeńcowi rozwiązać język, musiałem wpoić weń przeświadczenie, że znaczną mamy przewagę nad Meltonem, nad Jumami, czyli po prostu napędzić mu strachu. Pouczyłem zatem Yuma Shetara który stale przy nim jechał, jaką postawę ma zachować, i przyłączyłem się po chwili do niego, pozornie bez żadnego zamiaru. Młody Indianin wprawdzie rozmawiał w pospolitym tutaj mieszanym dialekcie, używał jednak mniej wyrazów indiańskich niż inni, tak więc Player mógł zupełnie dobrze zrozumieć naszą wymianę zdań. Jeniec patrzył ponuro przed siebie i zdawał się pograżać w myślach. Rzecz prosta, nie wdałem się z nim w rozmowę, pierwszy przemówić powinien był Player. I rzeczywiście, już po kilkunastu minutach, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Master, zechciej mi powiedzieć, czy Yuma Shetar umie po angielsku?

— Może kilka słów, nie więcej — odrzekłem.

— Pozwólcie mi więc powiedzieć, że zrozumiałem wszystko, o czym rozmawialiście ze sobą przed chwilą. Z jakiego właściwie powodu zachowujecie się względem mnie tak wrogo?

— Pyta pan jeszcze o to? Master Player, niech pan nie bierze mi tego za złe, jeżeli nazwę pańskie pytanie głupim.

— Czy wyrządziłem panu jaką krzywdę?

— Nie, ale z pańskimi kamratami mam tęgo na pieńku. Spłacę im dług natychmiast w postaci kilku kul.

— A ja? Co zamierzacie ze mną zrobić?

— Tego nie mogę już teraz wiedzieć. Muszę się naprzód przekonać, czy przyłożył pan rękę do krzywdy moich rodaków.

— A gdyby się tak okazało?

— Nagrodzę pana pewnym i dobrze wymierzonym strzałem.

— Do stu piorunów! Któż to ustanowił pana sędzią nade mną?

— Ja sam. Zresztą nie mam nawet potrzeby mieszać się w tą sprawę. Zawinił pan względem emigrantów. Im więc wydaję pana i jestem przekonany, że nie będą robić z panem ceremonii. A może spodziewa się pan ich łaski?

— Jeślibym się dostał w ich ręce, byłbym oczywiście zgubiony. Kto pana jednak zmusza do wydawania mnie emigrantom?

— Nikt, to moja własna decyzja, moja wolna wola. Mogę pana w dać w ich ręce albo wrócić panu wolność wedle chęci i upodobania.

— Wobec tego prosiłbym pana o to drugie!

— Uwolnić pana? Pana? Co panu strzeliło do głowy?!

— Master, słyszałem o panu wiele, a we wszystkim, co o panu opowiadano, przebijała się zawsze i wszędzie humanitarność, z jaką postępuje pan nawet względem zawziętego wroga. Dlaczego więc nie chce pan względem mnie stosować tych pięknych zasad?

— Zdaje się, że ma pan fałszywe pojęcie o humanitarności. Ludzkim jest ten, kto traktuje swego bliźniego jako człowieka, a ja tak właśnie czynię. To znaczy: względem dobrego człowieka jestem dobry, a względem złego — zły.

— Więc pan uważa mnie za człowieka złego?

— Tak!

— Myli się master. Nie jestem zły. Przyznaję jednak chętnie, że postępowałem lekkomyślnie. Chciałem się prędko wzbogacić i dlatego przyłączyłem się do przedsięwzięcia Meltona. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że wasi rodacy mają pracować całe życie pod ziemią. Może pan w to wierzyć, master! Czy nie jest to więc okoliczność łagodząca?

— Teraz za późno. Tego, co uczyniliście, nie można już cofnąć.

— Można, master, można, jeśli tylko pan zechce. Przejdę na waszą stronę. Zostanę waszym sprzymierzeńcem!

— Dziękuję za taki sojusz!

— Rzeczywiście? Czy jest pan pewien, że nie mogę wam przynieść pożytku?

— Jestem ciekaw jaki?

— Czy znacie drogę do Almaden?

— Mogę jej nie znać. Przecież hacjendero jest z nami.

— Czy wiecie, gdzie znajdują się owe trzy posterunki Jumów, które macie jeszcze znieść?

— Znajdziemy je.

— Wiem, że wywiadowca tej miary co pan znajdzie je, ale po długim szukaniu. Na tym straciecie dużo cennego czasu. Musicie także wziąć pod uwagę, że nie powinien żaden z nieprzyjaciół umknąć, aby do Almaden nie dotarła wieść o waszej wyprawie. Wątpię bardzo, czy wówczas czas poszłoby tak gładko. Następnie, chcecie jeszcze przed bitwą wziąć do niewoli Meltona i Wellerów. Zdaje się, że uważacie to za bagatelkę?

— Oczywiście. Wystarczy przypomnieć panu wypadki ostatnich dni, a przyzna pan, że wprowadzimy zamiary w życie bez wielkiego trudu i niebezpieczeństwa.

— To prawda, jest pan mistrzem w tych sprawach, a zwłaszcza w podchodzeniu nieprzyjaciela; przekonałem się o tym na własnej skórze. Ale ponieważ nie wiecie, gdzie ci trzej ludzie mieszkają, gdzie mają ukrycie, więc niemało trudu poniesiecie, aby ich schwytać.

— Mieszkanie znajdziemy.

— Może, ale w każdym razie nie natychmiast, a tymczasem ci, których schwytać zamierzacie, mogą dowiedzieć się o waszej obecności.

— Mówi pan zagadkami, mister Player. Więc zna pan ich mieszkanie?

— Znam.

— Czy sądzi pan, że nie potrafię go zmusić do wyznania? Postawię panu do wyboru: informacje albo śmierć!

— To wam nie przyniesie korzyści. Jeśli macie zamiar poczynać sobie ze mną jak z Meltonem, to i tak mnie śmierć nie ominie. Na informację zdecyduję się tylko wtedy, gdy będę mógł spodziewać się ułaskawienia.

— Przypuśćmy, że darujemy panu życie. Na czyje sumienie spadnie więc odpowiedzialność za przestępstwa, jakie popełni pan później? Tylko na nasze. Gdy natomiast pan zginie, za pańską sprawą nikt już nie poniesie krzywdy.

— Bądźcie przekonani, że zmienię siebie i swoje dotychczasowe postępowanie, jeśli mnie pozostawicie przy życiu. Nigdy nie byłem człowiekiem złym, tylko lekkomyślnym. Wdzięczność dla was zachowałbym do grobu, gdybyście chcieli okazać mi łaskę, zamiast wymierzać sprawiedliwość. Spróbujcie przynajmniej!

— Hm! Próba nie jest czynem ostatecznym, którego cofać niepodobna; mogę więc przystać na pańską propozycję.

— Niech pan przystanie, niech pan przystanie, master! Daję panu słowo, że nie pożałujecie tego.

— Niech mi pan powie zatem, jak sobie wyobraża tę próbę?

— Przede wszystkim rozwiążecie mnie, a potem pokażę wam...

— Stać! — przerwałem. — O rozwiązaniu nie może być nawet mowy. Na razie pozostaje pan jeńcem.

— Ale jak mogę być wam pomocny, skoro nie mam swobody ruchów?!

— Jedynym pańskim ruchem koniecznym jest obecnie jazda, a w tym więzy nie przeszkadzają. Na razie może pan nam oddać jedynie tę przysługę, że co najwyżej wskaże drogę do Almaden.

— Wskażę wam — zamruczał markotnie dotknięty moją odmową.

— Ale prawdziwą drogę! — dodałem z naciskiem. — Nie uszłoby naszej uwagi, gdyby pan chciał skrewić. Kiedy dotrzemy do najbliższego posterunku?

— Jeszcze przed wieczorem.

— W jakiej okolicy obozują?

— Na skraju lasu. Przedtem musimy jechać przez otwartą równinę.

— Więc Indianie mogą nas zobaczyć?

— Tak jest. Jeśli chcecie ich zaskoczyć, równinę musicie ominąć.

— To będzie zależało od jej rozciągłości. Zwróci mi pan uwagę, skoro się do niej zbliżymy. Niech pan powie teraz, dlaczego został w hacjendzie i nie pojechał z Meltonem do Almaden?

— Polecono mi oczekiwać transportu retort, który nadejdzie z Ures.

— Owe retorty miano potem przewieźć do Almaden wzdłuż łańcucha posterunków?

— Tak.

— Ponieważ potrzebujecie retort, więc przypuszczam, że rtęć w Almaden znajduje się w postaci siarczku rtęci, czyli cynobru?

— Tak jest, miejscami spotyka się także rtęć czystą.

— Zatem chcielibyście rozkładać cynober w retortach na siarkę i rtęć. Ten proces chemiczny wymaga pewnych dodatków. Ponieważ syderytu* tutaj nie ma, więc przypuszczam, że zamierzaliście użyć wapienia*?

— Tak jest.

— Więc w okolicy Almaden są pokłady wapienia?

— Pod dostatkiem. Skały i góry są przeważnie wapienne. Można tam również znaleźć wiele jaskiń.

Wyraz „jaskinia” zrodził we mnie pewną myśl. Wielką trudność sprawiłoby pilnowanie jeńców przez dłuższy czas na wolnej przestrzeni. Zawadą byłiby nam w przedsięwzięciu. Jeśli natomiast umieścić ich w jakiejś jaskini, wystarczy niewielu strażników do czuwania nad Dlatego zapytałem:

— Czy zna pan jakąś jaskinię w pobliżu kopalni?

— Owszem, znam.

— Czy obszerna?

— Może pomieścić stu ludzi.

— Ile ma wejść?

— Tylko jedno.

— Naturalnie, wasi przyjaciele znają tę jaskinię?

* Węglan żelaza

* Węglan wapnia

— Przeciwnie! Nie powiedziałem im o tym ani słowa, ponieważ Player umilkł nagle. Wygadał bowiem nieco więcej, niż zamierzał.

— Niech pan mówi dalej! Ponieważ...

— Ponieważ miałem ku temu powody, Szukałem takiego właśnie wyłącznie dla siebie.

— W jakim celu?

Jeniec zwlekał z odpowiedzią. Ponieważ się namyślał, więc przeczuwałem, że chce zataić prawdę i szuka wykrętu. Po krótkiej chwili rzekł:

— Niech mój cel poświadczy, iż rzeczywiście nie jestem złym człowiekiem. Myślałem właśnie o robotnikach. Na wypadek, gdybym zdołał uwolnić potajemnie jednego lub kilku z nich, musiałem przygotować pewne i bezpieczne schronienie; do tego celu nadawała się wysmienicie jaskinia. Dlatego nie wspominałem o niej nikomu.

— To rzeczywiście przynosi chlubę pańskiemu dobremu sercu. Kiedy pan odkrył tę jaskinię?

— Jeszcze przed rokiem, gdy byłem tutaj po raz pierwszy.

— Był pan posłany przez Meltona i po powrocie złożył mu naturalnie sprawozdanie z pańskiej podróży?

— Tak jest.

— W owym czasie nie wiedział pan jeszcze nic o robotnikach z Europy?

— Nie.

— A tymczasem twierdzi pan, że właśnie z ich powodu zataił przed nim ową jaskinię? Nie, powód, dla którego przemilczał pan o jaskini, innego był gatunku. Nie chcę jednak zmuszać pana do wyjawienia go, gdyż jest mi obojętny. Niech pan stara się jednak, żeby mi to była ostatnia próba oszustwa! — Następnym razem nie uszłoby panu tak gładko.

— Ja pana nie oszukuję, master — rzekł. — Przyznaję, że ma pan powody mi nie ufać, ale przecież nie przysporzą panu korzyści wyznania uboczne, nie mające najmniejszego związku z waszą wyprawą.

— Zdaję sobie z tego sprawę i nie wymuszam na panu prawdy. Mam na uwadze jedynie to, co nas dotyczy. Wszak pan wie, że pańskie życie zawisło na włosku?

— Pamiętam o tym, master, a na dowód wyznam coś, co uraduje panu serce.

— Co takiego?

— W Almaden i okolicy nie ma ani trawy, ani drzew, dlatego żywność sprowadza się z daleka. Melton, który już z dawna wszystko przygotował, nie zapomniał również o wikcie, zakupił prowianty w Ures i kazał je przysłać do Almaden. Pięć wozów zaprzęgniętych w muły wyruszyło stamtąd już dawno, więc teraz wloką się pewnie przed nami i niebawem zjadą na naszą drogę.

— To rzeczywiście ważna dla mnie wiadomość. Ale pan mówi, że zjadą na naszą drogę. Jak mam to zrozumieć?

— Zaraz panu wytłumaczę. Droga, z której korzystaliśmy dotychczas, jest dla wozów miejscami nie do przebycia. Dlatego musiałem wyszukać inną drogę, która leży bardziej na południe. Co prawda dłuższa jest, ale za to odpowiednia dla wozów. Niedaleko stąd łączy się z naszą drogą.

— Kto prowadzi wozy?

— Poganiacze z Ures oraz kilku Indian, których im przysłał Melton jako przewodników.

— Kiedy dojedziemy do zbiegu obydwu dróg?

— Pojutrze, Wozy staną tam prawdopodobnie już jutro wieczorem.

— Wobec tego będziemy mogli zaopatrzyć się w żywność.

— Nie tylko w żywność. Wozy dźwigają rozmaity ładunek przeznaczony dla Almaden.

— Jeśli to prawda, oddał mi pan godną podziękowania przysługę, chociaż i bez niej natrafilibyśmy na wozy. Ale wspominał pan o nie mniej dla nas ważnym, mianowicie o braku

paszy dla koni. Na jaką odległość od Almaden rozciąga się ugór, o którym mówił pan przednio?

— W promieniu jednego dnia drogi.

— Przecież wspomniał pan o wodzie, a gdzie woda, tam przynajmniej trawa rośnie.

— Woda jest w jaskini. Woda w Almaden jest tylko gruntowa. Ziemia zeschła, twarda, pustynna, pokryta płytami wapienia.

— A jednak przebywa tam trzystu Indian. Chyba nie wzięli koni ze sobą?

— Zostawili je pod dozorem kilku ludzi.

— Więc my będziemy zmuszeni pójść w ich ślady, a to jest niemiła. Czy może pan przypuszczać, gdzie stoją konie wojownik Jumów?

— Jest tam tylko jedno jedyne miejsce nadające się na dłuższy byt trzystu koni z niewieloma strażnikami. Znam je bardzo dobrze, przychodzimy z zachodu, więc oczywiście nie natrafimy na nie, jeżeli mielibyście zamiar zabrać konie, to jestem gotów poprowadzić was.

— Namyśle się nad tym — odparłem krótko, przerywając ciągnącą się rozmowę.

Przed rozstaniem rozluźniłem nieco ramię na jego rękach.

Po południu tego samego dnia przebyliśmy strome zbocze górskie. Przed nami rozścielała się płaska wyżyna zamknięta górami od północy i południa, wschodniego końca nie mogliśmy osiągnąć wzrokiem, posłał po mnie jednego z Indian jadących obok niego i gdy zbliżyłem się, oznajmił:

— Oto wyżyna, poza którą na skraju lasu obozuje najbliższy posterunek.

— Jak długo trzeba tam jechać?

— Za dwie godziny będziemy na miejscu.

— Czy posterunek leży w prostej linii stąd?

— Tak jest.

— Zatem dam panu sposobność udowodnić mi naocznie, że mogę na pana liczyć.

— Czego żąda pan ode mnie?

— Pojadę teraz naprzód, żeby wziąć do niewoli Jumów, a pan będzie mi towarzyszyć.

— Bardzo chętnie. Ale oni nas spostrzegą.

— Jak to? Ach, sądzi pan, że pojadę prosto? Nie, mister Player. Zatoczmy półkole i jadąc brzegiem lasu zakradniemy się niepostrzeżenie aż do posterunku.

Wziąwszy obydwu synów Nalgu Mokaszi oraz sześciu Mimbreniów, ruszyliśmy galopem na południe, podczas gdy Winnetou z głównym naszym oddziałem nie zmieniał obranego kierunku.

Gdy oko nie mogło już nas doścignąć, zwróciliśmy się znowu na wschód. Po upływie godziny wyłonił się na horyzoncie las. Zdążyliśmy ku niemu.

Wkrótce dotarłszy do lasu, obraliśmy kierunek północny. Tutaj spostrzeżliśmy trop pojedynczego jeźdźcy. Ślady wyraźne i świeże mówiły nam, że ów jeździec odjechał niezbyt daleko. I słusznie: za najbliższym zakrętem lasu ujrzeliśmy go w odległości najwyżej tysiąca metrów. Był to Indianin. Na łęku siodła wisiało zabite zwierzę, wracał zatem z polowania. Jechał powoli z głową odchyloną na bok w tak osobliwy sposób, jak gdyby całą uwagę kierował wstecz. Ten człowiek musiał nas widzieć wcześniej, a wyczekiwał tylko, jaką wobec niego przybierzemy postawę. Nie mogłem pozwolić, żeby dotarł przed nami do posterunku, ale zarazem musiałem się starać, żeby pomyłki nie spostrzegł za wcześniej. Dlatego kazałem towarzyszącom zwolnić, a sam popędziłem za nim pełnym galopem.

Wtedy czerwony zatrzymał się, odwrócił, sięgnął po łuk, założył strzałę i wymierzył. Ja nie zwolniłem biegu, skinałem tylko ręką, wołając:

— Melton! Vete-ya!

Na dźwięk tych dwóch dobrze mu znanych imion, Juma opuścił łuk i czekał. Myślał sobie, że jestem przyjacielem albo przynajmniej znajomkiem jego wodza. Pozdrowiłem Jumą na modłę indiańską, w całym pędzie zatrzymując konia na trzy kroki przed nim i zapytałem:

— Czy mojemu bratu dopisało szczęście na polowaniu? Czterej wojownicy Jumów, którzy zostali na posterunku, są zapewne głodni?

— Polowanie było dobre, jak mój brat widzi — odpowiedział. — Czy mój brat powie mi, skąd przybywa?

— Z hacjendy del Arroyo Mam cię pozdrowić w mieniu Bystrej Ryby i wojowników znad Fuente de la Roca, Czy posterunek, do którego zdążasz, czuwa w pełnej liczbie?

— Tak.

— A co się dzieje w Almaden? Czy twoim trzystu braciom powodzi się dobrze?

— Nie słyszeliśmy, aby miało się stać co nieprzewidzianego. Jeśli mój biały brat przyjeżdża z hacjendy, to na pewno wie, że czuwa tam blada twarz nazwiskiem Player; ten biały miał widzieć Winnetou, wodza Apaczów. Czy był tam rzeczywiście?

— Był.

— Ale potem zapewne odjechał, aby uwolnić Old Shatterhanda, którego schwytał Vete-ya?

— Old Shatterhand uwolnił się bez jego pomocy.

— Uff! Czy spotkali się ci dwaj wojownicy?

— Tak jest.

— Uff, uff! Wobec tego należy się spodziewać, że przybędą tutaj. Tę wiadomość trzeba zaraz przesłać do Almaden. Jeden z nas musi natychmiast odjechać.

— To zbyteczne, ja sam zaniosę poselstwo do Almaden.

— Czy mój biały brat pojedzie tak prędko, że...

Juma przerwał nagle i skierował zdziwiony wzrok na moich towarzyszy, którzy zbliżyli się już na tyle, że mógł rozpoznać ich oblicza. Położył rękę na głowni noża i spytał podejrzliwie:

— Co widzę? Walczyłem z moimi braćmi przeciw Mimbreniom, zapamiętałem sobie twarze ich wodza i jego synów. Jeśli mnie wzrok nie myli, to widzę ich teraz przy boku mego białego brata. Co mam o tym sądzić?

— Masz sądzić, że będziesz zgubiony, jeśli wykonasz jakikolwiek ruch — odpowiedziałem skierowawszy na niego sztucer. — Jestem Old Shatterhand, a to moja strzelba czarodziejska.

Pomimo ciemnej barwy jego oblicza poznałem, że zbladł. Z przestachu wypuścił uzdę i cofnął rękę od noża, bełkocąc:

— Old Shat...ter...hand. A... to... jest... strzel...ba... cza...ro...dziejska...

— Zsiądź z konia i odrzuć wszelką broń — rozkazałem. — W razie nieposłuszeństwa dziesiątka kul zamieszka w twojej głowie!

Juma był tak zmieszany, że nie bacząc na moją groźbę, zapytał na w pół przytomnie:

— Old Shatterhand jest tutaj. Old Shatterhand. Gdzie jest wobec tego Winnetou?

— Winnetou przybędzie wkrótce z wojownikami Mimbreniów. Poddaj się więc natychmiast.

Nadjechali moi towarzysze i otoczyli Indianina. Czerwonoskóry nie otrząsł się jeszcze z oszołomienia i przestachu. Zsiadł z wierzchowca jak we śnie i przypatrywał się w milczeniu, gdy związywano rzemienie rezerwowe od jego siodła i skrupowano go nimi. Player zwrócił mi uwagę, że jesteśmy już, dość blisko posterunku i że czas podwoić, ostrożność, jeśli nie chcemy narazić się na przedwczesne odkrycie. Wobec tego, zostawiwszy konie i nowego jeńca pod strażą dwóch Mimbreniów, w dalszą drogę ruszyliśmy piechotą.

Oczywiście, szliśmy nie łąką otwartą, ale pod osłoną drzew. Po upływie mniej więcej dziesięciu minut odezwał się Player:

— Jeszcze kilkaset kroków, master, a dojdziemy do małego stawu, przy którym obozują Jumowie.

— Dobrze! Pragnę okazać, że mam do pana zaufanie. Właściwie powinienem pana tutaj zostawić, gdyż możesz pomieszać nam szyki, mimo to wezmę pana ze sobą, tylko ostrzegam: jeśli napad nie uda nam się z pańskiej winy, to kreska nad panem!

— Bez obawy! Nie przyjdzie mi do głowy rzucić się w przepaść, skoro mogę ją ominąć.

Skradaliśmy się powoli i ostrożnie. Yuma Shetar otrzymał ode mnie potajemny znak, żeby nie spuszczał Playera z oka, gdyż ten mógł próbować szczęścia w ucieczce, korzystając z zamieszania napadu. Niedługo potem ujrzelśmy zwierciadło wody przebłyskujące między drzewami. Nad brzegiem stawu leżeli czterej czerwoni, w pobliżu pasły się swobodnie dwa konie, drugich dwóch widać nie było.

Przebiegając ostrożnie od pnia do pnia, zbliżyliśmy się do nieprzyjaciół i wypadłszy nagle spoza ostatnich zarośli rzuciliśmy się na nich. Przestрах był nam sojusznikiem. Jumowie nie chwycili nawet za broń.

Skoro wywiązaliśmy się z zadania, poszedł jeden z Mimbreniów z powrotem, aby przyprowadzić dwóch pozostałych towarzyszy oraz piątego jeńca. Równocześnie ujrzelśmy Winnetou i cały nasz oddział nadjeżdżający z zachodu. Pochód zatrzymał się nad stawem, gdyż tam postanowiliśmy spędzić noc.

Następny dzień przeszedł podobnie. Player był przewodnikiem i postępował uczciwie względem nas. Około wieczora wskazał nam znowu najbliższy posterunek, który został pokonany z taką samą łatwością, — co poprzedni. Więc jeszcze tylko jeden mieliśmy przed sobą, czyli dwa dni drogi do Almaden.

Trzeciego dnia przejeżdżaliśmy przez szeroką dolinę, do której uchodziła droga biegnąca z południa. Na miejscu, w którym łączyły się obydwie drogi, trawa była zmięta i stratowana na dużej przestrzeni. Spostrzegliśmy ślady wozów i szczątki dwóch ognisk.

— Czy nie mówiłem? — odezwał się Player. — To były wozy z prowiantem. Obliczenie moje zgadza się więc dokładnie.

Policzyłem ślady i rzeczywiście przekonałem się, że mieliśmy pięć wozów przed sobą. Jadąc dalej, odczytaliśmy z tropu, że eskorta wozów składała się z sześciu ludzi.

— Nie rozumiem, dlaczego Melton posłał sześciu Indian — rzekłem do Playera. — Sześciu przewodników to stanowczo za dużo, a na eskortę broniącą transportu jest ich znowu za mało.

— Być może — odpowiedział. Ale Indian jest tylko pięciu.

— Któż jest więc ów szósty?

— Albo sam kupiec z Ures, albo jego zastępca. Melton zapłacił połowę ceny, drugą połowę miał uiścić dopiero po szczęśliwym otrzymaniu transportu. Dlatego musi być tam ktoś, to ma odebrać pieniądze w Almaden.

W jakiś czas potem pojechał Winnetou naprzód, żeby przekonać się, jak daleko były wozy przed nami. Po trzech kwadransach czekał już na nas. Widział wozy, eskorta składała się rzeczywiście z pięciu czerwonych i jednego białego. Od tej chwili jechaliśmy tak, że w razie potrzeby mogliśmy dopędzić transport w przeciagu pięciu minut.

Około południa przybyliśmy rzeczywiście na dość obszerną równinę. Przed nami jechały wozy jeden za drugim. Ponieważ dwa ostatnie posterunki zagarnęliśmy pod moim przewodnictwem, więc obecnie komendę objął Winnetou. Wybrawszy sobie dziesięciu Mimbreniów, popędził za wozami, podczas gdy my jechaliśmy dalej wolno. Widzieliśmy, jak Mimbreniowie otoczyli nieprzyjaciół. Chwycono za broń. Posłyszeliśmy strzały. Wozy stanęły. Parobcy wrzeszczeli, nie wiem, czy ze złości czy ze strachu, a ów pojedynczy biały nawrócił konia i rejterował. Raptem zobaczył nas nadjeżdżających z tyłu, wobec nowego niebezpieczeństwa skręcił na lewo i pognał galopem na południe.

O nim nie myśleliśmy przedtem. Nie można było pozwolić, żeby uciekł, a wszakże nie śmieliśmy go zaczepiać, gdyż był to uczciwy kupiec i nie maczał palców w konszachtach Meltona. Mój biegun był najbardziej rączy, więc puściłem się za nim w pogoń. Kupiec obejrzał się i na mój widok jął okładać zwierzę. Nic to jednak nie pomogło. Wkrótce nadjechawszy z boku, wyrwałem mu uzdę z ręki, zatrzymałem zwierzęta i zapytałem:

— Gdzie pan jedzie, senior? Nie ma przecież najmniejszego powodu do takiego pośpiechu!

Był to człowiek jeszcze młody, a przy tym chudy jak chart; na pierwszy rzut oka poznać w nim było kupca. Uzbrojony od stóp do wyciągnął do mnie błagalnie obie ręce i prosił:

— Nie mordować, senior, nie mordować! Nie wyrządziłem panu nic złego i nie bronię się, więc daruj mi życie!

— Nie bój się, pan! Nie mamy zamiaru krzywdzić seniora, napad był wymierzony tylko przeciw pańskim pięciu Jumom.

— Nie przeciwko mnie? — zapytał oddychając głęboko i ocierał pot z czoła.

— Ależ nie. Przeciwnie, pańskie życie ma dla nas wartość nieocenioną, nie spadnie panu nawet włos z głowy. Niech senior całkiem spokojnie powróci ze mną do wozów!

Kupiec przyglądając mi się nieufnie, rzekł:

— Kim pan jest?

— Jestem uczciwym człowiekiem. Tyle panu na razie powiem. Natomiast pańscy Jumowie są drabami, których musieliśmy wziąć do niewoli. Chodź więc, senior!

Wróciliśmy do wozów. Poganiacze stali w zwartej gromadzie ze strzelbami w rękach, gotowi do obrony w razie, gdybyśmy wszczęli walkę.

— Porzucicie strzelby, seniores! — zawołałem do nich. — Uważamy was za swoich przyjaciół.

Opowiedziałem im krótko, lecz jasno, co nas tu sprowadza. Przy sposobności wymieniłem kilka razy imię Winnetou. Ci ludzie byli to prawdziwi peoni, silne półdzikie okazy, którym jednak dobroduszość i uczciwość wyzierała z oczu. Gdy skończyłem, odezwał się najstarszy z nich z potężną blizną na twarzy:

— Nie potrzeba żadnego wyjaśnienia, senior. Jeśli Winnetou jest z wami, to zamiary wasze uczciwe, gdyż wódz Apaczów nie przyłoży ręki do niecnej sprawy. Moje stare oko raduje się, że może na koniec zobaczyć tego wielkiego wojownika, a brak mi tylko jeszcze jednego: gdybyż Old Shatterhand był tu także!

— On jest przecież. Siedzi na moim koniu.

— Pan... więc pan jest Old Shatterhandem? Senior, wierzymy każdemu słowu, które pan powiedział i prosimy o radę, jak mamy postąpić.

— Chętnie wam jej udzielę. Przedtem jednak powiedz mi, czemu mam to przypisać, że darzysz mnie tak miłymi słowy. Wiem, że Winnetou jest tutaj znany, ale ja wszak nie byłem jeszcze w tym kraju.

— Ja za to byłem za granicą, w Stanach Zjednoczonych. Przebywałem wiele lat w Teksasie, a nawet zaszedłem do Kansas. Wobec tego nie może się pan dziwić, że pana znam, senior.

— Kim pan był w Stanach?

— Kim się tylko dało. Cóż, kiedy nie zagrzałem żadnego miejsca. Zostałem nadal biedakiem i teraz, na stare lata, muszę radzić sobie jako woźnica. Ponieważ jednak przywykłem z dawna do przygód, więc przyjąłem taką posadę, przy której nietrudno o niespodziankę. Moi towarzysze są tej samej myśli. Cieszyliśmy się po prostu na tę jazdę w góry Juma. I widzi mi się, że nie zawiodły nas nadzieje.

— Tak, mieliście rzeczywiście powód do uciechy, skoro wasz chlebodawca przydzielił wam tak dzielnego zastępcę.

— O! — zaśmiał się stary senior Endimio. Ten zmyka nawet przed brzęczeniem muchy. Ale wróćmy do rzeczy. Towary, które wieziemy, są zamówione i zapłacono już połowę ceny. Mamy je oddać w Almaden i odebrać drugą połowę pieniędzy. Pan jednak sprzeciwia się temu. Co więc mamy począć?

— Nie sprzeciwiam się, tylko pragnę, abyście je oddali adresatowi; w mojej obecności.

— Mądre słowo się rzekło! Przystaję.

— Dziękuję panu serdecznie za zaufanie, a jednak muszę przyznać otwarcie, że bynajmniej nie jestem krezusem, zwłaszcza teraz nie mam nawet czym zapłacić za sto papierosów.

— Nie szkodzi! Cały transport do pańskiej dyspozycji. Stanie się tak, jak senior zarządzi, A co się tyczy papierosów i tytoniu, to proszę tylko rękę wyciągnąć, jeśli ich panu brak. Mamy tyle, że możemy seniora na całe lata zaopatrzyć.

— Stać! — zawołał nagle hacjendero. — Protestuję! Nie pozwolę, żeby ktokolwiek przywłaszczał sobie te towary.

— A pan kim jesteś? — zapytał stary peon, spoglądając na niego ze zdziwieniem.

— Jestem don Timoteo Pruchillo, właściciel hacjendy del Arroyo.

— Przecież pan ją sprzedał, jak słyszałem!

Wtem przystąpił do niego buńczuczny juriskonsulto i zagadnął tonem urzędowym:

— Pańskie nazwisko?

— Nazywają mnie stary Pedrillo.

— Czy pan mnie zna?

— Tak.

— Więc pan wie, że musi mi pan być posłuszny?

— Nawet w Ures nie mam obowiązku seniora słuchać. Nie osobie jestem poddany, lecz prawu. Tutaj zaś, w górach Juma, znaczy pan tyle, co nic.

— Człowiecze, nie zmuszaj mnie, abym cię ukarał!

— A pan niech mnie nie zmusza, abym seniora wyśmiał. Znają pana. Tutaj jest tylko dwóch, którym będziemy posłuszni, nie dlatego, żeby mieli prawo nam rozkazywać, lecz dlatego, że należy im się szacunek. Tymi dwoma są Old Shatterhand i Winnetou.

— Człowiecze! — krzyknął na niego urzędnik. — Nie zapominaj, kim jesteś! Parobkiem, nikiem więcej, tylko parobkiem! A tutaj stoi zastępca i pełnomocnik twego pana, który chyba będzie wiedział, po czyjej stronie przewaga i słuszość.

Przy tych słowach wskazał na seniora Endimio. Ten odrzekł z widocznym zakłopotaniem:

— Jestem wprawdzie pełnomocnikiem seniora Manfredo, ale... ponieważ wykonanie danych mi poleceń zdałem na Pedrilla, a więc...

— Weller! Stamtąd nadjeżdża Weller! — krzyknął nagle Player, przerywając kupcowi i wskazując ku miejscu, gdzie równina przechodziła z powrotem w wąską dolinę.

Wszyscy spojrzeli w tym kierunku. Rzeczywiście, ukazał się samotny jeździec. Przez chwilę stał nieruchomo, a następnie zobaczywszy wozy odwrócił się, skinął ręką poza siebie, jakby kogoś przywoływał, i począł zbliżać się ku nam.

— Weller? Ten oszust? Ten łotr? — zapytał hacjendero. — Jego muszę złapać i to natychmiast!

Pobiegł naprzeciw zbliżającego się, w którym teraz i ja rozpoznałem młodego Wellera. Ten zbyteczny pośpiech mógł mieć złe następstwa, spodziewałem się jednak, że hacjendero przynajmniej w pierwszej chwili nie zdradzi mojej obecności. Aby zaś Weller nie spostrzegł mnie przedwcześnie, ukryłem się za najbliższym wozem.

Don Timoteo i Weller zeszli się w odległości mniej więcej stu kroków od nas, więc mogliśmy słyszeć, co ze sobą mówili. Pierwszy wrzasnął na drugiego ze wściekłością:

— Dobrze, że pan przychodzi, panie złodzieju, panie rabusiu i morderco! Żądam mojej hacjendy z powrotem i to w takim stanie, w jakim była przed spalaniem.

— Pan tutaj, don Timoteo? — zapytał Weller zdumiony, nie zważając zrazu na obelgi. — Myślałem, że senior jest w Ures. Czego pan chce na drodze do Almaden?

— Czego chcę? Chcę odebrać moje mienie przez was zrabowane!

— Nie rozumiem pana. Jak senior może zwracać się z takimi słowami do mnie, pańskiego przyjaciela.

— Milcz, łotrze, i nie waż się nazwać po raz drugi moim przyjacielem! Wyruszyłem, żeby się zemścić na tobie. Popatrz, tam stoją wszyscy moi towarzysze. Czy widzisz juryskonsulta z Ures?

Zapytany spojrział ku wozom i odparł, potrząsając głową:

— Tego nie znam.

— Ani jego policjantów?

— Nie. Co ma tutaj policja do roboty?

— Złapać was, zagarnąć w niewolę tak, jak już schwytaliśmy waszych sprzymierzeńców i współwinnych!

— Współwinnych? Kto to jest?

— Jumowie. Nie udawaj, że nie widzisz rzemieni na ich rakach i nogach.

— Rzemieni? Ach, naprawdę oni są związani! Nawet Bystra Ryba! Któż więc są ci wolni czerwonoskórzy?

— To Mimbreniowie, którzy wyruszyli przeciw wam. A tam, poza ostatnim wozem stoi Winnetou, wódz Apaczów!

— Ten papla zepsuje wszystko — szepnął do mnie Winnetou. — Niech mój brat będzie gotów w każdej chwili skoczyć na konia!

— Winnetou jest tutaj? — zapytał Weller. — Czy to możliwe? Nie widzę go!

— O, nie tylko on jest tutaj, lecz także ktoś, którego się jeszcze więcej obawiasz, mianowicie Old Shatterhand. Uciekł waszym czerwonym sprzymierzeńcom i połączył się z nami.

— Old Shatterhand? Przekleństwo! Dobrze, że mi to mówisz, głupcze!

Posłyszeliśmy krzyk, a potem galop konia. Wyszliśmy zza wozu. Hacjendero leżał na ziemi powalony przez Wellera, który uciekał z powrotem w kierunku, wąskiej doliny. Wskoczyłem na konia i popędziłem za nim. Winnetou nie pozwolił na siebie czekać. Słyszeliśmy, jak uciekający wołał:

— Old Shatterhand, Winnetou i Mimbreniowie! Old Shatterhand, Winnetou i Mimbreniowie!

Dlaczego wołał? W jakim celu? Może ze strachu? Przecież podczas rozmowy z hacjenderem nie okazał trwogi. Imiona wywoływał jeszcze, gdy zniknął w zwięźeniu doliny, a gdy tam dotarliśmy, na nowo posłyszeliśmy jego alarm.

Doścignęliśmy go szybko. Dolina się wznosiła, z prawej i lewej strony rósł dosyć gęsty las. Weller obejrzał się i zobaczył nas o niespełna trzysta kroków za sobą. Zrozumiał, że nie ujdzie, jeśli nie chwyci się wybiegu. Zatrzymał tedy konia, zeskoczył z siodła i pośpieszył piechotą na lewo, w las. W chwilę później byliśmy również na ziemi.

— Winnetou, wprost za nim! — zawołałem do Apacza i pobiegłem, jak mogłem najprędzej w górę zbocza doliny.

Nie działałem odruchowo. Gdybyśmy obydwaj biegli za uciekającym, nie usłyszeliśmy szelestu jego kroków, zagłuszając je własnym stąpieniem. Należało zatem wyprzedzić go i nasłuchiwać. To właśnie wziętem na siebie, a Winnetou miał mi Wellera wpędzić w ręce.

Znajdowaliśmy się u stóp lewego zbocza doliny, które porastało gęsto drzewami i dosyć stromo wznosiło się w górę. Przypuszczając, że Weller będzie uciekał wprost przed siebie, za drogowskaz obrałem gruby buk, który musiał leżeć na jego drodze, jeśli przewidywałem słusznie. Pozostawszy daleko w tyle miałem o wiele dłuższą drogę do przebycia niż on.

Odstęp usiłowałem wyrównać przez zdwojoną szybkość. Skakałem od drzewa do drzewa, od kamienia do kamienia, jak jeszcze nigdy dotąd. Wkrótce usłyszałem podwójny odgłos kroków: jeden pochodził od człowieka zbliżającego się do buku cicho i ostrożnie, a więc powoli, a drugi wywołała osoba przedzierająca się szybko i głośno przez krzaki. Pierwszy był Weller, drugi — Winnetou. A zatem wyprzedziłem ich. Był to dowód, że człowiek w nagłej potrzebie może dokonać wiele ponad swoje siły.

Weller zbliżał się coraz bardziej, za chwilę go zobaczyłem. Nie biegł wprost do buku, lecz w odległości kilku kroków po prawej stronie. Oczywiście, ani przeczuwał, że wyprzedził go ktoś, kto miał biec za nim. W chwili, kiedy się znalazł najbliżej mnie, podbiegłem do niego z tyłu, chwyciłem za włosy, gdyż kapelusz zerwały mu z głowy gałęzie, i potężnym szarpnięciem wstecz powaliłem na ziemię. Jeniec wydał przeraźliwy krzyk przestraszenia i bólu.

— Czy mój brat go złapał? — zawołał Winnetou, słysząc wrzask Wellera.

— Tak jest — odpowiedziałem, klękając kolanami na piersiach jeńca.

Niebawem nadbiegł Winnetou.

— Mój brat miał dobry pomysł. Wiedziałem, że Old Shatterhand jest wyśmienitym biegaczem, ale nie przypuszczałem, że umie latać. Dlaczego nie ogłuszyłeś tego człowieka?

— Uważałem to za zbyt łatwe. Drab nie potrafi mi się oprzeć.

To mówiąc podciągnąłem Wellera w górę i postawiłem na nogi. Winnetou podniósł karabin, który był wypadł Wellerowi, i ruszyliśmy z powrotem. Nie mieliśmy ze sobą rzemieni, więc wziąłem jeńca za kołnierz i popchnąwszy go rozkazałem:

— Naprzód! A gdybyś nie chciał słuchać, to potrafimy wymusić posłuszeństwo!

W dolinie znaleźliśmy nasze konie w tym samym miejscu, w którym je zostawiliśmy. Wierzchowiec Wellera pobiegł naprzód, został jednak schwytyany przez kilku Mimbreniów, którzy pojechali za nami. Skoro przyprowadziliśmy jeńca na miejsce, gdzie stały wozy, wybiegł na nasze spotkanie hacjendero, rozplývając się z radości:

— Mają go! Prowadzą! Wspaniale, wyśmienicie! Teraz odpłacę mu za cios, który mi zadał karabinem!

To mówiąc, zamierzył się na jeńca i byłby zdzielił go przez głowę, gdybym nie stanął na przeszkodzie:

— Zostaw, senior! Strzelił pan głupstwo, idąc naprzeciw niego.

— Panu sprawia przyjemność ciągle besztać? Pan jest...

Chciał prawdopodobnie zakończyć grubiaństwem, ja jednak przerwałem surowo:

— Milcz, pan, natychmiast, gdyż inaczej...

W gniewie podniosłem rękę. Hacjendero cofnął się przestraszony i zrejterował za wóz, aby wspólnie z uczonym urzędnikiem narzekać na swoją niedolę;

Tymczasem Winnetou kazał przywiązać jeńca do dyszla jednego z wozów. Mimbreniowie otoczyli go i zaczęli lżyć. Odpędziłem ich, aby nie słyszeli, o czym będę z Wellerem rozmawiał. Winnetou pozostał przy mnie.

Weller miał wygląd ponury, oczy spuszczone w dół. Zaciął się, aby nie wygadać niczego. Ja też nie obiecywałem sobie po nim obszernych zeznań. Pragnąłem tylko wydusić z niego podstępem choćby kilka słów, z których mógłbym wyciągnąć odpowiednie wnioski.

— Przebywa pan wśród nas dopiero od kilku minut, senior Weller — zacząłem. — Nie miał pan zatem jeszcze czasu zastanowić się nad swoim położeniem, ja to panu ułatwię. Położenie pańskie jest bardzo niebezpieczne. Chodzi tutaj o śmierć lub życie. Od pańskiego zachowania się zależy pański los. Powiedz mi, senior, dlaczego był pan tak nieostrożny, że opuścił Almaden i wpadł nam prosto w ręce?

Jeniec nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Prawdopodobnie namyślał się, czy ma w ogóle mówić, a jeśli tak, to ile prawdy może powiedzieć bez szkody dla swoich kamratów. Po głębokim namyśle odparł:

— Senior Melton mi kazał.

— Zatem wasza jazda miała jakiś cel?

— Nawet podwójny! Czekaliśmy na transport. Ponieważ nie nadchodził, więc trzeba było przekonać się, jaki jest powód opóźnienia.

— To pierwszy cel. A drugi?

Weller otworzył usta do odpowiedzi, lecz po chwili je zamknął. Po namyśle rzekł:

— To pana nie będzie interesowało.

— O, muszę seniorowi wyznać, że wszystko, co dotyczy pana, interesuje mnie szczególnie, choćby jedynie z tego powodu, że jak wiem z doświadczenia, senior obdarza mnie wyjątkową sympatią. Wobec wzajemnej czułości uważam za swój obowiązek zapytać o zdrowie pańskie i pańskich przyjaciół. Jak stoją sprawy w Almaden? Czy robotnicy są już pod ziemią?

— Tak — wyrwało mu się mimo woli.

— Pracują już?

— Nie.

— Ach, rozumiem, muszą naprzód przyzwyczaić się do powietrza w kopalni wypełnionej wyziewami rtęci. Głód i pragnienie są dokuczliwe; te dwa środki zmuszą ich na pewno do posłuszeństwa.

Ponieważ jeniec milczał, więc mogłem uznać, że nie mijam się z prawdą i mówiłem dalej:

— Jak się seniorowi podoba pańskie mieszkanie w Almaden? Jest ukryte tak dobrze, że nie każdy człowiek potrafi je znaleźć. Ponieważ jednak mam zamiar odwiedzić tam pana z powrotem, więc leży to w pańskim interesie, żeby mi je dokładnie opisać.

Teraz odpowiedział z miejsca.

— Ani mi się śni coś podobnego!

— No, przekonamy się jeszcze. Czy pan wyjechał sam z Almaden?

— Tak jest — odparł szybko.

— Przypominam sobie jednak, że dawał pan znak komuś, kto się znajdował za panem.

— Być może, dobiegł mnie jakiś szmer i dlatego tylko się obejrzałem.

— Być może. Ale dlaczego pan krzyczał tak głośno podczas ucieczki?

— Ze... strachu.

— Wyznanie to sprawia panu wielką przykrość, a wypowiada je senior jedynie po to, żeby ukryć prawdę. Może był tam ktoś, kogo chciał pan ostrzec wołaniem? Senior przecież mieszka razem ze swoim ojcem u Meltona?

— Daj mi pan spokój z tymi pytaniami! Może się senior przecież domyślić, że nie odpowiem na nie.

— A gdyby pańskie życie od tego zależało?

— Nawet wtedy nie udzielę żadnych wiadomości. Nie przyjdzie mi nigdy na myśl zdradzić ojca. A co się tyczy mego życia, to wprawdzie zależy obecnie od pańskiej woli, ale wiem, że senior nie jest mordercą i spodziewam się dożyć późnej starości.

— Jak się panu podoba! Nie będę seniorowi dłużej przeszkadzał, a mieszkanie pańskiego ojca znajdę bez niczyjej pomocy.

Od tej chwili był nam przewodnikiem trop Wellera. Jechałem na przedzie, odczytując go krok po kroku. Z początku mieszały się z nim ślady nasze i Mimbreniów. Dopiero za miejscem, na którym zatrzymał się koń Wellera, wystąpił trop jak na dłoni. W tej samej jednak chwili zauważyłem ku zdumieniu ślady nie pojedyncze, ale potrójne. Dwóch jeźdźców jechało naprzeciw nas, a jeden wrócił tą samą drogą. Naturalnie zawiadomiłem o tym Winnetou, który zgodził się w zupełności ze zdaniem, że Weller miał towarzysza. Do niego skierowane było owo skinięcie i alarm, który zawiadomił go o naszej obecności i pchnął do ucieczki.

Skoro doszło to do uszu naszych towarzyszy, okazało się, że podczas gdy uwaga wszystkich była zwrócona na hacjendera i Wellera, jeden z policjantów zobaczył drugiego

jeźdźca, także białego, który ukazał się na tym samym miejscu, gdzie Weller, lecz niebawem zniknął. Była to ze strony policjanta niedbałość nie do przebaczenia, iż teraz dopiero udzielił nam tej wiadomości. Drugim jeźdźcą był z pewnością ojciec Wellera albo sam Melton.

Ruszyliśmy w drogę. Winnetou jechał na przedzie oddziału, ja u jego boku.

Droga prowadziła pod górę. Najpierw mieliśmy las po obydwu stronach, później tylko po lewej, a w końcu wyłoniła się znowu otwarta równina. Ślady były w trawie odcisnięte, jak pieczęcią. Zbieg jechał przez las klusem, na równinie zaś galopował. Przedtem jednak, jak poznaliśmy po tropie, zatrzymał konia i zsiadł. W jakim celu? Zsiadliśmy również i zbadaliśmy miejsce. Noski jego butów były skierowane ku bokom konia, a odciski obcasów na przemian to głębsze, to płytsze. Odgadliśmy, że jeździec ściągał mocniej gurt od siodła, aby w nim siedzieć pewniej, wobec szybkości, jaką zamierzał rozwinąć. Już mieliśmy odejść, gdy wtem Winnetou wskazał na bok, na miejsce, gdzie w trawie odcinały się ślady dwóch długich przedmiotów, u jednego końca wąskie, u drugiego szerokie.

— Uff — rzekł Apacz. — Czy to mojego brata nie dziwi?

— Oczywiście. Ten człowiek miał dwie strzelby, położył je tutaj, aby uwolnić ręce do przyciągania gurtu.

— Znam tylko jednego, który nosi dwie strzelby, a tym jedynym jesteś ty. Jeśli ów człowiek miał dwa karabiny, to na pewno jeden z nich nie jest jego własnością.

— Prawdopodobnie. W jakim celu miałyby wlec ze sobą z Almaden dwa karabiny? Drugi zdobył zapewne podczas drogi, to znaczy — odebrał go komuś. Przypuszczam, że wkrótce dowiemy się, kto to był. Jedźmy dalej!

Niebawem byliśmy zmuszeni zatrzymać się znowu. Siady się rozdzielały. Trop podwójny, idący naprzeciw nas, skręcał na północ, podczas gdy ślad uciekającego przed nami zbiega zachowywał dotychczasowy kierunek wschodni.

— Który trop prowadzi do Almaden? — zapytałem Playera.

— Ten, który biegnie w kierunku wschodnim — odparł nasz przewodnik.

— Ale widzicie przecież, że Weller i jego towarzysze przyjechali z północy.

— Widocznie zboczyli z prostej drogi. Musieli mieć powód do tego.

— Przeczuję, że ten powód ma związek z ową drugą strzelbą. Jedźcie dalej. Ja muszę się przekonać, dokąd prowadzi ten trop. Mój młody brat, Yuma Shetar, może mi towarzyszyć?

Winnetou nie wziął mi wcale za złe, że nie jego wybrałem na towarzysza. Uważał, podobnie jak ja, że nie możemy oddalać się obydwaj równocześnie od naszych ludzi. A Yuma Shetar radował się serdecznie, że znowu go wyróżniłem.

Ruszyliśmy galopem. Już po dziesięciu minutach stwierdziłem, że sprawa wyjaśni się szybko. Pragnąc wystawić na próbę bystrość młodego Indianina, rzekłem:

— Będziemy mogli wkrótce powrócić. Czy mój brat wie, po czym to poznaję?

Yuma Shetar przypatrzył się tropom i odparł:

— Nie widzę nic nowego.

— Niech mój brat nie patrzy na ziemię, lecz na niebo! Wskazałem na sześć czy siedem czarnych punktów, które daleko przed nami lawirowały w powietrzu, to wznosząc się, to opadając.

— Ufff, sępy! — zawołał mój towarzysz. — Krążą nad jednym i tym samym miejscem, widocznie leży tam padlina.

— Nie, to nie padlina. Na padlinę rzucają się sępy od razu, te zaś latają w powietrzu. Stąd wniosek, że stworzenie, które obrały sobie za zdobycz, oddycha jeszcze.

Podjechawszy bliżej ujrzeliśmy gromadę sępów siedzących na ziemi i tworzących koło, w środku którego leżał człowiek zastygły w bezruchu.

— Człowiek! — zawołał Mimbrenio. — Zamordowany!

— Właśnie, że żywy! Gdyby to był trup, sępy obsiadłyby go już dawno. Musiał się poruszać jeszcze przed chwilą.

Ptaki wleciały, skoro nadjechaliśmy. Znalazłszy się na miejscu, zeskoczyliśmy z koni.

— Wielki Boże! — zawołałem rzuciwszy okiem na nieszczęśliwego. — Czy to możliwe?! To jeden z tych, których mamy ratować — wyjaśniłem towarzyszowi moje zdziwienie, klękając przy rannym, żeby go opatrzeć.

Był to Herkules. Ubranie miał podarte, jakby po zapasach. Wyglądał okropnie. Otrzymał cios w głowę, który go ogłuszył, czaszka, napuchnięta, miała kolor krwistoczerwony. Opuchlizna sięgała aż do połowy czoła. Na razie nie mogłem wiedzieć, czy kość była zdruzgotana. Poza tym nie spostrzegłem żadnej innej rany. Gdy próbowałem obejrzeć głowę, moje dotknięcia sprawiły choremu ból tak dotkliwy, że wrzasnął przeraźliwie i wyprostował się do pozycji siedzącej. Skoro odjąłem rękę od rany, osunął się z powrotem na ziemię i leżał spokojnie.

— Musimy wracać — rzekłem. — Tutaj nie poradzimy nic. Przede wszystkim trzeba nam wody.

— A jeśli umrze po drodze?

— Trudno, tutaj umarłby również. Wezmę go na konia.

— Tego dużego, ciężkiego człowieka?!

— Inaczej nie możemy go przewieźć.

Mimbrenio miał słuszność. Kosztowało nas dużo wysiłku, zanim zdołaliśmy umieścić tego goliata w poprzek siodła. Zabiegi nasze zraniony odczuł dotkliwie; wył z bólu, przytomności jednak nie odzyskał. Sprawivszy się, ruszyliśmy galopem, jednak nie tą samą drogą, która zawiodła nas tutaj, lecz na południowy wschód, ponieważ Winnetou ze swoim oddziałem posuwał się w kierunku wschodnim, a my oddaliliśmy się poprzednio na północ. Teraz wracaliśmy przekątną.

Mój koń, jakkolwiek miał wielki ciężar do dźwignia, był dosyć silny, żeby biec galopem. Musiałem obrać tę jazdę forsowną jako najrówniejszą i najmniej dokuczliwą dla Herkulesa. Emigrant leżał teraz cicho jak nieżywy. Gdy dopędziliśmy pochód, siły moje i konia były prawie zupełnie wyczerpane.

Powrót nasz wywołał ogólne poruszenie. Dały się słyszeć wołania i krzyki. Powstało zamieszanie. Każdy cisnął się do nas, żeby zobaczyć zranionego. Jeden Winnetou pozostał spokojny, jak zwykle. Odpędził ciekawych surowym rozkazem, pomógł tym, którzy odbierali ode mnie Herkulesa, a potem zabrał się do zbadania czaszki. Na ranach znał się jak najlepszy chirurg.

— Kość jest cała — odezwał się po pewnym czasie. — Ten człowiek będzie żył, jeśli przetrzyma gorączkę. Podajcie mi wody!

Wody nie brakło. Pełne jej wiadra przeznaczone dla mułów wisały pod wozami. Na rozkaz Winnetou pośpieszono do nich natychmiast. Apacz obchodził się z chorym tak delikatnie, że ten nie wydał ani jednego okrzyku. Po ochłodzeniu i obandażowaniu głowy ułożono go w jednym z wozów na troskliwie przygotowanym pośnaniu. Po czym ruszyliśmy w dalszą drogę, kierując się znowu tropem zbiegłego towarzysza Wellera.

Myliłby się bardzo, kto by przypuszczał, że Winnetou zasypał mnie pytaniami, co do osoby rannego. Jechał cicho i spoglądał przed siebie w zamyśleniu. Znałem ten jego nawyk. Wiedziałem, że starał się wpaść na właściwy trop bez mojej pomocy. Po chwili podniósł głowę. Spojrzenie, jakie rzucił na mnie, powiedziało mi, że wiedział już, o co chodzi. Dlatego zapytałem:

— Mój brat Winnetou znalazł wyjaśnienie, którego ja mogłem mu udzielić. Kim jest więc ten ranny?

— On należy do białych twarzy, które zostały oszukane przez Meltona.

— Słusznie. To jedyny emigrant, któremu zwierzyłem się z moich podejrzeń.

— Wobec tego również jedyny, który uniknął losu reszty robotników. Old Shatterhand wie oczywiście, kto go zranił?

— Weller i jego towarzysz. Drugi karabin należał do Herkulesa, — Tak się mianowicie ranny nazywa. — Gdy przyjdzie do siebie, opowie nam wszystko. Jak sądzi mój brat, kiedy odzyska przytomność?

— Nie mogę wiedzieć dokładnie. Ten olbrzym ma bardzo twardą czaszkę. Każda inna pękłaby od takiego uderzenia. Kto jednak może powiedzieć, w jakim stanie znajduje się jego mózg? Cieszyłbym się, gdyby przyszedł do przytomności, gdyż był w Almaden i mógłby nas o wszystkim objaśnić.

— Jak widać, moje ostrzeżenie pobudziło go przeciw do baczej uwagi, gdyż inaczej byłby podzielił los innych. Uciekł, a Weller i jego towarzysz ruszyli w pościg. To jasne.

— Tak. Ale nie tylko ten powód zmusił ich do opuszczenia Almaden.

— Naturalnie. Zapewne czekali na transport z wielką niecierpliwością, a ponieważ nie nadszedł na czas, więc wyjechali na spotkanie. Gdyby chcieli tylko Herkulesa doścignąć, byłiby zawrócili, dokonawszy dzieła.

— Sądzę tak samo. Czy mój brat zechciałby pomówić z Wellerem? Może warto usłyszeć, co powie o rannym.

Chętnie wezwaniu temu uczyniłem zadość, gdyż sam byłem ciekaw, czy jeniec poczyni teraz jakieś zeznania. Dla oszczędzenia czasu zaczekałem, dopóki nie nadeszła pora odpoczynku. Rozłożyliśmy się nad strumieniem. Herkules nie wracał do przytomności. Winnetou krzątał się koło niego, ja zaś zagadnąłem Wellera:

— Znacie tego biedaka, który tam leży nieprzytomny?

— Naturalnie, że znam — odrzekł jeniec gniewnie. — Miałem przecież zaszczyt usługiwać na statku jemu i panu!

— Za te usługi nie czujemy najmniejszej wdzięczności. Większy pożytek byłby dla nas i dla pana, gdyby się pan nie troszczył o podróżnych, skoro opuścili statek. Herkules może to przypłacić życiem. Ten cios kolbą, który miał zabić mojego rodaka, pochodzi od pana.

— Ode mnie? Co za myśl! Master, chełpi się pan bystrością, a szuka błędnych dróg. Skąd właściwie przyszło panu do głowy, że to ja go chciałem zabić?

— Pan albo pański towarzysz.

— Twierdzenie słyszę, ale gdzie dowód?

— Pański ojciec ma jego strzelbę!

Powiedziałem tak umyślnie, sądząc, że jechał z nim raczej Weller senior, aniżeli Melton. I słusznie, jeniec zaskoczony moimi słowami, dał się skusić do odruchowego pytania:

— Więc poznał go pan jednak? Zresztą, niech i tak będzie. Nie mam powodu zaprzeczać. Tak jest, to był mój ojciec. A wie pan czemu to mówię? Oto dlatego, abyście posłuchali mojej dobrej rady: zawróćcie i nic troszczcie się więcej o Almaden. Inaczej opłacicie drogo waszą zuchwałość!

— Przekonamy się jeszcze...

Przerwałem w połowie zdania, gdyż w tej chwili rozległ się od strony wozu, w którym leżał Herkules, głośny, przeraźliwy krzyk. Pobiegłem łam czym prędzej. Ranny siedział wyprostowany i wyglądając spod budy wozu osłupiałymi, krwią podbiegłymi oczami, wołał:

— Oddaj ją, oddaj! Judyto, Judyto, chodź za mną. On cię oszuka! Zacisnął pięści i zgrzytnął zębami.

Obudził się wprawdzie, ale nie odzyskał przytomności i bredził o swojej dawnej narzeczonej.

Ująłem go za rękę, silnie, choć łagodnie, i przemówiłem do niego ciepłymi słowami. Chory słuchał. Powoli oczy jego przybrały inny wyraz i rzekł żałośnie:

— On ją ogłupia, otumania! Ona nie widzi jego podłości, ona widzi tylko pieniądze.

Chciałem go ugłaskać dobrotliwym słowem, cóż, kiedy skutek okazał się wręcz przeciwny.

— Kto tu mówi? — zapytał gniewnie. — Znam pana! Pan chce mi robić wyrzuty. Pan mnie ostrzegwał, ale niebaczny byłem. Teraz mnie nagrodzono. Melton zabrał mi Judytę, a Weller...

Chory przerwał. Ostatnie nazwisko obudziło w nim nowe wspomnienia. Zmienionym głosem krzyknął:

— Weller! Gdzie oni są? Gdzie są obydwaj Wellerowie? Stary mnie przytrzymał, a młody uderzył w głowę. Gdzie, gdzie oni są, żebym mógł ich zadusić, zadławić?!

W jednej chwili wróciła mu przytomność. Spojrzał na mnie, potem wzrok jego prześlizgnął się poza wóz, na naszych ludzi. Przez chwilę spojrzenie błędziło po ich twarzach, wtem padło na Wellera skrepowanego na ziemi. Poznał go natychmiast i wyskoczył z wozu z pośpiechem obłąkańca. Chciałem go zatrzymać, lecz nie wystarczało mi sił. Winnetou pochwycił go również, jednakże w obecnym stanie w dwójnasób wzmogły się siły Herkulesa. Strząsnął nas obydwu ze siebie jak zeschnięte liście. Krzyczał:

— Tam, tam leży morderca, który mnie obudził ze snu, a potem powalił kolbą, Rozmiażdżę go na miejscu!

Przyskoczył do Wellera, któremu przerażenie krzyk wyrwało z ust, rzucił się na niego i palce zacisnął mu na szyi. Chcieliśmy go odciągnąć — daremne wysiłki. Przy jego obecnym podnieceniu nie potrafiłby go poruszyć nawet zaprząg dziesięciu koni. Trzymał szyję swego wroga jakby w żelaznych kleszczach i wydawał okrzyki, których nie można porównać ani z głosem człowieka, ani zwierzęcia. Po zbyt silnym wzburzeniu nastąpił upływ sił. Gdy upadł przede mną, uderzył mnie jego nędzny wygląd, którego przedtem nie zauważyłem, a który nie mógł pochodzić tylko ze zranienia.

Teraz zbadaliśmy Wellera. Leżał martwy — uduszony rękami tego, którego przeznaczył na śmierć.

Żałowaliśmy, że tak się stało, lecz nie czuliśmy litości dla zmarłego. Zakopawszy go, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Co do ostatniego etapu naszej podróży, to wystarczy wspomnieć, że po zniesieniu wszystkich posterunków dotarliśmy do regionu, w którym życie roślinne i zwierzęce zanikało. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo. Widocznie nieprzyjaciele nie zastawiali pułapki, lecz czekali w Almaden w przekonaniu, że zniszczą nas tam łatwiej niż gdzie indziej, ponieważ okolica była nam zupełnie obca.

Player wywiązał się z zadania uczciwie, wbrew moim wątpliwościom. Skoro wzięliśmy do niewoli ostatni posterunek, rzekł do mnie i do Winnetou.

— Teraz radzę wam rozstać się z końmi, ponieważ nie znajdziecie dla nich paszy. Musicie wyszukać schronienie, gdzie je będzie można zostawić.

— Czy zna pan jakieś miejsce? — zapytałem.

— Znam takie miejsce, ale leży w bok od naszej drogi.

— Z tego możemy być jedynie zadowoleni. W Almaden oczekują nas z zachodu. Jeśli nadejdziemy z innej strony, może nam to tylko przynieść pożytek. Jak daleko musimy zboczyć?

Zajedziemy na miejsce dopiero za trzy godziny, a więc pod wieczór.

— Nic nie szkodzi, ponieważ dzisiaj i tak nie możemy już nic przedsięwziąć. Zresztą, niech pan nie myśli, że pojedziemy od razu z za tym towarzystwem do kopalni. Naprzód musi się tam udać wywiadowca. Według tej reguły postępujemy zawsze.

— Na tym jednak tracicie dużo czasu!

— Lepiej tracić czas na środki ostrożności, niż biec na ślepo i w przepaść!

— Czy nie zechcecie pomyśleć, że wywiadowcy może się wydarzyć coś, na co większy oddział nie bywa narażony?

— A pan niech zechce wziąć pod uwagę, że są położenia, w których pojedynczy człowiek naraża się na daleko mniejsze niebezpieczeństwo niż gromada. Zresztą, nie wysłemy głupca. Myślę, że Winnetou weźmie to na siebie.

— Nie, nie ja, lecz mój brat Old Shatterhand — odpowiedział Apacz. — Winnetou musi zostać przy chorej bladej twarzy, jeśli ma ją uratować.

Jak widać z tych słów, mój przyjaciel nie chciał opuścić pacjenta, skoro już raz nim się zajął. Dobroć jego serca i poczucie obowiązku kazały mu ustąpić, chociaż byłem przekonany, że wódz Apaczów jest lepszym wywiadowcą, aniżeli ja.

Zboczyliśmy zatem z naszego dotychczasowego kierunku i pod wieczór dojechaliśmy do lasku, który był ze wszystkich stron otoczony prerią. Miał może dwa tysiące kroków średnicy. Obszar był przestronny. Drzewa stały tak szeroko, że wozy mogły przejechać między nimi. Wody było również pod dostatkiem. Przez dwie ostatnie godziny szliśmy za wozami, starając się zatrzeć, o ile możliwości, ich ślady.

Zanim rozbiliśmy obóz, zapadła noc. Ognisk nie palono, gdyż wozy zawierały dosyć prowiantów, które można było spożyć na zimno. Jeszcze nie skończyłem posiłku, gdy zbliżył się do mnie Winnetou:

— Niech mój brat pójdzie ze mną do chorego. Odzyskał przytomność i pragnie mówić z Old Shatterhandem.

Poszedłem natychmiast. Pacjent leżał na miękkiej murawie, pod głowę podłożono mu koc. Gdy usiadłem przy nim, wyciągnął do mnie rękę i rzekł powoli, bardzo słabym głosem:

— Słyszałem od tego Indianina, który rozmawiał ze mną, że pan jest tutaj i że zawdzięczam panu życie. Daj mi, senior, rękę! Jakże się ucieszyłem, posłyszawszy, że tu jesteś! Przecież pan był w niewoli! Jak senior sobie poradził?

Opowiedziałem mu wszystko, co działo się aż do chwili obecnej. Pamięć Herkulesa urwała się na chwili, gdy został ogłuszony przez Wellera. Skoro skończyłem, zapytał zdumiony:

— Czy to prawda, co pan opowiada? Ja miałbym zadusić Wellera?

— Tak jest. Wołał pan w gorączce, że on seniora powalił uderzeniem kolby w głowę. Czy tak było rzeczywiście?

— Tak. Nie jestem odpowiedzialny za to, co uczyniłem w gorączce i obłąkaniu.

— Co też pan musiał przeżyć! Opowie mi to senior później, teraz jest pan zbyt osłabiony.

— O, nie! Głowa mnie wprawdzie boli, ale pan wie, że posiadam naturę słonia. Gdy mówię pomału i cicho, nie męczę się wcale. Pozwól mi, senior, opowiadać. Skoro pan przyszedł, żeby uratować moich towarzyszy, musi pan jak najprędzej dowiedzieć się, jaki los ich spotkał. Zaraz po napadzie związano nas jak barany, a potem przewieziono do Almaden. W górach zapędzono wszystkich do kopalni.

— Co stało się z emigrantami, gdy weszli do sztolni?

— Czy ja wiem? Nie było mnie z nimi.

— Ach, tak! Jak pan sobie poradził?

— Skoro mnie oswobodzono z rzemieni i popchnięto do otworu sztolni, przebiłem się przez Indian i popędziłem wprost przed siebie powaliwszy wielu po drodze i wyrwawszy jednemu z nich karabin. Nie strzelano, ponieważ pragnęli pochwycić mnie żywego. To mnie uratowało. Indianie pędzili za mną. Jestem wprawdzie siłacz nie lada, ale biegacz kiepski, i ci lekkonodzy rozbójnicy byliby mnie na pewno dogonili, gdyby nie to, że ziemia zapadła się pode mną. Straciwszy mnie z oczu, wrócili z niczym.

— Dziwne! Jeśli biegli za panem to musieli przecież widzieć miejsce, w którym się senior zapadł?

— Tak, ile ja nie uciekałem prosto, lecz skręciłem za róg skały. Za drugim skrzyżowaniem usunęła mi się ziemia spod nóg i nagle znalazłem się w podziemnym korytarzu, który biegł ukosem w dół.

— Zbadał go pan?

— Nie miałem światła. Szedłem w dół, ale niedaleko, gdyż wydawało mi się to niebezpieczne. Potem skręciłem w górę, krok za krokiem, macając ostrożnie przed sobą, zanim postawiłem nogę. Ta ostrożność uratowała mnie, gdyż niebawem natrafiłem na przepaść.

— Czy może mi pan opisać dokładnie okolicę, w której się pan zapadł?

— Mogę panu opisać całe Almaden.

— To mnie cieszy. Miał senior zatem sposobność przypatrzeć się okolicy, mimo że nie śmiał się nikomu pokazać?

— Odważyłem się na to ze względu na Judytę. Jedyne jej nie wiązano podczas drogi i nie wtrącono, do szybu. Właśnie gdy mnie popchnięto do otworu sztolni, szydziła ze mnie, że będę musiał wykopywać rtęć, podczas gdy ona będzie tutaj na wolności gospodynią właściciela kopalni. To mnie rozgniewało i wściekłość z tego powodu dodała mi sił do przebicia się, a później do szukania Judyty.

— W jaki sposób wydostał się pan z owego korytarza?

— Wybudowałem podmurze z kamieni.

— Znalazł pan Judytę?

— Miejsca jej pobytu nie mogłem odszukać, ponieważ wychodziłem tylko w nocy. Raz jednak spotkałem ją. Zrazu przestraszyła się, lecz potem była dla mnie przychylna i słodka. Przynajmniej wskazała swoje mieszkanie, uprzedziła jednak, że musi najprzód zobaczyć, czy Melton śpi, gdyż on nie powinien mnie spostrzec.

— Pan wierzył?

— Wierzyłem. Ale gdy poszła, nasunęły mi się wątpliwości. Opuściłem więc miejsce, na którym miałem na nią czekać i ukryłem się w pobliżu. Judyta nie wróciła, ale za to przyszedł Melton z obydwoma Wellerami i kilku Jumami, aby mnie schwycić.

— Więc Judyta zdradziła pana. Jak może taki człowiek, jak senior, miłować jeszcze takie stworzenie! Jak długo ukrywał się pan?

— Dopiero przed dwoma dniami opuściłem kryjówkę. Wypędził mnie stamtąd głód. Oczywiście obrałem tę samą drogę, którą przyjechaliśmy do Almaden. Zamierzałem sprowadzić pomoc, gdyby mi się udało dotrzeć do zaludnionej okolicy. Ale oto pana spotykam, pańska pomoc będzie szybsza i skuteczniejsza.

— Czym się pan żywił?

— Roślinami, które można znaleźć tu i ówdzie pomimo pustynnego charakteru okolicy; W kryjówce znalazłem nieco wody, zlizywałem ją ze ścian.

— Okropność! Nie mógł senior czegoś upolować?

— Nie miałem amunicji. Gdy zjadłem wszystką trawę, musiałem iść dalej.

— Nikt pana nie zatrzymał?

— Nie.

— Więc Indianie nie otoczyli Almaden pierścieniem straży?

— Nie. Jednak widziałem i słyszałem, że szukali mnie po całej okolicy bez wytchnienia. Cały dzień wędrowałem przez pustynny obszar, zanim natrafiłem na trawę i drzewa. Wtedy spotkałem jakiegoś Indianina, który jechał zapewne do Almaden, ale nie odważył się do mnie zbliżyć, gdyż miał tylko łuk i strzały, a na moim ramieniu widział strzelbę. Prawdopodobnie doniósł o mnie w Almaden, a wtedy obaj Wellerowie wyruszyli w pogoń. Co się dalej stało, to pan już wie.

— A jeśli jeszcze co będę potrzebował, to pan mi powie. A może czuje się senior za słaby? Herkules mówił z przerwami i powoli, a mimo to zapewniał:

— Mówiąc cicho, wytrzymam jeszcze dłużej. Mam czaszkę bawołu i wkrótce będę zdrow.

— Tak, Wellerowie, nie znając pańskiej twardej czaszki, sądzili, że już przeniósł się pan w lepsze światy. Teraz proszę, niech senior przypomni sobie dokładnie Almaden i opisz swoją kryjówkę.

— Przejeżdżaliśmy przez kraj pustynny, pofałdowany, który rozciąga się na dzień drogi. Poza nim grunt opada dość szybko i tworzy szerokie, prawie okrągłe zagłębienie, jak się zdaje, dno dawnego jeziora. Na tym jeziorze leżała wyspa, która dzisiaj zwie się Almaden i wygląda jak olbrzymi sześcian skalny. Z dwóch stron można wydostać się na górę. Tam, pośrodku płaskiego tarasu stoi domek, a właściwie cztery ściany i dach z kamienia. W tym domu jest ujęcie do sztolni.

— Którędy można dostać się na górę?

— Z północy i południa. Zbocze wschodnie wznosi się zupełnie pionowo, a po stronie zachodniej można wdrapać się tylko na niewielką odległość — i tam właśnie leży moja kryjówka.

— Odzie jej szukać?

— Prawie dokładnie w połowie zachodniego zbocza leży duży blok skalny, który widać odłamał się kiedyś na pewnej wysokości i spadł tuż obok grzbietu góry, z lewej strony przytyka do niej, a z prawej tworzy szeroką szczelinę, wypełnioną całkowicie żwirem. Na północ od tego bloku skała podmyta jest w taki sposób, jakby kiedyś spływał tu z góry strumień. Dawne łóżysko wije się na prawo i lewo i właśnie to były owe dwa skrety, które przesadziłem, zanim ziemia zapadła się pode mną. Nie może się senior pomylić.

— Więc muszę wspinać się łóżyskiem potoku, poczynawszy od lewej strony owego odłamu skalnego?

— Tak jest, aż do trzeciego zakrętu. Otwór przykryłem kamieniami, jak mogłem najlepiej, ale oko Old Shatterhanda odnajdzie go natychmiast.

— A korytarz, w który pan wpadł, czy korytarz ten murowany?

— Tak jest, przynajmniej tam, gdzie się zapadłem. Dalej nie mogłem dokładnie rozpoznać, ponieważ nie miałem światła.

— Więc wiem już dosyć i chciałbym tylko zapytać, co się dzieje z ojcem Judyty?

— W sztolni jest, tam gdzie wszyscy inni.

— A Judyta nie wstawiła się za nim?

— Nie.

— Więc niech mi senior nie weźmie za złe tego, co powiem: ona jest wprawdzie piękna, ale jest bodaj wyrodkiem. Gdyby mi wpadła w ręce, nie obszedłbym się z nią bardzo delikatnie.

Na to Herkules, który miał nie tylko głowę, ale i serce zranione, zapytał szybko z obawą:

— Chyba pan nie chce jej nic złego zrobić?

— Przyznaję, że gdyby nosiła spodnie, kazałbym dać jej tęgie kije.

Herkules usłyszawszy to, począł biadać. Uspokoilem go jednak zapewnieniem, że zaniecham jej, i opuściłem rannego, gdyż słabość jego charakteru wprawiła mnie w słuszny gniew. Poszedłem jeszcze do Playera, żeby się dowiedzieć, czy wnioski moje co do jaskini były słuszne. Ów zauważył moją rozmowę z Herkulesem, więc zagadnął:

— Prawdopodobnie ten człowiek opowiadał panu teraz o Almaden. Dziwię się, jakim cudem uciekł stamtąd.

Nie kwapiąc się do wyjaśnień, zbyłem go zapytaniem:

— Uważa pan zatem, że tak trudno stamtąd uciec?

— Nie tylko trudno, ale niepodobna, skoro się człowiek znajdzie w sztolni.

— Czy kopalnia ma tylko jedno wejście?

— Nie inaczej. Jest to budowla stara, założona jak się zdaje jeszcze przez hiszpańskich zdobywców. Jeśli było kiedyś jakieś drugie wejście, zostało prawdopodobnie już dawno zasypane.

Poprosiłem teraz, żeby mi opisał Almaden. Opis jego zgadzał się zupełnie ze słowami Herkulesa. Skończywszy, Player dodał:

— Ale na co panu opis! Jak słyszałem, ma pan iść na zwiady, więc niech weźmie mnie pan ze sobą jako przewodnika, a ja pokażę wszystko lepiej, niż mogę opisać.

— Nie wezmę pana ze sobą, master, obejdę się bez przewodnika.

— Nie? A przecież wyprawa nad wyraz niebezpieczna. Nie był pan tam jeszcze nigdy. Jak łatwo można dostać się w ręce nieprzyjaciół!

— Nie troszcz się o mnie, master! Przebyłem szczęśliwie niebezpieczniejsze drogi. Gdyby pan został razem ze mną złapany, mógłbyś doświadczyć na własnej skórze, jak trudno uciec z Almaden. Wiem już, co chciałem wiedzieć. Jeśli to panu nie sprawi kłopotu, proszę opisać mi położenie jaskini.

— Ach, prawda, jaskinia! Przychodzi pan do Almaden z zachodu i ma przed sobą stromą ścianę skalną. U jej stóp i prawie pośrodku leży duży, odłamany blok skalny. Po prawej stronie była między nim a zboczem wolna przestrzeń, obecnie zasypana żwirem. Jeśli odgarnie się górną warstwę przytykającą do zbocza, łatwo dostanie się do wnętrza jaskini.

— Jest ona zupełnie pusta?

— Zupełnie. Czy poprzestanie pan na tym?

— W zupełności.

— Sądziłem, że ciekawi pana mieszkanie Meltona.

— Oczywiście, ale obiecuję sobie, że je odnajdę.

— To niemożliwe! Tak jest ukryte, że nie dostrzeże go nawet oko sokoła. Przylega do ściany jak gniazdo jaskółcze, ale nie na zewnątrz, tylko od środka, więc z dołu nie można się dostać do niego.

— Wiem już! — podchwyciłem. — Leży przy wschodnim zboczu.

— Jak to? Skąd pan wie? — zapytał Player zdziwiony. — Kto panu to zdradził?

— Pan sam. Powiedziałeś, że leży przy zboczu i że od dołu nie można się do niego dostać. Wobec tego znajduje się na tej ścianie, po której nie można się wspiąć. Północna i południowa są łatwe do przebycia, po stronie zachodniej leży pańska jaskinia. Gdyby nad nią mieszkał Melton, nie zachowałby jej pan w tajemnicy, ponieważ on widziałby, jak pan wchodzi i wychodzi. Pozostaje więc tylko wschodnia strona i tam musi Melton mieszkać.

— Tak jest rzeczywiście. Senior, wierzę teraz, że skoro panu pokazać tylko „a”, z tej jednej litery wyprowadzisz cały alfabet.

— Przesada, master. Ciężka konieczność zmuszała mnie nieraz bystro myśleć i oto dociekanie, na pozór tak trudne, stało się dla mnie chlebem powszednim. Konieczność i mus to najlepsi nauczyciele.

— Chciałbym widzieć, czy jest tak rzeczywiście. Może potrafi pan też wyrozumować, jaka droga prowadzi do mieszkania Meltona, chociaż panu nie podam żadnych wskazówek?

— Dobrze! Potrzeba mi tylko tam pójść i przyrzyć się tarasowi góry.

— Taras nie powie panu nic.

— A może jednak! Na przykład poszukałbym, czy nie ma tam jakiego ukrytego zagłębienia. Następnie widziałbym, z czego składa się płyta; czy ze skały czy też z czego innego.

— Składa się z gruzu, tylko z gruzu, który wydobywano ze sztolni i rozsypywano! Tak skromna okoliczność nie zdradzi przecież mieszkania Meltona?

— A jednak drogę znam.

— Więc musiał ją panu ktoś odkryć!

— Mówiłem o tym jedynie z panem i wiem tyle, coś mi master sam powiedział.

— Zaciekawia mnie pan coraz bardziej. Czy zechce mi master powiedzieć, coś obliczył czy też odgadł?

— Dlaczego nie? Przecież to dla pana nie jest tajemnicą, że trzeba zejść do szybu, aby się dostać do mieszkania, o którym mówimy.

— Naprawdę, on wie, on wie! — krzyknął Player tak głośno, że wszyscy zwrócili na nas uwagę. — Czy to możliwe? Wszak ma pan tylko te wiadomości, których ja panu udzieliłem?

— Uważaj, master. Powiedział pan przecież, że od dołu nie sposób się dostać, więc trzeba szukać u góry. Ponieważ mieszkania nie widać, więc nie leży ono u szczytu w pobliżu krawędzi skalnej, ale głębiej nieco, czyli pod tarasem. Wobec tego i droga prowadzi na tej samej głębokości. Jeśli jednak biegnie pod tarasem, wewnątrz skały, to przez jaki otwór można się do niej dostać? A że oprócz sztolni wejścia innego nie ma, więc to jasne jak dzień, iż tylko sztolnia prowadzi do niej. Czy wie pan, gdzie się znajdują Jumowie?

— Nie. Przypuszczam tylko, gdzie są ich konie i mogę was tam zaprowadzić.

— Na to mamy czas później. Stary Weller doniósł o naszym przybyciu, więc przypuszczam, że Jumowie ustawią się raczej po stronie zachodniej od Almaden i wyślą naprzeciw nas wywiadowców. Czy przy domku nad szybem i przy wejściu do szybu stoi straż?

— Tak. Czuwają tam stale dwaj Indianie, aby zapobiec ewentualnej ucieczce robotników, aczkolwiek do obawy o to nie ma żadnych podstaw.

Z Winnetou nie miałem prawie nic do omówienia. Gdy jeden z nas przedsięwziął coś, drugi wiedział, że owo przedsięwzięcie zostanie wykonane pieczołowicie. Zbytecznej rady żaden nie żądał ani nie dawał. Apacz zapytał mnie tylko, kiedy wyruszę.

— Jeszcze przed świtem — odpowiedziałem. — Muszę zatoczyć łuk. Jumowie spodziewają się nas z zachodu. Mam nadzieję, że mimo okrążenia staniemy tam na wieczór.

— Mój brat Old Shatterhand mówi: staniemy. Czy nie uda się w drogę sam?

— Nie. Muszę mieć towarzysza, który czuwałby przy mojej broni i koniach, gdybym musiał skradać się pieszo.

— Przy koniach? Mój brat chce jechać, chociaż w Almaden nie ma trawy?

— Na wozach jest dosyć ryżu i kukurydzy.

— A kto będzie towarzyszył Old Shatterhandowi?

— Młody brat Yuma Shetar. Przedsięwzięcie nie należy do łatwych, ale jestem przekonany, że Mimbrenio będzie dokładał wszelkich starań, aby okazać się godnym mego zaufania.

— Winnetou poznał dobre chęci swego białego brata. Młody Mimbrenio ma dostąpić imienia, jak Yuma Shetar, który tylko dzięki tobie został w tak krótkim czasie wojownikiem.

Prowianty na drogę przygotowaliśmy sobie jeszcze wieczorem. Ledwie gwiazdy zaczęły błędnąć, poszliśmy po konie. Jakże się zdziwiłem, kiedy podszedł do nas Apacz i rzekł:

— Może się zdarzyć, że moi bracia będą zmuszeni rozwinąć największą szybkość, wtedy koń młodego Mimbrenia nie dotrzymałby kroku ogierowi Old Shatterhanda, niech więc mój młody brat weźmie na tę wyprawę mojego konia. Jestem pewien, że przyprowadzi mi go z powrotem.

Fakt, iż Winnetou zawierzył cennego wierzchowca bezimiennemu chłopcu, był po prostu dziwnym, ale zarazem świadczył, jak daleko sięgała przychylność Apacza dla młodziutkiego Indianina. Chłopak nie śmiał odtrącać tak wspaniałomyślnej propozycji, więc pomknęliśmy w orzeźwiająjącym powietrzu ranka obydwa na równie bystrych rumakach i obydwa pewni pomyślnego wyniku wyprawy.

POD ZIEMIĄ

Konie nasze uginały się pod ciężarem, ponieważ przezornie zaopatrzyliśmy się w żywność i paszę, we wszystko, co było niezbędne m trzy, cztery dni. Między rzeczami, które — jak należało przypuszczać — mogły nam się przydać, zabraliśmy również paczkę świec i pęk długich woskowych pochodni. Znaleźliśmy spory ich zapas na wozie. (Ponieważ używa się ich do pracy podziemnej, przeto Melton nabył je od kupca w Ures). Ponadto były tam jeszcze trzy beczki z oliwą palną. Wskazywało to, jak zresztą wiele innych okoliczności, że Melton szczegółowo przygotował swój biznes, zanim jeszcze dobił targu z hacjenderem. Oczywiście, zanim rozstałem się z Winnetou, wtajemniczyłem go w swoje plany, aby mógł mnie łatwo odszukać, gdybym nie wrócił po czterech dniach. Przede wszystkim więc powiedziałem Apaczowi, że zamierzam zbadać jaskinię Playera i podziemny korytarz, odkryty przez Herkulesa.

Ponieważ poprzedniego dnia zboczyliśmy z właściwego kierunku, więc musieliśmy — ja i Mimbrenio — wrócić na ostatni odcinek drogi. Z zadowoleniem stwierdziłem brak śladów po koniach i wozach. Jeżeli nawet gdzieś dały się zauważyć odciski, to można było przypuszczać, że dzień, który obecnie wschodził, zadrze je doszczętnie. Teraz byłem przekonany, że ewentualni wywiadowcy Meltona nie znajdą śladów naszego obozowiska. Po blisko czterogodzinnej jeździe na południe skierowaliśmy się na wschód i wkrótce dotarliśmy do zapowiedzianej przez Playera granicy roślinności. Stąd zaczynała się pustynia. Zatrzymaliśmy wierzchowce, aby je nakarmić, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę.

Jechaliśmy przez prawdziwą pustynię. Ziemia układała się w długie, niskie fale, oddzielone od siebie płytkimi wgłębieniami. Dookoła były skały, kamienie lub piasek. Ani źdźbła trawki. Nagi kamień ssał promienie rozognionego słońca, dopóki się nie nasycił. Żar drżąco wibrował na wysokości czterech czy pięciu stóp nad, ziemią. Trudno było oddychać. Pot parował z całego ciała. Pędziliśmy bez wytchnienia; aby przybyć do Almaden przed zapadnięciem zmroku.

Nie rozmawialiśmy ze sobą. Mimbrenio nie ośmielił się do mnie przemówić, a jednostajność drogi nie skłaniała do rozmowy. Jechaliśmy w milczeniu, dopóki sobie nie uświadomiłem, że Almaden leży na północ od nas. Skręciliśmy przeto w tym kierunku, badając grunt w poszukiwaniu tropu.

Kiedy słońce zniżało się ku zachodowi, wyłoniła się przed nami w oddali niska, jednakże ostro od horyzontu odcinająca się skała, olbrzymiejąca w miarę, jak się do niej zbliżaliśmy.

— To na pewno Almaden — rzekłem. — Teraz należy podwoić czujność.

— Czy mój wielki brat Old Shatterhand zsiądzie z konia? — zapytał nieśmiało Mimbrenio.

Jeźdźca o wiele łatwiej spostrzec niż piechura. Wprawdzie sam zrezygnowałbym z jazdy w siodle, ale cieszyła mnie jego uwaga, ponieważ dowodziła roztropności. Zsiadliśmy z koni i prowadząc je za uzdy, poszliśmy naprzód. Kroczyliśmy po płaskim gruncie, który niby pierścień okalał Almaden. Doszliśmy do brzegu wgłębienia, pośrodku którego ono wyrastało. Mówiąc ściślej, staliśmy na brzegu wyschlęgo jeziora ze skalistą wyspą, która dziś nosiła nazwę Almaden.

Wskutek jednostajności okolicy mimo woli zboczyłem z kierunku; do Almaden dotarliśmy nie z południowej, lecz z południowo-zachodniej strony. Było to niebezpieczne. Przypuszczałem bowiem, że Indianie wypatrują nas od strony zachodniej, ale za to pozwoliło mi od razu ujrzeć skałę, o której opowiadał Player i Herkules, a którą musiałbym w innym wypadku dopiero odszukiwać.

Ogromny blok skalny, sterczący z dna wyschlęgo jeziora, u góry był płaski i tworzył niemal prawidłowy sześciąt, o ścianach biegnących prawie dokładnie w czterech kierunkach wiatrów. Ponieważ stanęliśmy przy południowo-zachodniej krawędzi, widzieliśmy przeto

stronę południową i zachodnią. Pierwsza wznosiła się prosto, miała wszakże głębokie rysy na powierzchni, pośrodku zaś tunel, który jak łatwo było zauważyć, biegł pod górę. Potwierdzało to słowa Playera, że płaskowzgórze jest dostępne z południowej i północnej strony.

Moglibyśmy tam dotrzeć po dziesięciu lub piętnastu minutach marszu, nie odważyłem się jednak, aczkolwiek nie widać było dookoła żywej duszy. Na górze na pewno czuwalili ludzie i mogliby nas szybko spostrzec.

Przede wszystkim należało wy badać, gdzie są Indianie. Naturalnie, sam się tego podjąłem, chłopca pozostawiwszy przy koniach. Skradałem się na zachód wzdłuż brzegu byłego jeziora. Musiałem bardzo uważać, gdyż nic mnie nie kryło i gdybym kogoś spostrzegł, w tej samej chwili byłbym także dostrzeżony. Uszedłszy spory szmat drogi, zauważyłem na północno-zachodniej stronie małe rzadkie chmurki, które powoli wznosiły się, rozprzestrzeniały i niknęły. Był to niezawodnie dym, nieduży dym z indiańskiego ogniska, roznieconego na skąpym podkładzie drzewa. Szedłem jeszcze normalnie przez parę chwil, a następnie zacząłem biec jak zwierzę czworonożne.

Wkrótce zobaczyłem pięć czy sześć namiotów, koło których krzatali się ludzie. Gdybym chciał jeszcze bliżej podejść, musiałbym się czołgać na brzuchu. Od namiotów dzieliła mnie odległość tak mała, że z łatwością rozpoznałem zdobiące je malowidła. Leżąc obserwowałem obozowisko.

Każdy Indianin maluje na namiocie, przynajmniej na letnim, swoje imię lub obraz, przedstawiający szczególne zdarzenie z życia. Na jednym więc wił się olbrzymi na czerwono wymalowany wąż. Na drugim widniał koń, na innym niedźwiedź. Między namiotami kręcili się Indianie lub też siedzieli na ziemi, paląc fajki. Dwie włócznie opierały się o namiot z węzłem. Był to zapewne namiot wodza.

Wiedziałem już, gdzie obozują Jumowie. Chciałem się wycofać, kiedy troje osób, dwóch mężczyzn i kobieta, wyszło z owego namiotu. Kobietę poznałem od razu: była to Judyta. Jednym z mężczyzn był Melton, drugim Indianin, niewątpliwie mieszkaniec namiotu. Rozmawiali przez chwilę, po czym Indianin wrócił do siebie, Melton zaś z Judytą poszedł dalej.

Dokonawszy rozpoznania, mogłem wrócić do obozowiska. Z początku czołgałem się na brzuchu, potem, pobiegłem na czworakach, wreszcie na nogach? Słońce skryło się za widnokregiem i zapadł zmierzch. Szczęśliwie dotarłem do koni. Musieliśmy wykorzystać krótki czas, kiedy jest ciemno na tyle, aby nie być widocznymi, a dość jeszcze jasno, aby bez wielkiego trudu odkryć wejście do jaskini.

Kiedy nadeszła taka chwila, zjechaliśmy w dół, na dno wyschłego jeziora. Dotarłszy do skały, zaczęliśmy usuwać kamienie. Wkrótce ujrzeliśmy przed sobą dziurę, która coraz bardziej się rozszerzała. (Kiedy była już dość pokaźna, zapaliłem woskową pochodnię i zląłem w dół do jaskini. To obszerne wydrążenie dokładnie odpowiadało opisowi Playera. Miało wysokość dwóch ludzi i z łatwością mogło pomieścić sto. W małej bocznej jaskini zebrała się bardzo zimna woda. Zbadanie dna odłożyłem na później, gdyż przedtem musiałem wprowadzić konie.

Trzeba więc było powiększyć wejście. Robota oczywiście niezbyt przyjemna, lecz uporaliśmy się z nią szybko i przeprowadziliśmy bez trudu wierzchowce. Kiedy napoiłszy je i nakarmiliśmy, mogłem zbadać dno jaskini, a raczej obejrzeć je, ponieważ patrzenie w przepaść nie jest żadnym badaniem. Była to prawdziwa otchłań. Gdy rzuciłem kamuszek, usłyszałem dopiero po dłuższej chwili słaby odgłos, uderzenia o dno.

Player nie mógł określić ani szerokości ani głębokości, ponieważ nie miał światła. Natomiast moja pochodnia świeciła tak jasno, że stojąc na jednym brzegu, widziałem wyraźnie przeciwległy. Ciemność oszukała Playera, ja zaś wiedziałem, że przepaść nie jest szersza nad dziesięć, jedenaście łokci. Tymczasem młody Mimbrenio ukląkł i badał grunt. Dłubał palcem, później zaczął skrobać nożem.

— Czy Old Shatterhand zechce zobaczyć, że tu znajduje się dołek? — rzekł, klingą wskrobawszy ziemię.

— Utworzyła go woda kapiąca ze sklepienia — odpowiedziałem.

— W tym wypadku wydrążenie byłoby okrągłe. Tak jednak nie jest.

— Zobaczymy.

Nachyliłem się i pomogłem mu grzebać. Istotnie. Czworokątny, na łokieć głęboki dołek.

— Poszukajmy, czy nie ma gdzieś drugiego — rzekłem.

Wkrótce odkryliśmy trzy inne. Usunęliśmy ziemię, która je pokrywała. — Mimbrenio spojrzał na mnie pytająco. Ośmieliłem go przeto:

— Jeśli mój młody brat chce coś powiedzieć o tych wgłębieniach, to proszę, niech mówi.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparł. — Draży się w ziemi dołki po to, aby w nich coś schować. Co jednak mogło tkwić w tych oto wgłębieniach? Old Shatterhand wie zapewne.

— Nietrudno się domyślić, ale język mego brata nie ma na to nazwy. Czy wiesz, czym jest kołek lub klamra?

— Nie wiem.

— Drzewo lub żelazo, które wbite w ziemię przytrzymuje największe ciężary. W danym wypadku ciężarem był most nad przepaścią. Bez wątpienia na drugim jej brzegu pozostały takie same cztery dołki.

— Ale gdzie się podział most?

— Nie ma go już. Zapewne ci, którzy z niego ostatnio korzystali, stracili go w przepaść. Zależało im na tym, aby nikt nie mógł przedostać się na drugą stronę. W tym celu zatcano też dołki. Ale oczy mego młodego brata są ostre i przenikliwe.

— Nie oczy, lecz stopy wyczuły, że ziemia w tym miejscu jest bardziej miękka niż gdzie indziej. Gdyby most stał jak dawniej, moglibyśmy przejść na drugą stronę.

— Przejdziemy i tak. Dostaniemy się do tunelu, który wylot ma na płaskowzgórzu, lecz myślę, że posiada również inne zamaskowane wejście. Trzeba je odszukać.

— Kiedy? Dziś wieczór?

— Nie, jutro. Wejście jest zatkanie i po omacku nie potrafię go znaleźć, światła zaś zapalać nie można. Poradzimy sobie przy świetle dziennym. Tymczasem posilimy się, a potem wyjdę na zwiady.

— Czy Old Shatterhand zabierze mnie ze sobą?

— Nie. Z przyjemnością zabrałbym cię, lecz musisz zostać przy koniach.

— Tu są bezpieczne. Jumowie ich nie znajdą.

— Istotnie, ale konie nie są obeznane z miejscem. Mogą się spłoszyć.

Chłopiec musiał zostać. Po spożyciu owocowej wierzery ruszyłem na zwiady. Niewiele spodziewałem się odkryć w takich ciemnościach. Dobrnąłem do północnego krańca skały i usiadłem na kamieniach, czekając, aż gwiazdy rozbłysną jaśniej.

Siedziałem może godzinę. Dookoła panowało głucho milczenie. Gwiazdy, dotychczas blade, roziskrzyły się pełnym blaskiem. Zamierzałem już powstać i pójść naprzód, gdy w pobliżu usłyszałem czyjeś kroki. Przypuszczając, że nadchodzący przejdzie koło mnie, schroniłem się za głazem. Po chwili istotnie ujrzałem Indianina, który przystanął nie opodal mego ukrycia i uważnym wzrokiem powiódł dokoła. Nie widząc nikogo westchnął, zbliżył się jeszcze bardziej i usiadł na kamieniu, w odległości paru kroków ode mnie.

To było fatalne, fatalne w najwyższym stopniu. Kamienie były tak rozstawione, że nie mogłem wycofać się bez szmeru. Nie pozostawało mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać na jego odejście.

— Uff! — zawołał po długiej pauzie Indianin stłumionym głosem. Podniósł się z kamienia i podążył kilka kroków naprzód. Ktoś nadchodził. Rozpoznałem Judytę. Ukryty za kamieniem, podsłuchałem niezwykle ciekawą rozmowę,

Indianin nazywał siebie Przebiegłym Wężem. Był więc mieszkańcem namiotu, który widziałem, i dowódcą trzystu Jumów, którzy tu obozowali. Władał angielskim i hiszpańskim w sposób jak na Jumę niezwykły, ona zaś nie posiadała ani w dwudziestej części jego wiedzy; nie umiała też słowa po indiańsku. Mimo to porozumiewali się doskonale.

Wziął ją za rękę i rzekł:

— Przebiegły Wąż już sądził, że Biały Kwiat nie przyjdzie. Dlaczego kazałaś mi czekać?

Musiał swoje pytanie kilkakrotnie w rozmaitej formie powtórzyć, zanim zrozumiała i odrzekła:

— Melton mnie zatrzymywał. Teraz on nie rozumiał. Powtórzyła słowa i zobrazowała myśl znakami.

— Co teraz robi? — zapytał Przebiegły Wąż.

— Śpi — wyjaśniła raczej pantomimicznie niż słownie.

— Czy Melton sądzi, że Biały Kwiat również śpi?

— Tak.

— W takim razie jest głupcem, słusznie oszukany, ponieważ sam pragnie oszukiwać. Biały Kwiat nie powinna mu wierzyć. Okłamuje ją, nie dotrzyma danego przyrzeczenia.

Każdemu zdaniu towarzyszyły liczne gesty wyjaśniające. Ponieważ przedstawienie prawdziwego przebiegu rozmowy byłoby uciążliwe zarówno dla mnie, jak i dla czytelnika, więc opiszę ją tak, jak gdyby oboje porozumiewali się gładko.

— Czy wiesz, co mi Melton przyrzekł?

— Wyobrażam sobie. Czy nie powiedział ci, że otrzymasz wielkie skarby?

— Tak. Melton sądzi, że na tej skale zarobi milion. Wówczas zostanę jego żoną, będę miała brylanty, perły i wszelkiego rodzaju kosztowności, zamek w Sonorze i pałac w San Francisco.

— Nie dostaniesz ani klejnotów, ani złota, ani pałacu. Melton dużo zarobi, ale nic z tego nie będzie posiadał.

— Jak to?

— To jest nasz sekret. Ale gdyby nawet stało się tak, jak on pragnie, ty byś nic z tego nie miała. Jesteś jedynym kwiatem na tym ustroniu, dlatego myśli o tobie. Kiedy zobaczy inne, ciebie porzuci.

— Niech się tylko ośmieli! Zemszczę się i wyjawię wszystkie jego występki.

— Nie będziesz mogła. Tu można łatwo zdeptać kwiat, który wyblakł, a stał się niebezpieczny. Wierz mi, żadna z twoich nadziei przy nim się nie spełni.

— Mówisz tak, ponieważ chcesz mnie pojąć. Daj mi dowód.

— Przebiegły Wąż może ci dowieść. Powiedz, dlaczego pozwoliłaś zesać ojca do podziemi?

— Ponieważ miał zostać nadzorcą i zarobić sporo pieniędzy.

— Ojciec twój jest związany jak inni, musi pracować jak inni i nie otrzymuje lepszego pokarmu niż inni. Wiem, że obiecano go wypuszczać od czasu do czasu z szybu, aby mógł się z tobą widzieć i odetchnąć świeżym powietrzem, lecz przyrzeczenie to nie będzie spełnione.

— Zmuszę Meltona, aby dotrzymał słowa!

— Nie wierz! Nad takim mężczyzną tysiąc najpiękniejszych kobiet świata nie mogłoby uzyskać żadnej władzy. Zażądaj spotkania z ojcem, a przekonasz się, czy pozwoli na nie.

— W takim razie porzucę go!

— Spróbuj — zaśmiał się czerwonoskóry — uwięzi cię we wnętrzu skały, gdzie twoją piękność i zdrowie pożre trucizna rtęci. To kłamca, powtarzam. Moje serce natomiast szczerze myśli o tobie. Dam ci słowo na to, co on kłamliwie przyrzeka. Gdybym chciał, byłbym o wiele, o wiele bogatszy od Meltona.

— Bogaty Indianin?! — roześmiała się Judyta.

— Wątpisz? My jesteśmy prawymi posiadaczami kraju, którego gwałtem pozbawiają nas biali. Przy naszym trybie życia, co nam po złocie, srebrze, skarbach! Wiemy jednak, gdzie się złoto znajduje w olbrzymich ilościach, a nie powiemy tego białym. Lecz gdyby Biały Kwiat chciała zostać moją squaw, dałbym jej tyle złota i srebra, ile zapragnęłaby; dałbym to wszystko, co Melton przyrzekł obłudnie.

— Czy naprawdę? Dużo złota, klejnotów, pałac, zamek, piękne szaty i wiele służby?!

— Wszystko, wszystko, czego zapragniesz! Mógłbym cię uczynić moją squaw wbrew twojej woli, gdyż my, Indianie, porywamy dziewczęta, których inaczej nie możemy dostać. Lecz ty zostań moją squaw dobrowolnie. Nie użyję przemocy. Poczekam, aż sama oddasz mi serce. Czy nie uczynisz tego już teraz?

Powstał, skrzyżował ręce na piersiach i oglądał ją badawczo. Milczała. Chętnie przystałaby na miłość z pięknym, młodym wodzem, nie kłopotąc się o następstwa. Lecz on żąda, aby została jego, żoną. Czyżby rzeczywiście Melton chciał ją oszukać? Czy naprawdę Indianin mógłby się wzbogacić, gdyby zechciał?

Indianin stał przed Judytą, wbijając w nią ostre spojrzenia, jak gdyby usiłował wyczytać najskrytsze jej myśli. Po dłuższym milczeniu wreszcie rzekł:

— Wiem, o czym myśli Biały Kwiat. Kocha bogactwo, przyjemności miejskiego życia wśród bladych twarzy. Czerwonoskóry posiada tylko namiot, konia i broń. Mieszka w lasach i sawannach i nie rozumie się na sztukach i rozkoszach białych ludzi. Jakże byś więc mogła zostać squaw Indianina? Czyż nie o tym myślałaś?

— Tak.

— Wierz mi, będzie inaczej, gdy zechcesz. Powiedz tylko tak, a natychmiast pójde spełnić twoje życzenia. Moja ręka nie dotknie twojej, zanim nie przyniosę tyle złota, ile zapragniesz.

To na nią podziałało

— Mógłbyś naprawdę?! — zawołała. — Mógłbyś przynieść mi tyle złota?

— Mogę.

— A Melton, czy rzeczywiście mnie oszukuje?

— Wybadaj go, zażądaj widzenia się z ojcem. Ale nie mów nic o naszej rozmowie.

— Dobrze. Wypróbuję go. Jeśli nie uczyni zadość memu żądaniu, porzucę go i pójde do ciebie.

— Nie pozwoli. Zmusi cię, abyś pozostała w jego namiocie.

— Co zatem czynić?

— Czekać, tylko czekać, aż zgłoszę się po ciebie. Melton jest w naszej władzy. Zastrzele go, jeśli wbrew twojej woli zechce cię dotknąć. Dopóki się nie zdecydujesz, przychodź tu co wieczór o tej samej porze. Jeżeli nie przyjdiesz, będę wiedział, że coś ci zagraża, i pójde do niego, aby cię zabrać.

— Czy dotrzymasz słowa?

— Przebiegły Wąż jest chytry, ciebie jednakże nie oszuka. Możesz na mnie polegać. Howgh!

Odszedł, nie uściskawszy nawet jej ręki ona zaś, kiedy się oddalił o trzy czy cztery kroki, skoczyła, pobiegła za nim i zarzuciła mu ręce dookoła szyi. Usłyszałem szmer pocałunku. Naraz cofnęła się i usiadła na kamieniu. Czy był to odruch wyrachowania? nagłego wzruszenia? czy może podziękowania z góry za złoto, które jej przyrzekł? Być może wszystko razem. Indianin stał przez chwilę oszołomiony, po czym zbliżył się do niej powoli i rzekł:

— Biały Kwiat dała mi dobrowolnie to, o co teraz nie ośmieliłbym się prosić. Niech wie, że odtąd nikt inny nie powinien jej pocałować. Z samego rana wypróbujesz Meltona. Jutro wieczorem tu powrócę. Biada Meltonowi, jeżeli Białemu Kwiatu uczyni coś złego. W podziękowanie za pocałunek powiem ci coś więcej. Otóż z bladych twarzy, które przyprowadziliśmy, jeden zginął. Był to wysoki, silny mężczyzna. Znasz go?

- Znam.
- Tak, znasz go lepiej niż innych.
- Skąd wiesz?
- Powiedziało mi spojrzenie, którym cię obrzucał. Czy kochasz go?
- Nie. Przyjechał tutaj za mną.
- Nie zmartwi cię więc wiadomość o jego śmierci?
- Nie żyje? Skąd wiesz?
- Wellerowie ścigali go i zabili. Dziobią go już sępy.
- Trwała chwilę w milczeniu. Wreszcie zawołała:
- Bardzo dobrze, że się tak stało. Był mi obmierzły, pozbyłam się go nareszcie!
- Tak, nie wróci już. Do jutra. Howgh!

Oddalił się szybko. Zamyśliła się. Potem poruszyła końcami palców, jak zazwyczaj przy odpędzaniu złych myśli. Po cichu zaczęła nucić melodię, wreszcie wstała i poszła. Jakże łatwo mogłem poznać drogę na płaskowzgórzu. Trzeba było tylko iść za nią, lecz znając dobrze zwyczaje czerwonoskórych, wiedziałem, że Indianin jest w pobliżu. Zrezygnowałem z niebezpiecznej pokusy i wróciłem do jaskini, zadowolony z rezultatów tej krótkiej wyprawy nocnej.

Zbadać drogę mogłem później, na dziś było mi to niepotrzebne. To, co podsłuchałem, przynosiło mi więcej korzyści. Dzięki temu mogliśmy podążyć wprost do celu, a nie czekać na posiłki Mimbreniów, mających pokonać Jumów. Im dłużej myślałem, tym możliwszy wydawał mi się fakt, do niedawna jeszcze absurdalny, mianowicie, że sam, bez Winnetou, bez czyjejkolwiek pomocy, mógłbym osiągnąć swój cel, i to nie zdejmując strzelby z ramienia.

O świcie wzięliśmy się do pracy. Przysłoniłem kamieniami wejście do jaskini i zesliśmy no dół, aby wspiąć się na skałę z innej strony. Widzieliśmy stąd obozowisko Indian. Nie było w nim jeszcze śladu życia. Mimo to poruszałem się bardzo ostrożnie. Znalazszy zakręty, wypatrzone przez Herkulesa, zatrzymaliśmy się przy właściwym. Poznałem go natychmiast, ponieważ otwór był źle zamaskowany. Miejsce to nie było widoczne z obozu Indian. Dlatego zachowywaliśmy się swobodnie, zrezygnowawszy z ostrożności.

Po usunięciu kamieni powstał bardzo obszerny otwór. Zesliśmy w dół po głazach, które Herkules ułożył w schody. Były obciosane, co zdradzało nieindiańskie pochodzenie tunelu, prowadzącego na ukos do podziemi.

Najpierw spenetrowałem prawą stronę tunelu, naturalnie korzystając ze światła pochodni. Po kilku zaledwie krokach dotarliśmy do przepaści, dzielącej nas od jaskini. Konie usłyszały nasze — głosy i podeszły aż do krawędzi. Spędziwszy noc w jaskini, przestały się lękać. Okrzykami pragnąłem odpędzić je od przepaści. Kiedy zawołałem na mojego Hatatitla: „Iteszkosz!” (Połóż się!) — rozkaz spełnił natychmiast. Koń Apacza położył się obok niego. Byłem więc pewien, że przed moim powrotem nie ruszą się z miejsca.

Znaleźliśmy na brzegu cztery dołki, odpowiadające dokładnie wczorajszym. A więc istotnie wisiał tu niegdyś most. Wróciliśmy, aby udać się w głąb tunelu. Wysokość jego była wyższa od przeciętnego wzrostu człowieka, a szerokość miała około trzech stóp. Na ścianach widniały ślady dłuta i świdra. Oporniejsze kamienie rozwalono dynamitem, a więc tunel był zbudowany przez białych.

Szliśmy coraz dalej, nie napotykając na przeszkody. Powietrze, wbrew oczekiwaniu, było wcale znośne. Ta okoliczność zwróciła moją uwagę na płomień pochodni, który z lekka się pochylał w kierunku korytarza. A więc istniała tu cyrkulacja powietrza. Świeży powiew szedł od zewnątrz w głąb tunelu. Czyżby tunel łączył się z szybem? Bardzo możliwe.

- Uszliśmy przeszło trzysta kroków, gdy Mimbrenio wskazał na jakiś wmurowany kamień.
- Napis — rzekł — lecz nie indiański.

Oświetliłem wskazane miejsce i z łatwością odczytałem: Alonso Vatrgas of. en min. y comp. A.D. MDCXI. Uzupełniając skróty: Alonso Vargas, oficial en minas y companneros, Anno Domini MDCXI, co znaczy Alonso Vargas, górnik, oraz towarzysze w roku pańskim 1611. A więc dwieście pięćdziesiąt lat minęło od czasu, gdy dzielny górnik hiszpański wydrążył te podziemia. Zanotowałem napis, ponieważ nie sądziłem dotychczas, aby Hiszpanie już wówczas przeniknęli do tak odległych okolic Meksyku, zwanego przez nich Nową Hiszpanią.

Szliśmy coraz dalej, aż do końca tunelu. Stanowił go mur kamienny. Aczkolwiek nie dostrzegłem w nim żadnego otworu, płomień pochodni był stale pochylony. Okazało się, że mur tworzył rodzaj rzeszota. Tam, gdzie zbiegały się kanty gładów, nie była cementu, wskutek czego powstały liczne, a niewidoczne otworki. Na jednym z gładów znalazłem napis: E. L. 1821. E. L. były to zapewne czyjeś inicjały, cyfra oznajmiała, że tunel został zamurowany w roku 1821. Być może w tym samym roku zdjęto most nad przepaścią i zamaskowano wejście do jaskini, ale w jakim celu? Otworki w murze pozostawiono, aby powietrze mogło swobodnie krążyć i aby późniejszego przybysza nie zadusiły nagromadzone gazy trujące.

Co mieliśmy zrobić? Przez jakiś, czas nasłuchiwaaliśmy. Za murem ani szmeru. Odważyłem się zapukać. Żadnej odpowiedzi. A jednak serce moje skakało z radości. Wiedziałem bowiem, że za tym murem znajdę swoich ziomków. Jeśli tak miało być istotnie, jakże łatwo mógłbym ich uwolnić. Trzeba było tylko przedostać się przez mur. Trzeba było wydrążyć otwór odpowiedniej miary. Ale czym? Nie mieliśmy innych narzędzi prócz noży. W ciągu całego dnia pracy zdołalibyśmy usunąć tylko jeden gład. Jednakże wziętem się ochoczo do roboty. Mimbrenio dzielnie mi pomagał.

Pracowaliśmy dopóki pochodnie płonęły, a potem jeszcze po omacku. Zmęczeni wróciliśmy do jaskini, gdzie konie wciąż jeszcze leżały na tym samym miejscu. Teraz mogły się podnieść i posilić. A my, skoro tylko zażegnaliśmy głód, wróciliśmy do podziemi, biorąc ze sobą kilka pochodni i większą ilość świec oraz nieodzowne narzędzia, między innymi łomy.

Po ciężkiej pracy około godziny siódmej wieczorem wreszcie usunęliśmy pierwszy gład. Spojrzałem przez otwór: ciemność głęboka i cisza. Z drugim gładem uporaliśmy się o wiele łatwiej, bo po dwóch godzinach pracy. O godzinie dziesiątej usunęliśmy trzeci. O północy leżało u naszych stóp już siedem wyrwanych kamieni. O pierwszej po północy mogliśmy się przeczołgać przez dość szeroki otwór, co też natychmiast uczyniliśmy, zachowując najwyższą ostrożność, gasząc nawet pochodnie.

Stwierdziwszy, że nic nam nie grozi, zapaliliśmy świecę. Spostrzegłem, że mur z tej strony tak był pomalowany, iż nie różnił się od otaczających go skał.

Znaleźliśmy się w szerokim i dość wysokim korytarzu, który wspierał się na naturalnych blokach skalnych. Lewa część korytarza kończyła się po kilku krokach. Skierowałem się więc w prawo. Wzdłuż murów leżało wiele przeróżnych narzędzi. Przeciąg był tu silniejszy. Wkrótce weszliśmy do sześciennego komory. Pośrodku ujrzałem wielką skrzynię. Do czterech jej boków przymocowane były sznury skręcone z rzemieni; przywiązane u góry do łańcucha. Nad skrzynią widniał otwór nieco większy niż podstawą skrzyni. Był to na pewno szyb, skrzynia zaś winda. Leżały jeszcze inne najrozmaitsze przedmioty, na które chwilowo nie zwróciłem uwagi, gdyż zaintrygowało mnie dwoje drzwi z nieociosanego drzewa, zamkniętych na ciężkie zasuwę. Jedne na wprost korytarza, drugie z prawej strony, prawdopodobnie prowadziły do tej części kopalni, gdzie odbywały się roboty.

Przede wszystkim skierowałem się ku stronie prawej. Odsunęliśmy obydwie zasuwę. Mimbrenio trzymał pochodnię. W chwili gdy otworzyłem drzwi, wpadła na mnie jakaś postać kobieca, wbiła wszystkie paznokcie w moją szyję i wrzasnęła: — Podły łotrze! Znowu przyszedłeś! Puścisz mnie albo cię zaduszę!

Powitanie niezbyt przyjazne. Nie obruszyłem się jednak, ponieważ na pewno było skierowane pod innym adresem. Oderwałem od szyi ręce wściekłej istoty, w której ze zdumieniem poznałem Judytę, i trzymając je z dala od mojej twarzy, odpowiedziałem:

— Przepraszam panią, zechce pani zwrócić uwagę na pomyłkę. Nie przyszedłem tu po to, aby ginąć z delikatnej rączki.

Mimbrenio oświecił moją twarz. Judyta poznała mnie i krzyknęła:

— Ach, to pan? Dzięki Bogu! Nie pozostawi mnie senior w tym lochu?!

— Nie. Uwolnię panią. Lecz kto panią uwięził?

— Melton, ten potwór, ten szatan wcielony!

— Ale w jaki sposób senioritę tutaj sprowadził? Wszak niełatwo pani ulega przemocy.

— Oszukał mnie. Poszłam za nim dobrowolnie. Zjechaliśmy w dół w skrzyni.

— Powiedział zapewne, że zobaczy się pani z ojcem?

— Tak, powiedział mi to. Miałam sprowadzić ojca na górę. Czy wie senior, że ojciec jest uwięziony w podziemiu?

— Wiem. W ogóle wiem nieco więcej, niż się pani spodziewa. Wiem na przykład, że młody wódz Jumów, Przebiegły Wąż, wczoraj rozmawiał z pewną damą, która go tak zachwycała, iż obiecał jej złoto, klejnoty, zamek, pałac, piękne ubiory i wiele służby.

Nie zarumieniła się nawet. Odpowiedziała zupełnie swobodnie:

— Pan z nim rozmawiał?

— Nie.

— Czy Przebiegły Wąż był już u Meltona?

— Nie wiem. Należy sądzić, że pójdzie do niego, jeśli jeszcze nie poszedł.

— Czekam na niego. Kiedy senior i poznałam, sądziłam, że on pana przysłał po mnie. Wcześniej jednak wzięłam pana za tego łotra Meltona.

— A jednak trzymała pani z Meltonem.

— Tak, ponieważ wiele mi obiecywał.

— Złote, klejnoty, pałac i zamek... Czy istotnie wierzyła mu pani? To, że zwabił pani rodaków, aby ciężko na niego pracowali, musiało chyba senioritę pozbawić zaufania do tego człowieka. Jak właściwie wyobrażała sobie pani ich los?

— Wcale nie źle a dobrze. Mieli pracować przy wydobyciu pewnej ilości rtęci, co nie trwa wszak długo. Melton wzbogaciłby się ogromnie, puściłby na wolność robotników, wynagradzając ich tak sownie, iż zapewniłby im przyszłość bez pracy.

— I pani w to uwierzyła?

— Tak.

— Hm. Los ich wyglądałby nieco inaczej. Wskutek panujących w podziemiach mroków, wskutek złego pożywienia i rtęciowych oparów, po dwóch, trzech latach żaden z robotników nie pozostałby przy życiu.

— Po dwóch czy trzech latach? Praca miała trwać zaledwie kilka miesięcy.

— W takim krótkim czasie nie można się wzbogacić tak dalece, alby tylu ludziom zapewnić przyszłość bez troski. Czy pani istotnie zamierzała zostać żoną Meltona?

— Dlaczegoż by nie?

— A teraz chce pani poślubić Przebiegłego Węża?

— Tak, aby ukarać Meltona!

— A dawny narzeczony, który był pani tak wierny?

— Cóż on mnie obchodzi? Zresztą nie żyje.

— Tak. Pożarli go sępy. Seniorita posiada tyle właśnie sumienia, co Melton. Mam wielką ochotę zamknąć panią ponownie i pozostawić ją własnemu losowi.

Dotychczas stała między mną a drzwiami. Teraz zerwała się z miejsca i krzyknęła:

— Tego pan nie może zrobić! Nikt nie zdoła mnie zamknąć w tym lochu.

— Nie uczynię tego. Będzie pani wolna.

— Byłabym wolna, nawet gdyby mnie pan tutaj pozostawił, gdyż wódz na pewno przyjdzie mnie wyzwolić.

— Nie będzie mógł.

— Kto mu przeszkodzi?

— Melton.

— Wódz ma go w swojej mocy.

— Przebiegły Wąż mówił to wczoraj, ale teraz bardzo możliwe, iż Melton ma nad nim przewagę. Jeśli tak się stało, to z pani winy.

— Jak to?

— Wyjaśnię pani, jeśli się przedtem dowiem, o czym rozmawiałaś z Meltoniem. Przebiegły! Wąż radził wystawić Meltona na próbę. Jakże to pani zrobiła?

— Zażądałam widzenia się z ojcem. Odpowiedział, że muszę jeszcze poczekać, ponieważ obecność ojca w sztolni jest nieodzowna. Nie zadowoliliam się tą odpowiedzią, trwałam przy swoim żądaniu i zagroziłam mu, że go porzucę.

— Cóż Melton na to?

— Roześmiał się i powiedział, że wszak nie odejdę bez ojca. Wówczas zagroziłam mu zemstą wodza.

— Ach, właśnie pomyślałam to sobie.

— Cóż to szkodzi? Niech wie, że nawet pozbawiona ojca nie pozostałam bez opieki i obrony.

— Zaraz seniorita zrozumie, że postąpiła niezbyt sprytnie. Sądzę, iż nie tylko powołała się pani na Indianina jako na swojego obrońcę; ale że jeszcze coś ponadto wygadała?

— Dlaczego nie miałam odpowiadać, skoro pytał?

— Powiedziała mu pani zapewne, że Przebiegły Wąż przyrzekł senioricie to samo szczęście i ten sam dobrobyt, co Melton?

— Tak.

— I że zabije Meltona, jeśli odważy się zrobić pani coś złego?

— To szczególnie musiałam zaakcentować.

— Niech pani dziękuje Bogu, że ja się tutaj zjawiłem, albowiem Przebiegły Wąż nie zdoła wydobyć pani z tego szybu.

— Ależ on na pewno przyjdzie!

— Nie zrobi tego, bo nie może. Dzięki pani Melton został doskonale poinformowany o swoim rywalu i wie, czego się ma po nim spodziewać.

— To nic nie szkodzi. Wiem, że Melton zależny jest od Indian i nie może narażać się ich wodzowi

— Ja zaś wiem, że wcale się go nie lęka. Los pani jest tego najlepszym dowodem. Mimo pogroźek seniority uwięził panią w kopalni. To chyba dowód przekonywający, iż Melton nie obawia się Indianina.

— Wkrótce dowie się o swojej pomyłce. Powiedziałam mu, że Przebiegły Wąż będzie na mnie czekał i zgłosi się po mnie, jeśli nie przyjdę.

— Ach, to już największy błąd, jatki mogła pani popełnić. Melton jest uprzedzony i uzbroi się odpowiednio na przyjęcie wodza. Sądzę, że pani obrońca sam potrzebuje teraz obrony.

— Myśli pan, iż Melton się odważy? Całe plemię Jumów pomściłoby śmierć swojego wodza.

— Myli się pani. Melton, którego pani sama nazwała szatanem wcielonym; nie jest tak głupi, aby wyjawić to, co zamierza, lub czego może już dokonać. Łatwo potrafi usunąć wodza w taki sposób, że nikt się o tym nie dowie. Może być pani pewna, iż gadatliwością naraziła swego obrońcę na największe niebezpieczeństwo.

— Jeżeli tak jest w rzeczywistości, to sądzą, że pan go wybawi! Melton natychmiast chwyci się najgorszych środków.

- Czy wie pani, gdzie są jej ziomkowie? Melton chyba pani opowiadał.
- Mówiliśmy często o nich, lecz bardzo pobieżnie.
- Ale ci ludzie muszą jeść i pić. Kto im dostarcza wikt?
- Melton mówił, że wody jest dosyć w podziemiach. Prowiantów zaś dostarczają im dwaj Indianie.
- Czym ich żywią?
- Wyłącznie plackami z kukurydzy, które wypiekałam wraz z kobietami indiańskimi.
- Ponieważ robotnicy znajdują się tu nie z własnej woli, więc zapewne poczyniono odpowiednie zarządzenia, aby przeszkodzić ich ucieczce. Czy nie wie pani jakie?
- Zakuto im nogi i ręce w okowy.
- Jakże mogą ci biedacy pracować?
- Chwilowo jeszcze nie pracują. Czekają na przybycie kilku białych nadzorców i instruktorów.
- Jak są rozmieszczeni: każdy z osobna czy też razem?
- O ile wiem, razem.
- Dwaj Indianie, którzy zaopatrują ich w żywność, są przecież wystawieni na niebezpieczeństwo?
- Nie, ponieważ oddzielają ich mocne drzwi. Mam nadzieję, że pan potrafi je otworzyć?
- Z całą pewnością.
- I wypuści pan uwięzionych?
- Oczywiście.
- Co się stanie z Meltonem? Pozwoli mu senior uciec?
- Pozwolę mu zawisnąć na szubienicy.
- Powiem panu, jak senior ma się do tego zabrać. Nie powinien pan się do niego zbliżyć poza mieszkaniem, gdyż niechybnie seniora zastrzeli.
- Nie przypuszczam.
- O, jednak Melton nie wychodzi z domu bez dwóch rewolwerów, które odkłada jedynie w mieszkaniu. Niech pan go zaskoczy, w domu.
- Zastosuję się do tych wskazówek, aczkolwiek nie lękam się owych rewolwerów.
- Czy zna pan jego mieszkanie?
- Nie. Wiem tylko, że leży na poziomie szybu. Sądzę, że pani mogłaby mnie poinformować.
- Owszem, znam je dokładnie, Zostało zbudowane przez niejakiego Euzebiusza Lopeza.
- Euzebiusz Lopez? Poprzednio natknąłem się na litery E. L., zapewne to są jego inicjały. Mieszkanie jest jednocześnie kryjówką, nie może przeto być obszerne.
- Jest dość duże. Dawniej na górze w skale była rynna, którą Lopez zamurował. W ten sposób powstał kryty korytarz, który zaczyna się w szybie i prowadzi do mieszkania. Rynna była bardzo szeroka i Lopez przedzielił ją murami. Utworzyło się kilka pokojów. Ściana zewnętrzna wygląda jak skała, wskutek czego z dołu nie można poznać, że na górze mogą mieszkać ludzie. Oknami są wydrążenia, niewidoczne na pierwszy rzut oka.
- Na jaką trzeba zejść głębokość, aby się dostać do korytarza?
- Może dwadzieścia stopni po drabinie.
- Widzę jednak skrzynię wiszącą na łańcuchu. Sądzę, że na górze jest kołowrót, który wciąga ją do góry.
- Owszem, jest.
- W takim razie drabina zbyteczna.
- Drabina prowadzi tylko do korytarza. Z korytarza zaś w dół idzie winda.
- Dobrze. A mieszkanie?
- Składa się z czterech pokojów. Dwa na końcu korytarza, dwa inne po obu jego stronach.

— W którym znajdę Meltona?
— Z prawej strony mieszkają stare Indianki, z lewej ja mieszkałam, na wprost zaś prawa para drzwi prowadzi do Wellerów, lewa do Meltona.
— Jakie zamki są w drzwiach?
— Nie ma żadnych. Drzwi nie są z drzewa. To jedynie maty, zwisające z góry.
— Kto wciąga windę do góry?
— Indianie, którzy czuwają na górze. Są to... Uwaga.
Zwróciła się w kierunku szybu. Stamtąd brzęczał łańcuch skrzyni. Widzieliśmy, jak podnosiła się powoli do góry.
— Tam nie śpią jeszcze — rzekłem.
— Po co wciągają skrzynię? Czyżby chciał ktoś zjechać?
— Teraz przekona się pan, że nie miał racji, gdyż z pewnością jedzie wódz indiański.
— Sądzi pani zbyt pochopnie. Jeśli ktoś zjedzie, to na pewno będzie to Melton albo stary Weller.
— Weller dzisiaj tu nie ma.
— Gdzie jest?
— Pojechał z wieloma Indianami odszukać pana, w razie pańskiego przybycia zawiadomić o tym Meltona. Zapewne nie spostrzegł seniora, gdyż byłby już wrócił.
— A więc nie jego mamy się tutaj spodziewać. Będzie to Melton.
— Najlepsza sposobność, aby go złapać!
— To jeszcze zależy od wielu okoliczności. Trzeba być przezornym. Weller mógł już wrócić, może być przy Meltonie. Musimy czekać na dalszy rozwój wypadków. Dlatego panią proszę, abys się pozwoliła z powrotem zamknąć.
— Zamknąć? — zapytała przerażona. — Nie, ma to nie pozwolę. Jestem ogromnie zadowolona, że się wydostałam.
— Daję pani słowo, że ją na pewno wypuszczę. Chcę tylko zobaczyć, kto tu przyjdzie i w jakim celu, powinien przeto zastać wszystko po dawnemu.
Opierała się, lecz w końcu uległa. Zamknąłem drzwi na zasuwę i ukryłem się wraz z Mimbreniem za wielkim stosem drewna, nagromadzonego tam, gdzie zaczynała się rozkopana część korytarza. Pogasiliśmy światło i czekaliśmy przyczajeni.
W tej chwili dobiegł nas hałas opuszczanej skrzyni. Wzmagał się z minuty na minutę. Z góry padał odblask; skrzynia uderzyła o grunt. Stał w niej Melton z latarką przypiętą do pasa. Wysiadł z windy i wyciągnął przedmiot, w którym mimo oddalenia poznałem skrepowanego człowieka. Tu, na dole, akustyka była doskonała. Dlatego słyszałem każde słowo Meltona. Wołał szyderczo:
— Tęskniłeś do swego Białego Kwiatu?! Dlatego sprowadziłem cię, abys mógł ją ujrzeć. Uważaj!
Doszedł do drzwi, które więziły Judytę, otworzył je i zawołał:
— Zechce pani łaskawie wyjść do nas. Oczekuje panią radosna niespodzianka.
Judyta wyszła. Doprowadził ją do łożącego na ziemi Indianina i zapytał:
— Zna go pani? Mam nadzieję, że pani przypomina sobie Przebiegłego Węża?
— Przebiegły Wąż! — krzyknęła zaskoczona. — Spętał go pan?!
— Tak. Widzi pani, jaki bohater z ukochanego! Przyszedł, aby pociągnąć mnie do odpowiedzialności i aby panią uwolnić, i oto sam został strącony w podziemia. Nigdy już nie ujrzy światła dziennego. Za wiele mi pani o nim naopowiadała, abym mu miał darować życie!
— Nie sądz, że ujdzie ci to bezkarnie. Jumowie pomszczą swego wodza.
— Ani myślą. Nie wiedzą, że ja jestem sprawcą jego zniknięcia. Pani ręce!
Wyciągnęła ręce, mówiąc:
— Zwiąż mnie. Nie chcę z panem walczyć, ponieważ brzydzę się pańskiego dotknięcia —
Lecz kara cię nie minie!

— Chce pani zostać prorokinią, Judyto? To nieopłacalny interes; dzisiejsza ludzkość cierpi na brak wiary.

Związał jej ręce na plecach i popchnął do ciemnego lochu. Nie stawiała oporu. Wrzucił za nią Indianina, zamknął drzwi, zaryglował, po czym przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał. Wreszcie wrócił do skrzyni i za pomocą zwisającego sznura dał znać do góry, aby go wciągnięto z powrotem. Skrzynia zaczęła się podnosić. Światło znikło, a wraz z nim ucichł odgłos obijania się skrzyni o mur.

Mój Mimbrenio nie szepnął jeszcze ani słówka, od chwili gdy przeczozłaliśmy się przez otwór w murze. Teraz jednak był do takiego stopnia zdumiony moim zachowaniem, że zapytał:

— Biały, którego chcieliśmy schwytać, był tutaj. Mogliśmy łatwo i szybko go ująć. Dlaczego Old Shatterhand wypuścił go z rąk?

— Ponieważ i tak jestem pewny jego ujęcia. Kiedy później zaskoczymy Meltona, ogarnie go dwakroć większe przerażenie.

Zapaliłem światło i otworzyłem drzwi, do których całym ciałem przywarła Judyta. Odetchnęła głęboko i rzekła:

— Dzięki Bogu! Już lękałam się, że pan nie nadejdzie!

— Ja dotrzymuję słowa. Czy rozmawiała pani z wodzem?

— Jeszcze nie. Z przerażenia zaniemówiłam, Słyszał pan, co mówił Melton?

— Wszystko.

— Jakże łatwo mógł pana odkryć. A wówczas znów byłabym w jego mocy.

— Nie, wówczas on byłby w mojej. Porozumiem się z Przebiegłym Wężem. Chwalić Boga, że Melton tylko tak się z nim obszedł. Dał mi do ręki atut, którym go pokonam.

Zbliżyłem się do Indianina i przeciąłem więzy. Podniósł się szybko i zwrócił do Judyty:

— Kim jest ta blada twarz? Znajduje się w naszym szybie, a jednak do nas nie należy?

— Mój czerwony brat dowie się zaraz, kim jestem — odpowiedziałem zamiast dziewczyny. — Wyprowadzę Przebiegłego Węża i białą kobietę nie znaną wam drogą. Wówczas będzie mógł mój czerwony brat pojąć Biały Kwiat za squaw, wybudować jej pałac i zamek.

Moja osoba, obecność i każde słowo były dla niego zagadką. Bawił mnie wyraz zdumienia, widoczny na jego obliczu.

— Mój biały brat zna nie znaną mi drogę z szybu? — zapytał. — Wie również, że kocham białą kobietę i co jej przyrzekłem? Czy nie zechce mi powiedzieć, kim jest?

— Moje imię w języku Jumów brzmi Tave-schala.

— Tave-schala! Old Shatterhand! — zawołał, cofając się o dwa kroki i patrząc na mnie jak na upiora. — Old Shatterhand tu, pomiędzy nami, w naszym szybie!

Nie dowierzał własnym uszom.

— Jeśli nie wierzysz, zapytaj białej dziewczyny.

— Old Shatterhand, wróg naszego plemienia! Pośród naszego obozu! W sercu Almaden!

— Mylisz się, nie jestem wrogiem waszego plemienia, byłem zawsze przyjacielem wszystkich czerwonych braci.

— Lecz ty właśnie zabiłeś Małe Usta, syna naszego wodza!

— Zmusił mnie do tego, ponieważ chciał zabić młodego Mimbrenia, jego brata i siostrę.

— Wódz zaprzysiął ci zemstę!

— Wiem o tym, ale czy z tego powodu ty również jesteś moim śmiertelnym wrogiem?

— Muszę słuchać wodza.

— Żaden czerwony wojownik nie jest nikomu podległy, a tym bardziej ty. Wasz wódz może swoją sprawę sam ze mną załatwić, niepotrzebni mu pomocnicy. Oswobodziłem cię, dowodząc tym czynem, że nie jestem wrogiem Jumów. Gdybym nim był, zabiłbym

wszystkich waszych wojowników, których spotkałem po drodze z hacjendy del Arroyo. Było ich czterdziestu, żadnego nie zgładziłem, a tylko wziąłem do niewoli.

— Wszystkich do niewoli? — powtórzył zdumiony. — Gdzie się znajdują?

— Przy oddziale Mimbreniów, z którym przybyłem.

— Czy Mimbreniowie są przy tobie?

— Nie. Pod dowództwem Winnetou, wielkiego Apacza, czekają na mój powrót w takim miejscu, którego nie potraficie odszukać. Sam też oswobodzę wszystkie blade twarze, zamknięte w podziemiach, sam jeden, gdyż nie potrzebuję niczyjej pomocy.

Nadmierne zdumienie nie pozwalało mu mówić. Więc spokojnie kontynuowałem:

— Nietrudno nam będzie zwyciężyć Jumów, którzy czuwają w Almaden, Nie życzyłbym sobie jednak przelewu krwi. Niech Przebiegły Wąż powie, czy chce zostać moim wrogiem — czy przyjacielem?

Indianin wydawał mi się człowiekiem bardzo uczciwym. Dlatego obchodziłem się z nim oględnie. Zastanawiał się przez kilka minut, patrząc na mnie uważnie, po czym rzekł:

— Kazano mi być wrogiem Old Shatterhanda. Muszę być posłuszny rozkazowi. Ocalił jednak mnie i Biały Kwiat, przeto pragnę ofiarować Old Shatterhandowi przyjaźń. Nie mogę uczynić tego, czego serce pożąda, ani tego, do czego skłania mnie rozkaz; nie będę przyjacielem Old Shatterhand ani jego wrogiem. Może ze mną zrobić co tylko zechce.

— Mój brat mówi bardzo rozsądnie. Czy jednak zastosuje się do roli, którą mu wyznaczę?

— Tak. Nie uniknąłbym śmierci; więc odbierz mi życie, a nie będę się bronił.

— Odbiorę ci nie życie, tylko wolność, przynajmniej na jakiś czas. Czy będziesz się uważał za mojego jeńca?

— Tak.

— Czy muszę cię związać, abyś nie umknął?

— Czy zwiążesz mnie, czy nie, pozostanę przy tobie, dopóki mi nie powiesz, że jestem wolny. Lecz niczego więcej ode mnie nie żądaj. Nie udzielę ci ani pomocy, ani wskazówek.

— Dobrze więc, umowa stoi. Jesteś moim jeńcem i słuchasz moich rozkazów. Niepotrzebna mi twoja pomoc w; tym, co zamierzam zrobić.

Uwolniłem również ręce dziewczyny i udałem się na poszukiwanie robotników. Droga, która zaprowadziła mnie do Judyty, była krótka. Rozpoczęto tu kopanie nowego tunelu; zaniechano go jednak. Robotnicy znajdowali się zapewne za drugimi drzwiami. Kiedy, otworzyłem je, znaleźliśmy się jak gdyby w komorze, z której prowadziły trzy korytarze w różnych kierunkach. Czuć było siarkę; oddychało się z trudem. Dwa korytarze były otwarte. Natomiast wejście do trzeciego zamykały drzwi. Zobaczyłem tu również zamknięte okienko. Otworzyłem je, ale musiałem się szybko cofnąć przed straszliwymi wyziewami, bijącymi z wnętrza. Po otwarciu drzwi buchnęły na mnie gęste wyziewy, niemożliwe do opisania. W korytarzu można było jedynie poruszać się skurczywszy we dwoje. W takich to warunkach pracowali emigranci! Leżeli pokotem tuż za drzwiami mężczyźni, kobiety, dzieci. Kiedy padł na nich blask naszego światła, podnieśli się wszyscy. Zabrzmiał zgiełk łańcuchów, do których były przymocowane okowy, skuwające im ręce i nogi. Dzieci poczęły płakać ze strachu, kobiety błagały o chleb, mężczyźni złorzeczyli. Zaciskano i podnoszono pięści. Była to chwila najwyższego podniecenia. Lecz parę moich głośno wypowiedzianych słów przemieniło niebezpieczną nienawiść w coś wręcz odwrotnego. Skakano z radości, obejmowano mnie, wielu płakało ze szczęścia. Sporo czasu upłynęło, zanim uspokoili się na tyle, że mogłem się od nich czegoś dowiedzieć.

Wódz przyglądał się temu z daleka. Kiedy nieco rozluźniło się dokoła mnie, podszedł i rzekł:

— Powiedziałem, że Old Shatterhand nie uzyska ode mnie żadnej pomocy. Jednakże coś chciałbym mu powiedzieć: Tam, w rysie muru, leży klucz, którym otwiera się okowy.

Był widocznie wzruszony widokiem nieszczęśliwych. Nie upłynęło pięć minut, a wszystkie kajdany były zdjęte i odrzucone. Teraz oswobodzeni chcieli wyjść, wyjść na wolność. Z trudnością przywołałem ich do spokoju. Zgiełk mógł łatwo dotrzeć do Meltona i ostrzec go, więc spodziewając się napaści, zarządziłem, aby zabrano, jako broń wszystkie narzędzia: młoty i piły.

Naraz uwaga tłumu skupiła się na czerwonoskórym. Wiedzieli, kim jest i jaką rolę odgrywał w przestępstwach Meltona. Chcieli się rzucić na niego. Ledwo zdołałem go uchronić przed linczem. Zapewniłem ich, że jest moim zakładnikiem i jako taki może im się bardzo przydać.

Poszliśmy drogą prowadzącą do jaskini. Ponieważ mogliśmy iść tylko gęsiego, utworzył się więc długi szereg. Po pewnym czasie dotarliśmy do celu.

Była już godzina trzecia lub czwarta, a więc czas najwyższy na schwytanie Meltona. Chciałem się wprawdzie szczegółowo rozmówić z emigrantami, ale musiałem odłożyć to na później, ponieważ przed świtem należało opuścić Almaden. Wybrałem dziesięciu na silniejszych mężczyzn, którzy mieli mi towarzyszyć.

Drogę na płaskowzgórzu każdy z dziesięciu emigrantów znał dobrze, ponieważ tędy ich prowadzono. Dotarliśmy tam bardzo prędko. Można było nie lękać się straży; gdyby nawet usłyszeli odgłos kroków, z pewnością przyjęli nas za swoich.

Domek nad szybem oprócz drzwi posiadał kilka otworów okiennych. Stąd biło światło. Śmiało podeszliśmy wprost do domu. Trzej Indianie wartownicy poderwali się z miejsca, lecz natychmiast spętaliśmy ich własnymi pasami. Następnie zostali wyniesieni i ułożeni w takiej odległości, że z domu nie można było ich dostrzec. Dziesięciu emigrantów pozostało przy nich. Zarządziłem to ze względu na Meltona, który nie powinien się być od razu zorientować w sytuacji.

Mogłem go schwytać sam. Dla pewności jednak zabrałem ze sobą młodego Mimbrenia, na którym mogłem bardziej polegać niż na dziesięciu białych.

W domku znaleźliśmy kilka małych latarek. Zapaliłem jedną z nich i zawiesiłem na guziku od kamizelki, aby łatwo dała zasłonić się płaszczem. Sądziłem, że znajdę tu kołowrotek od windy. Jednak nie widząc go, skorzystaliśmy z drabiny. Zszedłem po niej, za mną zaś Mimbrenio.

Otwór był tutaj o wiele szerszy niż na dole. Wkrótce znalazłem się w czworokątnej bocznicy szybu. Opodal stał kołowrót nad prowadzącą do głębi dziurą — Na trzech ścianach wisiały wszystkie niezbędne narzędzia; w czwartej był wybity obszerny otwór — początek poszukiwanego korytarza. Nasłuchiwałem; w głębi panowała cisza.

Przysłoniłem latarkę, tylko czasem rzucając smugę światła na drogę. Korytarz był długi, wydawać by się mogło, że nie ma końca. Wreszcie ujrzeliśmy z prawej i lewej strony drzwi. Były zasłonięte matami. Zdawało się, że wszyscy śpią. Jednakże, kiedy zbliżyłem się jeszcze o kilka kroków, usłyszałem rozmowę. Głos dobiegał spoza lewych drzwi, a więc z pokoju Meltona. Podeszedłem bliżej i uchyliłem nieco matę. Paliła się tu świeca, pozwalając dokładnie obejrzeć wnętrze. Pokój był duży. W kącie na lewo znajdowało się posłanie z kołder. Pośrodku stał z gruba ciosany stół, na nim leżały dwa rewolwery i nóż, dokoła zaś stały z gałęzi plecione krzesła, a raczej stołki. Na ścianie z prawej strony wisiały dwie strzelby, obok nich obszerna torba skórzana, z pewnością zawierająca naboje. Melton siedział przy stole i rozmawiał z Indianką. Stała między stołem a drzwiami. W chwili gdy lustrowałem pokój, mówił Melton w żargonie indiańsko-hispańskim.

— Chyba współczucie nakazuje ci wypytywać się o jej los?

— Współczucie? — odpowiedziała skrzypiącym głosem. — Cieszę się w głębi serca! Nie znosimy jej nie mniej niż ona nas.

Niewątpliwie mowa była o Judycie.

— Wobec tego ucieszysz się bardziej wiadomością, że ona już nigdy nie wróci. Same jesteście sobie paniami. Służcie mi tylko wiernie, a sowiec was wynagrodzę.

— Jesteśmy ci wierne, senior, ponieważ przyrzekłeś nam wiele pięknych rzeczy, a nie wątpimy, że dotrzymasz obietnicy. Obyś mógł tylko pokonać wrogów, których się spodziewasz.

— O, nie lękam się wcale. Szaleńcy sami oddają się w nasze ręce. Zresztą, nie dotrą tutaj. Ostrzeżeni przez wywiadowców, wyjdziemy na ich spotkanie i wytepiemy co do nogi.

— Słyszałyśmy, że towarzyszy im wielki Winnetou i pewien dzielny biały wojownik. Tego nie znam, ale wiem, że niełatwo pokonać wielkiego Apacza. Jego przebiegłość przekracza granice wyobraźni. Być może, wywabi naszych ludzi z Almaden, aby je podstępnie zająć.

— To mu się nie uda. Ale gdyby tutaj przybył, wiadomo wam, co należy czynić. Nóż leży przy kołowrocie. Lecz nawet gdyby nas pokonał, nie mógłby zdobyć skały, która jest wspaniałą, niedostępną twierdzą. Wbrew naszej woli nikt tu nie wejdzie, szczególnie zaś Winnetou i biały, o którym mówiłaś.

Nie chciałem już dłużej słuchać jego pustych przechwałek, ponieważ czas naglił do pośpiechu. Odsunąłem zasłonę, wszedłem do pokoju i rzekłem:

— Myli się pan bardzo, mister Melton. Jak pan widzi, jesteśmy już tutaj!

W tej samej chwili schwyciłem ze stołu rewolwery i — nóż i stanąłem między nim a bronią wiszącą na ścianie. Cofnął się przede mną jak przed zjawą.

— Old Shatterhand! Do stu diabłów! — zawołał. — A więc jest tutaj i Winnetou. Prędko! Prędko spełnij swoją powinność, gdyż jest to biały, o którym mówiłaś!

Okrzyk był skierowany do Indianki Zerwała się z miejsca, ale schwyciłem ją i rzuciłem na posłanie. Nadbiegł Mimbrenio, aby ją przytrzymać. Miotła się, nie mogąc wyrwać, więc krzyknęła kilka indiańskich słów. Zrozumiałem tylko dwa: ala i akwa, pierwsze było imieniem kobiecym, drugie oznaczało nóż. Okrzyk był chyba skierowany do drugiej starej Indianki, która się znajdowała za drzwiami. Nie mogłem się nią zająć, ponieważ musiałem skupić uwagę na Meltonie, który klnąc, usiłował mi rozbić głowę jedyną swoją bronią — stołkiem. Podbiegłem w porę, podniosłem go do góry i rzuciłem o mur z takim rozmachem, że zwałił się na ziemię jak złamany. W tej chwili na korytarzu odezwał się głos kobiecy. Melton chciał się podnieść, trzymałem go jednak mocno za ramiona. Usiłował odepchnąć mnie kolanami. Ponieważ w kącie leżały lassa, jednym z nich związałem Meltona.

Kiedy wyszedłem z pokoju, usłyszałem szcęk łańcucha. Pobiegnęłem szybko w tę stronę, korzystając ze światła latarki. A kiedy stanąłem u kołowrotu, ujrzałem starą Indiankę. Zanim zdążyłem jej przeszkodzić, przecięła rzemień łączący łańcuch windy z kołowrotem. Łańcuch runął z ciężkim brzdękiem w głąb szybu.

Teraz rozumiałem słowa Meltona: „Wiadomo wam, co należy uczynić”. W razie klęski i niebezpieczeństwa Indianki miały spuścić windę, przeciąć rzemień i w ten sposób odciąć, przynajmniej na jakiś czas, drogę do szybu. Robotnicy zginęliby, niechybnie. Byłem głęboko wstrząśnięty. Tak złowrogiego, tak piekielnego pomysłu nie spodziewałem się nawet po Meltonie. — Indianka chwyciła się drabiny. Odciągnąłem ją i przywlekłem do pokoju, gdzie leżał Melton, Zobaczywszy nas, rzucił na starą pytające spojrzenie;

— Czy łańcuch odcięty?

— Tak — skrzeknęła potakująco. Roześmiał się i rzekł szyderczym głosem:

— Diabeł wie, jakżeście się tu dostali, master. Szczęście panu dopisało. Jednak cel pańskiej wyprawy stracony.

— Jaki cel? — zapytałem, podejmując grę.

— Zna go pan lepiej niż ja; nie powiem panu nic, co mogłoby posłużyć jako dowód przeciwko mnie.

— Szukam robotników z hacjendy del Arroyo. Gdzie są?

— Nic o nich nie wiem. Poszukaj ich pan sam. Są dopiero w drodze do Almaden. Wyprzedziłem ich.

— Po co pan stracił łańcuch w głąb szybu?

— Ja? Słyszał pan wszak, że uczyniła to Indianka.

— Uczyniła to na pański rozkaz.

— Jest pan tego pewien? Proszę, spytaj Indiankę — Chętnie odpowie na wszystko. Ja jednak żądam stanowczo, abyś mnie puścił! Almaden jest moje. Ja tu jestem panem, ja tu rozkazuję i jeżeli mnie natychmiast nie puścisz, poniesiesz wszystkie konsekwencje!

— Nie lękam się żadnych konsekwencji. Co się z panem stanie i czy odzyskasz kiedykolwiek wolność — to już sąd rozstrzygnie.

— Sąd? Oszalał pan? Gdzie tu jest sąd?

— Jest już w drodze. Śledztwo wyjaśni, kto wynajął Jumów, aby napadli na hacjendę del Arroyo i w popiół ją obrócili. Odszuka się robotników. Sądzę, że jeżeli znajdziemy ich, opowiedzą nam wiele niezbyt pochlebnych rzeczy o panu.

— Wobec tego życzę seniorowi, abyś ich odnalazł — roześmiał się — i abyś miał więcej szczęścia w tym przedsięwzięciu niż ja. Nie widziałem ich bowiem od czasu, gdy rozstałem się z nimi w hacjendzie.

— Są więc istotnie w drodze. Załatwiłem tu już wszystko i wracam do hacjendy, więc spotkamy się niezadługo. Ponieważ pan mi towarzyszy, przeto będzie senior miał przyjemność powitać emigrantów i przekonać się o ich życzliwości.

Twarz Meltona wyrażała szatańskie szyderstwo.

— Bardzo mnie to cieszy, sir. Ich świadectwo będzie dowodem pańskiego bezprawnego napadu na mnie. Niech pan pomyśli o skutkach!

— Może być tylko jeden skutek: strzynek dla pana. Mam dosyć dowodów przeciwko seniorowi. Sądzę nawet, że potrafię skłonić Jumów do świadczenia przeciw panu.

— Niech pan tylko spróbuje! — rzeki, szczerze tym ubawiony.

— Na pewno spróbuje. Sądzę, że znajdzie się jeszcze coś innego. Ponieważ jest pan następcą hacjendera, więc masz kontrakty z moimi ziomkami oraz akt kupna hacjendy, podpisany w Ures. Prawdopodobnie posiada pan jeszcze inne kompromitujące listy czy papiery. Czy mogę seniora zapytać, gdzie się znajdują?

— Proszę, niech pan pyta, ilekroć się panu podoba. Nie mam nic przeciwko temu.

— Zakładam, że pan mi nie odpowie szczerze, wobec tego poszukam na własną rękę.

Przeszukałem ubranie, które nosił, i inne, które wisały w pokoju. Specjalnie ominąłem najprawdopodobniejszą skrytkę i udałem się do innych pokojów. W pokoju Wellerów nic nie znalazłem. W pokoju Judyty i Indianek leżało sporo żywności, która mogła nam się przydać. Miałem bowiem żywność tylko dla siebie i Mimbrenia. Kiedy wróciłem do Meltona, zapytał, szydząc ze mnie:

— Na pewno pan znalazł, master. Nie ulega wszak żadnej wątpliwości, i Old Shatterhand od razu każde pismo wywęszy!

— Jest to tak pewne, że nawet osobiście nie zadam sobie trudu. Mój młody towarzysz opuka ściany. Na pewno znajdzie wydrążoną skrytkę. Ludzie pańskiego pokroju zwykle mają takie schowki.

— Niech puka! Mnie to tylko bawi.

Mimbrenio zaczął szukać, ja uważnie obserwowałem Meltona. Każdy kryminolog wie, że w rewizji mieszkaniowych najlepszą wskazówką są oczy i wyraz twarzy ukrywającego. Umówiłem się po cichu z Mimbreniem aby szukał drażonych miejsc w ścianach i podłodze. Natomiast gdybym chrząknął, miał chwilowo oddalić od podejrzanego miejsca, aby za moment powrócić. Udawałem, że całą uwagę skupiam na ruchach chłopca, istocie zaś nie spuszczałem oczu z Meltona. Aby tego nie zauważył, stanąłem w cieniu.

Melton spoglądał na chłopca z pewnością siebie, która wszakże opadała w miarę, jak chłopiec zbliżał się do postania. Kiedy podszedł bliżej, kaszlałem po cichu. Oddalił się i natychmiast twarz Meltona przybrała wyraz zadowolenia. Ponieważ powtarzało się to kilkakrotnie, więc nabrałem przekonania, że skrytka znajduje się w samym postaniu lub w pobliżu. Przestałem więc chrząkać, kiedy Mimbrenio ponownie się do niego zbliżył. Wskutek tego przeszukał je starannie. Melton był bardzo zaniepokojony, lecz rychło odzyskał humor, gdyż chłopiec, nic nie znalazłszy, szukał gdzie indziej.

Byłem pewny, że trzeba przeszukać podłogę pod postaniem. Nie chcąc jednak, aby Melton wiedział o pomyślnym wyniku, kazałem Mimbreniowi zaprzestać poszukiwań. Melton od nowa zaczął z nas szydzić. Nie odpowiadając na drwiny, pozostawiłem go wraz z Indiankami pod opieką chłopca i udałem się do dziesięciu emigrantów, którzy czuwali przy pojmanych wartownikach. Jeden wystarczał, aby podołać zadaniu. Reszta musiała pójść ze mną po żywność. Niebawem wnieśliśmy czerwonoskórych jednego po drugim do pokoju Indianek, po czym emigrantów odesłałem z prowiantem do jaskini, nie chcąc, aby Melton ich zobaczył.

Przeniosłem kobiety do wartowników, Meltona zaś do pokoju Judyty. Postanowiłem zbadać podłogę pod postaniem. Stanowiła ją mocno ubita ziemia. Gdy zacząłem ją opukiwać, usłyszałem głuchy odzew. Odgrzebawszy ziemię nożem, natrafiłem na płaski kamień. Pod nim było wgłębienie, w którym znalazłem torbę skórzaną, zaszytą dla ochrony przed wilgocią w kawał skóry. Otworzyłem ją, aby przelotnie obejrzeć zawartość. Tkwiły w niej listy i liczne papiery, kontrakt z moimi ziomkami i akt kupną hacjendy. W specjalnej skrytce leżał pakiet obligacji na dość znaczną sumę. Schowałem torbę do kieszeni, zagrzebałem dołek i przywróciłem wszystko do pierwotnego stanu. Zabrawszy broń Meltona, poszliśmy po jeńca. Wpakowałem mu knebel w usta. Ponieważ nie chciał wyjść, więc przywiązaliśmy go do lasa i pociągnęliśmy w górę. Drabinę połamałem, zasypując jej szczątkami przejście do korytarza, aby opóźnić pościg Jumów.

Kiedy doszliśmy do kamienia, zza którego podsłuchałem rozmowę Judyty z Przebiegłym Wężem, przywiązałem Meltona do skały, aby przedwcześnie nie zobaczył robotników.

W jaskini płonęły świece. Zastaliśmy moich ziomków przy śniadaniu. Oznajmiłem im, że musimy natychmiast opuścić Almaden. Słowa te przyjęli z radością.

Konie przeznaczyłem dla najslabszych. Mimbrenio wyprzedzał pochód, ja zaś z Meltonem szliśmy na tyłach w znacznym oddaleniu. Przebiegłemu Wężowi skrepowaliśmy ręce na plecach. Aczkolwiek darzyłem go zaufaniem, sądziłem jednak, że zbytek przezorności nie zawadzi.

Oczywiście, poprzednio zasypaliśmy jaskinię. Gdy pochód oddalił się dostatecznie, wróciłem po Meltona. Odwiązałem go od skały, lecz z powodu panującego mroku związałem mu ramię rzemieniem, przymocowanym do mego ramienia.

Zmierzałem tą samą drogą, którą przybyłem, a więc w kierunku południowym. Wiedziałem, że w tę właśnie stronę podążył — Mimbrenio. Kiedy rozjaśniło się, nie widziałem już Almaden. Nie widziałem również swoich towarzyszy. Umyślnie szedłem powoli, chciałem bowiem zaskoczyć Meltona.

Po pewnym czasie zmieniłem kierunek marszu na zachodni i przyspieszyłem kroku. Wkrótce zobaczyłem za sobą długą, ciemną linię z dwoma wyraźniejszymi punktami. Stanowili ją piechurzy, punktami zaś były wierzchowce z jeźdźcami — Melton, patrząc wciąż przed siebie, nie spostrzegł ich. Milczał przez całą drogę. Teraz, zmęczony szybkim marszem, rzekł:

— Pokąd mnie pan ciągnie z taką szybkością, sir? Przypuszczam, że do hacjendy del Arroyo?

— Z całą pewnością, szanowny panie — odpowiedziałem.

— Pieszco?! Kiedyż według pana przybędziemy, skoro wybrałeś złą drogę?

— Tą samą drogą przybyłem. Sądzę więc, że jest dobra.

— Ależ gdzie tam! To droga okrężna. Prosta i krótsza prowadzi na północ. Taki doświadczony piechur jak pan powinien o tym wiedzieć.

— Pańska droga jest dla mnie niebezpieczna. Na północy uwijają się Jumowie z Wellerem, których wysłałeś na zwiady.

— Weller nie spocznie, dopóki nie uwolni swego syna i nie napadnie na was z Jumami.

— Weller mnie nie przeraża. Syna nie może już uwolnić, ponieważ zadusił go Herkules. Kiedy zaś schwycimy starego, w co nie wątpię, pomówimy z nim krótko. Opowiadał panu pewnie, że usiłował wraz z synem zamordować Herkulesa. Ponieważ Herkules czaszkę ma twardą, więc wylizał się z ran. A teraz nie może doczekać się starego. Nie ma też obawy, aby Weller napadł na nas z Jumami. Ci dobrzy ludzie szybko się spostrzegą, że pańska przyjaźń jest zdradliwa i bardzo niepewna. Sądzę też, że w obozie spostrzegą nie tylko pańskie, lecz również zniknięcie Przebiegłego Węża. A może pan nie wie, że wódz nagle zginął?

— Absolutnie! Zginął? Gdzie?

— W szybie.

Raptownym ruchem odwrócił twarz, jak gdyby otrzymał cios w głowę. Obejrzał mnie szeroko wybałuszonymi oczami i Zawołał:

— W szybie?! Jak pan to rozumie?

— Nie inaczej niż było w rzeczywistości. Został uwięziony wraz z piękną Judytą przez niejakiego Meltona.

— Człowieku, czy jesteś przy zdrowych zmysłach?!

— Przy bardzo zdrowych. Judyta została uwięziona, gdyż groziła panu zemstą wodza, z którym się potajemnie zaręczyła poprzedniego wieczora. Kiedy zniknęła, wódz zgłosił się nią, a wówczas spętałeś go i wtrąciłeś do lochu.

— Człowieku, za dużo czytasz książek.

— To będzie istotnie podobne do romansu, jeśli dodam, że czerwonoskóry został uwięziony w tym samym lochu, co Judyta.

— Mówi pan tak, jakby był wszechwiedzący!

— Nie trzeba być wszechwiedzącym, aby mówić o tym, co się widziało i słyszało.

— Jak?! Co?! — dopytywał się, podczas gdy głos mu nabrzmiał łękiem, a oczy wyłaziły z orbit. — Pan widział to i słyszał?

— Naturalnie.

— Musiał więc pan być w szybie!

— Naturalnie.

Zatrzymał się, spojrzawszy niedowierzająco i zapytał:

— Jakże pan dostał się na górę?

Nie chciałem mu jeszcze wyjawiać całej prawdy, odpowiedziałem więc:

— Czyż nie mogłem wciągnąć się na łańcuchu windy?

— Nie, ponieważ pociągnąłem wówczas skrzynię do samej góry.

— Aha, pociągnąłeś wówczas skrzynię do samej góry. Zdradził się pan sam!

— Do kata, tak! Ale tylko wobec pana. Nikt ci nie uwierzy! Zresztą Weller już się postara, abyś nie mógł świadczyć.

Przy tych słowach rzucił się na ziemię.

Usiadłem przy nim, zsunąwszy ramię z ramienia. Ułożył się wygodnie, splunął w moją stronę, a potem odwrócił się, aby mnie nie widzieć. Było mi to na rękę, leżąc nie mogłem zauważyć zbliżających się emigrantów. Ukazali się w oddali. Wkrótce widziałem ich twarze. Mimbrenio szedł na przedzie. Zbliżył się już na tyle, że słyszałem ich kroki. Melton także nasłuchiwał, podniósł tułów i odwrócił głowę. Po chwili zerwał się na nogi, spoglądając na nich jak na zjawy, i zawołał:

— Do stu piorunów, co ja widzę! Kto się tu zbliża?

— Pańscy Jumowie, aby cię uwolnić — odpowiedziałem. — Spodziewam się, że ucieszysz pana tak rychle spełnienie nadziei!

— Zatracony łotrze! Jesteś naprawdę w sojuszu z diabłem!

Mówiąc to, kopnął mnie i zaczął umykać z taką szybkością, na jaką pozwoliły mu skrępowane ręce. Ta próba ucieczki była naprawdę śmieszna. Stałem spokojnie, nie ścigając go nawet. Wyręczyli mnie w tym emigranci, którzy z odległości czterdziestu, pięćdziesięciu kroków poznali Meltona i rzucili się za nim z głośnymi okrzykami. Tylko Mimbrenio zastał na miejscu i powiedział do mnie ze śmiechem:

— Ptak o związanych skrzydłach niedaleko uleci.

Na czele pogoni biegła Judyta i Przebiegły Wąż, który zbliżał się coraz bardziej do ściganego, Wreszcie wyprzedził go o kilka kroków i zawrócił z taką siłą, że Melton runął i dwukrotnie fiknął koziółka. Nie mógł się już podnieść, ponieważ wódz leżał na nim i pomimo skrępowanych rąk ścisnął mu gardło. Walczyli ze sobą w milczeniu, dopóki nie nadbiegła Judyta na pomoc czerwonoskóremu. Przybiegli i inni. Utworzył się kłębek krzyczących ludzi z Meltonem pośrodku. Podbiegłem do nich, gdyż lękałem się o życie mormona. Leżał na ziemi. Trzymano go mocno, Judyta zaś kaleczyła mu twarz pięścią i paznokciami. Oburzony, oderwałem ją od Meltona i zawołałem z wściekłością:

— Co pani robi?! Niech pani zostawi go nam, mężczyznom! Jest pani prawdziwą furiatką!

— Ten oszust zasłużył sobie, abym mu oczy wydrapała — wyrzuciła bez tchu. — Oszukał, uwięził mnie. Miałam zginąć w szybie!

Usiłowała się rzucić na niego. Odciągnąłem ją i rzekłem, zwracając do pozostałych:

— Niech nikt się nie waży go dotknąć! Melton należy do mnie. Nie uniknie kary. Kto jednak nie usłucha, będzie miał ze mną do czynienia.

Cofnęli się wszyscy. Podniosłem Meltona, który pomijając już wygląd zewnętrzny, znajdował się w takim stanie, że ledwo można go było nazwać człowiekiem. Zniekształcone usta szeptały przekleństwa i złorzeczenia. W tych jękach wyczuwało się najgłębszą wściekłość.

Przebiegły Wąż o oczach rozpalonych ogniem zemsty i nienawiści zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Co zamierza Old Shatterhand uczynić z tym niebezpiecznym białym?

— Nie wiem jeszcze, muszę się poradzić w tej sprawie Winnetou.

— To nie jest konieczne. Wódz Apaczów zgodzi się z każdym postanowieniem Old Shatterhanda. Obydwaj jesteście jako jeden mąż, co jeden postanowi, na to drugi się zgodzi.

— W jakim celu mówi to Przebiegły Wąż?

— Mam pewną propozycję, którą chciałbym ci w cztery oczy powiedzieć.

Oddaliłem się z nim na taką odległość, że Melton nie mógł nas usłyszeć. Emigranci zaś nie rozumieli mowy Indian. Zapytał mnie wprost:

— Niech mi Old Shatterhand powie, czy uważa mnie za kłamcę?

— Dlaczegoż by nie? Imię mego czerwonego brata nie może budzić zaufania. Wierzę zaś, że Przebiegły Wąż kocha prawdę i że jest zbyt dumny i odważny, aby kłamać.

— Mój brat ma rację. Dziękuję mu. Chcę Old Shatterhandowi powiedzieć, że gotów jestem zawrzeć z nim pokój nie tylko we własnym imieniu, lecz także w imieniu mego całego plemienia.

— Cóż na to powie Vete-ya, wasz wódz naczelny?

— Zgodzi się.

Bardzo wątpię. Wszak pała pragnieniem zemsty.

— Old Shatterhand jest przyjacielem czerwonoskórych, nie zabija nikogo, jeśli nie jest do tego zmuszony.

— To prawda, ale ta przyczyna nie wystarczy, aby Wielkie Usta przemienił żądzę zemsty w przebaczenie, a nienawiść w przyjaźń.

— W takim razie niech robi, co chce. Mnie jego Zemsta nie obchodzi. Kiedy wyruszyliśmy do Almaden, obraliśmy Vete-ya naszym wodzem. Możemy pozbawić go władzy. Jumowie składają się z wielu szczepów; on jest wodzem swego szczepu, a ja swego. Nie stoi wyżej ode mnie. Narzucił mi wojnę, ja jednak doszedłem do przekonania, że pokój jest lepszy. Dlatego jestem gotów wypalić z tobą fajkę pokoju w imieniu przynajmniej własnego szczepu, jeśli nie w imieniu wszystkich Jumów.

— Lecz jeśli Vete-ya będzie temu przeciwny?

— Wówczas ja, jako przyjaciel i brat Old Shatterhanda, będę go bronił wraz ze wszystkimi swymi wojownikami przed Vete-ya. Czy wierzy mi mój biały brat?

— Wierzę. Lecz domyślam się, że mój czerwony brat wypali ze mną fajkę pokoju tylko na pewnych warunkach. Jakie one są?

— Są tylko dwa warunki. Pierwszym moim życzeniem jest, aby Old Shatterhand nie miał nic przeciwko temu, że Biały Kwiat, zwany Judytą, uczynię swoją squaw.

— Nit nie mam przeciwko temu. Owszem, jestem przekonany, że żaden biały nie nadaje się tak na męża Judyty, jak mój czerwony brat. Na tym punkcie jesteśmy ze sobą zgodni. Jakież jest twoje drugie życzenie?

— Chcę mieć Meltona.

— Przypuszczałem to. A więc Przebiegły Wąż sądzi, że ja mam prawo rozporządzać życiem tego człowieka?

— Tak. Według praw białych twarzy masz go, być może, dostarczyć do sądu, lecz według praw czerwonoskórych Melton należy do ciebie i możesz z nim zrobić, co zechcesz. Znajdujemy się na terenie należącym do Indian, więc jeśli Old Shatterhand postąpi według naszych praw, żaden biały nie uczyni mu jakiegokolwiek zarzutu.

— A jednak! W pobliżu znajdują się dwaj policjanci, którzy przybyli po Meltona. Wprawdzie nie mam obowiązku stosować się do ich życzeń i czynię to, co uważam za stosowne, nawet jeśli dzieje się to wbrew ich woli. Mój czerwony brat może otrzymać Meltona. Lecz czy wziął pod uwagę, że ja również postawię pewne warunki?

— Tak. Chciałbym się o nich dowiedzieć.

— Żądam przede wszystkim pokoju między twoim szczepem a wszystkimi białymi, którzy się tu ze mną znajdują.

— Przebiegły Wąż godzi się na to.

— Żądam, aby pokój rozciągał się na wszystkich Mimbreniów, którzy są moimi przyjaciółmi.

— O, z tym jest o wiele trudniej. Mimbreniowie są naszymi wrogami. Na mój rozkaz trzystu moich wojowników może ich napaść i wytępić. Jeśli upierasz się, abyśmy Mimbreniów oszczędzali, to ja będę musiał dodać do swych dwóch warunków jeszcze inne.

— Zatrzymaj je przy sobie! Przy obecnym położeniu Mimbreniowie raczej wam mogą dyktować warunki niż wy im. Zapominasz, że na czele ich stoi Winnetou i że ja również jestem przy nich. Nie lękaliśmy się trzystu twoich wojowników, nie lękamy się tym bardziej teraz, gdy jesteś naszym jeńcem. Co nam przeszkodzi udać się na północ i zabrać wam konie?

— Czy Old Shatterhand wie, gdzie się znajdują? — zapytał przerażony.

— Gdybym tego jeszcze nie wiedział, dowiedziałby się wkrótce Winnetou. Zresztą, nie ty jeden wpadłeś w nasze ręce. Schwytaliśmy czterdziestu Jumów, którzy byli rozstawieni po drodze do hacjendy, między nimi Bystrą Rybę.

— Nie spodziewał się takich wieści. Przez chwilę spoglądał w dół, po czym zrezygnowany rzekł:

— Należy wierzyć słowom Old Shatterhanda.

— Na dobytek nie możecie tutaj pozostać, ponieważ zabraliśmy również wozy z żywnością, które nadeszły z Ures.

— Uff! Grozi nam głód! Mamy zapasy tylko na dwa dni. Będziemy zatem musieli albo głodować, albo wynieść się z tej miejscowości pozbawionej zwierzyny.

— Tak. Jesteście w bardziej opłakanych warunkach, niż dotychczas sądziłeś. A więc obstaję przy swoim żądaniu, abyście zawarli pokój z Mimbreniami.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Wówczas i tak będziemy realizować nasze plany. Musimy jeszcze złapać Wellera. Potem zabieramy wam konie, czekamy na przybycie Silnego Bawołu z wieloma setkami Mimbreniów, nacieramy na was i niszczymy całe plemię. Ty zaś jako wspólnik Meltona będziesz wraz z nim i Wellerem przekazany sędziemu. W najlepszym razie czeka cię wieloletnie więzienie.

Wolny Indianin a wieloletnie więzienie! Nic straszliwszego! Ogarnęła go wielka trwoga i podyktowała mu szybką decyzję:

— Widzę, że mój brat ma rację. A więc niech pokój rozciągnie się również na Mimbreniów. Czy Old Shatterhand stawia jeszcze jakieś warunki?

— Tymczasem nie. Dalsze ustalenia odkładam do czasu narady, ponieważ sądzę, że Przebiegły Wąż nie wypali ze mną kalumetu, zanim nie naradzi się z najstarszymi wojownikami swego szczepu.

— Tak, muszę się starszych poradzić. Czy Old Shatterhand uda się do nich ze mną, czy też oni mają przyjść tutaj?

— Oni tu przyjdą.

— Musimy więc kogoś do nich posłać. Kogo mój biały brat wyznaczy?

— Mimbrenia. To mądry, wierny i uczciwy chłopiec; mogę na nim polegać.

— Mój brat przekona się, że ja również jestem uczciwy i wierny. Dam Mimbreniowi swój wampum jako dowód, że jestem u was i że on jest posłańcem prawdy. Niech im opowie, jak się to wszystko stało, i niech przyprowadzi pięciu doświadczonych wojowników, których imiona mu wymienię. Niech przyjdą bez broni, aby dać świadectwo dobrej woli.

Mimbrenio podjął się poselstwa tym chętniej, że było dość niebezpieczne. Otrzymałszy dokładne wskazówki, ruszył w drogę na wierzchołku Winnetou. Gromada rozłożyła się kołem, wzięwszy Meltona do środka, ja zaś oddaliłem się, aby niepostrzeżenie zbadać zawartość jego torby. Przede wszystkim znalazłem w niej banknoty na przeszło trzydzieści tysięcy dolarów, kontrakty oraz paczkę listów. Większość była wysłana z Utah, niektóre z San Francisco. W jednym z nich mormoni żądali zwrotu zagrabionej gotówki i informowali o wykluczeniu Meltona ze swej społeczności za niecne uczynki. Dwa czy trzy listy stwierdzały występny zamiar przywłaszczenia sobie znacznych sum do spółki z Wellerami.

Tylko jeden list zawierał treść odmienną. Nie miał ani koperty, ani wzmianki o dacie i miejscu nadania. Ze świeżej jednak barwy atramentu można było wnioskować o niedawnym pochodzeniu listu. Nagłówek brzmiał: dear uncle, to znaczy kochany stryju, pierwsza połowa listu była nieciekawa, dopiero ostatnie wiersze przykuły moją uwagę.

„Skoro się więc pytasz, z czego tu żyję, mogę ci odpowiedzieć, że powodzi mi się bardzo dobrze. Mam szczęście w grze, poza tym zjednałem sobie przyjaźń człowieka, którego tęgo nabita kiesa, stoi dla mnie zawsze otworem. Czy przypominasz sobie bogatego eks-dostawcę wojskowego, którego poznałeś w St. Louis? Jest to rodowity Niemiec, pragnący uchodzić za prawdziwego Jankesa do tego stopnia, że aż zmienił swoje niemieckie nazwisko Jaeger na angielskie Hunter. Jak się dowiedziałem, przybył zza oceanu jako czeladnik szewski. Mimo głupoty, a może dzięki niej, miał łut szczęścia i dzięki mariażowi stał się właścicielem sklepu na William Street w Nowym Jorku. Podczas wojny ze stanami południowymi dostarczał wojsku z początku tylko obuwie, potem również umundurowanie oraz inne rzeczy i zbił na tym wielką fortunę. Obecnie przestał pracować, ciągle choruje i pomnaża swój kapitał ogromnymi odsetkami, co jest mu właściwie niepotrzebne, gdyż od dawna jest wdowcem, a

syn — jedyny spadkobierca — odziedziczyłby i tak dosyć wiele, aby przeżyć swoje lata bez troski. Stary jest bardzo, skąpy, nie wysłał jeszcze ani grosza ubogim krewnym zza oceanu, — ale darząc synka ślepą miłością, bez słowa wyrzutu pozwala mu szastać pieniędzmi.

Small — tym dziwnym imieniem nazwał stary swego syna — jest to dorodny młody człowiek, bardzo rozpieszczony, bez krety charakteru i energii. Nie zna się zupełnie na ludziach, a jest tak łatwowski, że przyjmuje za prawdziwych przyjaciół przeróżne pijawki, które ssą jego mienie. Nietrudno mi będzie otworzyć mu na to oczy, gdyż pochlebając jego słabostkom, uzyskałem nań Wpływ, który z dnia na dzień się potęguje.

Poznałem tego Smalla Huntera w szczególnych okolicznościach. Nazajutrz po moim przybyciu kelner nazwał mnie mr Hunterem. Tak zwracały się do mnie i inne osoby. Kiedy zaś na koncercie zostaliśmy sobie przedstawieni, stanęliśmy obaj jak wryci. Byliśmy bowiem do siebie podobni jak dwie krople wody, zarówno z postaci, z rysów twarzy, jak z głosu. Gdy przybieram nieco powłóczyisty i powolny chód Smalla, nie odróżniłby mnie nawet jego najbliższy przyjaciel. Jest to przypadek, który potrafię wykorzystać, a który mi pozyskał od razu jego przyjaźń. Chwilowo jednak, w wymiarach nie budzących podejrzeń, ogrywam go na sumy, które wystarczają mi do życia.

Small darzy mnie całkowitym zaufaniem, obchodzi się ze mną jak z bliźniakiem i nie chce słyszeć o rozstaniu, o którym czasami napomykam. Pragnie, abym mu towarzyszył w wielkiej podróży. Podróże bowiem są jego namiętnością. Jego ukochaną i jedyną lekturą stanowią książki podróżnicze. Zwiedził już Stany Zjednoczone, był w Kanadzie i Meksyku, w Brazylii i Anglii. Teraz wabi go Wschód. Oczywiście, że staram się utwierdzić go w tym pragnieniu. Dzięki temu będę mógł się widzieć z ojcem, który, jak wiesz, musiał przed Old Shatterhandem uciekać za Morze Śródziemne.

Teraz spędzamy całe dnie w jego lub w moim mieszkaniu, kując turecką i arabską gramatykę, czytając powieści z życia haremów i rysując na ścianach białe odaliski lub ciemne niewolnice. Small jest zdolny i robi szybkie postępy, ja zaś chcąc nie chcąc, muszę mu dotrzymywać kroku. Za parę miesięcy, zaopatrzeni przez starego w grube czeki, wypłyniemy na Atlantyk.

Opisuję ci to szczegółowo, ponieważ znając twoją inwencję, oczekuję od ciebie rady, w jaki sposób najlepiej wykorzystać szczęśliwe okoliczności. Twoja ewentualna pomoc byłaby mi bardzo na rękę. Odpisz więc natychmiast na mój poprzedni adres.

Twój bratanek Jonatan”

List ten ogromnie mnie zainteresował. Przede wszystkim ze względu na wzmiankę o mojej osobie. Zmusiłem ojca nadawcy do ucieczki... Nie mógł więc być to nikt inny, tylko brat Meltona, którego ścigałem od fortu Uintah do fortu Edwarda. Stamtąd niestety udało mu się zbiec. Teraz dowadywałem się, że przebywa za Morzem Śródziemnym. Ale gdzie? W obecnej chwili nie bardzo mnie to obchodziło.

Inaczej rzecz się miała ze Smallem Hunterem, któremu groziło poważne niebezpieczeństwo. Chętnie bym go ostrzegł, gdyby to było w mojej mocy. Lecz znajdowałem się w sercu Meksyku, on zaś w Stanach, Zjednoczonych, nie wiadomo nawet w jakim mieście. Na wszelki wypadek zatrzymałem listy przy sobie, podczas gdy pozostałe dokumenty zamierzałem powierzyć seniorowi juriskonsultu.

Właśnie schowałem torbę, gdy przywołał mnie Melton. Wyglądał straszliwie: twarz, podrapana i pobita, zaczynała puchnąć.

— Sir, dokąd pan posłał Mimbrenia? Chcę wiedzieć. Muszę również wiedzieć, o czym szepotaliście z wodzem indiańskim.

— Przemawia pan do mnie tak, jak byś mnie potrafił zmusić do mówienia. Ale, owszem, powiem panu. Zawieram pokój z Jumami.

— Nie zgodzą się na pokój.

- Zgodzą się, ponieważ Przebiegły Wąż sam mi go zaproponował.
- Czy za cenę swego uwolnienia? I puści go pan?
- Będę tak roztropny, że jeszcze coś więcej dla niego uczynię.
- Aha. Więc żąda jeszcze czegoś więcej?
- Tak, Judyty.
- Do kata! Można im obojgu powinszować. Czego jeszcze wymaga?
- Czegoś, co pana bardzo zacieka. Żąda, abym mu wydał seniora.
- Tego pan nie uczyni, master! — krzyknął przestraszony. — Nie masz pan prawa!
- Czy mam, czy nie mam, to obojętne. Aby jednak nie obciążyć niczym sumienia, puszczę pana i pozwolę uciec. Oczywiście natychmiast schwyci pana Indianin.
- Nie jesteś człowiekiem, jeno diabłem! Mógłbyś pan swoją zemstę ograniczyć do krzywd, któreś nam już wyrządził.
- Nam? Cóż to znaczy?
- Mojemu bratu. Unieszczęśliwiłeś go, zapędzając do fortu Edwarda.
- Ach, to ten gracz, który w forcie Uintah zastrzelił oficera i dwóch żołnierzy? To pański brat? Takie pokrewieństwo nie usposabia mnie zbyt przychylnie do pana.
- Niech pan jednak pomyśli, że brat mój nie spocznie, dopóki nie pomści naszej wspólnej krzywdy.
- Nie lękam się jego zemsty; zresztą wszelki ślad po nim zaginął.
- Zdaje się panu. Brat mój jest niedaleko i czuwa.
- Gdzie?
- Nie powiem tego, naturalnie. Nikt oprócz mnie o tym nie wie.
- Oprócz pana i jeszcze dwóch ludzi.
- O kim pan mówi?
- O sobie i o pańskim bratanku Jonatanie.
- Jon... Kto panu... o nim... powiedział?
- To obojętne. Widzi pan, że wiem nieco więcej, aniżeli pan przypuszcza. Taką rodzinę jak pańska niełatwo spuszcza się z oka.
- Jeżeli pan nie blaguje, to niech powie jeszcze, gdzie mój brat przebywa.
- Za Morzem Śródziemnym. Musiałby go pan stamtąd sprowadzić. Zresztą mógłby pana wyręczyć bratanek Jonatan, który właśnie udaje się na wschód w towarzystwie niejakiego Smalla Huntera i grubych czeków jego ojca.
- Usiłował skoczyć, ale więzy go krępowały. Splunął tylko i krzyknął rozjątrzony do najwyższego stopnia:
- Więcej niż setka diabłów tkwi w tobie! Niechaj cię piekło pochłonie!
- Przewrócił się na bok, aby mnie nie widzieć.
- Po upływie dwóch prawie godzin ukazało się w dali pięciu czy sześciu czerwonoskórych piechurów. To szli wojownicy Jumów. Mimbrenia z nimi nie było.
- Byli uzbrojeni wbrew rozkazowi wodza, jednak w odległości dwustu kroków od nas odłożyli noże, łuki, strzały i włócznie. Zabrali je ze sobą na wypadek niespodziewanej przygody w drodze. Podeszli, zachowując się tak, jak gdyby nie widzieli więzów krępujących wodza. Patrzyli na mnie z wyrazem szacunku i rzucili okiem na emigrantów. Na Meltona nie spojrzeli wcale. Można było z tego wnioskować, że Mimbrenio dobrze się wywiązał z poselstwa i zdołał ich przekonać o winie i przewrotności Meltona. Musiałem się przede wszystkim dowiedzieć, dlaczego nie przybył z nimi Mimbrenio. Zerwałem z wodza więzy i rzekłem:
- Mój czerwony brat niech bierze udział w naradach jako wolny człowiek. Zanim jednak rozpoczną się, muszę wiedzieć, dlaczego nie wrócił mój posłannik?
- Najstarszy Juma odpowiedział:
- Pojechał na zachód, aby sprowadzić Wellera.

— Weller? — zapytałem. — Postąpił bardzo nieroztropnie. Mnie powinien był go zostawić. Weller i tak nie uszedłby nam.

— Old Shatterhand jest znakomitym wojownikiem, moje zaś czyny nikłe. Niech mi jednak wybaczy, że będę innego zdania. Weller zamierzał się ulotnić.

— Jak to? Wszak pojechał na zwiady, musi zatem wrócić i wpaść w nasze ręce?

— Nie, ponieważ wrócił już i uciekł, skoro się dowiedział o misji Mimbrenia.

— Dlaczego wojownicy Jumów go nie zatrzymali?

— Czyż mogliśmy? Wszak jest jeszcze naszym bratem i przyjacielem.

— Czy Weller ma dobrego konia?

— Tak, lecz koń jego jest zmęczony długą jazdą przez pustynię i odczuwa pragnienie.

— W takim razie Mimbrenio wkrótce go doścignie. Dojdzie między nimi do walki. Pragnąłbym jej zapobiec, lecz nie mogę stąd odjechać, dopóki nie porozumiem się z wami. Wówczas odezwał się wódz:

— Jeśli Old Shatterhand chce jechać na pomoc Mimbreniowi, niechaj to uczyni bez obawy. Nie zawiedzimy jego zaufania. Biali ludzie mogą zabrać oręż moich wojowników i uważać ich za jeńców do chwili twego powrotu.

— Zostanę jeszcze tutaj — odparłem. — Jeżeli się pospieszymy z układem, zdążę przybyć na czas.

— Muszę zwrócić uwagę mego białego brata, że wszystko można przyspieszyć, tylko nie układy o pokój. Lepiej więc będzie, jeśli mój biały brat pojedzie na pomoc Mimbreniowi, zanim zacniemy radzić.

Starszy wojownik dodał:

— Oki Shatterhand może zostać z nami, Mimbrenio ma pod sobą wyśmienitego rumaka i na swój wiek jest bardzo rozumny i rozważny.

Jakby na potwierdzenie tych słów, dobiegi nas odgłos strzału i na zachodzie ukazał się jeździec, pędzący w kierunku południowym. Zauważyliśmy jednak niebawem, że stałe zbacza z prostej linii, jak gdyby ktoś go na nas napędzał. Wkrótce ukazał się drugi jeździec. Był mniejszy od pierwszego i dosiadał lepszego konia. Mieliśmy więc przed sobą Wellerę i Mimbrenia; Weller od czasu do czasu odwracał się i strzelał do czerwonoskórego, który odpowiadał niekiedy wystrzałami ze strzelby, nie pozwalając ściganemu skrócić w inną stronę. Obydwaj pudłowali: Mimbrenio rozmyślnie, Weller zaś dlatego, że jak się później okazało, ładował broń ślepyimi nabojami:

Trzeba było pomóc Mimbreniowi. Dopadłem swego wierzchowca i pojechałem im naprzeciw. Weller, gdy mnie zauważył, spał gwałtownie konia ostrogami i pogalopował. Ale już po dwóch minutach wyprzedziłem go, zatrzymałem się i zawołałem:

— Złaz z konia, mister Weller, jeżeli nie chcesz, aby cię strąciła moja kula.

Roześmiał się złowrogo, wycelował we mnie ze strzelby. Przy tak gwałtownych ruchach niepodobna było trafić. Strzał padł, ale bez skutku.

Kiedy się odwrócił, miał przed sobą Mimbrenia, który osadził konia w miejscu i trzymał broń w pogotowiu. Wzięty między dwa ognie Weller miał tylko jedno wyjście, mianowicie drogę prowadzącą do naszego obozowiska. Moi ziomkowie nie mieli odpowiedniego uzbrojenia, aby go zatrzymać, Mimbrenio był jeszcze daleko, więc ja m musiałem go ująć. Mogłem łatwo zastrzelić pod nim konia, nie chciałem jednak uśmiercać niewinnego zwierzęcia z powodu tego łotra. Nie posłałem za nim kuliki, chciałem go mieć żywego.

Teraz w dubeltówce Wellerę był tylko jeden nabój. Pędziłem za nim, lecz nie wprost, gdyż chciałem, aby wystrzelił, zanim się zbliży na dogodną odległość, aby go ująć. Dlatego zawołałem po raz drugi:

— Zatrzymaj się, master, bo strzelam!

Jak przewidywałem, odwrócił się szybko i wypalił. Zsunąłem się po indiańsku po boku konia, a kiedy kula przeleciała nade mną, wyprostowałem się i pocwałowałem za Wellerem.

Wówczas odrzucił flintę i wyciągnął zza pasa rewolwery. O tym nie pomyślałem. Nie chciałem narażać niepotrzebnie swego życia. Krzyknąłem więc:

— Odrzuć rewolwer, bo strzelę naprawdę!

Nie usłuchał, czekał, aż się zbliżę, chcąc tym pewniej trafić. W pełnym galopie stanąłem w strzemiionach, by sprawniej wycelować, przyłożyłem sztucer i wystrzeliłem. Weller krzyknął, wypuścił rewolwer z ręki, która opadła w dół. W kilka sekund później byłem już przy nim i zarzuciwszy sztucer na plecy, wyciągnąłem ręce do Weller'a.

— Na dół! — krzyknąłem. — Jeśli dobrowolnie nie zejdziesz, zrzucę cię siłą.

Złapałem go oburącz, aby wysadzić z siodła. W tej chwili lewą ręką wyciągnął drugi rewolwer i odpowiedział, śmiejąc się szyderczo:

— Powoli, mister Shatterhand. Nie pan mnie, lecz ja pana mam w mocy.

Usiłował wystrzelić. Nie zdążył jednak, bo lewą ręką wyrwałem mu broń, prawą pięścią zaś uderzyłem go z całej siły, aż go zamroczyło. Zatrzymałem konie, zeskoczyłem i ściągnąłem nędznika. Nieprzytomny zwałił się na ziemię.

Przede wszystkim związałem Wellerowi ręce jego własnym pasem. Zabrałem wszystko, co znalazłem przy nim, nie uważając się z tego powodu za rabusia. Rzeczy te mogły mi się bardzo przydać. Był wśród nich pugilares oraz wiązana z grubego jedwabiu sakiewka, przez której oka przeświecały złote monety.

Tymczasem nadszedł Mimbrenio, który zsiadł z konia, aby podnieść odrzuconą strzelbę i obydwie rewolwery. Powoli twarz Weller'a zaczęła się ożywiać. Otworzył oczy i syknął jadowniczo:

— Człowieku, czego chcesz ode mnie? Zostaw mnie w spokoju, puść mnie dla własnego dobra.

Wyraźnie słychać było, że pogryzł sobie język na skutek uderzenia, które podbiło mu dolną szczękę do góry.

— Babskie gadanie — odpowiedziałem. Podnieś się i chodź ze mną.

— Ani myślę. Nie ruszę się z miejsca, dopóki mnie master nie uwolni.

— Mógłbym na to przystać. Związałbym tylko panu nogi i pozwolił leżeć, tak długo, aż pańskie ciało pożrą sępy. Postąpię jednak bardziej po ludzku, choćby się to miało stać wbrew pana woli. A więc na nogi!

Jumowie byli świadkami tego zdarzenia. Mój czyn przez szacunek pominęli milczeniem, lecz małemu Mimbreniowi gratulował Przebiegły Wąż:

— Mój młody brat będzie dzielnym wojownikiem. Cieszę się, że zawieram z tobą pokój i że z wroga stanę się jego przyjacielem.

Tymi słowami zagajono obrady, które trwały przeszło dwie godziny i doprowadziły do pożądanych wyników. Na mocy układu miałem wydać Meltona Przebiegłemu Wężowi i nie stawiać przeszkód jego małżeństwu z Judytą. W zamian przyrzeczno mi wszystko, czego żądałem. Kiedy przybyłem w te strony z małym Mimbreniem, nie mogłem się spodziewać tak pomyślnego i zakończenia. Naturalnie, wypaliliśmy kalumet pokoju, po czym udałem się do obozu Jumów, aby pociągnąć z fajki z każdym czerwonoskórym, co było konieczne ze względu na nasze bezpieczeństwo. Teraz byłem pewien, że wszystkie punkty umowy zostaną wiernie dochowane.

— Czego pragnie obecnie mój biały brat? — zapytał Przebiegły Wąż. — Czy wódz Apaczów przybędzie do nas, czy też my udamy się do niego?

— Raczej my do niego. Muszę się poradzić w tej sprawie moich białych braci.

Najpierw jednak przejrzałem zawartość pugilaresu i sakiewki Weller'a. W pierwszym znalazłem pięć tysięcy dolarów w tych samych papierach wartościowych, które posiadał Melton, w drugiej niecałe pięćset dolarów w złocie. Później zwołałem ojców rodzin i nieżonatych mężczyzn.

Kiedy się zebrali, wziąłem na stronę Judytę i jej ojca:

— Czy zakomunikowała pani ojcu o swoim porozumieniu z Indianinem?

— Tak — odpowiedział stary. — Córka opowiedziała mi o zaszczycie, którego wkrótce dostąpi, zostając żoną wodza indiańskiego plemienia.

— Czy pan się z tym godzi?

— Czemu nie? Jest to wielki los szczęścia zarówno dla niej, jak dla mnie, gdyż przez to staniemy się wielce szanownymi i potężnymi osobistościami w Meksyku i Ameryce.

— Zdaje się, że pan niewłaściwie wyobraża sobie polityczne znaczenie szczepów indiańskich i społeczne stanowisko ich wodzów. Uważam za swój obowiązek powiedzieć panu, że...

— Niech mi pan, nic nie mówi! — przerwał. — Jestem dobrym ojcem dla mojej Judyty i dlatego chętnie przychylam się do jej słów i życzeń. Będziemy mieć władzę nad szczepem indiańskim. Będziemy mogli stroić moją córkę w aksamity i jedwabie. A może pan przypuszcza, że wódz jej tylko nakłamał o złocie i klejnotach?

— Bynajmniej. Istnieją tu ukryte skarby, strzeżone wiernie przez potomków dawnych Meksykańczyków. Wódz nie jest kłamcą i wywiąże się z przyrzeczenia. Lecz pan musi, do tego co on mówi, odnosić się z dużą tolerancją i sceptycyzmem.

— Dla mnie wystarczy, że ma złoto.

— Jeśli pan tak uważa, to będę milczał, tym bardziej, że przyrzekłem Indianinowi nie przeszkadzać mu w jego poczynaniach. Życzę panu, abyś się nie rozczarował. Co zamierza pan teraz uczynić? Chcę doradzić pańskim towarzyszom wyjazd z Sonory i w ogóle z Meksyku.

— Czy myśli pan, że się zgodzą?

— Jeśli są roztropni, to na pewno.

— A propos. Słyszałem, że pan miał sobą jakąś kwotę. Czy to prawda?

— A jakże, święta prawda! — potwierdził skwapliwie. — To było piękne, dobre, prawdziwe złoto w okrągłych, cudnie dźwięczących monetach, przechowywane w sakiewce, którą z jedwabiu zrobiła Judyta.

— Ile wynosiła ta kwota?

— Czterysta dolarów, które odebrano mi w podziemiach. Złodziejem jest Weller, ten który jest ojcem Wellera juniora. Skoro pojmał pan złodzieja, bądź pan zatem łaskaw odebrać mu zdobycz.

— Czy to ta sakiewka? — zapytałem, wyciągając worek z kieszeni.

— To ona, to ona! — krzyknął ucieszony, wyrывая mi ją z ręki. — To, ta sama. Obliczę natychmiast pieniądze, aby sprawdzić, czy nie zostałem okradziony.

— Niech pan tak nie krzyczy. Weller nie wie jeszcze, że mu odebrałem sakiewkę i nie powinien się chwilowo o tym dowiedzieć.

Oddalił się szybko, nie podziękowawszy mi nawet. Przykucnął wraz z sakiewką na ziemi i wziął się do liczenia monet. Wróciłem do emigrantów, powiedziałem im, że najlepiej uczynią, zabierając się stąd czym prędzej, w końcu zaś dodałem:

— Wraz z Winnetou pojedę do Rio Peso, a więc do Teksasu. Tam jest dużo dobrej ziemi i zdrowy klimat. Chcę was zabrać ze sobą. Naradźcie się i dajcie mi niezwłocznie odpowiedź, co postanowiliście.

Odszedłem, aby mogli się spokojnie naradzić. Kiedy wróciłem, rzekł do mnie jeden z nich, wybrany do przemawiania w imieniu gromady:

— Pańska propozycja jest bardzo dobra, lecz nie wydaje się nam, aby była możliwa. Przede wszystkim nie musimy stąd odejść, ponieważ wkrótce rozpocznie się długa sprawa Wellera i Meltona, w której jesteśmy świadkami.

— To niczemu nie powinno przeszkodzić. Meltona wydałem czerwonoskórym. Co się tyczy Wellera, nie wiadomo, czego można się jeszcze po nim spodziewać. Roztrzaskałem mu kulą rękę i ramię, co w tutejszym klimacie jest niebezpieczne dla białego. Zresztą,

przyprawdzając policjanta i wyższego urzędnika z Ures, którzy na miejscu przeprowadzą śledztwo, po czym będziecie wolni. Jakie jeszcze przeszkody widzicie?

— Trzeba przejść przez dziki kraj. Czy nasze kobiety i dzieci wytrzymają podobną wędrówkę?

— Na pewno, jeżeli najpierw odpowiednio wypoczną. Nie jest tak źle, jak pan myśli. Będziemy się posuwać powoli, abyście zdołali nadążyć. Dostarczę wam koni. Prócz tego mamy wiele wozów z żywnością i innymi niezbędnymi rzeczami. Nie zaznamy głodu.

— To świetnie. Ale pozostaje jeszcze rzecz najważniejsza, a jest nią złoto.

— O, mniejsza o nie, gdyż nie sprawia żadnych trudności.

— Żadnych trudności? — zawołał zdumiony emigrant. — Może panu, ale nie nam. Nie posiadamy ani grosza, żywność zaś i konie trzeba kupować za gotówkę.

— Żywność wam daruję, a konie pożyczymy od Jumów. Nasi czerwoni przyjaciele pomogą nam chętnie w zamian za drobnostkę, za pewien podarunek.

— Kto im da ten drobiazg?

— Ja.

— Do licha! Wzbogacił się pan nagle? Kiedy przybył pan na okręt, wyglądał pan na uboższego od nas.

— Udałem tylko. Na ogół zaś można być bogatym, nie posiadając pieniędzy; bywają różne rodzaje bogactwa. Ale do rzeczy. Czy są jeszcze jakieś przeszkody?

— Największa. Pieniądze na zakup ziemi. Wszak musimy za nią zapłacić?

— Bez wątpienia. Dam wam na to pieniądze.

— W takim razie nie mamy już żadnych trosk. Idziemy z panem. Pożyczmy nam pan pieniędzy na zagospodarowanie. Będziemy solidnie pracować i płacić regularnie procenty, a z czasem spłacimy również kapitał.

— Procenty? Kapitał? Jesteście w błędzie. Nie ma mowy o procentach ani o spłacaniu kapitału.

Emigrant spojrział na mnie zdumiony, powiódł wzrokiem dokoła, po czym z niedowierzaniem zapytał:

— Czy dobrze słyszałem?

— Tak.

— To chyba niemożliwe! Czy jest pan aż tak bogaty, że może ofiarowywać podobne sumy?

— Przeciwnie, jestem tak biedny, że mogę ofiarować takie sumy. Wyjątkowo jestem teraz w stanie rozdzielić między was trzydzieści tysięcy dolarów.

— Trzydzieści tysięcy dolarów! Niebiosa, takie mnóstwo pieniędzy! Skąd pan wziął tyle?

— Później się dowiedziecie. Tymczasem odpowiedzcie mi na parę pytań. Byliście ubodzy, każdy jednakże posiadał chyba jakiś dobytek?

— Tak. Niektórzy posiadali małe domki, inni co najmniej sprzęty gospodarstwa domowego, a więc łóżka, meble, ubiory...

— Namówieni przez agenta sprzedaliście wszystko. Ile za to otrzymaliście?

— Niewiele. Przejedliśmy to zresztą w drodze.

— A więc pozbawiono was ojczyzny i dobytku. Zwabiono was fałszywymi przysięgami i wtrącono do szybu, gdzie mieliście pracować bez wynagrodzenia, bez wytchnienia, o głodzie i o pragnieniu, aż do rychłej i okropnej śmierci. Dlatego dam wam pieniądze, które odebrałem Meltonowi i Wellerowi.

— Słusznie, słusznie, słusznie! — odpowiedziano gromadnie.

— Dobrze. Melton i Weller nie wiedzą jeszcze, że mam ich pieniądze. Pierwszy je zakopał i nigdy już się nie dowie o ich stracie. Weller miał pięć tysięcy, Melton ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

Zaległo tak głuche milczenie, że słychać było szmer oddechów. Ja zaś mówiłem dalej:

— Nikt oprócz nas nie powinien się o tym dc wiedzieć. My wiemy, że nasza sprawa jest słuszna, ale ktoś obcy mógłby sądzić inaczej. Niestety, nie całą kwotę rozdzielię pomiędzy was. Część muszę dać hacjenderowi, który poniósł także dużą stratę.

— Wszak zapłacono mu za hacjendę.

— Sumę śmiesznie niską.

— Ale odzyskując hacjendę, zatrzyma zapłatę jako odszkodowanie. Czy to nie wystarczy?

— Sądzę, że tak. To się zresztą zobaczy. Ale są jeszcze inni poszkodowani, mianowicie kupiec z Ures, od którego Melton nabył towary przez nas zagarnięte. Przy dostarczeniu ich miała być dopłacona reszta należności. Ponieważ przyrzekłem woźnicom, że nie poniosą żadnego uszczerbku, więc muszę dotrzymać słowa i zapłacić. Pozostałość rozdzielię pomiędzy was.

— Ale w jakim stosunku?

— Powinniście omówić tę sprawę w swoim gronie i przedstawić mi wnioski. Ale nie mówcie mi o tym, dopóki nie znajdziemy się w Chihuahua, na terytorium Apaczów, gdyż zbyt gadałliwość może łatwo przekreślić cały ten piękny plan. Wiedźcie, że każdy na pewno otrzyma tyle, że będzie mógł nabyć działkę ziemi i należycie się urządzić.

Mówca podszedł do mnie, uściśnął mi dłoń i rzekł:

— To, co pan dla nas uczynił, oszałamia nas do tego stopnia, że na razie nie jesteśmy w stanie docenić pańskiej dobroci. Czym potrafimy się panu odwdziżyć?

— Rzetelną pracą na roli. Nie należą mi się żadne podziękowania, ponieważ tylko przypadkowi zawdzięczacie te pieniądze.

Pozostali również serdecznie uściśnęli mi dłoń. Wróciłem do wodza, który oczekiwał rezultatu naszej narady.

— Udam się z moimi białymi przyjaciółmi do Chihuahua — oświadczyłem. — Czy mógłby mój czerwony brat pożyczyć nam koni?

— Ile tylko trzeba będzie. Mamy sporo koni, których używaliśmy do transportu.

— Czy będziemy mogli przejść bezpiecznie przez teren Jumów?

— Moi wojownicy obronią was przed innymi szczepami, jeśli te nie zechcą przystąpić do naszego układu.

— Jak się rzecz ma z Vete-ya? Czy spodziewasz się jego przybycia?

— Miał wrócić po uprowadzeniu stada z hacjendy.

— A więc nie dziś ani nie jutro. Możemy zatem jechać do wodza Apaczów.

— Moi wojownicy nie mają koni.

— To zbyt cenne, albowiem tylko ty i Mimbrenio będziecie mogli mi towarzyszyć.

— Mimbrenio z nami? Powierzasz więc białych moim wojownikom?

— Tak. Widzisz, jakim darzę was zaufaniem. Czy nie ma dla ciebie konia?

— Oprócz tego, którego odebrałeś Wellerowi, znajdują się tutaj jeszcze dwa, przeznaczone dla mnie i Meltona. Są ukryte za bagnem, przy wschodniej ścianie skały.

— Poślij po nie natychmiast, gdyż musimy czyni prędzej wyruszyć w drogę, aby przed zapadnięciem nocy dotrzeć do obozu Winnetou. Wyślij gońca z rozkazami do wojowników, którzy strzegą koni. Niech przybędą ze wszystkimi zwierzętami jutro wieczorem, bowiem pojutrze rano wyruszamy do Chihuahua.

Objaśniłem moich ziomków, jak mają się zachowywać wobec niedawnych wrogów, a obecnych przyjaciół. Wódz uczynił to samo ze swoimi wojownikami i szczególnie zalecił im nie spuszczać oka z jeńców. Wkrótce ruszyliśmy w drogę galopem, żegnani gromkimi okrzykami.

YUMA TSIL

Pocwałowaliśmy, ponieważ musieliśmy przebyć drogę powrotną o wiele szybciej niż poprzednio. Z lewej strony jechał wódz. Na jego twarzy malowała się zaduma. Nie mógł się jeszcze oswoić z wypadkami poprzedniego dnia. Za nami jechał Mimbrenio. Jego twarz promieniowała radością. Był zadowolony z nieoczekiwanych wyników naszej wyprawy, do których się w znacznej mierze sam przyczynił.

Rumak Przebiegłego Węża był wypoczęty i dotrzymywał kroku naszym koniom. Gdy słońce zaszło, dotarliśmy do miejsca, z którego poprzednio skręciliśmy na północ. Wkrótce ściemniło się zupełnie. Poleciałem towarzyszom zatrzymać się, chciałem bowiem zaskoczyć naszych przyjaciół. Zsiadłem z konia, odrzuciłem broń i oddaliłem się szybko.

Po upływie dziesięciu minut poczułem zapach spalenizny, świadczący o bliskości ogniska. Gęsty mrok nie pozwolił mi dostrzec posterunków, koło których chciałem się niepostrzeżenie przekraść. Musiałem przeto polegać wyłącznie na słuchu. Alby zmylić wartownika, który zagradzał mi drogę, cisnąłem w bok kilka kamyków. Ich odgłos odwrócił jego uwagę. Dzięki temu szybko zbliżyłem się do obozu. Położyłem się na ziemi i pełzałem powoli naprzód. Przy świetle ogniska zobaczyłem jeńców; dookoła nich leżeli strażnicy. Z prawej strony stały wozy, z lewej siedział Apacz, opierając się plecami o drzewo, obok niego Yuma Shetar, nieco dalej, tuż przy krzewie, za którym się ukryłem, siedziała gromada ludzi, rozprawiająca żywo, choć półgłosem. Między innymi znajdowali się tu stary Pedrillo, cudaczny Don Endimio de Saledo y Coralba, urzędnik oraz hacjendero.

Gdy zniecka wynurzyłem się z zagajnika, don Endimio upadł na wznak z przestachu, krzyknawszy przeraźliwie, jak gdyby ujrzał upiora Mimbreniowie zapomnieli o swym stoickim spokoju wobec niespodzianki, skoczyli na równe nogi i wytrzeszczyli na mnie oczy. Nawet jeńcy poruszyli się na tyle, na ile pozwoliły im więzy. Spodziewali się wszak, że wpadnę w ręce ich braci.

Naraz z pierwszego wozu rozległ się głośny okrzyk. Leżał tam Player ze związanymi rękami. Zsunął się z wozu, przecisnął przez otaczający mnie tłum i wołał szczerze uradowany:

— Bogu dzięki, że pan wrócił cały. Strach mnie już obleciał.

— Strach? Dlaczego?

— Gdyby pan nie wrócił, posądzono by mnie o fałszywe wskazówki. A wszakże poinformowałem pana rzetelnie.

— Bezwzględnie. Pańskie wskazówki były pierwszorzędne. Stwierdzam wobec świadków, że powziąłem do pana zupełne zaufanie, w dowód czego uwalniam pana z więzów. Proszę, niech pan odbierze swoją broń. Jest pan wolny.

Radość oswobodzonego była ogromna. Aczkolwiek hacjendero nie omieszkał wyrazić swego sprzeciwu.

— Co pan robi, senior? Uwalnia pan przestępcę, który winien być ukarany. Ten człowiek przyczynił się do zrujnowania mojej hacjendy! Rozkazuję panu z urzędu związać go ponownie.

— Hola, panie! Nie jestem na pańskie rozkazy. Ja natomiast rozkazuję panu usiąść i trzymać język za zębami. Nie pan rozstrzyga, kogo mamy więzić, lecz ja i Winnetou. Dowiodę tego panu natychmiast, uwalniając również pozostałych jeńców.

Mówiąc to, podszedłem do Bystrej Ryby i rozciąłem jego pęta.

— Mój czerwony brat jest wolny. Może się podnieść. Niechaj Mimbreniowie zdejmą rzemienie z wojowników Jumów. Uwalniam ich wszystkich, gdyż zawarłem pokój i wypaliłem kalumet z — Przebiegłymi Wężem, naczelnikiem Jumów w Almaden.

Rozległ się gromki okrzyk zdziwienia Mimbreniów i okrzyk radości Jumów. Moje słowa wywarły na Winnetou takie duże wrażenie, jak nigdy dotąd. Zerwał się gwałtownie, podszedł do mnie i zapytał porywczo:

— Wypaliłeś kalumet?

— Z wodzem i z jego wojownikami.

— A więc Jumowie odstąpili Meltona?

— Tak. — On i Weller są schwytani, emigranci zaś uwolnieni.

— Gdzie ich zostawiłeś?

— W Almaden, u swoich przyjaciół. Jutro pójdziemy do nich i będziemy obchodzić święto kalumetu.

Winnetou położył ręce na ramionach i zawołał:

— Słyszeliście biali i czerwoni mężowie, czego dokonał sam jeden Old Shatterhand?

— Och, miałem szczęście, wiele szczęścia, a to, co przypisuję własnej zasłudze, również jest zasługą Winnetou, który był moim mistrzem.

Tymczasem uwolniono Jumów z więzów. Strażnicy, zwabieni okrzykami, porzucili stanowiska i wmieszali się w radosny tłum. Przybycie Przebiegłego Węża i Mimbrenia spostrzeżono dopiero wtedy, kiedy już ci zeskakiwali z siodła. Dzielny chłopak został natychmiast okrążony przez Mimbreniów, a wódz przez swoich ludzi. Powstał jarmarczny zgiew okrzyków, zapytań, odpowiedzi, gwar tak hałaśliwy, że aż uszy puchły.

Wycofałem się dyskretnie i zająłem się rozkulbaczeniem koni; zabrałem też swoją broń. Następnie usiadłszy przy Apaczu, podjadłem sobie, wychyliłem kilka łyków wybornego wina, którego było sporo na naszych wozach. Powoli uciszyło się dookoła. Mały Mimbrenio został posadzony koło ogniska, aby wszyscy mogli go widzieć i słyszeć, i rozpoczął opowieść o naszych niezwykłych przygodach.

W końcu powszechna ciekawość została zaspokojona. Rozchodzono się i układano do snu. Obrąłem miejsce w pobliżu Herkulesa, który skorzystał z tego, aby się dowiedzieć czegoś więcej o Judycie. Nie wpadło mi nawet na myśl oszczędzać tego olbrzyma; powiedziałem mu całą prawdę, przemilczając jedynie nazwisko narzeczonego Judyty. Byliśmy bowiem odpowiedzialni za naszego gościa, wrażenie zaś, jakie wywarła na Herkulesie wiadomość o Judycie, nie wróżyła nic dobrego. Wreszcie zaległo głębokie, niczym nie zakłócone milczenie. Po raz pierwszy od wielu nocy można było spokojnie się przespać. Herkules przewracał się z boku na bok, zżerany myślą o niewierności byłej narzeczonej.

Ze świtem uformował się pochód i wyruszył do Almaden. Pędziliśmy co koń wyskoczy i już przed wieczorem przybyliśmy do celu, witani radośnie zarówno przez białych, jak czerwonych.

Trzeba było zaprowadzić konie do wody, która się znajdowała w bocznej jaskini. Przy tej okazji Jumowie ze zdumieniem dowiedzieli się o jej istnieniu.

Wkrótce potem zdarzył się wypadek, który pociągnął za sobą smutne następstwa. Melton i Weller, spostrzegłszy Playera na wolności, wezwali go do siebie. Player przyznał się szczerze do swoich postępów.

— Czy możesz nam powiedzieć — zapytał Weller — co z nami zamierzają robić?

— Obawiam się, że nic dobrego — odpowiedział Player.

— Właściwie zasłużyłeś na ten sam los, co my, jednakże cieszy mnie, że jeden przynajmniej zdoła go uniknąć. Lecz powiedz mi, co słyhać z moim synem?

— Chcesz się dowiedzieć prawdy?

— Mów! Byle prędzej! Wiesz, że nie jestem słabeuszem.

Istotnie nie był słabeuszem, a jednak w oczach jego widniał strach i oczekiwanie. Objawił się w nim ojciec. Ponieważ Player ociagał się z odpowiedzią, więc uprzedził go:

— Mówże prawdę, nie żyje?

— Tak.

— Nie żyje, nie żyje... — powtórzył, przymykając powieki.

Widać było, że wiadomość ta wstrząsnęła nim do głębi. Policzki zapadły, twarz przybrała trupi wyraz. Wreszcie otworzył oczy i zapytał:

— Jaką śmiercią umarł?

— Zadzuszony przez...

— Przeze mnie! — krzyknął Herkules, który znajdował się w pobliżu. — Łotry, myśleliście, że umarłem, ale mój czerep jest mocniejszy, niż przypuszczaliście. Wpadłem tylko w malignę i zadusiłem rękami tego hultaja, tak samo jak ciebie wnet zaduszę!

Weller ponownie przymknął powieki. Jakże musiało w nim wszystko kipieć! Kiedy znów otworzył oczy, malowało się w nich przeciwieństwo tego, czego się można było po nim spodziewać: nie nienawiść, nie złość ani wściekłość, lecz łagodny, niemal wzruszający wyraz pogodzenia się z losem. Obojętnym tonem zapytał Playera:

— A więc to ty zaprowadziłeś Winnetou i Old Shatterhanda?

— Nie przeczę. Ale znaleźliby drogę beze mnie.

— Być może. Była to jednak z twej strony zdrada. Obyś się był jej nie dopuścił! Twoje odstępstwo rozpoczęło szereg naszych klęsk. Nie wyjdziemy z nich żywi. Chciałbym zatem rozporządzić się mieniem i poprosić cię o pomoc. Czy jako stary druh spełnisz moje przedśmiertne życzenia?

— Chętnie, jeśli to będzie w mojej mocy.

— Zbliź się więc do mnie.

Player podszedł o krok bliżej i nachylił się nad nim. Niepokój jakiś obudził się we mnie. Chciałem go ostrzec, ale przed czym? Wszak Weller członki miał skrępowane pętami, a ponadto mój celny strzał pozbawił go władzy w prawej ręce.

— Muszę ciszej do ciebie mówić, bardzo cicho. Zbliź się jeszcze bardziej, uklęknij przy mnie.

Player spełnił, niestety, jego prośbę i wówczas z błyskawiczną szybkością zdarzyło się coś nieoczekiwanego, coś straszliwego. Weller oparł się łokciami o ziemię, podniósł szybko nogi skrępowane w kostkach i natychmiast opuścił je na ramiona Playera, którego szyja wskutek tego utkwiała niby w cęgach między kolanami Wellera. Ten ścisnął je z całej siły, aż twarz Playera nabiegła krwią.

Powszechnie wiadomo, jaka moc tkwi w kolanach dorosłego mężczyzny. Wzmagał ją w tym wypadku fakt, że nogi były związane, tworząc niejako punkt oparcia dla tej podwójnej żywej dźwigni kolan. Wystarczyłaby jedna minuta, aby Player wyzionął ducha. Natychmiast skoczyłem na pomoc. Wyprzedził mnie jednak nasz Goliat. Rzucił się na Wellera, ścisnął jego szyję w rękach jakby w kleszczach i zawołał:

— Ty sam zginiesz zaduszony, jak ci to przed chwilą przyrzekłem!

Była to niedźwiedzia przysługa dla Playera, ze strachu bowiem Weller jeszcze mocniej ścisnął kolana. Usiłowałem odciągnąć ich od siebie — na próżno. Żadna moc ludzka nie zdołałaby osłabić tego wściekłego natężenia mięśni i nerwów. Przede wszystkim należało natychmiast zadziałać. W tym celu przeciąłem sznury, wiążące kostki nóg mormona. Dzięki temu mogłem rozewrzeć jego nogi i kolana. Głowa Playera opadła ciężko na ziemię. Leżał jak martwy, z twarzą spuchniętą i zsiniałą.

— Niech pan puści Wellera! — krzyknąłem do atlety. — Zamordujesz go!

— Zamorduję? — roześmiał się wściekle. — O nie, tylko go ukaram!

Kiedy go wreszcie oderwałem, było już za późno. Weller leżał martwy. Natomiast Player zaczął łapać oddech i wracać do siebie.

— Czy rozumie pan, że jest mordercą? Muszę pana związać i przekazać sądowi! — krzyknąłem do atlety wobec gromady, która przyglądała się niesamowitej scenie.

— Morderca? — odparł. — Pomieształ pan pojęcia. Jakże mnie pan przekaże sądowi, kiedy ja sam dokonałem czynności sędziego?

— Nie sędziego, lecz kata! Napełnia mnie pan wstrętem.

— Istotnie? Hejże, niech mi pan przy tej sposobności powie, kto jest narzeczonym Judyty!? Ręka mnie świerzbi. Chciałaby tak samo rozprawić się z szyją tego gacha!

Widać było, że gotów wykonać pogroźkę. Nie miałem wcale zamiaru zaspokoić jego ciekawości, natomiast wyręczył mnie kto inny — ojciec Judyty, który rzekł, zanim zdążyłem temu zapobiec;

— Może pan się dowiedzieć. Córka moja najukochańsza nie ma potrzeby rzucać się w objęcia byle jakiego wędrującego błazna, ma ona zostać władczynią znakomitego szczepu indiańskiego i błyszczeć od klejnotów, od złota, od jedwabiu niby królowa.

— Władczynią szczepu indiańskiego? Jak mam to rozumieć?

— Należy rozumieć, że będzie podziwianą i uwielbianą małżonką Przebiegłego Węża, który jest wodzem Jumów.

— Co takiego? Judyta ma zostać Indianką? — olbrzym śmiał się niedowierzająco. — Kpiny sobie pan ze mnie stroi!

— Nic podobnego. Zostajemy z Jumami, ja i Judyta, pan zaś uda się do Teksasu.

Atleta przetarł oczy, wodził nimi dookoła, aż wlepił we mnie:

— Niech pan powie, co mam myśleć o banialukach tego starca?

Nie mogłem go już dłużej pozostawiać w nieświadomości:

— Słyszał pan prawdę. Wódz pragnie poślubić Judytę i tym uwarunkował zawarcie pokoju.

— Wódz?... To niemożliwe. To dziewczę, ten cud piękności rzuca się na szyję czerwonoskóremu? Pan kpi w żywe oczy, wypraszam to sobie!

— To fakt.

— W takim razie albo ja, albo wy jesteście niespełna rozumu. Powiedz mi, Judyto, czy to prawda?

— Tak — potwierdziła wyniośle. — Będę królową Jumów.

— Naprawdę, naprawdę? Więc to nie żart?

Byłem zaniepokojony podnieceniem Herkulesa, które wzmagało się z chwili na chwilę. Chciałem mu wytłumaczyć, ale na nieszczęście dziewczyna uprzedziła mnie w odpowiedzi:

— Z tobą nie żartowałabym nawet. Zaręczyłam się z wodzem; możesz sobie pójść, dokąd cię oczy poniosą!

Oczy wyszły mu z orbit, ścisnął pięści i groźnie zerknął na wodza. Katastrofa była nieunikniona. Siłą zaczął torować sobie dostęp do Przebiegłego Węża, który stał na uboczu z garstką wojowników.

— Z drogi, z drogi! Miejsce dla mnie! Muszę się rozmówić z gachem, rozmówić na pięści. Wyślę go w ślady Wellerów!

Było rzeczą jasną, że wykona groźbę, jeśli mu się uda dosięgnąć wodza. Pobiegłem za nim, przytrzymałem go z tyłu i zawołałem:

— Uspokój się nieszczęśliwco. Nic się już nie da zrobić. Wódz jest pod moją opieką. Zastrzelę każdego, kto ośmieli się go tknąć.

Obrócił do mnie wykrzywioną grymasem twarz i syknął przez zęby:

— Drabie, puść, bo zaduszę! A może myślisz, że ja się ciebie zlekne?

W tym stanie mógł się powazyć na wszystko. Odstąpiono od niego. Wyciągnąłem rewolwer i zawołałem:

— Jeśli się pan na krok przybliży do mnie lub do wodza, palnę ci w łeb. Przeobraziłeś się w bestię, którą musimy poskromić. Wściekłością nic nie wskórasz. Miliony dziewcząt chodzą po świecie. Sięgnij po rozum, uspokój się, zastanów!

— Uspokoić się? Tak, ale uspokoję również innych. Powiada pan, że nic już się nie da zmienić?

— Powiedziałem i przestrzegam pana.

— To był warunek pokoju, że Judyta zostanie żoną wodza? I pan będzie go bronił?

— Nie tylko ja, ale wszyscy, którzy tu jesteśmy. Nie uda się panu nawet podejść do niego. Nie dopuścimy, bo tego wymaga nasz obowiązek. Nie możemy pozwolić, aby ktoś dla prywaty łamał pokój i narażał nas wszystkich na niebezpieczeństwo stokroć groźniejsze niż to, którego uniknęliśmy. Jeśli pan zabije wodza, wojownicy jego napadną na nas.

— Boi się pan? Ludzie, posłuchajcie, sławny Old Shatterhand się boi! Ale trudno, ma rację. Nie powinienem narażać waszej delikatnej skóry i cennej krwi. Lecz ja nie lękam się krwi, przekonacie się o tym natychmiast. Czerwonemu nie stanie się krzywda, ja będę spokojny, a Judyta, jego narzeczona, również. Dawać tu strzelbę, którą przecież nie umiecie się posługiwać; tchórze podli!

Najbliżej Herkulesa stał urzędnik i hacjendero. Pierwszy był wprost śmiesznie uzbrojony od stóp do głów, hacjendero zaś nosił za pasem rewolwer. Atletę szybkim ruchem wyrwał jednemu i drugiemu po rewolwerze, wycelował jeden w Judytę, drugi w swoją skroń i odwiódł kurki. Większość obecnych krzyknęła z przerażenia. Przewidywałem taki obrót rzeczy. Skoczyłem więc i podbiłem mu prawą rękę do góry, tak że kula przemknęła ponad głowami obecnych. Padł drugi strzał. Herkules zatoczył się, opuścił ręce i osunął w moje rozwarte ramiona. Niestety, nie zdołałem zapobiec drugiemu strzałowi z rewolweru, który trzymał w lewej ręce; wpakował sobie kulę w skroń.

— Spokojnie, spokojnie — wyszeptał martwiejącymi ustami i zakończył życie, życie smutne, bez odwzajemnionej miłości.

Złożyłem go ostrożnie na ziemi. Nie potrafię opisać, co się we mnie działo. Głęboki żal i wściekłość targały strunami mej duszy. Samobójca był człowiekiem słabym, bez charakteru, ale wierny jak pies i dobry choć do rany przyłóż. Chciwość i przewrotność Judyty, która zagnała go na obczyznę, teraz nieszczęsnego wpędziła do grobu. Ta fałszywa istota, która nie znalazła dla mnie słowa podziękii za uratowanie życia, nie znalazła również słowa żalu, słowa litości nad zmarłym biedakiem, ona, która była bezpośrednią przyczyną jego samobójstwa. Wzięła ojca pod ręką i rzekła:

— Jakże głupio i brzydko postąpił! Mógł pojechać do Teksasu albo jeśli mu życie obrzydło, odebrać je sobie gdzieś w ukryciu z dala ode mnie. Nie chcę go widzieć. Chodźmy stąd!

Odeszli. Nie mogąc pohamować gniewu, zawołałem za nimi pełnym wściekłości głosem:

— O tak, odejdźcie, zniknijcie stąd! Niech pani zejdzie mi z oczu. Jeśli panią jeszcze raz ujrzę, gotów jestem zapomnieć, że jest pani kobietą, i każę lassem wychłostać twoje plecy, aby przynajmniej tym obudzić uczucie, którego brak pani sercu, dumna królowo Jumów!

Przyjęła poważnie moją groźbę i odtąd starała się schodzić mi z oczu. Lecz kiedy ją spotkałem później, w innych okolicznościach, w innym otoczeniu, jako bogatą damę, zdawało się, że zapomniała o mojej groźbie.

Wszyscy towarzysze żalowali Herkulesa z całego serca. Czerwonoskórzy nie rozumieli powodu samobójstwa, ponieważ przez cały czas rozmawiano po niemiecku. Przebiegły Wąż poprosił mnie o wyjaśnienie. Powiedziałem mu:

— Judyta przyrzekła Herkulesowi zostać jego squaw, dlatego towarzyszył jej za morze. Teraz, dowiedziawszy się, że nie będzie jego żoną, z rozpaczy położył kres dniom swego życia.

— Słyszałem, że mierzył w nią również?

— Usiłował ją zabić, nie chcąc jej oddać innemu.

— Tyś ją uratował? Jakże ci jestem wdzięczny! Białe twarze są szczególnymi ludźmi. Żaden Indianin nie targnie się na życie, gdy dziewczyna nie zechce zostać jego squaw, lecz albo ją do tego zmusza, albo śmieje się z niej i bierze sobie inną. Czy białe twarze mają aż tak mało kobiet, że z powodu jednej dziewczyny tracą rozum? Ubolewam nad nimi.

Podczas tego okrutnego zdarzenia nie zwracaliśmy uwagi na Playera, który tymczasem przyszedł do siebie po niebezpiecznym uścisku Wellera. Siedział na ziemi i był świadkiem całej sceny. Teraz podniósł się, podszedł do mnie i rzekł:

— Jak widzę, Weller nie żyje. Wiem, że mnie dusił. Musiał mnie zatem ktoś uratować. Któż to uczynił, sir?

— Wyciągnąłem pana spomiędzy kolan Wellera.

— Przypuszczałem, że to pan. Nigdy nie zapomnę, że zawdzięczam panu życie.

— Zapomnij pan, ale pamiętaj, żeś obiecał poprawę.

— I dotrzymam przyrzeczenia. Lękam się jednak, że hacjendero i urzędnik zażądają mego ukarania.

— Niech żądają! Nic mnie to nie obchodzi, nic sobie nie robię z ich żądań. Nie powinien pan jednak długo tu pozostawać, ponieważ łatwo mogą pana schwytac i osadzic w więzieniu.

— Pewnie. Najchętniej wywędrowałbym do Teksasu.

— Może pan z nami pójsć. Wierzę bowiem, że będzie master uczciwym człowiekiem.

— Niech pan nie myśli nic złego o mnie. Będę o panu pamiętał i to mnie ustrzeże przed błędami. Być może, znajdę pracę u któregoś z emigrantów. Niestety, ci ludzie są zbyt ubodzy, aby mogli najac robotnika.

Mówił to głosem stroskanym. Pragnął rozpocząć nowe życie, lecz nie bardzo wiedział jak. Postanowiłem mu pomóc. Dałem mu również trochę pieniędzy. Odczułem, ściskając mu rękę, przypływ wewnętrznego zadowolenia.

Jeszcze dziękował mi gorąco, kiedy uwagę moją zajęło zbliżające się w galopie stado koni, gnane przez licznych Indian. Były to konie, po które posłał Przebiegły Wąż. Kiedy nadbiegły, miało się już ku wieczorowi.

Czerwoni przewieźli suche wiązki drewna, które pozwoliły nam rozniecić ognisko. Z żywności znalezionej na wozach urządziliśmy sobie ucztę, oczywiście według podjęć tamtejszych, gdyż na naszą miarę była to dosyć skąpa wieczerza.

Po posiłku ułożyliśmy się do snu, wyłączwszy wojowników Jumów, którzy pojechali do Almaden, aby zabrać to, co jeszcze tam zostało. Indianin skrzętnie zbiera przedmioty, które my odrzucamy jako bezwartościowe i umie je po swojemu wykorzystać. Rano zauważyłem w obozie mnóstwo takich rzeczy. Prócz tego przyprowadzili obydwie stare Indianki, zawalili szyb głazami i zasypali wejście do jaskini. Przypuszczam, że do dzisiejszego dnia nikt jej nie odkrył.

Ocknąłem się pierwszy i zacząłem budzić poczciwego don Endimio de Saledo y Coralba oraz jego woźniców. Załatwiłem z nimi rachunki, w tym czasie obudzono innych i zaczęto się pakować pod kierownictwem Przebiegłego Węża. Nie widać było Judyty ani jej ojca. Siedzieli w namiocie wodza. Usiadłem obok Winnetou i przyglądałem się krzątaniu obozowej. Po chwili zbliżył się do nas i hacjendero i urzędnik. Ukłonili się ceremonialnie. Juriskonsulto z uroczystą miną i jak przystało na urzędnika przemówił, zwracając się do mnie:

— Widzę, że pan przygotowuje stado do drogi, senior? Dokąd pan jedzie?

— Do Chihuahua — odpowiedziałem.

— Na to nie pozwalam. Żądam, aby wszystkie osoby, które się tutaj znajdują, udały się ze mną do Ures.

— Prawdopodobnie jako aresztanci?

— Coś w tym rodzaju.

— Proszę więc, niech pan nas zaaresztuje.

— Wolałbym tego uniknac, wierzę bowiem, że godność mego urzędowego stanowiska skłoni panów do dobrowolnego udania się tam.

— Ponieważ nie widzę tej godności, nie będę przeto postępował według pańskiego życzenia. Nie mam wobec seniora żadnych obowiązków. Ośmiesza się pan tylko. Ani słowa więcej!

Mój ton podzielał. Nie śmiał się odezwać, spojrzął spode łba na hacjendero, który go wyręczył:

— Senior, niech się pan hamuje. Pan wie, że znajduje się na moim terenie. Jest pan niejako gościem tutaj.

— O, miałem już przyjemność poznać i ocenić pańską gościnność i jestem za nią niezmiernie wdzięczny. A ponieważ mówi pan o swoim terenie, przeto przypomnę seniorowi, że go pan sprzedał. Właścicielem Almaden jest Melton.

— Występuję przeciw niemu sądownie i na pewno odzyskam swoją posiadłość. Mogę się uważać już teraz za absolutnego właściciela i żądam, aby każdy, kto przestąpi granice Almaden, respektował moje żądania, które są zarazem żądaniami mego czcigodnego przyjaciela.

— Jakże brzmią te pańskie żądania

— Domagam się, aby senior udał a z nami do Ures, nie tylko jako świadek, lecz również jako oskarżony.

— Oho, oskarżony? O co?

— Tam się pan dowie. Nie mam potrzeby teraz o tym mówić!

— Dobrze, nie mówimy więc. Ja także nie mam potrzeby rozmawiać z panem i z pańskim przyjacielem. Jeżeli pan chce mieć Meltona, niech się senior sam zwróci do Przebiegłego Węża.

— Żądam go od pana. Pan pojmał wodza i pan mi za niego odpowie!

W tej chwili podniósł się Winnetou, wyciągnął rewolwer i zapytał swoim spokojnym, a jednak dobitnym głosem:

— Czy białe twarze wiedzą, kto przed nimi stoi?

— Winnetou — odpowiedział hacjendero.

— Tak, Winnetou, wódz Apaczów — potwierdził urzędnik.

— Ale czy wiedzą białe twarze, że Winnetou nie lubi próżnego gadania i nie znosi błaznów? Życzę sobie pozostać sam z moim przyjacielem Old Shatterhandem. Będę liczył do trzech, jeżeli któryś z was tutaj jeszcze pozostanie, nie ujdzie z życiem.

Mówiąc to, skierował na nich rewolwer.

— Raz...

Urzędnik dał drapakę.

— Dwa...

Umknął też i hacjendero.

— Nie ma więc potrzeby liczyć do trzech — uśmiechnął się Apacz.

Śmieszni tchórze stanęli w przyzwoitej odległości od nas i omawiali coś żywo, po czym udali się do namiotu wodza. Widzieliśmy, jak rozmawiali z nim, ale trwało to niezbyt długo, gdyż nagle wódz wyrwał z ziemi oszczep, na którym znajdował się totem, i począł okładać urzędnika. Juryskonsulto wybiegł czym prędzej, miotając przekleństwa, a w ślad za nim pognął don Timoteo, wołając nie doświadczać podobnych cięgów.

Zrażony zuchwałością hacjendera, zaniechałem myśli wynagrodzenia go pieniędzmi Meltona, a postanowiłem w całości oddać je biednym emigrantom. Jednakże zanim wyruszyliśmy, zwróciłem się do don Timotea:

— Senior, oto jest pański kontrakt z Meltonem oraz listy, które dostatecznie dowodzą, że Melton był sprawcą napadu na hacjendę. Dzięki tym dokumentom odzyska pan rychło majątek i zatrzyma pobraną już zapłatę jako odszkodowanie. Bądź pan zdrow i staraj się na przyszłość okazać skromność i roztropność większą, aniżeli dotychczas.

Pożegnałem go na zawsze. Zwróciłem również emigrantom ich umowy, które natychmiast zostały podarte na kawałeczki. Dosiadłszy koni, pojechaliśmy.

Hacjendero, urzędnik, policjanci i don Endimio de Saledo y Coralba odprowadzali nas wzrokiem. Stary Pedrillo żegnał głośnymi życzeniami, jego podwładni wtórowali mu, reszta milczała.

Można sobie wyobrazić, z jakimi oznakami radości żegnali moi ziomkowie tę miejscowość, która była terenem ich męczarni i miała stać się ich grobem. Ja również odjeżdżałem zadowolony z dobrych wyników naszego przedsięwzięcia. Co prawda sądziłem, że jeszcze oczekuje nas niebezpieczna przeprawa z Vete-ya, ale spodziewałem się również przybycia Silnego Bawołu. Gdzie i kiedy ich spotkam, tego nie mogłem przewidzieć.

Droga do Chihuahua prowadziła przez pustynię, później przez wąski teren Jumów, następnie zaś przez ziemie, o które Jumowie walczyli z Mimbreniami. Na tym jedynie odcinku można było napotkać trudności.

Na przodzie jechali znający drogę wojownicy Jumów. Ja galopowałem obok Winnetou i Przebiegłego Węża, w pobliżu zaś znajdowali się obydwaj synowie Nalgu Mokaszi. Meltona, skrepowanego linami, prowadziła silna eskorta. Na końcu jechała Judyta i jej ojciec w otoczeniu kilku Jumów.

Dodać trzeba, że jeszcze nad ranem pogrzebaliśmy Wellera i atletę. Spoczęli obok siebie, zamordowany i morderca, w obcej ziemi, która odmówiła im tego, czego tak namiętnie szukali: jednemu — złota, drugiemu — miłości.

Wieczorem pierwszego dnia wyjechaliśmy z pustyni i rozbiliśmy obóz na łące, gdzie konie znalazły upragnioną paszę. Nazajutrz przesmykiem należącym do Jumów, wjechaliśmy na sporne obszary. Była to okolica górzysta. Dążyliśmy do obszernej kotliny z małym jeziorem pośrodku. Z zachodem słońca dotarliśmy do jej południowego brzegu.

Wjeżdżając do kotliny razem z Winnetou, spostrzegłem jeźdźca, który wychylił się ze wschodniej rozpadliny, lecz zauważywszy nas, schował się czym prędzej. Rozłożyliśmy się nad brzegiem jeziora. Meltona przywiązano do drzewa. Dla Judyty rozbito w zaroślach namiot.

Tymczasem Winnetou swoim zwyczajem obchodził kotlinę. Kiedy wrócił, poznałem po nim, że dokonał poważnych odkryć.

— Czy mój czerwony brat zauważył coś więcej niż jeźdźca, któregośmy poprzednio spostrzegli?

— Tak — odpowiedział. — Zajrzałem do wschodniej doliny: była pusta. Później do północnej: stamtąd nadciągali właśnie jacyś jeźdźcy, lecz ujrzawszy nasze konie, cofnęli się szybko.

— A więc są to dwa rozmaite oddziały, które wzajemnie o sobie nic nie wiedzą.

— Tak jest. Jeden przybył z północy, drugi ze wschodu. Dążyli do jeziora, a widząc, że zajęte, wycofali się z powrotem.

— Czy mój czerwony brat wie, co to za oddziały?

— Old Shatterhand wie również.

— Można się domyślić. To Wielkie Usta i Silny Bawół, każdy ze swoimi wojownikami. Ale który nadciąga z północy, a który ze wschodu?

— Łatwo się dowiemy, gdy pójdziemy na zwiady. Ja na północ, brat mój na wschód. Jeszcze dziesięć minut i zapadnie noc, więc będziemy mogli pójść.

Wróciliśmy do obozu, aby posilić się, a kiedy się zupełnie ściemniło, poszliśmy, nie zwracając niczyjej uwagi. Winnetou na północ, ja na wschód.

Wiedzieliśmy, że nieznanymi jeźdźcami wysłał również wywiadowców, aby się dowiedzieć, kto obozuje nad jeziorem. Istotnie, niewiele drogi uszedłem, kiedy dobiegł mnie nieznacznym szmerem. Natychmiast przywarłem do ziemi i czekałem na wywiadowcę, który wnet się ukazał. Nie widział mnie, miał wzrok utkwiony przed siebie. Kiedy podszedł do mnie bardzo blisko,

podniosłem się i w oka mgnieniu oburącz schwyciłem go za gardło. Był to wyrostek indiański. Opadły mu ręce, a nogi trzęsły się pod nim ze strachu. Powaliłem go, mówiąc ściślej, pozwoliłem mu upaść, odebrałem nóż, który tkwił za pasem, rozluźniłem ucisk, aby złapał tchu, rzekłem:

— Z jakiego jesteś szczepu?

— Mim-bre-nio — wymamrotał, chwytając oddech.

Mógł mnie okłamywać. Zapytałem więc:

— Kto was prowadzi?

— Nalgu Mokaszi.

— Dokąd jedziecie?

— Do Almaden, do Old Shatterhanda i Winnetou.

Puściłem go i rzekłem:

— Mów ciszej. Popatrz mi prosto w twarz. Czy znasz mnie?

— Uff! Old Shatterhand!

— Podnieś się! Zaprowadzisz mnie do Silnego Bawołu. Zwracam ci nóż.

Podniósł się i szedł za mną w milczeniu. Lecz w pobliżu doliny zatrzymał się i odezwał:

— Old Shatterhand jest przyjacielem czerwonych i mistrzem w sztuce wojennej. Niechaj nie myśli, że każdy inny wojownik mógłby mnie podejść. Jeśli Old Shatterhand opowie wodzowi, że dałem się zaskoczyć i rozbroić, wódz odeśle mnie do kobiet, a wówczas utopię nóż we własnym sercu.

— W takim razie przemilczą to. Ale pamiętaj, na przyszłość panuj nad przestraczem i nie ulegaj mu tak łatwo!

Kiedy weszliśmy do doliny, rozległo się cykanie świerszcza. Towarzysz mój odpowiedział tak samo.

Wkrótce zbliżyliśmy się do ogniska. Dookoła siedzieli jacyś ludzie. Jeden z nich podniósł się i rzekł:

— Dwóch przyszło. Kim jest ten drugi?

— Old Shatterhand — odpowiedział Mimbrenio.

— Old Shatterhand! Old Shatterhand! — rozniosło się dokoła lotem błyskawicy.

To pytał Nalgu Mokaszi, wódz Mimbreniów. Podał mi dłoń i rzekł z radosnym zdziwieniem w głosie:

— A więc mój znakomity biały brat do nas przybył? Ulżyło mi na sercu, gdyż lękałem się o niego. Lecz skąd się wziął tutaj? Spodziewaliśmy się, że albo nie żyje, albo przebywa w pobliżu Almaden.

— Nie żyję? Wszyscy, którzy ze mną wyruszyli, czują się świetnie i nie zaznali nic złego. Wojownicy Mimbreniów, a przede wszystkim synowie Silnego Bawołu, trzymali się tak dziarsko, że zasługują na najwyższą pochwałę. Później opowiem o nich, o ich czynach. Przedtem muszę wiedzieć, ilu wojowników przyprowadził Silny Bawół.

— Dwustu paru.

— A co się stało z pochwyconymi Jumami, co się stało z Vete-ya? Czy zginęli z zaciśniętymi zębami, jak przystoi mężczyznom, czy też wydawali okrzyki bólu?

— Wielki Duch nie życzył sobie, abyśmy napawali oczy widokiem śmierci tych psów. Oswobodził jednego z nich i przeciął pęta pozostałym. Uciekli, skradłszy nam wiele koni.

— Czy wiesz, gdzie szukać zbiegów?

— Nie wiem, ale przypuszczam, że udali się do Almaden. Kiedy uciekli, natychmiast wysłałem za nami wszystkich wojowników, których miałem przy sobie. Sam zaś wróciłem po posiłki i po świeże konie. Teraz przybyłem tutaj, zabiegając im drogę. Tak więc Vete-ya znalazł się w potrzasku, pomiędzy dwoma naszymi oddziałami, które go wkrótce zgniotą.

— Bardzo roztropnie. Mogę oznajmić ci, że Vete-ya znajduje się niedaleko stąd, w północnej dolinie.

— A więc natychmiast musimy tam się udać.

— Nie śpiesz się, wszak muszę ci zrelacjonować przebieg naszej wyprawy.

Opowiedziałem bardzo pobieżnie, w ogólnych tylko zarysach. Otaczali nas wojownicy, przysłuchując się z zapartym tchem. Wódz od czasu do czasu wydawał okrzyki zdumienia, kiedy zaś skończyłem, zawołał:

— Mniej niż pięćdziesięciu naszych wojowników dokonało tych czynów! Słuchajcie, mniej niż pięćdziesięciu! A między nimi moi obaj malcy!

Nie wyszczególniłem kto czego dokonał, lecz mówiłem ogólnikowo: my. Stąd ta duma wodza, który przypisał wszystkie niezwykle czyny swoim wojownikom,

— A więc Przebiegły Wąż i jego trzystu wojowników obozuje w kotlinie wraz z moimi braćmi? Co za przypadek! Gdybyś z nimi nie zawarł pokoju, mielibyśmy jeszcze przed świtem wszystkie ich skalpy.

— Mam nadzieję, że uszanujesz umowę, którą z nimi zawarłem. Skalpy i tak cię chyba nie miną.

— W jaki sposób?

— Mówiłem wszak, że w pobliżu obozuje Vete-ya. Na pewno się rozsierdzi, kiedy dowie się o umowie Przebiegłego Węża. Przypuszczam, że nie zgodzi się na przyjaźń z nami. Wówczas niechybnie dojdzie do walki orężnej.

— Jak się wobec tego zachowa Przebiegły Wąż?

— Ten sojusznik jest uczciwym człowiekiem i nie zawiedzie naszych nadziei. Mniej pewni są jego ludzie, zwłaszcza tych czterdziestu, których wzięliśmy do niewoli. Trzeba poczekać na rozwój wypadków. Chwilowo muszę naradzić się z Winnetou, który ruszył na zwiady do obozu Vete-ya. Później pchnę do ciebie posłańca z rozkazami. Musisz je starannie wykonać. W każdym razie możemy spokojnie patrzeć w przyszłość, gdyż mamy oczywistą przewagę nad Jumami. Jeśli nawet zgromadzili siły znaczniejsze niż nasze, to my za to mamy więcej broni palnej. Na dodatek w naszych szeregach znajdują się wojownicy, z których każdy jest więcej wart niż dziesięciu, a nawet więcej wrogów. Teraz odchodzę. Bądźcie gotowi!

Kiedy wróciłem do obozu, zastałem już Winnetou, który przebył odległość znacznie większą niż przypuszczałem. Położyliśmy się obok siebie, aby nikt nas nie mógł podsłuchać, i zdawaliśmy sobie relacje z odbytych zwiadów. Okazało się, że Winnetou był nie tylko w obozie Jumów, ale również w obozie Mimbreniów, którzy ścigali Vete-ya. Otóż, kiedy podkraść się pod obóz Jumów, natrafił na wywiadowcę, ten zaś okazał się Mimbreniem i zaprowadził go do swojego obozu, rozbitego w odległości tysiąca kroków od wrogów nic nie podejrzewających. Poleciwszy Mimbreniom spokojnie leżeć i czekać na jego rozkazy, Winnetou wrócił do naszego obozu.

— Musimy teraz zastanowić się — rzekłem. — Jeżeli Vete-ya zgodzi się na pokój, tym lepiej, jeżeli nie, przekonamy go, że nie mamy powodu się lękać.

— Nie zechce pokoju. Zabiłeś jego syna. Może by się zgodził na zawarcie pokoju z Mimbreniami, ale z tobą — nigdy.

— Tym gorzej dla niego. Okrążymy go, zanim się rozwidni. Uważam, że...

W tej chwili rozległ się głośny okrzyk. Jakiś Indianin wyszedł z zagajnika i z wesołymi okrzykami zbliżał się do Przebiegłego Węża, który spoczywał na brzegu jeziora. Był to wywiadowca Vete-ya, a miał wybadać, kto zajął kotlinę. Na widok swoich braci opuścił kryjówkę i podbiegł do przywódcy. Obydwaj rozmawiali żywo. Po chwili stanęli obok mnie i Winnetou. Wywiadowca obrzucił nas ponurym spojrzeniem. Przebiegły Wąż oświadczył:

— Wojownik Juma melduje mi, że Vete-ya przybył tutaj i chce wiedzieć, kto obozuje nad wodą. Ponieważ jest naczelnym wodzem naszego plemienia, przeto muszę go zaprosić wraz ze wszystkimi wojownikami. Cóż myślę o tym moi bracia?

— Czy powiedziałeś wywiadowcy — zapytał Winnetou — że zawarliśmy pokój?

— Tak.

— Wierzmy, że nie zawiedzie naszego zaufania. Ale nie wiedząc, czy Vete-ya pragnie pokoju czy wojny, musimy być ostrożni, Owszem, niech przyjdzie ze swymi ludźmi. Pozwalam mu zająć połowę brzegu aż do buku, pod którym spoczywałeś. Rozniećcie tam ogień, aby Vete-ya mógł się rozejrzeć dokoła. Howgh!

Przebiegły Wąż udzielił posłańcowi dodatkowych wskazówek, odesłał go, po czym oświadczył:

— Cośkolwiek Vete-ya postanowi, na mnie możecie polegać.

— A twoi wojownicy?

— Większości jestem pewien. W potrzebie obronimy was przed Wielkimi Ustami.

— Zwołaj swoich ludzi i wpytaj ich dokładnie. Chcemy wiedzieć, czego się po nich spodziewać.

Szczególna była nasza sytuacja. Można sobie wyobrazić jezioro o średnicy dwustu kroków, buk, o którym mówił Winnetou, wznosił się pośrodku jego południowej części. Stąd na zachód połowa jeziora i brzegu miała należeć do Jumów, na wschód do nas. Po naszej stronie od dawna paliło się ognisko. Teraz oświetlono również dalszą część brzegu. Nasi Jumowie zaczęli przechodzić na swój teren, my zaś pozostaliśmy na swoim, w położeniu dosyć niebezpiecznym. Nasza garstka, składająca się z niewielu Mimbreniów oraz białych, byle jak uzbrojonych, obarczonych dziećmi i kobietami, miała naprzeciw siebie trzystu czterdziestu wojowników, do których wnet miał przyłączyć się Vete-ya. Lecz dodawała nam otuchy pewność, że w pobliżu nas znajdują się uzbrojeni Mimbreniowie z Nalgu Mokaszi.

Należało zawczasu ukryć konie w bezpiecznym miejscu. Gdy doszliśmy z nimi do ciemnego zakątka za drzewami, rzekł do mnie Apacz:

— Mój brat weźmie ze sobą kilku ludzi i odprowadzi konie do Nalgu Mokaszi. Za kwadrans, a więc zanim nadejdzie Vete-ya, będziecie z powrotem.

Ja tymczasem wyślę gońca do Mimbreniów, którzy rozłożyli się na tyłach Jumów. Niech Silny Bawół puści pod należyty nadzorem konie na łąkę i sikoro tylko Vete-ya tutaj przybędzie, niech się szybko do nas przybliży. Po drodze spotka Mimbreniów, których sprowadzam przez gońca. Nalgu Mokaszi ma gęsto obstawić kotlinę. A niech się zachowuje tak cicho i spokojnie, aby go Jumowie nie spostrzegli. Musimy się jeszcze umówić co do hasła. Zgódźmy się na okrzyk wojenny Siuksów. Skoro go usłyszą, mają w mig ruszyć ku zachodniemu wybrzeżu jeziora i zwalić się na wojowników Vete-ya. My natomiast wraz ze wszystkimi Jumami, którzy dochowają nam przymierza, będziemy po stronie wschodniej. Jeśli hasła nie usłyszą, będzie to oznaczało pokój; w takim wypadku niech Mimbreniowie spokojnie czekają do rana na swoich stanowiskach.

Był to najlepszy z planów, jaki można było wymyślić. Zabrałem ze sobą jako eskortę przy wierzchowcach sześciu Mimbreniów, między nimi obu młodych braci. Byli mile zaskoczeni, dowiedziawszy się, że rychło zobaczą ojca. Wkrótce przybyliśmy do Silnego Bawołu. Chciał zatrzymać synów przy sobie, lecz dzielni chłopcy tak długo prosili i nalegali, póki nie zezwolił im na powrotną drogę. Odbyliśmy ją pieszo.

Teren obozowania oświetlały płomienie ognisk. Po chwili rozległ się tupot koni i głośnie nawoływanie. Schowaliśmy się w gąszczu, aby obserwować wrogów. Winnetou podszedł do nas i oznajmił:

— Vete-ya przybył. Zgodnie z umową zajmuje zachodnią stronę. Wkrótce będziemy go mogli zobaczyć.

Istotnie, na zachodnim brzegu zaroilo się od ludzi. Na terenie naszym nie widać było nikogo, ponieważ ukryliśmy się za drzewami, słabo oświetlonymi błyskami gasnącego ogniska. Natomiast po przeciwnej stronie było tak jasno, że widzieliśmy dokładnie wodza rozmawiającego z Przebiegłym Wężem. Chwilami dobiegał gniewny ton rozmowy, jednakże nie mogliśmy rozpoznać poszczególnych słów. Słyszeliśmy również głos Przebiegłego Węża. Dowodziło to, że broni się z równą mocą i energią, z jaką tamten napiera.

W tym czasie wrócił posłaniec Winnetou. Znalazł Mimbreniów i przyprowadził ich w pobliże. Po drodze spotkali się z oddziałem Silnego Bawołu i rozległym pierścieniem okrążyli jezioro. Teraz mogliśmy ze spokojem oczekiwać dalszych faktów, ponieważ musiały wypaść dla nas pomyślnie.

Obaj wodzowie Jumów usiedli przy ognisku, otoczeni zwartym kołem najstarszych wojowników. Radzono. Mogliśmy cierpliwie czekać. Nam nie było spieszno. Ale Silnemu Bawołowi widocznie czas zanadto się dłużył. Przybiegł bowiem, wbrew mojemu zakazowi, dowiedzieć się o stanie rzeczy.

Narada trwała przeszło dwie godziny, była niezmiernie burzliwa. W końcu podniósł się Przebiegły Wąż i podszedł do naszego obozu:

— Moi bracia — rzekł — mają przyjść do nas, aby się dowiedzieć, co uchwaliliśmy.

— Możesz nam to zakomunikować — odparłem.

— Nie mogę. Vete-ya chce wam to oznajmić osobiście.

— Nie mamy nic przeciwko temu. Owszem, niech przyjdzie.

— Czy moi bracia nie mają zaufania?

— Mnie możecie w każdym razie ufać.

— Ilu wojowników cię poprze?

— Połowa oddziału. Pozostali popierają Vete-ya.

— Czy sądzisz, że dojdzie do walki?

— Tak, jeśli nie zgodzicie się na warunki Vete-ya.

— Gotowi jesteśmy ich wysłuchać, ale nie godzimy się nigdzie chodzić, tym bardziej że nie uważamy Vete-ya za człowieka honoru.

— Ale on tu nie przyjdzie.

— Więc niech siedzi na grzędzie, dopóki nie zmądrzeje, na co może czekać wiele zim i wiele wiosen. Powtórz mu to w naszym imieniu.

Takie rozstrzygnięcie nie było po jego myśli. Zastanowił się, szukając pośredniego wyjścia.

— Czy spotkacie się w połowie drogi, jeśli i on pół przejdzie?

— Owszem. Spotkajmy się pod bukiem, ale bez broni. Ja przyjdę z Winnetou, on zaś z tobą. Po dwóch z każdej strony.

Przebiegły Wąż wrócił do swoich i spierał się około pół godziny z Vete-ya. Przybiegł powtórnie, aby nas zawiadomić, że wódz Jumów przez wzgląd na godność swego urzędu musi przyjść w towarzystwie co najmniej sześciu ludzi.

— Dwóch z naszej i dwóch z waszej strony, nie więcej. Powiedz mu to stanowczo! Nie ruszymy się z miejsca póki nie dojdzie do drzewa.

Przebiegły Wąż musiał jeszcze parę razy odbyć wędrówki między naszymi, obozami, zanim się stary nie poddał. Podeszli do wskazanego buku i usiedli. Ponieważ wąpiliśmy, że Juma pozbędzie się noża, przeto wbrew warunkom spotkania każdy z nas zabrał ze sobą rewolwer.

Vete-ya — powitał nas nienawistnym spojrzeniem. Gdy usiadłem przy nim ze wstrętem cofnął róg pledu, którym był okryty, aby się uchronić przed moim dotknięciem. Patrzył ponuro przed siebie, pewien, że my zaczniemy pertraktacje. Chcieliśmy jednak zostawić ten zaszczyt jemu. Od czasu do czasu podnosił głowę i przebijał nas ostrym jak sztylet wzrokiem. Ponieważ nas ani przewiercił, ani skłonił do rozpoczęcia, więc nagle wybuchnął ochryple:

— Moje uszy są otwarte, a więc mówcie!

Nie odpowiedzieliśmy ani ja, ani Winnetou. Po chwili Vete-ya odezwał się z pogroźką:

— Jeśli nie będziecie mówić, każę was wystrzelać!

Wówczas Winnetou wskazał mu nasz teren, do którego Juma siedział tyłem. Vete-ya odwrócił się i zobaczył Mimbreniów, leżących rzędem z wycelowanymi w niego strzelbami.

— Uff, uff! Cóż to takiego? — krzyknął. — Chcecie mnie zabić?

— Nie — odpowiedział Winnetou — lecz strzelby będą w pogotowiu, dopóki nie wrócimy. Więcej nie mam ci nic do powiedzenia.

Nie jest rzeczą miłą mieć za sobą przeszło czterdzieści luf wycelowanych w plecy. Znać też było po Vete-ya, że siedzi jak na szpilkach. Aby skrócić czas tej napiętej sytuacji, zdecydował się rozpocząć pierwszy:

— Winnetou i Old Shatterhand są w moim ręku. Dzień dzisiejszy będzie ich ostatnim.

— A Vete-ya wpadł w nasze sidła. Jeszcze w ciągu tej godziny wyniesie się na tamten świat. Skoro ten dzień ma być naszym ostatnim, to wyślemy tam ciebie przed nami.

— Przeliczcie swoich ludzi i moich! Po czyjej stronie przewaga?

— Winnetou i Old Shatterhand nigdy nie liczą wrogów. Wszystko im jedno, jeden czy dziesięciu. Niech Vete-ya liczy.

— Zmiażdżymy was!

— Czy zmiażdżyliście w Almaden, gdzie było nas czterdziestu przeciw trzystu wojownikom?

— Mnie tam nie było! Zbadam jeszcze tę sprawę. Kto okazał się tchórzem, ten zostanie przepędzony z naszych szeregów.

Ostatnie słowa skierowane były pod adresem Przebiegłego Węża, ten zaś odpowiedział gniewnie;

— Kto jest tchórzem? Gdybyś nie wiązał się ze zdrajcami, nie bylibyśmy narażeni na te zniewagi!

— Milcz! Pomówię z Meltonem i dowiem się, kto w tej sprawie zawinił.

— Nie będziesz z nim mówił. Melton jest moją własnością i nikt bez mego pozwolenia słowa z nim nie zamieni — rzucił z wściekłością Przebiegły Wąż.

— Nawet ja, twój zwierzchnik? — zdziwił się Vete-ya.

— Nawet ty! Nie jesteś moim zwierzchnikiem. Tyś taki sam wódz jak ja, a tylko dlatego żeś starszy, oddano ci przewodnictwo. Ale nikogo nie możesz zmusić do ślepego posłuszeństwa. A obelgę oddam pod rozpatrzenie najstarszych wojowników naszego plemienia. Jeśli zaś jeszcze raz ją powtórzysz, natychmiast cię zakłuję!

Stary udał, że nie słyszy, i zwrócił się do mnie:

— Powtarzam, że wpadliście w moje ręce. Wszyscy, którzy wam towarzyszą, są również zgubieni. Jedna jest tylko droga ocalenia: ty i jeden z synów Nalgu Mokaszi wydacie się w nasze ręce, aby zginąć przy palu.

— Jeśli się zgodzę, co czeka moich towarzyszy?

— Będą mogli iść swoją drogą.

— Czy jeszcze czegoś żądasz?

— Oddadzą wszystko, co mają przy sobie oraz konie, a także konia i srebrną rusznicę Winnetou.

— Słuchaj, mój bracie czerwony, przyznaję, że błędnie cię osądziłem, uważając za durnia, widzą bowiem teraz, że jesteś starym wygą, kutym na cztery nogi. Ale czy nie zechciałbyś spytać nas, jaka jest nasza wola?

— Wy? Cóż wy możecie chcieć?

— Przede wszystkim ciebie, ponieważ z Meltonem zmówiłeś się przeciw moim białym braciom, ponieważ spaliłeś hacjendę del Arroyo. Zatem chcemy mieć ciebie, twoim ludziom zaś pozwolimy odejść w spokoju.

— Gzy sępy mózg wydlubały ci z czaszki? Jakże możecie stawiać warunki, skoro jesteście w mojej mocy?

— Takie gadanie do niczego nie doprowadzi. Ty myślisz, że nas masz w ręku, my — że mamy ciebie. Kończę naradę.

Z tymi słowami podniosłem się, zamierzając odejść. Vete-ya krzyknął:

— Stój, nie skończyliśmy! Posłuchajcie, daję wam pół godziny do namysłu. Jeżeli po upływie tego czasu nie wydacie nam Old Shatterhanda i Mimbrenia, natrzemy na was i wytepiemy co do jednego.

Na słowa te w ogóle nie zareagowaliśmy. Wówczas podniósł się Przebiegły Wąż i oświadczył:

— Jestem Przebiegły Wąż i nigdy nie złamałem danego słowa; dotrzymam także układu, który zawarłem z tymi mężami.

— Jakże go chcesz dotrzymać — rzekł Vete-ya — skoro ja go unieważniam?

— Tego nie możesz uczynić. Ja układ zawarłem i ja jeden mogę uznać jego ważność czy nieważność.

Vete-ya skoczył i tupiąc nogą, zawołał:

— Ja go ogłaszam za nieważny! Kto się ośmieli powstać przeciwko Vete-ya?

— Ja się ośmielę, ja, Przebiegły Wąż. Moi wojownicy wypalili z białymi przyjaciółmi kalumet, kalumet z gliny, którą, narażając się na niebezpieczeństwa i zachowując obrzędy, wydobyłem ze świętego miejsca. Każde pociągnięcie z kalumetu jest przysięgą, której nie wolno łamać. Kto ją naruszy, nigdy nie wejdzie do wiecznych ostępów, tylko jako cień będzie się błakał dookoła ich bram.

— Nazywasz tych obcych przyjaciółmi? A może bierzesz ich w obronę?

— Tak. Będę ich bronił do ostatniej kropli krwi.

— Będziesz więc walczył ze mną i z moimi wojownikami, którzy są twoimi braćmi?

— Kto mnie zmusza do złamania przysięgi, ten przestał być moim bratem, ten obraża mnie i kała wszystkich mężów mego plemienia. Słuchajcie wojownicy, których jestem wodzem, Vete-ya nazwał nas tchórzami! Czy ścierpicie tę obrazę? Żąda od nas, abyśmy złamali kalumet, który jest najcenniejszym naszym skarbem. Żąda, abyśmy znieważyli nasze leki krzywoprzysięstwem. Czy chcecie się na to zgodzić?

Krzyczał tak głośno, że słyhać go było bardzo daleko. Odpowiedziało mu milczenie. Nie przytaknięto mu ani nie zaprzeczono. Wówczas dodał:

— Tu stoi Winnetou, tu stoi Old Shatterhand, Czy słyszeliście, aby który z nich złamał kiedyś słowo? Czy mają o nas mówić, że jesteśmy kłamcami? Old Shatterhand wydobył mnie z szybu, w którym miałem zginąć, Uczynił to, mimo że byłem jego wrogiem. Czy mam zdradzić go, gdy jestem jego przyjacielem? Czy wasz wódz powinien być kłamcą, czy uczciwym człowiekiem, którego słowu można zawierzyć? Rozstrzygniecie sami. Teraz pójdę z Winnetou i z jego białym przyjacielem. Za mną — w kim serce i rozum! Lecz kto kochał się w kłamstwie, kto znosi, gdy go tchórzem nazywają, ten może zostać przy Vete-ya. Ja powiedziałem, a wy czyńcie, jak uważacie. Skoro Vete-ya szuka zemsty na Old Shatterhandzie, niech się z nim rozprawi w uczciwej walce, jeśli jest mężczyzna. Powiedziałem swoje, a wy słyszeliście. Howgh!

Wziął nas pod ręce i wróciliśmy do siebie. Mowa jego wywarła wrażenie wprost oszałamiające, owocniejsze, niż się mogłem spodziewać, albowiem wszyscy jego ludzie poszli za nami. Nie sędzę, aby któregokolwiek zabrakło. Jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo „tchórz” zaszkodziło staremu wodzowi.

Vete-ya stał jak skamieniały. Wreszcie wrócił do swego ogniska. Po chwili zawrzało tam jak w ulu. Widzieliśmy, że wojownicy starali się nakłonić go do czegoś. Trwało to przeszło dwie godziny, po czym jeden ze starszych wojowników podszedł do buku, zatrzymał się i zawołał głośno:

— Słuchajcie, wojownicy Jumów i Mimbreniów! Tu stoi Długa Noga, który wiele lat i zim stapał przez życie i który dobrze wie, jak się odważny wojownik powinien zachować w każdym wypadku. Vete-ya, słynny wódz Jumów, stracił swego syna od kuli Old Shatterhanda. Ta krew musi być pomszczona. Old Shatterhand przestrelił Vete-ya rękę. I to musi być odkupione. Słuchajcie jeszcze, wojownicy! Przy Old Shatterhandzie znajduje się

chłopak Mimbrenio, zwany Yuma Shetar. To imię jest obrazą dla całego naszego plemienia i tylko śmiercią może być zmasane. Musimy więc zabić Old Shatterhanda i chłystka, gdziekolwiek ich spotkamy. Lecz wypalili oni fajkę pokoju z wojownikami Przebiegłego Węża i stali się ich braćmi. Wskutek tego nie powinniśmy ich zabijać, a zatem zbrodnie ich pomścić, należy w pojedynku. My jesteśmy obrażeni, my więc wybierzemy rodzaj broni i sposób walki. Ponieważ Vete-ya rękę ma zranioną i walczyć nie może, więc musi go ktoś zastąpić. W zamian pozwolimy, aby Yuma Shetara mógł zastąpić jego młodszy brat. Jeśli kto pragnie walczyć za Vete-ya, niech się do nas zgłosi.

Skończywszy przemowę, cofnął się szybko. Posłałem natychmiast po Silnego Bawołu. Nie chcąc jednak, aby ktokolwiek z Jumów go widział, kazałem sprowadzić wodza do mrocznego zakątka, gdzie nikt nie mógłby go poznać. Szybko przybył, a dowiedziawszy się o warunkach Vete-ya, odpowiedział spokojnie:

— A więc to był ten głos, który aż do nas dotarł?

— Kazałem ci przyjść, aby się dowiedzieć, czy syn twój ma przyjąć wyzwanie.

— Ależ naturalnie! Czy powinien Mimbrenio powiedzieć o sobie, że się uląkł Jumy?

— Twoi synowie są jeszcze młodzi. Dostaną krzepkiego i doświadczonego przeciwnika.

— Tym gorzej dla Jumów. Będziemy mogli o nich mówić, że ich dorośli wojownicy nie dorównują naszym chłopcom.

— Jesteś więc pewny zwycięstwa?

— Żaden Juma nie pokona mego syna!

— Który ma walczyć, Yuma Shetar czy jego brat?

— Jego brat, aby mógł sobie zdobyć imię.

— Pozostań tutaj w ukryciu. Nikt nie powinien cię poznać.

Wróciłem do obozu. Chłopcy nie zdradzali najmniejszego śladu ciekawości.

— Rozmawiałem z waszym ojcem — rzekłem — Co zamierzacie?

— Walczyć — odpowiedział młodszy. — Pragnę zdobyć imię. Mój brat odstąpił mi prawo walki.

Cisza panowała w naszym obozie. Koło godziny pierwszej wrócił do buku Długa Noga i oznajmił:

— Na radzie starszych postanowiono co następuje: pierwszy walczy Old Shatterhand, później dopiero Mimbrenio. Old Shatterhand będzie się bił na oszczepy. Przeciwnik nie jest jeszcze wyznaczony, przeto sposób walki omówimy później. Zapasy z Mimbreniem odbędą się w wodzie na noże. Jego przeciwnikiem będzie Czarny Bóbr. Walka trwa do ostatniego tchu i tylko zwycięzca ma prawo wyjść z wody. Skończyłem.

Podziwiałem chytrą Jumów. Imię Czarny Bóbr wskazywało, że ten, kto je nosi, czuje się w wodzie jak w swoim żywiole. Ja zaś miałem walczyć na oszczepy, a więc według zdania czerwonych, na broń mi nie znaną. Ale byli w błędzie. Winnetou, niezrównany mistrz we władaniu oszczepem, nauczył mnie tej trudnej sztuki.

Byłem jednak niespokojny o malca, który z całą naiwnością uśmiechał się do mnie, nie odczuwając żadnej trwogi.

— Czy mój młody brat — zapytałem — jest dobrym pływakiem?

— Zawsze najchętniej przebywałem w wodzie.

— Pluskać się w wodzie, a walczyć w niej na noże — to nie to samo.

— Nieraz walczyłem tak z bratem.

— Nie bądź zbyt pewny siebie. Czarny Bóbr ma groźne imię. Posiada z pewnością wielką wprawę w tego rodzaju walce. Jednakże przebiegłość nieraz bardziej się przydaje niż biegłość. Twój przeciwnik jest na pewno od ciebie mocniejszy, musisz tę przewagę wyrównać podstępem. Przede wszystkim w żadnym razie nie daj się przez niego schwytać, bo niechybnie zginiesz. Czy znasz roślinę, którą wy nazywacie „sika”?

— Tak, rośnie w wielkich ilościach u brzegu i między krzewami.

— Łodyga jej jest wewnątrz pusta i tworzy doskonałą rurę. Zwróć na to uwagę. Spojrzał na mnie zdziwiony; nie zrozumiał.

— Doskonała rura do oddychania. Byłem ongiś ścigany przez Komanczów. Schroniłem się w rzece. Pogrążony po głowę, stałem długie godziny, oddychając tylko przez taką rurkę. Ale pamiętaj, kaszleć nie wolno. Tkwiąc w wodzie koło brzegu i oddychając przez łodygę, możesz z całym spokojem oczekiwać wroga. Wszak uczono cię, abyś miał oczy otwarte w wodzie?

— O tak! Gdy woda jest jasna, widać wszystko w promieniu wielu kroków.

— To wystarczy.

Po chwili Mimbrenio oddalał się. Widziałem, jak odciął kilka łodyg wspomnianej rośliny i zniknął z bratem w krzakach. Idąc za nimi, stwierdziłem; że Yuma Shetar wcierał mu w ciało oliwę czy jakiś inny tłuszcz.

Upłynęło sporo czasu, zanim Długa Noga podszedł po raz trzeci do buku i oznajmił:

— Słuchajcie, wojownicy, co postanowiono na radzie starszych! Krew, którą Old Shatterhand przelał, jest krwią syna wodza, więc wymaga podwójnego okupu. Przeto Old Shatterhand powinien walczyć nie z jednym, i lecz z dwoma naraz. Każdy otrzyma pięć oszczepów, odległość między walczącymi — trzydzieści kroków. Oszczepty mają być rzucane. Nikomu nie wolno opuszczać stanowiska, można tylko zrobić jeden krok w tył, w przód lub w lewo. Tarczy nie wolno używać. Kto pozbędzie się wszystkich oszczepów, musi stać na miejscu, dopóki przeciwnik nie wyrzuci swoich. Rana nie kładzie kresu walce, jedynie śmierć może i ją zakończyć. Old Shatterhand będzie walczył z Długimi Włosami i Mocnym. Ramieniem. Niechaj przyjdzie po swoje oszczepty!

Nie uniosłem się nawet nad trawę, w której leżałem. Jumowie zachowywali się tak, jak gdyby do nich należało dyktowanie warunków, a nam pozostawało potulnie ich słuchać. Obaj moi przeciwnicy stali już z bronią w ręku. Wykonali wyzywający ruch i zawyli przeraźliwie. Kiedy i to nie poskutkowało, Podszedł Długa Noga do brzegu i zawołał:

— Dlaczego Old Shatterhand nie nadchodzi? Czy z lęku zeszytniały mu nogi? Tutaj stoją mężczyźni wojownicy, którzy go oczekują.

Leżałem z niewzruszonym spokojem. Przeczekał dziesięć minut i znowu krzyknął:

— Jest tak, jak rzekłem. Old Shatterhand nie ma odwagi. Włazł w trawę i ukrył się za krzewami. Hańba! Czyż nie wie, co przystoi wojownikowi?

Wówczas wystąpił Winnetou i zawołał:

— Jaka to żaba wylazła z wody, aby nam skrzeczeć nad uchem? Old Shatterhand jest najodważniejszym wojownikiem sawanny! Kto śmie wątpić o jego męstwie? Imię jego znane w całej prerii, we wszystkich górach i dolinach. Kto jednak słyszał kiedyś o jakiejś Długiej Nodze? Cóż to za człowiek i czego dokonał? Czy może mi kto powiedzieć? Jakże śmie ten osobnik zawezwać do siebie Old Shatterhanda? Jak śmie nam narzucać przeciwników i sposób walki? Czy ktoś z was odważył się wystąpić w pojedynku przeciw Old Shatterhandowi? Żaden. Zęby wam szczękały ze strachu. Postanowiliście tedy we dwóch stawić mu czoło i wybraliście broń, którą zapewne nie włada. Bo któż widział Old Shatterhanda z oszczepem? Wstyd i hańba wam! Wy, którzy nie wstydzicie się walczyć z chłopcem, nie mającym jeszcze imienia, jesteście warcy, aby wam stare kobiety napluły w twarz, aby was wypędzono z obozu! Nie wiecie nawet jak ma się odbywać pojedynki i co mu powinno towarzyszyć. Czy jesteśmy chorymi bizonami, abyśmy pozwolili się pożerać przez stado kojotów? Pragniecie zemsty, chcecie walki — dobrze, ale musi to być walka uczciwa. Dwóch wodzów będzie nad nią czuwać: ja i Vete-ya. Chcę obejrzeć oszczepty i zbadać, czy aby jeden nie jest mocny i giętki, a drugi spróchniały i kruchy. I nie na waszym terenie będzie się odbywała walka, lecz na pograniczu, koło buku. Wielkie Usta i ja odliczymy trzydzieści kroków. Będziemy sekundowali i jeśli kto wykroczy przeciw tym zarządzeniom, położę go trupem na miejscu. Tak ma być. Wódz niech mi odpowie, czy się godzi czy nie; wódz, a nie

kto inny, bo kto podnosi głos wobec Winnetou, musi być mężem. Powiedziałem, ja, wódz Apaczów. Teraz niech się odezwie Vete-ya, jeśli ze strachu głos mu nie uwiązł w gardle. Howgh.

Po dłuższym milczeniu odpowiedział Vete-ya:

— Przyjmujemy warunki Winnetou. Niech podejdzie do buku, tam się z nim spotkam.

Winnetou podszedł do buku. Przyniesiono dwadzieścia oszczepów. Apacz zbadał je dokładnie i odrzuciwszy słabsze, wybrał piętnaście. Odmierzono dystans. Długie Włosy i Mocne Ramię stanęli na wyznaczonych posterunkach w odległości trzech kroków od siebie. Vete-ya usadowił się przy nich z rewolwerem w rękę, aby mnie zabić przy najmniejszym wykroczeniu. Wreszcie wezwano mnie na stanowisko. Nie opodal Winnetou trzymał w pogotowiu srebrną rusznicę. To, co ci ludzie nazwali walką, mogło się rozpocząć.

— Czy chciałbyś, abym dał im nauczkę? — zapytałem Winnetou na stronie.

— Tak, zasługują na to, łajdacy. Znasz mój rzut podwójny. Jeden dla zamydlenia oczu, a zaraz za nim drugi. Celny.

Podniosłem z ziemi pięć oszczepów. Leciutkie były i cienkie. Winnetou dał znak do rozpoczęcia. Odwróciłem się nieco i udawałem, że patrzę na jezioro, aczkolwiek nie spuszczałem z oka przeciwników. Za nimi płonęło ognisko, za mną było ciemno. Ja przeto mogłem widzieć ich oszczepy o wiele lepiej niż oni moje.

Upłynęło pięć minut, a nikt z nas się nie poruszył. Moi przeciwnicy poczynali się niecierpliwić. Ja spokojnie czekałem, pomny przestrogi, że kto utraci wszystkie oszczepy, musi stać na miejscu, dopóki przeciwnik nie wyrzuci swoich. Chciałem, aby to oni najpierw wyzbyli się oszczepów i drżeli ze strachu przed moim ostatnim rzutem.

Znowu upłynęło pięć minut. Wreszcie zniecierpliwiony Długie Włosy odstąpił w tył i cisnął. Odsunąłem się o krok; oszczep przemknął koło mnie ze świstem. Następnie rzucił; Mocne Ramię raz i drugi, i znów Długie Włosy raz. Ale bez skutku. Pozostały im po trzy oszczepy. Zaczęli się wzajemnie obsypywać wyrzutami, wobec czego rzekłem:

— Wojownicy Jumów są dziećmi, które nie mają doświadczenia i nie potrafią myśleć. Celują znośnie, ale to jeszcze nie wystarczy, aby we mnie ugodzić.

— Dostanie się tobie i to natychmiast. Chwytaj! — to mówiąc, Mocne Ramię wypuścił oszczep. Złość wzmogła jego siłę, ale pozbawiła go celności. Oszczep przeszył powietrze ze świstem. Ten sam skutek odniósł porywczy rzut Długich Włosów.

— Powiedziałem wam już, że jesteście dziećmi, które wpadają w gniew i nie panują nad czynem. Powiem wam, co należy robić: dlaczego rzucacie pojedynczo? Wszak łatwiej mi uniknąć jednego oszczepu, aniżeli dwóch naraz.

— Uff! — krzyknął Długie Włosy.

— Uff! — zawtórował Mocne Ramię.

Spoglądali po sobie ze zdumieniem. Myśl tak prosta, tak jasna, nie wpadła im do głowy. Wprawdzie nie powinienem był jej podsunąć, ale umiałem dać sobie radę z dwoma oszczepami rzuconymi jednocześnie: przed jednym należy się usunąć, a drugi — odparować. Oczywiście, gdybym miał przeciwników sprawnych i doświadczonych, którzy celowałiby w jeden punkt, w głowę lub pierś, i rzucili nie naraz, lecz z drobnym odstępem czasu, wówczas nie uszedłbym z życiem.

Lecz moi oszczepnicy nie obrali sobie nawet wspólnego celu. Odstąpiłem o krok przed jedną dzidą i odparowałem: drugą. Rozwścieczeni powtórzyli manewr — z tym samym skutkiem. Wyrzucili ostatnie oszczepy i stali bezbronni, podczas gdy ja zachowałem je wszystkie.

Winnetou podszedł do nich, aby ich zmusić w razie potrzeby do wytrwania na miejscu.

— Teraz wojownicy Jumów — rzekłem — dowiedzą się, czy władam tą bronią. Postąpiliście względem mnie nieuczciwie, ale nic wam to nie pomogło. Nawet mój brat Winnetou nie dostrzegł waszej nieuczciwości, aczkolwiek rzucała się po prostu w oczy.

— Nieuczciwość? — zapytał Apacz. — Jaka? Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Oblicz. Oni mieli dziesięć oszczepów przeciw mnie. Ja mam po dwa i pół przeciw każdemu z nich. Rzecz jasna, że byli uprzywilejowani. Czy to słuszne?

— Nie. Ale nikt o tym nie pomyślał.

— Ja o tym pomyślałem, ale nawet nie wspomniałem, wiedząc, że i z tym sobie poradzę. Zaczynam!

Mierzyłem w drzewo, które wznosiło się z lewej strony za moimi przeciwnikami. Obrąłem sobie za cel grzybek, rosnący pod pierwszą gałęzią, i trafiłem. Jumowie roześmiali się wesoło, oszczep bowiem przemknął co najmniej w odległości czterech kroków od nich.

— Z czego śmieją się Jumowie? — krzyknął Winnetou. — Czyż nie widzą, że to był tylko rzut próbny? Old Shatterhand ma jeszcze cztery oszczepy. Dwa ugodzą Długie Włosy i Mocne Ramię w lewe biodra.

Tymi słowy Winnetou wskazał mi cel. Postanowiłem wykorzystać manewr, którego mnie nauczył. Rzucą się jeden oszczep dla odwrócenia uwagi, a wnet potem drugi, który przy pewnym doświadczeniu nigdy nie chybi.

— A więc w lewe biodro — zawołałem. — Zacznę od Mocnego Ramienia. Niech uważa!

Wymieniony Juma utkwiał wzrok w moją prawą rękę. Mierzyłem nią w jego prawy bok. Miarkowałem słusznie, że wskutek tego odwróci się do mnie lewym. W ślad za pierwszym oszczepem chybionym wysłałem drugi, który trafił w upatrzone biodro. Juma krzyknął przeraźliwie i runął na ziemię.

— Teraz kolej na Długie Włosy — zapowiedziałem i w oka mgnieniu rozciągnąłem go na ziemi obok towarzysza. Po czym zawróciłem do obozu.

— Oto jest rzut Old Shatterhanda — słyszałem za sobą głos Winnetou. — Znaie go już dobrze. Teraz będzie walczył Czarny Bóbr z Mimbreniem, który jeszcze nie ma imienia.

Przeciwnik Mimbrenia był silnym, barczystym mężczyzną. Zrzucił z siebie pled, który okrywał jego nagie; atletycznie zbudowane ciało. Winnetou tymczasem rozmówił się z Vetya, a następnie zawołał:

— Niech Mimbrenio wejdzie do wody ze swojego, a Czarny Bóbr ze swojego brzegu. W wodzie mogą robić, co im się żywnie podoba. Ale tylko zwycięzca może wyjść na ląd. Zwycięzony musi zginąć i oddać swój skalp przeciwnikowi. Howgh.

Mimbrenio wyszedł nago na brzeg. Trzymał nóż w ręce. Na biodrach wiła się cieniutka nitka, do której z tyłu były przywiązane łodygi siki, widoczne dla nas, lecz nie dla Jumy. Ciało jego świeciło namaszczone oliwą. Spostrzegłem w mroku wbite w niego płonące oczy, oczy ojca, który na widok Czarnego Bobra zatrwożył się w głębi serca.

Winnetou kłaśnięciem dał znak do rozpoczęcia walki, po czym obaj przeciwnicy zanurzyli się w jeziorze. Czarny Bóbr skoczył z rozmachem, że aż się woda zapieniła, potężnymi ruchami rąk i nóg pruł fale, płynąc ku chłopcu. Mimbrenio zaś wszedł do jeziora powoli, ostrożnie i poruszał się jak gdyby z namysłem. Widziałem jak zerwał z nitki przygotowane łodyżki rośliny, po czym posługując się tylko nogami i jedną ręką, podpływał ku Czarnemu Bobrowi, zbliżającemu się z dużą szybkością.

Kiedy odległość między nimi zmalała, Mimbrenio a za nim Juma zniknęli pod powierzchnią wody. Po chwili chłopak wynurzył głowę i obejrzał się dookoła, Wnet potem wychylił się Czarny Bóbr. Stali obok siebie, lecz nie widzieli się wzajemnie. Wówczas jakiś Juma z wybrzeża, wyciągając przed siebie ręce, zawołał:

— Odwróć się, odwróć się, Czarny; Bobrze! Chłopak jest tuż za tobą!

Ledwie zdołał wykrzyknąć ostatnie słowa, padł rażony kulą Winnetou.

— To samo spotka każdego, kto się wtrąci do walki — zagrzmiął głos Winnetou, zagłuszając wściekłe wycie Jumów.

Po chwili uciszyli się i z napięciem śledzili walkę. Czarny Bóbr odwrócił się i zobaczył chłopca. Trzymając nóż w ustach, wpadł na Mimbrenia i chwycił go oburącz. Lecz malec

wyślizgnął się zręcznie i zniknął pod rękami swego wroga. W następnej chwili usłyszeliśmy krzyk Czarnego Bobra i zobaczyliśmy, jak zaczął się szybko oddalać. Jął płynąć na plecach, poruszając nogami i jedną ręką, drugą zaś badał krwawiącą ranę. Mimbrenio zadał mu ją nożem w brzuch, przy czym, jak się później okazało. Juma z przerażenia wypuścił z zębów swój nóż.

Wnet potem krzyknął po raz wtóry, otrzymał bowiem drugą ranę w plecy. Odplynał jak najdalej i zniknął pod powierzchnią. Tylko od czasu do czasu wynurzał się, aby nabrać powietrza. Szukał chłopca, który zniknął jak kamień w wodzie.

Minęło pół godziny. Rozwidniło się. Mimbrenio ciągle był niewidoczny, a Czarny Bóbr wciąż go szukał. Wreszcie Juma zbliżył się do brzegu i pływał powoli, badając każde miejsce wzrokiem i rękoma. Naraz coś jak gdyby zatrzymało jego uwagę. Przyglądał się podejrzliwie, podplynał bliżej i nagle głowa jego, a potem ręce i nogi zapadły się w głąb. Nad nim bulgotała woda i utworzył się wir. Pod powierzchnią jeziora odbywała się okrutna walka na śmierć i życie. Lecz komu śmierć, a komu życie?

W końcu wynurzył się z wody Mimbrenio. Płynął ruszając nogami i jedną ręką, drugą włókł w wodzie. Pokrótkce zniknął nam z oczu za krzewami. Odwróciłem się do swoich i zawołałem przyciszonym głosem:

— Zabił Czarnego Bobra i zamierza go oskalpować. W tym celu wyciągnął go z wody. Trzymajcie broń w pogotowiu, gdyż obawiam się, że Jumowie nie potrafią opanować wybuchu wściekłości.

Istotnie, po chwili ukazał się Mimbrenio, przyplynał do nas i wyszedł na ląd.

— Stój! — krzyczał Vete-ya. — Tylko zwycięzca może wyjść z wody, zwyciężony musi w niej zginąć!

Mimbrenio w odpowiedzi wskazał nóż w prawej, skalp w lewej ręce i odparł:

— Niech zatem Vete-ya obejrzy Czarnego Bobra, który leży w zagajniku, i niech się przekona, czy żyje jeszcze. Oto jest jego skalp.

Mimbreniowie wieszowali mu okrzykami. Nie odniósł najmniejszej rany, najmniejszego zadraśnięcia. Jumowie pienili się z wściekłości. Krzycząc gniewnie pobiegli do obozu po broń.

Pomknąłem czym prędzej do Vete-ya, który stał jeszcze pod bukiem w towarzystwie Apacza.

— Twoi wojownicy — rzekłem — biegną po broń. Zatrzymaj ich, póki czas.

— Ani myślę — odpowiedział, sięgając po rewolwer.

— Niech tylko jeden strzał padnie, a wszyscy jesteście zgubieni!

— Zobaczymy! Mamy nie mniej od was wojowników.

— Mylisz się. Chodź ze mną, a zobaczysz.

Chwyciłem go za rękę i wyprowadziłem na otwartą przestrzeń. Przy świetle dziennym widać było dokładnie Mimbreniów okrążających nas pierścieniem.

— Co to za ludzie? — zapytał struchlały z przerażenia.

— To Nalgu Mokaszi i setki jego wojowników. Jesteście okrążeni. — Widzisz więc, że walka musi się skończyć waszą klęską.

Chwycił się z rozpaczony za głowę i zapytał:

— Ofiarujesz nam przebaczenie czy męczeński pal?

— Przebaczenie.

— Ufam tobie. Spieszmy się! Prędzej!

Przybyliśmy akurat we właściwym czasie, Jumowie bowiem szykowali się do natarcia i czekali tylko na wodza. Podbiegł do nich wyjaśnić sytuację, ja natomiast odesłałem Silnego Bawołu do jego oddziału, aby przygotował go na wszelki wypadek do walki.

Vete-ya musiał użyć całej swojej władzy i sprytu, aby powstrzymać zapędy wojowników. Ulegli nie tyle zresztą jego krasomówstwu, ile raczej wymownemu widokowi Mimbreniów, którzy ich okrażali zwartym murem.

Nalgu Mokaży podszedł do mnie i zapytał, wskazując na Jumów:

— Jak sądzisz, czy będą się bronić?

— Nie. Rozmawiałem z ich wodzem.

— Więc się poddadzą?

— Tak myślę.

— A zatem zginą przy palu.

— Nie przypuszczam. Jeżeli ofiarujesz im pal, nie poddadzą się, lecz będą walczyć aż do ostatniego tchu.

— No, to i cóż z tego?

— To będzie nas kosztowało bardzo wiele krwi.

— Nie mów wciąż o krwi. Powystrzelamy ich wszystkich.

— Ale zginie przy tym także wielu twoich wojowników.

— Wątpię. Walka nie potrwa długo. Oni stanowią znikomą garstkę wobec naszej gromady: ja z Mimbreniami, Winnetou, ty i twoi biali, Przebiegły Wąż wraz z Jumami, którzy są za wami.

— Są za nami, lecz będą przeciwko tobie.

— Cóż to znaczy?

— To znaczy, że przyrzekłem Vete-ya i jego ludziom przebaczenie.

— Przebaczenie? Jakim prawem przyrzekłeś? Czy, byli w twoim ręku czy w moim?

— Z początku w moim. A może chcesz ich poprowadzić do męczeńskiego pala, aby po drodze pozwolić im umknąć? Otwórz oczy, rozejrzyj się w sytuacji. Ja i Winnetou nie będziemy maczać palców w upragnionym przez ciebie pogromie. Nie sądzisz chyba, aby Przebiegły Wąż i jego Jumowie przyglądali się obojętnie mordowaniu ich braci w imię twego okrucieństwa. Pokój natomiast byłby błogosławieństwem, zarówno dla nas, jak i dla nich. W dodatku dostanie ci się wielki łup.

— Łup? A więc nie przyrzekłeś, że mienie ich nie poniesie żadnego uszczerbku? To mnie bardzo dziwi!

— Ofiarowałem im przebaczenie, a zatem tylko życie. Co się tyczy łupu, to radzę ci go nawet zażądać. Odbierz im broń i konie, to ich osłabi na dłuższy czas. Nie można przepuścić bezkarnie ostatnich zbrodni Vete-ya.

— Zgadzam się. Pomów jeszcze w tej sprawie z Przebiegłym Wężem.

Wiedziałem, iż Przebiegły Wąż nie będzie się temu sprzeciwiał. Już dawno spostrzegłem, że młody, ambitny Indianin był zazdrosny o władzę Vete-ya i marzył o jej zagarnięciu. Nie zdziwiłbym się, gdyby pragnął osłabienia i wodza i jego zwolenników. Istotnie, kiedy go zapytałem o zdanie, odparł:

— Możecie z nimi zrobić wszystko, co się wam podoba. Tylko nie zabijajcie ich i nie bierzcie do niewoli. Musiałbym się temu przeciwstawić, ponieważ są moimi braćmi.

— Wiesz, co zrobił Vete-ya, i przyznasz chyba, że zasłużył na karę.

— To mnie nie obchodzi. Zabierzcie wszystko i pozwólcie im odejść.

Zakomunikowałem treść rozmowy Silnemu Bawołowi, który poprosił mnie, abym osobiście poszedł do Vete-ya z układem kapitulacji. Zgodziłem się, ponieważ ciekaw byłem, jak przyjmie cios z mej ręki ten starzec, który niedawno jeszcze przeznaczył mnie na pal męczeński.

Znalazłem się wśród gromady uzbrojonych Jumów, obrzucających mnie nieprzyjaznym spojrzeniem, które świadczyło, że misja moja nie była zbyt bezpieczna.

— Chcesz mi oznajmić wasze postanowienia? — zapytał Vete-ya.

— Przed wszystkim chcę ci powiedzieć, że stanąłem w twojej obronie, aczkolwiek na to nie zasługujesz. Jesteś zupełnie osamotniony; Przebiegły Wąż nie chce o tobie słyszeć, ponieważ nazwał go tchórzem. Nalgu Mokaszi nalegał na ukaranie was śmiercią męczeńską. Kiedy mu wyperswadowałem tę myśl, zażądał, aby przynajmniej mógł was uprowadzić w niewolę. Odwiodłem go od tego zamiaru, lecz dalszych ustępstw nie możecie się spodziewać.

— Będziemy jednak wolni?

— Tak. Będziecie mogli odejść, dokąd zechcecie.

— A zatem odjedziemy stąd czym prędzej.

— Odjedziecie? Wasze konie należą do zwycięzców.

— Czyż nie zagarnęli już, dosyć? — mruknął w odpowiedzi.

— Czego?

— Odebrałeś stada hacjendera, lecz udało się nam odzyskać je z powrotem. Jednakże śpiesząc do Almaden, zostawiliśmy je pod strażą na miejscu. Ponieważ Mimbreniowie podążali za nami, więc rzecz jasna, zagarnęli stada.

— Nie mówiłem jeszcze o tym z Nalgu Mokaszi. Jeśli istotnie tak się stało, wówczas zwrócę hacjenderowi jego własność. Pomyśl sam, jakbyś postąpił na miejscu Silnego Bawołu? Na pewno nie darowałbyś nam życia. Dlaczego żadasz od wodza Mimbreniów większej ofiarności? Bądźże rozumny. Jeżeli będziecie się ociągać, Nalgu Mokaszi może cofnąć przyrzeczenie, a wówczas biada wam. Jeszcze jedno, cały ten teren, na którym obozujemy, jest przedmiotem sporu między wami a wojownikami Mimbreniów. Silny Bawół może go zażądać. Nie doprowadzajcie do tych ostateczności, tylko ponieście tą małą ofiarę, która zapobiegnie większym.

Przemawiałem do nich łagodnie, ponieważ chciałem zwrócić gniew wojowników przeciw Vete-ya i tym samym wzmocnić pozycję Przebiegłego Węża. Istotnie, mowa moja wywarła głębokie wrażenie na Indianach nie przywykłych do takiego traktowania. W krótkim czasie zdołałem ich nakłonić, aby bez sprzeciwu oddali Mimbreniom broń i konie. Na Silnym Bawole wymogłem, aby pozwolił im zachować wszystko, co mieli w torbach. Wkrótce zaczęli się przygotowywać do drogi, przy czym wielu spośród ludzi Vete-ya przystało do Przebiegłego Węża. Tym wojownikom zwróciłem broń i konie, co ich wprowadziło w nieopisaną radość.

Vete-ya nie mógł ukryć wściekłości. Stanowisko jego było poważnie zagrożone. Postanowił więc, odchodząc, wygłosić sarkastyczną mowę pożegnalną. Przybliżył się do nas w towarzystwie sześciu czy siedmiu najwybitniejszych wojowników, aby mogli się przekonać o jego mocy duchowej.

Naradzaliśmy się właśnie nad dalszą marszrutą. Widząc Vete-ya, wskazałem wodzowi miejsce obok siebie. Vete-ya ruchem ręki odmówił, przybrał postawę mówcy i rzekł wyniośle:

— Szczęście wojowników jest jak kobieta, która się dziś śmieje, jutro płacze, a pojutrze mów się śmieje. Kobieta była zawsze uległa wobec Vete-ya, dopóki miał do czynienia z wrogami, synami naszego kraju, których znał, o których wiedział, jaką baronią władają, jak walczą i jak można ich pokonać. Słynął jako wielki wojownik. Moja sława rosła z dnia na dzień, czerwoni i biali wrogowie lękali się mnie, a moi przyjaciele czuli się pewnie pod moją tarczą. Lecz oto przybyli obcy mężowie, którzy nie pochodzą z tego kraju. Nie mają żadnego prawa wtrącać się do naszych spraw — uczynili to Old Shatterhand i Winnetou. Należało tych przybłędów natychmiast zabić albo co najmniej wypędzić. Lecz oni posługują się bronią zupełnie nam nie znaną. Kto podola srebrnej rusznicy Winnetou i niedźwiedziówce Old Shatterhanda, który na domiar posiada zaczarowaną broń, strzelającą bez uprzedniego nabicia? Co znaczą w porównaniu z tym nasze strzały i dzicy, nasze noże i nasze nieliczne flinty?! Walczą ci ludzie w sposób nam nie znany, używają podstępów i forteli, zjawiają się w

miejskach, gdzie się ich najmniej można spodziewać. Weszli w przymierze ze złymi duchami, które są wrogami czerwonych, albowiem czerwoni to mężowie uczciwi i dobrego serca. I oto od czasu, jak te przybłądy do nas zawitały, wszystkie moje plany obracają się w niwecz. Pokonały mnie zmuszają do odwrotu pieszo, bez koni, bez oręża. Lecz Winnetou i Old Shatterhand wyruszą stąd, a wówczas szczęście znowu się do mnie uśmiechnie. Zwycięzcy dnia dzisiejszego Jutro będą zwyciężonymi; będą wyć pod naszymi pięściami jak psy, które wyczuły bliską śmierć. Albowiem ja to powiadam, ja, naczelny wódz Jumów. Nie zapomnę o tym, co się teraz, stało, zniszcz; zdepcę tych, którzy dziś nade mną triumfują. A wówczas nie będzie dla nich przebaczenia ani litości, a ci, którzy dziś ode mnie odstąpili, pierwsi pod nóż pójdą. Old Shatterhand i Winnetou niech zaś mnie strzegą; pochwyć ich bowiem i obedrę ze skóry, tak że ich lamenty i krzyki rozbrzmiewać będą po wszystkich dolinach i górach. Najstarsi z mego plemienia niech mi poświadczą. Tak powiedziałem. Howgh!

— Howgh! — potwierdzili jego towarzysze.

Odwrócili się i chcieli odejść, gdy nagle spostrzegli, że ich okrążono. Staruch wybuchnął gniewem:

— Dlaczego otoczyli nas uzbrojeni wojownicy? Czy knujecie zdradę i nie zamierzacie dopełnić umowy?

— Nie jesteśmy zdrajcami — odpowiedział Winnetou. — Okrzyżyliśmy was wojownikami, abyście się nie wycofali przed wysłuchaniem naszej odpowiedzi. Mój brat Old Shatterhand ma głos, gdyż wódz Apaczów jest przyjacielem czynów, a nie słów.

Podniosłem się i zwracając się do Vete-ya, przemówiłem:

— Vete-ya wygłosił mowę pełną złośliwości i pychy, a także błędów. Jest zarozumiały, albowiem nie potrafi docenić naszej łaskawości okazanej jemu i jego ludziom. Darowaliśmy im życie i wolność, on zaś mówi nam — w oczy, że będzie obdzierał nas ze skóry. Przemawiałem łagodnie, namawiałem do poprawy, a odniosło to skutek wręcz przeciwny. On, zwyciężony, grozi nam, zwycięzcom, że zdepcę nas i wymorduje. Czyż nie widzi, że jest jeszcze w naszej władzy, on i jego najstarsi wojownicy, którzy mu teraz przytakują? Kto nam zabroni złamać słowo, skoro i on nie ma zamiaru go dotrzymać?

— Musicie dotrzymać słowa! — przerwał gwałtownie.

— O, nie, wcale nie musimy! Mamy prawo powystrzelać ciebie i wszystkich twoich wojowników. Nie uczynimy tego, ponieważ lekceważymy was. Twoje groźby są niby skrzeczenie żaby. Jesteś słaby i stary, a wściekłość z powodu własnej niemocy dyktuje ci słowa, które prawdziwy mężczyzna puszcza mimo uszu, ponieważ są aż nazbyt dziecinne. Pozwolimy wam odejść, mimo waszej groźby, gdyż śmieszność jej nie rozgniewała nas, tylko wzbudziła litość. Powiedziałem też, że mowa twoja była pełna błędów. Mówiłeś, że Winnetou i ja jesteśmy przybłądami w tym kraju. Czy nie wiesz, że Winnetou jest naczelnym wodzem Apaczów, zamieszkujących olbrzymie obszary od Arizony do Wielkiej Mapimi i aż po Rio Pecos? Czyż Mimbreniowie nie są również szczepem Apaczów? I ty śmiesz twierdzić, że Winnetou jest obcy w tym kraju? Powiadam ci, Winnetou posiada więcej od ciebie praw do tej ziemi. Mówiłeś również, że nie potraficie podolać naszej broni. To prawda, ale są to jedynie trzy strzelby. Jeżeli całe plemię Jumów boi się trzech strzelb, świadczy to niezbyt pochlebnie o tobie i twoich wojownikach. Lecz jak często walczyliśmy przeciwko wam naszą bronią? Czy tą bronią zwyciężyliśmy? Dobro zwycięża, zło zawsze zawodzi. Pozostaniemy nadal dobrymi ludźmi, mimo twojej głupiej przemowy, ale kara was nie ominie, abyś nie sądził, że ulękliśmy się ciebie. Niechaj się zbliży do mnie mój młody czerwony brat.

Zwróciłem się do młodszego syna Nalgu Mokaszi, który natychmiast podszedł do mnie. Wziąłem go za rękę i rzekłem:

— Vete-ya miał nam za złe, że syna wodza Mimbreniów nazwaliśmy Tępicielem Jumów. Młodzieniec, którego trzymam za rękę, wyświadczył mi wiele przysługi okazał się wiernym, mądrym i wytrawnym wojownikiem. Słusznie otrzyma nagrodę. Niech dostąpi imienia, które

nam będzie przypominać jego czyny. Pokonał Czarnego Bobra i zdobył jego skalp, przeto nadam mu imię Yuma Tsil, czyli Skalp Jumy. Proszę Winnetou i wszystkich wojowników Mimbreniów, aby to potwierdzili.

Rozległy się radosne okrzyki. Winnetou podniósł się, ujął chłopca za drugą rękę i rzekł:

— Młody dzielny wojownik zasłużył na imię Yuma Tsil. Jest moim bratem, jego przyjaciele lub wrogowie są moimi przyjaciółmi lub wrogami. Howgh.

— A więc spełniły się życzenia synów naszego przyjaciela — rzekłem. — Oto zdobyli sobie doskonałe imiona, które w przyszłości zasłyną między przyjaciółmi i wrogami. Vete-ya i jego wojownicy mogą już odejść. W imionach synów wodza Mimbreniów znajdą dowód, że się ich nie boimy. Powiedziałem. Howgh.

Dałem znak Mimbreniom, aby natychmiast przepuścili wściekłych i upokorzonych Jumów.

Nadaniu imienia towarzyszyło jak zwykle wypalenie fajki pokoju oraz inne tradycyjne obrzędy. Chłopcy byli bezgranicznie uszczęśliwieni i dumni, zwłaszcza z tego, że uzyskali imiona ode mnie i Winnetou.

Ojciec ich, nie mniej dumny i szczęśliwy, dziękował mi i prosił o wybaczenie niedawnego grubiaństwa. W dowód wdzięczności chciał zamiast Przebiegłego Węża odprowadzić nas do granicy, a nawet dalej, i dostarczyć nam koni. Przystałem na to z radością i poczyniłem przygotowania do jutrzejszej wyprawy.

Nad ranem pożegnałem się serdecznie z Przebiegłym Wężem — narzeczona jego nawet teraz się nie pokazała — i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Po długiej, uciążliwej jeździe dotarliśmy do granicy Teksasu. Rozdzieliłem pieniądze między emigrantów, nie zapominając oczywiście o Playerze. Teraz nareszcie nastął kres ich niedoli i rozpoczynała się dla nich nowa, skromna, ale jasna przyszłość.

Harry Melton zgodnie z życzeniem Przebiegłego Węża, miał ponieść śmierć przy palu męczarni, a jedynym łącznikiem między nim a historią emigrantów był list, który — jak zapewne czytelnik sobie przypomina — znalazłem w jego torbie, a który zatrzymałem przy sobie.

MILIONER

Zanim rozpocznę dalszą opowieść, sięgnę w przeszłość do wcześniejszego zdarzenia. Przed kilkoma laty, wracając z podróży po Południowej Ameryce, wylądowałem w Bremerhaven i zatrzymałem się w hotelu.

Przy obiedzie siedziałem vis a vis młodego, bo zapewne dwudziestosześcioletniego mężczyzny, który nie brał udziału w ogólnej rozmowie i na mnie skupił całą swoją uwagę. Badawcze spojrzenie błąkało się po mojej twarzy. Widać było, że usiłuje coś sobie przypomnieć. Ja również miałem wrażenie, że znam go, ale musiała to być znajomość bardzo przelotna, skoro nie mogłem go umiejscowić w czasie. Wreszcie, przy deserze, oczy mego sąsiada rozjaśniły się, twarz przybrała zadowoloną minę człowieka, który rozwiązał zagadkę. To jednak nie zmniejszyło jego zainteresowania moją osobą, wręcz przeciwnie, nie spuszczał ze mnie oka.

Kiedy zjadłem obiad, przesiadłem się do stolika koło okna i poprosiłem o kawę. Nieznajomy przechadzał się po sali. Wiedziałem, że pragnie mnie zagadnąć i medytuje, jak się do tego zabrać. Wreszcie odwrócił się, przybliżył i z ukłonem, raczej szczerym niż zgrabnym, rzekł:

— Przepraszam pana. Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

— Być może — odrzekłem, podnosząc się, aby odpowiedzieć na ukłon. — Może pan przypomni, gdzie i kiedy.

— W Stanach jednoczonych, zdaje się, że w Nevadzie, w drodze z Hamiltonu do Belmontu. Czy zna pan te miasta?

— Owszem. Kiedy to było?

— Przed czterema laty. Było nas wielu poszukiwaczy złota. Uciekając przed Nawajami, zbłądziłszy do tego stopnia, że nie mogliśmy się wydostać z gór i najprawdopodobniej zginęlibyśmy, gdyby nie spotkanie przypadkowe, a tak dla nas zbawienne, Apacza Winnetou.

— Ach, Winnetou...

— A zatem zna pan słynnego wodza Apaczów?

— Trochę.

— Tylko trochę? Jeśli pan jest tym, za kogo pana uważam, to musi pan znać go o wiele lepiej, niż trochę! Wówczas Winnetou zdążył do jeziora Mariposa, gdzie miał się spotkać z przyjacielem, ze swoim najlepszym przyjacielem. Pozwolił nam sobie towarzyszyć, postanowiliśmy bowiem skierować się przez Sierra Nevada do Kalifornii. Dotarliśmy bez przygód do jeziora, a spotkawszy tam gromadę białych, przyłączyliśmy się do nich. Ostatniego dnia przybył przyjaciel Winnetou. Obaj jechali do Big Trees na łowy. Wyruszyli ze świtem. Wskutek tego siedział pan z nami przy ognisku tylko przez kilka godzin i być może dlatego nie przypomina sobie mojej twarzy.

— Ja? — zapytałem z miną zdumioną.

— No tak, pan! Czy też może nie jest pan przyjacielem Winnetou? Był pan wówczas inaczej ubrany; oto dlaczego nie przypominałem sobie pana od razu. Ale teraz twierdzę z całą pewnością, że rozmawiam z druhem Apacza.

— Jak się nazywa człowiek, za którego pan mnie wziął?

— Old Shatterhand. Jeśli się omyliłem, proszę wybaczyć, że panu zaprzątałem głowę swoją osobą.

— Nie przeszkadza mi pan, wręcz przeciwnie, pozwolę sobie zapytać, czy pije master kawę po obiedzie?

— Właśnie chciałem zamówić.

— A więc proszę, niech się pan przysiadzie. Proszę bardzo.

Usiadł, dostał filiżankę kawy i pociągnąwszy łyk, powiedział:

— Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił do stolika. Lecz mniej grzeczne jest to, że pozostawia mnie pan w niepewności.

— No, zaspokoję pańską ciekawość. Zapewniam, że nie omylił się pan.

— Ach! A więc jest pan Old Shatterhandem!

— Jestem nim. Ale proszę nie krzyczeć! Tych panów dookoła nie interesuje, kim jestem i jak mnie na Zachodzie nazywają.

— Krzyknąłem z radości. — Może pan sobie wyobrazić, do jakiego stopnia jestem zachwycony, że tak...

— Ciszey! — przerwałem. — Tu w morzu cywilizacji jestem tylko znikomą kropelką. Oto moje właściwe nazwisko.

Zamieniliśmy się wizytówkami. Jego nazwisko brzmiało Konrad Werner. Kiedy je czytałem, spojrzał na mnie tak, jak gdyby się spodziewał, że będę zaskoczony lub zgoła oszołomiony. A gdy to nie nastąpiło, zapytał:

— Czy słyszał pan kiedyś moje nazwisko?

— Zapewne wielokrotnie, albowiem Wernerów w Niemczech jest mnóstwo.

— Ale za oceanem, w Ameryce?

— Hm, nie pamiętam. Sądzę, że pan wtedy wymienił nazwisko przy spotkaniu.

— Naturalnie, że wymieniłem. Ale nie to mam na myśli. Nazwisko Werner, Konrad Werner, jest obecnie bardzo popularne w Ameryce. Niech pan pomyśli o Oil-Swamp.

— Oil-Swamp? Aha, zdaje się, że słyszałem tę nazwę i to w szczególnych okolicznościach. Co to właściwie, ustronie jakieś czy mokradła?

— Było mokradłem, ale teraz jest miejscowością, bardzo nawet znaną. Wiadomo, że pan zna Zachód, jak mało kto, i dlatego nie mogę wyjść z podziwu, iż ta nazwa nic panu nie mówi.

— Są powody. Od jak dawna mówi się o tej miejscowości?

— Od dwóch lat.

— Właśnie tyle czasu przebywałem w Ameryce Południowej. I to w takich stronach, dokąd nie dociera żadna wiadomość!

— Cieszy mnie więc, że mogę panu powiedzieć, kim stał się bezradny człowiek, jakim wówczas byłem. Jestem królem nafty.

— Do licha! Królem nafty? Muszę panu serdecznie powinszować.

— Dziękuję! Tak, jestem nim rzeczywiście. Nie myślałem o takim szczęściu wówczas, gdy spotkałem pana i Winnetou. Właściwie zawdzięczam je Apaczowi, gdyż on radził mi porzucić Nevadę i jechać do Kalifornii. Ta rada przyniosła mi parę milionów.

— Jeśli jest pan w istocie milionerem, to proszę, aby się master nie stał złym człowiekiem.

— Nie, nie — roześmiał się król nafty. — Skoro się pan dowie, kim i czym byłem niegdyś, to zrozumie, że niepotrzebnie się o mnie obawia.

— Kim pan był?

— Pędziwiatrem, nicponiem.

— Nie widać tego po panu.

— Bo też zmieniłem się gruntownie. Urodziłem się w przytułku dla ubogich. W rodzinnym domu zawsze brakowało chleba, ale nigdy alkoholu. Nie było też pieniędzy. Szybko więc nauczono mnie żebrać, a nawet kraść. Na szczęście przygarnął mnie wiejski szewc. Ciężko mi

się żyło, ale jeść już było co. Wprawdzie nie żałował batów i za byle co mnie karał, lecz nauczył mnie zawodu. Nie wytrzymałem tam długo. Uciekłem od tego surowego człowieka i tułałem się po kraju. Z czasem trafiłem do portu, gdzie zaciągnąłem się na statek. Pracując jako chłopiec okrętowy, dostałem się nielegalnie do Ameryki. Moje umiejętności szewskie nie na wiele się zdały. Przeszedłem różne koleje losu. Pracowałem w fabryce, byłem handlarzem, lecz niczego się nie dorobiłem.

Kiedy spotkałem pana w górach, właśnie z innymi mężczyznami szukałem złota, lecz jak pan wie, też bez skutku. Byłem biedakiem, nie miałem — zupełnie nic.

— Gdyby mi pan wówczas opowiedział swoje życie tak, jak teraz, na pewno służyłbym dobrą radą i chętnie bym pomógł.

— Widocznie nie było to mi sądzone. Zły los poskąpił mi śmiałości. Jakże mogłem ja, który byłem niczym, zaprzętać swoją osobą wielkiego Old Shatterhanda! Ta nieśmiałość wyszła mi na dobre. Ciekaw jestem, czy pańska rada doprowadziłaby mnie do milionów.

— Ma pan słuszność. Jestem przekonany, że ja sam milionów nigdy się nie dorobię. Ale do rzeczy! Co pan robił w Kalifornii?

— Rzemiosło nic mi nie dało, mniej jeszcze handel, więc imałem się rolnictwa. Zostałem parobkiem. Właściciel szybko mnie polubił. Miałem chęć do pracy i wskutek tego zarabiałem coraz więcej. Pewnego razu diabeł skusił mnie do gry. Zaryzykowałem półroczne wynagrodzenie i... wygrałem, ale byłem jeszcze dość rozsądny, aby w porę odejść od stołu. W dwa lata zebrałem pięćset dolarów. W tym czasie wysłał mnie gospodarz do Jone-City po zakupy. Zabrałem swój mająteczek, aby go ulokować w bezpiecznym miejscu. Lecz oto spotkałem Jankesa, który zaproponował mi kupno gruntu nad górską rzeczką. Przysięgał stokrotnie, że jest to najlepsza ziemia w całej Kalifornii. Zaintrygowało mnie to. Dotąd byłem najmitą, a oto mogłem zostać gospodarzem. Koledzy Jankesa namawiali gorąco, ubiłem więc interes.

— Za ile?

— Za czterysta dolarów gotówką.

— Czy Jankes był istotnie posiadaczem tego gruntu? Wie pan, jakie matactwa dzieją się przy tego rodzaju transakcjach. Słyszałem nawet, że sprzedawano i kupowano tereny, których wcale nie było.

— Ale w tym przypadku było inaczej. Zanim kupiłem, poinformowałem się u władz miejscowych. Ziemia ta istniała i należała do Jankesa, któremu wolno było ją sprzedać.

— Ale dlaczego sprzedawał? Skoro ją tak chwalił, powinien był zatrzymać dla siebie.

— Wyłuszczył mi powody. Tęsknił do awanturniczego życia i nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Hm! Był to jednak wybieg.

— Oczywiście. Skoro dobiłem targu i wypłaciłem gotówkę, Jankes i jego towarzysze wyśmiali mnie. Powiedzieli wręcz, że kupiłem mokradła, do niczego niezdatne bagnisko!

— Bagna... Aha, zbliżamy się do Oil-Swamp!

— Owszem. Gospodarz mój, dowiedziawszy się o moim niefortunnym zakupie, zaczął się na mnie gniewać. Niechętnie się ze mną rozstawał. Radził, abym uważał pieniądze za stracone i nie zwracając sobie głowy moczarami pracował u niego, jak dotychczas. Twierdził, że zaoszczędzę przynajmniej ostatnią setkę dolarów, którą zamierzam wydać na podróż, i że wkrótce znów się dorobię uczciwie pracując na roli. Nie dałem się jednak namówić. Skoro kupiłem grunt, chciałem go przynajmniej zobaczyć, choćbym miał stracić ostatnie grosze. Pewien Niemiec, nazwiskiem Ackermann, zamożny obywatel z San Francisco, kupił w pobliżu mego mokradła las i udał się tam, aby urządzić tartak. Przedsięwzięcie zaczęło się skromnie, ale zataczało coraz szersze kręgi. Syn tego Niemca pozostał w San Francisco, zatrzymany interesami, ale po ich załatwieniu podążył w ślad za

ojcem. Spotkałem się z nim po drodze. Jechaliśmy do tej samej miejscowości. Mój towarzysz był tam już dawniej, aczkolwiek krótko. Obejrząwszy papiery i plan, potrząsnął głową i rzekł:

— Jest pan naszym najbliższym sąsiadem. Nie mogę pana jednak pocieszyć. Nabył pan rzeczywiście bagna. Jak na cenę, którą pan zapłacił, jest to ogromny szmat ziemią ale cóż z tego, skoro bezużyteczny.

Była to kiepska pociacha. Niebawem ojciec potwierdził słowa syna. — Posiada pan — rzekł — obszerną kotlinę, — bagna, otoczone gołymi, nie porośniętymi wzgórzami. Gdziekolwiek tylko spotyka się samotną roślinkę. Co z tym można zrobić? Po prostu wyrzucił pan pieniądze w błoto.

— Przynajmniej niech obejrzę te mokradła — rzekłem przygnębiony. — Jest to jedyna pociacha, jaką będę z nich miał.

— Stanowczo jedyna. Wypocznie pan u mnie. Jutro pojedzie pan i jeśli nic nie ma master przeciwko temu, dotrzymam panu towarzystwa.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy. Towarzyszył nam również syn Ackermanna. Jechaliśmy długo przez lasy iglaste. Należały do niego i mogły dostarczyć tartakowi niewyczerpanej ilości drzewa. Następnie przejechaliśmy przez nagie wzgórza, które się naraz rozstały, biegnąc dokoła obszernej niziny o monotonnym pejzażu. Przed nami rozpościerało się bagno. Nic więcej prócz bagna! U brzegu widać było jeszcze nieco krzewów. Trochę dalej rosło sitowie, następnie mech, zielonkawobrazowy błotny mech, sterczący między bladymi kałużami. Żadna inna roślinność nie mogła się tutaj utrzymać.

— Oto jesteśmy na miejscu — rzekł starszy Ackermann. — Ten widok jest tak przygnębiający, że ilekroć tu zaglądam, czym prędzej uciekam z powrotem.

— A więc nie wchodził pan głębiej?

— Nie.

— A jednak chętnie sprawdzę, czy tam nie jest inaczej.

— Naturalnie, że nie! Widać to na pierwszy rzut oka.

— Być może. Ale muszę objechać dookoła swoją posiadłość. Jeśli obejrzę ją ze wszystkich stron, powetuję sobie tą przyjemnością stratę dolarów i noga moja nie zostanie tu więcej.

— Jak pan uważa! Mamy sporo czasu. A zatem objedziemy miejscowość. Ale trzeba się mieć na baczności, grunt jest bowiem zbyt wodnisty i można łatwo się zapaść.

Jechaliśmy bardzo ostrożnie. Naraz poczuliśmy osobliwy zaduch. Stary, który jechał na przedzie, wywahał go natychmiast. Osadził konia, wdychał powietrze w nozdrza i odezwał się:

— Co za wstrętny, przenikający smród? Nie czułem go do tej pory. Cuchnie jak w trumnie!

— Jak trup — dodał syn.

— Jak smołowiec — wtrąciłem.

Nie zatrzymywaliśmy się jednak, jadąc dalej. Zaduch był coraz bardziej nie do zniesienia. Dotarliśmy do miejsca, gdzie na bagnach, leżących po prawej ręce, nie rosła żadna roślinność. Woda była tłusta, jak gdyby polana cieczą lśniącą niebiesko i żółto. Nagle stary Ackermann wydał okrzyk, zeskoczył z konia i podszedł do wody.

— Na miłość boską! — zawołał przestraszony syn. — Nie waż się iść dalej, ojcze! Zatrzymaj się, zostań!

— Muszę zbadać, dokładnie zbadać! — odpowiedział stary z niezrozumiałą dla nas stanowczością.

— Grunt chwieje się pod nogami.

— Niech się chwieje!

Dotarł do brzegu kałuży. Stał po łydki w błocie i pogrążał się coraz głębiej. Widzieliśmy, jak pełnymi garściami czerpie wodę i wacha. Tkwił już po kolana w szlamie. Wreszcie z

dużym wysiłkiem wygrzebał się i wrócił do nas. Nie dosiadł konia, tylko podszedł do mnie i zapytał:

— Czy nie mówił pan, że zostało panu tylko sto dolarów?

— Tak.

— Pragnę odkupić to bagnisko. Ile pan żąda?

— Osobliwe pytanie! Czy da mi pan czterysta dolarów, które zapłaciłem?

— Nie. Dam panu więcej, o wiele więcej.

— Ile?

— Bardzo wiele. Powiedzmy sto tysięcy, powiedzmy nawet pół miliona dolarów!

Zaniemówiłem ze zdumienia. Wszak nie były to żarty. Ackermann w ogóle nie był żartownisiem, a że nie kpił, o tym świadczyło jego oblicze.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:

— Młody człowieku, jest pan szczęśliwcem, wybrańcem fortuny. Na tej wodzie pływa petroleum. Olej skalny. Widocznie w ogromnych ilościach znajduje się pod ziemią. Jesteś milionerem!

— Mi-lio-ne-rem! — powtórzyłem niemal bełkocząc. — Czyż to możliwe? Myli się pan, na pewno myli się!

— Nie, stanowe: no nie! Przez długie lata mieszkałem na terenach naftowych za nowymi etanami. I znam się na tym dobrze. Wiem, co to nafta. Niech mi pan wierzy.

— Pe-tro-le-um! Milioner! — bełkotałem.

— Tak, jest pan milionerem. Jest pan tym, kogo nazywają w naszym kraju „królem naftowym”. To znaczy, że nim będziesz. Nie wystarczy być posiadaczem terenów naftowych, trzeba naftę wydobywać i zamieniać na pieniądze.

— Wydobywać?

— Tak, za pomocą odpowiednich maszyn. A maszyny są drogie.

— A zatem nie zostanę milionerem. Skąd wezmę dosyć pieniędzy na maszyny?!

— Drogi sąsiedzie, niech pan nie będzie tak krótkowzroczny. Nie potrzebuje pan pieniędzy. Ani grosza. Niech pan tylko da ogłoszenie, a natychmiast zjawi się stu, a nawet więcej finansistów, skorych do przekazania panu swoich kas.

— To prawda. Ja też tak myślę — wtrącił junior.

— Ale ci ludzie nie są bezinteresowni. Będzie pan musiał odstąpić im wielu, bardzo wielu przywilejów. Znam jednak jednego, który nie będzie z pana zdzierać jak tamci.

— Któż to?

— To ja, stary Ackermann. Będę z panem postępował uczciwie, jak sąsiad. Czy chce pan spróbować?

— Dlaczego nie? Ale czy posiada pan odpowiednie fundusze?

— Już ja je zbiore, niech się pan o to nie martwi! A jeśli nawet mego majątku nie starczy, zdobędę na nieduży procent kredyt, podczas gdy inni finansisci postawią panu wygórowane warunki. Niech pan się zastanowi nad moją propozycją. A teraz pojedziemy dalej, aby obejrzeć całe mokradło i zbadać, czego się można po nim spodziewać.

— To, co następnie ujrzał, przepełniło go takim zadowoleniem, że z miejsca zaproponował mi ogromnie korzystne warunki. Ubiłem z nim interes. Nie będę panu opowiadał, jak się rozwijał. Mówiąc krótko, Ackermann był uczciwym człowiekiem i nie nadużył mego zaufania. Wieść o naszym Oil-Swampie błyskawicznie rozeszła się po Stanach Zjednoczonych i poza nimi. Wielkie kapitały zainteresowały się naszym przedsiębiorstwem. Urosło do olbrzymich rozmiarów. I oto po upływie niespełna dwóch lat jestem królem nafty, zaliczam się do milionerów i przyjechałem tutaj, aby sprowadzić do siebie matkę.

— Żyje jeszcze?

— Spodziewam się, że tak, ale nie wiem na pewno. To był pierwszy powód, który mnie sprowadził do Niemiec.

— Ma pan jeszcze inny?

— Tak. Wyznam panu, albowiem zna pan Amerykę i nie będzie się pan ze mnie śmiał. Otóż pragnę sobie poszukać w Niemczech czegoś... kogoś...

— Odważnie, mój drogi panie! Nie powinien się pan krępować. Jeśli się pan wstydzi wypowiedzieć — to słowo, wyręczę pana: pragnie pan poszukać sobie żony?

— Tak. To prawda.

— Ponieważ nie podobają się panu Amerykanki?

— Słusznie! Co ja pocznę z żoną o malutkich nóżkach i drobniutkich rączkach, z żoną wiele wymagającą? Wprawdzie stać mnie na zaspokojenie kaprysów żony, ale i ja chciałbym posiadać jakieś kaprysy, a tego nie zniesie żadna Amerykanka. Zresztą, nie zaznałem nigdy szczęścia rodzinnego, a pragnąłbym je poznać, odczuć, mam zaś przeświadczenie, że szczęście takie można posiadać jedynie przy boku rodaczki;

— Podzielam pańskie zapatrywania. Ale zostawmy na razie ten temat. Kiedy pan wylądował?

— Wczoraj.

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Jutro.

— Ja także. Jadę przez Lipsk. Tamtędy prowadzi również pańska droga. Chce pan ze mną jechać?

— Jeśli pan pozwoli, z wielką przyjemnością.

— A więc jedziemy razem.

Istotnie razem udaliśmy się do Lipska, a stamtąd skierowałem się do Drezna, Werner zaś przez Zwickau w góry. Przynależ, że jeśli to będzie możliwe, odwiedzi mnie w Dreźnie, aby zawiadomić o rezultacie podróży.

Odwiedził mnie wcześniej, niż się spodziewałem, mianowicie już po dwóch dniach. Dowiedziałem się, że podróż była daremna: matką jego od dawna nie żyła. Umarła po ataku delirium tremens. Opowiadał to tonem tak obojętnym, jak gdyby tyczyło zupełnie obcej osoby. Dowiedziawszy się, że matka nie żyje, nie odwiedził już nawet majstra, lecz czym prędzej wyjechał z rodzinnego miasteczka, nie chcąc być przez nikogo rozpoznany. Ten chłód świadczył niewątpliwie o braku serca. Teraz dopiero to sobie uświadomiłem, bo jeśli sądził, że matka żyje, powinien był przesłać jej pieniądze. Ale jakkolwiek nie podobało mi się jego postępowanie, istniały jednak okoliczności, które w jakimś stopniu usprawiedliwiały Wenera.

Zamieszkał w najlepszym hotelu i odwiedzał mnie codziennie, chociaż nie mogłem mu poświęcić zbyt wiele czasu. Interesowały mnie jego niezwykle losy od terminatora szewskiego do króla naftowego i nic poza tym. Przyjmowałem go grzecznie, ale nie zamierzałem rewizytować. Wkrótce jednak zmuszony zostałem przez los do pełniejszego zajęcia się nim.

Kiedyś, przed wielu laty, podczas wycieczki w góry, spotkałem w małej wiosce muzykanta, który tak wyśmienicie grał na skrzypcach, że wdałem się z nim w rozmowę. Był to zabawny człowiek, wyrażał się w śmiesznym miejscowym dialekcie i nagadał mi wiele o synu i córce, którzy mieli być muzykalniejsi od niego. Syn, mówił, gra na wiolinie akurat jak Paganini, a córka jest z bożej łaski w każdym razie słowikiem, bo tak cudnie śpiewa.

Nazajutrz gdy go odwiedziłem, zobaczyłem, że biec la aż piszczala z kątów, ale stary nie przesadzał: dzieci były niezwykle utalentowane. Postanowiłem zaopiekować się nimi i po powrocie do Drezna poleciłem je znajomemu dyrygentowi, który uczył mnie niegdyś muzyki. Wskutek jego zabiegów kilku zamożnych miłośników muzyki złożyło się na edukację zdolnych dzieci muzykanta. Sprowadziliśmy rodzeństwo do Drezna. Wspomniany dyrygent sam się przyłożył do ich wykształcenia, a ja także, skoro wracałem z podróży, poświęcałem im wiele czasu. Nie zawiedli też naszych nadziei. Niebawem Franciszek wstąpił jako

pierwszy skrzypek do. — pierwszorzędnej orkiestry, Marta zaś została ulubienicą publiczności. Zarabiali już tyle, że mogli wspierać swoich biednych rodziców i starą babkę. Po pewnym czasie Franciszek wystąpił z orkiestry, aby się oddać poważniejszym studiom. Pragnął zostać wirtuozem. Posiadał ku temu odpowiednie zdolności, a także wytrwałość i pilność. Liczył na pomoc dotychczasowych opiekunów oraz na zarobki swej urodziwej siostry. Oboje obdarzali mnie szczególną wdzięcznością, nazywając swoim odkrywcą, i za każdym moim pobycem dawali temu wyraz w sposób niezmiernie wzruszający.

Marta miała wielu gorących wielbicieli. Mogła niejednokrotnie doskonale wyjść za mąż, ale ona żyła tylko dla rodziców i brata. Pocieszała też babkę, od której dość dawno dowiedziała się, że jej syn, a zatem wuj rodzeństwa, wyjechał do Ameryki i wszelki ślad po nim zaginął. Uważano, że umarł w drodze, albowiem żadna wieść o nim nie dotarła do ojczyzny.

Wróciwszy z Południowej Ameryki, przede wszystkim odwiedziłem sympatyczne rodzeństwo. Franciszek zbliżał się do swego celu, Marta jeszcze bardziej wypiękniała. Oboje borykali się z kłopotami. Nie mówili mi o nich, ale sam odgadłem. Nie byłoby im tak ciężko, gdyby rodzice nadal pozostali tak samo bezpretensjonalnymi ludźmi, jakimi byli dawniej. Ale ojcu kariera dzieci uderzyła do głowy. Opuścił rodzinną wioskę, przeniósł się do Drezna i żył tak, jakby córka była co najmniej słynną solistką. Dowiedziałem się o tym nie od niej, tylko od osób trzecich, i zamierzałem przywołać starego do porządku, gdy naraz nowe okoliczności stanęły mi na przeszkodzie.

Oto król nafty, który od kilku dni przestał mnie odwiedzać, przyszedł i radośnie oznajmił o swoich zaręczynach ze śpiewaczką Martą Vogel. Byłem nie tyle oszołomiony, ile zaskoczony. Jakże mogło się to stać tak prędko? Wiedziałem, że Werner bywał na jej koncertach, ale nie posądzałem go o tego rodzaju zamiary wobec niej. A Marta, czy kochała go? Ledwo mogłem w to uwierzyć. Był wprawdzie, milionerem, ale nie uważałem go za kogoś godnego dla niej. Odwiedziłem natychmiast Martę. Znalazłem ją w tak wyśmienitym i doskonałym humorze, że pomiąłem milczeniem moje wątpliwości. Nie życzyłem Marcie Wernera, ponieważ nie był człowiekiem, który mógłby ją uszczęśliwić, nie miałem jednak prawa mieszać się do spraw osobistych mojej pupilki. Zamierzała, poślubić milionera. Robiła, jak się jej ojciec wyrażał, niezwykle dobrą partię. Czy powinienem temu przeszkodzić?

Nie byłem na zaręczynach, a swą nieobecność wytłumaczyłem interesami.

Werner jako dawny uciekinier nie posiadał żadnych dokumentów osobistych. Jakże mógł w tak krótkim czasie zdobyć potrzebne papiery? Tego nie wiem. Faktem jest, że w cztery tygodnie po zaręczynach odbył się ślub. Pośpiech był uzasadniony, wszak czas już było wracać do Ameryki. Oczywiście, zaproszono mnie na wesele. Poszedłem jedynie ze względu na Martę. Moja nieobecność zmartwiłaby ją bardzo. W dwie godziny po ślubie Werner był tak pijany, że musiano zaprowadzić go do drugiego pokoju. Zjawił się ponownie dopiero po kilku godzinach i sięgnął natychmiast po szampana. Niebawem był znów wstawiony. I właśnie teraz pokazał swoje prawdziwe oblicze. Chełpił się swymi milionami, bajdurzył o smutnych latach młodości; aby pokazać, jakie jest jego bogactwo, wylewał strumienie szampana pod stół, — obrzucał obecnych obelgami, a gdy próbowano go mitygować, odpowiadał takimi szyderstwami, że wszyscy goście po kolei opuszczali dom weselny. Chciałem uczynić to samo, lecz Marta ze łzami w oczach prosiła mnie tak gorąco, abym został, że uległem jej prośbom. Zostaliśmy tylko — państwo młodzi, ja i krewni Marty. Werner nie przestawał pić. Panna młoda spoglądała na mnie błagalnie. Zrozumiałem jej niemą prośbę. Z żartobliwą wymówką odebrałem małżonkowi flaszkę. Skoczył jak oparzony, wyrwał mi butelkę z ręki i zanim zdążyłem zareagować, rzucił nią w moją stronę, miotając przy tym obelgi. Wyszedłem bez słowa. Nazajutrz oczekiwałem go, przypuszczając, że przyjdzie mnie przeprosić. Nie zjawił się jednak, tylko przysłał list, w którym bardzo

ubolewał, że zawarł ze mną znajomość. Zauważył, że jestem przeciwny jego małżeństwu i wobec tego zabronił żonie pożegnać się ze mną.

Po upływie kilku dni odwiedził mnie Franciszek Vogel. Nie dał się namówić, aby wyjechać do Ameryki. Odprowadził ich tylko do Bremerhaven. Przyniósł mi od siostry kilka słów napisanych przed odjazdem. Dziękowała za wszystko, co dla niej zrobiłem, jak również za pobłażliwość wobec męża.

Franciszek został w Dreźnie. Otrzymywał wsparcie od szwagra milionera, jednakże nie dość wystarczające. Od czasu do czasu przynosił mi ukłony od siostry. Z jego słów wywnioskowałem, że Marta nie jest szczęśliwa, co nie mogło usposobić mnie przychylnie do Wenera. Był to pospolity gałgan. Czyniłem sobie wyrzuty, że nie usiłowałem zapobiec temu związkowi.

Po dłuższym czasie wróciłem do Stanów Zjednoczonych. Zostałem wysłany z San Francisco do Meksyku jako korespondent; przeżyłem wiele interesujących przygód, opisanych później w książce, którą zatytułowałem „Szatan”. Bez niespodzianek dotarłem do Teksasu, gdzie za pieniądze zdobyte na łotrach, zakupiłem ziemię dla emigrantów i Playera. Przez dłuższy czas bawiłem u nich, a następnie pojechałem wraz z Winnetou przez Llano Estacado do Nowego Meksyku i do Arizony na łowy i w odwiedziny do kilku plemion indiańskich. Stąd skierowaliśmy się przez Nevadę do Kalifornii i San Francisco, gdzie Winnetou wymienił na pieniądze złoty proszek i bryłki, które po drodze wydobyl ze swej tajemnej skrytki.

Myśleliśmy o kilkudniowym jedynie pobycie w San Francisco. Bywaliśmy już niejednokrotnie w tym mieście. Zналиśmy je nie gorzej od każdego mieszkańca, uważaliśmy więc, że można lepiej spędzić czas poza miastem, niż na wałęsaniu się po znanych nam ulicach. Zamierzaliśmy wyruszyć w góry Sierra Nevada, do Utah i Colorado, gdzie mieliśmy się rozstać, ja bowiem pragnąłem powrócić przez Kansas i Missouri na Wschód, by wsiąść na okręt, płynący do mojej ojczyzny.

Szybko załatwiliśmy interesy w San Francisco, więc łaziliśmy bez celu po mieście. Nosilem jeszcze ubiór Meksykanina, Winnetou zaś przyodziany był z indiańska, ale to nie zwracało niczyjej uwagi — takie zjawiska należą tam do codziennych.

Po obiedzie zwiedziliśmy słynne ogrody: Woodwarda, botaniczny i zoologiczny. Gdy zmierzaliśmy ku akwariom, spotkaliśmy trzy osoby, które przyglądając się nam, zatrzymały się w pobliżu. Nie zwróciłem na nie uwagi, byli to zapewne cudzoziemcy, których zainteresował charakterystyczny wygląd Winnetou. Lecz gdy wymijaliśmy ich, usłyszałem w mojej mowie ojczystej:

— Jako żywo! Czy to nie doktor drezdeński, który moje dzieciaki z biedy do Dreznę wygmerał?

Odwrociłem się oczywiście natychmiast. Za mną stały dwie panie i mężczyzna. Jedna z pań nosiła woalkę, nie mogłem przeto dostrzec jej twarzy. Druga miała wykwinny strój, który jakoś nie pasował do niej. Wyglądała, jak w pożyczonym ubraniu. Twarz jejmości była skądś mi znajoma. Strój jednak i spotkanie tu, w innym kraju, zaskoczyły mnie. Mężczyzna trzymał się jak prawdziwy Jankes, co nadawało mu dość komiczny wygląd. Dlatego zawołałem ze śmiechem:

— Do licha! Czy to pan, naprawdę? Przedzierzgnął się pan w stuprocentowego Amerykanina!

Tak, to był muzykant Vogel, ojciec Franciszka i Marty. Wyprostował się jeszcze bardziej i bijąc się w piersi, odpowiedział:

— Nie tylko w Amerykanina, ale także i w milionera. Niech no pan pomyśli: prawdziwe miliony! A co, nie zna pan mojej żony i córki? Czy nie poznaje pan?

— Ojczy! — wtrąciła córka. — Wszak wiesz, że wszystko zawdzięczamy temu panu. Witam pana — zwróciła się do mnie, wyciągając rękę i patrząc na mnie uważnie. Po chwili zwróciła się do Apacza, podała mu również dłoń, po czym zapytała:

— Jak długo panowie tutaj zabawicie?

— Zapewne już jutro wyjedziemy z San Francisco.

— I nie zamierzą pan nas odwiedzić? Czy to nie okrucieństwo? Niech pan z nami pojedzie, proszę pana z całego serca!

— A małżonek pani...?

— Będzie szczerze uradowany. Ale prawdopodobnie w domu go nie ma.

— Dobrze, jadę. Pozwoli pani, że się tylko umówię z przyjacielem.

— Nie, ależ nigdy! Tyle słyszałam i czytałam o słynnym wodzu, że darzę go najgłębszym szacunkiem. Niech go pan zabierze z sobą.

Winnetou nie rozumiał naszej rozmowy, gdyż była prowadzona po niemiecku. Lecz dla niego nie trzeba było słów. Skoro wziętem pod rękę Martę, zajął miejsce przy niej z prawej strony i kroczył tak dumnie i z taką godnością, że wszyscy przechodnie zwracali na nas uwagę.

Przed ogrodem czekał powóz króla nafty. Tylko milioner mógł sobie pozwolić na taki pojazd i zaprzęg. Wsiedliśmy i zajęliśmy miejsca na wprost Marty, po czym konie ruszyły z kopyta.

Spotkanie nasze tutaj, w San Francisco, nie zdziwiło mnie bynajmniej. Lecz że Wernerowie posiadali tu dom, to wydało mi się dosyć dziwne. Dlaczego bowiem nie mieszkali na swych terenach naftowych? Naturalnie nie śmiałem o to wprost spytać Marty, odpowiedź sama szybko się nasunęła.

Powóz zatrzymał się przed budynkiem, który w zupełności zasługiwał na nazwę pałacu. Ileż musiały kosztować same kolumny marmurowej bramy! Nad nimi świeciły wielkie pozłacane litery. Nie zdążyłem odczytać, musieliśmy bowiem wysiąść. Pomagali nam dwaj Murzyni, a właściwie usiłowali mnie i Winnetou pomóc. Następnie wyprzedzili nas i w bogato urządzonym przedsionku otworzyli drzwi do małej komnaty, umeblowanej niemal jak buduar. Weszliśmy do środka. Ledwie pani domu usiadła na kanapie, ta zaczęła się szybko podnosić do góry. Była to winda mechaniczna, poruszana parą, w kształcie rozkosznego umeblowanego pokoiku.

Wysiedliśmy na drugim piętrze w pokoju również wspaniale urządzonym. Widać tu było ogromny przepych. Właściciel na pewno chciał zaimponować bogactwem. Natomiast tu i ówdzie poustawiane drobiazgi wskazywały, że pani domu usiłuje starania jego osłabić.

Zdawało się, że dopiero teraz Marta odzyskała dawną swobodę. Podała rękę mnie i Winnetou i rzekła bardzo serdecznie:

— Oto jesteśmy w domu. Nie tak prędko panów wypuszczę. Musi pan zostać przez kilka dni, przez parę tygodni. Musi mi to pan przyrzec!

Niepodobna było zadośćuczynić jej życzeniu, z uwagi na jej męża, z którym nie chciałem mieszkać pod jednym dachem. Odpowiedziałem więc:

— Chętnie bym przystał, gdyby to było możliwe. Ale musimy naprawdę jutro wyruszyć.

— O, ma pan czas, wiele czasu! Gdzieś na pustkowiu, gdzie ściga pan wroga lub tropi przestępcę, istotnie każda chwila jest cenna. Ale zbyt wiele czytałam o panu, aby nie wiedzieć, że nic pana nie nagli, skoro przebywa pan w takim mieście, jak San Francisco.

— Myli się pani. Bardzo ważne powody skłaniają nas...

— Proszę pana, bez wybiegów! — przerwała. — Pomówmy ze sobą szczerze, ale to zupełnie szczerze. Mój mąż jest powodem pańskiej odmowy, czyż nie tak? Proszę nie przeczyć i nie usprawiedliwiać się. Zaraz panu dowiodę, że będzie pan mile przez niego powitany. Natychmiast sprowadzę go z biura. Wybacz pan, że odejdę na chwilę.

Wyszła z pokoju. Wtedy Winnetou rzekł do mnie:

— Ta squaw jest tak piękna, że nigdy równie pięknej kobiety nie widziałem. Mój brat niech mi powie, czy ona ma męża?

— Owszem.

— Kim jest jej mąż?

— Dawnym obieżyświatem, pochodzącym z mojej ojczyzny, który dorobił się majątku na odkryciu nafty.

— A gdzie on ją poznał?

— W ojczystym kraju. Przed dwudziestu miesiącami przyjechali do Ameryki.

Apacz zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

— Wówczas Old Shatterhand również przebywał w ojczyźnie. Mój brat znał ją wtedy?

— Tak.

— A zatem za twoją sprawą została żoną tego człowieka. Howgh!

Gdy wymawiał słowo „howgh”, co zdarzało się tylko w zakończeniu ostrzeżenia lub kategorycznego twierdzenia, był to znak niezawodny, że jest pewny swoich słów i że nie pozwoli się wprowadzać w błąd. Tym razem zdumiewała mnie jego przenikliwość, odgadująca to, czego nikt inny nigdy nie potrafiłby dostrzec.

Wkrótce wróciła Marta. Oznajmiła z determinacją odbijającą się w wyglądzie i mowie:

— Mego męża, niestety, nie ma w biurze. Interesy tak go pochłaniają...

Westchnęła, ale to odnosiło się raczej do niej samej, niż do jego przepracowania.

— Interesy? — zapytałem. — Wszak ma pracowników, na których może polegać?

— No tak, ale sprawy są często tak powikłane, a wspólnik nie bardzo się nimi zajmuje, więc ciężar spada na mego męża.

— Powikłane, powiada pani? Nie rozumiem dlaczego. Wspólnik zaś, pan Ackermann, wydaje mi się z tego, co o nim słyszałem, przedsiębiorczym i zacnym człowiekiem.

— Ackermann? Nie o nim myślałam, on już nie jest naszym wspólnikiem. Obecny wspólnik nazywa się Potter i nie jest Niemcem, ale Jankesem.

— Dlaczego mąż pani zerwał z Ackermannem i...

— A dlaczego pan pyta o to? Ach, teraz sobie uświadamiam, że pan nie wie o niczym. Czy nie odczytał pan napisu na frontonie pałacu?

— Nie.

— A więc nie wie pan, że mój mąż jest obecnie współwłaścicielem banku handlowo — rolniczego?

— Nie miałem pojęcia. Bank? Hm. Ale poza tym posiada jeszcze Oil-Swamp?

— Nie. Rozstał się z Ackermannem i z całym koncernem.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Pyta pan w sposób budzący trwogę, panie doktorze! Nie podobało mu się tam nad bagnami, a także mnie i moim rodzicom odpowiadał bardziej pobyt w mieście. Poznaliśmy Pottera, który jest przedsiębiorczym businessmanem, mimo że przeważnie zrzuca obowiązki na barki mego męża. Usłuchaliśmy jego rady. Mąż odstąpił swych praw do Oil-Swamp za trzy miliony dolarów. Przyjechaliśmy do miasta i założyliśmy nową firmę.

— Ile wpłacił Potter do spółki?

— Nic. Mój mąż włożył kapitał, Potter zaś fachowość. Wszak pan wie, że Werner nie miał żadnego wykształcenia handlowego.

— Dlaczego zamienił pewne przedsiębiorstwo na niepewne?

— Uważa pan naszą obecną sytuację za niepewną?

— Nie mogę wyrazić swego sądu, albowiem nie znam firmy. Wiem tylko tyle, że dawny wspólnik Ackermann był człowiekiem godnym zaufania.

— Potter także zasługuje na zaufanie. Ale słyszę, że nadchodzą moi rodzice. Nie mówmy przy nich o tych sprawach. Nie chciałabym ich martwić wątpliwościami, które zapewne są bezpodstawne.

Winda przywiozła oboje rodziców.

— Jesteśmy! — zawołał były muzykant, wchodząc wraz z żoną do pokoju. — I nie szybko wyjdziemy — dodał po chwili.

— Mimo to niedługo będziecie się cieszyć obecnością naszego miłego krajana — rzekła Marta. — Zamierza bowiem wkrótce nas opuścić.

— To niemożliwe!

— Wrócimy jeszcze do tego tematu. Przede wszystkim poprosimy panów, aby zostali na obiad. Wówczas przyjdzie Werner i skłoni ich, aby dłużej u nas gościli. Chwilowo ja i mama będziemy zajęte. Zaprowadź, ojcze, tych panów do palarni i zabaw przez krótką chwilę.

Udaliśmy się za starym, do palarni. Panował tu nie mniejszy przepych i nadmiar złota niż w innych pokojach. Stary poczciwy Vogel nie czuł się dobrze pośród tych mebli, obrazów i ściennych lichtarzy. Nie wiedział, gdzie podziąć ręce i nogi, aż wreszcie usiadł w bujanym krześle, ponieważ było najniższe i najbardziej wygodne. W dawnej swej izbie siadywał przeważnie na niskich stołkach.

Wziąłem bez zaproszenia cygaro, co również uczynił Winnetou, który nie mógł niestety brać udziału w rozmowie, bo nie znał niemieckiego.

— Teraz jesteśmy sami — zaczął stary — tylko sami mądrzy ludzie. Możemy szczerze pogwarzyć. Jak pan myśli, co?

— Naturalnie — potwierdziłem.

— Co właściwie pan sądzi o milionerze, o moim zięciu?

— Nie znam go.

— Przecież poznał go pan w Niemczech?

— Bardzo powierzchownie. Od tego czasu nie widziałem go i nic o nim nie słyszałem.

— Hm, tak. Powinien był co najmniej napisać do pana. Ale niedobrze o panu gada.

— A to z jakiego powodu?

— Ano tak sobie, bez powodu. Codziennie już od samego rana zaczyna popijać alkohol, i tak przez całe dni.

— Co też pan mówi?

— Tak jest, tak.

— A co na to pańska córka?

— Co ona biedna może? Nie ma nic do powiedzenia.

— A więc aż tak? Niepiękne to życie...

— Żyją jak pies z kotem. Bywa, że przez cały boży dzień nie przemówią do siebie żadnego słowa, chyba że Werner przyjdzie na obiad.

— Czy tak było od początku?

— Nie. W Oil-Swamp było inaczej. Żyliśmy tam w wielkiej zgodzie. Ale odkąd mister Potter został naszym wspólnikiem, wszystko się zmieniło.

Wie pan, ten Potter to nawet bardzo mi się podoba. A jak on spogląda na moją córkę!

— Pańska córka żaliła się, że Werner ciężko pracuje.

— Babskie gadanie! Niech pan nie wierzy. Potter ma na głowie cały interes. Ciągłe gdzieś pędzi, pisze i haruje przez cały dzień. A Werner to tylko leniuchuje. Jest członkiem klubów i innych towarzystw, gdzie się rżnie w karty i pije na umór. Byłby osłem,; gdyby tego nie robił, bo milionami potrząsa i może sobie na wszystko pozwolić. Ano, niech Potter za niego robi!

Nie przestawał gadać. Plótl, co mu ślina na język przyniosła, zachłystywał się milionami swego zięcia i nie i zdawał sobie sprawy, że stan ich interesów i stosunków rodzinnych przerażał mnie. Nie wiedziałem, czy Marta kocha męża. Jeśli go nawet nie kocha,; to stara się to ukryć. Podczas pierwszych tygodni żyli ze sobą dobrze, aż do czasu zjawienia się Pottera. Zupełnie jasno uprzytomniłem sobie, że ten Jankeś zmierza ku zagarnięciu majątku; Wenera, który obdarzył go bezgranicznym zaufaniem i grzął przez to coraz bardziej w pułapkę, w której szykowano mu kompletną finansową ruinę. Potter chciał Wenera

doprowadzić do bankructwa, aby następnie wraz z majątkiem zabrać mu jego piękną i młodą żonę.

Cóż mogłem uczynić? Zdemaskowanie łotra wymagałoby czasu, zapewne długiego, a może zresztą było już za późno. Musiałbym wejrzeć także w interesy firmy, co spotkałoby się niezawodnie z oporem obu wspólników. Łatwo mogłem pogorszyć sytuację. Podczas gadania starego biłem się z myślami, w końcu jednak postanowiłem w ogóle nie interweniować.

Niebawem przyszła pani Vogel i poprosiła nas do stołu. Marta nie przyszła po nas służącego, gdyż chciała nadać przyjęciu ciepły i przyjacielski charakter. Było to skromne przyjęcie. Spostrzegłem, że Marta jak gdyby wewnątrz odżyła. Podczas obiadu panowała niezmiernie miła atmosfera, jak za naszych dawnych spotkań. Powstawszy od stołu, zapaliliśmy cygara, podczas gdy pani domu wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdowało się pianino. Najpierw zabrzmiały melodyjnie dźwięki samego instrumentu, a następnie rozległ się przepiękny głos byleś śpiewaczki.

Byłem odwrócony tyłem do wejścia. Winnetou siedział przy mnie i słuchał z zapartym tchem. Nie rozumiał ani słowa, ale był oczarowany piękną pieśnią. Naraz twarz jego przybrała inny wyraz. Z napięciem wpatrywał się we drzwi i uczynił ruch, jak gdyby chciał wstać z krzesła.

Odwróciłem się czym prędzej. Za mną w otwartych drzwiach stali dwaj mężczyźni, król nafty i, jak się później dowiedziałem, Potter. Był to młody człowiek, dobrze zbudowany. Jego twarz przybrała wyraz oczekiwania. Zaczerwienione oczy Wenera wpiły się we mnie złowrogo. Chwiał się na nogach. Widać było, że jest pijany jak bela.

Ponieważ nosiłem strój meksykański, przeto nie poznał mnie, dopóki się nie odwróciłem. Teraz, patrząc na mnie, ścisnął pięści i zataczając się ruszył w moją stronę. Wykrzykiwał z wściekłością:

— To łotr, który chciał odstręczyć ode mnie żonę! I ważył się tu przyjść dzisiaj? A ona śpiewa mu tę pieśń? Do wszystkich diabłów, Potter, bierz go! Kości mu połamię!

Potter zbliżał się ku mnie. Podniosłem się wolno z krzesła. Nie zdążyłem jeszcze podejść, gdy do pokoju wbiegła Marta. Słyszając głos męża, przerwała śpiew, przybiegła natychmiast, stanęła między mną a wspólnikami i wyciągając ręce, rzekła:

— Ani kroku dalej! Obrażasz nie tylko mnie i moją cześć, ale i siebie samego!

— Idź precz! — krzyknął mąż. — Muszę się z nim rozmówić. A z tobą później się rozprawię!

— Nie ustąpię ani kroku! Spotkałam przypadkowo pana doktora i zaprosiłam go tutaj. Chcesz znieważać naszego gościa?

— Gościa? Gościa? — roześmiał się szyderczo. — Potter jest moim gościem. Jego zaprosiłem! Temu zaś znachorowi i gryzipiórkowi wybiję z głowy amory do ciebie. Potter, ruszaj! Zbijemy go na kwaśne jabłko! Idź precz, kobieto!

Chwycił ją za rękę, ale natychmiast puścił, albowiem przy nim stanął Winnetou. Jeden rozkazujący ruch Apacza wystarczył, aby obaj napastnicy cofnęli się o parę kroków.

— Który z was jest właścicielem tego domu? — zapytał Winnetou najczystsza mową angielską.

— Ja — odpowiedział Werner, z trudnością utrzymując równowagę.

— Jestem Winnetou, wódz Apaczów. Słyszałeś o mnie?

— Do diabła! Winnetou, Winnetou!!

— Tak, to moje imię. Słyszę, że je znasz. Ale nie wiem, czy znasz także moje cechy charakteru i czyny. Nie próbuj doświadczać ich na sobie. Słuchaj uważnie, co ci powiem! Tu oto stoi mój przyjaciel i brat, Old Shatterhand. Spotkaliśmy twoją żonę. Zaprosiła nas, więc przyszliśmy z nią tutaj. Zjedliśmy obiad i wysłuchiwałem jej śpiewu. To wszystko. Nic innego się nie zdarzyło. Jeżeli za to jednak ją ukarzesz, nie minie cię zemsta Winnetou. Moja władza sięga aż do serca tego miasta, do najskrytszych zakamarków najgłębszych piwnic w

najbardziej zapadłych domach. Każę cię śledzić. Szepnij tylko swej squaw złe słowo, a któryś z moich Apaczów odpowie ci nożem. Teraz wiesz zatem, czego sobie życzę. Jeśli nie usłuchasz, zginiesz niechybnie!

Potem sięgnął do pasa, wyciągnął monetę, i kładąc na stole, dodał:

— Oto zapłata za to, co zjedliśmy. Old Shatterhand i Winnetou nie chcą żadnych darów, albowiem są od ciebie bogatsi. Powiedziałem!

Werner nie śmiał nic rzec. Stał jak skarcony sztubak. Potter miał minę człowieka zgorzonego, ale można było poznać, że w głębi serca odczuwa zadowolenie. Położyłem rękę na jego ramieniu i zapytałem:

— Master, słyszał pan moje imię i wie, kim jestem?

— Tak — odpowiedział.

— Przejrzałem pańskie zamiary. Postępuj pan oględniej ze swoim wspólnikiem, inaczej nie będzie dla ciebie litości. Wrócę i rozprawię się z panem, ale nie według paragrafów waszych ksiąg i aktów, tylko według surowych praw prerii. Pański wspólnik opowie panu o mnie. Niech pan nie myśli, że on mnie zgnębił, i nie sądzi, że będę wobec pana tak pobłażliwy, jak byłem wobec niego w Niemczech. Aby panu pokazać, że mówię całkiem poważnie, wycisnę pieczęć Old Shatterhanda na pańskich ramionach.

Prawą ręką objąłem jego ramię i ścisnąłem mocno. Wydał nie okrzyk, ale wręcz zawył. Zaraz potem wyszedłem wraz z Winnetou, nie oglądając się za siebie. Wsiadliśmy do windy. Za naciśnięciem guzika zjechaliśmy na dół i opuściliśmy pałac, który według moich przypuszczeń, miał wkrótce stać się domem niedoli.

Nazajutrz wyjechaliśmy z San Francisco, a po trzech miesiącach w Hole in Rock rozstaliśmy się na trzydzieści miesięcy. Winnetou zatrzymał mojego konia. Umówiliśmy się dokładnie co do miejsca i czasu przyszłego spotkania, jak to dotąd czyniliśmy zgodnie z naszym zwyczajem.

Parę miesięcy bawiłem w rodzinnym domu. Następnie wyruszyłem w świat, tym razem na Wschód, gdzie spędziłem dwadzieścia miesięcy. Po powrocie pogrążyłem się w książkach i bardzo mało wychodziłem na spacer. Tylko raz na tydzień odwiedzałem towarzystwo śpiewacze, którego byłem i jestem dotychczas honorowym członkiem. To była wówczas jedyna moja rozrywka.

Którejś soboty siedzieliśmy po ćwiczeniach i naradzaliśmy się nad urządzeniem koncertu na cele dobroczynne, gdy do naszego pokoju wszedł gospodarz i zameldował:

— Dwaj obcy przyszli do pana.

— Któż to?

— Nie znam ich. Jeden jest młodym, bardzo przystojnym mężczyzną, drugi zaś kolorowy. Nie mówi nic, nie zdjął nawet kapelusza, a patrzył na mnie tak, że zrobiło mi się nieswojo.

— Szarlieh! — rozległo się spoza uchylonych drzwi. Skoczyłem na równe nogi. To Winnetou zwykł tak wymawiać moje imię!

I oto stał tutaj, za drzwiami! Winnetou, najznakomitszy wódz Apaczów w Dreźnie! Ach, jakże wyglądał ten niezwycięzony wojownik! Ciemne spodnie i ciemna przepasana kamizelka, krótki surdut, w ręce mocna laska, na głowie wysoki cylinder, którego nie zdjął. Opowiadam to wszystko w skrócie. Mogę chyba nie nadmieniać, że moje zdziwienie, ba, moje oszołomienie było nie mniejsze niż mój zachwyty.

Skoczyłem ku Winnetou, on zaś ku mnie. Padliśmy sobie w objęcia, ściskając się i całując jak bracia, po czym wybuchliśmy głośnym śmiechem, co się Apaczowi pierwszy raz zdarzyło. Wygląd jego Old Shatterhanda był tak potulny, a postać najmężniejszego wojownika Apaczów tak łagodna i śmieszna, że trzeba było nie lada opanowania, aby móc się powstrzymać od śmiechu.

Winnetou nie czekał powrotu gospodarza, tylko poszedł za nim. Teraz zbliżył się również drugi mężczyzna, który mu towarzyszył. Był to nie kto inny, tylko Franciszek Vogel, brat Marty.

Wszyscy obecni śpiewacy znali Winnetou z moich opowiadań. Jakież rozległy się okrzyki, gdy wymieniłem jego imię! Z początku nie chcieli wierzyć. Nie mogli sobie wodza inaczej wyobrazić, jak w znanym ubiorze ze srebrną strzelbą. Wiedziałem, dlaczego nie zdejmował cylindra, chował bowiem pod nim swoje obfite ciemne włosy. Kiedy go zdjął, włosy wypadły i okryły niby płaszcz ramiona i plecy Apacza. Teraz uwierzono, że jest to sam Winnetou. Wszystkie ręce wyciągnęły się ku niemu, a natchniony basista zawołał:

— Po trzykroć wiwat! — Pozostali spełnili wiwat radośnie i głośno.

Jakże często prosiłem dawniej Winnetou, aby pojechał ze mną do Niemiec lub mnie odwiedził. Zawsze nadaremnie! Skoro teraz przybył i to tak niespodzianie, musiał mieć wielce doniosłe powody. Widział, że jestem ciekaw, lecz kiwnął tylko głową i rzekł:

— Niechaj mój brat sobie nie przeszkadza. Poselstwo moje jest ważne, ale skoro upłynął tydzień, a nawet więcej, to może minąć jeszcze godzina.

— Jakże mnie znalazłeś?

— Wszak Winnetou nie jest sam. Młoda biała twarz, która nazywa się Vogel, przybyła ze mną i zaprowadziła mnie do twego mieszkania. Powiedziano, żeś poszedł tam, gdzie śpiewają, a ja chciałem usłyszeć śpiew. Więc jestem. Później wrócimy do twego mieszkania, gdzie dowiesz się, z jakiego powodu przepравиłem się przez wielkie morze.

— Dobrze. Będę cierpliwie czekał i z przyjemnością pozwalam ci posłuchać śpiewu.

Z radością zgodzono się spełnić życzenie Winnetou. Usiedliśmy wraz z Voglem przy odległym stoliku przy piwie, które Winnetou popijał bardzo chętnie, ale też bardzo umiarkowanie. Zaczęły się popisy, które szybko przemieniły się w koncert. Śpiewacy byli dumni z tego, że słucha ich tak słynny człowiek.

Mogło być koło północy, gdy Apacz oznajmił, że usłyszał już dosyć. Chętnie by go zatrzymano do rana, a może nawet i dłużej. Podziękował serdecznie śpiewakom i wyszliśmy.

Skoro przybyliśmy do domu, obejrzał się dokładnie dokoła, dotknął każdego przedmiotu i przymknął oczy, aby wbić sobie to wszystko głęboko w pamięć. Zdjąłem ze ściany dwie fajki pokoju, napełniłem i podałem mu jedną, Vogla poczęstowałem papierosem. Gdy następnie usiadłem z najlepszym, najwierniejszym i najszlachetniejszym moim przyjacielem na kanapie, rzekł po chwili:

— Przybyliśmy za sprawą pięknej białej squaw, którą odwiedziliśmy swego czasu w San Francisco.

— Ach, w sprawie Marty, pańskiej siostry? — zwróciłem się do Franciszka.

— Niestety, tak! — odpowiedział Vogel. — Nie opowiem panu nic pocieszającego. Przebywałem cztery miesiące w Ameryce.

— To niedługo.

— Tak, ale dla mnie nazbyt długo, Te miesiące były niczym lata całe, albowiem przyniosły mi tylko gorzkie rozczarowanie. Mój szwagier zbankrutował.

— A więc moje przewidywania... Jakże się rzecz ma z Potterem, jego współnikiem?

— Ten jest także, rozumie się, bankrutem.

— Nie sądzę. Ta pijawka wyssała do szpiku kości pańskiego szwagra i schowała sobie jakąś znaczną sumkę. Czy to bankructwo ze szkodą wierzycieli?

— Nie. Nikt nie stracił grosza.

— Nikt nie stracił grosza, a jednak ogłoszono upadłość? A zatem cały majątek został w tak krótkim czasie roztrwoniony? Jakże to się stać mogło?

— Wskutek rujnujących spekulacji Pottera. Mój szwagier przekazał mu prowadzenie całego interesu.

— Można to było przewidzieć. Potter zbliżył się do pańskiego szwagra od razu z zamiarem zrujnowania go doszczętnie. Gdyby tak nie było, majątek nie stopniałby tak błyskawicznie. Rzekomo przepuścił wszystko na spekulacjach, ale istotnie nabił sobie tęgi trzos. Przypuszczam jednak, że można go będzie zdemaskować.

— Nie sędzę, gdyż w takim razie nie przebywałby w San Francisco, lecz ukryłby się na odludziu. Mój szwagier oczywiście stracił wszystko. Odebrał rodzinie resztki i przepija, wałęsając się od szynku do szynku. Z ostatnim groszem przepije rozum.

— A rodzina?

— Z rodziną jest bardzo źle. Kiedy przyjechałem do Ameryki, nikt się krachu nie spodziewał. Liczyłem na Wenera. Sądziłem, że dzięki jego pomocy zdołam się prędko wybić. Lecz po trzech tygodniach nastąpił krach. Byłem zbyt dużą gębą do wyżywienia. Rodzice rozpaczali. Jedyne Marta zachowała równowagę ducha i myślała o środkach zaradczych. Pomagałem jej, strzeliła nam do słowa zbawienna myśl. Z początku wystarczyła gotówka, którą uzyskaliśmy ze spieniężenia zbędnych rzeczy. Pomyśleliśmy o panu. Gdyby pan był w Ameryce, to na pewno wspomógłby nas radą i uczynkiem. Ale, niestety, pana nie było. Wówczas Bóg sprowadził do naszego domu Winnetou.

— Jak to? Przyszedł do was do domu?

— Tak.

— Niemożliwe! Po naszych przeżyciach w tym domu, nigdy bym nie sądził, że Winnetou jeszcze przestąpi jego próg.

— To był inny dom. Wyrzucono nas po prostu z pałacu, więc wynajęliśmy małe mieszkanie. Na szczęście Apacz przybył do San Francisco, przypomniał sobie o nas, dowiedział się o wszystkim i przyszedł pocieszyć. Wstydę się niemal powiedzieć: dał nam pieniądze. Nie chcieliśmy przyjąć ale zapewnił, że wkrótce będziemy i stanie zwrócić mu pożyczkę. Zapowiedział, że rozmówi się z Potterem odtąd nie spuszczał go z oka. Lecz oto nadeszło pismo urzędowe z Nowego Orleanu, oznajmiające o śmierci naszego wujka, brata mojej matki.

— Aha, przypominam sobie. Pańska babka opowiadała niegdyś, że miała syna, który wyjechał do Ameryki i nie dawał znaku życia. Przypuszczała, że zginął po drodze.

— Tak jest. Ale nie umarł, był tylko wyrodnym synem. Umarł niedawno jako milioner. W każdym razie tak oznajmiły nam władze.

— Nie bardzo wierzę w takie bogactwo. Przekonał się pan, jaką ni wartość, gdy wpadnie w niewłaściwe ręce. Ale skąd władze z Nowego Orleanu znały wasz adres w San Francisco?

— Ze starych papierów i notatek nieboszczyka dowiedziano się o miejscu jego urodzenia, dokąd też następnie władze się zwróciły. Tam podano nasz obecny adres.

— No, więc jest rozwiązanie. Jeśli udowodnicie, że jesteście jedynymi spadkobiercami nieboszczyka i że zatem wasze prawa są bezsporne, wydadzą wam spadek bardzo szybko.

— Oby tak było! Ale sprawa ma pewien niuans. Jesteśmy jedynymi krewnymi, ale jednak chyba nie jedynymi. Nieboszczyk miał syna, który gdzieś podróżuje po świecie.

— Bardzo źle! Sprawa może ogromnie się przewlec. Trzeba w pismach wezwać syna i, jeśli się nie zjawi po upływie określonej ilości lat, będzie uważany za zmarłego. Trzeba, niestety, uzbroić się w cierpliwość.

— Tak, musimy czekać... Bodajby nam jednak wypłacili jakąś drobną część!

— To nie przejdzie. Wszystko albo nic.

— Szkoda! Ponadto należy dodać, że w Nowym Orleanie pewien adwokat zajął się sprawą syna. Jest to ponoć jego przyjaciel. Twierdzi, że spadkobierca żyje, albowiem towarzyszył mu w podróży bardzo obrotny i zaufany przyjaciel, który by na pewno, według zdania adwokata, wysłał wiadomość do Nowego Orleanu, gdyby tamtemu przytrafiło się coś złego, a tym bardziej gdyby umarł. Adwokat przedsięwziął zatem bardzo skrupulatne poszukiwania, na które sąd dał mu ileś tam czasu.

— To jeszcze bardziej przeciągnie sprawę. Jakże się nazywa z domu pańska matka?

— Jaeger.

— A więc milioner nazywał się Jaeger? Kim był właściwie?

— Z początku szewcem. Wywędrował jako czeladnik. W Nowym Jorku dorobił się sklepu, zresztą dzięki korzystnemu małżeństwu.

— Czeladnik szewski? Nowy Jork? Sklep? Bogate małżeństwo? Błysnęła mi myśl, strzeliło mi coś do głowy!

— Co takiego? Co takiego?

— Poczekaj no, pan, poczekaj! Muszę się zastanowić.

Podniosłem się z kanapy i chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Myślałem o liście, który znalazłem ongiś w portfelu Meltona. Był napisany przez jego bratanka. Podeszedłem do biblioteki i wyjąłem z oznaczonej przegródki list.

— Tak, to się zgadzało! A zatem list dotyczy omawianego przypadku? Co za zbieg okoliczności! Musiałem się upewnić, więc zapytałem:

— Jaeger dorobił się sklepu z obuwem w Nowym Jorku? Czy nie był dostawcą wojskowym?

— Tak.

— I dostarczał nie tylko obuwie, ale również inne artykuły?

— Tak, tak! Zbił na tym miliony. Ale skąd pan wie o tym? Co za list trzyma pan w ręce?

— O tym później! Powiedz pan, czy Jaeger zawsze posługiwał się swym niemieckim nazwiskiem?

— Nie. Zamerykanizował je na Hunter.

— Dlaczego pan od razu nie powiedział!? Dlaczego wymienił pan tylko niemieckie nazwisko?

— Myślałem, że to nie zmienia postaci rzeczy.

— O, bardzo, bardzo zmienia, wszystko nawet! Czy wie pan, jak się nazywał zaginiony syn?

— Tak. Small. Cudaczne imię, nieprawdaż?

— Tak, ale to państwu na rękę. Im dziwniej brzmi imię poszukiwanego, tym trudniej jest pomylić go z kim innym. A zatem — Small Hunter. Zaginął? I gdzie? Naturalnie, że na Wschodzie. Czyż nie tak?

— Tak, na Wschodzie! — zawołał zdumiony Vogel. — I to panu wiadomo, panie doktorze?

— I to również. Trafił pan na właściwego człowieka, kochany przyjacielu.

— Mówił to także Winnetou.

— Aha! Winnetou znalazł zapewne nikły ślad i przedsięwziął wszelkie środki, aby go nie stracić z oczu. Postaw pan wodza na tropie, a zobaczysz, że będzie niezmordowany i wykaże niedoścignione mistrzostwo.

— Więc ma pan jakiś ślad poszukiwanego?

— Tak. Ale uprzednio muszę zapytać: czy w piśmie urzędowym nie wymieniono miejsca jego zniknięcia?

— Owszem. Przypominam sobie. Znalaziono list, który wysłał do ojca z Kairu.

— To świetnie! Jak dawno był wysłany ten list?

— Nie było o tym wzmianki.

— Szkoda. Potrzebny nam czas pobytu Smalla Huntera w Kairze.

— Mieszkał w Hotelu du Nil i opisuje w liście znany tamtejszy ogród palmowy.

— Czy jeszcze coś przytoczono w liście?

— Nie... Ależ tak! Przypominam sobie. Prosi ojca, aby listy adresował do konsulatu amerykańskiego.

— To bardzo ważne, nader ważne! Mamy zatem trop! Znajdziemy poszukiwanego na pewno, ale, być może, już jako nieboszczyka.

— Uważa pan, że mógł umrzeć?

— Tak. A jednak zgłosi się po odbiór spadku.

— Nieboszczyk nie może zgłosić się po spadek!

— Czasem tak. Oczywiście w szczególnych okolicznościach, o których pan się dowie, skoro rozmówię się z Winnetou.

— Zaciekawia mnie pan niezmiernie!

— Nie chcę pana dręczyć i dlatego będę rozmawiał z Apaczem nie po indiańsku, ale po angielsku. Zrozumie pan?

— Bardzo dobrze. Od czasu wyjazdu mojej rodziny do Ameryki, zająłem się gorliwie studiowaniem angielskiego.

— Będę się więc posługiwał tym językiem, zamiast niemieckim, którego Apacz prawie nie rozumie. Rozmawialiśmy dotychczas po niemiecku, ponieważ nie zwracałem się bezpośrednio do wodza. Niech mi pan powie jeszcze, czy władze z Nowego Orleanu pisały do Kairu?

— Owszem. Władze, a także adwokat, o którym wspominałem.

— Jaka odpowiedź nadeszła?

— Jeszcze nie nadeszła. Było to niedawno.

— A zatem wiem wszystko, czegoś trzeba, aby panu służyć radą. Wszak po to pan do mnie przybył?

— Tak. Przyznaję otwarcie. Siostra powiedziała, że pan dobrze zna Wschód i...

Utknął w połowie zdania.

— I... mów pan dalej! — ośmieliłem go. — Skoro pan żąda ode mnie rady i pomocy, musi być całkowicie szczery.

— Sam pan dopowiedział, mówiąc o pomocy. Siostra wie, że pan zna Wschód, i sądzi, że jest pan właściwym, a może nawet jedynym człowiekiem, który wpadnie na trop Smalla Huntera żywego czy martwego.

— Hm. Jestem bardzo wdzięczny pańskiej siostrze za zaufanie, jakim mnie obdarza. A zatem mam nie tylko radzić, ale i pomóc? Czy rozumie pan znaczenie tego słowa w całej rozciągłości?

— Tak. Myśleliśmy o tym bardzo dużo. Wiem, że wymagamy od pana może zbyt wiele.

— Być może... nawet życia.

— Naprawdę?! — zawołał przerażony.

— Tak, życia. Ślad, który odkryliśmy, świadczy o zakrojonym na wielką skalę łotrystwie, które albo już zostało, albo dopiero będzie wprowadzone w czyn. Mężczyzna towarzyszący w podróży Hunterowi jest do niego podobny jak dwie krople wody. Przypuszczam, że to niezwykle podobieństwo może być przyczyną morderstwa, którego już dokonano lub dopiero zostanie dokonane.

— Przeraza mnie pan!

— Towarzysz podróży zamorduje Smalla Huntera, aby korzystając z podobieństwa, wystąpić jako Small Hunter i odziedziczyć jego spadek. Jest to przestępca, ojciec zaś jego i stryj, do którego list ten został wystosowany, są dwukrotnymi lub trzykrotnymi mordercami. Opowiem to panu później szczegółowo. Z całą stanowczością nie mogę jeszcze twierdzić o zabójstwie, ale znając dobrze tych łajdaków, wnioskuję, że na pewno w ten, a nie w inny sposób postarają się wykorzystać śmierć starego Huntera.. Ale teraz nade wszystko trzeba się porozumieć z Winnetou.

Apacz bardzo niewiele rozumiał z rozmowy, prowadzonej po niemiecku, lecz mimo to spoglądał na nas z uwagą. Z początku malował się na jego twarzy wyraz skupienia, ale z chwilą gdy przyniosłem list, zniknął, ustępując miejsca zadowoleniu.

Widząc, że zamierzam się do niego zwrócić, uprzedził mnie:

— Mój brat Old Shatterhand potwierdził moje przypuszczenia. Zaginiony biały wyjechał z bratankiem Meltona do miejscowości zwanych Wschodem.

— Winnetou dobrze nas obserwował. Nic się nie ukryje przed wnikliwością jego spojrzenia.

— Nie trzeba było szczególnej bystrości. Old Shatterhand w swoim czasie pokazał i przeczytał mi ten list. Zapamiętałem go sobie. Otóż przybyłem do San Francisco, aby zobaczyć piękną białą squaw, której mąż w swoim czasie tak ciężko nas obraził, że zagroziłem mu zemstą, jeśli znalazłbym jego kobietę w niedoli. Dowiedziałem się o jej nieszczęściu i — poszedłem pocieszyć. Obdarzyła mnie zaufaniem, albowiem jestem twoim przyjacielem i bratem, Opowiedziała mi wszystko. Przeczytała także urzędowe pismo z Nowego Orleanu. Pismo prócz nazwiska Hunter zawierało jeszcze inne informacje, zgodnie z treścią znajdującego się w twoim posiadaniu listu. A zatem łatwo było wpaść na właściwy ślad. Biała squaw ma do ciebie zaufanie, przeto postanowiłem jej pomóc. Ty jeden jesteś człowiekiem, który może tą sprawą pokierować, dlatego przyjechałem do ciebie. Zabrałem ze sobą tego młodego człowieka, gdyż zna okoliczności sprawy i władza nie zna mi mową twojej ojczyzny. Jaki jest obecnie tok myśli mojego brata?

— Jonatan Melton pisze, że wykorzysta swoje podobieństwo do Smalla Huntera. Jak sądzi Winnetou, na czym będzie polegała ta korzyść? Czy na fałszerstwach i oszustwach?

— Nie. Small Hunter umrze, jeśli nie przybędzie na czas wybawca.

— Ja również jestem o tym przekonany. Jonatan Melton podszyje się pod jego osobę i zgłosi po spadek. Natychmiast powinien wyjechać do Kairu ktoś zaufany i odważny, aby zasięgnąć wieści w konsulacie, a następnie wytropić ślad zaginionego.

— Pan jest tym człowiekiem! — wtrącił Vogel, chwytając mnie za rękę. — Niech pan jedzie, niech się pan śpieszy, dopóki nie jest za późno!

— Hm... Sprawa interesuje mnie ogromnie. Ale czy sądzi pan, że ja tu po to siedzę, aby na pierwsze lepsze zawołanie rzucić swoją pracę i ścigać przestępcę na Wschodzie?

— Błagam pana!... Jeśli pan ocali Smalla Huntera, zostanie pan przez niego sowicie wynagrodzony! Jeśli zaś Hunter nie żyje, a pan zdemaskuje jego sobowtóra, to jesteśmy gotowi wypłacić panu część spadku!

— Uff! — zawołał gniewnie Apacz. — Old Shatterhand nie przyjmuje wynagrodzenia, a zresztą żaden człowiek takiej wyprawy nie zdoła opłacić!

Załagodziłem napiętą sytuację, oświadczając:

— Niech się pan uspokoi, od samego początku byłem gotów natychmiast wyruszyć do Kairu, gdyby nie to, że pewne sprawy zatrzymują mnie tutaj przez dzień jutrzejszy i następny.

Teraz objawiła się cała delikatność ducha i szlachetność umysłu Winnetou. Dobrze mi znanym ruchem położył rękę na pasie i rzekł:

— Winnetou prosi Old Shatterhanda, aby nie zważał na żadne przeszkody. Jaka jest droga do Kairu?

— Stąd kolejną do Brindisi, a następnie okrętem do Aleksandrii.

— Jak długo jedzie się kolejną i kiedy wypływa okręt?

— Okręty kursują regularnie w określonych dniach tygodnia. Jeśli się jutro stąd wyruszy, a pojutrze będzie w Brindisi, to już następnego dnia można żeglować.

— A więc jedziemy jutro. Howgh! Spodziewałem się tego. Winnetou nie przyjechał wszak po to, aby mnie wysłać do Afryki, a samemu wrócić na prerie. A jednak zaintrygował mnie stanowczy ton, jakim wypowiedział zdanie. Zapytałem:

— Lecz Winnetou jedzie do zupełnie nie znanego sobie kraju?!

— Za to brat mój zna ten kraj wyśmienicie. Niech nie wzbrania mi tej podróży. Czy nie opowiadałeś po stokroć, coś widział w tamtych stronach, i czy nie mówiłeś, że pragnąłbyś, abym zwiedził je wraz z tobą?

— Tak.

— Twoje życzenie teraz się spełni. A zatem nie sprzeciwiaj się temu.

Wódz Apaczów w Kairze! Co za myśl! Chyba nic podobnego się jeszcze nie zdarzyło. Cieszyłem się przede wszystkim dlatego, że będę jego przewodnikiem w podróży, i że będzie mi pomocny w rozwiązywaniu nieprzewidzianych komplikacji. I wreszcie dlatego, że — i to była rzecz chwilowo najważniejsza — że położył rękę na pasie. Moja sytuacja finansowa nie przedstawiała się tak korzystnie, abym mógł w każdej chwili rozporządzać dosyć znaczną sumą, potrzebną do podróży. Ręka Winnetou na pasie wskazywała, że jest tam dosyć potrzebnych pieniędzy.

Radości Vogla, gdy się dowiedział o naszej decyzji, nie da się opisać. Od nowa zaczął zastanawiać się nad spadkiem, aż musieliśmy go skarcić. Wreszcie wysłałem go do hotelu. Apacz zaś, rozumie się, spał u mnie. Postanowiliśmy wyjechać niezwłocznie rannym pociągiem. Nie sprawiało to nam szczególnego kłopotu, gdyż zawsze wszystkie rzeczy, niezbędne do podróży mamy pod ręką.

Voglowi starczyło pieniędzy, aby wrócić do San Francisco. Pożegnał się z nami na peronie. Otrzymał wskazówki, jak on i jego rodzina mają się zachować w różnych okolicznościach, jeszcze tego samego dnia wyprawił się za ocean.

EMERY BOTHWELL

Ogromnie bawiło mnie powszechne zaciekawienie osobą Apacza. Nie waham się powiedzieć, że na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za tuzinkowego wagabundę. Ale kto przyjrzał się jego postawie oraz szli chętnym, dumnym i niewzruszonym rysom jasno — brązowej twarzy, ten czuł, że nie ma przed sobą przeciętnego człowieka.

Pomijam milczeniem drobne przygody, czasem nawet bardzo interesujące i zabawne, które nam się przytrafiły w drodze, gdyż nie należą do niniejszej opowieści. Stwierdzą tylko, że mimo indiańskiej powściągliwości Winnetou nie mógł wyjść z podziwu, tyle bowiem nowych, nieznanych i niespodziewanych zjawisk oglądał. W Aleksandrii kupił strój arabski, w którym było mu do twarzy, ale w którym nie czuł się dobrze.

Po przybyciu, do Kairu zgłosiliśmy się natychmiast do Hotelu du Nil, gdzie mieszkał wcześniej Small Hunter. Ale przed trzema miesiącami wyjechał. To odpowiadało informacjom, uzyskanym w amerykańskim konsulacie, gdzie z kolei dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś nowego. Powiedziano nam, że listy do Smalla Huntera wysyłano z początku do Aleksandrii, a następnie zaś do Tunisu, na adres kupca Musaha Babuama.

Postanowiliśmy zatem wyjechać z Kairu do Tunisu już nazajutrz rano, nie można było bowiem tracić czasu. Wprawdzie uspokajano nas zapewniając, że Small Hunter miał się wysmienicie i że był w bardzo serdecznych stosunkach z towarzyszem podróży.

— Podobieństwo ich obu — mówiono — było istotnie uderzające, tym bardziej że ubierali się jednakowo.

Wieczorem przespacerowaliśmy się do Hotelu d'Orient, w którym ongiś mieszkałem. Po prostu nieświadomie zwiedza się miejsca, w których się kiedyś bywało. W jasno oświetlonym ogrodzie usiedliśmy przy stoliku, aby się napić lemoniady. Zwracaliśmy powszechną uwagę, gdyż Winnetou nosił włosy rozpuszczone, swobodnie układające się na plecach.

Było sporo stolików. Siedziało przy nich mnóstwo ludzi, rozkoszujących się chłodnym powietrzem wieczoru. Na widok nasz podniósł się z krzesła jakiś pan w muzułmańskim stroju. Zbliżał się powoli, nie spuszczać nas z oczu. Nie zwracałem na niego większej uwagi. Naraz naciągnął kaptur swego jasnego burnusa na pół twarzy, podszedł do nas i kładąc mi dłoń na plecach, powitał w pięknej mowie Indian szczepu Tehua.

— Oseng-ge tah, mo Old Shatterhand!

Znaczy to mniej więcej: Dobry wieczór Old Shatterhandzie! Następnie położył rękę także na ramieniu Apacza i powtórzył powitanie, zmieniawszy tylko imię:

— Oseng-ge tah, mo Winnetou.

Arab znał więc nas dobrze. Skoczyłem żywo, zdumiony, i zapytałem w tym samym narzeczu:

— Toh-ah oh sse? Kim jesteś, człowieku?

Odezwał się po angielsku:

— Poznajże nareszcie, stary pogromco lwów! Jestem naprawdę ciekaw, czy mnie poznasz po głosie.

— Emery, Emery Bothwell! — zawołałem, zsuwając mu z twarzy kaptur, i objąłem go serdecznie. Przycisnął mnie do potężnej klatki piersiowej i rzekł wzruszonym głosem:

— Od dawna, od bardzo dawna myślałem o tobie, mój stary druhu. Nigdzie cię jednak nie mogłem spotkać. Teraz znów omal żeś mi się nie wymknął z tego błogosławionego ogrodu. Tak chciał kismet*, ale ja także mam swoją wolę, życzylibym sobie, abyśmy się zbyt szybko tym razem nie rozstali. Czy przystaniesz na to, druhu?

— Z przyjemnością, drogi przyjacielu. A zatem od razu nas poznałeś?

* U muzułmanów (głównie tureckich) los przeznaczony człowiekowi

— Ciebie natychmiast, ale wodza nie od razu. Któż mógłby się spodziewać, że ten strój okrywa najsłynniejszego wojownika Apaczów? Któż mógłby wyobrazić sobie Winnetou w odległym Kairze? Jestem tak zdumiony, że nie uwierzyłbym, gdybym nic zobaczył na własne oczy. Niezwykła i ważna musi to być sprawa, która skłoniła wodza, aby zamienił Liano Estacado na Pustynię Libijską i Góry Skaliste na zamierzchły Mokattam.

— Istotnie ważna. Przysiądź się do nas, a wkrótce się dowiesz.

Kazałem kelnerowi przynieść sorbet i krzesło. Emery zajął miejsce przy naszym stoliku.

Kto mógł przypuścić, że spotkam dziś tutaj mego dobrego, odważnego i niezwykłego przyjaciela z Sahary i prerii! Miałem wszelkie powody, aby się cieszyć z tego spotkania. Szczególnie zaś byłem zadowolony, że spotkałem Bothwella w obecnej sytuacji. Emery zawsze mógł rozporządzać swoim czasem, toteż nie wątpiłem, że przyłączy się do nas bez wahania. Chodziło o to, aby odnaleźć zaginionego, a nawet wykryć lub zapobiec zbrodni, co stanowiło dla tego poszukiwacza przygód nie lada gratkę. Posiadał wszystkie zalety uczestników tego rodzaju wypraw; po prostu nią mógłbym sobie wymarzyć lepszego — towarzysza. Gdziekolwiek bądź ukryliby się złoczyńcy, mając przy boku i Winnetou, najsłynniejszego na Zachodzie tropiciela śladów, i Emery'ego, prawie równie głośnego Behluwan-beja algierskiej pustyni, wy dostałbym ich spod ziemi.

Emery'ego bardzo zdziwiła obecność Winnetou w Kairze. Zrozumiał w lot, że tylko niezwykle powód mógł skłonić Apacza do tej podróży. Winnetou na jego miejscu nie pytałby, tylko cierpliwie czekał na wyjaśnienie. Emery był białym i dlatego nie ukrywał swej ciekawości. Ledwo usiadł, zaczął nas ciągnąć za języki, zadając wiele rozmaitych pytań:

— Czy to być może? — zawołał. — Wybieracie się do Tunisu? Bo ją także!

— Kiedy?

— Kiedy wam się spodoba.

— Doskonale! A więc pojedziemy razem. A ty w jakim celu tam jedziesz?

— Co za pytanie! Przygoda. A wy?

— Sądzę, że i my doznamy przygód. Przypuszczam, że jakiś określony powód sprowadza cię do Tunisu?

— Słusznie. Powód, któremu na imię Small Hunter.

— Uff! — zawołał Apacz. Nazwisko Huntera tak go zelektryzowało, że nie mógł powstrzymać się od okrzyku.

— Small Hunter? — zapytałem szybko. — Czy to możliwe? Czy go znasz?

— Tak. Ale ty również, jak widzę?

— Nie. Natomiast szukam go w Tunisie.

— Jesteś na złym tropie. Small przebywa w Egipcie, ściślej mówiąc w Aleksandrii.

— Właśnie stamtąd przyjechaliśmy. Gdybyśmy wiedzieli!... Poinformowano nas, że Hunter przed trzema miesiącami wyjechał do Tunisu.

— Bzdura! Przebywa jeszcze tutaj.

— Wszak kazał przysłać listy do Tunisu, dokąd też zostały skierowane.

— Cóż z tego? Small bawi jeszcze tutaj, ale zamierza wyjechać i to ze mną. Oczekuje mnie właśnie w Aleksandrii.

— A zatem spotykałeś się z nim poprzednio?

— Pytania, ciągle pytania! Czy mam ci opowiedzieć wszystko?

— Chętnie wysłucham.

— Dobrze, ale to potrwa krócej, niż sądzisz. Spotkaliśmy się w Neghileh i zrobiliśmy dwumiesięczną wycieczkę do Berd Ain. Obecnie Hunter musi jechać do Tunisu, ja zaś pragnę mu towarzyszyć. Do Kairu wstąpiłem tylko po pieniądze. Hunter czeka na mnie w Aleksandrii.

— I po to tylko, aby mu dotrzymać towarzystwa, jedziesz do Tunisu?

- Nie. I tak bym pojechał. Poznałem wraz z tobą Saharę wschodnią, teraz poznałem Egipt, chciałbym więc zwiedzić leżący między nimi Tunis oraz Trypolis.
- Ach, tak! Kto jeszcze towarzyszył Hunterowi?
- Nikt.
- Istotnie nikt? Wszak miał towarzysza podróży Jonatana Meltona?
- Nie znam takiego. Nie widziałem go.
- Czy Hunter nie opowiadał o nim?
- Ani słowa.
- Hm! To dziwne. Ale chyba opowiadał o sobie?
- Także nie. Zresztą nie pytałem o to.
- Przecież nie podróżuje się z człowiekiem nieznanym?!
- Nieznanym? Hunter wygląda bardzo przyzwoicie. Jak się przekonałem, od dłuższego czasu przebywa na Wschodzie. Czego więcej potrzeba?!
- Zdaje się, że znam go lepiej od ciebie, aczkolwiek nigdy go nie widziałem. Poszukujemy go. Powinien wrócić do ojczyzny, czeka go tam olbrzymi spadek. Jego ojciec umarł. W jakim hotelu mieliście się spotkać w Aleksandrii?
- Hunter mieszka prywatnie. Jedzie do Tunisu, aby odwiedzić przyjaciela Kalafa Ben Urika, który jest kolorasim* tuniskiego wojska.
- Kalaf Ben Urik? Dziwne nazwisko! Ani Arab, ani Mauretańczyk, ani Beduin nie może się tak nazywać; Brzmi jak pseudonim.
- Cóż cię to obchodzi? :
- Więcej niż sądzisz. A może wiesz, ile lat ma Kalaf Ben Urik?
- Jest to starszy jegomość. Hunter napomknął o nim przypadkowo. Nadmieniał także, że będę mógł się rozmówić z nim po angielsku.
- Po angielsku? Czy możliwe, aby kapitan tuniski władał angielskim?
- Jest to podobno cudzoziemiec Hunter opowiadał, że kolorasi przed ośmiu laty przybył do Tunisu i prze szedł na islam.
- Ale skąd przybył?
- Nie wiem. Skoro włada angielskim, jest zapewne moim ziomkiem.
- Anglikiem? Raczej uważałbym go za Amerykanina, ponieważ Hunter który jest Jankesem, zna go i cha odwiedzić.
- Być może. Tym lepiej! Byłbym zgorszony, gdyby innowierca urodził się w starej Anglii. Ale co ty za miny stroisz? Nad czym medytujesz? Zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiasz, miewasz takie przenikliwe spojrzenie.
- Tak, być może, jestem na tropie i to niezwykle interesującym. Na bardzo ważnym. Powiedz mi tylko jedno: Hunter nic ci nie wspominał o swoich sprawach osobistych? Czy nie napomykał o kimś jeszcze z Tunisu, z kim utrzymuje jakieś stosunki?
- Tak. Poleciał przysyłać listy do jakiegoś mężczyzny.
- Czy wiesz, jak się nazywa?
- Jest to kupiec i, jeśli się nie mylę, nazywa się...Hm, jakże się nazywa?
- Musah Babuam?
- Tak, istotnie, tak się nazywa! Ale dlaczego wypytujesz o szczegóły, na które zwykle nie zwraca się uwagi?
- Ponieważ te szczegóły mogą doprowadzić mnie do bardzo ważnych wniosków. Zdaje mi się, że Hunter jest oszustem.
- O—szu—stem? — zapytał Emery w najwyższym stopniu zdziwiony. — To jest niemożliwe!
- Nie tylko możliwe, ale nawet wielce prawdopodobne.

* Kapitan.

Winnetou nie wtrącał się do rozmowy, aczkolwiek znając angielski, rozumiał wszystko. Teraz jednak rzekł zdecydowanym tonem:

— Mój brat Old Shatterhand jest na właściwym tropie. Ten Small Hunter nie jest prawdziwym Smallem Hunterem.

— Nie jest prawdziwym? — zapytał Bothwell. — Sądzicie, że to nie jest jego nazwisko?

— Tak uważamy — odpowiedziałem. — Właściwie nazywa się Jonatan Melton.

— Wymieniłeś już to nazwisko w związku z jego towarzyszem podróży!

— Owszem. Twój Hunter jest właśnie towarzyszem podróży człowieka, pod którego nazwisko się podszywa.

— Wyrażasz się zagadkowo! Wytłumacz mi to, proszę.

Opowiedziałem Emery'emu to, co uważałem za konieczne, pomijając szczegóły. Słuchał mnie z coraz bardziej wzrastającą uwagą, a kiedy skończyłem, wyraził niezadowolenie z pobieżnego ujęcia opowiadania. Musiałem je więc powtórzyć ze wszystkimi drobiazgami, począwszy od poprzedniej podróży po Meksyku, aż do dnia dzisiejszego. Gdy skończyłem, siedział przez jakiś czas zamyślony i milczący. Wreszcie podniósł głowę i rzekł z błyskiem w oczach:

— Ta podróż do Tunisu będzie nader interesująca, albowiem znajdujesz się na wspaniałym tropie. Mój mister Hunter jest nikim innym, tylko Jonatanem Meltonem, towarzyszem podróży Huntera.

— Z czego to wnosisz?

— I ty pytasz? Aha, chcesz wystawić na próbę moją przenikliwość!

— A czy wiesz, kim jest kolorasi, tuniski kapitan?

— Tomaszem Meltonem, którego ścigałeś dziewięć lat temu z fortu Uintah aż do fortu Edwarda. Od ośmiu lat przebywa w Tunisie, a zatem brak roku, który strawił na uczeniu się arabskiego, aby móc zaciągnąć się do wojska. Jak sądzisz, jest to prawdopodobne?

— Podzielam twoje zdanie.

— Dlaczego jednak rzekomy Hunter polecił przysyłać listy do kupca, a nie do kolorasiego, którego wszak zna lepiej?

— Ponieważ jest Meltonem, a nie Hunterem. Prawdziwy Hunter nie zna kolorasiego. Polecił skierowywać listy do kupca, którego odwiedzi w Tunisie. Lecz dalej! Dlaczego Hunter mieszka w Aleksandrii prywatnie, a nie w hotelu?

— Ponieważ nie chce być widzianym. Chce pozostać w ukryciu.

— A dlaczego przebywa w Egipcie, podczas gdy tutaj wszyscy od trzech miesięcy przypuszczają, że wyjechał do Tunisu?

— Ponieważ podszywa się pod prawdziwego Huntera, który istotnie wyjechał do Tunisu.

— Oczywiście! Tu w Egipcie nie chciał uchodzić za Huntera, pragnął pozostać w ukryciu. Zawarcie z tobą znajomości było z jego strony wielką nieroztropnością, k»rej niebawem gorzko będzie żałował.

— Ale dlaczego tutaj pozostał? Dlaczego wyprawił właściwego Huntera samego do Tunisu?

— Czy nie widzisz powodu?

— Nie bardzo.

— Przyjmuję za rzecz pewną, że Melton dowiedział się o śmierci starego Huntera i że powziął myśl, zresztą już dawno, zagarnięcia spuścizny po zmarłym. Do osiągnięcia tego celu miało posłużyć niezwykle podobieństwo do młodego Huntera. Należy również przypuścić, że Melton nauczył się podrabiać charakter pisma swego towarzysza. Na wiadomość o śmierci starego Huntera usunął Smalla z drogi, wysyłając go pod byle jakim pretekstem do Tunisu, do kolorasiego, czyli mówiąc inaczej, do swego ojca Tomasza Meltona. Teraz zaś podąża za ofiarą, aby ostatecznie wejść w jej prawa, a następnie pojechać do Ameryki i zagarnąć spadek. Tak twierdzą i sądzę, że się nie mijam z prawdą.

- Mój brat Old Shatterhand ma słuszość — potwierdził Winnetou. Emery zaś rzekł:
- Wobec takiego przedstawienia sprawy można tylko podzielać twoje zdanie. Ale czy możliwe są tak piekielne plany?
- Pomyśl o Harrym Meltonie, którego nazwałem szatanem. Opowiadałem ci o nim dosyć. Czy nie wymyślił równie, a nawet bardziej piekielnego planu i czy nie wprowadził go w czyn? Istnieją, mój Boże, ludzie, którzy są ludźmi tylko z nazwy, do takich należą trzej Meltonowie: ojciec, syn i stryj.
- Masz rację! A zatem naszym obowiązkiem jest ratować młodego Huntera o ile to jeszcze możliwe. Ale jak?
- Szybką akcją. Nie możemy liczyć na nikogo, nawet na władze. Musimy działać sami.
- A zatem jedziemy do Tunisu?
- Tak. Młodego Meltona mamy w garści. Przypuszczam, że nietrudno będzie schwytać jego ojca.
- Musimy tylko działać roztropnie.
- Co się tego tyczy, sądzę, że nie trzeba być nawet szczególnie szczwanym, wystarczy mieć dobre chęci.
- Ale bez przychylności władzy tuniskich niczego nie dopniemy.
- Władze nie odmówią żadnej pomocy, skoro o nią poproszę.
- Ach — uśmiechnął się Emery — czy wypijeś bruderszaft z Mohammedem es Sadok-baszą?
- Nie. Ale znam bardzo dobrze Pana Zastępów.
- Pan Zastępów? Któż to taki?
- Tak nazywają mego przyjaciela Krüger-beja, albowiem jest naczelnikiem straży czy gwardii przybocznej.
- Krüger? To nie tuniskie, to niemieckie nazwisko!
- Ponieważ Krüger jest Niemcem z pochodzenia. Ten człowiek ma przeszłość taką, że żaden pisarz nie wymyślił bardziej fantastycznej. Jest tak, jak się mówi: samo życie jest najpłodniejszym powieściopisarzem. Nie można się niczego dowiedzieć od Krüger-beja o jego dziwnych przeżyciach. Przy puszczam, że pochodzi z Brandenburgii i że był parobkiem w browarze Przez jakiś czas włóczył się po Francji później wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, z której uciekł w Algierze. Przybył do Tunisu, gdzie był służącym. Dzięki zręczności dostał się do wojska, awansował, wstąpił do gwardii przybocznej i w krótkim czasie został naczelnikiem tej straży. Mohammed es Sadok-basza obdarza go całkowitym zaufaniem.
- A zatem jest to dobry żołnierz?
- Tak, żołnierz — chwyt, wierny urzędnik i dobry człowiek. Skoro poznasz Krügera, na pewno nabierzesz do niego zaufania, a jednocześnie zabawisz się jego kosztem.
- W jaki sposób?
- Pomieszał swe obecne wierzenia z dawnymi, biblię z koranem, w sposób naprawdę pocieszny. Ale największym „arcydziełem” jest jego język niemiecki. Ponieważ władasz niemieckim, więc będziesz się wysmienicie bawił. Krüger odebrał tylko najniezbędniejszą edukację szkolną. We Francji nauczył się nieco słów francuskich, a w Algierii i Tunisie opanował arabski. Ale jego zdolności językowe nie wystarczają, aby utrzymać czystość każdego z trzech języków, a tym bardziej, aby pojąć różnicę budowy zdań, toteż składnia Krüger-beja jest zabawnym konglomeratem lingwistycznym. Rozmawiając jednak stale po arabsku nie tylko nie popełnia w nim błędów, lecz na domiar przyswoił sobie niezwykle obrazowy i wschodni styl. Natomiast po niemiecku rozmawiał tylko we wczesnej młodości, a i to błędnie, a zatem możecie sobie wyobrazić, jak kaleczy swój język ojczysty. Mowa jego jest źródłem nieustannych żartów, ale w chwilach niebezpieczeństw, kiedy trzeba się wyrażać krótko i jasno, stanowi prawdziwą zaletę.
- Ten Krüger-bej, czyli... Hm, jakże go nazwałeś poprzednio?

— Panem Zastępów. Tak nazywa sam siebie. Po arabsku brzmi to: Rajjis el Dżijusz. Skoro trzeba będzie odwołać się do władz arabskich, co być może nastąpi, poproszę beja o pomoc. Mam nawet zamiar odwiedzić go wcześniej i jestem przekonany, że ucieszy się z tej wizyty.

— Czy chcesz Krüger-bejowi od razu przekazać rzekomego Huntera?

— To nie jest konieczne.

— A może jednak? Jeżeli ten oszust przejrzy nasze zamiary, spróbuje natychmiast dać drapakę. W takim razie trzeba go będzie zatrzymać w więzieniu, dopóki nie schwytamy jego ojca, Kalafa Ben Urik.

— Nie dopuścimy, aby przejrzał nasze zamiary.

— No tak, względem mnie jest usposobiony przyjaźnie. Ale kiedy się dowie przypadkowo, kim wy obaj jesteście? Wiadomo wszak, jaką rolę odgrywa przypadek.

— Byłby to zaiste niepojęty przypadek, gdyby wyszło na jaw, że jesteście Old Shatterhand i Winnetou.

— Musicie przybrać inne nazwiska. Należałoby natychmiast się umówić. Czym wcześniej się do nich przyzwyczaimy, tym mniejsza obawa, że możemy się wygadać.

— To prawda.

— Dobrze. Czy chcesz uchodzić za mego ziomka? — zapytał Emery.

— Owszem, jeśli pozwolisz.

— Wyśmienicie! Jesteś więc moim krewnym, niejakim Mr. Jonesem, którego spotkałem przypadkowo, a który ma w Tunisie interesy. A Winnetou? Kim będzie Winnetou?

— Będzie musiał raz w życiu uchodzić za Afrykańczyka — odparłem. — Uważajmy go za muzulmańskiego Somalijczyka, imieniem Ben Asra.

— Cudownie. Ale czy Winnetou się godzi?

Na to odezwał się Apacz:

— Nazywajcie Winnetou, jak wam się podoba. Zawsze zostanie wodzem Apaczów.

— Słusznie — odpowiedziałem. — Ale jest to rzecz nader ważna, za kogo cię będziemy uważać. Wszak musisz się postarać, abyś istotnie za takiego uchodził. W drodze wyjaśnię ci szczegółowo, kto to jest Somalijczyk i jak powinieneś się zachowywać. Przyjmujemy, że nie znasz arabskiego, co nie mija się z prawdą, ale że przebywałeś kilka lat w Indiach Wschodnich i nauczyłeś się angielskiego. Kiedy stąd wyjeżdżamy?

— Jutro rano — odpowiedział Emery. — Przyjedziemy do Aleksandrii nieco wcześniej, niż oczekiwany przez Huntera okręt.

— Cóż to za okręt?

— Francuski parowiec handlowy.

— To mnie dziwi. Musiano się więc z Tunisu porozumieć z Hunterem w sprawie tego parowca.

— Tak sędzę. Może się jeszcze czegoś — dowiemy.

— Ale Winnetou i ja chyba będziemy musieli się wylegitymować przed kapitanem.

— Pozostaw to mnie! Skradziono wam w podróży dokumenty, sędzę zatem, że wystarczy, abym okazał swój paszport i dał za was poręczenie.

— Jestem bardzo ciekaw, jak się Hunter wylegitymuje. Wszak prawdziwy i uprawniony posiadacz tego nazwiska, jeśli się nie mylimy, musi zabrać ze sobą do Tunisu swoje dowody osobiste?

— Zobaczymy. Rzecz najważniejsza, abyśmy nie wzbudzili podejrzeń. Pamiętaj, że byłeś w Indiach Wschodnich i spotkałeś się tam z bogatym Somalijczykiem, Benem Asra. Ten zmierzacie do Londynu, gdzie Somalijczyk pragnie nawiązać stosunki handlowe, po drodze zaś wstępujecie do Tunisu, gdzie musisz załatwić parę interesów. Tak się sprawy mają na dziś. Na resztę trzeba czekać.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę w ogrodzie, po czym rozstaliśmy się, aby nad ranem wyruszyć w podróż.

W TUNISIE

Zbędna jest relacja z podróży do Aleksandrii. Krótko mówiąc, przyjechaliśmy i zatrzymaliśmy się w hotelu, po czym Bothwell poszedł do Huntera. Przypuszczaliśmy, że oszust niechętnie się odniesie do nowych towarzyszy podróży, ale okazało się, że wręcz przeciwnie, wyraził zadowolenie z naszego towarzystwa, nawet przybył do nas wraz z Emerym.

Skoro po długim rozważaniu dojrzeła we mnie jakaś myśl, trzymam się jej, dopóki się nie przekonam, że nie są to jedynie pozory. Gdybym posiadał mniej zdecydowany charakter, być może, iż ujrzawszy tego człowieka, zrzekłbym się podejrzeń, które żywiłem względem niego. Wywierał istotnie korzystne wrażenie. Nie dziwiłem się, że Emery nazwał go przyzwoicie wyglądającym panem. W twarzy, w postaci, w całym zachowaniu niepodobna było odkryć najmniejszych śladów, które mogłyby potwierdzić nasze podejrzenia. Był swobodny, szczerzy, nie objawiał jakiegokolwiek niepewności czy niepokoju — niepokoju, który cechuje człowieka, nie stojącego na pewnym gruncie. Może więc myliliśmy się co do jego osoby, albo też był wyjątkowo przebiegłym i dobrze grającym swą rolę oszustem.

Parowiec, którego oczekiwaliśmy, przybył z Palestyny. Z Aleksandrii miał się udać poprzez Tunis i Algierię z powrotem do Marsylii. Zaledwie wsiedliśmy na pokład, zwrócił się do nas kapitan:

— To nie jest pasażerski parowiec, panowie. Musicie więc wrócić na ląd.

Teraz miało się okazać, czy kapitan był uprzedzony. I rzeczywiście, Hunter bowiem odparł:

— A nie przyjmie pan pasażera, który nazywa się Hunter?

— Hunter? Czy to pan?

— Tak.

— W takim razie może pan jechać, gdyż polecił mi pana Kalaf Ben Urik. Ale mówił tylko o panu, nie wspomniał zaś o innych pasażerach.

— Ci panowie są moimi przyjaciółmi. Kalaf Ben Urik nie wiedział, że się do mnie przyłączy. Będzie jednak, panu niezmiernie wdzięczny, jeśli i dla nich znajdzie się miejsce.

— Musiałbym się zastanowić, gdyż byłem przygotowany tylko na przyjęcie pana. Ale uczynię to dla Kalafa Ben Urik i zabiorę wszystkich panów.

Francuski kapitan utrzymywał więc stosunki z tuniskim kolorasim. Zdawało się, że ten kolorasi w ogóle nawiązywał stosunki, których nie wymagało bynajmniej jego służbowe stanowisko i prowadził rozmaite interesy, nie zawsze czyste. Bo też z jakiego innego powodu kapitan handlowego parowca był winien wdzięczność oficerów wojsk tuniskich? Ta okoliczność umocniła mnie w podejrzeniach, które uprzednio powziąłem wobec Kalafa Ben Urik i spotęgowała nieufność do pozornie uczciwego i prawego wyglądu quasi-Huntera.

Dostaliśmy dwie małe kajuty. W każdej były miejsca na dwie osoby. Zachodziło pytanie, kto będzie towarzyszem Huntera? Porozumieliśmy się w kilku słowach. Postanowiłem zostawić wybór Hunterowi. Jego rozstrzygnięcie miało być dla nas wskazówką.

Z początku złożyliśmy bagaż w jednej kajucie, lecz gdy podniesiono kotwicę, rozmieściliśmy się wygodnie na pokładzie. Siedzieliśmy pod nakryciem płóciennym pałac i gwarząc o rozmaitych rzeczach. Nietrudno było zauważyć, że Hunter przyglądał się nam uważnie. Znał już dobrze Emery'ego, lecz chciał także poznać mnie. Nadskakiwałem mu, jak potrafiłem, chciałem bowiem Jonatana pozyskać grzecznością. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby mnie wybrał na współlokatora kajuty, gdyż wtedy mógłbym go łatwiej obserwować. Moje zachody; zdawało się, były płonne, gdyż ilekroć Spoglądałem na niego zniechęca, przyłapywałem badawcze wpatrzony we mnie jego oczy, które natychmiast odwracał.

Wiedziałem, że mój wygląd zasługuje na zaufanie. Nieufność, którą w nim zaczynałem budzić, mogła być tylko następstwem obciążonego sumienia.

Później gdy wypłynęliśmy na pełne morze, podszedł do mnie — stałem wówczas przy burcie i przyglądałem się falowaniu morza. Dotychczas rozmawialiśmy na ogólne tematy, nie poruszając ani słowem spraw osobistych. Teraz jednak chcąc mnie lepiej wy badać, zapytał wprost:

— Słyszałem, że wraca pan z Indii? Czy długo przebywał pan w tym kraju?

— Tylko cztery miesiące. Interesy przywołały mnie z powrotem.

— A więc jest pan właścicielem firmy, a nie jej pracownikiem?

— Tak.

— Czy nie będę nic dyskretny, jeżeli zapytam, czym się pan dokładnie zajmuje?

— Interesuję się wyłącznie dwoma bardzo pospolitymi artykułami: futrem i skórą — odpowiedziałem, wiedząc, że stary Hunter pracował dawniej w tej branży.

— Tak, to bardzo intratna gałąź handlu. Ale nie słyszałem dotychczas, aby brała pod uwagę rynek indyjski?

Trafił w moją słabą stronę. Nie mogąc się wycofać, brnąłem dalej:

— Zapomniał pan o olbrzymich transportach futer syberyjskich.

— Czy te futra nie idą przez porty rosyjskie?

— Owszem. Ale także przez chińskie. Ponieważ jestem Anglikiem, Chiny są dla mnie zbyt odległe, poza tym ściągają tam wielki procent za pośrednictwo. Rosjanie zaś będąc zazdrośni o wpływy angielskie, niechętnie się odnoszą do naszych zamówień. Przypomnieliśmy jednak sobie, że nasze indyjskie posiadłości sięgają w głąb Azji, łatwo więc już było utorować gościniec do Bajkału — i oto sprowadzamy syberyjskie futra przez Indie, nie okupując się carowi ani chińskiemu bogdychanowi.

— Ach, tak! Ale głównym rynkiem dostaw dla pańskich towarów jest Północna Ameryka?

— Dla skór — La Plata, dla futer — Północna Ameryka. Niejeden transport sprowadzałem osobiście z Nowego Orleanu.

— Nowy Orlean? Niezawodnie zawarł pan tam jakieś znajomości?

— Tylko handlowe.

— Czy mimo to nie spotkał się pan z moim nazwiskiem? Mój ojciec wprawdzie od dawna wycofał się z interesów, ale podtrzymywał osobiste stosunki z tamtejszymi sferami handlowymi.

Teraz trzymał mnie w garści, ale ja go również, trzymałem. Udawałem, że się przez chwilę zastanawiam, po czym rzekłem:

— Pańskie nazwisko? Hunter? Hm! Hunter... nie mogę sobie przypomnieć takiej firmy. Hunter?...

— Nie firma, lecz dostawa wojskowa! Ojciec mój na wielką skalę handlował skórami.

— Dostawca wojskowy? A, to co innego! Hunter, czy to po niemiecku nie jest Jaeger?

— Tak.

— Widziałem nader bogatego pana, z pochodzenia Niemca, który nazywał się Jaeger. Był dostawcą wojskowym i zmienił nazwisko Jaeger na Hunter.

— To był mój ojciec. Znał go pan?

— Właściwie nie znałem. Raz jeden byłem mu przedstawiony. To wszystko.

— Gdzie? Kiedy?

— Niestety, nie przypominam sobie Prowadząc tak ruchliwe życie, łatwo się zapomina o szczegółach. Musiało to się stać w każdym razie u jakiegoś znajomego kupca.

— Zapewne. Ponieważ nie znał pan ojca bliżej, nie wie pan chyba, że już nie żyje?

Teraz strzelił gafę. Nie omieszkałem podstawić mu nogi, więc zapytałem:

— Nie żyje? Umarł? Kiedyż to, Mr Hunter?

— Przed trzema miesiącami.

— Przebywał pan wówczas na Wschodzie?

— Tak.

— Czy posiada pan rodzeństwo?

— Nie.

— Powinien pan więc natychmiast wrócić do domu! Takiej spuściznie nie pozwala się długo czekać.

Zarumienił się i zmrużył powieki Połapał się ponieważ. Aby naprawić niezręczność, oświadczył:

— Dopiero przed kilkoma dniami otrzymałem wiadomość o śmierci ojca.

— Tak? No, to co innego. Ale zapewne jedzie pan bezpośrednio do domu!

Tym pytaniem znowu wprowadziłem go w zakłopotanie.

— Niezupełnie bezpośrednio — odpowiedział — ale postaram się pojechać jak najprędzej. Jakkolwiek się śpieszę, jestem zmuszony zatrzymać się w Tunisie.

Ta uwaga była jeszcze większym głupstwem.

— Zmuszony? Zapewne z powodu stosunków z Kalafem Ben Urik?

— Skąd pan wie? — zapytał zdumiony, obrzucając mnie bystrym, podejrzliwym spojrzeniem.

— To zupełnie proste. Kapitan mówił o tym człowieku, którego widocznie zna dobrze. Kalaf Ben Urik, jak słyszałem, polecił sprowadzić pana z Aleksandrii. Łatwo można wnioskować, że utrzymuje master z Kalafem ścisłe stosunki.

Przyparłem go do muru, przynajmniej chwilowo. Czoło Jonatana pokryło się głębokimi brzdami. Utkwił wzrok w ziemi i odezwał się dopiero po długiej chwili:

— Ponieważ usłyszał pan słowa kapitana, będę usprawiedliwiony, jeśli popełnię niedyskrecję względem Kalafa i wtajemniczę pana w jego osobiste sprawy. Zobacz pan w Tunisie... Czy z Tunisu wraca pan wprost do domu?

— Prawdopodobnie.

— Ja również wrócę drogą na Anglię. Zapewne pojedziemy tym samym statkiem. A ponieważ Kalaf będzie mi towarzyszyć, i tak dowie się pan o tym, co mógłbym obecnie niepotrzebnie zataić. Otóż Kalaf jest kolorasim.

— Któż to jest? — zapytałem, udając nieświadomość.

— Oficer w randze kapitana. Kalaf pochodzi ze Stanów Zjednoczonych.

— Jak to? Co takiego? — zawołałem ze zdumieniem. Amerykanin?

— Tak. Ponieważ chce zdezerterować z dotychczasowej służby wojskowej, zabiorę go do Ameryki i umieszczę gdzieś u siebie na posadzie. Wyjedziemy pierwszym parowcem, jaki wypłynie z portu Goletta. Będzie pan zapewne naszym współtowarzyszem podróży, dlatego uważałem za stosowne szczerze się panu zwierzyć. Czy mógłbym liczyć na pańską pomoc w potrzebie?

— Z największą przyjemnością, Mr Hunter — odpowiedziałem bardzo uradowany z takiego obrotu sprawy. W jaki sposób mógłbym panu służyć po mocą?

— Nie wiem jeszcze. Przede wszystkim prosiłbym pana, aby się podjął pośrednictwa między mną a Kalafem.

— Pośrednictwa? Czy nie zobaczy się pan z nim bezpośrednio?

— Nie. W każdym razie nie od razu i nie jawnie. Przyzna pan, że zamierzając wprowadzić oficera, muszę sam pozostać w ukryciu. Jeśli wyjdzie na jaw mój udział w dezercji kolorasiego, może to pociągnąć dla mnie ogromnie nieprzyjemne następstwa. Otóż słyszałem, że Kalaf wyjechał na jakiś czas z Tunisu, i nie wiem, czy już wrócił. Muszę się dowiedzieć, ale osobiście nie mogę zasięgnąć informacji. Czy nie byłby pan łaskaw uczynić to za mnie?

— Oczywiście. Z największą przyjemnością.

— Muszę jeszcze panu powiedzieć, że nie wysiądę w porcie tuniskim, w Goletta. Kapitan wysadzi mnie na ląd wcześniej — przy Ras Chamart. Stąd potajemnie przedostanę się do

leżącej na południe od Tunisu wioski Zaghuan, gdzie mieszka jeden z przyjaciół kolorasiego. Jest to koniarz, nazywa się Bu Marama. Będę ukrywał się u niego, dopóki wraz z dezertorem nie wsiądę na statek. Nikt nie powinien wiedzieć, że byłem w Tunisie i maczałem palce w tej sprawie. Pan natomiast w porcie dowie się, czy Kalaf Ben Urik wrócił, i przyjedzie do Bu Marama w Zaghuanie, aby mi przywieźć odpowiedź. A może jednak zbyt wiele od pana żądam?

— Nie, wcale nie. Co prawda, jestem tylko kupcem i handluję skórą i futrem, ale mam mimo to usposobienie romantyczne, z największą przyjemnością ofiaruję do pańskiej dyspozycji swoje usługi. Bardzo będę rad, jeśli zdołam w czymkolwiek przyczynić się do wyzwolenia kolorasiego.

— A więc porozumieliśmy się. Liczę na pańską pomoc i dyskrecję. Jest pan przyjacielem Emery'ego Bothwella?

— Tak.

— Nie chciałbym was tedy rozłączać. Niech pan z nim zamieszka, ja zaś podzielę kajutę z pańskim Somalijczykiem. Czy to panu odpowiada?

Zgodziłem się z obawy, że narzucając mu się zbyt, wzbudzę nieufność. Zresztą nie miałem potrzeby stale Huntera obserwować, przyczyniając się bowiem do rzekomego wyzwolenia kapitana i tak dowiem się o wiele więcej.

Teraz wiedziałem już na pewno, z kim miałem do czynienia. Był z pewnością Jonatanem, tuniski zaś kapitan — Tomaszem Meltonem, który swego czasu zapadł się jakby pod ziemię. Gdybyż to Jonatan Melton wiedział, że jestem w posiadaniu listu, który wysłał niegdyś do swego stryja Harry'ego Meltona!

Pseudo-Hunter pragnął w Tunisie pozostać w ukryciu, rzekomo, aby uniknąć późniejszych konsekwencji za udział w dezercji kapitana. Ale przejrzałem właściwy powód, którego mi nie zakomunikował. Prawdziwy Small Hunter został zwabiony w jakiś sposób do kolorasiego, który miał go usunąć. Póki się to nie stało, nie mógł się pokazywać podszywający się pod niego sobowtór. Nieobecność kapitana w Tunisie musiała pozostawać w związku z zamordowaniem Huntera. Dopóki byłby nieobecny, można było jeszcze uratować biednego młodzieńca, ale gdyby już kolorasi powrócił do miasta, byłoby to niezawodnym znakiem, że Hunter nie żyje. Nie mogłem siedzieć z założonymi rękami. Chętnie bym już widział port Golettę i skoczył na ląd, aby nie tracąc ani chwili, pośpieszyć autentycznemu Hunterowi z pomocą.

Zdanie moje podzielił Emery, skoro powtórzyłem mu rozmowę z rzekomym Hunterem. Winnetou, zgodnie ze swą naturą, zachował największy spokój i gdy noc zapadła, poszedł spać tak pewnie i bez wahania, jak gdyby Hunter był najczcigodniejszym dżentelmenem.

Nasze kajuty nie przylegały do siebie, były oddzielone dwiema niewielkimi komórkami, których przeznaczenie było mi nie znane. A zatem z jednej kajuty nie można było podpatrywać drugiej. Mimo to porozumiewałem się z Emerym szeptem, w tym wypadku była to chyba zbyt ostrożność. Emery ubolewał, że nie jestem sąsiadem Huntera (chwilowo będę tak łotra nazywał, chociaż nie był Hunterem, lecz Jonatanem Meltonem), ubolewał mimo tych wszystkich wiadomości, które zdołałem z oszusta wycisnąć. Sądził, że gdybym dzielił kajutę z Hunterem, mógłbym o wiele więcej jeszcze z niego wyciągnąć, i uważał, że Winnetou nie potrafi wykorzystać tej okazji. Podzielałem jego zdanie, jak się wkrótce przekonałem, najzupełniej niesłusznie.

Spaliśmy już od dawna. Była zapewne druga po północy, gdy obudziło mnie lekkie pukanie do drzwi. Było tak ciche, że Emery ani drgnął; ja miałem uszy o wiele czulsze. Wyteżyłem słuch. Pukanie się powtórzyło. Podniosłem się i nie otwierając drzwi, zapytałem:

— Kto tam?

— Winnetou — brzmiała cicha odpowiedź.

Otworzyłem. W drzwiach stał Apacz. Przyniósł chyba jakąś ważną wiadomość.

— Jak tu ciemno. Czy moi bracia nie mogą zaświecić?
— A więc chcesz nam nie tylko coś powiedzieć, ale i pokazać? — zapytałem.
— Tak.
— Czy to rzecz ważna?
— Być może, nie wiem na pewno. Jest to skórzany przedmiot, zwany przez białych pugilaresem.
— Zabrałeś go potajemnie?
— Wykradłem, aby potem odłożyć z powrotem.
— Czy trzymał go w kieszeni?
— Nie. Moi bracia widzieli kuferek Huntera. Skoro się położyłem, udawałem, że natychmiast zasnąłem. Wówczas Melton, odczekawszy chwilę, otworzył kufer, aby uporządkować rzeczy. Wyciągnął pugilares i wyjął różne papiery. Przeglądał je, po czym włożył z powrotem. Przy tym obserwował mnie tak badawczo i nieufnie, że powziąłem podejrzenie, iż pugilares zawiera na pewno jakiś sekret. Postanowiłem go wykraść. Przyglądałem się uważnie, jak wkładał go z powrotem do kufra, w jaki sposób kufer zamykał i gdzie schował klucz. Zasnął, trwało to jednak jeszcze bardzo, bardzo długo, zanim mogłem wyciągnąć kluczyk z kieszeni spodni;
— Do pioruna! Posiadasz wszelkie: kwalifikacje na złodzieja kieszonkowego!
— Mężczyzna powinien umieć zrobić wszystko, ale wykorzystywać to powinien tylko w takich przypadkach, kiedy jest to wskazane, dobre i pożyteczne. A zatem otworzyłem kufer i wyjąłem pugilares. Otóż i on. Moi bracia niech zbadają, czy jego zawartość może się przydać.
Na pułapie kajuty wisiała mała lampka, którą kładąc się do snu zagasiliśmy. Teraz zapaliłem ją z powrotem. Nie trzeba chyba dodawać, że Emery zerwał się z postania. Oczywiście, zamknąłem drzwi i zaryglowałem od wewnątrz. Zaczęliśmy w skupieniu przeglądać pugilares.
Poza banknotami oraz innymi papierami, które nas niewiele obchodziły, pugilares zawierał kilka starannie złożonych listów. Już pierwszy skupił całą naszą uwagę. Był napisany po angielsku i zawierał treść mniej więcej taką:

Kochany Jonatanie!

Co za szczęście, że za plecami Huntera zabrałeś z konsulatu w Kairze jego listy. Co za wiadomość! Jego ojciec umarł, a on sam ma wrócić do domu! Że tak jest istotnie, tego dowodzi pismo władz, jako też listy młodego adwokata, przyjaciela Smalla. Nie wątpię, że wejdiesz w posiadanie spadku. Poradzimy sobie bardzo łatwo, a wówczas i ja będę mógł wreszcie pożegnać smutne wygnanie i rozpocząć gdzie indziej nowe, lepsze życie.

Czy przystają na twój plan? Powiadam ci, że nie wyobrażam sobie lepszego. Zwabimy Huntera do Tunisu listem, napisanym przez ciebie w imieniu adwokata. Jesteś prawdziwym sztukmistrzem. Podpis adwokata jest tak zdumiewająco podrobiony, że Hunterowi nie przyjdzie na myśl wątpić w jego autentyczność. Uwierzy, że przyjaciel-prawnik przyjechał do Tunisu i pragnie się z nim porozumieć w bardzo ważnych sprawach, wobec tego skorzysta z najbliższej okazji, aby do niego podążyć.

Rozumie się, że nie powinienes Smallowi towarzyszyć, gdyż wasze niezwykle podobieństwo może wpaść w oczy i potem pomieszać szyki. Musisz chwilowo zostać w Egipcie. O powód nietrudno. Możesz powiedzieć, żeś nagle zachorował. Zamieszkać w Aleksandrii u Greka Michalisa. Będę przesyłał listy na jego adres. Znajdziesz w nich dalsze instrukcje.

Bardzo to było sprytnie, żeś w owym podrobionym liście napisał, iż adwokat Fred Murphy mieszka u mnie. Wskutek tego Hunter od razu trafi w moje ręce, a ja już znajdę sposób usunięcia go — szybki i skuteczny. Następnie zaś zawezwę ciebie i odtąd już będziesz mógł śmiało występować jako Hunter. Poznałeś tak dokładnie i wyczerpująco jego życie osobiste,

że nietrudno ci będzie w Stanach Zjednoczonych udawać z powodzeniem Smalla, przynajmniej do czasu zagarnięcia spadku.

Przytoczyłem większą część listu, dotyczącą naszych spraw. Poza tym list zawierał jeszcze inne informacje — dla nas obojętne, a które dla rzekomego Huntera miały jakieś znaczenie, że uznał za wskazane list zachować, gdyż w innym wypadku byłoby wręcz niezrozumiałe, dlaczego nie zniszczył tego kompromitującego dokumentu. Wszak zawierał on tak dokładny opis występnego planu, że każdy, komu list wpadłby w ręce, od razu wiedziałby, o co chodzi, i musiałby poczynić odpowiednie kroki.

To samo odnosi się do drugiego listu, późniejszego, zaczynającego się od słów następujących:

Kochany synu!

Doskonale się wywiązałeś ze swego zadania. Idzie jak po maśle. Small Hunter przyjechał i zamieszkał u mnie. Tylko jedno nie bardzo mi się podoba, mianowicie to, że kazał z Kairu przysyłać listy i przesyłki pocztowe na adres Musaha Babuama. Opowiadał o tobie i serdecznie ubolewał, że choroba zatrzymała cię w Egipcie. Oczywiście, nie ma pojęcia, że ojciec jego umarł.

Natychmiast po przybyciu dowiadywał się o swego przyjaciela, adwokata Freda Murphy'ego. Byłem na to przygotowany i wymyśliłem prawdopodobny wybieg. Ale nie uciekłem się do niego, gdyż z pomocą przyszedł mi przypadek.

Otóż Uled Ayarzy zbuntowali się przeciwko bejowi tuniskiemu, albowiem żąda wygórowanego haraczu Otrzymałem rozkaz wyruszenia przeciwko Ayarom wraz ze swoim alty bälüjii, poskromienia ich i ściągnięcia za karę podwójnego okupu. Postanowiłem zabrać ze sobą Smalla Huntera. Powiedziałem, że adwokat, nie spodziewając się tak szybkiego jego przybycia, pojechał na wycieczkę w tamte strony. Hunter był tak głupi, że uwierzył. Nie pomyślał o tym, że Ulec Ayarzy mieszkają w odległości co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów od Tunisu. Jutro ruszamy. Nie zabraknie potyczek, które nastreczą łatwą najlepszą sposobność pozbycia się Huntera raz na zawsze.*

Według moich obliczeń, ekspedycji potrwa od czterech do pięciu tygodni następnie powrócę. Urządź się tak abyś w tym czasie przyjechał do Tunisu. Mój przyjaciel, francuski kapitał Villefort, kursuje między Tunisem i Aleksandrią i przyjmie cię na pokład Przyrzekł, że cię wysadzi nie w porcie lecz wcześniej, koło przylądka Chamart, ponieważ nie powinienes się pokazywać publicznie, dopóki nie dam ci znać. Zanim do mnie przyjedziesz dowiedz się, czy wróciłem. Jeśli nie, to czekaj w ukryciu. Porozumiałem się w tej sprawie z koniarzem Bu Marama Mieszka w wiosce Zaghuan, na południe od Tunisu, i jest mi wielce zobowiązany. Chętnie cię przyjmie i tak ukryje, że nikt się o twoim pobycie nie dowie. Oczywiście, nie wtajemniczyłem go w powody.

Nie muszę chyba pisać, że odbiorę Smallowi wszystkie rzeczy i dokumenty i wręcę tobie, abyś mógł się wylegitymować. Poza tym nie myślę nawet prosić o urlop, czy dymisję: po prostu zdezerteruję. Pojedziemy najbliższym statkiem przez Anglię do Stanów Zjednoczonych. Pozostaniemy w Anglii przez krótki czas. Mam po temu powody. Musimy zawrzeć w drodze parę, solidnych znajomości, musimy nawiązać stosunki z paroma wiarygodnymi dżentelmenami, którzy poznawszy cię jako Smalla Huntera w razie czego potwierdzą autentyczność...

Potem znowu kilka stroniczek, wypełnionych sprawami, które nas nic nie obchodziły, ale które zapewne były właściwym powodem zachowania listu.

* Szwadron

Pozostałe papiery nie zawierały nic ciekawego. Dowiedzieliśmy się zresztą dosyć z obu listów. Były tak jasne i wyraźne, że nie trzeba było się wcale zastanawiać. Haniebny plan wyłożono tak plastycznie, jak gdybyśmy go słyszeli osobiście z ust kolorasiego.

— A zatem wiemy już, dlaczego pseudo-Hunter wysiada na przylądku — rzekł Emery.

— I dlaczego zawarł z tobą znajomość — dodałem.

— Tak! Poznałem go jako Smalla Huntera i mogłem w razie pogrzeby świadczyć o prawdziwości nazwiska Ten łotr usłyszy ode mnie wyraźnie, co jest w nim prawdziwego, a co fałszywego. Naturalnie, zachowamy te listy!

— O nie! Skoro ich nie znajdzie, rzuci na nas podejrzenie, to może nam popsuć szyki.

— Czy spodziewasz się, że później odzyskamy listy?

— Tak.

— A jeśli tymczasem je zniszczy?

— Jeżeli dotychczas starannie i przechowywał, to nie widzę żadnego powodu, aby tego nadal nie robił. Nie spuścimy go z oczu. Mamy Jonatana i rękę i zawsze będziemy mogli odebrać dokumenty.

— Masz słuszość. Przede wszystkim nie wolno i budzić w nim podejrzeń. Winnetou niech położy pugilares na miejsce i zamknie z powrotem kuferek.

Nie było to rzeczą łatwą. Ale należało się spodziewać, że Apacz wykaże taką samą zręczność przy zwróceniu kluczyka, jak przy wykradaniu. Zabrał pugilares i wymknął się z kajuty. Nazajutrz rano zawiadomił nas, że rzekomy Hunter spał przez cały czas i nie widział, jak równie rzekomy Somalijczyk Ben Asra manipulował przy kufierku.

Przez cały dzień następny Hunter obcował z nami, zachowując się całkiem swobodnie, ale na próżno spodziewałem się, że skieruję rozmowę na wczorajszy temat. Zręcznie lawirował, nie chcąc zdradzić się z niczym więcej. Minęła następna noc, ze świtem zbliżyliśmy się do celu. Hunter podszedł do mnie i rzekł:

— Czy zamierza pan wyświadczyć mi ową grzeczność, o którą pana prosiłem?

— Naturalnie — odpowiedziałem — Co raz przyrzekłem, tego już nie cofam.

— A więc dowie się pan, czy kolorasi wrócił do Tunisu, a następnie przywiezie wiadomość do Zaghuanu?

— Tak.

— Najlepiej pana poinformują w koszarach, na północ od miasta. Kiedy mogę się pana spodziewać w Zaghuanie?

— Zapewne zaraz po południu.

— Świetnie! Mam jeszcze jedną prośbę. Ponieważ muszę przebyć daleką drogę z przylądka Chamart do Zaghuanu, a nie chciałbym zwracać niczyje, uwagi, więc wolałbym nie brać ze sobą kufra. Czy nie byłby pan tak grzeczny i nie wziął go pod swoją opiekę aż do portu, gdzie przekazałby go przez tragarza do Zaghuanu?

— Z miłą chęcią.

— Więc pożegnajmy się. Do widzenia, do popołudnia!

Podał mi dłoń i wrócił do swojej kajuty. Na mój znak Winnetou poszedł za nim. Apacz zameldował mi później, że Hunter wyjął z kufierka pugilares i schował przy sobie. To było wszystko, co na razie chciałem wiedzieć.

Koło przylądka kapitan kazał skrócić i łodzią podwieźć Huntera na ląd. Potem pojechaliśmy dalej, do portu. Tam wręczyłem kufer tragarzowi.

Ani mi się śniło zasięgać w koszarach informacji o kolorasim. Postanowiłem natomiast pójść do mego przyjaciela Krüger-beja. Wiedziałem, gdzie go znaleźć. Miał dwa mieszkania służbowe, jedno w Kasbah, w pałacu beja — w samym mieście, a drugie w Bardo, na zamku odległym o cztery kilometry od miasta, stanowiącym właściwą siedzibę rządu. Zostawiłem swoich przyjaciół w hotelu i poszedłem najpierw do Kasbah, a następnie nie spotkawszy go

tam — do Bardo. Droga była mi doskonale znana, gdyż nieraz ją przemierzałem, odwiedzając równie miłego, jak oryginalnego Pana Zastępów.

W Bardo nic się od czasu mego ostatniego pobytu nie zmieniło. W przedpokoju siedział stary podoficer, który, jak wiedziałem, meldował przybyszów. Palił fajkę, szablę położywszy obok siebie.

— Czego chcesz? — zapytał mechanicznie, nie racząc na mnie spojrzeć.

Znałem go dobrze, należał do starej służby Pana Zastępów. Serdecznie go lubiłem w tamtych czasach, kiedy jeszcze był onbaszym*. Teraz, jak widziałem, dosłużył się rangi czausza*. Ten zacny, siwowłosy muzułmanin miał chyba ponad sześćdziesiątkę, ale wyglądał jeszcze tak dziarsko, jak wówczas, gdy był moim przewodnikiem do Uled Said. Jego imię brzmiało właściwie Selim, ale wszyscy nazywali go starym Sallamem, albowiem zawsze miał słowo „sallam” na ustach, nadając mu przeróżne możliwe i niemożliwe znaczenia. Gdy wołał „o sallam!”, mogło to oznaczać zarówno „o rozkoszy!”, jak „o hańbo, o radości, o niedolo, co za okrucieństwa, jak cudownie, jak zachwycająco, jak nędznie, jak wstrętne!” — i sto innych pojęć. Wszystko zależało od miny i gestykulacji, którymi interpretował ten okrzyk.

— Czy Pan Zastępów w domu?

— Nie.

Dotychczas na mnie nie spojrział. Wiedziałem, co o tym sądzić. Pana Zastępów oczywiście nie było w domu, dopóki Selim nie dostał swego bakszyszu.

— Ale wiem na pewno, że jest — odparłem. — Masz pięć piastrów i zamelduj mnie natychmiast.

— Dobrze. Skoro Allah rozjaśnił ci rozum, wpuszczę cię do Pana Zastępów. Daj i...

Podniósł na mnie spojrzenie i nie dokończył zdania. Przesunął wzrok z ręki, trzymającej monetę, na twarz; umilkł, skoczył i zawołał radośnie:

— O sallam! Sallam! Sallam! Jeszcze raz sallam i po trzykroć sallam! To ty, o rozkoszy moich oczu, blasku mojej duszy, zachwycie mego oblicza! Allah sprowadził cię na czas. Jesteś nam potrzebny. Pozwól się uścisnąć i zachowaj swoje pieniądze, zachowaj! Niech mi raczej ręka uschnie, niżbym miał od ciebie wziąć bakszysz, przynajmniej dzisiaj... Ale jutro możesz mi dać podwójny!

Objął mnie, ucałował, po czym wbiegł do sąsiedniego pokoju, skąd natychmiast rozległy się jego: O sallam, sallam, sallam!

Z niecierpliwością oczekiwałem na Krüger-beja. Byłem przekonany, że powita mnie swoistym niemieckim zdaniem. Drzwi rozwarły się z hukiem. Ukazał się Sallam, który chwycił mnie za ramię i popchnął do pokoju, wołając:

— Oto jest zesłany przez Allacha! O sallam, sallam!

Następnie zamknął drzwi. Znajdowałem się w pokoju Pana Zastępów, który stał przede mną, nieco postarzały, bardziej przygarbiony niż dawniej, ale z oczami błyszczącymi i twarzą roześmianą. Wyciągnął ramiona i powitał mnie w swojej osobliwej mowie niemieckiej:

— Pana tu? Pana w Tunisie? Błagam pana do chcenia brania powitania za najserdeczniej pozdrowiony, do skierowania szlachetnej przyjemności tego uczucia podczas bycia oszołomiony w pięknych chwil względem terażniejszości z powodu tysiąc ukłonów na sto uczuć, bytem, być i chcieć zostać panu przyjaciel, a pan mnie brat jako z Niemczech i okrom tego zawsze Afryka!

Słowa te należy odczytać błyskawicznie, bo tak je wypowiedział Krüger-bej. Objął mnie i ucałował równie serdecznie, nawet serdeczniej niż stary Sallam, posadził na kobiercu, z którego był powstał, i szybko mówił, dalej. Niestety, muszę czytelnikowi przekazać jego słowa w minimalnej choć korekcie, inaczej bowiem nie zdołałby nic z nich zrozumieć.

* Kapral

* Sierżant

— Niech pan siebie posadzi w dół. Niech pan siebie posadzi. Mego starego Sallama przyniosą fajki i kawę ze śpieszącą niezwykłością, aby panu dowodzić zachwyconego stanu, że pana tu nagle dzisiaj przyniosło. Kiedy pan siebie przywiózł?

— Dopiero co przybyłem z Egiptu.

— Czy pomyślał pan o wzięciu mieszkania w hotelu?

— Jeszcze niezupełnie, przynajmniej o ile to mnie dotyczy. Moi przyjaciele zaś chyba wynajęli. Mam ze sobą dwóch towarzyszy.

— Kto?

— Czy przypomina pan sobie moje przygody na pustyni algierskiej?

— Tak. Karawana rozbójników, co zabił waleczny Anglik i do domu zaprowadził wolnych jeńców.

— Słusznie, ów słynny Anglik, Emery Bothwell, jest tutaj. A czy pamięta pan z moich opowiadań wodza Apaczów, Winnetou?

— Z dokładnością, nieprzemijającą dla pamięci pańskiej trwałości z Indianami, u których Winnetou pana główny z przyjaciół.

— Tak. I otóż ten wódz indiański jest również ze mną. Opowiem panu, z jakiego powodu i w jakim celu zszedłem się z tymi niezwykłymi ludźmi.

— Tak, opowie mi pan wszystko — zaczął i zapytał, czy Winnetou ma swą srebrną strzelbę, a ja niedźwiedziówkę i sztucer. Posługiwał się teraz językiem arabskim, którym władał bezbłędnie. Potwierdziłem i zapytałem:

— Ale dlaczego pan wypytuje o naszą broń?

— Ponieważ może nam się przydać.

— Jakże to?

— Otóż jutro wyruszę przeciwko Uled Ayarom, którzy podnieśli rokosz.

— Uled Ayarzy zbuntowali się? O tym już słyszałem. Nie chcą uiścić pogłównego. Ale zdaje się, że wysłaliście przeciwko nim ekspedycję konną?

— A jakże, ale wczoraj przybył żołnierz i zameldował, że moi wojownicy nie tylko nie osiągnęli celu, ale na domiar pozwolili się okrążyć przez buntowników. Tylko jeden żołnierz zdołał się wydostać.

— Gdzie to nastąpiło?

— Przy ruinach Mudheru.

— Nie znam miejscowości, ale to szczęśliwa okoliczność, że nie okrążono ich w szczerym polu. W ruinach można się schronić i utrzymać, dopóki nie nadejdzie pomoc. W ogóle zaś popełniono niewybaczalny błąd. Uled Ayarzy to bitne plemię i z tego, co słyszałem o nich, wnioskuję, że potrafią zebrać do tysiąca wojowników. Czy to prawda?

— Być może, dziewięciuset.

— Sto więcej czy mniej nie odgrywa; roli. Bądź co bądź jeden szwadron przeciwko takiemu plemieniu, to za mało. Czy szwadron miał przynajmniej zdolnego oficera?

— O tak! Kapitan, czyli rotmistrz, dzięki roztropności i odwadze został moim ulubieńcem. Nazywa się Kala Ben Urik.

— Arab, Turek, Mauretanin czy Beduin?

— Ani Arab, ani Beduin. Urodził się w Anglii, wstąpił do wojska w Egipcie przeniósł się do Tunisu, wkrótce został podoficerem i awansował coraz wyżej, Niejednokrotnie się odznaczył, wreszcie został kolorasim, a teraz powierzyłem mu wyprawę przeciwko Uled Ayarom.

— Aż tak dzielnym człowiekiem jest ten Kalaf Ben Urik? Hm!... Jakże więc mógł popełnić taką nieostrożność, ii podjął się niebezpiecznej wyprawy tylko z jednym szwadronem? Czy tylko tyle chciał wysłać basza?

— Tak.

— A może Kalaf Ben Urik uważa się za tak dzielnego oficera, że nie wątpił, iż poskromi zbuntowanych z tak niewielkim oddziałem?

— To prawda. Mówił, że każdy jego żołnierz zręcznością i odwagą podolał dziesięciu wrogom.

— Skąd nastąpił wymarsz?

— Z Uneki.

— A zatem poszli na południe drogą karawan. Czy nikt obcy nie towarzyszył kapitanowi?

— Owszem.

— Któż to? Czy zna go pan?

— Nie.

— Sądzę, że Kalaf Ben Urik musiał pana prosić o pozwolenie, skoro zamierzał zabrać ze sobą człowieka, nie należącego do wojska?

— Naczelną komendant oddziału ma prawo zabrać z sobą, kogo zechce.

— Tak? A zatem nie miał potrzeby się pytać. W jakiej sile chce pan pośpieszyć z odsieczą?

— Z trzema szwadronami. Wyruszamy jutro po obiedzie.

— A więc w porze asr*.

— Tak.

— Niestety, muzułmanie wierzą, że wyprawa, która nie rozpoczyna się w porze asr, nie może się powieść. Traci się na tym cały dzień marszu. Trzeba sobie jednak uprzytomnić, że ta zwłoka, aczkolwiek niewielka, może przyprowadzić o zgubę tych, których pragniecie wybawić. Na waszym miejscu nie zwlekałbym ani chwili, lecz niezwłocznie wyruszył, choćby nawet w nocy.

— Przyznaję panu słusność. Ale asr musi pozostać asrem i nikt nie może się sprzeciwiać rozkazom baszy.

— Skoro Mohammed es Sadok-basza tak rozkazał, to nic już nie da się zmienić. Musi pan przeczekać jutrzejsze południe.

— Ale pan z nami pojedzie? A także pańscy obaj sławni towarzysze?

— Hm. Nie mam nic przeciwko temu. Taka wyprawa bardzo mi nawet odpowiada. A co się tyczy Emery'ego i Winnetou, to sądzą, że przyłączą się również.

— Cieszy mnie to niezmiernie. Oczywiście, obaj ci panowie nie powinni zostać w hotelu. Proszę ich bardzo, aby zamieszkali u mnie, jako moi najmiłsi goście.

— Dobrze. Niech pan po nich pošle. Ponieważ nie mają bagażu, wystarczy wysłać parę wierzchowców. Ja również nie mam konia. Skoro towarzyszymy w wyprawie przeciwko Uled Ayarom, musi nam pan dostarczyć koni. Chyba nie mam potrzeby zaznaczać, że Winnetou i Emery przywykli do wybornych wierzchowców i nie zadowolą się byle jaką szkapą.

— Tak samo jak pan! Ale proszę się o to nie kłopotać. Zna mnie pan i ma chyba pewność, że dam wam najlepsze wierzchowce, jakie się znajdują w mojej stajni.

— Przyjmujemy je z prawdziwą wdzięcznością. Byłoby mi bardzo miło, gdybym dostał natychmiast konia. Muszę bowiem wrócić do miasta i pojechać do Zaghuanu.

— W jakim celu?

— Później panu opowiem, kiedy czas na to pozwoli. Wówczas dowie się pan także o celu naszego przyjazdu. Teraz proszę o odpowiedź na parę pytań. Czy ma pan dowody, że Kalaf Ben Urik był Anglikiem?

— Nie.

— Czyim więc jest poddanym?

— Tuniskim.

* Pora modlitwy poobiedniej około godziny trzeciej

— Przypuśćmy, że popełnił przestępstwo, w takim razie sądzi go nie przedstawiciel jego ojczyzny, ale basza?

— Tak. Lecz Kalaf Ben Urik to największy dżentelmen i wierzący, praktykujący muzułmanin. Jestem gotów za niego przysiąc i nie ścierpię żadnej napaści na mego faworyta.

Wypowiedział to surowym i dobitnym tonem. Nie ulegało wątpliwości, iż ceni Kalafa Ben Urik bardzo wysoko. Wobec tego powziąłem myśl, a nawet mocne postanowienie, aby chwilowo nie opowiadać Krüger-bejowi tego, co wiedziałem o jego ulubieńcu. Ponieważ tak gorąco opowiadał się za Kalafem, można było się spodziewać, że stary Pan Zastępów swoją interwencją pokrzyżuje nasze plany. Prędko zatem zmieniłem temat rozmowy. Opowiadaliśmy sobie rozmaite przygody, paliliśmy kosztowny dżebeli, piliśmy kawę, której stary Sallam wciąż dolewał, gwarzyliśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co mi ciążyło na sercu.

Wreszcie musiałem Krüger-beja pożegnać, aby niebawem wrócić. Odprowadził mnie do drzwi, co czynił jedynie wobec szczególnie miłych sobie gości. Na dworze czekał prześliczny kasztanek. Dosiadłem go i pojechałem najpierw do hotelu, aby zaprosić towarzyszy do Krüger-beja i zawiadomić o niespodziewanych trudnościach. Czyż mogliśmy przypuszczać, że wyrafinowany złoczyńca wbrew naszym interesom wkradnie się w łaski starego Pana Zastępów? Jakkolwiek Krüger-bej lubił mnie i poważał, zrozumiałem, że nic nie zdziałam gołosłownym oskarżeniem, że muszę dostarczyć niezbitych dowodów. Miły, dobry, a jednak nad wyraz uparty stary naczelnik straży przybocznej mógł tak pokierować sprawą swego pupila, iż ten zdołałby się nam wymknąć z rąk. Trzeba go było za wszelką cenę zaskoczyć.

— Zaskoczyć? Ale jak? — zapytał Emery.

— Z pomocą pseudo-Huntera — odpowiedziałem.

— Jak to rozumiesz?

— Pojadę do Huntera i namówię, aby nie wypatrywał ojca w Zaghuanie, ale przyłączył się do wyprawy przeciwko Uled Ayarom. Jestem przekonany, że nagłe i niespodziewane spotkanie Kalafa Ben Urik z synem tak oszołomi, że nie omieszka się zdradzić co nas upoważni do uwięzienia go.

— Niezła myśl. Ale jak zdołasz Jonatana namówić?

— Zdaj się na mnie! Tak mu wszystko wyłożę, że sam się będzie narzut na towarzysza. Wyobraź sobie przestach kolorasiego, skoro ujrzy syna, przerażenie, skoro zobaczy mnie, Old Shatterhanda, znającego jego przeszłość. Musiałby mu naprawdę czart pomagać, gdyby nie popełnił lub nie powiedział czegoś, co dowiodłoby Panu Zastępów, że obdarzał szacunkiem krwiopijącą w ludzkiej postaci. Teraz ruszam do Zaghuanu. Wkrótce przyjadą po was od Krüger-beja.

— Poczekaj chwilę! Istnieje jeszcze jedna okoliczność, bardzo ważna, której, zdaje się, zapomniałeś. Krüger-bej wie naturalnie, że jesteś Niemcem i zna twoje nazwisko?

— Oczywiście.

— Powiedziałeś także, że przyjechał z tobą wódz Apaczów?

— Tak.

— A teraz pojedzie z nami rzekomy Hunter? Dowie się wnet, żeś go oszukał.

— Jak to?

— Wszak mówiliśmy, że jesteś Anglikiem Jonesem, a Winnetou Somalijczykiem Benem Asra.

— Cóż to szkodzi?

— Co szkodzi? Dziwne pytanie! Tą zwyczaj szybko rozumiesz! Jest rzeczą prawie niemożliwą, aby Hunter nie posłyszał w drodze waszych prawdziwych nazwisk. A wówczas wzbudzimy w nim podejrzenia.

— Zbyteczne skrupuły. Przekonam go, że oszukujemy nie jego, lecz Pan Zastępów.

— Hm, być może. Ale czy ci się uda?

— Z pewnością. Powiadam wam, im bardziej wyrafinowany złoczyńca, tym łatwiej go podejść.

Zapukano do drzwi. Był to stary Sallam. Pan Zastępów przysłał go wraz z dziesięciu jeźdźcami po Emery'ego i Winnetou. Stanowiło to dowód szacunku i zyczliwości Krüger-beja. Emery zapłacił rachunek za pobyt w hotelu, po czym cała kawalkada ruszyła do Bardo. Ja tymczasem pojechałem do Zaghuanu.

Nietrudno było znaleźć mieszkanie Bu Marama. Jako koniarz przyjmował wielu ludzi i dlatego mogłem bez problemu dowiadywać się o jego adres, nie zwracając na siebie uwagi. Zatrzymałem się przy długim, wąskim, niskim, biało otynkowanym budynkiem, który składał się tylko z sutereny i był okryty dachem Marama otworzył wrota i wpuścił mnie na podwórze, gdzie w licznych ogrodzeniach stały konie na sprzedaż. Obejrzał z początku mego kasztana, a następnie mnie samego z wyrazem zdziwienia na twarzy i podczas gdy zsiadałem z konia, zapytał podejrzliwie:

— Czy przyjechałeś, aby sprzedać konia?

— Nie.

— To dobrze! Inaczej bowiem byłbyś koniokrądem. Znam tego kasztana. Jest to ogier, prawdziwy mauretański henneszah, ulubiony koń naczelnika straży przybocznej naszego baszy, który obdarza cię chyba wielkim zaufaniem, skoro powierzył ci to kosztowne zwierzę.

— Jest moim przyjacielem.

— W takim razie powiedz Panu Zastępów, że jestem jego a także twoim najpokorniejszym sługą. Jakież twoje życzenia mogę spełnić?

— Przyjechał do ciebie cudzoziemiec, który chce pozostać w ukryciu?

— Nic o tym nie wiem. Kto ci powiedział? — zapytał przerażony tym, że przyjaciel Krüger-beja dopytuje się o człowieka, którego schował.

— Powiedz prawdę. Możesz mi zaufać. Jechałem razem z tym cudzoziemcem i przesłałem nawet przez tragarza jego bagaż. Powiedz mu, że chcę z nim pomówić.

— Wątpię, czy cię przyjmie — rzekł z nieufnością. — Mój gość chce właśnie ukryć się przed tym, który jest twoim przyjacielem. Jakże może ci się pokazać na oczy! Dowiem się wnet, czy istotnie jesteś tym, którego wypatruje. Skąd i kiedy przybył okręt?

— Z Aleksandrii. Dzisiaj rano.

— Gdzie wylądował ten cudzoziemiec, o którego pytasz?

— Przy Ras Chamart.

— Z jakiego kraju pochodzisz?

— Z Belad el Ingeliza*.

— Twoje nazwisko?

— Jones.

— Twoje odpowiedzi są trafne, a zatem muszę cię zaprowadzić do niego. Ale powiedz, czy naczelnik straży przybocznej wie, dokąd pojechałeś?

— Nie wie.

— Czy powiesz mu?

— Ani myślę. Wiem, że jesteś przyjacielem kolorasiego Kalafa Ben Urik i tylko ze względu na niego ukryłeś cudzoziemca. Darzę kolorasiego bardzo żywym i wielkim zainteresowaniem. Znam jego zamiary, jego cele i pragnienia o wiele lepiej od ciebie. A zatem proszę, porzuć nieufność i zaprowadź mnie do swego gościa. Muszę mu oznajmić parę bardzo ważnych wiadomości, nie cierpiących zwłoki.

— A więc chodź! Zaprowadzę cię do niego.

Nie dziw, że koniarz mi nie dowierzał. Jeżeli nawet Tomasz Melton nie wtajemniczył go w swe plany, to w każdym razie musiał mu wyjawić niektóre szczegóły i oznajmić, że władze

* Anglia

nie powinny się dowiedzieć o obecności cudzoziemca. A teraz ja przyjechałem na wierzchowcu urzędnika, który zaliczał się do najwyższych dygnitarzy. Kosztowność mego konia dowodziła bliższych stosunków z owym dygnitarzem. To musiało oczywiście ściągnąć na mnie jego podejrzenia.

Zostawiłem konia i poszedłem za gospodarzem. Rzekomym celem moich odwiedzin była wiadomość, że kolorasi, ojciec Jonatana Meltona, nie wrócił jeszcze z wyprawy. Ale w istocie miałem zamiar skłonić Huntera, aby nie zostawał w Zaghuanie, lecz pojechał z nami.

Ale jak to zrobić, nie budząc podejrzeń? Sęk w tym, że uważał mnie za Mr. Jonesa, w drodze zaś musiałby się dowiedzieć od Krüger-beja i innych, iż jestem Niemcem? Należało tę sprzeczność pogodzić wiarygodną wersją.

Koniarz przeprowadził mnie przez parę izb. W jednej kazał mi zostać, sam zaś poszedł zameldować. To dowodziło, że żywił jeszcze w duszy nieufność. Sporo czasu minęło, zanim wrócił i polecił mi wejść, po czym szybko się oddalił.

Pseudo-Hunter czekał na mnie w sąsiedniej izbie. Był to, zdaje się, najlepszy pokój w całym domu. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Oto i pan! Chciano pana odprawić z kwitkiem, co?

Z jego tonu i twarzy wywnioskowałem, że Bu Marama nie potrafił w nim zachwiać zaufania do mnie. Odpowiedziałem:

— Stanowczo. Nie dowierzał mi pański gospodarz.

— To prawda. A czy wie pan, dlaczego?

— Mam nadzieję, że mi pan wyjaśni

— Ponieważ dosiada pan kasztana komendanta straży przybocznej. Mówił, że jest pan na pewno zaufanym dowódcy wojsk tuniskich.

— A tak! Hm! Ma słuszość, a zarazem jej nie ma.

— Jak to?

— Bardzo szczególny przypadek, — Z początku byłem oszołomiony, szybko jednak postanowiłem go wykorzystać — Siadajmy! Muszę panu opowiedzieć Jest to osobliwa przygoda, możliwi tylko na Wschodzie i przypuszczam, że pociągnie za sobą szereg innych.

— Cóż takiego? Jestem niezmierni zaintrygowany. Niech pan opowiada — rzekł, siadając i podając mi cygan wraz z zapałką.

— Niech pan słucha — zacząłem. — Poszedłem do koszar, aby zgodnie pańską prośbą zasięgnąć wiadomości o kolorasim. Przed drzwiami siedziała gwarzyła garstka żołnierzy. Chciałem ich zagadnąć, gdy naraz zerwali się zaszalowali. Odwróciłem się, patrzę — nadjeżdża mały oddział, a na czele oficer wyższej rangi. Oczywiście, szybko się wycofałem. I oto dowódca, przejeżdżając obok, rzucił na mnie spojrzenie, z miejsca osadził konia i, wydając okrzyk radości, powitał mnie jak emira Kara ben Nemzi.

— Ach! Zadziwiające! Jest pan chyba podobny, bardzo podobny do człowieka, którego nazwisko wymieni Sprostował pan oczywiście pomyłkę?

— Uczyniłem to, ale roześmiał się tylko i poczytał to za żart.

— W takim razie podobieństwo ja istotnie zadziwiające! Któż to był tej oficer?

— Sam Krüger-bej, Pan Zastępów.

— To bardzo ciekawe! Niech pan opowiada dalej! Przekonał pan go jednak, że się myli?

— Chciałem to uczynić, ale wesołym śmiechem nie pozwolił mi dojść do słowa, ujął za ramię i prosił, abym nie stroił żartów. Musiałem towarzyszyć mu do koszar, do pokoju oficerskiego, gdzie zostawił mnie, przeprasząc, że musi załatwić służbowe sprawy, które sprowadziły go do koszar. Aby się nie nudził, przydzielił mi do towarzystwa starego podoficera imieniem Sallam.

— Niezwykła przygoda!

— Ale nastąpi jeszcze coś lepszego! Podoficer także twierdził, że mnie zna i że jestem Kara ben Nemzi.

— Ale jego przynajmniej zdołał pan przekonać?

— Nie. Zresztą ani mi się śniło. Wpadłem na pomysł nader śmiały, ale który może mi przysporzyć wiele korzyści. Wszak pan wie, iż jestem kupcem skór i futer. Wie pan chyba również, że tunisy Beduini wytwarzają w olbrzymich ilościach skórę i że wywozi się stąd wielkie ładunki marokinu* i safianu*?

— Wiem o tym.

— Doskonale. Cóż więc, jeśli jako handlarz skór wykorzystam podobieństwo do tego Kara ben Nemzi?

— W jakież to sposób?

— W sposób najprostszy w świecie. Nie ulega wątpliwości, że przyjaźń z Krüger-bejem, jego polecenie, może ogromnie się przydać kupcowi. Krüger-bej bowiem jest prawą ręką baszy i zdoła wiele zrobić dla przyjaciela. Postanowiłem przeto nawiązać stosunki handlowe z Tunisiem i poczynić wielkie zakupy skór. A więc to niespodziane podobieństwo bardzo mi odpowiada.

— Byłby to świetny pomysł — rzekł rzekomy Hunter po namyśle — gdyby nie... gdyby...

— Gdyby nie... O czym pan myśli?

— Gdyby nie było bardzo istotnej wątpliwości.

— Jakiej wątpliwości?

— Przypuszczam, że chce pan zostawić Krüger-beja w przekonaniu, iż jest pan Kara ben Nemzi?

— Tak.

— A przy tym chce pan wykorzystać to dla nawiązania stosunków handlowych przez pana, Mr. Jonesa. Jakże pan to połączy? Wszak nie może pan być Mr. Jonesem i jednocześnie uchodzić za Kara ben Nemzi?

— Tak też nie będzie. Sprzeczność ta da się łatwo pogodzić. Jestem Kara ben Nemzi. Mr. Jones jest moim przyjacielem i powierzył mi przedstawicielstwo swoich interesów. Czy pan mnie rozumie?

— Tak. Istotnie, to jest wyjście. Ale wątpię, czy się panu uda, gdyż nie potrafi pan do końca odgrywać roli Kara ben Nemzi.

— Jestem innego zdania.

— Niesłusznie. Naraża się pan na niebezpieczeństwo, które może pan przypłacić życiem. Jest to nie tylko możliwe, ale i bardzo prawdopodobne, że zostanie pan zdemaskowany.

— O, co się tego tyczy, to bynajmniej nie mam obawy. Podobieństwo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest tak wielkie, że mogę się na nim spokojnie oprzeć.

— A jednak radzę panu nie zawierzać przypadkowi tak bardzo. Podobieństwo to jeszcze nie wszystko. Jeśli Kara ben Nemzi jest przyjacielem Krüger-beja, to ten niewątpliwie zna nie tylko jego wygląd i zachowanie, ale także jakieś wydarzenia z życia osobistego. Poznali się niegdyś i obcowali ze sobą. Jak to się stało i w jakich okolicznościach, o czym ze sobą rozmawiali i co robili — to wszystko musiałby pan dokładnie wiedzieć, aby się nie zdradzić. Jedno niewłaściwe słówko, jedna chybiona uwaga, drobna nieścisłość, może pana zgubić.

— Wszystko, co mi pan powiedział, jest słuszne i trafne, ale mimo to nie zdoła mnie przerazić. Nie jest tak trudno, jak pan sądzi, odegrać rolę Kara ben Nemzi. Gdy zostałem sam ze starym podoficerem w pokoju, wziąłem go na spytki tak zręcznie, że nawet tego nie spostrzegł. Dowiedziałem się wszystkiego, co trzeba. A gdy przybył Krüger-bej, nie wahałem się już uchodzić za Kara ben Nemzi i wiadomościami uzyskanymi od starego podoficera operowałem tak swobodnie, że dowiedziałem się jeszcze więcej. I oto mogę grać rolę, której się podjąłem.

* Wytłaczany safian do oprawy książek

* Cienka, miękka, barwiona skóra kozła lub barania używana do oprawy książek, na obuwiu, obicia mebli itp.

— W takim razie życzę panu szczęścia! Jednakże niech się pan ma na baczności. Nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórce, gdyby pana odkryli, a właściwie zdemaskowali. Czy korzyść, jaką pan sobie obiecuje, jest aż tak duża, że nie cofa się pan przed ryzykiem?

— Tak. Można zarobić, jak sędzę, setki tysięcy.

— A zatem będzie pan musiał zostać tutaj dłużej i nie wyjedzie ze mną?

— Niestety, będę musiał zrezygnować z pańskiego towarzystwa, albowiem już jutro wyruszam w głąb kraju.

— Jutro? To niezwykle prędko! Czy nie pomyślał pan o niebezpieczeństwach takiej wyprawy?

— Nie. Nie grozi mi niebezpieczeństwo, gdyż jadę pod dostateczną ochroną.

— Mianowicie?

— Sir Emery dotrzyma mi towarzystwa.

— Tak? Naprawdę? — cedził z rozczarowaniem każde słowo. — Byłem pewny, że pojedzie ze mną!

— Tak się, niestety, nie stanie. Skoro tylko dowiedział się o moich zamiarach, natychmiast postanowił ze mną pojechać. Oczywiście, bardzo mnie to cieszy, gdyż jest to człowiek obyty, nader doświadczony i towarzystwo jego może mi przynieść wiele pożytku. Ale nie tylko on ze mną pojedzie. Będzie mi towarzyszył jeszcze ktoś: i Krüger-bej.

— On? Czy naprawdę?

— Tak. I nie sam, lecz także jego podwładni. Widzi pan zatem, że nie ma się czego obawiać.

— Żołnierze? Po co? Dlaczego?

— Aby poskromić Uled Ayarów.

— To dziwne! Sądziłem, że już poskromiono tych Beduinów. Wszak wyruszył przeciwko nim kolorasi Kalaf Ben Urik.

— Wiem. Zbliżyliśmy się wreszcie do celu mojej wizyty. Oczywiście, pytałem o kolorasiego, tak jak mnie pan o to prosił.

— No? Czy wrócił?

— Nie. Spotkało go nieszczęście.

— Naprawdę? — zapytał przerażony.

— Tak, zamiast pokonać Uled Ayarów, został przez nich osaczony. Tylko jeden żołnierz zdołał się przekraść i przybył z wieścią do Tunisu.

— A więc trzeba szybko wysłać posiłki, natychmiast, natychmiast!

Skoczył z miejsca i w podnieceniu r kręcił się po pokoju. Nie dziw, wszak ojcu jego groziło największe niebezpieczeństwo.

— Ponieważ Krüger-bej uważa pana za swego przyjaciela — mówił dalej — ma pan na niego wpływ. Czy nie mógłby pan nakłonić go, aby natychmiast pośpieszył z pomocą?

— Pytanie zupełnie zbyteczne, Mr. Hunter. Słyszał pan wszak ode mnie, że Pan Zastępów wyrusza jutro wraz ze swoim wojskiem.

— Przeciwno Uled Ayarom?

— Tak. Skoro tylko posłaniec przywiózł hiobową wieść, poczyniono przygotowania do wymarszu. Krüger-bej wyruszy z trzema szwadronami.

— Trzema? Czy sądzi pan, że to wystarczająco dosyć, aby uratować kolorasiego?

— Tak, jeśli nie zabiją go do tego czasu. Niebezpieczeństwo jest wielkie, odległość zaś wynosi niespełna pięć dni jazdy. Na wysłańca liczę też pięć dni, razem więc dziesięć dni od chwili okrążenia do nadejścia posiłków.

— Dziesięć dni! Ileż to rzeczy może się zdarzyć w ciągu dziesięciu dni!

— Niestety, niestety. Nie mówiąc już o wodzie, kolorasi nie miał tyle prowiantu, aby wraz ze swoim szwadronem przez dziesięć dni mógł przetrzymać oblężenie.

— Niebiosa! Cóż można uczynić? i Chodził szybko tam i z powrotem, targał się za włosy, wpijał paznokcie w twarz, wydawał niezrozumiałe okrzyki — słowem zachowywał się jak człowiek, którego ogarnęło ogromne podniecenie. Nie odzywałem się wcale. Jeśli go słusznie osądziłem, musiał postanowić to, czego się spodziewałem. Z napięciem oczekiwałem dalszego ciągu wydarzeń, przybrawszy obojętny wyraz twarzy. Naraz zatrzymał się przede mną i rzekł:

— A więc pan, a także Emery przyłączacie się do wyprawy?

— Tak. Nawet Ben Asra, Somalijczyk, jedzie z nami.

— Nawet on? Co pan powie, jeśli i ja chciałbym pojechać?

— Pan? Hm!

— Nie mruć pan, tylko poradź! Dlaczego stroi pan miny, które wyraźnie mówią: nie.

— Ponieważ musi pan zostać i czekać na kolorasiego.

— Ach! To mnie nie może teraz obowiązywać. Nikt nie wątpił, że kolorasi odniesie zwycięstwo. Skoro losy potoczyły się inaczej, rzecz zrozumiała, nie muszę się ściśle trzymać jego wskazówek.

Przeszyłem go umyślnie badawczym spojrzeniem. Spostrzegłszy to, rzekł:

— Dziwi się pan, że jestem tak podniecony?

— Przyznaję, że tak. Kolorasi jest panu obcy. Cóż pana właściwie może obchodzić?

— To prawda, ale jestem już takim człowiekiem. Nie zna mnie pan. Przyrzekłem Kalafowi pomoc, a ja dotrzymuję przyrzeczenia. Wówczas szło o wyzwolenie z sytuacji, która go męczyła, ale teraz idzie o życie. Czyż nie jestem tym bardziej zobowiązany, aby pośpieszyć z pomocą? Mam nadzieję, że zaufania mego pan nie zawiedzie?

— Hm, chce pan pomóc kolorasiemu, a sam wymaga pomocy.

— Porzuć pan swoje mruczenie i to wieczne „hm”! Cieszę się teraz bardzo, że wykorzystał pan swoje podobieństwo do Kara ben Nemzi i zwiódł Krüger-beja. Uważa pana za swego przyjaciela i nie odmówi prośbom. Czy zechce pan wstawić się za mną?

— O czym pan myśli? — zapytałem, wielce w duchu uradowany, że połknął mój haczyk.

— Chcę przyłączyć się do wyprawy.

— Hm, wątpię bardzo, czy Krüger-bej na to przystanie. Nie zabiera się na wyprawy wojenne pierwszych lepszych cywilów.

— To jest wykręt, Mr. Jones, tylko wykręt! Powiedz pan krótko i węzłowato, czy chce się pan za mną wstawić, czy nie?

— Dobrze, spróbuję.

— Świetnie! Dziękuję panu. Wymarsz nastąpi jutro?

— Jutro po obiedzie, zaraz po asr.

— A zatem musi mnie pan niezwłocznie zawiadomić o rezultacie rozmowy. Jak i kiedy?

— Jeszcze dziś przez posłańca, którego skieruję nie do pana, lecz do gospodarza. Ale muszę przecież powiedzieć Panu Zastępów, kim pan jest. Pod jakim nazwiskiem i w jakim charakterze zamierza się pan przedstawić?

— Pod własnym. Tak będzie najlepiej. Powiedz pan, że się nazywam Small Hunter, że pochodzę ze Stanów Zjednoczonych i jestem znajomym kolorasiego. A teraz nie traćmy czasu! Jestem przekonany, że postara się pan uzyskać dla mnie pozwolenie, i natychmiast zaczynam się przygotowywać do podróży.

— Nie może pan zabrać kufra.

— Wcale nie myślę taszczyć go ze sobą! Zabiorę tylko najbardziej niezbędne rzeczy i upatrzę sobie w stajni gospodarza dobrego konia. Lecz niech pan już idzie, niech idzie! Gotów pan stracić najlepszy, najcenniejszy czas!

Wypchnął mnie po prostu za drzwi. Wyszedłem, dosiadłem konia i pojechałem do Bardo.

Ten szczywany oszust był przekonany, że trzyma mnie w garści. Zmusił mnie wprost, abym się przyczynił do jego wyjazdu, nie przeczuwając, że do tego właśnie zmierzałem, że tego gorąco pragnąłem.

W Bardo znalazłem Winnetou i Emery'ego w towarzystwie Krüger-beja. Opowiadali sobie przygody i przeżycia, Winnetou jednak musiał milczeć, ponieważ nie władał ani niemieckim, ani arabskim. Wprawdzie obcując ze mną, przyswoił sobie wiele niemieckich słów, lecz nie na tyle, aby brać udział w rozmowie.

Nie było mi trudno uzyskać zezwolenie dla rzekomego Huntera. Krüger-bej żądał jednak, aby Hunter trzymał się z daleka od nas i przyłączył do zwyczajnych żołnierzy.

— Owszem, bardzo mi to odpowiada — rzekłem. — Nie zniósłbym jego bliskiego towarzystwa.

— Dlaczego? — zapytał Pan Zastępów.

— Ponieważ jest niezbyt sympatyczny i nie powinien się dowiedzieć, że towarzyszy nam wódz Apaczów.

— Czy mógłby pan mieć jakieś z tego powodu kłopoty?

— Mam powody. Pozwoli pan, że wyłuszczenie ich odłożę na później.

— Bon! Tak jak się panu upodobać chce. Ale jak będzie zapytywać o Winnetou, to jako kogo chce pan chcieć go uważać? — zapytał po niemiecku.

— Przedstawimy Winnetou jako Somalijczyka, imieniem Ben Asra.

Usunąłem tedy główną trudność. Pchnąłem posłańca do Zaghuanu kazałem oznajmić rzekomemu Hunterowi, aby przybył jutro przed południem do wioski Uneka, skąd nastąpi wymarsz.

Spędziliśmy z Panem Zastępów nader miły wieczór, po czym życząc sobie dobrej nocy rozstaliśmy się.

Nazajutrz od rana nie widzieliśmy Krüger-beja, gdyż obowiązki służbowa i zarządzenia pochłonęły go tak całkowicie, że nie mógł poświęcić nam chwili czasu. Nie zobaczyliśmy go również przy obiedzie. Wkrótce wyjechaliśmy do Uneki, gdzie Krüger-bej dokonał przeglądu wojska, które miało wyruszyć po poobiedniej modlitwie!

Wojsko było wyśmienicie wyposażone w szable, dzidy i strzelby. Za moja poradą Pan Zastępów sprowadził kilka wielbłądów, które w pewnych okolicznościach mogły się nam bardzo przydać. Rozumie się, nie zabrakło również wielbłądów do dźwigania bagaży. Poza tym zaopatrzone każde zwierzę w skórzane miechy do wody. Wprawdzie droga biegła na ogół wzdłuż uczęszczanego traktu, ale w głębi ładu czekały nas miejscowości pozbawione wody, gdzie napełnione miechy są niezbędne. Należało się także spodziewać, że będziemy zmuszeni obozować na pustyni.

Krótko przed asr przyjechał rzekomy Hunter. Miał dwa konie, jednego dosiadał, na drugim zaś umieścił żywność dla siebie. Chciał się natychmiast do nas przyłączyć, ale Krüger-bej spostrzegłszy to, rzekł do mnie:

— Powiedz temu człowiekowi, że nie dopuszczam do poufałości pierwszego lepszego, obcego osobnika. Pan Zastępów jako naczelny wódz nie ma zamiaru zadawać się z pospółstwem.

Podjechałem do Amerykanina i powtórzyłem mu bardzo niedwuznaczną uwagę.

— Krüger-bej pozwolił panu towarzyszyć w wyprawie, ale nie życzy sobie widzieć pana przy swoim boku.

Aczkolwiek była to obelga, Hunter przyjął ją z nadspodziewanym spokojem i odpowiedział zadowolony:

— To mi odpowiada, nawet bardzo.

— Tak? Istotnie? Bardzo mnie to cieszy. Obawiałem się, czy nie będzie pan uważał, że nie dosyć go poparłem wobec Krüger-beja.

— O nie! Uzyskał pan to, co trzeba było, więcej nie żądałem. Nie mam wcale zamiaru trzymać się stale w pobliżu Pana Zastępów i wystawiać na jego obserwację. Jestem zadowolony, że tego uniknę. Jak się uformuje pochód?

— W kolumnę marszową. Skoro znajdziemy się na terenie wrogów, zaciągniemy, oczywiście, przednią i tylną straż i roześlemy patrole. Może się pan przyłączyć, do kogo zechce. Ponieważ władza pan dostatecznie arabskim, nietrudno panu będzie — porozumiewać się z żołnierzami.

Gdy zbliżyła się pora asr, Krüger-bej kazał utworzyć koło, ukląkł i zmówił modlitwę. Po czym dosiedliśmy koni i pojechaliśmy.

Opis marszu zająłby zbyt wiele miejsca. Poprzestanę na suchych faktach. Jechaliśmy wzdłuż rzeki Medżerdah do ruin Tastur i dalej, przez Tunkah, Tebursuk i Zauharim. Tu włączyli się Uled Ayuni, niesformiejsi od Uled Ayarów, swych wrogów śmiertelnych. Należało zachować środki ostrożności, albowiem był to już wieczór czwartego dnia i nazajutrz mieliśmy przekroczyć granicę Uled Ayarów. Wysłaliśmy patrole i zaciągnęliśmy strażę. Wraz z Winnetou i Emerym jechałem w przedniej straży.

Droga wypadła przez piaszczystą pustynię. Oczywiście, nie zapomnieliśmy napełnić zawczasu miechów wodą. Emery, badając ostrym spojrzeniem daleką równinę, zapytał:

— Czy znasz ruiny, do których dążymy?

— Znam tylko okolicę.

— Jak daleko do ruin?

— Niespełna czternaście godzin.

— Tylko? Trzeba być ostrożnym. Co to za ludzie ci Uled Ayarzy? Czy my, to znaczy ty, Winnetou i ja, powinniśmy się ich obawiać?

— Nie. Jeden Komancz lub Siuks jest niebezpieczniejszy niż dziesięciu lub nawet dwudziestu Ayarów.

— W porządku! A jednak trzeba mieć się na baczności. Czy sądzisz, że znajdziemy wrogów przy ruinach?

— Kto może wiedzieć? Jeśli kolorasi musiał się poddać, to już się stamtąd wynieśli, jeśli zaś wytrwał, trzymają go w potrzasku.

— Hm, a żołnierz, który się przedał?

— Myślałem o nim. Jest rzeczą nader ważną, czy wrogowie wiedzą o tym. Jeśli nie wiedzą, nie będą się śpieszyć. W przeciwnym razie, spodziewając się odsieczy, wyślą wywiadowców, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

— Ale i oni muszą się strzec.

— Tak sądzisz? W takim razie musielibyśmy również wysłać wywiadowców.

— Ale kogo? Czy ufasz oczom i uszom żołnierzy baszy?

— Nie, zupełnie nie. Nie polegałbym na takich wywiadowcach.

— Więc dobrze, my sami wraz z Winnetou podejmiemy się tej roboty. Apacz nudziłby się bez nas. Tylko z nami może rozmawiać. Musimy Winnetou dostarczyć zajęcia. Pojedzie ze mną na prawo, ty zaś na lewo. Każdy zakreśli półkole, po czym spotkamy się na przodzie kolumny. Zgoda?

— Naturalnie! Nie mogłem jeszcze wypróbować swego konia. Jest to ognisty ogier i zdaje się, bardzo wytrzymały. A zatem naprzód, Emery!

Odłączyliśmy się od wojska. Emery i Winnetou pojechali na południowy zachód, ja zaś na południowy wschód. Byliśmy przekonani, że Uled Ayarzy nie omieszkali wysłać naprzeciw nam swoich wywiadowców. Należało więc ich odkryć, a nawet schwytać.

Mój henneszah (ogier) nie zawiódł nadziei, które w nim pokładałem. Aczkolwiek nie był tak wspaniały, jak znakomity Rih, musiałem jednak przyznać, że spośród koni naszego wojska ustępuje tylko wierzchowcowi Krüger-beja, dosiadającego najlepszego siwka ze stajni tuniskiego baszy.

Pędziłem sam po piaszczystej równinie. Rozglądałem się uważnie dookoła. Wolałbym pierwszy kogoś wypatrzeć i mieć czas na obranie formy spotkania, niż zostać zaskoczony. Minęło pół godziny; przebyłem co najmniej milę. Przejechałem drugą i trzecią i nic nie spostrzegłem. Chciałem już zawrócić na prawo, aby spotkać się z przyjaciółmi, gdy nagle zauważyłem dosyć wiele ruchomych punktów, które na przemian opuszczały się na ziemię i znów podnosiły. Z rodzaju tego ruchu wywnioskowałem, że są to sępy. Gdzie były sępy, tam musiał być i żer. Żer w takim oddaleniu od dróg i traktów karawanowych nie był zjawiskiem zwykłym. Pocwałowałem ku sępom. Z odległości stu czy dwustu długości końskich zdawało mi się, że słyszę głos ludzki. Gdy odległość malała, słyszałem coraz wyraźniej rozpaczliwe okrzyki:

— Meded, meded! Ya Allah, tá al, tá al! Na pomoc, na pomoc! O Bożej przybywaj, przybywaj!

Był to głos kobiety. Teraz wyraźniej zobaczyłem jakby kształt ludzki, oblegany przez sępy. W pobliżu skupiało się inna gromada sępów, chciwie czegoś wypatrująca. Skoro się zbliżyłem, wzbily się w powietrze. Odfrunęły również tamte drapieżniki, opuszczając się opodal na ziemię.

Istotnie, było to ludzkie ciało! Widziałem teraz dokładnie. Głos, który dolatywał jak gdyby spod ziemi, zawołał:

— Betidzi, betidzi. Subhan Allah! Przychodzisz, przychodzisz. Niech będzie pochwalony Allah!

Zatrzymałem się w miejscu, skąd dobiegał głos. Z piasku wyglądała głowa. Tak, ludzka głowa! Nie mogłem rozpoznać, czy kobieca czy męska albowiem była tak spuchnięta, że nikt nie odróżniłby poszczególnych rysów, włosy zaś obwiązano niebieską chustką. Niedaleko głowy leżało dziecko w koszulince. Zawarło oczy i zakrzepło w bezruchu. Wyglądało na pięcioletnie. O dziesięć kroków dalej leżało ciało pożerane przez sępy. Było już na poły rozerwane.

Ogarnął mnie dreszcz zgrozy. Zeskoczyłem z konia i nachyliłem się nad głową. Teraz oczy zamknęły się w omdleniu. Dzieckiem i trupem chwilowo nie zająłem się. Zakopana osoba wymagała natychmiastowego ratunku. Gdy przyjrzałem się jej dokładniej, stwierdziłem, iż jest to kobieta.

Czym ją szybko wykopać, skoro nie miałem żadnych narzędzi? Odwołałem się do pomocy dziesięciu własnych palców. Ziemia była mocno ubita, ale im głębiej, tym mniej. Na szczęście spostrzegłem wnet, że nieszczęsną zakopano w postawie siedzącej. Dzięki temu miałem ułatwione zadanie. Szybko odkopałem górną połowę, pozostawało tylko usunąć warstwę piasku, pokrywającą nogi. Wreszcie wyciągnąłem całe ciało.

Biedna kobieta trwała wciąż w omdleniu. Była okryta czymś w rodzaju koszuli, noszonej przez biedne Beduinki. Można było zauważyć, że liczy nie więcej niż dwadzieścia lat. Puls bił, aczkolwiek bardzo słabo. Twarz jej nieco się ożywiła. Dziecko również żyło. Zdjąłem z siodła manierkę z wodą i podałem maleństwu do ust nieco ożywczego płynu. Niebawem otworzyło oczy, ale jakie! Gałki były powleczone jak gdyby szarą skórą. Były to oczy ślepego dziecka. Dałem mu znów wody. Piło bardzo chciwie, po czym zamknęło powieki. Było tak wycieńczone, że natychmiast zmorzył je sen.

Sępy ponownie poczęły się zlatywać. Nie wążąc się podejść do mnie, usiadły na trupie i szarpały go. Widok był wyjątkowo odrażający. Wycelowałem ze sztucera i zastrzeliłem kilka drapieżników, zarazem odpędzając wrzeszczącą gromadę.

Wystrzały obudziły kobietę. Otworzyła oczy, usiadła i szybko wzrokiem poszukała dziecka. Wyciągnęła ramiona i przycisnęła maleństwo do siebie, wołając:

— Weledi, weledi, ia Allah, ia Allah, weledi! Moje dziecko, moje dziecko... O Allah, moje dziecko!

Popatrzyła trwożnie na boki, zobaczywszy resztki trupa, wydała rozdzierający serce okrzyk. Chciała skoczyć, zerwać się, ale z osłabienia i przerażenia upadła z powrotem na ziemię. Nie widziała mnie, ponieważ stałem z drugiej strony. Ale widocznie zaczęła pomału coś sobie przypominać, gdyż naraz krzyknęła:

— Jeździec... jeździec! Gdzie jest jeździec?!

Zwróciła się ku mnie, zobaczyła i podniosła się na nogi. Zachwiała się wprawdzie, ale podniecenie dodało jej sił. Przyglądała mi się przez chwilę badawczo, po czym zapytała:

— Kim jesteś? Do jakiego plemienia należysz? Czy jesteś wojownikiem Uled Ayunów?

— Nie — odparłem. — Nie lękaj się mnie. Nie należę do żadnego z tutejszych plemion. Jestem cudzoziemcem, przybywam z dalekich stron i nie zostawię cię bez pomocy. Jesteś osłabiona. Siadaj, dam ci wody.

— Tak, daj wody! Wody... wody... — błagała, siadając z powrotem.

Podaliśmy manierkę. Piła chciwie, pełnymi łykami, po czym oddała mi wypróżnioną do dna butelkę. Spojrzenie jej znów zatrzymało się na trupie. Odwróciła się ze zgrozą, zasłoniła twarz dłońmi, zanosząc się od płaczu.

Starłem się ją uspokoić. Nie odpowiadała, pogrążona w nieutulonym bólu. Ponieważ sądziłem, że łyzy jej ulżą, umilkłem i skierowałem się w stronę nieżywego. Głowa jego była przedziurawiona, a więc zastrzelono go. Na ziemi nie dostrzegłem żadnych śladów. Zatarł je wiatr. Wywnioskowałem, że morderstwo nie dziś zostało dokonane.

Podczas gdy zbierałem spostrzeżenia, nieszczęsna kobieta uspokoiła się o tego stopnia, że mogła odpowiadać na pytania. Zawróciłem do niej i zagadnąłem:

— Serce twoje jest ciężkie, a dusza obolała. Nie powinienem cię ranić, lecz pozostawić w spokoju, wszelako czas mój nie należy wyłącznie do mnie. Chciałbym zatem wiedzieć, w czym ci mogę pomóc. Czy odpowiesz i na moje pytania?

— Mów — rzekła, podnosząc ku mnie oczy pełne łez.

— Ten nieboszczyk był twoim mężem?

— Nie. Był to starzec, przyjaciel mego męża. Odbył ze mną pielgrzymkę do Nablumah.

— Czy masz na myśli ruiny Nablumah, gdzie leży grobowiec cudotwórcy Marabu?

— Tak. Chcieliśmy się pomodlić u jego grobu. Allah obdarzył mnie ślepym dzieckiem. Miało odzyskać światło oczu po pielgrzymce do grobu Marabu. Starzec, który mi towarzyszył, był ślepy na jedno oko i pragnął także odzyskać wzrok w Nablumah. Mój mąż pozwolił mi pójść razem z nim.

— Ale wasza droga prowadziła przez granicę wojowniczych Uled Ayunów. Do jakiego należysz plemienia?

— Do Uled Ayarów.

— A więc Uled Ayuni są twoimi śmiertelnymi wrogami. Wiem, że zaprzysięgli wam zemstę krwi. Dlatego odważyliście się na zbyt wiele, podejmując samotną pielgrzymkę, bez straży. Ktoś mógł z wami jechać.

— Jesteśmy bardzo ubodzy. Nie mamy nikogo, kto by z nami pojechał, aby chronić w potrzebie.

— Ale twój mąż, twój ojciec mogli ci wszak towarzyszyć!

— Chcieli, ale musieli zostać, gdyż nagle wynikła zwada z żołnierzami baszy. Mój mąż i ojciec uchodziliby odtąd za tchórzów, gdyby pojechali z nami, zamiast stanąć do walki.

— Powinniście byli przeczekać do końca zatargu.

— Nie godziło się czekać. Ślubowaliśmy rozpocząć pielgrzymkę w określonym dniu lomed-dzuma* i nie mogliśmy złamać ślubu. Wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie, grożącym ze strony Uled Ayunów, i dlatego pojechaliśmy na południe okrężną drogą, prowadzącą przez tereny zaprzyjaźnionych Meidżerów.

* Piątek

— Dlaczego nie wróciliście tą samą drogą?

— Mój towarzysz był stary i chory. Wędrowka wycieńczyła go do reszty, sądził więc, że nie przetrzyma okrzężnej drogi. Dlatego obraliśmy drogę najkrótszą.

— To wielka nieroztropność. Nieboszczyk był stary, ale nie sędziwy. Słabość nie usprawiedliwia tej nieostrożności. Wszak mógł po drodze zatrzymać się i wypocząć u waszych przyjaciół Meidżerów.

— Twierdziłam to samo, ale odpowiedział, że według Koranu i innych świętych ksiąg pielgrzymi są nietykalni. Podczas pielgrzymki ustaje wszelkie wrogie uczucie.

— Znam prawo pątnicze — rozciąga się jedynie na pielgrzymki do Mekki, Medyny i Jeruzalem, a nie na inne pobożne wędrowki. Wielu wiernych nie stosuje się jednak do tego prawa nawet podczas hadż*.

— Nie wiedziałam o tym, inaczej wzbraniałaby i a się przed pójściem tą niebezpieczną drogą. On sam miał zapewne też jakieś wątpliwości, gdyż w dzień odpoczywaliśmy, a szliśmy tylko nocą, dopóki nie wyminęliśmy wszystkich obozów i namiotów Uled Ayunów.

— A potem już czuliście się bezpieczni i zarzuciliście środki ostrożności?

— Tak. Znajdowaliśmy się wprawdzie wciąż na obszarach wrogów, ale nie było już daleko do naszych granic. Dlatego wędrowaliśmy także podczas dnia.

— Nie pomyśleliście, że największe niebezpieczeństwo czai się nad granicą wrogów? W głębi nieprzyjacielskiego kraju jest się nieraz bezpieczniejszym niż na krańcach. Doświadczyłaś tego na sobie samej.

— Tak. Allah skierował nas na złą drogę, albowiem tak przewidywała księga przeznaczeń. Kiedy doszliśmy do tego miejsca, napadli na nas Uled Ayuni. Nożami i włóczniami przebili ciało mego towarzysza, przestrzelili mu głowę i zrabowali odzież oraz ten ubogi dobytek, który starzec miał przy sobie. A mnie nakopali w ziemię, abym mogła oczy moje karmić widokiem trupa, dopóki mnie sępy nie pożrą. Gdyby moje dziecko nie było ślepe, zabiliby je niechybnie, bo to chłopiec.

— Kiedy na was napadli?

— Przed dworna dniami.

— Straszne! Co też musiałaś w tym czasie przejść!?

— Tak. Niech Allah przeklnie Ayunów i pograży aż na najgłębsze dno piekła! Przecierpiałam męki, których nie potrafię wypowiedzieć, katusze rozpaczy nad własną zgubą, a jeszcze bardziej, o wiele bardziej nad tragedią mego dziecka. Nie mogłam mu pomóc. Leżało przede mną w skwarze słonecznym i w ciemnościach nocy, a nie mogłam go dotknąć ani obronić, albowiem ręce miałam zakopane. A tam opodal leżał starzec, ten dobry, ten czcigodny starzec. Szarpały go sępy... Musiałam na to patrzeć... To było okropne!! Potem sępy zbliżyły się do mnie i do mego dziecka. Nie mogłam się poruszyć, mogłam tylko odstraszać je krzykami. Więc krzyczałam, ile sił, ale ptaki zrozumiały wnet, że jestem bezsilna. Przysuwały się coraz bliżej, stawały się bardziej natrętne i na pewno jeszcze przed wieczorem wbiłyby dzioby i szpony w moją głowę i w moje biedne dziecko...

Przycisnęła je do siebie, zanosząc się znowu płaczem.

— Uspokój się! — prosiłem. — Allah bardzo ciężko cię doświadczył. Ale oto cierpienia twoje skończyły się. Gdyby starzec był twoim krewnym, cierpiałabyś jeszcze bardziej. Zapomnisz wnet o udrękach, które zniosłaś. Twoje dziecko żyje. Wrócisz do domu, nie straciwszy nikogo z bliskich, i będziesz witana z radością i podziwem.

— Masz słuszność, o panie! Ale jakże wrócę do domu? Nie posiadam ani żywności, ani wody, a jestem taka słaba, że chodzić nie mogę.

— Czy zdołasz utrzymać się w siodle, jeśli ci dam konia i będę szedł przy tobie?

— Wątpię, ponieważ będę jeszcze trzymać dziecko na ręku.

* Pielgrzymka do Mekki, uważana za jeden z pięciu głównych obowiązków prawowiernego muzułmanina

— Ja je poniosę.

— Twoja dobroć, panie, jest tak wielka, jak moje przebyte cierpienie. Ale mimo że mnie wyręczysz, poniósłszy dziecko, jestem tak wycieńczona, że nie zdołam się utrzymać w siodle o własnych siłach.

— A zatem nie pozostaje ci nic innego, jak zdać się na mnie. Posadzę cię przed sobą na koniu. Weźmiesz dziecko na ręce, ja zaś będę cię tak mocno trzymać, że nie spadniesz. Zjedz te daktyle, które na szczęście zabrałem w drogę. To cię pokrzepi.

Zjadła chciwie i rzekła:

— Wiesz, o panie, że żaden mężczyzna nie powinien dotknąć cudzej żony, ale ponieważ Allah odebrał mi zdolność chodzenia lub jechania o własnych siłach, więc chyba nie poczyna mi za złe, jeśli otoczysz mnie — swymi ramionami. Mój mąż, pan i władca, też mi na pewno wybaczy.

— Gdzie chcesz go szukać?

— Nie wiem, wyruszył bowiem w bój. Oby Allah zachował go przy życiu! Ale potrafię znaleźć obóz, w którym zostali starcy, kobiety, dzieci, chorzy i słabi. Znajduje się w Dżebel Eszuir, dokąd dotrzemy jutro. Czy chcesz mnie tam odprowadzić? Nasi przyjmą cię z radością. Jestem wprawdzie uboga, ale nazywam się Elatheh i wszyscy mnie lubią, więc serdecznie powitają mego wybawcę.

— Nawet, jeśli jest waszym wrogiem?

— Wrogiem? Jakże możesz być wrogiem Uled Ayarów, ty, któryś wybawił mnie z najstraszliwszej śmierci?!

— A jednak jestem nim.

— To niemożliwe, powiedziałaś bowiem, że przybywasz z dalekich, bardzo dalekich stron.

— To prawda, ale jestem przyjacielem i towarzyszem tych, których nazywacie swymi wrogami, to znaczy przyjacielem żołnierzy baszy.

— A więc zaprowadzisz mnie do żołnierzy, do wrogów mego plemienia? Czy przypuszczasz, że pójdę?

— Nie tylko przypuszczam, ale jestem pewien. Może wolisz zginąć?

— Prawda. W mojej duszy walczą sprzeczności. Nie wiem, co postanowić.

— Nie możesz postanawiać, gdyż jest rzeczą oczywistą, że pojedziesz ze mną. Jeśli nie pojedziesz dobrowolnie, użyję przymusu.

— Allah la jukaddir! Boże uchowaj! — zawołała przerażona. — Chcesz uciec się do przemocy?

— Tak. Zmuszając, czynię ci dobrze. Jeśli zostaniesz tutaj, będziesz zgubiona. Musisz pójść ze mną, a chociaż mogę tylko wrócić do wojsk baszy, nie powinnaś się przerażać. Nie zamierzam wyrządzić ci żadnej krzywdy. Jeśli cię zmuszę, to tylko dla twego własnego dobra. Nie uważaj mnie za wroga. Kiedy zobaczyłem cię, sterczącą z ziemi, natychmiast pomyślałem, że należysz do Uled Ayarów, zatem do dzisiejszych moich przeciwników. Mimo to wykopałem cię z ziemi. Możesz z tego wnioskować, iż nie jestem niebezpiecznym wrogiem. Przyłączyłem się do walki, być może po to właśnie, aby zapobiegać rozlewowi krwi i aby, o ile to będzie możliwe, spowodować zawarcie pokoju. Przyjrzyj mi się! Czy mam oblicze człowieka, którego należy się lękać?

— Nie — odparła, uśmiechając się. — Twoje oczy spoglądają łagodnie, a oblicze jest dobre i łaskawe. Ciebie się nie boję, ale lękam się bardzo waszych żołnierzy.

— Niesłusznie. Będą wobec ciebie w porządku. Nie wojujemy z kobietami.

— Czy możesz rozkazać, aby się ze mną źle nie obeszli?

— Tak. I będą mnie słuchali.

— A więc jesteś dowódcą?

— Dowódcą i gościem, a to znaczy, jak ci wiadomo, o wiele więcej.

— Ufam twoim słowom, ponieważ wyglądasz na człowieka uczciwego, a nie na oszusta. A ponieważ mi przyrzekasz, więc... Ale, spójrz, zbliżają się jacyś jeźdźcy!

Wskazała kierunek, z którego przybyłem, a do którego byłem teraz zwrócony tyłem. Odwróciłem się i zauważyłem, że byli to Winnetou i Emery.

— Chyba nie są to wrogowie twoi albo moi, o panie? — zapytała zatrwożonym głosem.

— To są moi przyjaciele, którzy mnie szukają, gdyż zbyt długo byłem nieobecny — odpowiedziałem. — Nie powinnaś się lękać. Będą cię tak samo bronić, jak ja. Są też cudzoziemcami. Nie należą do plemienia Ayunów, jeden jest Inglizi, a drugi wojownikiem z dalekiego Belad el Amerika.

Jeźdźcy zbliżyli się i osadzili wierzchowce na miejscu. Emery zapytał:

— Dlaczego tak długo nie wracałeś? Niepokoiłiśmy się o ciebie. Nie było cię przeszło dwie godziny, więc odszukaliśmy twój trop i przyjechaliśmy. Oczywiście, znów przygoda?

Opowiedziałem zdarzenie, naturalnie po angielsku, aby i Winnetou mógł zrozumieć. Gdy skończyłem, siedli z koni i Emery dał kobiecie daktylę, a Winnetou kawał mięsa, które usmażone po indiańsku, przechowywał w torbie przy siodle.

Widać było, że kobieta jest ogromnie wygłodniała. Podczas gdy jadła, zauważyłem w oddali na wschodzie biały punkt, który się coraz bardziej powiększał, przybierając jeszcze jedno zabarwienie. U góry był biały, a u dołu ciemny. Kiedy wskazałem go towarzyszom, Emery rzekł:

— Oddział Beduinów. U dołu ciemne konie, u góry jasne burnusy. Zbliżają się do nas. Co czynić?

Kobieta, obejrawszy się, natychmiast zawołała przestraszona:

— Allach niech nas obroni! Jesteśmy zgubieni, jeśli szybko nie uciekniemy. To Uled Ayuni!

— Może kto inny?

— Ależ nie! Uled Ayuni żyją teraz w niezgodzie z całym światem. Kto w jasny dzień przyjeżdża tak otwarcie ze strony ich obozu, ten jest niewątpliwie Uled Ayunem. Uciekajmy, panie, szybko, szybko! Mówiąc to, poderwała się na nogi.

— Poczekaj chwilę, poczekaj! — rzekłem spokojnie.

— A więc jesteście zgubieni, i ja także! O Allach, Allach, wspomóż nas w tym niebezpieczeństwie!

— Uspokój się. Nic ci złego nie zrobią. Sądzę nawet, że zdołamy Ayunów ukarać za dokonane morderstwo, o ile istotnie są to Uled Ayuni.

— Chcesz zostać? — zapytał Emery.

Zrozumiał zarówno słowa kobiety, jak i moje.

— Bezwzględnie — odpowiedziałem.

— A jeśli to nie Uled Ayuni?

— W takim razie są to Ayarzy, których tym bardziej musimy pojmać.

— Pojmać? Zgoda!

Oblicze jego, zwykle poważne, teraz promieniało z wewnętrznego zadowolenia, gdy podszedł do wierzchowca, aby zdjąć z siodła broń, tę broń, z której zwykł trafiać w głowę każde zwierzę i każdego wroga.

Winnetou również sięgnął po swoją srebrną strzelbę i założył za pas krzywy nóż i tomahawk.

— To będzie zapewne twoja pierwsza w Afryce rozprawa orężna — rzekłem.

— Winnetou nie sądzi, aby doszło do rozprawy — odezwał się. — Przestach rzuci ich w nasze ręce.

— Naraz kobieta zaczęła wrzeszczeć jeszcze okropniej:

— O litościwy, o łaskawy, o obrońco! To są naprawdę Uled Ayuni, a między nimi sześcioro tych, którzy mnie zakopali.

— Nie mylisz się? — zapytałem.

— Nie. Przewodzi im ten z długą, czarną brodą, który jedzie na czele. Co się z nami stanie? O Allah, Allah, Allah!

Ułożyłem ją na ziemi i przemówiłem uspokajająco:

— Włos z głowy nie spadnie tobie, ani twemu dziecku. Nie my powinniśmy się ich lękać, tylko oni nas.

— To niemożliwe, zgoła niemożliwe! Jest ich czternastu, a was tylko trzech.

Nie miałem czasu na uspokajanie przerażonej kobiety, gdyż oddział zbliżył się na niespełna trzysta kroków i zatrzymał się, aby nas obejrzeć. Uled Ayuni przybyli sprawdzić, czy kobieta żyje jeszcze, i napawać się widokiem jej cierpień. Nie porozumiewając się nawet między sobą, ustawiliśmy się tak, jak należało, mianowicie, ja z kobietą pośrodku, Emery o dwadzieścia kroków na prawo, Winnetou o tyleż na lewo. Tworzyliśmy więc linię długości czterdziestu kroków. Konie stały za nami.

Beduini, prócz dwóch, byli uzbrojeni w długie krzemienne strzelby, ci dwaj zaś mieli tylko dzidy.

— Jeśli trzeba będzie strzelać, to celujcie tylko w ręce lub nogi!

— Dobrze, dobrze, jak chcesz — odrzekł Emery.

ULED AYUNI

Beduini stali nieruchomo około dwóch minut. Widocznie rozmawiali o nas. Chwilami dobiegał głośniejszy okrzyk zdumienia czy podniecenia. Nie spodziewali się tutaj nikogo spotkać, toteż nasza obecność, a szczególnie harda postawa, wprawiła ich w zdumienie. Trzej Beduini na pewno uciekliby przed taką przewagą. Jeśliby nawet zostali, nie zsiadliby z koni, aby w każdej chwili móc uciec. Nasza zatem postawa, spokojna i nieruchoma, była dla nich zagadką; czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widzieli. Mogli to sobie tłumaczyć tylko tym, że nie są nam obcy i że nie mamy powodu ich się lękać. Ale oni jednak nas nie znali i nigdy nie spotkali. Tylko jednego byli pewni i właśnie pod tym względem ogromnie się pomylili, nie wątpili, że jesteśmy muzułmanami. Świadczyło o tym ich powitanie. Prawowierny mahometanin nigdy nie przywita innowiercy przez „Sallam aaleikum”, nawet prawo zabrania innowiercy używać tego powitania w stosunku do wiernego. A teraz oto czarnobrody przywódca zbliżył się o kilka kroków, położył rękę na sercu i zawołał:

— Sallam aaleikum, ichwani! Błogosławieństwo z wami, moi bracia!

— Sal-aal! — odpowiedziałem krótko.

Wypowiadając tylko dwie pierwsze zgłoski powitania, okazywałem dowód niechęci. Udając, że tego nie spostrzega, ciągnął dalej:

— Kef sahhatak? Jakże się masz?

Odpowiedziałem obcesowo:

— Ente es beddak? Min hua? Czego chcesz? Kim jesteś?

Pytanie to naruszało reguły uprzejmości. Chwycił też natychmiast za kolbę flinty i odparł:

— Jak śmiesz zadawać takie pytania? Czy przybyłeś z krańca świata, że nie wiesz jak się należy zachowywać? Wiedz, że nazywam się Farad el As-wad i że jestem naczelnym szejkiem Uled Ayunów, władców tej ziemi, na której ty, obcy, stoisz. Wkroczyłeś, nie pytając o nasze pozwolenie, a zatem zapłacisz przewidzianą karę.

— Ile wynosi?

— Sto tuniskich piastrów i sześćdziesiąt karubów od osoby.

Stanowiło to po pięćdziesiąt jeden marek na każdego z nas.

— Jeśli chcesz mieć piastry, to weź je sobie sam — rzekłem, podnosząc strzelbę i kładąc na wygiętej ręce.

Ten ruch oznaczał zdecydowaną odmowę.

— Usta masz wielkie jak hipopotam — roześmiał się szyderczo szejk — ale mózg twój wydaje się mniejszy od mózgu plugawego dżerada*. Jak brzmi twoje imię i imiona twoich towarzyszy? Czego sobie życzą? Jakie jest ich pochodzenie i czy ojcowie ich mieli imiona, które nie utonęły w falach zapomnienia?

Ostatnie pytanie, według tutejszych poglądów, było ciężką obelgą. Odezwałem się więc:

— Zdaje się, żeś wynurzał swój język w nieczystościach waszych wielbłądów i owiec, skoro wymawiasz tak cuchnące słowa. Jestem Kara ben Nemzi z krainy Almanów. Mój przyjaciel z prawej strony jest sławnym Behluwan-bejem z krainy Inkelis, a bohater po mojej, lewicy to Winnetou el Harbi w' Nazir*, naczelną wódz wszystkich plemion Apaczów w wielkim Belad el Amerika. Jesteśmy przyzwyczajeni płacić mordercom kulami, a nie pieniędzmi. Powtarzam: jeśli chcesz mieć piastry, weź sobie.

— Twój rozum jest jeszcze mniejszy, niż sądziłem! Czy nie stoi tu nas czternastu dziarskich i odważnych mężów, podczas gdy was jest trzech? A zatem, każdy z was byłby pięciokrotnie zabity, zanim by zdążył jednego z nas położyć.

* Szarańcza

* Wojownik i zwycięzca

— Spróbujcie! Nie zdążycie podejść na trzydzieści kroków, o pożrą was nasze kule.

Wśród Beduinów rozległ się gromki uśmiech. Nie myślcie, że chciałem się tylko popisywać słowami. Nie! Jak niegdyś greccy bohaterowie rozpoczynali zapasy szermierką słowną, tak samo Beduini mają zwyczaj przed walką poniżyć przeciwnika. Nie żałują oczywiście języka. Jeśli wyrażałem się o nas nieco chępliwie, czyniłem to zgodnie z tutejszym zwyczajem. Szyderczy śmiech Uled Ayunów nie rozgniewał mnie bynajmniej, należał do przyjętych form. Skoro przebrzmiał, szejek podjął groźnym tonem:

— Mówisz o mordercach! Rozkazuję, abyś powiedział, kogo masz na myśli!

— Nie możesz rozkazywać, tym bardziej że o was myślałem, mówiąc o mordercach.

— My jesteśmy mordercami? Daj dowód, ty psie!

— Za wyzwisko ukarzę cię, jako tu stoję, jeszcze przed modlitwą wieczorną. Zapamiętaj to sobie! Czyście nie zamordowali tego starca, którego szczątki leżą przed nami?

— To nie było morderstwo, ale zemsta krwi.

— A następnie zakopaliście tę niewiastę w ziemi. Starzec i niewiasta nie mogli się bronić, dlatego podnieśliście na nich rękę, wy tchórze! Ale nas dotknąć, nie starczy wam odwagi.

W odpowiedzi usłyszałem ponowny, tym razem głośniejszy śmiech. Szejek rzekł szyderczo:

— Zbliźcie się i okażcie waszą odwagę, szakale, synowie szakali, synowie synów szakali! Nie odważycie się! Zatrzymaliście się tam, ponieważ wiecie, że możecie być przez nas pogromieni. Ale gdy do was podejdziemy, weźmiecie nogi za pas i będziecie wyć jak psy, które się smaga!

— Zbliźcie się tylko! Jest was pięciokrotnie więcej niż nas, a zatem mniej wam trzeba odwagi, aby napaść na nas. Mówisz o ucieczce. Powiadam, to wy pokażecie tyły, ale nikomu z was nie uda się uciec. Zważcie dobrze to, co wam mówię! Popełniliście na tym miejscu przestępstwo, które musimy ukarać. Jesteście naszymi jeńcami. Kto będzie próbował uciec, tego zastrzelę na miejscu. Zsiadajcie z koni i oddajcie broń!

Wybuchli homerycznym śmiechem i nawet przypuszczam, uważali mnie za wariata. Tak przynajmniej sądził szejek.

— Allach odebrał ci resztkę rozumu. Twoje pudło mózgowe jest puste! — zawołał. — Czy mam je na dowód otworzyć?

— Nie kpij! Przyjrzyj się, jak spokojnie i pewnie stoimy wobec waszej przewagi. Czy nie jesteśmy pewni naszej sprawy? Powtarzam: strzeżcie się ucieczki, gdyż zawrócą was nasze kule.

Wówczas brodacz zwrócił się do swoich:

— Ten pies zdaje się mówić poważnie i bajdurzy o swoich kulach. W naszych lufach też tkwią nie najgorsze. Podarujcie je tym psom, a potem ławą na nich!

Pociągnął za cyngiel, a za nim jego ludzie. Rozległo się dwanaście wystrzałów, ale wszystkie chybiły. Żadna kula nie drasnęła nawet naszej odzieży, aczkolwiek staliśmy nieruchomi i wyprostowani. Zdumienie, wywołane naszą nieustraszoną postawą, wprowadziło ich w osłupienie. Wówczas Emery wystąpił o kilka kroków naprzód i zawołał potężnym głosem:

— Czy widzieliście, jak celnie strzelacie? Staliśmy bez trwogi, ponieważ byliśmy pewni, że jedynie przez przypadek moglibyście nas ugodzić. Teraz pokażemy, jak my strzelamy! Tam oto stoi dwóch z dzidami. Niech jeden podniesie dzidę, abym mógł w nią trafić!

Beduin podniósł dzidę, ale widząc, jak Emery celuje, opuścił rękę i zawołał:

— O Allach, Allach! Co mu też przyszło na myśl! Mierzy w moją dzidę, a ugodzi we mnie.

— Tchórz cię obleciał! — roześmiał się Anglik. — Zsiadaj z konia i wsadź pikę w ziemię. A potem zmykaj, abym cię nie trafił!

Beduin posłusznie wykonał polecenie Emery'ego. Anglik przyłożył strzelbę, celował nie dłużej niż przez mgnienie oka i spuścił kurek. Dzida została ugodzona tuż pod żelaznym ostrzem. Był to mistrzowski strzał.

Uled Ayuni skupili się dookoła dzidy, aby się naocznie przekonać o celności strzału. Żaden nie wymówił głośno słowa, szeptali tylko, podziwiając jego perfekcję.

Winnetou zapytał mnie:

— Mój brat prawdopodobnie również pokaże swój strzał?

— Tak — odparłem. — Chcę Ayunów schwytać bez rozlewu krwi, muszę przeto dowieść, że nie zdołają umknąć.

— W takim razie niech milczy srebrna strzelba Winnetou. Ale czy ci ludzie używają tomahawków?

— Nie. Będą zdumieni, gdy zobaczą tomahawk.

— Dobrze! Nie umiem przemówić w ich języku, a zatem niech brat mój oznajmi, że ja swoim tomahawkiem dokładnie przepołowię dzidę, tkwiącą w ziemi.

Beduini nie zdążyli jeszcze ochłonąć ze zdumienia, gdy zawołałem:

— Odejdźcie od dzidy! Ten mój towarzysz posiada broń, jakiej nie widzieliście nigdy. Jest to balta el kital*, którym rozplata się głowy i który w rzucie dościga każdego uciekającego wroga. Przekonacie się naocznie!

Beduini cofnęli się. Winnetou zrzucił z siebie długi burnus, wyciągnął zza pasa tomahawk i unosząc kilkakrotnie nad głową, wypuścił z ręki. Topór pędził, wirując dookoła siebie, z początku na dół, później zaś, dotknąwszy ziemi, wzniósł się szybko i raptownie w górę, wirował, zakreślając łuk, i znów opuścił się, aby trafić w drzewce dzidy akurat pośrodku i przekroić niczym brzytwa.

Fakt, że dzida została trafiona z takiej odległości w oznaczonym miejscu, wzbudził podziw Uled Ayunów. A że był to topór, bardziej jeszcze wzmogło się ich zdziwienie. Ale najbardziej niepojęty był dla nich wirowy ruch tomahawka i droga, którą przebiegał do celu. Po prostu oniemieli ze zdumienia.

I oto zdarzyło się coś, co jeszcze bardziej ich zdziwiło, mianowicie Winnetou, położywszy srebrną strzelbę na ziemi, poszedł po tomahawk. Skierował się wprost ku Beduinom, kroczył między nimi aż do miejsca, gdzie leżał topór, podniósł go i wrócił tą samą drogą, nie zaszczyciwszy spojrzeniem żadnego z wrogów. Wytrzeszczyli oczy, rozdziawili gęby i utkwili w nas oniemiałe spojrzenie.

— To był postępek nader odważny! — rzekłem do Apacza.

— Phi! — wydał pogardliwie wargi. — To nie są wojownicy. Nie naładowali nawet strzelb, z których poprzednio wystrzelili.

— Ale gdyby cię chcieli schwytać?

— Mam przecież pięści i nóż, a ty swoim sztucerem utorowałbyś drogę.

Taki był Winnetou, zuchwały i jednocześnie chłodny, a zawsze pełen rozwagi. Pragnąc nie dopuścić, aby Beduini ocknęli się z oszołomienia, zawołałem:

— Hai ia radża! Bacność, chcę wam pokazać czarodziejską broń. Wetknijcie w ziemię drugą dzidę!

Usłuchali. Wziąłem sztucer do ręki i dodałem:

— Ta broń strzela bez przerwy, nie trzeba jej ładować. Przedziurawię dzidę dziesięcioma kulami w odstępach dwóch palców. Uważajcie!

Wycelowałem i strzelałem, po każdym strzale obracając wielkim palcem bęben z ładunkami. Oczy wszystkich wpiły się we mnie z natężeniem. Gdy po dziesiątym strzale opuściłem broń, Beduini podbiegli do dzidy. Nie zważałem na okrzyki, które stamtąd się

* Topór

rozległy. Ukradkiem wsunąłem do sztucera dziesięć nowych patronów, aby później, gdy zajdzie potrzeba, rozporządzać wszystkimi dwudziestoma pięcioma strzałami.

Kule przestrzeliły dzidę w ściśle określonych przeze mnie odstępach. Uznany zostałem niemal za czarodzieja, pragnąc zaimponować jeszcze bardziej, zawołałem:

— Wyciągnijcie dzidę i o sto pięćdziesiąt kroków dalej wetknijcie w ziemię! Mimo takiej odległości dwiema kulami złamię dzidę na trzy części! Dzida wyglądała z dala jak cieniutka trzcinka. Pomysł był zuchwały, ale znałem swą broń i mogłem na niej polegać. Podniósłszy ciężką niedźwiedziówkę, przyłożyłem ją do ramienia i wycelowałem. Dwa wystrzały — i tylko trzecia część dzidy tkwiła w ziemi. Uled Ayuni pomknęli do niej. Złożyłem na ziemi niedźwiedziówkę, chwyciłem sztucer i zawołałem do Emery'ego i Winnetou:

— A teraz za nimi, aby nie wymknęli się z promienia celnego strzału! Winnetou, który nie zna ich języka, niech zważa na broń i konie Ayunów!

Zostawiwszy kobietę z dzieckiem na miejscu, w okamgnieniu pobiegliśmy za Uled Ayunami. Zbliżyliśmy się do nich na pięćdziesiąt kroków, nie budząc ich podejrzliwości.

Ułamki dzidy przechodziły z rąk do rąk. Zdumieniu nie było końca. Szejk odwrócił się i krzyknął do nas:

Diabeł jest waszym sprzymierzeńcem! Strzelacie, nie ładując broni, a kule wasze biegną na dziesięciokroć większą odległość niż z naszych strzelb.

— A jednak zapomniałeś o rzeczy najważniejszej — odparłem. Z waszych kul żadna nie trafiła, nasze trafiły wszystkie. Nie dość tego. Celowaliście w silnych, dużych mężczyzn, my zaś strzelaliśmy w cieką, słabą dzidę. Powiadam wam, żadna nasza kula nie pójdzie na marne! Czy wiesz, w jakim czasie dałem dziesięć wystrzałów?

— W ciągu tyluż uderzeń serca..

— A więc ile czasu wymaga czternaście strzałów?

— Czternaście uderzeń serca.

— Słusznie! Otóż każdy wystrzał trafi w jednego z was.

— Ia Allah, ia Rabb! O Boże, o Panie! Czy istotnie chcesz nas powystrzelać?

— Jedynie w tym wypadku, jeśli nas do tego zmusicie. Oświadczyłem, że jesteście moimi jeńcami; tak musi być. Ale teraz powiedz, czy poddacie się bez oporu, czy też mam rozpocząć walkę?

— Jeniec? Nie poddaję się! Co za hańba! Przez takich obcych psów, jak wy i jak...

— Milcz! — huknąłem. — Nazwałeś mnie już raz psem i przyrzekłem ci, że nie unikniesz kary i to jeszcze przed modlitwą wieczorną. Podwoję ją, jeśli raz jeszcze wyrzekniesz to słowo! A zatem, po raz ostatni: poddajcie się?

— Nie. Natomiast zabiję ciebie! Skierował flintę w moją stronę.

Śmiejąc się, zawołałem:

— Strzelajże! Wszak nie naładowaliście broni! Pozwoliliście się podejść. Wiedz, że przede wszystkim obrócę lufę na ciebie, potem nastąpi kolej na innych. Złaż z konia, bo...

Nie dokończyłem zdania. Emery błyskawicznie podniósł strzelbę i wypalił, ponieważ jeden z Uled Ayunów, ukryty za plecami dwóch kamratów, uważając się za zasłoniętego, wyciągnął proch i ładownicę, aby ukradkiem naładować. Wystrzał Anglika ugodził go w ramię. Krzyknął przeraźliwie i opuścił flintę na ziemię.

— Spotkała cię słuszna kara! — zawołałem. — Tak, jak z tobą, postąpimy z każdym nieposłusznym. Ostrzegałem was i ostrzegam raz jeszcze. Każdego, kto zechce uciec, kula wysadzi z siodła. Zsiadaj natychmiast! Zanieś swoją flintę do wojownika z Belad Tel Amerika. Oddaj mu nóż i resztę broni, a potem usiądź w pobliżu na ziemi!

Beduin wahał się, aczkolwiek krew spływała mu obficie z ramienia. Wówczas skierowałem w niego lufę, mówiąc:

— Policzę do trzech. Jeśli nie usłuchasz, roztrzaskam ci drugie ramię. A więc: raz... dwa...

Ranny podniósł strzelbę i zaniósł do Winnetou, który zrewidował go i odebrał pozostałą broń.

Zawołałem kobietę, dałem jej nóż i rzekłem:

— Nie wątpię, że chętnie nam pomożesz. Odkrój temu człowiekowi szeroki pas z burnusa i zwiąż mu łokcie na plecach tak mocno, aby nie mógł się uwolnić z pęt. To samo zrobisz z każdym następnym.

Skrupulatnie wykonała rozkaz. Zwróciłem się ponownie do szejka:

— Widziałeś zatem, na co przydaje się opór. A zatem bądź posłuszny! Zejdź z konia!

Zamiast spełnić rozkaz, ściągnął cugle, chcąc szybko odjechać. Koń jednak źle zrozumiał ruch jeźdźca i stanął dęba. Już chciałem podnieść sztucer do wystrzału, gdy Emery podbiegł do szejka i krzyknął:

— Łotrze! Niewart jesteś nawet kuli. Zrobimy to inaczej. Złaż ze szkapy!

Schwycił go za nogi. Mocne pchnięcie wysadziło jeźdźca z siodła. Zakreślając łuk, zwałił się na ziemię. Emery ogłuszył Ayuna paroma uderzeniami, podczas gdy ja i Winnetou skierowawszy broń na Beduinów, nie pozwoliliśmy im ruszyć się z miejsca. Bothwell rozbroił szejka i związał mu ręce i nogi.

Teraz zwróciłem się do jednego z Beduinów, który ze względu na twarz pokrytą bliznami wydawał się najmężniejszy.

— A teraz ty! Złaż z konia i oddaj broń! Raz... dwa...

Nie czekał, aż wypowiem trzy. Zeskoczył, wprawdzie z posepną miną, ale posłusznie. Wręczył Winnetou broń i spętany usiadł obok szejka.

Teraz wiedziałem, że pójdzie jak po maśle, bez żadnego wysiłku.

Uled Ayuni wykonali moje rozkazy bez sprzeciwu.

Dokonałiśmy tego, co każdemu, kto nie był westmanem, wyda się niemożliwe. W trzech wzięliśmy bez walki do niewoli czterestu uzbrojonych i dosiadających świetnych koni wrogów. Przyznając jednak otwarcie i zgodnie z prawdą, że zawdzięczaliśmy to naszej doskonałej broni. Uled Ayuni byli tak zaskoczeni perfekcją naszych wystrzałów, tak oszołomieni i tak szybko przez nas opanowani, że nie mieli czasu powziąć, a tym bardziej wykonać jakiegoś ruchu. Kiedy już siedzieli wszyscy związani, Emery zapytał:

— Jak ich poprowadzimy?

— Przywiążemy ich do koni i poprowadzimy gęsiego.

— Dobrze, więc naprzód! Mamy tylko dwie godziny do zmroku. Na szczęście za godzinę będziemy koło warru.

— Warr? Jaki warr?

— Zanim wyjechaliśmy, aby ciebie odszukać, przewodnik oznajmił, że dziś dotrzemy do warru, który jutro mamy przebyć. Wobec tego Krüger-bej postanowił rozbić obóz przed warrem.

— Czy znasz drogę?

— Powinniśmy tam dotrzeć, jeśli będziemy jechali wciąż na zachód.

Warr jest to pustynia, pokryta blokami skalnymi. Saharą nazywają Beduini pustynię piaszczystą, serir — kamienistą, dżebel — górzystą. Jeśli pustynia jest zaludniona, nazywa się fiafi, niezaludniona — khala. Jeśli ją okrywają zarośla — jest to haitia, a jeśli drzewa, nazywa się khela.

Przewodnik, o którym mówił Emery, był to żołnierz z obleżonego oddziału. Za to, że przedarł się do Tunisu, został mianowany podoficerem.

Aby znaleźć wrogów, nie trzeba było przewodnika, ale jeśli chodziło o topograficzne szczegóły marszruty, to oczywiście mógł się nam bardzo przydać człowiek, który znał drogę, gdyż przebył ją niedawno.

Przywiązawszy jeńców do koni, wyruszyliśmy w drogę. Ranny Beduin został opatrzony, a co się tyczy szejka, to ten już dawno ocknął się z omdlenia i musiał, co prawda ze zgrzytaniem zębów, poddać się losowi.

DZEBEL MAGRAHAM

Słońce nie skryło się jeszcze za widnokregiem, gdy dostrzegliśmy w piasku kamienie różnej wielkości. Tu więc zaczynał się warr. Im dalej jechaliśmy, tym większe i liczniejsze wyrastały głazy. W końcu dotarliśmy do ogromnych zwałów na południu. Nocna jazda przez ten teren nastęcza nie lada trudności. Dlatego Krüger-bej postanowił urządzić postój przed pustynią.

Wkrótce zobaczyliśmy z daleka obóz, w którym tętniło życie. Zauważono nas, zaczęto się gromadzić. I już po chwili rozeszła się wśród wojska zdumiewająca wieść o naszej przygodzie.

Rozumie się, natychmiast złożyłem Krüger-bej owi szczegółowy raport. Nie był widocznie zbudowany jego treścią, bowiem rzekł:

— Sami dokonaliście bohaterskiego czynu i oprócz tego wzięliście do niewoli czternaście osób. Lecz gdyby stało się inaczej, byłbym bardziej zadowolony.

— Inaczej? Co pan ma na myśli?

— Jeńcy mogą przysporzyć nam kłopotów.

— Myślę, że wręcz przeciwnie.

— Jak to?

— Jeńcy mogą się nam ogromnie przydać ze względu na Uled Ayarów.

— Niech mi pan łaskawie doniesie, na czym polega to przyznanie się, albowiem z zupełną ufnością nie umiem go dostrzec — kaleczył język.

— Uled Ayarzy nie płacą podatku. W jaki sposób jest on ustalony i ściągany?

— Od ilości ludzi w szczepie, a płaci się koźmi, baranami i wielbłędami.

— A zatem podatek płaci się w naturze. Lecz oto tej wiosny nie padały deszcze i w okresie posuchy padło wiele zwierząt. Trzody są mocno przeredzone, niejeden bogaty zubożał i niejeden biedny zszedł na żebry. Ci, którzy nie chcą żyć z rabunku, utrzymują się z hodowli i teraz przymierają głodem. Spodziewali się więc, że Mohammed es Sadok-basza daruje lub przynajmniej zmniejszy tegoroczne pogłówny. Wysłali posłów, którzy niestety wrócili z niczym. Muszą bezwarunkowo zapłacić cały podatek z mocno przeredzonych stad, co zresztą wtrąci ich w większą nędzę. Rozjątzeni bezwzględnością baszy, zbuntowali się przeciw jego zarządzeniom. Wskutek tego wyruszyliśmy, aby ich poskromić i przymusem ściągnąć haracz. Jestem jednak przekonany, że nie ociążaliby się z płaceniem, gdyby nie ponieśli tak ogromnej szkody. Czyż nie tak?

— Chyba tak — potwierdził.

— Nie mogą płacić, aby nie wpaść w jeszcze większą nędzę. Będą się przeto bronili do upadłego. Uled Ayarzy są liczniejsi od nas. Jeśli pobiją naszych żołnierzy, wrócimy do Tunisu okryci hańbą i wstydem. Temu należy zapobiec!

— Nie zniósłbym takiego wstydu, raczej wolałbym zginąć z bronią w rękę!

— Zupełnie słusznie, lepiej zginąć. Lecz oto druga możliwość: zwycięstwo. W tym wypadku wtrącamy całe plemię w najokropniejszą niedolę. Zamorzy ich głód, a reszty dokonają jego siostrzyce: choroby i zarazy. Czy tak być powinno?

— Naturalnie, że nie. Ale mogą z resztą stad ruszyć na nasze pastwiska, gdzie zwierzęta szybko odzyskają siły.

— Sądzi pan, że Uled Ayarzy powinni wywędrować do miejscowości, gdzie stada znajdą obfitą paszę i będą się mogły rozmnażać? W takim razie wyruszą do Algierii czy Trypolisu i będą na zawsze straceni dla baszy, który już nigdy od nich nie dostanie podatku, bo nie chciał uwolnić biedaków od płacenia przez jeden rok. Czy tego pan pragnie?

— Oczywiście, że nie!

— A więc pragnie pan, aby nikt nie zwyciężył ani my, ani oni?

Nie odpowiedział od razu. Popatrzył na mnie z ogromnym zdumieniem, namyślał się przez chwilę i widocznie przyznawszy, że mam słuszność, rzekł zakłopotany:

— W ogóle nie mogę zrozumieć, jak to jest. Może pan coś poradzi, by w moim umyśle rozjaśniło się.

— Owszem, mogę panu coś podpowiedzieć. Znam sposób umożliwiający Uled Ayarom zapłacenie podatku bez szczególnego uszczerbku dla ich mienia. Uzyskają go mianowicie od Uled Ayunów.

— Od Uled Ayunów? W jaki sposób?

— Wiem, że Uled Ayunowie są o wiele bogatsi od Uled Ayarów i łatwiej zniosą ten ubytek. Biorąc do niewoli naczelnika oraz trzynastu wojowników, upatrzyłem sobie cel podwójny — po pierwsze, chciałem ukarać ich za zabójstwo, po drugie, dostałem do ręki atut, dzięki któremu możemy wygrać sprawę z Uled Ayarami. Potrafimy ich skłonić bez walki do zapłacenia podatku i pogodzenia się z baszą.

To byłby istny cud.

— Czy pamięta pan, że Uled Ayarzy i Uled Ayuni poprzysięgli sobie krwawą zemstę? Nietrudno będzie stwierdzić, ilu morderstw dokonali Uled Ayuni na Uled Ayarach. Będą musieli złożyć okup krwi. Możemy ich do tego zmusić, ponieważ mamy szejka w niewoli.

Krüger-bej mimo podeszłego wieku i piastowanej wysokiej godności aż podskoczył z uciechy i zawołał:

— Alhamdulillah! Allachowi niech będą dzięki za natchnięcie cię jasności pomysłem i chytryości ozdobą. Jest pan wspaniałym chłopem! Dla pana moja dobra przyjaźń. Na niej możesz pan polegać.

Mówiąc to, uściśnął mi serdecznie rękę.

— A więc nie gani mnie pan za to, że wziąłem szejka do niewoli?

— Nie, nie!

— A więc proszę, niech pan każe ich tutaj przyprowadzić. Musimy wybadać szejka w sprawie krwawego odwetu. Poza tym mam z nim osobiste porachunki.

— Jakiego rodzaju?

— Wymyślał mi wielokrotnie od psów, zagroziłem mu przeto karą. Sprawię mu srogie cięgi.

— Cięgi? Czy nie wie pan, że swobodny Beduin obmywa cięgi wyłącznie krwią?

— Wiem bardzo dobrze. Wiem wszystko, co pan zechce mi powiedzieć. Nie tylko za „psa” winien odpokutować, lecz przede wszystkim za złość i diabelskie okrucieństwo, z jakim się znęcał nad bezbronną kobietą i biednym ślepym dzieckiem. Nie obchodzi mnie zemsta krwi. Nie jestem sędzią, powołanym do karania za zabójstwo starca, lecz widziałem ślepie dziecko przy głowie matki, głowie; która sterczała z ziemi, boleśnie wołając o ratunek. Widziałem sępy zlatujące się zewsząd, gotujące się do rozszarpania biednych ofiar. To okrucieństwo wykracza już poza wszelką zemstę krwi i domaga się kary.

— A jednak mam pewne wątpliwości, dotyczące pańskich uprawnień.

— Ostrzegam mnie pan przed skutkami — nie martwię się nimi, ale we własnym sumieniu musi się pan ze mną zgodzić. Ponawiam prośbę: niech pan każe sprowadzić tych łajdaków! Uprzedziłem szejka, że jeszcze przed wieczorną modlitwą poniesie karę, a co zapowiedziałem, tego muszę dotrzymać. Jeśli pan nie pozwoli, uczynię to bez pańskiego zezwolenia.

— Skoro takie jest pańskie niezłomne postanowienie, aby szejka ukarać, to wolę, żeby się to stało w mojej obecności.

Wyraziwszy zgodę, kazał przyprowadzić jeńców. Zajął miejsce przed swoim namiotem, musiałem usiąść przy jego boku. Przy drugim usiedli Winnetou i Emery.

Na wieść o tym, że Pan Zastępów będzie rozmawiał z jeńcami, zbiegli się żołnierze ze wszystkich oddziałów. Oficerowie utworzyli przed nami półkole. Wkrótce przyprowadzono

szejka Uled Ayunów i jego ludzi. Znał dobrze Krüger-beja i ukłonił mu się lekkim skinieniem głowy. Wolny Beduin spogląda z góry na zależnego od zwierzchnictwa urzędnika czy żołnierza baszy. Ale tu natrafiła kosa na kamień. Krüger-bej z miejsca dał mu nauczkę:

— Kim jesteś?

— Znasz mnie przecież! — odpowiedział zuchwalec.

— Byłem przekonany, że cię znam, lecz twój dostojny ukłon pozbawił mnie tego przekonania. Czy jesteś Jego Prześwietnością, Wielkim Sułtanem Stambułu, kalifem wszystkich wiernych?

— Nie — odpowiedział szejka, zaskoczony tym pytaniem.

— Więc dlaczego ukłoniłeś się jak sułtan? Chcę usłyszeć, kim jesteś!

— Jestem Farad el Aswad, naczelny szejka wszystkich Uled Ayunów.

— Ach, tak! Allah otwiera mi oczy, abym mógł cię znowu poznać. A zatem jesteś Uled Ayunem, tylko Uled Ayunem, a jednak kark masz zbyt hardy, aby godnie schylić się przed Panem Zastępów, baszą, którego niech Allah obdarzy tysiącem lat życia!

— Panie, jestem wolnym Ayunem!

— Mordercą jesteś.

— Nie mordercą, lecz mścicielem, ale to nikogo nie powinno obchodzić! Jesteśmy ludźmi wolnymi i rządzymy się własnymi prawami. Płacimy baszy podatek, niczego ponadto nie może od nas żądać. O nasze sprawy niech go głowa nie boli!

— Mówisz tak, jak gdybyś dobrze znał swoje prawa. Nie będą się o to spierał, lecz obowiązków swoich nie znasz wcale. Ponieważ nie pozbawiam cię twoich praw, przeto nie zwolnię również z obowiązków. Cofnijcie się o dwadzieścia kroków. Stamtąd zbliżcie się ponownie i ukłońcie tak, jak należy. W przeciwnym razie zostanieie wychłostani.

Pojęli, że Pan Zastępów nie żartuje. Byłem również przeświadczony, że wykona pogroźkę w razie nieposłuszeństwa. Cofnęli się więc o dwadzieścia kroków i wrócili, składając głęboki ukłon, nachylając się całym tułowiem i kładąc prawą dłoń po kolei na czole, ustach i piersiach. Wówczas rzekł Krüger-bej:

— Gdzie się zapodział „sallam”? Czyście oniemieli?

— Sallam aaleikum! — zawołał szejka. — Allah niech przedłuży dni twojego żywota i niech obdarzy cię wszystkimi rozkoszami rajy!

— Sallam aaleikum! Allah niech przedłuży dni twojego żywota i niech obdarzy cię wszystkimi rozkoszami rajy! — powtórzyli pozostali Uled Ayuni.

— Aaleik es sallam! — odpowiedział krótko Krüger-bej. Jak dostaliście się do mojego obozu?

— Zmuszono nas — odpowiedział szejka — ponieważ ukaraliśmy kobietę z plemienia Uled Ayarów, którym poprzysięgliśmy krwawą zemstę.

— Kto was zmusił?

— Ci trzej mężowie, którzy siedzą przy tobie.

— Ale was było czternastu? Jakże możecie się do tego przyznać, nie oblewając się rumieńcem wstydu?

— Nie mamy się czego wstydzić, gdyż mężowie ci mają takie strzelby, jakim nie podoła stu naszych wojowników.

Krüger-bej uśmiechnął się nieznacznie, po chwili łagodnie zapytał:

— Poprzysięgliście sobie zemstę z Uled Ayarami. Od jak dawna?

— Od dwóch lat.

— Wyruszyłem przeciwko Uled Ayarom, aby ich pokonać. Są zatem moimi wrogami, tak samo jak waszymi.

— Wiemy o tym i spodziewamy się, że nas potraktujesz jako przyjaciół.

— Komu się bardziej powiodło w zemście?

— Nam.

- Ilu wam mężów zabito?
- Ani jednego.
- A wy?
- Czternastu.

Od razu wiedziałem, że Krüger-bej nie bez celu zmienił ton rozmowy. Lecz teraz znowu głos jego był surowy:

- To was drogo będzie kosztować! Albowiem wydam was w ręce Uled Ayarów.
- Nie uczynisz tego! — zawołał przerażony szejk. — Wszak są twoimi wrogami!
- Skoro was wydam w ich ręce, będą moimi przyjaciółmi.
- O Allah! Zemszczą się na nas i zabiją! Nie masz prawa nas wydać! Nie jesteśmy twoimi niewolnikami.
- Jesteście moimi jeńcami. Powiadam wam, znęcanie się nad tą kobietą będzie was drogo kosztować.

Szejk ponuro patrzył w ziemię. Po chwili podniósł oczy na naczelnika i rzucił badawcze spojrzenie i ostro zapytał:

- Czy naprawdę zamierzasz nas wydać?
- Przysięgam na swoje imię i na swoją brodę.

Wyraz wściekłości wykrzywił twarz Uled Ayuna, kiedy zawołał szyderczo:

- Myślisz, że nas zabiją?
- Tak.
- Mylisz się, na moją duszę, mylisz się bardzo! Nie zabiją, lecz ściagną z nas diveh* . Kilka koni, wielbłądów i owiec — to będzie dla nich lepsze niż nasza krew. Wówczas znów będziemy wolni i nie zapomnimy o tobie. My ciebie... ciebie...

Wykonał odpowiedni ruch ręką. Dowódca udawał, że tego nie spostrzegą i rzekł:

- Nie łudźcie się! Nie będzie mowy o kilku sztukach bydła, zapłacicie o wiele więcej.
- Nie! Znamy cenę, która nas obowiązuje i którą możemy zapłacić.

Pan Zastępów zwrócił się do mnie z pytaniem:

- Jakiego jesteś zdania, effendi?

Podług miejscowego zwyczaju określa się diveh w stosunku do zwyczajów płatnika. W danym przypadku można było przypuszczać, że Uled Ayuni będą mieli do zapłacenia znacznie mniejszą sumę, niż wynosił podatek. Naczelnik wiedział o tym i dlatego zwrócił się do mnie w nadziei, że znajdę jakiś wybieg.

— Chcesz, o panie — odpowiedziałem — układać się z Uled Ayarami w sprawie wydania im naszych jeńców?

- Tak.
- Proszę cię, przekaz mi łaskawie prowadzenie układów!
- Prośbie twej uczynię zadość, ponieważ wiem, że nie mógłbym złożyć sprawy w odpowiedniejsze ręce.
- W takim razie Uled Ayuni będą musieli zapłacić o wiele więcej, niż im się zdaje.
- Tak sądzisz? — zapytał wielce ucieszony.
- Tak. Zapłacą zgodnie z obowiązującym prawem, a nie miejscowym zwyczajem. A teraz policz tylko — zwróciłem się do szejka. Zabiliście czternastu Uled Ayarów, to czyni czternaście set wielbłądzic, które będziecie musieli oddać Uled Ayarom, aby ujść z życiem.
- Sądzisz, że Uled Ayarzy będą tak szaleni, iż zażądają aż tyle?
- Tak. Raczej byliby szaleni, gdyby nie zażądali. Zresztą, wydamy im was pod warunkiem, że to uczynią. Ofiarujemy Uled Ayarom wspaniały dar, który przyjmą z radością, gdyż umożliwi im spłacenie haraczu i naprawienie poniesionej szkody.

* Okup krwi

— Mówisz jak niemowlę, jeszcze nie narodzone! Skąd weźmiemy czternaście set wielbłądzic?

Czyż każde zwierzę nie ma ceny, za którą można je nabyć? Czy każda wielbłądzica nie posiada znanej ceny?

— Mamy dać pieniądze? Tyle gotówki nie ma w całym kraju! My nie płacimy, tylko zamieniamy. Ale ty o tym nie wiesz, gdyż jesteś obcym. Jesteś giaurem!

— Giaur! Znowu obraza! Doliczam ją do poprzednich i podnoszę wymiar kary, która cię nie ominie. Czy mówiłem, abyście płacili gotówką? Skoro istnieje u was tylko handel zamienny, to nikt nie może wam zabronić, abyście czym innym wypłacili cenę czternastu set wielbłądzic. Wszak znacie wartość wielbłąda, barana, owcy, konia lub kozy, możecie więc łatwo obliczyć, iloma koźmi, owcami, baranami lub kozami można zastąpić wyznaczoną ilość wielbłądzic. Dodam jednak, że to jeszcze nie wszystko.

— Żądasz więcej? — zawołał.

— Tak. Wiesz, o czym myślę?

— Niechaj Allah cię zgładzi! — syknął ze złością.

— W zgoła nieludzki sposób skrzywdziliście kobietę, którą zdołałem uratować, i przez to zabiliście cześć jej męża. Za to się płaci cały okup krwi, a więc sto wielbłądzic lub ich równoważnik w innych zwierzętach. Okażę tyle łaski, że nie wezmę pod uwagę niebezpieczeństwa, na które naraziliście ślepe dziecko. Lecz przysięgam, nie wyjdziecie żywi, dopóki nie zapłacicie, oprócz czternastu set wielbłądzic za wymordowanych, dodatkowej setki dla kobiety. Jest bardzo uboga i niech przynajmniej w ten sposób będzie wynagrodzona krzywda jakiej doznała od was.

Szejk nie mógł powstrzymać wściekłości. Skoczył dwa kroki w przód i krzyknął:

Psie, co tym masz do powiedzenia i rozkazywania? Cóż ciebie, psiego syna, obchodzą te wszystkie okupy? Obłąd cię ogarnął i uroiłeś sobie, iż dwa wielkie plemiona będą spełniały twoje życzenia. Gdybym nie miał związanych rąk, byłbym cię z miejsca zadusił. Przyjmij to ode mnie! Pluję na ciebie, pluję ci w twarz!

Istotnie, wykonał groźbę. Cofnąłem się szybko i uniknąłem plwociny. Wówczas zawołał Krüger-bej:

— Wyprowadźcie tych psów, bo się wściekną do reszty! Wiedzą już, czego żądamy. Nie odstępimy od tego ani na krok. Będą wydani Uled Ayarom i zapłacą okup krwi według przepisów Koranu i sto wielbłądzic dodatkowo dla kobiety, chyba że im nie zależy na zachowaniu życia. Jeśli nie starczy ich dobytku, niechaj płaci za nich całe plemię!

Wyprowadzono wnet jeńców, pozostawivszy jednak na mój znak szejka, któremu teraz związane także nogi.

Dzień się kończył. Nastąpiła pora moghrebu, modlitwy o zachodzie słońca. W każdej karawanie, w każdym wojsku podczas marszruty jest ktoś, kto piastuje godność odprawiania nabożeństw. Jeśli nie ma duchownego, derwisza lub urzędnika meczetu, wówczas zastępuje go ktoś dokładnie znający rytuał. Przy nas sprawował tę godność mój przyjaciel sierżant, stary Sallam. Skoro słońce dotarło do widnokregu, zawołał dźwięcznym, donośnym głosem:

— Do modlitwy!

Kiedy słowa modlitwy przebrzmiały, gdy wierni zaczęli się podnosić z klęczek, szejk zwrócił się do mnie i syknął tak głośno, że wszyscy znajdujący się w pobliżu słyszeli:

— A teraz, psie jeden, jak tam z twoim słowem, z twoją przysięgą?

Nie uważałem za stosowne odpowiadać, choć zirykowałem się jego buńczucznym zachowaniem.

— Sallam! — zawołałem.

Stary sierżant przybiegł natychmiast.

— Jaką modlitwę odprawiłeś?

— Moghreb.

- Jaka modlitwa nastąpi później, kiedy się zupełnie ściemni?
- Asziah, modlitwa wieczorna.
- Dobrze! Zawołaj bastonadziego.
- Kto będzie ukarany?
- Szejk Uled Ayarów.
- Ile cięgow?
- Sto.

Odszedł, aby wykonać rozkaz. Przy każdym oddziale był żołnierz wyznaczony do wykonywania kary. W naszym sprawował te czynności pewien podoficer, który wkrótce przybiegł z pomocnikami. Teraz żołnierze z oficerami na czele zbrali się ponownie przed namiotem dowódcy.

Krüger-bej nie miał już nic przeciw chłóście. Siedzieliśmy obok wejścia do namiotu, szekj zaś leżał przed nami. Nie miałem chęci obchodzić się z nim tak surowo, tym bardziej, że nie znoszę podobnych widowisk. Lecz zasłużył na to swoim postępowaniem z nieszczęśliwą kobietą, a i zachowanie się jego nie skłaniało do pobłażliwości.

— Sto batów,— spora porcja! — mówił Emery. — Nie chciałbym jej dostać. Czy wytrzyma?

- Oczywiście.
- A sierżant będzie się modlił?
- Zobaczymy i usłyszymy! Jestem naprawdę ciekaw.

Skoro szekj zobaczył bastonadziego, spojrzał na mnie półprzymkniętymi oczami i zapytał:

— Kim... kim jest ten człowiek?

— Bastonadzi — odpowiedziałem dość uprzejmie — który dokona na tobie swych czynności urzędowych.

- Mam... dostać... sto... sto batów Człowieku!
- Milcz, powiadam, bo dostaniesz sto pięćdziesiąt!
- Jestem wolnym Uled Ayunem! Nikt mnie nie śmie uderzyć!
- Nikt, prócz bastonadziego.
- Tę zniewagę krwią zmyję. Krwią, krwią!!

— Nie groź, bo zaraz będziesz lamentował. Dowiesz się i zrozumiesz, że dotrzymuję słowa.

- Czy wiesz, że przypłacisz to życiem?!
- Przekonałem się dzisiaj, jak jesteś niebezpieczny. Bastonadzi, zaczynaj!
- Mocno?
- Wypełnij swą powinność, jak należy, lecz wiedz, że nie życzę sobie jego śmierci.
- Nie umrze, lecz oby mnie Allah uchował przed takimi przyjemnościami.

Pomocnicy ściągnęli z szejka burnus i rozwiązali mu ręce. Przytwierdzono je do obu końców dzidy, którą uchwycili dwaj żołnierze. Dwaj inni trzymali Uled Ayuna za nogi. Wszyscy czterej ciągnęli z całych sił — i oto szekj leżał brzuchem na ziemi.

— Jesteśmy gotowi, panie — zameldował bastonadzi, wyjmując cienką gałąź z wiązki, którą trzymał w lewej ręce.

— Zaczynać — zawołałem. Obecni spojrzeli na starego Sallama, który podniósł rękę i zaczął się modlić:

— Wielkie i liczne są grzechy tego świata i głuche serca złych. Lecz sprawiedliwość czuwa i kara nie drzemie. O Allah, o Mohammed, o wszyscy kalifowie...

Nastąpiły trzy tęgie uderzenia, po nich powoli następne. Kiedy odliczono sześćdziesiąt uderzeń, kazałem szejka puścić. Moralny ból, który mu sprawiłem, był nie mniej okrutny niż ból cielesny; mogłem być pewny, że zyskałem w nim śmiertelnego wroga.

Elatheh, niewiasta, którą uratowaliśmy, podeszła do mnie i podziękowała za ukaranie prześladowcy. Wywnioskowała ze sposobu obchodzenia się z nią, iż nic złego stać się jej u nas nie może. Nie wiedziała, że się ją ukradkiem śledzi. Przypuszczaliśmy, że może uciec do swoich i udzielić o nas wiadomości.

Ułożyliśmy się wcześniej do snu, ponieważ jutrzejszy przemarsz przez warr był nie tylko uciążliwy, lecz nadto niebezpieczny, tym bardziej niebezpieczny, im bliżej ruin, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć wrogów.

Nazajutrz wstaliśmy bardzo —wcześnie, zjedliśmy, nakarmiliśmy zwierzęta, po czym wyruszyliśmy w drogę. Lecz w chwili wymarszu podjechał do mnie Winnetou i rzekł:

— Mój brat niech pójdzie ze mną! Chcę mu coś pokazać.

— Czy coś dobrego?

— Raczej coś złego.

— Ach! Cóż takiego?

— Jak wiadomo memu bratu, Winnetou ma zwyczaj być przezornym nawet tam, gdzie to wydaje się niepotrzebne. Objechałem obóz i znalazłem ślad, który obudził moją podejrzliwość.

Podczas gdy inni odjechali z przywiązanymi do koni jeńcami, Winnetou zaprowadził mnie na południowy wschód, gdzie zobaczyliśmy na piasku między kamieniami ślad ludzkich nóg, który prowadził z obozu i wracał doń z powrotem. Poszliśmy tym śladem i przybyliśmy do miejsca między ogromnymi blokami skalnymi, gdzie nieznamy spotkał się z innym człowiekiem, przybyłym konno. Według wszelkich danych zatrzymali się tutaj dosyć długo. Ze śladów poznaliśmy, że stało się to około północy. Nie mogliśmy nic innego zrobić, tylko iść za śladem jeźdźca, który prowadził bez przerwy ku południowemu wschodowi, a zatem coraz dalej w kierunku przeciwnym naszej wyprawie. To nas poniekąd uspokoiło i po pół godzinie przyłączyliśmy się z powrotem do oddziału.

Naturalnie podzieliliśmy się naszym odkryciem z Krüger-bejem i Emerym. Pierwszy nic sobie z tego nie robił, drugi jednak chciał przyłączyć się do poszukiwań, które postanowiliśmy podjąć wieczorem. Emery zapytał:

— Jeździec nie był w obozie podczas naszego snu?

— Nie.

— Musiał mieć powód, aby się nie pokazywać w obozie. A kto się nie może pokazać, ten nie jest przyjacielem, lecz wrogiem.

— I kto w nocy ukradkiem porozumiewa się z wrogiem, jest zdrajcą. Mamy więc zdrajcę w naszych szeregach — rzekłem.

— Oczywiście, jestem tego samego zdania! Lecz kto nim być może? Jeśli dziś wieczór będziemy pilnie obserwować, sądzę, że wnet go przyłapiemy. Jak długo jeszcze będziemy jechać do ruin?

— Staniemy tam jutro po południu.

— W takim razie należy się spodziewać, że jeździec dziś wieczorem wróci, aby zasięgnąć nowych wiadomości. Wówczas schwytny go, jak i towarzysza.

Niestety, nie spełniła się ta nadzieja, gdyż zaszły całkiem nieprzewidziane wypadki. Aczkolwiek wiedzieliśmy, że kolorasi Kalaf Ben Urik jest wierutnym łotrem, to nie przypuszczaliśmy, że aż tak wielkim. Otóż, przeszedł na stronę wrogów i znajdował się z nimi w stosunkach o wiele bliższych, niż można było przypuszczać. Nocny jeździec był istotnie szpiegiem Uled Ayarów i porozumiał się z naszym przewodnikiem, którego nierozważnie obdarzono zbyt wielkim zaufaniem.

Warr stawiał naszej wyprawie coraz większe przeszkody. Nie mogliśmy jechać zwartymi kolumnami, lecz musieliśmy rozbić się na drobne oddziały i rozesłać mnóstwo wywiadowców i bocznych straży. W południe zarządziliśmy niewielki odpoczynek.

Przewodnik pocieszył nas wiadomością, że warr za trzy godziny się kończy, dalej zaś zaczyna się rozległy step, zarosnięty gęstą trawą.

O godzinie pierwszej ruszyliśmy ponownie, a w pół godziny później zbliżył się do nas podoficer i zameldował dowódcy, który przy nas jechał:

— Po tamtej stronie znajduje się miejsce, gdzie mulassim* Achmed został zamordowany.

— Mulassim Achmed? — zapytał zdumiony Krüger-bej.

— Tak.

— Został... zamordowany?

— Tak. Wszak już o tym mówiłem, panie!

— Ani słowa!

— Wybacz, panie! Wiem na pewno, że o tym powiedziałem. Jakże mógłbym zapomnieć o tak ważnej wiadomości?

— Czyżbym puścił ją mimo uszu? Musiałem myśleć o czymś innym, o czymś bardzo ważnym, skoro nie zwróciłem uwagi na twoje słowa! Achmed nie żyje? Zamordowany? Przez kogo, powiedz!

— Przez Uled Ayarów, tam, nad niewielką wodą.

— Czy mordercy zostali pojmani?

— Tak. Pojmaliśmy i zastrzeliliśmy. Było ich trzech.

— A trupy? Co z nimi zrobiliście?

— Pogrzebaliśmy na miejscu zbrodni.

— Opowiedz dokładnie!

— Jechaliśmy tą samą drogą, którą teraz jedziemy. Malassim, dowiedziawszy się, że w odległości dziesięciu minut jazdy znajduje się woda, pojechał tam, gdyż chciał napić wierzchowca, który osłabł w drodze.

My zaś pojechaliśmy naprzód, gdy nagle usłyszeliśmy wystrzał. Kolorasi wysłał natychmiast dziesięciu ludzi, między którymi i ja byłem, aby się dowiedzieli, kto wystrzelił. Kiedy dojechaliśmy do wody, zobaczyliśmy trzech Uled Ayarów, nie podejrzewających naszego przybycia. W pobliżu leżało ciało mulassima. Schwytaliśmy złoczyńców i zaprowadziliśmy do kolorasiego, który zatrzymał pochód, zwołał natychmiastowy sąd i zgodnie z wyrokiem zarządził rozstrzelanie Uled Ayarów, po czym oficerowie wraz z kilkoma żołnierzami udali się nad wodę. Pogrzebawszy mulassima, usypaliśmy nad mogiłą kamienie i oddaliśmy trzykrotną salwę.

— Achmed, mężny, odważny Achmed! Muszę odwiedzić jego grób! Zaprowadź nas, prędzej!

Do dziś dnia nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego byłem tak naiwny i zaufałem przewodnikowi. Wszak opowiadanie było mniej niż prawdopodobne. Utrzymywał, że zdawał sprawę Krüger-bejowi, który nic o tym nie wiedział. Powinienem był sobie przypomnieć nocnego jeźdźca, lecz ten pojechał na południowy wschód, podczas gdy my jechaliśmy na południowy zachód.

— Krüger-bej, Emery i ja ruszyliśmy za przewodnikiem. Winnetou nie pojechał z nami, nie brał bowiem udziału w naszej rozmowie. Zanim odłączyliśmy się od oddziału, Pan Zastępów rozkazał, aby wojsko posuwało się naprzód bardzo powoli.

Jechaliśmy między głazami znacznie dłużej niż dziesięć minut, zanim dotarliśmy do miejsca. Już to samo powinno było zwrócić moją uwagę.

— Koło okazałej skały znajdowała się niewielka kałuża, do której woda sączyła się pomału z ziemi. Z boku sterczał usypany pagórek kamieni. Przewodnik wskazał nań i rzekł:

— Oto jest grobowiec.

— Muszę zmówić modlitwę zmarłych — rzekł dowódca zsiadając z konia.

* Porucznik

Poszliśmy za jego przykładem, zostawiając broń przy siodłach. Prócz nas nie widać było dookoła żywej duszy. Krüger-bej ukląkł i zaczął i modlić. Ja i Emery, stojąc, złożyliśmy ręce. Przewodnik nie zsiadł nawet z konia, co, nie wiem dlaczego, nas wcale nie zastanowiło.

Pan Zastępów, podniósłszy się klęczek, zapytał:

— Jak leży mulassim? Czy twarzą jest zwrócony ku Mekce?

— Tak, panie — odpowiedział przewodnik.

Nie pomyślawszy zresztą nic złego, wtrąciłem uwagę:

— To niemożliwe! Mekka znajdzie się na wschodzie, natomiast grobowiec jest usypany w kierunku południowym.

— To prawda! O Allah! Położą go w fałszywym kierunku!

— A także — dodałem z nagle z rozbudzoną podejrzliwością — grobowi powinien mieć dwa tygodnie, tak jednak nie jest.

— Tak, nie ma dwóch tygodni — potwierdził Emery.

— Dlaczego? — zapytał dowódca

— Spójrz, jak się porusza ten cienki, sycki piasek, aczkolwiek nie wieje żaden wiaterek. Pełno piasku wszędzie, w każdej szparze, w każdej szczelinie, we wszystkich kamieniach dokoła, prócz tych, z których usypany został grobowiec. Na tych kamieniach ani ziarenka. Grobowiec nie ma czterestu dni. Mogę stanowczo stwierdzić, że nie ma nawet trzech, nawet dwóch dni. Możliwe, że dopiero dzisiaj został wzniesiony, aby...

Emery przerwał i wydał angielski okrzyk alarmowy, zaroilo się bowiem nagle dokoła nas od jakichś postaci. Rzuciły się na nas i na zwierzęta, przy których zostawiliśmy broń. Wyciągnąłem szybko rewolwer, lecz w mig dopadło mnie ze wszystkich stron sześciu, ośmiu, dziewięciu ludzi. Natężyłem całą moc i zdołałem uwolnić ręce. Zanim jednak zdążyłem zrobić użytek z rewolweru i dwunastoma kulami oczyścić miejsce, podbito mi nogi od tyłu, wskutek czego runąłem i zostałem przywalony całym mnóstwem napastników. Po chwili nadbiegło ich więcej. Odebrano mi rewolwer, nóż, związane — i oto byłem jeńcem.

Podczas mocowania się z Arabami spostrzegłem, że nasz przewodnik, nie zatrzymywany przez nikogo, odjechał galopem. Wiedziałem więc, kto był zdrajcą. Obok mnie z prawej strony leżał Krüger-bej, bliżej zaś nieco Emery, tak samo jak ja skrępowani. Emery zawołał po angielsku:

— Byliśmy osłami! Przewodnik jest zdrajcą! Ale nie trzeba się przejmować. Zdaje się, chwilowo nic nie grozi naszemu życiu. Czas nie nagli. Winnetou na pewno pójdzie naszym śladem i nie spocznie, dopóki nas nie uratuje.

Napastników było co najmniej pięćdziesięciu kilku. Kiedy nadjechaliśmy, ukryli się za głazami. Teraz przywódca zwrócił się do Krüger-beja:

— Ciebie właściwie chcieliśmy pojmać. Lecz, oczywiście, zabierzemy ze sobą również twoich towarzyszy. Jutro zaś weźmiemy do niewoli całe wojsko, aby je wytępić, jeśli basza nie zechce dać nam wielbłądów, koni, owiec i innej żywności w zamian za życie żołnierzy.

Wsadzono nas na wierzchowce i przymocowano sznurami, po czym ruszyliśmy na południowy zachód. Po dwóch godzinach wyjechaliśmy z warru.

Najchętniej bym sam siebie spoliczkował, ale ręce miałem związane, Moja broń, moja piękna, pierwszorzędna broń była w rękach wrogów. Przywódca przywłaszczył ją sobie. Nie ulegało wątpliwości, iż napastnicy są Uled Ayarami.

Emery pokładał nadzieję w Winnetou.

I ja polegałem na Apaczu, który jednak nie znając arabskiego, niewiele mógł zdziałać. Nie było człowieka, z którym mógłby się porozumieć, mimo to nie dawałem za wygraną. Emery miał słuszność, chwilowo nic nie zagrażało naszemu życiu. Dowodem było to, że żaden z Arabów nie użył broni. To nam przywróciło spokój. Poza tym mieliśmy kilka dobrych atutów: Elatheh, którą uratowaliśmy, oraz wziętych do niewoli Uled Ayunów, których zamierzaliśmy wydać własne Uled Ayarom.

Gorzej było z tym, że nas rozłączono. Ja znajdowałem się na przodzie, dowódca w środku, a Emery na końcu oddziału. Wskutek tego nie mogliśmy się ze sobą porozumiewać. Spoglądałem bacznie na wschód, gdzie powinno było wyjechać nasze wojsko. Aczkolwiek znajdowaliśmy się na gładkiej równinie, nic nie dostrzegłem.

Wojsko zatrzymało się zapewne, aby nas odszukać. Wiedziałem aż nazbyt dobrze, iż przewodnik dołoży wszelkich starań, aby oszukać naszych i wyprowadzić na manowce.

Rozciągał się przed nami step, skąpo zarośnięty trawą. Skręciliśmy na wschód i puściliśmy się galopem. Z początku trzymaliśmy się południowo-zachodniego kierunku, następnie zaś ruszyliśmy wprost na wschód. Było rzeczą oczywistą, że nadłożyliśmy drogi, aby zmylić ewentualny pościg.

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Trzy kwadransy dzieliły nas od zmierzchu, gdy zaczęła się lekko pofałdowana równina i z prawej strony wyrzały wzgórza. Dwa rysowały się szczególnie wyraźnie, mimo że były bardzo oddalone. Jeśli się nie myliłem, to mieliśmy przed sobą obie góry Magrahamu. Lecz w takim razie nie jechaliśmy do ruin, które były celem wyprawy naszego wojska; stąd też wynikało, że Uled Ayarzy opuścili ruiny i skierowali się ku Magrahamowi.

Zakreśliliśmy bardzo duży łuk. Wedle moich przypuszczeń warr był oddalony od nas w prostej linii o dobrą godzinę jazdy na północ. Było to bardzo ważne spostrzeżenie.

Wkrótce zobaczyliśmy szczególny okaz góry. Zwarta masa wznosiła się równo z prawej i lewej strony na znaczną wysokość, pośrodku zaś była przekrojona aż do samego dołu, jak gdyby jakiś olbrzym położył na ziemi przeogromny bochen chleba, przedzielił na dwie połowy długim, wielokilometrowym nożem, a następnie odrzucił nieco od siebie. Boki góry były łatwo dostępne, natomiast ściany przepaści, a raczej wąwozu, wznosiły się prawie zupełnie pionowo.

Ten wąwóz wkrótce będzie dla nas wiele znaczył — powiedziałem sobie, kiedy go zobaczyłem, i rzeczywiście, miało się to sprawdzić jeszcze tej samej nocy.

Zanim dotarliśmy do wąwozu, odwróciłem się i obejrzałem okolicę, którą przebyliśmy. O ile się nie myliłem, poruszał się w oddali, w głębokiej oddali, mały jasny punkcik, który miał pozorną wielkość grochu. Był to na pewno jasny burnus. Jakiś wewnętrzny głos mówił mi — i to się istotnie sprawdziło — że białym punkcikiem może być tylko Winnetou. Pojechał po naszych śladach, przebył tę samą drogę, co my, teraz zaś musiał widzieć nas lepiej niż ja jego, ponieważ było nas pięćdziesięciu w białych burnusach. Przypuszczałem, że mimo niebezpieczeństwa, wkrótce zdoła się ze mną lub nawet z nami wszystkimi porozumieć.

Dotarliśmy wreszcie do wąwozu, którego ściany były gładkie niby nożem ścięte. Ledwie przejechaliśmy pięćset kroków, gdy usłyszeliśmy zgiełk, świadczący o bliskości wojennego obozu Beduinów.

Wkrótce ujrzeliśmy namioty, między którymi poruszało się mnóstwo postaci. Tu i ówdzie leżało nagromadzone suche drewno, które w no miało oświetlać obóz. Setki osób biegły na spotkanie, witając swego zwycięzcę iście orientalnymi okrzykami radości. Za namiotami obozowali żołnierze, strzeżeni przez strażnika a jeszcze dalej spostrzegłem wielki tabun koni. W tym tłumie nie dojrzałem ani jednej kobiety. Był to zatem on wojenny. Żołnierze, leżący za namiotami, byli jeńcami z okrążonego szwadronu, który, jak się wkrótce dowiedziałem, poddał się Uled Ayarom. Byłem pewien, że wnet zobaczę kolorasiego Kalafa Ben Urik albo, jak i naprawdę nazywał, Tomasza Meltona, mordercę i szulera. Złościło mnie, że zobaczy swego wroga w niewoli, pocieszałem się jednak, że on również jest jeńcem. Lecz oto miała mnie spotkać nowa niespodzianka.

Nie mogłem pojąć, dlaczego Uled Ayarzy rozłożyli obóz w tak wąskim przesmyku. Wszak gdyby się nasze wojska rozbiły na dwa oddziały i natarły z obozu stron wąwozu, wówczas Uled Ayarzy znaleźliby się w potrzasku. Nie wiedziałem, że szybko dowiem się prawdy.

Łatwo sobie wyobrazić jakimi spojrzeniami, wyzwiskami i szyderstwami przywitano nas w obozie.

Największy namiot, ozdobiony półksiężycem oraz innymi godłami, opierał się o lewą ścianę wąwozu. Był to niewątpliwie namiot szejka. Do niego skierowało nas sześciu jeźdźców. Przy wejściu zsiadli z koni i odwiązali nas od wierzchowców. Przed namiotem siedział na kobiercu starzec z długą, siwą brodą, która mu nadawała czcigodny wygląd. Patrzył na nas uważnie. Ja również przyglądałem mu się wnikliwie. Spojrzenie jego miało wyraz szczerzy, choć surowy. Twarz tego człowieka mogła wzbudzić zaufanie, a nawet serdeczną sympatię. Sama postawa wojowników, okrążających go w odpowiedniej odległości, wskazywała na respekt i szacunek, jakim się cieszył w swoim plemienu. Pociągał od czasu do czasu z długiej fajki, którą trzymał w ręku.

Drab o małej twarzy zbliżył się do niego i wręczył mu naszą broń, a zdawszy półgłosem relację z wyprawy, oddalił się z pięcioma swymi towarzyszami i końmi. Wówczas zniecierpliwiony Krüger-bej podszedł do szejka i rzekł:

— Znamy się dobrze. Jesteś Mubir Ben Safa, naczelny szejek Uled Ayarów. Witam cię!

Szejk odpowiedział:

— Tak, znam ciebie, lecz nie witam. Kto są ci dwaj?

— Ten to Kara ben Nemzi z Belad el Alman, a tamten to Behluwan-bej z Belad el Ingeliza.

— Był przy tobie jeszcze jeden obcy z Belad el Amerika?

— Tak. Skąd wiesz? — zapytał zdumiony dowódca.

— Wiem wszystko, ale skąd, to nie twoja sprawa. Gdzie jest Amerykanin?

— Przy moich ludziach.

— Szkoda! Jest tu ktoś, kto by go chętnie zobaczył.

Myślał zapewne o Meltonie, który, jak przypuszczałem, znajdował się wśród jeńców.

W tej chwili przybiegł jakiś wysoki, chudy Beduin, do którego szejk zawołał:

— Czy już pogrzebany?

— Niezupełnie — odpowiedział Beduin. — Mogiła jeszcze nie zasypana. Przybiegłem tutaj, ponieważ słyszałem, że udał się mój fortel. Gdzie jest obcy z krainy Amerika?

— Nie ma go z nimi.

Gdy teraz przybysz zbliżył się do nas, Krüger-bej zawołał ze zdumieniem:

— Kalaf Ben Urik, mój kolorasi! Jesteś więc w niewoli?

— Nie, jestem wolny — odparł dumnie kolorasi.

— Wolny? W takim razie i ja będę wolny, ponieważ sądzę, że...

— Milcz! — przerwał zdrajca. — Nie spodziewaj się po mnie żadnej pomocy! Nie mam z tobą nic...

Urwał zdanie i cofnął się odruchowo o parę kroków, albowiem zobaczył i poznał mnie, lecz nie dowierzając własnym oczom, zapytał szybko szejka:

— Czy ten jeniec wymienił swoje nazwisko?

— Tak. Nazywa się Kara ben Nemzi z Belad el Alman.

— All devils!* A więc widziałem dobrze, aczkolwiek było to niewiarygodne! Old Shatterhand! Pan jest Old Shatterhandem?!

Uśmiechnąłem się dyskretnie i nie odpowiedziałem.

— Old Shatterhand! — mówił. — Czy podobna uwierzyć? A jednak...

Już wówczas mówiono, że Old Shatterhand bywał na Saharze. Człowieku, jeśli nie chcesz, abym cię uważał za tchórza, mów, odpowiadaj! Czy jest pan człowiekiem, którego potrójnie przeklęte imię przed chwilą wymieniłem?

Mówiąc to, położył mi rękę na ramieniu. Otrząsnąłem się i rzekłem:

* Niech to wszyscy diabli!

— Niech się pan zastanowi, Tomaszu Meltonie! Ilekroć Old Shatterhand wpadał na pański trop, nie dawało to panu powodów do radości.

— A więc jest pan Old Shatterhandem! I przybył pan tu wraz z Krüger-bejem, z tym starym zwariowanym niemieckim włóczęgą, aby nauczyć rozumu Uled Ayarów? No, cieszcie się teraz! Będzie wam tak dobrze, jak w raj. Czy nie myśli pan czasem o forcie Uintah?

— Bardzo często — odpowiedziałem z takim wyrazem twarzy, jak gdyby oznajmiono mi, że mam poślubić najpiękniejszą córkę Wielkiego Mongoła. — Jeśli się nie mylę, musiał pan z dosyć ważnych powodów uciec stamtąd.

— A myśli pan czasem o forcie Edwarda?

— Tak samo. Jak mi się zdaje, uchwyciłem tam pana nieco za czuprynę.

— Tak, gonił mnie pan przez lasy i prerie niby wściekłego psa, którego zabija się i grzebie jak najgłębiej. Może pan sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą pana oglądam, tak cudownie zjawiającego się w tym miejscu, i z jaką serdecznością pochwycę w objęcia. Powiadam panu, rozplynie się master w nieopisanym szczęściu. Jestem panu winien ogromną wdzięczność, większą niż mógłby pan przypuszczać. Czy może master sobie przypomnieć mego brata Harry'ego?

— Tak. Znam pańską miłą rodzinę dość dobrze...

— Oho, zobaczymy! A więc myśli pan czasem o hacjendzie del Arroyo?

— ...którą pański brat kazał spalić i splądrować?

— Tak.

— A także o Almaden?

— ...gdzie pojmałem pańskiego brata. Tak.

— Stracił dzięki panu cały majątek. Ukrył go w Almaden, a kiedy wrócił, nie znalazł po nim śladu. Jakiś przeklęty Indianin musiał skarb zwąchać w starym szybie.

— Myli się pan. Ja zabrałem pieniądze i rozdzieliłem pomiędzy biednych emigrantów, których brat pański unieszczęśliwił.

— Thunderstorm!* Czy to prawda? No, podziękuję panu, tak że wszystkie pańskie stawy będą trzeszczały! Bodajby to mój brat był tutaj! Jaką rozkosz czułby, widząc pana jako mojego jeńca. Pewnie sądził pan, że brat mój nie żyje?

— Sądziłem.

— Niech mnie pan nie rozśmiesza! Przekazał go pan Indianom tak samo, jak Uled Ayarzy wydadzą mi pana. Ale mój brat zdołał umknąć i czuje się zupełnie dobrze, co zapewne pana cieszy. Dodam, że musi master cieszyć się szybko, gdyż mało czasu zostało. Najpóźniej jutro rano wyciągnie pan kopyta.

— Phi! — roześmiałem się, aby go podrażnić, a tym samym wydobyć jakieś wiadomości o planach Ayarów.

— Nie śmiej się! — ostrzegł. — Mówię poważnie.

— A mimo to nie bardzo mi się chce wierzyć, że jestem w pańskiej mocy. Nie będzie panu łatwo wykonać pogróżki.

— Czy dlatego, że jest pan Old Shatterhandem i że się pana lękam?

— Bynajmniej, aczkolwiek nieraz dowiodłem, że Old Shatterhand w najgorszych okolicznościach i z bardziej niebezpiecznymi ludźmi umiał sobie radzić. W tym wypadku wyręczy mnie wojsko, z którym przybyłem.

— A ja panu powiadam, że umrze master, zanim tutaj nadejdą.

— W takim razie pomszczą moją śmierć, gdyż nie wątpię, że was pokonają.

Parsknął śmiechem i zawołał:

— Go za naiwność!

— Śmieje się pan? Nasi żołnierze będą was po dwóch pędzić do niewoli.

* Do stu piorunów!

— Oho! Znam trochę lepiej tych tchórzów. Opowiem panu, co nastąpi.

Mimo że osiągnąłem swój cel, przerwałem Meltonowi, aby go jeszcze bardziej podrażnić.

— Zachowaj to pan dla siebie! Wiem lepiej od pana. Byliście tak lekkomyślni, że zatrzymaliście się w tym wąwozie, który jest rzeczywistą pułapką. Jutro, najpóźniej w południe, przybędą nasze wojska i zamkną was w wąwozie, z którego już nie zdołacie się wydostać.

— Tak pan twierdzi? Nie przeczuwa pan zatem, że opowiadając mi to, postępuje niezwykle głupio? Przypuśćmy, że istotnie byliśmy tak nieroztropni i sami wleźliśmy w pułapkę, w takim razie pan zwrócił naszą uwagę na niebezpieczeństwo i dzięki panu postaramy się je zażegnać.

— Na Boga! — krzyknąłem z wyrazem twarzy człowieka, który spostrzegł, że strzelił gafę.

— Ach, widzę, że uświadamia master sobie, jaki jest naiwny. Ale niech się pan o nas nie martwi! Weszliśmy do wąwozu, ponieważ nikt nas tutaj nie odkryje. Możemy stąd strzelać, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo. Lecz jutro rano połowa naszych ludzi opuści to miejsce, podczas gdy druga połowa cofnie się w głąb wąwozu, aby nikt jej nie dostrzegł. Pierwsi ukryją się za górą. Potem przybędą wasze bitne wojska, wjadą do wąwozu i znajdą się w potrzasku, ponieważ reszta Uled Ayarów wpadnie na nich i wpędzi pod broń swoich braci. Nawet dziecko przyzna, że nie pozostanie wam nic innego, jak zdać się na naszą łaskę i niełaskę!

Wiedziałem już, czego się chciałem dowiedzieć. Udawałem jednakże, że przekonały mnie argumenty Meltona. Na twarz przywołałem zakłopotanie. Po chwili jednak rozjaśniłem oblicze i rzekłem:

— To obliczenie byłoby istotnie dobre, gdyby nasi żołnierze zechcieli wjechać do wąwozu.

— Wjadą, w tym już moja głowa. Pomyśleliśmy już o tym. Przewodnik, którego obdarzyliście tak wielkim zaufaniem, jest ze mną w zmowie. Przyproceedził was nad wodę. Rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem i poblizu waszego obozu i z mojego polecenia pozbawił wojsko wodza. On też zaprowadzi wasze oddziały do wąwozu.

— Do licha! Jest pan przecież oficerem i powinien trzymać z Krüger-bejem!

— Brednie! Zbyt długo گیاłem się przed nim i ubiegałem o jego łaski, teraz mam inne, poważniejsze zadanie i inne widoki na przyszłość. Wracam do Stanów Zjednoczonych i nie pomnę sposobności, aby zabrać ze sobą suto wypełnioną kiesę. Umyślnie dałem się okrażyć. Z całym rozmysłem prowadziłem moich żołnierzy do szejka Uled Ayarów. Przez wysłańca zwabiłem Krüger-beja i jego trzy szwadrony. Żołnierze należą do szejka. Niech ich sobie basza wykupi. Krüger-bej należy do mnie i zapłaci za wolność pokaźną kwotę. Ten zaś Anglik oraz Amerykanin, znajdujący się przy waszym wojsku, również nie poskapią sowitego okupu. Ale w pańskiej osobie przypadek przyniósł mi najcenniejszy połów. Niech pan nie myśli, że przyjmę od pana pieniądze, o nie! Musi pan umrzeć! I to jak umrzeć! Wszystko, co pan wyrządził złęgo mnie i memu bratu, skupi się teraz na panu. A czy pan wie, dlaczego o tym mówię?

— Nie. Nie mogę pojąć pańskiej wylewności.

— Mówię to wszystko, aby dowieść, że nie wątpię o powodzeniu. Nie ma dla pana ratunku.

— Ani też dla Anglika, Amerykanina i Krüger-beja.

— Dlaczego?

— Z chwilą, gdy dostanie pan za nich gotówkę lub weksle, zabije ich pan lub każe zabić, aby nie mogli ujawnić pańskiej zdrady.

— Patrzcie go, jaki mądrała! — szydził ze mnie. — Jak ja sobie z nimi będę poczynał, to pana nie powinno obchodzić, to rzecz ich i moja. Opłacą tylko koszta mego powrotu do Ameryki. Tam znajdę masę pieniędzy, o tym już pomyślano.

— Zapewne spadek — wyrwało mi się na poły bezwiednie, na poły świadomie.

Roześmiał się wesoło, nie podejrzewając, że wiem o wszystkim.

— Tak, spadek, szanowny panie. No, na teraz dosyć szczerości. Dowódca niech zostanie przy szejku. Pan oraz Anglik będą w moim namiocie, gdzie będę was strzegł tak troskliwie, że nie wyjdziecie z podziwu dla wytrzymałości moich rzemieni i sznurów. Tylko jeszcze słówko szejkowi! — mówiąc to zwrócił się do starca: — Krüger-bej chwilowo należy do ciebie. Strzeż go odpowiednio! Tych dwóch zabieram ze sobą, są moją własnością, tak samo jak Pan Zastępów, którego ci zostawiam, abys mógł z nim pomówić o warunkach wykupu żołnierzy.

Emery stał przy mnie i słyszał każde słowo tego opryszka. Zdrajca ujął nas za ręce i chciał z nami odejść. Lecz wówczas zatrzymał go szejka:

— Stój! Jeszcze ja mam coś do załatwienia z tobą.

Twarz szejka przybrała ponury, rzecz można, groźny wygląd. Przypuszczałem, że nie pozwoli Amerykaninowi wprowadzić nas, co było mi bardzo na rękę. O życie byłem spokojny, lecz należało sądzić, że gorzej nam będzie w namiocie Meltona niż u szejka. Pewny zaś byłem życia z dwóch przyczyn: nie wątpiłem, że ja i Emery zdołamy się jakoś wydostać z niewoli, ale na wet gdyby nam się nie powiodło, i mogłem wszak liczyć na pomoc Winnetou. Zdawało mi się po prostu, że zobaczę go natychmiast, skoro spojrzę do góry. Uczyniłem to i — rzeczywiście! Ledwie wzniosłem oczy, gdy u góry, nad kantonem pionowej ściany, podniosła się jakaś postać, uczyniła parę wyraźnych gestów i natychmiast znikła. Z tej odległości wyglądał jak karzełek, lecz ja poznałem go doskonale. To był na pewno Winnetou. Dawał mi znaki, że jego orle oko dojrzało nas z góry. Byłem zupełnie spokojny. Wiedziałem, że nie ulęknie się niebezpieczeństwa, byle nas uratować. Pozostanie na wzniesieniu, dopóki nie zobaczy, dokąd nas zaprowadzą.

— Tam na górze leży Winnetou i obserwuje — szepnąłem do Emery'ego. — Zejdzie do nas, kiedy się uciszy.

— W porządku — odpowiedział, nie podnosząc oka. — Fantastyczny chłop! Wyciągnie nas z kabały.

Tymczasem kolorasi zwrócił się z wyrazem zdziwienia do szejka i zapytał:

— Co masz mi do powiedzenia?

— To, czego nie wiesz, mianowicie, że znajdujesz się w obozie Uled Ayarów i że ja jestem wodzem tych wojowników.

— Wiem o tym.

— Dlaczego więc zachowujesz się tak, jak gdybyś ty był ich wodzem? Dlaczego rozporządzasz się naszymi jeńcami, jak gdyby byli twoimi?

— Bo są nimi!

— Nie! Zostali schwytani przez moich wojowników. Kto złapał ptaka, ten go posiada. Obaj ci mężowie zostaną przy mnie, tak samo jak i Pan Zastępów.

— Nie mogę do tego dopuścić!

— Nie pytam, czy dopuszczasz, czy nie! Tu liczy się tylko moja wola.

— Nie! W tym wypadku moja wola decyduje! — i wskazując na mnie, dodał: — Nie wiesz, jakie mam porachunki z tymi ludźmi. Ten oto jest zbiegłym przestępcą, który ma na sumieniu morderstwa, i wiele, wiele innych zbrodni. Usiłował zgładzić mnie i mego brata, co mu się na szczęście nie udało. Poprzysiągłem mu przeto krwawą zemstę. Skoro wpadł w moje ręce, należy do mnie, a nie do ciebie!

Zbliżyłem się do zdrajcy, nie mogąc jednak sięgnąć ręką, kopnąłem go tak silnie, że przewrócił się i upadł.

— Łotrze! — zawołałem. — Odwracasz prawdę. Ty sam jesteś uciekinierem i mordercą! To ja ciebie ściagałem, aby przekazać sprawiedliwości!

— Psie! — krzyknął, zrywając się i rzucając na mnie. Jak śmiesz kłamać!

W skoku otarł się o Emery'ego, który dał mu takiego kopniaka, że Melton runął ponownie i stracił przytomność. Cios był zadany z tak błyskawiczną szybkością, że nikt nie mógłby mu zapobiec. Zresztą, nie sądzę, aby ktokolwiek miał ku temu szczególne chęci.

Chciałem przemówić do szejka, lecz ruchem ręki nakazał milczenie i rzekł:

— Cicho! Uszy moje nie chcą słuchać, co twoje usta pragną powiedzieć. Niech was to zadowoli, że nie poniesiecie kary za pobicie tego człowieka. Możecie wnioskować, jakiego jestem o nim zdania. Nazwał cię zbiegiem i mordercą. Nie wyglądasz bynajmniej jak zbiegły przestępca, wierzę przy tym, że Pan Zastępów nie ścierpiałby takiego przy sobie, przy swoim wojsku. A poza tym przejrzałem na wylot kolorasiego. To morderca. Nawet dzisiaj zastrzelił człowieka, który był jego przyjacielem. Z wami to się nie zdarzy. Nie wydam was. Jesteście moimi, nie jego jeńcami.

— Czy mam ci opowiedzieć, dlaczego nastaje na moje życie?

— Teraz nie, ponieważ nie mam czasu. Oto, co się z wami stanie. Abyście nie mogli uciec, nakażę was dobrze strzec i każę rozłączyć, abyście nie mogli się porozumieć. Każdy będzie spał w innym namiocie. Tu przy mnie zostanie Pan Zastępów.

— Muszę ci jednak opowiedzieć kilka ważnych rzeczy, które dowiodą...

— Nie teraz, nie teraz! — przerwał. — Później, kiedy będzie pora na rozmowy, będziesz mógł ze mną mówić, ile twa dusza zapagnie.

Zawołał dwóch Beduinów i udzielił im po cichu wskazówek. Jeden odprowadził mnie do namiotu, spętał nogi, wbił głęboko w ziemię kołek i przywiązał doń sznurami. Po czym przed wejściem usiadł na straży.

Rozłąka z przyjaciółmi nie była mi na rękę, lecz nic na to nie mogłem poradzić.

Tymczasem coraz gęstszy zapadał zmrok. Po modlitwie wieczornej strażnik przyniósł mi kilka łyków wody. Jeść mi nie dawano. Trzeba nadmienić, że strażnik już wcześniej wypróżnił mi kieszenie.

Poprzez płótna namiotu widać było wiele płonących ognisk. Niebawem zgasły wszystkie, prócz jednego. Zgiełk życia obozowego zamilkł. Ułożono się do snu dość wcześnie, ponieważ nazajutrz, jeszcze przed świtem, część oddziału miała wyruszyć z wąwozu.

Mój strażnik co jakiś czas wchodził do namiotu, aby się przekonać, czy nie zamierzam się uwolnić.

Z gorliwością starałem się rozplatać więzy i wierzyłem, że w ciągu nocy zdołam oswobodzić ręce, po czym byłbym uratowany. Ale było to zbędne, gdyż około północy usłyszałem za namiotem lekki szelest. Panował głęboki mrok. Uświadomiłem sobie, że sprawcą szmeru może być tylko Winnetou. Wytężyłem słuch.

— Szerlieh, Szerlieh — tuż przy mnie odezwał się słaby szept.

— Jestem tu — odezwałem się również szeptem.

— Oczywiście związany?

— Związany i przymocowany do pała.

— Czy strażnik tutaj zagląda?

— Od czasu do czasu.

— Jakże was schwytano?

Opowiedziałem pobieżnie, wspomniałem o zdradzie kolorasiego i dodałem:

— Krüger-bej znajduje się w namiocie szejka. Co się tyczy Emery'ego, to wkrótce stwierdzimy, gdzie go umieszczono.

To już wiem, widziałem, jak go zaprowadzono do obozu po przeciwległej stronie.

— Rozetnij mi pęta! Musimy się śpieszyć, aby ich wyzwolić.

— Popsułoby to całą sprawę — rzekł Winnetou. — Uled Ayarzy nie powinni spostrzec waszego zniknięcia, gdyż to może naprowadzić ich na myśl, że nasze wojsko jest blisko, wobec czego natychmiast opuszczą wąwóz. Musicie zatem tutaj pozostać. Czy mój brat Old Shatterhand godzi się z moim zdaniem?

— Tak, ale musiałbym wiedzieć, że nasi żołnierze na pewno przybędą.

— Nie musisz wiedzieć, albowiem sam ich sprowadzisz.

— Wszak nie mogę stąd uciec! Strażnik zauważy moją nieobecność i uderzy na alarm.

— Nic nie zauważy, ja bowiem zastąpię mego brata.

— Ty? — zawołałem prawie głośno. — Jakaż to ofiara!?

— To nie ofiara! Wiesz, że ja nie znam języka żołnierzy. Jeśli do nich wrócę, nic nie zdołam zrobić. Jeżeli pójdziemy razem, zauważą to w obozie i udaremnią nasze plany. Jeśli zaś ja tutaj zostanę, a ty odejdziesz, zdołasz w ciągu nocy zamknąć ich w wąwozie jak w potrzasku. A to, że zostanę zamiast ciebie, nie grozi wszak żadnym niebezpieczeństwem.

Przyznałem mu słuszość. Może mi ktoś zarzuci, że zgodziłem się na zamianę, ale znaliśmy się bardzo dobrze i wiedzieliśmy, że możemy na sobie polegać.

— Dobrze — oświadczyłem. — Czy byłeś przy naszych ludziach od momentu, gdy nas schwytano?

— Nie miałem na to czasu. Musiałem przede wszystkim ciebie wyzwolić.

— Jakże do nich trafię, skoro nie wiem, gdzie ich szukać?

— Jeśli pojedziesz wprost na północ, z pewnością się na nich natkniesz. W każdym razie obozują tam, gdzie kończą się skały.

— Na południowym końcu warru? Tak też sądziłem. Mówisz o jeździe, masz na myśli swego konia?

— Tak. Wyjdziesz z wąwozu i przejdziesz tysiąc kroków na północ. Tam znajdziesz mego wierzchowca. Broń wisi u siodła. Mam przy sobie tylko nóż.

— Zachowaj go, aby mieć jakąś broń w potrzebie. Lecz co się stanie, gdy strażnik przemówi do ciebie!?! Wszak nie potrafisz odpowiedzieć.

— Będę chrapał, aby myślał, że śpię.

— Dobrze! Mam nadzieję, że wkrótce powrócę. Czy uprzedzić cię sygnałem?

— Tak. Trzema krzykami sępa.

— Doskonale. Rozwiąż mnie, po czym ja ciebie zwiążę tak, abyś w każdej chwili mógł uwolnić ręce.

Tak też zrobiliśmy. Pożegnałem Apacza i wylazłem z namiotu. Płótno było u dołu przymocowane sznurami do kołków; Winnetou rozluźnił dwa sznury i podniósł płótno o tyle, że mógł przepełznąć. W ten sam sposób wydostałem się z namiotu. Będąc już na wolności, z powrotem związałem sznury; strażnik nawet się nie zorientował.

Mówiąc ściśle, nie byłem jeszcze wolny, musiałem wszak przekraść się przez większą część obozu. Nów księżyc, niewidoczny w głębi wąwozu, spokojnie świecił na niebie. W jego świetle widziałem wyraźnie gromady śpiących Beduinów, skupionych w grupach, które łatwo było ominąć. Jak wąż pełzałem po ziemi i po upływie kwadransa minąłem ostatniego Uled Ayara. Wtedy podniosłem się i pomknąłem na północ.

Beduini, czując się bardzo bezpiecznie, nie postawili nawet posterunku u wyjścia wąwozu. Teraz biegłem ku wierzchowcowi Winnetou, którego spostrzegłem w odległości dwustu kroków. Dosiadłem rumaka i pojechałem, odzyskawszy wraz z bronią i wierzchowcem całkowitą pewnośc siebie.

Pędziłem wciąż na północ. Księżyc był w pierwszej kwadrze, lecz świecił tak mocno, że widać było wyraźnie wielką przestrzeń dokoła. Po godzinie dotarłem do pierwszych głazów, którymi zaczynał się warr. Trzeba było odszukać nasz obóz, zadanie niezbyt łatwe tutaj, między gęsto spiętrzonymi skałami. Wystrzeliłem ze srebrnej strzelby Winnetou raz, potem

drugi i po chwili odezwały się z zachodniej strony dwa strzały. Jadąc w ich kierunku, wkrótce natknąłem się na oddział żołnierzy.

W obozie przyjęto mnie z radością. Zapytałem natychmiast o przewodnika. Stawił się na wezwanie, nie okazując po sobie ani śladu strachu czy zakłopotania.

— Czy wiesz, jak nas schwytano? — zapytałem.

— Tak, panie. Byłem przy tym obecny.

— Jakim cudem ty jeden uniknąłeś naszego losu?

— Nie zsiadałem z konia, mogłem więc szybko uciec.

— Hm, tak. A potem co zrobiłeś?

— Zameldowałem o zdarzeniu.

— Następnie?

— Szukaliśmy was na pustyni.

— Dlaczego na pustyni?

— Należało przypuszczać, że Uled Ayarzy tutaj się z wami ukryją.

— Nie poszliście zatem po ich śladach?

— To było zbędne, ponieważ uczynił to już twój przyjaciel, Ben Asra.

— Ach, dlatego było zbędne! Jeśli ktoś jeden postępuje właściwie, to uważasz, że dla innych jest to zbędne? Przytaczasz szczególne powody. Ale w istocie właściwy powód jest inny. Gdzie byli Uled Ayarzy, zanim na nas napadli?

— Za skałami.

— Tam nas oczekiwali. Musieli zatem być poinformowani, że przyjedziemy, a mogli mieć te wiadomości tylko od kogoś, kto wiedział, że zaprowadzisz nas nad wodę. Kto o tym wiedział?

— Nikt.

— Tak, nikt prócz ciebie. A zatem ty byłeś tym osobnikiem.

— Ja? Allach, o Allach! Co za posądzenie! Czy nie dowiodłem swej wierności? Przecież to ja pojechałem do Tunisu, aby sprowadzić posiłki!

— Chcesz powiedzieć: aby Uled Ayarom napędzić więcej jeńców. Kim był ten jeździec, z którym wczoraj w nocy porozumiewałeś się w pobliżu obozu?

Nie spodziewał się takiego pytania. Po prostu oniemiał ze strachu.

— Odpowiadaj! — rozkazałem.

— Panie, na... na takie... na takie pytanie... nie mogę odpowiedzieć!

— Możesz! Kto to był?

— Z nikim nie rozmawiałem! Nie oddalałem się z obozu!

— Nie kłam! Rozmawiałeś z kolorasim Kalafem Ben Urik i wspólnie z nim ułożyłeś, jak wydać nas w ręce Uled Ayarów.

— Maszallah! Panie, powiedz, kto mnie tak oczernił, abym go z miejsca mógł zastrzelić!

— Nie mów o strzelaniu, ponieważ ty sam będziesz rozstrzelany. Na mocy praw wojennych zasłużyłeś na śmierć.

— Panie, jestem niewinny! Wiem...

— Milcz! Po naszym zniknięciu ty jako przewodnik kierowałeś poszukiwaniami i umyślnie sprowadziłeś je na manowce. Kolorasi sam opowiadał, że jest z tobą w zмовie.

— To łotr! To on...

— Dość! Jesteś zdrajcą i chciałbyś nas wszystkich zaprowadzić pod topór. Rozbroić łajdaka, i związać mocno! — zwróciłem się do żołnierzy. — Pan Zastępów jutro wyda na niego wyrok.

Żołnierze byli tak zdumieni oskarżeniem o zdradę podoficera, którego dotychczas obdarzano kompletnym zaufaniem, że zwlekali z wykonaniem rozkazu. Skorzystał z tego przewodnik, krzycząc:

— Wyrok? Prędzej ciebie dosięgnie i to niezwłocznie, przeklęty giaurze!

Wyciągnął nóż i usiłował zatopić w mojej piersi, aby później korzystając z popłochu uciec. Miałem pod ręką broń Winnetou, którą szybko odparowałem cios, po czym uchwyciłem zdrajcę; Wyślizgnął się jednak spod moich rąk i pomknął naprzód ku koniom. Obecni byli tak zaskoczeni, że nikomu nie wpadło na myśl go ścigać. Stałem również na miejscu ze strzelbą gotową do strzału.

Właściwie przewodnik nie obchodził mnie. Dla mnie mógł nawet zniknąć. Ale było rzeczą jasną, że ucieknie do Uled Ayarów, a temu za każdą cenę należało zapobiec. Bloki skalne zasłaniały konie. Ale gdyby dosiadł któregoś, górna część ciała wznosiłaby się ponad skałami. Na to właśnie liczyłem. Rozległo się parskanie konia, a po chwili tętent kopyt. Przewodnik dosiadł wierzchowca i spiął go ostrogami. Widziałem jego głowę i plecy, więc wycelowałem w prawe ramię; rozległ się krzyk i jeździec znikł za skałą.

— Strąciłem go z konia — rzekłem, odkładając strzelbę. — Sprowadźcie go tutaj.

Kilku żołnierzy pobiegło i po chwili przyniosło rannego przewodnika.

— Niechaj hekim* opatrzy ranę, po czym trzeba go będzie związać — rozkazałem. — Nie wolno go spuszczać z oka.

— Dlaczego związać? — zabrzmiał za mną czyjś głos. — Ten człowiek spisał się dzielnie i prowadził dobrze. Czy można zastrzelić człowieka jedynie na skutek posądzenia?

Było to powiedziane po angielsku. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem rzekomego Huntera. Przyszedł akurat w porę.

— Gani mnie pan? — zapytałem również po angielsku. — Nie ma pan prawa.

— Czy posiada pan dowody winy tego podoficera?

— Tak.

— Musi je pan przedstawić, aby oddać go pod sąd wojenny. W każdym razie nie miał pan prawa do niego strzelać.

— Wiem, co czynię. Za to, co zrobiłem i jeszcze zrobię, odpowiem przed Krüger-bejem. Cóż to, dlaczego pan tak gorąco ujmuje się za zdrajcą?

— Należy dopiero dowieść, że jest zdrajcą!

— To już dowiedzione. A pan broni go, nie będąc do tego upoważniony. Czy mógłby pan wskazać powód takiego postępowania?

— Czy muszę się przed panem usprawiedliwiać? Postępuję według własnego uznania!

— Takie jest pańskie zdanie, moje jednak jest nieco odmienne. Czy mam panu powiedzieć, dlaczego zawarłeś skrytą przyjaźń z tym człowiekiem?

— O, to będzie dla pana zbyt trudne!

— Niezwykle łatwe. Przewodnik jest ogniwem, łączącym pana z kolorasim Kalafem Ben Urik, którego pragnie pan uwolnić.

— Skoro jest tak, żałuję bardzo, że darzyłem pana zaufaniem i że w ogóle się panu zwierzałem.

— Powinien pan zatem jeszcze bardziej żałować, że zna, z czego mi się już inni zwierzyli, niejakiego Tomasza Meltona.

— To-masz Mel-ton! — wykrztusił pojedynczymi zgłoskami. Zbladł śmiertelnie.

— Tak. Nie przeczy pan chyba, że zna lub przynajmniej słyszał o tym człowieku?

Ponieważ zapytałem o Meltona, przeto sądził zapewne, że wiem coś więcej. Lecz nie mógł przypuszczać, abym znał całą prawdę.

— Wcale nie myślę przeczyć temu, że znałem to nazwisko. Lecz cóż to pana obchodzi?

— Bardzo mało, jak pan się wkrótce przekona. Czy wie pan, kim był Tomasz Melton?

— Tak. Westmanem.

— A nadto mordercą i szulerem.

— Być może. To mnie nie interesuje.

* Lekarz wojskowy

— Dziwi mnie to bardzo, przypuszczam, że słyszał pan o jego dziwnej przygodzie w forcie Uintah.

— A pan ją też zna? — zapytał, zdradzając się tym nieoględnym pytaniem.

— Trochę. Wówczas także grał fałszywie i został schwytany. W bójce zastrzelił oficera i dwóch żołnierzy. Czyż było inaczej?

— Być może — odpowiedział z udaną obojętnością.

— Potem ujawnił się w forcie Edwarda, jak pan zapewne wie?

— Dlaczego się pan pyta? Nie interesuje mnie ta sprawa.

— Ani mnie. Lecz wnet pańskie zainteresowanie spotęguje się, skoro zwierzę się panu z czegoś, co mi leży na sercu. Jeśli się nie mylę, zapędził go do fortu Edwarda pewien westman, który... który... Hm, hm, jak się on nazywał?

— Old Shatterhand.

— Tak, istotnie! Teraz sobie przypominam. Old Shatterhand. Był to Szkot czy Irlandczyk?

— Nie. Był to Niemiec, który we wszystkim maczał swe palce.

— Tak, wtrącał się do wszystkiego. Przypominam sobie jeszcze inne zdarzenia, w których Old Shatterhand dorzucił swoje trzy grosze. Czy Tomasz Melton miał brata, który nazywał się Harry i wyjechał do Meksyku, do Sonory, w celu nabycia posiadłości?

— Słyszałem o tym.

— Czyż to nie Old Shatterhand przepędził go stamtąd?

— Tak.

— A Tomasz Melton ma podobno syna, któremu na imię jest Jonatan?

— Do stu tysięcy diabłów! Jak pan do tego doszedł?

— Tak, jak się z nudów czegoś dochodzi. Jonatan Melton wyjechał jako towarzysz podróży do Europy, a następnie na Wschód.

— Skąd... skąd... skąd pan wie?

— Dowiedziałem się przypadkowo. Towarzyszył pewnemu Amerykaninowi, który... Hm, jak się nazywa? Czy nie wie pan przypadkiem?

— Nie.

— Nie? To mnie nadzwyczaj dziwi, gdyż dam sobie odciąć głowę, jeśli ten Amerykanin nie nazywał się zupełnie tak samo, jak pan, mianowicie Small Hunter. Czyż nie tak?

— Nie wiem. Zostaw mnie pan w spokoju z tymi pytaniami. Napawają mnie wstrętem.

— Ale nie mnie, gdyż sprawa jest, naprawdę wcale ciekawa. A czy wie pan, co w tym jest najdziwniejsze?

— Nie chcę wiedzieć.

— A jednak! Teraz bowiem zbliżamy się do sedna sprawy. A jest nim fakt, że ja sam odgrywałem wówczas pewną rolę i nawet wcale niepodrzedną. Nie nazywam się Jones, ale Old Shatterhand.

— Old Shat...

Z przerażenia wypowiedział tylko połowę nazwiska i skoczył jak rażony piorunem.

— Tak się nazywam. Wymienił pan moje nazwisko, kiedy powiedział, że we wszystkim maczam palce. Być może i dzisiaj sięgam nimi po pana i po pańskiego kolorasiego Kalafa Ben Urik.

Nie słyszał ostatniego zdania, powtarzając półprzytomnie:

— Old Shatterhand! Pan ma być tym człowiekiem? Niemożliwe!

Zapytaj się Emery'ego, który mnie dobrze zna i był ze mną na Dzikim Zachodzie. I zapytaj się Krüger-beja, który dobrze wie, że nazywają mnie Old Shatterhandem. Ponadto usłyszysz pan bardziej oszałamiając nowinę. Otóż drugi mój towarzysz nie jest bynajmniej Somalijczykiem i nie nazywa się Ben Asra, lecz jest słynnym wodzem Apaczów i nazywa się Winnetou.

— Win-ne-tou! — powtórzył z zapartym tchem. — Jest nim isto... istotnie?

— Jak ja jestem Old Shatterhandem. Jeśli pan coś o nas słyszał, to wie zapewne, że jesteśmy nierozłączni.

— Wiem! Lecz czego szukacie tu, w Tunisie?

— Szukamy Tomasza Meltona.

— Do stu piorunów! — zaklął.

— Byliśmy z początku w Egipcie, znaleźliśmy tam jednak, zamiast Tomasza, jego syna Jonatana, który wybierał się do Tunisu. Ponieważ sądziliśmy, że jedzie odwiedzić ojca, przeto pojechaliśmy z nim i...

— I... i co?

— I w istocie nie omyliliśmy się. Znaleźliśmy Tomasza Meltona w postaci pańskiego kochanego kolorasiego Kalafa Ben Urik. Przyrzekłem panu coś bardzo interesującego. Czy dotrzymałem słowa?

— Niech mi pan da spokój! Cóż mnie obchodzą ci ludzie!? Jestem Small Hunter i nie mam z panem nic wspólnego.

Chciał odejść, lecz zatrzymałem go i rzekłem:

— Proszę, niech pan poczeka jeszcze, sir! Wierzę panu, że nie chce mieć ze mną nic wspólnego, ale wypada zapytać, czyja podzielam to życzenie. W żadnym wypadku nie mogę pozwolić, aby pan odszedł. Wykluczone. Tak, mam nawet zamiar zatrzymać pana przy sobie za zgodą lub wbrew pańskiej woli. Zatrzymam pana do czasu, aż się nie rozmówię z pewnym młodym Amerykaninem, który przybył tutaj wraz z kolorasim, vel Meltonem.

— Nie znam go! Nic o nim nie wiem!

— Tak? A jednak jest to osobistość, którą powinien pan się żywo zainteresować. Nazywa się tak samo, jak pan, mianowicie Small Hunter.

— To niemożliwe!

— Nie, rzeczywiście? Widzi pan, nazwisko tego człowieka rzuca na pana posądzenie, że podszywa się pan pod osobę Smalla Huntera...

— Nie sądzi pan chyba...

— Sądzę, że jest pan prawdziwym, autentycznym Smallem Hunterem i zdoła złożyć na to dowody. Wiem o tym z całą pewnością.

— Skąd?

— Z pańskiego notesu.

— Notes? Co pan o nim wie? Nikt prócz mnie nie zaglądał do mego notesu.

— Myli się pan! Przeglądałem go. Nie tylko ja, Winnetou i mister Emery również. I przejrzę go ponownie w stosownej chwili. Tu jest. Właśnie tu. Sam mi go pan wręczy.

Mówiąc to stuknąłem Meltona w pierś. Cofnął się i krzyknął:

— Niech mnie pan nie dotyka! Nie ścierpię tego!

— O, ścierpi pan o wiele więcej. Baczność!

Zwróciłem się teraz, już nie po angielsku, do okrążających nas oficerów, którzy nie rozumieli naszej rozmowy, lecz z tonu wywnioskowali, że jej treść nie jest zbyt przyjemna dla Jonatana Meltona. Na mój znak schwytano go, powalono i związano. Wyjąłem Jonatanowi z kieszeni pugilares, zostawiając resztę rzeczy, po czym kazałem odprowadzić do jeńców Uled Ayunów, gdzie poleciłem, aby strzeżono go pilnie. Teraz już nie mógł wątpić, że przejrzałem wszystkie jego nieczne postęпки.

Byliśmy w sile trzech szwadronów kawalerii. Na czele każdego szwadronu stał kolorasi, porucznik i podporucznik. Z tymi dziewięcioma oficerami zrobiliśmy krótką naradę wojenną, przy czym zdałem im sprawę z sytuacji.

— Jeden szwadron, dowodzony przez swego kolorasiego, rozmieści się u wejścia do wąwozu. Drugim szwadronem ja będę dowodził; obsadzimy drugi wylot. Trzeci zaś będzie musiał wspiąć się na górę i zająć oba wierzchołki, aby w razie potrzeby razić ogniem z, góry. Ten szwadron zatem podzieli się na dwa oddziały: jeden pod dowództwem kolorasiego

zajmie prawą stronę góry, drugi, pod wodzą porucznika — lewą. W głębi wąwozu, gdzie będę z drugim szwadronem, znajdują się, jak już wspomniałem, konie oraz żołnierze ze szwadronu wziętego do niewoli. Strzegą ich strażnicy Uled Ayarów. Gdyby mi się powiodło od razu naszych uwolnić, mielibyśmy o stu ludzi więcej.

— Kiedy nastąpi atak? — zapytał któryś z oficerów.

— Właściwie wcale nie będzie ataku. Zadaniem pierwszego szwadronu jest jedynie odparcie wroga i to tylko w tym wypadku, gdy będzie usiłował wydostać się z wąwozu. Takie same zadanie ma drugi szwadron. Tylko ja z niewielkim oddziałem napadnę na straż Uled Ayarów i odbiję naszych żołnierzy. Oczywiście, nie obejdzie się przy tym bez krzyków i strzałów, ale nie należy tego uważać za bitwę i przystępować do poważniejszych, a przedwczesnych działań. Pragniemy nie tępić wrogów, lecz brać do niewoli. Strzeżcie się zatem przelewu krwi.

— Musimy więc określić moment, kiedy napadniecie na strażników.

— To prawda. Napadnę w chwili fagru, modlitwy porannej.

— To się nie da zrobić.

— Dlaczego?

— Ponieważ my także musimy się modlić, a podczas modlitwy nie możemy się zajmować wrogami.

— Możecie się modlić i działać. Zapominacie, a raczej nie wiecie, że Uled Ayarzy odmawiają modlitwę poranną według reguł sekty Hanofiego. Wy modlicie się z chwilą, gdy ukazuje się na wschodzie pierwszy promień brzasku. Według Hanofiego zaś fagr następuje nieco później, mianowicie kiedy staje się widoczny el Isfirar, „żółty blask”. Gdy Ayarzy rozpoczną modlitwę, wy będziecie już po niej i możecie pełnić swoją powinność. Skoro więc zaczną się modlić, wystąpię naprzód, by odbić jeńców. Wrogowie będą tak oszołomieni naszym przybyciem, przynajmniej w pierwszej chwili, że nie pomyślą o obronie. Wówczas uwolnimy szwadron i będziemy mogli ze spokojem oczekiwać dalszego biegu wydarzeń.

Wymieniwszy jeszcze kilka uwag, pojechaliśmy ku wąwozowi. Po upływie godziny stanęliśmy u celu i podzieliliśmy się na trzy oddziały. Pierwszy szwadron, wyprzedzony kilkoma pieszymi wywiadowcami, ruszył ku wejściu do wąwozu, drugi na prawo i lewo, ja zaś z ostatnim objechałem górę i dotarłem do południowego wylotu wąwozu. Tam zatrzymałem oddział i udałem się na zwiady.

Uled Ayarzy wykazali wprost nie pojętą bezmyślność. Nie rozstawili posterunków, bez przeszkód więc przeszedłem dwieście kroków w głąb wąwozu.

Dotychczas przy świetle księżyca, wszystko szło pomyślnie, ale teraz miesiąc opuścił się nisko i miał zająć już za pół godziny. To nie mogło pokrzyżować naszych planów, o ile bowiem nie widzieliśmy w mroku, o tyle też byliśmy niewidoczni.

Przyłożyłem dłoń do ust i wydałem trzykrotny krzyk sępa. Wpadł do wąwozu i bez wątpienia dotarł do Winnetou.

Teraz trzeba było tylko czekać do rana. Rozstawiłem parę posterunków w wąwozie. Reszta oddziału obozowała u wejścia. Zachowywano zgodnie z moim nakazem całkowity spokój. Było cicho jak makiem zasiał. Tylko chwilami rozlegało się parskanie koni. — Czas płynął wolno. Księżyc dawno już znikł i gwiazdy straciły blask, po czym niebo na wschodzie zabarwiło się słabą poświatą jutrzeńki.

— Panie, czy możemy się modlić? — zapytał kolorasi.

— Tak, ale bardzo cicho.

Żołnierze uklękli i zmówili poranną modlitwę. Tymczasem odbłask zorzy wzmagął się, aż przybrał żółty odcień, niewidoczny zresztą w głębi wąwozu. Mimo to rozległ się stamtąd głośny, nawołujący do modlitwy okrzyk:

— Wstawaj do modlitwy, wstawaj do błogosławieństwa; modlitwa jest lepsza od snu!

Szybko udałem się do wąwozu i szedłem, póki można było iść, nie narażając się na odkrycie. Wczoraj jeszcze spostrzegłem, że wąwóz biegnie bez krzywizn, prosto jak drut, mogłem go przeto prawie do końca obejrzeć.

W pobliżu stał cały tabun koni. Za nimi leżeli nasi żołnierze. Nie byli związani i strzegło ich tylko dwudziestu uzbrojonych Uled Ayarów. Dalej rozciągała się swobodna przestrzeń, a za nią dopiero właściwy obóz. Modlili się na klęczkach; wszyscy, nie wyłączając jeńców. Wróciłem do swoich i wybrałem trzydziestu żołnierzy.

— Musicie zachować całkowite milczenie — rzekłem. — Nie wolno rozmawiać. Im mniej będzie hałasu, tym większe zaskoczenie wrogów i tym łatwiej przeprowadzimy swój plan. Jest tam dwudziestu strażników. Nie strzelajcie do nich, powalcie kolbami. Potem wracajcie czym prędzej!

Wbiegliśmy do wąwozu. Na przemian rozbrzmiewał głos kierownika modlitwy bądź chór wiernych. Przeszliśmy obok koni i wpadliśmy z podniesionymi kolbami na strażników, którzy ujrawszy nas, zastygli w bezruchu z przerażenia. Cios padał za ciosem. Dwóch czy trzech wyrwało się i uciekło z krzykiem, pozostali leżeli powaleni.

— Wstawać, żołnierze! — zawołałem do jeńców. — Jesteście wolni! Spieszcie do koni. Na końcu wąwozu czekają wasi wybawcy.

Zerwali się z ziemi i pobiegli do koni. Każdy wskoczył na jednego, złapał drugiego albo nawet dwa za uzdę i po chwili deptania sobie po piętach wszyscy wydostali się z wąwozu, skąd odezwały się już głosy wściekłości i przestachu. Nikt teraz nie myślał o modlitwie. Każdy chwycił za broń i rzucał się z krzykiem w pościg za zbiegami. Lecz ci już znajdowali się na równinie. Ponieważ nie byli uzbrojeni, cofnęli się, ustępując nam z drogi. Tymczasem ja ze swoim szwadronem wystąpiłem naprzód. Obsadziliśmy wieloma rzędami całą szerokość wąwozu i wystrzeliliśmy ślepe naboje. Nacierający Beduini zatrzymali się. Ogarnął ich lęk tak wielki, że nie wiedzieli, co począć. Wreszcie rozległ się głos szejka. Przywrócił jako tako porządek, po czym Uled Ayarzy zaczęli się cofać ku przedniemu wyjściu. Tam także oraz z obu stron u góry powitano ich strzałami. Jeden ryk wściekłości czy rozpaczny zapełnił wąwóz — Beduini skupili się pośrodku. Wówczas wysłałem do nich porucznika, którego odpowiednio pouczyłem, co ma robić. Wywiesił białą chustę jako znak parlamentariusza. Kazałem przyprowadzić do mnie szejka, któremu przyrzekałem nietykalność. Żądałem w zamian, aby zakazał Uled Ayarom aż do swego powrotu wszelkich wrogich wystąpień.

Widziałem, jak parlamentariusz znikł w tłumie Beduinów. Trwało to co najmniej dziesięć minut, po czym tłum się rozstał, przepuścił naszego oficera i towarzyszącego mu szejka. Gdy szejk zbliżył się do mnie, wyszedłem przez grzeczność na spotkanie, złożyłem obie ręce na piersiach, ukłoniłem się i rzekłem:

— Bądź pozdrowiony, o szejku Uled Ayarów. Wczoraj, gdy byłem jeszcze jeńcem, nie chciałeś ze mną rozmawiać. Dlatego opuściłem twój obóz, aby teraz jako człowiek wolny prosić o rozmowę.

Odwzajemnił ukłon i powiedział:

— Witam cię! Przyrzekłeś mi wolność, czy dotrzymasz słowa?

— Tak. Będziesz mógł odejść, kiedy zechcesz, albowiem niosę ci pokój.

— Ale żądasz w zamian podatków.

— Nie.

— Nie? — zapytał zdziwiony. — Czy nie przybyliście tutaj w celu odebrania nam resztek naszych trzód?

— Przyrzekliście Mohammedowi es Sadok-baszy pogłównie, lecz nie wywiązaliście się z przyrzeczenia. On ma prawo siłą zabrać to, czego wzbraniacie się uiścić dobrowolnie. Musicie zatem zapłacić. Lecz ja nie jestem waszym wrogiem, ale przyjacielem, i chcę ci powiedzieć, w jaki sposób potrafisz spłacić haracz, nie pozbywając się ani jednego zwierzęcia z waszych stad.

— Allach jest wielki i miłosierny! Jeśli twoje słowa są prawdziwe, jesteś naszym bratem i przyjacielem, a nie wrogiem.

— Mówiłem prawdę. Bądź łaskaw usiąść przy mnie! Usłyszysz wówczas, co mam na myśli.

— Twoja mowa wonna jest jak balsam. Ziemia, po której stąpasz, niech nie odmówi pokoju moim starym kościom.

Rozesłano dwa kobierce do modlitwy. Szejk usiadł na jednym, ja na drugim. Beduin nigdy się nie śpieszy; Grzeczność wymagała, abyśmy przeczekali pauzę, podczas której ja wpatrywałem się w wąwóz, shejk zaś nie spuszczał ze mnie oka, po czym przemówił:

— Pan Zastępów opowiadał mi wczoraj o tobie, effendi. Dowiedziałem się, co przeżyłeś i czego dokonałeś, ale nie rzekł mi, że jesteś wielkim czarodziejem.

— Jak to?

— Wszak leżałeś związany w namiocie. Strażnik był w nim dwanaście razy i badał twoje więzy. Jeszcze niedługo przed modlitwą poranną przekonał się o twojej obecności. Teraz zaś siedzisz tutaj i rozmawiasz ze mną jako człowiek wolny.

— Możesz z tego wnioskować, że lepiej byś uczynił, gdybyś już wczoraj zechciał mnie wysłuchać. Czy strzały naszych żołnierzy trafiły kogoś?

— Nie.

— To dobrze! Dałem rozkaz strzelania do góry, lecz jeśli nasza rozmowa do niczego nie doprowadzi, to wówczas nie pożałujemy kul! Ale wierzę święcie, że nie zmusisz nas do pomnażania wdów i sierot wśród kobiet i dzieci Uled Ayarów. W jakich jesteś stosunkach z Uled Ayunami?

— Poprzysięgliśmy krwawą zemstę tym psom.

— Ilu ludzi wam zabili?

— Trzynastu. Niech Allach pogąrzy Uled Ayunów w piekło!

— Czy są od was bogatsi, czy biedniejsi?

— Bogatsi. Już dawniej mieli więcej od nas dobytku, cóż dopiero dzisiaj, gdy straciliśmy nasze stada, podczas gdy oni nie doznali żadnej szkody. Zwierzęta ich pasą się w Wadi Silliana, gdzie nigdy wody nie zabraknie.

— Jak się to stało, że z mówiłeś się z kolorasim Kalafem Ben Urik?

— Zaofiarował mi swoje usługi podczas okrążenia.

— Czy nie mógł się inaczej uratować?

— Jego żołnierze mieli lepszą broń, mogli się przebić i wielu z nas położyć trupem. Kolorasi wołał wejść ze mną w układy, a następnie się poddać. Miałem dostać wszystkich jego żołnierzy, a także tych, których obiecywał zwabić.

— Czego żądał w zamian?

— Wolności osobistej i osoby Pana Zastępów, od którego zamierzał wyłudzić wielki okup.

— Nie wyobrażasz sobie nawet, z jakim człowiekiem byłeś w zмовie!

— Teraz już wiem.

— Opowiem ci o nim później. Czas nagli, pragnąłbym również zawrzeć z tobą układ, lecz o wiele lepszy. Nie będzie w sprzeczności z twoimi przekonaniem, a jednocześnie osłoni cię przed zemstą baszy.

— Mówże! Słucham cię z największą uwagą, o effendi.

— Przede wszystkim pragnę ci powiedzieć, czego od ciebie żądam, a więc: wolności Pana Zastępów oraz wolności Anglika, którzy znajdują się jeszcze w waszym obozie. Następnie żądam wydania Kalafa Ben Urik, a wreszcie całkowitej kwoty podatku.

— Effendi, tego ostatniego muszę ci odmówić!

— Poczekaj tylko! Powiem zaraz, co od nas otrzymasz, jeśli się zgodzisz na nasze warunki. Otrzymasz mianowicie czternaście set wielbłądów lub ich równowartość.

Spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, potrząsnął głową i rzekł:

- Czy dobrze słyszałem? Proszę cię, powtórz swoje słowa!
- Chętnie! Otrzymasz czternaście set wielbłądziej lub ich równowartość.
- Ale za co?

— Wyjaśnię ci to dokładniej. Czy znajduje się w waszym gronie niewiasta, zwana Elatheh?

— Tak. Jest to ulubienica całego plemienia. Lecz Allah zasmucił ją oczami jej dziecka, które urodziło się ślepe. Aby ubłagać Allacha o rozjaśnienie oczu dzieciny, udała się z pewnym czcigodnym starcem w pielgrzymkę do miejsc świętych. Wkrótce już zapewne wróci.

— Ona jest przy nas. Po drodze wpadła w ręce Uled Ayunów, którzy zabili starca, ją zaś zakopali w ziemię aż po szyję.

— O Allah, o Allah! Znów zabójstwo! Czternaste! Jakaż to męka i jaka śmierć! Tyle krwi woła o pomstę do nieba! Te psy nie oszczędziły nawet kobiety w pielgrzymce. Aż po szyję zakopana w ziemi? Wszak sępy się zlatują i wydziobują oczy!

— I tak by się stało, lecz Allah zmiłował się nad niewiastą. Sprowadził mnie i wykopałem ją z ziemi. Potem jednak uczyniłem coś, co cię przepelni radością: wziąłem do niewoli Farada el Aswad.

— Farada el Aswad? Któż jeszcze się tak nazywa? Nie mówisz chyba o szejku Uled Ayunów!?

— Dlaczego nie?

— Gdyż byłaby to dla mnie największa radość, a wszak nie ma już dla mnie radości na tym świecie. A także dlatego, że tego szejka niełatwo wziąć do niewoli.

— Co byś z nim uczynił — zapytałem — gdybyś otrzymał go ode mnie w prezencie?

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Więc opowiedziałem pokrótce, jak pojмалиśmy szejka wraz z jego oddziałem nie wystrzelivszy ani jednego naboju.

— Wydam go tobie, wraz z pozostałymi towarzyszami, ale tylko na określonych warunkach.

— Spełnię je, spełnię! O Allah, o Mohammed! Dostaniemy w ręce czternastu Uled Ayunów, a pomiędzy nimi szejka! Nasycimy się zemstą. Muszą nam oddać życie! Krew ich popłynie...

— Stój! — przerwałem jego płomienną mowę. — Zabijać ich nie wolno. Tego żądam bezwarunkowo!

— Jak to? — zapytał zaskoczony. — Mamy pomścić czternaście zbrodni, dostaniemy czternastu śmiertelnych wrogów, a nie wolno nam ich zabić? To nie może być! Nic podobnego jeszcze się nie zdarzyło! Wszyscy mieszkańcy tego kraju będą z nas drwić i uważać za ludzi pozbawionych honoru, których można bezkarnie mordować i znieważać.

— Bynajmniej nikt tego o was nie powie, gdyż wszyscy się dowiedzą, że okupem zastąpiliście krew swoich wrogów.

— Effendi, jest to warunek, na który nie możemy się zgodzić.

— Nie? W takim razie nie wydam wam Uled Ayunów.

— Zapominasz, że w tym wypadku inne twoje życzenia nie zostaną spełnione.

— Nie zapominam. Ty natomiast zapomniłeś, że znajdujecie się w naszej mocy. Trzystu żołnierzy stoi u wylotów tego wąwozu, z którego nie zdołacie się wydostać. Stu żołnierzy czuwa ponadto na górze. Nie traficie do nich kulami, oni zaś sprzątną was swymi, jednego za drugim, bez żadnego wysiłku. Jeden mój znak, a runie na was ze wszystkich stron mordercza salwa. Wówczas co zrobicie?

Szejk przez chwilę spoglądał ponuro w ziemię, po czym odpowiedział:

— Tak. Byliśmy głupcami. Nie trzeba było obozować w wąwozie.

— O tak, chcieliście nas tu zwabić, sami dostaliście się w pułapkę. Nie mam zresztą czasu spierać się z tobą. Daję ci pięć minut do namysłu. Zapamiętaj sobie: żądam Anglika i Pana

Zastępów, a także naszej własność którą zrabowaliście. Następnie żądam wydania kolorasiego Kalafa Ben Urij W zamian wydam wam czternastu Uled Ayunów pod warunkiem, że zgodzicie się na okup krwi. Poza tym wypuszczę was z wąwozu i postaram się o dobre warunki pokoju z baszą. Jeszcze jedno. Ponieważ kobieta, która się nazywa Elatheh, jest ulubienicą waszego plemienia, przeto musi być wynagrodzona za doznaną krzywdę. Uled Ayuni zapłacą jej sto wielbłądzic.

— Effendi, wielka jest twa dobroć z rąk twoich spływa błogosławieństwo na każdego, kto ich dotknie! Piętnaście set wielbłądzic, to ilość niezwykła!

— Nie za wielka jednak, jak na Uled Ayunów, którzy są dosyć zamożni.

— Ale ta ofiara znacznie uszczupli ich dobytek!

— Tego właśnie pragnę. Oni tracą, wy zaś zyskacie.

— To prawda, ale właśnie dlatego wątpię, czy na to się zgodzą.

— Muszą, albowiem mają do wyboru okup lub śmierć. Nie ma zaś człowieka, który by nie oddał majątku za życie. Będę pośredniczył między nimi a wami i możesz być pewny, że nie niżę ceny.

— Przrzekną ci, ale nie wywiążą się z danego słowa.

— Jak możesz wątpić? Nie wypuścimy Uled Ayunów, dopóki nie otrzymamy całego okupu.

— Nie znasz tych ludzi! Będą zwlekać z zapłatą, aby zyskać na czasie. Tymczasem przygotowują się do walki, po czym napadną na nas i odbiją jeńców.

— Nie. Muszą sobie uświadomić pewną przegraną. Wszak jeńcy będą w waszych rękach i raczej zabijecie ich, niż pozwolicie odbić.

— To prawda!

— A poza tym rozważ następującą okoliczność. Dopomogę wam ściągnąć okup, abyście byli w stanie zapłacić haracz. Nie wycofamy stąd wojska, dopóki Uled Ayuni nie zapłacą diveh. Do tego czasu będziemy przy was, jako wasi goście i w potrzebie staniemy obok was. We własnym interesie nie dopuścimy do zwłoki. Nie będą tedy mieli Uled Ayuni czasu przygotować się do napadu. A jeśli okażą się tak głupi, że zechcą zaatakować, my was wesprzemy zbrojną siłą. Zostaną wytepieni co do nogi albo co najmniej poniosą tak wielkie straty, że przez długie lata nie zdobędą się na żaden wrogi napad.

— Effendi, to, co mówisz, daje mi pewność, że chcesz z nami uczciwie postąpić i że wszystko tak się ułoży, jak przypuszczasz.

— Godzisz się więc na warunki?

— Tak, ja się godzę. Ale znasz nasze obyczaje i wiesz, że nie mogę sam decydować o tak ważnej sprawie. Muszę zwołać dżemnę, radę starszych. A ty? Czy masz prawo do tak ważnych rozstrzygnięć? Jesteś cudzoziemcem, ta sprawa zaś wymaga wyroku baszy.

— Pan Zastępów wyręcza baszę. Co on uczyni, to basza zatwierdzi. Ja zaś jestem przekonany, że Krüger-bej nie odmówi zatwierdzenia moich żądań i warunków.

— Effendi, szanuję twoje słowa, ale wolałbym je usłyszeć z ust Pana Zastępów.

— Dobrze, usłyszysz. Przyślij Krüger-beja do mnie, abym mógł się z nim porozumieć.

— Czy nie wolałbyś pójść ze mną? Mógłbyś z nim pomówić, a następnie wyłożyłbyś rzecz całą dżemnie. Jeśli ty to wszystko opowiesz najstarszym plemienia, wywrzesz o wiele większe wrażenie.

— Gwarantujesz moje bezpieczeństwo?

— Tak samo, jak ty mnie.

— Mogę ci ufać?

— Jak sobie samemu! Przysięgam na brodę proroka, na moich bliskich, na zbawienie moich przodków, że będziesz wolny i będziesz mógł przyjść i odejść, kiedy zechcesz.

— Wierzę ci i mam nadzieję, że twoi wojownicy uszanują przysięgę wodza.

— Naturalnie, że uszanują.

— Jednakże może się znaleźć jeden lub kilku, którzy nie będą jej respektować. Zapowiadam więc, jeśli padnie z waszej strony jeden strzał lub jeśli ktoś z was podniesie na mnie rękę, w mgnieniu oka dam znak do ataku. Każda nasza salwa uderzy w was trzema setkami kul.

— To się nie zdarzy! — zapewniał. Mimo zapewnienia, wydałem w jego obecności odpowiednie rozkazy. Na dźwięk strzału szwadron mój miał rozpocząć ogień. Byłem pewny, że natychmiast przyłączyłyby się i inne oddziały. Wreszcie udałem się za szejkiem.

W obozie Uled Ayarów powitano mnie złowrogimi spojrzeniami. Szejk stanął tak, aby go wszyscy widzieli i zawołał:

— Słuchajcie, mężowie, co wam powiem. Obcy effendi, zwany Kara ben Nemzi, przynosi nam bogactwo, przynosi nam honor. Ofiaruje dary, z których będziecie się cieszyć jak jagniątko, gdy znajdują świeże pastwisko.

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. Złagodniały nieprzyjazne spojrzenia. Nastąpił powszechny gwar, ni to pytających, ni to odpowiadających Ayarów, lecz oto jakiś głos wybił się ponad inne:

— Stój! Nie pozwalam! Ten gjaur był naszym jeńcem i zbiegł z obozu. Kto śmie dawać mu wolność? Żądam, aby go natychmiast spętano!

Krzyżący przepchnął się przez tłum. Był to kolorasi, czyli Tomasz Melton. Twarz jego nabrzmiała, mieniła się kolorami tęczy, budziła odrazę. Był to skutek kopnięcia Emery'ego. Kolorasi zatrzymał się przed nami i rzekł, zwracając się do szejka:

— Mówiłem ci już, że ten człowiek do mnie należy!

— To, co mówisz, nie obchodzi mnie wcale! — odpowiedział szejk. — Effendi przyszedł tutaj pod moją pieczę.

Spodziewając się raptownego ciosu ze strony kolorasiego, trzymałem w pogotowiu srebrną strzelbę Winnetou, w taki jednak sposób, że nie zwracałem niczyjej uwagi.

— Pod twoją pieczę? — zapytał Melton wściekły. Jakże możesz brać w opiekę mego śmiertelnego wroga!?

— Przyniósł nam błogosławieństwo i szczęście. Zawrzemy pokój z baszą.

— Pokój? A gdzie ja jestem? Co się stanie z naszą umową?

— Nasza umowa nie ma już żadnego znaczenia. Widzisz, że jesteśmy ze wszystkich stron okrążeni. Mamy wybierać pomiędzy pokojem a śmiercią.

— Ach! A zatem, tchórze, błagacie o pokój!? I ten pies zamorski nie będzie mi wydany?

— Nie. Ja zagwarantowałem mu bezpieczeństwo.

— Broń go, jeśli potrafisz!

Błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż, który zaświecił tuż koło mojej piersi, lecz, zanim do niej dotarł, uderzyłem nędznika kolbą pod brodę tak, że aż głowa odskoczyła do tyłu, a on zakreśliwszy ciałem ogromny łuk, zwałił się na ziemię.

— Effendi, dzięki za to uderzenie! — rzekł szejk. — Uniknąłeś śmiertelnego ciosu, który godząc w ciebie splamiłby moje usta krzywoprzysięstwem i siwą głowę obarczył wieczną nie, zmytą hańbą. Czy żyje?

Z tym pytaniem zwrócił się do kilku Uled Ayarów, którzy nachylili się nad Meltonem.

— Nie porusza się, ale prawdopodobnie żyje — brzmiała odpowiedź.

— Zwiążcie mu ręce i nogi, aby po przebudzeniu nie ważył się na żadne wybryki! Ty zaś, bądź łaskaw wstąpić do mego namiotu, gdzie znajdziesz Pana Zastępów.

W namiocie ujrzałem dowódcę przywiązanego do pala.

— Pan tu?! — zawołał wielce ucieszony. — Sądziłem, że tak samo, jak ja, jest pan spętany.

— Jak pan widzi, jestem wolny i co więcej, zaraz uwolnię pana.

— Bogu dzięki! A zatem nie trzeba pana uważać za schwytanego do niewoli i spętanego?

— A jakże! Byłem tak samo, jak pan schwytany, lecz zdołałem się wymknąć.

Opowiedziałem w krótkich słowach o sytuacji, uprzednio jednak uwolniwszy go z więzów. Słuchał ze skupu uwagą, która się wzmogła, gdy zacząłem opowiadać o propozycjach uczynionych szejkowi. Ledwie skończyłem, krzyknął:

— Maszallah! Jakiż to rozumny człowiek z pana!

— Jak pan to rozumie? Czy pan się godzi czy nie?

— Tak. Oczywiście, że tak!

— To mnie cieszy. Byłem przekonany, że działam w duchu pańskich życzeń. Nie żąda pan zatem od Uled Ayarów nic ponadto?

— Nie, nie.

— Dobrze, więc wyjdźmy z namiotu. Tam zebrali się najstarsi plemienia i czekają na mnie. A może pan zechce do nich przemówić?

— Owszem. Wolałbym ze względu na moją rangę, albowiem jestem pełnomocnikiem baszy.

— Przyznaję panu słusność. Pan jesteś zastępcą baszy z Tunisu, a przeto wywrze pan głębsze wrażenie. Jeśli pan coś opuści, przypomnę panu.

Wyszliśmy z namiotu, przed którym najstarsi zasiedli kołem. Nie okazali śladu zdziwienia, że odwiązałem Pana Zastępów, i przepuścili Krüger-beja do środka. Kolorasiego, vel Meltona, oczywiście nie było wśród nas.

Uled Ayarzy w najwyższym napięciu oczekiwali rezultatu zebrania, od którego zależała wojna lub pokój, śmierć lub życie. Skupili się w pobliżu, nie przekraczając jednak przepisowego dystansu. Dżemma u Beduinów cieszy się najwyższym poważaniem i niejeden Europejczyk mógłby się nauczyć od tych prostych ludzi szacunku, jakim należy otaczać i czcić sędziwy wiek.

Oracja Pana Zastępów była majstersztykiem jak zawsze, kiedy nie posługiwał się mową macierzystą. Powtórzył wszystko, co przyrzekłem szejkowi, i chciał się wycofać z dżemmy, aby pozwolić Ayarom na swobodne obrady, lecz teraz podniósł się szejk i rzekł:

— Twoje słowa, o panie, były jak róże, których woń odmładza serca! Pragniesz odejść, abyśmy się mogli naradzać? Możesz pozostać! Po co radzić, kiedy to ani nie polepszy, ani nie pogorszy postawionych przez ciebie warunków. Godzę się z każdym twoim słowem i nawołuję do zgody swoich ludzi. Kto się sprzeciwia, niech wystąpi!

Nikt się nie poruszył.

— Kto zaś godzi się na propozycję Pana Zastępów, niech wstanie!

Wszyscy się podnieśli.

Wówczas szejk stanął na wysokim kamieniu i widoczny dla wszystkich Uled Ayarów, oznajmił donośnym głosem, do jakiej zgody doszło i jak ma być przypieczętowana. Odpowiedzią na jego słowa była głośna radość. Szejk podszedł do mnie, uścisnął mi rękę i oświadczył, że tylko mnie zawdzięcza tak pomyślne zakończenie niebezpiecznego sporu. Wówczas wszyscy pozostali członkowie dżemmy poszli za jego przykładem, a i nimi również inni Beduini. Musiałem ścisnąć setki rąk. Twarze, dotychczas wrogie, spoglądały na mnie z życzliwością.

Przede wszystkim trzeba było uwolnić Emery'ego. Poczciwy Anglik usłyszał zgiełk i zrozumiał, że coś się ważnego zdarzyło. Nigdy jednak nie przypuszczałby, że pokój został zawarty i czeka go już wolność. Tym większą czuł radość i podziw, gdy wszedłem do namiotu i rozciąłem mu więzy.

Był to pierwszy skutek pokoju. Drugim było odzyskanie broni oraz innych zabranych nam rzeczy.

Następnie kazałem się zaprowadzić do kolorasiego. Leżał w namiocie skrupowany w ten sam sposób, co my poprzednio. Kiedy wchodziłem, miał otwarte oczy. Lecz przymknął je natychmiast i aby uniknąć mego szyderstwa, symulował omdlenie. Przekonawszy się, że jest mocno związany, odszedłem.

Umówiliśmy się, że Uled Ayarzy opuszczą wąwóz i rozbiją obóz na równinie. Należało wymarsz poprzedzić formalnym zawarciem pokoju, a więc odśpiewaniem świętej Fathhy oraz innych modłów. Przy tej ceremonii wystarczała obecność Krüger-beja i Emery'ego. Ja natomiast wolałem uniknąć przynudnawej uroczystości i udałem się do naszych żołnierzy, aby powiadomić ich, co zaszło.

Konno przejechałem przez wąwóz, pośród gromady niedawnych wrogów, ku północnemu wyjściu, gdzie miał postój pierwszy szwadron. Żołnierze zdziwili się bardzo, widząc, że nadjeżdżam wprost od strony wroga. Oczywiście, z radością przyjęli wiadomość o pokoju. Nie wątpili wprawdzie o naszym zwycięstwie, ale wiedzieli, że niepodobieństwem było wywalczyć go bez ofiar.

Jak już rzekłem, spodziewałem się zastać tutaj Winnetou. Nie omyliłem się. Jeszcze zanim zdążyłem otworzyć usta, wyszedł na spotkanie i zapytał:

— Mój brat zawarł pokój z Uled Ayarami?

— Tak. Poszło nam tak wyśmienicie, jak tylko można sobie wyobrazić. Zwycięstwo nie kosztowało ani kropli krwi, co zawdzięczam tylko tobie, najlepszemu z przyjaciół i braci. Narząłeś się bardzo, zastępując mnie w niewoli.

— Winnetou nie zasłużył na podziękowanie, albowiem ty będąc na moim miejscu, zrobiłbyś to samo. Nadto nie wystawiałem się na niebezpieczeństwo, bo związałeś mnie luźno i mogłem w każdej chwili uciec. Co się stało ze zbrodniarzem i zdrajcą, Tomaszem Meltonem?

— Leży związany w namiocie. Uled Ayarzy opuszczą wąwóz i rozłożą się obozem na równinie. Będziemy obozowali w pobliżu, skupiwszy uprzednio oddziały w jednym miejscu.

Kolorasi szwadronu wysłał gońca i już po upływie pół godziny cała nasza jazda zebrała się u północnego wylotu wąwozu. Wkrótce potem szwadron Meltona odzyskał swoją broń i konie.

Była czwarta według Arabów, dziesiąta przed południem według naszego czasu, kiedy ceremonie zostały zakończone. Uled Ayarzy z szejkiem, Krüger-bejem i Emery'm na czele wyjechali z wąwozu i zostali przez oddział naszej jazdy przywitani trzykrotną salwą. Odpowiedzieli wystrzałami, nieregularnie, każdy po swojemu, jak to jest w zwyczaju. Emery zaopiekował się kolorasim, vel Meltonem, który nie mogąc nadal udawać omdlałego, przybrał teraz odmienną maskę. Wyglądał straszliwie. Do skutków kopnięcia Emery'ego dołączyły się następstwa mego uderzenia, które wprawdzie nie rozbiło mu szczęki, ale wybiło kilka zębów. Dolna szczęka była jeszcze bardziej napuchnięta niż poprzednio górna. Tak samo język musiał ucierpieć, gdyż kolorasi wypowiadał się z trudem. Przyprawiono go do mnie i wydano formalnie, zgodnie z warunkami pokoju. Szejk wypowiedział przy tym kilka krótkich zdań. Skoro Melton je usłyszał, wybuchnął gniewnie:

— Co? Wydajesz mnie temu człowiekowi?

— Muszę — odparł Beduin. — Był to warunek pokoju.

— Wszak przyrzekłeś mi wolność! Podałem się pod warunkiem, że zwrócisz mi wolność osobistą. A zatem tak dotrzymujesz słowa? Jesteś bezwstydnym kłamcą, zdrajcą bez czci, który sojuszników wynagradza niewdzięcznością.

Właściwie miał słuszość. Zdawało się, że sam szejk mu ją przyznaje, gdyż obelgę puścił mimo uszu. Później dowiedziałem się, niestety, że miał ku temu inne powody. Zresztą nawet gdyby chciał, nie mógłby odpowiedzieć Meltonowi, ponieważ Krüger-bej zagłuszył kolorasiego, krzycząc wściekle:

— Ty śmiesz tak mówić, łotrze? Śmiesz mówić o kłamstwie bezwstydnym i zdradzie? Kto jest kłamcą, kto zdrajcą? Zarzucasz szejkowi, że jako sojusznik niesłusznie z tobą postępuje? A kim ja byłem dla ciebie? Może sojusznikiem? Byłem twoim opiekunem, twoim obrońcą, twoim przyjacielem. Obchodziłem się z tobą niczym ojciec. I jakże mi odpłaciłeś? Zwabiłeś z Tunisu aż tutaj, aby mnie pojmano do niewoli, co się istotnie zdarzyło.

— To kłamstwo! — bronił się kolorasi beczelnie.

— Psie! Na domiar kłamstwo mi zarzucasz!

— Nie tobie, lecz temu, kto ci podszeptał te słowa.

— Masz na myśli mego przyjaciela, Kara ben Nemzi? Nazywasz go kłamcą? Słuchaj ty synu, wnuku i prawnuku przodków, którzy pospołu tkwią w piekle, tak samo jak ty się tam będziesz smażył, tej beczelności po prostu pojąć nie mogę! Twoja dusza pławi się w kłamstwie. Jakże mógł Allah dopuścić, abym bronił takiego człowieka? Każę cię powiesić! Precz z tym Judaszem!

— Stój! — zawołałem. — Skoro go uważasz za swego jeńca, muszę ci powiedzieć, że mam do niego wcześniejsze prawa.

— Nie większe jednak niż ja.

— Być może, ale muszę jeszcze załatwić z nim ważne porachunki!

— Nie przeszkadzam.

— Dobrze! W takim razie proszę cię abyś go kazał związać i strzec, jak oka w głowie.

— Nie obawiaj się! Ten pies ni ucieknie. Możesz na mnie polegać Zwiążcie go mocno i przymocujcie do pala!

Stary Sallam poszedł wykonać rozkaz. Wówczas odezwał się szejk Mubir Ben Safa do Krüger-beja:

— Panie, słusznie nazwałeś go zdrajcą. Tym właśnie mianem określiłem go poprzednio.

— Czy i ty miałeś powody? A może również z tobą postąpił nieuczciwie?

— Ja nie dałem się oszukać, aczkolwiek nie przeczę, że mogłoby to stać w przyszłości. Ciebie zdradził, wydając w moje ręce. Byłeś moim wrogiem, przyjechałeś, aby nas ujarzmić, jakże więc mogłem odrzucić niecną propozycję? Lecz wielkie korzyści nie zdołały mi przysłonić prawdy, że kolorasi to zdrajca godzien jest najwyższej pogardy, Przecież z kimś innym obszedł się o wiele gorzej niż z tobą, o panie.

— Z kim?

— Ze swym towarzyszem.

Teraz wtrąciłem pytanie:

— O niego właśnie chciałem spytać. Znam go i obawiam się, że nieszczęsna podróż do Tunisu fatalnie się na nim odbiła. Gdzie się właściwie znajduje?

— Tam, w wąwozie.

— W wąwozie? O niebios! Nie ma tam żywej duszy! A więc nie żyje?

— Nie żyje.

— Zamordowany?!

— Przypuszczam.

— Przez kolorasiego?

— Naturalnie!

— Jak się nazywał?

— Właściwego nazwiska nie znam. Kolorasi nazywał go swym przyjacielem. Zawsze się do niego zwracał „mój przyjacielu”.

— Ale wy musieliście go jakoś nazywać!

— Owszem. Jak ci wiadomo, panuje u nas zwyczaj nadawania obcym, których nie znamy albo których nazwiska są trudne do wymówienia, miana, określającego ich cechę wyróżniającą. Tego zatem młodego cudzoziemca nazywaliśmy Abu tnasz Ssabi*.

— Z jakiej racji? Czyż miał dwanaście palców u nóg, co się czasem zdarza?

— Tak. Jak wam wiadomo, okrążyliśmy żołnierzy w ruinach, niedaleko źródła, biorąc w niewolę wszystkich, oprócz kolorasiego i jego przyjaciela. Otóż, gdy ten młody człowiek udał

* Ojciec Dwunastu Palców u Nóg

się do źródła, aby się napić, a następnie umyć twarz, ręce i nogi, jeden z naszych ludzi spostrzegł, że ma po sześć palców u każdej nogi.

— Jest to rzecz ogromnej wagi! Opowiem wam teraz, o czym mój przyjaciel, Pan Zastępów, jeszcze nie wie, że przybyłem tutaj w tym jedynie celu, aby uratować Ojca Dwunastu Palców.

— Jak to? — zapytał Krüger-bej. — Wiedziałeś, że mają go zamordować?

— Przypuszczałem. Był to zbrodniczy zamysł, szczególnie wyrafinowany i osobliwy. Posłuchajcie!

Wyłożyłem im całą rzecz. Skoro skończyłem, krzyknął Pan Zastępów:

— Co za przestępstwo, jakie wyrachowanie, jakaś podłość! Gdybyś to wcześniej opowiedział, pośpieszylibyśmy i przybyli tutaj na czas, aby zapobiec zabójstwu Ojca Dwunastu Palców!

— Spieszyliśmy co sił i nie mogliśmy wcześniej przyjechać. A nawet gdybyśmy przybyli o dzień wcześniej, to jeszcze nie zapobiegłoby śmierci biednego Smalla Huntera.

— Twierdzą jednakże, że powinieneś być mnie poinformować.

— Ależ nie! Skoro bym cię wtajemniczył w tę sprawę, musiałbym powiedzieć, że kolorasi jest przestępcą, zbiegłym zbrodniarzem. Prawda?

— Rozumie się.

— A on był twoim ulubieńcem. Czy przypominasz sobie naszą rozmowę w Bardo? Napomknąłem coś niecoś, lecz pierwsze moje nieprzychylnie słowo rozgniewało cię ogromnie. Przerwałeś mi i z miejsca skłoniłeś do milczenia.

— A jednak nie trzeba było milczeć! Jesteś moim przyjacielem. Wysłuchałbym cię w końcu.

— O nie, jeśli już błahą wzmianką byłeś tak bardzo rozjątrzony! Bo nawet gdybyś mnie wysłuchał, nie uwierzyłybyś i nie stracił zaufania do kolorasiego. Wręcz przeciwnie, twierdzą, że usiłowałbyś udaremnić moje plany.

Zwiesił głowę, milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— Sprawiedliwość każe mi przyznać, że mógłbym ci jedynie zaszkodzić. Przyznaję nawet, że wziąłbym nędznika w obronę.

— A zatem nie obarczasz mego sumienia?

— Nie! Nie pominąłeś nic, co mogłoby zapobiec zbrodni.

— Dziękuję ci! A teraz, szejku, opowiedz, co wiesz o śmierci Ojca Dwunastu Palców. Czy kolorasi źle się z nim obchodził?

— Przeciwnie, otaczał go przyjaźnią. Oczywiście, była to przyjaźń z wyrachowania, która miała uspić czujność nieszczęśliwego. W dniu przed waszym przybyciem, a było to po modlitwie wieczornej, przechadzali się na odludnym odcinku między jeńcami a końmi. Wkrótce usłyszeliśmy — wystrzał, niegłośny, słaby, jak strzał z tych małych pistoletów, które się obracają i raz nabite, strzelają sześcioma kulami. Zaraz potem kolorasi wrócił i doniósł nam, że przyjaciel jego się zastrzelił.

— Czy podał pobudki samobójstwa?

— Tak. Powiedział, że desperat zabił się z melancholii, z przygnębienia, ze wstrętu do życia.

— Co wtedy zrobiliście?

— Kazałem zapalić pochodnię z włókna palmowego, a potem udaliśmy się do samobójcy.

— Czy już nie żył? Czy się osobiście przekonałeś?

— Nie, albowiem według naszej wiary, kto dotyka trupa, staje się nieczysty. Gdyby nieboszczyk był kimś z nas, byłaby inna sprawa. Ale skoro był to obcy, więc niby dlaczego mieliśmy kalać ręce?

— Hm. Pogrzebano go?

— Tak. Pogrzebał go kolorasi.

— Nikt mu nie pomógł?

— Nikt, a to z obawy przed skalaniem. Zresztą, nie prosił nikogo o pomoc.

— Kiedy to się stało?

— Wczoraj. Gdy was przyprowadzono do mnie, przybiegł również kolorasi. Przerwał pracę, aby was zobaczyć i dokończył ją, skoro was odprowadzono do namiotów.

— Czy widziałeś ranę?

— Tak. Śmiercionośny metal przeniknął do serca. Czy uważasz te szczegóły za ważne, że się tak wypytujesz?

— Za nader ważne. Muszę natychmiast zbadać mogiłę i proszę, abyś mi towarzyszył.

Był gotów spełnić moje życzenie, przedtem jednak nakazał rozbić obóz. Towarzyszyli nam również Krüger-bej, Winnetou i Emery. Po drodze zagadnąłem szejka:

— Z twoich słów wynikało, że nie wierzysz w samobójstwo Ojca Dwunastu Palców?

— W każdym razie mam poważne wątpliwości, wydaje mi się bowiem wprost niemożliwe, aby obcy zabił się, straciwszy chęć do życia. A poza tym kolorasi jest gotów na wszystko, po prostu strzegł swego przyjaciela, niczym jeńca...

Rozmawiając tak, przeszliśmy większą część wąwozu. Po chwili szejka doprowadził nas do mogiły. Nie była w mogiła we właściwym tego słowa znaczeniu. Ciało nie spoczęło w dole, zostało tylko przywalone kupą kamieni. Melton ułatwił sobie pracę: Grobowiec nie był wysoki — usunęliśmy kamienie w kilka minut, odsłaniając nieboszczyka. Widok jego wywarł wrażenie, jakiego się spodziewałem!

— O nieba! — zawołał Emery. — Co za podobieństwo!

— Uff! — krzyknął Winnetou, nie dodając ani słowa.

— Maszallah, cud Boży! — wyrwało się Panu Zastępów. Wszak to jest człowiek, z którym przybyłem z Tunisu!

— Znajdujesz, że podobieństwo jest wielkie?

— Tak wielkie, że przechodzi wszelkie wyobrażenie.

— To właśnie było powodem zbrodni. Przeszukajmy dokładnie odzież.

Widziałem już wiele trupów, ten jednak sprawiał szczególne wrażenie i to nie przez okoliczność śmierci, a wskutek niezwykłego wyrazu twarzy. Uśmiechał się z taką pogodą, z taką rzec można, radością, jak gdyby spał tylko i miał błogi sen.

W kieszeniach ubrania nic nie znalazłem. Naraz zauważyłem, że lewa ręka jest przewiązana.

— Cóż to jest? — zapytałem szejka. — Może wiesz, dlaczego ma lewą rękę przewiązaną?

— Naturalnie, że wiem. Został zraniony w rękę. Okrążyliśmy waszych jeńców tak szybko i tak doskonale, a kolorasi tak mało myślał o obronie, że z naszej strony padł tylko jeden strzał. I ten jeden trafił cudzoziemca, który nie był naszym wrogiem, tylko został tutaj zwabiony. Kula urwała mu kostkę kciuka i trzeba było następnie odciąć ją w całości.

— Ach! Muszę zobaczyć! Zdjąłem opatrunek, który stanowił kawał chusty do nakrycia głowy, i przekonałem się, że kciuk jest bez końca. Wówczas podszedł Winnetou, obejrzał ranę i rzekł:

— Niech mój brat odsłoni serce! Usłuchałem. Kula przebiła klatkę piersiową akurat w tym miejscu, gdzie uderza serce. Sprawna i dobra robota! Rana była tak czysta, jak gdyby ją przemyto. Podobnie na odzieży nie widać było ani jednej plamki.

Winnetou przyłożył palec do rany, nacisnął parę razy i rzekł:

— Czy mój brat pozwoli mi zbadać kulę i jej bieg?

— Naturalnie!

Podszedł bliżej do trupa. Wyciągnął nóż i wziął się do tej smutnej roboty, przed którą się wprawdzie wzdrygałem, lecz której bym nie omieszkał sam wykonać. Wiedziałem, o co mu chodzi. Miałem te same myśli. Zachodził tu rzekomo wypadek samobójstwa. Ponieważ

samobójstwo mogło jednak być wykonane tylko prawą ręką, gdyż lewa była obezwładniona, przeto znając bieg kuli, moglibyśmy wiedzieć, czy istotnie wystrzał padł z prawej ręki.

Winnetou był doświadczonym i niezwykle zręcznym chirurgiem. Operował swoim długim, mocnym bow (nożem) tak delikatnie, tak przezornie, że nie wykonałby tego lepiej lekarz z długoletnią praktyką przy pomocy najprecyzyjniejszych instrumentów. Ale też postępował bardzo powoli i dopiero po upływie pół godziny doszukaliśmy się kuli. Tkwiła z tyłu, przy prawym ostatnim żebrze. Ten nieco na dół biegnący strzał nie mógł zatem być oddany z prawej ręki. Apacz podniósł się, wyciągnął dłoń, na której leżała kula, i rzekł tylko jedno słowo:

— Mord.

— Tak jest — potwierdził Emery. — Tu nie zachodzi wypadek samobójstwa. Taki kierunek kuli mógł ty nadany wyłącznie z lewej ręki, a tą Small Hunter nie władał.

A więc Melton jest zabójcą! — rzekłem. Pomyślałem to sobie od razu i nie tylko ja, lecz również wy wszyscy. Teraz oczekuje nas smutna praca. Wzdrygam się przed nią, ale nie możemy jej zaniechać. Musimy bezwarunkowo ustalić tożsamość zabitego. Musimy go rozzuć i obejrzeć stopy.

Istotnie, okazało się, że nieboszczyk miał u każdej nogi po sześć palców, mianowicie, zamiast jednego, dwa małe o normalnym kształcie, tylko że jednemu brak było paznokcia. Poza tym nie znaleźliśmy na ciele żadnych znaków szczególnych.

Spełniliśmy więc obowiązek ze strony, że tak powiem, kryminalnej. Teraz należało pogrzebać zamordowanej co też uczyniliśmy z większą troskliwością niż morderca.

Szejk nalegał, abyśmy się oczyścili. Oczyszczenie odbyło się w ten sposób, że umyliśmy twarz i ręce piaskiem, szejk odmówił krótką modlitwę.

Następnie rzekł:

— A teraz jesteście znowu czysti i nikt nie będzie się brzydził waszym dotknięciem. Chodźmy do obozu!

— Poczekaj! — prosiłem; — Miejsce i grób należy do terenów Uled Ayarów, których jesteś naczelnym szejkiem. Czy możesz mi przyrzec, że to miejsce będzie przez was uszanowane?

— Przysięgam na Allacha i jego proroka. Lecz dlaczego kłopotujesz się o grób obcego ci człowieka?

— Bardzo możliwe, że trzeba będzie go jeszcze odkopać. Zapamiętaliście sobie to wszystko, coście tutaj widzieli?

— Tak.

— Musimy sporządzić o tym wypadku pismo, które w Ameryce będzie miało moc prawną. Ty jako szejk plemienia, władającego tym terenem, musisz je poświadczyć, my zaś podpiszemy jako świadkowie. Jeśli nadto Pan Zastępów położy swój podpis, wówczas będzie zrobione wszystko, co w tych okolicznościach jest możliwe. Lecz teraz proszę cię, Mubir Ben Safa, o odpowiedź na bardzo ważne pytanie: gdzie się podziały rzeczy tego zabitego?

— Koń jego znajduje się w naszym tabunie, broń zabrał kolorasi. Zresztą, kazałem mu ją odebrać. Mogę wam ją pokazać, a nawet darować.

— A reszta rzeczy? Nieboszczyk posiadał jeszcze wiele innych przedmiotów, a więc pierścionki, zegarek, rozmaite przybory potrzebne w podróży, a przede wszystkim dowody osobiste. Tego nie widzę przy trupie. Zapewne zabrał je kolorasi?

— Nic o tym nie wiem.

— Nie? — zapytałem zdumiony. — Wszak powinieneś wiedzieć. Czy odebrałeś od kolorasiego wszystko, co miał przy sobie?

— Zabrałem jego broń, albowiem jest uwięziony i nie powinien jej posiadać, ale nie zaglądałem Kalafowi do kieszeni. Zabroniłem nawet zabrać mu cokolwiek.

— Dlaczego?

— Na mocy umowy, zawartej między nami przy kapitulacji, musiałem kolorasiemu przyrzec, że uszanuję jego własność.

— A zatem ma jeszcze przy sobie rzeczy nieboszczyka?

— Na pewno, gdyż jestem przekonany, że nikt z moich wojowników nie śmiał go ograbić.

— Dobrze, zobaczymy. Chodźmy więc!

— Tak, chodźmy! Co zrobicie z kolorasim i jego własnością, o to mnie głowa nie boli, ja muszę się tylko wywiązać z przyrzeczenia, ale tego wcale nie przyrzekałem, abym go miał wobec was bronić. Od czasu jak go wydałem, przestał mnie obchodzić i wolę z nim nie rozmawiać ani zajmować się jego osobą.

Istotnie, kiedy wróciliśmy do obozu, szejk odłączył się od nas pod jakimś pozorem. Zrozumieliśmy, że nie ma chęci pokazać się człowiekowi, który był jego sojusznikiem w walce z nami. Krüger-bej musiał załatwić pewne sprawy wojskowe, więc tylko we trzech udaliśmy się do namiotu Meltona. Zastaliśmy go mocno skrepowanego i przywiązanego do pała pod strażą dwóch żołnierzy. Kiedy nadeszliśmy, szybko odwrócił głowę na znak, że nie chce nas widzieć.

— Mister Melton — rzekłem — przyszedliśmy zadać panu kilka pytań. Sądzę, że rozsądek nakaże panu odpowiedzieć.

Milczał, nie odwróciwszy głowy.

— Pierwsze pytanie — rzekłem — kim jest cudzoziemiec, który przyjechał z panem z Tunisu?

Nie odezwał się ani słowem. Zwróciłem się więc do jednego z żołnierzy:

— Przyrowadź bastonadziego! Może przywróci temu osobnikowi utraconą mowę.

Melton obrócił się szybko i krzyknął:

— Nie waż się mnie uderzyć! Nie jestem tak bezsilny, jak myślisz. Dziś ja pod wozem, jutro ty. Pamiętaj!

— Niech się pan nie ośmiesza! Czy widział pan już kiedyś tego człowieka, który stoi przy mnie?

W odpowiedzi zaklął siarczyście.

— W każdym razie słyszał pan zapewne o Winnetou, wodzu Apaczów?

Powtórzył przekleństwo.

— To, że obaj oglądamy pana, może panu przypomni niewyrównany rachunek w Stanach jednoczonych. Ale o tym później! Tymczasem radzę panu udzielić mi odpowiedzi. Widzi, master, oto już nadchodzi bastonadzi z pomocnikami. Daję panu słowo, że najmniejsza zwłoka będzie pana kosztować dziesięć cięgów po gołej pięcie. A więc, kim jest cudzoziemiec, o którego pytałem?

Przeszył mnie takim spojrzeniem, jak gdyby usiłował odgadnąć i przejrzeć moje myśli, po chwili zaś odpowiedział:

— Dlaczego pan pyta o niego?

— Ponieważ się nim interesuję.

— Chce mnie pan złapać, tak, złapać na wędkę? Znamy się na tym. Kto wie, jakie plany snują się w pańskiej głowie.

— Chętnie panu powiem. Mam niezłomny zamiar kazać pana wysmagać, jeśli natychmiast nie uzyskam odpowiedzi. No, kim jest cudzoziemiec?

Bastonadzi czekał tylko na moje skinienie. Melton, świadomy tego, co go czeka, zdecydował się odezwać:

— To mój syn.

— Pański syn? Ach! Zadziwiające! Czyż nie przedstawiał go pan Uled Ayarom jako przyjaciela?

— Czy syn nie jest przyjacielem?

— Hm. To oczywiście zależy od pana, jak przedstawiać syna. Grunt, że znikł nagle. Gdzie się teraz znajduje?

— Niech pan nie udaje! Wie pan doskonale, że umarł, Beduini poinformowali już pana, czyż nie tak?

— Ale dlaczego syn pański targnął się na własne życie?

— Melancholia, znudzenie.

— I po to, aby popełnić samobójstwo, przybył z Ameryki do Tunisu? Chciał panu sprawić przyjemność, pozwalając asystować przy swej śmierci. Wynika z tego, że darzył pana niezwykle ogromną miłością.

— Niech pan nie szydzi! Czy ja odpowiadam za głupie pomysły melancholików?

— Zdaje się, że niewiele pana obchodzi śmierć syna. Nie znać przynajmniej po panu zbytniego zmartwienia. Ale mimo to, współczuję panu. Słyszałem, że zastrzelił się w pańskiej obecności?

— Tak. Ze swego rewolweru.

— A więc nie z pańskiego?

— Co za głupie żarty! Nie posiadam rewolweru. Kolorasi tuniski nie nosi przy sobie rewolweru.

— A jakże mógł pański syn strzelać z rewolweru, skoro był zraniony i nie władał ręką?

— Ponieważ jest pan tak przebiegły, że nie ma rzeczy, o której by pan nie wiedział, powinien pan także wiedzieć, że tylko lewą rękę miał unieruchomioną.

— Ach tak! Przypuszczam, że pan dziedziczy po zmarłym?

Obejrzał mnie znów przenikliwie, pragnął bowiem odgadnąć, do czego zmierzam. Wreszcie, na powtórne zapytanie, odezwał się:

— Oczywiście, o ile pan myśli o tym, co syn mój miał przy sobie.

— To mnie cieszy niezmiernie, gdyż chętnie obejrzę dziedzictwo. Ponieważ nie potrafi pan sięgnąć do kieszeni, więc oszczędzę panu wysiłku.

— Sięgaj pan!

Powiedział to wściekłym głosem, a jednak nietrudno było wychwycić w nim nutę szyderstwa i złośliwości. Wypróżniłem Meltonowi kieszenie i przeszukałem starannie odzież, ale niestety, znalazłem tylko przedmioty, które, jak się okazało, należały do kolorasiego. Nie było tu nic z własności Smalla Huntera.

— Co teraz pan powie, wielce szanowny panie? — kpił. — Gdyby się pan teraz widział w lusterku... Mógłbym śmiało przysiąc, że jest sir najdowcipniejszym człowiekiem na świecie. A ja, głupi osioł, uważałem pana za i największego durnia. Widzi pan, jak można się mylić!

Spostrzegł moje rozczarowanie. Opanowałem się jednak i rzekłem spokojnie:

— To jest wszystko, co pan i pański syn posiadaliście?

— Tak — kiwnął z nie ukrywanym szyderstwem.

— Ubolewam nad panem. Tuniski kolorasi nie jest wszak świętym tureckim, a co się tyczy pańskiego syna, to widać, że nie mógł się pochwalić oszczędnościami.

— Z czego miał oszczędzać?

— Z majątku Smalla Huntera.

— Do wszystkich diabłów! Small Hunter! Co pan wie o Smallu Hunterze

— Wiem, że jest miłym młodzieńcem, który dla przyjemności zwiedza Wschód.

— Wschód?

— Tak. Wiem również, że nie podróżuje sam, lecz w towarzystwie nie mniej ciekawego młodzieńca. Jeśli mnie pamięć nie myli, nazywa się ten drugi Jonatan Melton.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Ja sam chwilami nie pojmuję. Myślałem, że obaj, Small Hunter i Jonatan Melton przebywają w Egipcie, a teraz ku wielkiemu zdumieniu dowiaduję się, że Jonatan Melton był tutaj i zastrzelił się na pańskich oczach.

Prześwidrował mnie spojrzeniem po raz trzeci. Zrozumiał wreszcie, że moja obecność tutaj nie jest dziełem przypadku i że wiem więcej o jego zamiarach, niż by to pozornie mogło się wydawać.

— Czy chciałby mi pan to wyjaśnić? — spytałem.

— Niech pan się sam domyśli! — warknął.

— Dobrze, usłucham pańskiej rady. Po namyśle dochodzę do wniosku, co najmniej na pozór dziwnego wniosku, iż pomylił się pan co do osoby własnego syna.

— Ojciec miałby się pomylić?

— A dlaczego by nie? Przypuśćmy na przykład, że zachodzi wypadek ogromnego podobieństwa. Czy jest to w ogóle nieprawdopodobne?

Wybuchnął:

— Przeklęte niech będzie pańskie przeciąganie, rozciąganie i wyciąganie! Dokąd pan zmierza? Szykuje pan dla mnie jakiś cios! Dlaczego pan zwleka? Prędej, niech pan strzela!

— Cios? Mylił się pan! Mówię to, ponieważ panu współczuję. Najlepszą wszak pociechą będzie dla pana dowód, wykazujący jasno jak na dłoni, że na próżno się pan martwi, oplakując nieboszczyka, gdyż syn pański wcale nie umarł, lecz żyje i cieszy się dobrym zdrowiem.

— Niech pan zostawi w spokoju! Nie mogę po prostu słuchać dłużej tych bredni! Co pana opętało!?

— Co? Powiem panu. Ile palców u nóg ma człowiek?

— Dziesięć oczywiście — ryknął. Jest pan chyba niespełna rozumu, skoro zadaje tak głupie pytania?!

Ton jego odpowiedzi przekonał mnie, że nie wiedział nic o osobliwej budowie nóg Huntera.

— Pytanie nie jest tak naiwne, jak się panu wydaje. Wiadomo bowiem, że Small Hunter ma, a raczej miał, po sześć palców u każdej nogi.

— Jak to? Sześć palców? — zapytał zaskoczony, patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczami. Była to nie znana i bardzo istotna okoliczność.

— Tak, po sześć u każdej nogi. A ponieważ był uderzająco podobny do pańskiego Jonatana, pan zaś patrzył na twarz, a nie na palce u nóg, przeto zgoła zbyt cicho oplakiwał sir śmierć swego syna. Osobiście pogrzebał pan trupa i nie zauważył nawet, że miał dwanaście palców?

W odpowiedzi rzucił przekleństwo.

— To szczególne! Nic pan o tym nie wiedział, a jednak Uled Ayarzy znali dobrze tę osobliwość, gdyż nazywali nieboszczyka nie inaczej, jak Abu tnasz Ssabi, Ojciec Dwunastu Palców u Nóg.

Z wysiłkiem powstrzymywał okrzyki zdumienia czy też wściekłości, które mu się wydzierały z gardła, i wreszcie dał upust swym uczuciom w gwałtownych ruchach głowy.

— A omylił się pan — kontynuowałem — nie tylko co do osoby nieboszczyka, ale także co do rodzaju śmierci. Otóż samobójstwo jest wykluczone. Odgrzebaliśmy zwłoki i poddaliśmy sekcji. Kula przeszła na dół z lewej strony i utkwiła w siódmym żebrze.

Taki strzał mógł paść jedynie z lewej ręki samobójcy, nigdy z prawej. Jednak lewa ręka nieboszczyka nie mogła w żadnym razie utrzymać rewolweru, a zatem nie zabił się sam, lecz został przez kogoś zabity, czyli za-mor-do-wa-ny.

— Któż by go miał zamordować?

— Ten, kto był przy nim w chwili zabójstwa.

— Ja byłem!

— Pan? Hm, mister Melton, to nie przedstawia pana w zbyt dobrym świetle!

— Brednie! Czy sądzi pan rzeczywiście, że byłbym w stanie zabić własnego syna, jedynaka?

— Nie był pańskim synem.

— Ale uważałem go za takiego!

— Uważał pan? Istotnie? A może się pan i w tym myli? Ale gdyby nawet tak było, Tomasz Meltonie, nie wahałbym się — znam pana bowiem dobrze — posądzać o dzieciobójstwo, i jednak oświadcza pan z prawdomówną miną, że nie jest sprawcą tej zbrodni, muszę więc poszukać kogoś inna go. Mam na myśli osobnika, który napisał list z Tunisu do Egiptu. W liście tym rzekomo przyjaciel Smalla Huntera, adwokat Fred Murphy, zaprasza go do przyjazdu do Tunisu. Czy wie pan coś o tym liście?

— Nie, nie, nie! — wrzasnął.

— A może zna pan kupca nazwiskiem Musah Babuam, któremu miały być przesłane pewne dokumenty?!

— Nie, nie!

— A może handlarza koni, Bu Marama ze wsi Zaghuan, w której domu pański syn miał potajemnie mieszkać aż do pana powrotu?

Chciał się podnieść mimo więzów, ale natychmiast zwałił się i zawołał z pianą na ustach:

— Jest pan w sojuszu ze wszystkimi diabłami! Plecie brednie tylko po to, aby mnie dręczyć. Ale nie myślę więcej odpowiadać, choćbym został na śmierć zatłuczony! Bądź przeklęty, czarciu!

Teraz wreszcie zrozumiał, że wiem o wszystkim. Aby mu to lepiej wyklarować, udałem się po jego syna, który był dobrze strzeżony i jeszcze nie widział się z ojcem. Uwolniłem mu nogi, tak że mógł chodzić i zaprowadziłem do starego.

Jonatan Melton mógł się spodziewać, że dojdzie do konfrontacji, więc przygotował się do tego spotkania. Chciał wszak uchodzić za Smalla Huntera. Tak samo ojciec pragnął utrwalić to przekonanie i zamierzał jak najdłużej trwać w swej roli. Wprawdzie dowiedział się ode mnie, że plan jego został przejrany, jednakże wolał wypierać się w żywe oczy, niż przyznać do winy. Stary był nie w ciemną bity i za bardzo kuty na cztery nogi, aby wskutek oszołomienia popełnić kolejny błąd, tym bardziej, że nietrudno było wywnioskować z rozmowy o moich stosunkach z jego synem. Podałem wszak fakty, o których mogłem się dowiedzieć wyłącznie od Jonatana. A zatem patrzyli na siebie ze zdumieniem, lecz nie wyrzekli ani słowa.

— No, znacie się, panowie? — zapytałem.

— Naturalnie, że się znamy odparł Tomasz Melton, wykrzywiając spuchniętą twarz w wyrazie wielkiego triumfu.

— Tak? Wyśmienicie się składa! W takim razie niech pan powie, kim jest ten młody człowiek?

— To Small Hunter, z którym syn mój przez jakiś czas podróżował.

— Pięknie! A pan, młody człowieku, powiedź, kim jest ten jeniec?

— Jest to Tomasz Melton, ojciec mego dawnego towarzysza podróży odpowiedział zagadnięty.

— Dobrze się umówiliście! Z punktu widzenia zaplanowanego łajdactwa należy się wam najbardziej pochlebne świadectwo. Lecz ja też co posiadam: treść tego pisma udaremni całą waszą przebiegłość i upór.

— Cóż to takiego? — zapytał ojciec.

Wyciągnąłem pugilares Jonatana rzekłem:

— Dowie się pan jeszcze o tym, Tomasz Meltonie. Pokażę wam także wkrótce przywłaszczone przez pana rzeczy Smalla Huntera.

— Niech je pan pokaże! — roześmiał się.

— Odnajdę je szybko, zobaczy pan.

— Niech pan szuka, gdzie chce, ale mnie zostawi wreszcie w spokoju!

Odwrócił się, na ile pozwoliły mu pęta. Uważałem, że na razie śledztwa było dosyć. Ponieważ nie chciałem, aby jeńcy zostali razem, gdyż mogli się porozumieć, kazałem odprowadzić z powrotem młodego Meltona.

Nie ulegało wątpliwości, że Toma Melton ukrył gdzieś rzeczy Huntera. Ale gdzie? Wykrycie tego było zadaniem dosyć trudnym. Liczyłem na pomoc i przenikliwość Winnetou i Emmery'ego. Przede wszystkim jednak trzeba było sporządzić dokument o sekcji zwłok Huntera. Papier znalazł się w pakach Krüger-beja. Akt został napisany w języku angielskim i arabskim i podpisany przez nas wszystkich. Krüger-bej i szejek przypieczętowali podpis swoimi sygnetami. Miałem nadzieję, że dokument będzie uznany za prawomocny w Stanach Zjednoczonych.

Chcieliśmy się już zabrać do szukania rzeczy Huntera, gdy zatrzymał nas szejek:

- Spełniłem swoją powinność. A teraz proszę, abyście i wy uczynili, co do was należy.
- Co masz na myśli? — zapytałem.
- Miałeś nam wydać Uled Ayunów.
- Dostaniesz ich pod warunkiem, że zgodzisz się na okup.
- Godzę się. Przyprawdźcie ich tutaj! Ja tymczasem zwołam zgromadzenie starszych, które oznajmi Ayunom nasze warunki.

Czułem, że czeka nas teraz ciężka prawda. Okazała się o wiele cięższa, niż przypuszczałem. Ayuni uważali, że sto wielbłądów za jedno życie ludzkie to za wiele, stanowczo za wiele. Sądziłem, że ustąpimy, więc targowali się, dopóki nie zrozumieli, że stanowczo będziemy obstawać przy naszych warunkach. Ulegli, gdy usłyszeli oświadczenie szejka, że umrą jeszcze przed północą, jeśli będą się dłużej ociągać.

Aby nie tracić czasu, wysłano dwóch Uled Ayarów z poselstwem do Uled Ayunów. Mieli zawiadomić ich o tym, co się zdarzyło i co uchwalono. Posłom nie groziło żadne niebezpieczeństwo, gdyż są nietykalni według zwyczaju wszystkich plemion beduińskich.

Dla Elatheh rzeczywiście wyjednałem sto wielbłądów. Ponieważ Krüger-bej zapewnił ewentualną pomoc wojskową przy ściąganiu okupu, więc była pewna, że je otrzyma. Przyszła do mnie ze swym „panem i władcą” podziękować za uratowanie życia i za przyrzeczone bogactwo.

Mąż jej był człowiekiem ubogim. Posiadał tylko odzież, którą nosił na sobie, a składała się ona z koszuli bez rękawów i z chusty na głowę. Mimo ubóstwa przemówił do mnie tonem co najmniej księcia:

— Effendi, uratowałeś od śmierci moją żonę i dziecko i oto twoja dobroć zapełni mój namiot bogactwem, którego zresztą jeszcze nie widzę. Moje serce jest przepełnione ogromną wdzięcznością. Wiedz, że otoczę cię szczególną opieką, póki pozostaniesz z nami.

Rozporządzaliśmy wojskiem liczącym czterystu jeźdźców, nie przypuszczałem więc, aby mogła mi się przydać opieka biednego Ayara. A jednak nie ma istoty tak słabej, małej i lichej, aby można było odrzucać jej przyjaźń.

Teraz mieliśmy dosyć czasu, aby odszukać rzeczy Smalla Huntera, lecz godzina była już późna. Pertraktacje z czternastoma Ayunami trwały tak długo, że upłynął dzień i zbliżał się wieczór. Nie pozostawało nam nic innego, tylko odłożyć poszukiwania do następnego dnia.

Nie spieszyliśmy się zresztą. Obaj Meltonowie byli dobrze strzeżeni — przy starym czuwali dwaj kawalerzyści, którzy zmieniali się co dwie godziny, młody wraz z jeńcami Ayunów był pilnowany przez Ayarów.

Tomasz Melton zostanie odwieziony do Tunisu i tam jako zdrajca osądzony i stracony. Rodzaj śmierci będzie zależał od orzeczenia baszy. Natomiast nie było w pełni wiadome, co się stanie z jego synem. Ponieważ spiskował wraz z ojcem, był zatem współwinowajcą, a więc należało się w każdym razie spodziewać, że także poniesie jakąś karę.

Ubolewałem z całego serca, że nie potrafiłem uratować Smalla Huntera. Pocieszałem się, że obaj Meltonowie zostali unieszkodliwieni. Byłem przekonany, iż rodzina Voglów bez

przeszkód wejdzie w posiadanie spadku. Kiedy sobie wyobraziłem radość tych ludzi, musiałem uznać wszystkie swoje trudy za niewspółmiernie drobne.

Tymczasem podczas dnia wojownicy Ayarów i nasi żołnierze przygotowali uroczystą ucztę pokoju, która miała się odbyć wieczorem. Według zwyczajów arabskich żadna uroczystość, żadne ważniejsze zdarzenie nie może się obejść bez hucznej biesiady.

Nasi żołnierze mieli znaczne zapasy suchej żywności. Ayarzy umieścili za wawozem niewielką, przeznaczoną dla potrzeb wojska trzodę, która została w ciągu dnia przyprowadzona do obozu. Mieliśmy więc dosyć mięsa mąki, daktyli i wiele innych produktów. Wody też nie brakowało, gdyż w wawozie — zapomniałem nadmienić — było źródło, które skłoniło Ayarów do rozłożenia tam obozu jeszcze przed naszym przybyciem. Światła nie mu sieliśmy zapalać, ponieważ księżyc wkrótce wypłynął i świecił jasno.

Pomijam bez szkody dla czytelnika opis uczyty. Beduin jest w najwyższym stopniu wstrzemięzliwy, ale w szczególnych okolicznościach potrafi pochłaniać wprost zadziwiającą ilość wszelakiego jadła. Nie myślano o oszczędności — wszak wiadano, że wkrótce nadejdą wielkie trzody Ayunów.

Wrzawa i ożywienie ucichły dopiero po północy.

Zanim się położyłem, obszedłem obóz i odwiedziłem obu Meltonów. Sprawdziłem, że znajdowali się pod pieczę wartowników. Kiedy wróciłem do namiotu, zobaczyłem siedzącego przed nim Beduina, w którym rozpoznałem męża Elatheh.

— Co tu robisz? zapytałem.

— Czuwam, effendi — odpowiedział.

— Trud twój zbyteczny. Połóż się spać!

— Effendi, jeśli będę spał w dzień, w nocy będę mógł czuwać. Jesteś pod moją opieką.

— Ależ człowieku, nie potrzebują jej wcale!

— Skąd wiesz? Tylko Allah może to wiedzieć! Mam ci tyle do zawdzięczenia, ale jestem tak ubogi, że nie mogę tobie nic podarować. Wyświadcz mi łaskę i pozwól czuwać! Wszak nie stać mnie na nic więcej!

— No, więc dobrze. Nie chcę zasmucać cię odmową. Niech Allah będzie z tobą, mój strażniku i przyjacielu!

Podąłem mu rękę i wszedłem do namiotu.

Winnetou był także zmęczony, gdyż nocy poprzedniej nie spał dłużej niż ja. Wkrótce zasnęliśmy. Około trzeciej po północy przebudził mnie okrzyk poza namiotem:

— Kto tam? Wróć!

Zacząłem uważnie nasłuchiwać.

Winnetou zerwał się również.

— Wróć! — zabrzmiało po raz drugi.

Wybiegliśmy z namiotu. Mój przyjaciel i strażnik zarazem stał i wsłuchiwał się w nocną ciszę. Księżyc zaszedł.

— Co się zdarzyło? zapytałem. Siedziałem przy drzwiach i czuwałem — odpowiedział. Nagle zauważyłem jakiegoś człowieka, który czołgał się na brzuchu. Kiedy zawołałem, szybko zniknął. Podniosłem i obszedłem namiot. Z drugiej strony zobaczyłem innego, który również zerwał się i uciekł.

— A może to były zwierzęta?

— Jakie zwierzęta! To byli ludzie, którzy przyszli tutaj w złych zamiarach.

— Nie sądzę. Jesteśmy wśród przyjaciół.

— Wiesz na pewno? Allah tylko może wiedzieć! Ale wróć do namiotu i śpij spokojnie. Czuwam nad tobą.

Wróciłem do namiotu pewny, że Beduin się omylił. Winnetou był tego samego zdania.

Wkrótce zmorzył nas sen. Lecz po godzinie obudził nas nowy zgiełk. Chwyciliśmy za broń i wyszliśmy z namiotu.

Na wschodzie rozlało się światło jutrzeńki. Rozjaśniło się całkowicie. Pierwszym, którego zauważyłem, był Krüger-bej. Biegł do nas krzycząc:

— Jeńcy uciekli, zabierając trzy wielbłądy!!

— Jacy jeńcy? Mamy rozmaitych: Meltonów i czternastu Ayunów. O kim pan mówi?

— Nie Ayuni...

— A zatem Meltonowie? Do pioruna! Musimy pędzić za nimi! Pańscy ludzie biegając zacierają ślady. Niech pan rozkaże, aby każdy zatrzymał się w miejscu, na którym stoi!

Rozkaz został ogłoszony iście gromkim głosem, po czym zapanował zupełny spokój. Szejk i Emery przybiegli także, wtedy Krüger-bej opowiedział: Kiedy dwaj strażnicy przyszli przed dziesięciu minutami zastąpić swoich kolegów, nie zastali już kolorasiego Meltona. Jego więzy leżały na ziemi obok martwego strażnika. Pierś ma przebitą nożem.

— Czy nieboszczyk jeszcze tam leży? — zapytałem.

— Tak.

— Chodźmy.

Na ziemi leżał biedny człeczyna. Klinga dotarła do samego serca. Nie zdążył zapewne nawet słowa powiedzieć, nawet krzyknąć. Najdziwniejsze jednak było to, że dopiero po tym odkryciu spostrzeżono nieobecność młodego Meltona. Poza tym zniknęły trzy najlepsze wielbłądy.

Winnetou nie rozumiał ani słowa. Spojrzał na mnie pytająco. Wyjaśniłem mu to nowe, niespodziewane zdarzenie. Opuścił głowę, myślał przez chwilę, po czym rzekł:

— Jeden ze strażników nie żyje. Gdzie jest drugi?

— Zwiął! — odpowiedział Krüger-bej, któremu przetłumaczyłem pytanie.

— A zatem był w znowie z Meltonami! — rzekł Apacz. — I dlatego właśnie Melton powiedział, że nie jest tak bezbronny, jak przypuszczasz.

— Słusznie — potwierdziłem. — My obaj dzięki przezorności naszego strażnika uniknęliśmy wielkiego niebezpieczeństwa. Meltonowie podkradli się do naszego namiotu, aby się zemścić, zostali jednak przepędzeni przez tego dzielnego człowieka.

— Musimy ich ścigać!

— Tak, i to natychmiast. Niestety, zabrali najlepsze wielbłądy. Trzeba się zadowolić gorszymi.

Zakomunikowałem Panu Zastępów nasze postanowienie i prosiłem, aby wyszukał trzy najszybsze zwierzęta i zaopatrzył nas w żywność i wodę na kilka dni.

— Tylko trzy? Dlaczego nie więcej?

— Ponieważ pojedziemy tylko we trzech — ja, Winnetou i Emery.

— A ja nie?

— Nie. Masz inne obowiązki. Musisz zostać przy wojsku.

Kiedy rozmawialiśmy ze sobą po niemiecku, mówiliśmy do siebie przez pan, ale po arabsku tykaliśmy się, ponieważ odpowiada to bardziej duchowi tego języka.

— W takim razie dam wam kilku dzielnych oficerów i żołnierzy.

— I na to się nie godzę. Cała nadzieja w pośpiechu. Zbyt wiele osób może być tylko przeszkodą. Skoro my trzej dosiędziemy najlepszych wielbłądów, inni wnet pozostaną za nami i nie przydadzą się. A więc będzie lepiej, abyśmy pojechali tylko we trzech. Nakaż swoim podwładnym pośpiech!

Spełnił moją prośbę. Winnetou wyszedł z namiotu i badał ślady. Wrócił i wkrótce oznajmił:

— Pojechali na północ.

— A zatem w kierunku Tunisu! — wykrzyknął Krüger-bej. — Można to było przewidzieć.

— Nie — odpowiedziałem. — Mogę się założyć, że nie jada do Tunisu, ponieważ nie jest do dla nich miejsce bezpieczne. Tam znają Meltona i gdy przybędzie pościg, sprawa może wziąć dla nich zły obrót.

— Ale wiesz przecież, że chciał jechać do Tunisu.

— Chciał, owszem, ale teraz już nie chce. Wówczas warunki były inne. Teraz wie dobrze, że Emery, Winnetou i ja natychmiast puścimy się za nim w pogoń i będziemy ścigać do samego Tunisu. Tego jest pewien. I wie również, że jeśli nie znajdą statku, bezzwłocznie wypływającego na morze, to marny ich los. O nie, nie pojedzie do Tunisu, tylko do portu w zatoce Hammamet.

— Lecz Winnetou powiedział, że pojechali na północ! — wtrącił Krüger-bej.

— To prawda, lecz Melton nie wywiedzie mnie w pole. Przez dłuższy czas żył wśród westmanów i myśliwych, zna więc fortele prerii, aczkolwiek nie jest w nich mistrzem. Zamierza wyprowadzić nas na manowce i dlatego z początku pojechał na północ, żebyśmy go ścigali w tym kierunku. Później, na terenie twardym, nie zachowującym śladu wielbłądów, zboczy na wschód.

— Lecz w Tunisie zdobyłby pieniądze. Tu, w zatoce Hammamet, nie ma takiego człowieka, od którego mógłby coś wydostać.

— Na co mu pieniądze? Przede wszystkim syn jego ma nieco gotówki. Nie odebrałem mu, ponieważ nie spodziewałem się takiego obrotu rzeczy. Po drugie, Small miał przy sobie zapewne większą kwotę.

— Ale nie posiada jej Melton! Wszak przy rewizji nic nie znaleziono.

— Na pewno gdzieś schował i zabrał, zanim uciekł. Oto już i nasze trzy wielbłądy osiodłane i objuczone. Możemy wyruszyć w drogę.

— Kiedy wrócicie?

— Kiedy ich schwytamy.

— Nie bądźże zbyt zadufany w sobie! Pomyśl, że mają zwierzęta bardziej rącze i że wyprzedzili was o szmat drogi.

— To prawda. Stracimy także wiele czasu na tropienie śladów, podczas gdy oni będą jechać wciąż naprzód, nie oglądając się za siebie. Ale mimo to schwytamy ich, możesz na nas polegać. A jeśli nie tu, to już na pewno w Ameryce.

— Maszallah! Aż tak daleko zamierzacie ich ścigać?

— Tak daleko, aż ich schwytamy.

Ale jeśli się wam tutaj nie powiedzie, to wszak przed opuszczeniem kraju wpadniecie do Tunisu?

— Nie możemy tego przewidzieć. Bądź co bądź wielbłądy otrzymasz z powrotem. Przyrzekam ci to.

— Drobnostka! Byleby tylko łajdaki nie uciekły! Czy znasz drogę do zatoki Hammamet?

— Stąd nie znam, ale wnet znajdziemy. Naszym przewodnikiem, i to doskonałym, będą ślady zbiegów. Zaprowadzą nas prosto do celu.

Okoliczności nie pozwalały nam na długie pożegnanie. Po kilku minutach rozstaliśmy się.

DAREMNE ŁOWY

Po opuszczeniu wąwozu znaleźliśmy się na otwartej równinie, gdzie ze zdumieniem spostrzeżliśmy człowieka, który stał, bezradnie oglądając się pośród ogromnego pustkowsia. Zauważywszy nas, zaczął uciekać, ale wnet się zatrzymał. Zrozumiał, że nie ukryje się przed nami. Piechur tutaj, na pustyni, był zjawiskiem co najmniej dziwnym.

Wkrótce przestaliśmy się dziwić. Z bliska poznaliśmy po uniformie, że jest to jeden z naszych kawalerzystów.

— Zbiegły wartownik — rzekł Emery.

— Najprawdopodobniej — potwierdziłem.

— Ale dlaczego tu stoi?

— Został podstępnie porzucony. Trzeba znać Meltona. Aby się uwolnić, przyrzekł strażnikowi złote góry, lecz uwolniwszy się, pozostawił go na pastwę losu.

— Biada temu żołnierzowi! Co teraz pocnie?

— Zobaczymy.

— Dezercja i uwolnienie więźniów. Będzie na pewno rozstrzelany. Czy chcesz go ocalić?

— Zależy, jak się zachowa.

— Ale ocalić go będzie trudno.

— Nie. Myślę że Krüger-bej nie odmówi mej prośbie.

Skoro dojechaliśmy do żołnierza, rzucił się przed nami na kolana, wyciągnął ręce do góry i zawołał błagalnie:

— Łaski, effendi, łaski! Jestem już dosyć ukarany!

Zwrócił się do mnie, ponieważ wiedział, że Pan Zastępów najwięcej ze mną obcował. Nie był widocznie do gruntu złym człowiekiem, gdyż błagając o łaskę, przyznał się do winy. Jednakże odpowiedziałem surowo:

— Dość ukarany? Jesteś dezerterem i zdrajcą. Wiesz, jaka grozi ci kara?

— Śmierć.

— A oprócz tego uwolniłeś jeńców. Za to przed rozstrzelaniem zostaniesz wychłostany.

— Wiem o tym, lecz effendi, twoje słowo znajduje posłuch u Pana Zastępów. Błagam cię, wstaw się za mną!

— Opowiedz przede wszystkim, jak się to stało?

— Pilnowaliśmy kolorasiego we dwóch. Ja usiadłem, a kolega chodził tam i z powrotem.

Kiedy się oddalał od nas, nie mógł słyszeć, jak kolorasi do mnie szeptał.

— Co ci mówił?

— Zażądał swego pakietu.

— Jakiego pakietu?

— Pakietu, który mi wręczył.

— Aha! Kiedy?

— Kiedy okrążyliście Uled Ayarów. Moi koledzy leżeli jako jeńcy w wąwozie, ja jednak nie znajdowałem się przy nich, gdyż byłem ordynansem kolorasiego. Uwolniliście jeńców i zaczęliście się układać z szejkiem. Następnie szejk wrócił do wąwozu, a wówczas kolorasi rzekł do mnie gniewnie: „Teraz stracona wszelka nadzieja! Ten pies namówi Ayarów, aby wydali mnie Krüger-bejowi!” I wręczył mi zawiniątko, kazał je pieczołowicie strzec i poszedł do szejka. Wkrótce sprowadzono go związanego i poturbowanego. Uwięziono go. W pewnej chwili kazał mi odejść, gdyż spodziewał się, że przyjdiesz i obszukasz go, a zatem mogłeś mnie również zrewidować. Oddaliłem się, ale pamiętałem, że nakazał mi zawsze mieć przy sobie zawiniątko.

— Dlaczego?

— Abym mógł mu je w każdej chwili zwrócić.

— Czy mówił, co zawiera paczka?

— Tak, święte relikwie.

— O, relikwie!?

— Ale to była nieprawda.

— Wiem. Jakże się o tym dowiedziałeś?

— Od niego samego. Kiedy strzegłem go w nocy, oświadczył, że paczka nie zawiera relikwii, tylko pieniądze, wiele, bardzo wiele pieniędzy. Przrzekł mi za uwolnienie z więzów pięć tysięcy piastrów.

— Nie musiał ci przecież obiecywać! Miałeś wszak tę całą paczkę w kieszeni.

— Nie mogła mi się przydać — tak przynajmniej mówił. W paczce nie było zwykłych pieniędzy, ale jakieś papiery, które osobiście musiał zamienić u kogoś w Tunisie, gdyż nikt inny nie dostałby za nie złamanego grosza. Miałem z nim uciec do Tunisu i otrzymać pięć tysięcy piastrów natychmiast po wymianie papierów.

— Ta suma cię olśniła, co?

— Tak, effendi. Biedny żołnierz baszy... a tu pięć tysięcy piastrów! Przysięgał na Mohammeda i wszystkich kalifów, że dostanę całą sumę zaraz po przybyciu do Tunisu.

— I uwierzyłeś mu?

— Tak, zaufałem mu i rozwiązałem ręce, jak prosił. Po czym dałem mu nóż.

— A twój towarzysz?

— Widział nas, lecz nic złego nie podejrzewał. Umówiłem się bowiem z kolorasim, że uwolni się dopiero po zmianie warty. Ale nie dotrzymał słowa. Ledwie dostał nóż, odciął się od pala i oswobodził nogi. Przez jakiś czas leżał jednak tak, jak gdyby był jeszcze skrępowany. Po pewnej chwili kolega mój przysiadł się do nas. Wówczas kolorasi rzucił się nań z nienacka i zatopił nóż w jego sercu.

— To straszne! Co ty wtedy zrobiłeś?

— Chciałem krzyczeć, ale z przerażenia głos uwiązł mi w gardle. Usiłowałem mnie uspokoić — nadaremnie. Wówczas zaczął mi grozić. Mój własny nóż tkwił w sercu mego kolegi. To świadczyło przeciwko mnie. Zginąłbym, gdybym pozostał. Musiałem więc, musiałem z nim uciekać!

— Ale nie uciekliście od razu?

— Nie. Odszedł na moment, a ja miałem czekać. Wkrótce wrócił z tym młodym człowiekiem, który również uciekł. Jak go uwolnił, nie wiem. Wyszliśmy ukradkiem z namiotu. Osiodławszy trzy najlepsze wielbłądy Pana Zastępów, wyprowadziliśmy je z obozu. Ja zostałem przy zwierzętach, oni zaś wrócili jeszcze do obozu, aby się z tobą rozprawić.

— Skąd wiesz o tym?

— Domyśliłem się z ich słów pełnych wściekłości.

— Czy rozmawiali ze sobą po arabsku?

— Tak, z początku. To było nieroztropnie z ich strony, gdyż słyszałem rzeczy, których nie powinienem był dla ich dobra słyszeć. Ale później posługiwali się językiem, z którego nie rozumiałem ani słowa.

— Czy wiesz, dokąd dążą?

— Do Tunisu.

— Nie wierzę. Tak samo pojedą do Tunisu, jak ty dostaniesz swoje piastry.

— O, ja nic nie dostanę! Oszukali mnie, wywiedli w pole! Niedaleko stąd zsiadli z wielbłądów i kazali mi uczynić to samo. Skoro tylko stanąłem na ziemi, rzucili się na mnie i rozbroili. Na domiar tego skierowali we mnie lufy strzelb grożąc, że wystrzelą, tak że musiałem czym prędzej umykać. Wówczas wsiedli z powrotem na zwierzęta, ujeli mego wielbłąda za uzdę i śmiejąc się głośno, odjechali. O, effendi, bodajbym nie obdarzał tak wielkim zaufaniem kolorasiego!

— Jest to zgoła daremny żal. Nie zaufanie cię unieszczęśliwiło, tylko chciwość i brak dyscypliny. Powinieneś być zawołać: „O, bodajbym pozostał wierny obowiązkom!” Jesteś sprawcą dwóch przestępstw. Co zamierzasz uczynić?

— Więc nie zaaresztujesz mnie?

— Nie. Nie jestem twoim przełożonym ani policjantem, ani też sędzią. Możesz sobie odejść, dokąd zechcesz. My cię nie zatrzymujemy.

— Dzięki ci, effendi! Twoja dobroć jest szersza niż pustynia, a łaska twoja wyższa nad niebo. Ale dokąd ja pójdę? Nie mam ani wody, ani żywności, ani pieniędzy, ani broni. Nie mam też konia ani wielbłąda. Kto mnie przyjmie? Jestem dezertorem, a zatem wszystkie plemiona płacące haracz baszy raczej wydadzą mnie, niż przyjmą do swego grona. Kolorasiemu zawdzięczam, że zostałem najniezwyklejszym człowiekiem na świecie!

— Nie kolorasi, a ty sam jesteś sprawcą własnej niedoli! Ale że żałujesz swych czynów i że dowiedziałem się od ciebie pewnych rzeczy, przeto wskażę ci wyjście. Wróć do Pana Zastępów. Dam kartkę, w której polecę cię jego łaskawości. Przypuszczam, że ukarze cię łagodnie.

— Uczyni to, effendi, uczyni! Twoje słowa niosą ulgę mojemu skołatanemu sercu i krzepią moją duszę.

Emery zwrócił się do mnie po angielsku:

— To głupie! Albo wcale mu nie pomagajmy, albo pomóżmy do końca. Ten drab nie jest złym człowiekiem. Jeżeli wróci do Krüger-beja, to wprawdzie dzięki twemu wstawiennictwu nie rozstrzelają go, ale co najmniej obetną mu nos i uszy lub wygarbują skórę, po czym wypędzą na cztery wiatry. Cóż wtedy zrobi? Lepiej dać mu pieniądze i zaproponować, aby zaciągnął się do wojska francuskiego.

Wywód przyjaciela przekonał mnie, zapytałem się więc żołnierza, czy zna drogę do Iheis.

— Tak — odpowiedział.

— To pójdziesz tam. Stamtąd poprzez Zaufur, Thaleh i Hydrę dotrzesz do Keifah, które należy już do Algierii. W pobliżu znajduje się małe miasto Tybesa, a w nim stacjonuje francuski garnizon. Tam będziesz się mógł zaciągnąć do wojska francuskiego, jeśli nie zechcesz zająć się czym innym. Stąd do Tybesy prowadzi drogą karawanowa, a zatem nie zaznasz głodu ani pragnienia.

Twarz dezertera zajaśniała radością. Wybuchnął prawdziwym hymnem dziękczynienia. Nie mieliśmy czasu na słuchanie podziękowań i podjęliśmy przerwana jazdę.

Ślad był teraz bardzo wyraźny. Zwracał się nieco na zachód.

— To dziwne! — mruknął Emery. — Sądziłyśmy, że skręcą na wschód, a okazuje się, że zbczyli w kierunku wręcz przeciwnym.

— W każdym razie postąpili tak umyślnie — odpowiedziałem. — Zapewne na zachodzie na terenie skalistym nie pozostawią śladów. Tam będą chcieli nas zgubić.

— Ale to im się nie uda!

— Tak sędzę. Pojedziemy wprost przed siebie. Meltonowie pojechali na zachód, później jednak zawrócą na wschód. A zatem skoro podążymy w prostej linii, natkniemy się znów na ich ślady.

— W porządku! I zyskamy wiele czasu.

Winnetou wyprzedzał nas nieco i nie słyszał rozmowy. Mimo to byłem przeświadczony, że nie planuje inaczej. I istotnie. Zatrzymał swój „okręt pustyni”, zeskokczył na ziemię, zbadał dokładnie trop, dosiadł z powrotem wielbłąda i pojechał naprzód, wprost przed siebie, nie obejrzawszy się na nas ani razu. Znał bowiem mój sposób myślenia i wnioskowania tak samo dobrze, jak ja jego.

Minęła godzina, a potem druga. Emery niecierpliwił się, gotów był pomyśleć, żeśmy się przeliczyli. Nagle zobaczyliśmy, że Winnetou, który wciąż jechał na przodzie, znów zsiadł z

wielbłąda i badał uważnie ziemię. Kiedyśmy się zbliżyli, ujrzyliśmy ślad trzech wielbłądów, który przecinał nam drogę, biegnąc z zachodu na wschód.

— To oni — rzekł Apacz. — Chcieli okpić Winnetou i Old Shatterhanda.

Teraz skręciliśmy pod kątem prostym na prawo, na wschód, w ślad za odnalezionym tropem. Jechaliśmy przez cały dzień, dopóki zmierzch i mrok nie osłonił śladów. Trzeba było zatrzymać się i przenocować na otwartym stepie. Nazajutrz o świcie wyruszyliśmy w dalszą drogę. Ślady nie były już tak wyraźne, jak dnia poprzedniego. Emery sądził, że wkrótce będą wyraźniejsze, albowiem zbiegowie powinni byli gdzieś tutaj przenocować. Ja sądziłem inaczej. Wszak Meltonowie musieli za wszelką cenę wyprzedzić nas, jechali zatem przez całą noc bez odpoczynku. Ponadto Tomasz Melton był doskonale obeznany z okolicą, którą jako oficer często przemierzał. Winnetou zgadzał się z moim tokiem rozumowania.

— Ale dlaczego chcieliby za wszelką cenę nas wyprzedzić? — zapytał Anglik. — Nie jest to konieczne.

— Nie? — zdumiałem się. — Dlaczego tak uważasz?

— Przecież sądzą, że wyprowadzili nas w pole.

— I że zdążamy do Tunisu?

— Tak. Wszak wczoraj zoczyli na zachód tylko po to, aby nas okpić. Nie wątpię chyba, że wygrali sprawę.

— Czy aby rzeczywiście nie wątpię? Tomasz Melton zna mnie i Winnetou zbyt dobrze. Może przypuścić, że nas oszukał, ale tylko na krótką chwilę. Skoro sobie uprzytomni to wszystko, co wie o nas, na pewno zrozumie, że jeżeli nawet damy się wywieść w pole, to przecież po paru godzinach odnajdziemy ślad i już go nie stracimy z oczu.

— Hm! Pytanie, czy w ogóle jeszcze spodziewają się naszego pościgu?

— Niewątpliwie. W przeciwnym bowiem razie nie zadawaliby sobie trudu skręcania z drogi, a przede wszystkim już dawno natrafilibyśmy na miejsce ich postoju. Powtarzam, że jechali przez całą noc.

— Mój brat Szarlieh ma słuszość — potwierdził Apacz. — Nie zatrzymywali się wcale i wyprzedzili nas o znaczną odległość, ponieważ mają lepsze wielbłądy. Musimy się śpieszyć!

Okazało się, że słuszość jest po mojej stronie. Jechaliśmy przez całe przedpołudnie po coraz słabszych śladach, nie spotykając nigdzie miejsca obozowania zbiegów.

Step dawno się już skończył i przeszedł w pustynię piaszczystą. Teraz znów można było dostrzec gdzieś pojedyncze źdźbła trawy, a nawet całe kępki. Po kilku minutach jazdy zobaczyliśmy niskie, długie pagórki, wznoszące się na wschodzie i ciągnące z północy na południe.

— To zapewne Wadi Budawas — rzekłem. — Dalej wznoszą się ruiny el Khima, które musimy ominąć ze strony południowej, aby przejechać przez północny stok Dżebel Ussala.

— Sądzę, że będziemy jechali wciąż ich tropem — wtrącił Emery.

— Zgadza się. Ale jestem przekonany, że Meltonowie obiorą tę drogę jako najwygodniejszą.

— Oczywiście! Spójrz, czy tam na lewo nie widać jeźdźców?

Wskazał na północny wschód. Szybko zbliżało się stamtąd kilka niewyraźnych punktów. Wkrótce rozpoznaliśmy ośmiu jeźdźców. Byli to Beduini. Zauważyli nas, zbliżyli się i zatrzymali w pewnym oddaleniu. Byli dobrze uzbrojeni, nie zdradzali jednak napastliwości. Gdy podjechalśmy na odległość dwudziestu kroków, powitałem ich:

— Sallam! Czy to Wadi Budawas, tam za pagórkami?

— Tak — odpowiedział jeden z nich, wyglądający na przywódcę.

— Z jakiego jesteście plemienia?

— Jesteśmy wojownikami Meidżerów. Polowaliśmy na gazy, ale nadaremnie, i oto wracamy do wadi^{*}, gdzie pasą się nasze trzody.

— Kiedy wyjechaliście na łowy?

— Dziś przed świtem.

— W takim razie możecie odpowiedzieć na moje pytanie. Czy nie widzieliście dwóch cudzoziemców z trzema rączymi wielbłądami?

— Tak. Widzieliśmy dziś rano, w chwili gdy wyjeżdżaliśmy na polowanie.

— Czy zatrzymali się tutaj?

— Tak. Zaprosiliśmy obcych, a oni przyjęli zaproszenie, aczkolwiek oświadczyli, że nie mają czasu.

— Jak długo tutaj pozostawali?

— Dopóki nie napoili wielbłądów.

— Czy wiecie jacy to ludzie?

— Jeden z nich to kolorasi baszy, co było widoczne po odzieży, a drugi to jego przyjaciel.

— Dokąd podążali?

— Do El Kairwan, tak nam powiedzieli. Ale kim wy jesteście?

— Czy znasz Krüger-beja, Pana Zastępów?

— Tak. To nasz obrońca.

— Czy wiesz, gdzie się teraz znajduje?

— Słyszeliśmy od jeźdźców, że wyruszył przeciwko Uled Ayarom, aby ich poskromić.

— W jakich jesteście stosunkach z Uled Ayarami?

— Z tymi żyjemy w zgodzie, ale nie znosimy Uled Ayunów.

— Ci właśnie są też naszymi wrogami. Przybywamy od Krüger-beja, który pokonał Uled Ayarów, a następnie zawarł z nimi pokój.

— Maszallah! Pokonał wrogów, a potem ułaskawił? Jego serce jest pełne dobroci i życzliwości nawet w stosunku do nieprzyjaciół. Skoro przybywacie od Krüger-beja, znajdujecie się chyba pod jego opieką?

— Zalicza nas do swoich najlepszych przyjaciół.

— Jeśli tak, to nie sprawicie nam tej przykrości, aby nas ominąć. Posilicie się naszą żywnością i napijecie naszej wody! Jesteście gośćmi tak mile widzianymi, jak gdybyście byli Panem Zastępów w jego własnej osobie.

— Jak się nazywa wasz szejk?

— Welad en Nari. To ja nim jestem.

— Ty jesteś szejkiem mężnych i gościnnych Meidżerów? W takim razie nie odmówimy. Wprawdzie i my się śpieszymy, ale możemy ci ofiarować tyle czasu, ile wymaga napełnienie naszych miechów świeżą wodą.

— Musicie także skosztować gazy, którą wcześniej upolowaliśmy. Proszę was, chodźmy do naszego Bet en Sijara^{*}!

Szejk skierował konia ku wspomnianym pagórkom. Pojechaliśmy za Meidżerem, mając za sobą resztę jeźdźców. Milczeliśmy. Zgodnie z miejscowymi zwyczajami musieliśmy czekać, aż do nas przemówią. To jednak nie zobowiązywało do zachowania milczenia między sobą. Skorzystałem z tego, aby przetłumaczyć Winnetou rozmowę z przywódcą. Apacz obejrzał go badawczo i zapytał:

— Czy ten człowiek podoba się memu bratu?

— Hm. W każdym razie nie budzi nieufności. Dlaczego pytasz?

— Gęsta jego broda pokrywa całe oblicze, ale dla Winnetou broda jest lichą zasłoną, przez którą widać wyraźnie.

— I co widzisz?

* Dolina rzeki

* Dom dla gości

— Radość, że mu towarzyszymy.
— No naturalnie! Zaprosił nas i cieszy się, że spełniłmy jego życzenie.
— Jest to zła radość! Winnetou nie ma zaufania do tego człowieka.
— Sądzę, że nie ma podstawy do obaw. Meidżerowie są przynajmniej teraz pokojowo usposobieni.

— A więc niech mój brat im ufa! Winnetou jednak będzie przezorny.

Nieufność nawet nie przemknęła mi przez myśl. Mimo to nie zapomniałbym o środkach ostrożności. Przywykłem liczyć się zawsze ze zdaniem Winnetou, dlatego jego słowa wywarły na mnie głębokie wrażenie.

Dotarliśmy do pagórków. Za nimi grunt raptownie się zniżał, tworząc dolinę, która w tym miejscu, gdzie zatrzymaliśmy się, była bardzo szeroka. Mieliśmy przed sobą Wadi Budawas, którego długość, jak słyszałem, wynosiła wiele godzin jazdy lub wiele mil drogi.

U szczytu spostrzegliśmy zbocze, które spadało mniej stromo. Tędy zjechaliśmy do doliny. Widać było, że wadi w czasie deszczowym przemienia się w rzekę. Teraz była to zielona łąka, miejscami bardzo wilgotna. Po pewnym czasie ujrzelśmy obóz afrykańskich pasterzy. Wadi było teraz o wiele szersze niż poprzednio i obrośnięte nawet trawą — rzecz można — soczystą. Jak daleko wzrok sięgał, pasły się trzody — konie, owce, kozy, barany i wielbłądy, które można było liczyć na wiele tysięcy sztuk. Między nimi krzątali się ludzie, a tak nieliczni, że trudno było oprzeć się zdumieniu, iż taka garstka potrafi utrzymać w spokoju i ładzie tyle zwierząt.

Pasterze, których mijaliśmy, podnosili się z szacunkiem i witali nas głębokimi ukłonami. To jak gdyby nieco uspokoiło Winnetou, albowiem wyraz jego twarzy znacznie złagodniał.

Jechaliśmy do skały, w której widniała wąska szczelina. Kilka kroków przed skałą szejk zatrzymał się, zsiadł z konia i rzekł:

— Bądźcie pozdrowieni w naszym wadi! Tu jest dom gościnny, w którym przyjmujemy wszystkich gości. Jest tu chłodno i wygodnie. Wstąpcie do mnie i nasyćcie się potrawami, którymi was uraczymy.

Towarzysze jego zeskoczyli na ziemię. Poszliśmy za ich przykładem, lecz zanim ruszyliśmy przed siebie, dokładnie rozejrzałem się dokoła. W pobliżu nad nami spoczywał, żując trawę, tuzin wspaniałych wielbłądów. Obok zobaczyliśmy podwójną ilość siodła. A dalej jeszcze pasły się trzy konie, wyjątkowo rasowe. Stały za ogrodzeniem z oszczepów, tkwiących w ziemi i obciążonych sznurami z włókna palmowego. Już to samo świadczyło o ich wysokiej wartości. Tuż przy koniach leżały siodła, rzemienna uprzęż i czapraki. Szejk spostrzegł mój zachwyty i rzekł:

— Wierzchowce te biorą swój rodowód od najbardziej ulubionych klaczy proroka. Te konie więcej są warte niż liczne stada naszego plemienia.

Po chwili szejk ponownie wskazał nam szczelinę w skale i powiedział:

— Jest to dom dla gości, o którym mówiłem. Nieco głębiej rozpadlina rozszerza się i tworzy murabba*, gdzie może się pomieścić ponad dziesięć osób. Chodźcie za mną!

— Pozwól nam uprzednio zaopatrzyć nasze Wielbłądy — poprosiłem.

— Czy sądzisz, że aż tak mało znamy obowiązki gospodarzy? Moi ludzie napoją wielbłądy i napełnią miechy.

Teraz wszelkie wahanie byłoby obrazą. Zresztą, wyprzedzał nas sam, nie było więc powodu mu nie ufać czy coś podejrzewać.

— Mamy tam wejść? — zapytał Winnetou, widząc, jak szejk znika w szczelinie. — Czy mój brat pójdzie za nim?

— Tak. Wszak i on jest z nami.

— A jeśli nas oszuka?

* Pokój

— Zabierzemy ze sobą broń. Mówiliśmy po angielsku. Emery odezwał się:

— Dlaczego się ociągacie? Co o nas pomyślą? Mają nas chyba za tchórzów, idziemy, idziemy za nim!

Poszedł za szejkiem, a my za nim, uprzednio zaopatrzywszy się w broń. Dopóki miałem przy sobie sztucer, nie lękałem się żadnego wroga. Niestety, nie mógł mnie obronić wobec podstępu...

Z prawej strony obok szczeliny leżał, a raczej stał w osobliwy sposób kamień. Miał kształt połówki ogromnej flachy, przeciętej z góry na dół. Ta połówka kamiennej flachy mogła ważyć około tony i stała na ziemi nie dnem, ale szyjką.

Natychmiast po wejściu przekonaliśmy się, że wewnątrz szpary jest obszerniejsze, niż można się było spodziewać. Dziesięć osób mogło się tutaj swobodnie poruszać. Był to podłużny czworokąt o podłodze pokrytej matami z łyka. Na środku leżał dywan w dobrym gatunku, a na nim stała sufra, stoliczek wysokości najwyżej dziesięciu cali z rodzaju tych, które się zazwyczaj spotyka w namiotach beduińskich. Tylko pośrodku można się było wyprostować, gdyż szczelina zwężała się ku górze. Było chłodno, dziwnie chłodno — prawdziwa rozkosz po słonecznym upale, który nas dotychczas prażył.

Szejk usiadł przy stoliku i skinieniem zaprosił nas do spoczynku. Dlaczego mielibyśmy się wahać, skoro już weszliśmy?

Ledwie usiedliśmy, młody pastuszek przyniósł trzy małe napełnione wodą kalebasy*, które od razu opróżniliśmy. Po nim przyszedł drugi z czterema cybuchami, woreczkiem tytoniu i miednicą z węglami. Szejk sam nabił fajki, co stanowi wyraz szczególnego uszanowania, własnoręcznie nałożył żarzące się węgle na tabakę, podał każdemu z nas cybuch i rzekł:

— Palcie! Tytoń daje obłoki woni, na której dusza unosi się ku niebu. Za chwilę przyniosą nam jadło.

Poszliśmy za jego przykładem i paliliśmy ziele dosyć dobre, jak na tutejsze warunki. Czyniliśmy tak, nie mówiąc nic, ponieważ nasz gospodarz milczał. Być może, uważał milczenie za bardziej odpowiednie dla swojej godności, a może było to dowodem grzeczności i szacunku.

Jeszcze nie wypaliliśmy cybuchów, gdy znów przybiegł jeden z pastuchów i przyniósł miskę z jakimiś owocami, którą postawił na stole.

— Jak tam z mięsem, Selim? — zapytał szejk.

— Za chwilę przyniosą — odpowiedział zapytany, oddalając się szybko.

— To przynieś także...

Urwał, ponieważ Selima już nie było.

— Selim, Selim, słuchaj!... — wołał. Nie było odpowiedzi. Zerwał się i pobiegł ku szczelinie, aby wezwać Selima. Nie podejrzewając podstępu, pozostaliśmy na miejscach.

— Selim, Selim! — powtarzał, wychodząc z jaskini.

— Z powrotem go, z powrotem! — zawołał Winnetou, aczkolwiek nie rozumiał po arabsku.

Skoczył, aby złapać szejka i wciągnąć go do środka, lecz zanim zdążył podejść do otworu, rozległ się huk i szczelina została zamknięta. Poważono właśnie ten kamień o szczególnym kształcie, który runął tak, że między nim a skałą nie można było przesunąć nawet palca.

— High-ho! — zawołał Emery, skoczywszy z miejsca.

— Winnetou spodziewał się tego — stwierdził spokojnie Apacz, siadając ponownie przy stole, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

Nie odzywałem się wcale. Z zewnątrz rozbrzmiewały okrzyki radości.

— Zdaje się, że jesteście uwięzieni! — mruknął gniewnie Anglik.

Nie odpowiedziałem.

* Naczynie z wysuszonego i wydrążonego owocu drzewa tykwowego

— Odpowiadaj! — nalegał. — Zdaje się, że jesteśmy uwięzieni?!

— Tak. I sami jesteśmy sobie winni.

— Szejk nas oszukał! Gdyby istotnie należał do Meidżerów, nie postąpiłby tak z nami.

— Tak, to prawda!

— Ale w takim razie jakie to plemię?

— Prawdopodobnie Uled Ayuni.

— To byłoby fatalnie! Ale mimo to nie mogę pojąć, dlaczego szejk nas uwięził. Nie zna nas, nie zapytał nawet o nazwiska.

— Zna nas! Meltonowie byli tutaj, a może nawet jeszcze stąd nie odjechali! Jeśli się nie mylę, spotkali się z Ayunami i opowiedzieli o wypadkach w wąwozie. Powiedzieli im, że szejk Uled Ayunów został wraz ze swymi towarzyszami schwyty do niewoli i że wyznaczono wysoki okup krwi. Ponieważ wiedzieli, że będziemy ich ścigać, powiadomili o tym Ayunów. Oznajmili, że my jesteśmy sprawcami ich niedoli, wymienili nasze nazwiska i opisali wygląd. Potem Ayuni czekali na nas, podali się za Meidżerów i zwabili do tej pułapki.

— Dlatego ten kamień tak dziwnie sterczał! Leżał podstawą do góry. Trzeba było jednego pchnięcia, aby runął i zamknął otwór. Jak sądzisz, czy został umyślnie dla nas ustawiony?

— Nie, gdyż w takim wypadku — przytaszczono by go tutaj niedawno, co natychmiast rzuciłoby się nam w oczy i ostrzegło przed wejściem. Głaz ten należy od dawna do pułapki, w której zamknięto już chyba niejednego człowieka.

— Co sądzisz o naszym położeniu? Czy jest niebezpieczne?

— To zależy. Jeśli Meltonowie jeszcze tutaj są, to zażądają naszej śmierci i będą nas dobrze strzec, abyśmy nie mogli się wymknąć.

— Jak myślisz, czy są tutaj, czy już ich nie ma?

— To drugie, ponieważ zależało im na pośpiechu.

— Jestem też tego zdania. Ale jak my się stąd wydostaniemy? A gdy wydostaniemy się z pułapki, to w jaki sposób, uciekniemy?

— Podstępem albo siłą. Poczekajmy jeszcze, co zrobią Ayuni.

— Nie możemy czekać! Twoja broń będzie ich trzymała z daleka. Nie mogą się do nas zbliżyć, aby ich nie trafiły kule z twojej niedźwiedziówki, nie lękajmy się więc ich strzelb.

— Zastanawiam się, jak się stąd wymkniemy?

— Tak samo, jak weszliśmy. Głaz waży dziesięć, a najwyżej dwanaście cetnarów. Trzech takich chłopów jak my podoła mu z łatwością. Cztery cetnary na każdego.

— Tak, gdybyśmy mieli dosyć miejsca.

— Ale spróbujmy przynajmniej! Winnetou słuchał, nie wtrącając się do rozmowy, teraz jednak rzekł:

— Nie podołamy. Moi bracia niech nawet nie usiłują.

— Spróbować można! — upierał się Emery, — Nie wolno niczego zaniedbać.

Nie wątpiłem, że we trzech potrafilibyśmy poruszyć z miejsca kamień dwunastocetnarowy. Ale tu — byłem przekonany — nie poradzimy.

Winnetou uczynił zadość wezwaniu Anglika. Stał wraz z nim u szczeliny — plecami byli zwróceny do siebie, gdyż wąska przestrzeń nie dawała więcej miejsca — ramionami oparli się o kamień. Pochyliłem się nad nimi i pomagałem. Złączyliśmy i wyteżyliśmy siły w gwałtownych pchnięciach, ale na próżno, gdyż wysiłek nasz wywierał nacisk nie tylko na kamień, lecz także na sąsiednie ściany szczeliny. Szedł więc na marne, a kamienia nie ruszył z miejsca.

— Zaprzestańmy... — sapnął Emery.

— Nic nie zdziałamy.

Spoza muru rozległ się szyderczy śmiech. Emery dodał:

— Nad słuchują z zewnątrz. Słyszeli nasze wysiłki i kpią z nas. O, gdybym miał ich tutaj, od razu by im śmiech minął. Siłą nic nie zrobimy, widzę to jasno. Jedyne ratunek w podstępnie. Ale jakim?

— Bez pośpiechu — prosiłem. — Rozwaga i zastanowienie rodzą dobre pomysły.

— Nie zawsze. Jakiegoż fortelu użyjemy, skoro tu tkwimy, a oni są wolni?

— Mój brat mógłby poczekać, jak już Old Shatterhand powiedział — rzekł stanowczym głosem Apacz. — Winnetou widzi wyjście i zbada, czy będzie możliwe.

— Jakie wyjście?

— Czy mój brat Emery nie zauważył, jak tu jest wilgotno?

— Owszem. Zauważyłem.

— A czy ściany są mokre?

— Nie, suche. Tylko podłoga jest wilgotna.

Emery, mówiąc to, podniósł matę i obmacał podłogę.

— Mój brat widział źródło w pobliżu szczeliny? — pytał dalej Winnetou. — Zapewne jest powodem tej wilgoci. Taka ilość wody nie mogłaby przebić się przez skałę, jedynie przez piach. Stąd wniosek, że pod podłogą jest piasek. Szczelina jest więc nie tylko wysoka, ale również głęboka i zasypana piaskiem do tego poziomu, na którym stoimy.

— A zatem kamień, który nas więzi, spoczywa nie na skale, tylko na podłożu piaszczystym! — zawołał Emery.

— Winnetou tak przypuszcza. Będziemy kopać pod kamieniem, aż się zapadnie tak głęboko, że zrobi przejście.

— Jeżeli podkopujemy cały fundament — odezwał się — runie głąz i zwali się na nas. Jeśli przypuszczenie mego czerwonego brata jest słuszne, to należy kamień zostawić w spokoju, a jedynie pod nim wywiercić podkop. Bądź co bądź spróbujmy!

Zdjęliśmy maty i dywan i zabraliśmy się do kopania. Wszystkie nasze narzędzia to: trzy pary rąk i trzy noże. Oczywiście, pracę rozpoczęliśmy koło wyjścia, tuż przy kamieniu. Ku naszej; radości znaleźliśmy ziarnisty piasek, pomieszany z kamykami. Sypaliśmy go do wnętrza rozpadliny.

Rozumie się, trzeba było pracować bardzo ostrożnie, aby żaden zdradliwy szmer nie przedostał się poza skałę. Dlatego praca nie szła szybko. Ale nie martwiliśmy się zbyt, bo czasu mieliśmy sporo. Była dopiero pierwsza po południu, podkop zaś powinien był nas uwolnić dopiero po zmroku.

Światła do pracy mieliśmy dosyć, albowiem kamień zasłaniał tylko dolną część rozpadliny, pozostawiając u góry rodzaj okienka, tak niestety wąskiego, że najwyżej dziecko mogłoby się przecisnąć.

Im głębiej ryliśmy, tym bardziej możliwe było zawalenie się ścian podkopu — piasek usuwał się spod rąk. Na szczęście, mieliśmy dywany i maty, które wepchnęliśmy w otwór, wykorzystaliśmy także strzelby do podparcia ścian.

W pewnej chwili usłyszeliśmy głos z zewnątrz:

— Kara ben Nemzi może podejść! Chcę z nim pomówić.

Był to głos szejka.

— Czy się odezwiesz? — zapytali Emery.

— Tak — odparłem.

— Ten łajdak niewart jest usłyszeć słowa z naszych ust.

— Być może, ale to, czego się dowiem, może mieć dla nas wielkie znaczenie.

— Kara ben Nemzi! — zawołał szejka po raz wtóry.

A zatem znał nasze nazwiska.

— Tu jestem — odpowiedziałem. — Kamień przewrócił się, dlaczego ociągacie się z jego usunięciem? Wszak wiecie, że zależy nam na czasie!

Udawałem, że kładę wszystko na karb przypadku. Roześmiał się i rzekł:

— Nie upadł, ale my go powaliliśmy.

— Powaliliście? Dlaczego?

— Dlaczego? Nie zgadujesz? Kolorasi przed odjazdem ostrzegł nas, szczególnie przed tobą. Powiedział, że należy mieć się przed tobą na baczności bardziej niż przed samym diabłem, gdyż chytryść przewyższa w tobie nawet gwałtowność. Ale ty oto nie zgadujesz nawet, dlaczego powaliliśmy kamień!?

— Jakże mogę wiedzieć? Powiedz! Mówiłem tak umyślnie, aby nabrał złego wyobrażenia o naszej przebiegłości, albowiem im niżej by nas cenił, tym mniej wierzyłby w możliwość naszego uwolnienia, a co za tym idzie, strzegłby nas nie tak dokładnie.

— Czy wiesz właściwie, gdzie się znajdujesz?

— Naturalnie. W obozie Meidżerów.

— Niech licho porwie Meidżerów! Należymy do Uled Ayunów.

— A więc nas oszukałeś?

— Tak. Kolorasi opowiadał, że wzięliście do niewoli naszego naczelnego szejka i jego towarzyszy. Pan Zastępów wysłał do Uled Ayunów dwóch posłów, którzy zażądali okupu krwi tak wygórowanego, że projekt ten mógł zalegnąć się tylko w mózgu obłąkańca. Czy tak jest istotnie?

— Tak — odpowiedziałem, udając naiwnego. — Kolorasi nie kłamał. Zawołaj go tutaj. Chciałbym z nim pomówić.

— Nie ma go.

— Zawołaj jego przyjaciela.

— Też nie ma. Zatrzymali się tylko, aby nam opowiedzieć o was i o tych wszystkich zdarzeniach. Obaj posłowie Pana Zastępów niestety nie przyjechali do nas, ale do innego naszego plemienia. Posłałem po nich i wyjechałem na wasze spotkanie, aby zwabić was do rozpadliny. Obecnie jesteście w naszej mocy i zostaniecie uwolnieni dopiero po spełnieniu naszych żądań.

— Jakie macie żądania?

— Teraz ci nie powiem. Dowiesz się, gdy przyjadą posłowie.

Słyszałem, że się oddała. Nie wiedzieliśmy, czy postawił wartownika. Natężyłem słuch. Dobiegły mnie wprawdzie różne tony i szmery obozu, nic jednak takiego, z czego by można było wnioskować o obecności straży.

Nie komentując tej rozmowy, podjęliśmy przerwana pracę.

Nie skończyliśmy jeszcze podkopu, gdy znów mnie zawołano. Zapytałem, kto woła.

— Szejk — brzmiała odpowiedź. — Posłowie Pana Zastępów przybyli. Oznajmię wam warunki. Powtarzam, że jeżeli nie spełnicie ich, zginiecie z głodu i pragnienia!

— Mów!

— Złapaliśmy was, aby mieć zakładników. Co się stanie naszemu naczelnemu szejkowi i naszym braciom, to samo was spotka. Jeśli ich zabiją, wy także umrzecie.

— Nie zabiją, jeżeli zapłacą okup.

— Właśnie, że nie zapłacą! Wy będziecie przedmiotem zamiany.

— Na to Uled Ayarzy się nie zgodzą.

— Tym gorzej dla ciebie! To ty wydałeś naszych w ręce Ayarów. Jeśli oni umrą, to i wy nie unikniecie śmierci. A teraz napisz list do Pana Zastępów! Ale my nie posiadamy ani pióra, ani atramentu.

— Obejdę się bez tego, mam bowiem ołówki. Co napisać?

— Że jesteście w niewoli i że odpowiadacie za życie naszego naczelnego szejka i jego towarzyszy. Żądasz, aby ich uwolniono.

— A co przyrzekasz w zamian?

— Życie.

— I nic więcej? A wolność?

— Ze swej strony mogę ci ją przyrzec, ale co uczyni naczelny szejk, to inna rzecz.

— Cóż może uczynić, skoro jest w niewoli, a będzie wolny nie wcześniej od nas? Pan Zastępów nie puści żadnego z waszych ludzi, jeśli my również nie odzyskamy zupełnej wolności.

Nastąpiła krótka pauza. Po czym szejk odezwał się:

— Czy to prawda, że masz dwie czarodziejskie strzelby i że z jednej możesz wystrzelić tysiąc kul, a nawet więcej — ile tylko zechcesz — bez uprzedniego nabicia?

— Tak.

— I że druga strzela na najdalszą odległość — jak daleko zechcesz — i że nigdy nie pudłuje?

— Tak. Musisz wiedzieć i to, że kule pierwszej strzelby zawsze trafiają tam, gdzie tylko zechcę.

— Czy i to prawda, że posiadacie małe rewolwery, które po jednorazowym nabiciu kręcą się i wypluwają sześć kul, jedną po drugiej?

— I to prawda. Kto ci o tym wszystkim powiedział?

— Posłowie Pana Zastępów, których po przybyciu wzięłem na spytki. Wydasz mi małe pistolety i obie czarodziejskie strzelby. Nad kamieniem jest szpara. Przesuń je przez ten otwór.

— Nie uczynię tego. Skoro chcesz strzelby, każ odwalić kamień i wejdź do nas! Wówczas będziemy mogli omówić warunki.

— Jeśli się będziesz ościagał, to cię zmuszę!

— Spróbuj zmusić! Zamykając na zdradziecko, sam pozbawiłeś się władzy przymusu.

Nie było odpowiedzi. Słyszałem tylko cichy szept. Widocznie naradzał się z kimś, po czym znów zawołał:

— Pozwoliłem posłom Pana Zastępów wrócić do swoich. Czy chcesz im dać list?

— Tak.

— Ja będę dyktował — rzekł szejk.

— Nie mam nic przeciwko temu chciałbym jednak się przekonać, że posłowie są tutaj istotnie.

— Czy zobaczysz ich, skoro staną poblizu szczeliny?

— Tak. Z lewej strony kamień odstaje nieco od skały. Mógłbym ich zobaczyć, jeśli staną w tym miejscu.

— Przyprawdźcie tych opryszków, niechaj ich zobaczy!

Słyszałem szybko oddalające się kroki. Przyprawdzono obydwu posłów i ustawiono jednego za drugim we wskazanym miejscu. Istotnie, byli to posłowie Pana Zastępów.

— Poznałeś ich? — zapytał szejk.

— Tak.

Posłowie zostali odprowadzeni, potem szejk podyktował mi list.

Była to szczególna, prawie śmieszna sytuacja. Na zewnątrz stał szejk, który nie umiał pisać, a zapewne i czytać, ja zaś miałem pisać pod jego dyktando. Stawiał warunki nie do wykonania. Zmierzał ku zwolnieniu czternastu Ayunów bez żadnego okupu, nie zobowiązując się w zamian nawet darować nam życia.

Aby go nie okłamywać, wszystko, co dyktował, pisałem po jednej stronie kartki, którą wyrwałem z notesu. Korzystałem jednak z pauz, podczas których się zastanawiał, aby po drugiej stronie opisać Panu Zastępów całą przygodę i uspokoić zapewnieniem, że w ciągu najbliższej nocy będziemy wolni i wyruszymy do Hammametu.

— Czy skończyłeś? — zapytał.

— Tak.

— Daj mi list!

Przesunąłem list przez lukę, przez którą poprzednio patrzyłem. Zaległo chwilowe milczenie. Szejk obejrzał list i rzekł:

— Cóż to takiego? Tego nie można odczytać!

— Pan Zastępów odczyta z łatwością — odpowiedziałem.

Chodziło o to, że list napisałem po niemiecku.

— Dobrze! Jeżeli Pan Zastępów nie odczyta, to tylko ty na tym ucierpisz. Dopóki nie nadejdzie odpowiedź, nie otrzymacie ani jadła, ani napoju, abyście z tym większą tęsknotą oczekiwali wiadomości.

Oddalił się wraz ze swymi towarzyszami. Wdrapałem się na głaz, aby wreszcie zbadać położenie. W miejscu gdzie kamień się kończył, szerokość rozpadliny wynosiła łokieć. Zauważyłem tam małą rysę. Wsadziłem nóż i odłamałem kawałek. Mogłem swobodnie wysunąć głowę i rozejrzeć się dookoła.

Nie było wartownika. Widocznie uważano kamień za wystarczającą zaporę, co nas mogło tylko cieszyć. Rozejrzałem się po całej dolinie. Szejk rozmawiał z posłami Krüger-beja. Widziałem, jak wręczył im pismo, po czym Ayarzy dosiedli koni i pojechali.

Czy spełni się to, co napisałem? Czy ziści się nadzieja? Czy zdołamy uwolnić się w ciągu nocy? Któż mógł to wiedzieć?

Harowaliśmy ciężko, kopiąc w ciemnościach, po omacku. Winnetou pracował na przodzie, odgrzebywał piasek i przekazywał go stojącemu za nim Emery'emu, który odrzucał go do mnie, ja zaś sypałem w górę na podłogę niby — pokoju. Staliśmy bowiem o wiele niżej poziomu pokoju. Dziura, wykopana przez nas, prowadziła na dwa łokcie w dół, a potem na trzy łokcie naprzód. Winnetou znajdował się już pod kamieniem i musiał teraz kopać pod górę. Było około północy. Za godzinę zamierzaliśmy skończyć.

Wówczas usłyszałem stłumiony szmer.

— Emery! — zawołałem.

— Jestem. Co takiego? — odpowiedział.

— Co robi Winnetou?

— Odpoczywa. Nie dostaję od niego piasku.

— Na miłość Boską, sięgnij po niego!

Minęła krótka, pełna napięcia chwila, po czym Emery krzyknął:

— Zasypany!

— O niebios! Cały?!

— Nie. Trzymam go za nogi. Zatrzymaj się! Nie odsuwaj mnie! Nie ma tu miejsca dla dwóch.

Chciałem go bowiem odsunąć, aby znaleźć się przy Apaczu.

— Prędeż, bo się udusi! — zawołałem przerażony.

Położyłem ręce na plecach Emery'ego i poczułem, że pracuje z całym wysiłkiem.

— Nareszcie! — zawołał. — Teraz na powietrze! Żyje! Winnetou, stary, poczciwy chłopie, jak się czujesz?

Ku najwyższej radości usłyszałem głos Apacza:

— Był już najwyższy czas... Omal się nie udusiłem. Sufit zapadł się i przygniótł mnie tak, że nie zdołałem nawet krzyknąć.

Pluł, kaszłał, strącając z siebie piasek, który mu zatkał usta, nos, oczy. Po czym rzekł:

— Teraz trzeba zacząć od nowa! Trzeba podwoić wysiłek, aby przynajmniej uporać się do rana.

— Czy aż tak się zapadło? — zapytałem.

— Tak.

— Chodź tutaj! Odpocznij, za bardzo się wysilałeś. Teraz ja będę na przodzie.

— Nie — sprzeciwił się Emery. — Będziemy się zmieniać kolejno, tak jak stoimy. Ja pójdę na przód, Winnetou za nami.

Pracowaliśmy bez słowa, rytmicznie, wiedząc, że od tego maksymalnego wysiłku zależy nasze życie. Po pewnym czasie zluzowałem Emery'ego i rozpocząłem pracę na przodzie, Winnetou zaś pośrodku. Nie myśleliśmy o tym, czy jest późno czy wcześnie — ryliśmy, kopaliśmy i sypaliśmy piasek bez przerwy, zagłębiając się coraz bardziej. Wierciłem ku górze, klęcząc na dnie poziomej części podkopu. Nagle otrzymałem mocny cios w kark i prawe ramię. Jakiś ciężar przygniół mnie z tyłu do piasku tak, że prawie nie mogłem oddychać. Oddychać?... Czułem się jak w przestrzeni pozbawionej powietrza. Wyciągając rękę za siebie, namacałem coś twardego — podkop był zamknięty. Kamień zwałił się i to za mną. Nie mogłem ruszyć ani naprzód, ani w tył.

— Winnetou! — zawołałem. Okrzyk przebrzmiał głucho. Nie było odpowiedzi.

— Emery!

Ten sam pozbawiony rezonansu dźwięk i ta sama po nim cisza. Nie mogłem spodziewać się pomocy. Za nim towarzysze zdołają usunąć przeszkodę, będzie już po mnie. Tylko góry mogłem znaleźć ratunek. Powietrza! Powietrza! Powietrza! Kopałem drapałem, drażyłem, wierciłem co sił w rękach. Nie zważałem na to, piasek, który usuwałem rękoma, zatykał mi usta, oczy, nos i uszy. Dalej, coraz dalej ku górze w straszliwym gorączkowym, obłąkanym pośpiechu nagle, nagle... Ach, świeże, dobre po wietrze! Powietrze, jak najwięcej po wietrza w płuca! Nabierałem je i wdychałem chciwie. Oddychałem z głęboką rozkoszą. Strzepnąwszy z twarzy piasek, zobaczyłem nad sobą blade niebo, na którym migotały ostatni gwiazdy. O tak! Przebiłem się przez powierzchnię ziemi. Oprzeć się na łokciach i wyskoczyć — to już drobnostka.

Teraz dopiero spostrzegłem, co było powodem niebezpieczeństwa o wiele większego, niż mogłem sądzić. Gdybym się znajdował o kilka cali głębiej, byłbym przygnieciony, całkowicie zmiądzony. Okazało się bowiem, że fatalny kamień się zapadł. Piasek przez nas przewiercony nie mógł go utrzymać. Wprawdzie kamień zagłębił się jedynie na dwa łokcie, ale nie pionowo, tylko nieco pochyło i wskutek tego szpara między nim a skałą powiększyła się o tyle, że — chciałem aż krzyknąć z radości — łatwo było wrócić do rozpadliny!

Moi towarzysze! O rety! Nie myślałem o nich, myślałem tylko o sobie! Co się z nimi stało? Czy żyją jeszcze? Czy może któryś z nich został przywalony kamieniem? Pośpieszyłem do szczeliny i nasłuchiwałem. Przejęła mnie ogromna radość, gdy z dołu usłyszałem następującą rozmowę:

— Więc nie piasek?

— Nie, tylko skała — odpowiedział głucho Apacz.

— Wszak był tu poprzednio piasek!

— Tak, ale gład obsunął się.

— O niebiosa! W takim razie został zmiądzony.

— Zmiądzony albo uduszony! Winnetou oddałby życie, aby uratować swego brata, ale nikt nie podoła temu gładowi! Zaszło słońce Apacza w dalekim kraju i gwiazdy jego przygasły w...

— Przygasły w świetle dnia, który wschodzi tutaj na górze! — przerwałem, przechylając się, aby mnie usłyszano i zobaczono z dołu.

— Szarlieh! — zawołał, nie, ryknął po prostu.

— Winnetou!

— Żyje, żyje! Na górę do niego! — cieszył się Emery.

W blasku zapowiadającego się dnia było widać, jak wynurzyli się z głębi. Winnetou objął mnie z przodu, Emery z tyłu. Ciągnęli mnie i ściskali, aż mi dech zaparło bardziej nawet niż poprzednio pod ziemią.

— Szarlieh, mój bracie! — tylko te trzy słowa wyrzekł Winnetou, ale intonacja jego głosu więcej mówiła niż najdłuższa oracja.

Emery był bardziej opanowany, ale nie mniej serdeczny.

— Skąd się tu wzięłeś? Uważaliśmy cię już za nieżywego, zaduszonego przez ten głaz. I oto jesteś!

— Przebiłem się. Wyjdźcie i zobaczcie, jak się to stało!

Dopiero teraz spostrzegli, że światło dzienne przeniknęło przez szparę. Wyszliśmy z jaskini.

— Jaskinia jest otwarta — powiedział Emery szeptem, ponieważ tu, na wolności, należało zachować wielką ostrożność. — Uwolniło nas właśnie to, co ciebie naraziło na niebezpieczeństwo. Jesteśmy uratowani!

— Uratowani! — kiwnął głową Apacz, trzymając mnie jeszcze za rękę. — Moi bracia niech pójdą ze mną i zabiorą swoją broń!

Zabrawszy broń, obejrzelśmy obóz. Cóż to za ludzie byli ci Uled Ayuni! Mieli trzech tak niebezpiecznych jeńców i mimo to wszyscy spali spokojnie. Nie widać było dookoła żywej duszy, która czuwałaby.

Z lewej strony spoczywały wielbłądy, a za ogrodzeniem leżały konie, które podziwialiśmy rano. Ludzie spali pojedynczo lub w grupach między owcami i innym bydłem, które tak samo spało lub wytrzeszczało ślepia na różową jutrzenkę.

— Konie czy wielbłądy? — zapytał Winnetou.

— Konie — odpowiedziałem. — Chodźcie za mną!

Położyłem się na ziemi i poczołgałem do koni. Towarzysze poszli za moim przykładem. W pobliżu ogrodzenia zatrzymałem się i szepnąłem:

— Poczekajcie tutaj, dopóki was nie przywołam. We trzech zaniepokojmy rumaki. Trzeba uniknąć ich parskania.

Obejrzałem się ostrożnie. Żaden z uspiomych nie poruszył się, nikt się nie przebudził. Ośmieliłem się wstać i podejść bliżej do koni. Wyszukałem trzy najlepsze. Osiodłałem je, co zajęło ponad pół godziny czasu. Obejrzałem się i zdrętwiałem — w tej chwili z trzeciego namiotu wyszedł Beduin, zwróciwszy się twarzą na wschód, wyciągnął ramiona i zawołał głośno:

— Allah jest wielki! Wstańcie wierni do modlitwy porannej, albowiem el Isfirar, złoty odbłask, ukazał się na niebie.

W ciągu chwili w obozie zawrzało. Beduini zerwali się na nogi. Nie wolno było stracić ani minuty, ani sekundy. Rozciąłem sznury ogrodzenia i wskoczyłem na siodło. Po chwili Winnetou i Emery siedzieli również na koniach. Popędziliśmy cwałem wprost przez obóz.

Beduini, którzy dopiero przecierali sobie oczy, osłupieli z wrażenia. Nawet ci, których minęliśmy, nie zatrzymali nas, tak byli oniemiałi. Słyszeliśmy za sobą okrzyki strachu i przerażenia, ale niedługo, gdyż rączę konie galopowały z szybkością strzały.

Kto nie dosiadał jeszcze takiego rumaka, a oczywiście tyczy się to większości ludzi, ten nie może mieć wyobrażenia o szybkości prawdziwego, wyhodowanego na pustyni lub stepie arabskiego konia. Cokolwiek się o tym mówi, twierdząc z całą stanowczością, że żaden z naszych najlepszych wierzchowców nie dorówna mu szybkością. Jechaliśmy obok siebie szczęśliwi i pełni nadziei. Twarz zaś Apacza jaśniała wręcz zachwytem.

— Szarlieh — zawołał — czy przypominasz sobie swojego Hatatitla*?

— A ty swego Iltszi*? — zapytałem z kolei.

To były nasze ogiery indiańskie, te na których przebiegaliśmy sawanny, najlepsze z widywanych tam kiedykolwiek, ale mimo to Winnetou krzyknął:

— Sto takich jak Hatatitla i sto jak Iltszi za jednego takiego konia! Nawet sam wielki Manitu nie dosiada lepszego w Wiecznych Ostępach!!

Przemknęły przed nami słynne ruiny el Khima. Po godzinie jazdy zwolniliśmy biegu, a jednak nie było śladu piany ani kropli potu na pięknych rumakach.

* Błyskawica

* Wicher

Po upływie pół godziny Winnetou obejrzał się i zawołał:

— Dwóch jeźdźców za nami. To pościg!

Zatrzymałem się i spojrzałem. Jeźdźcy byli daleko z tyłu; jeden znacznie wyprzedzał drugiego. Jechali z niezwykłą szybkością. Tak, bez wątpienia to był pościg!

— Znowu galopem! — rzekłem. — Muszą nas stracić z oczu!

Upłynęło następne pół godziny. Jechaliśmy wciąż po tej samej piaszczystej, miejscami z lekka trawiastej równinie. Nie zadawaliśmy sobie trudu oglądania się. Lecz naraz usłyszeliśmy za sobą przeraźliwy wrzask. Był to odpowiedni czas, aby się zająć najbliższym ze ścigających. Osadziliśmy konie.

Za nami pędził szejk. Stojąc w strzemionach, trzymał długą flintę i krzyczał:

— La lussus, ia haramija, afrasi, afrasi! Wy zbrojcy, wy złodzieje, moje klacze, moje klacze!

Przybliżył się już na tyle, że nie musiałem użyć niedźwiedziówki, wystarczył sztucer. Przyłożyłem broń do ramienia. Jakkolwiek pałał wielkim gniewem, to jednak widząc skierowaną w siebie lufę, zahamował konia, rzucił go w bok i robiąc dookoła nas półkole zawołał:

— Ukradliście moje najlepsze rumaki, moje klacze, które cenię ponad własne życie! Zwróćcie mi je!

— Podejdz i zabierz sobie! — rzekłem. — Zajrzyj w lufę mojej zaczarowanej strzelby, z której, jak sam mówiłeś, można wystrzelić więcej niż tysiąc kul — wówczas dowiemy się, czy twoje konie są ci milsze niż życie!

Nie usłuchał wezwania i krzyknął:

— Iil'an daknak! Niechaj będzie przeklęta twoja broda! Oddasz mi konie czy nie?

— Nie.

— A więc nadeszła twoja ostatnia godzina! — groził, podnosząc broń.

Natychmiast wycelowałem w niego i zawołałem:

— Jeśli kolba dotknie twego policzka, kula utkwi w twojej głowie! Precz z flintą!

Momentalnie opuścił broń i trzęsąc się z wściekłości, krzyknął:

— Ale sam widzisz, że w żadnym wypadku nie możesz zabrać moich koni!

— Owszem, widzę, że mi się bardzo mogą przydać. Pozwolą nam nadrobić zwłokę, na którą nas naraziłeś. Wiedziałeś, że ścigamy kolorasiego, a uwięziłeś nas. Wskutek waszego podstępstwa straciliśmy dwadzieścia cennych godzin i dlatego potrzebne nam są te trzy klacze, aby nadrobić czas. Kiedy mi już dyktowałeś list, wiedzieliśmy już, że będziemy wolni. Napisałem to Panu Zastępów.

— To napisałeś, a nie moje żądanie.

— Twoje żądania również, ale ty po to, aby się z nich uśmieł.

— A zatem posłowie jego nie wrócą?

— Nie. Ale on sam teraz z całym wojskiem przyjdzie odebrać okup krwi i ukarać ciebie za twój postępek.

— Allach, o Allach! I to ja sam posłałem mu twoje pismo!

— Tak, posłałeś. Widzisz zatem, wielką obdarzył cię Allach mądrością. Ale teraz dosyć słów. Czas nagli. Niechaj Allach będzie z tobą!

Zrobiłem ruch, jak gdybym chciał się oddalić. Wówczas krzyknął:

— Stój! Nie ruszaj się z miejsca! Zwróć konie! Widzisz, że nie jestem sam!

Istotnie przyłączył się doń jego towarzysz, lecz nie odważył się do nas podjechać. Trzeci, który wyłonił się był zza widnokręgu, zbliżał się w szybkim tempie, a za nim inni.

— Nie ośmieszaj się! — odpowiedziałem. — Chcę postępować z łagodnie i aby cię uspokoić, powiem, co następuje: trzy wielbłądy, które zabrałeś, należą do Pana Zastępów. Nie nam je zrabowałeś, ale jemu. Za to podarujemy mu te trzy konie, będziesz się mógł z nim

porozumieć w tej sprawie. Kto wie, może zgodzi się zamienić je z powrotem na swoje wielbłądy.

— Uważaj, czy zdołasz uciec!

Przyłożył błyskawicznie strzelbę i spuścił kurek. Spudłował. Chciałem dopaść szejka, ale wyręczył mnie Winnetou. Mężny Apacz nie uznał za potrzebne posługiwać się bronią. Dostkoczył do szejka z boku i nieodpartym natarciem przewrócił rumaka wraz z jeźdźcem. — Potem wpadł na drugiego Uled Ayuna, wyrwał mu z ręki flintę i schylając się, roztrzaskał o ziemię.

— Pyszenie zrobione, pierwszorzędnie! — zawołał Emery. — Ale teraz naprzód!

Jechaliśmy przez cały dzień, nie spotykając żadnego z prześladowców. Nie dojrzelismy też tropu zbiegów. Nie szukaliśmy go zresztą, wszak już wiedzieliśmy, dokąd podążyli. Czas, o który nas wyprzedzili, był stracony bezpowrotnie. Całą nadzieję pokładaliśmy w tym, że nie znajdą w porcie statku, który by od razu wypłynął na morze.

Przed wieczorem dotarliśmy do gór Ussala, gdzie znalazła się pasza i woda dla koni. My jednak musieliśmy położyć się do snu o głodzie, ponieważ nie zabraliśmy ze sobą prowiantu. Nie martwiło to nas zbytnio.

Następnego dnia koło ruin Nabhannah spotkaliśmy Beduinów z plemienia Ussalah, którzy powitali nas przyjaźnie. Za kilka srebrnych monet nabyliśmy wystarczającą do Hammametu ilość żywności.

Tego dnia dotarliśmy do Mahnlute–Kasr, gdzie przenocowaliśmy. Rano wyruszyliśmy do ruin Zehlum i poprzez Kasrazeit i el Menarah przybyliśmy wreszcie wieczorem do Hammametu.

Niezwłocznie udałem się do rejjis el mina^{*}, który czasem zwie się również rejjis el mersa. Dowiedziałem się od niego, oczywiście za odpowiednim napiwkim, że od czterech czy nawet pięciu dni żaden statek, prócz niewielkiego kutra, nie opuścił portu.

— Do kogo należy ten kuter?

— Do kupca Musaha Babuama z Tunisu.

Niestety, przypadek wyjątkowo sprzyjał zbiegom. Aczkolwiek byłem przekonany, że nie omieszkali z niego skorzystać, zapytałem:

— Czy kuter zabrał tylko ładunek, czy także pasażerów?

— Dwóch pasażerów.

— Cóż to za jedni?

— Kolorasi baszy, który dążył drogą morską do Tunisu i jakiś młody człowiek z Belad el Amerika.

— Kiedy odjechał kuter?

— Dziś rano. Pasażerowie przybyli na krótko przed jego wypłynięciem. Spiesznie odsprzedali swe wielbłądy i wsiedli na kuter, który wkrótce miał podnieść kotwicę.

— Czy w drodze do Tunisu zatrzyma się gdziekolwiek?

— Nie. Cały ładunek przeznaczony jest do Tunisu.

— Kiedy tam może dobić?

— Przy takim wietrze za trzy dni.

Ta wiadomość ucieszyła mnie, ponieważ drogę lądową z Hammametu do Tunisu mogliśmy przebyć w dwa dni, a więc przybyć tam o dzień wcześniej od kutra. Wprawdzie wypadało wątpić, czy Meltonowie będą aż tak odważni, aby w Tunisie wysiąść. Ale jedynie w tym porcie mogli natrafić na wielki parowiec, chyba że spotkają jakiś przypadkowo w drodze i przesiądą się.

Tego samego zdania był Emery. Zgodził się ze mną i zapytał:

— Wyruszamy stąd jutro rano?

* Kapitan portu

— Może masz inną propozycję?

— Tak. Sądzę, że szejk nie zaniechał pościgu. Może wkrótce nadjechać i zatrzymać nas tu dłużej, niż chcemy. Czy nie lepiej więc zniknąć, zanim przyjedzie?

— Masz rację. Pojedziemy zatem drogą do Solimanu. Wszak nam wszystko jedno, gdzie przenocujemy, lepiej nawet jest spać pod gołym niebem niż w zajeździe małego miasteczka.

Jeszcze wieczorem opuściliśmy Hammamet i spaliśmy nie opodal miasteczka w gaju oliwnym. Nazajutrz dotarliśmy do Solimanu, a następnego dnia po południu przybyliśmy do Tunisu. Wierzchowce natomiast zostawiliśmy w Bardo do dyspozycji Pana Zastępów.

Według obliczeń kapitana z Hammametu mieliśmy czekać na przybycie kutra tylko jeden dzień. W istocie czekaliśmy trzy dni. Wreszcie zawinął do portu. Żaden pasażer nie zszedł z pokładu. Do kapitana nie chciałem się zwracać, gdyż mógł mnie jedynie oszukać. Wnet nadarzył się lepszy informator. Gdy tylko kuter przybił do nabrzeża, usłyszałem przeraźliwe krzyki — na pokładzie chłostano jakiegoś chłopca, po czym wypędzono go na brzeg. Gdy dotarł do lądu, odwrócił się, pogroził swoim gnębicielom pięściami i wrzasnął coś, czego nie mogłem z daleka dosłyszeć. Potem powlókł się powoli ku miastu.

Jako wypędzony chłopak okrętowy nie miał oczywiście środków do życia, ale nie przejmował się tym zbyt. Nie kłopotał się o zarobek; miał swój własny pogląd na życie. Kiedy przechodząc koło niego, udawałem, że chcę go wyminąć, zatrzymał się i wyciągnął rękę, prosząc o jałmużnę. Nie poskapiłem mu sutego datku i zapytałem o warunki życia na kutrze.

— Czy mieliście tylko ładunek, czy również pasażerów?

— Także dwóch pasażerów.

— Czy wysiedli tutaj, w Goletta?

— Nie. Musieliśmy ich zawieźć wyspę Pantellania, gdzie wysiedli i kupili sobie ubiory Franków. Potem, gdy wrócili, zaczęliśmy lawirować morzu tak długo, aż spotkaliśmy wielki parowiec, który wziął ich na pokład,

— A jak się nazywał ten parowiec?

— Nie wiem.

— Skąd przybywał i dokąd płynął?

— Nie mogę tego powiedzieć. Mój kapitan sądził, że nie powinienem o tym wiedzieć.

To było wszystko. Chłopak był raz pierwszy na morzu i za mało wiedział, aby mógł udzielić wyczerpujących informacji. Jedno tylko było pewne, i to najważniejsze a zarazem najbardziej nieprzyjemne, mianowicie obaj Meltonowie zbiegli wielkim europejskim parowcem. Rozumie się, zamierzali jak najprędzej dotrzeć do Ameryki. Jeżeli nie mogliśmy ich wyprzedzić, to musieliśmy przynajmniej nie dać im czasu do przeprowadzenia nikczemnych planów.

Rozmówiłem się ze swymi towarzyszami, którzy zatrzymali się wraz mną w tym samym hotelu, co za pierwszym pobycem w Tunisie. Postanowiliśmy wsiąść na parowiec, który, nazajutrz miał wyruszyć do Marsylii. Tam już łatwo mogliśmy znaleźć okręt do Ameryki.

Moi przyjaciele wyszli na miasta, aby poczynić odpowiednie przygotowania, ja zaś zostałem sam w hotel spisywałem notatki. Naraz usłyszałem na korytarzu szybkie kroki. Ktoś zastukał energicznie i szarpnął drzwi z całej siły. Podniosłem się, aby skarcić gburę, który tak niegrzecznie chciał się wdrzeć do mojego pokoju, i słowa zamarły mi na ustach, miałem bowiem przed sobą mego starego, kochanego Krüger-beja. Objąwszy mnie, ścisnął z całej siły i wołał:

— Wy już znowu tutaj w Tunisie! Nikt nie mógłby przypuszczać, aby takie rychłe przybycie było możliwe do wykonania.

— Tak, poszło szybciej, niż się sam spodziewałem — odpowiedziałem, potrząsając jego prawicą. — Przyszedł pan nas odwiedzić. Skąd pan wie, że przybyliśmy? Pokazano widocznie nasze konie?

— Tak, tak, i z tego sądzić chciałem, że panowie tu jesteście.

— Naturalnie, wszak wierzchowce nie mogły same przybiec. Powiedziano panu także, kto je przyprowadził. Jakże się podobają?

— Cudowne! Przy pewności, że są czystej rasy, nikt nie mógłby je opłacić.

— Tak, to są prawdziwe, czystej krwi konie.

— Jakże pan znalazł się w posiadaniu takich skarbów?

— Opowiem panu. Niech mi pan jednak uprzednio wyjaśni, jak pan tu przybył. Sądziłem, że sprawy wymagają dłuższej obecności u Uled Ayarów.

— Tej konieczności uczyniłem zadość błyskawicznym działaniem i tak szybkim napadem na Uled Ayunów, że nie mieli czasu na obronę.

Opowiedział mi w swej łamanej niemiecczyźnie, jak to natychmiast wyruszył z odsieczą, aczkolwiek uwierzył mojej notatce, że zdołamy się w ciągu nocy uwolnić. Uled Ayuni nie zwinęli jeszcze obozu, oczekując powrotu szejka i jego kilku najlepszych wojowników, którzy ścigali nas aż do Hammamet. Krüger-bej, który wyruszył wraz z całym wojskiem i Uled Ayarami, okrążył Ayunów i zmusił ich do poddania się bez najmniejszego sprzeciwu. Natychmiast potem napadł na dwa inne szczepy i także pokonał je bez rozlewu krwi. Ayuni byli zmuszeni zapłacić wyznaczony okup, co jednak wymagało pewnego czasu. Obecność Krüger-beja nie była konieczna. Zostawił na miejscu dwa szwadrony, a z resztą wojska wrócił do Tunisu, gdzie od razu po przybyciu dowiedział się, że byliśmy w Bardo i tam zostawiliśmy konie. Domyślił się, że zatrzymaliśmy się w tym samym hotelu, co przedtem i dlatego przybył do nas czym prędzej. Wieczór spędziliśmy w jego miłym towarzystwie.

Nazajutrz parowiec zawinął do portu.

Przed udaniem się na statek zdążyliśmy jeszcze poinformować władze o zbrodniczych czynach obu Meltonów oraz o zamordowaniu przez nich Smalla Huntera.

Krüger-bej osobiście odprowadził nas na statek, chcąc dopilnować, aby nam niczego nie brakowało. Długo machał chusteczką na pożegnanie, życząc nam udanego pościgu.

ZNÓW NA ZACHODZIE

Od czasu opisanych zdarzeń minęły cztery miesiące. Trzy upłynęły na zmaganiu się niezmiernie drogiej mi osoby ze śmiercią. Mówię tu, oczywiście, o moim przyjacielu Winnetou. Natura jego, na ogół bardzo odporna, nie zniosła pobytu w Afryce. W Marsylii nadarzyła się szybka sposobność podróży tylko do Southampton. Ledwo okręt podniósł kotwicę, cierpienie zbiło Winnetou z nóg. Myśleliśmy początkowo, że to choroba morska. Jednak zawezwany lekarz stwierdził poważne niedomagania układu pokarmowego. Musieliśmy przerwać podróż i zaopiekować się przyjacielem. Wynajęliśmy willę w Southampton i tam przenieśliśmy bardzo wycieńczonego chorobą Winnetou.

Apacz, choć tyle razy śmierć zaglądała mu w oczy, teraz musiał mocować się z wrogiem ukrytym i zdradzieckim, którego nie sposób było zidentyfikować. Czytelnik nie wątpi chyba, że nie myśleliśmy o niczym innym, tylko o pielęgnowaniu drogiego przyjaciela. Dzień i noc siedzieliśmy na zmianę u jego wezgłowia i nie szczędziliśmy żadnych zabiegów, byle zmusić chorobę do odwrotu. Dopiero w trzynastym tygodniu lekarze oświadczyli, że kryzys minął i chory potrzebuje jedynie odpoczynku i spokoju.

Spokoju i odpoczynku! Apacz uśmiechnął się przy tych słowach, lecz na jego wychudłej jak szkielet twarzy uśmiech wyglądał raczej jak grymas bólu.

— Spokoju? — oburzył się. — Nie pora na to obecnie! Odpoczynku? Czyż Winnetou może odpocząć tu, na tym postaniu, w tym kraju? Dajcie mu prerie, zwróćcie mu jego prastare lasy — wówczas odzyska siły. Musimy stąd wyjechać! Moi bracia wiedzą, jak palące wołają nas sprawy.

Wiedzieliśmy bardzo dobrze. Rzecz oczywista, że nie zaniedbaliśmy niczego, co mogło zapobiec planom obu Meltonów, zmierzających do zagarnięcia milionowej spuścizny. A zatem natychmiast po wylądowaniu w Southampton depeszowałem do młodego adwokata Freda Murphy'ego do Nowego Orleanu. Ponieważ depesza nie wracała, uważałem, że ją otrzymał. W ślad za depeszą wysłałem obszerny list ze szczegółowym opisem naszych przeżyć i przygód. Prosiłem o zaareztowanie Meltonów, skoro tylko zjawią się w Nowym Orleanie, i o zatrzymanie ich do naszego przybycia.

Po trzech tygodniach nadeszła odpowiedź. Adwokat dziękował za ostrzeżenie i zawiadamiał o poczynionych krokach. Jako przyjaciel Smalla Huntera zajął się tak pilnie odszukaniem spadkobiercy i całą sprawą, że został mianowany przez sąd egzekutorem testamentu. Otrzymałszy moją depeszę i list, natychmiast przekazał je władzom i dołączył do akt. Wkrótce potem zgłosił się rzekomy Hunter. Oczywiście, aresztowano go wraz z ojcem. Wyglądał jak wykapany Small Hunter i znał najtajniejsze jego sprawy. Gdyby nie mój list, nie wahano by się przyznać mu bez żadnych trudności całej wielomilionowej schedy. Na skutek mego zawiadomienia zbadano go jednak i stwierdzono istotnie, że posiada normalne stopy, podczas gdy prawdziwy Small Hunter miał, jak wiadomo, dwanaście palców u nóg.

Ponadto adwokat prosił, abym przesłał dokumenty, które posiadam, a które są mu niezbędne do szybkiego zakończenia sprawy. Przypuszcza bowiem, że my trzej nie będziemy mogli rychło przyjechać, szybkie zaś postępowanie leży w interesie właściwych spadkobierców.

Musiałem mu przyznać słuszność, Jednakże jakiś głos wewnętrzny ostrzegał mnie, abym nie wysyłał dokumentów. W takim porcie jak Southampton można było dostać wszystkie poważniejsze zagraniczne dzienniki. Przeglądałem codziennie trzy najpoczytniejsze pisma z Nowego Orleanu, a jednak żaden nie wspominał ani słowem o całej aferze. Zrodziły się we mnie podejrzenia.

Po namyśle postanowiłem napisać do adwokata, że dokumenty są zbyt wielkiej wagi, aby powierzać je niepewnej poczcie morskiej. Jeśli jest biegłym i przezornym prawnikiem, o czym nie mam powodu wątpić, pochwali jedynie moją ostrożność.

Wyłuszczyłem w liście wszystko i znów po trzech tygodniach otrzymałem odpowiedź. Fred Murphy nie odmawiał mi pewnej słuszności, ale mimo to prosił, bym dokumenty przesłał przez zaufanego człowieka. Ja zaś nie kwapiłem się do wysyłki, tym bardziej, że gazety z Nowego Orleanu po dawnemu nie wspominały o aferze.

Wysłałem również list do pani Marty Werner i do jej brata skrzypka. Zawiadomiłem ich o wszystkim i zapewniłem, że na pewno obejmą sukcesję, której usiłowali ich pozbawić obaj Meltonowie. Na list ten nie otrzymałem jednak odpowiedzi.

Wreszcie zdrowie Winnetou poprawiło się o tyle, że mógł wychodzić z domu. Zaproponowałem mu, aby pozostał w Southampton do całkowitego wyzdrowienia, nam zaś pozwolił wyjechać do Nowego Orleanu. W odpowiedzi obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem i zapytał:

— Czy brat mój mówi poważnie? Czy brat mój zapomniał, że Old Shatterhand i Winnetou nie rozstają się nigdy?

— Tu zachodzi wypadek wyjątkowy. Sprawy naglą, ty zaś nie odzyskałeś jeszcze w pełni zdrowia.

— A jednak pojedziemy! Ja tak chcę. Niech mój brat dowie się, kiedy odplywa najbliższy okręt do Nowego Orleanu. Howgh!

Skoro wyrzekł to słowo, próżno byłoby się upierać, musiałem być posłuszny jego życzeniu.

Po upływie czterech dni wsiedliśmy na pokład.

Nasz niepokój był istotnie zbyteczny. Winnetou odzyskał siły z podziwu godną szybkością i zanim przybyliśmy do Nowego Orleanu, czuł się nie gorzej niż przed chorobą.

Po zameldowaniu się w hotelu, udałem się do adwokata sam jeden, ponieważ obecność moich przyjaciół była zbyteczna. Łatwo odszukałem jego mieszkanie i biuro. Z wielkości pomieszczenia i liczby oczekujących klientów można było wnioskować, że jest to wielce renomowany i popularny adwokat. Wręczyłem służącemu moją wizytówkę, każąc natychmiast oddać szefowi. Usłuchał, a wróciwszy, nie polecił mi ku memu zdziwieniu wejść do gabinetu, lecz wskazał puste krzesło.

— Czy mister Murphy odczytał moją kartę? — zapytałem.

— Tak — kiwnął głową.

— Cóż kazał powiedzieć?

— Nic.

— Nic? Zna mnie przecież!?

— Oczywiście.

— Poza tym sprawa moja jest nie tylko nader ważna, ale również nagląca. Niech pan wejdzie i zamelduje, że proszę o natychmiastowe przyjęcie.

— Dobrze.

Odwrócił się i znikł za drzwiami gabinetu. Po chwili wrócił, nie spojrzawszy nawet na mnie, podszedł do okna i patrzył spokojnie przez szybę.

— No, cóż powiedział mister Murphy? — zapytałem, zbliżając się do niego.

— Nic.

— Znowu nic? Nie pojmuję! Czy pan aby naprawdę wykonał moje polecenie?

Odwrócił się szybko i rzekł:

— Próżne gadanie, sir! Mam pilniejszą robotę, niż zaspokajanie pańskiej ciekawości. Mister Murphy dwukrotnie obejrzał pańską wizytówkę i nic nie powiedział. To ma znaczyć, że musi pan czekać, jak każdy inny, na swoją kolej. Siadaj pan i zostaw mnie w spokoju!

Byłem ostatnim spośród dwudziestu prawie klientów. Minęła godzina, jedna i druga, a nawet upłynęło pół trzeciej, zanim przysłała kolej na mnie.

Adwokat miał zapewne niewiele ponad trzydziestkę. Skierował na mnie pytające, inteligentne oczy.

— Mister Murphy? — zapytałem, kłaniając się lekko.

— Tak — odparł. — Czego pan sobie życzy?

— Zna mnie pan. Przybywam wprost z Southampton.

— Southampton? — powtórzył, kiwając głową. — Nie przypominam sobie, abym był w jakichś stosunkach z tym miastem.

— Nawet po przeczytaniu mojej wizytówki?

— Nawet.

— Rzecz dziwna! Proszę, niech pan sobie przypomni. Nie mogłem rychlej przybyć z powodu choroby Winnetou.

— Winnetou? Czy mówi pan o sławnym wodzu Apaczów?

— No tak.

— No, ten cwałuje z nierozłącznym Old Shatterhandem po prerii i górach. Skąd pan wie, że Apacz był chory?

— Leżał w Southampton obłożnie chory. Jestem Old Shatterhand. Pielęgnowałem wodza, a teraz przybyliśmy tu, aby wręczyć panu dokumenty, o których przesłanie pocztą pan prosił.

— Ja nigdy niczego od pana nie żądałem — rzekł zdumiony.

— Chyba się pan myli? Pisałem do pana dwukrotnie i dwukrotnie mi pan odpowiadał.

— Nie przypominam sobie, nie pisałem nigdy do Southampton. W jakiej właściwie sprawie pisał pan do mnie.

— W sprawie spuścizny Smalla Huntera.

— Smalla Huntera? Ach, jego dek! Kilka milionów! Byłem wykonawcą testamentu. Była to dobra, opłacalna praca. Musiałem, niestety, szybko doprowadzić ją do końca. Wolałbym, aby nie zakończyła się tak prędko.

— Zakończyła się? Nie chce pan chyba powiedzieć, że sprawa jest załatwiona?

— Czemu nie? Rozumie się, że to Chciałem powiedzieć.

— Załatwiona? — zapytałem przerażony. — A zatem znalazł się właściwy spadkobierca?

— Oczywiście.

— I odebrał spadek?

— Odebrał aż do ostatniego centa.

— Rodzina Vogel z San Francisco?

— Vogel? Nie miałem do czynienia z rodziną Vogel z San Francisco.

— Nie? Więc komu wypłacono spadek?

— Smallowi Hunterowi.

— Do diabła! A więc przyjechałem za późno! Wszak ostrzegałem przed Smallem Hunterem!

— Co takiego? Ostrzec mnie przed Smallem Hunterem? Panie, mimo szacunku dla pana muszę stwierdzić, że co prawda jest pan znakomitym westmanem, lecz poza prerią staje się sir niezbyt zrozumiałym lub też może lubuje się aż nazbyt w zagadkach. Pan mnie ostrzegał przed Smallem Hunterem? Muszę oświadczyć, że ten młody dżentelmen jest moim przyjacielem.

— Wiem o tym, wiem, że był pańskim przyjacielem. Był, bo czy nieboszczyk może być jeszcze teraz przyjacielem pana?

— Nieboszczyk? Co pan opowiada! Small Hunter nie tylko żyje, lecz jest zdrow jak ryba.

— Czy mogę wiedzieć, gdzie według pana przebywa?

— Jest w podróży na Wschód. Ja sam odprowadziłem go na okręt, który wyruszył do Anglii.

— Do Anglii? Hm! Czy sam pojechał?

— Sam jeden, bez służącego, jak to przystoi tak przedniemu hulacy. Zainkasował gotówkę, wszystko pozostałe sprzedał dość szybko i wyjechał, jak sędzę, do Indii.

— Zabrał ze sobą cały majątek?

— Tak.

— Czy to nie wydało się panu podejrzane? Czy zdarza się, aby turysta obwoził po świecie całą swoją wielomilionową fortunę?

— Nie. Ale Small Hunter nie jest turystą. Zamierza bowiem na stałe osiąść w Egipcie czy Indiach, czy też gdzie indziej na Wschodzie. Z tego właśnie względu spieniężył całą sukcesję.

— Dowiodę panu, że uczynił to z innego względu. Proszę, niech mi pan powie, czy Hunter nie miał jakiejś cechy szczególnej, jakiejś nienormalności?

— Nienormalności? Jak to? Do czego pan zmierza?

— Zaraz się pan dowie. Przedtem niech pan odpowie.

— Skoro pan nalega... Owszem, miał nienormalność niedostrzegalną z zewnątrz. Mianowicie po sześć palców u każdej nogi.

— Czy pan wie dokładnie?

— Tak dokładnie, że mógłbym przysiąc.

— A czy jegomość, któremu pan przekazał miliony, miał również dwanaście palców?

— Jakże pan może zadawać podobne pytania! Czy prawo nakazuje liczyć palce u nóg spadkobierców?

— Nie. Ale jegomość, któremu pan oddał ten olbrzymi majątek, ma tylko dziesięć palców w butach.

— Nonsens, powiedziałbym, gdyby pan nie był Old Shatterhandem.

— Może pan powiedzieć, nie wezmę tego za złe. Może pan nawet powtórzyć, gdy panu oświadczę, że prawdziwy Small Hunter o dwunastu palcach spoczywa w grobie na terenie tunickich Beduinów z plemienia Uled Ayarów.

— Spoczywa...

— Nie dokończył, cofnął się o dwa kroki i wlepił we mnie nieruchome spojrzenie.

— Tak, spoczywa w grobie — dodałem. — Small Hunter został zamordowany, pan zaś wręczył jego spadek oszustowi.

— Oszustowi? Niech się pan zastanowi! Jest pan Old Shatterhandem. Przypuszczam, że przyszedł pan nie tylko po to, by mówić tak niepojęte rzeczy, lecz także aby odpowiednio działać.

— Tak też zamierzam. Zresztą, już działałem w tej sprawie, która dotyczy również pana. Wszak wysłałem z Southampton dwa listy.

— Nic o tym nie wiem!

— W takim razie pozwoli pan, że pokażę pańskie obydwie odpowiedzi.

Wyjąłem listy z kieszeni i położyłem na stole. Schwycił je i czytał — pierwszy, a potem drugi. Śledziłem wciąż zmieniający się wyraz jego twarzy. Po przeczytaniu drugiego listu, zabrał się ponownie do pierwszego, po czym znów do drugiego. Czytał je po trzykroć, nie mówiąc ani słowa. Rumieniec znikł z jego twarzy, która oblekła się trupią blednością. Ręką dotknął czoła, gęsto skroplonego potem.

— A teraz — przerwałem milczenie — czy poznaje pan te listy?

— Nie — odpowiedział z głębokim, bardzo głębokim westchnieniem.

Twarz jego powlekała się teraz wypiekami podniecenia i grozy.

— Niech pan obejrzy koperty, listy pochodzą z pańskiego biura, jak tego dowodzi pieczętka.

— Tak.

— Poza tym są przez pana podpisane.

— Nie!

— Nie? Mamy tu dwojaki pismo. List został napisany przez któregoś z pańskich biuralistów, a podpisany przez pana.

— Tylko pierwsze jest prawdą.

— A więc pański kancelista napisał ten list?

— Tak. Jest to charakter pisma Hudsona. Nie wątpię, że on to napisał.

— A podpis...?

— Podrobiony! Podrobiony tak dokładnie, że ja tylko mogę się na tym poznać. Mój Boże! Mam wrażenie, że śnię! Straszny koszmar...

— Czy ma pan dosyć czasu, aby wysłuchać bardzo długiej opowieści?

— Czasu? Co za pytanie! Trzymam w ręku podrobione listy, które świadczą, że moja kancelaria była terenem niecznych manipulacji. Muszę mieć czas, choćby opowiadanie pańskie trwało tygodniami. Niech pan siada. Wydam tylko polecenie służącemu, aby nikogo nie wpuszczał!

Usiadłem. Przyznaję, że byłem podniecony. Wszak nie miałem podstawy, aby wątpić, że moje listy dotarły do właściwego adresata, a okazało się, że wręcz przeciwnie, wpadły w najmniej właściwe ręce. Hultaje przeprowadzili swoje plany. Wszystkie nasze wysiłki poszły na marne.

Po chwili wrócił adwokat, usiadł naprzeciw mnie i dał znak ręką, abym zaczął. Twarz miał bladą, wargi mu, drżały. Z największym wysiłkiem starał się zachować spokój. Żał mi było tego człowieka, którego honor był wystawiony na szwank. Jego uczciwość osobista — byłem przekonany — nie podlegała żadnemu posądzeniu, lecz w kancelarii działy się oszustwa. Publiczne ujawnienie tych faktów musiałyby go jako adwokata zniszczyć doszczętnie.

Byłem przeświadczony, że Tomasz i Jonatan Meltonowie wciągnęli do współpracy Harry'ego Meltona. Dlatego nie pominąłem go w opowiadaniu. Dokładnie opowiedziałem wszystko, co wiedziałem i co przeżyłem z tą trójką. Trwało to oczywiście dosyć długo. Adwokat nie przerwał mi ani razu. Nawet gdy skończyłem, siedział jeszcze długo w milczeniu, z nieruchomym spojrzeniem utkwionym w kąt pokoju. Potem podniósł się, kilkakrotnie przemierzył gabinet nerwowymi krokami i zatrzymując się przede mną, zapytał:

— Panie, czy wszystko, co usłyszałem, jest prawdą, jest istotnie prawdą?

— Tak.

— Wybacz pan to pytanie! Widzę, trudno zresztą nie widzieć, że jest zbyteczne, ale słowa pana, które brzmią tak nieprawdopodobnie, posiadają o wiele większe znaczenie, niż pan może sobie wyobrazić.

— Mogę sobie wyobrazić — chodzi o pańską renomę, o przyszłość, może nawet o pana majątek.

— Naturalnie, że o majątek również. Jeżeli się okaże, iż ma pan rację, Wówczas nawet bez przymusu całym swoim majątkiem powetuję straty wynikłe z mojej winy dla prawdziwych spadkobierców. A niestety, aż nazbyt wiem, że wszystko, co oddałem oszustowi, jest na zawsze stracone.

— Nie ma jeszcze powodu do rozpacz. Może zdołamy go schwytać. A propos, jak się nazywa autor tych dwóch listów, a zarazem podrabiacz pańskiego podpisu?

— Hudson.

— A kto odbierał korespondencję?

— Niestety, Hudson. Przedkładał mi tylko to, czego sam nie mógł załatwić.

— A zatem otrzymał, przeczytał i odpowiedział na moje listy, nic o nim panu nie wspominając? Czy nadal pracuje u pana?

— Oczywiście. Aktualnie przebywa na dwutygodniowym urlopie.

— Na ile lat wygląda?

— Ma chyba pięćdziesiąt.

— A postać?

— Wysmukły, kościsty brunet.

— Zęby?

— Wszystkie.

— Twarz?

— Twarz miał szczególną. Był bardzo przystojnym mężczyzną. Nie widziałem jeszcze tak pięknej męskiej twarzy. Lecz po dłuższym wpatrywaniu się w nią odbierało się wrażenie, jak gdyby twarz jego miała jakieś osobliwe braki. Nie jestem malarzem znawcą sztuki i nie umiem się właściwie wyrazić. Jego twarz była piękna, podobała mi się, ale tylko wtedy spoglądałem na nią przelotnie.

— Wiem już, co o tym sądzić. Szefem pańskiego biura był Harry Melton. Dlaczego zjawił się właśnie u pana? Zbliżała się godzina śmierci starego Huntera. Syn jego, podobny do młodego Meltona, przyjaźnił się z panem. Z tego wynikało, że młody Hunter w kwestiach prawnych będzie zasięgał pańskiej rady. Oto i wszystko!

— Trudno mi uwierzyć, że padłem ofiarą tak sprytnego planu. Ale pan mnie przekonał.

— Jestem nawet pewny, że ten szef pańskiego biura nie tylko korespondował z bratem z Tunisu, lecz także od czasu do czasu otrzymywał listy od bratanka, które informowały go o wszystkich sprawach.

— Co za otchłań podłości i okrucieństwa! I co za szczęście, że nie przesłał im pan dokumentów! Uległyby zniszczeniu i bylibyśmy pozbawieni dowodów świadczących przeciwko Meltonom.

— Co się tego tyczy, to można byłoby wówczas sprowadzić nowe dokumenty z Tunisu, oczywiście ze znaczną stratą czasu. Oczywiście, że lepiej się stało, iż nie wydałem ich w ręce oszustów. Co pan teraz zamierza?

— Spełnię przede wszystkim swój obowiązek i zamelduję natychmiast władzom. Potrzebne mi są w tym celu pańskie dokumenty. Czy powierzy mi je pan?

— Naturalnie! Wszak po to je przywiozłem. Wręcę panu również inne papiery, które odebrałem Harry'emu Meltonowi i jego bratankowi. Oto pakiet.

— Dziękuję! Będziemy zmuszeni pana i jego towarzyszy fatygować jeszcze kilka razy na przesłuchanie. Proszę pana o szczególne zaakcentowanie podobieństwa, które mnie zwiodło.

— Może pan być przekonany, że nie pominię nic, co mogłoby usprawiedliwić pański błąd. Prawdopodobnie zarządzi się za zbrodniarzami natychmiastowy pościg?

— I to bez zwłoki. Dzięki Bogu, mamy tu nader doświadczonych i bystrych detektywów, znanych we wszystkich naszych stanach. Zrobią wszystko, co w ich mocy, aby schwytać oszustów.

— Jest to ich obowiązkiem i za to im się płaci. Zresztą, ja sam natychmiast zabiorę się do tropienia śladu Meltonów, a jeśli odnajdę, nie dam go sobie wydrzeć.

— Czy nie należałoby raczej powierzyć śledztwa tajnej policji? Mógłby pan popełnić błędy, które tylko utrudniłyby pracę detektywom.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Jest pan wyśmienitym myśliwym, lecz wytropienie zwierzyny a odszukanie trzech tak wyrafinowanych przestępców to dwie całkiem różne rzeczy.

— Hm! Pańskie pouczenie brzmi tak przygniatająco, że zaniecham wszystkiego, co mogłoby przeszkodzić pańskim detektywom. Kiedy właściwie wyjechał stąd rzekomy Small Hunter?

— Przed dwoma tygodniami.

— A więc w tym samym czasie, kiedy szef pańskiego biura otrzymał urlop. W jakim hotelu mieszkał Hunter?

— W żadnym. Odnajmował od pewnej wdowy bardzo ładne mieszkanie niedaleko stąd. Nie wychodził prawie nigdy z domu, odwiedzał mnie tylko w koniecznych wypadkach.

— Czym uzasadniał swoje postępowanie?

— Studiowaniem języka indyjskiego, co go całkowicie pochłonęło.

— A więc nie obcował z nikim?

— Z nikim. Wdowa, pani Elias, mieszka na parterze o pięć domów stąd. Byłem tam kilkakrotnie i zawsze go zastawałem zatopionego w obcojęzycznych księgach, tak że rozmawiałem z nim o rzeczach najbardziej niezbędnych. Teraz, kiedy otworzył mi pan oczy, widzę dopiero jego postępowanie we właściwym świetle i uświadamiam sobie, że istotnie wystrzegał się jak ognia poufałej ze mną rozmowy.

— A gdzie mieszkał dzielny szef pańskiej kancelarii?

— Na parterze w pierwszym domu na prawo.

— Czym się zajmuje jego gospodarz?

— Jest handlarzem, nie wiem zresztą czego. Hudson był jego sublokatozem. Chce się pan jeszcze czegoś o nim dowiedzieć? Niech pan to zostawi tajnej policji! Może pan wiele, a nawet wszystko popsuć!

Powtórne ostrzeżenie adwokata zepsuło mi humor. Skończyłem rozmowę i wróciłem do hotelu. Jakże się zdumiali Winnetou i Emery, kiedy złożyłem im sprawozdanie z wizyty. Emery huknął pięścią w stół i wściekle krzyknął:

— Czy można było przypuścić!? Teraz będziemy mogli rozpocząć poszukiwania od nowa i tylko w wypadku, jeśli byli tak łaskawi, że zostawili jakieś ślady. Ale i wówczas można się spodziewać, iż nasze największe nawet wysiłki i napotkane niebezpieczeństwa nie zwrócą majątku prawdziwym spadkobiercom. I to się nazywa adwokat! I śmie on jeszcze mówić, że łatwiej jest schwytać zwierzynę niż człowieka. Niech no mi ta oferma spróbuje schwytać niedźwiedzia grizzly. Muchę, to i owszem, ale nie niedźwiedzia! Przyjmuje nieznanego oszusta za najlepszego przyjaciela, mianuje szefem kancelarii zatraconego rozbójnika i mordercę i śmie nam — nam dawać nauki! Niechaj dziękuje Bogu, że nie ma go teraz w tym pokoju. Ja bym go...!

Nie skończył wprawdzie groźby, lecz zastąpił ją takim uderzeniem w stół, że aż blat wyskoczył. Winnetou natomiast milczał. Duma Indianina nie pozwoliła mu dać upust uczuciom, jakie nim targały.

Nie upłynęły jeszcze dwie godziny, gdy przyszedł goniec, aby nas wezwać na przesłuchanie. Musieliśmy zaprzysiąc nasze zeznania. Napomknięto nam, że mamy się stawić na każde razowe wezwanie. A jednak byliśmy zdecydowani wyjechać z Nowego Orleanu, o ile by zaszła taka konieczność.

Ledwie wróciliśmy do hotelu, kelner zameldował jakiegoś pana, który chciał się z nami rozmówić. Był bardzo starannie ubrany starszy jegomość o szczwanym wyglądzie. Bez zaproszenia rozsiadł się wygodnie krzesła, obejrzał nas bardzo uważnie, splunął, przesunął lulkę z jednego drugiego kąta ust i zapytał Emery'ego.

— Mam zaszczyt widzieć przed sobą wielce szanownego pana Bothwella?

— Istotnie nazywam się Bothwell — odparł zapytany.

— Pan zaś jest owym znakomitym westmanem, którego zowią Old Shatterhandem? — rzekł, zwracając się do mnie.

— Tak.

— A pan jesteś Winnetou? Pomimo niegrzecznej formy zapytania, Winnetou skinął potakująco.

— A zatem trafiłem do właściwych ludzi i mam nadzieję, że udzielą panowie odpowiednich informacji.

— Czy nie zechciałby pan prze wszystkim powiedzieć nam, kim jest — odezwał się Emery. — A może jest pan nikim i nie ma żadnego nazwiska

— Jestem wszystkim i mam wszystkie nazwiska — brzmiała zuchwała odpowiedź. — Jak się nazywam, obojętne. Dostyc, że powiem, iż zamierzamy odszukać Meltonów. Jestem szefem detektywów i chcę panów nade wszystko prosić, abyście poniechali tej sprawy.

— Zastosujemy się do tego z przyjemnością — oświadczył Emery. — Niech pan tylko zawsze pamięta o tej przyjaznej prośbie.

— A więc przystępujemy do pytań! Znacie panowie dobrze Meltonów?

Odpowiadaliśmy zarozumiałemu jegomościowi tak skąpo, że wreszcie odszedł zagniewany. Wówczas odezwał się Emery:

— Sami musimy znaleźć Meltonów. Ale gdzie ich szukać? Czy wierzysz, że Jonatan wyjechał za morze?

— Nie. Wszedł na pokład, aby zmylić adwokata — odpowiedziałem.

— A jego stryj Harry?

— Także nie pojechał do St. Louis. Do Europy również nie zwiali z obawy przed listami gończymi. Do Afryki i dalej też nie. Najwłaściwszym miejscem dla nich jest schronienie gdzieś na ustroniu i pokazanie się między ludźmi dopiero wówczas, kiedy przeszłość mchem porośnie. A gdzie można się najlepiej i najszybciej ukryć? Niewątpliwie tutaj, na terenach zachodnich. Mogę się założyć, że tkwią gdzieś w tutejszych górach. Mają jednak dosyć pieniędzy. W dobrym ukryciu mogą przetrwać rok, a nawet dłużej.

— Ja myślę tak samo. Miejmy nadzieję, że pozostawili po sobie jakieś ślady.

— Żadne zdarzenie, żaden czyn nie mija bez śladu. Trudność polega na tym, aby go wykryć. Przede wszystkim zwiedzę mieszkania obu łotrów. Być może, znajdę jakąś nić, która nas zaprowadzi do kłębka.

Poszedłem do pani Elias, przedtem jednak wstąpiłem do szynku, mieszczącego się w sąsiednim domu. Sądziłem, że zasięgnę języka. Niestety, kelner — stary Murzyn — służył tu zaledwie od kilku dni. Zaniechałem więc pytań. Byłem jednak zadowolony, że wstąpiłem do baru, gdyż po chwili ujrzałem naszego znajomego detektywa, wychodzącego z domu wdowy. Złożył zapewne pani Elias wizytę, aby dowiedzieć się czegoś o Jonatanie Meltonie.

Przeczekałem piętnaście minut, po czym przeszedłem na drugą stronę ulicy. Kartka na drzwiach oznajmiała, że mieszkanie jest znowu, a raczej jeszcze, do wynajęcia. Zadzwoiłem. Otworzyła mi bardzo stara i nader tęga jejmość, mulatka, która swym okazałym tułowiem zatarasowała wejście, oglądając mnie uważnie. Wiedziałem, jak trzeba się obchodzić z tego rodzaju kobietami. Zerwałem z głowy kapelusz i zapytałem:

— Przepraszam, milady, czy mam szczęście widzieć panią Elias?

Pochlebstwo wywołało pożądany skutek. Twarz mulatki rozplynęła się w błogim uśmiechu.

— Nie — odpowiedziała. — Jestem jej kucharką. Pani Elias jest w pokoju. Niech pan pójdzie za mną, sir!

— Proszę, oto moja wizytówka, milady! Nie należy wchodzić bez meldowania do tak czcigodnej damy.

Po zaanonsowaniu wpuściła mnie do pokoju i zamknęła drzwi. Miałem przed sobą starszą damę o łagodnym wyrazie twarzy. Powitała mnie przyjaznym spojrzeniem.

— Przepraszam panią. Przeczytałem, że jest tu mieszkanie do wynajęcia.

— Tak — odrzekła, patrząc na przemian to na mnie, to na wizytówkę.

— Proszę bardzo, niech pan siada! Mieszkanie składa się z czterech pokoi. Czy to nie za wiele dla pana?

— Stanowczo. Nawet jeden pokój — i to za wiele dla mnie. Nie przychodzę w sprawie najmu mieszkania, madame.

— Nie? — zapytała zdziwiona. — A wszak pan mówił...

— To była tylko wymówka! Ale ponieważ ujęła mnie pani swoim szczerym spojrzeniem, nie mogę dłużej kłamać. Przyszedłem w celu zasięgnięcia informacji o Smallu Hunterze.

— O nim? Czy jest pan z tajnej policji?

Mówiąc to wyraźnie się zasępiła.

— Nie, pani. Wiążą mnie jednak ze Smallem Hunterem sprawy tak istotne, że będę nader wdzięczny, jeśli zechce mi pani łaskawie udzielić informacji.

Uśmiechnęła się i rzekła:

— Nie powinnam tego właściwie czynić, ponieważ nie obrał pan prostej drogi. Ale że okazał pan skruczę, spełnię pańskie życzenie. Zna pan Huntera?

— Znam go doskonale z bardzo złej strony.

— Z bardzo złej strony?... A więc to prawda, co mówił agent policji?

— Co mówił?

— Że Hunter jest oszustem.

— To prawda.

— Boże wielki! I u mnie mieszkał taki niebezpieczny opryszek! Gdybym wiedziała, nie zagnałabym ani chwili spokoju, dopóki by się nie wyprowadził. To rzecz straszna, przerażająca!

— Czy agent poinformował panią o wszystkim?

— Tak, że Hunter nazywa się Melton, że przyczynił się do zamordowania właściwego Huntera i zagarnij jego majątek. Czy tak jest rzeczywiście?

— Mniej więcej. Nie wiem, czy detektyw postąpił dobrze, wtajemniczając panią. Lecz skoro już to jestem, mogę z panią porozmawiać. To ja kryłem to piekielne oszustwo; Melton jest łajdakiem, co się zowie. Spad zagrabiony dzięki morderstwu i oszustwu, powinien dostać się pewnej biednej, poczciwej rodzinie w San Frani co, która już ledwie wiąże koniec końcem. Pani może się bardzo przyczynić do zwrócenia tym ludziom należnego im majątku.

— Uczynię wszystko, co będzie mojej mocy. Czym mogę panu służyć — Jakaś wskazówką, która by mi naprowadzić na miejsce pobytu Meltona.

— O to prosił także agent.

— Udzieliła mu pani jakichś informacji?

— Nie. Zwracał się do mnie tak grzecznie, że nic prawie nie powiedziałam. Zresztą, nawet przy najlepszych chęciach nie mogłabym uczynić dość jego życzeniu.

— Z kim Hunter obcował?

— Przychodził do niego nieraz adwokat Murphy. Hunter zaś wychodził z domu tylko dwa czy trzy razy, puszczam, że do adwokata.

— Poza tym nikt go nie odwiedzał?

— Pewnego dnia przyszedł jakiś jegomość z biura adwokata. Był nie podobny do służącego Hunter:

— A zatem Hunter miał służącego?

— Owszem, na czas pobytu w Nowym Orleanie. Przyjął go tutaj i odprawił przed wyjazdem.

— Hm! Cóż to za człowiek był ten służący? Czy może go pani określić?

Opis przekonał mnie, że rzekomym służącym Meltona był jego własny ojciec.

— Czy nie słyszała pani, o czym Hunter rozmawiał ze służącym?

— To, co słyszałam, nie odbiegało od spraw powszednich. Ale często szeptali ze sobą, mieli chyba jakieś wspólne sekrety.

— Czym zajmował się Small Hunter? Skoro nie opuszczał mieszkania, miał dużo wolnego czasu. Czy nie spędzał go na jakiejś pożytecznej pracy?

— Nie. Stałe siedział przy oknie.

— Mówiono mi, że uczył się obcego języka?

— Nieprawda. Chwytał za książkę tylko wówczas, gdy przychodził adwokat.

— Tak też przypuszczałem. Jakiego pani była o nim zdania? Musiało panią przecież zastanowić, że ten młody człowiek całymi dniami zbija baki.

— Uważałam go za chorego, bo ja wiem, za melancholika. Zresztą, zmieniałam zdanie, skoro zaczął odwiedzać damę, mieszkającą na górze nad nami.

— Czy mieszka sama?
— Nie. Ma dwie służące Indianki.
— Jest młoda?
— Tak. I piękna.
— Jak się nazywa?
— Silverhill.
— To jest nazwisko angielskie.
— Tak, jednak nie sędzę, aby jej rodzice byli Jankesami albo Anglikami. Słyszałam nieraz, jak rozmawia ze swymi służącymi po hiszpańsku.
— Hm! A więc z tą damą obcował pani lokator?
— Dopiero w drugim tygodniu. Siedział wszak całymi godzinami przy oknie i widział ją, gdy wychodziła lub wracała. Zapytał o nią, wreszcie złożył jej wizytę i odtąd zaczął często odwiedzać.
— To ciekawe. Wie pani coś więcej o tej damie?
— Niewiele. Jest bardzo bogata. Moja kucharka rozmawiała parę razy z Indiankami. Dama namiętnie uprawia gry hazardowe i szczęście jej stale dopisuje. Zaprasza do siebie również namiętnych graczy. Ponadto wiem, że jest wdową. Wydała się z tym jedna z Indianek. Mąż jej nie był zwykłym zjadaczem chleba.
— Może był wodzem indiańskim?
— Powiedziałem to żartobliwie. Roześmiała się. Ale natychmiast błysnęła mi myśl. Zapytałem:
— Czy widziała pani kiedyś jej służące?
— Nie.
— Wolna Indianka nigdy nie poniży się do posług domowych u białych. Tu muszą zachodzić szczególne okoliczności. Znam taki przypadek, że biała kobieta poślubiła wodza indiańskiego. Czy ta pani jest blondynką?
— Nie, to brunetka.
— Czy zna pani jej imię?
— Tak. Któregoś dnia przyniesiono dla niej list i wręczono przez pomyłkę mojej kucharce, która nie umiejąc czytać, przyniosła go do mnie. Wtedy przeczytałam, że owa dama to Judyta Silverhill.
— Skoro tak, to muszę złożyć jej wizytę i to szybko!
— Jak to? Zna ją pan?
— Tak, jeżeli się nie mylę. Jest to niezwykle ciekawy zbieg okoliczności, który może mi się bardzo przydać. Madame, była pani tak dobra i łaskawa dla mnie, proszę jeszcze o jedną przysługę!
— O ile tylko będę mogła, chętnie ją wyświadczę.
— Nie rozmawiała pani jeszcze nigdy z tą damą?
— Jeszcze nie.
— Może to jednak zdarzyć się w najbliższej przyszłości. Proszę panią bardzo, niech pani zatai cel mego przybycia! Proszę, niech pani w ogóle o mnie nie wspomina i niech pani łaskawie poleci swej kucharce, aby nie wygadała się przed Indiankami o Smallu Hunterze.
— Ona o niczym nie wie ani też się nie dowie. A zatem, zamierza pan tę damę odwiedzić?
— Koniecznie! Podziękowałem gospodyni za miłe przyjęcie i pożegnałem się. Wszedłem o piętro wyżej i zadzwoniłem. Otworzyła młoda dziewczyna, bezsprzecznie Indianka. Wpuściła mnie do bardzo pięknie urządzonego pokoju. Po chwili portiera odsunęła się i oto miałem przed sobą... Judytę, którą po raz ostatni widziałem jako narzeczoną wodza Jumów. Od tego czasu bardzo zmieniła się na korzyść — była piękniejsza, wyższa i bardziej kobieca. Poznała mnie natychmiast. Tonem na poły radosnym, na poły zakłopotanym, zawołała po hiszpańsku:

— Pan... senior tutaj?! Co za radosna niespodzianka! Jakże pragnęłam pana zobaczyć! Proszę, niech pan wejdzie do buduaru! Niech pan usiądzie przy mnie! Mamy sobie wiele, bardzo wiele do opowiedzenia.

Pociągnęła mnie za rękę do buduaru i posadziła przy sobie na kanapie. Trzymając moją dłoń w swojej, rzekła z zalotnym mrugnięciem:

— Muszę się panu przede wszystkim przyznać, że nie przypominam sobie pańskiego nazwiska. Jest to rzecz niewybaczalna, prawda?

— Tak, zwłaszcza że pragnęła mnie pani widzieć.

— Ale pan mi wybaczy? Ogląda się i przeżywa w życiu tyle wszystkiego, że łatwo zapomina się o szczegółach. Miał pan, o ile pamiętam, dwa nazwiska: jedno właściwe, a drugie nadane przez Indian. To drugie brzmiało... brzmiało... no jakże? Była tam ręka czy noga!

— Old Firefoot — wtrąciłem szybko. Było mi to bardzo na rękę, że nie pamiętała mego nazwiska. Wszak obcowała z Jonatanem Meltonem.

— Tak, tak, właśnie, była w tym noga — „foot”, a mówiłam panu! — rzekła ze śmiechem. — A pańskie właściwe nazwisko? Jeśli się nie mylę, nazywa się pan tak, jak jeden z dwunastu miesięcy?

— März — rzekłem.

— Tak, istotnie März.

— Ale nie mówmy o mnie. Jak się pani powodziło? Czy zawsze było pani tak dobrze?

— Tak.

— No to nie żałuje pani, że została żoną Indianina?

— Z początku nie żałowałam, gdyż wywiązywał się z przyrzeczenia. Dostałam od niego złoto, klejnoty, pałac, a nawet zamek.

— Ach! Wiem wprawdzie, że niektórzy Indianie doskonale wiedzą, gdzie są ukryte skarby, ale nie sądziłem, iż wódz wywiąże się tak skrupulatnie z danego słowa. A zatem był naprawdę tak bogaty, jak twierdził?

— Tak. Zebrał wiele złota, nie wiem dotychczas skąd, nie chciał mi bowiem powiedzieć. W każdym razie przynosił je z gór, gdzie nie brak starych sztolni i złotodajnych żył. Opuściliśmy Sonorę i zamieszkaliśmy na granicy Arizony i Nowego Meksyku. Tam właśnie wznosi się mój zamek. Jest to olbrzymia budowla aztecka, w której poza mną i moim ojcem nie stanęła jeszcze noga żadnego białego człowieka. Dziesięciu Jumów, nie chcąc rozstać się z wodzem, pojechało z nim wraz z dziećmi i żonami. Ja jednak ciężko odczuwałam osamotnienie i tęskniłam za miastem. Wyjechaliśmy więc do San Francisco, gdzie kupił mi dom jak pałac.

— Szczęśliwa pani! A gdzie jest teraz pani mąż?

— W Wiecznych Ostępach — odparła obojętnie.

— Co spowodowało jego śmierć? — zapytałem poruszony.

— Nóż.

— Proszę, niech mi pani opowie szczegółowo! Jestem niezmiernie zaciekawiony. Był Indianinem, ale mężnym i uczciwym. Dotrzymywał danego słowa. Zawsze myślałem o nim z przyjaznym uczuciem.

— Cóż mogę panu opowiedzieć!? Rzecz przedstawia się nader prosto. Rozumie się, w San Francisco nie uszłam uwagi innych mężczyzn. Odwiedzano mnie, zalecano się i to go bardzo denerwowało. Któregoś dnia odwiedziliśmy znajomego hacjendera. Było wiele gości, a między nimi kilku wielce interesujących kawalerów i oficerów, którzy bardzo się mną zainteresowali. W następstwie tego doszło do rozprawy na noże pomiędzy moim mężem a jednym z panów. Caballero otrzymał pchnięcie w ramię, mój mąż w serce.

Ciągnęła spokojnie dalej tym samym tonem:

— Oczywiście, korzystam z wolności, jak tylko potrafię. Nauczyłam się grać i mogę sobie pozwalać na wiele. Wygrywam prawie zawsze, a co się tyczy miłości, to mam nowego konkurenta, który tak jest oczarowany, że pragnie mnie czym prędzej poślubić.

— Oficer?

— Nie, młody, bardzo piękny i wykształcony caballero, który objechał cały świat, zna szczególnie dobrze Wschód i co najważniejsze, odziedziczył niedawno kilka milionów.

— Na Boga! Ma pani kolosalne szczęście! — zawołałem niezmiernie uradowany, wiedziałem bowiem, że Judyta ma na myśli Jonatana Meltona.

— Szczęście to przychodzi w samą porę. Powiedziałam już, że zawsze wygrywam. Wydatki pochłaniają wszystko, a ze złota wodza nie pozostało ani śladu. Sprzedałam już dom we Frisco a skoro i te pieniądze się rozejdą, pozostanie mi tylko stary zamek na pustkowiu, za który nikt nie da złamanego szeląga.

— Czy senior, o którym pani wspomniała, nie jest przypadkiem tym znanym Smallem Hunterem, któremu pośrednictwem adwokata Freda Murphy'ego wypłacono przed paroma tygodniami znaczny spadek?

— Tak, to ten sam. Czy zna go pan?

— Nie. Słyszałem tylko o nim. Podobno wyjechał do Indii?

— Nieprawda.

— Ale tak mówią. Widziano, jak wsiadał na okręt. Adwokat odprowadził go aż na pokład.

— To prawda, ale Hunter wnet wrócił na łódź łódką. Ja także siedziałam w tej łódce. Skoro tylko się ściemniło, przekradliśmy się do domu, czym dopiero nazajutrz naprawdę odjechał.

— To ciekawe! Dlaczego udawał, że wyjeżdża do Anglii, a stamtąd do Indii?

— O, to jest sekret, który mogę wyjawiać tylko panu. Jego ojciec, stary Hunter, przebywał niegdyś przez długie lata w Indiach. Umiłował ten kraj tak gorąco, że w testamencie zażądał, aby syn natychmiast po otrzymaniu spadku udał się do Indii i mieszkał tam przez lat dziesięć. Dziesięć lat — nawet jednego dnia nie mogło zabraknąć, inaczej musiałby zwrócić spuściznę. Poza tym, przez cały ten czas nie wolno mu się żenić. Small zgodził się na warunki i nawet się pod nimi podpisał. W dwa dni później poznał mnie, a co za tym idzie, może się pan domyślić. A więc czyż mógł jechać do Indii? Czyż mógł spełnić warunki, na które wyraził zgodę?

— Dlaczego nie? Jeśli macie się ku sobie, to mogła pani razem z nim pojechać do Indii.

— Ha, ha! — roześmiała się. — Nie mam zamiaru z powodu mężczyzny, chociażbym go kochała ponad życie, wyjeżdżać do obcego kraju.

— Ale od niego żąda pani poświęcenia, żąda pani, aby tu pozostał!

— Cóż to za poświęcenie? Tam, w Indiach, musiałby trwać w stanie kawalerskim, gdy natomiast tutaj może się ze mną ożenić.

— Sądzi pani, że w Indiach dowiedziano by się, iż wszedł w związki małżeńskie i doniesiono by tutejszym władzom?

— Prawdopodobnie, tak przynajmniej twierdził.

— A tu? Nie sądzi pani, że pozostając tutaj, narażacie się o wiele bardziej na odkrycie?

— W krótkim czasie zamierzamy się potajemnie pobrać i ukryjemy się w moim zamku.

— Zamieszkacie razem z pani ojcem, który tam pozostał?

— Tak.

— Chyba bardzo mu się przykrzy w tej samotności?

— Wcale nie. Powiedziałam już panu, że osiedliło się tam kilka rodzin indiańskich, tworzących odosobnioną, ale wesołą kolonię.

— Skąd biorą żywność?

— Sprowadzają za pośrednictwem Indian z plemion Mogollon i Zuni.

— Czy plemiona te przebywają w pobliżu zamku?

Było to bardzo istotne pytanie. Czekałem na odpowiedź z niecierpliwością, której nie mogła jednak spostrzec.

— Tak — odpowiedziała. — Mój zamek wznosi się między terenami tych plemion, nad Kolorado, a właściwie nad pierwszym jej lewym dopływem.

— W takim razie położenie pani zamku jest nader romantyczne, gdyż o ile pamiętam dopływ czerpie swe wody ze źródła wybijającego na północnym zboczu Sierra Blanca.

— Istotnie.

— Zbocze południowe należy do Apaczów i Pimo?

— Tak. Swego czasu przejeżdżaliśmy tamtędy.

Nie podejrzewała nawet, jaką wewnętrzną radością napełniały mnie jej szczerze odpowiedzi. Zadawałem wszakże pytania z chłodną i obojętną miną, ona zaś była tak ufna i naiwna, że bez ociągania się wyjawiała cały sekret.

— Jest to naprawdę ustronie — rzekłem. — Wątpię, czy Hunter trafi tam bez pani.

— Toteż go odprowadzę.

— Pani? A więc nie wyjechał stąd?

— A jakże, wyjechał. Ale wyznaczyliśmy sobie spotkanie. A nawet, jeśli ja nie będę mogła przyjechać, to na pewno spotka się z dwoma doświadczonymi westmanami, którzy będą mu towarzyszyli w drodze do zamku. Spotkamy się wszyscy w Albuquerque.

— A więc w Nowym Meksyku?

— Tak, w domu niejakiego Plenera, który posiada wielką restaurację.

— Tam będą istotnie dobrze ukryci. Ale pani, dlaczego pani nie wyjechała razem z nimi?

Przybrała komicznie poważny wyraz twarzy i rzekła:

— Mam tu jeszcze przez jakiś czas pozostać na posterunku.

— Na posterunku? Rzecz staje się coraz bardziej interesująca!

— O, jest bardzo interesująca, nader interesująca! Otóż niech pan sobie wyobrazi, że zarządzono poszukiwania, czy aby senior Hunter, mój narzeczony, spełnił warunki testamentu i czy zamiast jechać do Indii, nie schował się w kraju.

— Komu mogło na tym zależeć?

— Krewnemu, któremu w tym wypadku przypadłaby spuścizna. Przepraszam pana, ktoś dzwoni!

Istotnie, ktoś zadzwonił. Podniosła się z kanapy i znikła za portierą, która zasłaniała sąsiedni pokój. Indianka otworzyła drzwi i powiedziała nazwisko, którego nie dosłyszałem.

— Niech wejdzie! — rzekła Judyta, wchodząc do drugiego pokoju. Zostałem sam w buduarze i usłyszałem całą rozmowę, aczkolwiek byłem do tego najmniej powołany.

— Czy jesteśmy sami? — zapytał po angielsku przybysz, po krótkim powitaniu.

— Niech pan mówi.

— Mam donieść pani, że trzy osoby, których oczekuje, są już w mieście. Mój syn natychmiast mnie zawiadomił. Pracuje tam, gdzie ich przesłuchiowano. Mogę jeszcze wymienić te nazwiska — dodał po chwili — a chyba pani je zna.

— Nie, nie znam.

— A więc Indianin jest wodzem Apaczów, Winnetou.

— Winnetou! — zawołała zdumiona. — Znam go bardzo dobrze! Widziałam go już dawniej.

— Następnie Anglik, nazywa Bothwell.

— Nie znam takiego.

— Trzeci jest westmanem, zwanym powszechnie Old Shatterhandem.

— Old Shat-ter-hand! — zawołała, jaskając się. — To... to... to jest chodź, chodźże pan prędzej!

Trzasnęły drzwi, po czym zaległo milczenie. Zaprowadziła go zapewne do drugiego pokoju, bardziej odległego. Jej rozmówca był niewątpliwie gospodarzem Harry'ego Meltona.

Gdy tylko wymienił nazwisko Old Shatterhanda, uprzytomniła sobie, że to mój przydomek, nie zaś ten, który podałem, Old Firefoot. Widziała mnie w Sonorze razem z Winnetou. Mniemała zatem, że to ja jestem właśnie tym, któremu miał przypaść spadek, jeśli Hunter nie pojechał do Indii. I oto mnie przed chwilą opowiedziała, że Hunter nie zamierza porzucić ojczyzny. Byłem bardzo ciekaw, co teraz pocznie.

Minęło piętnaście minut, zanim wróciła. Blade policzki i groźny błysk oczu świadczyły o podnieceniu, które starała się ukryć.

— Oszukałeś mnie! Wie pan, jak powinnam to nazwać!? Podejść w taki sposób damę, to...

— Proszę, niech pani lepiej milczy! — przerwałem. — Nie ścierpię żadnej obelgi. Jesteś narzeczoną oszusta. Cóż mi przeszkodzi przekazać panią policji?

— Co panu przeszkodzi? To się natychmiast okaże! Poczekaj pan chwileczkę. Muszę tylko dać napiwek posłańcowi; moja sakiewka leży w sypialni. Potem usłyszysz pan, co mu powiem!

Wyszła z buduaru przez drzwi, znajdujące się naprzeciw kanapy. Słyszałem lekki szmer, jak gdyby zasuwanego rygla. Zbliżyłem się do drzwi i ująłem za klamkę. Były zamknięte. Po cichu wróciłem do buduaru i przedostałem się do sąsiedniego pokoju. Ale i ten zamknięto. To było już chyba czynem Indianki.

— Ach, zamknęła cię, aby się tymczasem ulotnić — powiedziałem do siebie. — Bardzo pięknie! Niech umyka!

Otworzyłem okno i wyjrzałem na ulicę, ale tak, aby mnie nie spostrzeżono. Zobaczyłem Judytę, zanim jeszcze minęło pięć minut. Widocznie szybko się ubrała i naprędce zgarnęła całą gotówkę oraz kosztowności. Miała na sobie szarą pelerynę i skromny kapelusz. Za nią szła Indianka z torbą, a dalej mężczyzna z czarną brodą dźwigał kuferek. Był to ten, który zawiadomił ją o naszym przybyciu. Spojrzeli w górę, lecz nie zauważyli mnie, ponieważ szybko cofnąłem głowę. Kiedy wyjrzałem po raz drugi, byli już daleko. Zmieszali się z tłumem przechodniów.

Kto inny na moim miejscu wyłamałby zapewne drzwi i pobiegł za nimi. Ja jednak ani o tym pomyślałem. Byłem pewny, że Judyta bezzwłocznie wyjedzie z Nowego Orleanu.

Znów próbowałem otworzyć drzwi. Były naprawdę zamknięte. Przeszukałem dokładnie oba pokoje, które zostawiła mi do dyspozycji. Na małym stoliku w buduarze zwrócił moją uwagę album z fotografiami. Otworzyłem go i znalazłem podobiznę Jonatana Meltona w gabinecie formacie. Za fotografią tkwiła złożona kartka. Nie byłem aż tak dyskretny, aby ją zostawić na miejscu. Wręcz przeciwnie, czytałem, co następuje:

Oświadczam niniejszym i poświadczam własnoręcznym podpisem, że przyrzekam poślubić panią Silverhill.

Small Hunter

Ci, którzy znają surowe prawa małżeńskie Stanów Zjednoczonych, wiedzą, co znaczą takie trzy czy cztery wiersze zaopatrzone podpisem. O tak ten zimny i wyrachowany człowiek tkwił w jej sidłach! Mogłem być przekonany, że jeśli nie zastanę go w Albuquerque, to na pewno spotkam zamku.

Włożyłem do kieszeni fotografię oraz kartkę i zacząłem badać mechanizm zamka. Nie trzeba było posiadać kunsztu włamywacza, aby otworzyć drzwi.

Po wyjściu na ulicę postanowiłem złożyć wizytę handlarzowi, u którego wcześniej mieszkał Harry Melton. Chciałem, aby gospodarz po powrocie do domu zastał mnie w swoim mieszkaniu. Nie pobiegłem za Judytą, ponieważ przypuszczałem, że od niego wyciągnę więcej, niż mógłbym sam zobaczyć.

Napis na oknach parteru wyjaśniał, że nazwisko handlarza brzmi Jeffers i że zajmuje się sprzedażą wyrobów złotniczych oraz zegarków. Drzwi były od wewnątrz zaryglowane. Zapukałem, otworzyła jakaś kobieta.

- Czy pan Jeffers w domu? — zapytałem.
- Nie. Czego pan sobie życzy?
- Bransolety lub innego prezentu dla niewiasty.
- W jakiej cenie?
- Od dziesięciu do piętnastu dolarów.
- Niech pan wejdzie, sir. Mój mąż zaraz wróci.

Gdybym podał mniejszą sumę, kazałaby zapewne przyjść później. Wszedłem do przedpokoju, gdzie było dwoje drzwi. Jedne prowadziły w głąb, drugie do pokoiów, zajmowanych zapewne niedawna przez Harry'ego Meltona.

Kobieta była ubrana schludnie i sprawiała wrażenie istoty bezwolnej i przybitej. Musiałem czekać trzy kwadransy, zanim powrócił mister Jeffers. Otworzyła mu drzwi i zawiadomiła o kliencie. Wszedł, zaprowadził mnie do pokoju, w którym leżał towar.

— A więc życzy pan sobie bransoletki, sir? — rzekł. — Polecam panu gorąco te granaty. Mam do nich odpowiednią broszkę. Są bardzo twarzowe, szczególnie dla blondynki.

— Pani Silverhill nie jest blondynką.

Opuścił rękę z bransoletą i szybko zapytał:

— Pani Silverhill? Zna pan damę o takim nazwisku?

— Naturalnie. Kupuję dla niej ten prezent. Dlaczego to pana dziwi?

— No, interesujemy się osobami, dla których przeznaczony jest nasz towar. Ponieważ przypadkowo słyszałem, że pani Silverhill jest bardzo bogatą damą, radzę panu kupić coś dobrego.

— Bardzo słusznie. Właściwie mówiąc, powinienem był pójść do wielkiego magazynu jubilerskiego, ale zwróciłem się do pana, gdyż tylko za pańską sprawą będę mógł jej wręczyć ten prezent.

— Jak to?

— Pani Silverhill wyjechała i tylko pan wie, dokąd.

— Ja? — krzyknął z wyrazem lęku na twarzy. — Co ja mam wspólnego z panią Silverhill?

— Zapytaj pan policji!

— Po...

Usiłował wykrztusić słowo do końca, lecz uwięzło mu w gardle.

— Tak, policji — potwierdziłem poważnie i z naciskiem.

— Cóż to znaczy? Co mogę wiedzieć o pańskiej Silverhill?

— Dokąd wyjechała, wie pan bardzo dobrze. Sam odniósł pan jej kufer! Odwiedził pan tę damę i zawiadomił o przybyciu do miasta Old Shatterhanda, Winnetou i mister Bothwella.

— Do stu piorunów, sir! Te... te... te nazwiska...

— Wymienił je panu syn, który z tego powodu stracił posadę. Naturalnie, poza tym wytoczą zarówno jemu, jak i panu sprawę, a o co, to pan sam wie doskonale.

— Ja... ja... o niczym nie wiem!

— Istotnie? A czy zna pan nazwisko Small Hunter?

— Small...?!

— A czy nie mieszkał u pana niejaki Hudson? Czy nie polecono panu oznajmić pani Silverhill o obecności tutaj trzech obcych mężczyzn? Powiadam, wyjdzie to bokiem panu i pańskiemu synowi, który wszak wiedział, o co rzekomy Hunter został oskarżony.

Runął niemal na krzesło i uderzył się dłonią w czoło.

— Tak, to się fatalnie dla pana skończy; to prawda — potwierdziłem. — Cóż pan powie na to, że natychmiast pana ze sobą zabiorę, master?

Skoczył na równe nogi i zawołał zatrwożony:

— Czy naprawdę jest aż tak... tak źle, tak niebezpiecznie, sir?! Wszak dotychczas wierzyłem w autentyczność Smalla Huntera i dopiero przed dwiema godzinami dowiedziałem się od syna, że to oszust, w co zresztą do tej pory nie mogę uwierzyć.

Czułem, że nie kłamie. Wyglądał na człowieka, który gdy nadarzał się zarobek, niekoniecznie słuchał głosu uczciwości, ale w każdym razie nie sprawiał wrażenia zawodowego przestępcy.

— Hunter popełnił nie tylko oszustwo, lecz i coś o wiele gorszego — zapewniłem złotnika.
— Gdy tylko zostanie schwytany, stanie przed sądem. Nie lepszy los czeka jego zauszników.

Nie skąpiłem mu jeszcze innych pogroźek. Poskutkowały. Po chwili powiedział:

— Wyznam panu wszystko, sir. Pan jest detektywem i musi spełnić swój obowiązek. A jednak może by pan mógł mnie i mego syna wyłączyć z tej sprawy? Niech pan weźmie sobie zegarek lub najpiękniejszy klejnot, jaki jest w moim posiadaniu.

Uważał mnie więc za agenta policji — to było mi na rękę. Szczęściem, nie widział mnie poprzednio w mieszkaniu Judyty. Po chwili zastanowienia rzekłem:

— Chce mnie pan przekupić? Niech się pan nie waży powtórzyć tej niecnej propozycji! Puszczę ją mimo uszu, albowiem gdybym i to zameldował, pograżyłbym pana jeszcze bardziej. Nie chcę wierzyć, że miał pan wspólne interesy z takimi łotrami i dlatego

— Sir — wtrącił — nie mam nic wspólnego! Przysięgam panu!

— Ale obcował pan z pisarzem adwokata?

— Nie! Obcowałem z nim ty tylko tyle, o ile obcuje gospodarz z sublokatozem.

— A jednak spełnił pan jego polecenie dotyczące pani Silverhill.

— W najlepszej wierze. Pojechał do St. Louis i zapowiedział szybki powrót. Na odjeźdźnym prosił, abym się dowiedział od syna, czy przybyli już tu trzej panowie, którzy ścigają podejrzewając o coś Smalla Huntera. O ile by tylko przyjechali, miałem natychmiast zameldować o tym pani Silverhill.

— Zapłacono panu za to?

— Kilka dolarów.

— Hm, to również nie przemawia na pańską korzyść!

— Sir, jestem biedny i nie mogę gardzić nawet dolarem! Czy jest więc możliwość wyłączenia mnie z tej sprawy?

— Zobaczymy... A więc gdzie znajduje się obecnie pański sublokator, tak zwany Hudson?

— Wiem tylko tyle, że pojechał ze służącym Smalla Huntera do Louis.

— Widział pan służącego?

— Tak. Był tu kilkakrotnie. Są bardzo do siebie podobni.

— Ponieważ są rodzonymi braćmi. A dokąd pojechał rzekomy Hunter?

— Dotychczas myślałem, że pojechał do Indii, ale z nieopatrznie wypowiedzianych słów pani Silverhill wnioskowałem, że jednak tam nie pojechał.

— Naprawdę? Co powiedziała?

— Powiedziała, że pan Hunter pomyślał już o tym, aby mogła wkrótce się z nim spotkać. Wkrótce. Więc chyba nie w Indiach!?

— No tak. Jakże mogła się tak nieostrożnie wyrazić?

— Nie pojmuję! Poszedłem do niej, aby wykonać polecenie. Przyjęła mnie w jednym z pokojów i kazała mówić. Mówiłem. Wiedziała, o co chodzi, ale nie znała zapewne nazwisk, gdyż skoro je wymieniłem, przeraziła się i pociągnęła mnie do korytarza. Zapytała, czy zgodzę się za zapłatą odprowadzić ją na dworzec. Zgodziłem się i poczekałem na panią Silverhill na schodach. Wyszła szybko ze służącą i dała mi do dźwigania kuferek. Powiedziała, że Old Shatterhand jest w jej pokoju i że ona musi natychmiast wyjechać do pana Huntera.

— Dokąd poszliście?

— Do Great-Union-Hotel. Właściwie ja sam tam poszedłem, ona zaś ze służącą czekała w pobliżu. Kupiłem w hotelu bilety kolejowe.

— Dokąd?

— To jest sprawa nieco skomplikowana. Chciała właściwie pojechać do Gainesville, lękała się bowiem nawet przez godzinę zostać w Nowym Orleanie. Ponieważ trzeba byłoby długo czekać na bezpośrednie połączenie, kupiłem bilet okrężny do Jackson, przez Vicksburg, Monroe, Marschall, a stamtąd do Dallas i Denton.

— Jest to istotnie droga okrężna. Mogła stąd wyjechać o wiele później, a mimo to wcześniej przybyć do Gainesville.

— Ponaglał ją strach przed Old Shatterhandem.

— Strach rozwiązał jej także język. Czy dowiedział się pan jeszcze czegoś?

— Nie, sir. Powiedziałem już wszystko, co wiem. Czy mogę się spodziewać, że okaże mi pan litość i wyrozumiałość?

— Hm, niech i tak będzie! Ale nie piśnie pan nikomu o tym ani słowa!

— Ani mru-mru!

— Jest to nieodzowny warunek! Jeżeli pan komukolwiek opowie, to i ja nie będę mógł milczeć. Przeprowadzę dalsze badania. Jeśli się okaże, że postępował pan uczciwie, no, wówczas nic o panu nie wspomnę. Skoro jednak przekonam się, że pan mnie zwiódł chociaż w najmniejszym stopniu, wtedy niech się sir spodziewa długich lat więzienia dla siebie i syna.

Byłem ogromnie zadowolony z wyników moich poszukiwań. Myśleliśmy z przyjaciółmi, że będziemy zmuszeni przez dłuższy czas zostać w Nowym Orleanie. Okazało się jednak, że musimy czym prędzej opuścić to miasto.

Powszechnie wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych bilety kolejowe można nabywać w każdym większym hotelu. Wróciwszy więc do naszego hotelu, przede wszystkim obejrzałem rozkład jazdy. Mieliśmy dwie bite godziny do odejścia pociągu. Dostyć czasu, aby się dokładnie przygotować do podróży.

Moi towarzysze byli bardzo uradowani z odnalezienia śladu zbiegów. Nie wątpili, że tym razem dotrzemy do celu. Gdyby nie oni, nie mógłbym natychmiast wyruszyć do Gainesville, bilet bowiem kosztował o wiele więcej, niż wynosiła zawartość mego pugilaresu. Dla milionera Emery'ego była to drobnostka, podobnie jak dla Apacza, któremu wystarczyło sięgnąć do pasa, aby zamienić kilka bryłek złota na plik pieniędzy. Ja, biedak, musiałem liczyć na wsparcie przyjaciół.

W DOLINIE ŚMIERCI

Nie wpadło nam jednak na myśl powiedzieć komukolwiek o naszym wyjeździe. Kiedy wieczór zapadł, siedzieliśmy już w wagonie, jadąc prawym brzegiem Missisipi, a potem Red River ku Shreveport. Tamtędy biegła linia z Jackson i Vicksburg przez Monroe. Według naszych obliczeń Judyta musiała przyjechać najbliższym pociągiem tej linii.

Ponieważ znała mnie i Winnetou, usiedliśmy tak, aby nie zauważyła nas przy wsiadaniu do pociągu. Emery mógł się nie ukrywać. Skoro pociąg ruszył, Emery postanowił przeszukać wszystkie wagony. Wróciwszy po pewnym czasie, oznajmił wesoło:

— Jest. Siedzi w przedostatnim wagonie.

— Czy się jednak nie mylisz?

— Nie mogę się mylić. Ładna kobieta wraz z Indianką. Bagaż — kuferek i torba. Skromny kapelus, szary płaszcz — tak, jak powiedziałaś. Co teraz zrobimy?

— Pozwolimy jej jechać.

— Dobrze, ale byłoby lepiej, gdybyśmy mogli ją zatrzymać.

— Nie. Właściwie ona nas wcale nie obchodzi. Zależy nam tylko na Meltonach.

— No tak, ale zamierza ich ostrzec.

— Nie zdąży, ponieważ ją wyprzedzimy. Prędzej znajdziemy się w Albuquerque niż ona.

— Ale kto wie, czy po drodze nie czeka nas rozprawa z Komanczami lub Kiowayami.

— Nie szkodzi. Przygody skracają czas podróży.

— Winnetou ofuknął mnie:

— Niech mój brat tego nie mówi! Komanczowie zachodzą czasem na północ aż do szosy Santa Fe. Winnetou jednak nie lęka się ich, mimo że są jego śmiertelnymi wrogami. Ale skoro spieszy nam się do Albuquerque, nie możemy tracić czasu na żadną walkę.

Milczałem, nie mogłem odmówić mu słuszności. Emery znów zajrzał do przedostatniego wagonu. Judyta spokojnie drzemała.

W Dallas trzeba było się przesiąść. Musieliśmy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby Judyta nas nie zauważyła. Łatwo mogła wymknąć się nam w drodze do Shermanu. Na szczęście nie zauważyła nas jednak ani tu, ani też przy powtórnym przesiadaniu w Denton. Stąd tor był ułożony niedawno, pociąg więc poruszał się bardzo ostrożnie i powoli, toteż dopiero o zmroku przybyliśmy do ostatniej stacji — Gainesville.

Czekaliśmy, aż Judyta wysiadzie, po czym wyruszyliśmy za nią. Gainesville było nędzną dziurą. Zabudowania należało raczej nazwać chatkami niż domami. Na stacji nie można było zasięgnąć żadnych informacji.

Były tu tylko dwa hotele, niestety, jedynie z nazwy. Judyta zniknęła za drzwiami oberży z trzema oknami. Po chwili weszliśmy tam za nią.

W gospodzie było ciemno, choć oko wykol. Nie świecono tu światła, a z znikomy blask księżycy nie zdołał się przebić poprzez zakurzone szyby.

Z boku rozlegał się tubalny głos. Zapewne z kuchni, gdzie płonęło światełko małej łojówki. Ktoś mówił:

— O kay! Wszystko jest przewidziane. W mgnieniu oka przyniosę światło do salonu!

Usłyszeliśmy lekki szmer zbliżających się kroków, które umilkły w pobliżu. Czy to Judyta rozmawiała z gospodarzem? Jeśli tak, to znajdowała się tu, w pokoju, nazwanym przez hotelarza salonem. Po omacku podeszliśmy do stołu, przy którym stała ława. Stół i ława sklecone były z ledwie ociosanych desek. Usiedliśmy.

Wreszcie zjawił się oberżysta i postawił na stole lampę. Światło padło na nas.

— Ooo... są tu jeszcze i inni goście — rzekł. — Bądźcie pozdrowieni, dżentelmeni! Zostaniecie na noc w hotelu? Wytrawna kuchnia, dobre poślanie i bardzo niskie ceny.

— Zobaczymy — rzekł Emery. — Czy ma pan piwo?

— Jeszcze jakie! Prawdziwy angielski porter.

— W takim razie prosimy trzy flaszki. Jeśli nam jednak trunek nie przypadnie do gustu, będzie go pan musiał sam wypić.

— Nie ma obawy, wiem, że potrafi doskonale ugasić pragnienie.

Była to szczywana bestia, jakich mało. Porterem nazywał coś nieokreślonego własnego wyrobu. Następnie na kolację jako danie mięsne podał nam niestrawne ścięgna nówek cielecych, co się zaś tyczy zaoferowanych naleśników, były to kluski z podłej mąki, parzone we wrzątku. Posłanie składało się z wiórów. I za te boskie rozkosze mieliśmy płacić po trzy dolary od osoby!

Nie ufaliśmy gospodarzowi, ale nie potrafiliśmy sprecyzować, czym budził naszą nieufność. Ułożyliśmy się do snu, postanowiwszy wstać wcześniej rano.

Naraz w nocy obudził mnie Winnetou.

— Niech mój brat posłucha! — rzekł.

Nateżyłem słuch. Z ulicy dobiegał słaby dźwięk, jak gdyby odjeżdżającego pojazdu. Po chwili dźwięk ten zamarł i zaległa głucha cisza. Zasnęliśmy więc spokojnie, ponieważ sądziliśmy, że gdyby Judyta usiłowała wyjść z „buduaru”, musiałaby nas obudzić. Przecież wszystkich trzech, szczególnie zaś Winnetou, budził najłżejszy nawet szelest.

Szarżało, kiedy wstaliśmy. Ponieważ salon był zamknięty nie na tylko na drewnianą zasuwę, wyszliśmy przed dom, nie budząc gospodarza, smacznie śpiącego w kuchni. Drabina, która stała tam wieczorem, obecnie oparta o ścianę zewnętrzną budynku, przystawiona była do otwartego okna górnej izby, nazywanej przez gospodarza buduarem. Zauważyliśmy również drzwi, prowadzące bezpośrednio z kuchni na ulicę. Oczywiście natychmiast obudziliśmy oberżystę.

— Gdzie są damy, które nocowały na górze? — zapytałem.

— Wyjechały — odpowiedział, strojąc złośliwe miny. — Wypuściłem je.

— Ukradkiem, abyśmy nie strzegli, co?

— Oczywiście, panowie! Nie skąpię snu swym czcigodnym gościom. Dlatego też bezszelestnie otworzyłem drzwi kuchenne i bez szmeru wyniosłem drabinę. Następnie po cichu przystawiłem ją do okna, że nie usłyszelibyście nawet czuwając. Cichutko też obie panie zeszły po drabinie.

Chętnie bym go za te kpinki spoliczkował. Ale zapytałem tylko:

— Wie pan, dokąd pojechały?

— Nie.

— A wszak pan wyprawił je powozem.

— Powozem? — zawołał zdumiony. — Skąd pan wie?

Przyszły mi na myśl słowa Judyty, skierowane do złotnika: „Mister Hunter pomyślał o tym, abym mogła wkrótce się z nim spotkać.” Czy zapowiedział przy pożegnaniu, zastanawiałem się, że zostawi tu dla niej powóz?

— Wiem — odpowiedziałem — że zostawiono tu powóz dla niejkiej pani Silverhill.

— Skoro pan wie, to czemu miałbym kłamać? Powóz stał w szopie, niedaleko dworca. Musiałem sprowadzić go z Little Rock i zapłacić za niego górę złota, aczkolwiek jest to tylko stary, zużyty kocz.

— W jakim więc kierunku pojechały?

— Co panu do tego?

— Zresztą, jeśli pan nie chce, nie musi pan mówić. No a teraz proszę pokazać nam konie, które chce sir sprzedać.

— Nie sprzedam żadnego! Muszę otwarcie powiedzieć, że pani Silverhill, dama nadzwyczaj dobrze usytuowana, zapłaciła mi, abym nie sprzedawał wam koni.

— W takim razie sprzedadzą nam inni.

— Tu, w Gainesville? Jest pan w błędzie. Nie ma tu zwierzęcia, które by do mnie nie należało. Piękne rumaki... Czy mam je panu pokazać? Stoją w stajni.

Zapytał niezmiernie złośliwym tonem i wskazał ręką ku stajni. Winnetou ukradkiem wysłał mi spojrzenie, które w lot zrozumiałem. Rzekłem:

— W każdym razie obejrzeć chyba można. Zaprowadź nas, master!

Mieliśmy cały nasz dobytek przy sobie. Poszliśmy z gospodarzem do stajni, oddalonej o dziesięć minut drogi. Mieściło się w niej dwanaście koni, z których kilka bardzo nam się podobało. Oberżysta jednak nie ustępował. Wówczas powiedziałem:

— Sir, czy pani Silverhill wymieniła panu nasze nazwiska?

— Nie.

— Więc ja dopowiem. To jest Winnetou, wódz Apaczów, ja jestem Old Shatterhand, o którym pan zapewne słyszał, a ten pan to również mężczyzna, który nie da sobie w kaszę dmuchać!

— Jak to? Czy to prawda, czy to rzeczywiście prawda? Pan jest Winnetou, a pan Old Shatterhand?! — zawołał oberżysta. — Jeśli tak jest istotnie, jakież to dla mnie zaszczyt! Z jaką dumą będę mógł rozpowiadać, że gościłem tak sławnych mężów w swoim hotelu! No tak, teraz otwierają mi się oczy... To jest Winnetou, wódz ze srebrną strzelbą! A to jest pańska broń; niedźwiedziówka i słynny sztucer! Panowie, chętnie sprzedam wam rumaki i siodła! Weźcie, weźcie je sobie! A oprócz tego powiem wam, dokąd pojechały te panie. Do Henrietta, gdzie zmieniają zaprzęg. Potem wyruszą poprzez Dryfurt Red River, aby dostać się na szosę kanadyjską, prowadzącą do San Pedro i Albuquerque.

Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Byłem raczej przygotowany na upór oberżysty. Wtedy skoczylibyśmy błyskawicznie na wierzchowce, rzucili mu sto pięćdziesiąt dolarów i ruszyli bez siodła i cugli, co koń wyskoczy. Oczywiście, lepiej się stało, iż ustąpił. Zaopatrzył nas ponadto w siodła z uprzęgą dla koni oraz patelnię, kubki i prowiant — mięso i mąkę.

Tak wyposażeni ruszyliśmy w kierunku Henrietta. Tam dowiedzieliśmy się, że Judyta wyprzedziła nas o osiem godzin i wymieniła konie do zaprzęgu oraz wzięła zapasowe. Spodziewała się widocznie pościgu, gdyż upредиła w Henrietta, aby nie udzielano nam żadnych informacji.

Poparła to, oczywiście, przyzwoitym napiwkim. Rozporządzała prawdopodobnie wielką sumą, skoro zabrała tyle koni. A zatem odmawiano nam informacji. Gdy jednak Emery odprowadził na stronę chłopca stajennego i dał mu do ręki — dwa dolary, ten odzyskał mowę. Opowiedział nie tylko, kiedy przyjechała i odjechała Judyta, lecz dodał, że niedawno był tu pewien dżentelmen, który zarządził, aby ta pani nie traciła ani chwili czasu. Opisał owego mężczyznę z taką dokładnością, że bez trudu rozpoznaliśmy w nim Jonatana Meltona.

Łatwo było się domyślić, że Jonatan szczegółowo omówił z Judytą podróż i wyprzedzając narzeczoną, ułatwił jej drogę. Wszak pieniędzy miał pod dostatkiem.

A zatem Judyta zmierzała ku szosie San Pedro. Miała po temu słuszne powody, albowiem tylko na tej drodze można było zmieniać konie. Ponieważ wiedzieliśmy, że dąży do Albuquerque, mogliśmy zboczyć z jej śladów. Jechała powozem. Aby wymieniać znużone konie, musiała obrać drogę okrężną. My natomiast mogliśmy jechać drogą prostą, wyprzedzić ją i w Albuquerque rozejrzeć się za Meltonami. Wprawdzie prosta droga miała swoje minusy — mianowicie prowadziła przez północną część Llano Estacado, pustynię podobną do Sahary gdzie mogliśmy się spodziewać rozmaitych trudności i niedostatków. A jednak radziłem obrać właśnie ten kierunek. Emery nie godził się ze mną i motywował swój sprzeciw przedziwnymi względami. Mimo to poparł go Winnetou. Rzekł do mnie:

— Mój brat zna owo płaskowzgórze nie gorzej ode mnie. Jedzie się przez długie dni, nie znajdując kropli wody. Czy nasze rumaki zniosą pragnienie?

— O tej wilgotnej porze roku można zdobyć wodę — odpowiedziałem.

— Ale nie na płaskowzgórzu, gdzie wiatr wysusza w lot każdą kałużę.

— Tam natkniemy się na lasy kaktusowe. Nasze konie zaspokoją pragnienie wodnistymi owocami.

— Słusznie, owoce kaktusów zawierają wiele wody. Nie pomyślałem tym. Ale są jeszcze inne przeszkody. Czy Old Shatterhand wie na pewno, Jonatana Meltona można będzie zastać w Albuquerque?

— Tak. Oczywiście, o ile Judyta nie kłamała.

— Zakładamy, że nie kłamała, i czy Jonatan Melton nie mógł zatrzymać się gdzieś po drodze?

— Tego nie można wykluczyć — odpowiedziałem po namyśle.

— W takim razie spotka się z Judytą, która mu powie, że ją ścigamy i że wiemy, dokąd dąży. A wówczas pojedą gdzie indziej.

— To wszystko mogłoby się stać tylko wtedy, gdyby przypadek zmusił go do zatrzymania się w drodze.

— Niekoniecznie. Mógłby zatrzymać się ot, tak sobie, dla własnego widzimisień.

— Niepotrzebnie traciłby czas.

— Skądże! Przecież jest mu wszystko jedno, czy czeka na Judytę w Albuquerque, czy też po drodze. Co więcej, w Albuquerque mogą go łatwiej odkryć i zdemaskować niż gdzieś na pustkowiu — zauważył Winnetou.

— Hm! Nie mogę oponować. Ale po prostu czuję, że powinniśmy jechać wprost do Albuquerque.

— Wiem, że mój brat miewa często nieokreślone przeczucia i idzie za ich głosem. Ale w tym wypadku proszę, aby słuchał raczej głosu rozważli.

— Skoro Winnetou tak sądzi, nie waham się iść za jego radą. A więc jedźmy w ślad za Judytą.

Zgodziłem się, mimo że przeczucie mówiło mi co innego.

W Henrietta skompletowaliśmy nasz sprzęt podróży i ruszyliśmy w kierunku zachodnim, aż do dopływu Red River. Dotarliśmy tam wieczorem. Przeprowadziliśmy się nazajutrz i stamtąd skręciliśmy na północ ku South Fork of Red River, gdzie przybyliśmy w południe.

Tu właśnie znajdował się Dryfurt, o którym nam mówiono. Bród nazwano tak dlatego, ponieważ rzeka była w tym miejscu bardzo szeroka, a zarazem płytka i jeździec mógł ją przebyć poza okresem powodzi, nie zamoczywszy nawet nóg.

Dotychczas mieliśmy dosyć paszy dla koni. Widzieliśmy wyraźnie ślad powozu; teraz jednak skręcał on ostro ku północnemu zachodowi, oddalając się jednocześnie od rzeki. Musieliśmy być przygotowani na to, że przez dłuższy czas nie będziemy mieli ani paszy, ani wody dla wierzchowców.

O wiele lepsza byłaby droga przez Camp Radzimsky i Fort Elliot, lecz Jonatan Melton z różnych powodów, które nietrudno odgadnąć, unikał miejsc zamieszkałych. Im mniej ludzi spotykał, tym czuł się lepiej.

Wspomniałem już, że Judyta wyprzedziła nas o osiem godzin. Dotychczas nie zdołaliśmy zmniejszyć tej odległości, przeciwnie, zdawało się, iż raczej powiększyła się. Mimo że jechała ciężkim koczem, miała jednak nad nami tę przewagę, że mogła w drodze zmieniać konie.

Roślinność, której nie brakowało między dopływami Red River, zniknęła zupełnie. Preria przeszła w piaszczystą pustynię, którą przemierzaliśmy w ciągu jednego dnia, nie widząc źdźbła trawy. Następnego dnia jechaliśmy natomiast po kamiennej pustyni i pomimo największej uwagi i wprawy nie zdołaliśmy odkryć śladów powozu. Tropiąc je, natknęliśmy się na kałużę, którą powitaliśmy z wielką radością. Piliśmy wodę, filtrując ją przez chustki. Napiliśmy również konie, aż wreszcie w kałuży pozostał jedynie szlam.

Straciliśmy drugi dzień na poszukiwaniach, ale wreszcie na piaszczystym gruncie odnaleźliśmy ślad powozu. Pochodził on sprzed dwóch dni i tylko miejscami był widoczny.

— Głupia historia! — odezwał się Emery. — Jeśli tak dalej pójdzie, nie schwytamy tej paniusi do samej śmierci!

— W każdym razie do Albuquerque — dodałem.

— Miałeś słuszość, że należało raczej jechać wprost do Albuquerque, a nie tropić tych śladów.

— Przyznajesz mi rację, niestety, zbyt późno. Wracać już nie można.

— A gdyby nawet było można, ja bym z tego nie skorzystał — wtrącił Apacz. — Może Jonatan Melton gdzieś tu w drodze wypatruje Judyty. Wtedy na pewno dogonimy powóz.

— A gdzie się zatrzymał Melton według mniemania mego brata?

— W pobliżu wody, a więc tam, przy rzece Canadian, gdzie dotrzemy za dwa dni.

Potrząsnąłem tylko głową. Zbyt szanowałem Apacza i jego doświadczenie, abym miał ostro wypominać mu błędy. Byłem innego zdania, uległem jednak jego woli, wobec czego wszelkie gderanie, a nawet zarzuty były nie na miejscu. Lecz zauważywszy mój ruch, Winnetou rzekł:

— Mój brat ma jakieś wątpliwości?

— Tak. Sądzę, że nie dogonimy Judyty.

— Nawet gdyby się spotkała z Meltonem?

— Nawet. Wszak będzie na nią czekał tylko do czasu jej przybycia, po czym natychmiast wyruszą dalej.

— Uff! Może jednak pozwoli jej wypocząć.

— W żadnym wypadku, skoro tylko dowie się o pościgu.

Winnetou spuścił głowę i rzekł szeptem:

— Mój brat ma słuszość. Trzeba było posłuchać jego rady. Winnetou był głupcem.

Zabolało mnie bardzo, że taki człowiek jak on nazwał siebie głupcem. Zrehabilitował się jednak później o tyle, że istotnie dogoniliśmy powóz, niestety, w innych zgoła okolicznościach niż mógł to przewidzieć.

A zatem do Canadian mieliśmy dwa dni drogi, drogi bardzo uciążliwej. Jechaliśmy płaskowzgórzem. Wierzchowce brnęły w głębokim piasku, a żar piekł nas tak dokuczliwie, jak gdybyśmy się dostali do rozpalonego pieca. Po krótkim wytchnieniu chętnie pojechalibyśmy dalej, wykorzystując miły chłód wieczora i nocy, lecz musieliśmy pozostać, albowiem w ciemnościach ślad ginął.

Nazajutrz dotarliśmy do miejscowości, obrośniętej wokół kolczastymi kaktusami. Okrągłe ich owoce zawierały wodnisty płyn, wprawdzie nie bardzo smaczny, ale zastępujący spragnionemu wodę. Wiedzą o tym także zwierzęta.

Wypiliśmy tego soku tyle, że ugasiłiśmy pragnienie. Potem grzęznąc w gorącym piachu, ruszyliśmy dalej.

Wkrótce po południu atmosfera stała się tak duszna, że ledwie mogliśmy oddychać. Widnokrąg na zachodzie zabarwił się na czerwono. Winnetou spoglądał z niepokojem na złowrogą lunę.

— Wygląda tak, jakby się zbliżał cyklon — zauważył z niepokojem Emery.

— Masz rację. Nie ma żartów z trąbą powietrzną na Llano Estacado — odpowiedziałem.

— Mój brat Old Shatterhand nie myli się — potwierdził Winnetou. — Gdy duch Llano wychyla się z głębin, szturmuje wściekle po pustyni, rzuca ku niebu piasek i wyrывa z korzeniami drzewa, które napotka.

— Do diabła! I sądzicie, że oczekuje nas z tym złym duchem przeprawa? — zapytał Emery.

— Wisi w powietrzu, Winnetou poznaje bardzo dokładnie. Niech moi bracia kłują ostrogami wierzchowce. Jeśli nie chcemy dać się pogrzebać między chmurami a piaskiem, musimy czym prędzej dotrzeć do miejsca, gdzie siła burzy nie przejawia się w pełni.

Pomknęliśmy, co koń wyskoczy. Nasze rumaki, instynktem przeczuwając zbliżające się niebezpieczeństwo, same wyteżały wszystkie swe siły.

Czerwony odbłask na horyzoncie rozlewał się coraz szerzej po niebie. U góry jasny, w głębi zaś ciemny, podniósł się aż pod zenit i napływał ku północy równocześnie ze strony zachodniej i wschodniej. Wyglądało to nader groźnie i nie tylko wyglądało. Wiedziałem, co się święci, albowiem przeżyłem już kilka takich burz na Llano Estacado.

Upłynęły bez mała dwie godziny. Już za kwadrans mogła rozpętać się burza. Nasze konie ledwo sunęły naprzód. Nic nie pomagały ostrogi i smagania, zresztą widzieliśmy, jak idą resztkami sił. Oszczędziliśmy im zatem zbyt ciężkiego bólu i z upragnieniem wypatrywaliśmy ratunku.

W pewnej chwili na wschodzie wyłoniła się mała, ale bardzo wydłużona wyżyna. Piasek był mniej głęboki, miejscami wzywała nawet ziemia ze źdźbłami trawy.

— Kres pustyni! — zawołał Winnetou. — Widzisz ten długi pagórek na wschodzie i to samotne uschnięte drzewo tam na wprost nas, drogi Szarlieh?

— Tak — odparłem.

Istotnie, w głębi widnokręgu, wprost przed nami, wznosiło się wysokie, suche, prawie doszczętnie pozbawione gałęzi drzewo.

— Czy poznajesz ten pagórek i to drzewo?

— Poznaję. Jesteśmy ocaleni. Tu się zaczyna trawa, a o kwadrans jazdy od drzewa spływa ze wzgórza mały strumyk. Trzeba popędzić konie, abyśmy na czas przybyli do strumyka.

Dopingowaliśmy wierzchowce do szybszej jazdy uderzeniami, wydobywając z nich ostatni dech. Chodziła wszak nie tylko o nasze, lecz i o ich życie. Smagaliśmy je, gwizdząc, krzycząc i wyjąc, aby nie pozwolić im się zatrzymać, albowiem gdyby tylko stanęły, na pewno padłyby ze zmęczenia. Przejechaliśmy koło drzewa i za moment ukazał się nam zagajnik, między krzewami lśniła woda. Ostatnim wysiłkiem konie dojechały na polanę w, głębi zagajnika.

Zaoszczędziły nam zeskoku podczas zsiadania, gdyż natychmiast padły. Boki ich drgały, pyski pokryła piana, oczy zawarły się bezsilnie.

— Ściągnąć koce! — krzyknąłem. — Trzeć zwierzęta i smagać różgami, aby; nie zmarzły! Musimy je uratować! Bez nich zginiemy!

Mówiąc to, chwyciłem swój koc i ściąłem kilka ulistnionych gałęzi z krzaka obok mnie. Winnetou poszedł za moim przykładem.

— Smagać różgami biedne zwierzęta? — zapytał Emery, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

— Tak! Prędzej, weź pled i pocieraj konia, szczególnie po torsie!

— Aby nie zmarzł?

— No tak!

— Przecież to szaleństwo! W takim upale...

— Szybko! Masz różgi!

Wziął, patrząc wciąż z niedowierzaniem, po czym rzekł:

— Dlaczego zapuściliśmy się tak głęboko w zagajnik? Czy nie lepiej było zatrzymać się nad strumykiem? Tam jest woda, której najbardziej pragnęliśmy.

— Niebawem się przekonasz, że mam rację! Rób natychmiast to samo, co my!

Z całej siły tarłem konia, podobnie robił Apacz. Emery naśladował nas, mimo że niewiele z tego rozumiał.

I oto nadeszła burza. W powietrzu nad nami zaczęło trąbić, niczym puzon lub trąba. Potem zabrzmiały setki gwizdzących, wyjących i piszczących głosów. Uchwycił nas przeraźliwy żar i naraz, zniemacka, ogarnął taki mróz, jaki chyba nie panuje nawet na biegunie. Znałem to, wiedziałem, jakie niebezpieczeństwo grozi koniom. Smagałem swego wierzchowca różgą, nie

po to, aby sprawić mu ból, lecz aby pobudzić krążenie krwi pod skórą. Winnetou i Emery, który już wiedział, o co mi chodzi, czynili to samo nie mniej gorliwie.

Mróż nie trzymał dłużej jak minutę, był jednak tak ostry i siarczysty, że ta jedna minuta po poprzednim zmęczeniu, a następnie rozgorączkowaniu mogła nasze konie przyprawić o śmierć. Dzięki jednak masażowi skóry konie nie odczuły zgubnej potęgi tak nagłego obniżenia się temperatury.

Znowu wrócił poprzedni żar. Niesamowite trąbienie w powietrzu umilkło, natomiast rozlegał się potężny szum. Powietrze nie było już przezroczyste. Ledwie mogłem dojrzeć towarzyszy. Wiedziałem, że mnie nie usłyszą, krzychałem jednak na całe gardło:

— Padnijcie głowami na północ! Trzymajcie się mocno, inaczej porwie was wichler!

Były to zwiastuny burzy, która miała niebawem nadejść. I tak oto za chwilę zerwał się huragan. Powietrze było wypełnione piaskiem, który przenikał w każde miejsce. W przeciągu kilku sekund miałem zatkałe oczy, uszy i nos, mimo że ukryłem twarz w kocu. Z największym wysiłkiem łapałem oddech. Można się było zadusić.

Trwało to niespełna trzy minuty, po czym nagle zapanował spokój. Leżeliśmy pod warstwą piasku, wysoką na osiem do dziesięciu cali. Lecz powietrze było znowu czyste i jasne. Podnieśliśmy się i zaczęliśmy wdychać je z rozkoszą.

Na południu ujrzelśmy niezwykle widok. Zamiast nieba widniała tam rozległa piaszczysta równina, na której krańcu wznosiło się wysokie, suche drzewo, prawie bez gałęzi.

— Fata morgana! — zawołał Emery.

— Tak, jest to złudne odbicie Llano Estacado, które często następuje po burzy lub ją poprzedza — odparł Apacz.

— Spójrz — dodałem — widzimy okolicę, leżącą na południu. Ludzie zaś, znajdujący się teraz na północy, widzą nas lub może widzieli przed burzą. Miraż powstaje dzięki dwóm rozmaicie nagrzanym warstwom powietrza, o różnej gęstości i objawia się w rozmaity sposób. Ale zwróćmy raczej uwagę na nasze wierzchowce! Zmęczenie, spiekota, a potem zimno, burza i ponowny żar, to wszystko musiały przeżyć na własnej skórze. Trzeba je jeszcze nacierać, a później dopiero spróbować, czy zdołają powstać i czy będą mogły kontynuować jazdę.

Po kwadransie konie mogły już powstać. Wsiedliśmy na nie i jeździliśmy dookoła z jakieś dziesięć minut, aby zapobiec zbytniemu zeszywnieniu ich członków. Nie powinny były jeszcze pić. Oczyściwszy w pobliżu nas murawę z piasku, puściliśmy je swobodnie, aby się popasły.

Teraz można było pomyśleć o sobie.

Otrzeprawszy się z piachu, usiedliśmy, rozmawiając.

— Znaliście to drzewo i ten pagórek? — zapytał Emery. — A ty — zwrócił się do mnie — wiedziałeś, że za drzewem płynie strumyk. A zatem byliście już tu kiedyś?

— Tak.

— Dlaczego nie zatrzymaliście się koło strumyka?

— Ponieważ trzeba było jak najgłębiej wejść w zagajnik. Im więcej było za nami krzewów, z tym mniejszą siłą uderzała w nas trąba powietrzna. Gdyby nas zastała na otwartej równinie, rozrzuciłaby na rozmaite strony. Na szczęście, dzisiaj nie była tak silna,

— Hm! Ta miejscowość musiała wam się utrwalić w pamięci, skoro ją natychmiast poznaliście.

— Oczywiście, gdybyś obejrzał dokładnie drzewo, spostrzegłbyś, że nie starość jest powodem jego wyschnięcia, lecz ogień.

— Ach! Pożar lasu na skraju Llano Estacado?

— Nic podobnego. Ten płomień był ogniem radosnym dla Komanczów, a bolesnym dla mnie i Winnetou.

— Do pioruna! Chciano was usmażyć?

— Tak. Nie tylko nas, ale także czterech naszych towarzyszy.

— To bardzo interesujące. Czy zechcesz mi opowiedzieć?

Jechaliśmy wspólnie przez pustynię z południa na północ. Ponieważ nasi towarzysze mieli do spełnienia ważną misję, postanowiliśmy im pomóc w tej niezmiernie trudnej wyprawie, niebezpiecznej i wyczerpującej. Chodziło o przejazd w jak najkrótszym czasie. Niestety, przeliczyliśmy się z naszymi siłami. Gdy konie nam padły z wycieńczenia, kontynuowaliśmy podróż ni piechotę. Były to bardzo ciężkie dni. Sił nam ubywało z godziny na godzinę. Szliśmy coraz wolniej, potykając się padając, podnosząc — aż wreszcie żaden z nas z omdlenia już nie powstał. W stanie tak skrajnego wyczerpania pojmali nas Komanczowie, którym przewodził ich wódz Atusza-Mu, czyli Silna Ręka. Pałali żądzą krwi. Naszych towarzyszy przywiązawszy właśnie do tego drzewa, które stoi obumarłe, podpalili. Gdy ci zginęli, to samo chcieli zrobić z nami. Ale udało się mnie i Winnetou wyprowadzić ich w pole, zabierając również naszą broń i konie. Odzyskawszy wolność, postanowiliśmy pomścić tragiczną śmierć naszych towarzyszy. Powiodło nam się to. W Dolinie Śmierci spoczywają wszyscy poza jednym, któremu pozwoliliśmy uciec, aby o tym zdarzeniu opowiedział pozostałym Komanczom. Z mojej ręki zginął również wódz, którego Winnetou zgodnie z tradycją pochował w skalnym grobowcu. Teraz już wiesz, w jakich okolicznościach zawariliśmy znajomość z tą okolicą. Drzewo trzyma się jeszcze, lecz ogień Komanczów pozbawił je życia.

— To ciekawy przypadek — obozować na tym samym miejscu, na którym leżeliście spętani.

— Ciekawy? Nie jest to odpowiednie określenie. Najchętniej bym się stąd wyniósł. Jakiego zdania jest Winnetou?

Jednak Apacz sądził, że trzeba tutaj pozostać. Wieczór zbliżał się szybko. Mieliśmy tu i wodę, i paszę. Czego jeszcze można było pragnąć? Jednakże czułem w sobie jakąś niejasną niechęć do dalszego pobytu na tym terenie. Konie, wietrząc pod warstwą piasku trawę, odgarniały go kopytami, niczym renifery wydobywające mech spod śniegu. Teraz można je było już napoić.

Następnie zbadaliśmy dokładnie okolicę, gdyż tutaj w pobliżu rzeczki łatwiej było o spotkanie kogokolwiek niż na rozległej równinie. Dla westmana zaś każde spotkanie łatwo może przybrać niebezpieczny obrót. Dlatego badałem okolicę bardzo skrupulatnie, ale nie odkryłem nic podejrzanego. Już miałem wrócić do swoich, gdy padł strzał. Nie przeląknęłam się bynajmniej, myśliwy poznaje natychmiast odgłos każdej znajomej broni. Wiedziałem, że strzelił Emery. A że strzał się nie powtórzył, nie było powodu do obaw. Wróciwszy do obozu, zobaczyłem, że Emery upolował tłustego ptaka. Nie wzięliśmy mu tego za złe, bo też spragnieni byliśmy smacznego mięsa. Był to dziki indyk. Upatrzawszy miejsce na nocleg, roznieciliśmy ogień, aby go usmażyć. Smakował nam wyśmienicie, lecz zjedliśmy tylko połowę, drugą zachowując na następny dzień. Na jutro! Jak gdyby człowiek mógł dysponować jutrem! Nie, nawet najbliższą godziną nie rozporządza! Zachowana połówka indyka była przeznaczona wszak nie dla nas, tylko dla ludzi, którym najmniej mogliśmy jej życzyć!

Rozumie się, że nie spaliśmy wszyscy w jednym czasie. Każdy musiał na przemian czuwać. Z początku ja, później Winnetou, a następnie Emery. Koło północy zluzowałem Anglika i zgasilem ognisko, które nie było nam potrzebne. Po godzinie obudziłem Winnetou, a sam zapadłem w głęboki sen. Przebudzenie nastąpiło w innej sytuacji, niż sobie wyobrażałem. Tymczasem męczył mnie zły sen. Oto leżałem w domu na łóżku. Naraz drzwi, aczkolwiek były zaryglowane od wewnątrz, otwierają się i staje w nich mała, tęga, podobna do małpy postać, która jednym susem skacze na łóżko, siada na mej piersi i owija mą szyję długimi owłosionymi ramionami. Nie mogę oddychać, poruszyć się, zawołać o pomoc. Przebudziłem się ze snu.

Ach! Nie leżałem w domu, tylko tu, w pobliżu rzeki Canadian!

— Winnetou! — zawołałem.

— Szarlieh! — odpowiedział.

Leżał koło mnie. Chciałem go dotknąć, ale nie mogłem ruszyć rękoma. Były przywiązane do pasa. Nogi? Te również były skrupowane. Chciałem się unieść, lecz od razu upadłem z powrotem — powróż czy rzemień ścisnął mi szyję!

Czy śniłem jeszcze, czy była to rzeczywistość? Widziałem nad sobą gwiazdy, które już bladły, a dookoła zagajnik. Ale cóż to, u licha! Między krzewami siedziało mnóstwo ciemnych postaci. Zapach tłuszczu, tego niezbędnego przyboru toaletowego Indian, mówił mi, że są to czerwonoskórzy. Żaden się nie poruszył, żaden nie wyrzekł ani słowa.

Wyglądało to jak sen, a jednak wiedziałem, że nie śnię. Byłem spętany. Tak samo Winnetou. A Emery? Z gwiazd poznałem, że jest godzina trzecia. A więc godzina jego warty.

— Emery? — zapytałem.

— W porządku — odpowiedział.

— A więc i ty!

— W brutalny sposób zaskoczony!

— Podczas warty?

— Niestety! Podeszli mnie od tyłu, wyrosli jakby spod ziemi. Uwiesili się na szyi, na ramionach, nogach, z tyłu, z przodu, z góry, z dołu. Ścisnęli mi grdykę, że nie mogłem wydać ostrzegawczego okrzyku.

— Kto?

— Indianie.

— W tej chwili rozległo się w pobliżu:

— Mister Bothwell nie może panu wytłumaczyć szczegółów. Ja za to służę informacją. Dostał się pan w ręce Avat-Uh.

Avat-Uh znaczy Wielka Strzała, wódz Komanczów, znany powszechnie ze swego okrucieństwa. Skoro znajdowaliśmy się w jego mocy, nie było dla nas wielkiej nadziei. Nie widziałem go jeszcze na oczy, ale słyszałem, że jest to dosyć młody człowiek.

Kto jednak przemawiał do mnie? Odwróciłem głowę. Było jeszcze dosyć ciemno, ale dojrzałem, że nosi odzienie białych. Co prawda mogłem się nie odwracać. Poznałem go po głosie. Był to Jonatan Melton!

— Odwraca pan ode mnie oczy? — zaśmiał się. — Czy jestem panu tak wstrętny, czy też nie poznaje mnie pan? Powiedz, czy wiesz, kim jestem?

Milczeć było śmiesznie i nierozsądnie, wszak mogłem zasięgnąć języka. Dlatego też odpowiedziałem, lecz niezbyt grzecznie:

— Kim jesteś? Największym łotrem i łajdakiem, jakiego w życiu spotkałem!

— Jest to uprzedzenie, wielkie i niesprawiedliwe uprzedzenie, sir. Jestem uczciwym człowiekiem, przynajmniej w stosunku do pana. Mam panu tego dowieść?

Nie odpowiedziałem. Mówił dalej, szydząc:

— Chyba będzie panu przyjemnie przekonać się, że jestem uczciwy.

Dowie się master wkrótce, że nie kłamię. Wszak przyzna sir sam, iż mam panu wiele, bardzo wiele do zawdzięczenia?

— Tak.

— No, więc zamierzam odplacić panu pięknym za nadobne, odplacić wraz z odsetkami od odsetek. Czy to nie uczciwe postępowanie?

— Jestem zachwycony!

— Naprawdę?! Tak właśnie sądziłem. Będę nawet jeszcze bardziej wspaniałomyślny, niż pan myśli. Chętnie by się pan pewnie dowiedział, jak znalazł się w obecnej sytuacji i czego może się spodziewać?

— Owszem.

— Nie chcę jednak, aby uważał mnie pan za nieroztropnego głupca. Opowiem wszystko, ponieważ wiem, że moje słowa zabierze sir ze sobą do grobu. Pańskie awanturnicze życie dobiega końca. Nie potrafi mi pan już żadnej krzywdy wyrządzić, albowiem pański testament jest przypieczętowany. Jest sir jeńcem Wielkiej Strzały. Czy wie pan, jak się nazywał jego ojciec?

— Nie.

— Silna Ręka. To pan go zamordował i pogrzebał wraz z Winnetou w Dolinie Śmierci. Dlatego oczekuje was najokrutniejsza śmierć, jaką tylko można sobie wyobrazić. Razem z Apaczem będzie pan pogrzebany żywcem przy kościach zabitego wodza. Wielka Strzała przysiągł to, a wie pan, że Indianin w takich okolicznościach przysięgi nie złamie. A teraz sir, jak panu na duszy?

— Bardzo dobrze.

— Świetnie. Będzie panu jeszcze lepiej długo i powoli konać w kamiennej mogile. Ponadto chcę jeszcze przed pańskim zgonem wyznać, że jestem rzeczywiście tym, za kogo mnie sir uważał.

— To znaczy Jonatanem Meltonem, oszustem, nieboszczyk zaś, pogrzebany w wąwozie Uled Ayarów był prawdziwym Smallem Hunterem?

— Tak.

— Kolorasi jest pańskim ojcem?

— Tak. To on zastrzelił Huntera. Sądziliśmy, że nie wygrzebie się pan z rąk Uled Ayunów. Bęcwały pozwoliły panom uciec. Nic to, nas przecież nie dogoniliście. Pojechaliśmy natychmiast do Nowego Orleanu, gdzie od dawna przygotowywano dla nas teren.

— Czynił to pański stryj?

— Tak. Otrzymał depeszę i listy, które zapowiedziały wasz przyjazd. Szybko wykorzystaliśmy okazję. Sadzy pan, że działał chytrze, ale teraz chyba przyzna, że nie najprzebieglej. A nade wszystko cieszy mnie to, że ubiegłem pana i oświadczyłem się pani Silverhill. Musiało panu mocno dopiec, kiedy mu dała kosza?

— Mnie? Kiedy?

— W Sonorze, gdzie tak często padał pan przed nią na kolana.

— Ja? — zapytałem, śmiejąc się, mimo sytuacji bynajmniej nie usposabiającej do śmiechu.

— Tak, pan! Śmieć się, master, nie oszukasz mnie. Jakże promieniało pańskie oblicze, gdy zobaczyłeś ją w Nowym Orleanie!

— Promieniało moje oblicze? To niezłe!

— Z zachwytu zgłupiał pan po prostu!

— Prawdopodobnie padłem przed nią znów na kolana?

— Naturalnie, naturalnie. Przyznaj się, sir!

— Tak, mam zwyczaj padać na kolana przed każdą kobietą. Oczywiście, ona to panu powiedziała?

— No tak! Zgadza się, bo skądże mógłbym wiedzieć? Jakże się serdecznie śmiała, opowiadając o tym, jak pana zamknęła na klucz i odeszła. Spodziewam się, że powiedziała panu, iż jest moją narzeczoną?

— Tak.

— Niech pan powie prawdę, nie tylko z mojego powodu jechał pan za nią?!

— Oczywiście!

— Powiedziała mi wszystko. Być może nawet, dogoniłby ją pan, gdybym uprzednio nie poczynił odpowiednich kroków. Czy Judyta mówiła panu, że pojechałem do Albuquerque i że spotkam się tam z ojcem i stryjem?

— Tak, mówiła.

— I że następnie pojedziemy do jej zamku, gdzie zamierzam sobie urządzić spokojne i ciche życie?

— I to także.

— A więc wie pan wszystko i nie mam nic więcej do dodania, prócz tego, że tęsknota za nią nie pozwoliła mi jechać dalej. Zatrzymałem się w Canadian, aby tam na nią poczekać. Gdy tylko przybyła, pojechaliśmy natychmiast dalej. Jak widzę teraz, wyprzedziliśmy was o dwa dni drogi. Lecz nie zdążyła mi jeszcze Judyta zdać relacji ze spotkania z panem, gdy wpadliśmy w ręce Komanczów. Śmierć zajrzała nam w oczy, gdy nagle przyszła mi do głowy znakomita myśl. Może pan odgadnie?

— Domyślam się.

— Wiedziałem, że nas ścigacie...

— Lecz nie wiedział pan przecież o krwawej zemście, którą poprzysięgli nam Komanczowie?

— Nie, ale wiem bardzo dobrze, że Komanczowie żyją z Apaczami w odwiecznej niezgodzie. Zaproponowałem tedy Wielkiej Strzale interes, który mógł i wilka nasycić i owcę ocalić. Zażądałem, aby wypuścili nas, w zamian zaś przyrzekłem wskazać miejsce, gdzie można schwytać Winnetou.

— Zgodzili się?

— Bez ociągania, tym bardziej że powiedziałem, iż Apaczowi towarzyszy Old Shatterhand.

— Ale nie ufał wam, gdyż przecież nie wypuścił was jeszcze na wolność.

— No tak. Nie zgodził się wykonać mojego warunku, dopóki nie wywiązałem się z zobowiązania. Było rzeczą pewną, że schwytemy was tropiących Judytę. Wyjechaliśmy więc wam na spotkanie. Nagle rozpętał się huragan i fata morgana ukazała nam trzech jeźdźców, zbliżających się w galopie do strumyka. Któż to mógł być, jeśli nie wy? W pobliżu strumyka biwakowali Komanczowie. Sądziłem, że zechcecie tam przenocować, cofnęli się zatem do odległego o pół godziny drogi lasu. Piasek zatarł ślady. Skoro burza minęła, widzieliśmy was, jak badaliście okolicę. Następnie kiedy się ściemniło, wysłaliśmy wywiadowców, a ci nas poinformowali o was. Siedzieliście nad ogniskiem i smażyliście indyka. Tymczasem Komanczowie otoczyli was ze wszystkich stron. Leżeli dookoła, ale wy niczego nie spostrzeżliście. Czuwaliście na zmianę. Zaskoczyć Winnetou lub Old Shatterhanda jest rzeczą trudną. Dlatego cierpliwie czekali, aż przyjdzie kolej na trzeciego, mister Bothwella, który istotnie pozwolił się podejść i obezwładnić, nie pisnąwszy ani słówka. Szybko spętano was podczas snu. Teraz już o wszystkim wiecie. Resztę indyka zabiorę dla siebie i podzielę się z Judytą. Oczywiście, jedząc, będziemy o was myśleli.

— Gdzie jest pani Silverhill? — zapytałem.

— Musiała zostać w lesie pod nadzorem Indianina. Mam jeszcze do pana dwie prośby, które pan jako dżentelmen na pewno spełni.

— Jakież to prośby?

— Jestem amatorem broni, master zaś posiada dwie bardzo słynne strzelby. Zatem proszę o przekazanie mi ich.

— A jeśli odmówię?

— To się panu na nic nie zda, gdyż uznam je za swoją zdobycz!

— Świetnie! A druga prośba?

— Wiosną w Tunisie odebrał mi pan niektóre dokumenty, poza tym spisano protokół o pewnej sekcji zwłok. Gdzie się znajdują te papiery?

— Niech się pan zwróci o nie do swego adwokata Freda Murphy'ego w Nowym Orleanie. Ten wyda je panu na pewno.

— Niech się pan nie sili na dowcipy! Niech pan patrzy, oto mam indyka, a teraz zabieram pańską broń.

Istotnie, wziął resztę ptaka i sięgał po strzelby, które leżały wciąż koło mnie. Ponieważ byliśmy dobrze spętani, Komanczowie nie uważali za konieczne odebrać nam broń. Już

miałem wezwać wodza, gdy rozległ się za mną ostry głos, mówiący łamaną angielszczyzną, jaką posługują się zwykle Indianie:

— Stój, odłóż broń!

Indianin wystąpił naprzód. Był to wódz, miał bowiem trzy pióra na głowie. Tymczasem tak się rozjaśniło, że wyraźnie było widać jego twarz hardą i surową.

— Dlaczego mam odłożyć? — zapytał Melton. — To należy do mnie.

— Nie. Wszak przyrzekłeś mi tych trzech wojowników?!

— Tak, lecz nie ich rzeczy!

— Własność zwyciężonego należy do zwycięzcy. Wara od broni!

Ponieważ Melton nie od razu usłuchał, czerwonoskóry wyciągnął nóż i groźnie nim błysnął. Melton wypuścił broń i z wściekłością rzekł:

— Więc zabierz ją sobie, aczkolwiek nie do ciebie należy! Idę do swego powozu, aby natychmiast wyruszyć w drogę.

— Zaczekaj jeszcze!

— Czekać? Po co? Dotrzymałem słowa, więc musisz mnie puścić zgodnie z przyrzeczeniem!

— Przyrzekłem i spełnię obietnicę! Ale czy mogłeś mi powiedzieć, o której godzinie schwytały tych trzech wojowników?

— Nie.

— Tak samo ja nie potrafiłem określić godziny, o której będziesz mógł odejść. Musisz tu jeszcze pozostać!

— Może mnie również uważasz za jeńca?

Wódz warknął:

— Milcz, śmierzdzący kujocie! Stul pysk!

Melton natychmiast wrócił na swoje miejsce. Czerwonoskóry mówił już spokojniejszym tonem:

— Obiecałeś mi Winnetou i Old Shatterhanda, muszę się zatem przekonać, czy rzeczywiście to są oni.

Zwracając się do Winnetou, obrzucił go spojrzeniem i zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Jestem Winnetou, wódz Apaczów.

— A jak ty się nazywasz? — zwrócił się do Anglika.

— Nazywam się Bothwell.

— To imię nie zostało jeszcze wypowiedziane w żadnym namiocie i w żadnym obozie.

Następnie podszedł do mnie, wlepił we mnie wzrok i zapytał:

— Czy ciebie nazywają Old Shatterhandem?

— Tak.

— Jesteś wrogiem Komanczów?

— Nie. Lecz bronię się wobec każdego napastnika, bez względu na to, czy jest to biały, czy czerwony.

— Czy ty wraz z Winnetou zabiłeś Silną Rękę, wodza Komanczów, mego ojca?

— Tak, ale nie wraz z Winnetou, gdyż to moja kula przeszła serce Silnej Ręki.

— Winnetou był przy tym, ciąży więc na nim ta sama wina i spotka go ta sama kara. A ponieważ Bothwella schwytałyśmy wraz z wami, nie uniknie waszego losu. Będziecie żywcem zamurowani w grobowcu Silnej Ręki. Hej tam! — zwrócił się do swoich wojowników — wzięć jeńców do środka! Wracamy do koni!

Wódz wyglądał na lat trzydzieści. Nie tylko twarz, ale cała jego postawa i głos świadczyły wyraźnie o niezłomnym i hardym charakterze. Nie można się było po nim spodziewać cienia łagodności ani pobłażania.

Rozwiązano nam nogi, po czym ruszyliśmy. Naliczyłem dwudziestu trzech Komanczów. Od lasu dzieliło nas pół godziny drogi. Nie był to las we właściwym tego słowa znaczeniu, bo drzewa rosły tam rzadko. Przez wąskie ich pasmo przeświecała preria. Tu właśnie pasły się konie pod opieką dwóch Indian. Zobaczyliśmy między nimi nasze wierzchowce.

Teraz spętano nas nieco inaczej, mianowicie związano nam ręce na plecach. Następnie kazano wsiąść na konie i przywiązano nasze nogi do popręgów. Puściliśmy się galopem na północ, poprzez prerię tak szeroką, że minęliśmy ją dopiero po dwóch godzinach. Tu również huragan zasypał trawę warstwą piasku.

Nie opodał ujrzelśmy wysokie, ulistnione drzewa i wkrótce dotarliśmy do południowego brzegu Canadian, wzdłuż którego ciągnęła się droga do San Pedro i Albuquerque, a którą wydeptały woły ciągnące wozy.

Między drzewami stała zniszczona karetka, a obok niej pasło się sześć koni. Judyta siedziała na trawie, lecz ujrzawszy nas, wstała. Natomiast dwaj mężczyźni, zapewne woźnice, leżeli na wznak i nie ruszyli się z miejsca. Pięciu Komanczów stanowiło straż, a zatem cała czereda składała się z trzydziestu wojowników.

— Mamy ich! — krzyknął Melton do Judyty. — Przyprawiam ci twego wielbiciela.

Mówiąc to, wskazał na mnie. Uśmiechnęła się i z zadowoleniem skinęła głową, nie zaszczywszy mnie nawet przelotnym spojrzeniem. Cóż miałem począć wobec takiego zuchwalstwa? Milczałem. Lecz oto wystąpił jako mój rzecznik ktoś, po kim najmniej bym się tego spodziewał, mianowicie wódz. Zwrócił się do Meltona:

— Dotrzymałeś obietnicy, więc ja także wywiążę się ze swojej. Możecie sobie odjechać, ale przypatrz się uprzednio tym wojownikom. Winnetou i Old Shatterhand zostali schwytani i mieli spłonąć na stosie. Mimo więzów uratowali się w jasny dzień i zastrzelili najmężniejszego spośród wodzów oraz jego dwunastu wojowników. Nie porzucili go jednak na pastwę sępów i kujotów, ale pogrzebali jak należy, z bronią, aby mógł bez przeszkód dostać się do Wiecznych Ostepów. Są to nasi wrogowie, lecz też wielcy wojownicy i mężowie cnoty. A kim ty jesteś?...

— Jestem także dżentelmenem — przerwał — który...

— Milcz! — powstrzymał go wódz.

— Kiedy rozmawiałeś z Old Shatterhandem, leżąc w pobliżu, słyszałem całą rozmowę. Nie jesteś wojownikiem, ale tchórzliwym złodziejem, i oszustem! Ja, Wielka Strzała, byłem w miastach białych twarzy i widziałem tam bardzo wiele. Widziałem także ludzi, których więziono, ponieważ byli złodziejami i szalbiercami. Aby ich odróżnić od uczciwych i mężnych, ścinano im wszystkie włosy. Dotrzymam słowa i cię puszcę, ale dla odróżnienia od tych śmiałych i uczciwych mężów — stracisz włosy! Zdejmijcie mu je nożami z głowy! — krzyknął do swoich.

— Moje włosy? Moje...

— Milcz, ropucho, inaczej pozbawię cię nie tylko włosów, ale i życia! — zagrzmiął wódz.

Melton jednak nie uległ dobrowolnie. Krzyczał na całe gardło i pomstował, ale to nie pomogło. Powalono go. Dziesięć czy dwanaście muskularnych, śniadych rąk trzymało Jonatana, podczas gdy jakiś stary Indianin obcinał mu włosy nożem. To strzyżenie na sucho, sądząc z wycia Meltona, nie było chyba zbyt przyjemne. Ostrzyżono go do skóry.

Gdy tylko zakończono tę czynność, Jonatan wyrwał się Komanczom i ukrył za powozem. Judyta chciała do niego podbiec, ale wódz zatrzymał ją i rzekł:

— Stój, zostań! Nazwano białego wojownika, Old Shatterhanda, twoim wielbicielem. Czy to prawda?

— Tak — odpowiedziała bez wahania.

— Odtrąciłaś go i wolałaś pójść z osobnikiem, który się ukrył za wozem? Czy jesteś jego żoną?

— Jeszcze nie.

— Czerwona dziewczyna nigdy nie odbędzie takiej podróży z mężczyzną, którego nie jest squaw. Twój język nie jest językiem, ale żądłem jadowitej żmii. Każda z tysięcy czerwonych dziewcząt cieszyłaby się, gdyby ją Old Shatterhand pragnął pojąć za żonę. On nie mógł jednak pragnąć takiego ziółka jak ty. Skłamałaś. Przyznaj się!

— Tak — wyszeptła.

— A więc oplułaś jadem kłamstwa znakomitego wojownika, którego nie jesteś godna oglądać! Duszę masz tak plugawą, jak ten, z którym podróżujesz, powinnaś zatem upodobnić się do niego wyglądem. Obraziłaś wielkiego wojownika, który jest zbyt dumny, aby się bronić chociaż słówkiem. Zdejmijcie i jej włosy z głowy! A potem niechaj sobie te ropuchy jadą, dokąd im się żywnie podoba!

Judyta krzyknęła. Zdecydowałem się za nią wstawić. Rzekłem:

— Avat-Uh jest mężnym człowiekiem i wielkim wojownikiem. Ta squaw nie jest warta, aby się nią zajmował. Niech jej zostawi włosy, niechaj się z dumą odwróci od niej i jej towarzysza!

Obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem i powiedział:

— Kto pozwolił Old Shatterhandowi zmieniać rozkazy Wielkiej Strzały? Wódz i wojownik powinien sobie zdawać sprawę ze swoich słów i wytrwać w postanowieniu. Niechaj jej zdejmą włosy!

Odwrociłem się, aby przynajmniej nie widzieć tego, co niestety rejestrował mój słuch. Judyta broniła się ze wszystkich sił; krzyczała, jak gdyby ją mordowano. Gdy umilkła, spojrzałem w tamtą stronę, ale już jej nie było. Czym prędzej uciekła do karety, spoza której odezwał się głos Meltona:

— Niechaj mi Wielka Strzała przynajmniej powie, czy dotrzyma przyrzeczenia i zabije trzech jeńców.

— Dotrzymam przyrzeczenia. Jutro zostaną zamurowani. A teraz niech tchórzliwa biała twarz wraz z tą kobietą, która nie jest jego squaw, postara się zniknąć nam z oczu, inaczej pozbawimy ich jeszcze czegoś ponad to!

Natychmiast wprzęgnięto do powozu konie. Woźnice skoczyli na kozły i Melton wszedł do karocy. Po czym towarzystwo ruszyło w drogę. Osobnik, którego ścigaliśmy z Afryki aż do Canadian, uciekł nam po raz drugi, a my mieliśmy zostać pogrzebani żywcem!

Zsiedliśmy z koni i położyliśmy się na trawie. Komanczowie dotychczas jeszcze nic nie jedli, tu więc zamierzali posilić się przed jazdą do Doliny Śmierci.

Ani myślałem zrezygnować z nadziei na odzyskanie wolności. Na łaskę Indian nie można było liczyć. Lecz dopiero nazajutrz miano nas zamurować, zatem rozporządzaliśmy dwudziestoma godzinami. A jak wiele może się wydarzyć w ciągu dwudziestu godzin!?

Nie spodziewałem się, żeby ktoś nas odbił. Mogliśmy jedynie sami sobie pomóc, ale w jaki sposób?

Marną pociechą było przypuszczenie, że nie zamierzano poddawać nas torturom. Wódz dowiódł słowami i czynem, że szanuje nas jako mężnych wojowników. Niczego więcej nie mogliśmy wymagać.

Dostały nam się porcje mięsa nie mniejsze niż każdemu z Komanczów. Aby nie musieli nas karmić jak niemowlęta, odwiązano nam ręce, a związano nogi. Poza tym obserwowano każdy nasz ruch, nawet najmniejszy. Gdy już posililiśmy się, znowu spętano nam ręce.

Spostrzegłem, że Emery podczas tej procedury miał osobliwy, skupiony wyraz twarzy. Widząc, że skierowałem nań uwagę, rzekł po niemiecku:

— Poznałeś coś po mnie?

— Tak. Wolałbym jednak nie spostrzec, gdyż Komanczowie mogli również coś zwietrzyć i powziąć podejrzenia.

Indianin, który siedział w pobliżu, odezwał się do wodza:

— Obaj biali rozmawiają w języku, którego nie rozumiem.

- Old Shatterhand niech powie, co to za język!? — rzekł wódz.
- Jest to mowa mojego narodu.
- Czy twój naród zna pieśni śmierci, tak jak my?
- Tak. Pieśni i modlitwy do wielkiego Manitu.

Wielka Strzała podniósł głos, aby wszyscy mogli go słyszeć:

— Skoro mężny wojownik czuje bliskość zgonu, zaczyna się doń gotować. Wspomina swe czyny i chwali je według zwyczaju swojego narodu. Obaj biali są takimi wojownikami. Wkrótce wyzioną ducha, muszą więc rozpamiętywać swe czyny w języku ich przodków. Mamy ich zabić, ale powinniśmy zostawić ich dusze, aby mogły obsługiwać Silną Rękę w Wiecznych Ostępach. Nie przeszkadzajmy im zatem porozumiewać się w ich własnej mowie.

Była to wielka wyrozumiałość ze strony człowieka, którego uważałem za niewyrozumiałego. Teraz więc mogłem do woli rozmawiać z Emerym. Mieliśmy tak napięty i poważny wyraz twarzy, jak gdybyśmy o niczym innym nie rozmawiali, tylko o oczekującej nas śmierci.

- A więc — zapytałem — o czym myślałeś?
- O triku, który kilkakrotnie widziałem, a nawet sam kiedyś wypróbowałem.
- Hm! Nie łudź się, że zdołasz tych ludzi nabrać na jakiś naiwny fortel.
- To jest niegłupia sztuczka.
- Czy możesz ją opisać?
- Lepiej pokazać, ale chwilowo nie sposób. Czarodziej pozwala sobie związać ręce na plecach sznurem czy rzemieniem, a jednak w każdej chwili może uwolnić się z więzów.
- To wpada w oczy.
- Bynajmniej. Rzecz najważniejsza, aby samemu przełożyć rzemień przez przegub lewej ręki.

— Tak, to nie wydaje się podejrzane. Po prostu chce się wiążącemu dopomóc. Co dalej?

— Bierze się rzemień pośrodku, kładzie jeden koniec na lewym przegubie i pozwala się związać w supeł. Gdy ten, który wiąże mocno, naciąga go, pomaga mu się, jakoby w tym celu, aby wzmocnić supeł i pętlę. W istocie zaś supeł jest wyciągnięty, to znaczy, jest ruchomy na rzemieniu i można go po nim przesuwając w tę lub tamtą stronę. Zarówno ten, który wiąże, jak i otoczenie nie może spostrzec różnicy. Potem zaś trzyma się obie ręce za plecami, aby drugi koniec rzemienia przełożyć przez przegub prawej ręki i związać. Przy tym przytrzymuje się prawy rękaw na niby, aby nie przeszkadzał. Dzięki temu, ręce są od siebie bardzo oddalone i zyskuje się przestrzeń do pociągnięcia pętli, a także okazję do odpowiedniego ułożenia rzemienia. Pęta zachowują moc pozorną i w każdej chwili można z nich wysunąć to jedną, to drugą rękę, za pomocą odsunięcia jednego czy drugiego węzła. Można zresztą pęta założyć ponownie, gdy ktoś zapragnie węzły zbadać. Czy zrozumiałeś mnie dobrze?

— Naturalnie. Być może, że to nas uratuje.

— Poprzednio, gdy nas wiązano, uważałem dokładnie. Jestem związany według pierwszych zasad tej sztuczki. Skoro nam zwolnią ręce do kolacji, mam nadzieję, że potrafię w całości wykonać ten fortel. A ty?

— Pozostawiam próbę tobie.

— Dlaczego tylko mnie? Kiedy pouczymy także Winnetou, będziemy mogli wszyscy trzej w stosownej chwili momentalnie się uwolnić. Potem znikniemy, zanim zdążą cokolwiek uczynić.

— Brzmi to bardzo kusząco, ale nie jest tak łatwe, jak ci się wydaje. Po pierwsze, czy zdołamy wytłumaczyć Winnetou tak, aby nas strażnicy nie zrozumieli? Wszak bardzo mało rozumie po niemiecku, tamci zaś znają angielski, przynajmniej na tyle, aby wiedzieć, o czym mówimy.

— To, niestety, prawda!

— A po drugie, najważniejszą rzeczą jest, aby nikt nie zauważył, że się samemu wykonuje pierwszy chwyt przy wiązaniu. Tylko jednemu z nas może się to udać. Ten sam ruch, trzykrotnie powtórzony, wzbudziłby podejrzenia. Więc jestem za tym, abyś sam wykonał „czary”.

— Ale co się z wami stanie?

— Zobaczymy. Potrzebny będzie nóż. Lecz odebrano nam noże wraz z inną bronią.

— Ja zachowałem mały scyzoryk z pilnikiem, ukrywam go zwykle w wewnętrznej kieszonce od kamizelki. Przeszukają nam zapewne kieszenie, ale przypuszczam, że tej kieszonki nie spostrzegą.

— To się wyśmienicie składa. Skoro uwolnisz ręce, łatwo scyzorykiem przetniesz pęta na nogach, a potem i nasze więzy.

— O kay, bardzo się cieszę! Pomijając niebezpieczeństwo, które nam grozi, pragnąłbym serdecznie być sprawcą naszego uwolnienia, albowiem to ja byłem przyczyną pojmania.

— Czy nie słyszałeś, jak nadeszli?

— Nawet głośniejszego oddechu, chociaż naprawdę bardzo uważałem. Niestety, nie mam tak wyczulonego słuchu jak ty lub Winnetou. Możesz sobie wyobrazić, jak mnie gryzą wyrzuty sumienia.

— Przestań! Nie można już wrócić przeszłości, a zresztą nie jest wykluczone, że i my dalibyśmy się zaskoczyć.

— Słyszałeś, że czekali na moją kolej.

— To kwestia ich osądu. Jesteśmy w niewoli i pragniemy się uwolnić. Wyrzuty w niczym nam nie pomogą.

Winnetou mimo że siedział przy nas, bardzo niewiele rozumiał z naszej, rozmowy. Miałem jednak nadzieję, że będę mógł mu udzielić odpowiednich wskazówek. Wkrótce zdarzyło się to, co przewidzieliśmy. Mianowicie, po posiłku przeszukano nas i opróżniono nasze kieszenie. Zabrano nam wszystko, wszystko prócz niedostrzeżonego scyzoryka Emery’ego. Następnie przywiązano nas ponownie do koni i ruszyliśmy ku Dolinie Śmierci.

Dawniej gdy z Winnetou ścigaliśmy Komanczów, ci nie dążyli do Doliny Śmierci. Krążyli dookoła, aby nas wywieść w pole. Dlatego dopiero po kilku dniach dotarliśmy do doliny i dokonaliśmy zemsty. Teraz zaś jadąc wprost, mogliśmy przybyć do niej po siedmiu czy ośmiu godzinach.

Komanczowie mieli o wiele lepsze konie niż my. Niektóre rumaki były wprost pierwszorzędne. Przeprawiliśmy się w bród przez Canadian i pojechaliśmy na północ. Nad rzeką rosły drzewa i gęsta trawa, a dalej rozciągała się pustynia.

Dolina Śmierci nazywała się tak, nie dlatego że zabiliśmy tam wodza Komanczów, lecz że leżała w zupełnie wymarłej okolicy. Dlatego też Silna Ręka usiłował tam się ukryć przed naszym pościgiem.

Dolina miała kształt zapadniętego krateru. Ściany wznosiły się stromo, tworząc zwartą kamienną masę. Konno można było zjechać tylko jedną ścieżką, pieszo zejść w kilku miejscach. Właściwa dolina stanowiła koło o obwodzie półgodzinnej jazdy. Na północy biło małe źródło. Woda, pachnąca siarką, od razu znikła w szczelinie, jednak żywiła trochę roślin i traw tam rosnących.

W południe zarządzono wypoczynek. Ku naszej radości otrzymaliśmy ponownie porcję mięsa. Teraz można było wypróbować sztuczkę. Ręce mieliśmy wolne i posługiwaliśmy się nimi podczas posiłku. Potem związano nas na powrót. Uważnie przyglądałem się Emery’emu. Z miną najpocziwszą w świecie sięgnął po rzemień, przełożył go przez przegub lewej ręki, pozwolił związać węzeł i założył ręce na plecach, aby je spętano. Indianin nie powziął żadnego podejrzenia, lecz po związaniu obejrzał dokładnie więzy. A miał przy tym tak zadowolone oblicze, że straciłem zaufanie do czarodziejskich zdolności Emery’ego.

— No, jakże — zapytałem — omyliłeś się? Komancz uważnie obejrzał twoje więzy i nic podejrzanego nie znalazł!

— A jednak oszukałem go. Mogę w każdej chwili uwolnić ręce. Chciałbym i mógłbym ci pokazać. Wiesz, co zrobię?

— No?

— Dziś wieczorem zrzeknę się kolacji. Skoro nie zechcę jeść, nie uwolnią mi rąk, a wtedy więzy pozostaną w takim stanie, jak teraz. Gdybym bowiem chciał zjeść posiłek, nie wiem, czy fortel ponownie by mi się udał.

— Ale to może wzbudzić podejrzliwość. Wszak kto ma tak długo związane ręce na plecach, nie przepuści żadnej okazji, aby je uwolnić.

— Słusznie! To może istotnie zwrócić uwagę, a zatem nie zrezygnuję z wieczerzy.

Wyruszyliśmy ponownie. Eskortowano nas razem. Winnetou jechał pośrodku, dzięki czemu w paru słowach zdołałem mu wyjaśnić nasz plan. Nie mogli nas podsłuchać Komanczowie ani wyprzedzający, ani jadący za nami. Wyraz pięknej, jasnobrazowej twarzy Apacza nie zmienił się wcale. Szepnął tylko:

— Wolni... tak... ale — nie bez mojej srebrnej strzelby!

— A także nie bez mojej broni — powiedziałem po niemiecku, zwracając się do Emery'ego.

— A jeśli wypadnie z niej zrezygnować?

— W takim razie odłożę ucieczkę na później. Wolność jest cennym darem, lecz co z nią pocznę tu, na tym pustkowiu, skoro nie będę miał broni?

— Bardzo słusznie. Ale tu chodzi o życie!

— To rozstrzyga. A zatem uciekać, chociażby bez broni! Ale gdybym był pewny życia, nie uwolniłbym się, dopóki bym nie miał jej w rękę.

Za niespełną godzinę miało już zmierzchać. Zjechaliśmy wąską i stromą ścieżką jeden za drugim. Jeżeli nie uda nam się wrócić na górę... Otrząsnąłem się z tej myśli. Nie! Jeśli ktoś miał zostać na wieki w tej dolinie, to nie my, lecz Komanczowie!

Wódz skierował pochód ku miejscu, gdzie bilo małe źródło. Osadził konia i zeskoczył za ziemię. Wojownicy poszli w ślad za dowódcą, albowiem tu, nad wodą mieliśmy przenocować. Usiłowano napoić konie, ale wzdrygały się przed siarczaną wodą, która cuchnęła jak zgniłe jajka.

Tymczasem rozejrzałem się po dolinie. W północnej, najbardziej stromej skale widniała szczelina, gdzie ongiś pogrzebaliśmy wodza. Nie była wielka. U podstawy szeroka na sześć stóp*, ku górze zwężała się coraz bardziej, aż wreszcie na wysokości mężczyzn miała dwie piędy*. Stąd biegła na znaczną wysokość. Ponieważ niepodobna było zakryć skałę na takiej wysokości, powietrze miało tu dostęp, i zatem gdyby nas zamknięto, zginęlibyśmy z głodu i pragnienia, ale nie z braku powietrza. Płyta, zasłaniając rozpadlinę, była u dołu szersza od szczeliny, a wysoka na trzy łokcie. Mimo że ciężka, nie mogłaby nas zamknąć, nie mogłaby się oprzeć naszym połączonym wysiłkom. Ale w pobliżu leżało mnóstwo innych kamieni, którymi można było podeprzeć płytę w ten sposób, abyśmy nie zdołali jej przesunąć ani na milimetr.

Komanczowie zaprowadzili nas do mogiły. Sześciu odsunęło płytę. Następnie wódz stanął u wejścia do szczeliny i rzekł uroczyście:

— Tu spoczywa Atusza-Mu, wielki wódz Komanczów. Jego duch wszedł do Wiecznych Ostępów, gdzie daremnie oczekiwał dusz swych zabójców które mają mu tam służyć. Niechaj wróci, aby usłyszeć, co ja, jego syn mściciel powiem!

* Stopa = 30,48 cm

* Piędź = jednostka długości znana ód czasów starożytnych, odpowiadała odległości od końca kciuka do małego palca, mierzonej przy rozwartej dłoni; 1 p. = 0,23 — 0,40 m

Począł chwilę, aby ojciec jego zdążył przebyć drogę z zaświatów, po czym kontynuował:

— Silna Ręka był prześladowany zabity przez Winnetou i Old Shatterhanda. Obaj wrogowie wpadli w moje ręce i muszą śmierć wodza Atusza-Mu przypłacić życiem. Każdy nieboszczyk wchodzi do Wiecznych Ostępów w tym stanie, w jakim znajduje się w chwili zgonu. Jeśli umęczymy i zranimy zabójców, przyjdą do Atusza-Mu słabi, krwawiący i będą złymi sługami. A zatem zamurujemy ich nietkniętych przy jego kościach, aby umarli bez ran i aby byli silnymi sługami, z którymi będzie przebiegał Wieczne Ostępy, wyniesiony ponad innych. Howgh!

Znów ułożono płytę, nie pozwalając mi nawet zajrzeć do grobowca. Odprowadzono nas z powrotem nad wodę, lecz nie tu mieliśmy zostać. W odległości dwudziestu kroków odcinała się w skale wąska rysa, w tej właśnie szczelinie nas umieszczono. Usiedliśmy. Spętano nam nogi i postawiono przy nas dwóch wartowników, którym wódz nakazał największą czujność i ostrożność. Pozostali wrócili nad wodę

GROBOWIEC KOMANCZA

Szczelina, w której nas umieszczono, doskonale nadawała się na więzienie. Z trzech stron otoczeni byliśmy skałą, a z czwartej siedzieli uzbrojeni od stóp do głów strażnicy.

— Przeklęty pomysł! — burczał Emery po niemiecku.

— A to czemu? — zapytałem.

— Tutaj jesteśmy faktycznie uwięzieni i nie wiem, czy zdołamy się wydostać.

— Tak sądzisz? Bo ja przeciwnie, bardzo jestem rad.

— Nie pojmuje cię! Stąd nic nie widać. W dolinie zaś widzielibyśmy wszystko dokładnie i mielibyśmy dookoła siebie wiele przestrzeni.

— Ale i nas by widziano. Niech się przede wszystkim ściemni. Wówczas strażnicy nie będą mogli nas obserwować. Uwolnimy się niepostrzeżenie. Tu śledzi nas tylko czworo oczu, natomiast w dolinie bylibyśmy wystawieni na powszechny widok.

— Hm, być może. To już twoja właściwość dostrzegać w każdym nieszczęściu dobre strony.

Ściemniło się, wobec czego rozniecono małe ognisko, ale niestety, nie nad wodą, tylko przed miejscem naszego uwięzienia. Nie starczyło bowiem paliwa na wielki ogień, przydatny do smażenia mięsa. W tym wypadku, niestety, nie mogłem znaleźć argumentu na naszą korzyść. W szczelinie mogło się zmieścić najwyżej trzech ludzi. Przed nią palił się ogień, a o cztery kroki dalej siedzieli strażnicy. Nie mogliśmy ich obezwładnić, nie przeskoczywszy uprzednio ogniska, a wówczas mielibyśmy dość czasu, aby chwycić za broń lub wezwać pomoc. Poza tym płomień aczkolwiek nikły, sięgał aż do szczeliny i pozwalał obserwować nas doskonale.

— Masz tobie! — rzekł Emery. — może i teraz nie przyznasz mi racji?

— Oczywiście, ognisko pogarsza sytuację. Ale bądź co bądź lepiej, że leżymy tutaj, w dolinie bylibyśmy na pewno otoczeni Komanczami. Tu natomiast mamy tylko dwóch wartowników. A może sądzisz, że ogień będzie płonął przez całą noc?

— Naturalnie. Nie pozwolą mu zgasnąć.

— Owszem, bo nie mają paliwa, a do dnia jest jeszcze osiem godzin; nie sądzę też, aby starczyło im drzewa. Popatrz tylko, jak szybko spalają się gałęzie, a jak mało zdołano ich zebrać.

Jednakże, jak się wkrótce przekonaliśmy, wciąż jeszcze je zbierano. Stos urastał, lecz nie osiągał jednak wielkich rozmiarów.

Później dano nam wieczerzę. Składała się również z kawałka mięsa, Zdjęto z nas więzy, aby potem założyć je ponownie. Ku naszej radości Emery z powodzeniem powtórzył swoją sztuczkę.

Co dwie godziny zmieniano wartowników. Przy każdej zmianie sprawdzano nasze więzy. Nikt nie zauważył fortelu Emery'ego.

Indianie czuwali długo. Słyszeliśmy ich głosy do samej północy. Z pewnością gawędzono o nas i wątek mógł się snuć jeszcze przez długie godziny. Ale w końcu jednak zapanowało milczenie. Ułożono się widocznie do snu.

Naturalnie my nie zmrzyliśmy oka! Przysunawszy do siebie głowy, szeptaaliśmy po cichu. Ogień płonął jeszcze, ale paliwa było nie więcej niż na godzinę. Rozmawialiśmy po angielsku, aby i Winnetou mógł brać w tym udział.

— Przekłeta sprawa! — gderał Emery. — Nawet jeśli uda się wyjść, to i tak jest za późno!

— Jak to za późno? — zapytałem.

— To się samo przez się rozumie. Na zewnątrz jest cicho, lecz nie wiadomo, czy wszyscy śpią. Dlatego musimy czekać, przynajmniej przez godzinę. A poza tym wkrótce nadejdą inni strażnicy i od razu zauważą nasze zniknięcie.

— Poczekajmy zatem, aż nastąpi zmiana warty.

— Stracimy cenny czas i nie nadrobimy zwłoki. A jeśli się nawet stąd wydostaniemy, nie znajdziemy daleko. Jakże sobie poradzimy bez koni? Kto wie, ile czasu upłynie, zanim uda nam się włożyć nogę w strzemień? Nietrudno będzie nas schwytać!

— Nie schwytają nas, gdyż nie zatrzymamy się przy koniach — odpowiedziałem.

— Jak to? Chcesz uciekać pieszo?

— Tak.

— Pieszko! W takim razie można przysiąc, że schwytają nas na pewno.

— Ależ nie. Uciekniemy pieszo, ale niedaleko — nie wyjdziemy nawet z doliny.

— Nie? Wytłumacz mi dokładniej!

— Przede wszystkim chodzi o broń. Należy pogodzić się z faktem, że nie zdołamy jej na razie odzyskać. Jeśli więc umkniemy daleko, stracimy ją na zawsze. A zatem zostaniemy tutaj, aby zaczekać na chwilę, kiedy będziemy mogli odebrać naszą broń.

— Jakże możemy zostać? Czy istnieje tu jakaś kryjówka, w której moglibyśmy się schronić?

— Tak. Grobowiec wodza.

— Ach, co za zuchwały pomysł!

— Nie tak zuchwały, jak sądzisz. O wiele zuchwałej byłoby opuścić Dolinę Śmierci i biec po rozległej równinie, gdzie bylibyśmy wystawieni na strzały. Prześladowcy deptaliby nam po piętach już od samego rana. A czym to mogłoby się skończyć, skoro nie mielibyśmy koni, chyba sam rozumiesz.

— Ale czy to pewne, że nie zdołamy zbliżyć się do wierzchowców i odzyskać broni?

— Prawie pewne. Zresztą nie chodzi tylko o broń, ale również i o inny sprzęt, który nam zabrano.

— Czy nie możemy podkraść się i odebrać naszych rzeczy po kryjomu?

— Prawdopodobnie nie. Należy sądzić, że nas wtedy złapią.

— Niech złapią! Do stu piorunów, kiedy tylko będę miał wolne ręce, o, wówczas chciałbym zobaczyć śmiałka, który by usiłował wejść mi w drogę!

— Czy przypuszczasz, że jestem mniej zdecydowany od ciebie? Nie mam jednak żadnej ochoty stracić odzyskanej wolności. Nie twierdzę bynajmniej, że koniecznie trzeba się schronić w grobowcu wodza. Gdy tylko się uwolnimy, przekonamy się przede wszystkim, czy wszyscy Indianie śpią i czy mamy swobodny dostęp do naszej własności. A potem dopiero zadecydujemy, jak postąpić.

— Tak — szepnął dotychczas milczący Winnetou. — Plan mego brata Old Shatterhanda jest rozsądny. Nie wszyscy Komanczowie udadzą się w pościg. Wiedząc, że jesteśmy nie uzbrojeni i że uciekamy pieszo, pomyślą, że łatwo nas będzie sprowadzić z powrotem. Dlatego wódz nie wyśle za nami wszystkich wojowników, tym bardziej że ktoś musi zostać przy łupie.

— Jak to zostać przy łupie? — zapytał Emery.

— Wszak brat mój wie, że jak każda tradycja, mamy przejść do Wiecznych Ostępów z pełnym wyposażeniem. A w takim razie muszą dać nam w drogę wszystko, co posiadaliśmy. Winnetou zna dokładnie zwyczaje czerwonoskórych. Nasze ciała nie będą uszkodzone, abyśmy w Wiecznych Ostępach byli zdrowymi i pracowitymi niewolnikami zmarłego wodza. Zwrócą nam zatem broń i cały dobytek, aby przeszedł na własność Silnej Ręki. Dzięki naszej broni wódz Komanczów będzie najznakomitszym wojownikiem w Wiecznych Ostępach.

— Ach, tak! Komanczowie wierzą, że wszystko, z czym został pochowany nieboszczyk, dociera do zaświatów?

— Tak. Ofiarują nas zmarłemu wodzowi, będziemy więc w życiu pozagrobowym jego niewolnikami, a wszystko, co zabierzemy ze sobą, on posiadzie.

— Mówisz tak, jakbyśmy mieli nigdy się nie uwolnić — nachmurzył się Emery. — A przecież...

— Cicho, nadchodzi zmiana warty — przerwał mu Winnetou.

Obudzeni strażnicy podnieśli się, aby ustąpić miejsca zmieniającym ich kolegom. Ci sprawdzili wpięrow starannie nasze więzy, po czym usiedli. Jeden z Indian wrzucił ostatnią gałązkę w ogień, który płonął jeszcze przez kilka chwil i wreszcie zgasł.

W ciemnościach niewiele widzieliśmy. Po niebie płynęły chmury, odsłaniając czasami poszczególne gwiazdy. Było tak ciemno, że nie mogliśmy dojrzeć nawet wartowników, choć siedzieli w odległości około trzech metrów.

Po kwadransie Emery wyciągnął ręce z rzemieni i scyzorykiem uwolnił nogi. Następnie rozsypał nasze więzy, co szło mu bardzo opornie. O wiele prędej by się z tym uporał, gdyby po prostu je przeciął, lecz chcieliśmy zachować pętle dla naszych strażników. Emery nie mógł tego pojąć. Szepnął:

— Lepiej zabić ich niż ogłuszyć. Jeden okrzyk może wystawić nas na wielkie niebezpieczeństwo.

— Możliwość okrzyku jest taka sama przy zabiciu, co przy ogłuszeniu — odpowiedziałem — a nie należy zabijać nikogo, skoro można go tylko unieszkodliwić.

— Dobrze, jak chcesz! Kto na nich napadnie? Czy my wszyscy trzej?

— Nie, tylko Winnetou i ja. Dla nas to nie pierwszozna. Ja pojmem prawego, Winnetou lewego.

Ręce nasze zdrętwiały od więzów. Pocieraliśmy przeguby, aby przywrócić krążenie krwi. Następnie wzięliśmy się do roboty, wymagającej ogromnej ostrożności, gdyż obaj Komanczowie siedzieli zwrócenii do nas twarzami. Trzeba było pełzać. Wszystko poszłoby na marne, gdyby zauważyli nas choć o sekundę przed ściśnięciem im gardła.

Na szczęście w szczelinie było ciemniej niż na zewnątrz. Ostrożnie sunęliśmy ku nim na klęczkach, mrużąc oczy, gdyż oko człowieka podnieconego błyszczy nawet w takich ciemnościach. Trzeba było przede wszystkim tak szybko i pewnie obezwładnić strażników, aby nie mieli chwili czasu wydanie okrzyku. Obezwładnić bez szmeru, gdyż uderzenie lub upadek mógł nas łatwo zdradzić. A przy tym obaj musieliśmy działać jednocześnie.

Zbliżaliśmy się do wartowników coraz bardziej. Niebawem Winnetou dotknął mego ramienia. Był to umówiony znak. Posunąłem się dalej i już po chwili trzymałem oburącz Komancza za gardło. Chwył ten trudniej jest wykonać z przodu niż z tyłu, ale powiodł się zarówno mnie, jak i Winnetou. Strażnicy legli na wznak pod ciężarem naszych ciał. Przez moment słycać było tylko ciche, cichutkie rżenie, które nie mogło dotrzeć do obozu. W następnej chwili ogłuszyliśmy ich uderzeniem w skroń, po czym zwolniliśmy ucisk gardła, aby się nie udusili.

Część planu powiodła się znakomicie. Czerwoni mieli przy sobie tylko noże. Zabraliśmy je, zyskując przynajmniej jakieś narzędzia obrony. Zakneblowaliśmy strażnikom usta i dokładnie spętanych umieściliśmy na naszych miejscach.

— Moi bracia niechaj tu poczekają — szepnął Apacz. — Winnetou dopełźnie do obozu, aby zobaczyć, na co się można zdecydować.

Poruszał się bez szmeru jak wąż. Po dwóch minutach wrócił. Był to zły znak.

— Nie dotrzemy ani do broni, ani do koni — oznajmił. — Konie są dobrze strzeżone, a nasze rzeczy leżą nad wodą, gdzie czuwając siedzi wódz. Radość zemsty spędziła mu sen z powiek. Winnetou spodziewał się tego.

— Czy nie moglibyśmy napaść na wodza tak samo, jak na wartowników?

— Nie, gdyż dookoła leżą wojownicy, których nie wyminimy bez potrącenia.

— Tak, nie pozostają nic innego, tylko ukryć się i czekać — rzekłem. — A więc do grobowca!

Dotarłszy do grobowca, bez wysiłku odsunęliśmy płytę o tyle, że mogliśmy wsunąć się do środka. Natomiast daleko trudniej było zasunąć ją z powrotem. Ale i z tym uporaliśmy się. Ponieważ grunt był kamienisty, przypuszczaliśmy, że nie zostawimy żadnego śladu.

Kryjówka była niezbyt wygodna, gdyż szczelina, mimo że głęboka, była bardzo niska. Za nami leżały szczątki Silnej Ręki.

Przykucnęliśmy jeden obok drugiego, czekając dnia niemal w gorączkowym napięciu. Przed brzaskiem nie mogła nastąpić zmiana warty, gdyż obezwładnieni przez nas wartownicy zajęli posterunek na dwie godziny przed świtem. Przypuszczaliśmy, że rozwidni się w ciągu pół godziny.

Pół godziny to niewiele czasu, ale w takiej sytuacji jak nasza, wydaje się wiecznością. Nie rozmawialiśmy ze sobą przede wszystkim dlatego, że z podniecenia straciliśmy mowę, a ponadto stanęliśmy wobec majestatu śmierci — zwłok wodza — co jeszcze bardziej spotęgowało wrażenie.

Czas mijał. Siedziałem na przodzie przy płycie i przystawiałem oko do wąskiej szpary między płytą a skałą. Noc szarzała. Zbliżała się rozstrzygająca chwila. Nie wątpiłem, że przy dziennym świetle wódz spostrzeże nieobecność wartowników na posterunku. Naraz Emery zakłócił ciszę:

— Czy widzisz coś, Charley?

— W promieniu trzech, najwyżej czterech kroków. Ale jest już coraz widniej.

— Alarm podniosą za kilka minut. Poczuliśmy sobie dosyć głupio! Skoro nas tutaj odkryją, jesteśmy zgubieni!

— Nie tak szybko, jak sądzisz!

— Cóż wtedy zrobisz?

— Jedyną właściwą rzecz. Mianowicie rzucę się na wodza i pochwycę go jako zakładnika.

— A jeśli nas stąd nie wypuszczą...

— Muszą wypuścić!

— Lecz mogą przecież nagromadzić za płytą głazy.

— Kamieni nie zgromadzą zbyt szybko. Starczy nam pomocy. Chwila wysiłku, a płyta runie. Cicho, sza, uwaga!

W dolinie rozległ się głośny krzyk — indiański okrzyk alarmowy.

— Czy to wódz krzyczał? Wyrzyj no, Charley, pędzej, pędzej! — ponaglał mnie Emery.

Podczas naszej krótkotrwałej rozmowy tak się rozjaśniło, że wzrok mój sięgał teraz aż do źródła. Widziałem cały obóz i okolice. Tak, to wódz wydał okrzyk. Stał pod rysą, w której nas więziono, a w której leżeli obecnie spętani i zakneblowani wartownicy. Jego okrzyk zbudził wojowników. Skoczyli na równe nogi i skupili się dookoła wodza.

Zrazu powstał zgiewek i ogromny hałas wśród przepychających się do szczeliny Komanczów, po czym wszystko ucichło. Wielka Strzała polecił uwolnić strażników od więzów i knebli. Stanęli przed nim, a zatem nie uśmierciliśmy ich uderzeniami w skronie. Wkrótce znowu usłyszeliśmy wycie. Indianie obrzucali teren badawczymi spojrzeniami, lecz nas, oczywiście, nie byli w stanie dojrzeć. Sądzili więc, że zdołaliśmy uciec z doliny. Wódz donośnym głosem wydawał rozkazy. Wojownicy chwycili za broń, pobiegli do koni, wsiedli i popędzili w galopie po wąskiej ścieżce, którą wcześniej tu zjechaliśmy. Jeden za drugim znikali na górze.

Lecz nie wszyscy opuścili dolinę. Pozostało trzech, mianowicie wódz oraz obaj strażnicy, których zostawiono może za karę, a może dlatego, że nie odzyskali jeszcze sił. Wódz wrócił na swoje miejsce i usiadł. Strażnicy zaś stanęli w pewnej odległości. Nie śmieli się zbliżyć, aby go nie rozdrażniać.

— Jeśli Indianie mają choć trochę oleju w głowie, to natychmiast wrócą — głośno myślał Emery.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Gdy nie zobaczą nas na górze, powinni zrozumieć, że zostaliśmy w dolinie.

— Skądże znowu! Będą przypuszczać, że mieliśmy dosyć czasu, aby zniknąć im z oczu. Będą szukać śladów, których oczywiście nie znajdą. Nie wiedząc, w jakim kierunku zbiegliśmy, rozdziela się na kilka oddziałów, które zaczną nas tropić w rozmaitych stronach. Jestem przekonany, że nasz plan powiedzie się do końca.

Czekaliśmy. Po kwadransie wrócił jeden z jeźdźców i złożył wodzowi meldunek. Ten podniósł się natychmiast i dosiadł konia. Za jego przykładem poszli obaj strażnicy, po czym wszyscy odjechali, zostawiając nad wodą naszą broń i pozostałe zrabowane rzeczy. Znikli wnet za skałą, za którą prowadziła ścieżka, i w krotce pojawili się na górze.

— Powiodło się! — krzyknąłem uradowany. — Powiodło się lepiej, niż można było przypuszczać — Wódz odjechał z wartownikami. Nasze konie, nasze rzeczy są niestrzeżone!

— Wyjdźmy stąd, wyjdźmy, szybko, szybciej! — wołał rozgorączkowany Emery.

Z podniecenia podskoczył w górę i tak silnie uderzył głową o niską skałę, że jęcząc usiadł z powrotem.

— Jeszcze nie — odpowiedziałem.

— Musimy poczekać, aż wódz straci dolinę z oczu.

Nie czekaliśmy zbyt długo. Powaliliśmy płytę i wyszliśmy ze szczeliny. Odzyskaliśmy wolność! Emery pragnął natychmiast pobiec po broń, lecz Winnetou ostrzegł go:

— Niech mój brat nie śpieszy się zbytnio. Najpierw przystawmy płytę z powrotem. Wielka Strzała na pewno szybko wróci. Gdy zobaczy, że grobowiec jest otwarty, zwoła natychmiast wszystkich wojowników.

— Cóż to szkodzi!? Nie lękamy się ich teraz!

— No, mój brat się przechwała. Jedna tylko ścieżka prowadzi w górę. Jeśli ją obsadzą, nie wydostaniemy się z doliny.

— Powystrzelamy wtedy wszystkich.

— Nie dosięgną ich nasze kule, albowiem ukryją się za skałą, my natomiast będziemy wystawieni na ogień.

Wspólnymi siłami przystawiliśmy płytę z powrotem do szczeliny. Następnie pobiegliśmy nad wodę, pragnąc czym prędzej odzyskać swój podróży dobytek. Niczego absolutnie nie brakowało. Co za radość mieć znowu swoją broń i całą amunicję!

— Teraz uciekajmy! — krzyczał — Emery, śpiesząc do koni. — Jeszcze nie! — powstrzymałem go. — Musimy zorientować się przedtem, co słychać tam na górze.

— Nie jest to konieczne! Indianie już nas nie pochwyca! Nikt nie odważy się do nas zbliżyć, skoro odzyskaliśmy broń.

— Owszem, jeśli będziemy na równinie. Ale tymczasem tkwimy w tym kotle i nie wiadomo, czy wyjdziemy stąd niepostrzeżenie. Przede wszystkim więc trzeba pójść na zwiady.

— Co za przesadna ostrożność! Ulegam, aczkolwiek nie widzę konieczności.

Wdrapaliśmy się po stromej ścieżce. Przewidując, że Wielka Strzała wraz ze swoimi wojownikami może w każdej chwili wrócić, wchodziliśmy bardzo ostrożnie. Szybko przebiegaliśmy miejsca otwarte, kryjąc się za głazami, aby podsłuchać, czy nikt się nie zbliża. I słusznie, gdyż oto, stojąc za zakrętem, usłyszeliśmy tupot kopyt. Winnetou był na przodzie. Wyrzał zza skały, potem zwrócił się do nas, szepcząc:

— Wódz nadjeżdża.

— Sam jeden?

— Tak.

Tupot umilkł. Wódz zatrzymał się i spojrzał w dół. Gdybyśmy nie przysunęli płyty z powrotem, zrozumiałby, że ukrywamy się w dolinie. Ale teraz nie powziął żadnego podejrzenia i pojechał dalej.

— Co robić? — zapytał Emery.

— Schwycić go — odezwałem się. — Ale nie tutaj. To miejsce niezbyt się do tego nadaje. Krzyk wodza zwabiłby wnet wszystkich jego wojowników. Czym prędzej wróćmy na dół.

Zbiegliśmy do kotliny. Zatrzymaliśmy się u wylotu ścieżki. Leżał tu wielki głaz, za którym mógł się ukryć jeden człowiek. Winnetou przykucnął i rzekł:

— Moi bracia niech się schowają za skałą. Kiedy mnie wódz wyminie, skoczę na konia z tyłu, moi bracia zaś zrobią to z przodu.

Emery i ja cofnęliśmy się o dwadzieścia kroków poza róg skały. Po chwili nadjechał Wielka Strzała. Wsłuchiwaaliśmy się w odgłos kopyt. Teraz zapewne mijał kryjówkę Apacza, bo koń nagle zatrzymał się. Rozległ się stłumiony okrzyk. Wskoczyliśmy zza skały. Na koniu klęczał Winetou i ścisnął Komancza za gardło. Osłupiałego z przerażenia wodza ściągnęliśmy na ziemię. Rozbrojonego i związanego położyliśmy na trawie.

— Moi bracia niech przy nim zostaną — rzekł Winnetou. — Ja zaś niezwłocznie wrócę na górę, aby rozejrzeć się, co mamy dalej robić.

Oddalił się. Wielka Strzała leżał u naszych stóp, a w jego spojrzeniu malowała się niewymowna wściekłość. Ktoś inny na jego miejscu z pewnością milczałby. Ale on był tak pewny, że zbiegliśmy daleko i taką płonął ciekawością, że zapytał:

— Gdzie się Old Shatterhand i jego towarzysze znajdowali, gdyśmy ich poszukiwali?

— W grobowcu twego ojca — odrzekłem.

— Uff! A dlaczego nie uciekliście od razu?

— Nie chcieliśmy uciekać bez broni i bez koni. Widzisz, broń mamy przy sobie.

— Winnetou i Old Shatterhand są nader zuchwałymi wojownikami!

— A zatem widzisz, że wojownicy Komanczów muszą mieć o wiele więcej oleju w głowie, aby nas utrzymać w niewoli. Schwytaliście nas za sprawą zdrajcy. Ale to tylko raz jeden mogło się wam udać. Tylko taki młody zuchwalec, jak ty, może powziąć myśl zamurowania nas w grobowcu swego ojca. Teraz już wiesz, że nie będziemy jego niewolnikami w Wiecznych Ostępach.

— A jednak będziecie! Na razie jeszcze nie odzyskaliście wolności!

— O, czujemy się tak pewnie, jak gdyby na świecie nie było wcale Komanczów! Ta jedna broń, którą widzisz w mojej ręce, wystarczy, aby wszystkich twoich wojowników, jednego za drugim, wysłać do waszych przodków. Chyba o niej słyszałeś?

— Tak. Zły duch ci ją podarował. Nie nabijając, możesz z niej strzelać bez przerwy.

— Skoro wiesz o tym, nie wątpisz chyba, że uda nam się wyjść cało z opresji?

Nie odezwał się. Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je, obrzucając mnie przenikliwym spojrzeniem, wreszcie zapytał:

— Jestem w waszej mocy. Co zamierzacie ze mną zrobić?

— Przygotowałeś nam śmierć męczeńską. Mieliśmy umrzeć z głodu w grobowcu twego ojca. Jakiegoż więc możesz spodziewać się losu?

— Śmierci. Poddacie mnie męczarniom, ale nie spodziewajcie się, że wydobędziecie ze mnie jakikolwiek jęk.

— Nie poddamy cię męczarniom ani nie zabijemy. Wszak ty nie męczyłeś nas, uszanowałeś w nas wojowników. Odjedziemy stąd i zostawimy cię w więzach. Niedługo wrócą twoi wojownicy i uwolnią cię. Winnetou i Old Shatterhand nie łakną ludzkiej krwi. Nie zastrzeliliby ongiś twego ojca, gdyby nie spalił czterech bladych twarzy, które były razem z nami.

W tej chwili wrócił Winnetou. Usłyszał ostatnie moje zdanie. Zwrócił się do wodza:

— Tak. Wielka Strzała może oznajmić swoim wojownikom, że Winnetou jest przyjacielem wszystkich Indian, lecz tomahawk odbija tomahawkiem. Chciałeś nas zgładzić, powinniśmy więc odebrać ci życie. Lecz zachowaj je sobie. Jedno tylko zabierzemy. Musimy dogonić białego, który jest wielkim przestępcą. Związałeś się z nim, pozwoliłeś mu uciec wraz z kobietą, która nie jest jego squaw. Poza tym sprowadziłeś nas aż tutaj. Dzięki temu

wyprzedził nas znacznie i tylko szybkie konie potrafią nadrobić tę zwłokę. Wojownicy Komanczów mają o wiele lepsze rumaki niż my. Wobec tego dokonamy zamiany.

— Czy Winnetou, słynny i mężny wódz Apaczów, został koniokradem? — zawołał wódz.

— Nie, ale zbieg umknął z twojej winy. Zabieram więc twego wierzchowca. Howgh!

Ledwo skończył, siedział już na koniu wodza. Skierował go ku ścieżce i dał nam znak, abyśmy go naśladowali. Emery chciał dosiąść swego wierzchowca, ale Apacz rzekł:

— Moi bracia niechaj tutaj pozostawią swoje konie. Na górze znajdą o wiele lepsze.

Pojechał naprzód, nie spojrzawszy nawet na Komancza, a my za nim. Było rzeczą oczywistą, że jeniec ubolewał nad stratą swego konia, był to bowiem wspaniały mustang. Widziałem zresztą parę nie mniej wyśmienitych pod niektórymi wojownikami Komanczów. Byłem więc bardzo ciekaw, czy znajdę je na równinie. Winnetou zapewniał, że dostaniemy dobre wierzchowce, ale w jaki sposób, nie mówił.

Na górze Indianie szukali nas gorliwie. Rozjechali się na wszystkie strony, aby nas wytropić. Widzieliśmy ich dookoła, z dala od nas, jak nachylali się nad ziemią, jak wypatrywali oczy za jakimś śladem. Ponieważ konie mogły go zdeptać i ponieważ łatwiej było szukać pieszo, spędzili konie w sporą gromadę i zostawili pod pieczę jednego tylko wojownika. Miejsce to nie było od nas zbyt odległe. Dzieliło nas najwyżej sześćset kroków. Strażnik siedział na ziemi odwrócony do nas tyłem i obserwował zabiegi swoich towarzyszy.

— Usłyszy kroki mego konia — rzekł, uśmiechając się Winnetou. — Zatrzymam się tutaj, moi bracia niech zaś pójdą i wybiorą sobie dwa najlepsze rumaki.

Ze sztucerem w ręce podkradłem się wraz z Emerym do strażnika. Był tak zajęty obserwowaniem swoich braci, że nie dosłyszał nawet, jak stanęliśmy za jego plecami. Rzekłem znienacka:

— Czy zechciałby mi syn Komanczów powiedzieć, czego szukają jego towarzysze?

Odwrócił głowę, zerwał się jak oparzony i wybałuszył na nas oczy.

— Czy mój brat zrozumiał pytanie? — dodałem.

— Old... Shatterhand! — wykrztusił z wysiłkiem,

— Tak, to ja. A czy znasz wojownika, który siedzi tam na koniu wodza?

— Uff! Winnetou na koniu wodza!

— Pewnie! A zatem powiedz, czego szukają twoi bracia?

— Szukają... was! — wymamrotał.

— Nas? No to pędź do nich i zawiadom, że my jesteśmy tutaj!

Nie przyszło mu nawet na myśl wykonać polecenia. Wręcz przeciwnie, wciąż mnie oglądał, jak gdyby miał przed sobą zjawę. Skierowałem w niego lufę strzelby i rzekłem:

— Spiesz się, powiadam, bo cię natychmiast zastrzelę!

— Nie! — zawołał przerażony. Odwrócił się i wziął nogi za pas.

Teraz nikt nam nie przeszkadzał. Winnetou podjechał bliżej. Wybraliśmy dwa najlepsze, osiodłane konie.

Indianin umykał co sił i wydawał straszliwe okrzyki, które słyhać było jeszcze w odległości mili. Komanczowie, spostrzegłszy go, zewsząd zaczęli do niego przybiegać. Wskutek tego droga stanęła przed nami otworem. Skoczyliśmy na konie i pomknęliśmy galopem na południe, gdzie na odległość strzału nie było widać ani jednego Indianina. Później skręciliśmy na zachód.

BRATOBÓJSTWO

Ani nam przez myśl nie przeszło, aby wracać do tego miejsca rzeki Canadian, gdzie rozstał się z Indianami Jonatan Melton — byłaby to niepotrzebna strata czasu. Trzymaliśmy się raczej, o ile na to pozwalał teren, linii prostej do Albuquerque. W drodze nie przytrafiła nam się żadna, godna uwagi przyгода. Czwartego dnia wieczorem stanęliśmy u celu.

Miejscowość, do której przybyliśmy, bierze swą nazwę od księcia Albuquerque, który był ongiś wicekrólem Meksyku. Nazwa „Albuquerque” oznacza „Biały dąb”. Miasto składa się właściwie z dwóch dzielnic, wcale do siebie niepodobnych i oddzielonych obszerną, nie zabudowaną przestrzenią. Stara dzielnica hiszpańska zachowała czysty, dawny charakter kastylski, który nigdzie indziej nie przeciwstawia się tak wyraźnie współczesnemu amerykańskiemu. Nowe zaś Albuquerque ma wygląd zwykłych miast amerykańskich, wyrostłych jak grzyby po deszczu. Marne, nie brukowane ulice i zaułki z drewnianymi chodnikami dla przechodniów. Budynek drewniane, oblepione sklepami i szynkami wszelkiego rodzaju. Całe miasto leży na prawym brzegu Rio Grande del Norte, na lewym zaś położona jest duża wieś Atrisco.

Byliśmy pewni, że zbiegowie wyznaczyli sobie spotkanie w restauracji Plenera, w amerykańskiej dzielnicy. Nie uważaliśmy za właściwe od razu we trzech odwiedzić ów zakład. Zajechaliśmy do innego hotelu, który bynajmniej nie był godny tej nazwy. Zostałem tu wraz z Winnetou, Emery natomiast pojechał wprost do Plenera. On najmniej ściał na siebie uwagę. Poleciliśmy mu, aby nie narzucał się zbyt do swym towarzystwem, ale zasięgnął języka.

Był już, jak rzekłem, wieczór, gdy przyjechaliśmy. Znużeni podróżą, zamierzaliśmy wcześniej się położyć. Gdy przy kolacji oznajmiłem to posługaczowi, odezwał się:

— Bardzo niesłusznie, panowie dżentelmeni! Powiadam wam, że Albuquerque jest ponurym gniazdem i jeśli tylko nadarza się tu sposobność jakiejś rozrywki, to należy z niej stanowczo skorzystać, zamiast kłaść się do łóżka.

— Cóż to takiego? Jest pan bardzo przejęty, master!

— Bo też jest czym się wzruszać! Gdybyście tylko zobaczyli naszą Hiszpankę, panowie!

— Widziałem już wiele Hiszpanek. Co to za jedna?

— Śpiewaczka. Powiadam panu, całe Albuquerque szaleje za nią. Chciała tu wystąpić tylko jeden raz, ale powodzenie było tak ogromne, że zdecydowała się dać jeszcze dwa koncerty.

— Jak się nazywa ta niezwykła śpiewaczka?

— Marta Pajaro.

— Pięknie brzmiące nazwisko!

— Prawdziwie hiszpańskie. To rodowita Kastylka, aczkolwiek nade wszystko lubi śpiewać niemieckie pieśni.

— Jak to? Hiszpanka, śpiewająca niemieckie pieśni?

— Tak. Czy to pana dziwi? Ponadto warto też posłuchać jej brata skrzypka! Mówię panu, że nie znam takiego drugiego wirtuoza, jak ten Francisco Pajaro!

— A więc Marta i Francisco Pajaro? Zaciekawieś mnie pan naprawdę. Może zdecyduje się pójść ich posłuchać. Gdzie odbywają się występy?

— W salonie naprzeciwko. Wszystkie bilety wyprzedane. Ale ja mam jeszcze kilka. Miejsce kosztuje właściwie dolara, jak mi pan zapłaci dwa, „to panu sprzedam.

— Ach, chce pan zarobić sto procent! Niech tam! Proszę mi dać dwa bilety.

Czytelnik zapyta chyba, dlaczego kupiłem bilety, mimo podwójnej ceny? Z bardzo prozaicznego powodu: „pajaro” znaczy po hiszpańsku ptak, odpowiednikiem w języku niemieckim jest „Vogel”. Rodzeństwo miało imiona Marta i Franciszek, Czyż nie nasuwali

się na myśl moi starzy znajomi, których sprawy spadkowe zagnały mnie i Winnetou do Egiptu i Tunisu, a teraz znów sprowadziły do Ameryki? Hiszpanka, śpiewająca pieśni niemieckie — zjawisko nieco osobliwe. Raczej należało przypuścić, że śpiewaczka jest Niemką i że tu, w Nowym Meksyku, przybrała nazwisko hiszpańskie. Podzieliłem się domysłami z Winnetou, który z miejsca zgodził się pójść na koncert.

Do rozpoczęcia występu mieliśmy pół godziny czasu, trzeba więc było się śpieszyć. Posługacz hotelowy nie skłamał, przynajmniej co się tyczyło publiczności. Salonem była buda, sklecona z desek, tak wielka, że mogła pomieścić sześćset osób, a jednak tylko nieliczne krzesła w ostatnich rzędach były wolne. Tam się usadowiliśmy.

Po kilku minutach wszystkie miejsca zostały zajęte. Przybywało jednak coraz więcej ludzi i zapełniało przejścia. Scenę stanowiło podium, na którym stał fortepian.

Niebawem wstąpili na podium oboje artyści. Tak, to byli na pewno oni, Franciszek Vogel i jego siostra. Franciszek trzymał skrzypce, ona zaś siadła do fortepianu. Zagrał jakiś brawurowy utwór. Stwierdziłem w jego grze znaczne postępy. Martę widziałem z profilu. Dojrzała już całkowicie i bardziej wypiękniała. Cierpienia i troski ostatnich lat uduchowily jej twarz i nacechowały piękne rysy bólem, co przepelniło mnie ogromnym smutkiem. Po skończeniu pierwszego utworu oboje ukryli się za zasłoną.

Drugi utwór był popisem Marty z akompaniamentem Franciszka. Śpiewała hiszpański romans, śpiewała tak pięknie, że musiała pieśń powtórzyć. Marta nie uciekała się do tanich efektów toalety — nosiła długą czarną suknię, wysoko zapiętą pod szyją. Jedyłą ozdobą była róża we włosach. Rodzeństwo popisywało się na przemian lub razem.

Marta zaśpiewała dwie pieśni góralskie, hiszpańską serenadę, po czym nastąpiła wspaniała pieśń „Widziałam cię raz, tylko jeden raz”.

Większość publiczności nie rozumiała tekstu, a jednak zabrzmiały tak huczne owacje, że budynek nieomal zatrzęsł się w posadach. Śpiewaczka musiała bisować.

Winnetou oczywiście poznał Franciszka Vogla. Zapytał mnie:

— Czy mój brat nie pójdzie dowiedzieć się ich adresu? Musimy wszak z nimi pomówić.

Miał słusność. Artyści występowali po raz ostatni. Być może jutro mieli już zamiar odjechać. Trzeba było z nimi koniecznie porozmawiać. Podniosłem się, by do nich podejść. Byłem zmuszony przedzierać się przez tłum widzów, skupionych w przejściu, czym zwróciłem na siebie uwagę. Nagle usłyszałem cichy, lecz przerażony okrzyk:

— Do wszystkich diabłów! To Old Shatterhand!

Obejrzałem się i zobaczyłem dwóch osobników, noszących szerokie sombrera. Spod olbrzymich rond widać było tylko ciemne brody. Widząc, że na nich patrzę, odwrócili się. To mnie zastanowiło. Niestety, wymówione imię zwróciło na mnie mnóstwo spojrzeń. Mocno zażenowany przedzierałem się dalej.

Artyści podczas pauz przebywali za zasłoną. Dotarłszy do niej, zapytałem po niemiecku:

— Czy wolno wejść znajomemu?

Uchyłono kotarę. Wszedłem i stanąłem naprzeciwko Voglów.

— Kto...kto... skąd pan... to pan? — zapytał oszołomiony Franciszek, postępując naprzód dwa kroki.

— Panie doktorze! — krzyknęła niemal Marta.

Miałem wrażenie, że się zachwiała na nogach. Wyciągnąłem rękę, aby ją podtrzymać. Uchwyciła moją dłoń, ucałowała, zanim zdołałem temu zapobiec, i wybuchnęła głośnym łkaniem. Doprowadziłem ją do krzesła, posadziłem łagodnie i rzekłem do Franciszka:

— Jakże się cieszę, że was widzę! Mam wam do powiedzenia wiele ważnych rzeczy, ale nie będę teraz przeszkadzał. Podajcie mi swój adres.

— Ostatni dom przedmieścia, nad rzeką — odpowiedział.

— Czy będę mógł odprowadzić was po koncercie do domu?

— Ależ tak, tak, bardzo pana prosimy!

— Dobrze. Zajdę tu po was. Jest ze mną Winnetou.

Marta ukryła twarz w dłoniach i płakała. Aby swą obecnością nie spotęgować jej rozrzewnienia, wróciłem na salę. Przechodząc koło miejsca, gdzie poprzednio wymieniono moje nazwisko, chciałem się uważnie przyjrzeć obu nieznanym, ale krzesła ich były już puste. Zniknęli.

Dopiero po dłuższej pauzie wyszła na podium para artystów. Marta opanowała się. Najpierw Franciszek zagrał utwór koncertowy, po nim zaśpiewała ona. Zerwała się burza oklasków, gdy przebrzmiały, publiczność dość niechętnie opuszczała salon, urzeczona koncertem. Minęło sporo czasu, zanim sala się opróżniła. Winnetou wyszedł wraz z tłumem, zostawiając mnie samego z Martą i jej bratem. Byłem z tego rad, gdyż rozmawialibyśmy po niemiecku i Winnetou nic by nie rozumiał. Skoro uznałem, że już nikt spośród oczarowanych słuchaczy nie będzie się narzucał śpiewacze z wyrazami hołdu, uchyliłem zasłonę. Po krótkiej chwili milczenia podałem Marcie ramię i opuściliśmy lokal. Franciszek został, aby załatwić rachunki z gospodarzem.

Niebo wieczorem miało dziwny kolor, właściwy firmamentowi Nowego Meksyku, gdzie często przez cały rok nie pada ani kropla deszczu. Aczkolwiek księżyc nie świecił, było widno, niemal jak za dnia. Dom, w którym oboje zatrzymali się podczas pobytu w Albuquerque, wznosił się w pobliżu rzeki. Gospodyni, Hiszpanka, była wdową. Marta nie chciała zamieszkać w tutejszych gospodach, które noszą wprawdzie nazwę hoteli, lecz nie posiadają żadnych wygód, a są bardzo drogie i do tego skupiają wszelką zbieraninę istot, zagrażających nie tylko spokojowi, ale także osobistemu bezpieczeństwu.

Wąska, wydeptana ścieżka zaprowadziła nas nad brzeg rzeki. Przez krzaki nadbrzeżne widać było obrastające rzekę gęste sitowie. Gospodyni otworzyła drzwi. Oczekiwała powrotu tylko rodzeństwa, toteż była wielce zdumiona, gdy zobaczyła lokatorkę w towarzystwie obcego mężczyzny. Nic jednak nie mówiąc, oświetliła wąskie schody, prowadzące na piętro, gdzie w trzech pokojach mieszkali Voglowie. Domy z takimi piętrami są nader rzadkie w Albuquerque. Pani domu zapaliwszy lampy, wyszła, uprzednio upewniwszy się, że brat Marty wkrótce nadejdzie.

Siedzieliśmy przez moment naprzeciwko siebie w milczeniu, po czym zacząłem rozmowę:

— Wie pani naturalnie, że Franciszek odwiedził mnie w Europie i poinformował o waszej sytuacji?

— Tak. To ja dodałam mu odwagi, aby się zwrócił do pana.

— Aż odwagi?

— Oczywiście. Myślał, że nie zechce pan się nami zająć po tym wszystkim, co zaszło.

— W takim razie, niestety, nie myśli o mnie tak, jakbym sobie tego życzył. A zresztą to Winnetou skierował go do mnie.

— Tak, Bóg nam zesłał tego wspaniałego człowieka. Wydzwignął nas z nędzy i tylko dzięki jego poparciu finansowemu mogliśmy rozpocząć tournée koncertowe.

— Jak się wam to opłaca?

— Wyśmienicie! Pierwszy nasz występ spotyka się zwykle z rezerwą, potem jednak publiczność domaga się parokrotnego powtórzenia koncertu.

— A teraz dokąd jedziecie?

— Do Santa Fé i dalej na wschód.

— Aha! Nie jest już pani zadowolona z dotychczasowego powodzenia i chce zostać milionerką! — powiedziałem z uśmiechem.

Z opuszczonymi oczami, z wyrazem głębokiej powagi odezwała się:

— Milionerką? O, nie chciałabym po raz drugi nią zostać, w każdym razie za taką cenę, jaką już musiałam zapłacić. Przekonałam się zbyt prędko, że olśniło mnie bogactwo. Mówi pan o moim powodzeniu? Niech pan nie sądzi, że ono mnie upaja! Wie pan, że już wcześniej wolałam śpiewać w domu niż przed publicznością. Nie marzyłam bynajmniej o karierze

śpiewaczki, której może słuchać każdy, kto zapłaci za bilet. Byłoby o wiele lepiej, gdyby mnie wówczas nie odkrył kapelmistrz. Zaopiekował się mną, pokierował. Gdyby tego nie uczynił, pozostałabym nadal biedną hafciarką i...

Nie dokończyła zdania, zamyśliwszy się przez chwilę. Ponieważ milczałem, podjęła:

— Byłabym może szczęśliwsza, albo przynajmniej żyłabym w przekonaniu, że jestem szczęśliwa, że jest mi dobrze.

— Mam nadzieję, że nie zalicza się pani do osób nieszczęśliwych?

Podniosła oczy, w zamyśleniu patrzyła w przestrzeń ponad moją głową i dopiero po dłuższej przerwie odezwała się:

— Czym jest szczęście i nieszczęście? Nie należy mieszać szczęścia z wiecznie trwającą radością, a nieszczęścia z nigdy nie ustępującym bólem wewnętrznym. Ale jeśli mnie pan zapyta, czy jestem zadowolona, wówczas odpowiem panu: tak, skoro się do tego... zmuszę.

Rozmowa przybrała nieco męczący obrót. Dlatego ucieszyłem się, kiedy wrócił Franciszek. Przyniósł jakieś zawiniątko. Położył je na stole, a następnie podał mi rękę, mówiąc:

— Serdecznie pana witam, panie doktorze! Któż by mógł przypuszczać!?! Oniemiałem ze zdumienia, ale i z radości, gdy pana ujrzałem. A teraz uczymy nasze spotkanie. Przyniosłem coś na tę okazję. Odgadnijcie, co!?

— Na pewno wino.

— Tak, ale jakie? Niech pan przeczyta!

— Riedesheimer Berg — przeczytałem.

— Tak — rzekł, śmiejąc się i podsuwając mi pod nos flaszkę. — A teraz dziwi się pan bardzo?

— Nie, wcale nie. Raczej się gniewam.

— Dlaczego?

— Bo to wino nie jest prawdziwe.

— To niemożliwe!

— Nawet etykieta jest podrobiona; miejscowość nazywa się Rudesheim, a nie Riedesheim.

— Ach! — krzyknął rozczarowany, oglądając uważnie etykietę. — Tego nie zauważyłem.

— Myślę, że to nie tylko błąd ortograficzny. Jeśli etykieta została tak wydrukowana, to tym bardziej wino było rozlewane tutaj. Ile zapłacił pan za flaszkę?

— Piętnaście dolarów.

— Za dwie?

— Nie, za jedną.

— Tak, to jeszcze niezbyt wygórowana cena. Bywają Rudesheimery, które na miejscu kosztują więcej. Można jeszcze przeboleć stratę trzydziestu dolarów. A więc skosztujmy!

Napełnił trzy szklanki. Trąciwszy się, podnieśliśmy je do ust. Voglowie już po pierwszym łyku zrobili niezbyt radosne miny. Ja nie piłem wcale, gdyż wystarczył mi zapach. Była to skwaśniała polewka z octu i rodzyneków.

— Niech się pan nie przejmuj — rzekłem. Nie przyszedłem do was na alkohol. Niech pan odstawi ten byle jaki trunek i usiądzie. Pomówimy o czymś ważniejszym.

— Tak, o pańskim pobycie w Egipcie — rzekł, patrząc na mnie z zaciekawieniem. — Zadanie było ponad siły. Jestem przekonany, że nic pan nie wskórał. Nawet najmądrzejszy człowiek na świecie nie potrafiłby odnaleźć poszukiwanego, mając tak nieliczne i mgliste poszlaki.

— Hm! Czasem i we mgle wpadają na siebie ludzie, którzy podczas pogody nigdy by się nie spotkali!

— Co pan powiedział? Czy to ma znaczyć, że pańska podróż nie była jednak daremna?

— To ma znaczyć, że zmuszę pańską siostrę do czegoś, co, jak mi się zdaje, jest jej nader niemiłe.

— Mianowicie?

— Twierdziła poprzednio, kiedy pana tu nie było, że nie ma ochoty zostać znów milionerką.

— Milionerką? Czy do tego właśnie chciałby ją pan zmusić?

— Tak. Mówię z całą powagą.

— To byłoby więcej niż dziwne, więcej niż cudowne! — zawołał, zrywając się z miejsca. Marta popatrzyła na mnie uważnie, ale nadal milczała.

— Nic cudownego w tej sprawie nie ma — odpowiedziałem. — A dziwne jest tylko to, że jeszcze jej nie możemy zakończyć.

— A więc niech pan od razu przystąpi do rzeczy! Wyraził pan swego czasu przekonanie, że towarzysz Smalla Huntera jest oszustem i nazywa się Jonatan Melton.

— I tak jest istotnie.

— Czy spotkał go pan?

— Tak, jak również i Smalla Huntera. Jednego martwego, drugiego żywego.

— Kto żyje?

— Melton.

— Mój Boże! A więc jesteśmy spadkobiercami ogromnego majątku!

— Milionowego! — dodałem.

Schwycił się za głowę i zawołał:

— Kto mógłby w to uwierzyć!?! Co za radość! Chociażby przez wzgląd na rodziców! Teraz czuję, że ze wzruszenia można umrzeć lub zwariować.

Podbiegł do mnie i swoje szczęście Wyraził w mocnym uścisku mojej dłoni. Aby przerwać ten wybuch radości, rzekłem:

— Niech się pan uspokoi! Sprawa nie doszła jeszcze do takiego punktu, aby można było zwariować ze szczęścia. Tak, to prawda, że jesteście spadkobiercami, ale spadku już nie ma. Jonatan Melton sprzątnął go wam sprzed nosa.

— O niebiosa! A więc Fred Murphy wydał mu spadek?

— Tak — odpowiedziałem i wyjaśniłem okoliczności tej afery.

— A więc Melton musi natychmiast zwrócić wszystko! Gdzie jest ten szubrawiec? Bezwłocznie jadę go odszukać i zmusić do zwrotu majątku!

Mówiąc to, przyjął tak groźną postawę i tak wściekłą minę, że Melton, gdyby tu siedział, na pewno struchlałby z przerażenia.

— Gdzie jest ten łajdak? — zapytał wzburzony.

— Tu, w Albuquerque — odpowiedziałem spokojnie.

— Co? Tu... w... Albuquerque?

— Tak. Czy pan nie rozumie? Przecież wyruszyłem w świat, aby zdemaskować tego człowieka. Szedłem po jego tropie, a skoro tu jestem, nietrudno odgadnąć, co mnie sprowadziło.

— Ach, tak! Więc to prawda! Czyli że ten łotr jest tutaj! Będę...

— Stój! — krzyknąłem, gdyż podbiegł już do drzwi. — Poczekajże chwilę! Wszak Melton nie stoi na schodach, aby paść panu w objęcia. Miałem na myśli, że albo jest w tym mieście, albo był w nim i to jeszcze niedawno, najwyżej przed dwoma dniami.

— My tu bawimy od dłuższego czasu. I nie mieliśmy o tym pojęcia! Nie wie pan, czy jeszcze jest tutaj, czy już go nie ma? Więc nie mógł się pan dowiedzieć, w jakim hotelu się zatrzymał?

— Owszem, dowiedziałem się. Prawdopodobnie zajechał do hotelu Plenera.

— Do Plenera! Bywałem tam po kilka razy dziennie! Kto wie, czy nie siedziałem z nim nawet przy jednym stole!?

— Oczywiście, mogło to mieć miejsce.

— I nic nie wiedziałem! Ale to nie moja wina, gdyż nie miałem o tym wszystkim najmniejszego pojęcia! Pan, pan jesteś temu winien! Trzeba było od razu o niego pytać, skoro tylko przybył pan do Albuquerque!

— Pytać? Ani mi się śni! Chętnie przyjmę na siebie tę winę, że byłem zbyt ostrożny. Czy mogłem się jednak pokazać? Gdyby mnie zauważył, od razu by stąd czmychnął.

— To prawda. Wybacz pan! Te miliony całkiem mi rozum zaćmiły.

— Niech się pan uspokoi. Może pan być przekonany, że nie zaniedbam niczego w tej sprawie. Melton narobił nam wiele kłopotów. Wymykał się wciąż nie wskutek naszych błędów, lecz dzięki szczęściu, które mu stale dopisywało.

Opowiedziałem nasze przygody. Naturalnie wysunąłem na pierwszy plan działalność Winnetou i Bothwella. Można sobie wyobrazić, z jaką ciekawością słuchali. Przerywali mi setkami, pytań i okrzyków, wskutek czego opowieść moja trwała bardzo długo. Wreszcie doprowadziłem ją do chwili bieżącej.

Franciszek wyrażał pod naszym adresem swoje najwyższe uznanie. Powstrzymałem go jednak, mówiąc:

— Niech pan to powie nie mnie, lecz sir Emery'emu i Winnetou, których wnet zobaczycie. Obaj zasłużyli na pochwały.

Marta milcząco podała mi rękę, co wzruszyło mnie bardziej niż nadmiernie głośne zachwyty jej brata. Franciszek chodził teraz po pokoju tam i z powrotem, mruczał coś pod nosem, kiwał głową, wydawał niezrozumiałe dźwięki, groził pięściami, jak gdyby miał przed sobą Meltona.

— Niech pan się wreszcie opanuje, mój miły przyjacielu! — rzekłem. — Potrzeba rozwagi. Ponieważ opowiedziałem wam już wszystko, wrócę spokojnie do hotelu. Zapewne był tam lub jest jeszcze Emery, aby zdać nam sprawę z pobytu u Plenera. Jeśli Melton dotąd nie wyjechał, mamy ptaszka w garści. Ale jeśli go już nie ma, jutro rano wyruszamy w dalszą drogę. Co się zaś tyczy jego ojca i stryja, to... hm, śmiem twierdzić, że są tu, a nawet, że ich widziałem.

Opowiedziałem zdarzenie w sali koncertowej.

— Obaj noszą sombrera? — zapytał Franciszek w zamyśleniu. — Niech mi pan powie, jak wyglądali?

— Chudzi i wysocy, prawie jednakowego wzrostu, bardzo do siebie podobni.

— Zdaje się, że widziałem ich, wracając do domu!

— Gdzie?

— Między tym a pierwszym domem, na ścieżce koło rzeki.

— Ach! Czyżby mnie śledzili!?

— Wątpię! Wszak nie wiedzą, że nas pan odwiedził.

— Myli się pan. Meltonowie są wielce doświadczonymi westmanami. Przypuśćmy, że to istotnie oni są owymi słuchaczami z sali koncertowej. Gdy mnie zobaczyli i rozpoznali, od razu zorientowali się, że przyjechałem tu w pościgu za nimi. Dlatego tak szybko opuścili salę.

— Ale skądże by się tu wzięli?! Nie mogli przecież odgadnąć, że pan pójdzie do nas!

— To prawda. Nie poszli też wprost tutaj, lecz ukryli się w pobliżu miejsca, gdzie odbywał się koncert, aby wyśledzić, gdzie mieszkam. Widząc, że odprowadzam pańską siostrę, poszli za nami i zaczęli się w pobliżu, aby napaść na mnie, gdy będę wracał. Przecież sam pan mówił, że widział ich koło rzeki?

— Naturalnie! Musiałem ich wyminąć. A teraz przypominam sobie nawet, że zlekli się, usłyszawszy za sobą kroki i szybko się odwrócili!

— Na dworze jest tak jasno, że widać wszystko wyraźnie. Czy zauważył pan, jak byli uzbrojeni?

— Nie przyglądałem się, czy mają noże lub rewolwery. Śpieszyłem się do domu, ale to jedno dostrzegłem, że trzymali strzelby.

— Nikt bez powodu nie włóczy się po mieście ze strzelbą. Na koncert przecież nie zabrali ze sobą broni. A zatem, jeśli zaopatrzyli się w nią po koncercie, to widocznie uważali, że im się przyda. A to, że czyhają w pobliżu waszego mieszkania, jest niewątpliwie dowodem, iż nastają na moje życie.

Marta chwyciła mnie za rękę, prosząc:

— Na miłość boską, niech pan nie idzie! Musi pan tu zostać!

— Nie mogę. Winnetou i Emery czekają na mnie.

— Zaczekają do jutra!

— Do jutra może się zdarzyć coś, co będzie wymagało mojej obecności. Na pewno obaj wypatrują mnie z niecierpliwością. Muszę iść, stanowczo muszę.

— Ale ja pana nie puszczę! — zawołała, chwytając mnie za drugą rękę. — Oni chcą pana zastrzelić. Niech się pan zastanowi, co to znaczy!

— To znaczy, że już niejeden chciał mnie zastrzelić i strzelał do mnie, a jednak stoję tu przed panią cały i zdrowy.

— Ale teraz niebezpieczeństwo jest zbyt duże! Na ulicy czekają dwaj mordercy... Niech pan pomyśli, dwaj mordercy!!

— Niebezpieczeństwo byłoby większe, gdybym o tym nie wiedział. Lecz skoro wiem, nie ma obawy. Możliwe są dwie ewentualności: albo Meltonowie domyślili się, że pan mnie o nich powiadomił, w takim razie poszli sobie, wiedząc, że jestem ostrożny...

— A druga ewentualność?

— Że nie odeszli i aby mnie zaskoczyć, zaszyli się w zagajniku nad rzeką. Wobec tego wrócę inną drogą.

— Pójdą za panem i wykonają swój plan. Nie! Niech pan zostanie tutaj, proszę, błagam!

Prosiła szczerze i gorąco. Widziałem, że istotnie się lęka, ale nie mogłem ulec jej prośbom. Odpowiedziałem, uwalniając rękę z uścisku:

— Niech mnie pani nie usiłuje zatrzymywać. Muszę iść, muszę naprawdę, gdyż...

Naraz rozległ się wystrzał, a zaraz potem drugi. Jakiś głos zawołał:

— To tam! Tam są ci przestępcy! To był głos Emery'ego. Złapawszy ze stołu lampę, wręczyłem ją Franciszkowi, mówiąc:

— Niech pan poświeci! Prędko, prędko! Muszę iść!

Marta chcąc mnie zatrzymać, chwyciła za rękaw, lecz wyrwałem się jej i wybiegłem na schody. Na dole nie mogłem otworzyć drzwi. Przywołałem Franciszka nagłym głosem. Wreszcie znalazłem się na dworze, ale mimo jasnej nocy nic nie można było zobaczyć.

Na górze, na schodach stała Marta i wołała:

— Niech pan wróci! Słyszał pan, że to nie przelewki!

— Dla mnie niebezpieczeństwo już minęło — odpowiedziałem. — Bandyci zostali spłoszeni, ale jeśli ich kule były celne, mogły trafić Winnetou.

— Winnetou? — zapytał Vogel z trwogą w głosie. — Sądzi pan, że to był on?

— Tak. Poznałem głos Bothwella. Emery nie wiedział, że jestem u was. Musiał się więc dowiedzieć od Apacza, a ten nie puściłby go samego.

— I lęka się pan o Winnetou?

— Tak. Jeśli kula nie chybiła, to mogła go ranić. A Emery, jak można było sądzić po okrzyku, pobiegł za złoczyńcami. Głosu Apacza nie słyszałem. Musiał... Ach, Bogu dzięki, nadchodzą dwie postacie! Kamień mi spadł z serca. To oni, i zdaje się, żaden nie jest ranny!

Obaj biegli na przełaj przez puste pole. Rzeczywiście, byli to Winnetou i Emery. Pobiegłem im z radością naprzeciw i krzyknąłem:

— Czy żaden z was nie jest ranny?

— Nie — odpowiedział Emery. — Strzały były dobrze pomyślane, lecz źle wymierzone. Kto wie, kto to był. W każdym razie para tutejszych nocnych rycerzy. Wzięli nas zapewne za kogoś innego.

— Nie sądź tak pochopnie! Na mnie czyhali ci rycerze. To na pewno starzy Meltonowie.
— Czy to być może!?

— Nie tylko może, ale nawet jest wielce prawdopodobne.
— Do kroćset diabłów! Gdyby tak istotnie było, zamartwiałbym się do samej śmierci! Z czego to wnioskujesz?

— Zaraz się dowiesz. Ale muszę wpierw wiedzieć, dokąd uciekli;
— Hm, w każdym razie daleko!
— I nie dogoniliście ich? Wszak Winnetou jest doskonałym biegaczem! Teraz odezwał się Apacz:

— Winnetou pobiegł za nimi. Niemal ich już doścignął, gdy obaj dopadłszy koni, szybko odjechali.
— Aha, więc to tak? A ponieważ nie mieliście broni, nie mogliście strzelać. Plan był wcale nieźle pomyślany. Uciekli i teraz szukaj wiatru w polu.
— Tak sądzisz? — zapytał Emery. — Jeśli się jednak wrócą i gdzieś przyczają, to znowu grozi nam niebezpieczeństwo.
— Uciekli bez wątpienia. Ponieważ widzieli was i rozpoznali, przynajmniej Winnetou, więc nie odważą się powrócić. Chodźcie ze mną na górę.

Byłem zadowolony, że przyszli. Mogliśmy na miejscu omówić z Franciszkiem Voglem dalsze postępowanie. Marta była bardzo ucieszona widokiem moich przyjaciół, którym tyle zawdzięczała. W pokoju zagadnąłem Emery'ego:

— Przede wszystkim opowiedz, jak do tego doszło?
— Źle się stało — mówił z wściekłością. — Gdybym przypuszczał, że te draby sterczą tu, w polu, to...

— W polu? — przerwałem.
— Tak. A gdzie myślałeś?
— Nie w zagajniku nad rzeką?
— Nie. Dlaczego o to pytasz?
— Później ci wyjaśnię. Opowiadaj dalej!
— Wróciłem do hotelu, aby się z wami porozumieć i zastałem tylko Winnetou, który mi powiedział, kogo spotkałeś. Czekaliśmy na ciebie dość długo, a ponieważ nie wracałeś, więc wyszliśmy ci naprzeciw.
— Przecież Winnetou nie wiedział dokąd poszedłem.
— To dla nas fraszka! Nie jesteśmy dziećmi, potrafimy zasięgnąć języka. Oczywiście, pytaliśmy o mieszkanie państwa Pajaro. Właśnie obchodziliśmy wybrzeże, aby się przekonać, czy nie zatrzymała cię tam jakaś zła przygoda, gdy naraz w odległości czterdziestu czy pięćdziesięciu kroków podniosły się z prawej strony w polu dwie postacie. Widzieliśmy, jak chwycili za broń, i padliśmy na ziemię w chwili, gdy huknęły wystrzały. Po czym zerwaliśmy się na równe nogi i pobiegliśmy ku strzelającym. Szubrawcy zmykali co tchu w piersiach. Winnetou wyprzedził mnie; wiesz, że biega lepiej. Zbliżał się do nich coraz bardziej. Naraz wyrosły, jakby spod ziemi, dwa wierzchowce, których wnet dopadli i ruszyli galopem. Taki był przebieg zdarzenia.

Lekki uśmiech przemknął przez piękną twarz Winnetou.

— Winnetou był już tak blisko jednego z nich, że uchwycił wierzchowca za ogon, ale musiał puścić go po pierwszym skoku.
— Wszak mieliście rewolwery. Dlaczego nie strzelaliście
— Nie wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia — odpowiedział Emery, — Gdybym przypuszczał, że to Meltonowie, inaczej bym postąpił!
— Niech mój brat tak nie mówi — rzekł Apacz. — Zachowaliśmy się jak dzieci. Strzelali do nas, są więc mordercami, a mordercom nie pozwala się zbiec. Nie powinniśmy byli się

zrywać. Pomyśleliby, że jesteśmy ranni, a może nawet zabici i zbliżyliby się do nas, a wówczas... Czy mój brat Emery wie, co byśmy wówczas zrobili?

— Do wszystkich diabłów! — zawołał podnieconym głosem Bothwell. — Naturalnie, że wiem! Złapałibyśmy ich. Nie nas przecież uczyć, jak się traktuje takich łotrzyków! Tak, masz słuszość. Postąpiliśmy jak sztubacy. Jakże można było tak zbaranieć?! Powiedz mi tylko, Charley...

— Łatwo powiedzieć — odparłem. — Przecież nic nie podejrzewając, szliście swoją drogą. Byliście zaskoczeni, gdy tu, tak blisko miasta, znienacka powitano was strzałami. Dowodzi to niezwykłej przytomności umysłu, że natychmiast padliście na ziemię. Nikt nie może żądać więcej od najrzęczniejszego nawet i najsłynniejszego westmana.

— To mnie pociesza. A jednak lepiej byłoby uciec się do fortelu Winnetou. Cóż, przepadło. Nie mówmy już o tym wypadku, nie przysparzajmy sobie zgryzoty.

— Tak, mówmy lepiej o wiadomościach, które zdołałeś zebrać. Czy masz coś ważnego?

— Tak. Jonatan Melton był tu i zatrzymał się z narzeczoną u Plenera.

— Kiedy?

— Wczoraj przed obiadem. Oboje posilili się, zmienili zaprzęg i niezwłocznie odjechali.

— Karetą?

— Tak. Plener dał im przewodnika. Pojechali przez Aconę do Kolorado.

— Gdyby w to można było wierzyć! A jeśli chcieli wyprowadzić nas w pole?

— W takim razie Plener byłby z Jonatanem w zмовie.

— Niekoniecznie. Jonatan mógł go przecież oszukać, aby i nas okpić.

— Może. Plener robi wrażenie hotelarza kutego na cztery nogi, ale łotrem nie jest na pewno. I po co by Jonatan się trudził, aby zachować ostrożność? Wszak jest pewny, że zginęliśmy w Dolinie Śmierci.

— Być może. I właśnie dlatego nie zacieram za sobą śladów. Czy to już wszystko?

— Nie. Plenerowi nie chciałem zadawać zbyt wielu pytań. Zwróciłem się do jego ludzi, ale nic z nich nie mogłem wyciągnąć. Wobec tego wieczorem znów zagadnąłem hotelarza. Powiedział, że dziś przed obiadem przyszli do jego restauracji dwaj mężczyźni, urządzili wesołą pijatykę i dopytywali się o Jonatana. Udzielił im tych samych informacji co i mnie. Wkrótce potem odeszli.

— Przyszli więc pieszo?

— Tak. A teraz jeszcze przypominam sobie, że napomknął, iż nosili na głowach wielkie sombrera.

— A zatem byli to obaj starzy Meltonowie. Przezornie nie zajechali do Plenera, lecz tylko wstąpili na chwilę.

— Ale dlaczego pozostali w mieście do wieczora, a nie udali się natychmiast w ślad za swoim Jonatanem?

— Prawdopodobnie dlatego, że byli zmęczeni i że chcieli dać wypoczynek koniom.

— Mogli przecież zamienić zmęczone wierzchowce na wypoczęte. Chyba że nie posiadają pieniędzy.

— Jonatan z pewnością obdzielił ich gotówką. Przybyli tu inną drogą niż on ze względu na przezorność. Dziś wieczorem dla rozrywki poszli na koncert i ujrzeli mnie. Wywnioskowali stąd całkiem trafnie, że dotrzymujecie mi towarzystwa. Skradając się za mną i czatując, wypatrywali nas nad rzeką. Lecz najpierw wyminął ich pan Vogel. Wiedzieli, że jest bratem Marty, u której goszczę, i przypuszczali, że mnie ostrzeże.

— A jednak nie uciekli. Sądzili, że będziemy myśleć, iż wzięli nogi za pas.

— Byłem sam jeden i przy tym nieuzbrojony. Wiedzieli o tym, więc łatwo byłoby mnie zastrzelić. Mogli do mnie celować z odległości dalszej niż strzał z rewolweru. Jakże sobie sprytnie to obmyślili!

— Sprytnie? Wręcz przeciwnie. Jestem zdania, że nie mogli bardziej głupio postąpić.

— O nie! Postąpili chytrze, nie zaczęli się przecież nad rzeką. Byłem ostrzeżony, że tam właśnie czatują. Stąd można było przypuścić, że pójdę przez pole. Istotnie, tak właśnie zamierzałem zrobić. Czekali zatem w polu, niedaleko rzeki, aby mnie zastrzelić, gdybym szedł nadbrzeżną ścieżką. Potem zobaczyli was i rozpoznali.

— Mnie również? — zapytał Emery.

— Naturalnie. Winnetou nietrudno poznać, nawet w większym mroku niż dzisiaj. Mnie widzieli przedtem. Teraz ujrzeli Winnetou, więc domyślili się, kim ty jesteś. Byliście dla nich równie niebezpieczni, jak ja. Dlatego potraktowali was kulami przeznaczonymi dla mnie. Musimy dziękować Bogu, że wniwecz obrócił ich zamiary.

— Tak. Z początku tobie groziło niebezpieczeństwo, ale potem nam śmierć zajrzała w oczy. Podczas gdy kule gwizdały nad nami, ty siedziałeś tutaj bezpiecznie. Ale skąd im przyszło na myśl trzymać konie w pogotowiu?

— Ponieważ zobaczyli mnie na koncercie. Być może, dostrzegli także Winnetou. Wiedząc, że będziemy ich szukać, pomyśleli wcześniej o ucieczce. Gdy wysłedzili, dokąd poszedłem, wrócili po konie i ukryli je w pobliżu, aby zaraz po zabójstwie móc uciec.

— Dokąd pojechali?

— Zapewne w ślad za Jonatanem, Nie ulega wątpliwości, że umówili się z nim przed wyjazdem z Nowego Orléanu.

— Lecz skoro przybyli tu inną drogą, tak samo inną mogą teraz pojechać?

Wówczas odezwał się Winnetou:

— Zamek białej squaw, który jest celem ich ucieczki, Wznosi się między Kolorado a Sierra Blanca. Prowadzi tam tylko jedna dogodna droga, o czym wiedzą ci, którzy już tam byli. Tę właśnie drogę obrała blada twarz, Jonatan. Dlaczego to jego ojciec i stryj mieliby jechać gorszymi drogami?

— I ja tak sądzę — potwierdziłem.— Starzy Meltonowie są nader zuchwałymi łotrami. Nie zadają sobie wiele trudu, chyba że zmusi ich do tego konieczność. Jestem bezwzględnie przekonany, że pojedą drogą wiodącą do Arcony. Jutro skoro świt wyruszymy za nimi w pościg.

— Ja wam towarzyszę! — zawołał podniecony Franciszek.

— Pan? — roześmiałem się. — Czy chce pan koncertować na wierzchołkach Sierra Blanca?

— Świerzbi mnie, żeby zagrać Meltonom taką melodię, jakiej by nigdy nie zapomnieli.

— Pozostaw to nam, drogi przyjacielu. Jest pan bardzo dobrym skrzypkiem, ale to nie pańskie nuty kryją się w kanionach Kolorado. Jedziemy za Meltonami, aby im odebrać spadek i w tej podróży pan się nam nie przyda. Wyprawa nasza nie potrwa długo. Niech pan jedzie tymczasem z koncertami do Santa Fé. Odwiedzimy was tam i złożymy u waszych stóp miliony.

— Nie, nie. Pan będzie ścigać bandytów, a ja w tym czasie mam koncertować? Nie potrafiłbym ciągnąć smyczkiem po strunach! Niech mi pan nie sprawia przykrości i nie skazuje na bezczynność! Chyba nie miałbym honoru, gdybym na to przystał.

Właściwie miał rację, bo istotnie narażalibyśmy się dla niego. Nie dziw, że chciał dzielić nasz los. To samo chyba pomyślał Emery, albowiem zapytał:

— Czy umie pan znośnie jeździć konno?

— Nie tylko znośnie. Nauczyłem się tego, przebywając na wsi.

— A obchodzić się z bronią?

— Mistrzem w strzelaniu nie jestem, ale już nieraz strzelałem i jeśli podejść na odległość kilku kroków, to na pewno nie chybię.

— Hm. Jak myślisz, Charley? Chłopak ma odwagę.

Wzruszyłem ramionami, ale nie oponowałem. Istnieje bowiem także odwaga, która wpływa z nieznaności sytuacji i z nieumiejętności przewidywania niebezpieczeństwa.

Teraz i Marta zaczęła prosić, abym zabrał ze sobą jej brata. Zauważyła moją niechęć, więc zwróciła się do Emery'ego. Rycerski Anglik nie był z gatunku silnych mężczyzn i nie mógł się oprzeć prośbie pięknej, młodej kobiety.

— Czy widzisz jakieś ważne przeszkody, Charley?

— Nie. Lecz porozmawiaj o tym z Winnetou. Niech on rozstrzygnie.

Skoro wspominam o Winnetou, muszę wyjaśnić, że chociaż rozmawialiśmy po niemiecku, to jednak w miarę potrzeby tłumaczyliśmy mu przebieg rozmowy. Gdy tylko Emery wyłożył całą rzecz, Apacz rzekł:

— Winnetou jest temu przeciwny, albowiem ten młody człowiek będzie nam tylko przeszkadzać, zamiast pomagać. Ale ponieważ chodzi o jego pieniądze, które przywłaszczyli sobie złodzieje, zatem nie możemy odmówić jego życzeniu. Niech się jednak nie łudzi, że droga nasza będzie usłana różami. Całe osiem dni spędzimy w siodle, zanim dotrzemy do celu.

— Na pewno to przetrzymam — rzekł po angielsku Vogel.

— Jeśli mój młody brat zdobędzie do świtu dobrego konia z siodłem i cugłami oraz broń z amunicją, to niech z nami jedzie, w przeciwnym razie nie będziemy nań czekać, bo czas nagli.

Franciszek ujął mnie za rękę i poprosił:

— Niech mi pan pomoże, drogi panie doktorze! Koni w Albuquerque nie brak, broni i amunicji także, aczkolwiek ceny są wygórowane. Większość sklepów jest jeszcze otwarta. Czy zechce pan pójść ze mną?

— Chętnie. Załatwimy to prędko i będziemy mogli jeszcze przez kilka godzin się przespać.

Teraz nastąpiło coś, czego się nie spodziewałem. Mianowicie Marta zapytała:

— Czy sądzi pan, że Judyta z Jonatanem dojadą szczęśliwie?

— Tak sądzę.

— W takim razie, proszę, niech pan kupi drugiego konia i damskie siodło!

— Czy dobrze panią rozumiem? Chce pani kupić dla siebie wierzchowca?

— Tak, Pojadę z panami.

— Nic z tego! Na to nie możemy się zgodzić.

— Czy Judyta nie znosi podobnych trudów podróży?

— Ona podróżuje w karecie. To co innego.

Nie mogłem jej jednak przekonać. Emery musiał w duszy śmiać się z życzenia Marty, zachował jednak powagę i grzeczność, nie protestował. Zwróciliśmy się przeto do Winnetou, gdyż byłem przekonany, że Apacz potrafi stanowczo odmówić, nie urażając jej ambicji. I tak też się stało.

Atak młodej, przedsiębiorczej kobiety był zatem zwycięsko odparty. Pożegnaliśmy się z Martą. Winnetou i Emery poszli do hotelu, ja zaś z Voglem udałem się na poszukiwanie wierzchowca oraz sprzętu podróżnego, w który musiał się Franciszek zaopatrzyć. Szczególnie wiele kłopotu mieliśmy z nabyciem konia. Pokazywano nam stare zapracowane szkapy, ale szlachetnego zwierzęcia nie widzieliśmy nigdzie.

Kołataliśmy do wielu drzwi, wrywając ze snu mieszkańców, aż wreszcie jakiś człowiek sprzedał nam za podwójną cenę starego, ale jeszcze dość sprawnego konia. Wiedział bowiem spryciarz, że bardzo nam na koniu zależy.

Zrobiło się już późno. Vogel, który musiał jeszcze poczynić przygotowania do podróży, nie miał czasu na spoczynek. Przyszedł do nas w godzinę po świcie. Niebawem przeprawiliśmy się przez rzekę do wsi Atrisco, a następnie udaliśmy się na południowy zachód do Rio Puerco.

Pomijam milczeniem szczegóły tej jazdy, muszę tylko wspomnieć, że Franciszek trzymał się na koniu nieźle. Ponieważ jednak wierzchowiec jego nie dotrzymywał kroku naszym komanczowskim rumakom, musieliśmy jechać wolniej. Gdzieniedzie napotykalismy wyraźny trop dwóch koni. Bezsprzecznie należały do Meltonów. Wyprzedzili nas o całą noc

jazdy, jednakże pewne nieomyłne znaki wskazywały, że zbliżamy się do nich chociaż powoli, ale nieustannie. Gdyby nie jechał z nami Franciszek, moglibyśmy doścignąć ich bardzo szybko.

Wieczorem drugiego dnia dotarliśmy do Acony, do starego indiańskiego puebla, gdzie — jak sądziliśmy — zatrzymali się też obaj Meltonowie.

Pueblo jest to warowne miasto dawnych mieszkańców tego kraju. Zostało ich w Nowym Meksyku około dwudziestu. Najznacniejsze to Taos, Laguna, Isleta i Acona. Nie należy sobie wyobrażać tych starych miast i wiosek jako miejscowości zabudowanych domami i pociętych szeregami ulic. Wznoszono je jako fortece dla obrony przed napadami wrogów.

Proszę sobie wyobrazić dwie dosyć oddalone od siebie ściany skalne, między którymi leżały niegdyś większe i mniejsze bloki. Zwalono je razem i zlepiono gliną, aż powstał mur wysokości jednego piętra, który sięgał od jednej do drugiej ściany. Nie było w nim ani drzwi, ani okien. Przestrzeń zawartą między murem a skałami zabudowano dalszymi ścianami z gliny w szereg czworokątów, po czym całość pokryto u góry grubą warstwą gliny, w której zrobiono otwory, stanowiące wejścia do czworoboków i mieszkań. Nad tą parterową budowlą wzniesiono z tego samego materiału i w ten sam sposób drugie, trzecie i dalsze piętra, lecz tak, że każde wyższe piętro było cofnięte o parę lub więcej metrów, a zatem miało jak gdyby taras na dachu niższego piętra. Zasadniczo otwory w dachach służą zamiast drzwi i okien. Aby dostać się do mieszkania, trzeba się wspiąć na wyższe piętro i stamtąd przez odpowiedni otwór zejść jakby do piwnicy. Dostać się zaś na taras parterowy można tylko za pomocą drabiny. Kiedy się więc drabinę wciągnie na płaski dach, dostęp dla wroga jest utrudniony i niebezpieczny. Na wyższe piętra prowadzi czasem ułożony w kształcie stopni mur, ale najczęściej także i tu używa się drabin, które w każdej chwili mogą być wciągnięte na górę. Budowle te ongiś doskonale służyły ku obronie. Gdy wszystkie drabiny zostały wciągnięte na górę, wróg musiał przystawiać własne i wdrapywać się na platformę parteru, przy czym wystawiał się na strzały ze wszystkich wyższych pięter, a poza tym na niebezpieczeństwo ataku z wnętrza dolnego piętra. A gdy po morderczej walce opanował pierwszą platformę, musiał ponowić niebezpieczne wysiłki, aby dostać się i wywalczyć drugą. Przy tym nie miał żadnej osłony, podczas gdy system tarasowy budowli stanowił wyśmienitą osłonę dla atakowanych.

Tak wyglądało prawidłowo zbudowane pueblo. Ale takich klasycznych było mało. Zazwyczaj są to nieprawidłowo sklecone kompleksy najrozmaitszych komórek z gliny, wyglądające jak szkaradne rumowiska i wzniesione zwykle w ponurych miejscowościach. W takich pustych wewnątrz kostkach z gliny żyło niegdyś bardzo wiele ludzi. Teraz ludność pueblów jest znacznie przerzedzona.

Mieszkańców puebla nie można porównywać z Indianami preriowymi. Są to dobroduszni, zacofani ludzie, zapewne podupadli potomkowie Azteków.

Indianie ci zajmują się po części rolnictwem, po części chowem bydła i chałupnictwem, ale produkcja ich stoi na bardzo niskim poziomie. Niewielkie połacie ziemi, leżące zwykle w pobliżu puebla, uprawiają prymitywnymi narzędziami rolniczymi. Także prymitywna jest hodowla bydła. Trzodę stanowi najczęściej kilka chudych świń i kilka kur oraz parę swobodnie biegających psów. Chałupniczo wytwarzają koszyki, torby, maty i inne plecionki. Wypalają dzbany, misy i urny, a także lepią z gliny różne figurki.

Winę za niedolę tych biednych ludzi ponoszą kolonizatorzy hiszpańscy, którzy celowo utrzymywali wśród nich ciemnotę i zacofanie, za wszelkie przewinienia surowo karząc, do kary śmierci włącznie.

Do Acony przybyliśmy późnym popołudniem. Natychmiast zbiegli się jej mieszkańcy i jęli spoglądać na nas niezbyt przychylnym wzrokiem. Widocznie musieli mieć ku temu powody.

Nie chcieliśmy wdawać się z nimi w rozmowę, zapytaliśmy tylko o gubernora*, chcąc uzyskać od niego informacje dotyczące Meltonów. Zsiadliśmy z koni, lecz żaden mieszkaniec puebla nie chciał ich przytrzymać za uzdę ani wskazać nam drogi do wody, ani nawet zaprowadzić do gubernora. W tłumie otaczających nas osób nie widać było żadnej młodej dziewczyny, ale za to sporo bardzo pięknych chłopców.

Ponieważ nie odpowiedziano nam na powitanie, a wręcz przyjęto wobec nas wrogą postawę, musieliśmy radzić sobie sami?

Przywiązawszy konie do skalnej Ściany, rozglądaliśmy się za wodą. Odprowadzano nas ponurymi, niechętnymi spojrzeniami.

Znalazłem się z Emerym w małym ogródku, gdzie poza niewielu warzywami rośło kilka kwiatuszków. Emery schylił się, aby wyrwać rzodkiew, za którą by oczywiście dobrze zapłacił. Spotkało się to jednak z ostrym protestem jednego z chłopców. Odciągnąłem przyjaciela z miejsca zajścia, a sam wróciłem do ogródka. Tłum natomiast podążył za Emerym.

Na grządce pozostał jedynie chłopak, broniący rzodkwi. Obejrzał mnie niepewnym wzrokiem, potem szybkim ruchem zerwał jeden kwiat, wręczył mi i rzekł:

— Dziękuję! Rzodkiew była dla mego ojca. Jest to nasza ostatnia rzodkiew.

Był to głos dziewczęcia. Teraz przypomniałem sobie, że w niektórych pueblach dziewczęta ubierane są jak chłopcy. Noszą spodnie i zaczesują na bok krótko obcięte włosy, wskutek czego trudno je od chłopców odróżnić. Chętnie bym jej w zamian coś ofiarował, ale co? Przypomniało mi się nagle, że mam przy pasie mały srebrny futerał od zgubionego ołówka. Wyjąłem go i podałem dziewczęciu.

— Weź to za kwiatek, piękna panienko.

Spojrzała na mnie zdumiona, lecz nie wyciągnęła ręki. Drobiazg wydał jej się czymś niezmiernie cennym, niedoścignionym przedmiotem marzeń.

— To dla mnie? — zapytała, ale mimo niedowierzania w jej oczach pojawił się błysk radości.

— Tak. Twój kwiat bardziej mi jest miły niż to małe etui.

— A mnie twoje etui o wiele miłsze niż mój kwiat. Dziękuję ci! Jesteś dobry, bardzo dobry. Spostrzegłam to od razu.

Wzięła futerał, pocałowała szybko moją dłoń i uciekła z radosnymi okrzykami, aby wspiać się po drabinie do mieszkania i ukryć swój skarb w bezpiecznym miejscu. Jakąż drobnostką można czasem uszczęśliwić człowieka — pomyślałem. I jak nieraz opłaca się jedno przyjaźnie wypowiedziane słowo! Miałem się o tym wkrótce przekonać.

Niebawem przyszedł po nas Winnetou. Odkrył rodzaj cysterny, w której gromadziła się woda ze skąpych całorocznych opadów. Zaprowadziliśmy tam konie i zaczęliśmy czerpać wodę glinianymi naczyniami, zawieszonymi na sznurze. Lecz wnet przybiegli z krzykiem Indianie, aby nam przeszkodzić. Winnetou, Emery i Vogel sięgnęli po broń. Pueblasi cofnęli się, bo wiedzieli, że mimo liczebnej przewagi, nie poradzą sobie z naszymi strzelbami. Ich własna broń była godna pożałowania.

Nie ulegało wątpliwości, że ci biedni ludzie mają wszelkie prawa do swojej wody. Uważałem, że nie można korzystać z niej przemocą. Musieli przynajmniej coś za to dostać. Poprosiłem przyjaciół, aby schowali broń, a sam rozdałem Indianom kilka srebrnych monet jako zapłatę za wodę. Natychmiast zmienili swój stosunek do nas i pozwolili nam czerpać ją do woli.

Ponieważ zbliżał się wieczór, musieliśmy poszukać miejsca na nocleg. Wroga postawa Indian nie pozwalała przenocować w pueblu lub nawet w jego pobliżu. Nie przypuszczaliśmy

* wójt

jednak, aby mogli dopuścić się na nas jawnej napaści. Odjechaliśmy na znaczną odległość i ułożyliśmy się do snu w szczerym polu. Czuwaliśmy na zmianę.

Nie minęły jeszcze dwie godziny od zmierzchu, gdy z daleka wyłoniła się jakaś postać, która powoli zaczęła się do nas zbliżać. Kiedy podeszła bliżej, usłyszeliśmy nieśmiały głos:

— Chcę rozmawiać z dobrym seniorem.

Poznałem głos dziewczynki, która ofiarowała mi kwiat.

— Idź do niej! — rzekł Emery. — Na pewno ciebie ma na myśli.

Kiedy podeszedłem, dziewczynka rzekła:

— Musimy rozmawiać cicho, gdyż przybiegłam tu potajemnie, nie chcę bowiem, aby ci wyrządzono krzywdę.

— Któż by miał mnie skrzywdzić?

— Obaj biali, którzy dziś do nas przybyli.

— Ach, widziałaś ich zatem? Kiedy to było?

— Trzy godziny przed waszym przyjazdem.

— Na jak długo się tu zatrzymali? Podeszła do mnie bliżej i szepnęła:

— Jeszcze są u nas.

— Jeszcze są? To dla nas bardzo ważna wiadomość! Jesteśmy ci za nią ogromnie wdzięczni.

— O, nie! To ja przybiegłam tutaj, aby okazać ci moją wdzięczność. Obaj biali mówili o was. Oznajmili naszym, że przyjedziecie wkrótce po nich.

— I podjudzali was przeciwko nam?

— Tak. Zapowiedzieli, że splądrujecie nasze pueblo i że chcecie znieważyć naszych bogów.

— Ani nam to przez myśl nie przeszło! Co jeszcze mówili?

— Że jesteście niebezpiecznymi ludźmi, że popełniście już wiele morderstw i chcecie nas ograbić.

— Wstrętne kłamstwo. Wręcz przeciwnie! To obaj biali są mordercami i złodziejami! Już niejedną zbrodnię mają na swoim sumieniu. Dlatego ścigamy ich, aby pojmać i ukarać. Jesteśmy uczciwymi ludźmi. Czy mi wierzysz?

— Tak, wierzę ci, senior. Nie wyglądasz na złego człowieka i zachowałeś się w stosunku do nas bardzo przyjaźnie. Dlatego przybiegłam aż tutaj, aby was ratować.

— Ratować? A więc grozi nam niebezpieczeństwo?

— Tak, niebezpieczeństwo. Nie mogę osądzić jak duże, ale obaj biali są jeszcze tutaj i myślę, że knują coś przeciwko wam.

— Gdzie przebywają? Czy możesz mi wskazać?

— Mogłabym, ale nie powinnam. Nie chcę być zdrajczynią swego plemienia.

— Dobrze, nie będę cię pytał. Ale wszak możesz powiedzieć, w czym tkwi to niebezpieczeństwo?

— Przypuszczam, że grozi wam śmierć. Co ma się naprawdę wydarzyć, o tym wiedzą niektórzy nasi mężczyźni — kobietom i dzieciom nic nie wyjawiono. Ale właśnie to każe mi sądzić, że coś niedobrego i okrutnego przeciwko wam się szykuje.

Rzekłszy to, uciekła tak szybko, że nie zdążyłem jej nawet podziękować. Przekonałem się więc znowu, że dobroć popłaca. Nie ufaliśmy Indianom, ale nie myśleliśmy o niebezpieczeństwie. Dziewczę, być może, uchroniło nas od śmierci.

Towarzysze moi byli nie mniej zdziwieni, kiedy powtórzyłem im słowa dziewczynki. Emery chciał natychmiast jechać do puebla, aby pociągnąć mieszkańców do odpowiedzialności. Ale Winnetou oświadczył:

— Niech mój brat się nie śpieszy! Ci biedni ludzie zaufali kłamcom i oszustom. Czyż dlatego należy ich zabijać?

— Zasłużyli na śmierć, gdyż godzą w nasze życie — odpowiedział Bothwell.

— Nie przekonaliśmy się jeszcze o tym. Zresztą jest ich wielu, a nas tylko czterech.

— Nie obawiam się ich wcale!

— Mój brat na pewno nie przypuszcza, żeby Winnetou się lękał, ale czterej mężowie, jakkolwiek odważni, nie mogą napaść na pueblo, a tym bardziej napaść jawnie.

— Ale musimy ich zmusić do wydania Meltonów!

— Zmusić? A zatem walczyć z nimi? Tego właśnie bym się wystrzeżał. Jeśli na nich napadniemy, Meltonowie albo im pomogą, albo też skorzystają z zamieszania i umkną. Tylko sprytem możemy dopiąć celu. Poczekajmy, aż przyjdą do nas. Wiedzą chyba, gdzie obozujemy. Powinniśmy się przenieść, albowiem na pewno zaczną nas szukać; tego możemy się po nich spodziewać. A wówczas łatwo nam będzie ich schwytać.

Jego słowa trafiły nam do przekonania. Zastosowaliśmy się do tego planu i przenieśliśmy biwak znacznie dalej. Ponieważ byliśmy ostrzeżeni, mogliśmy się tylko cieszyć z obecności Meltonów w pueblu. Nie trzeba już było uganiać się za nimi. Mieliśmy ich tutaj i chyba nie przecenialiśmy swoich sił, wierząc, że niechybnie wpadną w nasze ręce.

— Kto wie, czy w ogóle szykowało się coś przeciwko nam — rzekł Emery. — Przecież dziewczę mogło się omylić.

— Nie sądzę — odparłem.

— Ale nikt nie nadchodzi!

— A to dlatego, że nie znaleziono nas na dawnym miejscu i że Indianie zrozumieli, jak niebezpiecznie jest się do nas zbliżyć.

— A więc musimy czekać dnia. Ale powtarzam, trzeba będzie zmusić mieszkańców puebla, aby wydali nam Meltonów!

— Meltonów już nie będzie. Jeśli przez noc nic złego nam się nie stanie, Meltonowie nie będą się dłużej ociążać i czym prędzej pojedą dalej.

— Może jednak zostaną, licząc na pomoc tutejszej ludności?

— Nie mogliby chyba popełnić większego głupstwa. Jeśli bowiem zostaną, aby wraz z Indianami nas zaatakować, to chyba nie wątpię, że mogą wpaść nam w ręce albo też zginąć od naszych kul. Są zbyt szczeni, aby tego nie rozumieć. Znają także dosyć dobrze psychikę tutejszych plemion, a więc wiedzą, że nie podejną do nas zbyt blisko, gdyż nasze strzelby niosą kule o wiele dalej niż ich broń. Jestem przekonany, że uciekną stąd na pewno.

— Możemy jednak — temu zapobiec, przenosząc się na zachód od puebla. Myślę, że w tym kierunku będą uciekać. A wtedy prawdopodobnie spotkamy ich, jeśli oczywiście nie wyminą nas z dużej odległości.

Winnetou przyznał mi słuszość. Po raz drugi tej nocy zmieniliśmy miejsce postoju. Winnetou i Emery ułożyli się do snu, ja zaś poszedłem na czaty w prawo, a Vogel na lewo. Chcąc słyszeć lepiej, przyłożyłem ucho do ziemi.

Czekałem przez dłuższy czas w bezruchu, jednak bezskutecznie. Od świtu dzieliły nas już tylko trzy kwadransy. Naraz usłyszałem jakieś dalekie odgłosy. Dobiegały one od strony Franciszka i jeśli się nie myliłem, był to tętent koni, które wybiegły z puebla na równinę. Podniosłem się z ziemi i ruszyłem w kierunku Vogla.

— Czy nie słyszał pan czegoś? — zapytałem.

— Tak. Ludzkie kroki.

— Ile nóg mogło stapać?

— Nie potrafię liczyć uszami. Było ich jednak wiele par. Szły z puebla i wyminęły nas, lecz dosyć daleko.

— Słyszałem to samo. Ale pan się myli. To nie byli ludzie, tylko konie.

— Mógłbym się założyć, że to ludzie. I na pewno było ich ponad dziesięciu.

— Nie ma pan mojej wprawy. Były to tylko dwa konie, które tak biegły, że człowiek niedoświadczony mógł przyjąć ich tętent za tupot dziesięciu lub więcej biegnących osób. Musimy obudzić Emery'ego i Winnetou, gdyż jestem przekonany, że są to Meltonowie.

Obudzeni przyjaciele podzielali moje zdanie. Emery naglił:

— Tak, to oni. Uciekli. Jedźmy w te pędy za nimi!

— Nie — oponował Winnetou. — Moi bracia muszą poczekać, aż się rozwidni, inaczej zgubimy ślady.

— Nie musimy wcale czekać. Wiemy przecież, w jakim kierunku uciekają.

— Nie, nie wiemy — rzekłem. — Winnetou ma rację. Musimy bezwarunkowo czekać.

— Wiadomo nam, że dążą do Kolorado. Jeżeli pojedziemy w tym samym kierunku, to w końcu natkniemy się na ich ślad — upierał się Emery.

— Mogli teraz jednak obrać inny kierunek, aby nas zmylić — powiedziałem spokojnie.

— Chyba nie przypuszczają, że im się to uda.

— O, liczą na to! Skąd mają wiedzieć, że znamy cel ich podróży? Przyjechali do Albuquerque później niż Jonatan, a zatem nie mógł opowiedzieć im o jego spotkaniu z nami i z Komanczami. Sądzą, że to ich ścigamy i że nie wiemy, gdzie mają się spotkać z Jonatanem. Dlatego prawdopodobnie zechcą nas wodzić po innych drogach.

— Ale cóż to szkodzi? Aby schwytać Jonatana pojedziemy wprost ku Kolorado. Jeśli zaś oni jadą w innym kierunku, to niech sobie jadą.

— Ich także powinniśmy schwytać!

— Na pewno zastaniemy ich u Jonatana. Gdy już jego złapiemy, poczekamy na nich. A że przyjadą, to rzecz pewna — nie rezygnował Emery.

— Bynajmniej. Jestem przeciwnego zdania. Jeśli nawet przyjadą, to będą tak uważni, że trudno ich będzie zaskoczyć.

— Twierdzisz to z całą pewnością?

— Tak. Mam ku temu powody. Zapytaj Winnetou. Na pewno zgadza się ze mną.

— Dlaczego mieliby później mieć się bardziej na baczności niż teraz? — dociekał w dalszym ciągu Bothwell.

— Chcą nas odciągnąć od Kolorado. Jeśli zauważą, że ich nie ścigamy, mogą zacząć się domyślać, iż dążymy do zamku Judyty i że ich wyprzedzimy. Jeżeli więc tam pojadą, to nie omieszkają zachować wszelkich środków ostrożności.

— Hm. Teraz rozumiem.

— Pomijam już, że w takim wypadku łatwo możemy się dostać między dwóch wrogów. Z jednej strony Jonatan, z drugiej obaj Meltonowie.

— Czyż mamy się lękać Jonatana?

— Słuszne pytanie. Ale zapominasz, że będzie go wspomagać gromada Indian, którzy przywędrowali wraz z Judytą i jej nieboszczykiem mężem, wodzem Jumów. Musimy się z tym liczyć.

— To prawda. A więc sądzisz, że należy ścigać Meltonów, nawet jeśli obiorą fałszywy kierunek?

— Tak. Musimy ich schwytać. Dlatego nie możemy wyruszyć, dopóki światło dzienne nie uwidoczni śladów.

— Poza tym trzeba będzie napoić konie — wtrącił teraz Winnetou. — Wprawdzie piły wczoraj wieczorem, ale nie wiemy, dokąd zawiedzie nas droga i czy dziś lub jutro natrafimy na wodę.

Wyczekiwaliśmy, aż zacznie świtać. Pueblo powoli wyłaniało się z mroku. Z dala już było widać, że wszyscy mieszkańcy czuwają. Był to oczywisty dowód, iż w nocy nie zmrzyli oka.

Gdy tylko zobaczyli, że podążyliśmy do cysterny z wodą, wysłali do nas jednego ze swoich, który oświadczył:

— Jeśli chcecie napoić konie, to musicie zapłacić!

— Kim jesteś, że wymagasz od nas zapłaty?

— Jestem naczelnikiem tutejszego pueblo.

— Ach tak! Chcieliśmy wczoraj z tobą mówić i pytaliśmy o ciebie. Dlaczego nikt nam nie odpowiedział na pytania?

— Ponieważ nie było mnie tu wczoraj.

— Wierutne kłamstwo — rzekłem. — Przypominam sobie twoją twarz. Kiedy, jak twierdzisz, opuściłeś pueblo?

— Wczoraj rano.

— A zatem byłeś tu wcześniej?

— Tak.

— W takim razie może nam powiesz, czy przybyli tu w tym czasie cudzoziemcy?

— Nikt nie przybył.

— Ale wszak wczoraj przyjechali do was dwaj biali jeźdźcy?

— Nie. Skoro wróciłem do domu, opowiedziano mi tylko o was. Gdybyś był tu ktoś jeszcze, z pewnością by mnie powiadomiono.

— A jednak byli tutaj dwaj jeźdźcy. Szukali nas w nocy, chcąc nas zabić.

Znieruchomiał, udając oburzenie.

— Senior — rzekł — jak może pan coś podobnego twierdzić? Jesteśmy ludźmi spokojnymi i nie napastujemy nikogo.

— Gdybyście w rzeczywistości byli uczciwi, nie łgalibyście tak brzydko. Wiemy, że obaj biali przybysze wyjechali stąd przed niespełną godziną. Zapamiętaj, że nie lękamy się ani ich, ani was. A za wodę oczywiście zapłacimy.

Daliśmy mu żadaną sumę. Napoiiliśmy konie i ugasiliśmy pragnienie. Wyruszyliśmy nie szukając z początku śladów Meltonów. Ale kiedy znaleźliśmy się poza polem widzenia Indian, każdy z osobna rozpoczął badanie terenu. Pierwszy odkrył ślady Winnetou. Najpierw prowadziły na zachód, ale później zakreślały łuk w kierunku północno-zachodnim.

— Widzisz! — rzekłem do Emery'ego. — Moje przypuszczenie się sprawdza. Kanalie istotnie zboczyły z prostej drogi.

— Fatalna sprawa! Kto wie, jak długo będą nas wlec za sobą — ile czasu upłynie, zanim wrócimy na właściwą drogę.

— Galopem doścignęlibyśmy ich wkrótce!

— A więc pędźmy!

— Niestety, wierzchowiec Franciszka nie dotrzyma tempa naszym koniom.

W tym momencie Winnetou zeskoczył z siodła, uważnie zbadał grunt i zapytał Vogla:

— Czy mój młody brat nie uczył się czytać śladów?

— Nie — odrzekł Franciszek. — Jeśli ślady nie są dość wyraźne, to nie potrafię ich znaleźć.

Po chwili Apacz zwrócił się do nas:

— W takim razie nie powinniśmy go tutaj samego zostawiać, gdyż nie odnajdzie nas i zbłądzi. Meltonowie dosiadają dobrych wierzchowców, a jednak możemy ich wkrótce doścignąć. Winnetou wraz z Old Shatterhandem ruszą w pościg. Wystarczy nas dwóch, aby schwytać łotrów. Mój brat Emery razem z tym młodym człowiekiem pojadą w ślad za nami.

Mina Anglika dowodziła, że nie jest zbyt zachwycony takim obrotem sprawy. Ale nie narzekał. Spięliśmy konie i ruszyliśmy galopem, Emery zaś z Voglem pozostał za nami.

Meltonowie wyprzedzili nas o godzinę drogi. Gdyby nawet dosiadali rącznych koni, jak sądził Winnetou, musielibyśmy dogonić ich na naszych wysmienitych rumakach niewątpliwie jeszcze przed obiadem.

Jechaliśmy przez wypalony step. Grunt był twardy jak kamień. Staraliśmy się pozostawiać za sobą wyraźny ślad. Natomiast trop Meltonów był widoczny tylko od czasu do czasu. Mieli się na baczności. Zależało im niewątpliwie na tym, abyśmy zmarnowali wiele cennego czasu na szukanie ich śladów. Musieliśmy wyteńczyć całą swoją uwagę, aby mimo baczego

wpatrywania się w ziemię nie zwalniać biegu. Tu dopiero wyszło na jaw mistrzostwo Winnetou.

Równina przeszła powoli w teren falisty. Wzniesienia przecinały się z obniżeniami. I jedne, i drugie nabierały coraz okazańszych rozmiarów. Po upływie dwóch godzin mknęliśmy już przez okolicę górzystą. Były to południowe rozgałęzienia Sierra Madre.

Jechaliśmy wprost przed siebie, w górę i w dół, co zresztą nie nastęczało szczególnych trudności, gdyż wzgórza nie były ani bardzo wysokie, ani bardzo strome. Odznaczały się całkowitym brakiem roślinności.

Minęły już trzy godziny. Wjechaliśmy na jeden z wyższych szczytów, skąd było widać leżącą przed nami dolinę i najbliższe wzniesienie. I wtedy spostrzegliśmy Meltonów. Jechali właśnie pod górę. Aby zbliżyć się do nich, zanim nas spostrzegą, pędziliśmy co koń wyskoczy przez dolinę. Nie mogli słyszeć tętentu, jednakże jeden z nich odwrócił się i wtedy nas zobaczył; ostrzegł brata, po czym obaj zmusili konie do morderczego biegu. Winnetou rzekł z uśmiechem:

— Te wierzchowce niedługo wytrzymają taki bieg. Jeźdźcy nie uciekną daleko.

— Jak według ciebie należy ich schwytać? — zapytałem.

— Groźbą — odparł. — Zbliżymy się do nich na taką odległość, aby mogli nas usłyszeć. Rozkażemy Meltonom zatrzymać się, zsiąść z koni i złożyć broń. Jeśli nie usłuchają, będziemy musieli strzelać. Nie zabijemy ich, tylko zranimy,, pragniemy przecieź schwytać ich żywych.

— Prawdopodobnie z bliska spróbują do nas mierzyć.

— Władamy lepszą bronią i sprawniej od nich, więc postrzelimy ich tylko.

Mówił z dużą ufnością, nie podejrzewając wcale, że jednak całkiem inaczej może się to wszystko ułożyć. Zanim wjechaliśmy na najbliższą górę, Meltonowie byli już w dolinie. Konie dobywały już resztek sił. Jeźdźcy odwracali się ku nam coraz częściej. Ścigaliśmy ich pod górę i w dół, zbliżając się w szybkim tempie. Konie Meltonów były już bardzo zmęczone, podczas gdy nasze trzymały się jeszcze świetnie.

Wkrótce zobaczyliśmy dwa łańcuchy wyżyn, które bieły daleko na zachód. Zamknięta między nimi wąska, równa dolina była zawałona miejscami skalnym rumowiskiem. Całość sprawiała wrażenie, jak gdyby jakiś ród gigantów wykopał tu ogromny rów czy kanał. Do tego właśnie kanału pędzili Meltonowie, a my za nimi. Pościg mógł trwać najdłużej jeszcze kwadrans.

Naraz zdarzyło się coś tak strasznego, że włosy nam niemal stanęły dęba. Obaj bracia mknęli w galopie przez głazy i rumowiska. Wtem jeden z rumaków potknął się i runął, kryjąc pod sobą jeźdźca. Towarzysz jego osadził konia, skoczył na ziemię, aby mimo zbliżającego się z każdą sekundą niebezpieczeństwa pomóc bratu. Nieco później dojrzeliliśmy, że tym, który upadł, był Tomasz Melton.

Jego brat Harry usiłował podnieść konia, ale na próżno — wierzchowiec miał złamaną przednią nogę. Zdołał go więc tylko odwlec na bok i w ten sposób uwolnić brata, który natychmiast się podniósł. Można było poznać po gestykulacji rąk niezwykle podniecenie obu braci. Mieli teraz tylko jednego rumaka, a więc tylko jeden z nich mógł jechać dalej. Drugi musiał chybnie wpaść nam w ręce.

— Dwóch jeźdźców i jeden koń! Mamy ich z pewnością! — zawołał Winnetou.

Wjechaliśmy do kanału. Teraz właśnie rozegrała się okropna scena. Harry Melton chciał dosięść swojego rumaka, Tomasz przeszkadzał mu, usiłując odciągnąć konia na bok. Kłócili się, ale niedługo, gdyż całe to ścinające krew w żyłach zdarzenie przebiegło szybciej, niż można opisać. Naraz Harry odsunął brata gwałtownie i włożył nogę w strzemień, lecz w mgnieniu oka runął na ziemię, uderzony, kolbą. Tomasz, powaliwszy brata, pochylił się nad nim na krótką chwilę, po czym błyskawicznie dopadł konia i pogalopował. Dopiero później

zrozumieliśmy, po co się schylił. Cała ta scena nie trwała dłużej niż kilkadziesiąt sekund. Niepodobna było w tak krótkim czasie zbliżyć się do nich na odległość strzału.

Popędziliśmy nasze konie jeszcze bardziej i wkrótce dojechaliśmy do miejsca, gdzie leżał Harry Melton i wierzchowiec jego brata. Zwierzę, wierzgając trzema zdrowymi nogami, usiłowało za wszelką cenę się podnieść, ale daremnie. Melton zaś leżał bez ruchu.

Zatrzymawszy się przy Harrym, zsiadliśmy z koni. Z głębokiej rany w jego lewej piersi płynęła obficie krew.

— Bratobójca! — zawołał gniewnie Apacz.

— Tak, bratobójca! — potwierdziłem i ciarki po mnie przeszły.

— Jedziemy za nim?

— Nie. I tak nam nie umknie! Mamy tu przed sobą zapewne konającego. Musimy zostać. Być może, uda się go uratować.

Winnetou nie sprzeciwił się, chociaż rzucił tęskne spojrzenie w dal, gdzie jeszcze wyraźnie było widać uciekającego mordercę. Zerwaliśmy z rannego surdut i kamizelkę. Koszula była mocno splamiona krwią. Musieliśmy odsłonić całą pierś. Rana krwawiła, ale nie tak silnie, aby spowodować natychmiastową śmierć.

Melton zaczął oddychać. Na szczęście krew nie wdzierła mu się do gardła wraz z oddechem. To był pomyślny znak. Usiłowaliśmy przewiązać ranę i jakoś się nam to udało. Niestety, nie było w pobliżu wody.

Siedzieliśmy przy rannym dość długo. Upłynęło sporo czasu, zanim otworzył oczy. Chwycił się rękami za głowę i wlepił w nas nieruchome spojrzenie. Następnie jakby oprzytomniał. Poznał nas, chciał się zerwać, ale bezwładnie opadł na ziemię.

— Niech pan leży spokojnie — rzekłem. — Śmierć siedzi panu na piersiach i czym będzie się pan bardziej wysilać, tym szybciej pana zabierze.

Obejrzał się dookoła, spostrzegł krew, opatrunek i zapytał cichym, zdławionym głosem:

— Krew... krew... gdzie... skąd?

— Z pańskiej piersi.

— Kto... kto?

— Pański brat.

— Tomasz... mój brat... Przymknął powieki, aby zastanowić się nad tą straszną wiadomością, potem otworzył oczy. Wściekłość odmalowała się na jego wciąż szatańsko pięknej twarzy. Wszeptał:

— Niech Bóg przeklnie tego mordercę! Wydał mnie w wasze ręce!

— To jeszcze drobnostka. Prawdopodobnie wydał pana nie tylko nam, ale i śmierci. Czas porachować się z własnym sumieniem.

— Gdzie... gdzie jest?

— Uciekł na pańskim koniu.

— Tak, tak, teraz już sobie przypominam. Jego koń się potknął, a ja zsiadłem ze swego, aby mu pomóc. Wówczas próbował skoczyć na mego wierzchowca. Kłóciliśmy się. Chciałem dosiąść konia... Więcej nic nie pamiętam!

Podaję jego słowa w formie płynniejszej, bez pauz, które następowały po każdym wyrazie, albowiem rozmowa męczyła go bardzo. Wyjaśniłem rannemu:

— Nie wsiadł master na konia, bo brat strącił pana uderzeniem kolby. Potem widzieliśmy, że nachylił się nad panem. Wówczas właśnie pchnął nożem w pańską pierś.

— Nachylił się? — zapytał Melton i dodał szybko: — Gdzie jest mój surdut?

— Leży tutaj.

— Podajcie mi go, natychmiast! Podaję mu skrwawiony surdut.

Macał drżącą ręką boczną kieszeń, ale nic nie znalazł.

— Pusta — jęknął. — Pusta!... Ograbił mnie!

— Co zabrał?

— Pugilares z pieniędzmi! O ten Judasz... I to jest mój brat!?

— Czyje to były pieniądze?

— Moje, moje...

— Ale skradzione, zagrabione, prawda?

Milczał. Dopiero po powtórnym zapytaniu odparł:

— To was nic nie obchodzi! Wy... wy...

Zobaczył obok siebie nóż, który wyciągnęliśmy mu zza pasa, pochwycił go i zamierzył się na mnie. Mimo znacznego osłabienia niełatwo mu było wyrwać go z ręki.

— Nie zadawaj sobie, master, trudu, aby przekonać nas o swoim usposobieniu — rzekłem.

— Znamy pana i tak dosyć dobrze.

Walka, aczkolwiek krótka, pogorszyła, jego stan. Krew wypływała z rany obficie. Zamknął ponownie oczy. Podczas gdy usiłowałem zatamować krwotok, szeptał jakby nieprzytomnie, powoli, robiąc długie przerwy:

— Schwytany, pojmany!... Winnetou, Old Shatterhand... Psy! Ograbiony, zakłuty... przez Tomasza... przeklęty Judasz, przeklęty... O zemsty, zemsty... zemsty!

Bredził w nieświadomości. Wykorzystałem ten stan, aby się czegoś dowiedzieć i zapytałem:

— Zabrał pańską część pieniędzy Huntera, ten szubrawiec?

— Tak, pieniądze Huntera — potwierdził, nie otwierając oczu.

— A miał wszak tyle, co i pan?

— Tak, tyle samo...

— A resztę posiada Jonatan?

— Jonatan. Zemsty... Zemsty!

— Nie ominie go. Pojedziemy za nim do...

Czekałem z napięciem, co odpowie.

— Do Flujo Blanco... White-Fork — wyszeptał.

— Tam, gdzie leży zamek Judyty?

— Jej zamek... jej pueblo... Naraz rozwarł szeroko oczy, spojrzął mi w twarz i krzyknął:

— Kim jesteś?

— Zna mnie pan przecież.

— Tak, ja... znam ciebie! Old Shatterhand... Winnetou... Obaj czarci!... Dlaczego się pytasz? Zostaw mnie w spokoju!

— Myślałem, że mamy pana pomścić?

— Pomścić?... Tak, tak!... Pędźcie za nim! Zastrzelcie go! Zabierzcie mu pieniądze i przynieście — naraz ścisnął pięści i dodał: — Nie, nie... nic nie powiem, nic! Niech Tomasz ucieknie! Jesteście, jesteście... nic się nie dowiecie... nic ode mnie! Idźcie do diabła... do diabła...

Wyrężył się i umilkł. Krew bluznęła z rany. Ponieważ się nie poruszał, więc zatamowaliśmy ją szybko. Stracił przytomność.

Winnetou dotychczas milczał. Utkwił badawcze spojrzenie w twarzy zemdlonego i rzekł:

— Już nie opuści tego miejsca.

— Miejmy nadzieję, że jeszcze przed śmiercią wyrazi skruchę.

— Oby się to prędzej skończyło! Musimy ścigać jego brata. Czy mu współczujesz?

— Tak.

— Nie zasługuje na współczucie. Był gorszy niż dzika bestia. O wiele więcej litości budzi ten koń, który nigdy nie zrobił nic złego. Winnetou położył kres jego mękom.

Zwierzę, parszając z bólu, na próżno usiłowało stanąć na nogi. Apacz przyłożył mu lufę swej srebrnej strzelby do łba i wystrzelił. Dźwięk strzału obudził Meltona. Obejrzał się dookoła przestraszonymi, szeroko otwartymi oczami i zapytał:

— Kto strzelał? Czy to było dla... dla...

Upadł z powrotem i leżał nieruchomo przez godzinę. Chwilami szeptał coś, czego nie można było zrozumieć. Jego wewnętrzny spokój wydawał się snem, ale tylko się wydawał.

— Teraz wiemy już dokładnie, gdzie szukać Judyty — rzekłem do Winnetou.

— Tak, nad Flujo Blanco.

— Czy brat mój zna tę rzekę?

— Byłem wprawdzie nie tam, tylko w pobliżu, ale łatwo do niej trafię. Wypływa z Sierra Blanca. Jankesi nazywają ją White-Fork.

Koło południa nadjechali Emery z Franciszkiem. Wieczorem Melton wyzionął ducha. Zerwał się naraz na nogi, wymienił imię swego brata, miotając przekleństwa, których nie sposób tu przytoczyć, po czym padł martwy na ziemię.

Pogrzebaliśmy go nazajutrz, przysypując ciało kamieniami, aby chroniły je przed sępami. Po czym opuściliśmy miejsce zbrodni.

NAD FLUJO BLANCO

Wiedząc, że zbrodniarz podąża do syna, zjechaliśmy z dotychczasowego szlaku i ruszyliśmy w kierunku południowo-zachodnim. Niebawem znaleźliśmy się między Sierra Madre a górami Zuni.

— Rzecz dziwna! Po drugiej stronie gór klimat odmienił się w sposób uderzający. Wiecznie jasne meksykańskie niebo pokrywało się kilka razy dziennie ciężkimi chmurami i zsyłało ulewne deszcze, to znów momentalnie się przejaśniało. Droga wypadła nam przez tereny Kolorado, gdzie deszcze występowały na przemian z bezchmurną pogodą. Pod pewnym względem odpowiadało nam to bardzo, ale pod innym było wielce niewygodne. Wilgoć żywiła obfitą zieleń. Wszędzie było dużo wody i paszy dla koni, ale my sami byliśmy przemoczeni do suchej nitki. Z powodu poprzedniego upału mogło to się niekorzystnie odbić na naszym zdrowiu. Byliśmy co prawda przyzwyczajeni, wyjąwszy oczywiście Vogla, do ulewy, do spiekoty i mrozu, ale teraz jakże ogromnie tęskniliśmy wieczorami za suchym, krytym dachem schronieniem!

Pod wieczór trzeciego dnia po śmierci Harry'ego Meltona. Winnetou oświadczył, że nazajutrz zbliżymy się do Flujo Blanco. Deszcz padał jak z cebra. Nie był to już zwykły deszcz, a prawdziwy potop, który mógł niejednego jeźdźca zmyć całkiem z siodła. Żał mi było biednego Franciszka. Nieprzyzwyczajony do takich niewygód, starał się nadrabiać miną.

Miejscami droga gubiła się wśród drzew i zarośli, świadczących o bliskości źródeł i strumyków. Na południu wznosiły się wierzchołki Sierra Blanca, niedostrzegalne z powodu deszczu. Naraz chmury, jak gdyby zdmuchnięte, odstąpiły czyste niebo, ale niestety na krótko. Teraz mogliśmy się dokładnie rozejrzeć. Im dalej, tym powietrze było świeższe i bardziej orzeźwiająjące. O ile poprzednio nie było nic widać nawet z odległości dziesięciu kroków, o tyle obecnie można było zobaczyć również człowieka stojącego aż hen, na nagim wierzchołku góry, do której dążyliśmy. Musiał chyba przebywać tam podczas nawałnicy. Teraz oto poruszył się i szedł nam na spotkanie, które nastąpiło niebawem u stóp góry. Był to Indianin w średnim wieku, ubrany na pół w skóry, na pół w kaliko*. Jego przyjazne powitanie dobrze nas ku niemu usposobiło. Nie miał przy sobie broni. Przyglądał nam się ciekawie i okazywał chęć do nawiązania rozmowy. Zagadnąłem pierwszy:

— Do jakiego plemienia należy mój czerwony brat?

— Jestem Zuni — odrzekł. — Skąd przybywa mój biały brat?

— Z Acony.

— A dokąd jedzie?

— Do Kolorado i jeszcze dalej. Czy mój brat zna tę miejscowość?

— Tak. Mieszkam tutaj w pobliżu wraz z żoną.

— Czy można się tu gdzieś przespać, nie kąpiąc w deszczu?

— Jeśli to moim braciom odpowiada, zaprowadzę ich do swego domu.

— Ach, jest tu gdzieś w pobliżu dom?

— Tak. Moi bracia mogą pójść i obejrzeć. Skoro im się spodoba, będą mogli zostać. Żaden deszcz nie przenika przez jego dach, a ognisko płonie przez całą noc.

Poszedł naprzód, a my za nim.

— Zuni? Co to za ludzie? — zapytał Emery — Czy spotkałeś już kiedyś jakiegoś Zuni?

— Tak. Zuni to najliczniejsze plemię Indian, osiadłych w pueblach. Niegdyś odgrywali wcale znaczną rolę. Są bardzo łagodnego usposobienia i uchodzą za najzdolniejszych z tych plemion.

* Gatunek perkalu

— Ten człowiek nie wygląda podejrzanie. Jestem ciekaw, jakiego rodzaju budowlą jest jego dom. Byłoby nieźle, gdybyśmy mogli schronić się pod dachem i wysuszyć naszą odzież.

Zuni poprowadził nas przez teren zarośnięty trawą, porznięty wąskim, wijącym się wężowato strumykiem. Nad nim wznosił się dom — duża murowana kostka z jednym otworem, przez który wchodziło się do wnętrza. Mury były gliniane, dach z mat, zalepionych z obu stron gliną. Wewnątrz była tylko jedna izba, która służyła do wszystkiego. W kącie leżały płody rolne, w drugim poślanie ze skóry i listowia. Pośrodku wznosiło się palenisko, również ubite z gliny, obok leżał zapas narąbanego drzewa. Wejście było zawieszane kilkoma skórami. Najbardziej zainteresowały nas wielkie półce wędzonej zwierzyny, zwisające z pułapu. Nasz Zuni był zatem nie byle jakim myśliwym.

Kiedy wchodziliśmy do domu, z poślania podniosła się kobieta, obejrzała nas ciekawie i znikła.

— Oto mój dom — rzekł Indianin. — Jeśli spodoba się moim braciom, to mogą w nim pozostać, jak długo zechcą — powtórzył po raz drugi.

Spojrzenie Winnetou powiedziało mi, że jest gotów przyjąć zaproszenie. Odrzekłem więc gospodarzowi:

— Jeśli mój brat roznieci ogień, abyśmy mogli wysuszyć naszą odzież, to chętnie u niego zostaniemy.

— Ogień wkrótce zapłonie.

Ukląkł na klepisku, aby skrzesał płomień. Zdziwiło mnie, że nie wyręcza się żoną. Zazwyczaj bowiem Indianin jest zbyt dumny, aby osobiście zniżyć się do posług domowych. Dla koni znalazło się odgródzone miejsce. Zdjęliśmy z nich siodła, które miały nam służyć jako poduszki. Podczas gdy Indianin podsyczał ogień, zapytałem:

— Jak długo mieszka tu mój brat?

— Od urodzenia.

— A czy zna także wodę, która nosi nazwę Flujo Blanco?

— Tak. To niedaleko stąd.

— Czy tam mieszkają ludzie? Było to dla nas bardzo ważne pytanie. Z zainteresowaniem oczekiwałem odpowiedzi. Zuni odezwał się bez wahania:

— Tak. Mieszkają czerwoni i biali.

— Od jak dawna?

— Od wielu lat.

— Czy jest tam pueblo?

— Tak, pueblo, które od niepamiętnych czasów zamieszkiwali Zuni. Ale pewnego razu przybyli Indianie z Sonory — wówczas jeszcze, kiedy ta miejscowość należała do Meksyku. Znaleźli nad wodą złoto i odkupili od Zuni pueblo. Zapłacili bronią, którą wcześniej dla siebie sprowadzili. Odtąd pueblo należało do wodza Jumów. Przed kilkoma laty przybył tu jego wnuk. Przyprowadził ze sobą piękną białą squaw i wielu wojowników z żonami i dziećmi. Zamieszkali w pueblu. Wódz często wyjeżdżał ze swoją squaw do wielkiego miasta, zwanego Frisco, i tylko od czasu do czasu tu zaglądał. Wkrótce potem umarł. Przez długi czas nie widziałem jego białej żony, ale niedawno wróciła tu wraz z pewnym mężczyzną.

— Czy przyjechali konno?

— Nie, w starej pocztowej karocy. Towarzyszył im woźnica i przewodnik z Albuquerque, który jechał obok karety na koniu. Wczoraj w nocy przybył jeszcze jeden biały. Słyszałem, że jest to ojciec owego białego, z którym przyjechała squaw.

— Kto ci o tym mówił?

— On sam.

— Kiedy?

— Kiedy był u mnie.

— Hm! Przyjechał w nocy i był u ciebie? To dziwne! Kto wśród nocy znajduje twój dom, musi go dobrze znać. Czy był u ciebie już przedtem?

— Nie. Ale płonął u mnie ogień, a drzwi nie zamknięto. Światło było widać z daleka. Zauważył je i przyszedł zapytać o drogę do puebla. Przenocował u mnie i o świcie zaprowadziłem go do celu podróży.

— Jak daleko stąd?

— Dwie godziny szybkiej jazdy.

— A zatem jesteś zaprzyjaźniony z białymi i czerwonymi mieszkańcami tego puebla?

— Tak.

— Czy nie powiedzieli ci, że jeszcze my przybędziemy?

— Nie. Jedźcie do puebla?

— Tak. Czy rano pokażesz nam drogę?

— Chętnie.

— Czy trudno ją znaleźć?

— Kto nie zna drogi, ten może minąć wejście do puebla i nie zauważyć go wcale. Fluj Blanco płynie przez dolinę zamkniętą między bardzo stromymi górami. Na lewym brzegu rzeki, pośród skał, nieznaczny odstęp stanowi wylot wąskiego korytarza, prowadzącego do puebla.

— Chcielibyśmy przyjechać tam niespodziewanie. Mieszkańcy puebla wiedzą wprawdzie, że przybędziemy, ale nie wiedzą kiedy. Czy możesz nas zaprowadzić tak, aby nikt nie zauważył?

— Oczywiście.

— Czy pueblo jest duże?

— Nie. Ale tak zbudowane, że żaden wróg nie potrafi go zdobyć. Wąski korytarz, o którym mówiłem, prowadzi do obszernej okrągłej kotliny, otoczonej niedostępnymi skałami. Kotlina ta jest zarośnięta zielenią, pełno w niej krzewów, drzew oraz innych roślin. Tu pasą się konie i tu Jumowie hodują dynie, cebulę i inne potrzebne im ziemniaki. Samo pueblo wznosi się u wylotu korytarza. Jest zbudowane na skale, o podłużnym kształcie i nader wysokie, chociaż nie dosięga wierzchołka skały. Tu mieszkała biała kobieta z wodzem Jumów i tu mieszka teraz z białym i z jego ojcem.

Nic przed nami nie skrywał. Upewniliśmy się, że nie podejrzewał nas o wrogie zamiary względem mieszkańców puebla. On sam nie budził w nas żadnego podejrzenia, ani we mnie, ani w Winnetou. Czytałem to z twarzy mego przyjaciela.

A jednak nasz gospodarz niezupełnie przypadł mi do serca. Nie umiałem jednak wytłumaczyć dlaczego. Lecz kiedy zacząłem się nad tym zastanawiać i baczniej go obserwować, wykryłem powód mojej niechęci. Była nią przesadna uprzejmość Indianina. Zazwyczaj bowiem czerwonoskórzy są powściągliwi, zwłaszcza w stosunku do nieznajomych, których obdarzają życzliwością dopiero po dokładnym poznaniu. Zuni natomiast traktował nas niczym starych dobrych znajomych i okazywał wręcz zadziwiającą wylewność. A przecież rozmawiał z Judytą i Meltonem. Czyżby mu istotnie nie powiedzieli, że przyjazd ich do puebla ma być zachowany w sekrecie?

Ponadto coś jeszcze wzbudziło we mnie nieufność. Żona Indianina wyszła z domu natychmiast po naszym przybyciu i nie wracała. Za drzwiami grzmiało, błyskało, szalała ulewa. Gdzie się mogła podziąć ta kobieta podczas takiej burzy? Ważny musiał być powód, który wygnał ją z domu, tym bardziej że mąż sam podejmował się usług właściwych kobiecie.

Do usług tych należało również przyrządzenie posiłku dla gości. Zuni podał nam ćwiartkę pieczonej zwierzyny, uprzednio przez niego pokrajanej, ale sam nie brał udziału w wieczerzy. Tłumaczył się, że jadł niedawno.

Zacząłem coś podejrzewać. Wszak stał na górze, w deszczu, jak strażnik, któremu nie wolno opuszczać posterunku. Dopiero gdy nas zobaczył, zszedł na dół. Im dłużej się

zastanawiałem, tym bardziej stawałem się nieufny. Mogło się wydawać, że wypatrywał nas z góry. Postanowiłem mieć się na baczności. Zniosłem broń wraz z siodłami do jednego kąta. Widząc to, Winnetou nieznacznie ściągnął brwi, co miało znaczyć: „Dlaczego? Czy masz jakieś podejrzenia? Cóż, będziemy ostrożni!”

Zuni miał flintę oraz łuk i kołczan ze strzałami. Broń ta wisiała na kołku wbitym w ścianę. Podczas gdyśmy się posilali, przykucnął w pobliżu po indiańsku i zdawał się być uradowany, że smakuje nam jadło. Zapytany o zwierzynę, począł się żalić na Gilenno-Apaczów, którzy często nawiedzają te strony, urządzając tu polowania.

— Te psy nie mają prawa do tych ostępów — rzekł. — Dlaczego nie pilnują swoich terenów, tam nikt ich nie plądruje i nie tępi zwierzyny. Nienawidzę wszystkich Apaczów!

— Wszystkich? A to dlaczego? Nie słyszałem, aby Zuni wojowali z Apaczami.

— Ponieważ jesteśmy zbyt słabi. Zabierają naszą własność, a my nie możemy się bronić. Wszyscy są złodziejami. Należy ich zetrzeć z oblicza ziemi!

— Wszystkich? — zapytałem ponownie. — Przecież między nimi żyją mężni i słynni mężowie.

— Nie wierzę. Niech mi mój brat wymieni chociaż jednego.

— No, na przykład Winnetou.

— Nie mów mi o nim! Kiedy was jutro zaprowadzę do Jumów, dowiecie się od nich, co to za parszywy szakal.

— Czy był kiedyś wrogiem Jumów?

— Zawsze. Ale raz wyrządził im tak wielkie szkody, że nigdy mu tego nie zapomną. Biada mu, jeśli kiedykolwiek wpadnie w ich ręce.

— Wielkie szkody? Jakże się to stało?

— Jumowie napadli na hacjendę i posiadli już cenną zdobycz, kiedy on się zjawił i odebrał im łup. Później wojownicy Jumów obozowali przy starej kopalni, w której pracowali biali cudzoziemcy, i ciągnęli z tego duże zyski. Winnetou i tego dochodu ich pozbawił.

— Jakże to być mogło? Wszak jest to tylko jeden człowiek. Czy jeden człowiek może wyrządzić takie szkody całemu plemieniu?

— Nie był sam. Towarzyszył mu ktoś o wiele, wiele gorszy od wodza Apaczów, biała twarz imieniem Old Shatterhand.

— Hm, ten westman? Przypominam sobie. Jeśli się nie mylę, to słyszałem już o tej sprawie. Czy nie była to hacjenda del Arroyo, a kopalnia czy nie nazywała się Almaden Alto?

— Tak.

— A czy Jumowie mieli powód do splądrowania i spalenia hacjendy?

— Tego... tego nie wiem — odpowiedział zakłopotany.

— Był to rabunek, wiem na pewno. A w Almaden Alto szło o wiele większe przestępstwo.

— To nieprawda!

— A jednak! Zwabiono tam wielką gromadę białych i uwięziono w podziemiach kopalni rtęci. Mieli pracować bez wynagrodzenia, niczym niewolnicy, dopóki nie wyzwoliłaby ich śmierć męczeńska.

— Cóż to obchodziło Winnetou i Old Shatterhanda?

— Biedni robotnicy byli ziomkami Old Shatterhanda i dlatego ujął się za nimi.

— I wystąpił przeciwko Jumom. Dlaczego więc dziwisz się, że nienawidzą zarówno jego, jak i Winnetou?

— Dziwię się, ponieważ, o ile pamiętam, zawarli pokój.

— Który nie ma żadnego znaczenia. Powtarzam raz jeszcze, biada im, jeśli wpadną w ich ręce!

Zuni zmienił teraz ton rozmowy, mówił z niepojętą goryczą.

— Zdaje się — rzekłem — że jesteś serdecznym przyjacielem Jumów, gdyż mówisz z taką wściekłością, jak gdybyś był jednym z nich.

— Jestem ich przyjacielem. Wrogowie ich są moimi wrogami.

— Ale wydaje się, że jesteś o tych wrogach źle poinformowany. Winnetou i Old Shatterhand obeszlą się wówczas z Jumami bardzo łagodnie. Wiele razy ich pokonali i mieli w swej władzy, a jednak postępowali z nimi pobłaźliwie. Zresztą, nie mówmy już o tym!

— Tak, nie mówmy! Bowiem gdy tylko o tym pomyślę, pragnę widzieć Apacza i jego przyjaciela przy palu męczeńskim.

Odwrócił się od nas, oparł plecami o ścianę i wpatrywał się posepnie w ogień. Jego grzeczność rozplynęła się. Winnetou rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

Gdyby to Zuni wiedział, że jesteśmy tymi, których tak pragnie widzieć przy palu! Bądź co bądź, rzecz dziwna, że nas nie rozpoznał. Wszak wiedział, że Winnetou jest Indianinem. Dlaczego nie zapytał, z jakiego plemienia pochodzi? Winnetou był zbyt dumny, aby zaprzeczyć się swego imienia. A następnie — srebrna strzelba Apacza i mój sztucer. Każdy Indianin zna tę broń, choćby ze słyszenia. Stały teraz w kącie, padało na nie światło ogniska. Gdyby tylko Zuni rzucił tam jedno spojrzenie, musiałby się domyślić, kogo ma przed sobą. Stanowczo gospodarz nasz coraz mniej mi się podobał!

— Wreszcie wróciła jego żona. Przemokła do suchej nitki, odzież przylgnęła do jej ciała. Nie racząc na nas spojrzeć, usiadła na posłaniu. Nie była brzydka, lecz zahukana, wylekniona, co świadczyło, że małżonek ją tyranizuje.

— Gdzie była w czasie ulewy ta biedna niewiasta? — zapytał mnie Emery po niemiecku, gdyż po angielsku Zuni mógł rozumieć.

— Słusznie pytasz — odrzekłem. — Jak daleko stąd do Flujo Blanco według słów Zuni?

— Dwie godziny konnej jazdy.

— A jak długo Indianka bawiła poza domem?

— Na pewno ze cztery godziny. Czy myślisz, że pojechała do Meltonów?

— Uważam, że jest to całkiem prawdopodobne, iż zawiadomiła ich o naszym przybyciu.

— Mam głęboki szacunek dla twojej domyślności, ale w tym wypadku na pewno się mylisz.

— Twierdzę, że Zuni poznał nas, gdy tylko zobaczył, i że grzeczność jego była jedynie pozą.

— Czy myślisz, że zechcą nas tu schwytać?

— Tak sądzę.

— W takim razie musimy czym prędzej odjechać.

— Nie, bynajmniej.

— Człowieku, chcesz, żeby nas pojmano?

— Nic podobnego.

— Ale to się na pewno stanie, jeśli pozostaniemy tu do chwili, aż przybędą.

— Nie będziemy na nich czekali, bo jeśli się nie mylę, są już przed domem.

— Tak uważasz?

— Tak. Z pewnością przyjechali wraz z tą kobietą.

— I są przed domem?

— Już powiedziałem.

— Do kroćset diabłów! A my tu siedzimy przy otwartych drzwiach, w świetle ogniska. Wystarczy parę strzałów, aby nas sprzątnąć.

— Nie obawiaj się! Meltonowie chcą nas schwytać żywych i dlatego wcale nas nie schwyatają.

— Poszedłem po sztucer, żeby mieć go w pogotowiu. Korzystając z okazji, zbliżyłem się do drzwi i ściągnąłem skóry, zakrywając nimi wejście i pozostawiając u dołu tylko wąską szczelinę, aby dym mógł się ulatniać. Teraz nie można było obserwować nas spoza domu.

— Dlaczego zasłoniłeś wejście? — zapytał gospodarz. — Czy chcesz, abyśmy się podusili?

— Dym wychodzi swobodnie. Nikt się nie zadusi — odparłem.
— Ale drzwi muszą być otwarte! Mówiąc to, podniósł się z miejsca.
— Proszę cię, niechaj drzwi będą zasłonięte. Nie chcę, aby widziano nas z zewnątrz.
— Kto miałby widzieć?
— Być może, ty sam wiesz kto.
— Nikogo tam nie ma; drzwi będą otwarte!
Chciał podejść do otworu. Ten upór upewnił mnie w powziętym podejrzeniu.
— Stój, bo strzelam! — zawołałem, przykładając sztucer do skroni.
Widząc wycelowaną w siebie lufę, krzyknął przerażony:
— Chcesz mnie zabić?
— Tak, o ile nie usiądziesz natychmiast przy swojej squaw.
— A to dlaczego?
— Nie pytaj, tylko słuchaj!
— Dom jest mój, a nie wasz!
— W tej chwili jest nasz. Zależy od ciebie samego, czy go odzyskasz.
— Jesteście moimi gośćmi. Zaprowadziłem was do siebie. Czy tak odwdzięczacie się za gościnę?
— Tak, ponieważ zaprosiłeś nas, aby zgładzić. A więc siadaj bezzwłocznie, jeśli nie chcesz dostać kulę!
Udając, że wypełnia polecenie, zbliżył się do miejsca, gdzie wisiała jego flinta. Podniosłem się szybko, odgrodziłem go od strzelby i wskazując na posłanie, rzekłem:
— Nie tu, ale tam masz pójść! Pospiesz się, bo wyczerpiesz moją cierpliwość.
Stał przede mną nadal i łpał wściekle ślepiami.
— Ruszaj! — powtórzyłem. — Jestem Old Shatterhand, a tu siedzi Winnetou, o którym poprzednio mówiłeś. Chciałeś widzieć nas przy palu męczeńskim... Zanim jednak do tego dojdzie, przyjrzyj się nam uważnie.
Wybuchnął wzgardliwym śmiechem.
— Czy sądzisz, że przerażają mnie wasze imiona? Nic podobnego! Gdy tylko was ujrzałem, wiedziałem już, kim jesteście.
— Domyślałem się tego — odpowiedziałem spokojnie.
— Przybyliście tutaj, aby zabijać, ale sami biegniecie w objęcia śmierci. Czy wiesz, kim jestem?
— Kim?
— Nie Zuni, lecz jednym z owych wojowników Jumów, którzy przybyli tu wraz ze swoim wodzem i jego białą żoną. Dziś czeka cię odwet za hacjendę del Arroyo i za Almaden Alto!
Odwrócił się ode mnie i podszedł do posłania, ale nagle wykonał błyskawiczny zwrot i skoczył do drzwi, odsuwając skórzaną zasłonę. Mogłem go jeszcze zatrzymać kulą, ale nie chciałem zabijać. Żona jego podniosła się z wolna, nieznacznie. Chciała się wymknąć.
— Może tęsknisz za mężem? — zapytałem.
Nie odpowiedziała.
— Jeśli chcesz pójść za nim, to idź, nie zatrzymujemy cię tutaj.
Obrzuciła nas niepewnym spojrzeniem i rzekła:
— A co ze mną będzie, jeśli zostanę!
— Nic. Nie walczymy z kobietami. Siedź zatem spokojnie i czyn, co ci się podoba, ale nie waż się nam przeszkadzać.
— Senior, jest pan dobry! Zostanę tu i nie uczynię nic, co by się mogło wam nie podobać.
Poprawiliśmy zasłonę nad drzwiami, po czym towarzysze moi wzięli broń do ręki. Usiadłem z powrotem przy ogniu. Emery i Winnetou poszli za moim przykładem, Franciszek natomiast szepnął przełkniętym głosem!
— Na miłość boską, nie siadajcie tam!

— A to czemu? — zapytałem.

— Mogą w was trafić poprzez drzwi kule! Wrogowie podkradną się do zasłony i zajrzą do środka.

— Tego właśnie pragniemy.

— Aby mogli was powystrzelać?

— Radzimy sobie sprawniej niż oni. Jeżeli usiądziemy pod ścianami, nie zobaczą nas i nie spróbują nawet strzelać. A przecież przyjemnie byłoby dać im nauczkę. Niech pan siada spokojnie z nami. Nie ma się czego bać. Może pan polegać na naszych oczach, ale strzeż się zerkać ku drzwiom. Te draby natychmiast pochwycą spojrzenie. Oglądaj, co ci się żywnie podoba, byle nie wejście.

— A jeśli zechcą zdobyć dom szturmem? — zapytał.

— Jakże to zrobią?

— Rzucą się nagle do izby.

— Wiedzą dobrze, że w taki wypadku wszystkie nasze strzelby będą w nich skierowane. Przed szybkimi wystrzałami mego sztucera żaden z nich nie umknie. Nie ma ich znów tak wielu, aby mogli szafować krwią swoich towarzyszy.

Vogel usiadł plecami do drzwi. Od czasu do czasu wzruszał ramionami, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się z tyłu kuli. Rozmawialiśmy głośno, aby oszukać nieprzyjaciół. Nie troszcząc się na pozór o zasłonę, w istocie nie spuszczałyśmy z niej oka. Chwilami wiatr nią poruszał, co oczywiście utrudniało obserwację.

Naraz zobaczyłem między końcem zasłony a podłogą lufę, wsuniętą co najmniej na dwa cale. W okamgnieniu Winnetou chwycił swą strzelbę, rozległ się wystrzał i okrzyk. Lufa znikła natychmiast.

— Pierwszy, który się odważył, nie wróci tu już więcej! — roześmiał się Emery. — I tacy chcą nas schwytąć!

— Czy sądzi pan, że im się nie uda? — zapytał Franciszek.

— O tym nie ma mowy! Trzeba zgasić ognisko, aby nas nie widzieli, i położyć się koło drzwi, gdzie będziemy ich mieć na oku.

— Lepiej by było wgramolić się na dach — wtrąciłem. — Z dachu mielibyśmy widok na wszystkie strony.

Winnetou przytaknął. Pułap wisiał na wysokości pięciu łokci. Można było wybić dziurę flintą Indianina, aby oszczędzić naszą broń. Ale przedtem powinno zgasnąć ognisko, gdyż przeświecałoby przez dziurę, zdradzając nasze zamiary.

Po wygaszeniu ognia Emery zdjął strzelbę z haka i zabrał się do roboty. Winnetou miał mu pomóc. Ja zaś podszedłem do drzwi, aby zapobiec ewentualnym niespodziankom.

Przypadłszy do ziemi, powoli wysunąłem głowę. Przed wejściem nie było nikogo. Spojrzałem na prawo, ku ścianie — ani żywej duszy. Na lewo — tak, tu skradał się ktoś powoli, cichaczem, prawdziwie po indiańsku. Czekałem cierpliwie, aż zbliży się na trzy stopy do drzwi, po czym szybko wybiegłem, uchwyciłem go lewą ręką za piersi, prawą za skórzany pas i z rozmachem rzuciłem daleko przed siebie. Był to Indianin. Wypuścił z ręki broń. Podniosłem ją i zabrałem do domu. Ten na pewno też nieszybko tu powróci, pomyślałem.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, cała ta scena rozśmieszyłaby mnie ogromnie. Wspomnę, że deszcz ustał i niebo zaczęło się przecierać. Na koniec w dachu powstała tak wielka dziura, że mogliśmy się na niego wgramolić. Plecy Emery'ego służyły za drabinę, sam zaś Anglik został przez nas wciągnięty na końcu. Oczywiście, pełzaliśmy po dachu chyłkiem, gdyż inaczej łatwo by nas zauważono przy blasku gwiazd. Rozłączyliśmy się. Ja zająłem przedni szczyt domu, Winnetou tylny, Emery prawy, a Vogel lewy.

Gdy tylko przysunąłem się do kantu dachu, zobaczyłem przed sobą dwóch drabów. Nie chcąc ich pozbawiać życia, wystrzeliłem z rewolweru w powietrze. Krzyknęli ze strachu i

szybko uciekli. Tymczasem prawie jednocześnie padł z tyłu strzał ze srebrnej strzelby Winnetou, a potem rozległ się jego metaliczny głos:

— Precz od koni, bo mój najbliższy strzał trafi cię w głowę!

Czytelnik przypomina sobie, że umieściliśmy nasze konie w odgrodzonym miejscu. Właśnie w chwili, gdy Apacz stanął na swym posterunku, chciano uprowadzić wierzchowce. Strzały rozległy się także z innych stron dachu. Jumowie okrążyli cały dom, ale na odgłos wystrzałów momentalnie pierzchnęli. Zamiar ich spalił na panewce. Żaden Juma nie śmiał podejść bliżej. Skoro dzień zaświtał, nie było dokoła żywej duszy.

Zeszliśmy na dół. Kobieta leżała na tym samym miejscu, na którym ją zostawiliśmy. Widać było, że nie jest zbyt przywiązana do męża. Winnetou podszedł do niej i zapytał:

— Dlaczego moja czerwona siostra nie wyszła do swego męża?

— Nie chcę go znać. Podarujcie mi trochę pieniędzy — prosiła — abym mogła wrócić do swoich rodaków!

— Do Jumów, do Sonory? — zapytałem zdumiony.

— Tak, senior.

— I przebędziesz sama daleką drogę między tyloma wrogimi plemionami?

— Nie lękam się ich. Biedna squaw nie ma wrogów.

— Słusznie. Żaden prawdziwy wojownik nie wyrządzi ci krzywdy. Ale dlaczego chcesz się rozstać z mężem?

— Ponieważ zmusił mnie, abym porzuciła ojczyznę i wywędrowała aż tutaj! Tam mieszkają moi rodzice i bracia, a tu usycham powoli z tęsknoty.

— Czy twój mąż źle się z tobą obchodzi?

— To niedobry człowiek. Nienawidzę go!

— A więc dobrze. Damy ci tyle pieniędzy, że wystarczy na drogę.

Dałem jej, ile mogłem. Emery ofiarował dziesięć razy więcej, Franciszek dał kilka dolarów, a Winnetou ziarenko złota, wyciągnięte zza pasa. Krzyknęła radośnie:

— Stokrotnie wam dziękuję! Mieliście tu zginąć, a oto pomagacie biednej kobiecie. Jakże się cieszę, żeście uszli cało!

— Jakie były zamiary naszych wrogów? — zapytałem.

— Podczas waszego snu chcieli was pojmać.

— Czyj to plan?

— Obu białych, ojca i syna. Z początku przybył tu syn z białą squaw Sądził, że już nie żyjecie. Potem przyjechał jego ojciec i opowiedział, że pędzicie jego śladem i że zamordowaliście i obrabowaliście jego brata. Kazano memu mężowi wejść na wierzchołek góry, wypatrywać was i zaprosić do naszego domu. Kiedy przyszliście, musiałam mimo niepogody jechać nad Flujo Blanco, aby zawiadomić o tym białych. Przybyli tu ze wszystkimi wojownikami.

— Czy nie mogłaś nas ostrzec?

— Nie. Przecież uważałam was za złoczyńców. Ale gdy senior zwrócił się do mnie tak przyjaźnie, zrozumiałam, że nas oszukano. A teraz obdarowaliście mnie szczodrą. Chciałabym się wam odwdziżyć.

— Możesz się odwdziżyć, udzielając wskazówek, o które cię poprosimy.

— Pytaj, senior! Chętnie odpowiem.

— Ufam ci, bo masz dobre i uczciwe spojrzenie. Twój mąż opisał nam wczoraj drogę do puebla. Czy myślisz, że nas nie okłamał?

— Nie. Ojciec białego seniora zalecił mu mówić prawdę.

— Ale wszak usiłowano nas pojmać w tym domu!

— Gdyby się ten plan powiódł, chciano zastawić na was pułapkę.

— Czy wiesz w jaki sposób?

— Tak. Wiedzieliśmy o wszystkim, ponieważ jawnie cieszone się z faktu, że będzie można zemścić się na was za dawne sprawy.

— Mam nadzieję, że opowiesz nam szczegółowo o tej pułapce!

— Powiem ci. Mój mąż opisał pueblo w tym celu, aby zwabić was tam w razie, gdyby pierwotny plan się nie udał.

— Nie trzeba nas było zwabiać, bo i tak byliśmy zdecydowani zdobyć pueblo za wszelką cenę.

— Zginęlibyście, gdybym wam teraz nie zdradziła tajemnicy. Ponieważ was tutaj nie schwytano, więc wszyscy nasi, którzy byli tu w nocy, wrócili do puebla pozostawiając za sobą wyraźne ślady, abyście łatwo znaleźli drogę. Prowadzi ona do doliny Flujo Blanco, przez rzekę, a następnie biegnie jej lewym brzegiem do miejsca, gdzie dolina zwęża się do tego stopnia, że wzdłuż wybrzeża może jechać tylko jeden człowiek. W tym właśnie miejscu jest w skale otwór — wąska dróżka prowadzi tędy do puebla. Z obu stron wznoszą się niedostępne skały. Tam też przygotowano na was zasadzkę. Połowa naszych ludzi oczekuje na tej drodze, druga zaś połowa schowała się w przydrożnej kryjówce. Przepuszczą was, a potem pójdą za wami. Będziecie wzięci w dwa ognie.

— Nie najgorszy to plan. Wąziutki wąwóz, w którym moglibyśmy jechać tylko gęsiego, z prawej i lewej strony skaliste ściany, a z przodu i z tyłu wrogowie.

— Tak, panie! Plan ten obmyślił ojciec młodego seniora.

— Jak powiedziałem, wcale nieźle. Ale popełnił parę błędów, bo gdybyś nas nawet nie ostrzegła, nie wpadlibyśmy w pułapkę. Ten stary nie oszuka nas. Jeśli chciałby nas schwycić, musiałby działać chytrze. Pierwszy wybieg nie udał się, aczkolwiek nikt nas nie ostrzegł; drugi tym mniej może się powieść. A zatem połowa waszych ludzi miała się schronić w kryjówce i przepuścić nas, podczas gdy pozostali mieli oczekiwać w wąwozie?

— Tak, senior.

— A poza tym mieli zostawić wyraźne ślady? Niech mi moja siostra uwierzy, że nie jesteśmy ślepi. Liczylibyśmy ślady i od razu spostrzeżelibyśmy, że połowa ich nagle znikła. Zresztą, ta połowa nie może zniknąć, gdyż nie rozwieje się przecież w powietrzu. Poznaliśmy po tropie, że jeden oddział wrogów poszedł w jedną, a drugi w drugą stronę. Zaskoczylibyśmy Indian w zasadzce.

— Ale jakże byście później przeszli przez tę dróżkę?

— Być może, wcale byśmy nie przeszli. A zresztą, mielibyśmy wrogów jedynie z przodu. Musieliby też jechać w pojedynkę, a więc z każdej strony mógłby walczyć tylko jeden jeździec, a w takim razie nie zostałby z Jumów nikt, aby policzyć ciała poległych.

Widziałem, że była przerażona. Zawołała błagalnie:

— Senior, nie czyn tego! Nie chcę, aby moje ostrzeżenie przyprawiło o zgubę moich braci. Wolę sama się zabić.

— Uspokój się! Nie uważamy Jumów za naszych wrogów. Zawarliśmy ongiś pokój i chcemy postępować z nimi jak z przyjaciółmi. O ile to zależy od nas, żadnemu z twoich braci nic złego się nie stanie. Chcemy tylko schwycić obu białych, którzy was jednak nie obchodzą. To wszystko. Spróbujemy osiągnąć nasz cel przebiegłością, a w takim razie nie dojdzie nawet do walki. Powiedz teraz, czy przejście to stanowi jedyną drogę do puebla?

— Tak. Nie ma innej.

— A czy można wdrapać się na otaczające skały?

— Nie, to niemożliwe, gdyż są tak strome, jak mury tego domu. Jeśli chcesz, mogę wam to wszystko pokazać.

— Kiedy? Jak?

— Już teraz. Na dole płynie rzeka, a płaskowzgórze jest wysokie. Można dojechać do jego górnego krańca i stamtąd obejrzeć pueblo.

— Musimy to zobaczyć. Czy możemy wyruszyć natychmiast?

— Tak. Wsiądźcie na konie i jedźcie wprost na południe, aż dotrzecie do wielkiej, samotnej skały. Tam mnie oczekujcie. Pojadę drogą okrężną, aby mój ślad nie łączył się z waszym.

Osiodłaliśmy wierzchowce. Rzekomy Zuni posiadał dwa. Na jednym uciekł, drugi stał w ogrodzeniu wraz z naszymi końmi i miał się teraz przydać jego żonie.

Pędziliśmy w oznaczonym kierunku. Minęło pół godziny, zanim zobaczyliśmy wspomnianą skałę. Niebawem przyjechała Indianka. Wyruszyliśmy z nią na zachód.

Było to zarośnięte krzakami płaskowzgórze z wartkimi strumieniami. Cwałowaliśmy jeszcze przez godzinę, aż wreszcie dojechaliśmy do gęstego gaju o dumnie wzniesionych koronach. Rozciągał się na dużej przestrzeni; zdawało się, że w kształcie podkowy. Kobieta zeskoczyła z konia i związała mu przednie nogi, aby nie mógł daleko uciec. Poszliśmy za jej przykładem, a następnie weszliśmy w gąszcz.

Prowadziła nas na przełaj. Po chwili zatrzymała się i rzekła:

— Jeszcze parę kroków, a znajdziemy się nad krawędzią głębokiej kotliny, w której zobaczycie pueblo. Strzeżcie się jednak, aby nie zauważono was z dołu.

Na skutek tego ostrzeżenia położyliśmy się na ziemi. Czołgając się przez rzadkie krzewy dotarliśmy do krawędzi. Rozwarła się przed nami stroma i ponura otchłań. Dno było zarośnięte trawą, na której pasło się może z dwadzieścia koni i kilkaset owiec, przeznaczonych widocznie na żywność dla mieszkańców puebla. Rosły tam ponadto wysokie drzewa, wyglądające z tej odległości jak drobne krzewy.

— Znów kotlina! — rzekł Winnetou, który leżał obok mnie.

Te słowa były znamienne. Tak, znów kotlina! Podczas naszych wypraw kotliny odgrywały zawsze decydującą rolę. Jakże często stawały się grobem dla naszych nieprzyjaciół! Przeważnie wystrzegaliśmy się tych pułapek, przygotowanych przez samą naturę. Ilekroć jednak nie mogliśmy ich uniknąć, musieliśmy później gorzko tego żałować.

Obecna kotlina mogła stać się prawdziwym więzieniem dla swoich mieszkańców, gdyż prowadziła do niej tylko jedna droga — mianowicie ten wąski pas gruntu między skałami, o którym opowiadała nam wcześniej indiańska kobieta. Kształt miała niemal idealnie okrągły, ściany jej niczym mury wznosiły się prawie pionowo. Nie było w nich ani odstępu, ani żadnej szczeliny, która udostępniłaby drogę na dół.

Leżąc na wprost wylotu wąwozu, będącego jedyną drogą dojścia do kotliny, mogliśmy się przekonać naocznie, jak bardzo był wąski. Rzeczywiście, starczyłoby tam miejsca wyłącznie dla jednego jeźdźcy. Obok tej drogi, wiodącej nad Flujo Blanco, wznosiła się budowla, którą Judyta nazywała swym zamkiem. I trzeba przyznać, nie bez racji.

Było to pueblo, zbudowane w formie tarasowej. Widać było, że przed wielu, wielu wiekami oderwała się w tym miejscu od skał i runęła w dół ogromna lawina kamieni. Głazów tych użyto do zbudowania puebla. Budowla oparta o skałę składała się z ośmiu kondygnacji, tworzących tyleż tarasów, czyli platform, gdyż każde wyższe piętro było cofnięte. Sprawiała wrażenie czworobocznej piramidy, przeciętej prostopadłe, przy czym jedna połowa była jak gdyby wmurowana w skałę. Na każde piętro prowadziła osobna drabina. Gdyby zabrano chociażby tylko tę jedną, umieszczoną najniżej, zamek przeobraziłby się w niedostępną warownię.

Ongiś budowla ta doskonale odpowiadała swojemu przeznaczeniu. Sama przez się była już nie do zdobycia, a ponadto mieściła się w kotlinie o jednym tylko nader wąskim przejściu, do którego obrony wystarczyłoby zaledwie kilka osób. Tę twierdzę można było zdobyć wyłącznie zniemacka przez zaskoczenie. Głód mieszkańcom również nie groziłby, bowiem dno kotliny dostarczało dosyć płodów rolnych, aby wszystkich wyżywić; a i wody zabraknąć nie mogło, gdyż połykiwała w wielkim okrągłym zbiorniku, wbudowanym w środek parteru. Prawdopodobnie było tam podziemne źródło.

Teraz z kolei zwróciliśmy uwagę na ludzi. Przed szczeliną obozowali Indianie z bronią w ręku. Przywódca — przynajmniej na takiego wyglądał — siedział nad nimi na pierwszej platformie puebla w doborowym towarzystwie — Jonatana Meltona i Judyty. Jonatan miał przy sobie strzelbę.

— Czy widzisz, senior, że jest tak jak mówiłam? — zapytała Indianka. Część wojowników czeka na was przy wejściu, a reszta zaczęła się nad rzeką, aby was wpędzić do wąwozu.

— Gdzie jest ojciec tego białego, który siedzi na dole przy białej squaw?

— Nad rzeką, on tam przewodzi. A tu jest jego syn. Teraz są przekonani, że was schwytają.

Emery odezwał się:

— Jak pięknie moglibyśmy stąd sprzątnąć Jonatana! Czy postać mu kulkę?

— Ależ nie! — odpowiedziałem. — Po pierwsze, chcę go mieć żywego, a po drugie, wątpię, czy byś trafił.

— Oho! Czy sądzisz, że strzelam tak kiepsko?

— Nie. Znam twoją doskonałość, a taki strzał z góry na dół jest bardzo niepewny. Nawet ja nie ośmielę się twierdzić, że trafiłbym.

— Przekonałeś mnie.

— Po trzecie zaś twierdzą, że był to nierozsądny wystrzał, który zaszkodziłby nam wielce. Nie wiadomo, jak takim wypadku skończyłaby się cała nasza wyprawa.

— Masz rację, a zatem nie strzelamy. Ale co czynić? Czy skoczysz na dół, aby uchwycić za czuprynę miłego Jonatana?

— Na dół? Być może, mimo że nie będziemy skakali. Spójrz na pueblo. Jak daleko jest stąd, a więc od krawędzi skały, aż do najwyższego tarasu budowli?

— Sądzę, że najmniej czterdzieści łokci.

— Jest tak, jak mówisz.

— Czy chcesz zbudować tak wielką drabinę? — rzekł z uśmiechem.

— Jeśli masz zamiar stroić sobie żarty, to postaraj się, aby były dowcipniejsze — odpowiedziałem.

— Hm, tak, sprawa jest nader poważna. Musimy za wszelką cenę dostać się do puebla, a ponieważ niepodobna przemknąć szczeliną, przeto jesteśmy zmuszeni tędy zejść na dół.

— Nie powiem, że niepodobna. Objąśniłem już czerwonoskórej squaw, w jaki sposób poradziłibyśmy sobie w owym wąskim przejściu— Ale to wymagałoby otwartej walki i gdybyśmy nawet weszli cało do kotliny, łatwo można by nas było sprzątnąć z tarasów puebla. Myślę, że moglibyśmy też przekraść się tamtędy potajemnie, oczywiście w nocy. W takim razie musielibyśmy zaskoczyć strażników, może nawet ich zabić, a tego chciałbym uniknąć. Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko zejść stąd na dół.

— Czy przy pomocy lassa?

— Tak.

— Słuchaj, to niebezpieczna zabawa! Wszak nasze lassa są kupione. Gdybyśmy sami je splekli, mielibyśmy pewność, że wytrzymają nasz ciężar. Ale opuszczać się w takie głębie na nie sprawdzonych lassocach, to więcej niż ryzyko.

— Mam nadzieję, że wytrzymają. Przetłuszczono je najpierw, a następnie wędzono.

— A jednak nie polegałbym na tych sznurach. Czy pomyślałeś również o i tym, że będą się kołysać?

— Tak. Rozproszę twoje obawy i sam się pierwszy opuszczę. Następnie naciągnę lasso mocno, abyście mogli zejść bez kołysań.

— O kay! Spróbuj, a jeśli ci się uda, pójdę za tobą. Ale przedtem zapytaj Indianki, czy...

— Nie, nie! — przerwałem mu. — Ona nie powinna wiedzieć, że chcemy zejść tędy. Wierzę, że dobrze nam życzy, ale lepiej będzie, jeśli nie dowie się o naszych zamiarach.

Chociaż nie chce nas zdradzić, może jednak wygadać się przed mężem albo przed innym Jurną.

— W takim razie dobrze się stało, że rozmawialiśmy po niemiecku — podsumował Emery.
— Ale gdzie się podział Winnetou?

Apacz zniknął bowiem na prawo w krzakach. Domyśliłem się jego zamiarów:

— Dziwna rzecz, jak jednomyślnie zwykliśmy decydować w skomplikowanych okolicznościach — odparłem. — Jestem pewien, że Winnetou poczołgał się wprost nad pueblo, aby spojrzeć baczniej w dół i zastanowić się nad sposobem zejścia do kotliny.

Nie myliłem się ani trochę. Wkrótce nasz przyjaciel wrócił i rzekł:

— Jedna tylko droga prowadzi do celu bez rozlewu krwi. Musimy się spuścić na górną platformę.

Mówił w języku Siuksów, a to z tych samych powodów, które skłoniły nas do porozumiewania się po niemiecku.

— Czy myślisz, że nasze lassa wystarczą? — zapytałem.

— Tak.

— I że się nie przerwą?

— Nie. Nasze trzy lassa są tak długie, że jeśli je zwiążemy w jedno, to sięgną do najwyższej platformy puebla.

— Ale w jaki sposób umocujesz je na górze?

— Niedaleko krawędzi rośnie drzewo o tak mocnych korzeniach, że na pewno wytrzyma nasz ciężar. Przypuszczam, że mój brat zgodzi się już dziś wieczorem przeprowadzić na dół?

— Oczywiście. Zamierzałem zaproponować ci to samo. Ale co będziemy robić do wieczora?

— Czy mój brat nie umie sam sobie odpowiedzieć na to pytanie?

— Być może. Nade wszystko trzeba się postarać, aby wrogowie nie odkryli nas i nie przejrzeliby naszego planu.

Winnetou, skinął twierdząco i rzekł:

— Tak, musimy odwrócić ich uwagę. Jak według mego brata należy postąpić?

— Powinniśmy Jumom podsunąć myśl, że napadniemy na nich nad rzeką.

— Słusznie. Muszą być pewni, że chcemy się przekraść do puebla wąskim korytarzem. Trzeba więc wrócić na dół.

— Już teraz? — zapytał Emery.

— Tak — potwierdził Apacz. — Powinni, a nawet muszą nas zobaczyć albo co najmniej zauważyć na dole naszą obecność.

— Bądźmy ostrożni! Mogą nas po prostu zastrzelić!

— Tak, lecz tylko w wypadku gdybyśmy zbliżyli się do nich na odległość strzału. Ale tego będziemy się wystrzegać.

— Jeden ich oddział zaczął się w kryjówce. Gotowi nas podpatrzeć. Nie wiemy przecież, gdzie się ona znajduje. Łatwo możemy im wpaść w ręce.

— Ależ nie. Wszak mamy oczy i uszy otwarte. A poza tym może Indianka zdradzi nam również i tę kryjówkę.

Istotnie, określiła nam miejsce, w którym zaczęli się nasi wrogowie:

— Kiedy wrócicie do mego domu i pójdziecie śladami, wyraźnie wydeptanymi przez Jumów, to dotrzecie niebawem do małego strumyka, który wpada do Flujo Blanco. Tam Jumowie mieli się rozłączyć. Jeden oddział miał iść do puebla, a drugi dalej wzdłuż strumyka i zaszyć się w krzakach.

— I teraz wypatruje nas z prawdziwą niecierpliwością — wtrąciłem. — Wszak połowa Indian przybyła już do puebla, bo widzimy ich na dole. Czy pozwolimy dłużej czekać tym dżentelmenom?

— Nie. Natychmiast ruszamy na dół ku rzece — rzekł Winnetou i zwracając się do kobiety, dodał: — Czy nie zwodzi nas moja siostra?

— Nie — odpowiedziała. Wyraz jej twarzy świadczył o szczerości tych słów.

— Wynagrodzimy cię za to. Jeśli schwytemy obu białych bez walki, jedynie podstępem, to dostaniesz jeszcze więcej pieniędzy niż dotychczas. Chętnie wynagradzamy, ale umiemy też karać, jeśli ktoś nas oszuka.

— Chcę stąd umknąć po kryjomu — rzekła — ale nie chcę szkodzić swoim, Zamierzacie ich oszczędzić i dajecie mi pieniądze, abym mogła dostać się do Sonory, dlatego dobrowolnie powiedziałam wam wszystko, czego ode mnie żądaliście, i dlatego też nie zdradzę was.

— A więc niech moja siostra wraca teraz do domu!

Chciała odejść natychmiast. Nam jednak brakowało jeszcze jednej cennej informacji. Nawet Winnetou, tak zawsze przezorny, zapomniał spytać o ten szczegół. Toteż mnie wypadło zatrzymać jeszcze kobietę.

— Czy znasz dokładnie pomieszczenia puebla?

— Tak, wszystkie.

— Wiesz więc, gdzie mieszka biała squaw?

— Na pierwszym piętrze.

— Jak się tam wchodzi?

— Z drugiego piętra w dół. W otworze pośrodku platformy tkwi drabina.

— A więc na pierwszym piętrze. A pod nią na parterze mieszkają Indianie?

— Nie.

— Na co więc przeznaczono parter?

— Mieszkańcy przechowują tam zapasy kukurydzy, warzywa oraz inne ziemiopłody, rosnące w dolinie. Jest tam również studnia.

— Widzę. Czy to cysterna?

— Nie. Woda wypływa z rzeki.

— A zatem ten strumyk, który stąd widzimy, łączy się z Flujo Blanco?

— Tak. Woda nigdy nie wysycha, bo też nie wysycha nigdy rzeka.

— A gdzie mieszkają Jumowie?

— Na wyższych piętrach.

— A czy wiesz, gdzie zamieszkali obaj biali, ojciec i syn?

— Syn mieszka na pierwszym piętrze.

— A ojciec? Gdzie mieszka ojciec?

— Piętro wyżej.

— Jakże się ta biała squaw może dobrze czuć na tym pustkowiu? Brak jej chyba wygód, bez których białe kobiety nie mogą się obejść.

— Niczego jej nie brak. Wódz sprowadził wszystko, czego sobie życzyła.

Zaślepiony miłością, nie cofał się przed żadnym trudem. Nasi mężowie stale jeździli do Prescott lub Santa Fé, aby przywozić jej wciąż nowe sprzęty.

— Czyżby więc wasz wódz był aż tak bogaty, że mógł zaspokoić wszystkie jej zachcianki?

— O to nie powinien senior pytać, nie mogę na to pytanie odpowiedzieć. Żaden czerwonoskóry mężczyzna i żadna czerwonoskóra kobieta nie zdradzą, gdzie znajduje się złoto i srebro, którego tak pragną biali.

— Dobrze. Wiem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Możesz wracać. Ale nie zapomnij tego, co ci powiedział Winnetou. Jeśli nie postępowałaś z nami uczciwie, to spotka cię surowa kara, jeśli uczciwie — zapłacimy złotem.

— Kiedy, senior?

— Gdy tylko złapiemy obu białych.

— A gdzie?

— W twoim domu. Zapewne będziemy tamtędy wracać.

— Ale proszę was, abyście dali mi to po kryjomu, żeby nikt nie widział!

— Możesz nam zaufać! Przecież za przysługę nie odpłacimy ci krzywdą.

Dosiadła swego konia i pojechała. Wkrótce zniknęła na północnym wschodzie, na drodze do swego domu. Stamtąd nad Flujo Blanco jechało się na zachód. A zatem z naszego miejsca należało obrać kierunek północno-zachodni. Znając położenie domu, nietrudno już było obliczyć odległość od rzeki. Jak wynikało z naszych ustaleń, odległość tę zdołamy pokonać w ciągu godziny, tym bardziej że natychmiast ruszyliśmy cwałem.

PUEBLO

Po trzech kwadransach jazdy dotarliśmy do śladów, wyraźnie wydeptanych przez Jumów. Charakter miejscowości świadczył, że w pobliżu jest rzeka. Emery zapytał Winnetou:

— O co wam właściwie chodzi? Chcieliście się pokazać Jumom, ale jak i gdzie o tym nie słyszałem.

— Mój brat nie słyszał, ponieważ się nie pytał. Poszukamy kryjówki wrogów.

— Poszukamy otwarcie?

— Nie. Ukradkiem.

— Chcemy przecież, aby nas spostrzegli.

— Tak, powinni nas zobaczyć, ale dopiero wtedy gdy będziemy przy nich.

— Ach! A zatem podkradniemy się do nich. Czy konie zabierzemy z sobą?

— Nie. Umieścimy je gdzieś niedaleko stąd. Zostanie przy nich nasz brat Vogel. Tak czy owak nie mógłby pójść z nami, bo nie umie się podkradać.

— A więc musimy poszukać dla niego i dla koni dogodnej kryjówki.

Wkrótce ją znaleźliśmy. Były to równoległe połacie krzaków, leżące na prawo od nas. Tam też postanowiliśmy ukryć nasze konie pod opieką Franciszka. Vogel niechętnie rozstawał się z nami, ale musiał sam przyznać, że nie ma doświadczenia westmana i zamiast pomóc, mógłby nam przeszkadzać.

Z największą ostrożnością wracaliśmy po śladach Jumów, gdyż należało przypuszczać, że Indianie wysłą naprzeciw nam wywiadowcę.

Kryjąc się za drzewami i krzakami, przybyliśmy w pobliże głębokiej doliny, gdzie Flujo Blanco wrzyna się w płasko wzgórze. Dolina tworzyła tu kanion, do którego zbliżaliśmy się prostopadle.

Naraz teren zaczął gwałtownie opadać. Wydrążenie na kształt wąwozu prowadziło ku rzece. Winnetou, jak zawsze przezorny i zapobiegliwy, rzekł:

— Nie zapuścimy się w ten wąwóz. Musimy się zorientować, dokąd prowadzi. Wyminimy go i dojdziemy do krawędzi kanionu.

Tak też zrobiliśmy. Niebawem dotarliśmy do wysokiej krawędzi, z której można było spojrzeć w dół, na rzekę. Zobaczyliśmy wylot wąwozu, a na wprost niego, na drugim brzegu ujście strumyka, o którym opowiadała indiańska kobieta, a który wypływał spośród skał. Między strumieniem a skałami było tyle wolnego miejsca, że można było wzdłuż brzegów swobodnie iść, a nawet jechać. Emery wskazał w tym kierunku mówiąc:

— Tam jest kryjówka. Jakże się dostaniemy do niej niepostrzeżenie? Jeśli pójdziemy wzdłuż brzegu, to szubrawcy wnet nas zobaczą.

— Czy musimy iść tamtędy? — zapytałem. — Znajdziemy inną drogę, jeśli nie tu, to gdzie indziej.

Wróciliśmy do wąwozu. Nad brzegiem rzeki ujrzeliśmy, że ślady Jumów się rozdzieliły: jedne biegły naprzód, drugie przez rzekę ku strumykowi. Nie uszłoby to naszej uwagi nawet bez ostrzeżenia Indianki. Po prostu nie mogłem pojąć, jak obaj Meltonowie mogli przypisywać nam tak beznadziejną ślepotę. Na ten ślad zwróciłby uwagę każdy, a cóż dopiero Winnetou!

Przeprawiliśmy się wpław przez rzekę i zamiast pójść wzdłuż strumyka, cofnęliśmy się aż do miejsca, gdzie nietrudno było wyjść na brzeg.

Zapewne Jumowie wypatrywali nas z lewej strony, od strumienia, my zaś skradaliśmy się z przeciwległej. Oczywiście, musieliśmy podwoić czujność. W każdej bowiem chwili mogliśmy się natknąć na wroga.

— Uff! — usłyszałem nagle zdziwiony okrzyk Apacza.

Wyprzedził nas o kilka kroków. Wyprostował się, stanął za gęstym krzewem i pokazał na przerzedzone miejsce. Podpełziliśmy we wskazanym kierunku. Ogarnęło nas zdumienie, a raczej rozczarowanie. Trawa na tym terenie była udeptana, czyli ukrywali się tu Jumowie, ale teraz nie widać było nikogo.

— Poszli sobie — mruknął Emery.

— Tak, o ile to nie jest podstęp — ostrzegłem. — Być może, zobaczyli nas i cofnęli się celowo.

— Zobaczymy! — rzekł Winnetou. — Moi bracia niechaj tu poczekają.

Oddalił się, przeskoczył przez strumyk i znowu zaczął się czołgać. Skradał się jak wąż. Zniknął nam na dziesięć minut z oczu i znowu się pojawił, ukazując wyprostowaną sylwetkę. Był to znak, że nie znalazł wrogów.

— Uciekli! — krzyknął zawiedziony Emery. — Wrócili do puebla. Nie schwytemy starego Meltona.

— Gdybyż się tylko na tym skończyło! — dorzuciłem.

— Tylko na tym? Co jeszcze mogło się zdarzyć?

— Przeprawili się przez rzekę. Jeśli zobaczyli nasz ślad, to...

— Do stu piorunów, tak! W takim razie pójdą brzegiem i wrócą nad strumień. Musimy tu zostać i godnie ich przyjąć. Lepiej nie mogło się przytrafić!

— Nie jestem tak uradowany, jak ty. Gdy tylko zobaczą nasze ślady, pójdą za nami. Lecz pytanie, w którą stronę? Jeśli się cofną, to znajdą Vogla i nasze konie.

— Byłby to największy pech, jaki można sobie wyobrazić!

— Więcej niż pech. Musimy natychmiast podążyć za nimi i przekonać się, dokąd poszli.

Pośpieszyliśmy w kierunku rzeki i szybko przeprawiliśmy się przez płytką wodę. U wylotu wąwozu ujrzeliśmy o wiele więcej śladów niż poprzednio. Oglądałem je bardzo uważnie, ale nie mogłem nic wywnioskować. Tak samo Emery, a nawet Winnetou potrząsnął przecząco głową, wreszcie rzekł:

— Być może, Jumowie znowu wrócili. Moi bracia niech szybko podążą za mną ku wierzchowcom.

Przebiegliśmy wąwóz. Tu na trawie, ku najwyższemu przerażeniu, również zobaczyliśmy ślady Indian. A zatem odkryli nasz trop i poszli za nimi, ale niestety nie naprzód, lecz wstecz, tam skąd przybyliśmy.

Ruszyliśmy co tchu do krzaków, gdzie pozostawiliśmy Franciszka z końmi. Nie myśleliśmy już o zachowaniu ostrożności, wszak chodziło o naszego towarzysza i o nasze wierzchowce. Jak ścigane zwierzęta popędziliśmy przez zagajnik, z bronią w ręku, aby w każdej chwili móc jej użyć.

Dobiegliśmy... lecz nie było ani koni, ani Vogla. Darnina nie była zdeptana. Ani śladu walki. Nasz znakomity wirtuoz został po prostu zaskoczony. Ślady łukiem wracały stąd do wąwozu. My, tak doświadczeni westmani, ponieśliśmy haniebną porażkę.

Emeryomalże nie pękł z wściekłości.

— Stoicie tylko i wyłupiacie na siebie gały! — zawołał. — Gdybyście mnie usłuchali, nie zostalibyśmy wystrychnięci na dudka.

— Czy mój brat Emery nigdy nie popełnił błędu? — zapytał spokojnie Winnetou.

— Dostyc wiele — odpowiedział Anglik szczerze. — Ale nie powinniśmy się tutaj zatrzymywać. Musimy go jak najszybciej uwolnić. Ruszajmy, ruszajmy natychmiast!

Pobiegł naprzód. Widząc, że wlecemy się za nim powoli, przystanął i zawołał:

— Chodźcie, no chodźcie! Nie można tracić czasu!

— Dokąd to? — zapytałem. — Do puebla?

— Do... Ach, więc myślisz, że go tam zawlekli? W takim razie nie pójdzie nam tak gładko, jak sądziłem.

— Rozumie się, że nie możemy teraz, w jasny dzień szturmować fortecy.

— Ale co będziemy robić do nocy?
— Poczekamy, nic więcej.
— Gdzie spędzimy ten czas?
— Pokażę wam — rzekł Winnetou.
— Moi bracia niech idą za mną! Poprowadził nas aż pod wąwóz i usiadł pod krzakiem.
— Czy zechcą moi bracia tu zostać? — zapytał.
— Ja nie — skrzywił się Emery. — Siedzimy pod samym nosem wroga.
— To jest jedyne i właściwe postępowanie — oświadczyłem. — Jumowie po odprowadzeniu Vogla do puebla na pewno tutaj powrócą.
— Nie odważą się.
— W każdym razie Meltonowie wyślą kilku wywiadowców, aby się dowiedzieli, gdzie jesteśmy i co robimy.
— Czy myślą, że będą nas mogli tutaj łatwo złapać w pułapkę?
— Tak, są święcie przekonani, że to im się uda.
— Ale nie pozwolimy się zaskoczyć i zabić. Mogli schwytać Franciszką ale nie nas. Odkryliśmy ich gniazdo, Jeśli stąd uciekną, to pojedziemy za nimi i nie spoczniemy, dopóki nie wpadną nam w ręce. Zdają sobie z tego sprawę. Pojmali Vogla, który na pewno zarzuca im teraz zbrodnię i mówi, że jest jedynym prawdziwym spadkobiercą. Co w takim razie będą chcieli z nim zrobić?
— Natychmiast go usunąć — odpowiedział z pełnym przekonaniem Emery.
— Czy mój brat Szarlieh podziela ta zdanie?
— Nie — zaoponowałem, przypuszczając co myśli Winnetou. — Morderstwo nie polepszy ich sytuacji, lecz jeszcze ją pogorszy. Mordercy nie będą mogli liczyć na nasze pobłażanie.
— Mój brat ma słuszość, gdyż trzy mając Vogla jako zakładnika, zyskują szansę uratowania się.
— A więc mój brat Winnetou myśli, że jeśli zostaniemy tutaj, to wkrótce nadejdzie ich wywiadowca, a może nawet poseł?
— Tak.
— Mój brat jest najbardziej z nas domyślny. Nigdy się nie myli. Jestem przekonany, że i dziś sprawdzą się jego przewidywania.
— Bardzo w to wątpię — mruknął i przekąsem Emery.
Gdy tak rozmawiając siedzieliśmy na skraju wąwozu, nagle Apacz położył palec na ustach, dając znak do milczenia. Okazało się, że jego przypuszczenia były jak najbardziej słuszne. Nie opodał miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, dał się słyszeć lekki szelest. Po chwili zauważyliśmy skradającego się Indianina. Domyśliliśmy się, że jest on zwiadowcą.
Winnetou gestem pokazał nam, abyśmy z Emerym pozostali na miejscu, sam zaś oddalił się bezszelestnie. Schwywanie Indianina nie stanowiło dla niego większego problemu. W okamgnieniu obezwładnił go. Ten atak znienacka tak przestraszył Jumę, że nie wydał nawet najmniejszego okrzyku.
Winnetou skrepiował mu rękę, odebrał broń i przyprowadził do nas. Indianin nie był zaskoczony naszym widokiem. Sprawiał wrażenie, że nawet jest zadowolony, iż nas spotkał.
— Czy mój czerwony brat mógłby nam powiedzieć kim jest? — zapytał Apacz schwytanego.
Ten po chwili milczenia odrzekł:
— Jestem Juma, zwiadowca z puebla. Strzegę tego wąwozu. A wy kim jesteście?
Na to ja odpowiedziałem:
— Czy nigdy nie słyszałeś o najmężniejszym wodzu Apaczów, Winnetou, ani też o jego białym bracie, Old Shatterhandzie? A ten trzeci dzielny mąż jest naszym przyjacielem z Anglii. Poszukujemy jeszcze jednego naszego towarzysza, którego zostawiliśmy przy

koniach. Czy nie spotkałeś go przypadkiem bądź też wiesz, gdzie jest? Mów! — rozkazałem groźnie.

Indianin powiódł po nas ponurym wzrokiem i już nie tak pewnie jak poprzednio odpowiedział:

— Został schwytany przez naszych wojowników i wraz z końmi zaprowadzony do puebla. Taka była wola białych mężczyzn, którzy wśród nas przebywają. Bardzo się ucieszyli, gdy go przyprowadziliśmy. Śmiali się głośno i zacierali ręce.

— Winnetou sądzi, że mój czerwony brat mówi prawdę, ale chciałby wiedzieć, czy z waszej strony nie grozi pojmanemu nic złego?

Gdy Juma milczał, nie wiedząc co odpowiedzieć, Apacz mówił dalej:

— Oto znalazłeś się w mojej niewoli. Chcę, żebyś był mi posłuszny oraz żebyś został moim posłem. Chcę, abyś przyprowadził mi tych trzech białych, mężczyzn — ojca i syna oraz schwytanego młodzieńca, a także uprowadzone konie.

— To wygórowane żądanie! A co w zamian przyrzeka Winnetou?

— Życie. Jeśli mnie jednak oszukasz, moja kula osiągnie cię i przebije ci serce.

Poznać było po Jumie, że odczuwa wielki respekt wobec Winnetou, ale tym razem jego wargi zadrgały w ironicznym uśmiechu, kiedy odparł:

— Jeśli nie wrócę zaraz do puebla, moi bracia zorientują się, co mnie spotkało i natychmiast wyruszą na poszukiwania. A może wódz Apaczów sądzi, że jego nie mają się kule?

— Tutaj, wśród was, jestem pewien, że mnie żadna kula, nie ugodzi. Znam was dobrze. A zatem wiesz, czego żądam: ojca i syna, mieszkających u was, młodego białego, którego dzisiaj schwytaliście, oraz koni.

— A co się stanie, jeśli nasi wojownicy nie zgodzą się na twoje żądania?

— Tego ci nie powiem, ale niebawem się dowiecie. Teraz możesz odejść. Zostaniemy tutaj, aż słońce zbliży się do widnokregu na dziesięć szerokości ręki. Jeśli do tego czasu nie dacie odpowiedzi, to spór nasz rozstrzygnie tomahawk. W ciemnościach dotrzemy do rzeki, powystrzelamy wszystkich, którzy nam staną na drodze, wędrujemy do puebla i zabierzemy to, czego nam odmawiacie.

— Winnetou jest wielkim wojownikiem, ale i Jumowie nie są myszami, które lęklawie chowają się do dziury, gdy słyszą kroki wroga.

— Nie usłyszycie ich nawet. Będziemy między wami, zanim się spostrzeżecie.

— Mamy noże. Zatopimy je w sercach wrogów!

— Nie zobaczycie ich wcale. Mój brat może iść teraz do puebla, aby następnie wrócić z odpowiedzią. Im prędzej nadejdzie, tym lepiej dla Jumów.

— Czy mogę zabrać swoją broń?

— Nie. Jeniec odzyskuje broń po zawarciu pokoju — nie wcześniej.

Indianin podniósł się i odszedł z dumnie podniesioną głową. Gdy znikł, Emery rzekł z uśmiechem:

— Mój brat chyba nie przypuszcza, że Jumowie ze strachu wydadzą nam te trzy osoby i nasze konie!

— Nie. Ale Winnetou wie dokładnie, co teraz nastąpi.

— Jestem bardzo ciekaw.

— Juma został wysłany na zwiady po to, by dowiedzieć się, gdzie jesteśmy i co zamierzamy. Zostawią nas jednak w spokoju, wiedzą bowiem, że po schwytaniu naszego towarzysza podwoimy czujność. Zwiadowca wróci i opowie Meltonom, gdzie nas spotkał i co mu powiedzieliśmy. W następstwie tego zaproponują nam pewną ugodę.

— Jaką?

— Myślę, że zgodzą się wydać jeńca i konie. Poza tym przyrzekną jeńcowi część spadku, ale w zamian zażądają, abyśmy się stąd wycofali i nigdy już nie wchodzili im w drogę. Moi

bracia wątpią? Dowiedzą się wkrótce, że się nie mylą. Niedługo będziemy czekać na posłankę.

— Posłankę? — zapytał zdumiony Emery.

— Tak. Meltonowie nie przyjdą i nie przyślą żadnego Jumy, nie chcąc go wtajemniczać w to, co mają nam do zaoferowania. Istnieje tylko jedna osoba, którą mogą wysłać, a jest nią biała squaw.

Wysoko cenilem bystrość Apacza i często podziwiałem jego nieomylną wnioskowanie, ale tym razi miałem wrażenie, że się przeliczyła zaś widocznie odgadł moje wątpliwości, bo w milczeniu, lekko się uśmiechając, spoglądał na mnie.

Czekaliśmy przeszło godzinę. Wreszcie zobaczyliśmy wojownika Jumów, z którym poprzednio rozmawialiśmy.

— I cóż, Winnetou, czy to jest squaw? — zapytał Emery.

— Jeszcze nie — odrzekł obojętnie Apacz.

— Byłaby to rzecz niezwykła, gdyby wysłano kobietę jako pośrednika.

— To się jeszcze okaże... A teras posłuchajmy, co powie nam Juma.

Indianin zbliżał się powoli. Usiadł obok nas dość pewnie, gdyż wiedziały że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Czekał, aż pierwsi doń przemówimy.

Winnetou był zbyt dumny, by rozpocząć rozmowę, a i ja także nie zamierzałem ułatwiać posłańcowi zadania Emery z ogromnej ciekawości już otworzył usta, by zapytać, ale na mój znak natychmiast je zamknął. Wobec tego Juma był zmuszony zacząć:

— Moi bracia nie myśleli zapewne, że szybko powrócę?

— Nie myśleliśmy o tobie wcale — odparł Winnetou. — Czy wrócisz, czy nie, to była dla was rzecz ważna, dla nas natomiast zupełnie obojętna.

— Dokonałem powierzonego mi przez was poselstwa.

Oczekiwał jakichś zapytań, a ponieważ milczeliśmy, więc kontynuował:

— Oznajmiłem wasze żądania obu mężom, którzy mieszkają u białej squaw.

— Dlaczego nie wojownikom Jumów? — wyrwał się Anglik.

— Im również. Wszyscy słyszeli. Ojciec białego, który ma zostać mężem białej squaw, posłał mnie do was z odpowiedzią.

— Która brzmi?

— Biała squaw przyjdzie się z wami porozumieć.

Drobny uśmiech zwycięstwa przebiegł po twarzy Winnetou. Emery zaś rzucił gniewnie:

— Biała squaw? Czy myślisz, że zwykliśmy pertraktować z kobietami?

— Białą, który mnie przysłał, był zdania, że chętnie z nią pomówicie.

— Dlaczego sam nie przybył?

— Bo nie miał czasu.

— Mógł przysłać syna!

— Ten także nie przedzie, a to z obawy, że go zatrzymacie.

Emery'ego ponosił gniew, natomiast Winnetou rzekł spokojnie:

— Wódz Apaczów nie ma w zwyczaju układać się z kobietami, ale aby wojownicy Jumów przekonali się o naszym przyjaznym do nich stosunku, godzi się na przyście białej squaw. Wróć zatem do puebla i powiedz, że czekamy.

Juma odszedł; oczekiwaliśmy z niecierpliwością przybycia Judyty, która nie bacząc na to, co się wcześniej zdarzyło, miała czelność osobiście z nami pertraktować.

— A więc — rzekł Apacz do Emery'ego — biały brat się przekonał, że nieraz nieprawdopodobne staje się prawdopodobne.

— Tu właśnie zaszedł taki przypadek! Ale jak ona śmie do nas przychodzić, nie mieści mi się to w głowie! Jestem ciekaw, co nam oznajmi.

— To, co wam mówiłem. Winnetou nie powie jej ani słowa, niech moi bracia sami z nią rozmawiają.

— Ja nie! Obawiam się, że wszystko bym popsuł — rzekł szybko Emery. — Charley, czy podejmiesz się tego?

— Z niechęcią, ale cóż, muszę! Proszę cię jednak, nie przerywaj mi.

Zapewne w pueblu byli przekonani, że zgadzamy się na ich propozycję, gdyż niedługo wypadło nam czekać na pojawienie się Judyty. Przyszła w towarzystwie młodej Indianki, która niosła lekkie krzeselko, splecione z trzcinki i sitowia.

Judyta nosiła wytworny strój, niespotykany tu na pustkowiu, na granicy między Nowym Meksykiem a Arizoną. Skoro się do nas zbliżyła, przybrała zwycięski uśmiech. Skinęła nam głową. Dała znać Indiance, aby postawiła krzesło na wprost nas, następnie usiadła i rzekła swobodnie, wręcz kokieteryjnie:

— Jestem ucieszona, seniores, że was znowu widzę. Daleka jazda nie przyniosła uszczerbku waszemu zdrowiu. Nie wątpię, że wpłynie to dodatnio na załatwienie naszej sprawy.

Nie wstaliśmy na jej przywitanie, a nawet nie odpowiedzieliśmy na jej ukłon. Również moja twarz nie była odzwierciedleniem uprzejmości, kiedy odpowiedziałem:

— Żadnych pogawędek, seniora! Trzymajmy się ściśle sprawy, która nas skłoniła do spotkania. Mieszka pani teraz z tak zwanym Smallem Hunterem i jego ojcem?

— Tak.

— Nie wiedziała pani jeszcze w Nowym Orleanie, że ten człowiek jest jego ojcem. Kiedy się pani o tym dowiedziała?

— Tu, kiedy przyjechał. Mówiąc to nie zarumieniła się nawet ani nie zbladła. Kontynuowała ze śmiechem:

— Powiedziano mi, że nie powinnam się niczego wstydzić ani też lękać. Nie jesteście dla nas niebezpieczni. Dlatego bez obawy mogę panu oświadczyć, że znam nazwisko swojego narzeczonego.

— Jonatan Melton, a jego ojciec nazywa się Tomasz Melton, nieprawdaż?

— Istotnie.

— A stryj?

— Harry Melton.

— Czy wie pani, gdzie przebywa teraz Harry Melton?

— Wie pan o tym o wiele lepiej niż ja. Wszak to pan go zabił.

— Kto to pani powiedział?

— Jego brat. Człowiek tak porywczy, jak pan, może się wszystkiego dopuścić, nawet morderstwa dla rabunku.

— Pani wie doskonale, że Tomasz Melton jest kłamcą i oszustem. I jego syn Jonatan również.

— Oszustem? Jedni tak to nazywają, inni inaczej. Jonatan jest rzutki, sprytny i bogaty.

— Pojmuję, zrujnowała się pani. Nie posiada obecnie seniora więcej ponad tę kamienną i glinianą rudę, którą przesadnie nazywa zamkiem, a którą każdy Indianin może ci odebrać. Wobec tego jest pani bardzo zadowolona, że Jonatan objął spadek, który będziecie mogli roztrwonić. Czy mam słuszność?

— Dlaczego nie miałabym przyznać panu słuszności? Ale samą słusznością niedaleko zajdziemy.

— Niech pani zrozumie, że stanie się współwinną przestępstwa!

— Co to znaczy wina, senior? Winą jest wszystko, co obciąża sumienie, a moje sumienie jest czyste.

— Nie zazdrozczę pani! Ponieważ mówi to pani z rozbijającą szczerością, więc będę również szczery. Przyszedłem, aby schwytać Jonatana.

— Wiem o tym — odpowiedziała z uśmiechem.

— A ponieważ przyznaje się pani do współwiny, więc bierze mnie wielka chętka, aby i panią pojmać.

Teraz wreszcie spuściła z tonu. Zapytała cicho i niepewnie:

— Senior, jestem parlamentariuszką. Czy może mnie pan zatrzymać?

— Mógłbym.

— Nie, to byłoby sprzeczne z prawem!

— Prawa narodów... tam gdzie idzie o tak straszliwe zbrodnie!?! Czy przyrzekłem, że pozwolę pani wrócić do puebla?

— Nie, ale to się samo przez się rozumie.

— Nie jest to tak zrozumiałe, jak się pani wydaje. Lecz proszę się uspokoić. Ani mi nawet przez myśl nie przeszło, aby panią zatrzymać. Może seniora bez przeszkód wracać.

— Skoro tak, powiem prawdę. Przyszłam tu tylko po to, aby sprawić sobie przyjemność i oznajmić wam, żeście się na próżno fatygowali. Nie uprowadzicie stąd nikogo, nie dostaniecie ani grosza z tych pieniędzy, które chętnie zagarnęlibyście. Czy jesteście aż tak zaślepieni, że marzy wam się opanowanie puebla?

— A jeśli jednak uda nam się przedostać do kotliny?

— Wiem wprawdzie od dawna, że umie się pan niepostrzeżenie, niczym wąż, prześlizgnąć, ale nie w tej miejscowości. Musiałby pan przefrunąć ponad głowami naszych strażników.

— Istnieją chwytaki i wybiegi, które mogą usunąć z drogi więcej niż dziesięciu wartowników. Zaręczam słowem, że jeśli zechcę, potrafię z całą pewnością wdrzeć się do kotliny.

— Tak, można panu przyznać znajomość forteli i wybiegów! Dobrze że pan o nich uprzedza. Zarządzi się odpowiednie środki ostrożności. Ale z kotliny daleko jeszcze do puebla.

— Wejdziemy i do puebla.

— Nawet gdyby pan wdarł się do puebla, nie znaczyłoby to jeszcze, że ma kogokolwiek w ręku. Jesteśmy uzbrojeni i naprawdę nie będziemy pana oszczędzać. Pożegnaj się więc senior z myślą o zagarnięciu pieniędzy.

— Wręcz przeciwnie. Jestem przekonany, że je odzyskam.

— Ani złamanego szeląga! Chociaż możemy panu wynagrodzić przebyte trudy.

— Doprawdy? — zapytałem z nie ukrywaną ciekawością.

— Wie pan, gdzie przebywa obecnie Vogel?

— Tak.

— Jest to kolejny dowód, że pański sławny rozsądek szwankuje. Jakiż to przezorny westman zabiera z sobą tak niedoświadczonego chłopca? Co nam przeszkodzi unieszkodliwić go raz na zawsze?

— Nic na tym nie zyskacie.

— Nic? Naprawdę nic?

— Śmierć jednego spadkobiercy, których zresztą jest wielu, nie da wam jeszcze praw do majątku. Przepiękstwo pozostaje przepiękstwem. Nie ośmieli się pani zabić tego młodzieńca.

— Ja? Mnie tam wszystko jedno, czy umrze, czy zostanie przy życiu. Ale Jonatan i jego ojciec na pewno zabiją Vogla, jeśli wrócę, nic nie wskórawszy.

— A zatem ma pani poczynić pewne propozycje, postawić nam jakiej warunki?

— Tak. Jesteśmy gotowi przyznać wam pewne korzyści...

— I zażądać w zamian większych?

— Bynajmniej! Niech pan posłucha co zaproponuję. Dostaniecie z powrotem konie, a także tego młodzieńca o nazwisku Vogel, który twierdzi, że jest spokrewniony z Hunterem...

— Wspaniale!

— Vogel dostanie sto tysięcy dolarów w papierach wartościowych, w pan dziesięć tysięcy w banknotach.

— Ja?

— Tak. Niech się pan zastanowi. Wszak zabijając stryja Meltona, odebrał mu pan jego pieniądze. Zbił pan fortunę, jak się patrzy!

— Słusznie, seniora.

— Nie żądamy w zamian nic więcej prócz...

Umilkła, spoglądając na mnie badawczo.

— No więc, prócz...? — zapytałem.

— Prócz tego, że zapomni pan o Jonatanie i jego ojcu, że nigdy nikomu nie będzie pan o tej sprawie wspominał...

— Naturalnie, naturalnie!

— I że Vogel i jego krewni zadowolą się sumą stu tysięcy. I będą tak samo milczeć, jak pan.

— Co za skromność, co za wielka wspaniałomyślność.

— Prawda? Tyle gotówki za milczenie. Czy można żądać więcej?

— Nie. W żadnym wypadku nie należy.

— A zatem godzi się pan?

— Tak.

— To mnie cieszy! Naprawdę nie wierzyłam, aby był pan gotów zaakceptować zaproponowane warunki. Jeśli wszyscy trzej się zgadzacie, to...

— Zgadzamy się... — przerwałem — całkowicie się zgadzamy! Ale nie dowiedziała się pani pod jakim względem.

— Więc pod jakim?

— Zgadzamy się ze zdaniem, że Meltonowie są największymi łotrami pod słońcem.

— To nie ma nic do rzeczy!

— Czy również nie ma nic do rzeczy druga prawda, co do której się zgadzamy, a mianowicie, że jest pani taką samą oszustką, jak obaj Meltonowie razem wzięci?

— Senior, po co te obraźliwe słowa? Czy chce pan zniweczyć naszą piękną ugodę?

Mogła się istotnie łudzić, że godzę się na jej warunki, gdyż mówiłem z takim spokojem, z taką obojętnością, na jaką tylko mimo oburzenia mogłem się zdobyć. Teraz dopiero połapała się, że przemawia przede mną ironia i gniew. Udając wściekłość wstała, jak gdyby chciała odejść. Podniosłem się również i rzekłem:

— Nasza ugoda? Czy istotnie mogła pani przypuszczać, że przystanę na jej szaleńcze żądania?

— Nazywa je pan szaleńczymi? — zawołała. — Niech się pan dobrze zastanowi nad moją propozycją!

— Po cóż mam się zastanawiać? Vogel bezwarunkowo musi dostać wszystko, wszystko, oczywiście oprócz tego, co do chwili terażniejszej zostało roztrwonione.

— To właśnie przez pana przemawia szaleństwo! A więc zgoda?

— Nie!

— W takim razie nie odzyska pan koni!

— Odbiorę je siłą.

— To Vogel umrze!

— Jeśli mu włos spadnie z głowy, przypłaci to pani swoim życiem, Judyto! Niech pani to sobie rozważy. Mówię całkiem serio.

— Ciekawe, kiedy i w jaki sposób pan dokona?

— Dowie się pani niedługo! Sądziłem, że ma pani dostateczne powody, aby nie być taką zadufaną w sobie. Wszak poznała już pani Old Shatterhanda i Winnetou.

— Ale teraz z kolei pan nas pozna. A zatem pytam po raz ostatni, czy przyjmuje pan moje warunki?

— Nie, w ogóle nie ma o czym mówić.

— A więc skończyliśmy rozmowę?

— W tej chwili tak, ale nie na długo. Sądzę raczej, że dopiero teraz zadzierzną się między nami nowe i wspaniałe stosunki.

— Niech pan sobie żartuje... Żal mi pana!

Indiance, która stała opodal, skinieniem ręki rozkazała zabrać krzeselko i odeszła do wąwozu. Ale nagle przystanąła, przez chwilę spoglądała w dół, jak gdyby coś rozważając, po czym wróciła i rzekła:

— Senior, mimo wszystko chcę pana jeszcze raz ostrzec. Czy istotnie pan przypuszcza, że dostanie się do naszego skalnego domu?

— Tak.

— A ja wam mówię, że będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi!

— To mnie nie obchodzi. Miałem w życiu innych, groźniejszych przeciwników niż Meltonowie. A pani w ogóle nie biorę pod uwagę.

Zamierzała już odejść, lecz jednak rozmyśliła się i dodała:

— Sądziliśmy, że przyjmie pan nasze propozycje i...

— Gdybym je przyjął, postąpiłbym dokładnie tak, jak Meltonowie — przerwałem jej.

Nie zwracając uwagi na moje słowa, Judyta kontynuowała:

— A jednak pomyśleliśmy o tym, że może pan mieć wewnętrzne opory. W tym wypadku postanowiliśmy zostawić panu czas do namysłu, do jutra w południe.

— Bardzo to uprzejme z waszej strony — odparłem. — Ale zbytek łaski!

Udała, że nie słyszała, i mówiła dalej:

— Wrócę tutaj jutro w południe. Czy będziecie na tym samym miejscu?

— Owszem, o ile nie zobaczymy się wcześniej.

— Mam nadzieję, że nie! — roześmiała się. — A zatem jutro w południe. Żegnam pana, bohaterze i zbawco bezinteresowny!

— Nie tak prędko, nie tak prędko, seniora! Pójdziemy razem kawałek drogi.

— Po co? — zapytała zdumiona.

— Gdyż jako caballeros wiemy, przystoi zachowywać się wobec kobiety. Odprowadzimy panią do puebla.

— Zastrzelą was tam!

— Najwyżej panią.

— Nie, nie... panów! Niech pan zostanie! Zostańcie tutaj!

— Phi! Proszę się o nas nie obawiać, skoro my się nie obawiamy.

— Cóż, jeśli pragniecie śmierci... zatem róbcie, co wam się podoba!

Weszła ze swą Indianką do wąwozu, a ja kroczyłem tuż za nią. Za mną szedł Winnetou i Emery, którzy nie przejrzeni jeszcze moich zamiarów.

Przybywszy do rzeki Judyta skręciła na lewo do wąskiego kanionu, W pewnym momencie zatrzymała się i rzekła podniesionym głosem:

— Można pomyśleć, że pójdziecie dalej!

— Naturalnie! — odpowiedziałem poważnie.

— Ale mówiłam już panu, że Indianie, którzy czuwają nade mną, będą was z góry ostrzeliwać!

— Moja droga, niechże się pani o nas nie troszczy. Wszak widzi pani, że idziemy tuż za nią. Jeśli ktoś zechce w nas strzelić, w panią także może ugodzić. Jesteś więc naszą tarczą.

Złękła się poważnie.

— Idź pan, idźcie z powrotem! — zawołała. — Bo nie postąpię ani kroku naprzód.

— Nie? Pozwoli pani ze sobą pomówić. Meltonowie popełnili spore głupstwo, że posłali panią do nas. Jesteśmy dosyć przyzwoici, aby pozwolić seniorze odejść samej, a nawet zmusimy panią do powrotu, ale będziemy jej towarzyszyć.

— Nie, nie, zostańcie tutaj! — krzyknęła ponownie.

— Ani nam się śni! Musimy panią odprowadzić, to dla nas sprawa honoru. Wyśmiewała się pani ze mnie, gdy powiedziałem, że będzie nam bardzo łatwo przejść przez ten wąski korytarz, Muszę więc pani dowieść, że czyniła to niesłusznie. Dziś także przekona się seniora, że Old Shatterhand i Winnetou wiedzą, jak się zabierać do rzeczy. A zatem proszę, niech pani idzie dalej!

— Nidzie nie pójdę!

— Zmuszę panią. Niech się seniora nie gniewa, jeśli jej piękna łabędzia szyja dozna dotyku mojej ręki.

— Nie waż się, bezwstydniku!

— Naprzód, Judyto!

Ująłem ją za kark; rzuciła się na ziemię i krzyknęła:

— Nie rusz się stąd, nawet jeśli zechce mnie pan zabić!

— Nawet jeśli zabiję? Figlarka z pani. Nie zabiję cię, a jednak pójdziesz. A zatem w drogę!

Schwyciłem ją za ramię i ścisnąłem tak, że podniosła się natychmiast. Poszła naprzód. Lecz gdy tylko przestała odczuwać ból, zatrzymała się znowu. Ponowiłem uścisk, po którym ruszyła, i to szybko. Winnetou i Emery szli tuż za nami. Jeden trzymał w pogotowiu strzelbę z prawej strony nade mną, drugi z lewej. Dzięki temu w razie ataku wrogów mogli strzelać swobodnie, podczas gdy każdy strzał przeciwników musiałby ugodzić Judytę.

To postępowanie wobec Judyty nie sprawiało mi przyjemności. Jakkolwiek sumienie miała nieczyste, zawsze to była kobieta; ale ważyło się tu zarówno życie i wolność Franciszka, jak i powodzenie całego naszego planu.

W kanionie było coraz ciasniej, niebawem zobaczyliśmy Indian, ukrytych za krzewem, koło skały. Oni nas również ujrzeni. Młoda Indianka z krzesłem wyprzedziła nas i zawiadomiła o zdarzeniu. Nie mogli strzelać, więc pozwolili, abyśmy podeszli blisko. Wyciągnąłem rewolwer i popychając przed sobą Judytę, oddałem w powietrze kilka strzałów dla przestraszenia Jumów. Pierzchnęli czym prędzej. Odpędzaliśmy ich w ten sposób, aż wreszcie, jeden po drugim, wszyscy zniknęli nam z oczu. Schronili się do szczeliny, która z kanionu Flujo Blanco wiodła do kotliny puebla.

Dotarliśmy wreszcie do jej wylotu.

— Tu chciano na nas napaść? — zapytałem Judytę. — Połowa Jumów oczekiwała w tym przejściu, a druga połowa, ukryta nad strumykiem, miała na nas uderzyć z tyłu.

— Jest pan diabłem, istnym diabłem! — syknęła wściekle.

— Nie przeczę, seniora. Przyznaję również, że z prawdziwą przyjemnością pošlę kulę każdemu, kto zechce tędy opuścić pueblo. Tam w kotlinie skupili się wszyscy wasi. Jesteście uwięzieni. Teraz my usiądziemy u wylotu tego korytarza i nie wypuścimy nikogo. Jest nas tylko trzech, ale warto wziąć pod uwagę, że poza strzelbami mamy jeszcze dość rewolwerów a ja mam ponadto swój sztucer, o którym stary Melton opowie pani wiele ciekawych rzeczy. Rozporządzamy co najmniej sześćdziesięcioma strzałami bez ładowania. Uprzytomnij to swoim ludziom. Powiedz im także, że nie oszczędzę nikogo, jeśli jeńcowi włos spadnie z głowy. A nie zapomnij dodać, że mamy wyśmienity słuch. Ktokolwiek zechce się wykraść, usłyszymy go z daleka i nie minie go śmiercionośny nabój, A teraz wróć do swoich! Nam, seniora, nie jesteś już potrzebna. Ale ponieważ umówiłaś się z nami na jutro w południe, więc posiedzimy tutaj do tego czasu. Jeśli będziesz nam miała coś do powiedzenia, owszem, jestem gotów cię wysłuchać. „Wielki bohater i zbawca bezinteresowny” żegna panią!

Puściłem jej ramię. W okamgnieniu znikła w szczelinie. Usiedliśmy, trzymając broń w pogotowiu. Nie było tutaj już tak jasno, jak w kanionie. Słońce chyliło się ku horyzontowi.

— Do stu piorunów, Charley, co za świetny pomysł! — szepnął Emery. — Któż by przypuszczał, że w biały dzień dotrzemy aż tutaj!

— Ten pomysł sam się nasunął. Gdybym go nie wykorzystał, słusznie mógłbym uchodzić za idiotę.

— Aczkolwiek tak mówisz, nie sędzę, abym ja wpadł na to. Teraz wygraliśmy. Pueblo jest nasze!

— Jeszcze daleko nam do tego. Ale przypuszczam, że Meltonowie będą chcieli uciec.

— Wówczas znowu musielibyśmy ich ścigać, kto wie jak daleko.

— Właśnie to sobie pomyślałem. Zrozumiałem, że trzeba im odciąć drogę. A jest tylko ta jedna, gdzie teraz siedzimy. Meltonowie wiedzą, że tu czuwamy i że zastrzelimy każdego, kto ośmieli się stąd wyjść, będą się zatem obawiali opuścić pueblo. A więc trzymamy ich w garści.

— Gdyby to tylko było pewne! Możliwe przecież, że wszyscy razem wypadną z puebla.

— Wszyscy razem? Nie, to niemożliwe, albowiem tylko jeden człowiek zmieści się w tym wąskim przejściu. Dla dwóch nie ma tam miejsca. Jeśli zaś pójda gęsiego, to schwyjemy ich wszystkich po kolei. Wystarczy jeden z nas, aby strzec wylotu.

— Hm, masz rację. Łajdaki tkwią we własnym potrzasku. Ale nie możemy przecież wiecznie tu siedzieć, musimy wejść do kotliny.

— Naturalnie. Skoro tylko się ściemni, wynikniemy się stąd. Niestety nie mamy koni. Będziemy musieli odbyć pieszo drogę do krawędzi skały.

— Lecz wtedy droga przez wylot stanie otworem!

— Tak, ale oni o tym nie będą wiedzieć. Myślą, że nie odejdziemy stąd i nie odważą się wejść do wąwozu.

— Kiedy jednak będziemy spuszczać się z góry, zobaczą nas i uciekną tędy.

— Być może, ale temu nie można zapobiec.

— Myślę, że chyba można. Jedna z nas musi tu pozostać.

— Hm! Co myśli o tym Winnetou.

— Nasz brat Emery ma słuszość: odpowiedział milcząco do tej pory Apacz. — Niech on tu zostanie, ze swoją dwururką i dwoma rewolwerami powstrzyma każdego, kto chciałby tędy się przekraść.

— Tak — potwierdził Anglik. Nie jestem zbyt wytrawnym gimnastykiem ani turystą i mógłbym nie poradzić sobie z lassem. Tu jednak nic innego mi nie pozostaje, jak dać po nosie każdemu, kto ośmieli się go wysunąć.

— Ale czy poradzimy sobie we dwóch w pueblu? — zapytał Winnetou.

— Tak.

— Zdołamy schwytać obu Meltonów?

— Ja jednego, ty drugiego.

— I przełamać opór Jumów, którzy nam staną na drodze?

— Nie staną. Nie będzie ich wcale w pueblu. Na pewno leżą u wylotu szczeliny. Jak my tu czuwamy, aby nie uciekli, tak samo oni tam czuwają, abyśmy nie wtargnęli głębiej.

— Zgoda. Ale jest to pewne ryzyko tylko we dwóch opuścić się z tak wysokiej skały do kotliny pełnej wroga. Najmniejsza kula może dosięgnąć śmiałka.

— Jumowie wcale nie będą strzelać. Przecież nie siedzą w pueblu, tylko u wylotu kotliny. W budowlu zostali jedynie obaj Meltonowie i Judyta. Poradzimy sobie z tą trójką, nie alarmując Jumów. Potem zaś nikt nie targnie się na nas, gdyż Meltonowie jak uprzednio Judyta będą nam służyć za tarczę. Mój brat Szarlieh ma zbyt bujną wyobraźnię.

Podobnych słów nie słyszałem jeszcze nigdy z ust Apacza. Wiedziałem, że nie wątpi o mojej odwadze, a jednak odczuwałem coś w rodzaju wstydu. Nasza nocna wycieczka zdawała

mi się zuchwalsza niż jemu. Pueblo było bowiem budowlą pełną zasadzek i pułapek. Do mieszkań prowadziły jedynie otwory w dachach. Zanim by się oparto stopę na podłodze, można już było dostać z dziesięć kul albo otrzymać dźgnięcie nożem. A wcześniej jeszcze zostać złapanym na lasso.

Skoro wyjaśniłem Apaczowi swoje obawy, uśmiechnął się i rzekł:

— Mój brat ma wielkie wyobrażenie o mężczyznach, którzy znajdują się w pueblo. Jumowie strzegą wylotu szczeliny. Czy będą tam czuwać po ciemku?

— Nie. Na pewno rozniecą ogień.

Muszą w każdej chwili spodziewać się naszego podejścia. W ciemności mogłoby się nam to udać, ale nie przy blasku ogniska.

— Będą zatem siedzieć przy ogniu, którego jasność tak Jumów oślepi, że nie zobaczą, co dzieje się na górze, na ciemnej skale. Nie spostrzegą nas na pewno.

— Ale co będzie, jeśli Meltonowie, a może też i Judyta, siedzą w ciemnościach na górnej platformie? Stamtąd łatwo nas zauważą.

— Mój brat niech nie zapomina, że oni przypuszczają, iż czuwamy tutaj na dole. Skupią zatem całą swoją uwagę na wejściu.

Musiałem mu przyznać rację, co i mnie samego nieco uspokoiło. Lecz mimo tego męczyły mnie jednak nadal wątpliwości, wiedziałem bowiem, że ostateczne rozstrzygnięcie nastąpi jeszcze dzisiaj. Gdyby się nam dzisiaj nie powiodło, należałoby przypuszczać, że Meltonowie umkną nam na zawsze.

Emery podniósł się i oddalił, aby poszukać suchego drzewa na ognisko. Pomogłem mu. Ognisko mogło się przydać z dwóch względów. Po pierwsze, oświetliłoby okolicę, a po drugie, gdyby było rozpalone nie u wylotu szczeliny, lecz w jej gardzieli, stałoby się poważną przeszkodą dla każdego, kto chciałby się z niej wydostać.

O zmroku dotarły do nas z głębi kotliny lekkie obłoki dymu. A zatem Jumowie rozniecili ogień. My również ułożyliśmy drwa i podpaliliśmy je.

Emery poszukał odpowiedniego miejsca w zaroślach i ukrył się w mroku, na wprost ogniska. Wskutek tego mógł doskonale obserwować wąwóz. Ja z Winnetou przygotowaliśmy się do drogi. Wziąłem od Anglika lasso, bo było nam potrzebne.

— Masz — rzekł dając mi je. — Myślę, że się nie zerwie. Kiedy będziecie na górze?

— Najwcześniej za pięć kwadransów, musimy bowiem pójść tam pieszo.

— Czy nie moglibyście dać mi jakiś znak, skoro zejdziecie już na dół?

— Nie. Znak mógłby nas zdradzić.

— Ale chciałbym wam pomóc, gdyby doszło do walki.

— Mam nadzieję, że nie będzie nam potrzebna twoja pomoc.

— A gdyby jednak?

— W takim razie posłuchaj uważnie. Jeśli usłyszysz zwykłe strzały lub inny hałas, to zostań na posterunku i nie wypuszczaj nikogo. Ale gdy usłyszysz głośny i głęboki huk mojej niedźwiedziówki, który na pewno do ciebie dotrze, to będzie oznaczać, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wówczas poprzez ognisko wpadniesz do kotliny. Skoro tylko cię zobaczę, zawołam, co masz czynić.

— Dobrze, niech tak będzie. Sądzę, że nie będziemy potem musieli leczyć żadnych ran. Dziś wreszcie trzymamy w potrzasku tych dwóch szubrawców i nie sądzą, żeby nam stąd drapnęli.

Podzielałem jego zdanie. Podałem mu dłoń i odszedłem wraz z Apaczem.

Teraz w kanionie było tak ciemno, że zwykły śmiertelnik nie zobaczyłby ręki przed oczami. Ale my źrenice mieliśmy wyćwiczone i jako tako posuwaliśmy się naprzód. Gdy tylko wyszliśmy z doliny i wąwozu, rozjaśniło się znacznie, gdyż gwiazdy świeciły jasno.

Minęła przeszło godzina, zanim dotarliśmy do płaskowzgórza. Winnetou zaprowadził mnie do drzewa, do którego mieliśmy zamiar przymocować lasso.

Na dole, u wejścia do szczeliny, płonęło wielkie ognisko, a reszta przestrzeni tonęła w mroku. Panowała głęboka cisza. Żaden dźwięk nie dochodził do naszych uszu, jakkolwiek w dole Jumowie mogli rozmawiać z sobą a stojące konie parskać.

— Czy mój brat sądzi, że powinni my już teraz zejść? — zapytał Winnetou.

— Tak.

— Ale Jumowie są jeszcze zbyt czujni. Lepiej trochę poczekajmy.

— Jak mój brat sobie życzy.

Położyliśmy się, uprzednio związawszy mocno z sobą trzy lassa. Po godzinie zabraliśmy się do dzieła. I tu nastąpiła mała sprzeczka, albowiem każdy z nas chciał pierwszy zajrzeć niebezpieczeństwu w oczy. Wreszcie przewagę uzyskał Winnetou.

— Pierwszy nie może schodzić rzekł — lecz musi być spuszczony. A ponieważ jesteś silniejszy ode mnie, więc zostaniesz na górze. Zejdiesz dopiero po mnie.

Przywiązaliśmy do drzewa koniec lassa, drugim końcem Winnetou przepasał się przez piersi, plecy i pod ramiona, zawiesił swoją strzelbę i ukląkł nad brzegiem przepaści. Wziąłem linę w ręce, mocno wsparłem nogi w ziemię i zacząłem powoli przesuwając lasso w dłoniach. Dzięki temu, że zsuwało się po kancie skały, miałem zadanie ułatwione, nie wymagające szczególnego wysiłku. Jeszcze nie wyszła cała lina, gdy zorientowałem się, że Winnetou jest u celu. Apacz mocno ściągnął lasso, aby rozkołysało się pode mną. Czekala mnie trudniejsza przeprawa. Stosunkowo łatwo jest bowiem opuścić się na mocnej linie długości czterdziestu łokci, ale o wiele trudniej jest zejść po cienkim lassic. Zsuwałem się powoli. Czułem, jak pieką moje dłonie z powodu lekko zdartego naskórka i zbytniego wysiłku. Wreszcie stanąłem u boku Winnetou.

Byliśmy więc na górnej platformie puebla. W pobliżu sterczała drabina, a o kilka kroków dalej był otwór: zejście na niższe piętra.

— Czy nie zauważyłeś czegoś podejrzanego? — zapytałem szeptem Apacza.

— Nie.

— Być może, ktoś jest pod nami. Warto posłuchać.

— Nie trzeba. Nie ma tam nikogo, w przeciwnym bowiem razie drabina stałaby wewnątrz przy otworze.

— Masz rację.

Zeszliśmy piętro niżej. Miejsce to sprawiało wrażenie opuszczonego. Wiedzieliśmy, że wojownicy siedzą u wejścia do kotliny. Naraz rozległ się krzyk dziecka.

— Cóż to takiego? — szepnął Winnetou. — A zatem są tam ludzie!

— Cicho! — ostrzegłem. — Myśleliśmy o wojownikach, a więc o mężczyznach, zapominając całkiem o kobietach i dzieciach.

— Jumowie, schodząc na dół, wyjęli drabiny z otworów. Nikt nie może więc wyjść z wnętrza, dopóki nie wrócą wojownicy i nie ustawią drabin z powrotem.

Przekradaliśmy się cichaczem z jednego tarasu na drugi, aż doszliśmy do czwartego gdzie, ku naszemu zdziwieniu, drabina nie była przystawiona do ściany, lecz tkwiła w otworze.

— To niebezpieczne! — szepnął Apacz. — W każdej chwili może ktoś wejść na górę i zobaczyć nas. Musimy stąd odejść.

— Z powrotem na górę?

— Nie. Na niższą platformę.

— Ale w jaki sposób?

— Pomożemy sobie wzajemnie. Chodź!

Piętra nie były wyższe ponad cztery łokcie, mogliśmy więc zejść bez używania drabiny. Ale nie mogliśmy skakać, aby nie spowodować hałasu. Ponieważ byłem silniejszy, zaproponowałem, żeby Winnetou uchwyciwszy mnie za nadgarstki, spuścił się pierwszy na dół. Następnie ja trzymając się rękami krawędzi, miałem oprzeć nogi na ramionach Apacza, a potem zsunąć się po nim. Nie zdążyliśmy jednak wykonać naszego zamiaru, gdyż w pewnym

momencie usłyszeliśmy hałas. Ktoś wchodził po drabinie. Razem z Winnetou odskoczyliśmy w najciemniejsze miejsce i przywarliśmy do skały. W otworze ukazała się głowa... Tomasa Meltona. Rozejrzał się, przez chwilę jak gdyby zawahał się, czy wyjść, czy pozostać. W końcu jednak nie wszedł na platformę. Powrócił na dół.

Przez moment zastanawialiśmy się, co zrobić. Wreszcie postanowiliśmy zejść za Meltonem i schwytać go przez zaskoczenie. Nasłuchiwalimy, czy nie słychać jakichś rozmów bądź innych odgłosów. Ale wokół panowała cisza.

Winnetou bezszelestnie zszedł po drabinie na dół, ja za nim, jak tylko można było najciszej.

W pierwszym pomieszczeniu nie było nikogo, w drugim za kotarą, odwrócony do nas plecami, siedział przy stole Melton i coś przeglądał. Błyskawicznie wpadłem do wewnątrz i zadałem mu ogłuszający cios. Straciwszy przytomność, zwałił się na podłogę.

Podniósłszy Meltona z ziemi, położyliśmy go na stole. Skrępowawszy mu ręce i nogi, mocno przywiązaliśmy rzemieniami do stołu.

Przeszukaliśmy pokój, ale nigdzie nie znaleźliśmy pieniędzy. Wiedzieliśmy, że musiał je gdzieś ukryć. Ponieważ zależało nam na pośpiechu, odzyskanie gotówki odłożyliśmy na później. Zgasiwszy lampę, po cichu opuściliśmy pomieszczenie.

Przystawiliśmy drabinę i wszedłszy na platformę, wyciągnęliśmy ją na górę, aby zejść po niej na niższe piętro. Musieliśmy dowiedzieć się, gdzie mieszkał Jonatan Melton. Po rozejrzeniu się zobaczyliśmy piętro niżej otwór. Ponieważ nie był zakryty, więc biło z niego mocne światło. Zeszliśmy ostrożnie na dół, podkradliśmy się do otworu i zaczęliśmy podsłuchiwać. Rozmawiały dwie osoby. Dobiegał do nas głos męski i kobiecy; poznałem Jonatana i Judytę. Drabina prowadziła do wnętrza. Otwór był tu dwukrotnie większy niż poprzedni, toteż nachyliwszy się, zobaczyliśmy pod sobą większą przestrzeń. Jonatan i Judyta siedzieli obok siebie na ławce. Dosłyszałem właśnie, jak Judyta mówiła: A więc uważasz, że ci trzej mężczyźni zatrzymają się przed wejściem?

— Tak — odpowiedział — aby nas strzec.

— I nie ma sposobu, aby ich odpędzić?

— Nie. Niestety, z kotliny prowadzi tylko jedna droga. Gdyby nawet było nas tutaj stu czy więcej mężczyzn, nie poprawiłoby to naszej sytuacji, albowiem przejście przez ten wąski korytarz dostępne jest tylko dla jednej osoby. Pierwsi odważni padną od strzałów i swoimi ciałami zatarasują drogę. Jedyna pociecha w tym, że mamy dosyć żywności, wystarczy jej na długie miesiące, a wody nawet na całą wieczność. Do tego czasu, być może, te łobuzy stracą cierpliwość.

— Tak długo nie będziemy chyba musieli czekać. Chodź, ukochany, chcę ci coś pokazać!

— Co takiego?

— Zobaczysz. Zejdziemy na dół. Zejdą na dół. A więc najprawdopodobniej wejdą na górę po drabinie. Szybko cofnęliśmy się od otworu i położyliśmy w najdalszym kącie tarasu. Ale czekaliśmy na próżno — nie przyszli. Stąd też wynikało, że z pierwszego piętra można zejść na dół bezpośrednio. Dopełzliśmy do krawędzi platformy, skąd ostrożnie spojrzeliśmy na dolny taras. Nie było tam widać nic szczególnego. Chętnie byśmy się dowiedzieli, co Judyta chciała pokazać swemu Jonatanowi. W każdym razie myślała z pewnością o ucieczce. Dopiero po dłuższym czasie odważyliśmy się zbliżyć ponownie do otworu. Oboje wrócili już i kontynuowali rozmowę. Pochyliłem głowę jak najniżej, aby lepiej słyszeć, lecz nagle Winnetou schwytał mnie za ramię i szepnął:

— Musimy odejść stąd natychmiast! Szybko, słyszę wyraźnie, że na górze ktoś nadchodzi!

Leżeliśmy na drugim, licząc od dołu, tarasie, a więc na tak nieznaczącej odległości od ziemi, że gdybyśmy się wyprostowali, oświetliłby nas blask ogniska. Musieliśmy odsunąć się od otworu na czworakach. Nie słyszałem żadnego szmeru, ale mogłem polegać na słuchu

Apacza. W pewnej odległości od otworu zatrzymaliśmy się i nadśluchiwalismy. Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza.

— Co za szmer usłyszał mój brat? — szepnąłem wprost do ucha Winnetou.

— Kroki i odgłos rozmowy w pobliżu nas.

— Ale nikt nie nadchodzi! Musiało to być na którejś z najwyższych położonych platform.

— Nie. To było tuż za nami. Wiem dokładnie, że... — przerwał i zaczął nadśluchiwać. Po chwili rzekł szeptem:

— Schodzą na dół. Śpieszmy na drugą stronę!

Szybko dotarliśmy do lewego końca platformy i przyłgnęliśmy do muru. Prawie równocześnie ujrzelismy dwóch Indian. Nie skradali się, tylko szli normalnie, więc przy świetle ogniska mogliśmy ich dokładnie obejrzeć. Zeszli po drabinie i skierowali się na lewo, ostrożnie badając teren. Ze skrupulatności poszukiwań mogliśmy wnioskować, że niebawem dotrą do naszego kąta. Zbliżali się coraz bardziej. Odległość między nami zmniejszała się z każdą sekundą. Czekaliśmy, aż podejda do nas zupełnie blisko, a wtedy skoczylibyśmy im do gardła. Lecz, niestety, przystanęli nagle i pochyliwszy się nisko wpatrywali w miejsce, gdzie byliśmy ukryci.

— Co tam leży? — zapytał jeden z nich.

— Człowiek! — odpowiedział drugi.

— Nie, to dwoje ludzi. — Kto tam? Pytanie było skierowane do nas. Nie odezwaliśmy się, pragnąc ich zwabić na jeszcze bliższą odległość.

— Czego tu chcecie? — zapytał pierwszy Indianin.

Wyciągnęli noże. Nie można było dłużej zwlekać, bo sytuacja przyjęła obrót nie tak pomyślny, jak przewidywalismy. Szybko zerwawszy się na nogi, rzuciliśmy się na wrogów. Uderzyłem jednego w ramię, tak że nóż wypadł mu z ręki, i sięgnąłem do gardła, lecz zdołał mi się wyrwać, odskoczył na kilka kroków w tył i wyciągnął przed siebie ręce, aby mnie powstrzymać. Straciłem kilka drogocennych chwil. Blask ogniska padł na mej twarzy. Czerwonoskóry poznał mnie zawołał na całe gardło:

— Na pomoc! Na górze jest Old Shatterhand!

Uderzyłem go pięścią w głowę. Upadł, pochyliłem się nad nim, przygniotłem kolanem i rękoma uchwyciłem za szyję. Nie mógł już dobyć głosu, ale teraz usłyszałem za sobą krzyki drugiego Indianina:

— Jest tu Winnetou! Na pomoc, na pomoc, na... — Nie dokończył, bo był już przy nim Apacz.

— Co z nimi zrobić? — zapytał mnie. — Nie mamy czasu ich wiązać.

— Przerzucmy ich przez krawędź, na pierwszy taras. Prędzej, prędzej!

Tam nie mogli nam już szkodzić. Czym prędzej zwróciliśmy się ku otworowi. Wystawała z niego głowa, głowa Jonatana Meltona, który stał na drabinie, badając powód alarmu. Widząc, że się do niego zbliżamy, zawołał ogromnie przerażony:

— Do stu tysięcy diabłów! Winnetou i Old Shatterhand są tutaj!

Nie słyszeliśmy nic więcej. Głowa raptownie znikła. Jonatan błyskawicznie zbiegł na dół i ściągnął drabinę, abyśmy nie mogli zejść. Nie powiodło nam się zatem zaskoczenie młodego Meltona. Jednak nie zmartwiło to zbytnio: był zamknięty w pueblu i nie mógł nam uciec.

Krzyki zaalarmowały całe pueblo. Z otworów wyłoniły się kobiety i dzieci. Nawoływały mężów i ojców. Jedni stali nieruchomi ze strachu, inni ze zdumienia, jeszcze inni podbiegli do budowli, aby wdrapać się na górę i rzucić na nas. Wówczas Winnetou zawołał swoim dobitnym głosem:

— Tak, tu stoją Old Shatterhand i Winnetou! Wojownicy Jumów niech się nie wazą wejść do nas. Skoro tylko ukażą się na drabinie ich głowy, przestrelimy je na wylot. A także niech nie usiłują uciec przez szczelinę, albowiem u jej wylotu oczekuje ich pewna śmierć. Kobiety wraz z dziećmi niech się czym prędzej schronią do swoich legowisk i niech tam cicho siedzą.

Po tych słowach zapanowało głębokie milczenie. Nie mogliśmy dojrzeć, co się działo nad nami na wyższych piętrach, ale cisza, która zaległa, świadczyła, iż kobiety posłusznie spełniły rozkaz Apacza. Podobnie mężczyźni. Prawie nikt nie ośmielił się wejść na drabinę. Winnetou krzyknął na nielicznych śmiałków:

— Natychmiast wracajcie do ogniska! Kto nie usłucha, dostanie kulą w serce!

Jumowie znali wodza Apaczów. Mieli taki respekt przed nim i przed jego srebrną strzelbą, że czym prędzej pobiegli w stronę ogniska. Kiedy już wszyscy się tam znaleźli, rzuciłem pytanie:

— Kto jest waszym przywódcą? Niech wystąpi na kilka kroków, bo Old Shatterhand chciałby z nim pomówić.

Upłynęła chwila, nim jeden z Indian ociągając się wystąpił kilka kroków naprzód i zawołał:

— Nie ma już przywódcy między nami. Każdy znaczy tyle samo, ale mimo to chcę posłuchać, co Old Shatterhand ma nam do powiedzenia.

— Przedtem jednak zatrzymaj się i zobacz, co uczynię. Spójrz na sęk drzewa, które wychyla się z ognia. Za chwilę zniknie.

Przyłożyłem niedźwiedziówkę i wycelowałem. Trudno było trafić przy niepewnym migającym świetle. A jednak bez obawy odwiódłem kurek i wypaliłem. Sęk został tak rozcięty, że ułamek poleciał ku skałom.

— Uff, uff! — rozległy się głosy zdumionych Indian.

— Widzieliście, jak pewnie trafiają nasze kule? — zawołałem. — Tak samo mogą dosięgnąć waszych serc i głów, o ile nie spełnicie naszych życzeń.

— Czego żąda od nas biały brat? — zapytał Juma.

— Bardzo niewiele. Nie przyszliśmy do was jako wrogowie, nie chcemy was zabijać ani zranić, ani tym bardziej zabrać waszej własności. Nie chcemy od was niczego, prócz dwóch białych, którzy się tutaj ukryli.

— Dlaczego chcecie ich schwytać?

— Ponieważ zbrodnie, które popełnili, wymagają kary.

— Nie możemy na to pozwolić, gdyż przyrzekliśmy, że ich nie wydamy.

— Nie żądam, aby wojownicy Jumów złamali przyrzeczenie. Co jeszcze im przyrzekliście?

— Nic więcej.

— Więc powiadam wam, że wywiążecie się z danego słowa. Albowiem nie wydacie ich nam, lecz my sami ich schwytny. A może zobowiązaliście się białych bronić, o ile uda nam się wślizgnąć tu skrycie?

— Nie, nikt nie przypuszczał, że ty... Uff, uff!

Przerwał mowę okrzykami strachu, gdyż w tej chwili zdarzyło się coś, co istotnie mogło go przerazić. Otóż Emery usłyszał mój wystrzał. Nie chciałem go właściwie przywoływać, gdyż obylibyśmy się bez jego pomocy, ale on, zgodnie z umową, wtargnął do szczeliny, jednym śmiałym susem przesadził płonące ognisko i wdarł się pomiędzy szeregi Jumów, oszołomionych nagłym zjawieniem się odważnego Anglika. Spojrzał w górę i zawołał do nas, wywijając strzelbą:

— Charley, co mam robić? Czy trochę postraszyć tych drabów?

— Nie, to nie jest konieczne. Dogadamy się z nimi. Ale chodź tu do nas na górę!

— Aby mnie zastrzelili, gdy będę się wdrapywał po drabinie?

— Nikt nie będzie strzelał. Jeśli ktokolwiek ośmieli się podnieść flintę, na miejscu padnie trupem od mojej kuli. A zatem chodź!

Usłuchał i wszedł szybko po drabinie. Jumowie byli wystarczająco przerażeni naszą niespodzianą obecnością w pueblu, nagłe zaś zjawienie się Emery'ego zaskoczyło ich do reszty. Ani nawet przez myśl im nie przeszło sięgnąć po flinty, zresztą tak kiepskie, że w

czasie nocy nie mogły nam nic złego wyrządzić. Emery, gdy tylko dotarł do naszej platformy, rzekł:

— Widzę, żeście szczęśliwie zesзли. Czy wiecie, gdzie są Meltonowie?

— Tak. Ale poczekaj, muszę jeszcze zakończyć sprawę z Indianami — odparłem i zwróciwszy się do nich, zawołałem: — Moi bracia widzieli, że nie boimy się ich, że wręcz przeciwnie, przewaga jest po naszej stronie. Tak samo wiedzą, że żądamy od nich jedynie białych. Czy pozwolą nam odjechać z nimi, nie stawiając żadnych przeszkód?

— A więc nic od nas nie żądasz? — zapytał mówca.

— Nie.

— A może żądasz wydania białej squaw, która tu mieszka?

— Nie.

— Była żoną naszego wodza i musimy jej bronić.

— Wcale jej nie chcemy. Nie pozbawimy was tego skarbu.

— A pozostawicie jej wszystko, co do niej należy?

— Tak. Jej własności nie dotkniemy.

— A więc jesteście gotowi zawrzeć z wami ugodę. Gdzie wypalimy fajkę pokoju?

— U nas, na górze.

— Czy wszyscy mamy tam wejść?

— Nie. Wystarczy, że przyjdiesz sam jeden. Przemawiałeś w imieniu swoich braci i będziesz w ich imieniu palił. A zatem wejdź i przynieś kalumet!

Ani mi się śniło wpuszczać tu całej gromady, nie popełniłbym takiej ostrożności. Juma przyszedł sam. Zdjął z szyi zawieszoną na rzemyku fajkę, wyjął tytoń z woreczka za pasem. Usiadłszy w kręgu, puściliśmy fajkę w obieg. Aczkolwiek skróciliśmy maksymalnie czas ceremonii, to jednak z chwilą gdy zawartość fajki uszła z dymem, mogliśmy być pewni że Indianie nie pogwałcą ugody. Tym bardziej że Juma podniósł się i przemówił uroczystym głosem:

— Tak oto został zawarty pokój między nami i wami. Dochowamy go wiernie. Jest was tylko trzech, a nas wielu, a jednak dostaliśmy się w wasze ręce, gdyż nie posiadamy takiej zaczarowanej broni jak Old Shatterhand. Czy moi bracia rzeczywiście dotrzymają danego słowa i nic złego nam nie wyrządzą ani niczego nam nie zabiorą?

— Tak — potwierdziłem — dotrzymamy słowa.

— Dam wam zatem dowód naszego zaufania. Wojownicy Jumów przyniosą tu wszystkie flinty i noże i wam oddadzą. Będziecie wówczas pewni, że jesteśmy naprawdę usposobieni pokojowo.

— Mój czerwony brat niech wyda rozkaz. Poza tym pragniemy, abyście podsycali ognisko do rana i aby się żaden z was od niego nie oddalał. Czy przystajecie na to?

— Tak.

— Powiedz też nam, jak jest najłatwiej schwytać młodego białego?

— Nie, tego wam nie powiem, bo przyrzekliśmy nie wydać ani jego, ani jego ojca. A odpowiedź na twoje pytanie byłaby złamaniem przyrzeczenia.

— Przyznaję ci słusność. Ale chyba możesz mi powiedzieć, gdzie są nasze konie?

— Pasą się nie opodal pod drzewami, gdzie zalega mrok.

— Czy wypróżniono nasze torby przy siodłach?

— Tak.

— Kto zabrał rzeczy, które tam były?

— Obaj biali, których chcecie pojmać.

— Wraz z końmi schwytaście naszego młodego towarzysza. Czy jest ranny?

— Nie.

— Gdzie go umieszczono?

— Młody biały jest uwięziony tutaj w pueblu.

— Gdzie?
— Nie wiem.
— Czy mówisz prawdę? Wszak musisz to wiedzieć!
— Nie. Nie powiedziano nam. Widzieliśmy tylko, że przebył dwie drabiny.
— A zatem aż do tego tarasu?
— Tak. A potem musiał zejść przez otwór do mieszkania białej squaw.
— Czy jest tam komórka, nadająca się na celę jeńca?
— Nie. Jest tam tylko mieszkanie. Być może, umieszczono go o drabinę niżej.
— Musielibyście to jednak zobaczyć!
— Nie, bowiem z tego piętra prowadzi otwór na parter.
— Gdzie znajduje się ten otwór?
— Z prawej strony, w ostatnim pokoju, tam gdzie jest kuchnia białej squaw.
— A gdzie ona zwykle sypia?
— W przedostatnim pokoju. Powiedziałem już wszystko, co mogłem. A teraz każę przynieść wam broń.

Oddalił się, aby wydać odnośne rozkazy. Wydanie broni z własnej woli rozproszyło resztki naszej nieufności. Nie trzeba chyba podkreślać, że bez przerwy obserwowaliśmy wejście do mieszkania Judyty. Siedzieliśmy w pobliżu i Jonatan Melton mógł wdrapać się w każdej chwili na drabinę i posłać nam parę kul. Muszę dodać, że obaj Indianie, których rzuciliśmy na niższą platformę, już dawno zeszli na dół i przyłączyli się do swoich towarzyszy. Nie ponieśli jednak żadnych szkód na ciele.

Przyniesiono broń i złożono obok nas. Niebawem zostaliśmy sami i mogliśmy pomyśleć o uwolnieniu Vogla i schwytaniu Jonatana Meltona.

Opowiedziałem też Emery'emu, jak to dostaliśmy się do puebla i obezwładnili starego Meltona. Następnie ustaliliśmy plan działania.

— Musimy koniecznie zejść na dół — powiedziałem — a ponieważ trzeba będzie zakradać się i szukać, w czym Winnetou jest mistrzem, więc uważam, że powinien pójść ze mną, ty zaś zostaniesz tutaj na górze. Zostawiamy ci strzelby.

— Co? Nie zabierzecie ich z sobą?

— Nie. Trzeba będzie zapewne wspinać się i czołgać, a strzelby mogą nam tylko zawadzać.

— A jeśli dojdzie do walki z Jonatanem Meltonem?

— Do takiej walki nie potrzebujemy strzelb. Jest nas dwóch na jednego, posiadamy do tego noże i rewolwery. A teraz zobacz, jak przedstawia się sytuacja na dole.

Zdjąłem kapelusz, wsunąłem głowę do otworu i mocno trzymając się jego brzegów, maksymalnie wychyliłem się na długość rąk. Winnetou i Emery trzymali mnie, abym nie mógł spaść. Wisząc tak głową w dół, mogłem obejrzeć pokój. Zobaczyłem ławkę, na której poprzednio siedzieli Jonatan i Judyta, stół i dwa krzesła. Nad stołem wisiało lustro. To aż nazbyt skromne umeblowanie można było w owych warunkach uważać za wykwintne. Oba otwory, które prowadziły na prawo i lewo, były zawieszane jaskrawymi makatami. Za zasłoną, na prawo mieszkała Judyta, a na lewo Jonatan. Naraz spostrzegłem, że zasłona z prawej strony drgnęła i ukazała się tam ręka kobieca z rewolwerem. Szybko uchyliłem głowę — potem rozległ się strzał. Naturalnie, zdążyłem się w czas wycofać.

— Do diabła, to było bardzo ryzykowne z twojej strony! Kto strzelił? — zapytał Emery.

— Judyta.

— Jeszcze chwila, a miałbyś dziury w głowie! Gdzież jest ta kobieta?

— Za zasłoną w sąsiednim pokoju.

— A Jonatan?

— Nie widziałem go. Myślę, że czatuje z drugiej strony.

— Fatalna sytuacja!

— Skoczę na dół — zdecydowałem.

— Strzelą do ciebie z obu stron!

— Trudno, muszę nadal ryzykować. Ale prawdopodobnie poruszam się szybciej niż oni. Lampa stoi na stole. Jeśli zdążę ją zgasić, to na pewno mnie nie trafią. Przynieście drabinę. Kiedy zawołam z dołu, wsadźcie ją w otwór i niech Winnetou zejdzie.

— Ale czy rozumiesz, że skacząc możesz ponadto złamać kark?

— Nie z takiej wysokości! Zsunąwszy nogi z brzegów otworu, spadłem w postawie stojącej na czubki palców. Błyskawiczny krok ku lampie, którą zgasiłem, dwa kroki w tył — i oto padł strzał z rewolweru. To Judyta strzeliła ponownie i trafiłaby mnie niechybnie, gdybym o sekundę dłużej marudził koło stołu. Teraz trzeba było uciec się do wybiegu. Padłem z hałasem na podłogę i zacząłem jęczeć, chcąc w ten sposób zwabić Jonatana. Tymczasem nabrałem na to Judytę.

— Boże wielki, trafiłam w niego! Czy jest pan ranny?

— Jęczałem i rzeziłem.

— On umiera, kona! Zabiłam go! Światła, światła! — krzyczała.

Ze słów jej wynikało, że nie zamierzała mnie wcale trafić. Sądziłem, że wejdzie i zapali lampę, lecz usłyszałem po chwili, jak oddała się w głąb mieszkania. Podniosłem się więc szybko i wbiegłem do pokoju, gdzie poprzednio stała Judyta. Z mroku, przez zasłony przebijało się słabe światło z dalszego pokoju i coraz bardziej zbliżało się w moją stronę. Wnet uchyliła się zasłona i oto miałem przed sobą Judytę z lampą glinianą w ręce. Wlepiwszy we mnie rozszerzone ze zdumienia oczy, wypuściła trzymany w drugiej dłoni rewolwer.

— Dobry wieczór! — przywitałem ją. — Wszak wybaczy seniora, że odwiedzam panią w jej mieszkaniu.

— To... to... to... pan stoi? — zawołała.

— Naturalnie! A może pani uważa, że powinienem usiąść?

— Pan... pan... pan leżał tam w drugim pokoju — jękała się nadal. — Słyszałam przecież, jak pan upadł.

— I ja to słyszałem.

— Sądziłam, że pan umiera... A oto... stoi pan przede mną! Nie jest więc pan ranny?

— Jak widać, nie!

— Lecz dlaczego rzeził pan tak okropnie?

— Mam zwyczaj robić to dla rozrywki.

— Ja chciałam pana... tylko przestraszyć.

— To dziwne. I mam w to uwierzyć?

— Może mi pan wierzyć, mówię prawdę! Chciałam jedynie pana zatrzymać.

— A gdy już zszedłem, strzelała pani do mnie. Seniora, o tym pomówimy później. A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie jest mister Jonatan Melton. Chcę się z nim spotkać.

— Tutaj go nie ma.

— Zaprzecza pani? Muszę go zatem sam poszukać.

— Niech pan szuka!

— Zechce mi seniora łaskawie poświecić.

— Nie jestem pańską służącą. Ma pan lampę!

Podawała mi małą lampkę w kształcie urny. Potrząsnąłem głową, mówiąc:

— Pani jest u siebie w domu, a ja tu obcy. Muszę zatem prosić seniorem, aby mnie prowadziła.

— Na próżno pan prosi!

— A jednak pani przychyli się do mej prośby...

— Chodźmy! Oświadczam jednak, że nie ma tu nikogo — wzruszyła ramionami i poszła przodem oświetlając drogę.

W głosie jej brzmiała prawdomówność, a przecież Melton musiał tu być. Zaprowadziła mnie przez swoje pokoje na prawo. Jeśli brać pod uwagę miejscowe warunki, to należy przyznać, że urządzenie mieszkania nie pozostawiało nic do życzenia. Za każdą zasłoną spodziewałem się Meltona. Jednak tutaj go nie było. Następnie poprowadziła mnie na lewo, a zatem do mieszkania Jonatana. Nietrudno było poznać, że przedtem mieszkał tu wódz indiański. Ale i tutaj Meltona nie znalazłem.

— I cóż, ma go pan? — zapytała triumfująco.

— Dotychczas nie. Schował się gdzieś. Nie spocznę jednak, dopóki go nie znajdę.

— W takim razie współczuję, nigdy bowiem pan nie spocznie. Mr. Meltona nie ma tu od wielu godzin.

— A gdzie jest?

— Czy ja wiem? Nie ma go tutaj, nie ma go w pueblu i nie ma go w ogóle w tej okolicy.

— A widziałem go pół godziny temu.

— Nieprawda!

— Słyszałem też, jak rozmawiał z panią, tam na ławce pod otworem. Wróćmy tam! Będzie pani miała zaszczyt oglądać w swoich progach jeszcze kogoś.

Gdy znaleźliśmy się w pierwszym pomieszczeniu, przywołałem Winnetou. Spuścił drabinę i zszedł na dół. Nie raczył nawet rzucić okiem na Judytę; spoglądał na mnie zatroskany, wreszcie spytał krótko:

— Jonatan Melton?

— Nie znalazłem go.

— Poszukajmy razem.

Wziąłem z rąk Judyty lampę i udaliśmy się na ponowne poszukiwania. Judyta szła za nami. Poszliśmy z początku na lewo, do pokoiów Jonatana. Opuszczam opis tego mieszkania, gdyż nie przedstawia nic ciekawego. Nie zaglądało tu nigdy światło dzienne i nie mógłbym powiedzieć, któredy dopływało powietrze. Nie znalazłszy lokatora, przeszliśmy na prawą stronę.

Uwagę Apacza zwróciło to samo, co i mnie wydało się podejrzanym. Indianin powiedział nam poprzednio, że sypialnią białej squaw jest przedostatni, a kuchnią ostatni pokój. Istotnie, była tam w głębi kuchnia. W kącie widniało coś w rodzaju paleniska, ulepionego z gliny, a nad nim w powale dziura, przez którą ulatywał dym. Było tu mnóstwo talerzy, filiżanek, misek i innych naczyń. W drugim kącie znajdowało się łóżko, składające się z materaca, wielu skór i kołder. W przedostatnim pokoju wisiała odzież. Na stoliku stały przybory toaletowe, a na podłodze leżały porzucane rozmaite drobiazgi. Ten nieład wydawał mi się nienaturalny.

— Cóż? — zapytała Judyta. — Wielki i słynny wódz Apaczów jest tu również. I coście znaleźli? Nic!

— Rzeczywiście nic — odpowiedziałem.

— A utrzymywał pan, że jest na tropie.

— Wkrótce nim podążymy.

Staliśmy w przedostatnim pokoju. Winnetou był zbyt dumny, żeby zwrócić się bezpośrednio do Judyty, rzekł więc do mnie, tak aby i ona słyszała:

— Gdyby ta squaw była mężczyzną, Winnetou dałby jej godną odpowiedź. Niech mój brat poda lampę.

Wziął lampę. Nachyliwszy się, oświetlił podłogę i zapytał:

— Czy mój brat uważa, że te rzeczy zawsze się tak poniewierały?

— Nie. Porzrucano je niedawno.

— Po co?

— Aby zapełnić przestrzeń. Aby nie było widać, czego tu właściwie brak.

— Mój brat ma słuszość. Niech spojrzy na ten kąt podłogi. Co tam widzi?

— Długi prostokąt inaczej zabarwiony.

— Jakich rozmiarów?

— Tak właśnie długi i szeroki jak łóżko, które teraz stoi w kuchni.

— Słusznie! A zatem było tu łóżko i squaw na nim sypiała. Dlaczego tak nagle przeniosła je do kuchni?

— Aby zakryć coś, czego nie powinniśmy widzieć.

— Tak jest. Old Shatterhand pójdzie ze mną do kuchni.

W kuchni Winnetou sięgnął po kołdry, aby je usunąć z pościeli, ale wówczas Judyta krzyknęła:

— Panowie, co to wszystko znaczy? Mam nadzieję, że uszanujecie łóżko kobiety!

— Oczywiście — odparłem. — Dlatego chcemy je umieścić na właściwym miejscu.

Przecież nie sypiała pani tutaj w kuchni.

— Owszem.

— Na drabinie?

— Dlaczego na drabinie? Jak pan to rozumie?

— Mam naturalnie na myśli drabinę, której szukamy. Poza tym nie zadałem jeszcze pani ważnego pytania. Gdzie jest młody senior, który został tu uwięziony?

— Nie wiem. Pytajcie o to mężczyzn.

— Przecież wprowadzono go do pani mieszkania.

— Nic o tym nie wiem!

— Jeśli seniora istotnie nie wie, to my pani powiemy. Ten młodzian znajduje się pod pani łóżkiem.

Rzuciła się na pościel i zawołała:

— Nikt nie ośmieli się tu zbliżyć! To grubiaństwo, to ordynarna napaść!

— Niech pani wstanie!

— Nie! Ustąpię tylko przed przemocą. Już raz chciał mnie pan wychłostać. Uczyni to teraz!

Nie zamierzałem używać przemocy, ale cóż miałem zrobić z tą kobietą? Wyręczył mnie Winnetou, który mimo poważnego charakteru miewał dowcipne pomysły. Rzekł tedy spokojnie:

— Jeśli squaw nie zejdzie z własnej woli, to spluczemy ją wodą.

Wziął wielkie gliniane naczynie, tak ciężkie, że ledwo je dźwignął z ziemi, i zbliżył się do łóżka.

— O rety! On chce mnie oblać wodą! — krzyknęła Judyta i zerwała się na równe nogi.

Winnetou nie zdążył jeszcze odstawić na miejsce dzbana, gdy usunąłem na bok pościel. Ujrzelśmy to właśnie, czegośmy się spodziewali. Prowadził stąd na dół, na parter otwór. Był on teraz przysłonięty pokrywą z klocków związanych rzemieniami.

— Cóż, seniora, czy wątpi pani, że drabina niebawem się odnajdzie? — zapytałem.

Nie odpowiedziała. Podnieśliśmy pokrywę. W otworze tkwiła drabina.

— Otóż i ona! Widzi pani, że wiedziałem, gdzie należy szukać śladu. Będzie pani łaskawa nas wyprzedzać!

— Ani myślę! Niech pan idzie sam!

— Jeślibyśmy zostawili panią na górze, mogłabyś nam splatać jakiegoś figla.

— Nie pójdę z wami!

— Zmusza mnie pani, abym, podobnie jak kilka godzin wcześniej, ujął seniorkę za ramię. Bowiemy w tym wypadku nie możemy splukać pani wodą na dół.

Podeszła do otworu i zawołała z wściekłością:

— Niech mnie pan nie dotyka! Niechętnie zaczęła schodzić w dół.

Podążyłem za nią z lampą w rękę, a za mną szedł Winnetou. Na dole powietrze było wilgotne, jak gdyby stęchłe. Stanęliśmy przed długim, wąskim korytarzem.

— Dokąd prowadzi ten korytarz, seniora? — zapytałem.

— Niech pan sam sprawdzi — odparła z przekąsem.

Gliniane ściany nie miały żadnych otworów. W połowie korytarza zobaczyliśmy miejsce, gdzie podłoga nie była udeptana z ziemi, ale sklecona z grubych mocnych belek. Ukłakłem i usunąłem dwie czy trzy belki.

W głębi lśniła powierzchnia wody. Przy pomocy jednej z belek zbadałem jej głębokość, która wynosiła dwa łokcie.

— Uff! Czy mój brat widział cysternę przed pueblem? — zapytał Apacz w narzeczu Siuksów.

— Tak.

— Stoimy w korytarzu, który przebiega przez całą szerokość puebla. Czyżby ta woda łączyła się z cysterną?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie łączy się również z rzeką. A więc tędy można dotrzeć do Flujo Blanco.

— Tak jest, to tędy właśnie ulotnił się młody Melton.

— Należy zmusić squaw, aby wyznała nam prawdę.

— Czy aby potrafimy ją zmusić? — zapytałem z powątpiewaniem w głosie.

— Jeśli... Słuchaj! Czy brat mój nie słyszał jęku?

— Nie.

— Dobiegł z głębi korytarza.

Ułożyłem deski na pierwotnym miejscu i podjęliśmy dalsze poszukiwania. Tak, teraz usłyszałem wyraźne jęki. Przyśpieszyliśmy kroku, nie zwracając uwagi na Judytę, która została za nami. Pomyślałem o Voglu, stąd ten pośpiech i ta karygodna nieostrożność. Istotnie, leżał tu spętany i przywiązany do wbitego w ziemię kołka. Obwinięto mu usta i nos starą chustą, tak że nie mógł krzyknąć, tylko stękać i ledwo oddychać. Oczywiście, natychmiast usunęliśmy knebel. Odetchnął głęboko, po czym zawołał:

— Bogu dzięki! Widziałem, jak wchodziliście do korytarza i obawiałem się, że nie doszedłszy do tego miejsca, wróćcie na górę. Proszę was, uwolnijcie mnie szybko z rzemieni.

Przecieliśmy pęta. Podniósł się i wyprostował zbolące członki. Chciał coś powiedzieć, lecz mu przerwałem.

— Chwała Bogu, że jest pan cały i zdrowy. Potem opowie pan nam swoje przeżycia. Musimy się śpieszyć. Chodźmy! Jak widzę, Judyta nas ubiegła — krzyknąłem nagle.

Po dojściu do końca korytarza zobaczyliśmy, że nie ma drabiny. Spojrzeliśmy porozumiewawczo po sobie.

— Co mój brat na to powie? — zapytał Winnetou z lekkim uśmiechem na ustach.

— Zrobiliśmy głupstwo!

— Nie możemy stąd wyjść — żalił się Franciszek. — Jesteśmy zatem uwięzieni!

— Nie — odparł Winnetou. — A gdyby nawet, to nie na długo. Musimy się przekonać, czy można otworzyć pokrywę.

— Nie dosięgniemy do niej, bo nie ma drabiny.

— Sami utworzymy drabinę — odparłem. — Odzyskał pan już władzę w członkach? Czy jest pan wygimnastykowany?

— Tak.

— Ja uklękę, Winnetou stanie na moich barkach, a pan na jego ramionach. Wówczas sięgnie pan do pokrywy i spróbuje ją podnieść.

Próba niestety nie powiodła się. Rozzłoszczona Judyta wróciwszy na górę, zabrała drabinę i przycisnęła pokrywę jakimś ciężarem, skoro Franciszek nie mógł jej unieść.

— Co robić? — zapytał nasz wirtuoz. — Ledwo odzyskałem wolność, znów jestem uwięziony.

— Sir Emery czeka na górze. Jeśli nie wrócimy, zejdzie po nas.

— A jeśli Judyta oszuka również i jego?

- To zostanie nam droga przez wodę.
- Przez jaką wodę? — zdziwił się Vogel.
- Czy nie wie pan, że przez środek korytarza pod podłogą płynie woda?
- Nie.
- Łączy się prawdopodobnie z rzeką. Sądzę, że Jonatan Melton uciekł tą drogą.
- Co? Jak? Kiedy to się stało?!
- Przeszło godzinę temu.

— Ach, w tym właśnie czasie zobaczyłem światełko i usłyszałem cichy szept. Nie mogłem zrozumieć słów ani też poznać osób. Zdawało mi się, że było ich dwoje.

— Tak. To była Judyta i Jonatan Melton. Fatalna okoliczność, lecz ma ona także i swoją dobrą stronę, gdyż daje nam wyjście z obecnej sytuacji. Nie będziemy czekać, aż sir Emery, zaniepokojony zbyt długim oczekiwaniem uda się na nasze poszukiwanie, lecz bezzwłocznie wyruszymy stąd przez wodę. Mamy jeszcze dosyć oliwy w lampie, aby nam przyświecała. Później będziemy się posuwać naprzód po omacku, co jest o wiele trudniejsze, albowiem nie znamy drogi. Czy Winnetou akceptuje moją decyzję?

Apacz zgodził się ze mną.

Wróciliśmy do środka korytarza. Zdjąwszy obuwie oraz zabezpieczywszy przed zamknięciem rewolwery i inne przedmioty, weszliśmy do dość płytkiej wody, która nie sięgała nam nawet do piersi.

Wyprzedzałem towarzyszy, oświetlając drogę. Musieliśmy się schylać, aby nie rozbić głów o skałę. Przed ilu wiekami został zbudowany ten kanał. Doskonale się zachował. Powietrze było tu złe, ale nie na tyle, aby mogło nam szczególnie dokuczać. Jeśli się nie myliłem, to kanał prowadził do puebla pod szczeliną. Musieliśmy zatem przebyć pod ziemią tę samą drogę, którą przebył poprzednio Emery spiesząc się do kotliny.

Wędrówka nasza nie była ani krótka, ani też łatwa. Mieliśmy jednak rację sądząc, iż kanał ten łączy się z Flujo Blanco. Po dwóch kwadransach wydostaliśmy się na brzeg rzeki, nie opodal wylotu szczeliny prowadzącej do puebla. Gęsiego przeszliśmy przez wąski korytarz, minęliśmy osłupiałych ze zdziwienia Indian siedzących wokół ogniska i znaleźliśmy się u stóp budowli.

Po drabinie, przystawionej do parteru puebla, weszliśmy na górę, a później dalej na pierwsze piętro. Nie trudno sobie wyobrazić zdziwienie Emery'ego.

Stał na warcie przed wejściem do mieszkania Judyty. Wypatrywał nas oczywiście z otworu, gdy tymczasem my przybywaliśmy z zewnątrz. Wyszedł nam na spotkanie i zaskoczony zawołał głośno:

— Wy tutaj!? I nawet mister Vogel?...

— Ciszej! — przerwałem mu. — Nie krzycz tak! Judyta nie powinna słyszeć. Czy widziałeś ją od czasu, jaki rozstaliśmy?

— Tak, na dole w jej mieszkaniu.

— Czy nie zauważyłeś nic podejrzanego?

— Nie. Zapaliła lampę, którą ty zgasiłeś.

— A czy nasza nieobecność nie wydała ci się zbyt długa?

— Owszem. Ale chyba mieliście sporo roboty. Co się zdarzyło? Musieliście zapewne odkryć tajemne przejście.

— Tak jest. Piękna Judyta podeszła nas. Wpadliśmy w zasadzkę i zdziwiłbym się bardzo, gdyby nie próbowała i ciebie w nią złapać.

Opowiedziałem mu naszą przygodę i dodałem:

— Ukryjemy się przed nią. Jestem przekonany, że z kolei na ciebie szykuje jakąś pułapkę. Jestem ciekaw jaką.

Oddaliłem się wraz z Winnetou i Voglem do miejsca, gdzie leżała broń Jumów.

Stało się tak, jak przypuszczaliśmy. Niebawem Judyta weszła na górę i poszukała Emery'ego. Stał bowiem w pewnej odległości od otworu.

— Senior! — zawołała. — Przywódca Jumów ma przyjść do mego mieszkania wraz z trzema Indianami.

— Kto tak rozkazał?

— Senior Old Shatterhand. Jest na dole przy seniorze Meltonie.

— Dlaczego panią tu wysłał? Mógł mi sam to powiedzieć.

— Nie ma czasu. Panowie muszą omówić bardzo ważne sprawy. Rozmawiają, zdaje się, o spadku.

— Cóż mają z tym wspólnego Indianie?

— Nie wiem. Old Shatterhand polecił mi powiedzieć, aby się pan śpieszył!

— Dobrze! Niech mu pani powie, że wojownicy wkrótce nadejdą.

Wróciła do siebie. Emery podszedł do nas i zapytał:

— Co się za tym kryje?

— Łatwo odgadnąć. Jest pewna, że znaleźliśmy się w potrzasku i chce także ciebie obezwładnić. Kazała zawołać wojowników, aby skłonić ich do napaści na ciebie.

— Ale w jakim celu? Cóż jej z tego przyjdzie, że będzie nas miała schwytyanych?

— Wiele, bardzo wiele! Wyśle w ślad za Jonatanem gońca, który zawróci go z drogi.

— Musiałaby wiedzieć dokąd czmychnął.

— Naturalnie, że wie!

— Szkoda, że my tego nie wiemy! — Zasepił się Emery.

— Dowiemy się podstępem.

— Jak?

— Podam się za Tomasza Melona.

— To niemożliwe! Wszak zna ciebie, nie wprowadzisz jej w błąd.

— Judyta nie wie jeszcze, że schwytałimy starego Meltona. Za wszelką cenę chce zawiadomić go, gdzie jest jego syn. Dzięki temu dowiem się o wszystkim.

— Nie pojmuję, jak się do tego weźmiesz.

— Chodźmy do niej! Jestem ciekaw, z jaką miną mnie powita. Powiedz jej z początku, że chcesz mówić ze mną.

Zeszliśmy na dół. Emery wyprzedzał mnie. Zatrzymałem się przed zasłoną, on zaś odsunął ją i wszedł do pokoju.

— To pan, senior? — rzekła. — Oczekuję Indian. Kiedy przyjdą?

— Nic im jeszcze nie powiedziałem.

— Dlaczego nie? — zapytała z nie i ukrywaniem zniecierpliwieniem. Seniorowi Old Shatterhandowi bardzo się śpieszy!

— Chciałem wpieryw z nim pomówić. Gdzie jest?

— Tam, w drugim pomieszczeniu — wskazała ręką za siebie.

— Proszę mnie do niego zaprowadzić.

— Nie uczynię tego, gdyż mi zabronił.

— W takim razie pójdę sam.

— Nie znajdzie go pan!

— Natychmiast znajdę, natychmiast! Czy mam pani tego dowieść?

— Tak.

— Dobrze, seniora! Oto i on!

Uchylił kotarę, wziął mnie za rękę i wciągnął do pokoju. Ujrawszy mnie, Judyta stanęła jak wryta.

— Widzi pani — rzekłem — ledwo zostałem zamknięty w podziemiach, a już znowu tu jestem, chociaż nie byłaś tak łaskawa, aby spuścić drabinę. Cieszy się pani zapewne, że widzi mnie w dobrym zdrowiu?

— Tak, tak, cieszę się. Nadzwyczaj się cieszę! — zawołała, ściskając pięści i zagryzając wargi.

— Muszę podwoić pani radość, oznajmiając, że i Winnetou, i senior Vogel przebywają nad ziemią. Podziemny kanał uwolnił nie tylko pani narzeczonego, ale także i nas. Stary Melton również uciekł!

Ostatnie zdanie umyślnie powiedziałem wściekłym głosem.

— Też? — zapytała, błyskając oczami z radości. — Skąd pan to wie?

— Jego gniazdko świeci pustką.

— Czy znał je pan?

— Tak. Jest nad panią, na wyższym piętrze. Nie przybyliśmy tu przez szczelinę, tylko opuściliśmy się na kilku związanych lassach. I właśnie w chwili gdy nas zauważono i zawołano na alarm, stary Melton stał na dole przy ognisku. Czym prędzej uciekł z puebla przez ów wąski korytarz.

— To wspaniale — triumfowała. — Potem syn jego umknął kanałem, spotkali się na pewno i drapnęli razem.

— Dokąd?

— To wie tylko on i ja. Ma pan wyjątkowo kiepski dzień. Jonatan i jego ojciec uciekli razem z pieniędzmi.

— A więc wie pani, dokąd skierował się narzeczony?

— Oczywiście; wiem dokładnie, gdzie będzie na mnie czekał!

— Ale wie to nie tylko pani, bowiem ja również wiem coś niecoś.

— Pan? Widzę, że ponosi pana fantazja. To miejsce znamy tylko my dwoje.

— Troje! Niech i mnie seniora doliczy. Zanim opuszczę pueblo, wymienię pani tę miejscowość.

— Nic podobnego, sir. Domyślam się, do czego pan zmierza. Ale tym razem przeliczył się pan, i to bardzo! Pieniądze się wymknęły. Jonatan zbiegł ze swymi i ojciec ze swymi. Tak, gdyby pan chociaż starego złapał! Wystarczyło mu tylko ściągnąć buty. Schował swoją część spadku między podwójnymi cholewami.

— Psiakrew! — zawołałem celowo, ja, który nigdy nie klnę. — Między cholewami? Wszak starego mogłem już niejednym razem złapać. To pech, fatalny pech!

— Tak, to pech i nie uwierzy pan, jak bardzo się z tego cieszę! Nienawidzę pana! Raduje mnie niezmiernie fakt, że stoi senior jak lis przed pustym kurnikiem. A najbardziej cieszę się z tego, że nigdy już nie ujrzy pan Meltonów!

— Zbyt wczesna jest pani radość, albowiem tak długo będziemy im deptać po piętach, aż schwytały.

To nie nastąpi nigdy! O tym już pomyślano!

— Nie jest tak źle, została nam przecież jeszcze pani.

— Ja? Cóż panu po mnie? Jestem uboga. Nie posiadam już prawie nic. Z jakiego więc powodu chce mnie pan zatrzymać?

— Bo jest pani współwinną w przestępstwach Meltonów. Zatrzymam seniorem i każę strzec, dopóki nie zakończymy tej sprawy. Potem może pani sobie iść, dokąd zechce, nawet za swoim Jonatanem. A w tej chwili jestem ciekaw, jak zabarykadowała pani otwór w kuchni.

Z lampą w ręku wszedłem do środka. Na pokrywie zamykającej otwór stało łóżko, a na nim drabina, tak wsparta o powałę, że w żaden sposób nie zdołalibyśmy usunąć pokrywy.

— Świetnie pani sobie poradziła — rzekłem. — Gdyby na dole nie było kanału, moglibyśmy tam tkwić do sądnego dnia. Odtąd będziemy pani pieczołowicie strzegli. Emery — zwróciłem się do Anglika — zostaniesz tutaj, dopóki cię nie zluzujemy. A nie spuszczaaj tej pięknej seniory z oka!

Spojrzał na mnie zdziwiony. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo i wyszedłem.

Na górze poprosiłem Winnetou, by poszedł ze mną do starego Meltona. Musieliśmy wspiąć się o piętro wyżej i przystawiwszy drabinę do otworu w platformie, zejść na dół. Znalazłem po omacku lampę i zapaliłem ją. Melton wrócił już do przytomności, a stół, do którego był przywiązany, trzeszczał pod nim dość głośno.

Wyjęliśmy mu knebel z ust. Zaklął siarczyście i rzekł:

— A więc dobrze słyszałem! Shatterhand i Winnetou!

— Tak, nie omylił się pan, mi Melton — odparłem. — Gdzie są pieniądze, które zabrałeś bratu?

— Nie mam ich.

— Zagrabił je pan! Widzieliśmy na własne oczy. Pański brat to potwierdził.

— Czy mówił coś jeszcze?

— Tak. Przeklął was przed śmiercią. A zatem, gdzie są pieniądze?

— Co panu do tego?!

— Pieniądze te są własnością prawowitego spadkobiercy starego Huntera.

— Pokaż mi tego spadkobiercę!

— Mógłbym.

— Mógłbyś, ale nie możesz! — roześmiał się złośliwie.

— Mogę — poprawiłem się. Mister Vogel jest wolny. Wyprowadziliśmy go z korytarza, gdzie tkwił przywiązany do kołka.

— Co? Macie go? Czy to prawda — zawołał, szamocząc się w pętach. — Kto panu zdradził to miejsce?

— Nikt. Znalezliśmy je sami.

— Nieprawda! Ktoś musiał powiedzieć.

— Myli się pan. Własna przenikliwość wystarcza nam całkowicie.

— Mogliście tam zejść tylko przez mieszkanie Judyty! Co z nią?

— Bardzo dobrze się miewa.

— A co z Jonatanem, moim synem?

— Też dobrze. Oboje tak się mi kochają, że wkrótce wezmą ślub na szubienicy.

— Co? Czy Jonatan jest schwytany?

— Chciałby master, aby mu się lepiej powiodło niż panu?

— Został schwytany, schwytany — zajęczał. Po czym dodał: — A wszak było was tylko czterech!

— Tylko trzech, jednego przecież schwytaliście — poprawiłem go.

— Moce piekielne wam pomagały! Ale pieniędzy nie dostaniecie! Tak je schowaliśmy, że nawet przy pomocy diabła nie potraficie ich odnaleźć.

— A jakże, potrafimy.

— Nigdy, przenigdy! Niech pan bierze to, co zaproponowaliśmy przez Judytę, inaczej nic nie dostaniecie. Mój syn ukrył pieniądze nie gorzej niż ja. I nikt, oprócz niego, nie zna tego schowka.

— I prócz pana?

— Tak.

— I Judyty?

— Nie sądzę, aby jej powiedział!

— O, miłość nie zna tajemnic.

— Czy zna, czy nie zna, pan nic nie znajdzie! Co więc panu z tego, że wyda nas policji? Sam powróci master z pustymi rękoma.

— Oczywiście, nie byłoby to zbyt korzystne dla mnie — zauważyłem ironicznie.

— A zatem, trochę rozsądku, panowie! — kontynuował, nie zważając na ton moich słów. Puście nas i bierzcie pieniądze. Macie do wyboru: albo dostaniecie nas samych bez pieniędzy, albo też uwolnicie nas i odzyskacie ich nieco.

— Ile?
— Proponuję wam dwukrotnie więcej niż poprzednio Judyta.
— W takim razie spadkobierca dostanie tyle, co nic, wy zaś będziecie mieli i miliony, i wolność. To kiepski interes, master! Nie zgadzam się. Żądamy wszystkiego.
— Nic z tego! Moje ostatnie słowo: albo połowa, albo wcale!
— Zdobędziemy wszystko.
— Nic nie dostaniecie, nic! — krzyczał z wściekłością. — Zamordujcie nas, zabijcie! Wszystko mi jedno! Umrę ciesząc się, że jesteście i pozostaniecie bez grosza, bo pieniędzy nigdy, przenigdy nie znajdziecie!
Spokojnie przeczekałem wybuch jego złości i rzekłem:
— Niech się pan nie unosi. Wiem, co powinienem wiedzieć. Znam skórzaną torbę, w której Jonatan schował pieniądze.
— Skórzaną...? — zapytał teraz niemal szeptem. — Czy widział ją pan?
Popatrzył na mnie tak, jak gdyby jego życie zależało od mojej odpowiedzi.
— Widziałem ją i nie tylko widziałem.
— Człowieku! Czy chcesz powiedzieć, że już ją masz?
— Hm, jest to torba pańskiego syna i jako taka nie powinna pana obchodzić. Ale i pan ma przecież pieniądze — swoją część i część swego brata, którą mu pan ukradł.
— Tak, mam ją, mam! — wrzeszczał znowu wniebogłosey. — Ale nie łudźcie się, że mi ją odbierzecie! Skoro diabeł oddał wam pieniądze Jonatana, podziękujcie mu za to. Lecz od moich pieniędzy, od mojej własności wara!
— O, wystarczy tylko sięgnąć ręką, aby mieć pańskie pieniądze.
Położyłem dwa palce na jego nogach. Drgnął cały, oczy wylazły mu z orbit.
— Tu? Myśli pan, że byłem tak głupi i włożyłem je do pończochy, aby nabawić się odcisków?
— Nie do pończochy, lecz do butów.
Trzęsąc się cały, wykrztusił z trudem:
— W butach? Ściągnij je pan i zajrzyj! Może pan wytrząsać z nich tak długo, jak się panu żywnie podoba, nie wypadnie z nich złamany szeląg.
— Rozumie się, pieniądze nie leżą w butach, lecz między podwójnymi cholewami.
Głowa Meltona opadła. Przymknął oczy i powtórzył zamierającym głosem:
— Pod... wójnymi... cho... le... wami...
Twarz jego stała się sina. Szamocząc się w więzach, darł się znowu:
— Ośmiel się dotknąć moich nóg, tylko się ośmiel, wstrętny psie! Rozerwę więzy i rozszarpie was, ciebie i tego czerwonoskórego Winnetou, na tysiące kawałków!
— Głupcze, miotasz groźby jak szalenciec! Pozostawimy ci jeszcze pieniądze, naturalnie, dopóki zechcę. Teraz rozwiążemy cię i pójdiesz z nami.
— Dokąd? — zapytał nieco uspokojony, ponieważ wiedział, że nie zamierzamy na razie zdejmować mu obuwia.
— Zobaczysz. Bądź posłuszny i ucisz się. Inaczej nie możesz liczyć na nasze pobłażanie.
Sprowadziliśmy go do mieszkania Judyty. Poszedłem do niej. Siedziała na krześle, zwrócona plecami do Emery'ego i udawała, że mnie nie spostrzega.
— Czy mamy cię zluzować? — zapytałem Anglika, przymykając oczy, pochylając głowę na bok i przykładając dłoń do policzka.
Pantomimicznie oznaczało to sen. Emery zrozumiał mnie i odparł:
— Jestem istotnie znużony. Chciałbym się przespać.
— A któż cię zastąpi? Ja mam robotę, Winnetou jest również zajęty, zaś Voglowi nie powierzyłbym odpowiedzialnego zadania.
— Odpowiedzialnego? Sądzę, że poradzi sobie z kobietą.
— Lecz przyprowadziłem jeszcze jednego jeńca, starego Meltona.

Judyta zerwała się szybko z miejsca i zawołała zdumiona:

— Zdaje się, że on zbiegł! Wszak pan to sam powiedział!

— A jednak wpadł nam w ręce!

— Chyba jest pan w konszachtach z diabłem! Co pan z nim zrobi?

— Przede wszystkim zajrzę do cholew. Widzi seniora, poprzednia pani radość była jednak przedwczesna, a szyderstwo skierowane pod niewłaściwym adresem.

— Bodajbym milczała! Przecież nie chciałam powiedzieć. A teraz tyle pieniędzy straconych!

Przez kilka minut siedziała jak skamieniała, potem gwałtownie powstała i wygrażając pięściami nad moją głową, krzyknęła jadownicie:

— Kłamco, oszuście, potworze! Więc w taki to sposób postępuje pan z ludźmi! Pod maską uczciwości ukrywa podłego szpiega! Chętnie bym panu wydrapała oczy!

— Jeśli tylko zechcę, popelnę pani jeszcze większe głupstwo niż poprzednio — rzekłem niewzruszenie spokojnym tonem.

— Nie, nigdy! — zapewniała gniewnie. — Nie sprawię panu powtórnej przyjemności. Nie dam się już podejść! Jestem tak samo sprytna jak pan. Czy myśli senior, że nie wiem, do czego pan zmierza? Znowu chce pan ze mnie coś wydobyć i w tym celu dopuściłeś tego kłamstwa.

— Kłamstwa? Czy mogę wiedzieć jakiego?

— Że schwycił pan starego Meltona.

Życzyłem sobie właśnie takiej odpowiedzi. Judyta nie przeczuwała nawet, że i tym razem dała się nabrać.

— To ma być kłamstwo? — rzekłem.

— Wie pan o tym dobrze i ja wiem także. A może zechce mi pan dowieść prawdziwości swych słów?

— Owszem.

— Gdzie jest więc Melton? Niech mi go pan pokaże i to natychmiast!

— Nie mogę go sprowadzić, jest bowiem spętany.

— Głupie wykrety! Wszak ja mogę doń pójść. Ale na to mi pan oczywiście nie pozwoli!

— Czemu nie?

— A więc chodźmy!

Wziąłem lampę i poszedłem do pokoju, gdzie leżał Melton. Skoro go ujrzała, krzyknęła z przerażeniem:

— To jednak prawda, szczerą prawdą! Senior Melton, jakże mógł pan do tego dopuścić?

— A czy pani nie schwytano? — zapytał wściekły.

— To co innego! Pan jest mężczyzną, posiadał pan broń, ja zaś...

— Cicho! — przerwałem ich kłótnię. — Spełniłem pani życzenie i pokazałem jeńca, ale nie pozwolę, abyś się z nim porozumiewała. Niech tu zostanie do rana. Gdy się rozwidni, sprawimy sobie uciechę i obejrzymy jego buty. A teraz wracamy!

Odwróciłem się i umyślnie poszedłem naprzód. Udawałem, że nic nie widzę i niczego nie podejrzewam, jednak spostrzegłem, jak za moimi plecami Judyta przesłała Meltonowi znak, który nie mógł wyrażać nic innego, tylko to, że przyjdzie do niego przy pierwszej sposobności. O to mi właśnie chodziło, przecież chciałem się od niej dowiedzieć, dokąd uciekł Jonatan.

— Czy uważa mnie pani wciąż jeszcze za kłamcę? — zapytałem.

— Tym razem mówił pan prawdę. Ale mimo to będę bardziej przezorna.

— Proszę cię, Emery — zwróciłem się do przyjaciela — pilnie czuwaj. Oboje uwięzieni nie powinni się spotkać. Seniora mogłaby dopomóc staremu w ucieczce. Za dwie godziny przyjdę cię zastąpić — wcześniej nie mogę.

— W porządku, nie zlekceważę swoich obowiązków, aczkolwiek jestem piekielnie zmęczony.

Skinąłem mu porozumiewawczo i wyszedłem. Wobec tego odprowadził mnie do wyjścia. Zapytał cicho:

— Co to wszystko znaczy? Dlaczego mam być znużony?

— Chciałbym, aby Judyta poszła do starego. Rozmawiaj z nią teraz głośno, co najmniej przez dziesięć minut, aby nie słyszała, co się tutaj dzieje. Potem na niby zaśniesz i nie ockniesz się, aż przyjdę.

— A jeśli ona stąd odejdzie?

— Nie przeszkadzaj jej.

— Ale, być może, naprawdę uwolni Meltona?

— Nie. Wyprawię go stąd i położę się na jego miejscu.

— Znakomity pomysł! Jestem niezmiernie ciekaw wyniku.

Wrócił do Judyty, a ja sprowadziłem Winnetou, który czekał na górze. Zakneblowaliśmy staremu Meltonowi usta i przenieśliśmy go do lewego skrzydła. Następnie Winnetou związał mnie dokładnie tak samo jak Meltona i ułożył na jego miejscu. Zdjął ze mnie pas i upodobił zewnętrznie do starego, później zgasił lampę.

Wkrótce potem Apacz poszedł na górę, ja zaś czekałem z niecierpliwością nocnych odwiedzin. Nie wątpiłem, że Judyta przyjdzie, ale nie byłem pewny, czy wyzna mi to, co chciałem wiedzieć.

Słyszałem, jak rozmawiała z Emerym. Niebawem rozmowa umilkła. Upłynął kwadrans, drugi i nawet trzeci. Wówczas wychwyciłem uchem lekki szelest kobiecej sukni. Przyszła. Ręka jej szukała mnie po omacku, aż dotknęła nogi. Drgnąłem, jakby przełknięty. Wtedy usłyszałem lekki szept:

— Cicho, cicho, senior Melton! To ja!

— Kto? — szepnąłem. — W szepcie głosy brzmią jednakowo.

— Ja, Judyta! Chce pan uciec?

— Do diabła! Gdybym tylko mógł...

— Ja panu pomogę! Czy zauważył pan moje wcześniejsze znaki?

— Tak.

— Ten Old Shatterhand to osioł. Z przyjemnością splećę mu figła. Przyjrzałam się poprzednio pańskim więzom. Proszę podnieść ręce, mam przy sobie nóż.

Uczyliłem to. Rozciąła mi pęta u rąk, a później u nóg. Usiadłem, umyślnie powodując niewielki hałas. Chciałem bowiem, aby mnie ostrzegła, a wówczas nie zastanawiałyby jej moje monosylabowe odpowiedzi. Nie mogłem przecież wiele mówić, aby mnie nie rozpoznała.

— Cicho, cicho! — usłyszałem. — Obudzi pan mego strażnika.

— Strażnika? — zapytałem.

— Tak, zasnął. Szczęśliwy to dla pana zbieg okoliczności, gdyż jutro musiałbyś się rozstać i z pieniędzmi i z wolnością, a może nawet i z życiem. Musi pan śpieszyć do Jonatana!

— Gdzież on?

— Uciekł. Pomogłam mu. Udał się do Indian Mogollonów, których wódz nazywa się Bitsil Iltszeh*. Był przyjacielem mego męża i chętnie udzieli Jonatanowi gościny i ochrony. Jeśli pan ucieknie do Mogollonów i powie, że ja pana przysyłam, to może być pewny dobrego przyjęcia. Wkrótce i ja za wami podążę.

— Kiedy?

— Kiedy ci szubrawcy opuszczą pueblo. Muszę jeszcze zostać, aby dowiedzieć się, co postanowią i dokąd się udadzą. Potem spotkam się z Jonatanem w Klekie-Tse*. A teraz niech

* Silny Wicher

* Jasna Skała

pan ucieka stąd i strzeże się, aby pana nie złapali! Oto nóż, stołowy wprawdzie, ale trudno, nie mam innego.

Po tych słowach Judyta szybko się oddaliła.

Przeczekałem chwilę, po czym wyszedłem na taras. Tam siedział Winnetou. Zapytałem go:

— Czy brat mój zna Bitsil Iltszeh wodza Mogollonów?

— Tak. Jest to mężny wojownik i nigdy jeszcze słowa nie złamał.

— Czy na jego terenach znajduje się miejscowość zwana Klekie-Tse?

— Tak. Znam ją. Dlaczego mój brat pyta?

— Tam właśnie uciekł Jonatan Melton.

— Uff! Skąd wie to Old Shatterhand?

Wyjaśniłem mu. Śmiejąc się cicho, rzekł:

— Mój brat jest nie tylko chytry jak lis, ale nawet bardziej przebiegły niż biała squaw, czego Winnetou nie może powiedzieć o sobie. Pojedziemy więc do Jasnej Skały!

Gdy minęły zapowiedziane dwie godziny, zszedłem na dół zastąpić Emery'ego. Siedział na krześle z opuszczoną głową i udawał śpiącego. Judyta spoczywała na krześle obok. Obdarzyła mnie spojrzeniem zaczepnym i triumfującym.

— Co się tu dzieje? — zawołałem podniesionym głosem. — Ty śpisz!?

Udawał, że się zrywa ze snu, zrobił zakłopotaną minę i odparł:

— Ach, przepraszam! Zdrzemnąłem się, ale nie dłużej niż kilka minut.

— Kilka minut? — roześmiała się Judyta. — Senior, przespał pan jednym tchem niespełna dwie godziny.

— A co pani robiła podczas snu sir Emery'ego? — zapytałem.

— To i owo. Przespacerowałam się też trochę po pokojach.

— Czy zaglądała pani do Meltona?

— Naturalnie! Mogę nawet panu powiedzieć, że jego więzienie świeci pustką.

— Czy jest pani przy zdrowych zmysłach?

— A jakże! Czmychnął do syna.

— A więc muszę natychmiast...

Udawałem, że jestem wzburzony; wziąłem lampę i wybiegłem.

Judyta pragnęła nacieszyć się moim zmartwieniem, więc poszła za mną. Emery zaś dreptał za nami. Ujrawszy rozrzucone rzemienie, krzyknąłem z wściekłością:

— Ktoś mu pomógł! Wszak sam nie mógł przeciąć więzów! Gdybym wiedział, kto to uczynił! Seniora, przypuszczam, że pani wie najlepiej!

— Tak pan myśli? — zapytała z uśmiechem. — Nie będę się wypierała. Tak, to ja zrobiłam!

— Pani... pani go uwolniła? Jakim prawem...?!

— Tak, ja, nikt inny! Teraz widzi pan, kto palnął głupstwo, ja czy pan. Gdzież jest ta powtórna nierozwaga, której się pan po mnie spodziewał? Spełnij więc teraz swoje przyrzeczenie i powiedz, gdzie jest Jonatan Melton. Tak, tak — roześmiała się na całe gardło — twarz pana jest symbolem głupoty. A teraz spróbuj, senior, naprawić swój błąd.

— Ujrzy pani zaraz mój naprawiony błąd — odpowiedziałem.

Zaprowadziłem ją do drugiego pomieszczenia i uchyliłem zasłonę. Rozejrzała się i cofnęła o krok, krzycząc:

— Melton! Wszak tu leży Melton! Oczy jej przesunęły się bezradnie z niego na mnie i z powrotem.

— Istotnie, Melton — odparłem rozbawiony. — Naturalnie. A kogo się pani spodziewała?

— Melton, Melton! — powtarzała wciąż. — Nie może być! To czary! Czy pozwoli mi pan z nim pomówić?

— Nie. Wrócimy do pani mieszkania.

W pokoju runęła na krzesło i spojrzała na mnie pytająco. Jej triumf, jej pycha gdzieś się nagle ulotniły.

— Zwykle dotrzymywałem słowa, seniora — zacząłem. — Chcę pani powiedzieć, dokąd zbiegł Jonatan. Jest teraz w drodze do Silnego Wichru, wodza Mogollonów. Później pani także tam pojedzie i spotkacie się w Jasnej Skale. Czyż nie tak?

Zerwała się z krzesła i zawołała:

— Kto to panu zdradził? Kto panu powiedział?

— Pani sama.

— Ja... ja...?

— Tak. Niech pani sobie przypomni własne słowa: „Ten Old Shatterhand to osioł. Z przyjemnością spletał mu figła.” Jest mi bardzo miło, że chciała seniora sprawić sobie taką rozrywkę i spletała mi takiego właśnie figła.

Patrzyła na mnie, jakby nie rozumiała moich słów, później zaś wymamrotała:

— Ja, ja... nie pojmuję pana...

— Muszę więc pani pomóc. Czy pani wie, komu przecięła więzy?

— Meltonowi.

— Nie. Wszak widziała go seniora przed chwilą. Była pani tak łaskawa, że uwolniła mnie.

— Pana... pana?

— Tak. W dodatku palnęła pani głupstwo, którego miała się tak wystrzegać. Jonatan Melton, główny sprawca przestępstwa, uciekł z całym majątkiem. Tylko pani wiedziała dokąd. Sprowadziłem do pani jego ojca, ale zaraz potem przeniósłem go gdzie indziej, sam zaś kazałem się związać i położyć na jego miejscu. Wiedziałem, że seniora przyjdzie, gdyż spostrzegłem pani porozumiewawcze skinienie. Sir Emery udawał śpiącego. Wymknęła się pani z pokoju, podeszła do mnie, przecięła więzy i w dodatku była dla mnie aż tak miła, że powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Współczuję pani. Dodam jeszcze, że muszę teraz seniorę związać, gdyż mogłabyś istotnie uwolnić prawdziwego Meltona.

— Mnie związać?! Nie ścierpię więzów! Czy odważy się pan na taką brutalność?!

— Proszę się nie oburzać. Pani stosunek do Jonatana, jest karygodny. Seniora wie, że to morderca, oszust, a jednak udziela mu pomocy i zamierza wziąć część jego łupu. Jest więc pani współwinną przestępstwa, o czym już raz wspominałem.

— Ja już nie mogę panu szkodzić.

— A jednak. Mógłbym właściwie traktować panią inaczej, wszak pod warunkiem, że odpowie seniora na parę pytań. Ale nie wolno pani kłamać.

— Dobrze! Niech pan pyta!

— Czy Melton ma konia?

— Miał konia w domu, w którym przebywaliście poprzedniej nocy.

— Czy jest uzbrojony?

— Zabrał z sobą strzelbę, nóż i rewolwer.

— Ale o ile wiem, nigdy jeszcze nie: był w tej miejscowości. Czy znajdzie drogę do Mogollonów?

— Tak. Musi tylko jechać biegiem Flujo Blanco, a potem skierować się ku wzgórzom Sierra Blanca, które zobaczy przed sobą. Wówczas na pewno trafi do Mogollonów.

— A gdzie jest Jasna Skala, w której ma się pani spotkać z Jonatanem?

— Również w Sierra Blanca.

— To właśnie pani poradziła mu uciec do Mogollonów?

— Tak. I wyznały tam miejsca naszego spotkania. Zdaje się, że nie mogę być bardziej szczerą!

— Doprawdy?

— Wiem, że będzie senior go ścigał, a jednak powiedziałam, dokąd zbiegł i gdzie mnie będzie oczekiwał. Narażam go na niebezpieczeństwo. Czego pan więcej żąda?

— Tak. Żądałem tylko prawdy, seniora zaś skłamała.

— Nic podobnego! To prawda, że zbiegł do Mogollonów i że będzie mnie oczekiwał w Jasnej Skale.

— Tych słów nie może się pani wypierać, gdyż omyłkowo powiedziała mi już, gdzie będzie się ukrywał pani narzeczony. Jednak tego powtórnego oświadczenia nie możesz liczyć za dowód szczerości. Natomiast odpowiedzi seniora dotyczące drogi do Mogollonów i Jasnej Skąły są fałszywe.

— Nie, są prawdziwe!

— Nie oszuka mnie pani. Zmuszona wyznać, dokąd udał się Melton, wskazałaś mi kierunek niewłaściwy, co więcej, wręcz odwrotny, abyśmy stracili czas i aby Jonatan mógł tymczasem umknąć. W Sierra Blanca mieszkają Nijora-Apacze. Musimy jechać w zupełnie przeciwnym kierunku, by dotrzeć do gór Mogollon, od których bierze nazwę wymienione przez panią plemię indiańskie. Widzi więc seniora, że niełatwo mnie zwieść.

— Jeśli pan ma słuszność, to znaczy, że ja jestem źle poinformowana!

— Po co wciąż te kłamstwa! Chce nas pani wyprowadzić na manowce. Nie usłuchała seniora mego ostrzeżenia, więc musimy na jakiś czas pozostawić cię tutaj samą.

Przewiązałem jednym rzemieniem ręce Judyty, drugim nogi, a następnie z Emerym ułożyliśmy ją na ziemi. Teraz już nie mogła się podnieść, nie mogła już podkraść się do Meltona, aby udzielić mu pomocy w ucieczce; rzeczą zbyteczną byłoby zostawiać przy niej strażnika. Wraz z Emerym wróciłem na górę do Winnetou, który potwierdził, że Jasna Skąła znajduje się nie w Sierra Blanca, ale w Górach Mogollon.

Siedząc na platformie, wyczekiwaliśmy świtu. Ognisko Jumów wygasło, ale oni sami zostali na dole. Uważali nas teraz za panów puebla. Sprowadziliśmy na platformę starego Meltona. Rozumie się, że nie powinien był wiedzieć, iż syn jego uciekł. Postanowiliśmy ściągnąć mu buty. Sporo się we trzech namęczyliśmy, bo wierzgał nogami i wykręcał się mimo skrepowania, zanim tego dokonaliśmy.

Buty Meltona były podszyte cienką skórą. Macając ją od razu zauważyłem, że coś tkwi między cholewami a podszyciem. Szew był świeży, a zatem pieniądze zaszyto tam niedawno. Prawdopodobnie pomagała przy tym Judyta i stąd właśnie wiedziała o owym schowku.

Odprułem podszycie nożem. Melton spoglądał na mnie ponuro, oczy jego pałały nienawiścią. Jeden but zawierał cienką paczkę w rodzaju koperty, drugi zaś aż dwie takie paczki. Otworzyłem je. W dwóch kopertach znalazłem po dziesięć tysięcy funtów szterlingów, w trzeciej natomiast piętnaście tysięcy dolarów w banknotach. Melton potwierdził pod groźbą chłosty, że była to jego część łupu oraz pieniądze zrabowane bratu.

— A teraz pojedzie pan z nami — oświadczyłem mu.

— Co? Mam z wami jechać? Wszak zagarnęliście już pieniądze. Zostawcie mnie w pueblu!

— Czy pan oszalał, master? Zostawić pana tutaj?

— Do czego jeszcze mogę się wam przydać?

— Co za pytanie! Ściagałem pana za wielokrotne morderstwa po całym Dzikim Zachodzie. Szukałem w Egipcie i Tunisie. Tam także popełniłeś morderstwo. Odważyłeś się wrócić do Stanów jednoczonych, aby wyłudzić milionową spuściznę. Przeprowiłem się dla pana przez ocean. Tutaj znowu przemierzaliśmy za panem prerie i kiedy nareszcie cię mamy, liczy master na to, że go puścimy. Jest to co najmniej śmieszne!

— Chcecie mnie zabić?

— Nie. Pozostawimy to katowi.

— Do licha! Chce mnie pan znowu wydać, jak ongiś w forcie Edwarda?

— Naturalnie! A poza tym postaramy się, aby tym razem pan już nie uciekł.

— Niech się pan dobrze zastanowi! Cóż wam z tego, że ja będę wisiał?!

— Nic, absolutnie nic, to prawda. Ale musi pan ponieść karę, na jaką sobie zasłużył. W tym przypadku jedynie pańska śmierć może mnie upewnić, że nigdy nikomu nie wyrządzi już master krzywdy.

— No, dobrze! Chcę wykupić się okrągłą sumą — nie rezygnował Melton.

— Nie posiada sir już nic.

— Mam pieniądze!

— Odbierzemy je, ale nie za cenę waszego uwolnienia. Jeśli nie wydalimy was w ręce sprawiedliwości, to z kolei my popełnimy przestępstwo. Nie, nie, weźmiemy pana z sobą!

— Czyńcie więc, co się wam podoba, psy wściekłe, i bądźcie po tysiakkroć przekleci!

— Tak, uczynimy, co się nam podoba, zaś to przekleństwo padnie na pana. Oto, mister Vogel — zwróciłem się teraz do Franciszka — pańskie pieniądze. Jest ich przeszło sto tysięcy dolarów.

— Niech się nimi po stokroć tysięcy razy udławi — ryknął Melton.

Vogel zbladł z wrażenia, kiedy ujrzał w swoich dłoniach trzy koperty. Rzekł do mnie:

— O niebiosa, co za majątek! To za wiele, stanowczo za wiele!

Chciał się z nami dzielić, ale przerwałem mu, mówiąc:

— Otrzyma pan przypuszczalnie o wiele więcej. Weź pan te pieniądze i przechowuj starannie!

— I nic pan nie przyjmie? — zapytał zakłopotany.

— Nie.

— A więc dobrze, tymczasem biorę je do siebie. Ale później wrócimy jeszcze do tego tematu.

KU JASNEJ SKALE

Należało niezwłocznie wyruszyć w drogę. Gdy przyprowadzono nasze konie, przywiązaliśmy Meltona do jego wierzchowca i zaopatrzeni w suszone mięso, ruszyliśmy ku Jasnej Skale. Jumowie pozwolili nam odjechać, nie stawiając żadnych przeszkód. Ale było widać, że nie są zadowoleni z przymusowego zawarcia pokoju. Mogliśmy być pewni, że przy ponownym spotkaniu zachowają się wobec nas niezbyt przyjaźnie.

Właściwie należało teraz szybko opuścić kanion Flujo Blanco, ale chcieliśmy najpierw wywiązać się z przyrzeczenia danego Indiance. Pojechaliśmy więc w dół rzeki, potem zaś skręciliśmy na wschód, w kierunku jej domu. Na miejsce dotarliśmy po dwóch godzinach. Indianka stała przed drzwiami, ujrzała nas bowiem z daleka.

— Czy w nocy nikt nie odwiedził mojej czerwonej siostry? — zapytałem.

— Owszem — odparła. — Młody biały, którego chcieliście pojmać, był u mnie, aby zabrać mego konia.

— Dałaś mu?

— Nie, sam wziął. Usiłowałam w tym przeszkodzić, ale zagroził mi śmiercią.

— Czy pojechał bez siodła?

— Nie. Zabrał je również.

— Czy nie dał ci jakiegoś polecenia?

— Tak. Mam powiedzieć białej squaw, że ucieczka się powiodła. Potem pojechał na południe, śledziłam go ukradkiem.

— Wiemy, dokąd zbiegł. Jesteśmy z ciebie zadowoleni i ofiarujemy ci to co przyrzekliśmy wcześniej.

Każdy z nas obdarował ją pieniędzmi. Zebrała tak sporą sumę, że wróciwszy do swoich, mogłaby wśród nich uchodzić za zamożną. Następnie wzięwszy lassa, udaliśmy się w dalszą drogę.

Od czasu gdy wyjechaliśmy z puebla, minęły cztery godziny. Należało przypuszczać, że Jonatan ubiegł nas przynajmniej o osiem godzin drogi

— Jak daleko do Jasnej Skąły? — zapytałem Winnetou.

— Dosiadamy szybkich rumaków i jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie, dojedziemy tam za trzydzieści godzin.

— Liczę na więcej niż trzydzieści, gdyż koń Meltona nie dotrzyma kroku naszym. Uważam, że zrobimy dwanaście godzin dziennie, zatem przyjedziemy do celu pojutrze. Czy Winnetou myśli, że Silny Wicher przyjmie nas zyczliwie?

— Mogollonowie nie żyją w przyjaźni z Apaczami, ale nigdy nie wyrządziłem im żadnej krzywdy. Nie widzę powodu, aby odnieśli się do nas wrogo.

— Melton może nastawić ich przeciwko nam.

— O ile przybędzie prędzej niż my.

— Na pewno. Zajędzie konia na śmierć, byle jak najszybciej dotrzeć do celu.

— Dlaczego?

— Bo jest przekonany, że Judyta nic nam nie zdradzi.

— Ale mógł powziąć wobec zła nas zamiary. Przypuszczając, iż zabawimy w pueblu przez dłuższy czas, zechce podburzyć Mogollonów, aby na nas napadli.

— To jest nawet bardzo prawdopodobne. W takim wypadku natkniemy się na nich po drodze, a więc staniemy na wojennej ścieżce.

Rozmawialiśmy po cichu, aby stary Melton nic nie usłyszał. Zresztą nie raczył nawet na nas spojrzeć. Myśli, które go opadły, musiały być bardzo ponure. Od czasu do czasu wydawał głębokie westchnienia lub gniewne pomruki.

Nie mogło być mowy o doścignięciu Jonatana. Zrozumieliśmy to od razu. Konie Vogla i Meltona nie były zbyt ręczne, a nadto nasz jeńiec za wszelką cenę starał się opóźnić jazdę.

Winnetou znał okolicę i był dobrym przewodnikiem. Mieliśmy przed sobą ślad Jonatana, który znalazł się tu po raz pierwszy w życiu i który kierował się wyłącznie wskazówkami Judyty.

Droga prowadziła wciąż pod górę. Wieczorem dotarliśmy do płaskowzgórza między Sierra Blanca a górami Mogollon. Wjechaliśmy na teren nie zalesiony. Powiał ostry i zimny wiatr z zachodu. Wstrząsały nami dreszcze, gdyż odzwyczailiśmy się już od tak dużych różnic temperatur.

Tuż przed zmrokiem zobaczyliśmy przed sobą pagórek, tworzący niejako parawan, przez który wiatr nie mógł przeniknąć. Rosło tu wiele drzew i krzewów, mogących dostarczyć chrustu na ognisko. Zziębnięci, marzyliśmy o jego cieple.

Zsiedliśmy z koni i rozwiązaliśmy starego Meltona. Tak był skostniały zarówno z zimna, jak i skrzepowania, że nie mógł stać ani chodzić. Musieliśmy zanieść go pod skalną ścianę i ułożyć na ziemi. Być może, że symulował. Bądź co bądź, należało go mieć na oku.

Po nakarmieniu koni i rozpaleniu ogniska, zabraliśmy się do jedzenia. Melton dostał porcję mięsa, pokrajaną na drobne kawałki, które wkładałem mu do ust. Nie chciałem uwalniać mu rąk nawet do jedzenia.

— Czy będziemy czuwać? — zapytał Emery.

— Myślę, że nie musimy — odparł Winnetou. — Nie ma tu nigdzie wrogów.

— Dobrze, więc wszyscy będziemy spali. Wypoczynek jest nam bardzo potrzebny.

— A jednak lepiej będzie czuwać — rzekłem. — Po pierwsze, musimy strzec Meltona, a po drugie, nie ufam jego synalkowi. Nie jest to wprawdzie westman, ale potrafi być sprytny. Jeśli weźmie pod uwagę możliwość, że mogliśmy jednak wydobyć z Judyty informację dokąd pojechał, może mu strzelić do głowy, aby zacząć się na nas gdzieś po drodze.

— Hm — mruknął Emery — nie jest aż tak doświadczony.

— Nie jest doświadczony, ale cwany.

— To już byłaby odwaga!

— Nie jest tchórzem i rozumie się, że potrafi okazać odwagę, tam gdzie stawką jest życie i majątek. Skoro chcecie spać, zgoda, śpijcie. Ja będę jednak czuwał przez całą noc.

— Nic podobnego! Jeśli uważasz, że to konieczne, będziemy czuwać na zmianę.

Losowaliśmy. Pierwszy miał trzymać wartę Winnetou, drugi Emery, trzeci ja, a ostatni Vogel. Wypadło po półtorej godziny na osobę, albowiem na nocleg przeznaczaliśmy sześć godzin. Była dziewiąta wieczór.

Po wielu przeżyciach ostatnich kilku dni spałem tak twardo, że Emery musiał dwukrotnie mną potrząsnąć, zanim się przebudziłem. Położył się na moje miejsce, ja zaś dorzuciłem chrustu do ognia, aby nie zgasł. Dookoła panowała głucha cisza. Z obu stron naszego biwaku zrywał się wicher, chwilami zawodząc i świszcząc. Aby nie drzemać, wstałem i przechadzałem się tam i z powrotem. Tak minął czas mojej warty i przyszła kolej na Franciszka. Lecz było mi żal pocziwego młodziana, nieprzywykłego do takich trudów. Pozwoliłem mu więc spać dalej i postanowiłem czuwać za niego.

Szybko ubywało chrustu. Oddaliłem się od ogniska, aby zebrać trochę gałęzi i drzewa. Ponieważ w pobliżu wybieraliśmy już do czysta, więc musiałem szukać chrustu gdzie indziej. Z powodu mroku poruszałem się po omacku, oddalając się coraz bardziej od śpiących towarzyszy. Oczywiście nie mogłem zapobiec mimowolnym szmerom, gdyż suche gałęzie, które znajdowałem, trzaskały pod moimi stopami.

W pewnym momencie usłyszałem dziwny, intrygujący mnie dźwięk. To nie było trzeszczenie gałęzi, to brzmiało zupełnie inaczej. Czy to wycie wiatru? A może rzenie konia?

Przystanąłem i zacząłem nasłuchiwać. Szmer czy raczej dźwięk nie powtórzył się więcej. Ale zrodziło się we mnie podejrzenie. Jeśli się nie myliłem, gwizdanie czy rzenie rozległo się z prawej strony. Odłożyłem chrust i zacząłem się czołgać na brzuchu w tamtym kierunku.

Przedsięwzięcie to było połączone z dużymi trudnościami ze względu na to, że musiałem się przekradać przez zagajnik. Gdyby między krzewami leżeli wrogowie, to w tych ciemnościach mógłbym ich znaleźć wyłącznie wówczas, jeśli bym posuwał się szerokim zygzakiem. Na to nie miałem jednak czasu i dlatego też postanowiłem skradać się prosto. Po upływie kilku minut wychwytiłem ten sam dźwięk. Teraz rozpoznałem już wyraźnie rzenie konia. Domyśliłem się, gdzie mógł on stać: w pobliżu stromej ściany góry, która chroniła nas przed wiatrem. A zatem nieznany jeździec tak samo jak i my szukał osłony przed jego podmuchami.

Lecz któż to mógł być? Jeśli przybył tu przed nami, to musiał nas widzieć. Dlaczego więc, o ile nie żywił złych zamiarów, nie zbliżył się do nas, albo jeśli się nas lękał, nie uciekł stąd? Dlaczego został? Jeżeli natomiast przyjechał po nas, to musiał zobaczyć nasze ognisko. Niewątpliwie się podkradł, aby dowiedzieć się, kto tu obozuje. Mimo to pozostał w pobliżu, z czego wynikało, że... Tak, właściwie co z tego wynikało? A jeśli miałem przed sobą nie jednego, lecz więcej ludzi? W takim razie groziło nam go ważne niebezpieczeństwo. Musiałem bezwarunkowo zbadać sytuację! Poczłogałem się do ściany skalnej, a potem wzdłuż niej. Z rzenia konia wywnioskowałem, że mogłem być oddalony od niego najwyżej na pięćdziesiąt kroków.

Posuwałem się na czworakach, powoli i bardzo ostrożnie, aż wreszcie pokonałem tę odległość. Na lewo ode mnie stał nie jeden, lecz wiele koni. Wszystkie były uwiązane. Jeźdźcy musieli leżeć w pobliżu. Pełzałem dalej między skałą a końmi. Nagle zobaczyłem leżący w wysokiej trawie wśród krzaków jak gdyby długi, okrągły tłumok. Po dotarciu do niego stwierdziłem, że jest to człowiek zawinięty w liczne kołdry. Ale gdzie byli inni? Skoro stało tu tyle koni, musiało być również wielu jeźdźców.

Nie mogłem czołgać się nadal wprost przed siebie, postanowiłem więc zakreślić łuk, dopóki nie dotrę do małego ugoru, gdzie jak już dostrzegłem siedzieli ci, których szukałem. Słyszałem, jak po cichu prowadzili między sobą rozmowę. Odważyłem się przysunąć bliżej, aż pod głaz, przy którym siedziały dwie postacie. Tuż obok rósł zagajnik, byłem więc dosyć osłonięty, aby nie obawiać się odkrycia. Wsunąłem głowę pomiędzy krzewy i zacząłem podsłuchiwać, bowiem z wątku rozmowy mógłbym wywnioskować, kogo mam przed sobą.

Ach, to było narzecze Jumów! Czyżby ścigali nas mieszkańcy puebla?! Usłyszałem, jak jeden z siedzących rzekł:

— Nie powinniśmy czekać, ale napaść na nich bezzwłocznie.

Chociaż szeptali, rozpoznałem głos Indianina, w którego domku zaskoczono nas w poprzedni wieczór. Moje Przypuszczenie sprawdzało się zatem. Byli to pueblosi.

— To nie jest wskazane — rzekł drugi. — Nasze kule mogłyby ugodzić Meltona.

— Skądże znowu! Wszak płonie tam ognisko. Cel widać wyraźnie.

— Ale straż, pomyśl o straży! Gdyby to nie był Old Shatterhand! Należy się lękać zarówno jego jak i Winnetou. Gdy podejmiemy, biały wojownik usłyszy nas na pewno!

— Nie słyszał ciebie, mimo że byłeś tak blisko ogniska.

— Wówczas nie czuwał jeszcze. Właśnie budzono go, kiedy się podkradłem. Siedział przez chwilę, po czym podniósł się i zbliżył do miejsca, gdzie przywarłem do ziemi. Musiałem szybko umykać, inaczej byłby mnie zauważył. Na szczęście nic nie słyszał. Jeśli jednak podejście nas tam więcej, usłyszy nas z pewnością. Musimy czekać na zmianę czuwającego.

Naraz wtrącił się trzeci Juma:

— Usłuchajmy rady białej squaw i odłóżmy atak do świtu. Musimy widzieć cel bardzo dokładnie. Jest ich tylko czterech, jeżeli więc będą dobrze widoczni, sprzątniemy ich w jednej

chwili. Natomiast jeśli napadniemy teraz, ciemność i miganie ogniska łatwo nas mogą zawieść.

— Za bardzo się ich lękacie — mruzczał nasz znajomy Indianin.

— To nie jest strach, lecz ostrożność. Pomysł o srebrnej strzelbie Apacza, a następnie o broni Old Shatterhanda, której sprawność dała się już nam we znaki. Nie, uderzymy na nich dopiero o świcie. Biała squaw, która była żoną naszego wodza, pragnie widzieć klęskę wrogów. Pragnie tego bardzo, a my możemy sprawić jej tę przyjemność.

— Słusznie — rozległ się głos Judyty, która wydostała się spod kołder, wstała i podeszła do mówiących. — Marzę, aby być przy tym. Chcę widzieć, jak te psy, te łotry zginą od waszych kul. Potem pojedziemy do Jasnej Skały, do mego przysłego męża, który tak was obdaruje, że będziecie posiadali więcej, niż kiedykolwiek mogliście o tym marzyć. Zgoda?

— Tak, zgoda, zgoda! — zabrzmiało dookoła.

— Jak daleko jest stąd do ogniska tych szubrawców?

— Może jakieś trzysta kroków — rzekł Indianin, który nas podpatrywał.

— Podkradnę się do nich, muszę ich zobaczyć — oświadczyła nagle Judyta.

— To niebezpieczny krok.

— Nie dla mnie. Wiem, jak należy się niepostrzeżenie skradać. Nauczył mnie tej sztuki mój mąż, a wasz wódz.

— Ale jeśli Old Shatterhand czuwa nadal, to niewątpliwie cię usłyszy.

— Nie. Wszak i ciebie nie słyszał.

— Pozwól przynajmniej, abym ci towarzyszył.

— Nie jest mi potrzebna opieka.

— Nie pozwolę ci pójść samej. Gra toczy się nie tylko o twoje, lecz także o nasze życie.

— Dobrze, więc chodź! Wiedziałem więcej niż pragnąłem; czym prędzej się wycofałem i ruszyłem z powrotem. Ta niespodzianka zakrawała na żart. Judyta ścigała nas wraz z Indianami, aby przyjrzeć się naszej zagładzie. Ile żywiła do nas nienawiści? Musiała, jako małżonka wodza, przyzwyczaić się do konnej jazdy, skoro tak szybko tu przybyła.

Zacząłem się na nich w dogodnym miejscu i przywarłem do ziemi. Niebawem usłyszałem chrzęst gałęzi. Zbliżali się oboje. Przepuściłem ich naprzód, aby następnie iść za nimi. Doszli na trzydzieści kroków do naszego ogniska, które tymczasem już prawie zupełnie wygasło. Rozdzielili się, aby sobie wzajemnie nie przeszkadzać. On odsunął się nieco na lewo, Judyta zaś na prawo ode mnie. Postanowiłem schwytać najpierw Indianina, a dopiero później ją.

Skradałem się za nimi z boku, nie mogłem jednak uniknąć lekkiego szmeru, który obudził czujność Jummy. Zatrzymał się i jął nasłuchiwać. Stał w pozycji dla mnie nader dogodnej. Jeden skok, a złapałem go za gardło i parokrotnie uderzyłem rączką rewolweru. Upadł na ziemię. Omdlały nie mógł już nam szkodzić.

Teraz przyszła kolej na damę. Mogła się łudzić, że jest bezpieczną, gdyż z tamtej strony góry wicher wył z podwójną siłą i zagłuszał jej kroki. Wszakże musiałem przyznać, że całkiem nieźle wywiązywała się z zadania. Tak sprawnie korzystała z cienia rzucanego przez krzewy, że nie czy spostrzegłbym ją, gdybym pozostał przy ognisku.

Przysunęła się tak blisko, że mogła dojrzeć śpiących. Uklękła w trawie i spoglądała przez gałęzie. Zbliżyłem się do niej po cichu na odległość ręki. Wyciągnęła szyję i czegoś wypatrywała. W tym momencie odezwałem się:

— Nie ma mnie tam, seniora! Tutaj powinna pani spojrzeć.

Odwróciła gwałtownie głowę. Nigdy jeszcze na niczyjej twarzy nie widziałem takiego przerażenia. Skamieniała, język stanął jej kołkiem i nie mogła z siebie wyrzucić słowa.

— Podkradła się pani, aby widzieć „te psy i łotry”? Proszę, zobaczy ich pani dokładnie. Wstań i chodź ze mną — rozkazałem ostrym tonem.

Podniosłem się. Judyta klęczała wciąż jeszcze i wpatrywała się we mnie przestraszona.

— Proszę się podnieść — powtórzyłem trochę łagodniej.

— Pan... pan... jest tutaj? — wyjąkała wreszcie.

— Wszak pani widzi. Naprzód, idziemy!

— Co mam...?

— Co ma pani robić? Przyszła pani, aby zobaczyć, jak padniemy od kul Jumów. Pragnę seniorze to ułatwić. Będzie pani siedziała przy nas, kiedy padną strzały. A więc naprzód, do ogniska!

Mówiłem głośno. Winnetou ocknął się ze snu i zerwał na równe nogi. Chwyciłem Judytę z tyłu za kołnierz bluzki i popchnąłem ku ognisku.

— Ufff! — zawołał zdumiony Apacz. — Widzę białą squaw.

— Jest tu ze swoimi Jumami, którzy mieli nas zastrzelić — poinformowałem go.

Emery i Franciszek obudzili się również. Stary Melton także nie spał. Jego przerażone spojrzenie spoczywało na nieszczęsnej „wybawicielce”.

— Któż to jest? — zapytał Emery przecierając oczy. — Wszak to znów nasza nadobna Judyta!

Wyjaśniłem im w krótkich słowach zaistniałą sytuację, przyniosłem chrust, aby podsyć ogień, i przytaszczyłem nieprzytomnego Jumę.

— Czy nie lepiej byłoby zagasić ogień? — zapytał Anglik.

— Jeszcze nie teraz — odparłem.

— Ale skoro się Jumowie zbliżą, będą nas dobrze widzieli.

— Zaraz nie przyjdą. Zastanówmy się teraz, co powinniśmy zrobić.

— Zwłaszcza z tą kobietą — dopowiedział Emery.

— Co myśli mój brat? — zapytałem Apacza.

— Nic. Winnetou istotnie nie wie, co ma powiedzieć o tej squaw. Należałby ją zgładzić, podobnie jak się tępi grzechotniki.

— Tylko nie to! — rzekłem. — Mimo wszystko jest kobietą. Pozwolimy jej umknąć. Wiemy już, jak się rzeczy mają. Wyruszymy natychmiast w drogę.

— Nie pojmuje ciebie. Co się stanie z Jumami? Czy nie damy im żadnej nauczki? — dopytywał się Emery.

— Ich już nic nie potrafi nauczyć. A czas nagli. Musimy się śpieszyć. Przywiążcie Meltona do konia.

— A ta seniora, która się uważa za damę...? Nie do wiary, żeby mimo...

— Zaczekaj! Przywiążcie tylko Meltona do siodła, a potem sprowadźcie mojego wierzchowca — rzuciłem pośpiesznie.

Uspokoilo go to, że zostałem przy Judycie. Wnioskował, że nie minie ją kara. Wziąłem lasso i przywiązałem jej ręce do tułowia, po czym zawiesiłem u siodła broń i dosiadłem konia.

— Tak, teraz podajcie mi naszą dobrą znajomą — oświadczyłem. — Skoro tak chętnie z nami przebywa, wezmę ją w objęcia.

Emery i Winnetou podnieśli Judytę do góry. Wówczas zaczęła krzyżeć na całe gardło. Niewzruszenie przełożyłem ją przez konia, pozostali towarzysze dosiedli swoich rumaków. Winnetou uchwycił cugle konia Meltona i popędziliśmy wzdłuż skały, a potem na równinę, po której wciąż hulał wiatr. Z nieba zwisały ciężkie chmury. Noc była ciemna, choć oko wykol, lecz Winnetou był przewodnikiem, na którym można było polegać. Mimo mroku zauważyłem, że skręcił w kierunku, którego trzymaliśmy się od chwili wyjazdu z doliny Flujo Blanco.

Mogła być czwarta nad ranem. Zaczęło szarzeć. Jechaliśmy wciąż przez płaskowzgórze. Na lewo od nas, a więc na południu, wznosił się las, wrzynający się wąskim pasmem w widnokrąg aż na zachód. Zatrzymaliśmy się dopiero w tamtym lesie. Kazałem opuścić Judytę na ziemię, po czym zeskoczyłem z konia i uwolniłem jej ręce. Wbiła spojrzenie w ziemię i milczała.

— Czy wie pani, gdzie jesteśmy? — zapytałem.

Nie odpowiedziała.

— Wiemy, jak lubi seniora z nami przebywać, ale, niestety, musimy zrezygnować z pani towarzystwa. Bywaj zdrowa!

Skoczyłem na konia i ruszyliśmy dalej. Po pewnym czasie odwróciliśmy się, Judyta stała wciąż jeszcze na tym samym miejscu.

— Nie wie, gdzie się znajduje — rzekł Emery.

— O to mi właśnie chodziło — odparłem.

— Czy znajdzie drogę powrotną?

— Prawdopodobnie, ale jeśli jest mądra, to nie ruszy się stamtąd. Jej Jumowie zarządzają poszukiwania, naturalnie z początku w kierunku gór Mogollon. Skoro się spostrzegą, żeśmy tam nie pojechali, wrócą i prędzej czy później odnajdą Judytę. Lęk przed samotnością na odludziu i obawa, że Jumowie nie zdołają jej odszukać, będą dla niej karą, chociaż nie tak wielką, na jaką zasługuje.

— Ale jeśli Jumowie istotnie jej nie odnajdą, wówczas zginie marnie!

— Na poszukiwaniach zejdzie im najwyżej jeden dzień. Być może, dzięki temu zaniechają dalszego pościgu.

Okazało się później, że miałem rację; podobno chwasty niełatwo jest wykorzenić.

Posuwaliśmy się wciąż wzdłuż lasu, a potem pomiędzy jego drzewami, co nie utrudniało jednak jazdy, gdyż las był dość rzadki. W południe znów wjechaliśmy na zieloną równinę, na której tu i ówdzie wznosił się pagórek czy wzgórze.

Urządziliśmy godzinny postój, aby konie mogły odpocząć. Chcieliśmy już ruszyć dalej, gdy naraz w pewnej odległości wyłoniła się przed nami gromadka jeźdźców. Szybko cofnęliśmy się w głąb lasu. Po pewnym czasie rozpoznaliśmy w nich Indian. Dosiadali wspaniałych koni. Nie mieli ani oszczepów, ani też łuków.

— Wywiadowcy — zauważył Winnetou.

Podzielałem jego zdanie. Wywiadowcy muszą mieć ręce konie, aby się szybko poruszać. Broń, o której wspomniałem, może tylko przeszkadzać przy tego rodzaju wyprawach.

— Wywiadowcy? — zapytał Emery. — Można o nich mówić jedynie podczas stanu wojennego. Czy słyszeliście, aby któreś z tutejszych plemion wykopało wojenny tomahawk?

— Nie — odparł Winnetou. — Ale tu zbiegają się granice wielu plemion. Spory wśród nich nigdy nie ustają i łatwo mogą wynikać z tego powodu zatargi między sąsiadami.

— Ci trzej nie mają na twarzach żadnej farby — rzekłem. — Dlatego nie widać, z jakiego są plemienia.

— Mój brat niech poczeka, aż się zbliżą. Zdaje się, że są to trzej młodzi i jeden starszy wojownik. Być może, widziałem go już kiedyś..

Nie jechali wprawdzie wprost ku nam, ale zbliżyli się o tyle, że mogliśmy rozpoznać ich twarze. Rzeczywiście, trzech było młodych, jeden zaś stary.

— Uff! — zawołał Apacz. — Wszak to mój brat, Szybka Strzała, wódz Nijorów. Ten może nas zobaczyć.

Po tych słowach wyjechał z lasu ku wywiadowcom. Podążyliśmy za nim. Skoro tylko Nijorowie nas zobaczyli, sięgnęli po noże. Lecz już po chwili starszy Indianin krzyknął radośnie:

— Uff! Mój przyjaciel i brat Winnetou! Wielki wódz Apaczów zjawia mi się jak promień słoneczny choremu, który tęskni do ciepła.

— A widok Szybkiej Strzały jest dla mnie niczym źródło dla spragnionego. Mój brat zostawił w domu oręż. Czyżby więc wyruszył na zwiady?

— Tak. Szybka Strzała wyjechał wraz z trzema wojownikami, aby się dowiedzieć, z jakiej strony będą ujadać psy Mogollonów.

— Dlaczego to powstała zwada między nimi a mężnymi Nijorami?

— Trzej nasi wojownicy jechali przez teren tych szakali. Zabito ich. Wysłałem posłów, aby się dowiedzieli, dlaczego podniesiono topór na naszych wojowników. Ale i oni nie wrócili. Wówczas posłałem wywiadowców i dowiedziałem się, że Mogollonowie ponieśli wielkie straty w koniach, które wytrzebiła zaraza. Wobec czego zamierzają uderzyć na nas i zagrabieć nasze. Dlatego wyruszyłem, żeby sam się naocznie o tym przekonać! I teraz wracam.

— Jaką wiadomość przynosi mój brat swoim wojownikom?

Szybka Strzała otworzył usta, aby przemówić, ale zamknął je szybko, obrzucił nas badawczym spojrzeniem i rzekł:

— Wódz Apaczów jest w towarzystwie obcych białych i nawet związanego jeńca. Jakże więc mogę odpowiadać na jego pytanie?

Wówczas Winnetou wskazał ręką na Vogla i powiedział:

— Ten oto młody człowiek nie jest wprawdzie wojownikiem i nigdy nie walczył z wrogiem, ale jest władcą dźwięków radujących serca. Kiedy gra na strunach, uszy wszystkich którzy go słyszą, napełniają się zachwytem. Winnetou ofiarował mu przyjaźń i ochronę.

Wskazując na Emery'ego, rzekł:

— Ten biały mąż jest wielkim, silnym i odważnym wojownikiem. Jego kamienne namioty wznoszą się z tamtej strony morza. Posiada liczne stadniny i ogromne bogactwa. Mimo to wyruszył, aby dokonać mężnych czynów. Winnetou jest jego przyjacielem. Poznał go już dawniej w górach i w sawannach, a przed kilkoma miesiącami za dwoma wielkimi morzami był świadkiem jego odważnych poczynań.

— A ten oto? — zapytał Szybka Strzała, wskazując na mnie palcem.

Sądziłem, że Winnetou będzie się nade mną rozwódzić w pochwałach, ale odparł tylko:

— To jest mój brat, Old Shatterhand.

Oko Nijora drgnęło. Dotychczas siedział na koniu, teraz zeskoczył z siodła, wbił klingę noża w ziemię, usiadł, obok i powiedział:

— Dobry Manitu spełnił moje największe życzenie — widzę Old Shatterhanda. Moi znakomici bracia mogą zejść z koni i usiąść przy mnie. Zaś swego jeńca powierzcie moim młodym wojownikom, którzy go będą pilnie strzec.

Zeskoczyliśmy także na ziemię. Właściwie ani oni, ani my nie powinniśmy byli marnować czasu. Ale nie chcieliśmy sprawiać przykrości wodzowi Nijorów. Usiedliśmy więc przy nim, tworząc krąg wokół noża. Na skinienie Apacza trzej młodzi Indianie zdjęli Meltona z konia, związali mu nogi i położyli w trawie obok siebie, tak daleko od nas, żeby nie mógł słyszeć naszej rozmowy.

Szybka Strzała zdjął z rzemienia kalumet, nabił go i zapalił tytoń zapałką; którą mu podałem. Wypaliliśmy fajkę pokoju zgodnie z ceremoniałem. Skoro nastąpiło ostatnie pociągnięcie, zostaliśmy przyjaciółmi. Teraz dopiero odpowiedział wódz na poprzednie pytanie Winnetou:

— Psy Mogollonów za cztery dni wyjdą ze swych nor, aby wyruszyć przeciwko mojemu plemieniu.

— Skąd mój brat może znać tak dokładnie termin? — zapytał Apacz.

— Widziałem, jak przygotowywali swoje leki. Zwykle potem mijają cztery dni, zanim wyrusza się na wyprawę.

— Czy mój brat poczeka na nich, czy też wyjedzie im naprzeciw?

— Nie wiem jeszcze. Uchwała zapadnie na radzie starszych. Czy mój brat Winnetou pojedzie ze mną, aby przemawiać na zebraniu? Moi wojownicy będą też dumni z obecności mądrego i mężnego Old Shatterhanda.

— Chętnie byśmy z tobą pojechali — odezwał się — ale śpieszy nam się do Mogollonów.

— Do nich, do wrogów mego plemienia?! — zawołał zdumiony.

W krótkich słowach wyjaśniłem mu powód naszej wyprawy. Namysławiając się, zamknął oczy i rzekł po chwili:

— Moi bracia mogą przecież jechać ze mną. Skoro zły biały, którego zwą Melton, oddał się pod opiekę Mogollonów, zostanie przy nich na pewno.

— A jeśli odmówią mu obrony?

— Wówczas uda się do Jasnej Skały, aby czekać tam na swoją squaw.

— Ta już wyruszyła w drogę. Może się jutro z nim spotkać. Widzisz zatem, że nie wolno nam tracić czasu.

— Istotnie, przyznaję ci rację. Mój brat Old Shatterhand powiedział, że Melton opuścił pueblo na koniu?

— Tak.

— Ale nie w powozie?

— Nie.

— Czy była przy nim biała squaw?

— Wtedy nie.

— A woźnica?

— Nie.

— A biały myśliwy, który jest przewodnikiem?

— Też nie. Dlaczego Szybka Strzała zadaje te pytania?

— Ponieważ widziałem, jak Mogollonowie napadli na powóz. Zastrzelili woźnicę i schwyтали w niewolę białego mężczyznę, białą kobietę i przewodnika.

— Dlaczego mieliby na nich napaść?

— Przecież wykopali wojenny topór. Kiedy te psy wojują z czerwonymi, białych również uważają za swych wrogów.

— Niepodobna, aby to był Jonatan Melton. Ale teraz tym bardziej nie możemy zwlekać — życie napadniętych wisi na włosku. Musimy się rozstać z mężnym wodzem Nijorów. Być może, zobaczy nas prędzej, niż sądzimy.

— Czy Old Shatterhand ma istotnie tę nadzieję?

— Tak. Może nawet będziemy potrzebowali twojej pomocy przy schwytaniu Meltona. Czy możemy na ciebie liczyć?

— Tak. Wypaliliście ze mną fajkę pokoju, a więc wasi wrogowie są także moimi. Gdy tylko będziecie mnie potrzebowali, przyjdźcie do mnie. Bardziej cenię towarzystwo Winnetou i Old Shatterhanda niż innych wojowników. Będziecie mile widziani i sprawicie nam wielką radość.

— Czy Mogollonowie przypuszczają, że wiecie o ich planach?

— Zdają sobie sprawę, że znamy ich wrogie zamiary, ale nie spodziewają się, że wiemy, kiedy mają przeciw nam wyruszyć.

— To bardzo dobrze! Zaskoczy ich wasza zbrojna gotowość. Jakie plemię jest silniejsze, wasze czy ich?

— Liczebnej przewagi żadne z nas nie ma.

— Mam nadzieję, że będę mógł wam się przydać. Czy byłbyś łaskaw wyświadczyć nam pewną przysługę?

— Powiedz, jaką. Uczynię wszystko, o ile będzie to w mej mocy.

— Moja prośba jest zarazem dowodem przyjaźni jak i wielkiego zaufania, jakie do ciebie żywię. Nie wiemy na razie, co nas oczekuje w najbliższych dniach. Prawdopodobnie nasza roztropność i odwaga zostaną wystawione na ciężką próbę. Gdybyśmy musieli wlec z sobą jeńca, nie moglibyśmy ręczyć za powodzenie tej sprawy.

— Chcecie mi go powierzyć? Czy mam go strzec? — zapytał wódz.

— Prosiłbym cię o to.

— W takim razie chętnie spełnię twoją prośbę. Jestem z niej dumny, albowiem dowodzi, że uważasz mnie za swego przyjaciela i brata. Możesz być pewien, że będę go tak samo dobrze pilnował, jak gdybyś ty osobiście go własnym okiem doglądał.

— Dziękuję. A teraz spójrz na młodego człowieka, który siedzi przy mnie. Wódz Apaczów powiedział, że nie jest to wojownik. Młody biały nie przywykł do niebezpieczeństw, które nas zapewne jeszcze czekają. Czy mógłby pojechać z tobą? Czy zechciałbyś go wziąć pod swoją opiekę?

— Tak. Będzie mieszkał u mnie w namiocie i będę go traktował niczym własnego syna. Jego obecność będzie mi rękojmią, że wkrótce was zobaczę. Czy moi bracia mają jeszcze jakieś życzenia?

— Już nie. Za okazaną nam życzliwość chcę ci powiedzieć, że odtąd będziemy często myśleli o tobie i twoim szczepie. Postaramy się też wybadać Mogollonów.

— Ta usługa będzie dla mnie warta tak dużo, jak gdybym wysłał dziesięciokrotnie więcej wywiadowcom którzy mają za nas patrzeć, myśleć i działać. Chwałę dobrego Manitu, że mnie z wami zetknął. On sprawi również, aby niebawem moje oczy znów radowały się widokiem waszych twarzy. Howgh!

Stary Melton był wielce zdumiony kiedy dowiedział się, że zabierają go ze sobą Nijorowie, a jednak ta zmiana nie wydawała mu się nieprzyjemna. Od nas nie mógł się spodziewać niczego dobrego, zdawał sobie z tego doskonale sprawę. Nijorom zaś nic złego nie wyrządził; być może, nie będą go zbyt pieczołowicie strzegli; być może, uda mu się przekonać ich, że jest niewinny; być może nawet, znajdzie się ktoś, kto omamiony przyrzeczeniem, dopomoże mu w ucieczce. W każdym razie zmiana ta nie mogła pogorszyć jego sytuacji. Dlatego na jego twarzy malowało się zadowolenie, kiedy przywiązaliśmy go ponownie do konia. My natomiast mogliśmy być pewni, że Nijorowie nie zawiodą naszego zaufania. Wszak byłby to dla nich nie lada wstyd, gdyby nie mogli nam na nasze żądanie zwrócić jeńca. W ich plemienu będzie otoczony lepszą strażą niż u nas, mimo że jedzie z nimi z większą ochotą niż nasz młody przyjaciel-wirtuoz.

Pożegnanie było krótkie, ale wyjątkowo serdeczne. Przyjaciele nasi znikli niebawem w lesie, a my trzej, Winnetou, Emery i ja pojechaliśmy w kierunku, skąd przybyli Nijorowie.

Teraz nikt już nie przeszkadzał nam rozwinać największej szybkości. Jak burza przemknęliśmy przez zieloną równinę. Mogliśmy się spodziewać, że do celu dotrzemy już najbliższego rana.

Droga Nijorów była najprostsza — trzeba tylko było jechać ich tropem, który później znikł, gdyż w pobliżu wroga starali się zatrzeć za sobą ślady. Wieczorem, oddaleni o jakieś siedem mil od miejsca spotkania z Szybką Strzałą, szukaliśmy dogodnego miejsca na postój. Z lewej strony wznosiło się wzgórze. Zagajnik rosnący w pobliżu świadczył o dużej ilości wody. Ominęliśmy pagórek i zobaczyliśmy przed sobą krzewy, z których nagle rozległ się... głos:

— Zatrzymajcie się! Jeśli zrobicie choć jeden krok, dostaniecie kulą w łeb!

To nie były przelewki. Nie wiedzieliśmy, kto nam groził, bo tkwił ukryty w krzakach. Stanęliśmy niechętnie. Słowa mówiącego świadczyły, że był to biały i nie Hiszpan.

— Gdzie jest właściwie surowy pan i władca tego pagórka? — zapytałem po chwili

— Tu, za dziką wiśnią, zza której sterczy lufa mojej strzelby — odparł.

— Dlaczego grozi nam pan kulą, sir?

— Będę was tak długo trzymał na muszce, póki nie dowiem się, czy jesteście łotrami, czy też dżentelmenami.

— To drugie, tylko to drugie, drogi panie — odezwał się Emery.

— Tak może się przechwalać każdy szubrawiec. Proszę mi jednak tego dowieść i to natychmiast!

— W jaki sposób? Czy sądzi pan, że obnosi się tu człowiek ze świadectwami chrztu lub szczepienia przeciw chorobom zakaźnym?

— Kiepskie to żarty! Wymieńcie tylko swoje nazwiska! Kim jest ten czerwonoskóry mężczyzna, który wam towarzyszy?

— To Winnetou, wódz Apaczów. Mnie zaś nazywają Old Shatterhandem.

— Do licha! Winnetou i Old Shatterhand! Co za spotkanie! Spieszę, natychmiast spieszę do was!

Gałęzie rozsunęły się i zza drzewa wyszedł bardzo długi i chudy mężczyzna. Wisiały na nim same łachmany. Głowę miał odkrytą, w ręku trzymał... maczugę. Gdyby się taki pokazał na naszych drogach, zaarrestowano by go niezwłocznie jako włóczęgę spod ciemnej gwiazdy.

Z gestem naśladowującym zdejmowanie kapelusza skłonił się i zawołał:

— Wielki to honor, niezwykle honor dla mnie, panowie! Zjawiacie się na czas. Naprawdę nie wiedziałem, gdzie was szukać.

— Pan nas szukał? — zapytałem wielce zdziwiony.

— Dotychczas jeszcze nie, ale miałem właśnie taki zamiar.

— Nie pojmuję. Czy jest pan sam?

— Tak.

— Jak mamy pana nazywać?

— Jak wam się podoba. Nazywają mnie rozmaicie. Jeśli jest pan istotnie Old Shatterhandem, a wygląda mi sir na niego, to na pewno słyszałeś o Willu Dunkerze.

— Słynny wywiadowca generała Granta?

— Tak, sir. Nazywają mnie również Długim Dunkerem lub Długim Willem.

Znowu zdjął niewidzialny kapelusz.

— Więc chciał mnie pan odszukać? — podjąłem temat.

— Tak. Pana, Winnetou i młodego muzyka, nazwiskiem Vogel.

— Zdziwiający! Czy można było coś podobnego przypuścić? — rzekłem, zwracając się do Emery'ego i Winnetou.

— Słyszysz pan, że tak jest. Zresztą wyjawię panom całą rzecz. Zsiądźcie tylko z koni i chodźcie ze mną.

— A więc możemy już ruszyć się z miejsca?

— Oczywiście. Oto moja strzelba — roześmiał się i wskazał na swoją pałkę.

— Czy nie używa pan godniejszej obroni?

— Nie. Wysunąłem przez gałęzie maczugę, aby was oszukać.

— Ale wszak Will Dunker musi posiadać broń.

— Miałem broń i to jaką! Odebrali mi ją Mogollonowie.

— Ach, więc napadli na pana?

— Zgadza się. I na czterokonny powóz.

— Pan był przewodnikiem, woźnicę zaś zastrzelono?

— Tak jest. Ale mówi pan o tym tak, jak gdyby się temu przyglądał. Skąd te informacje?

— Niech pan przedtem powie, kim jest ta lady, która siedziała w wozie?

— Już mówię. Podejdźcie tylko do wody i rozgośćcie się jak u siebie w domu. Witam was, panowie, serdecznie was witam! Wielki to dla mnie zaszczyt widzieć was, nader wielki zaszczyt!

I znowu kłaniał się nam, zdejmując z głowy niewidzialny kapelusz. Słyszałem już o tym dziwnym człowieku, ale widziałem go po raz pierwszy. Zeskoczyliśmy na ziemię i wprowadziliśmy do zagajnika nasze konie, po czym zatrzymaliśmy się nie opodal źródła tryskającego z ziemi, obok którego stał wspaniały, po indiańsku okiełznany rumak.

— To pański koń, mister Dunker? — zapytałem z podziwem.

— Tak! — odpowiedział. — Właściwie, jeśli pan woli, pożyczyłem go sobie od Silnego Wichru, o ile pan zna tego Indianina.

— Aha, od wodza Mogollonów. Cóż go skłoniło do pożyczenia panu takiego wspaniałego bieguna?

— Właściwie on sam o tym nie wiedział. To była pożyczka wbrew jego woli, zapomniałem zapytać go o pozwolenie.

— Nie słyszałem nigdy, aby Will Dunker był koniokrądem.

— Nie jest nim, sir, istotnie nie jestem! Może pan wierzyć. Ale Mogollonowie zabrali mi wszystko i podarli na mnie odzież, kiedy się broniłem. Chcieli mnie schwytać żywego. Za to zabrałem konia.

— Niezła przygoda, jak sędzę. Musi nam pan opowiedzieć!

— Chętnie! Ale niech mi pan pożyczycy jakiejś broni, jeśli macie zbyteczną, abym czuł się człowiekiem.

— Proszę wziąć rewolwer.

— Wziął go, obejrzał dokładnie, spojrzął na markę i rzekł:

— Wspaniała broń. Słynna fabryka, sir! Teraz mogą nadejść ci szubrawcy, powitam ich godnie. I jeszcze coś! Może macie kęs lub dwa mięsa? Od wczorajszego rana nie miałem nic w ustach.

— Oczywiście, może pan dostać również mięsa. Proszę, Emery, odkraj spory kawał!

Kawał suszonego mięsa, przeszło dwa funty, znikł w ciągu krótkiej chwili. Ten dopiero był głodny! Potem rękami zaczerpnął wody ze źródła, wypił i rzekł, mlaskając głośno:

— To mi pomogło! Nie sądziłem, że będę jeść tak szybko. To szczęście, to prawdziwe szczęście, że was tu spotkałem, i nie tylko dla mnie, ale i dla pozostałych towarzyszy podróży uwięzionych przez Mogollonów. Tylko wy potraficie ich wybawić!

— Cóż to za ludzie?

— Co za ludzie? Hm, zdziwicie się, bardzo się zdziwicie!

— Mówże wreszcie! Mów wszystko, co wiesz!

— Dowie się pan za chwilę. Zacznę jednak od początku. A zatem, siedziałem w forcie Belknar przy szklaneczce najwspanialszego pod słońcem trunku i namyślałem się, dokąd skierować swe kroki: czy do Red Riwer, czy też może do Estacado. Naraz zatrzymał się przed drzwiami powóz, zaprzężony w cztery konie. Wysiadł z niego jegomość, w którym na odległość można byłoby rozpoznać dżentelmena. Wszedł do izby, usiadł przy najbliższym stoliku i medytował jak ktoś, kto nie wie, co ma wypić. Naturalnie poradziłem mu, aby kazał sobie podać to samo co ja, i wpięrow dałem mu skosztować ze swej szklanicy. Nie leliśmy za kołnierz — możecie mi wierzyć. W rozmowie wyjaśniłem mu, kim jestem. Wobec tego zapytał, czy nie znam jakiegoś dzielnego i pewnego przewodnika do Nowego Meksyku i dalej. Chciał się dostać do Frisco. Nieraz już przebywałem tę drogę, znam ją tak dobrze jak własną kieszeń, przeto zaofiarowałem mu swoje usługi. Wziął nowe konie i już po godzinie wyruszyliśmy w drogę. Czy domyśla się pan, kim jest ten człowiek? Zna go pan dobrze, sir!

— Istotnie? To przypadek!

— Przypadek, ale szczęśliwy. Ten master nazywa się Murphy, Fred Murphy, i jest adwokatem w Nowym Orleanie.

— Adwokat Fred Murphy? Czy to być może!? — krzyknąłem. — Dalej! Niech pan opowiada!

— Dobrze. Ze względu na pana skrócę swoje opowiadanie.

— Czy wie pan, czego Murphy szukał w San Francisco?

— Wówczas jeszcze nie wiedziałem, ale teraz jestem już zorientowany, słyszałem bowiem jego rozmowę z lady

— Co to była za dama? — zapytałem z narastającą ciekawością.

— Zanim zacznę mówić o niej, muszę wpięrow wspomnieć o Albuquerque.

— O Albuquerque? Mówże konkretnie!

— A więc musieliśmy czekać w tym mieście przez cały dzień, trzeba było bowiem naprawić powóz. Siedzieliśmy w salonie, którego właściciel — zdaje mi się — nazywał się Plener jedliśmy posiłek. Przebywali tam również inni ludzie. Rozmawiali oni o niedawnych koncertach pewnego rodzeństwa, skrzypka i śpiewaczki, którzy występowali razem pod hiszpańskimi nazwiskami, ale powszechnie wiedziano, że pochodzą z Niemiec. Wypaplała to gospodyni, u której mieszkali.

— Czy ludzie ci wymienili rzeczywiste nazwiska rodzeństwa?

— Naturalnie! Brat nazywał się Vogel, a nazwisko siostry brzmiało Werner. Usłyszawszy to, adwokat zerwał się na równe nogi. Dopytał się o ich adres i czym prędzej wybiegł z salonu. Gdyby nie był adwokatem, myślałbym, że oszalał.

— I co dalej? — ponaglałem go.

— Dalej? Nie mogę nic więcej powiedzieć poza tym, że następnego ranka pani Werner wsiadła do powozu i udała się z nami w podróż. Pojechaliśmy drogą ku San Jose, przez Sierra Madre do New-Wigante, a następnie do Rio Puerco, gdzie przepawiliśmy się przez Kolorado i ruszyliśmy dalej drogą do Cerbat. Nagle lady Werner oznajmiła nam, że dalej nie jedzie, że tam pozostaje, by odszukać swego brata, który w tych stronach buszuje wraz z Old Shatterhandem, Winnetou i pewnym Anglikiem, sir Emerym.

— Oto on we własnej osobie — wskazałem z uśmiechem na Emery'ego, który wykonał dość ceremonialny ukłon w stronę Dunkera.

— Bardzo mi miło... — odklonił się Dunker, zdejmując przy tym, po raz nie wiem już który, swój niewidzialny kapelusz, po czym kontynuował dalej: — Z ich rozmowy dowiedziałem się o przywłaszczeniu spadku przez niejakich Meltonów oraz o tym, że Old Shatterhand, Winnetou i Emery udali się na poszukiwanie oszustów i przebywają gdzieś nad dopływem Kolorado.

— Nie, nad Flujo Blanco — sprostowałem.

— Możliwe, nie pamiętam dokładnie. Lady Werner chciała wraz z nimi wyruszyć na tę wędrowkę, ale nie zgodzili się na to. Więc teraz postanowiła, że musi odszukać brata i przyjaciół. Adwokat skapitulował wobec damy i odstąpił od pierwotnego zamiaru, dlatego też zamiast do Meksyku podążyliśmy ku góróm Mogollon. Wtedy to pomyślałem sobie, że gdzieś tam nad jakimś dopływem Kolorado w jakimś niedostępnym miejscu musieli ukryć się Meltonowie.

— Bardzo słuszne rozumowanie. Ale jak pan mógł, mister Dunker, zapuszczać się na takie pustkowia, do tego z damą w powozie?! Jak pan sobie takie podróżowanie wyobrażał, co? A o odpowiedzialności za życie tych ludzi, którzy panu zaufali, pan na pewno nie pomyślał?

— Niewiele mogłem oponować, a moich perswazji dama ta w ogóle nie chciała słuchać. Wyraziła życzenie i żądała, aby je spełnić. Adwokat zaś zapatrzony w nią, stracił zupełnie głowę, nie myślał logicznie. A ja? Cóż ja mogłem poradzić, skoro oni zadecydowali inaczej? Gdy tylko zjechaliśmy z drogi, zaczęły się trudności. To zapadaliśmy się w gąszczu, to znów musieliśmy wspinać się mozolnie pod górę, bo droga była tak kręta, że biedne konie ledwie zdołały ciągnąć powóz, to wreszcie trzeba było przepawiać się przez strumyki, w których wóz grzązał na długie godziny. Właśnie wczoraj po południu tkwiliśmy w takiej dziurze, gdy nas zaskoczono. Stu Indian przeciwko mnie jednemu. Woźnica runął zestrzelony z kozła, na adwokata zaś nie można było liczyć. Zanim zdążyłem odwieść kurek rewolweru, uchwyciło mnie dwadzieścia lub więcej rąk. Walilem dookoła siebie ile miałem sił, ale to nie mogło nas ocalić. Podarto na mnie odzież, przygnieciono do ziemi, związano i sprowadzono do uroczej miejscowości, zwanej Klekie-Tse, czyli Jasna Skąła.

— Ach! Tam właśnie jedziemy!

— Tak, powinniście tam jechać.

— Powinniśmy? Któż to powiedział?

— Lady Werner, która przebywa tam wraz z adwokatem. Czy był pan już kiedyś w Jasnej Skale?

— Nie, nigdy.

— Niech więc pan sobie wyobrazi małą górę. Ze szczytu jej widać okrągły zamek o białych murach, oknach, portalach, kolumnach, filarach, schodach, gankach i wieżach. Sądziłby pan, że wybudował go jakiś znakomity architekt, a jednak jest to tylko naturalna skała, biały kamień wapienny, który wydrążył i obrobił wyłącznie deszcz. Wzdłuż zamku płynie rzeczka, która jedną stroną przylega do skały, drugi zaś jej brzeg jest gęsto zarośnięty krzewami. W pobliżu rozciąga się łąka i tani właśnie Mogollonowie rozbili swe namioty.

— Czy wojenne?

— Nie. Mieszkają w nich wraz ze swymi żonami i dziećmi. Do tej właśnie pięknej miejscowości wkrótce potem nas zaprowadzono. Byliśmy spętani i leżeliśmy chwilowo obok siebie. Tchorzem podszyty, błądy ze strachu adwokat na przemian trząsł się z gniewu, to znów łkał. Lady była milcząca i opanowana. Liczyła na pańską pomoc.

— Podążymy tam niezwłocznie! — zapewniłem go.

— Rozłączono nas wieczorem — ciągnął swe opowiadanie Dunker. — Mnie umieszczono w namiocie, strzeżonym przez jednego Indianina. Podobnie postąpiono z adwokatem. Lady dostała również namiot, ale w przeciwieństwie do nas zdjęto z niej więzy, a nawet pozwolono swobodnie wychodzić z namiotu. Zdaje się, że to jej oczy tak urzekły wodza. Dziś koło południa zdarzyło się coś; co pana bardzo zainteresuje. Otóż wyciągnięto mnie i pana Murphy'ego z namiotów, aby przeprowadzić coś w rodzaju śledztwa. Siedzieliśmy obok siebie, a dokoła nas stali najprzedniejsi wojownicy Mogollonów. Naraz przyprowadzono jeźdźca, który właśnie przybył i chciał rozmawiać z wodzem. Był to biały. Na jego widok adwokat zaczął krzyczeć jak opętany.

— Czy wymienił jego nazwisko?

— Tak. Z początku nazywał go Smallem, Smallem Hunterem, a następnie Jonatanem Meltonem.

— Jakie to wrażenie wywarło na jeźdźcu?

— Z początku się przeraził, ale później uradował. Przemawiał długo do wodza, jednak nic nie mogliśmy usłyszeć. Przebył zapewne długą drogę i jechał chyba przez całą noc, gdyż z osłabienia musiał usiąść, a wierzchowiec pod nim był cały okryty pianą i kurzem.

— Jak zachował się wódz?

— Najpierw przywitał go posepnie, lecz po jego przemowie wypogodził się i nawet wypalił z nim fajkę pokoju.

— O, biada nam!

— Wiem, że jest to jeden z trzech Meltonów. I to najważniejszy oszust. Powiedział mi o tym adwokat.

— Czy Melton nie miał przy sobie torby?

— Owszem, miał torbę z czarnej skóry. Wisiała na rzemieniu przewieszonym przez jego ramię. Po skończonej rozmowie wódz wyznaczył mu namiot.

— Czy zauważył pan, który?

— Tak. Sąsiaduje z namiotem, w którym mnie umieszczono. Melton wszedł na chwilę do swego namiotu, po czym wrócił do nas.

— Czy nadał miał przy sobie torbę?

— Już nie.

— A zatem zostawił ją w namiocie. To bardzo ważne! Słucham pana dalej. — Podeszedł więc do nas, pokpił trochę z adwokata i powiedział mu, że zginie przy palu męczeńskim, skoro tylko Mogollonowie wrócą z wyprawy wojennej.

— Planowali więc wyprawę wojenną?

— Słyszałem o tym tylko z ust Meltona.

— Wiem, że Mogollonowie chcą napaść na Nijorów i zrabować im konie.
— A ci o tym nie wiedzą?
— Wiedzą i szykują się do obrony.
— Świetnie. W takim razie nasze akcje idą w górę. Pojedziemy do Nijorów i sprowadzimy ich, aby odbić lady i adwokata.
— Musimy się przedtem zastanowić — zdecydowałem.
— Dlaczego?
— Przede wszystkim muszę poznać obóz Mogollonów.
— Chce pan do nich jechać? Wprost w rozwartą paszczę wilka?
— Ani mi to w głowie. Niech pan opowie, jak stamtąd uciekł.
— Powiedziałem już panu, sir, że wyciągnięto mnie i adwokata z namiotów oraz że znieacka przybył Melton. Otóż tak zaprzętał swoją osobą wodza, że ten nie mógł się nami zająć. Nie zwracano na nas większej uwagi. Nogi mieliśmy wolne, tylko ręce wciąż spętane. Już od wczoraj szarpałem i targałem rzemienie. W moim namiocie stał stary garnek z wodą do picia. Zmoczyłem w niej rzemienie, które wnet zmiękły i zwiotczały. Ucisk zmalął. Czekałem tylko na odpowiednią chwilę, aby umknąć. Prowadzono mnie z powrotem do namiotu i przechodziliśmy właśnie koło wigwamu wodza. Stał przed nim koń, którego tu widzicie, wspaniały rumak, jakich niewiele na świecie. Oto nadarzyła się chwila, której tak oczekiwałem. Zerwałem więzy, dopadłem konia i pocałowałem przed siebie.
— Reakcja była chyba natychmiastowa?
— Z początku nie było żadnej. Indianie po prostu oniemieli ze zdumienia, tak że przejechałem bez przeszkód przez cały obóz. Dopiero potem zaczęło się widowisko: rwetes, krzyki, nieopisany harmider. Dosłyszałem wystrzały, ale było już za późno! Wszystkie chybiły. Nietknięty wyjechałem z obozu, wyminałem wartowników. Byłem wolny. Miałem wspaniałego konia, ale niestety żadnej broni. Przybyłem aż tutaj, napiłem wierzchowca i zamierzałem ruszyć dalej, gdy was ujrzałem. Tak, teraz wiecie już o wszystkim!
— Jak długo pan tu jechał?
— Może z trzy godziny.
— Czy sądzi pan, że zorganizowali pościg?
— Oczywiście, ścigają mnie na pewno. Jeśli im nawet nie zależy na mnie, to bądź co bądź rumak, którego porwałem, jest tak cenny, że nie będą szczędzili trudów, aby go odzyskać.
— A więc ścigający pędzą w ślad za panem. Przybędą tu, ale dopiero wieczorem. Słońce już skryło się za widnokrzem, a w ciemnościach Indianie nie odszukają tak łatwo śladów. Jednakże my nie będziemy zwlekać. Jedziemy do Jasnej Skały.
— Dobrze, jadę z wami!
— Nie mogę tego od pana wymagać. Bądź zadowolony, żeś stamtąd uciekł. Wracać tam z powrotem byłoby nie lada zuchwałością.
— Ale nie teraz, sir! Skoro Old Shatterhand i Winnetou są przy mnie, mogę się odważyć na wszystko. Jadę z wami! A może chcecie rozpowiadać o Długim Dunkerze, że uląkł się garstki Indian?
— To, co słyszałem o panu, nie pozwala posądzać cię o tchórzliwą naturę.
— Tak? Więc mówią o mnie nieźle? To mnie, starego urwisa, bardzo cieszy! Jadę z wami i możecie zrobić, co się wam żywnie podoba; ja będę przy was, panowie! Lecz nie podążymy drogą, którą przybyłem, aby nie zderzyć się z moimi prześladowcami.
— Ma pan rację! Winnetou jest obeznany z okolicą. On nas poprowadzi.
— Winnetou tak was poprowadzi — odezwał się Apacz — że już po dwóch godzinach ujrzycie przed sobą Jasną Skałę.
Napiwszy konie, pomknęliśmy w kierunku Jasnej Skały. Zbliżał się wieczór. Niebo było dziś znowu usłane chmurami. Szybko zaległa ciemność, Winnetou jednak prowadził nas pewnie, niczym za dnia.

Stało się tak, jak przewidział. Po dwóch godzinach jazdy osadził konia na miejscu. Przed nami wznosiła się wysoka, ciemna skała. Apacz rzekł:

— To jest góra, o której mówił Dunker.

— Czy rzeczywiście? — zapytał wymieniony. — Nie poznałem jej w ciemnościach.

— To ona. Ze szczytu widać Jasną Skałę.

— Musimy wspiąć się na jej wierzchołek. A więc naprzód! — rozpędził się Dunker.

— Stój! — ostrzegłem go. — Czy obóz zaczyna się po tamtej stronie góry?

— Tak.

— Czyli że góra panuje nad obozem. Dziwiłbym się bardzo, gdyby nie ustawiono na niej posterunku. Niech najpierw wejdzie tam sam Winnetou i zorientuje się w sytuacji.

Apacz zeskoczył z konia i znikł w mroku nocy. Wrócił dopiero po pół godzinie.

— Moi bracia niech się mają bacności — rzekł. — Na górze podwójny posterunek.

— Więc nie możemy tam wejść? — zapytałem.

— Wejść tak, ale nie wjechać.

Zostawiliśmy konie pod pieczę Emery'ego w pewnym oddaleniu od góry. Następnie wróciliśmy pod podnóże i zaczęliśmy się ostrożnie wspinać. Na górze, gdzie czuwali Indianie, płonęło ognisko, oświetlające wyraźnie dwie postacie. Wartownicy, a raczej ci, którzy ich tam postawili, nie zasługiwali na nagrodę.

MOGOLLONOWIE

Staliśmy na zboczu wierzchołka i spoglądaliśmy na obóz. Niestety, Jasnej Skały nie mogliśmy rozpoznać. Po nocy wszystko czerniło się jednakowo. W obozie migają liczne światełka. Namioty rysowały się w niewyraźnych konturach.

— Tak, jesteście na miejscu — rzekł Dunker. — Ale co dalej?

— Nie można rozpoznać namiotów — odparłem. — Gdyby to była pełnia i księżyc by świecił, wówczas moglibyśmy działać!

— Mrok ma też swoje zalety.

— Rozumie się. Ale teraz przede wszystkim powinniśmy się dowiedzieć, w którym namiocie jest Melton, a w którym pani Werner.

— Wiem to, ale nie potrafię dokładnie ani określić, ani też wskazać. Ale gdybym nawet mógł, co by pan wtedy zrobił?

— Podkraǳłbym się do obozu.

— W jakim celu?

— Aby przynajmniej rozmówić się z lady, jeśli niepodobna byłoby ją wykraść.

— Byłby to jeden z tych wspaniałych wyczynów pana lub Winnetou, o których niesie fama. Ale musi pan wiedzieć, że dookoła obozu gęsto rozstawiono posterunki. Jakże by się pan przedostał?

— Najzwyczajszą drogą, mianowicie przez wodę. Nie odejdę stąd, dopóki przynajmniej nie spróbuję porozmawiać z panią Werner. Co to za namioty? Letnie czy zimowe?

— Letnie.

— A zatem płócienne, umocowane na kołkach, które łatwo wyciągnąć. Czy oba namioty, których będę szukać, są bardzo oddalone od wody?

— Przeciwnie, stoją tuż nad rzeką.

— To dobrze, a więc idę. Wróćcie do koni i czekajcie na mnie. Oto moja broń, pas i drobiazgi, które mogą się zamoczyć.

— Czy mój brat nie naraża się aż nazbyt? — odezwał się zatroskanym głosem Winnetou. — Może będzie lepiej, jeśli i Winnetou z nim pójdzie?

— Przecież ty również nie znasz miejsca obozowania.

Naraz zapytał Dunker:

— Wchodzi pan do wody?

— Naturalnie! Na jednym brzegu wznosi się skała, na drugim rośnie zagajnik, pod ich osłoną, w ich cieniu przejdę niepostrzeżenie przez cały obóz.

— Czy sądzi pan, że mógłbym w czymś pomóc?

— Hm, czy potrafi pan pływać, nurkować i chodzić w wodzie?

— Wcale nieźle.

— A czy rzeczułka jest głęboka?

— Tego nie wiem.

— Jaki ma nurt, czy bystry?

— Nie.

— Czy woda była dziś czysta czy mętna?

— Mętna. Zamulona trawą i sitowiem.

— To jest nam bardzo na rękę. Spleciemy z sitowia pływające wysepki i pod nimi skryjemy się przed wzrokiem Mogollonów.

— Wysepki? — zapytał zdziwiony.

— Tak.

— Niech mi to pan wyjaśni, gdyż nie bardzo rozumiem.

— Nie jest to nic nadzwyczajnego. Każde dziecko potrafi związać sitowie, zlepć je mułem, aby pływało po rzece na kształt wysepki, unoszonej nurtem wody. Pośrodku wysepki tworzy się kopułę pustą wewnątrz i przedziurawioną w wielu miejscach. Gdy wejdziesz pod taką wysepkę, a moja głowa znajdzie się we wnętrzu kopuły, mam nie tylko dosyć powietrza do oddychania, ale i doskonały widok przez dziury. A zatem, słyszę i widzę wszystko, sam będąc niezauważony przez nikogo.

— Kapitalny, fantastyczny pomysł, sir! Tak, od Old Shatterhanda i Winnetou niejednego wyga może się wiele nauczyć.

— Trzeba mieć głowę na karku, mister Dunker. Niekiedy od takich rzeczy zależy nie tylko powodzenie przedsięwzięcia, lecz nawet życie. Co do mnie, to już nieraz takie sztuczne wysepki ocalały moje życie.

— Wysepki mają pływać, a więc trzeba pływać wraz z nimi?

— Pływać, kiedy głęboko, brnąć, gdy płytko. Pod żadnym pozorem nie wolno wywołać najmniejszej fali, bo czujny obserwator może się wszystkiego domyślić. Czy pan mnie rozumie, mister Dunker?

— Oczywiście, sir, bardzo dobrze. Mam nadzieję, że nie okryję swego imienia wstydem.

— Poczekajże, master! To jeszcze nie wszystko. Trzeba przypuścić, że będziemy mieli uważnych i przenikliwych obserwatorów. Zatem nie wolno poruszać się szybciej niż woda, niż wszystko, co pływa dookoła, a więc i wysepka. Nie należy iść pod prąd, ale zgodnie z nurtem. Nie wolno się zatrzymywać, gdyż sprzeciwia się to prawom natury. W miejscach, gdzie są wiry, należy również wirować, a skoro się przybija do brzegu, to tylko w miejscach stosownych, a więc tam, gdzie woda jest spokojna i gdzie wysunięty cypel brzegu może usprawiedliwić zatrzymanie się wysepki.

— Hm, trudniejsze to zadanie, niż sądziłem.

— Rozwaga i przezorność może zastąpić brak wprawy. A więc czy starczy panu odwagi?

— Ależ naturalnie!

— Świetnie! Ale poczuwam się do obowiązku przestrzec pana, że igra pan ze śmiercią. Jeśli nas spostrzegą, jeśli powezmą podejrzenia, to możemy zginąć.

— Nie tak prędko, jak pan myśli. Przecież możemy się bronić.

— Czym? Wszak nie bierzemy z sobą broni palnej, najwyżej możemy zabrać noże. Przy pierwszym alarmie setki Indian skupią się nad brzegiem rzeki i rozpoczną atak. Jeśli nawet wyskoczymy z wody i zechcemy rzucić się na nich z nożami, to prędzej padniemy przedziurawieni jak rzeszota, niż osiągniemy wrogów.

— Czy oni mogą mieć broń w pogotowiu?

— Nawet gdyby nie mieli broni... Stu wojowników na jednego zgniotłoby nas gołymi rękami. A zatem, niech się pan zastanowi.

— Nie mam się nad czym zastanawiać. Idę! Chcę choć raz w życiu tkwić pod pływającą wysepką i móc się później chwalić, że nauczyłem się tego od Old Shatterhanda. Nigdy jeszcze takiej sytuacji nie doświadczyłem. Skoro więc nadarzy się sposobność, nie chcę jej przegapić.

— Zgoda. Czy wie pan, gdzie są rozstawione strażnice?

— Tak, od południa.

— A więc może mnie pan prowadzić. Oczywiście, wejdziemy do wody daleko przed obozem, a wyjdziemy poniżej niego. Ponieważ później nie będę miał czasu, przeto powiem panu już teraz, jak się należy zachować. Lekkie mlaśnięcie językiem oznacza chęć porozumienia się z towarzyszem. Wówczas obie wysepki zbliżają się do siebie tak, aby można było mówić do siebie i słyszeć. Poza tym powinien pan trzymać się mnie i czynić to samo, co ja. Skoro przybiję do brzegu, pan również przybije. Gdy odbiję, pan zrobi to samo. Tylko w tym wypadku, kiedy opuszczę wysepkę i wyląduję, aby podkraść się do namiotu, nie będzie mnie pan naśladować, przyrzeka pan?

— Do stu piorunów! Odważy się pan na to?

— To oczywiste. Proszę tylko zwrócić moją uwagę na poszukiwane namioty, zanim do nich dopłyniemy, gdyż nie wolno będzie się cofać. Zresztą powiem panu, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Na tym brzegu rzeczulki, gdzie wznosi się skała, nie ma nikogo. Z tej strony więc nic nam nie grozi. Drugi zaś brzeg jest zarośnięty krzewami, które nas osłonią. Dodajmy do tego zachmurzone niebo, mrok dzisiejszej nocy i drzenie ognia, które nie pozwala dostrzec wyraźnie w rzece żadnego kształtu. A więc naprzód! Przede wszystkim zawiadomimy Emery'ego, a potem rozpoczniemy akcję.

— Czy nie lepiej poczekać, aż ogniska wygasną i Indianie ułożą się do snu?

— Nie, bo cóż nam z tego przyjdzie? Wszak chcę się rozmówić z lady i podpatrzeć Indian, aby dowiedzieć się jakichś szczegółów z wyprawy przeciwko Nijorom. Albo odważymy się na wszystko, albo w ogóle zrezygnujemy.

Niepotrzebne drobiazgi i większe przedmioty, na które woda źle działa, przekazaliśmy Emery'emu. Za całą broń miały nam wystarczyć noże. Ponieważ Dunker nie miał własnego, więc dostał nóż Apacza. Nie mogliśmy wyperswadować Winnetou, aby nie towarzyszył nam, nawet w drodze do rzeki. Chciał bowiem koniecznie pomóc przy kłeceniu wysepek, na co zresztą w końcu chętnie przystałem, gdyż mogliśmy dzięki temu zaoszczędzić swój czas.

Oczywiście, do dzieła trzeba było się wziąć z największą przezornością. Wyminawszy przedni, wysunięty nad obozem posterunek, szliśmy dalej naprzód, dopóki nie znaleźliśmy sitowia. Musieliśmy je ścinać tylko pod wodą, ponieważ w dzień przerzedzone zarośla mogłyby się Mogollonom wydawać podejrzane. Wśród pobliskich krzewów było wiele suchego drzewa. Mając więc pod ręką potrzebne materiały, wzięliśmy się do budowania wysepek. Musiały być lekkie, ale mocne, gdyż zerwanie się lub rozplątanie którejś z nich wystawiłoby pływaka na największe niebezpieczeństwo. Kształt nie powinien był zwracać na siebie uwagi — jak gdyby nurt wody zniósł i sklecił w jedną całość poszczególne części wysepki.

Na przygotowaniach minęła nam godzina. Pierwszy wszedł do rzeki Dunker, aby dokonać próby. Udała się. Winnetou oddalił się oświadczywszy, że będzie czuwał z moim sztucerką w pogotowiu, aby w razie potrzeby przybyć nam z pomocą. Także i ja zanurzyłem się w wodzie. Wszedłszy pod swoją wysepkę, wsunąłem głowę w kopulaste wydrążenie.

Nie jest zbyt przyjemnie tkwić w wodzie w ubraniu. Wprawdzie zostawiliśmy Emery'emu zbyteczny balast, ale ja, chcąc rozmówić się z Martą, musiałem mieć na sobie jakąś odzież, która już wkrótce zaczęła mi ciążyć i przeszkadzać w pływaniu.

Rzeczulka nie była szeroka, ale skoro tylko opuściliśmy brzeg, grunt uciekł nam spod nóg i musieliśmy płynąć. Przystosowałem się do prądu, zaś towarzysz mój poruszał się o kilka łokci za mną. Było ciemno, a jednak po przebyciu pewnej odległości zobaczyłem pierwszą wartę na brzegu. Wyminieliśmy ją szczęśliwie; w strażniku, zwróconym twarzą ku rzece, oba skupiska gałęzi i sitowia nie wzbudziły żadnego podejrzenia. To mnie przekonało, że nasze wysepki wyglądają naturalnie, i mogłem się spodziewać, że również inni wartownicy nie zwrócą na nie uwagi.

Nie mieliśmy już przed sobą posterunków, prócz tego oczywiście, który zapewne stał za obozem. Niebawem ujrzeliśmy pierwsze oświetlone namioty. Stały na lewym, ocienionym zaroślami brzegu. Gdybyśmy się zatem trzymali tego brzegu, obserwację utrudniałyby nam gęste chaszczki. Dlatego podpłynęliśmy do brzegu prawego. Mogliśmy tu przepłynąć przez rzekę a nawet sprawdzić zagajnik.

Teraz rzeka toczyła swe wody wolniej, gdyż zakreślała szeroki łuk na prawo, gdzie podmywała Jasną Skałę. Dzięki temu powstało wewnątrz łuku, po naszej lewej stronie, miejsce dla namiotów, które rozbito w pobliżu rzeki, aby wodę mieć pod ręką.

Wyminieliśmy już dwanaście czy czternaście namiotów, gdy nagle Dunker dał znak, że chce się ze mną porozumieć. Ponieważ płynął niedaleko, więc nie zatrzymując się, natężyłem jedynie słuch.

— Wielki namiot, przed którym wbito dwie dzidy z lekami, to namiot wodza — usłyszałem cichy szept.

Ta wiadomość właściwie niewiele mnie zainteresowała. Ale spojrzałem we wskazanym kierunku i dobrze uczyniłem. Ognisko przed namiotem zaledwie się tliło, dlatego opodał, gdzie było więcej miejsca, rozpalono drugie. Kilku wojowników siedziało dookoła w taki sposób, że można było przypuścić, iż nadejdą jeszcze inni i zamkną krąg siedzących. Można się też było domyślić, że odbędą naradę. Gdybyśmy mogli ich podsłuchać, niewątpliwie wynieśliśmy z tego wiele cennych wiadomości. Przybiłem do prawego brzegu, w ślad za mną podążył Dunker. Obie wysepki złączyły się w jedną. Byliśmy do siebie tak przybliżeni, że nawet mogliśmy rozmawiać szeptem.

Najlepiej byłoby podsłuchiwać u lewego brzegu, ale zagajnik zasłaniał widok. Dlatego na chwilę przybiliśmy do brzegu prawego. Stąd widzieliśmy dobrze, co dzieje się w obozie. Nogi znów natrafiły na grunt. Co więcej, woda była tak płytka, że mogliśmy usiąść na miękkim, wygładzonym piasku i dosyć znośnie przetrwać tu tyle czasu, ile nam było potrzeba.

— Dlaczego się pan tutaj zatrzymuje, sir? — zapytał cicho Dunker.

— Czy nie widzi pan — wyszeptalem — że zanosi się tam na zebranie?

— Rzeczywiście! Czy chce ich pan podsłuchiwać?

— Tak, później, kiedy się rozpocznie narada. Tymczasem tu się zatrzymamy, aby zobaczyć, ilu i jacy wojownicy wezmą udział w zgromadzeniu. Czy nie widać stąd namiotu, w którym mieszka Melton?

— Nie. Jest to szósty, licząc w dół od namiotu wodza.

— A namiot lady?

— Czwarty.

— A zatem sam już sobie poradzę, o ile się pan nie pomylił. Poczekajmy i patrzmy, co się tam będzie dziać.

Narada dotyczyła ważnej sprawy. Można to było poznać po rozmiarze koła, które miano utworzyć, a i po ilości przybyłych wojowników, którzy zjawili się tam, aby przysłuchiwać się naradzie najwybitniejszych przedstawicieli swojego plemienia.

Złożyło się dla nas pomyślnie, czekaliśmy bowiem nie dłużej niż godzinę, gdy zobaczyliśmy wysokiego wzrostu, atletycznie zbudowanego Indianina, który wyszedł z namiotu wodza i skierował się ku zgromadzeniu.

— Silny Wichur — szepnął Dunker. Był to zatem wódz. Za nim szedł Jonatan Melton od stóp do głów uzbrojony. Usiadł koło Silnego Wichru. Nie tylko więc nie był uważany za jeńca, lecz miał uczestniczyć w naradzie. Widocznie doszedł do porozumienia z wodzem. Następnie na dany sygnał nadeszło dziesięciu czy dwunastu, starych doświadczonych wojowników, którzy również zasiedli w kole.

Rozpoczęła się narada, wobec czego wolno i ostrożnie, jak gdyby prąd unosił nasze wysepki, przepłynęliśmy jeden po drugim ku lewemu brzegowi. Przy brzegu zwarliśmy je ponownie z sobą.

Minęło sporo czasu, zanim ułożyliśmy się znów wygodnie i we właściwy sposób. Narada już się toczyła. Wysoki brzeg zasłaniał nam widok, ale za to doskonale słyszeliśmy donośny głos mówcy.

— Czy wie pan, kto mówi? — zapytał Dunker.

— Wódz.

Głos rozbrzmiewał tak wyraźnie, że słyhać było każde słowo:

— ... Aczkolwiek moi czerwoni bracia zamierzali wyruszyć za cztery dni, istnieją pewne powody, które przemawiają za wyruszeniem jutro rano. Ponadto powiedział mi ten mężczyzna biały że w drodze możemy schwycić trzech słynnych mężów. Jeśli to prawda wówczas po wszystkich namiotach i dolinach w pobliżu, jak też i dalej rozpowiadać będą o męstwie

Mogollonów. Owi trzej wojownicy to Winnetou, wódz Apaczów, Old Shatterhand i jeszcze jeden wielki biały, który położył trupem wielu czerwonoskórych wojowników.

— Uff, uff, uff! — rozbrzmiało w kole, a szeregi otaczających wojowników zawtórowały temu okrzykowi radosnego zdumienia.

— Nasz biały brat — ciągnął dale wódz — powtórzmy moim czerwonym braciom to, co mnie powiedział.

Tymi słowy wódz zagał obrady, Przemawiał stojąc, a teraz zapewne usiadł, gdyż zaległa chwila milczenia, Po kilku minutach rozległ się głos Jonatana Meltona. Wygłosił długą, zacieklą przemowę przeciwko nam. Opowiadał, że byliśmy u niego w pueblu, kłęliśmy Mogollonów, odgrażając, że pójdziemy do Nijorów i podjudzimy ich do napadu na Mogollonów. Ponieważ jest przyjacielem tego plemienia, przeto czym prędzej skoczył na konia, aby ich ostrzec. O jego lojalności może świadczyć choćby fakt, że przybył na spienionym i padającym ze zmęczenia koniu. Teraz oto dowiedział się, że dopiero za cztery dni postanowiono wyruszyć na Nijorów. Lecz przedtem Nijorowie mogą najprawdopodobniej na nich napaść. Trzeba więc natychmiast zarządzić wymarsz, tym bardziej, że Dunkerowi udało się zbiec. Ten biały słyszał wszak, że szykuje się wyprawa, i należy przypuścić, że pośpieszy do Nijorów, aby ich uprzędzić.

Przytoczył jeszcze inne powody i kłamliwe wymysły, a czynił to tak sprytnie, iż nie wątpiłem, że uzyska poklask zgromadzenia. Istotnie, gdy skończył, rozległy się w szeregach Indian przychylnie szepty i pomruki. Zapanowała krótkotrwała cisza, po czym odezwał się wódz:

— Mój biały brat dowiódł, iż jest przyjacielem naszego plemienia. Dziękujemy mu. Niech mi tylko odpowie na jeszcze kilka pytań. Czy Winnetou i Old Shatterhand byli nadal w pueblu białej squaw, kiedyś stamtąd wyjechał, i czy wiadomo ci, kiedy opuszczają pueblo?

— Tak, byli, ale kiedy wyjadą, tego nie wiem.

— Czy wiedzą, dokąd pojechali?

— Nie.

— A więc nie należy się spodziewać, że od razu puścili się za tobą w pościg. Być może, są jeszcze w pueblu?

— Istotnie, jest to możliwe.

— Pokrzyżujemy ich plany, wysyłając oddział wojowników, aby ich schwytać. Wówczas nie zdołają dotrzeć do Nijorów.

— A jeżeli już tam są?

— W takim razie rzeczywiście musielibyśmy wyruszyć jutro rano. Jeśli Nijorowie naprawdę targną się na nas, to nie chcąc nakładać drogi, muszą przebyć Tikh Nastla*. Tam możemy się na nich zacząć i wystrzelać co do jednego. Jeśli starzy wojownicy pozwolą, wyślę natychmiast pięćdziesięciu mężów na spotkanie Winnetou i Old Shatterhanda. Pozostali wojownicy wyjadą jutro rano pod moim dowództwem do Tikh Nastla. Powiedziałem! Naradźmy się nad propozycją!

— Chodź, idziemy! — szepnąłem Dunkerowi do ucha.

— Jeszcze nie — odparł. — Skoro już podsłuchujemy, powinniśmy zaczekać, aż narada się skończy. Najważniejsze rzeczy dopiero nastąpią.

— Mianowicie jakie?

— Ostateczna uchwała.

— Znam ją. Zresztą, skupiło się tu mnóstwo wojowników i namiot Meltona jest pusty. Muszę działać, zanim skończy się zebranie. A zatem chodźmy. Przybijemy do brzegu przy szóstym namiocie.

* Mroczna Dolina

Popłynęliśmy dalej. Namiot, o którym mówiliśmy, stał tak samo, jak wszystkie blisko brzegu i rzucał cień na krzewy i wodę. W cieniu tym zatrzymaliśmy się ponownie.

— Pan zaczeka tutaj — rozkazałem Dunkerowi — dopóki nie wrócę. W żadnym wypadku nie wolno wychodzić z wody.

— A jeśli pan nie wróci, sir?

— Wówczas usłyszysz master strzały Winnetou.

— A jeżeli nie będzie strzelał?

— Na pewno będzie. Nie poddam się bez walki. Zgiełk, który wywołam, zawiadomi Apacza, że jestem w niebezpieczeństwie. Skoro tylko usłyszysz pan jego wystrzały, natychmiast niech ucieka. Musi pan wtedy płynąć pod wysepką w dół, póki nie wyminie ostatniej placówki, po czym należy wrócić do sir Emery'ego.

— A pan? Co będzie z panem?

— Moja w tym głowa i Winnetou.

— Łatwo panu powiedzieć! Mam zmykać, podczas gdy panu śmierć zagląda w oczy?

— Tak. Pańska pomoc na nic mi się nie przyda, a może mi jedynie zaszkodzić. Zresztą, jestem pewien powodzenia. Wrócę niebawem.

— W porządku, ale powiadam panu, że drzę nie o własną, tylko o pańską skórę.

Przymocowałem wysepkę do krzaka, przy którym leżałem, i dawszy nura, wypłynąłem spod niej. Następnie wślizgnąłem się ostrożnie między krzewy na pochyłości wybrzeża. Nie wystawiałem się na niebezpieczeństwo, gdyż za mną nikogo nie było, z obu stron zaś kryły mnie chaszczki, a przede mną stał namiot. Wpełznąwszy na brzeg, rozejrzałem się dookoła. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Teraz należało zbadać, czy jest ktoś w namiocie. Podkraśliłem się i przyłożyłem ucho do płótna. Cicho. Żadnego dźwięku. Wyciągnąłem kołek z ziemi i uchyliłem ostrożnie dolny rąbek materiału. Na wprost siebie ujrzałem wejście na pół otwarte. Dochodził tu blask ogniska i oświetlał puste wnętrze.

Serce zabiło mi gwałtownie. Melton nosił przy sobie cały zrabowany spadek w skórzanej torbie. Nie miał jej na zgromadzeniu, a zatem zostawił w namiocie. Szybko rozejrzałem się, jednakże nie było jej widać. Uniosłem płótno namiotu i wszedłem do środka. Ale torby w dalszym ciągu nie zauważyłem. Może oddał ją wodzowi na przechowanie? To nie było jednak prawdopodobne! Przysunąłem się do posłania z listowia, ściętej trawy i paru skór, podłożyłem pod nie rękę i zacząłem grzebać. Wówczas... wówczas wyczułem torbę. Ręka mi zadrżała. Cofnąłem ją zastanawiając się, aczkolwiek moje nader niebezpieczne położenie nie dawało mi czasu do namysłu. Opanowało mnie ogromne podniecenie. Tu leżały miliony, za którymi uganiał się po całym świecie! Czy miałem je zabrać? Pociemniało mi w oczach, mieszało się w głowie. Jakże, musi się czuć przestępca, który narażając życie wyciąga rękę po cudzą własność! Wkrótce jednak opanowałem się.

Gdybym wziął torbę, to Melton niebawem spostrzegłby jej brak. Narobiłby hałasu. Ściągnąłby na nas ogromne niebezpieczeństwo, i gdybyśmy nawet uszli z życiem, miałbym pieniądze, ale nie złodzieja.

A zatem nie powinienem brać torby, ale otworzyć ją, wypróżnić i napełnić czymś innym, aby Melton nie powziął żadnych podejrzeń. To wymagało jednak czasu, którego przecież nie miałem. Bądź co bądź, nie należało się mimo tego cofać. Gdyby mnie zaskoczono, byłby to na pewno tylko sam Melton, a z nim jednym dałbym sobie radę. Koniec końcem, wyciągnąłem torbę spod posłania. Kto wie, czy nie wyjął z niej cennej zawartości i nie schował przy sobie. W takim wypadku niepotrzebnie narażałbym się na niebezpieczeństwo.

Była to torba skórzana z żelaznym kabłąkiem, wypchana i... zamknięta.

To pogarszało sytuację. Wyciągnąłem nóż i podważyłem zamek. Zadanie było proste, ale nasuwało wątpliwości, czy zamek równie łatwo da się z powrotem zamknąć. Otworzyłem torbę i sięgnąłem ręką. Poczulem miękkie, drobne przedmioty. Potem wymacałem zwarty,

napeęzniały pugilares. Poza tym nic nie było. Wyjąłem portfel. Aby przywrócić dawną objętość, ściałem nożem pasmo płótna z namiotu u dołu i włożyłem na miejsce pugilaresu. Nacisnąłem zamek — trzasnął. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jak to się stało, dość, że zamek był zamknięty!

Teraz należało się szybko wycofać. Odwrót nie odbył się jednak tak pospiesznie, jak można było sobie tego życzyć, gdyż musiałem zacierać własne ślady.

Odzież na mnie była wprawdzie mokra, ale nie tak, aby miała pozostawić w namiocie wilgoć. Odłożywszy torbę na swoje miejsce, wziąłem portfel w zęby, wypełzłem z namiotu i wbiłem z powrotem kołek w ziemię. Posuwając się na klęczkach w powolnym tempie ku wodzie, wyprostowywałem ręką trawę, którą uprzednio przygniotłem. Gdyby dziś w nocy padła na to miejsce rosa, nazajutrz nie byłoby już po mnie żadnego śladu.

Gdy tylko dotarłem do brzegu, usłyszałem szept Dunkera, dobiegający z ukrycia:

— Bogu tysięczne dzięki!... Co to było za okropne oczekiwanie! Jakże drżałem o pana, aby się udało!

— Musi się pan jeszcze uzbroić w cierpliwość — odpowiedziałem.

— Jeszcze? Dlaczego?

— Przyniosłem coś, co muszę uchronić przed zamknięciem i przymocować do swej wysepki.

— Cóż to takiego?

— Kilka milionów dolarów.

— Co? A więc zagrabione pieniądze?

— Tak.

— Szczęśliwiec z pana! Są w torbie?

— Nie, w pugilaresie.

— Przymocuj go pan nader troskliwie, aby nie zatonął.

— Utworzę na wysepce z tyłu drugie wzniesienie. Odtąd będzie pan tylko na nim skupiał swoją uwagę.

Potrzebne mi było drzewo, a nie mogłem odciąć gałęzi, gdyż białe karby mogłyby mnie nazajutrz wydać. Na szczęście, pełno tu było połamanych gałązek, które dostarczyły nam obfitej ilości materiału. Skoro tylko zabezpieczyłem portfel, wsunąłem się pod wysepkę i popłynęliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się koło czwartego namiotu, po czym znów wyszedłem na powierzchnię.

— Niech pan będzie ostrożny! — ostrzegął Dunker. — Należy przypuszczać, że lady nie jest sama w namiocie.

— W takim razie siedzi przed namiotem — odrzekłem z pełnym przekonaniem.

— Nie rozumiem!

— Taka kobieta, jak ona, dopóki może, korzysta z świeżego powietrza, zamiast siedzieć w namiocie.

Wyszedłem na brzeg. Istotnie, sprawdziło się moje przypuszczenie. O jakieś trzy kroki ode mnie stał namiot, a przed nim siedziała Marta, nieco z boku, gdyż przed wejściem usadowiło się parę Indianek. Nie mogłem dojrzeć, dwie czy trzy. Teraz należało do pani Werner przemówić tak, aby się nie zlekła. Najlepiej więc było nazwać ją po imieniu w języku ojczystym.

— Marto! — szepnąłem.

Drgnęła i odwróciła się przerażona. Na szczęście nie wydała okrzyku. Podniosłem głowę, żeby mogła ujrzeć moją twarz, oświetloną przez chwilę światłem dalekiego ogniska, i dodałem szybko:

— Cicho! Proszę mówić szeptem. Czy poznała mnie pani?

— Tak — odpowiedziała, przysuwając się nieco do mnie.

Indianki skupiły uwagę na miejscu, gdzie odbywało się zgromadzenie.

- Przychodzę, aby pani powiedzieć, że jestem w pobliżu — rzekłem.
- Bogu dzięki! — szepnęła, składając dłonie.
- Przede wszystkim niech mi pani powie, jak się z nią obchodzą?
- Dosyć znośnie.
- A więc nic nie zagraża pani życiu?
- Właściwie... Jeśli jednak Jonatan Melton... Prawda, pan nic nie wie, co nas...
- Wiem wszystko — przerwałem jej. — Dunker, wasz przewodnik...
- Znikł!
- I spotkał mnie i Winnetou. Tkwi teraz tam w wodzie.
- O Boże, to i on się tu podkraść? A gdzie jest Franciszek, mój brat?
- Niech się pani nie niepokoi. Jest bezpieczny, bawi u Nijorów.
- Tam nie jest bezpieczny! — prawie krzyknęła. — Mogollonowie mają na nich napaść. Melton powiedział mi też, że przyłącza się do tej wyprawy, aby pana schwytac.
- A więc spodziewa się naszego przybycia?
- Oczywiście. Groził mi. Kiedy będzie miał pana, Winnetou i Emery'ego, wówczas my wszyscy „zgaśniemy”. Tak się właśnie wyraził.
- To daje pewność, że chwilowo nic się złego nie stanie. Może pani być zatem spokojna. Co się zaś tyczy wyprawy przeciwko Nijorom, to nasza w tym głowa, aby się nie powiodła. A więc nie powinna się też pani lękać o brata.
- Ale niech pan na siebie uważa! Jakże się mógł pan tutaj podkraść i jak się stąd wydostanie? Umrę chyba z trwogi!
- Proszę mówić ciszej! Stare Indianki mogą panią usłyszeć. Jestem bezpieczny jak u siebie w domu. Chwilowo nie mogę pani pomóc, lecz chciałem przynajmniej zawiadomić, że wkrótce będzie pani wolna. A gdzie jest Murphy, ten nieostrożny adwokat?
- Tam dalej. Melton kazał go pilnie strzec. Jakże się panu powiodło? Zdaje się, że nie znalazł pan poszukiwanego zamku?
- Znaleźliśmy. Później pani o tym opowiem, gdyż nie jest to miejsce na pogawędkę. Harry Melton nie żyje. Jego brat Tomasz jest w naszych rękach i tylko Jonatan czmychnął. Ale najpóźniej za kilka dni będziemy go mieli.
- A spadek? Co z pieniędzmi?
- Być może, już je mam.
- Ma pan...? — zawołała zdumiona.
- Pst, ciszej! Za wiele już mówiłem i za długo tu przebywam. Dodam jeszcze tylko tyle, że byłem w namiocie Meltona. Wykradłem stamtąd jego pugilares, który prawdopodobnie zawiera wszystko, co chcieliśmy odzyskać. To rzecz najważniejsza. Łotra złapiemy później. Teraz muszę już iść. Niech się pani nie martwi i spełni, gdy tylko się oddalę, moją prośbę.
- Chętnie, ale jaką?
- Przejdzie się pani parokrotnie stąd do brzegu, aby zatrzeć mój ślad. Mogollonowie pomyślą, że to pani przydeptała trawę.
- Dobrze! Ale niech pan także spełni moją prośbę i nie naraża niepotrzebnie swego życia! Jeśli pana zabiją, to i ja będę zgubiona.
- Pozostaną wtedy jeszcze Winnetou i Emery. Ale zapewniam panią, że nie narażam się zbytnio i że nic złego mi się nie stanie. Niech pani nie traci otuchy i będzie przekonana, że ją na pewno wydostaniemy, gdyż...
- Umilkłem, ponieważ w tej chwili rozdarł powietrze ostry krzyk. Stare Indianki skoczyły na równe nogi i oddaliły się pospiesznie w kierunku ogniska, tak że nie mogły mnie już zauważyć.
- Cóż to było? Co to znaczy? — zapytała nieco przestraszona Marta.

— Jest to apel indiański, wódz zwołuje wartę. Z tego wnioskuje, że została uchwalona propozycja Meltona. W każdym razie niebawem wyruszy przeciwko nam. Muszę iść. A więc odwagi! Żegnam...

Był to szczególnie przypadkowy przypadek, że mogliśmy niezauważeni tak długo rozmawiać. Marta podała mi rękę, po czym ześliznąłem się do wody. Chciałem zanurkować pod wysepkę, gdy usłyszałem w miejscu, w którym dopiero co się znajdowałem, znany mi dobrze, donośny głos:

— Miss Werner, przychodzę się z panią pożegnać. Wprawdzie jestem przekonany, że rozstanie się pani ze mną z ciężkim sercem, ale mogę panią pocieszyć, że szybko, nawet bardzo szybko się zobaczymy!

Jonatan Melton przemawiał do Marty tonem tak nikiemnie szyderczym, że najchętniej wyskoczyłbym na brzeg i wciągnął go do wody. Sytuacja była, nader sprzyjająca. Mogłem wszak wraz z nim wymknąć się niepostrzeżenie z obozu, gdzie nie było już wartowników, ale należało pomyśleć nie tylko o Marcie, lecz także i o Murphym i... o portfelu. Skurczyłem się tylko w swej kryjówce i podśluchiwałem. Met ton dodał po chwili:

— Nie ja jeden wyruszam. Pani także opuści obóz.

Gdyby była przebiegła — pomyślałem gorączkowo — to wyciągnęłaby z niego coś więcej.

I rzeczywiście Marta wykazała dużo sprytu, zręcznie nawiązując rozmowę. W pewnym momencie zapytała Meltona:

— Ja także wyjeżdżam? A kiedy?

— Skoro świt, pojedzie pani wraz z Indianami, którzy wyruszają na Nijorów. Chcę pani dać dowód, jak mało obawiam się pani i jej miłych przyjaciół. Będę szczery, już was nie biorę w rachubę. Winnetou i Old Shatterhand puścili się za nami w pogoń. Pani i jej przemądry adwokat nie mogą doczekać się rezultatu pojechaliście również. To było ogromne głupstwo. Wszak Meltonowie niejednokrotnie już udowodnili, że nic im nie zrobicie z tą całą waszą przebiegłością. Pani wraz z adwokatem jest teraz w mojej mocy. Na czele oddziału, liczącego pięćdziesięciu wojowników, pojedę za kwadrans i niebawem sprowadzę tu Old Shatterhanda, Winnetou i Anglika, jako moich jeńców. Skoro przebywają jeszcze na zamku, to łatwo ich tam zaskoczemy; jeśli zaś już wyjechali, spotkamy ich po drodze. W tym czy drugim wypadku, mamy ich na pewno w rękę. Pani wraz z Murphym, pojedzie jutro rano z Mogollonami, abym miał was w pobliżu. Spotkam się potem z wami w pięknej miejscowości, zwanej Mroczną Doliną. Jak pani sądzi, co się wówczas stanie?

— Wypuści pan nas na wolność? — zapytała Marta z udaną naiwnością.

— Na wolność? Tylko kobieta może być tak naiwna i może tak głupio mówić! Ja jestem spadkobiercą starego Huntera. Nie powinno być innych spadkobierców. Czy rozumie pani, co to znaczy?

— Czyżby chciał nas pan zabić?

— Zabić? Ach, teraz mówi już pani rozsądniej niż poprzednio! Jest pani bliska prawdy.

— Sir, wszak może się jednak zdarzyć inaczej, niż pan sądzi. Jeśli na przykład nie spotka pan Winnetou i Old Shatterhanda?

— To niemożliwe, bo albo są jeszcze w pueblu, a wówczas znajdują się w potrzasku, gdyż mogę się dostać niepostrzeżenie do twierdzy, albo też ścigają mnie, a w takim razie jest tylko jedna droga, na której musimy się spotkać. Tym przemądrzałym łajdakom nie przyjdzie na myśl, że ja, ścigany, mogę obrócić broń na ścigających.

— Ale może się przecież zdarzyć, że to Nijorowie napadną na Mogollonów, a wtedy jeńcy dostaną się w ręce zwycięzców.

— Phi! Babskie gadanie! Nijorowie nie wiedzą, co się dzieje. Napadniemy na nich zniemacka, jak jastrzębie na stado gołąbków. Zarządziłem, aby pani i adwokata ani na chwilę nie spuszczano z oczu. Przywiążę was do koni. Być może zresztą, że wódz łaskawie umieści seniore w powozie, ponieważ nie umie pani dosiadać konia, a zatem opóźniałaby jazdę. W

żadnym jednak wypadku proszę się nie spodziewać, że będzie mogła seniora zbiec lub że pani przyjaciele potrafią nam umknąć i ją ocalić. A teraz proszę wracać do namiotu! Strażniczki nie wypuszczą pani aż do samego rana.

Usłuchała widocznie rozkazu, gdyż zaległo milczenie. Przeczekawszy jeszcze chwilę, odbiliśmy od brzegu i popłynęliśmy dalej. Aczkolwiek wiedziałem, że wszystkie posterunki zostały ściągnięte, to jednak dla pewności wypłynęliśmy poza ich obręb. Zabrałem z wysepki pugilares. Był zupełnie suchy.

Ognisko, płonące na górze, było nam w mrokach nocy drogowskazem. Za nim czekał na nas Emery.

— Sir — rzekł Dunker podczas szybkiego marszu — to mi dopiero przygoda, którą będę z przyjemnością wspominał! Lepiej nie mogło nam się powieść.

— A więc jest pan zadowolony?

— Oczywiście, i to jak zadowolony! Rozmowy pana z lady nie mogłem usłyszeć. Za to Melton mówił wystarczająco głośno. Jego zbytnia pewność siebie i zarozumiałstwo spowodowało, że wypaplał wszystko. Jak pan myśli, co należy teraz zrobić?

— Nie tylko my będziemy o tym decydować. Dobrze się stało, żeśmy się tyle dowiedzieli, ale jeszcze bardziej się cieszę z portfela. Melton niebawem wyruszy w drogę, nie należy się więc spodziewać, że zajrzy do torby i zauważy stratę. Nie sądziłem, że tak prędko dobiorę się do tych pieniędzy. Bądź co bądź odzyskaliśmy spadek.

— Czy istotnie w pugilaresie są pieniądze?

— Musiałbym się bardzo mylić, gdyby było inaczej. Skoro się tylko rozwidni, zobaczymy.

Przystanąłem, ponieważ zdawało mi się, że widzę przed sobą ciemną postać. To nie mógł być Mogollon. Natychmiast usłyszeliśmy głos Winnetou:

— Moi bracia mogą się zbliżyć. To nie wróg.

Trzymał sztucer w ręce. Po chwili rzekł:

— Ponieważ moi bracia weszli do wody i musieli płynąć z jej nurtem, dlatego stanąłem na tym miejscu, gdyż stąd najszybciej mógłbym pośpieszyć z pomocą. Teraz chodźcie ze mną do Emery'ego.

— Czy nie natkniemy się na wartowników?

— Nie. Po okrzyku wodza wszyscy strażnicy udali się do obozu.

Emery ucieszył się ogromnie, kiedy nas zobaczył. Wyżeliśmy ubrania i zabraliśmy wszystkie zostawione przed wyprawą przedmioty. Kiedy, opowiadając jej przebieg, zatrzymałem się nad pugilaresem, Winnetou powiedział:

— Mój brat nie powinien był go zabierać — Melton na pewno zauważy stratę.

— A niech tam!

— I domyśli się naszej obecności tutaj.

— Może otworzy torbę dopiero jutro lub za kilka dni. A jeśli nawet spostrzeże zniknięcie pieniędzy, czy musi właśnie o nas pomyśleć? Czy nie mogli go okraść Mogollonowie, wówczas gdy lekkomyślnie zostawił torbę w namiocie? Kto wie, jak dawno do niej nie zaglądał. Nie przypuszczam bowiem, aby otwierał ją i sprawdzał jej zawartość co parę godzin. Ponadto może również pomyśleć, że już wcześniej skradziono mu pieniądze. A jeśli nawet od razu się połapie i rzuci na nas podejrzenie, to zawsze lepiej, że my mamy pieniądze, niż żeby były one nadal w jego ręku. Mogłoby się przecież zdarzyć, że kiedy byśmy go schwyтали, już nie miałby ich przy sobie.

— Być może, zgodzę się z moim bratem, kiedy usłyszę dalszy ciąg przygody.

Opowiedziałem rozmowę Meltona z śpiewaczką. Gdy skończyłem, rzekł zdziwiony:

— Winnetou uważał tego człowieka za mądrzejszego, niż się okazał. Szyderstwo jest pokusą, której mężczyzna powinien się oprzeć. Zatem z pięćdziesięcioma ludźmi zabiega nam drogę? Cóż na to powie mój brat Old Shatterhand?

— To, co powiedziałyby każdy rozsądny człowiek. Na głupotę nie ma rady! Jeśli Melton przypuści, że mogliśmy wytropić dokąd zbiegł, i że udaliśmy się za nim w pościg, to powinien pomyśleć, że możemy już być tutaj albo przynajmniej gdzieś w pobliżu. Dlatego popełnia głupstwo, zarządzając teraz wymarsz. Ciemności ukryją nasze ślady i zapobiegną spotkaniu. Powinien wyjechać dopiero rano, oczywiście uprzednio przeczesawszy miejscowość.

— Mój brat ma słuszość. A następnie o świcie mają Mogollonowie wyruszyć przeciwko Nijorom? Czy są już przygotowani do wyprawy? Wszak spodziewali się jej dopiero za trzy-cztery dni. Czy zdążą się nie tylko uzbroić, ale i zaopatrzyć w prowiant? Czy mój brat spostrzegł, żeby wędzili mięso?

— Nie widziałem ani rzemieni, płócien, na których zawiesza się mięsiwo.

— Popełnili wielki błąd. Ani w drodze, ani tam dokąd dążą, nie znajdują mięsa.

— Czyż nie ma zwierzyny w Mrocznej Dolinie?

— Albo nie ma wcale, albo jest bardzo niewiele. A czy wojownicy, którym w każdej chwili grozi napaść, będą mieli czas na polowanie i przyrządzenie mięsa?

— Nie, dlatego wykorzystamy ich błędy. Czy wódz Apaczów zna Mroczną Dolinę.

— Tak.

— Jak daleko stąd się znajduje?

— Jeśli zwykły jeździec wyjedzie rano i przenocuje po drodze, przybędzie tam następnego dnia w południe. Zaprowadzę do niej moich braci.

— Jest jeszcze inna ewentualność, a mianowicie pozostanie tutaj i uwolnienie jeńców, kiedy wojownicy ruszą w drogę. To byłoby dla nas zupełnie proste.

— Czy mój brat pomyślał jednak o skutkach?

— Tak. Trzeba się dobrze zastanowić. Teraz nie wiedzą, gdzie nas szukać, ale potem będą już wiedzieli.

— Oczywiście. Wyślą natychmiast gońców i zawiadomią wojowników o zdarzeniu. Ale jest jeszcze coś: będziemy wraz z uwolnionymi skazani na powolną jazdę.

— Masz rację. Lady i adwokat będą dla nas kulą u nogi.

— Po pierwsze, nie będziemy mogli pospieszyć Nijorom z pomocą, po wtóre, nie zdołamy uciec przed Mogollonami, którzy rzucają się za nami w pogoń. Czy mój brat myśli, że jeńcom stanie się coś złego pod nieobecność wojowników?

— Nie. Lękać się o nich należy dopiero po powrocie Meltona — odpowiedziałem.

— A więc mogą pozostać. Są tu bezpieczniejsi, niż gdybyśmy się mieli wlec z nimi i opędzać od przeważającej liczby wrogów. Jedziemy zatem do Nijorów, aby ich ostrzec i wspierać: Jeśli Mogollonowie poniosą klęskę, zmusimy ich, aby wydali nam nie tylko panią Werner i adwokata, ale także Meltona.

— Dobrze! Kiedy jedziemy?

— Kiedy Melton odejdzie ze swym oddziałem. Gdybyśmy wyruszyli już teraz, to podążając za nami, odkryłyby nasze ślady.

— Czy nie możemy obrać innej drogi? — zapytałem.

— Właściwie możemy, ale czy nie lepiej jest zostać, dopóki nie przekonamy się że Melton istotnie wyruszył?

— Nie sądzę. Jestem święcie przekonany, że się tak stanie, jak powiedział. Skoro wyruszymy po nich, będziemy zmuszeni deptać im po piętach, gdyż nie będą jechali tak szybko, jak my powinniśmy, o ile mamy ostrzec Nijorów. Wszak po drodze muszą się za nami rozglądać. Proponuję więc albo natychmiast opuścić to miejsce, albo też zostać tutaj i odbić jeńców.

— Mój brat Old Shatterhand ma słuszość. Co powie na to mój brat Emery?

— Natychmiast jechać! — oświadczył Anglik. — Pieniądze już mamy. Teraz musimy bezwarunkowo schwytać kochanego Jonatana. Jeńcom nic złego się nie stanie. Jeśli zwyciężą

Nijorowie, zmusimy Mogollonów do wydania jeńców, a jeśli walka przyjmie niepożądany obrót, to w każdym razie możemy się tutaj przekraść, aby dokonać tego, od czego teraz odступujemy.

Zapytaliśmy również o zdanie Dunkera, raczej z uprzejmości niż dla zasięgnięcia rady. Zgodził się z nami, ale wyskoczył jak Filip z konopi:

Musimy się jednak strzec Indian, których wysłano w pościg za mną.

— Czyż nie wrócili już do obozu? — zapytał Emery.

— Nie wiem na pewno, ale raczej powiedziałbym, że nie. Ścigali mnie, póki było widno. U źródła, gdzie się spotkaliśmy, zauważą, że natknąłem się na kilku jeźdźców i że wróciłem wraz z nimi do Jasnej Skały. Z taką wieścią przyjadą do obozu. Można sobie wyobrazić, jaki podniosą wtedy alarm.

— Nie przyjadą z taką wieścią — wtrąciłem. — Od kwadransa wieje silny wiatr i zaczyna kropić. Trzeba dodać, że już się ściemniało, kiedy opuściliśmy źródło. Prześladowcy pana nie byli tam jeszcze. Noc zapadła, zanim mogli nadjechać. Aby nie zgubić pańskiego śladu, musieli się tam zatrzymać, gdzie też zastała ich noc. Gdyby mimo to pojechali do źródła przypuszczając, że tam pana schwytają i napoją konie, to już nie zdołają rozpoznać naszych śladów. Ognia nie mieli przy sobie, czy też nie zapalali. Nie wspomnę już o tym, że koń, na którym pan uciekł, jest najlepszy i najszybszy, a więc doskonale wiedzą, że nie zdołają pana doścignąć. Zachodzą teraz dwie możliwości: albo zawrócili z drogi i znajdują się już w obozie, zaniechawszy pościgu, albo zatrzymali się na pańskim tropie, chociaż na próżno, bo zanim nastanie dzień, deszcz, który pada coraz gwałtowniej, zatrze i zmyje wszelkie ślady. — Tak, tak, bardzo słusznie, sir.

Sądzę więc, że nie trzeba zwracać na nich uwagi.

— Jest tak, jak rzekł Old Shatterhand — potwierdził Winnetou. — Za kwadrans będzie ulewa. Znikną również ślady, które zostały po nas. Dosiądźmy koni!

— Czy Winnetou potrafi nas tak prowadzić, aby Mogollonowie nie deptali nam po piętach?

— Tak. Oni do źródła pojedą drogą, którą przebyliśmy wczoraj. Jeśli skęcimy nieco na prawo, to nas nie spostrzegą.

Znaczyło to, że powinniśmy jechać równolegle do drogi Mogollonów. Tak też zrobiliśmy. Mogła być druga w nocy, kiedy opuściliśmy miejscowość, w której przeżyłem przygodę pływacką. Jazda stawała się dosyć nieprzyjemna, gdyż wiatr wzmagął się, a deszcz stawał się tak ulewny, że już po krótkim czasie nie zostało na nas suchej nitki. Dunkerowi i mnie było to właściwie obojętne. I tak poprzednio cali przemokliśmy, bardziej deszcz nie mógł już nam dokuczyć.

OCALONE MILIONY

Jazda, która nas oczekiwała, była trudna, wymagała od koni wiele wysiłku. Wierzchowce jednakże odpoczęły wcześniej w pueblu, podczas gdy my byliśmy zmuszeni wciąż czuwać. Również pod górą, gdzie Jumowie chcieli nas napaść, spaliśmy bardzo mało, dziś znowu nie zmrużyliśmy oka, a czy najbliższej nocy będziemy mogli wypocząć, to było bardzo wątpliwe wobec ogromnego pośpiechu, jaki nas pędził naprzód. Deszcz miał swoje zalety — orzeźwił wierzchowce. Natomiast jeźdźcy nie mieli humoru. Jeśli bowiem pogoda nawet piecucha tak nastraja, że przy dobrej jest w dobrym nastroju, a przy złej w złym, to nie można się dziwić, że ludzie, mknący po pustkowiu i wystawieni na działanie zawieruchy i ulewy, ulegają ponurym myślom. Dlatego jechaliśmy milczący i markotni za Winnetou, który mimo deszczu uniemożliwiającego widoczność na odległość pięciu kroków, nie zatrzymał się ani razu dla orientacji. Długo i na próżno mogłbym szukać w pamięci i nie przypomniałbym sobie wypadku, aby Apacz zabłądził wówczas, gdy twierdził, że zna drogę czy miejsce.

O świcie znaleźliśmy się na rozległej prerii. Winnetou wskazał ręką na lewo, na wschód i rzekł:

— Tam przebiega droga, którą wczoraj przebyliśmy przed spotkaniem z Dunkerem. Jest już jasno, możemy więc przyspieszyć jazdę.

Jechaliśmy teraz z prędkością dziesięciu mil na godzinę. Ku naszemu zadowoleniu przed południem wiatr się uspokoił. Deszcz również przestał padać, chmury rozstały się i rozproszyły przed słońcem. Ciepło świetnie na nas podziałało, deszcz zaś spełnił swoją powinność, zatarłszy nasze ślady. Na długo przed południem Winnetou wskazał na wschód, gdzie nic zresztą nie było widać, i powiedział:

— O godzinę drogi stąd wznosi się las, na którego skraju spotkaliśmy wodza Nijorów. Moi bracia przyznają, że jechaliśmy dobrze, nieprawdaż?

Las, który niebawem ujrzeliśmy, biegł na południe. Minęliśmy go na przełaj i w południe zatrzymaliśmy się na jego przeciwległym krańcu, aby dać wytchnienie koniom. Po niespełna dwóch godzinach odpoczynku podjęliśmy przerwana jazdę, ale tym razem w kierunku południowo-wschodnim. Na moje zapytanie Winnetou wyjaśnił powód zmiany kierunku:

— Ujechaliśmy szmat drogi i nie ma obawy, aby Mogollonowie natknęli się dzisiaj na nasze ślady. Dlatego wjechałem na ich szlak, gdyż poznanie go może się moim braciom przydać.

Kiedy używam słowa szlak, Czytelnik nie powinien sobie wyobrażać utorowanej drogi. Znaleźliśmy się teraz na wysokim stepie, pełnym piasku i kamieni, a ubogim w trawę. Chwilami natrafialiśmy na wzgórza, które trzeba było omijać. Nie można też było dojrzeć prawdziwych gór Mogollon, a z północnego wschodu gór Sierra Blanca. Mknęliśmy ku obszarom górnej Gila, nie spotykając zresztą nigdzie ani strumyka, ani też źródła.

Dopiero przed wieczorem wjechaliśmy na małą prerię. Ujrzeliśmy niewielkie zarośla. U stóp wzgórza było źródło. A zatem był to teren nadający się do obozowania.

— Zatrzymujemy się? — zapytał Emery.

— Nie — odparł Winnetou.

— Ale moglibyśmy chociaż napoić konie!

— Tego Winnetou nie broni. Ale zaraz potem jedziemy dalej, aby jeszcze przed zapadnięciem zmroku przebyć las, który widzicie tam na południu. Uff! Prędzej z koni!

Mówiąc o lesie, leżącym na południu, skierował tam spojrzenie, a my za nim. I oto spostrzegliśmy pięciu zbliżających się jeźdźców. Nie zobaczyli nas jeszcze, ponieważ staliśmy w zagajniku otaczającym źródło. Zeskoczyliśmy z koni i schwyciliśmy za broń. Wyczekiwaliśmy, ukryci za krzewami.

Jeźdźcy dosiadali świetnych rumaków. Nie mieli broni palnej, ale po bokach wisały torby wypchane zapasem żywności.

— Wywiadowcy — rzekłem.

— Nijorowie — potwierdził Winnetou. — Nie noszą żadnej barwy, ale nie mogą należeć do innego plemienia. Mimo że są naszymi przyjaciółmi, musimy im dać nauczkę.

Miał słuszość. Wywiadowcy powinni być szczególnie przezorni. A oni co? Nawet z bliskiej odległości nie spostrzegli, że nad źródłem ukrywają się ludzie. Nas samych, oczywiście, nie mogli zobaczyć, ale doświadczone oko dostrzegłoby teraz ślad, wijący się wśród niskiej trawy ciemną linią. Oni zaś jechali tak pewni siebie, jak gdyby znajdowali się w pobliżu swej wioski. Kiedy zbliżyli się na dwadzieścia kroków, wysunęliśmy lufy strzelb poprzez krzewy i Winnetou zawołał w narzeczu Mogollonów:

— Stójcie! Ani kroku naprzód i ani jednego w tył, bo was zastrzelimy!

Prerażeni wywiadowcy osadzili na miejscu konie i spojrzeli bezradnie na zagajnik.

Który zawróci konia, dostanie pierwszą kulą — groził Winnetou. — Zejdźcie z koni i rzućcie na bok swoje noże!

— Któż to ukrywa się w tym zagajniku? — zapytał jeden u Nijorów.

Jest nas dziesięciu mężnych wojowników Mogollonów. Posiadamy świetne strzelby. Jeśli nie usłuchacie, jesteście zgubieni. Nie możecie iść ani do przodu, ani cofać się wstecz, przeciwnie nasze kule trafią was niechybnie.

— Uff! Wielki Manitu opuścił nas. Chciał, abyśmy zostali jeńcami Mogollonów. Lecz nasi bracia nas odbiją!

Ten, który to powiedział, zsiadł z konia, wyciągnął nóż i rzucił za siebie. Pozostali poszli za jego przykładem. Stanęli przed swymi końmi i zrezygnowani oczekiwali wrogów. Wówczas wystąpił naprzód Winnetou. Trzymał strzelbę w ręku, ale skierowaną lufą w dół, i rzekł karcącym głosem:

— Czy ludzie, którzy tak ślepo biegną w objęcia śmierci, zasługują na miano wojowników? Czy można takich ludzi wysyłać na zwiady?

— Uff! Uff! — zawołał jeden z nich. — Winnetou, wódz Apaczów!

Kazano wam wybadać, co robią Mogollonowie, a mieliście zamknięte oczy, jadąc na oślep przed siebie.

— Wiemy, że Mogollonowie zamierzają wyruszyć przeciwko nam dopiero za trzy dni — usiłował usprawiedliwić się jeden z Nijorów.

— Czy z tego powodu należało zaniewidzieć? Powinniście mieć na uwadze, że i oni wysyłają wywiadowców.

Poczynaliście sobie beztrzesko jak chłopcy, którzy nie zdobyli jeszcze imienia. Gdybyśmy istotnie byli waszymi wrogami, nie wrócilibyście już do swoich. Zabiliśmy was albo musielibyście jechać z nami, by umrzeć przy palu męczarni.

— Nasz wielki brat może nas natychmiast zabić. Lepsze to niż wysłuchiwanie słów, którymi do nas przemawia.

Nie był to pusty frazes. Mówił z całą powagą. Być przyłapanym na niedbalstwie i skarconym przez Winnetou — to ogromna hańba. Biedni Indianie spoglądali w ziemię, straszliwie przygnębieni. Serce Apacza zmiękło z litości. Odparł nieco łagodniej:

— Winnetou nie jest waszym wodzem. Nie chce wam urągać, jedynie pragnie zwrócić waszą uwagę, że nawet w czasie pokoju, nawet w pobliżu własnego obozu należy mieć oczy otwarte. Kto was wysłał na zwiady?

— Szybka Strzała, nasz wódz.

— Czy przyprowadził z sobą jakichś ludzi do obozu?

— Młodego białego i białego jeńca, którego nasi wojownicy bardzo pilnie strzegą.

— Czy wiecie, kto mu tych ludzi wydał?

— Tak.

— A więc wiecie, kto jest wraz ze mną, tam w zagajniku?

— Old Shatterhand i jeszcze jeden mężny wojownik.

— Słusznie powiedziałeś. Towarzyszy nam ponadto wojownik, który potrafi wytropić najbardziej niewidoczne ślady. Podnieście wasze noże i podejdźcie z końmi do wody!

Usłuchali polecenia Winnetou natychmiast. Powitali nas pełnymi uszanowania gestami i stali ze spuszczoneymi oczami, niepewni naszej reakcji. Byli zawstydzeni. Pragnąc podnieść ich na duchu, podałem jednemu za drugim dłoń i rzekłem:

— Moi bracia są mile przez nas widziani. Mogą się do nas przysiąc i powiedzieć, jakich wskazówek udzielił im ich mężny i mądry wódz.

Mój przyjazny ton i ta okoliczność, że Emery i Dunker również uściskali im dłonie, podziały na nich pocieszająco, Puścili konie na łąkę, a ten, który poprzednio mówił z Winnetou, odezwał się:

— Nasze oczy ujrzały najmężniejszych myśliwych i wojowników, których sławą rozbrzmiewają góry i sawanny. Nie powinniśmy obozować u ich boku. Niech nam pozwolą usiąść opodal przy wodzie, abyśmy mogli oglądać ich oblicza i słuchać mądrości: ich słów.

— Moi bracia staną się wnet również znakomitymi mężami. Mogą usiąść przy nas, inaczej będziemy sądzić, że uważają nas za wrogów.

Nie mogli się wymówić. Usiedliśmy koło źródła, oni zaś w odległości, jaką zalecał szacunek. Winnetou powtórzył moje pytanie, dotyczące polecenia ich wodza. Nijora oświadczył:

— Szybka Strzała nie dał nam szczególnych poleceń. Mieliśmy jechać do Jasnej Skały lub jeśli Mogollonowie już ją opuścili, poszukać ich i zasięgnąć wyczerpujących informacji.

— Czy chcieliście jechać tam wszyscy razem? — pytał dalej Winnetou.

— Najpierw razem, a później mieliśmy wysłać po kolei gońców z wiadomościami, tak że zanim Mogollonowie dotarliby do Mroczonej Doliny, wyprzedziłoby ich pięciu gońców. Posłańcy mieli dotrzeć tylko do Mroczonej Doliny, nie zaś do waszej wioski?

— Zgadza się. Tam czeka na nich wódz.

— Z wieloma wojownikami?

— Teraz z niewieloma. Reszta pozostała jeszcze w wiosce, aby przygotować mięso i leki wojenne. Szybka Strzała powiedział, że prawdopodobnie przyłączą się do nas słynni wojownicy i będą walczyć wraz z nami.

Ponieważ, mówiąc to, spojrział na mnie pytająco, przeto rzekłem:

— Podążamy do synów Nijora. Chcieliśmy wam przynieść wieści i wesprzeć was radą i czynem, abyście odnieśli zwycięstwo, albowiem wypaliliśmy z waszym wodzem kalumet. Ale skoro was spotkaliśmy, możemy nie jechać do Mroczonej Doliny. Jeden z was natychmiast wróci, aby oznajmić wodzowi to, co mamy mu do powiedzenia, pozostali czterej pozostaną z nami. Zawróćmy z drogi i pojedziemy znów na północ, aby odszukać i śledzić Mogollonów. Ilu wojowników możecie zwołać?

— Czterykroć po stu.

— Jeśli dobrze się zorientowałem, Mogollonowie nie ściągną takiej liczby. Nie znam Mroczonej Doliny, w której zamierzacie ich napaść, ale skoro wybrał ją Szybka Strzała, musi nadawać się na pole bitwy.

— Nadaje się bardzo, ale nie w obecnych okolicznościach odezwał się Winnetou. — Mogollonowie dążą tam również, wyślą więc wywiadowców, aby przetrzasnęli dokładnie okolicę. Dlatego lepiej napaść na nich przedtem, to znaczy wówczas, kiedy nie będą się jeszcze spodziewali wrogów.

— Czy znasz takie miejsce? — zapytałem.

— Tak. Miejsce to zowie się Łysiną Kanionu i leży o dwie godziny drogi od Mroczonej Doliny. Jest to trójkąt o skalistym gruncie. Jeden jego bok stanowi kanion o tak stromych ścianach, że niepodobna się po nich wdrapać, z drugiej strony skała wznosi się w górę niczym

mur, przez który tylko piechur może się, i to z wielkim wysiłkiem, przedostać, natomiast nigdy jeździec. Na Łysinę Kanionu można się wspiąć idącym stromo pod górę wąwozem, tak wąskim, że miejsca starczy tam tylko na dwie osoby. Jeśli ktoś wejdzie na Łysinę Kanionu, ma z prawej strony głęboki kanion, przed sobą stromą skałę, a z lewej strony trzeci bok trójkąta. Stanowi go las, którego skraj jest gęsto zarośnięty krzewami. Kto zaś chce zjechać z Łysiny Kanionu, musi jechać nad kanionem do miejsca, gdzie ściana skalna doń się zbliża. Między nią a kanionem zaczyna się druga, również wąska ścieżka, która prowadzi na dół na drugą stronę, a następnie do Mroczonej Doliny. Mój brat Szarlieh przyzna, że Łysina Kanionu świetnie się nadaje do okrążenia i pokonania wrogów.

— Słusznie mówisz — odpowiedziałem. — Nie znam ani Łysiny Kanionu, ani też Mroczonej Doliny, nie wiem więc, która miejscowość jest odpowiedniejsza. Ale skoro mój czerwony brat poleca pierwszą z nich, nie wątpię, że nadaje się bardziej. Co teraz proponujecie nam Winnetou?

Jeden z Nijorów wróci do swego wodza i oznajmi mu, że powinien spotkać Mogollonów nie w Mroczonej Dolinie, lecz na Łysinie Kanionu. Wódz musi zatem udać się tam i jedną połowę wojska ukryć w lesie, drugą zaś za wysoką skałą.

— Ale w takim razie nie mogą dosiadać koni.

— Oczywiście, że nie. Zostawią konie pod nadzorem kilku ludzi. Trzystu wojowników wejdzie na Łysinę Kanionu, gdzie się podzielią. Stu pięćdziesięciu zaszyje się w lasku, a druga połowa zaczai się za ścianą skalną. Skoro Mogollonowie wejdą na Łysinę Kanionu, będą mieli przed sobą wrogów, z lewej strony również wrogów, a z prawej głęboki kanion.

— Jeśli pojedą naprzód, niechybnie zginą, lecz... czy nie mogą cofnąć się do wąwozu?

— Nie. Nie mogą.

— Dlaczego?

— Mój brat pyta o to? Czy się nie domyśla?

— Mogę się domyślać, gdyż Winnetou mówił o trzystu Nijorach, podczas gdy jest ich jak się dowiedzieliśmy, czterystu. A więc czwarta setka ma prawdopodobnie czatować na dole w wąwozie i nie wypuścić wrogów, jeśli już odważą się wejść na górę.

— Mój brat odgadł prawidłowo, ale czy nie myśli, że ta setka powinna ukryć się tam na krótko przed przybyciem wrogów?

— Nie, gdyż ślady mogłyby ich szybko zdradzić. Zresztą, sądzę, że stałoby się dobrze, gdybyśmy mieli ich przy sobie.

— Otóż właśnie! Teraz zawrócimy z drogi, aby śledzić Mogollonów. Zawiadomimy Szybką Strzałę, aby nadesłał nam stu wojowników, gdyż będą nam potrzebni.

— Podzielał twoje zdanie. Wszakże nie powinni jechać tą samą drogą, którą przybędą nieprzyjaciele, bo jeszcze mogą się na nich przez przypadek natknąć.

— To prawda. Będą musieli obrać inną drogę.

— My zaś wyznaczymy im miejsce spotkania.

— Myślałem już o tym — rzekł Winnetou i zwracając się do Nijorów, zapytał: — Czy moi bracia znają Pinu-Tota?

— Tak — odrzekli zgodnie. — Pinu-Tota, czyli wzniesienie nazywane Wężową Górą.

— Tam właśnie powinien Szybka Strzała wysłać stu wojowników, i to natychmiast po przybyciu posłańca. Czy zrozumieliście wszystko, co wam powiedziałem?

— Tak.

— Niech więc jeden z was wyjedzie jako goniec, aby powiadomić wodza.

Ponieważ Winnetou wydał już wszystkie polecenia, więc tylko dodałem.

— Goniec niech powie Szybkiej Strzale, że Mogollonowie są już drodze. Czas więc nagli. Pojedziemy dalej, gdy tylko połączymy się ze stu waszymi wojownikami, i odetnie im drogę powrotną, kiedy już dotrą Łysiny Kanionu. Jak się nazywa ta miejscowość? — zwróciłem się teraz Winnetou.

— Cieniste Źródło.

— A zatem wódz wiedząc, że spotkaliśmy się w Cienistym Źródle, będzie mógł dokładnie określić czas. Muszę mu też przypomnieć, aby bardzo uważnie kazał strzec jeńca, które mu przekazałem. Jeśli bowiem zbiegnie, ponownie niełatwo go będzie schwytać. Jak daleko jest stąd Wężowej Góry?

— Na naszych koniach trzy godziny drogi — odpowiedział Winnetou.

— W jakim kierunku należy jechać?

— Na północny wschód.

— A my przybywamy z północnego zachodu. A zatem droga do Wężowej Góry biegnie w pobliżu puebla, w którym byliśmy?

— Tak.

— Jonatan Melton podążył z pięćdziesięcioma wojownikami w tym kierunku, aby nas schwytać. Hm! Przyszło mi coś na myśl. Jak daleko stąd leży Mroczna Dolina, w której zatrzymał się Szybka Strzała.

— Można tam być po pięciu godzinach.

— Jedziemy natychmiast do Wężowej Góry. Za pięć godzin goniec przybędzie do swego wodza, godzinę pochłona przygotowania do wymarszu, mogą przeto za jedenaście godzin dojechać do Cienistego Źródła i za czternaście do Wężowej Góry.

— Skąd ten pośpiech? — zapytał Winnetou.

— Dzięki niemu można będzie schwytać Jonatana i jego eskortę.

— Musielibyście jechać za nim aż do puebla — zauważył Emery.

— Dlaczego? Czy myślisz, że tam pojechał?

— Myślę, że tak! Pragnie nas schwytać. Podąża naprzeciw, a ponieważ nas nie spotka, więc dojedzie aż do puebla, gdzie już nas nie zastanie. Kiedy następnie wróci, będzie już po rozprawie z Mogollonami. Dopiero wówczas, a nie wcześniej możemy go spokojnie oczekiwać.

— Zapomniałeś o Judycie — wtrąciłem.

— Ona? Prawdopodobnie wróciła do puebla.

— Nie byłbym tego taki pewny. Raczej przypuszczam, że pojechała do Jasnej Skały — odpowiedziałem.

— A więc sądzisz, że Jumowie ją odnaleźli? — zapytał Emery.

— Najprawdopodobniej. Spieszyła się do Meltona, czyli z pewnością wyruszyła już w drogę. Poza tym jej powrót opóźniały dwa inne ważne powody. Po pierwsze, przebyła już taki szmat drogi, że powrót do puebla zająłby jej nie mniej czasu niż droga do Jasnej Skały. A po drugie, wie dokładnie, że ścigamy Jonatana. Boi się o niego i pragnie go ostrzec. Dlatego sądzę, że pojechała dalej.

— I co z tego?

— W tym wypadku Melton spotka się z nią po drodze. Dowie się, że podążyliśmy do Jasnej Skały i wróci czym prędzej, aby oznajmić to Mogollonom. Przyznajesz mi słusność czy nie?

— Hm, nie mogę ci jej odmówić. Mów dalej!

— Jeśli moje przypuszczenia są właściwe, to spotkamy Meltona jeszcze zanim połączy się z Mogollonami. Gdy będziemy mieli przy boku stu Nijorów, łatwo poradzimy sobie z Meltonem i jego pięćdziesięciu wojownikami. W takim przypadku osiągniemy podwójną korzyść: uszczuplimy zastępy Mogollonów o tę liczbę wojowników oraz złapiemy Jonatana.

— To brzmi bardzo pięknie. I być może nawet, że masz rację, jak się to najczęściej zdarza. Ale wątpię, czy będzie z tego jakaś korzyść. Jeśli schwytemy wrogów, to osłabimy nie tylko nieprzyjaciół, ale także i nas samych, ponieważ będziemy zmuszeni wyznaczyć duży oddział do strzeżenia jeńców.

— Istotnie, przyznaję. A następnie?

— I co z tego będziemy mieli, że schwytamy Meltona o jeden dzień wcześniej? Jeśli mu nie przeszkodzimy, to pojedzie z Mogollonami do Łysiny Kanionu i zostanie tam wraz z nimi okrążony. Tak byłoby o wiele lepiej, gdyż wówczas nie stracilibyśmy zbyt wiele cennego czasu.

To, co mówisz, ma swoje uzasadnienie. Ale czy ten gagatek, skoro znajdzie swoją Judytę, istotnie pojedzie z Mogollonami? Nie jest to tak oczywiste, jak sądzisz. Tak często nam się wymykał, że wołałbym go mieć jak najszybciej.

— Ale sam chyba przyznajesz, że postępowanie takie pomniejszy szeregi Nijorów, których część będzie zmuszona zajmować się jeńcami, a przez to nas osłabi.

— Nie tak bardzo, jak myślisz. Pięćdziesięciu rozbrojonych Indian wymaga nie więcej niż dwudziestu strażników. Zostanie nam jeszcze osiemdziesięciu wojowników.

— A czy uważasz, że tylu nam później wystarczy?

Naturalnie. Nasze zadanie polega przecież tylko na tym, aby Mogollonom, którzy wejdą na Łysinę Kanionu nie pozwolić się cofać. Ponieważ ucieczka jest możliwa jedynie przez wąwóz szerokości dwóch jeźdźców, więc gdy dojdzie do walki, najwyżej tylko sześciu, a nie osiemdziesięciu będzie mogło strzelać. Nie znam tej miejscowości, ale sądząc z opisu Winnetou, podejmuję się z dziesięcioma lub dwunastoma Nijorami bronić wąwozu przed wszystkimi Mogollonami. Stąd też nie może być mowy o znacznym osłabieniu naszego oddziału.

— Mój brat dobrze mówił — potwierdził dotąd przysłuchujący się rozmowie Winnetou. — Natychmiast podążymy do Wężowej Góry, a wojownicy Nyorów niech czym prędzej udadzą się za nami. Być może, wyślemy do Szybkiej Strzały jeszcze jednego lub kilku gońców.

Słowa Apacza były decydujące. Jeden z Nijorów odjechał, aby poinformować wodza o naszych ustaleniach.

Może się wydać nawet podejrzanе, że dotychczas jeszcze nie wspomniałem o portfelu, który zabrałem z namiotu Meltona. Byłem niezmiernie ciekaw jego zawartości, ale nie uważałem za stosowne otwierać go pod nieobecność prawego właściciela majątku. Zdawało mi się, że towarzysze podzielali mój pogląd, gdyż nie poruszali dotąd tego tematu. Teraz jednak, kiedy staliśmy przy koniach, które piły wodę ze źródła, Dunker rzekł:

Sir, myślimy o wszystkim i wszystkim się zajęliśmy. O jednym jedna zapomnieliśmy, a mianowicie o tym co jest najważniejsze.

— O czym? — zapytałem zdziwiony.

— O pugilaresie. Przecież powinniśmy kiedyś go otworzyć.

— Jego zawartość wcale nas nie dotyczy.

To prawda, ale przynajmniej trzeba zajrzeć, czy jest to rzeczywiście portfel z pieniędzmi. Wszak Melton mógł je schować gdzie indziej.

— Hm, oczywiście mogło się i tak zdarzyć.

— Skoro przyznaje mi pan rację wynika z tego konieczność zajrzenia do środka i upewnienia się, czy ni wiezie pan przypadkiem czegoś innego.

— Byłbym bardziej zadowolony gdybym mógł powiedzieć właścicielowi pieniędzy, że nie otwieraliśmy pugilaresu.

— A to niby dlaczego? Mister Vogel nie będzie nas przecież uważał za oszustów. Niechże pan będzie rozsądny i zajrzy do portfela! Kiedy mam w kieszeni orzech, pragnę się przekonać, czy nie jest wewnątrz pusty. Przypuśćmy, że zabrał pan nie ten pugilares. A więc trzeba rozeznąć się w sytuacji, sir! Będzie pan wymyślał różne przyczyny aby nie zajrzeć do środka, a tymczasem prawdziwy skarb, jeśli jest ukryty w innym miejscu, zniknie bez śladu. A kiedy później wręczy pan niewłaściwy portfel mister Voglowi, to nie wiem, czy zechcą panu podziękować za to, żeś się tak trudził, a nawet narażał na próżno swoje życie.

Miał całkowitą słuszność przemawiając do mnie tymi słowami. Wszyscy zresztą podzielali jego zdanie. Wyciągnąłem więc portfel i otworzyłem go. Każda przegródka zawierała

skórzaną kopertę, zamkniętą skórzanym języczkiem. Otworzyłem wszystkie i znalazłem w nich amerykańskie, angielskie, niemieckie, francuskie oraz inne jeszcze banknoty ogromnej wartości. Był to majątek, jaki rzadko kto może trzymać w ręku, oczywiście poza krezusami bankowymi. W okamgnieniu zdałem sobie z tego sprawę.

— Do wszystkich diabłów! — zawołał Dunker, patrząc rozszerzonymi ze zdumienia oczami. — To są naprawdę miliony! Cóż by dał syn mego ojca, aby stary Hunter był jego wujem lub stryjem. Niech pozwoli mi pan chociaż to przeliczyć!

— Nie — odrzekłem. — Wiemy już teraz, że zabrałem właściwy portfel. To nam wystarczy. Niechaj pierwszy przeliczy ten, do kogo pieniądze te prawnie należą.

Włożyłem koperty do przegródek, zamknąłem pugilares i schowałem. W jednym jego przedziale zauważyłem oprócz pieniędzy jakieś papiery, nie wyjąłem ich jednak ze względu na Dunkera. Być może, korzystając z mej dobroduszości, skłoniłby mnie do wyjęcia ich i przeczytania, a nie widziałem takiej potrzeby.

Opuściwszy Cieniste Źródło, pojechaliśmy na północny wschód. Winnetou był nadal naszym przewodnikiem. Zapadła noc. Niebo było usiane gwiazdami, a powietrze tak czyste, że mogliśmy gołym okiem obejmować daleki horyzont. Po zapowiedzianych trzech godzinach szybkiej jazdy wyłoniło się przed nami wysokie i ciemne wzgórze.

— Otóż i Wężowa Góra — rzekł Apacz wskazując przed siebie.

Zakreśliliśmy łuk dookoła wschodniego niskiego podgórze. Dotarłszy do północnej strony góry, mieliśmy ją i jej zalesioną część po lewej ręce. Las wrzynał się licznymi rozgałęzieniami w równinę. Mknęliśmy po niej do źródła, gdzie zamierzaliśmy urządzić postój. Winnetou napomknął, że już wkrótce zbliżymy się do wody. Naraz gwałtownie osadził konia.

— Pst, ani słowa! — szepnął. Wychyliwszy się maksymalnie ku przodowi, przyłożyliśmy ręce do końskich pysków, aby zapobiec parskanii zwierząt.

— Co to takiego? — zapytałem po cichu. — Czy widziałeś coś?

— Nie, poczułem.

Wciągnął w nozdrza powietrze i powiedział:

— Czuję ogień.

— Gdzie?

— Wprost przed nami. Pewnie nad źródłem. Niechaj moi bracia tutaj na mnie poczekaają!

Zeskoczył z konia i podał mi cugle do przytrzymania.

— Czy do źródła jest tak blisko, że może dotrzeć tam parskanie naszych koni?

— Wprawne ucho usłyszy z pewnością. Dlatego lepiej będzie, jeśli cofniecie się nieco.

Winnetou znikł wśród zarośli, które zamierzaliśmy objechać. Cofnęliśmy się i zatrzymawszy w wystarczającej, jak sądziłem, odległości, czekaliśmy na Apacza. Upłynęła długa chwila, zanim wrócił. Ja osobiście nic nie czułem. On, człowiek natury, miał tak wyćwiczone i czułe zmysły, że czasem po prostu nie mogłem wyjść z podziwu, wrócił wreszcie i siadł wyprostowany. Co było nieomylnym znakiem, że żadne niebezpieczeństwo w tym miejscu nam nie grozi.

— Moi bracia ucieszą się, skoro im powiem, kogo widziałem — rzekł po chwili.

No, kogo? zapytał Dunker, nie umiejący powstrzymać ogromnej ciekawości.

— Squaw, która zwie się Judytą.

— Do wszystkich par diabłów! Chętnie bym ją zobaczył. Naopowiadaliście mi tyle o owej osobliwej damie, że ochota mnie bierze spotkać się z nią oko w oko.

— Nie minie to pana, mister Dunker — rzekł Emery. — Nie tylko ją pan zobaczy, ale nawet będzie mógł z nią porozmawiać.

— Jak to porozmawiać? — zapytałem.

— No, wreszcie schwytały tę gołąbicę! Jeśli pozostanie na wolności, może nam wyrządzić jeszcze niejedną krzywdę.

— Wątpię. Przecież mamy wreszcie schwytać naszego drogiego Jonatana.

— No właśnie!

Melton wyjechał na nasze spotkanie. O ile nikogo w drodze nie znajdzie, pomyśli, że jesteśmy jeszcze w pueblu, i tam pojedzie. Jeśli pozwolimy mu oddalić się tak daleko, może uciec, a nawet śmiałbym twierdzić, że ucieknie na pewno. Natomiast, jeśli spotka swoją Judytę, dowie się od niej, że jesteśmy tutaj. Nie pojedzie do puebla, tylko zostanie na miejscu, aby na czele Mogollonów nas schwytać. Czy tego nie pojmujesz?

— Miałbyś słuszność, gdyby sprawdziło się twoje przypuszczenie, że Jonatan spotka się z Judytą. Ale czy to takie pewne?

No, niezbyt — przyznałem nieco stropiony.

— A zatem lepiej natychmiast ująć Judytę! — zawyrokował Emery.

— Nie — odezwał się Winnetou. — Nie powinniśmy tego robić, albowiem spotka się z Meltonem na pewno.

Przemówił z taką pewnością, że nawet się zdziwiłem.

— Mój brat, zdaje się, nawet o tym nie wątpi? Przyznaję, że ja nie jestem o tym tak przekonany.

Jeśli Jonatan nie jest ślepy i jego pięćdziesięciu Mogollonów również posiada oczy, to na pewno natkną się na białą squaw. Powiedziałem już, że droga do puebla leży w odległości pół godziny jazdy. Równina jest całkiem monotonna, pozbawiona zarówno skał, jak również drzew i krzewów. Biała squaw rozpałała takie ognisko, że można by przy nim upiec wielkiego bawołu i widać je z odległości większej niż ta, na której leży droga do puebla.

— Czyli doskonale się składa! Kiedy Melton będzie tamtędy przejeżdżał lub znajdzie się w pobliżu, od razu zobaczy ognisko. Ale co będzie, jeśli przejechał już wcześniej lub jeśli w ogóle nie przyjedzie?

— Nie mógł jeszcze przejeżdżać tą drogą. Byliśmy wprawdzie daleko, aż koło Cienistego Źródła, ale dosiadamy rączych koni, a poza tym spieszyliśmy się. Melton i jego oddział nie mają takich wierzchowców. Nic ich też szczególnie nie ponaglało. Jeśli, jak przypuszczam, jechali z normalną szybkością, to nie mogli jeszcze minąć tej okolicy. A ponieważ źródło, nad którym obozuje Judyta ze swoimi Indianami, posiada najlepszą wodę w okolicy, a ponadto Mogollonowie przyjadą tutaj na czas wypoczynku, więc jest całkiem prawdopodobne, że skierują się właśnie ku tej wodzie.

— Jest to dla nas korzystny układ — uśmiechnął się Anglik. — Za jednym pociągnięciem schwytny całą klikę: Judytę, Jonatana, Jumów i Mogollonów.

— Ciszej! — przerwałem mu. — Przede wszystkim nie ma tu jeszcze tych, których chcesz schwytać, a następnie zachodzi pytanie, czy w ogóle wszyscy z nich się tutaj zjawiają.

— No tak, więc co robimy? — zapytał.

— Czekamy, to wszystko. Chciałbym się teraz podkraść do biwaku Judyty. Winnetou był już tam, zna okolicę, więc zaprowadzi mnie. Nie wiadomo, co może się zdarzyć, dlatego trzeba dokładnie wy badać, gdzie będzie można najbezpieczniej urządzić nasz postój.

Objechawszy wschodnie zbocze wzgórza, znaleźliśmy się na stronie południowej, gdzie nic nam nie mogło zagrażać. Zsiedliśmy z koni. Emery i Dunker musieli tu pozostać wraz z czterema Nijorami, ja zaś i Winnetou ruszyliśmy znów na drugą stronę.

Dotarliśmy do miejsca, w którym Winnetou wyczuł zapach ogniska. Tym razem Apacz nie obrał poprzedniej drogi, lecz poszedł na lewo ku stromemu zboczowi, gdzie wznosiły się drzewa. Nie świeciły już nad nami gwiazdy, dookoła zalegał mrok. Po ciemku posuwaliśmy się dalej. Winnetou szedł pierwszy, a ja za nim. Tak upłynął kwadrans, ponieważ musieliśmy się mieć na ostrożności i posuwać bardzo powoli.

Wreszcie między drzewami zobaczyliśmy blask ogniska. Teraz widząc dokładniej, mogliśmy poruszać się szybciej. Ale jednocześnie zmuszeni byliśmy podwoić czujność.

Kryliśmy się w cieniu drzew i krzewów. W pewnej chwili, gdy przysunąłem się do Winnetou, odwrócił głowę i szepnął:

— Uraduje mego brata położenie miejsca, do którego go prowadzę, bowiem rzadko chyba widział tak dogodne stanowisko do podglądania.

Miał słuszość. Leżeliśmy na wysokości czterech łokci powyżej obozu Judyty. Pod nami ze skały sączyła się woda. Zdawało się, że z naszego miejsca nie ma zejścia na dół, ale tak się tylko pozornie wydawało, gdyż właściwie rosły tu sosny, tak gęsto obok siebie, że rozpościerając swe gałęzie nisko nad ziemią, tworzyły dzięki temu najlepszą, jaką można sobie wymarzyć kryjówkę.

Winnetou znikł pod najniższymi gałązkami. Poszedłem za jego przykładem. Posuwaliśmy się pod ich osłoną, aż wreszcie dotarliśmy do ostatnich pni na dole.

W pobliżu, z lewej strony biło ze skały źródło, na prawo wznosiła się góra. Źródło rozlewało się następnie w jezioro szerokie na trzy łokcie, skąd brał początek strumień. Po drugiej stronie tego jeziora siedziała piękna Judyta przed szałasem, skleconym przez Jumów z na ukos splecionych gałęzi drzew i krzewów. Koło Judyty przykucnął Indianin. Rozmawiali. Płomienie ogniska oświetlały teren wokół i strzelały w górę jasnymi językami. Winnetou miał rację. Przy tym ogniu można było upiec całego bawołu. Tak beztrudnie postępować mogli tylko Jumowie, którzy mieszkając w pueblu zapomnieli o swych dawnych zwyczajach i ostrożności. Siedzieli dookoła buchającego płomienia, który, zdawało się, dosięgał nieba. Chociaż Judyta rozmawiała z czerwonoskórym po cichu, słyszeliśmy wszystko doskonale, leżeliśmy bowiem w odległości zaledwie trzech metrów od nich. Towarzyszący jej Juma był znanym nam gospodarzem, w którego to domu, niedaleko puebla, napadli na nas Indianie z jego plemienia.

— Czyż to miejsce nie jest piękne i zarazem wygodne? — szepnął Winnetou.

— Wyśmienite! Znasz je od dawna?

— Nie. Poprzednio leżałem po przeciwległej stronie ogniska w zagajniku. Stamtąd też zobaczyłem sosny i od razu pomyślałem sobie, że stanowią pewną kryjówkę. Źródło natomiast istotnie znam od dawna, ale kiedy zawitałem tu przed laty, drzewa nie były jeszcze tak rosłe i wspaniałe.

Tak, nasze stanowisko było jak gdyby stworzone do podpatrywania, chociaż ściągało na nas jedno wielkie niebezpieczeństwo. Gałęzie, które służyły za osłonę, rosły tak nisko nad ziemią, że prawdziwą sztuką było przekraść się pod nimi, nie poruszając ich i nie powodując najmniejszego szelestu. Ale Winnetou z wszelkimi trudnościami radził sobie po mistrzowsku.

A zatem poszczęściło się nam od razu, ale bardziej, o wiele bardziej, kiedy zaczęliśmy podsłuchiwać. Z początku Judyta i Juma rozmawiali właśnie o nas. Słyszeliśmy, jak Indianin rzekł:

— Senior Melton źle postępował. Nie u mnie należało napaść na owe psy. Dom dawał im osłonę przed atakiem, mogli się bronić, a przy tym zwietrzyli, że muszą się mieć na baczności.

— Chcieliśmy ująć ich żywych — odrzekła Judyta.

— I to był błąd. Przecież i tak mieli umrzeć. Dlaczego więc nie od razu?

— Masz rację. Toteż później bardzo tego żałowałam. Skłoniliśmy ich do ostrożności i to ona była powodem, że uszli cało. Ale nie wymkną się nam powtórnie!

— A wówczas wieczorem, tam nad skałą! Z jaką łatwością można ich było zastrzelić! Ale chcieliście czekać, aż zasną. To był kolejny, nie do naprawienia błąd. Wokół panowała głęboka ciemność, a wicher wył tak przeraźliwie, że na pewno nie zauważono by nas, kiedy byśmy się zbliżyli. Mogliśmy podkraść się na odległość paru kroków, a wtedy nie zmarnowałyby się żadna kula. Z nadmiernej przezorności odstępiliśmy od tego zamiaru. Te psy zapędziły w kozi róg i nas, i całą naszą przebiegłość.

— Ale nic nam się nie stało, chociaż mogliśmy przecież zginąć.

— Obawiają się zemsty i nie znoszą; widoku krwi. Mam nadzieję, że wkrótce zobaczymy ich koło Jasnej Skały. Niech inni martwią się tym, co się stało; ja patrzę tylko w przyszłość i wiem, że zdobędę skalpy Winnetou i pozostałych białych twarzy.

To mówiąc wyciągnął nóż z pochwy i wściekłym gestem przeszył nim powietrze. Był niezmiernie zawzięty. Co mu właściwie zrobiliśmy, że pałał do nas taką nienawiścią? Nic, kompletnie nic. Spowodować ją mogła jedynie pomoc, niesiona przez nas hacjenderowi z Sonory oraz nieszczęsnym emigrantom. Ale od tego czasu upłynęło wiele miesięcy. Oszczędzaliśmy Jumów wbrew obyczajom prerii. Zawarliśmy z nimi pokój. Ten człowiek był szczególnie brutalny, dużo bardziej ponad indiańską miarę. Kiedy przyjrzałem się zaciętemu wyrazowi jego twarzy, zrozumiałem, dlaczego opuściła go żona.

— Wątpię, czy dostaniesz te skalpy — odpowiedziała po krótkiej chwili jego władczyni.

— A to dlaczego?

— Nie jesteś sam. Gdy tylko przybędziemy do Jasnej Skały i opowiem seniorowi Meltonowi i Mogollonom, że szubrawcy uciekli i jadą do nich, natychmiast rozpocznie się wielka obława. A wówczas skalpy zedrą z nich Mogollonowie.

— Zadowolę się tym, że zobaczę właścicieli skalpów przy palu męczeńskim. Pragnę, aby...

Nie mógł dokończyć zdania, ponieważ nagle przy ognisku rozległo się głośne: „Uff, uff, uff!” Jumowie skoczyli jak oparzeni, z ogromnym zaskoczeniem na twarzy. Po chwili jednak oblicza ich rozjaśnił uśmiech, a ich uradowane spojrzenia skierowane były na człowieka, który wyszedł z zagajnika. Widzieliśmy go także. Był to Melton.

— Jonatan! — krzyknęła Judyta, zrywając się momentalnie z ziemi.

— Judyta! — odrzyknął Melton. Padli sobie w objęcia. Odpowiedzi ich krzyżowały się z pytaniami:

— Skąd przybyłaś? — zapytał.

— Z puebla. A ty?

— Z Jasnej Skały. Dokąd dążysz?

— Do Mogollonów. A ty?

— Do puebla, do ciebie.

— Dlaczego chcesz wracać, skoro tak szczęśliwie się wymknąłeś?

— Ponieważ chcę mieć tych, przed którymi uciekłem.

— Nie ma już ich tam. Podążyli do Jasnej Skały.

— Do stu tysięcy piorunów! Czy wyprzedzili was, czy też są za wami?

— Wyprzedzili nas.

— A zatem z puebla wyruszyli wcześniej?

— Tak.

— Jak dawno?

— Wyjechaliśmy natychmiast po nich. Lękałam się o ciebie.

— A więc nie dotarli jeszcze do Jasnej Skały.

— To mało prawdopodobne, albowiem znacznie nas ubiegli. Schwytali mnie po drodze i zawlekli na pustkowie, gdzie pozostawili na pastwę losu. Nie znałam tamtej okolicy. Błąkałam się przez cały dzień po bezdrożach. Potem całą noc przeleżałam sama jedna pod gołym niebem — to było straszne — aż w końcu znaleźli mnie moi Jumowie. To wszystko pozwoliło wrogom wyprzedzić nas o przeszło dzień drogi.

— A zatem mogli już dziś rano przybyć do Jasnej Skały! Kto by to pomyślał! Nie spotkaliśmy żadnych śladów. Musisz mi to wszystko dokładnie opowiedzieć. Ale powiedz mi przede wszystkim, czy Vogel tkwi wciąż jeszcze w korytarzu puebla?

— Nie, znaleźli go i uwolnili.

Tupnął nogą o ziemię i zawołał z wściekłością:

— Diabeł musiał im chyba wskazać drogę albo ty!

— Nie mogę zarzucić sobie braku rozwagi! — odparła Judyta. — Nie uwierzysz, jak byłam przez nich traktowana. Odkryli drogę, która prowadziła z mojej kuchni na dół, a nawet drogę wodną.

— Tym bardziej muszę ich schwytać. Muszę, muszę! Niech wezmą tę tajemnicę z sobą do grobu, inaczej bowiem w żadnym zakątku ziemi nie będę bezpieczny! Ale dlaczego nie ma przy tobie mojego ojca?

— Ojciec twój jest z nimi. Zaskoczyli go w mieszkaniu, związali, zakneblowali i uprowadzili z sobą.

— To jest... jest... niestety, nieszczęście na które... nie byłem przygotowany! — wykrztusił. — Dobrze przynajmniej, że ojciec schował pieniądze między cholewy butów!

— Dobrali się i do nich — wyznała cicho Judyta.

— W takim razie te łotry są w sojuszu z całą mocą piekieł! Ja... ja muszę usiąść.

Bardziej zabolął go fakt, że pieniądze zostały znalezione i odebrane, niż to, że jego ojciec został schwytany. Judyta zaprowadziła go do szałasu. Usiadł przed nim, ona zaś stanęła obok niego. Nie zwracał na nią żadnej uwagi. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Judyta namawiała go, aby się uspokoił, ale nie odpowiadał, nie drgnął nawet.

Przysunąłem głowę do Winnetou i szepnąłem mu do ucha:

— Może go teraz schwytamy? To byłoby proste. Wyskoczymy z ukrycia, uchwycimy za kołnierz i znikniemy z nim w lesie, gdzie nas już nie znajdą. Zarówno on, jak i Indianie znieruchomieją ze strachu.

— Tak, udałoby się nam na pewno, ale jednak zaniechajmy tej myśli.

— Dlaczego? — zdziwiłem się nieco.

— Ponieważ nie powinniśmy się jeszcze pokazywać. Gdy tylko Mogollonowie dowiedzą się, że tu jesteśmy, staną się ostrożni i udaremnią nasz świetny plan.

— Tak, to prawda. Musimy więc z tego zrezygnować, choć bardzo żałuję, albowiem moglibyśmy mieć Jonatana w ręku tak szybko i łatwo. I tak pewnie...

— Niebawem dostaniemy go w swoje ręce. Winnetou wie już, gdzie i jak to się stanie. Będziemy mieli nie tylko jego samego, ale także pięćdziesięciu Mogollonów. Może brat mój uważa, że i oni są już tutaj?

— Nie sędzę. Jest tak, jak poprzednio przewidziałeś. Jonatan przybył do tej miejscowości, zobaczył ognisko i... posłuchajże!

Melton tymczasem uspokoił się znacznie. Kazał Judycie opowiedzieć dokładnie przebieg wypadków, od momentu gdy wyjechał z puebla. Mówiąc o nas, wyrażał się tak, że niepodobna tego powtórzyć. Potem słuchał nie przerywając ani słowem, chłonąc każde jej zdanie w milczeniu. Kiedy skończyła, odezwał się cicho:

— Staralaś się zapobiec nieszczęściu. Nie mogę cię potępiać. Te szuje są ludźmi szczególnej kategorii. My, to znaczy ojciec, stryj i ja, postępowaliśmy wobec nich niewłaściwie, przeciwnie bowiem moglibyśmy teraz w spokoju i pewności korzystać z majątku. Skoro nie mogliśmy skończyć z nimi w Tunisie, powinniśmy byli przede wszystkim porzucić wszystkie inne sprawy i załatwić z nimi porachunki. Apacz leżał chory w Anglii, wiedzieliśmy o tym. Moglibyśmy tam pojechać i... Nikt nie pisnąłby słowa w ich obronie. A następnie później, trzeba było zostać w Nowym Orleanie i obrać zgoła inną drogę postępowania. Podstawową sprawą było usunięcie Old Shatterhanda i Winnetou. Anglika mogliśmy się nie obawiać. Ten brak przedsiębiorczości mści się teraz na nas!

— Nie mów tak — dodawała mu otuchy Judyta. — Co jest, mówiąc właściwie, straconego? Tymczasem jeszcze nic, absolutnie nic!

— Stracona jest chociażby kwota, którą miał przy sobie ojciec.

— Wcale nie! Gdy te szelmy wpadną w twoje ręce, odzyskasz z powrotem pieniądze, zagrabione twemu ojcu. Musisz go uwolnić, musisz!

— Spojrzał na nią dziwnym spojrzeniem i zapytał:

— Czy tak bardzo ci na nim zależy?

— Na nim nie, ale na tobie i na pieniądzech.

— Otóż właśnie, mogą z nim zrobić, co tylko zechcą! Nie będę się wcale nad tym zastanawiał. Czy myślisz, że czuję się przy nim pewnie?

— Nie? zapytała zdumiona. Nie! Wprawdzie nie przyznał się do zbrodni, którą zwałił na Old Shatterhanda i Winnetou, ale ja wiem dobrze, że to właśnie on zakatrupił swojego brata, aby się samemu uratować i zagarnąć jego pieniądze. Bratobójca może równie łatwo zgładzić własnego syna.

— O niebiosa! — zawołała. — Uważasz to za możliwe?

— Oczywiście. Potrafi ukraść mi pieniądze i zbiec. Dlatego pojechałem z tobą, nie z nim. Dlatego w pueblu nie powinien był wiedzieć, gdzie ukryłem pieniądze. Gdybym z nim mieszkał, nie mógłbym ani przez godzinę spać spokojnie. Gdyby szło o jego życie, potrafiłby zdobyć się nie tylko na rabunek, ale nawet na synobójstwo. Oczywiście oswobodzę go, chociaż wbrew sobie, gdy tylko schwytam naszych wrogów, ale potem rozstanę się z nim na zawsze. Dostanie tyle, aby mógł żyć spokojnie, lecz nie dam mu sposobności do zagarnięcia większej: sumy. Dostanie o tym! Najważniejszą teraz rzeczą jest to, że nasi prześladowcy są w Jasnej Skale. Jak to dobrze, że zabraliśmy adwokata i śpiewaczkę!

— Jakiego adwokata? Jaką śpiewaczkę? wykrzyknęła Judyta.

— Pytasz... Ach, tak, nie możesz przecież o tym wiedzieć. Pomyśl tylko, Murphy udał się za nami w pościg!

— On? Czy oszalał?

— Chyba, inaczej bowiem nie zapuszczałby się na takie pustkowie. W Albuquerque spotkał siostrę Vogla.

— I ona pojechała z nim? dokończyła zdanie Judyta. — Czy to ich spotkałeś w drodze?

— Tak. Wpadli w ręce Mogollonów. Oczywiście, nie wrócą już z powrotem. Dopiero podczas wyprawy wojenn...

— Wyprawy wojennej? przerwała Judyta.

— Tak. Mogollonowie wyruszyli przeciwko Nijorom. Starcy, kobiety i dzieci zostali oczywiście na miejscu, a z nimi mieli pozostać jeńcy — śpiewaczka i adwokat, ale udało mi się nakłonić wodza, aby zabrał ich z sobą. A zatem Winnetou i jego kamracy nie zastaną już w Jasnej Skale swoich znajomych. Murphy i siostra Vogla jechali powozem, kiedy napadli na nich Mogollonowie. Umieszczono ich teraz w tym samym powozie. Wódz z początku niechętnie, ale później całkowicie uległ moim namowom. Silny Wicher musiał być ongiś wielkim przyjacielem twego męża. Wnioskuje to z wyśmienitego przyjęcia, z jakim się tam spotkałem. Wszelako nie jest to jednak człowiek, którego mógłbym umieścić w moich planach. Wydaje się prostodusznym, surowych zasad Indianinem. Tylko dzięki temu, że przedstawiłem Old Shatterhanda i Winnetou jako przyjaciół i obrońców Nijorów, mogłem w nim wywołać wrogię do nich nastawienie.

— A więc nie obroni ich, skoro wpadną w jego ręce?

— Nie. Musiałem przy tym przywołać na pomoc cały zasób fantazji i pomysłowości. Diabli wiedzą, dlaczego ci dwaj cieszą się takim poważaniem nawet u nieprzyjaznych sobie plemion, że mogą się ważyć na najzuchwalsze nawet, dla innych absolutnie niemożliwe czyny. Wywołałem w wodzu pewną niechęć do nich, ale nie poprzestałem na tym. Wysłałem z palca parę pięknych, wymownych opowiastek, które wywarły odpowiednie wrażenie. Nie byłem pewien, czy moi prześladowcy ścigają mnie. Ale, jak wiadomo, mają kolosalne szczęście w odnajdywaniu śladów. Założyłem, że mogli także wpaść i na mój trop i podążyć do Jasnej Skąły. Musiałem więc postarać się, aby nie powitano ich tam jako przyjaciół, i sądzę, że nie traciłem czasu i wysiłku na próżno.

— Jak ci już powiedziałam, wiedzą, że tam jesteś. Co uczynią, gdy cię nie znajdą?

— Pojadą w ślad za mną.

— Przecież nie wiedzą dokąd!

— Czyżby? Mylisz się ogromnie, jeśli tak sądzisz. Nie ma na całym świecie takich szpiegów i wywiadowców, jak ci dwaj.

— Myślisz, że będą wypytywać o ciebie w obozie Mogollonów?

— Są zbyt ostrożni i dobrze wiedzą, że gdyby rozpytywali o mnie, ktoś z obozu natychmiast pojechałby do wodza i zawiadomił o ich przybyciu. Ci spryciarze nie pytają ludzi. Najmniejsze źdźbło trawy, kamuszek, złamana gałązka lub kałuża powie im wszystko, czego pragną. Możesz mi wierzyć. O tym słyszałem setki razy. A ponadto, być może, Długi Dunker spotkał się z nimi.

— Długi Dunker? Któż to taki?

— Znany przewodnik, który towarzyszył Murphy'emu. Również dostał się do niewoli, ale Mogollonowie tak go kiepsko strzegli, że zdołał w jasny dzień na oczach wszystkich wyrwać się strażnikom, dopaść stojącego nie opodal konia i uciec. Co prawda Indianie natychmiast puścili się za nim w pogoń, ale koło północy wrócili z pustymi rękoma. Jeśli więc Dunker spotkał naszych prześladowców, to na pewno poinformował ich o wszystkim. A wówczas nie pojechali zapewne do Jasnej Skały, lecz skręcili na południe.

— Aby tropić Mogollonów?

— Nie. Wszak wobec takiej przewagi Indian niczego nie dokonają, jakkolwiek są to zuchwalcy, którzy nikogo się nie ulęką. Jeżeli spotkali na swej drodze Dunkera, to pojechali raczej do Nijorów, aby uprzedzić ich o zamiarach Mogollonów.

— Czy uważasz, że przez to coś osiągną?

— Ręczę ci, że osiągnęliby bardzo wiele, a nawet wszystko, gdybym był głupcem i nie miał się na baczności, a więc nie zawiadomił o tym Mogollonów. Pragną mnie schwytać, uwolnić adwokata i śpiewaczkę, ale nie potrafią tego dokonać bez odpowiednio licznej pomocy. Otóż tę pomoc znajdą u Nijorów. Na szczęście, nie mogą się tak szybko poruszać, gdy wloką z sobą jeńca, mego ojca, który będzie im w drodze zawadą. Może myślisz, że się go pozbyli? Przecież wiesz, jak go traktowali w pueblu!

— Bardzo surowo, ale skoro nawet w walce niechętnie zabijają wroga, to tym bardziej nie wierzę, aby teraz zgładzili twego ojca.

— Wolałbym... Pozbyłbym się starego na zawsze i miałbym jego pieniądze, oczywiście dopiero po schwytaniu tych drani. Muszę także zdobyć broń Old Shatterhanda. Powiadają, że dla westmana stanowi ona prawdziwy majątek. Zresztą, czy mój ojciec żyje czy nie, skoro świt muszę stąd wyjechać, aby ostrzec Mogollonów. Naturalnie, ty i Jumowie pojedziecie ze mną, inaczej bowiem nie byłbym pewny, czy nie wpadniecie w ręce wrogów. A wówczas nie ograniczyliby się już chyba do porzucenia cię samej na pastwę losu.

— Czy znasz drogę, którą obrali Mogollonowie? — zapytała po krótkiej przerwie Judyta.

— Tak. Wyruszyli do Głębokich Wód i jutro wieczorem zatrzymają się w Cienistym Źródle. Tam właśnie mam się z nimi spotkać.

— Przecież nie wiesz, gdzie znajduje się ta miejscowość. Nigdy jeszcze nie byłeś w tych stronach.

— Moi Mogollonowie znają drogę. Wódz dał mi pięćdziesięciu wojowników do pomocy przeciwko Winnetou i jego towarzyszom. Zostawiłem ich niedaleko stąd. Chcieliśmy zatrzymać się nad źródłem, gdy ujrzelśmy ognisko. Wysłaliśmy wywiadowcę. Po powrocie oznajmił nam, że widział białą squaw i garstkę czerwonych wojowników. Naturalnie od razu pomyślałem o tobie i przyszedłem osobiście, aby sprawdzić słuszność mojego przypuszczenia. A teraz wrócę do swoich Indian, aby ich tutaj sprowadzić.

Podniósł się. Judyta również wstała i rzekła:

— Przyrowadź ich! Czy istotnie uważają cię za swego przyjaciela?

— Tak.

— A zatem twój majątek jest bezpieczny?

— Naturalnie!

— Tyle pieniędzy! Może to skusić nawet Indian!

Uderzył ręką o skórzaną torbę, która wisiała na jego ramieniu — była to ta sama czarna torba, z której wyjąłem portfel, i rzekł z radością w głosie:

— Tu właśnie tkwią miliony! Oczywiście, nie domyśla się tego żaden Mogollon. Pozwoliłem nawet niektórym zajrzeć do jej wnętrza i obejrzeć parę drobiazgów, które nie mogą im się przydać. Teraz już idę i będę z powrotem za jakieś piętnaście minut.

Oddalił się szybko. Oboje rozmawiali po angielsku i nie krępowali się obecnością Jumów, mimo że rozmowa ich tyczyła głęboko skrywanych tajemnic. Musieli być chyba pewni, że Indianie nie znają angielskiego na tyle, aby ich zrozumieć. Dotknąłem ręki Winnetou i zapytałem:

— Czy wracamy?

— Nie — odparł szeptem. — Czekamy, aż przybędzie tu oddział Mogollonów. Powstanie wówczas hałas i ggiełk, ułatwiający nam wycofanie się stąd.

Ten niezrównany człowiek wszystko brał pod rozwagę i umiał, jak chyba rzadko kto, korzystać z każdej sposobności, z każdej okazji. Niebawem usłyszeliśmy tętent końskich kopyt. Ukazali się Mogollonowie. Rzeczywiście, dookoła ogniska powstał taki harmider, że mogliśmy już śmiało wyleźć spod drzew, nie obawiając się wcale, iż spostrzeże nas czyjeś wprawne oko lub też ktokolwiek usłyszy.

Wracaliśmy tą samą drogą. Gdy wyszliśmy z lasu, zapytałem Winnetou:

— Czy mój brat zrozumiał wszystko?

— Wszystko potwierdził. Jonatan i Judyta są z sobą bardziej szczerzy niż należałoby przypuszczać.

— Tak, Melton opowiedział białej squaw nawet to, co się przydarzyło w Tunisie. Swoim zachowaniem przypomina dziecięcą grzechotkę, co potracona wciąż grzechocze.

— A Judyta jest równie zła jak i on.

— Gorsza nawet, gdyż zło czynione przez kobietę, budzi większą odrazę niż czynione przez mężczyznę. Ale nasza korzyść w tym, że się dzisiaj spotkali i to właśnie tutaj.

— Tak, stało się zgodnie z przewidywaniem mojego brata Winnetou. Mogollonowie zamierzali rozłożyć tu obóz i już z daleka zobaczyli ognisko. Lecz powiedziałaś, że schwytamy całą bandę. Czy nadal podtrzymujesz te słowa?

— Tak, stanie się to przy Głębokich Wodach.

— Czy daleko stąd? — zapytałem z ciekawością.

— Zobaczysz. Powinniśmy tam dotrzeć, zanim oni przybędą.

— Musimy jednak poczekać na naszych Nijorów. A tymczasem Jonatan Melton zamierza wyruszyć już o świcie.

— Uczynimy to samo. Co więcej, wyruszymy nieco wcześniej i pojedziemy na spotkanie Nijorów. Jeśli ich wódz usłuchał naszych wskazówek, to zetkniemy się z nim we właściwym czasie i przybędziemy do Głębokich Wód jeszcze przed Meltonem.

— Jest to, zdaje się, jezioro?

— Wznosiła się tam góra, która pluła ogniem. W Nowym Meksyku i Arizonie jest jeszcze takich gór więcej. Ta natomiast zapadła się, zapewne po trzęsieniu ziemi, i utworzyła głębie, w której zatrzymuje się woda.

— Czy to jezioro leży na drodze do Cienistego Źródła, że Mogollonowie muszą je wyminąć?

— W rzeczy samej tak. Wszelako mogliby skręcić na prawo lub na lewo, ale nie uczynią tego, ponieważ aż do Cienistego Źródła nie znaleźliby wody dla koni. Na pewno pojedą tamtędy.

— Czy będziemy się mogli tam ukryć, aby wcześniej nas nie zauważyli?

— Tak. Mój brat sam się przekona, gdy tylko tam przybędziemy.

Doszliśmy do końca wschodniego rozgałęzienia Wężowej Góry i mieliśmy już skręcić, kiedy zobaczyliśmy zbliżających się do nas dwóch ludzi. Było dość jasno, aby poznać, że jednym był Emery, a drugim Dunker. Oni także nas poznali. Anglik zawołał, oczywiście niezbyt głośno:

— Bogu dzięki, że tu jesteście! Lękaliśmy się już o was.

— I chcieliście przyjść z pomocą? — zapytałem. — Dowiedziecie się o wszystkim. Wracajmy do obozu!

Nijorowie pilnowali koni. Gdy wróciliśmy, usiadłem i chciałem rozpocząć opowiadanie, ale Winnetou, który wybiegał myślami naprzód, powstrzymał mnie.

— Mój brat niech jeszcze chwilę poczeka! Ważniejszą rzeczą, niż jego relacja, jest to, co oznajmię temu młodemu wojownikowi.

I zwracając się do jednego z wywiadowców, zapytał:

— Czy mój brat zna drogę, którą stu Nijorów ma do nas przybyć?

— Tak.

— Niechaj więc natychmiast jedzie na ich spotkanie. Jest dosyć jasno, aby mimo nocy mógł ich dostrzec. Skoro tylko spotka swoich braci, niech przynagli ich do pośpiechu, albowiem są nam bardzo potrzebni do schwytania pięćdziesięciu Mogollonów. Przed świtem opuścimy górę i zajedziemy im drogę — niech wiedzą, że natkną się na nas. Następnie niechaj mój młody brat podąży do swego wodza i zamelduje, że wojownicy Mogollonów jutro wieczorem rozbiją obóz w Cienistym Źródle i co za tym idzie, pojutrze przed południem przybędą do Łysiny Kanionu. A więc Szybka Strzała powinien przedtem ukryć się tam ze swoimi wojownikami. Oto poselstwo, z którym cię posyłamy. Howgh!

Wywiadowca cicho się oddalił; dosiadł wierzchowca i pojechał w noc, rozświetloną blaskiem gwiazd, na południowy zachód, skąd przybyliśmy.

Teraz opowiedziałem obu towarzyszom, co się nam przytrafiło. Byli ogromnie uradowani zapewnieniem Winnetou, iż rano schwytamy wreszcie Jonatana Meltona.

Tego dnia sen był nam ogromnie potrzebny. Ponieważ wywiadowcy nie czuwali przez szereg poprzednich nocy, dlatego bez zastanawiania się przekazaliśmy im wartę, a sami ułożyliśmy się na ziemi. Przedtem jednak Winnetou na podstawie gwiazd wyznaczył dokładnie temu, który miał trzymać straż nad ranem, godzinę, o której powinien był nas obudzić.

Spałem bardzo twardo, jak rzadko kiedy. Nijora, który mnie zbudził, opowiedział mi później, że musiał kilkakrotnie mną potrząsnąć. Nie wyspaliśmy się należycie, gdyż obudzono nas na dwie godziny przed świtem. Po przekazaniu byle czego, pojechalśmy tą samą drogą, którą przybyliśmy uprzednio.

Mieliśmy za sobą zapewne już około pięciu mil, kiedy zaczęło świtać. Wtedy Winnetou zwolnił bieg konia. Po godzinie osadził go na miejscu i wskazując na prawo, rzekł:

— Tam leżą Głębokie Wody. Nie powinniśmy dalej jechać, musimy czekać tutaj na Nijorów.

— A jeśli przybędą za późno? — zapytał Emery.

— Nawet w tym wypadku Mogollonowie nam nie umkną, gdyż napadniemy na nich między Głębokimi Wadami a Cienistym Źródłem. Winnetou jest jednak przekonany, że Nijorowie przybędą na czas.

Znowu słuszność była po jego stronie, przybyli na czas. Czekaliśmy bowiem niespełna pół godziny, gdy z południowego zachodu wyłoniła się chmara jeźdźców, zbliżających się do nas galopem. To byli oczekiwani Nijorowie. Nie znaliśmy ich, oznajmili to nam nasi wywiadowcy. Nadjeżdżający nadlecieli jak burza i zatrzymali się, tworząc prosty szereg w odległości kilku kroków od nas. Jeden z nich wysunął się do przodu i rzekł:

— Jestem Bystre Oko, młodszy brat Szybkiej Strzały. Wódz przysłał Winnetou i Old Shatterhandowi stu swoich wojowników, których zażądali nasi znakomici bracia.

— Bystre Oko jest dzielnym wojownikiem — odpowiedział z godnością Winnetou. — Chętnie wypalilibyśmy z naszymi braćmi fajkę pokoju na powitanie, ale nie mamy czasu. Musimy schwytać pięćdziesięciu Mogollonów. Czy moi bracia wiedzą o tym?

— Tak. Spotkaliśmy wywiadowcę. Te psy, Mogollonowie, znajdą nas przygotowanych.

— Gdy już ich schwytały, będzie wiele czasu, aby wypalić razem kalumet. Czy moi bracia znają jezioro, zwane Głębokimi Wodami?

— Tak. Leży po tamtej stronie, gdzie słońce zachodzi.

— Niech więc tam z nami jadą, a Bystre Oko niechaj jedzie przy moim boku!

Podążył obok Winnetou, ale cofnięty o długość końskiego łba. Pobieżne wejrzenie przekonało mnie, że Nijorowie są niezgorzej uzbrojeni. Większość znała Winnetou, ale nas trzech nigdy nie widziała. Stąd te ukradkowe spojrzenia, które na nas rzucali. Ruszyli za nami gęsiego. Zazwyczaj jedzie się tak, aby wydeptać tylko wąską ścieżkę i nie zdradzić wobec wrogów liczby jeźdźców. W takim wypadku liczbę tę można określić jedynie na podstawie głębokości wydeptanego śladu — zadanie nader trudne, lecz nie dla Winnetou, który rzadko mylił się nawet o kilku jeźdźców.

Jechałem po prawej stronie Apacza, Bystre Oko po stronie lewej. Winnetou nie odzywał się ani słowem, nie zwykł mówić wiele po takich spotkaniach. Jeśli zachodziła już taka konieczność, pozostawiał to mnie. Ja jako biały nie byłem zobowiązany do poważnego, pełnego godności milczenia czerwonoskórych. Po pewnym czasie przerwałem więc milczenie, zwracając się do dowódcy oddziału:

— Mój brat Winnetou nazwał Bystre Oko dzielnym wojownikiem. Wiem, że wszyscy Nijorowie są mężnymi wojownikami, dlatego nie ulega wątpliwości, że zwyciężymy Mogollonów. Czy wciąż jeszcze zajmują się swymi lekami?

— Nie — odparł zapytany. — Uroczystości zostały natychmiast zakończone, skoro zjawił się goniec, którego moi znakomici bracia do nas wysłali.

— Słusznie. Przyrządzenie leków wymaga wiele czasu, a ten którym rozporządzamy, jest krótki i cenny. Mogollonowie będą bowiem jeszcze dziś wieczorem w Cienistym Źródle. Czy Bystre Oko zna wiadomości, które posłaliśmy wodzowi, jego bratu?

— Tak.

— Czy wódz weźmie je pod rozwagę?

— Wie, że Winnetou i Old Shatterhand są wielkimi i mądrymi wojownikami. Dlatego też uczyni wszystko, co mu doradzą.

— Kiedy przybędzie do Łysin Kanionu?

— Jutro rano, skoro świt.

— Jeśli tak, to na pewno schwyta wszystkich wrogów.

— Wiemy o tym. Każdy pies mogolloński, który się nie podda, będzie rozstrzelany.

— A co się stanie z tymi, którzy się poddadzą? — zapytałem.

— Umrą przy pału męczeńskim.

— Ileż to strzałów potrzebowaliby moi bracia!? Będziemy mieli do czynienia z przeszło trzystu Mogollonami. Czy Szybka Strzała dopuści do zagłady całego ich plemienia?

Dowódca spojrzął przed siebie chmurnie. Wolałby nie odpowiadać na to pytanie. Ale że byłoby to obrazą, więc rzekł:

— Mogollonowie są naszymi wrogami. Czy zasłużyli na inny los? Żyliśmy z nimi w zgodzie, odwiedzaliśmy ich, a oni nas. Naraz wykopali topór wojenny, absolutnie bez żadnej przyczyny.

— Jeśli zdarzyłoby się to, o czym mój brat powiada, wówczas Łysinę Kanionu należałoby nazwać „Łysiną Mordu”. Czy mój brat słyszał, aby Winnetou i Old Shatterhand byli zwolennikami rozlewu krwi?

— Każdy czerwony i biały, który słyszał o tych wielkich i mężnych wojownikach, wie, że tak nie jest.

— Toteż zapewne wiadomo wam, że nie użyczamy ręki i pomocy plemieniu, które zamierza obejść się okrutnie z jeńcami. Co się zaś tyczy rozprawy na Łysinie Kanionu, to pomówię jeszcze w tej sprawie z twoim bratem, Szybką Strzałą. Z tobą natomiast muszę się porozumieć w kwestii najbliższego ataku. Pięćdziesięciu Mogollonów przybędzie do Głębokich Wód. Towarzyszy im biały, biała squaw i kilku Jumów, którzy nie są waszymi wrogami. Czy pomożesz mi schwytać tych ludzi?

— Jeśli Old Shatterhand tak sobie życzy, stanie się zadość jego życzeniu. Lecz Mogollonowie należą do nas?

— Pod warunkiem, że będziecie ich zabijać tylko z konieczności. Przy tym ja jestem dzisiaj waszym dowódcą, wszak wypaliłem z waszym wodzem fajkę pokoju. Jestem jego bratem, poprosiłem Szybką Strzałę o pomoc, i oto mi was przysłał. Dlatego wymagam, abyście czynili to, co ja uważam za słuszne. Jedyne pod tym warunkiem oddam wam pięćdziesięciu Mogollonów, których oczekujemy.

Ostatnie słowa wypowiedziałem powoli i tonem nie uznającym sprzeciwu. Bystre Oko zmarszczył czoło, opuścił oczy i nie odpowiadał. Moje żądanie nie przypadło mu do gustu ani do przekonania.

— Dlaczego mój brat milczy, dlaczego nie odpowiada? — nalegałem.

Czyniąc gest, jak gdyby chciał się przed czymś opędzić, rzekł:

— Ponieważ Old Shatterhand postępuje wobec wojowników Nijorów lojalnie, przeto przyznam mu się szczerze, że mój brat-wódz radził mi słuchać jego i Winnetou, wielkiego Apacza.

— A zatem odniesiecie dziś i jutro dwa wielkie zwycięstwa, nie tracąc nikogo spośród swoich. Roztropność jest silniejsza od przemocy, a łagodność potężniejsza od morderstwa.

— Ale czy Winnetou z tym się godzi? Mam nie tylko słuchać ciebie, ale także i jego.

Teraz odezwał się Apacz:

— Kiedy coś mówi lub czyni mój brat Old Shatterhand, należy to przyjąć tak, jak gdybym ja mówił lub czynił. Moi bracia niech się pogodzą i nie mówią o tej sprawie, dopóki Old Shatterhand nie zobaczy Głębokich Wód.

Miał słuszny powód, aby tego żądać. Dlatego zamilkłem. Zresztą, osiągnąłem już swój cel, mianowicie dowiedziałem się, co myśleć o okrucieństwie czy humanitarności Nijorów.

Posuwaliśmy się szybko, na kształt długiego węża, po terenie skalistym. Dookoła nie było widać ani źdźbła trawy, dlatego też zdumiałem się, gdy naraz zobaczyłem las, a mówiąc ściślej — lasek, przypominający wyglądem wydłużone koło.

— Oto Głębokie Wody — rzekł Winnetou, wskazując w jego kierunku.

— Pośrodku? zapytałem.

— Tak.

— A więc jest to, jak już poprzednio wspomniałeś, pozostałość po dawnym kraterze.

Przybyliśmy ze wschodu. Winnetou zakreślił łuk, aby wjechać w las ze strony południowej.

— Po co ta okrężna droga? — zauważyłem.

— Ponieważ Mogollonowie przybędą z północy, a nie powinni zobaczyć wcześniej naszych śladów.

Podjechaliśmy do lasu w miejscu, gdzie między drzewami widać było wolną przestrzeń. Winnetou zeskoczył z konia i powiedział:

— Ta luka prowadzi do Głębokich Wód. Nasze konie nie powinny ani biec dalej, ani też pozostać między drzewami, gdyż mogą nas zdradzić. Dziesięciu wojowników Nijorów niech pojedzie z nimi na południe tak daleko, aby nie było ich stąd widać. Niech tam moi bracia czekają na nasze wezwanie.

Bystre Oko wyznaczył dziesięciu wojowników. Reszta wkroczyła w głąb lasu. Wnętrze jego zdziwiło mnie jeszcze bardziej niż obwód. Zobaczyłem małe, okrągłe jeziorko o średnicy

niespełna pięćdziesięciu łokci. Woda w nim była jasna i przejrzysta jak kryształ. Zwierciadło jej znajdowało się nie na wysokości naszych nóg, lecz poniżej, na dziesięć czy dwanaście łokci. W głębi wodę okalał brzeg zarośnięty bujną trawą. Dookoła na górze znów biegła niby wypustka j szeroka, zielona obręcz. Całość wyglądała jak talerz o dwóch zagłębieniach, przy czym woda sięgała tylko do niższego z nich. Trawa zarówno na dole, jak i na górze była wydeptana. Winnetou zwrócił na to moją uwagę i zapytał:

- Czy mój brat wie, kto tu był i podeptał trawę?
- Oczywiście, Silny Wicher ze swymi wojownikami!
- Jak dawno mógł tu być? Zbadałem trawę i odpowiedziałem:
- Przeszło godzinę temu.

— To prawda. Przybyliśmy więc ani nie za późno, ani nie za wcześnie. Mamy przed i za sobą Mogollonów. Ci, którzy są za nami muszą wpaść nam ręce. Mój brat Old Shatterhand mi powie, w jaki sposób to się stanie.

Zadanie było tak łatwe, że dzieci potrafiłoby je rozwiązać. Rozumie się samo przez się, że Mogollonowie którzy przybędą z Jonatanem Meltonem, zechcą napoić swoje konie, zatem musieli zejść na dół. Stamtąd nic nie zobaczą, gdyż widok będzie zasłaniał brzeg, wysoki na dziesięć łokci. Jeśli więc schowalibyśmy się w lasku i, w momencie gdy Mogollonowie doprowadzą konie do wody, zagrozimy im wysunawszy swe strzelby, byłibyśmy panami sytuacji. O oporze mógłby pomyśleć jedynie szaleniec. Wrogów byłoby niewiele ponad pięćdziesięciu, nas zaś stu. Na każdego Mogollona przypadłyby dwie nasze strzelby, nie mówiąc już o tym, że staliby nieosłonięci na dole, bezbronni wobec wymierzonych w nich luf, my zaś byłibyśmy bezpieczni. Przedsięwzięcie takie stanowiłoby dla nas dziecinną igraszkę, o ile oni swym postępowaniem nie zmusiliby nas do użycia broni. Po chwili odezwał się do dowódcy oddziału, który stał obok mnie i Winnetou:

— Mój brat jest mężnym wojownikiem. Jego odwaga nie będzie tu jednak wystawiona na próbę. Proszę cię, abyś otoczył wojownikami jezioro. Skoro to się stanie, niech każdy się cofnie i schroniwszy w lasku, czeka na przybycie Mogollonów, którzy przyprowadzą do wodopoju swoje konie. Wówczas ja wyjdę spośród drzew i tylko mnie mogą zobaczyć wrogowie, w lasku niech nikt się nie poruszy. Gdy zaś podniosę rękę, niech wojownicy wystąpią i utworzywszy koło położą się nad górnym brzegiem jeziora, wycelowując lufy strzelb w nieprzyjaciół. Ale niech nie strzelają, kiedy ja lub Winnetou będziemy musieli oddać strzały. Jedynie na mój wyraźny rozkaz dadzą ognia, a i to tylko do tych wrogów, którzy spróbują do nas strzelać. Ani jeden z tych Mogollonów, którzy nie będą się bronili, nie powinien być raniony. Kto złamie mój rozkaz, ten wprawdzie nie zostanie ukarany, ale nasza już w tym głowa, aby uchodził pośród swego plemienia za tchórza. Czy wydaje ci się to słuszne?

— Mój brat powiedział, a zatem jest to słuszne — odparł.

— Życie Mogollonów powinno być dla was święte. Ale wszystko, co posiadają, nawet ich leki, możecie uważać za swoją zdobycz.

— A wy, co wy bierzecie?

— Nic. Nie wyruszyliśmy, aby wojować i łupić.

Twarz jego rozpogodziła się. Indianin chętniej traci życie i skalp niż lek, który jest jego największą świętością. Przypuszczam, że Czytelnik wie, czym jest lek dla Indianina. Nie tym bowiem, co u nas oznacza to słowo, a więc uzdrawiającym lekarstwem, lecz przedmiotem, który po długich próbach i walkach Indianin obiera za swój amulet i którego broni do ostatniej kropli krwi. Kto stracił swój lek, ten uchodzi za pozbawionego czci i zostaje wyłączony z gromady, dopóki nie zdobędzie w zamian leku jakiegoś znakomitego wojownika innego plemienia czy szczepu.

To tłumaczyło nam radość Bystrego Oka, jaką okazał, skoro przyrzekłem im leki Mogollonów. Było mu to milsze nad życie i skalpy wrogów.

— Widzę, że mój brat postępuje z nami uczciwie — zawołał zachwycony. — Psy Mogollonów wyruszyły, aby nas rozszarpać, lecz będą wyć ze wstydu i przerażenia, wracając bez leków do nor, z których wylazły. Co jeszcze powinniśmy zrobić?

— Nic, co bym już teraz mógł przewidzieć. Okaże się to we właściwym czasie. Powiedz jednak swoim wojownikom, aby na mnie skupili całą swoją uwagę i pilnie słuchali każdego mego słowa. Ty natomiast zostaniesz w pobliżu mnie.

Zwołał wojowników i oznajmił im moje rozkazy. Niebawem tak się pochowali w lesie, że nikogo nie było widać. Z północy, tak samo jak i z południa, prześwit między drzewami prowadził do źródła. Z tej strony spodziewałem się Mogollonów. Nie było innej drogi, którą by mógł przejechać jeździec. Obsadziliśmy oba wejścia: Winnetou i Emery południowe, ja, Dunker i Bystre Oko — północne. Nie musieliśmy się obawiać, że zdradzą nas ślady, gdyż trawa była tu już wydeptana przed naszym przybyciem.

Miał słuszość Winnetou, kiedy powiedział, że nie przybyliśmy ani za późno, ani też za wcześnie. Kiedy bowiem wszystkie nasze zarządzenia zostały już wykonane, zobaczyłem między drzewami jeźdźców zbliżających się do lasu, tak jednak oddalonych, że niepodobna było rozpoznać poszczególnych sylwetek. Ale nie mogło być ich więcej ani mniej niż pięćdziesięciu. Musieli to być ci, których właśnie wypatrywaliśmy. Zawołałem więc głośno, aby wszyscy nasi wojownicy mogli mnie usłyszeć:

— Przybywają! Niech się żaden z was nie ukaze za wcześnie!

Winnetou i Emery, którzy dotychczas stali dość daleko od drzew, w okamgnieniu znikli pomiędzy nimi. Dunker stał przy mnie i obserwował sytuację.

— Zbliżają się niezmiernie szybko — rzekł. — Można już ich rozpoznać. Na przodzie jadą Judyta i Melton. Teraz zatrzymują się, aby wysłać wywiadowcę.

— Są zbyt nieostrożni. A zresztą, jest to bezsensowne, albowiem każdy wróg, który by się tutaj znajdował, dawno by ich już spostrzegł.

— Oczywiście. Może pan jednak sądzi, że nie jesteśmy ich wrogami? Myślę, że tak i to jeszcze jakimi!

— Wkrótce się o tym przekonają. Ale chodźmy już, musimy się przecież ukryć!

Wraz z Bystrem Okiem zaszyliśmy się głęboko w las, aby obserwować z ukrycia. Niebawem usłyszeliśmy tętent końskich kopyt. Mogollonowie przybyli już na miejsce. Zatrzymali się, ponieważ dróżka była zbyt wąska, aby wszyscy równocześnie mogli tamtędy przejechać. Widzieliśmy, jak wjeżdżali jeden po drugim — Mogollonowie i Jumowie. Potem zeskoczyli z koni i zaprowadzili je, tak jak przedtem przewidzieliśmy, do źródła.

Na końcu jechał Melton z Judytą. Poprzednio wyprzedzali wszystkich, teraz zaś przepuścili wojownika i nadjechali ostatni. Melton zeskoczył z konia i pomógł Judycie przy zsiadaniu.

— Czy jesteś zmęczona? — zapytałem.

— Nie. Kiedy żył jeszcze mój mąż całe dni spędzałam na koniu.

— Zostań na górze, a ja zaprowadzę twego wierzchowca do wody. Trzeba napoić konie, gdyż nie pozostaniemy tu zbyt długo, a potem aż do Cienistego Źródła nie znajdziemy już żadną wodopoju.

Sprowadził konie po łagodnym zboczu. Judyta została na górze — jedyna spośród wrogów. Tafla wody znajdowała się tak nisko, że nie była stamtąd wcale widoczna. Teraz należało przystąpić do działania. Szybko wyczołgałem się spomiędzy drzew i trzymając sztucer w lewej ręce, stanąłem za Judytą.

— Dzień dobry, seniora! — rzekłem. Obejrzała się gwałtownie i usiłowała krzyknąć, ale z przerażenia głos uwiązł jej w gardle. W oczach malował się przestach.

— Ogląda mnie pani jak zjawę. Mam nadzieję, że będzie seniora tak łaskawa i przypomni mi sobie. Przecież nie minęło wiele czasu, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni.

— Old... Old... Shatterhand! — wykrztusiła wreszcie.

— Istotnie, tak się nazywam. Cieszy mnie, że nie zapomniała jednak pani mego nazwiska.

— Czego... czego senior tu chce?

— Senior chce mieć panią i jej kochanego Jonatana — odpowiedziałem uprzejmie.

— To... to szaleństwo! Jest pan naszym wrogiem. Czy master wie, że mamy z sobą pięćdziesięciu, a nawet więcej Indian?! — Powiedziała to szybko i groźnie, ale wciąż jeszcze cicho, zapewne pod wpływem strachu.

— Wiem, wiem — odparłem.

— Jest pan zgubiony! Uchwyciła mnie za ramię, abym nie mógł uciec, zwróciła się ku wodzie i chciała krzyknąć. Lecz momentalnie przystawiłem jej lufę do głowy i zagroziłem:

— Ani słowa, seniora, bo natychmiast strzelę! Mister Dunker! — zawołałem w stronę lasu.

Dunker wyszedł z za drzewa i zapytał:

— Co takiego, sir?

— Niech pan uważa na tę lady, aby nie mogła pójść na spacer, i obchodzi się z nią grzecznie!

— Dobrze. Z największą przyjemnością.

Odwróciłem się i podniosłem rękę do góry, Nijorowie wysunęli się z lasu i postępowali zgodnie z moim życzeniem. Ułożywszy się na brzegu skarpy, wycelowali lufy strzelb w stojących nad wodą wrogów. Wówczas usłyszałem głos Meltona:

— Do stu tysięcy piorunów! Cóż to takiego? Strzelby dokoła! Kto jest tam na górze?!

Chciał wspiąć się po zboczu, gdy w tej właśnie chwili zobaczył skierowany w siebie mój sztucer. Wystąpiłem naprzód, tak aby mógł mnie zobaczyć całego i odparłem:

— Sto nabitych strzelb, sir! To ranne powitanie, które panu przynoszę.

— Old Shatterhand! Old...

Nie dokończył słowa, zerwał z ramienia strzelbę, błyskawicznie przyłożył i nacisnął cyngiel. Rzuciłem się na ziemię. Kula przeszła tylko powietrze. Zerwałem się natychmiast, wycelowałem w niego sztucer i zawołałem:

— Odrzuć broń, kanalio, bo strzelam!

Spoglądając na mnie tępo, stał znieruchomiały.

— Precz z tą flintą, bo pošlę ci kulę! Raz... dwa... — Strzelba wypadła mu z ręki.

Strzał był jak gdyby sygnałem dla wojowników Meltona. Spojrzeli w górę. Zobaczyli mnie, a także skierowane w nich lufy. Mogollonowie nigdy mnie nie widzieli, ale niektórzy Jumowie znali mnie, ci trwożnie wymienili moje nazwisko, inni powtórzyli je i wokół rozległ się głośny szmer.

— Tak, jestem Old Shatterhand! — krzyknąłem. — A tam stoi Winnetou, wódz Apaczów.

— Winnetou leżał wraz z wszystkimi w trawie, teraz zaś podniósł się i ukazał wrogom. — Natomiast dookoła jeziora leżą wojownicy Nijorów — uzupełniłem. — Wstańcie z trawy!

Nijorowie podnieśli się i utworzyli nieprzerwany łańcuch, krąg groźnych wojowników ze strzelbami skierowanymi w dół. Naraz rozległ się obok Winnetou głos:

— A tu oto stoi Emery Bothwell, Anglik, który pokaże wam, jak należy działać!

Zeszedł szybko do Mogollonów, wyrwał najbliższemu stojącemu wrogowi flintę, wręczył ją jednemu z Nijorów i rozkazał grzmiącym głosem:

— Niechaj Mogollonowie oddadzą swoją broń i rzucają noże, jeśli nie chcą paść natychmiast od naszych kul!

I zwracając się do drugiego Mogollona, który oglądał go nieprzytomnym wzrokiem, huknął nań:

— No, ruszajże się! Na górę z flintą! Wyciągnął rewolwer i przystawił go do boku Indianina, który czym prędzej oddał swoją broń. Czy zdziałał to ów przykład, czy też śmiałe wystąpienie Anglika, czy owe liczne i groźnie patrzące lufy, czy oszołomienie, czy może to wszystko razem, dosyć, że Mogollonowie nie pomyśleli o obronie, a tym bardziej o

wyciągnięciu swych strzelb. Podali na górę wszystką broń, a po niej rzucili noże. Okazali największe posłuszeństwo. Natomiast Melton zachowywał się jak dziki. Krzyczał, aby nie słuchali nas, kazał strzelać, kłął i urągał, nazywał ich tchórzami, ale sam nie śmiał nawet podnieść strzelby. Emery, który wciąż jeszcze uwijał się na dole, podszedł do niego, podniósł jego broń i trzymając przed Meltonem rewolwer, zagroził:

— Milcz, głupi ośle, bo uspokoję na zawsze twój język! Jeszcze jedno twoje słowo, a umilknieš na wieki. Oddaj no ten bezużyteczny grat!

Wyjął mu z pasa pozostałą broń i wrócił do mnie.

— Wszystko w porządku, Charley! — oznajmił z uśmiechem. — Banda rozbrojona. Co teraz?

— Związać ich. Niechaj wejdą na górę pojedynczo, jeden po drugim, a tu się im nałoży więzy.

— W porządku! Który nie wejdzie, otrzyma kulę w łeb!

Zszedł z powrotem. Towarzyszyli mu teraz Winnetou i Dunker, który uprzednio przekazał Judytę jednemu z Nijorów. Zszedł także Bystre Oko, aby ociągających się zmusić groźbą do posłuszeństwa. Zresztą, większość Mogollonów postępowała rozsądnie. Widzieli, że wszelki opór będzie daremny i dlatego dobrowolnie oddali się w niewolę. Mniej rozsądni musieli wkrótce iść za ich przykładem. Jeńców spętano nader szybko, każdego jego własnym lassem, i ułożono na trawie. Wreszcie przysłała kolej na Jonatana. Rzucał dokoła siebie nienawistne spojrzenia. Rozglądał się za środkami ratunku. Byłby jednak głupi, gdyby nie spostrzegł, że wszelkie próby oporu są daremne. W pewnej chwili postąpił trzy, cztery szybkie kroki po skarpie, ale Judyta krzyknęła głosem pełnym trwogi:

— Zostań na dole, zostań tam! Zastrzelą cię! Poddaj się! Stąd lepiej widać, że nie ma ratunku. Ci ludzie są okropni!...

Jonatan cofnął się, usiadł i spoglądał ponuro na wodę. Po chwili podniósł się, przyniósł kamień leżący w pobliżu i znowu usiadł. Do czego był mu potrzebny kamień? Zastanawiałem się, ale nie mogłem znaleźć na to pytanie odpowiedzi. Czy jako narzędzie obrony? Co za śmieszność!

Siedział tak, dopóki ostatni Mogollon i Juma nie zostali spętani. Emery podszedł do niego i zapytał mnie:

— Związać tego szubrawca?

— Naturalnie.

— A jeśli będzie się opierał?

— Powalisz go kolbą.

Po tych słowach Melton zerwał się jak oparzony, odskoczył od Emery'ego na kilka kroków i krzyknął do mnie:

— Mam się dać związać?!

— Tak, master! Tak rozkazałem, nie spodziewaj się więc, że będzie inaczej. Jeżeli nie podda się pan dobrowolnie, to unieszkodliwimy pana w inny sposób. Tęgi cios załatwi to szybko i skutecznie. Gdy się senior ocknie, będzie już spętany.

— Mogollonowie mnie odbiją!

— Nie łudź się! Czterystu Nijorów czeka na nich w zasadzce. Tutaj zaś widzicie zaledwie stu przeciwników.

— To twoja robota, ty szatanie! — syknął. — Czego chcesz ode mnie?

— Chcę cię oddać w ręce sprawiedliwości, która oczekuje na ciebie z taką tęsknotą.

— Gdzie jest mój ojciec?

— W drodze.

— A jego pieniądze?

— U mister Vogla, prawego ich właściciela.

— Bądźcie po tysiackroć przeklęci!

Krzyknął to tak wściekłym głosem, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałem. Zbliżył się do wody, stanął nad nią, jak gdyby miał zamiar do niej wskoczyć, ale cofnął się, nie starczyło mu widać odwagi. Zerwał z siebie torbę, wiszącą na rzemieniu u boku, otworzył ją, zanim Emery zdążył temu zapobiec, włożył do niej szybkim ruchem kamień, zamknął z powrotem i cisnął do wody, wybuchając przy tym drwiącym śmiechem, w którym wyczuwało się rozpacz. Torba natychmiast poszła na dno. Gdy to się stało, Judyta wydała przeraźliwy okrzyk i złapała się za głowę, jęcząc:

— Nie ma ich, nie ma, stracone! Na zawsze stracone!

Oszalała z wściekłości zbiegła do Meltona i wrzasnęła:

— Tchórze! Zdrajco! Oszuście! To należało także do mnie! To było także moje! A teraz znikło, zginęło bezpowrotnie!

— Tak, zginęło... zginęło... — powtarzał nieprzytomnie.

— Ale to była tak samo moja, jak i twoja własność! — krzyczała coraz głośniejszym głosem, a twarz jej przybrała purpurową barwę. — Przysięgłeś mi! Taki był warunek! Czy sądzisz może, że kochałabym cię i byłabym z tobą bez pieniędzy?! I ty je teraz straciłeś, pozbyłeś się ich, ty lotrze, ty podły tchórze, ty...!

Złapała go za ramiona i potrzęsła. Oderwał ją od siebie z niemałym trudem i zawołał:

— Precz ode mnie, zmij! To ty zaprowadziłaś mnie na zatracenie! Gdybym nie jechał do twojego puebla, miałbym wszystko, czego pragnąłem, o czym tak bardzo marzyłem — wolność i pieniądze, które teraz straciłem. Jestem uwięziony... uwięziony!

— Bardzo słusznie! — krzyknęła chwytając go ponownie i potrzęsając nim ze wszystkich sił. — Cieszę ogromnie z twego położenia i będę szczęśliwa, kiedy usłyszę, że kat, słyszysz, że kat...

Nie mogła mówić dalej, gdyż złapał ją za gardło i ze straszliwą wściekłością w głosie zawołał:

— O kacie mówisz, o mojej śmierci?! Lecz ty mnie wyprzedzisz! Giń, ty diablico! Idź do piekła, z którego jesteś rodem!

To mówiąc złapał ją za ramiona i z całej siły wrzucił do bezdennego jeziora. Potem nachylił się nad jego brzegiem i krzyknął:

— Na dole, na dnie jest torba! Odszukaj ją. Przysięgłem ci przecież, teraz więc ją masz!

Pośpieszyłem z pomocą. Ale ubiegł mnie Winnetou. Po kilku sekundach wrócił z Judytą. Indianie wyciągnęli po nią ręce. Melton, nie racząc nawet zerknąć w jej stronę, uchwycił mnie za rękaw i syknął:

— Ścigał mnie pan, aby moje pieniądze... Czyż nie tak, sir?

— Tak — przyznałem spokojnie.

— A więc dostań je z jeziora — zaśmiał się szyderczo. — Są dla was na zawsze stracone!

— Nieprawda.

— Nieprawda? Ależ prawda, prawda. Miałem pieniądze w torbie, w torbie, która znikła w wodzie. Znikła... przepadła... Czy pojmujesz pan, co to znaczy? Sprzedaje się za pieniądze honor, sumienie, spokój, szczęście, nogami depcze się prawa, traci się wszystko, aby je tylko zdobyć. A skoro się już osiągnęło cel, trzeba się ukrywać w górach, gdzie nie można korzystać z majątku, biegnie się za przeklętą babą, która chce, aby dzielić się z nią pieniędzmi, ale nie udreka sumienia, i w końcu wyrzuca się całe bogactwo do wody, żeby nie oddać go nikomu. Czy wie pan, co to znaczy?!

Scena ta była tak wstrętna, że po prostu trudno ją opisywać. Odtrąciłem od siebie łotra, poprosiłem Emery'ego, aby go związał i podszedłem do Judyty. Leżała w omdleniu. Żyła, bowiem tylko przez parę chwil przebywała pod wodą. Wziąłem ją za rękę, aby zbadać puls; bił powoli i słabo, ale dosyć wyraźnie. Nie musiałem się więc o nią zbytnio troszczyć, a nawet byłem tak okrutny, iż uważałem, że ta kąpiel była jej jak najbardziej potrzebna. Pozostawiłem ją, by zająć się innymi naglącymi sprawami.

Przede wszystkim należało zawiadomić Nijorów, że schwytaliśmy Mogollonów. Wysłałem więc do wodza jednego ze zwiadowców. Poleciłem mu, aby nie pokazywał się Mogollonom, którzy dążyli do Cienistego Źródła.

Teraz pragnąłem się dowiedzieć, czy Mogollonowie zabrali z sobą na wyprawę białych jeńców, czy też zostawili ich w Jasnej Skale. Mógłbym to wyczytać z pozostawionych śladów. Nad wodą nie można było nic rozpoznać, ponieważ grunt był tam całkowicie wydeptany. Oddaliłem się więc wraz z Winnetou, aby okrążyć lasek. I słusznie! Na zachodniej stronie lasu — przybyliśmy ze wschodniej — odkryliśmy ślad powozu, który tam się zatrzymał. Widać było, że konie wyprężnięto i zaprowadzono do wody. Po czym trop prowadził dookoła placu, gdzie się znów łączył z wyraźnym śladem pozostawionym przez oddział.

To że Mogollonowie wieźli z sobą adwokata i śpiewaczkę, świadczyło o ich wierze w zwycięstwo. Tak też sądził Winnetou.

— Silny Wicher musi być pewny wygranej walki, inaczej bowiem nie zabierałby z sobą jeńców. Ale dlaczego właściwie zabrał ich z sobą? Mogą mu tylko być przeszkodą w tej wyprawie. Myślę, że bał się ich utracić.

— Masz na myśli ucieczkę jeńców? — zapytałem.

— Tak. Wódz wyruszył ze wszystkimi wojownikami, w obozie pozostali tylko starcy, kobiety, chłopcy i dziewczęta. Ci zaś nie nadają się do pilnowania jeńców, którzy bardzo łatwo mogliby wtedy uciec.

— To jedyny powód, jakim tłumaczę ich postępowanie, ale powód niedostateczny, gdyż wleczenie z sobą powozu z jeńcami narazi oddział wojowników jedynie na różne trudności. Trzeba przecież pilnować uwięzionych w dzień i w nocy. Gdyby natomiast zostawili ich w obozie pod strażą kilku Indian, mogliby się teraz swobodnie poruszać.

— Mój brat ma rację, ale jest to jedyny powód, jaki się nasuwa na myśl — odparł Winnetou.

— A teren wyprawy. Pomyśl tylko o wąwozie, który prowadzi na Łysinę Kanionu. Jakże poradzą sobie tam z powozem?

— Być może, nie znają dokładnie terenu.

— W takim razie byłiby wyjątkowo nieostrożni. Kiedy chce się napaść na wrogie plemię, trzeba wprawdzie dobrze poznać drogi, które doń prowadzą. Z tego, co mi mówiłeś o miejscowości, wnioskuję, że powóz nie dojedzie dalej niż do Cienistego Źródła, gdzie rozłożą się obozem dzisiejszej nocy. Czy myślisz, że trzeba ich koniecznie śledzić?

— Oczywiście, że koniecznie.

— Ale chyba po ciemku?

— Zbliżyć się do nich można wyłącznie w nocy. Lecz będzie lepiej, jeśli pojedę za nimi już za dnia. Mój brat Szarlieh niech później wyruszy za mną i tak wyliczy czas, aby przybył tam pod osłoną mroku.

— O kay, gdzie i jak się spotkamy?

— Byłeś już w Cienistym Źródle i znasz drogę. Spotkamy się w odległości jednej mili o źródła. Tam będę na ciebie czekał. Gdy się zbliżysz, wypalisz z niedźwiedziówki, ja zaś odpowiem ci wystrzałem ze swej srebrnej strzelby. Znamy dokładnie głosy naszej broni, łatwo się więc spotkamy.

— W porządku. Czy nie wracamy tu później?

— Nie. Nasi wojownicy muszą podążać za nami. Jeszcze tej nocy wyruszą wraz z jeńcami. Spotkamy się w godzinę po świcie. W tym czasie Mogollonów nie będzie już nad źródłem. Za chwilę wyruszę, ale wprawdzie napoję konia.

— Powiedz Nijorom, pilnującym wierzchowców, aby sprowadzili tu resztę koni! — krzyknąłem jeszcze za nim.

Winnetou oddalił się na południe, dokąd wysłaliśmy zwierzęta. Wkrótce je przyprawiono. Napoiwszy swego rumaka, Apacz odjechał galopem. Był to na pewno najlepszy zwiadowca na Dzikim Zachodzie.

Ponieważ byliśmy zmuszeni dosyć długo obozować nad Głębokimi Wadami, postaraliśmy się rozlokować jak najwygodniej. Natomiast mniej wygodnie było jeńcom w pętach. Zwiążaliśmy nawet Judytę, kiedy tylko ocknęła się z omdlenia. Zajął się tym Długi Dunker, który nie patyczkowi się z nią wcale. Był tak złośliwy, położył ją przy Meltonie na trawie. Kiedy zwróciłem na to uwagę, rzekł;

— Czy sądzi pan, że może to nam zaszkodzić?

— Tak. Czy takim jeńcom powinniśmy pozwolić na porozumiewanie się z sobą? Mogą wszak omówić plan ucieczki albo uzgodnić swoje zeznania.

— Niech tam! Kpimy sobie z ich zeznań, mamy przecież dosyć dowodów. Czy nie rozumie pan, dlaczego ułożyłem ich przy sobie?

— Ze zwykłej złośliwości, mister Dunker. A może nie mam racji?

— Nie, nie ze złośliwości — zaprzeczył. — Najwyżej można byłoby mnie nazwać dowcipnikiem. Po tym, co się tu wydarzyło, nie sądzę, aby oboje rozmawiali z sobą zbyt czule. Chciałbym ich rozjątrzyć. Niech pan spojrzysz tylko, jakimi obrzucają się spojrzeniami! Jakie stroją miny! Ale dosyć, muszę spieszyć do nich, aby się przysłuchiwać!

Zbliżył się bezszelestnie do leżących i usiadł z tyłu za ich głowami, tak że nie mogli go zobaczyć. Wyraz twarzy tego starego psotnika świadczył o tym, że bawił się wyśmienicie rozmową obojga.

Położyłem się w cieniu drzew i uciąłem sobie drzemkę. Należało się bowiem spodziewać, że dzisiejszej nocy nie starczy mi czasu na sen. Obudzono mnie na dwie godziny przed zachodem słońca. Sen pokrzepił mnie bardzo, choć nie wyspałem się do woli. Pozwolono by mi spać dłużej, gdyby Jonatan i Judyta nie domagali się uporczywie rozmowy ze mną. Kiedy się do nich zbliżyłem, Judyta zawołała oburzona:

— Panie, dlaczego jestem tu w towarzystwie tego człowieka? Jeśli ten morderca, ten szubrawiec, który z trwogi rzucił do wody tyle pieniędzy i który mnie oszukał, nie pójdzie stąd precz, to...

Nie dałem jej dokończyć, przerywając ten wywód słowami zabarwionymi ironią:

— To bardzo dziwne! Wczoraj mówiła pani o nim zupełnie inaczej, a rozmawiała z nim samym wyjątkowo przyjaźnie.

— Co pan może o tym wiedzieć! — rzekła zniecierpliwiona.

— O, wiem wszystko!

— Wszystko? Nie, nic pan nie wie! No... gdzie w takim razie byłam wczoraj wieczorem?

Na jej wyzywające zapytanie odpowiedziałem z uśmiechem:

— Nad źródłem, blisko Wężowej Góry. Sklecono dla pani nad wodą szałas. Siedziała seniora przed nim wraz z owym Jumą, który przyjął nas swego czasu tak wyjątkowo gościnnie. Wiem nawet, że rozmawiała pani o mnie i o pozostałych moich towarzyszach. Nie mam jednak ochoty tego powtarzać. Następnie zobaczyła się pani ze swoim kochanym Jonatanem.

— Też coś! Skąd miałby się tam wziąć?

— Przyjechał z Jasnej Skały. Wyruszył wraz z Mogollonami, aby nas schwytać. Ponieważ jednak nie ma wprawy, stało się, jak widać, wręcz odwrotnie — sam wpadł w nasze ręce. Może zechce pani temu zaprzeczyć?

— Zgaduje pan na chybił trafił.

— Bynajmniej. Senior Jonatan wraz z Mogollonami miał urządzić przy tym źródle postój, kiedy to zobaczył ognisko, buchające na wysokość domu. Zostawił Indian i poszedł na zwiady. Chociaż nieprędko znajdzie się pani w podobnej sytuacji, jednak poinformuję

seniore, że nie należy rozpalać tak zdradliwego ogniska. A czy nie przypomina pani sobie, z jaką radością przywitała się z Meltonem?

— Czyli... czyli pan nas szpiegował?! — rozzłościła się na nowo. — Gdzie więc pan siedział?

— Pod drzewami po drugiej stronie wody, naprzeciwko pani. Słyszałem każde wypowiedziane przez was słowo.

Szarpnęła się i spojrzała na mnie wściekle. Z kolei Melton widząc, że Judyta dała się podejść, obrzucił ją wymówkami. Po czym zwrócił się do mnie:

— To jej wina. Do mnie nikt się tak blisko nie podkradnie.

— Myli się pan ogromnie, mister Melton. Mógłbym dowieść czegoś wręcz przeciwnego.

— No, słucham! — wydał pogardliwie wargi..

— Nie mam na to czasu. Chcę tylko zwrócić pana uwagę na jedną rzecz. Swego czasu na okręcie, w drodze do Tunisu, Winnetou pod pana bokiem otworzył kufer i wyjął sekretne papiery, które następnie przeczytaliśmy w naszej kajucie. Wydobył z pańskiej kieszeni klucz, z ubrania, które miał master na sobie.

— Nie może być! — sprzeciwił się Jonatan.

— A jednak tak było. Potem włożył papiery na powrót do kufra, a klucz wsunął do pańskiej kieszeni. Czy nie jest to przedsięwzięcie znacznie trudniejsze od zwykłego śledzenia? Mógłbym panu powiedzieć jeszcze więcej, ale zostawię to na później. Nie zna nas pan tak, jak powinien znać.

— O, znam was aż nazbyt dobrze! Jesteś diabłem w ludzkiej skórze, nie znającym łaski ani litości. Dotychczas wszystko wam się udawało, ale niech pan nie przecenia zbyt swoich sił!

— Grozi mi pan? — uśmiechnąłem się.

— Nie. Ze mną już koniec, widzę to jasno.

— Czy istotnie pan to zrozumiał? — zapytałem.

Wydawał się być przygnębiony, jak człowiek, który stracił wszelkie nadzieje. Czy była to prawda, czy też nowe szalbierstwo? Czy aby nie chciał mnie tylko zwieść? Zastanawiałem się nad tym przez moment, gdy zwrócił się do mnie i rzekł:

— Tak, rozumiałem. Wiem, że moja gra jest już skończona. Kilkakrotnie nieszczęśliwie się panu wymykałem, z coraz to jednak większą trudnością. Z puebla wydostałem się z ogromnym wysiłkiem, ale wszak pomyślnie. Pomyślałem sobie wówczas, że będę zgubiony, jeśli zdoła mnie pan jeszcze raz schwytać. I zdarzyło się to teraz!

— Czemu nie mógłby pan i tym razem uciec? Nic przecież nie można przewidzieć.

— Teraz już nie. Widzę przy was Długiego Dunkera. Zbiegł z niewoli u Mogollonów i zetknął się z wami. Przypuszczam, że powiedział panu, kogo oni schwytali?

— Oczywiście.

— I że wyruszają przeciwko Nijorom?

— I to również. Lecz myśmy ich ostrzegli.

— Widzę tego skutki. Ma pan z sobą stu Nijorów. Napadniecie teraz na Mogollonów i odbijecie adwokata oraz śpiewaczkę?

— Naturalnie.

— Jakże więc może pan mówi o mojej ucieczce! Wiem, że nie ma już dla mnie ratunku.

— Baba! — syknęła Judyta.

— Milcz! — krzyknął. — Tyś była moim nieszczęściem! Bodajbym cię nigdy nie poznał! Inaczej by mi się wiodło! Teraz zaś jestem zgubiony. Pozostała mi jedynie pociecha i niezmierna radość. Musiałem się wyrzec łupu, ale też i nikt inny go nie dostanie!

— Czy się pan przypadkiem nie myli? — zapytałem.

— Dlaczego pan pyta? Przecież chyba wszyscy widzieli, jak wrzuciłem torbę do jeziora?

— A czy nie można jej wydobyć?

— Z tej wody, której dna nikt jeszcze nie widział? — zaśmiał się złośliwie.

— Dno ma każda woda.

— Owszem, więc niech się pan w niej zanurzy! Nie wiem, jak głęboko potrafi nurkować człowiek, ale jeśli nawet dotrze pan do samego dna i po długich poszukiwaniach odnajdzie moją torbę, to i tak papiery będą już zniszczone przez wodę i pozbawione wartości.

— Ja tak nie sądzę — odparłem.

— Nie? Myśli pan, że woda nie przeniknie do wnętrza torby?

— Przeniknie, owszem, nie tylko do torby, ale także i do pugilaresu, który tkwił w niej wraz z papierami.

— Pu... pu... pugilares? — zająknął się. — Co pan o nim wie?! — zawołał zdumiony.

— Powiedziałem już panu, że wiem wszystko. Dowiedziałem się tego, na czym mi zależało, aczkolwiek mówił pan, że niepodobna go podsłuchać. Mister Melton, jest pan nieostrożnym, nader niefrasobliwym młodzieńcem! Do tej pory nie wie pan nawet, co miał w swojej torbie, a raczej czego w niej nie miał.

— Nie rozumiem pana! — wykrztusił podniecony.

— Ja wiem o, każdym groszu, który mam przy sobie. Pan zaś posiadał miliony, a nie troszczył się o nie tak, jak ja troszczę się o tych kilka dolarów i centów, jakie posiadam.

— Co chce pan przez to powiedzieć? — pytał, nie rozumiejąc moich słów.

— Chcę zadać panu pytanie — rzekłem. — Czy zagrabione pieniądze istotnie tkwiły, w torbie, którą miał master przy sobie?

— Tak. Mogę to teraz szczerze wyznać, ponieważ torby nie ma już i nie będzie.

— Nieprawda! Pieniądze nie leżą w jeziorze.

— A gdzie?

— Tu, w mojej kieszeni. Mówiąc to, uderzyłem się w piersi.

— Niech się pan nie zgrywa. Chce mnie sir rozdrażnić, ale to ci się nie uda.

— Uda mi się. To ja posiadam pieniądze! — powtórzyłem.

— No to niech mi pan pokaże!

— Dobrze. Czy zna pan ten pugilares?

Wyciągnąłem portfel z kieszeni i przysunąłem do jego twarzy.

— Do stu piorunów! — krzyknął. — To jest... to jest... tak, to jest mój...

— Pugilares — dokończyłem.

— Nie, nie! Nie może tak być, nie powinno być! — zawołał. — To pugilares tylko podobny do mego. Nie dam się zwieść!

— Dowiodę zaraz panu, że mówię prawdę.

Otworzyłem portfel i pokazałem mu zawartość każdej przegródki. Rozwiąłem tym ostatni cień jego wątpliwości. Mimo że miał związane ręce i nogi, zerwał się gwałtownie, lecz od razu runął z powrotem na ziemię. Krzyczał jak obłąkany:

— To ten, to ten! To moje miliony! o ty czarcie przekłety! Jakże się dobrałeś do moich pieniędzy!?

Gdybym nawet chciał, nie mógłbym na to odpowiedzieć, albowiem Judyta wtórowała mu swoim piskliwym głosem. Pieniądze ocalone, lecz w moich rękach, doprowadzały ich niemal do szaleństwa. Nie krzyczeli już, lecz po prostu ryczeli! Potoczyli się ku mnie i w miarę swoich możliwości uczepili się moich nóg spętanymi rękami. Judyta wrzeszczała:

— Oddaj pieniądze, oddaj, ty złodzieju, opryszku, oszuście! Zwróć je natychmiast!!

Była to wyjątkowo odrażająca scena. Zachowywali się oboje jak dzikie bestie. Odpychałem ich, a oni przysuwali się natrętnie. Byłem więc zmuszony tak ich ponownie związać, żeby nie mogli ruszyć się z miejsca. Wrywali się jak szaleńcy. Nie sposób opisać dokładnie twarzy Jonatana. Oczy nabiegłe krwią wyszły mu z orbit, usta wykrzywił grymas bezsilności, czoło pokrył pot a policzki nabrały sinopurpurowej barwy. Jego krzyk przemienił się teraz w wycie. Nie mogłem znieść dłużej tego widoku i oddaliłem się, aby przygotować

konia do drogi. Skoro mnie Melton ujrzał w siodle, zawołał, bym ponownie się do niego zbliżył.

Uczyliem zadość jego żądaniu. Patrzył na mnie nadal z wyrazem wściekłej nienawiści, wreszcie zapytał tłumiąc gniew:

— Sir, skąd pan wziął mój pugilares? Kiedyś go zdobył?

— Owej nocy, kiedy opuścił pan Jasną Skalę. Podczas gdy wszyscy siedzieliście z wodzem, radząc o wyprawie przeciwko Nijorom, ja spokojnie was podpatrywałem.

— To kłamstwo! Jakże mógłby pan podsłuchiwać niepostrzeżenie, nie znajdując się w samym środku obozu?

— Naiwne pytanie! Powiem więcej — rozmawiałem nawet ze śpiewaczką.

— Nieprawda! Mógłby z nią rozmawiać tylko człowiek niewidzialny!

— Niech pan nie będzie śmieszny! Siedziałem w wodzie. Płynąłem rzeką aż do środka obozu. Doświadczony westman wie, jak się do tego zabrać. Zresztą, wiele zawdzięczam pańskiej nieostrożności.

— Czy był master w moim namiocie?

— Naturalnie. Zbadałem dokładnie zawartość pana torby i znalazłem portfel.

— Do diabła! Gdybym tak mógł, jak tego pragnę, rozerwałbym cię na tysiące kawałków! — pienieł się i szamotał w więzach.

— Nie trudź się, master! — rzekłem spokojnie. — Rzemienie są mocne. Zresztą, pojął pan już chyba, że nie jestem w ciemną bitą. Gdybym się nie podkraść do obozu Mogollonów i nie zabrał pieniędzy, to...

— To spoczywałyby teraz na dnie jeziora — zakończył wściekle.

— O nie, nie to chciałem powiedzieć. W takim przypadku nie udałoby się panu wrzucić torby do wody. Kiedy wkładał pan do niej kamień, stałem w pobliżu. Gdybym wówczas nie miał jeszcze tych pieniędzy, skoczyłbym błyskawicznie, aby przeszkodzić wyrzuceniu ich do jeziora. A tak mogłem z pełnym zadowoleniem przyglądać się domniemanemu zniszczeniu milionów. Powiedział pan uprzednio, że nikt nie dostanie tego majątku, a jednak otrzyma go ktoś: mianowicie, prawowici jego właściciele.

— Niech pana diabeł porwie! Byłem tak pewny tych pieniędzy, że od dłuższego czasu ani razu nie zaglądałem do torby i nie sprawdzałem portfela. Czy oprócz pieniędzy znajdują się w nim jeszcze inne rzeczy?

— Tak, listy, jak mi się zdaje.

— Czytał je pan?

— Nie. Są własnością spadkobierców, którzy pierwsi powinni je przeczytać.

— Sir, nie czyn tego! Posłuchaj, co ci powiem! Pieniądze są, ale i ja jeszcze jestem. Nie sądzę, że już ściskasz miliony w garści. Skoro zobaczyłem pugilares, nie poddam się tak łatwo. Chodzi o fortunę, rozumie pan, fortunę, a o nią będę walczył do ostatniego tchu!

— Nie mam nic przeciwko temu, mister Melton. Walcz, z kim ci się żywnie podoba! Nasza w tym głowa, abyś nie mógł popisywać się swoim bohaterstwem — dodałem ironicznie. — Ma pan słuszność, chodzi o miliony. Zdybałem wreszcie nie tylko je, lecz także i pana. Daję seniorowi słowo, że ani pieniędzy, ani też pana z rąk już nie wypuszczę! Nie łudź się więc na próżno.

Tymi słowami zakończyłem dyskusję. Podjechałem do Emery'ego i Dunkera i poleciłem im, aby zwracali na jeńców jak największą uwagę.

— Niech pan będzie spokojny, sir! — rzekł Długi Will. — Będę ich strzegł osobiście przez całą noc z nożem w garści.

— Polegam na panu. Melton dopiero co mi oznajmił, że zrobi wszystko, byle odzyskać pieniądze i wolność. Oczywiście, myśli znów o ucieczce. Niestety, muszę teraz odjechać, pocieszam się jednak, że zostawiam go w pewnych rękach.

— Sir, tylko nasza śmierć mogłaby go nam wydrzeć! Proszę spokojnie jechać.

Ponieważ Emery dał mi takie same zapewnienie, więc mogłem wyruszyć w drogę nie martwiąc się o jeńców. Po uzgodnieniu z dowódcą oddziału czasu wymarszu, opuściłem miejsce tak bardzo pechowe dla fałszywego spadkobiercy milionowej fortuny.

Musiałem się śpieszyć, aby w oznaczonym przez Winnetou terminie przybyć na spotkanie. Dosiadałem świetnego i wypoczętego konia, a poza tym znałem, jeśli nie samą drogę, to kierunek, gdzie należało szukać Apacza. Wspomnę jeszcze, że zabrałem z sobą; jednego Nijorę na rączym koniu, aby jeśli zajdzie taka potrzeba, wysłać z poselstwem do Szybkiej Strzały.

Dzień upłynął mi niezmiernie szybko, zapadł głęboki zmierzch. Był piękny wieczór, na niebie jaśniał; gwiazdy, a wyraźna tarcza księżycy — początek pierwszej kwadry — chylił się nad samym widnokregiem. Nie powiem, żebym lubił mrok nocy. Spoglądając w niebo, zobaczyłem w pewnej chwili nadciągającą ze wschodu wielką ciemną chmurę. Ponieważ od tej strony dał silny wiatr, mogłem się spodziewać, że w krótkim czasie chmury pokryją niebo i przysłonią światło gwiazd.

Pędziliśmy, nic nie mówiąc, poprzez rozległą równinę. Nijora trzymał się skromnie za mną, nie ważąc się jechać u mego boku. Tylko jeden raz zamieniliśmy z sobą kilka słów. Indianin znał dokładnie miejscowość, której z kolei ja nie mogłem znać, ponieważ poprzedniego dnia przybyliśmy do Cienistego Źródła nie od strony Głębokich Wód, lecz od Jasnej Skąły.

— Mój brat pozwoli mi znaleźć właściwą drogę do Cienistego Źródła — powiedziałem po pewnym czasie.

— Old Shatterhand znajduje każdą drogę, nawet wówczas, kiedy jej nie zna — odrzekł.

— Sądzę, że dzieli nas od celu kwadrans drogi. Czy mam rację?

— Jest dokładnie tak, jak mówi mój biały brat.

Wobec tego pojechaliśmy nieco dalej, po czym zatrzymaliśmy się. Wystrzeliłem z niedźwiedziówki zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami z Winnetou. Spodziewałem się w odpowiedzi jego wystrzału, ale zamiast niego niedaleko od nas usłyszeliśmy głos:

— Tu jestem, Szarlieh! Poznałem odgłos twojej broni.

Niebawem nadjechał, przywitał się i rzekł:

— Tak dobrze trafiłeś, że znalazłeś się nie opodal mnie. Nie musiałem więc dawać ci znaku wystrzałem z mojej strzelby.

— Czy jesteś tu od dawna? — zapytałem.

— Nie. Mogłem śledzić Mogollonów dopiero wtedy, kiedy się ściemniło.

— Ale zobaczyłeś ich już wcześniej?

— Tak. Zbliżyłem się do nich dość blisko.

— Czy obozują nad źródłem?

— Tak. Mój brat wie, że tylu wojowników nie pomieściłoby się dookoła źródła. Siedzi więc tam tylko wódz z trzema starymi mężnymi wojownikami. Wszyscy pozostali obozują opodal nad wodą.

— Czy zaciągnęli strażę?

— Nie. Mogollonowie są wielce nieostrożni. Łudzą się, że w całej okolicy nie ma nikogo poza nimi.

— Czy wiesz, gdzie stoi powóz?

— Dwukrotnie przekradłem się i dokładnie zbadałem cały obóz wokół. Powóz stoi niedaleko wodza, w wodzie.

— A gdzie są jeńcy?

— Siedzą w powozie. Strzeże ich tylko jeden strażnik.

— Chciałbym również ich zobaczyć.

— O to nietrudno, a jeśli zaczekasz kilka chwil, przyjdzie ci to z łatwością. Chmura, która teraz zawisła nad nami, przed pół godziną była na wschodzie, a za następne pół godziny zakryje drugą połowę nieba. Czy zechcesz poczekać?

— Chociaż nie ma niebezpieczeństwa, wolę być przezorny — zdecydowałem.

Co do chmury, to przewidywałem słusznie. Rozszerzała się coraz bardziej, aż wreszcie w przewidzianym czasie zakryła całe niebo.

— Teraz możemy już ruszyć. Konie pozostawimy tutaj pod nadzorem naszego czerwonego brata — rzekł Winnetou.

— W takim razie zostawię mu także obie strzelby.

— Zostaw jedynie niedźwiedziówkę, twój sztucer ja wezmę z sobą.

— Po co?

— Podczas gdy podkradniesz się, do Mogollonów, będę nie opodal stał na czatach. Jeśli przytrafiłoby ci się jakieś nieszczęście, powstanie zgiełk, który niezawodnie usłyszę. Wówczas wystrzelę ze sztucera tyle razy, aż przerażą się i puszczą cię wolno.

Wręczyłem zatem Nijorze jedynie ciężką strzelbę. Winnetou wziął mój sztucer, po czym poszliśmy na południe w kierunku źródła.

Chmura rzeczywiście tak zasłaniała światło gwiazd, że nawet w dziesiątej części nie było tak jasno, jak poprzednio. Po upływie przeszło piętnastu minut Winnetou zatrzymał się i oświadczył szeptem:

— O sto kroków stąd znajdują się pierwsze krzewy, które już znasz, ponieważ byliśmy tam przedtem. Na wprost nich bije źródło, nad którym siedzi wódz. Woda ze źródła płynie na lewo, tam też siedzą pozostali wojownicy. Między nimi a wodzem stoi powóz.

— A gdzie są konie?

— Skubią trawę po przeciwnej stronie zagajnika.

— Spróbuję podkraść się do wodza.

— W takim razie mój brat musi być szczególnie ostrożny.

— Dlaczego to Winnetou udziela mi takiej rady? Silny Wicher siedzi w pobliżu źródła, gdzie przecież rośnie gęsty zagajnik, w którym mogę się ukryć, o ile na prawo od niego nie leżą wojownicy.

— Poprzednio nie było tam nikogo.

— A więc nie sędzę, żeby ułożyli się tam teraz, w miejscu gdzie nie ma wody.

— Czy chcesz porozmawiać z jeńcami?

— Owszem, jeśli tylko będę mógł.

— Muszę cię zatem ostrzec, aczkolwiek źle odebrałeś moje poprzednie słowa. Bardzo to niebezpieczne podkraść się do nich, a jeszcze trudniej z nimi rozmawiać.

— Obiecuję ci, że będę ostrożny i zrezygnuję ze swego zamiaru, jeśli się przekonam, że jest zbyt ryzykowny. A zatem, jeżeli przytrafi mi się coś złego, to strzelaj, ale dopiero wtedy, gdy usłyszysz dwa lub trzy strzały z mego rewolweru.

— Zgoda, chociaż wolałbym, aby nie zaszła taka potrzeba.

Opuściłem Apacza i powoli skradałem się naprzód. Naraz natknąłem się na kamień. Niespodziewana myśl przyszła mi do głowy. Kamień mógł mi się przydać. Wielkością odpowiadał połowie dłoni. Podniosłem go i schowałem, po czym nachyliłem się i zacząłem macać ziemię dookoła siebie. Znalazłem jeszcze pięć czy sześć podobnych kamieni. Schowawszy wszystkie, ruszyłem dalej.

Kiedy przebyłem około sześćdziesięciu kroków, położyłem się, aby dalej już tylko posuwać się na brzuchu. Niebawem dotarłem do zagajnika. Było ciemno, choć oko wykol. Mogollonowie nie rozpalili ogniska. Przez niedbałość nie zapytałem o to Winnetou i teraz nie mogłem sobie tego wybaczyć. Nie byłem zadowolony, że wrogowie siedzieli po ciemku, lecz równocześnie cieszyło mnie, iż mrok nie pozwalał im mnie zobaczyć. Nie rozpalono ognia

prawdopodobnie z przezorności. Indianie zachowywali się tak cicho, że nie słyszałem żadnego szmeru, aczkolwiek przysunąłem się do nich bardzo blisko.

Czołgając się cal po calu, docierałem od jednego drzewa do drugiego, aż wreszcie wychyciłem strzępy rozmowy. Jednocześnie poczułem zapach tabaki, którą zwykli kurzyć Indianie. Była to mieszanina nadmiernej ilości dzikich konopi i odrobiny tytoniu. Wkrótce zobaczyłem niewielkie ognisko; nic dziwnego, że nie było widoczne z daleka. Rozpalono je w małym zagłębieniu gruntu z kilku zaledwie gałęzi, aby jego blask nie rozchodził się zbyt daleko. Płomień miał dostarczać jedynie ognia do fajek.

Jakkolwiek ognisko nie było duże, rzucało dookoła siebie tyle światła, że mogłem rozpoznać wodza i trzech starych wojowników, którzy siedzieli nad źródłem. Rosły tam dwa przylegające do siebie krzewy, podpełzłem więc ku nim i przywarłem do ziemi, tak że jeśli nawet ktoś by mnie wyminął, nie spostrzegłby mnie. Chyba żeby się nachylił. Byłem tak blisko Indian, że mogłem słyszeć każde ich słowo.

Tak, każde słowo — gdyby tylko mówili. Niestety, akurat panowało milczenie. Kurzyli i kurzyli, nie rozmawiając z sobą wcale. Czekałem pięć minut, dziesięć, kwadrans i znów kwadrans — bez żadnego skutku. Milczeli jak zakłeci. To była dla mnie nie tylko próba cierpliwości, to była, wierzcie mi, próba o wiele cięższa. Silny, fatalny zapach dzikich konopi, jak gdyby przeznaczony specjalnie dla mnie, wgryzał się w nos i drażnił nozdrza. Na szczęście, miałem wprawę w tłumieniu kaszlu i kichania, ale bądź co bądź nie należało za długo igrać z niebezpieczeństwem. Chciałem się już wycofać, gdy oto rozległ się przed zagajnikiem okrzyk.

— Uff! — powiedział wódz. — Zwiadowcy!

A zatem nadchodzili zwiadowcy. Na pewno usłyszę coś niecoś, kiedy będą zdawać meldunek. Pozostałem więc na miejscu i nie czułem już najmniejszej chęci do kichania.

Wnet usłyszałem tętent koni i odgłos zeskakiwania z siodła. Oczom moim ukazali się dwaj przyjezdni; jeden z nich zbliżył się do wodza, drugi pozostał w tyle. A więc zdawać relację miał ten pierwszy. Jednakże nie wyrzekł on ani słowa, oczekując z uszanowaniem na pytania wodza. Ten zaś w poczuciu godności trwał w milczeniu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie przerwał je słowami:

— Moi młodzi bracia późno wrócili, musieli zapędzić się daleko na południe. Dokąd dotarliście?

— Aż poza Mroczną Dolinę.

— Czy widzieliście pastwiska Nijorów?

— Nie. Tak daleko nie byliśmy.

— Ale zapamiętaliście drogę, którą mamy przebyć?

— Znamy drogę tak dobrze, jak gdybyśmy przejechali ją stokroć razy.

— Czy jest uciążliwa do jazdy?

— Nie. Tylko dla powozu będzie nieco trudne wspinanie się na Łysinę Kanionu.

— Czy nie widzieliście żadnego z tych psów Nijorów?

— Jednego jedynego między Łysiną Kanionu a Mroczną Doliną.

— Skąd jechał?

— Z północy na południe.

— A więc stąd i zapewne wracał do domu.

— Wracał do domu, ale czy jechał stąd, tego nie wiemy.

— Czy was zauważył?

— Nie. Dostrzegliśmy go pierwsi i zdążyliśmy się ukryć.

— Trzeba było go schwytać.

— Sądziliśmy, że lepiej go przepuścić.

— Czy nosił wojenne barwy?

— Nie.

— A zatem mówisz, że droga na Łysinę Kanionu jest uciążliwa dla powozu?
— Jest tak stroma i tak wąska, że stracimy sporo czasu na przeprawienie powozu do Mrocznej Doliny.

— Uff! Zrozumiałem, możecie już odejść.

Obaj wywiadowcy oddalili się. Przypuszczałem, że czterej Indianie zaczną się teraz naradzać, lecz oni wciąż trwali w milczeniu. Minął kwadrans, zanim wódz zapytał:

— Co powiedzą moi trzej bracia o słowach wywiadowców?

— Uff! — odezwał się pierwszy.

— Uff! — rzekł po chwili drugi.

— Uff! — powtórzył za nimi trzeci. Ale ten był widocznie gadatliwy, bo dodał: — Niech wódz pierwszy wypowie swoje zdanie.

Silny Wicher przeczekał pięć czy sześć minut, po czym przemówił:

— Czy moi bracia nie uważają, że pies, którego spostrzegli wywiadowcy, wracał ze zwiadów?

— Nie — odrzekł najstarszy. — Musiałby tu być, gdyby wysłano go na zwiady. Kiedy zaś tutaj przybyliśmy, nie spostrzegliśmy żadnego śladu. A zatem wracał skądinąd i nie był zwiadowcą.

— Mój brat rozumuje słusznie. Ale czy nasi zwiadowcy postąpili dobrze, przepuszczając go?

— Tak. Skoro wróci bez przeszkód do obozu, nikomu nie wpadnie na myśl, że wróg ich znajduje się w pobliżu.

— Cóż jednak, jeśli rzeczywiście był na zwiadach? Później przekonamy się, czy moi zwiadowcy postąpili słusznie.

Wódz był na właściwym tropie, gdyż Nijora, dostrzeżony przez obu Mogollonów, był owym gońcem, którego rano wysłałem z Głębokich Wód. Lecz gdyby go nawet schwytali, nie ponieśliśmy żadnej straty, bowiem Nijora nie pisałby ani słowa.

Po pewnym czasie Silny Wicher dodał:

— A co myślą moi bracia, jeśli chodzi o przejazd powozu?

— Trzeba go było zostawić w obozie — odparł znowu najstarszy.

— Ale jeńcy nie mogli jechać konno!

— Powinni więc byli również tam pozostać. Mogliśmy zrezygnować z kilku wojowników, którzy dopilnowaliby ich w obozie.

— Nie mogliby ich dobrze strzec. To byłoby zbyt duże ryzyko.

— Czy masz na myśli Winnetou i Old Shatterhanda?

— Tak. Mój brat słyszał już, że obaj słynni mężowie wraz z swoimi towarzyszami wtargnęli do puebla, aby schwycić białego, który zowie się Melton, a który im zbiegł. Z pewnością będą go dalej ścigać.

— O ile odnajdą jego ślad!

— Owi wojownicy znajdą każdy ślad. Potrafią więc odszukać również i trop Meltona, po czym podążą za nim. Podszczuli na nas Nijorów, dlatego też wysłałem przeciw nim Meltona wraz z pięćdziesięcioma wojownikami. Jeśli natkną się na tamtych, wezmą ich do niewoli. Jeśli jednak nie spotkają ich, to Winnetou, Old Shatterhand i pozostali pojedą do naszego obozu w Jasnej Skale, po czym udadzą się w ślad za nami.

— W takim razie grozi nam na tyłach poważne niebezpieczeństwo! — stwierdził najstarszy wojownik.

— Nie sędzę — rzekł wódz. — Dościgną nas dopiero po klęsce Nijorów, a wtedy to my ich schwytamy. Więc dobrze się stało, że zabraliśmy z sobą jeńców, bo gdybyśmy pozostawili ich w obozie, to nawet trzydziestu wojowników nie potrafiłoby ich ustrzec przed przebiegłością Old Shatterhanda i Winnetou.

Stary wódz Mogollonów był o nas dobrego zdania. Niestety, wszystkie jego przypuszczenia i obliczenia okazały się zgoła fałszywe. Gdyby przypuszczał, a cóż dopiero gdyby wiedział, że znajduję się w pobliżu i podsłuchuję, nie mówiłby z takim spokojem.

— Powóz i tak musielibyśmy zabrać z sobą — ciągnął dalej Silny Wicher — gdyż jeńcy nie umieją trzymać się w siodłach i opóźnialiby wówczas szybkość naszej wyprawy.

— Lecz skoro nie zdołamy przeprowadzić go przez wąwóz, będą zmuszeni, nawet mimo braku umiejętności, jechać konno — rzekł najniższy z wojowników.

— Przekonamy się wpierw, czy aby wąwóz jest naprawdę tak wąski. Skoro wyruszmy jutro rano, zostawimy za sobą jeńców pod należytą opieką naszych braci. Pojadą za nami po kilku godzinach. Dotrzemy do wąwozu wcześniej od nich i, być może, zdołamy nieco poszerzyć jego wąskie przejście.

— Czy powinniśmy tracić tyle cennego czasu?

— Praca ta nie będzie wymagała wiele czasu. Tomahawkami szybko odrąbiemy boki skalnych ścian. Howgh!

Słowo to oznaczało zakończenie narady. Ponieważ wódz umilkł, zamilkli także jego wojownicy. Wiedziałem, że ponowna rozmowa może się rozpocząć jedynie po bardzo długiej pauzie. Nie miałem zamiaru tak długo czekać. Wycofałem się bezszelestnie ku gęstwinie krzewów i skręciłem na lewo, gdzie stał powóz. Po przeciwległej stronie jeziora siedział w trawie Indianin, a obok niego leżała strzelba. Był to więc wartownik.

Zacząłem czołgać się dalej, musiałem bowiem zorientować się, gdzie siedzieli najbliżsi Mogollonowie. Wreszcie dostrzegłem ich. Dzieliło mnie od nich zaledwie dwanaście kroków, może nieco więcej. Następnie ruszyłem w stronę, gdzie tkwił w wodzie powóz. Był to wysoki i szeroki dyliżans pocztowy, starego typu, jakiego obecnie nie znajdzie się już nigdzie, chyba że w muzeum.

NA ŁYSINIE KANIONU

Chmura pokryła niebo i zasłoniła gwiazdy. Pod starą karocą było jeszcze ciemniej niż dookoła. Wartownik nie mógł mnie zobaczyć, natomiast ja widziałem go dokładnie.

Ku swojemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem, że okno powozu znajdujące się po mojej stronie jest otwarte. Jeśli w powozie siedzieli jeńcy, Mogollonowie dopuścili się karygodnej nieostrożności. Może jednak umieszczono ich teraz gdzie indziej i Winnetou się mylił — myślałem gorączkowo. A może... Hm, ale to raczej niemożliwe, aby w wozie siedział drugi wartownik...

Zamierzałem rozmówić się z jeńcami, więc musiałem zaryzykować. Teraz istotne było, jak wielkie będzie to ryzyko. Mogły zaistnieć trzy przypadki: albo jeńców nie trzymano wewnątrz dylizansu, albo siedzieli, w środku w towarzystwie Mogollona, albo też przebywali w nim sami. Jak się tego dowiedzieć, nie wystawiając się przy tym na krańcowe niebezpieczeństwo? Podniosłem się, pozostając jednak schylony do połowy, tak że dwa koła dzieliły mnie od wartownika znajdującego się nad wodą. Zastukałem do drzwi powozu i natychmiast znowu przykucnąłem. Zapukałem cicho, ale tak, że siedzący wewnątrz mogli usłyszeć, w przeciwieństwie do strażnika leżącego na trawie. Jeśli w powozie siedziałby Mogollon, to z pewnością od razu wyjrzałby przez okno. Czekałem w ogromnym napięciu i niepewności, ale w oknie nie ukazała się niczyja głowa. Zapukałem więc po raz wtóry. I tym razem bez skutku. Spróbowałem po raz trzeci i dopiero teraz odpowiedzią na moje znaki było lekkie stukanie w dno karety. A zatem byli tam! I to bez nadzoru! Ale, być może, spętani, dlatego nie wyjrżeli do tej pory przez okno. Wyprostowałem się i oparłszy głowę o parapet, zapytałem szeptem:

— Mister Murphy, czy to pan?

— Tak.

— Czy jest dosyć miejsca w środku z tej strony drzwi?

— Chce pan wejść, sir?! Na miłość boską, od razu pana złapią!!

— Nie jest tak źle. Wewnątrz jestem o wiele bezpieczniejszy niż tutaj, między kołami. Czy drzwi skrzypią przy otwieraniu?

— Nie. Metalowe zawiasy zepsuły się po drodze i zastąpiono je skórzanymi.

— To dobrze, bardzo dobrze, zaraz wchodzę do środka — wyszeptałem.

Pytania i odpowiedzi padały tak szybko, jak oczywiście wymagała tego sytuacja. Ległem w trawie i poprzez lukę między przednim a tylnym kołem powozu popatrywałem ku strażnikowi. Siedział wciąż w tym samym miejscu. Wyciągnąłem z zanadza kamień, wycelowałem i rzuciłem tak, że padł kilka kroków za strażnikiem. Indianin, usłyszawszy szmer, zerwał się gwałtownie i zaczął nasłuchiwać. Wyjąłem drugi kamień i rzuciłem trochę dalej. Mogollon dał się nabrać i ruszył w kierunku, z którego dobiegł hałas, a zatem nie mógł nas teraz ani widzieć, ani słyszeć. W okamgnieniu podniosłem się, otworzyłem drzwi, wsiałem i zamknąłem je z powrotem. Wszystko to odbyło się prawie bezszelestnie. Po omacku wyczułem z lewej strony oboje jeńców, siedzących przy sobie. Z prawej strony było dosyć miejsca dla mnie. Usiadłem. Ku ponownemu zdumieniu zauważyłem, że i z drugiej strony powozu okno było otwarte.

— To pan? — zapytał pośpiesznie adwokat. — Odważył się sir jednak.

— Cicho! — przerwałem mu. — Teraz ani słowa! Muszę obserwować wartownika.

Wyjrzawszy oknem, zobaczyłem, jak wracał zaniepokojony. Rozglądał się nieufnie na wszystkie strony, następnie podszedł do wozu i zapytał:

— Czy biali są tu jeszcze? — Wysławiał się niezbyt poprawnie po angielsku.

— Tak! — odpowiedzieli oboje jednocześnie.

Sądziłem, że to mu wystarczy, ale myliłem się, gdyż dodał posługując się teraz swoim hiszpańsko-indiańskim dialektem:

— Słyszałem szmer. Czy wasze więzy są na miejscu? Muszę je sprawdzić.

Postawił nogę na stopniu powozu, sięgnął ręką przez okno i dotknął Marty. Przekonawszy się, że jej pęta nie są naruszone, zszedł ze stopnia i podążył ku drugiemu oknu.

Szybko odsunąłem się, jak mogłem najdalej, w przeciwny koniec karety. Mogollon ukazał się przy drugim oknie, sięgnął i sprawdził więzy Murphy'ego. Po czym oddalił się, mrużąc coś niewyraźnie. Przez okno dojrzałem, jak usiadł z powrotem na swoim dawnym miejscu. Widać było, że się uspokoił.

— Teraz możemy rozmawiać — rzekłem. — Lecz wystrzegajcie się głośnego wymawiania „s” czy też innych świszczących dźwięków. Strażnik ma dość dobrze wyczulony słuch.

— Tym razem się udało, a wystarczyło przecież tylko sięgnąć ręką i już by pana miał!

— Lub też ja jego. Niech się pan o mnie nie troszczy. Zostanę w powozie tak długo, jak będzie trzeba i opuszczę go, kiedy zechcę.

— Lecz chodzi tu nie tylko o wolność, ale przede wszystkim o życie! — szepnęła Marta drżącym głosem.

— Nic nie ryzykuję, jestem absolutnie bezpieczny. Jak was spętano?

— Przywiązano nas do siebie lassem i opleciono jego końcem. Potem związano nam ręce na plecach. Na szyi mamy pętlę, przytwierdzoną na dole do siedzenia. Nie możemy się podnieść, aby się nie zacisnęła.

— Przy takim zabezpieczeniu wartownik jest właściwie zbyteczny. Nie dziwię się teraz, że otworzyli okna, aby dać wam nieco świeżego powietrza.

— Myli się pan. Nie ma już tutaj okien. Szyby w nich tkwiące własnoręcznie wyjął wódz, jako cenną zdobycz.

— Ach tak. Muszę wam przede wszystkim powiedzieć, co macie czynić na wypadek, jeśli odkryją mnie tu wrogowie.

— Proszę mówić — rzekł adwokat.

— Za moment, najpierw zbadam wasze pęta!

Sprawdziłem dokładnie, wszystko zgadzało się z wcześniejszym opisem Murphy'ego.

— Tak — powiedziałem. — Teraz już wiem, jak należy manipulować nożem.

— Nożem? — zdziwiła się Marta.

— Tak. Jeśli mnie nie odkryją, niewola wasza potrwa do jutra rana, ale jeśli stanie się odwrotnie, będziecie wolni natychmiast. Słuchajcie więc! Skoro tylko mnie zauważą, przetnę wasze sznury. To nie będzie trwało długo. Potem dwoma rewolwerami powstrzymam Indian, wy zaś tymczasem wyskoczycie z przeciwnej strony powozu i pobiegniecie prosto do zagajnika. Tam usłyszycie wystrzały. To będzie strzelał Winnetou. Wykrzyknijcie jego imię. Przy nim będziecie już bezpieczni, gdyż wszyscy Mogollonowie, nawet w liczbie trzystu czy czterystu, jeżeli usłyszą jego imię, nie ośmielą się ścigać was w ciemnościach.

— Dobrze, ale co będzie z panem? Czy chce master tu pozostać? — zapytał Murphy.

— Oczywiście, że nie. Skoro tylko zobaczę, że uciekliście szczęśliwie, pójdę za waszym przykładem.

— Okrążą pana, zastrzelą, zastrzelą! — niepokoila się Marta.

— Bądźcie dobrej myśli! Nie znacie Zachodu, ja natomiast znam go tak dobrze, jak własnych dziesięć palców, i wiem, jak się to wszystko odbędzie. Być może, wódz lub strażnik, jeśli nastąpi zmiana warty, zechce przekonać się osobiście, czy jesteście dobrze związani. Tylko wtedy mogą mnie tu odkryć. W każdym razie będziemy mieli do czynienia z dwoma, trzema czy najwyżej czterema osobami, a tyłu z pewnością powstrzymają moje kule. Oczywiście, powstanie alarm, ale również i popłoch, więc nikt nie odważy się podejść do miejsca, skąd padły strzały, to znaczy do powozu. Tymczasem was już dawno w nim nie

będzie, a ja po paru jeszcze strzałach też się ulotnię. Zresztą, prawdopodobnie będę uciekał razem z wami.

— Do licha! — rzekł adwokat. — Gra toczy się o śmierć i życie, a pan mówi to tak obojętnie, tak spokojnie, jak gdyby wyjaśniał małym dzieciom, że dwa razy dwa to nie pięć, ale cztery!

— Jak inaczej mam mówić? Nie grozi mi teraz najmniejsze niebezpieczeństwo. A więc wiecie już, co czynić, jeśli przyłapie mnie jakiś ciekawski. Jeżeli zaś tak się nie stanie, będziecie uwolnieni dopiero jutro rano.

— Oby Bóg dał, żeby obietnice pana spełniły się jak najszybciej! — westchnęła ciężko Marta.

— Ale poza naszym uwolnieniem jest jeszcze sporo innych ważnych spraw — rzekł Murphy. — Przede wszystkim trzeba schwytać Jonatana Meltona.

— Już go mamy — odparłem.

— Czy to możliwe?!

— Proszę mówić ciszej! — ostrzegłem go. — To nie był szept. Wartownik gotów jeszcze pana usłyszeć!

— Proszę wybaczyć, ale z radości zapomniałem na moment o naszym położeniu.

— Później będzie mógł pan krzyknąć na całe gardło — dodałem z uśmiechem.

— Gdzie go pan schwytał? — pytał zaciekawiony.

— Przy Głębokich Wodach. Tam zatrzymał się poprzednio wasz powóz. Mamy już i Meltona, i pieniądze.

— Gdzie one są?

— Tu, w mojej kieszeni.

— Jak to? Nosi pan przy sobie tak ogromną sumę?!

— Naturalnie! Czy miałem ją zawiesić na drzewie lub zakopać w ziemi?

— I zapędził się pan aż tutaj, pomiędzy czterystu wrogów, aż do tego dylizansu! Jeśli pana złapią, to pieniądze tym razem przepadną już bezpowrotnie.

— Nie złapią mnie! Mam wewnętrzne przekonanie, że moje kieszenie są w dalszym ciągu lepszym schowkiem na te pieniądze niż pańska kasa w Nowym Orleanie. A zresztą, fakt, że trzymam przy sobie tak ogromną kwotę, może jedynie świadczyć, jak pewnie czuję się w tym starym dylizansie. Życzyłbym tylko sobie, aby majątek, gdy tylko wręcę go prawemu właścicielowi, nie był wystawiony na większe niebezpieczeństwo niż teraz w mojej kieszeni. Ale zesłaliśmy z tematu. Mieliśmy mówić o Jonatanie Meltonie.

— No właśnie. Żałuję, że nie był pan świadkiem jego zachowania się wobec mnie, kiedy przyjechał do Mogollonów i ujrzał nas w niewoli!

— Czy wciąż jeszcze podawał się za prawdziwego Smalla Huntera?

— Nie, ani mu się śniło. Przyznał się natychmiast, kim jest naprawdę.

— Jego przyznanie się będzie miało kolosalne znaczenie — stwierdziłem.

— Oznajmił mi nawet z piekielną radością, że ani ja, ani też pani Werner nie ujrzemy więcej San Francisco.

— Za to on sam zobaczy je niebawem, i to w waszym i moim towarzystwie. Nareszcie został unieszkodliwiony, chociaż nadal nie traci nadziei, że jednak zdoła się uwolnić.

— Tak? Czy liczy jeszcze na ucieczkę?

— Powiedział mi to wyraźnie.

— To szubrawiec! Niech pan opowie, w jaki sposób wpadł w wasze ręce.

Nie trzeba chyba nadmieniać, że rozmawiając zachowywaliśmy wszelkie środki ostrożności i że wartownik często spoglądał w okno powozu. Adwokat, który czuł się dobrze wśród paragrafów prawa, ale nie na pustkowiu, lękał się zarówno o siebie i Martę, jak i o mnie. Nie mniej przestraszona była również Marta, ja natomiast beztrudnie, rozpierałem się we wnętrzu starej karocy, która była dla mnie bezpieczniejszym schronieniem, aniżeli pobliski

zagajnik. Mogłem więc z całą swobodą opowiadać obojgu dzieje schwytania Meltona. Oczywiście, często kierowałem spojrzenie na siedzącego nie opodal strażnika. Jednakże nie obyło się bez nowych emocji. Nie zakończyłem jeszcze mojej opowieści, gdy zostałem zmuszony nagle ją przerwać. Usłyszałem bowiem kroki i wyjrzawszy, zobaczyłem nadchodzącego Indianina, który miał złuzować swego kamrata. Ten podniósł się, tamten jednak podszedł wpierrw do powozu, stanął na stopniu i zbadał więzy jeńców w ten sam sposób, w jaki to przedtem uczynił jego poprzednik, z początku więc z prawej, a następnie z lewej strony. Oczywiście, za jednym i drugim razem przycisnąłem się do przeciwległych kątów dyliżansu, dzięki czemu uniknąłem odkrycia mnie. Poprzedni wartownik odszedł, a obecny usiadł na jego miejscu. Odetchnąłem głęboko i dokończywszy swoje opowiadanie o Meltonie, dodałem:

— Mogollonowie wyruszają z pierwszym brzaskiem. Wy przez jakiś czas zostaniecie w powozie pod odpowiednim nadzorem. Napadniemy na waszą eskortę, a wówczas będziecie wolni.

— To brzmi całkiem ładnie — odezwał się nieco ironicznie adwokat. — Napadniecie na eskortę, a wówczas będziemy wolni! Jak gdyby ktoś powiedział: „Wypełnimy akta, a wy je podpiszecie!” A więc uważa pan, że eskorta nie będzie się broniła?

— Być może, a nawet jest to jak najbardziej prawdopodobne, że stawia nam opór.

— Straszne! I mówi to pan z takim spokojem?! Zaręczam panu, że gdy trafię wreszcie do domu, moja noga nigdy więcej nie stanie już na Dzikim Zachodzie! Jak pan sądzi, czy konwój będzie duży?

— Wątpię. Wódz zostawi z pewnością tylko niezbędną liczbę wojowników, przypuszczalnie ośmiu lub dziesięciu.

— Ci jednak nie podołają wam i waszym stu Nijorom? — upewniał się Murphy.

— Nie będzie nas tyłu. Część oddziału musi strzec schwytanych Mogollonów. Mimo to będzie nas sześć czy siedmiokrotnie więcej niż Mogollonów. Dodajmy do tego zaskoczenie znienacka napadniętych wrogów. Mam nadzieję, że obejdzie się bez rozlewu krwi. No, na mnie już pora.

— Niech sir na siebie uważa, aby nie spostrzegł pana wartownik! — wyszeptał Murphy.

— Odwrócę jego uwagę tak samo, jak jego poprzednika.

Wyciągnąłem z kieszeni dwa kamyki. Teraz odezwała się Marta:

— Tak wiele panu zawdzięczamy, że ledwie śmiem prosić, aby powiększył pan mój dług o jeszcze jedną przysługę.

— Chętnie ją wyświadczę, jeśli tylko będę mógł.

— Może pan. Niech sir pozostawi jutrzejszy napad innym! Dlaczego pan musi wyprzedzać zawsze bieg wypadków?

— Dziękuję pani, Marto, za życzliwość. Chociaż zawsze jestem ostrożny, chętnie pani przyrzeknę, że jutro szczególnie będę się miał na baczności.

Rzuciłem kamyk. Zauważyliśmy zaniepokojenie strażnika. Po drugim rzucie podniósł się, a kiedy rzuciłem jeszcze jeden kamień, oddalił się pośpiesznie w kierunku dochodzącego szmeru.

— Dobranoc! — rzekłem na pożegnanie. — Bądźcie dobrej myśli. Wszystko na pewno dobrze się skończy. Do widzenia, do jutra! Wysunąwszy rękę przez otwór, w którym było kiedyś okno, otworzyłem drzwi, wysiadłem i po cichu zamknąłem je z powrotem. Szybko rzuciłem się na ziemię, albowiem wracał już strażnik. Szmer padających kamyków rzucił jego podejrzenie na jeńców siedzących w powozie. Nie usiadł, ale podszedł, jak i jego poprzednik, do wozu i sprawdził wnętrze, na szczęście z przeciwnej strony niż ta, gdzie leżałem. Można było przypuścić, że podejdzie za chwilę także i z tej strony dyliżansu, dlatego też szybkim ruchem odsunąłem się, jak mogłem najdalej, i znieruchomiałem, aby nie zwrócić na siebie jego uwagi. On jednak nie obszedł wcale powozu, tylko powrócił na swoje miejsce i usiadł.

Teraz poczołgałem się dalej. Ponieważ wiedziałem, gdzie skupili się wrogowie i że żadnego z nich nie ma przede mną, mogłem się nawet podnieść i prostą drogą wrócić do Winnetou.

Apacz stał wciąż jeszcze w tym miejscu, gdzie go opuściłem.

— Długo czekałeś na mnie, prawda? — spytałem.

— Nie — odparł. — Mój brat został wprawdzie dłużej, niż sądziłem, ale ponieważ nie słyszałem żadnego szelestu, więc rozumiałem, że znalazłeś sposobność do podglądania nieprzyjaciół i byłem o ciebie spokojny.

— Tak, śledziłem ich. Ale wracajmy do koni! Nie powinniśmy stać tutaj w pobliżu wroga.

Nijora siedział przy trzech pasących się koniach. Skoro nas zobaczył, powstał pełen szacunku. Usiedliśmy, polecając mu zrobić to samo. Usłuchał, lecz spoczął w pewnym oddaleniu od nas.

Przez chwilę panowało milczenie. Wiedziałem, że Winnetou nie zagadnie mnie pierwszy ani nie poprosi o relację, dlatego rzekłem:

— Mój brat niech się domyśli, gdzie tak długo byłem.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, po czym zapytał:

— Czy jeńcy byli jeszcze w powozie?

— Tak.

— W takim razie byłeś przy nich. Czy wie mój brat, co właściwie czynił?

— Co takiego?

— Doświadczał Wielkiego Ducha, który tylko wówczas ochrania dobrych ludzi, kiedy nie bez powodu wystawiają się na niebezpieczeństwo. Kto bez zgody rzuca się do rwącego potoku, może, jeśli jest nawet dobrym człowiekiem, łatwo pójść na dno. Muszę skarcić mego brata za tę zuchwałość!

— O, we wnętrzu karocy byłem o wiele bezpieczniejszy niż gdzie indziej!

Opowiedziałem mu, co widziałem i słyszałem. Najważniejsza była ta okoliczność, że po wymarszu Mogollonów powóz miał pozostać na miejscu.

— Napadniemy na straż i odbijemy jeńców — rzekł Apacz.

— Powziąłem tę — samą myśl, ale nie wiem, czy to rozumowanie jest rozsądne. Istnieje bowiem ważna przeszkoda, a mianowicie ciasnota obu wąwozów. Jeśli wódz Mogollonów stwierdzi, że są dosyć szerokie, aby przepuścić dyliżans, podąży naprzód przypuszczając, że powóz jedzie w ślad za nim. Wówczas możemy odbić jeńców tak, aby wódz dowiedział się o tym dopiero po pewnym czasie.

— A jeśli drogi są zbyt wąskie?

— Wtedy zatrzyma się, aby tomahawkami przerąbać przejście. Jeśli zaś powóz nie nadjedzie we właściwym czasie, Silny Wicher poweźmie podejrzenia i wyśle kogoś na zwiady. W tym wypadku należałoby chwilowo zrezygnować z uwolnienia jeńców.

— Mój brat przekonał mnie — zgodził się Winnetou.

Powiedziawszy to, zadumał się. Mogłem się domyślać, nad czym tak medytował, i nie myliłem się, gdyż niebawem odezwał się znowu:

— Możemy spokojnie napaść na konwój, gdyż drogi są dosyć szerokie, aby przepuścić karetę.

— Czy wiesz to na pewno?

— Tak. Oglądałem powóz i znam jego rozmiary. Ponieważ mamy napaść na Mogollonów na terenie kanionu, należy wziąć pod uwagę drogę pod górę, a nie tę, która biegnie na dół. Pierwsza nie nastrecza zbyt trudności. Duch mój przebywał tam obecnie i owe miejsce zmierzyłem jego oczyma. Powóz może tamtędy przejechać.

— A zatem Mogollonowie nie zatrzymają się na dole, lecz od razu wjadą na Łysinę Kanionu.

— Tak jest. Możemy więc bez skrupułów napaść na pozostałych Mogollonów — stwierdził Winnetou.

- Jak sądzisz, gdzie jest najodpowiedniejszy do tego teren?
- Mój brat oglądał miejscowość, niech więc także wyrazi swoje zdanie.
- Nie chciałbym nikogo ani zabijać, ani ranić. Musimy ich zaskoczyć.
- Czy mój brat widzi taką możliwość? Pierwszy lepszy Mogollon, który stoi tam na czatach, dostrzeże nas i zwoła swoich.
- W takim razie nie możemy uderzyć na nich z północy, lecz z południa, gdzie Mogollonowie najmniej się spodziewają wrogów. Wódz na czele oddziału jedzie na południe. Kiedy przybędziemy tam pół godziny później, eskorta powozu nie będzie uważała nas za nieprzyjaciół. Tak, najprawdopodobniej będą przypuszczać, że jesteśmy również oddziałem Mogollonów, który z jakiegoś powodu był zmuszony zawrócić z drogi, i dopiero gdy zbliżymy się do nich, zrozumieją swoją pomyłkę. Ale wtedy będzie już za późno.
- Mój brat mówi słusznie. Wykonamy jego plan. I co dalej?
- Od Cienistego Źródła do Łysiny Kanionu, gdzie odbędzie się walka, są trzy godziny jazdy. Nie chciałbym wlec z sobą tych jeńców, których już mamy, jak i tych, których niebawem schwytemy. Będą nam tylko przeszkadzać, a mogą nawet pokrzyżować nasze plany.
- A co z nimi zrobić? — zapytał Winnetou.
- Niech zostaną pod odpowiednią strażą w Cienistym Źródle. Oddaleni jedynie o trzy godziny drogi, będziemy o nich spokojni. Pozostawimy na warcie czterdziestu Nijorów pod dowództwem Emery'ego, a więc możemy być pewni, że będą dobrze strzeżeni.
- Zgadzam się z tobą. Jeśli bowiem zabralibyśmy ich z sobą, musielibyśmy nie tylko walczyć, ale także ich pilnować, przy czym mogłoby się zdarzyć, że jakaś niespodziewana okoliczność przyczyniłaby się do ich ucieczki. Niech więc pozostaną na miejscu. Czy mój brat zamierza osobiście brać udział w walce?
- To zależy. Wiesz, że niechętnie zabijam człowieka, lecz Nijorowie są naszymi przyjaciółmi i braćmi, dlatego też musimy wesprzeć ich w walce z Mogollonami, którzy są w tym wypadku nie tylko ich, ale także i naszymi wrogami. A więc zadanie polega na tym, aby jechać w ślad za Mogollonami i za wszelką cenę zapędzić ich poprzez wąwóz na Łysinę Kanionu. Później sytuacja pokaże, co należy czynić dalej. Oczywiście wolałbym, aby Mogollonowie poddali się, zanim dojdzie do rozprawy.
- Nie można się tego po nich spodziewać, chyba że zrozumieją całą beznadziejność swego położenia.
- A zatem trzeba im to uświadomić. Plan, który przedstawiliśmy wodzowi Nijorów, właśnie do tego zmierza.
- Czy mój brat uważa, że Szybka Strzała nie odstąpi od tego planu?
- Byłby głupcem, gdyby odstąpił. Sprawił na mnie wrażenie, roztropnego wojownika.
- Wskazane, ba, nawet niezbędne byłoby dowiedzieć się, czy istotnie usłuchał naszych zaleceń. Czy radzisz wysłać do niego gońca i zapytać o to?
- Nie, mamy za mało czasu. Zanim goniec do niego dotrze, a potem wróci do nas, będzie już za późno. W drodze zaś na pewno natknie się na Mogollonów i może wpaść w ich ręce. A ponadto nie wystarczyłoby nam jedynie zapewnienie, że wódz usłucha naszych zarządzeń, musielibyśmy mieć pewność, czy faktycznie je wykona.
- Myślisz o nadzorze? Czyli jeden z nas powinien się do niego udać? — odgadł moje myśli Winnetou.
- Tak. Wyłącznie w tym wypadku, jeśli ty lub ja będę przy nim, można go będzie powstrzymać od zbędnego rozlewu krwi. Znam jeńców, których musimy odbić, i jestem bardziej od ciebie zaangażowany w sprawy spadku. Ty zaś jesteś przyjacielem Nijorów dłużej niż ja, więc uważam, że raczej ty powinieneś jechać do Szybkiej Strzały.
- Mówisz słusznie, całkowicie się z tobą zgadzam. Wyruszę natychmiast.
- Czy zabierzesz z sobą młodego wojownika, który nam towarzyszy?

— Tak.

— Proszę cię, abyś na Łysinie Kanionu znalazł miejsce gęsto obrosnięte lasem i gdzie za skałą będzie mogło pomieścić się wielu wojowników. Jeśli tak się stanie, dla Mogollonów nie będzie ratunku, gdyż nie mając innego wyjścia zostaną zmuszeni do poddania się.

— Możesz być pewny, że dołożę wszelkich starań, aby nie rozstrzygać tej sprawy bronią. Jeśli jednak Mogollonowie nie poddadzą się i zechcą walczyć, będziemy musieli działać w taki sposób, aby nie dopuścić do krwawej rozprawy.

Zamieniliśmy z sobą jeszcze kilka uwag, po czym Winnetou i Nijora dosiedli koni. Odjechali, zakreślając z początku szeroki łuk, aby wyminąć obóz nieprzyjaciół.

Zbliżało się rozstrzygnięcie.

Zostałem sam. Cofnąłem się o szmat drogi, aby świt nie zdradził wrogom mojej obecności, uwiązałem konia i ułożyłem się na ziemi. Byłem wypoczęty i chwilowo odrzucałem myśl o drzemce. Pomyślałem, że dzisiejsza noc zakończy wreszcie naszą długą i żmudną pogoń za Meltonami. Leżałem na trawie z rękami pod głową, z oczami zwróconymi ku niebu, gdzie na czystym firmamencie iskrzyły się liczne gwiazdy, wspominałem wszystkie wydarzenia, poczynawszy od dnia, kiedy to po raz pierwszy ujrzałem w Guaymie Harry'ego Meltona. Jakie przygody, ile kłopotów, wysiłku, niebezpieczeństw i rozczarowań dzieliło ów dzień od dzisiejszego! Przestroga, która po tych wszystkich przeżyciach nasuwała się na myśl, dawała się streścić w krótkich, lecz jakże treściwych słowach: „Żyj zawsze zgodnie z prawem”.

Tak długo medytowałem i wspominałem, aż opanował mnie dziwny stan odrętwienia. Na wpół śniłem, na wpół czuwałem — i wreszcie całkowicie zasnąłem. Nie okryłem się derką, toteż wybił mnie ze snu chłodniejszy wiew powietrza. Po gwiazdach poznałem, że za godzinę będzie świtać.

Niebawem usłyszałem nadbiegający z północy tętent kopyt. Wyszedłem z ukrycia, po czym położyłem się na ziemi. Nadciągał oddział. Na czele jechało dwóch jeźdźców: jeden biały, drugi Indianin, zapewne przewodnik. Podniosłem się i zawołałem zmienionym głosem:

— Halloo, panowie! Dokąd to? Obaj osadzili konie i chwycili za broń. Biały odezwał się:

— Kogo to może obchodzić, dokąd jedziemy? Podejdz bliżej, młodzieńcze, i pokaż się, jeśli nie chcesz, żeby spotkała cię przykrość.

— Czy nie umie pan witać ludzi bardziej uprzejmie, mister Emery? — zapytałem tłumiąc śmiech.

— Co? Ten drab mnie zna! Kto to... Do stu tysięcy piorunów, ale ze mnie głupiec! Przecież to nikt inny, tylko stary Charley! Podejdz, mój drogi, i powiedz, gdzie się ukrywa Winnetou.

— Zejdźcie z koni, musimy się tutaj zatrzymać. Potem się wszystkiego dowiesz. Jak nasze sprawy, Emery, czy w porządku?

— Oczywiście.

— A Jonatan?

— Jedzie za nami wraz z swą piękną Judytą. Dunker towarzyszy im bez przerwy i nie chce ich ani na chwilę opuścić.

Po chwili oddział zatrzymał się i wszyscy zsiadli z koni. Podeszedłem do Meltona. Zdjęto go właśnie z wierzchowca i ułożono na ziemi tuż koło Judyty. Przy nich stał Dunker.

Następnie obejrzałem jeńców Mogollonów. Leżeli na ziemi, powiązani z sobą sznurami, po dwóch. Upewniłem się, że nie mogli zbiec. Teraz zapoznałem Emery'ego, Dunkera i dowódcę Nijorów z planem działania, a potem zapytałem Indianina:

— Czy mój brat zna w pobliżu Cienistego Źródła miejsce, z którego moglibyśmy niepostrzeżenie oglądać wyruszających Mogollonów?

— Znam. Skoro mój brat zechce, zaprowadzę go tam.

— Dobrze. Musimy niebawem wyruszyć, gdyż niedługo będzie świtać. Pojedzie z nami pięćdziesięciu twoich wojowników, a pozostałych pięćdziesięciu zostanie tutaj, aby strzec jeńców.

— A ja? — zapytał Dunker.

— Musi master bezwarunkowo pozostać przy Meltonie, którego panu powierzyłem.

— W porządku! Jestem zatem jego osobistym strażnikiem. Niech raz na zawsze pożegna się z myślą o ucieczce!

— Ale ja jadę z tobą? — odezwał się Emery.

— Proszę cię, abyś również, został.

— Dlaczego to? Chciałbym jechać z wami — zaprotestował.

— Po to tylko, aby widzieć, jak schwytały dziesięciu czy dwunastu Indian? To zbyteczne. Tutaj jesteś bardziej potrzebny, gdyż oprócz Meltona trzeba strzec jeszcze pięćdziesięciu jeńców. Muszę ich przecież zostawić pod odpowiednim nadzorem. To ważny posterunek, Emery!

— No dobrze! — zgodził się, choć z nutą rozczarowania.

— Nie mogę odmówić ci racji. Kiedy zatem mamy przybyć do Cienistego Źródła?

— Przyślę po was gońca.

Po krótkiej chwili pięćdziesięciu Nijorów wyruszyło wraz ze mną i z dowódcą na czele. Przewodnik prowadził nas nie na południe, lecz ku zachodowi. Dopiero po jakimś czasie skręciliśmy na południe, a następnie na wschód. Zatoczyliśmy łuk i zatrzymaliśmy się obok niewysokiej, ale rozległej wyżyny, na której rósł zagajnik.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł dowódca.

— Jak daleko jeszcze do Cienistego Źródła? — zapytałem.

— Pięć minut drogi. Na wyżynie poprzez krzewy można śledzić po kryjomu całą okolicę.

— Poczekajmy, aż się rozwidni. Mieście konie na oku, aby żaden nie uciekł i przez to nas nie zdradził!

Przestroga ta była właściwie zbyteczna, gdyż żaden koń indiański nie odbiega daleko od swoich. Przeleźliśmy u stóp wyżyny, dopóki gwiazdy nie zbladły i na wschodzie nie ukazał się lekko zaróżowiony odblask zorzy. Wówczas wraz z dowódcą wszedłem na wyżynę. Położyliśmy się za krzewami i czekaliśmy, aż się całkiem rozjaśni, abyśmy mogli obejrzeć rozciągającą się poniżej okolicę.

Zagajnik, który nas ukrywał na grzbiecie wyżyny, schodził na dół, rozszerzając się coraz bardziej aż do miejsca, gdzie biło z ziemi źródło. Tam znowu się zwiężał i przechodził w prerię porośniętą wysoką trawą.

— Świetnie! — rzekłem do Indianina. — Nie można wymarzyć sobie dogodniejszego terenu.

— Biały brat jest ze mnie zadowolony?

— Najzupełniej! Możemy stąd doskonale obserwować całą miejscowość i przyglądać się wymarszowi Mogollonów. Nie potrzebujemy wcale koni, aby zaskoczyć pozostałych wrogów szybkością natarcia. Pozostawimy je raczej tutaj. Niezauważeni możemy skradać się wśród krzewów aż do źródła. Lepiej już być nie mogło — stwierdziłem z uznaniem.

Indianin pragnął ukryć zadowolenie, jakie sprawiła mu pochwała, ale nie uszło to mojej uwadze.

Wnet zobaczyliśmy obóz Mogollonów, a nawet daszek karocy, ponieważ wznosił się ponad krzewami. Indianie przygotowywali się do wymarszu. Wielu z nich jadło, niektórzy się myli, inni jeszcze opatrywali konie. Po pewnym czasie usłyszeliśmy okrzyk. Był to sygnał do drogi. Każdy pośpieszył do swego wierzchowca. Wsiedli i ustawili się jeden za drugim, więc łatwo ich było policzyć. Naliczyliśmy trzystu czterech. Długi wąż ruszył naprzód, na południe, ku oczekującej go zagładzie.

Pozostawieni w obozie Mogollonowie przyglądali się wymarszowi. Stali pod zagajnikiem. Było ich dziesięciu. Ponieważ w pobliżu pasło się tylko czternaście koni, w tym cztery pociągowe, byliśmy pewni, że w obozie nie ma więcej nikogo.

Gdy tylko oddział znikł na południu, mogliśmy przystąpić do wykonania naszego planu. Chociaż na uporanie się z dziesięcioma osobami starczyłoby dziesięciu Nijorów, zarządziłem, aby poszło z nami trzydziestu. Pozostali mieli podążyć wkrótce z końmi.

Pod osłoną krzewów zesliśmy wzdłuż pochyłości niedaleko źródła. Wysunąłem się do przodu, czołgając się ostrożnie. Nad wodą siedzieli wszyscy wojownicy i spożywali śniadanie. Właściwie wstydziałem się napaść na nich z trzykrotnie większą liczbą ludzi. Byli tak zaskoczeni, gdy Nijorowie wyłonili się zza krzaków, że żaden nie pomyślał o obronie czy też ucieczce. W okamgnieniu zostali związani. Ja zaś podszedłem do karocy, otworzyłem drzwi i zawołałem:

— Dzień dobry, pani Werner i panie Murphy! Spełniam obietnicę.

Marta krzyknęła uradowana i z radości zemdląła. Wyciągnąłem nóż, przeciąłem jej więzy, wyniosłem z karoty i ułożyłem delikatnie na trawie, gdyż była bardzo słaba. Zniecierpliwiony adwokat zawołał:

— A teraz mnie, sir! Jak długo mam czekać!?

— Cierpliwości, mister Murphy! Kiedy go uwolniłem, wygramolił się z powozu, wyprostował zbolące członki i rzekł:

— Bogu dzięki! Nasze niepowodzenia skończyły się. Piekielne chwile przeżyłem w tym dylizansie!

Nie miał dla mnie ani jednego słowa podziękowania, ale za to wiele słów innego zgoła rodzaju. Kładąc lewą rękę na moim ramieniu, zapytał:

— Panie, czy wszystko w porządku? — przy czym prawą ręką klepnął mnie po plecach. — Czy ma pan jeszcze ten pugilares?

— Tak. Dziwne pytanie pan zadaje!

— Muszę wiedzieć, ile w nim jeszcze pozostało pieniędzy.

— Dlaczego to pan właśnie „musi wiedzieć”? — spytałem zdumiony.

— Do diabła, to się samo przez się rozumie!

— Niestety nie, to się wcale samo przez się nie rozumie — odparłem uprzejmie.

— Jestem kuratorem spadku i decyduję, co się ma stać z pieniędzmi i kto je otrzyma!

— Owszem, był pan kuratorem, ale już nim nie jest. A co ma się stać z majątkiem i kto go powinien otrzymać, tego nie może pan rozstrzygać od momentu, kiedy wykazał sir tyle rozumu, że bez żadnego sprawdzenia, ot tak sobie po prostu, włożył cały spadek do kieszeni oszusta.

— Panie, jeszcze ja pana nauczę rozumu!

Na tę porywczą groźbę odpowiedziałem spokojnie:

— Obawiam się, że znajdzie sir we, mnie bardo nierozgarniętego ucznia.

— A zatem nie odda mi pan pieniędzy?

— Nie oddam.

— Nawet jeśli panu rozkażę?

— Chce mi sir rozkazywać? Pani chyba żartuje! Zachowam pieniądze, dopóki nie znajdzie się ich właściwy spadkobierca.

— Nie pan będzie o tym decydował! — denerwował się adwokat.

— Wcale nie muszę. Znalazł się już bowiem prawowity właściciel spadku. Znam go bardzo dobrze.

— Ja go także znam! Otrzyma spadek ode mnie w drodze urzędowej. A więc niech mi senior odda pieniądze!

— Nie! Poza tym radzę panu, aby zmienił ton, jakim do mnie przemawia. Ten panu nie przystoi.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Wyrwałem pana prawie z objęć śmierci. Gdyby nie ja, nie wróciłby już master do domu. Uwolniłem pana z więzów. Czy zdobył się sir chociaż na jedno słowo podziękii? Żebrak dziękuje za kęs chleba. Ja zwróciłem panu wolność i życie, a odpłaca mi master groźbami. Jeśli pan sądzi, że zaimponuje mi bezczelnością, to się grubo myli!

— Wiem aż nazbyt dobrze, dlaczego nie chce senior oddać tych pieniędzy. Po prostu, nic nikomu nie mówiąc, je sobie...

— Milcz! — przerwałem mu. — Ani słowa więcej! Istnieją bowiem takie, na które odpowiada się tylko pięścią!

— Pańska pięść? Nie mam dla niej żadnego, absolutnie żadnego respektu, aczkolwiek szumnie tytułuje się sir Old Shatterhandem. Chce pan część pieniędzy przełożyć do własnej kieszeni i dlatego...

Nie zdążył już dokończyć zdania. Zakreślając łuk w powietrzu, przeleciał nad pobliskim krzakiem i runął tuż za nim.

Marta, leżąca do tej pory na trawie, zerwała się teraz przerażona i blada na równe nogi, uchwyciła mnie za rękę i zaczęła błagać:

— Na miłość boską, niech go sir nie zabija! Nie ma najmniejszego prawa, aby przemawiać do pana w taki sposób, obraził pana ciężko, współczuję panu i przepraszam za jego zachowanie, lecz niech go master nie zabija!

— Nie mam takiego zamiaru. Ostrzegłem go tylko, nic ponad to. Prawdopodobnie będzie się mnie teraz wystrzeżał.

Nadeszło dwudziestu Nijorów wraz z końmi. Kazałem jednemu z nich wrócić i sprowadzić Emery'ego i Dunkera z ich oddziałem. Konie rozpieczęły się po łące nad wodą. Murphy podniósł się ociężale i powłókł utykając. Usiadł za krzewem i pocierał obolałe ciało. Marta odzyskała spokój. Ledwo mogłem ją uprosić, aby zaniechała podziękowań.

Niebawem przybyli pozostali nasi wojownicy z jeńcami. Dziesięciu Mogollonów wydało okrzyk zgrozy, widząc pojmanych pięćdziesięciu swych braci. Chciałem dać rozkaz, tyczący rozmieszczenia jeńców, gdy moją uwagę zwróciły głośnie krzyki. To adwokat, ujrawszy Jonatana Meltona, zerwał się, rzucił na niego wrzeszcząc wniebogłosy i powalił na trawę. Okładał pięściami twarz oszusta, który nie mógł się bronić.

Emery i Dunker utkwili we mnie bezradne spojrzenia.

— Rozwiążcie szybko Meltona! — zawołałem do nich.

Ponieważ Jonatana dopiero co zdjęto z konia, więc nie zdążono mu jeszcze związać z powrotem nóg. Spętane miał tylko ręce. Uwolniono go zatem w jednej chwili, co natychmiast wykorzystał na powstrzymanie ataku rozwścieczonego Murphy'ego. Wywiązała się bójka, której wszyscy Indianie, zarówno wolni, jak i jeńcy, przyglądali się z zaciekawieniem. To jeden, to znów drugi z walczących brał górę. Sporo czasu minęło, zanim doszło do rozstrzygnięcia, a wówczas okazało się, że żaden z nich nie zwyciężył, albowiem kompletnie wyczerpani leżeli obok siebie bez ruchu.

Emery podszedł do mnie i zapytał zdziwiony:

— Dlaczego dopuściłeś, aby Murphy dostał takie lanie?

— A kto dał mu prawo znęcania się nad Meltonem, który jest naszym jeńcem? — odpowiedziałem pytaniem na pytanie. — Poprzednio, pod groźbą, żądał ode mnie pieniędzy. Zamiast podziękować za ocalenie, oświadczył, że nie chce dać mu pugilaresu, bo pragnę skrycie część pieniędzy zachować dla siebie.

— To nieładnie z jego strony — przyznał Anglik. — Dostał chyba za swoje?

— Nie. Ukaranie go pozostawiłem, jak widziałeś, Jonatanowi.

— Rzeczywiście, wcale niezła była to myśl! Jesteś oryginalnym dżentelmenem, ty stary lisie. Teraz obaj już leżą i ledwo zapią. Jednemu i drugiemu słusznie się oberwało, nic to im nie zaszkodzi. Ale Meltona zwiążemy chyba z powrotem?

— Tak, lecz uwolnimy Judytę.

— Judytę? Dlaczego?

— Aby mogła usługiwać pani Werner.

— Bardzo słusznie! Nie wpadłbym na taką myśl. Ale czy zechce? — zastanawiał się Emery.

— Zaraz się przekonamy! Judyta zdumiała się wielce, kiedy uwolniono ją z więzów, Stałem właśnie przy śpiewaczce.

— Judyto — rzekłem — od pani samej zależy polepszenie jej losu.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytała, spoglądając mi arogancko w oczy.

— Zaprowadzimy panią tam, gdzie jest Jonatan.

— Nie pójdę! — krzyknęła. — Mam inne, bardziej ważne obowiązki.

— Jakie to?

— Muszę śpieszyć do ojca, który mnie wzywa.

— Gdzie jest ten starzec?

— Cóż to pana obchodzi? — obruszyła się.

— W takim razie nie obchodzą mnie również pani obowiązki wobec niego. Do chwili obecnej nie wspominała seniora o nim, nie troszczyła się o niego wcale, a oto naraz wyskakuje ze swoimi „ważnymi obowiązkami”. Niestety, nie możemy brać ich pod uwagę. Jest pani współniczką Meltona i może złożyć cenne zeznania, dotyczące zarówno jego, jak i jego zbrodni, a więc musimy odstawić seniorę do San Francisco, a nawet do Nowego Orleanu.

— Chce mnie pan wlec z sobą?

— Nie wlec, lecz zabrać. Nie możemy jednak pozwolić pani zginąć na tym Dzikim Zachodzie. Zaprowadzimy seniorę do miejscowości piękniejszych i bardziej cywilizowanych.

— Ale ja nie chcę! — krzyknęła znowu, tupiąc nogami.

— Nas nie interesują pani chęci. A teraz proszę słuchać! Miss Werner potrzebuje służącej. Gdyby zechciała pani zająć to miejsce, może się spodziewać różnych ustępstw...

— Służąca, służebna, posługaczka? — zaśmiała się szyderczo. — Ani mi w głowie tak się poniżać! Nigdy, przenigdy! Słyszysz pan!?

— Jak pani uważa! Lecz w takim razie będzie seniora ponownie związana — oświadczyłem niewzruszonym głosem.

— Wszystko mi jedno! Jestem wielką damą, wdową po wodzu i dla tej kobiety, zwłaszcza dla niej, palcem nie ruszę!

— Dobrze! Zatem każę znów związać pani ręce i nogi skórzanymi oznakami wdowieństwa.

Na moje skinienie skrupowano ją z powrotem. Jednak lepiej, że się tak stało, gdyż na wolności mogłaby zmówić się z Meltonem i ponownie ułatwić mu ucieczkę.

Tymczasem upłynęły już niespełna trzy kwadransy od wymarszu Mogollonów. Emery zwrócił na to moją uwagę, mówiąc:

— Musimy wyruszyć, inaczej nie przybędziemy do wąwozu we właściwym czasie.

— Mówisz my?

— Naturalnie! A może niesłusznie? Czy to ma znaczyć, że ja nie pojedę?

— No właśnie.

— Nie zgadzam się! Nie zostanę tu w żadnym wypadku!

— Sądzę, że nie tylko zostaniesz, ale że i sam o to poprosisz.

— Tak myślisz? Wy będziecie tam walczyć, a ja mam zostać na tyłach jak tchórz?!

— Wiesz przecież, że Winnetou przyłączy się do Nijorów, aby dbać o dokładne wykonanie naszego planu. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, jeden z nas musi wytrzymać napór cofającego się wroga. Kto z nas powinien się tego podjąć?

— Naturalnie, że ty. Jest to odpowiedzialne zadanie i nie pragnę wcale odbierać ci tak zaszczytnego stanowiska. Kto stoi u wylotu wąwozu, musi być zgrany z poczynaniami Winnetou, który dowodzi na górze.

— A zatem Winnetou na górze, na Łysinie Kanionu, a ja u wylotu wąwozu — sam tak radzisz. Oprócz tego istnieje jeszcze trzecia placówka, wprowadźcie nieco innego rodzaju, ale równie ważna, jak obie wymienione poprzednio.

— Tutaj, w Cienistym Źródle?

— Tak, chodzi o jeńców, z których najważniejszy jest Melton. Jeśli zbiegnie, wiesz, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje. Poza tym trzeba strzec sześćdziesięciu Mogollonów, nie licząc Jumów i Judyty. Jakieś błaha, a nieprzewidziane wydarzenie może ich uwolnić.

— Wszak wszyscy są spętani!

— Owszem, to by nam dawało pewność, o ile strzegłoby ich właściwe oko. W przeciwnym wypadku najmniejsze zaniedbanie lub niedopatrzenie może spowodować nieszczęście. Pomyśl sobie, w jakim znalazłbym się położeniu, kiedy broniąc wylotu wobec trzystu Mogollonów, nagle ujrzałbym zwałający się na mnie oddział złożony z sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu jeńców!

— Do stu piorunów! Piękny plan zakończyłby się naszą klęską!

— A widzisz! Musimy więc zostawić tutaj dzielnego męża. Czy mam powierzyć tę placówkę Dunkerowi? — spytałem podstępnie Anglika.

— Hm, jest to dobry przewodnik i człowiek dosyć obrotny, ale nie powierzyłbym mu samodzielnego zadania.

— Podzielał twoje zdanie. A zatem pozostaje tylko jedna osoba, godna zaufania.

— O kay! Muszę się tego podjąć.

— Czy nie mówiłem ci, że sam mi zaproponujesz swoją pomoc?

— Hm, właściwie tego się spodziewałem. Lecz mówię uczciwie, iż wolałbym bić się wraz z wszystkimi tam na górze.

— Nie wiadomo jeszcze, czy dojdzie w ogóle do bitwy. A zatem powierzam ci tutaj dowództwo. Ilu potrzebujesz ludzi?

— Dziesięciu wystarczy, gdyż jeńcy są powiązani. Jak myślisz?

— Sądzę, że siedemdziesięciu dobrze spętanych jeńców może upilnować mniej niż dziesięciu Indian. Jednak lepiej zabezpieczyć się przed niespodziankami. Weź trzydziestu! Mnie i tak zostanie jeszcze siedemdziesięciu Nijorów.

— Ale masz za to wypełnić najodpowiedzialniejsze zadanie i to z niespełną jedną czwartą sił, jakimi Winnetou rozporządza na górze.

— Wystarczy. Nadrobię taktykę.

— Taktykę? To jest prawdziwa wojna!

— Oczywiście — roześmiałem się. — Potrzebuję stu sześćdziesięciu ludzi, a mam siedemdziesięciu. Niedobór stu zastąpi mi stary dylizans. Czy to nie jest taktyka?

— Czy mówisz poważnie? Może chcesz go zamienić na armatę? Jestem ciekaw, czym ją naładujesz?

— Nie w armatę, lecz w taran...

— Taran? To co najmniej starodawna machina!

— ... którą zastosuję w naszej współczesności, gdyż mój taran będzie żywy, a nie z martwego drzewa i żelaza.

— Nie rozumiem!

— To przecież proste. Wiesz, że musimy zabrać z sobą powóz?

— Nie, nie wiem. Jak będziecie mogli swobodnie się poruszać, wlokąc z sobą to stare pudło?!

— Więc posłuchaj! Nie możemy pozwolić Mogollonom, gdy dostaną się do wąwozu, na rozporządzanie czasem ani też miejscem. Nie możemy też pozwolić im na odwrót. Musimy

postępować tak, aby bez przerwy deptać im po piętach. Ponieważ narażamy się na ich natarcie, karoca przyda się nam jako osłona. Kiedy się ukaże w ich polu widzenia, Mogollonowie wezmą nas za swoich.

— Aha, prawda! Świetny pomysł! Lecz jest pewne ale. Przy karocy zostało dziesięciu Indian, ty zaś nadjedziesz z siedemdziesięcioma.

— O, nie! Zapomniałeś o pięćdziesięciu wojownikach, których schwytaliśmy wraz z Meltonem. Mogollonowie pomyślą, że oddziały się połączyły.

— Słusznie, słusznie! Pięćdziesięciu wojowników spotkało po drodze owych dziesięciu z dyliżansem. Różnica dziesięciu ludzi ujdzie ich uwadze. Ale potem? Co będzie potem?

— Niebawem usłyszysz. Przywołałem dowódcę i poprosiłem:

— Zbierz swoich ludzi i powiedz im, że potrzebuję sześciu dobrych jeźdźców, którzy odważą się wraz ze mną na czyn bardzo niebezpieczny.

Wkrótce zameldowali się, ale zamiast sześciu — wszyscy. Wówczas oznajmiłem głośno:

— Musimy ruszyć z powozem W ślad za Mogollonami, aby myśleli, że jesteśmy ich towarzyszami, i abyśmy mogli wjechać tuż za nimi do wąwozu. Skoro jednak Mogollonowie dostaną się na górę i zobaczą waszych mężnych braci, zechcą się cofnąć. Musimy temu zapobiec. Pragnę zatarasować przejście kareta. Aby wspiąć się po stromej drodze, należy zaprząć do niej co najmniej osiem koni. Żaden z was nie umie powozić. Sam więc usiądę na koźle, aby kierować najbliższą parą w zaprzęgu, na każdym zaś z sześciu pozostałych rumaków usiądzie jeden z was. Mogollonowie początkowo przyjmą moich braci za swoich. Ale później, kiedy się do nich zbliżymy, obawiam się, że poznają nas i zaczną strzelać. A zatem sześciu jeźdźców jadących przed wozem mają przed sobą ogromnie niebezpieczne zadanie. Dlatego życzę sobie, aby chętni zgłosili się dobrowolnie. Kto trwa przy tej chęci, niech podniesie prawą rękę w górę!

Ponad głowami Nijorów wzniosły się wszystkie prawice.

— Widzisz więc, że nie ma wśród nas tchórza! — rzekł, uśmiechając się dumnie, dowódca. — Skoro Old Shatterhand usiądzie na koźle, z narażeniem własnego życia, nikt z nas nie zechce pozostać w tyle.

— Dobrze, postanowimy inaczej! Musi to być sześciu wyśmienitych jeźdźców, gdyż należy ciągnąć wóz z jak największą szybkością i wywołać przy tym duże zamieszanie w szeregach Mogollonów. Nie znam was, wyszukajcie mi więc wśród siebie tylu koniecznych, najpewniejszych wojowników.

Chociaż było to niewdzięczne zadanie — dobierać tak, aby nie urazić dumy pominiętych — dowódca zaprezentował mi wkrótce sześciu Nijorów. Mieliśmy także konie zaprzęgowe, które ciągnęły powóz do Jasnej Skąły. Gdybym zaprzągnął do dyszla dwa półdzikie rumaki indiańskie, na pewno by go szybko złamały. I tak należało przypuszczać, że jazda będzie ryzykowna. Na szczęście, rzemienie znajdowały się w znośnym stanie. Dla sześciu przednich koni nie trzeba było uprzęży, wystarczyło dla każdego z nich jedno lasso, przymocowane do dyszla i do poprzęgu.

Przygotowania wkrótce dobiegły końca. Wóz stał zaprzężony w osiem koni, gotowy do jazdy. Emery podszedł do mnie i rzekł niezwykle poważnym tonem:

— Czy nikt inny nie mógłby usiąść na koźle? Czy koniecznie ty sam musisz wystawiać się na nieprzyjacielskie kule?

— Nie tylko ja będę na nie narażony, ale także i Nijorowie jadący przede mną. Lecz sądzę, że prawdopodobnie niewiele będzie strzelaniny — odparłem — a zresztą, jak wiesz, nie każda kula jest celna.

— Jak myślisz, kiedy będziesz mógł wrócić?

— Przypuszczam, że wszystko rozegra się w jakieś cztery godziny. Jeśli z jakiegokolwiek powodu nie będę mógł wrócić, to przyślę ci przynajmniej gońca.

— Proszę cię o to, Charley! Będę go wypatrywał z największą niecierpliwością!

— Pozwól sobie przypomnieć o Meltonie. Cokolwiek by się stało, nie powinien odzyskać wolności. Lepiej go zastrzelić, niż pozwolić mu umknąć!

— Bądź spokojny! Dunker nie spuści go z oka. Raczej pozwoli odciąć sobie rękę, niż dopuści do jego ucieczki. Proszę cię jeszcze o jedno, i to nie weźmiesz mi tego za złe.

— Co takiego? — zapytałem.

— Nie ryzykuj za bardzo, stary kochany Charley! Wiesz, że masz przy sobie ludzi, którzy wolą w każdej chwili poświęcić własne życie, niż tobie na to pozwolić. Czy przyrzekasz mi to?

W oczach Emery'ego ukazały się łzy. Wyobrażał sobie o wiele groźniejsze niebezpieczeństwo, niż było ono w rzeczywistości. Podałem mu rękę i rzekłem:

— Dziękuję ci, mój drogi przyjacielu, za twoją troskliwość. Bądź pewny, że nie rzucę się na oślep w paszczę lwa. Są też na świecie i inni ludzie, którzy pragną, abym żył długo. Po myśl sobie, że mam rodziców, których chciałbym jeszcze zobaczyć! Odważnemu sprzyja powodzenie i jeśli będę je mógł osiągnąć szybciej i pewniej dzięki małemu ryzyku, to się przed nim nie cofnę.

Teraz podeszła do nas także Marta i rzekła:

— Widzę rozmaite przygotowania i ze słów, tu i ówdzie rzucanych, wnioskuję, że wystawia się pan na nowe niebezpieczeństwo. Proszę mi powiedzieć, czy tak jest istotnie?

— Nie — bagatelizowałem. — Udamę się z pani powozem do Łysiny Kanionu, to wszystko.

— A więc tam, gdzie rozegra się walna bitwa? Przecież to pogoń za śmiercią!

Jej rozszerzone oczy wpatrywały się we mnie, nieruchome i pełne przerażenia.

— Za śmiercią? — roześmiałem się wesoło. — Mówi to pani z obawy, zresztą nieuzasadnionej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa biorę na siebie bezpieczną rolę parlamentarzysty.

— Więc jedź pan z Bogiem! Zostaje tu ktoś, czyje najlepsze życzenia będą panu towarzyszyć — rzekła cicho łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Byłem jeszcze zajęty sporządzaniem batogu ze skręcanego rzemienia i kilkakrotnie złożonego lassa, gdy Jonatan Melton zażądał rozmowy ze mną. Kiedy doń podszedłem i zapytałem, czego pragnie, odezwał się ponuro:

— Widzę, że chce pan wyruszyć. Czy do wałki?

— Tak.

— A czy schował sir pieniądze?

— Dlaczego to pana interesuje?

— Ponieważ nie powinien master wystawiać ich na niebezpieczeństwo!

— Jeśli będę je miał przy sobie, to pozostaną całkowicie bezpieczne — odparłem.

— Nie byłbym taki pewny. Powiadam panu, że z tej wyprawy już nie wrócisz. Idzie master na spotkanie śmierci. Ale jeśli mi pan przyrzeknie, że mnie puści, to cię ocale, wyjawiając plan Mogollonów.

— Tak? Chce pan zdradzić swoich przyjaciół i sojuszników?! Podobne to do pana, ale na nic się nie zda, gdyż znam ów plan od dawna.

— Nie wierzę!

— Wie pan chyba, że podsłuchiwałem naradę Mogollonów w Jasnej Skale, a także rozmowę seniora z Judytą nad źródłem obok Wężowej Góry. Mogollonowie dążą do Mroczonej Doliny, ale my ich po drodze tak okrążymy, że żaden z nich nie będzie mógł się wymknąć. Za kilka godzin przyślę panu wiadomość o zwycięstwie.

— A więc wsiadaj pan do powozu, jedź do diabła i pozostań w piekle na wieki! — wrzasnął rozjuszony.

Odwrócił się ode mnie bokiem. Odszedłem. Złorzeczenie z takich ust mogło mi tylko przynieść szczęście. Zwrócić mu wolność za wiadomości, które znałem już dawno? Było to żądanie co najmniej śmieszne.

Batog był już skręcony. Mogliśmy wyruszyć. Ponieważ zbyt ciężko byłoby mi taszczyć się z dwiema strzelbami, zostawiłem niedźwiedziówkę Emery'emu. Przewiesiłem przez ramię sztucer i wdrapałem się na kozioł. Dunker podał mi cugle. Sześciu Nijorów ścisnęło konie kolanami i powóz ruszył z miejsca. Mimo woli przyszło mi na myśl pytanie, w jakim to stanie stary dyliżans dotrze z nami do Łysiny Kanionu.

Konie zaprzęgowe były przyzwyczajone do ciągnięcia powozu, czego nie można było powiedzieć o pozostałej szóstce. Te skakały to naprzód, to w bok, tak że karoca nie była ciągniona, lecz miotana na wszystkie strony. Dopiero kiedy sześciu Nijorów zaczęło należycie używać cugli i nóg, ruch powozu stał się bardziej równomierny. Ponieważ jednak nasza droga nie była bitym traktem, a Indianie nie umieli sobie radzić z naturalnymi przeszkodami, jazda nie była ani wygodna, ani też bezpieczna, a nawet chwilami musiałem skupiać całą swoją uwagę na tym, aby nie dopuścić do wywrócenia się dyliżansu.

Oczywiście, przy Emerym zostali Nijorowie, którzy mieli doglądać jeńców w Cienistym Źródle. Pozostali wojownicy gęsiego jechali za powodem.

Drogowskazem były nam ślady Mogollonów. Odległość między nimi a nami wynosiła mniej więcej trzy godziny jazdy. Musiałem jechać tak, abyśmy doścignęli Mogollonów niedaleko wąwozu. Nie należało pokazywać się tam wcześniej, gdyż mogliby nas rozpoznać i zwrócić się przeciwko nam. A w takim razie obylibyśmy mocno zagrożeni. Aby nie natknąć się na nich zbyt szybko, wysłałem na zwiady jeźdźca, który miał śledzić ich straż tylną i ewentualnie zawiadomić nas o jej poczynaniach.

Z początku jechaliśmy pośpiesznie, aby nadrobić odległość, o którą wyprzedzili nas wrogowie, potem jednak nierówności terenu coraz bardziej utrudniały nam drogę. Po niespełna dwóch godzinach wpadliśmy na naszego zwiadowcę. Zawiadomił nas, że Mogollonowie jadą w odległości około dziesięciu minut drogi. Trzeba było teraz dotrzymywać im równego kroku. Na równinie ujrzeliby nas natychmiast, ale tu pełno było gór, dolin i wykrotów, w których mogliśmy się skrywać.

Po kwadransie zwiadowca przyprowadził do nas Nijorę, którego spotkał po drodze, i zameldował:

- Ten wojownik krył się za skałą przed wrogiem. Wysłał go do nas Winnetou.
- Co memu bratu kazał oznajmić wódz Apaczów? — zapytałem.
- Przygotowania zostały zakończone.
- A zatem wasi wojownicy przyczaili się za wzniesieniem skały?
- Tak. A także w lesie, aż do miejsca, gdzie wąwóz wychodzi na Łysinę Kanionu.
- Gdzie stoją konie?
- Za wzniesieniem, ukryte przed wzrokiem Mogollonów.
- Dobrze. A gdzie jest twój wierzchowiec?
- Zostawiłem go zgodnie z wolą Winnetou, aby nie pozostawiać za sobą śladów i nie rzucać się wrogom w oczy.
- Sądziłeś więc, że jedziesz tuż za Mogollonami? — pytałem dalej.
- Tak mówił wódz Apaczów. Szedłem przez wąwóz, po czym zachowując ostrożność podążyłem na wasze spotkanie. Kiedy widziałem Mogollonów, chowałem się, a gdy już przejechali, schodziłem niżej, aż natknąłem się wreszcie na twego zwiadowcę, w którym od razu rozpoznałem brata, należącego do mego plemienia.
- Czy widziałeś wodza Mogollonów?
- Tak, jedzie na czele swoich ludzi.
- Jak długo musimy jechać do wąwozu?
- Połowę czasu, zwanego przez białych godziną.

— W porządku. Przyłącz się do naszych wojowników. Dotrzymasz im kroku, gdyż musimy teraz jechać stępa.

Ruszyliśmy dalej. Teren był obecnie o tyle dogodniejszy, że mogliśmy przyspieszyć jazdę i zbliżyć się nieco do Mogollonów. Wywiadowca znów nas wyprzedził. Przy powtórnym z nami spotkaniu zameldował, że znajdujemy się w odległości pięciu minut od wrogów. Po pewnym czasie ujrzeliśmy Mogollonów znikających za najbliższym zakrętem. Ściany skalne rozstępowały się, Otwierając przejście. Nie było ono obszerne, ale dość wygodne. Z prawej i lewej strony wznosiły się wysokie skały, a naprzeciw leżało strome, gęsto zalesione płaskowzgórze. U jego stóp po prawej stronie, tam gdzie kończył się las, zobaczyłem wylot wąwozu, do którego właśnie wjechali Mogollonowie. Poczekawszy, aż znikną w nim ostatecznie ich szeregi, popędziliśmy konie poprzez otwarty teren, aby zatrzymać się przy wąwozie.

Teraz wróg wpadł w zasadzkę. Na górze, na Łysinie Kanionu oczekiwali go nasi towarzysze, na dole zaś my odcinaliśmy odwrót.

Do tego momentu powodzenie akcji było dość wątpliwe. Gdyby bowiem Mogollonowie dostrzegli nas i zwrócili się przeciwko nam, nie zdołalibyśmy ich odeprzeć. A jeśli nawet udałoby nam się to zrobić, większość wrogów mogłaby rozproszyć się po bokach. Ale obecnie tkwili w wąwozie, którego strome i wysokie ściany były niedostępne. Musieli bezwzględnie posuwać się naprzód.

Płaskowzgórze tworzyło trójkąt, którego płaszczyzną była skała. Dwa jego boki obsadzili nasi wojownicy, a trzecim był stromy i głęboki kanion.

W momencie osiągnięcia płaskowzgórza Mogollonowie znaleźli się w potrzasku, a jedynym dla nich wyjściem było poddanie się. Będąc na płaskowzgórzu bez najmniejszej osłony, nie mogli zmierzyć się z Nijorami przyczajonymi za skałami i w lesie. Bezpośredni szturm musiałby niechybnie zakończyć się ich klęską. Trzeba jeszcze uwzględnić i to, że podobnego rodzaju ataki nie są stosowane przez Indian.

Wódz Mogollonów, jadący na przedzie, pierwszy dotarł na górę. Osadzili konia w miejscu, aby rozejrzeć się dookoła. Nie widząc nic podejrzanego, pojechał dalej, a za nim jego wojownicy. Ten człowiek był tak pewny siebie i sytuacji, że nie wysłał nikogo na zwiady. Kiedy na górę wjechał ostatni z Mogollonów, czoło oddziału docierało już do połowy długości kanionu. Trzeba było pozwolić im jechać jeszcze przez dwie minuty, następnie dopiero się ukazać. Niestety, wódz Nijorów był zbyt niecierpliwy, aby czekać. Leżąc za wielkimi głazem, wycelował w wodza Mogollonów i wypalił ze strzelby. Chybiła Natychmiast ze swojego ukrycia poderwali się jego ludzie, wzniesli wojenny okrzyk i wystrzelili — z tym samym skutkiem, co Szybka Strzała, gdyż odległość między nimi a wrogami była zbyt wielka. Winnetou przewidując, że Nijorowie mogą pójść za złym przykładem; zawołał donośnym głosem:

— Nie strzelać jeszcze! Pozostańcie w lesie!

Nie zależało mu już na tym, aby zapobiec przedwczesnemu atakowi, lecz aby uchronić wojowników przed zbyt wczesnym przelewem krwi. To było nasze podstawowe żądanie, na które wódz Nijorów wyraził zgodę, ale nie dotrzymał obietnicy. Jego stu pięćdziesięciu Nijorów ukazało się już między drzewami na skraju lasu i wyjąc strzelało do Mogollonów.

Silny Wicher przerażony niespodziewanym atakiem zatrzymał konia. Zobaczył, że wzniesienie przed nim obsadzone jest wrogami, z lewej strony również się od nich roiło, a odwrót zamykał głęboki kanion. Zawrócił więc natychmiast wierzchowca, uniósł się wysoko w siodle, podniósł rękę i zawołał do swoich ludzi:

— Wracać, wracać! Jesteśmy zamknięci. Prędej! Z powrotem wzdłuż wąwozu!

Winnetou i ja na jego miejscu na pewno działalibyśmy inaczej. Mogollona zaś tak niespodziewany napad na tym terenie pozbawił orientacji. Skoczył z powrotem, a wojownicy za nim. Jedni następowali na drugich, powstało ogromne zamieszanie wśród kłębiącego się coraz bardziej tłumu, z którego każdy chciał jak najszybciej przebić się do wylotu wąwozu.

Nijorowie z lasu zasypywali ich gradem kul. Dlatego też Apacz, nie chcąc dopuścić do niepotrzebnych ofiar, wyskoczył z lasu i krzyknął:

— Nie strzelać, nie strzelać! Winnetou zakazuje!

Na szczęście, widok jego osoby bardziej podziałał na Nijorów niż poprzednie słowa. Zaprzestano strzelaniny, lecz nie sposób było zapobiec skutkom przedwczesnego ataku, gdyż Mogollonowie dopadli już do wylotu wąwozu. Jednak tu ich ucieczka została nagle zatrzymana.

Kiedy ze swymi Nijorami przybyłem na skraj lasu, zatrzymałem się na kilka minut i nadśluchiwałem. Z góry nie dochodził do nas żaden odgłos. Na mój rozkaz jeźdźcy ruszyli z karocą do wąwozu, a za nimi pozostali wojownicy. Rozstrzygnięcie było już bliskie. Jedynym problemem dla nas stała się teraz droga na górę.

Obie ściany wąwozu składały się z łupkowego kamienia. Miejscami tak bardzo zbliżały się do siebie, że równocześnie mogły przepuścić tylko dwóch jeźdźców. Były to jednak miejsca najwęższe, zatem powóz powinien się od biedy tędy przepchnąć. Lecz za to droga najeżona była innymi trudnościami, mianowicie mnóstwem rozsianych po niej kamieni, nieraz tak wielkich, że koła dyliżansu omal nie pękały. Trzeba było umiejętnie omijać leżące głazy. Jechaliśmy mimo wszystko szybko pod górę i przebyliśmy, jak później stwierdziłem, połowę drogi, gdy nagle rozległy się strzały.

— Czyście słyszeli? Strzelają już! — zawołałem do swych towarzyszy. — Rozpoczęto walkę, nie czekając na nas. Popędźcie konie! Trzeba teraz jechać galopem!

Spięli wierzchowce ostrogami, ja zaś zaciąłem zaprząg biczem; konie rwąc z kopyta, pomknęły szybko przed siebie. Zrezygnowałem już z ostrożnego powożenia i wymijania kamieni na drodze. Stara karetka przechylała się niebezpiecznie to na lewo, to znów na prawo, podskakiwała jak piłka, trzeszcząc niemiłosiernie. Trzymałem się mocno lewą ręką wysokiego siedzenia, z wysiłkiem utrzymując jako taką równowagę. W tej też ręce ściskałem cugle, podczas gdy prawą trzaskałem z biczem.

Wreszcie rozległ się przed nami wielogłosy krzyk. Zobaczyłem cisnący się do wylotu wąwozu tłum jeźdźców. Byli to cofający się w popłochu Mogollonowie.

— Dalej, dalej! — krzyknąłem do Nijorów na przedzie. — Nie stawać! Jedźcie, jedźcie prosto w sam środek tego tłumu!

Moi dzielni Indianie posłusznie wykonali rozkaz. Głośno wrzeszcząc popędzali konie, które pierwszy raz ciągnęły powóz. Poprzednio, na lepszej drodze, były posłuszne, teraz jednak słysząc za sobą ciągłe trzeszczenie starego wehikułu, otrzymując cięgi batem i klucia ostrogami, przerażone nasilającym się hałasem, poniosły nie zatrzymując się przed żadną przeszkodą. Chwilę później nastąpiło zderzenie z kłębiącym się tłumem Mogollonów.

Byłem ciekaw, kto przechyli szalę, my, którzy nadciągaliśmy z dołu, czy też nasi wrogowie, którzy pędzili z Hory, a zatem mieli większy rozpęd. Zderzywszy się z przeciwnikami, gwałtownie stanęliśmy.

— Naprzód, naprzód! — wołałem. Walcie kolbami na prawo i lewo.

Mogollonom wystarczyłoby tylko zastrzelić nasze przednie konie. Na szczęście o tym nie pomyśleli. Mieli na karku wrogów, a przed sobą własny powóz z obcymi jeźdźcami i białym woźnicą, który miotał się jak szalony. Stracili kilka cennych sekund. Moich sześciu Nijorów usłuchało rozkazu; natychmiast zerwali broń z ramion i okładali kolbami wszystko, co im się nawinęło pod rękę. Spienione rumaki zerwały się z miejsca. Smagałem z całej siły konie zaprzęgowe, aż wreszcie karoca ruszyła i potoczyła się naprzód. Mogollonowie zwrócili się w przeciwną stronę i głośno krzycząc wycofywali się z powrotem. Pędziliśmy przed siebie, nie pozostawiając wrogom żadnej przestrzeni. A więc zwyciężyliśmy! Żywy taran spełnił swoje zadanie. Za powozem jechali moi Nijorowie. Krzyczeli, darli się na całe gardło. Nie dziwiłbym się, gdyby wrogów spłoszył jedynie sam nasz widok.

Powóz dotarł do ujścia wąwozu, na płaskowzgórzu. Jeden rzut oka wyjaśnił mi sytuację. Z lewej strony czaił się oddział, którym dowodził Winnetou, trzymający swą srebrną strzelbę w rękę. Z prawej strony stał na skale drugi oddział Nijorów. Tuż przede mną stłoczeni wrogowie patrzyli z przerażeniem na powóz. Trzeba było natychmiast wykorzystać zaistniały wśród nich panikę.

— Stój! Zatrzymajcie się tutaj i nie przepuszczajcie nikogo! — zawołałem, zwracając się do wojowników poza mną. Po czym krzyknąłem do tych na przedzie: — Jedźcie dalej, prosto na nich!

Pomknęliśmy naprzód. Wdarliśmy się w gęstą ciżbę i rozdzieliliśmy ją, torując sobie drogę. Liczyłem wprawdzie na zaskoczenie Indian, ale nie przypuszczałem, że zupełnie zapomną o broni parnej. Odstępowali przed nami na prawo i lewo, krzycząc przy tym i wyjąc. Przepuścili powóz nie usiłując go nawet zatrzymać. Scena ta rozgrywała się w pobliżu kanionu. Jakże łatwo mogły nas ponieść przerażone konie prosto w przepaść! Lecz moi pomocnicy byli tak dobrymi jeźdźcami, że jeszcze teraz potrafili utrzymać konie na wodzy.

Przepychaliśmy się przez gromadę Indian, która za nami znów się zawierała. Nie zwracałem uwagi na nieprzyjaciół, zajęty wyłącznie końmi. Lecz oto zatrzymał się tuż koło nas jeden z Mogollonów, prawie ostatni z uciekających, i wlepił we mnie szeroko otwarte oczy. Siedział nieruchomo na koniu, bez najmniejszego poruszenia, jak gdyby był sparaliżowany. Znałem go, widziałem go już, kiedy siedząc w wodzie obserwowałem Mogollonów, obradujących w Jasnej Skale. Był to Silny Wicher, wódz nieprzyjaznego nam plemienia.

— Jedźcie na lewo poprzez równinę i zatrzymajcie się przy skale! — zawołałem do Nijorów.

Prawą ręką przerzuciłem cugle przez żelazny hak, lewą chwyciłem sztucer i zeskoczyłem z kozła w chwili, gdy powóz skręcał na lewo. Spadłem nie tylko na nogi, ale także i na rękę. Szybko się zerwałem i błyskawicznym susem znalazłem się przy wodzu, pochwyciłem cugle jego rumaka i spiąłem go w miejscu. Gwałtowny ruch konia i oto siedziałem na nim tuż za wodzem. Pomknęliśmy za powozem ku lewej stronie Łysiny Kanionu.

Silny Wicher nie mógł spodziewać się takiego napadu, ale okazał dużą przytomność umysłu. Chwycił nóż — jedyną broń, jaką posiadał przy sobie, gdyż strzelba wypadła mu poprzednio z rąk na ziemię. Usiłował trafić mnie ostrzem, ale na próżno. Aby uwolnić rękę, przerzuciłem broń przez ramię i wczepiłem się palcami w szyję Indianina tak, że ręka z nożem opadła, po czym obie jego ręce zwiły bezsilnie. Zabrakło mu tchu i siły.

Od owej chwili, kiedy wpadłem na Łysinę Kanionu, upłynęła dopiero jedna minuta. Trudno uwierzyć, co może się wydarzyć w ciągu kilkudziesięciu sekund w podobnych sytuacjach. Za mną Mogollonowie wyli z wściekłości, że porwano na ich oczach wodza, z lasu i ze skały wrzeszczeli i zachwyty Nijorowie — a ja... ja bynajmniej nie byłem zachwycony! Musiałem trzymać wodza za szyję, moja strzelba źle wisiała, tłukła mnie po plecach, a koń robił, co chciał, ponieważ wódz wypuścił z rąk cugle. Rwał to na prawo, to na lewo, wierzgał, chciał nas z siebie zrzucić. Siedziałem tak, że nie mogłem dosięgnąć nogami strzemion. To była prawdziwa woltyżerka, ale o wiele trudniejsza i niebezpieczniejsza niż w cyrku. Nie było innego wyjścia — musiałem wodza wysadzić z siodła. Liczyłem na to, że nie złamię sobie karku. On sam również nie trzymał nóg w strzemionach. Przeciągnąłem więc go na bok, usiłując z niemałym wysiłkiem przełożyć mu drugą nogę na tę samą stronę i zepchnąć z konia, nie narażając go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Próba ta jednak nie powiodła się. Silny Wicher leżał omdlały na moim prawym ramieniu. Kiedy się przechyliłem, aby wolną ręką podnieść jego lewą nogę, koń, spłoszony jeszcze bardziej tym nowym ruchem, skoczył raptownie w bok i obaj zlecieliśmy na bardzo twardą w tym miejscu ziemię.

Przez parę chwil leżałem równie nieruchomo jak i mój wróg. W głowie huczało mi, jak co najmniej w dwudziestu ulach, a w oczach zobaczyłem tyle gwiazd, ile można naliczyć ich ciągu kilku lat.

Usłyszałem wystrzały. Obejrzałem się i ujrzałem za sobą gromadę Mogollonów, którzy mknęli ku mnie, aby odbić wodza. To Nijorowie strzelali do nich. Gdyby wrogowie dopadli mnie, byłbym zgubiony. Byli już tak blisko, że dzieliło nas od siebie zaledwie kilka metrów. W tej chwili doświadczyłem po raz wtóry, co znaczy siła woli. Zerwałem się momentalnie, nie czując już ani bólu, ani też szumu w głowie. W pobliżu leżał mój sztucer, na szczęście cały. Podniosłem go, przyłożyłem i wycelowałem w najbliższych Indian. Padły cztery strzały, a cztery kule utkwily w piersiach czterech koni, które runęły na ziemię. Wysadzeni z siodeł jeźdźcy podnieśli się natychmiast i czym prędzej zaczęli umykać przed gradem kul, padających z lewej i prawej strony, ale nie tak celnych, jak moje. Ledwo uciekli, znów poczułem ból. W głowie brzęczało mi jak poprzednio i przed oczami ponownie zaczęły mi latać mroczki. Teraz wódz Nijorów wpadł na dobrą myśl i wysłał mi na pomoc oddział swoich wojowników. Mógł wesprzeć mnie szybciej i lepiej od Winnetou, ponieważ znajdowałem się bliżej skały niż lasu. Nijorowie schwyтали wierzchowca wodza Mogollonów, jego samego zaś spętali i wzięli na plecy. Ja tymczasem, wsparty na dwóch wojownikach, powlokłem się wyżynie.

Stwierdziłem, że niczego sobie nie zламаłem, ale za to nabiłem mnóstwo guzów i sińców. Byłem dotkliwie potłuczony, a wiadomo, że sprawa to większy ból, niż złamanie kości. Na wyżynie ułożono wodza na ziemi, a ja usiadłem przy nim. Był dla nas tak ważną zdobyczą, że sam chciałem go strzec, ponieważ nie mogłem już brać zbrojnego udziału w dalszej walce..

Mroczki przed oczyma i brzęczenie w uszach świadczyły o tym, że krew napłynęła mi do głowy. Przydałyby się zimne okłady. Chyba nietrudno byłoby o nie, ponieważ w pobliżu wznosił się las, a gdzie jest las, tam zwykle znajduje się woda. Jednakże zrezygnowałem z okładów, bo wstydzilem się przed Indianami...

Nie mogłem dojrzeć, co dzieje się na polu walki. Słyszałem, że ktoś tam głośno przemawia, ale hałas w uszach zagłuszał wszelkie głosy. Wreszcie podszedł do mnie wódz Nijorów, aby zapytać, jak się czuję.

— Runąłem z konia, ale niczego sobie nie zламаłem — odparłem krótko. — Kto tam przemawia?

— Winnetou.

— Do kogo?

— Do wrogów.

— Co mówi wódz Apaczów do wrogów?

— Żeby poddali się bez stawiania oporu.

— Czy mogą postanowić cokolwiek bez swego wodza?

— Czemu nie? Gdyby nawet nie chcieli — muszą. Silny Wicher jest naszym jeńcem, a zatem nie może nic im radzić. Tak, jest naszym jeńcem, a to dzięki twojej odwadze.

— Nie była to odwaga, lecz szybkie i zdecydowane działanie. Wyciągnąłem jedynie korzyść z popłochu, który ogarnął Mogollonów. I jeśli nawet groziło mi niebezpieczeństwo, to w każdym razie niewielkie.

— Przecież mogli strzelać!

— Ale nie strzelali. Kto jednak pierwszy dał ognia, zanim przybyłem na miejsce? Czy Mogollonowie?

— Nie — odrzekł zakłopotany. — To my strzelaliśmy. Sądziłem, że mamy już wrogów w ręku.

— Zamiast iść za pierwszym porywem, powinieneś być ściśle przestrzegać naszego planu. Gdybym nie dotarł jeszcze do wąwozu, Mogollonowie zdołaliby się wymknąć. Ale dosyć już o tym! Przekazałem ci jeńca. Czy dobrze kazałeś go strzec?

— Tak. Sprowadziłem go z sobą i zostawiłem wraz z końmi po drugiej stronie tej ścieżki.
— Dlaczego go tutaj sprowadziłeś?
— Sądziłem, że zechcesz go zobaczyć, a poza tym jego obecność pewniejsza jest przy wojownikach, niż w wiosce przy starcach i kobietach.
— Słusznie. A młody biały?
— Jest tu także. Nie chciał oddalać się od jeńca. Czy moi bracia mają ich przyprowadzić?
— Później, jeszcze nie teraz. Czy to nie Winnetou zbliża się do nas z dwoma wojownikami? — zapytałem wodza.
— Tak.

A zatem odzyskałem wzrok. Głowa nie ciążyła już tak bardzo. Ale z wodzem Mogollonów było krucho. Leżał z zamkniętymi oczyma. W ten stan wtrąciło go nie tylko działanie moich palców, lecz przede wszystkim upadek z konia.

Obaj Indianie, którzy towarzyszyli Apaczowi, byli członkami rady starszych Mogollonów. Zatrzymali się w pewnej odległości z szacunkiem i powagą. Winnetou podszedł do nas. Z początku zwrócił się do Szybkiej Strzały i rzekł surowym tonem:

— Kto rozpoczął strzelaninę?
— Ja. Sądziłem, że jest na to właściwa pora — przyznał z niepewną miną Indianin.
— Przecież umówiliśmy się, że ja pierwszy strzelam, o ile to uznam za niezbędne. Jesteś wodzem, powinieneś więc bardziej niż kto inny przestrzegać naszej umowy. Czy wiesz, ilu zginęło wrogów?

— Nie.
— Ośmiu poległo, sporo zaś jest rannych. Można było tego uniknąć — mówił z naganą w głosie Winnetou.

— Zasłużyli na swój los! — bronił się Nijora. — Gdyby im się poszczęściło, na pewno nie oszczędzaliby moich wojowników.

— To prawda, powinieneś być jednak dotrzymać przyrzeczenia — rzekł już nieco łagodniej Apacz. — Winnetou nigdy jeszcze nie złamał danego słowa.

Teraz zwrócił się do mnie:

— Mój brat dokonał bohaterskich czynów. Będą o tym opowiadać przy każdym indiańskim ognisku. Jak memu bratu powiodło się w Cienistym Źródle?

— Wspaniale. Schwytailiśmy eskortę powozu i zostawiliśmy pod dobrą strażą.

— A jakże się czuje mój brat? Upadek z konia był dotkliwy. Czy wyszedłeś bez szwanku?

— Tak. Zamoczyło mnie tylko.

— Oszczędzaj się, przyjacielu! Nawet błahe skaleczenie może wywołać tragiczne w skutkach następstwa. Dokonałeś już więcej niż trzeba. Resztę niechaj czynią inni.

— Czuję się już prawie tak dobrze, jak przed wypadkiem. Przyprowadziłeś dwóch wojowników Mogollonów. Prawdopodobnie więc odbędzie się narada?

— Tak. Chcą się rozmówić ze swoim wodzem.

— Leży tu obok. Nie poruszył się jeszcze. Mam nadzieję, że nie złamał sobie karku.

— Zbadam go — rzekł Winnetou, nachylił się nad omdlałym, a po chwili oznajmił nam: — Rozbił sobie głowę o kamień, nic ponadto. Ocknie się niebawem. Musimy poczekać.

— Ja zaś tymczasem wrócę do wąwozu, do swych Nijorów. Muszę wysłać gońca do Emery'ego — oznajmiłem zebranym.

— Aby go zawiadomić o zwycięstwie?

— Tak. Powinien przybyć tu wraz z wszystkimi wojownikami i jeńcami.

— Słusznie, gdyż mógłby się później spotkać z wracającymi Mogollonami.

Podniosłem się. Winnetou powiedział, że Emery mógłby się później spotkać z powracającymi Mogollonami. Miałem o jeden dowód więcej, jak zgodne były nasze myśli. Ze słów tych bowiem wynikało, że nie chciał Mogollonów oddać jako jeńców w ręce Nijorów.

Pierwsze kroki sprawiły mi ból. Zniosłem go cierpliwie. Zmusiłem się do kroczenia z podniesioną głową poprzez Łysinę Kanionu ku wylotowi wąwozu. Skoro się zbliżyłem do lasu, Nijorowie zaczęli przywoływać mnie ku sobie. Z lewej strony w pobliżu brzegu kanionu przykucnęli w trzech długich rzędach wojownicy Mogollonów. Każdy z wrogów trzymał w ręku cugle stojącego za nim wierzchowca. Kiedy ich mijałem, utkwili we mnie badawcze spojrzenia. Dyskutowali z ożywieniem; widać było, że upadek z konia nie nadszarpnął w ich oczach mego honoru.

Wysławszy jednego ze swoich Nijorów po Emery'ego, wróciłem do Winnetou. Obaj Mogollonowie, którzy przybyli wraz z Apaczem, siedzieli teraz w tym samym miejscu, na którym poprzednio stali. Winnetou usadowił się przy ich wodzu, mnie wskazał miejsce po drugiej stronie, Szybka Strzała przykucnął natomiast po indiańsku naprzeciwko nas.

Po pewnym czasie zauważyliśmy u wodza Mogollonów pierwsze oznaki wracającego życia. Usiłował poruszyć to ręką, to nogą, ale na próżno, był bowiem spętany. Wreszcie otworzył oczy. Pierwsze jego spojrzenie padło na mnie. Oglądał mnie przez chwilę, po czym zapytał:

— Biała twarz? Kim jesteś?

— Nazywają mnie Old Shatterhandem — odparłem.

— Old Shatterhand! — powtórzył z widocznym przestraczeniem i znów przymknął powieki. Zdawał się zastanawiać i z trudem zbierać rozpieczętowane myśli. Świadczyła o tym mimika jego twarzy. Wreszcie otworzył oczy i rzekł:

— Jestem spętany. Kto kazał mnie związać?

— Ja.

Jego spojrzenie miało teraz żywszy blask. Odzyskał pamięć i przytomność umysłu. Świdrując mnie wzrokiem, powiedział:

— Przypominam sobie... Przybyłeś powozem, skoczyłeś na ziemię, a potem na mego konia. Co się dalej stało — nie wiem, albowiem pochwyciłeś mnie za gardło, aby zadusić.

— Jesteś w błędzie — odezwałem się. — Nie chciałem cię dusić ani zabijać, tylko chwilowo unieszkodliwić. I to mi się właśnie udało.

— Tak, to ci się udało! Biały skacze na mego wierzchowca, pędzi ze mną, ogłusza mnie i bierze w niewolę. Tomahawkami rozplątałbym głowę każdemu śmiałkowi, który by się ważył powiedzieć, że coś podobnego może się wydarzyć. To hańba dla mnie! — powiedział z goryczą.

— Nie, to wcale nie jest hańbą zostać pokonanym przez Winnetou lub też Old Shatterhanda.

— Jak to? Wszak odbierzesz mi leki!

— Nie. Możesz je zachować.

— A mój skalp?! — zawołał podnieconym głosem.

— Skalpu także nie zedrę. Czy słyszałeś kiedy, aby któryś z obu wojowników, których wymieniłem, oskalpował swego wroga?

— Nie — przyznał po chwili.

— A zatem zachowasz zarówno skalp, jak i leki. Czy wciąż jeszcze sądzisz, że nie możesz pokazać się na oczy swoim ludziom?

— Już nie. Wiem teraz, że nie okryłem się hańbą. Old Shatterhand zwycięża wodzów, których nikt przedtem nie pokonał, lecz klęska przez niego zadana nie pozbawia ich sławy. Powiedz mi jednak, jak to się stało? Czy nie byłeś w pueblu Jumów?

— Byłem tam wraz z Winnetou.

— Dokąd pojechaliście potem?

— Do Wężowej Góry, a stamtąd do Łysin Kanionu.

Oczywiście nie dodałem nic więcej. Spoglądał na mnie zamyślonym, chytrym spojrzeniem, i wreszcie zapytał:

— Czy nie napadł na ciebie w drodze pewien biały?

— Tak

— Skąd miałeś powóz?

— Ten powóz należy teraz do mnie — odpowiedziałem wymijająco.

— Uff! Nikt jeszcze nie słyszał, aby Old Shatterhand i Winnetou jechali dyliżansem!

Gdzież jest Winnetou?

— Tu, przy tobie.

Leżał zwrócony do mnie bokiem, tak że nie mógł zobaczyć Apacza. Teraz odwrócił się i rzekł:

— Znakomity wódz Apaczów oszczędzał moich ludzi, zabronił do nich strzelać. Ilu macie tutaj wojowników Nijorów?

Ubiegłem Winnetou:

— Tylu, że nie zdołacie się im wymknąć.

— Dlaczego okrążyli Łysinę Kanionu? — pytał dalej.

— Aby was schwytać.

— Ale skąd wiedzieli, że my tu dzisiaj nadciągniemy? — zdziwił się.

— Ja ich zawiadomiłem.

— Ty? — zdumiał się ponownie. — Od kogo się tego dowiedziałeś?

— Od ciebie samego. Przysłuchiwałem się w Jasnej Skale waszej naradzie.

— Uff! W Jasnej Skale? Narada odbyła się przecież w samym środku obozu!

— Wiem, gdyż byłem tam. Mówiliście tak głośno, że słyszałem dobrze każde słowo.

Płynąłem z nurtem rzeki i przybiłem do brzegu nie opodal waszych namiotów. Dowiedziałem się czego chciałem i wydostałem się z obozu nie zauważony przez nikogo. Ponieważ Nijorowie są moimi przyjaciółmi, ty zaś chciałeś nas pojmać, przeto czym prędzej zawiadomiłem ich i poleciłem, aby oczekiwali was tutaj, na Łysinie Kanionu.

— A więc to tobie zawdzięczamy naszą klęskę?

— Tak.

Długie i osobliwe spojrzenie wodza spoczęło na mnie, ale nie dostrzegłem w nim nienawiści ani mściwości, ani też innych podobnych uczuć.

— Czy widziałeś wszystkich tych, którzy brali udział w naradzie?

— Tak. Był tam również biały mąż, który nazywa się Melton.

— Ten właśnie człowiek powiedział nam, że jesteś naszym wrogiem.

— Oszukał was. Old Shatterhand jest przyjacielem wszystkich Indian.

— Czy wiesz, gdzie obecnie przebywa Melton?

— Pojechał naprzeciw białej squaw, z którą mieszkał w jej pueblu.

Ta dyplomatyczna odpowiedź zadowoliła go w zupełności. Sądził, że nie spotkaliśmy Meltona i jego pięćdziesięciu wojowników. A więc miał jeszcze jakąś nadzieję na ratunek. Zapytał:

— Czy byłeś w Cienistym Źródle?

— Tak, wieczorem po waszej naradzie, kiedy podążałem do Nijorów.

Po długim namyśle podjął:

— A dlaczego siedzą tu dwaj starzy wojownicy mego szczepu?

— Przyszli naradzić się nad warunkami uwolnienia swego wodza.

— Jakie to warunki?

Dotychczas nie raczył nawet spojrzeć na siedzącego naprzeciw niego wodza Nijorów, który teraz odezwał się:

— Musisz się mnie zapytać.

Nie zaszczyciwszy go w dalszym ciągu spojrzeniem, odparł butnie:

— Rozmawiam z Old Shatterhandem, z nikim innym. A zatem jakie to są warunki?

— Właściwie mówiąc — rzekłem — powinniście stracić życie, skalpy, leki, konie, broń i wszystko, co tylko posiadacie, lecz my, to znaczy Winnetou i ja, nakłoniliśmy wodza Nijorów do łagodnego wobec was postępowania.

— Dlaczego jego?

— Ponieważ jest zwycięzcą.

— Nie — zaprotestował. — Tylko wy, Old Shatterhand i Winnetou pokonaliście nas i tylko wy możecie nam stawiać warunki! Jestem gotów ich wysłuchać.

Czekał na moją odpowiedź. Spojrzałem na Winnetou, który po chwili przemówił:

— Zgodzę się na to wszystko, a mój brat powie.

Teraz więc mogłem odpowiedzieć Silnemu Wichrowi.

— Wyruszyliście, aby napaść na Nijorów. Wiem, że jesteś nie tyle odważnym, ale także prawdomównym wojownikiem i wodzem, i że nikogo się nie lękasz. Dlatego sądzę że nie przemilczysz prawdy!

— Nie — odparł dumnie.

— Co byście zrobili, gdybyście pokonali Nijorów?

— Zabilibyśmy ich, zabrali ich żony i dziewice oraz całe mienie.

— Mówisz prawdę. Prawo Zachodu brzmi: „oko za oko, ząb za ząb”. Teraz jednak zwyciężyli wasi wrogowie. Czego się po nich spodziewacie?

— Tego samego.

— I tak by się stało, gdyby Winnetou i mnie tutaj nie było. Poparliśmy Nijorów, ale zażądaliśmy w zamian pewnych ustępstw — oświadczyłem.

— Jakich? — zapytał, rzucając na mnie bystre spojrzenie.

— Ujdziecie z życiem.

— A nasze leki?

— Zachowacie.

— Uff! A więc będziemy mogli wrócić do obozu w Jasnej Skale? — zapytał, jeszcze nie dowierając usłyszonym słowom.

— Tak — potwierdziłem.

— Zatem rozwiąż mnie. Godzę się na wszystko. Bezwzględnie odjedziemy stąd do domu.

— Stój! — zatrzymałem jego zapędy. — Nie tak prędko! Ocaliliśmy wam życie i leki, ale czy zdołamy jeszcze coś ocalić, to jest pytanie, które może rozstrzygnąć jedynie wódz Nijorów.

Szybka Strzała machnął ręką i rzekł:

— Moi bracia zauważyli, że spętany wódz Mogollonów nie chce ze mną rozmawiać, co więcej, nie spojrzał na mnie ani razu. Jakże więc mogę do niego przemówić? I jakże może spodziewać się ode mnie łagodnych warunków?

— Mówię z tobą! — rzekł szybko Mogollon. — Spójrz, patrzę na ciebie. A więc powiedz, czego żadasz!?

Nijora zastanawiał się przez chwilę, czym rzekł:

— Winnetou, słynny wódz Apaczów, i Old Shatterhand, wielki myśliwy i wojownik Zachodu, są moimi braćmi i przyjaciółmi. Serca mają łagodne i miękkie, chociaż w ramionach posiadają moc niedźwiedzią. Niechętnie patrzą na krew i równie niechętnie oglądają chmurę troski na ludzkiej twarzy. Chciałbym tak postępować jak oni, aby wywdziękzyć się im za wypalenie ze mną fajki braterstwa — to jedno. Mogollonowie chcieli na nas napaść, wybić nasze plemię co do nogi i zagrabić całe mienie. I to się im nie powiodło. Wręcz przeciwnie, sami wpadli w nasze ręce, przy czym nie straciliśmy ani kropli krwi — to drugie. Dlatego przychyliam się do słów wypowiedzianych przez mego brata Old Shatterhanda i dlatego też zażądam od Mogollonów jedynie wierzchowców i broni.

— Uff! — wykrzyknął Silny Wicher. — Na to nie możemy przystać!

— A zatem będziecie moimi jeńcami i doświadczycie takiego samego losu, jaki chcieliście nam zgotować.

— Tylko zwyciężeni wojownicy mogą być jeńcami. Czy moi ludzie są zwyciężeni?

— Tak.

— Nie! — sprzeciwił się Mogollon.

— Spójrz na dół! Oto tam siedzą. Czy nie mają broni w ręku? Będą się opierać!

— Aby co do nogi wyginać? A potem ty umrzesz przy palu męczeńskim, a wraz z tobą wszyscy ci, którzy nie padną uprzednio od naszych kul. Powiadam ci, że żaden z was nie wyniesie stąd swojego skalpu!

— Spróbuj tylko! — próbował grozić Silny Wicher. — Nie możecie nas zabić, ponieważ przyrzekliście Winnetou i Old Shatterhandowi uszanować nasze życie i leki.

Teraz ja włączyłem się do rozmowy, odzywając się poważnym głosem:

— Tak, o ile się poddadacie. W przeciwnym wypadku nie możemy was ocalić. Mogę ci tylko poradzić, abyś przystał na warunki wodza Nijorów.

— Są zbyt surowe!

— Bynajmniej, są zbyt łagodne. Ty na jego miejscu postawiłbyś zgoła inne.

— Czy mogę się zastanowić?

— Tak. Czy wystarczy ci do namysłu czas połowy drogi słonecznej?

— Tak.

— Dobrze! Obaj twoi starzy wojownicy mogą teraz podejść do ciebie i naradzić się z tobą. Lecz żądam, aby uprzednio wszyscy twoi ludzie złożyli swą broń.

— Nie złożą!

— O, złożą z pewnością! Jeśli bowiem nie zechcą, dam znak do natychmiastowego rozpoczęcia walki, która zakończy się pogromem twoich braci.

— Dopiero co udzieliłeś mi czasu do namysłu i powiedziałaś, że mogę się naradzić z obu moimi wojownikami. Broń możemy oddać tylko wówczas, kiedy upłynie ten czas i kiedy wyrazimy zgodę na wasze żądania!

— Słusznie! A jednak już teraz żądam jej od ciebie, zresztą tylko na pewien czas, ponieważ chcę mieć pewność, że twoi wojownicy nie chwycą za broń przed upływem wyznaczonego terminu.

— Czy następnie dostaną broń z powrotem? — upewniał się Silny Wicher.

— Naturalnie, dostaną, gdy tylko upłynie dany wam termin. Po czym dasz mi odpowiedź.

W tej chwili odezwał się jeden z jego starych wojowników:

— To chyba jakaś pułapka, wodzu! Będziemy zgubieni, jeśli w nią wpadniesz.

— Milcz! — strofował go wódz. — Czy słyszałeś, aby Old Shatterhand złamał kiedyś słowo albo też Winnetou kiedykolwiek skłamał? Jeśli przyrzekną obaj, przyjmę ich obietnicę jak zaklęcie wielkiego Manitu!

I zwróciwszy się do mnie, dodał spokojnie:

— A zatem obawiasz się zamieszek i dlatego tylko żądasz naszej broni?

— Tak.

— I odzyskamy ją, zanim jeszcze dam ci odpowiedź?

— Przyrzekam to.

— Czy Winnetou też mi przyrzeknie?

— Ja także daję ci słowo — rzekł Apacz.

Po tych zapewnieniach Silny Wicher zwrócił się do swoich Indian:

— Słowa obu wielkich wojowników są niczym dwie przysięgi. Wróćcie do naszych braci. Zażądajcie od nich broni i każcie ją złożyć pośrodku płaskowzgórza. Wojownicy Nijorów mogą jej strzec. Tak rozkazałem! Potem wracajcie do mnie na naradę!

Podnieśli się i odeszli. Rozpatrując warunek złożenia broni, Mogollon i ja mieliśmy całkiem odmienne intencje.

Oczekiwałem Emery'ego wraz z jeńcami. Bałem się, że gdy nadjedzie i wojownicy Mogollonów zobaczą swoich spętanych braci, mogą chwycić za broń, aby ich odbić. To właśnie było zasadniczym powodem mojego żądania.

A on, wódz Mogollonów? Liczył na Jonatana Meltona z jego pięćdziesięcioma wojownikami oraz na dziesięciu tych, którzy zostali wraz z adwokatem i śpiewaczką. Tych sześćdziesięciu, do których zapewne przyłączyli się Jumowie, mogłoby już coś zdziałać. Zgodził się więc na moje żądanie, aby uspić naszą czujność.

Mogollonowie usłuchali rozkazu swego wodza. Wysłaliśmy do nich kilku Nijorów, którym bezzwłocznie oddali wszystkie swe strzelby, oszczepy, noże i tomahawki. Złożono je razem pośrodku Łysiny Kanion po czym na mój rozkaz ustawiono dookoła tego stosu dwudziestu dobrze uzbrojonych Nijorów. Po pewnym czasie obaj starcy wrócili do swego wodza. Usiedli przy nim. Nie zamierzaliśmy utrudniać im narady swoją obecnością. Postawiliśmy przy nich tylko dwóch strażników w celu doglądania więzów pojmanego, ale w takiej odległości, żeby nie mogli słyszeć rozmowy Mogollonów. Gdyby nawet nie wywiązali się z zadania i wódz zostałby uwolniony, to i tak nie mógłby się stąd wydostać, gdyż wszystkie przejścia dookoła były obsadzone naszymi ludźmi. Miałem więc tyle czasu, że mogłem wraz z wodzem Nijorów pójść na drugą stronę wyżyny do Franciszka Vogla. Winnetou zaś został na Łysinie Kanionu, aby pilnować porządku. Żaden człowiek nie nadawał się do tej czynności tak jak on, gdyż żaden nie posiadał tak czujnych i wyćwiczonych zmysłów.

Ani jedna droga nie prowadziła na górę. Musieliśmy wspinać się tam z kamienia na kamień, przy czym każdy krok sprawiał mi dotkliwy ból. Doszedłem do przekonania, że nieprędko pozbędę się bolesnych następstw upadku z konia.

Z tamtej strony wyżyny, u której stóp wznosił się wielokrotnie już wspomniany las, rozciągała się preria zarośnięta gęstą trawą. Tam płynęła woda, której istnienia domyślałem się poprzednio. Konie Nijorów skubały trawę pod nadzorem kilku młodych wojowników. Opodal, przymocowany do wbitych w ziemię kołków, leżał jeńiec — Tomasz Melton, a przy nim siedział Franciszek Vogel, nasz skrzypek, a zarazem najpilniejszy, najpewniejszy strażnik starego wróbla. Franciszek, ujrawszy mnie, zerwał się na równe nogi, skoczył ku mnie i zawołał uradowany:

— Nareszcie pana widzę! Ile się strachu najadłem! Jakże łatwo coś nieprzewidzianego mogło pana zatrzymać, a nawet spowodować nieszczęście!

— W takim razie istotnie byłbym zwolniony ze słowa. Ale nic mi się nie przytrafiło i oto widzi mnie pan przed sobą.

— Ku mojej wielkiej radości! Teraz niech mi pan opowie o wszystkim! Słyszałem strzelaninę. Potem ucichło. Zrobiło mi się nieswojo. Wszak walka z tak licznym wrogiem powinna trwać nieco dłużej!?

— Odpowiednie przygotowani mogą ją skrócić. Tymczasem jednak mamy zawieszenie broni.

— Na jak długo?

— Jeszcze na cztery godziny. Mogę teraz oznajmić panu bardzo pomyślne wieści.

— Jakie? — pytał niezmiernie zaciekawiony. — Niech pan powie!

— Usiądźmy! Czyż musimy stać, skoro mamy pod nogami tak bujną i soczystą trawę?

— Dobrze, siadajmy. Ale niech pan wreszcie mówi! — niecierpliwił się Franciszek. — Jakie to pomyślni: wieści chce mi pan przekazać?

— Powiem tymczasem o dwóch, aczkolwiek później będzie ich więcej. Odwiedzi pana ktoś, kto spodziewał się znaleźć pana w San Francisco — mówiąc ściślej — Fred Murphy.

— Murphy? Czy to ów adwokat z Nowego Orleanu?

— Ten sam.

— Czego on sobie życzy? — zdziwił się.

— Sam panu o tym powie. Zresztą jego podróż tutaj nie była całkiem pozbawiona sensu. Oprócz niego jeszcze ktoś złoży panu wizytę.

— Wraz z nim?

— Tak.

— Któż to taki? Przecież nikogo nie oczekuję.

— Pańska siostra.

— Co takiego?! — wykrzyknął zaskoczony. Po dłuższej zaś chwili dodał: — Jakie to dziwne, nieprawdopodobne i dziwne! Nigdy bym nie przypuszczał, aby moja siostra i ten adwokat mogli zdobyć się na taką podróż.

— Podróż? Powiedz pan raczej, jeśli chcesz być szczery, na taką bezmyślność. Żeby się wyrazić łagodniej — na dowód absolutnej nieznamośności tego niebezpiecznego kraju. Swego czasu w Albuquerque ostrzegałem pańską siostrę przed tą jazdą, kiedy, jak pan sobie zapewne przypomina, chciała koniecznie nam towarzyszyć.

— Ma pan rację, absolutną rację! Ale skoro już tu jest, nie będziemy jej chyba czynić wymówek. W jaki jednak sposób spotkała się z tym adwokatem i kiedy wpadło im na myśl szukać nas tutaj?

Opowiedziałem Voglowi to, co powinien był wiedzieć. Objął mnie na koniec serdecznie i ucałował. Krępowiała mnie nieco jego wylewność, więc przerwałem ją mówiąc:

— Trochę umiaru, drogi przyjacielu! Jeśli bowiem już teraz wypali się cały pański zachwyty, czym pan odpowie na drugą niespodziankę?

— Jaka by ona nie była, nie może mnie chyba ucieszyć tak bardzo, jak wiadomość, że uwolnił pan moją siostrę z rąk Mogollonów.

— Och, nie sądz tak pochopnie, przyjacielu! Z całym przekonaniem twierdzę, że raczej ta druga niespodzianka bardziej pana uraduje niż pierwsza. Nie wiedział pan przecież, że siostra wpadła w ręce Indian.

— Istotnie. A zatem niech już pan nie chowa dłużej przede mną tej wiadomości i wyciągnie ją czym prędzej na wierzch!

— Czy sądzi pan, że to takie proste?

— Nie... tak... właściwie to takie odniosłem wrażenie — powiedział niepewnie Franciszek.

— Które przypadkowo trafiło w sedno. Bowiem mam ją istotnie w kieszeni.

— A więc proszę, niech pan ją pokaże!

— Otóż i ona! — rzekłem, wyciągając pugilares Jonatana Meltona.

— Portfel? — zapytał nieco rozczarowany.

— Niechże go pan otworzy! — odparłem.

Trzeba było widzieć jego minę! Jakże szeroko rozwarł oczy, kiedy na pierwszej skórzanej kopercie wewnątrz portfela przeczytał napis i zobaczył leżące wewnątrz banknoty. Jego twarz była odzwierciedleniem wszystkich myśli i pragnień, którymi żył do tej pory. Otwierał jedną kopertę za drugą, a oczy jego stawały się coraz większe i okrągłejsze.

W pewnym momencie wypuścił pugilares z ręki i zaczął cicho płakać.

Milczałem. Powkładałem do środka koperty, które wypadły, zamknąłem portfel i położyłem go przy Franciszku. Czekałem, aż coraz cichsze łkanie ustanie zupełnie. Po chwili uspokoił się na tyle, że zapytał:

— Czy to... to... od Jonatana Meltona?

— Tak — odpowiedziałem i w krótkich słowach wyjaśniłem mu okoliczności tej sprawy.

— A czy to naprawdę spadek po starym Hunterze? — zapytał niepewnym głosem.

— Mogę na to przysiąc.

— I należy do mnie, a właściwie do mojej rodziny? — upewniał się Franciszek.

— Naturalnie — poświadczyłem.

— Czy mogę go schować?

— Nie, gdyż chciałbym wręczyć panu pugilares w obecności tych, którzy jego stratę muszą przeboleć.

— Dobrze. Ma pan rację. Lecz moje pytanie, czy mogę go schować, uraziło pana?

— Ani trochę. Zatrzymam portfel tylko przez krótki czas, po czym go panu zwrócę. Nie jest też dla mnie obojętne, co później z nim master zrobi, ponieważ...

— Dlaczego nieobojętne? — przerwał Franciszek. — Niech pan szczerze powie!

— Chętnie! — rzekłem. — Wie pan, jakim kosztem odzyskaliśmy te pieniądze, a właściwie nie wie pan jeszcze, przynajmniej nie wie o wszystkim. Koniec końcem, odzyskaliśmy je. Ale zapędziliśmy się na Dziki Zachód, z którym nie jest sir obeznany. Czy sądzi master, że pańska kieszeń jest najlepszym, najpewniejszym schowkiem dla tych milionów?

Jak gdyby uświadamiając sobie przebyte niebezpieczeństwa, odparł lekko przerażony:

— Nie, nie! Nie wezmę pieniędzy, jeszcze nie teraz! Proszę je zatrzymać! W pańskiej kieszeni są pewniejsze niż w mojej, o wiele pewniejsze niż w czyjejkolwiek kieszeni. Nie dowiozłbym ich do domu. Proszę je przechować, u pana będą bezpieczniejsze!

— Pańska siostra ma także coś do powiedzenia w tej sprawie. Zapytamy ją, gdy tylko przybędzie. A teraz opowiem panu szczegółowo przebieg zdarzeń, które dotychczas przedstawiłem bardzo pobieżnie.

Mogłem odłożyć relację na później, ale po pierwsze miałem sporo wolnego czasu, a po wtóre chciałem odciągnąć jego uwagę od pieniędzy. Moja opowieść uspokoiła jego rozstrojone nerwy.

W trakcie streszczania wydarzeń nie pominąłem żadnych szczegółów. Franciszek śledził przebieg wypadków z największą uwagą. Wreszcie dotarłem do chwili obecnej. Odetchnął głęboko i rzekł:

— A więc z takim trudem i z takim niebezpieczeństwem było połączone odzyskanie spadku! Muszę koniecznie podzielić się z panem tymi pieniędzmi!

— Czy aby jest sir jedynym spadkobiercą? — zapytałem, uśmiechając się lekko.

— Niestety, nie. Ale przeprowadzę swój zamiar. Dostanie pan co najmniej tyle, ile każdy ze spadkobierców.

— Nie mówmy o tym! Jeśli zechce pan później czynić ludziom dobrze, to powinien przypomnieć sobie o rodzinnej wiosce i o jej mieszkańcach, dla których parę setek dolarów stanowi ogromny majątek. A teraz chcę odwiedzić starego Meltona. Jak się zachowywał u Nijorów?

— Milczał przez cały czas.

— Czy z panem również nie rozmawiał?

— Nie, aczkolwiek nie odstępowałem go na krok. Jedynie w czasie snu jęczał, bredził i bełkotał, jak gdyby miał straszliwe bóle. Może go tak sumienie dręczy?

— Z pewnością to nie sumienie. To boli go strata pieniędzy. Nie chce tego okazywać na jawie, tym bardziej więc śni o tym po nocach. Jego wściekłość przejawia się zwłaszcza w nocy, chociaż także za dnia żre go, wysysa jak wampir. Nie współczuję mu, zasłużył bowiem na gorszy los, który go zresztą niebawem już spotka.

Podszedłem do Meltona. Nie mógł słyszeć naszej rozmowy, ponieważ siedzieliśmy w znacznej odległości od niego. Rozciągnięty na ziemi, z głową zwróconą w naszą stronę, nie mógł nas również widzieć. Skoro więc zbliżyłem się znienacka, wbił we mnie wzrok niczym w upiora, zacisnął powieki, aby zastanowić się, czy to sen czy jawa, i wreszcie pełnym wściekłości głosem wykrztusił:

— Znow ten szpieg zza oceanu, ten po tysiackroć przeklęty zbój!

— Tak, to ten szpieg — przytaknąłem. — Cieszy się pan zapewne, że jestem żywy, zdrowy i że znowu widzi mnie master przed sobą?

Szarpnął gwałtownie więzami, krzycząc:

— O, gdybym tylko był wolny! Gdybym chociaż miał wolne ręce! Zdarłbym z ciebie skórę wraz z mięsem, ty przeklęty psie! A więc nie schwytali cię Mogollonowie? Może stchórzyłeś i uciekłeś przed nimi?

— Nie, mister Melton, nie schwytali mnie, chociaż bardzo sobie tego życzyli, tym bardziej, że pański kochany Jonatan podjudził ich przeciwko mnie.

Opanował się, skupił uwagę i zapytał:

— Jonatan? Czy pan go widział?

— Być może. Nie potrafię, niestety, dokładnie powiedzieć — odpowiedziałem z nutą ironii w głosie.

— Szybko go zobaczysz! — warknął.

— Pragnę tego z całej duszy! — drwiłem nadal, lecz Melton nie zważał na mój ton.

— Nie pragnij tak, nie pragnij! Uwolni mnie i pomści. Wpadnie tu jak kula i zmiążdży was! — mówił zaciętrzewiony.

— Będę tej kuli niecierpliwie oczekiwał — roześmiałem się.

— Niech się pan nie śmieje ze mnie, niech pan nie bagatelizuje mej groźby, bo szybko się ona spełni! Jonatan przybędzie tutaj wraz z Mogollonami, którzy pokonają swych wrogów i schwytają was. A wówczas biada wam, po trzykroć biada!

— Od czasu jak widzieliśmy się po raz ostatni, stał się pan całkiem niezłym aktorem! — podsumowałem jego kwiecistą wypowiedź. — Niestety, opanował mnie właśnie taki nastrój, że nie jestem w stanie, jak pan sobie tego życzy, przejąć się pańskimi groźbami. Nie obawiamy się Mogollonów, znamy bowiem ich zamiary i po to tu właśnie jesteśmy, aby je udaremnić.

Obejrzał mnie badawczo, wykrzywił się ironicznie i zapytał:

— Znacie ich zamiary? Ach, nie do wiary! Sądzicie, że zdołacie je udaremnić? Czy nie za bardzo liczycie na swoje siły?

— Chyba nie. Wszak zna mnie pan jako tako. Zwykłem chwycić byka za rogi, a nie za ogon. Tak samo postąpimy z Mogollonami. Wiemy o wszystkim. Pański synalek przybędzie razem z nimi. Ale urządzimy tu piękną pułapkę, w którą wpadną tak łatwo, że wystarczy nam już tylko zatrzaskać za nimi drzwi. Wiem dokładnie, że za kilka godzin będę mógł pokazać panu Mogollonów wraz z Jonatanem. Zdawało się, że zabije mnie oczami, kiedy się odezwał:

— Jako waszych jeńców? Także Jonatana? Chce mnie pan doprowadzić do wściekłości, ale to się nie uda! — dokończył pogardliwie.

— Przepadł pan na zawsze, drogi panie. Czy się sir cieszy czy też smuci, ani mnie to grzeje, ani ziębi. Mówię zgodnie z prawdą. Jeśli pan jednak nie wierzy, przekonaj się już wkrótce i to naocznie.

— Do stu tysięcy piorunów, jest pan zbyt pewny siebie! Zresztą, wszystko mi jedno, czy Mogollonowie wymordują Nijorów, czy też Nijorowie pokonają Mogollonów. Obchodzą mnie inne sprawy. Jeśli będzie master rozsądny, to może ze mną ubić niezmiernie dobry interes. Chce pan?

— Czemu nie, jeśli interes jest uczciwy — odpowiedziałem z ciekawioną jego propozycją.

— Jest wyjątkowo uczciwy i rzetelny, oczywiście, o ile mnie pan nie oszuka.

— Nie jestem oszustem, mógł się pan chyba już wcześniej o tym przekonać — odparłem udając oburzenie.

— Owszem, wiem i dlatego właśnie wierzę, że Mogollonowie wpadną w zasadzkę. I na tym opieram interes, który chcę panu zaproponować.

— A więc słucham!

— Żądam od pana małej, drobnej przysługi, a przyrzekam w zamian sówitą zapłatę.

— Przyrzeka pan, ale nie dotrzyma słowa.

— Może być pan pewny, że wynagrodzę go jeszcze przed uzyskaniem z pańskiej strony jakichkolwiek korzyści.

— Takiej propozycji mogę wysłuchać. Czego więc sir żąda?
— Uwolni mnie master i zwróci pieniądze.
— Istotnie, nader drobna przysługa! A zatem żąda pan wolności oraz pieniędzy, które wyjąłem mu z butów. To doprawdy godne podziwu!
— Niech pan nie szydzi, bo nie wie, co dam jako zapłatę.
— Co może mi sir dać?
— Miliony.
— Co takiego? A gdzie są pańskie miliony?
— Powiem to panu, o ile przyrzeknie mi sir wolność i pieniądze.
— Czy naprawdę dostanę te miliony wcześniej, niż dotrzymam przyrzeczenia? — zapytałem z niedowierzaniem.
— Oczywiście, płacę z góry. Widzi master, że postępuję z panem uczciwie.
— Rzeczywiście, mister Melton, zdaje się, że niesłusznie pana potępiałem.
— No właśnie! — rzekł zadowolony. — Na szczęście, damę panu sposobność do naprawienia tego błędu.
— Wspaniale! Przy tak wielkim obopólnym zaufaniu interes nasz prędko dojdzie do skutku. Miliony, to coś znaczy! A zatem, gdzie one są?
— Niech pan przyrzeknie mi najpierw wolność — zażądał Melton.
— Chciałbym tylko wiedzieć, ile jest tych milionów?
— Dwa do trzech milionów dolarów. Nie będzie ich pan chyba tak skrupulatnie liczyć, co? A zatem: dobijamy targu? — zapytał niecierpliwie.
— Tak.
— I obiecuje mi pan, że będę wolny i odzyskam swoje pieniądze?
— Tak. Skoro tylko dzięki pańskiej pomocy czy wskazówkom dostanę te miliony, puszcze pana wolno i wypłacę żadaną kwotę.
— A wtedy będę mógł odejść, dokąd zechcę? — upewniał się.
— Oczywiście. Od chwili gdy pana uwolnię, przestanę się panem interesować — odparłem poważnie.
— W porządku! — Obwarowałem swoje żądania takimi klauzulami, że mogę być pewny.
— O tak, stanowczej. No, a teraz miliony!
— Chwileczkę! Mulimy najpierw szczerze ze sobą pomówić. Niech pan mi powie, czy istotnie jest pewny, że pokonacie Mogollonów?
— Jestem więcej niż pewny. Schwytny ich co do jednego.
— A więc również Jonatana?
— Jonatana także — przytaknąłem.
— Dobrze! To wprowadźcie mój rodzony syn, ale obszedł się ze mną jak ostatni łotr. Podzielił pieniądze starego Huntera w taki sposób, że schował prawie wszystko, mnie zaś zbył niewielką sumką. Mam prawo go zdradzić. A zatem, niech pan uważnie słucha! Jonatan nosi czarną skórzaną torbę...
— Świetnie! — przerwałem mu.
— W owej torbie znajduje się pugilares — kontynuował dalej — a w nim wspomniane miliony.
— Czy to aby pewne? — zapytałem, udając coraz większe zaniepokojenie.
— Bez wątplenia! Wiem to z całą pewnością. Czy jest pan zadowolony?
— Właściwie nie bardzo.
— Czemu to? Wszak dostanie pan ogromną fortunę! Miliony! To straszne, że muszę je panu odstąpić! — powiedział z niebywałym żalem.
— Ale mnie pan nabrał! — rzekłem. — Te pieniądze wpadłyby w moje ręce bez pańskich wskazówek. Jonatan będzie niebawem moim jeńcem, a wraz z nim dostanę i jego torbę.

— Niech i tak będzie! Ale mam nadzieję, że z powodu takiego głupstwa nie będzie się pan na mnie gniewał?

— Oczywiście, że nie! Ale ja także mam nadzieję, że pańskie informacje okażą się prawdziwe, mianowicie, że Jonatan ma jeszcze przy sobie torbę z milionami. Przecież postawiłem warunek, że uzyskam je przy pana pomocy lub dzięki pańskim wskazówkom.

— Są jak najbardziej prawdziwe — zapewniał gorliwie Melton.

— A co się wówczas stanie z pańskim synem? Być może, przypląci to życiem?

— Każdy człowiek jest kowalem własnego losu. Nie mogę mu pomóc. Dał mi za mało, oszukał mnie, własnego ojca, wyrzekam się więc go i wszystko mi jedno, co się z nim stanie. Jeśli umrze, tym lepiej dla mnie — będę miał święty spokój. Ale pan zrobi na tym najlepszy interes, o wiele lepszy niż ja! — podkreślił dobitnie.

I te słowa mówił ojciec! Wstrząsnąłem się, jak gdyby przyłożono mi lód do rozpalonego ciała. Opanowawszy się jednak, rzekłem spokojnie:

— Tak, moja zapłata jest bardzo wysoka, ale nie może mnie oszołomić, gdyż i tak jestem bogaty. Posiadam już bowiem miliony.

Mówiąc to, uderzyłem się w pierś.

— Chciałbym je zobaczyć! — odparł wątpiąc w moją prawdomówność.

— Mogę panu sprawić tę przyjemność. A zatem niech pan patrzy!

Wyjąłem z kieszeni pugilares, otworzyłem go i pokazałem mu po kolei wszystkie koperty. Jakże szybko zmienił się wyraz jego twarzy! Wydawało się, że za chwilę oczy wyjdą mu na wierzch. Podniósł głowę, na ile pozwoliły mu na to więzy, i ryknął rozjuszony:

— To... to... to jest przecież... skąd pan wziął ten portfel!? Ty przeklęty diable! Ty czarcie z piekła rodem!!

Gdy przerwał na moment, by zaczerpnąć tchu, powiedziałem spokojnie:

— Niech się pan nie unosi. Co to panu przeszkadza, że odwiedziłem namiot pańskiego syna? Ale współczuję panu. Nie może pan już dotrzymać słowa, nie może przyczynić się do zdobycia przeze mnie pieniędzy, bo mam je bez pańskiej pomocy i wskazówek. A więc nie mogę spełnić przyrzeczenia i pana uwolnić.

— Nie...? — wybełkotał w podnieceniu, drżąc na całym ciele.

— Niestety, nie. I nie odzyska sir pieniędzy.

Nie odpowiedział. Głowa opadła mu z powrotem. Policzki zapadły się głęboko, a oczy zamknęły. Sądziłem, że wpadł w omdlenie. Odwróciłem się, aby odejść, gdy nagle szarpnął sznurami, że aż kołki się powykręcały, i wrzasnął:

— Czy wiesz, kim jesteś? Diabłem w ludzkim ciele! Szatanem!

— Przesada. Twój brat był szatanem. Nazywałem go tak zawsze, od pierwszego wejrzenia. A ty jesteś Judaszem, zdrajcą. Wszystkim, którzy ci czynili dobro, odpłacałeś złem. Zabiłeś własnego brata i ograbiłeś go, a dopiero co zdradziłeś swego syna, swoje własne dziecko! Tak, jesteś Judaszem i umrzesz jak ów zdrajcy który sam się powiesił. Nie zginiesz z ręki kata, lecz ze swojej.

Odwróciłem się i podszedłem do Vogla, który stojąc w pobliżu, był świadkiem całej tej sceny.

— Okrutny, zły człowiek — stwierdził Franciszek. — Czy sądzi pan, że może jeszcze okazać skrucę? — A potem dodał. Ten człowiek mnie niepokoi. Czy mam pójść z panem?

— Nie. Zostań tu jeszcze. Młodzi Nijorowie, którzy strzegą koni, nie są zbyt doświadczeni. Mogliby popełnić jakieś głupstwo. Zresztą, po tamtą stronę jest nadal niebezpiecznie. Mamy w tej chwili zawieszenie broni, ale nie jest to jeszcze pokój. W każdym momencie może znowu dojść do walki.

— Czy uważa mnie pan za tchórza? — zasepił się skrzypek.

— Nie. Czekają pana jednak inne ważne zadania. Musi master odprowadzić siostrę do domu i zachować swoje życie dla rodziców.

Uśluchał mnie i został na miejscu. Wódz Nijorów, który mnie tutaj przyprowadził, odszedł już dawno. Wróciłem więc sam na Łysinę Kanionu. Mogłem ją ogarnąć wzrokiem z grzbietu wyżyny. Nic się nie zmieniło, Winnetou stał w pobliżu, gdzie leżała broń Mogollonów, spętany Silny Wicher leżał na dole obok swoich najstarszych wojowników, zaś Szybka Strzała wydawał właśnie rozkaz, aby przyrządzono posiłek.

Część wojowników udała się do koni, które pokładły się w trawie. Przy nich złożono zapasy mięsa.

Niebawem Indianie powrócili z żywnością i zajęli się przygotowywaniem jadła. Wszędzie dookoła, wzdłuż lasu, na wyżynie i przy stosie broni, widać było posilających się wojowników. Dostaliśmy również, Winnetou i ja, po kawałku mięsa. Były to najlepsze kąski.

Spodzielając się rychłego przybycia Emery'ego, wysłałem na jego spotkanie zwiadowcę, który miał wkrótce wrócić i uprzedzić mnie o zbliżaniu się oddziału. Musiałem przecież wiedzieć, kiedy nadciągną, aby poczynić odpowiednie przygotowania i zapobiec spodziewanym rozruchom.

Koło godziny drugiej po południu wrócił goniec i zameldował, że Emery przybędzie za dziesięć minut. Uprzedziłem Winnetou, co należy czynić. Poszedł do lasu, do wojowników Szybkiej Strzały, ja zaś zwróciłem się do wodza Nijorów:

— Dwudziestu twoich ludzi strzeże złożonej przez wrogów broni, ale nie jest to liczba wystarczająca.

— Dlaczego? — zapytał zdziwiony.

— Wkrótce przybędą tu Mogollonowie, których schwytałem nad Głębokimi Wodami oraz w Cienistym Źródle. Być może, bracia ich w porywie wściekłości pobiegną po strzelby, aby odbić jeńców. Miej więc w pogotowiu jeszcze dwudziestu wojowników. Gdy tylko dam ci ręką znak, ześlij ich na dół. Broni będzie wtedy strzegło czterdziestu mężów.

Następnie udałem się do Silnego Wichru i jego najstarszych wojowników, przysiadłem się do nich i rzekłem:

— Wkrótce upłynie czas, który ci dałem do namysłu. Czy omówiliście już ze sobą warunki pokoju? Czy doszliście do porozumienia?

— Jeszcze nie — odparł wódz.

— Spieszcie się zatem! Kiedy minie wyznaczony czas, musicie dać odpowiedź.

— Czy nie przedłużysz terminu? — zapytał Mogollon.

— Nie. To ani nam, ani też wam na nic się nie przyda.

— Opowiadają, że Old Shatterhand jest zawsze wyrozumiały.

— Dałem wam sporo czasu do namysłu — odparłem stanowczo.

— Ale nie tyle, ile nam potrzeba!

— Czasu było dość, lecz ty liczysz, że nadejdzie pomoc.

— O jakiej pomocy mówisz? — udawał zdziwienie wódz.

— O dziesięciu wojownikach, których dziś rano zostawiłeś w Cienistym Źródle.

Opanowawszy nagle przerażenie, zapytał:

— Mówisz o dziesięciu wojownikach? Czy sądzisz, że w tamtej miejscowości obozują moi ludzie?

— Tak. Zostali tam, aby pilnować dwojga jeńców, kobiety i mężczyzny. Czyż nie tak?

— Nic o tym nie wiem — odparł ponuro.

— Czy nie mówiłeś uprzednio, że usta twoje nigdy nie skalaty się kłamstwem? A teraz okłamujesz mnie bezczelnie! Ty sam obozowałeś poprzedniej nocy w Cienistym Źródle. Siedziałeś z trzema starszymi wojownikami nad wodą przy małym ognisku, ja zaś leżałem obok was i podsłuchiwałem. Następnie nadjechało dwóch zwiadowców i jeden z nich zameldował, że widział wojownika Nijorów. Czy coś się nie zgadza?

Nie odpowiadał, ciągnąłem więc dalej:

— Nijora, którego spotkali twoi zwiadowcy, był gońcem. To ja wysłałem go do Szybkiej Strzały z wieścią, że dzisiaj przybędziecie do Łysiny Kanionu. Następnie oddaliłem się i mimo że w pobliżu siedział wasz wartownik, dostałem się do powozu i uprzedziłem siedzących w nim jeńców, że ich w dniu dzisiejszym uwolnimy.

— Uff, uff! — zawołał zupełnie już przekonany moimi słowami wódz. — Tylko tobie lub Winnetou może powieść się tak zuchwały czyn. Czy dotrzymałeś słowa danego jeńcom?

— Tak. Podczas gdy ty wyruszałeś ze swoimi wojownikami, ja ze swoimi leżałem za wzgórzem nad źródłem. Kiedy już zniknęliście nam z oczu, schwytaliśmy w niewolę dziesięciu twoich Mogollonów i uwolniliśmy jeńców. Następnie zaprzęgnąwszy wóz w osiem koni, ruszyliśmy za wami.

— Dlaczego z powozem?

— To był strategiczny fortel. I całkowicie się powiodł. Ponadto przypuszczałeś, że jeszcze inni wojownicy przyłączyli się do tych dziesięciu.

— Jak to? — wykrzyknął wódz.

— Pięćdziesięciu Mogollonów, których oddałeś pod rozkazy Meltona.

— Uff, uff! — krzyknął ponownie, teraz jeszcze bardziej przerażony. — Skąd o tym wszystkim wiesz?!

— Dowiedziałem się podczas waszej narady wojennej. Mieli schwytać mnie i Winnetou.

— Ale czy wiesz, że istotnie wyruszyli?

— Tak. Widziałem ich w pobliżu Wężowej Góry. Leżałem tam nad wodą i podśuchiwałem.

— Uff! Czyżby Old Shatterhand posiadał dar niewidzialności?

— Nie. Ale skoro Indianie nie mają ani oczu, ani uszu, łatwo ich podejść. Melton zaś powiedział, że pojedzie ku Głębokim Wodom, a stamtąd podąży w ślad za tobą.

— Czy spełnił swe zamierzenie?

— Miał najszczerze chęci. Lecz kiedy przybył z pięćdziesięcioma wojownikami nad Głębokie Wody, byłem już tam z oddziałem Nijorów i wziąłem ich również do niewoli.

Spojrzał mi badawczo w oczy i zapytał:

— Ale gdzie są jeńcy, skoro ty jesteś tutaj?

— Czy do walki potrzebni są jeńcy? Zostawiłem ich w Cienistym Źródle. Gdy zrozumiałem, że spodziewasz się od nich ratunku, posłałem po nich gońca. Niebawem ujrysz ich na własne oczy. Patrz tam! — wskazałem ręką. — Oto zaraz nadciągną!

Ujrzałem, jak Winnetou wyszedł zza drzew i podniósł dłoń do góry. Na ten znak pięćdziesięciu Nijorów wyłoniło się z lasu, uklękło i skierowało lufy strzelb w rozbrojonych Mogollonów.

— Cóż to znaczy? Co ma się tu stać? — zapytał przestraszony wódz.

— Nic się nie stanie, jeśli twoi wojownicy zachowają spokój i rozwagę — odparłem. — Postępuj uważnie!

Oto rozległ się doniosły głos Winnetou:

— Wojownicy Mogollonów niech wysłuchają, co im powiem! Teraz sprowadzi się tutaj ich braci, których schwytaliśmy do niewoli. Kto zachowa spokój, temu nic złego się nie stanie, lecz ktokolwiek z was ruszy się z miejsca, padnie natychmiast od naszej kuli. Howgh!

— Czy mówi to poważnie? — zapytał wódz.

— Przecież słyszałeś! Czy nie widzisz ponadto, iż lufy Nijorów są wycelowane w twoich wojowników?

— Rzeczywiście. Ale po co schodzi z góry oddział Nijorów?

Bezpośrednio przed tym zapytaniem skinąłem na Szybką Strzałę, teraz zaś oznajmiłem Silnemu Wichrowi:

— Dwudziestu mężów na mój rozkaz wzmocni obecnie straż przy waszej broni, albowiem twoi wojownicy mogliby ważyć się na zabranie oręża i odbicie jeńców.

— Moi bracia nie popełnią takiego głupstwa! Moglibyście przecież ich powystrzelać, zanim dotarliby do broni.

Zwrócił się do obu starych wojowników i rzekł:

— Spieście do naszych mężów i powiedzcie im, żeby bez względu na to, co się stanie, nie opuszczali swoich miejsc. A potem wracajcie do mnie czym prędzej!

Spełnili rozkaz w samą porę, bo właśnie, kiedy dotarli do swoich, zobaczyłem u wylotu wąwozu Emery'ego na czele oddziału. Zerwałem się z miejsca i wymachując rękami, krzyknąłem głośno:

— Halo, Emery, jedźcie w moją stronę!

Skierował się posłusznie ku mnie, a za nim jego Nijorowie w trzech grupach, między którymi rozdzieleni na dwie partie jechali spętani jeńcy. Na płaskowzgórzu zaległa grobowa cisza. Dzięki Bogu, nasze zarządzenia zapobiegły rozruchom.

Podniosłem wodza Mogollonów i posadziłem w taki sposób, że wsparty plecami o głaz, mógł wszystko widzieć.

— Czy poznajesz ich? — zapytałem po chwili.

— Melton, biała squaw oraz mężczyzna i squaw, których schwytaliśmy w powozie — wyliczał po kolei.

— A teraz przelicz swoich! — powiedziałem;

— Jest sześćdziesięciu.

— Pozostali jeńcy to Jumowie, którzy przybyli z puebla wraz ze squaw Meltona — uzupełniłem.

Oddział wyminął nas i zatrzymał się nie opodal. Jeńcy, widząc przy mnie swojego spętanego wodza, zwiesili głowy. Melton patrzył na mnie bezczelnie. Kiedy jeńcy zostali ułożeni na ziemi, wrócili do nas obaj starzy wojownicy Mogollonów.

Zapytałem Silnego Wichru:

— Czy żądasz jeszcze przedłużenia terminu waszej narady?

— Nie! Poddajemy się — rzekł zrezygnowany.

— W porządku! Mamy już waszą broń. Musicie oddać nam tylko amunicję i konie. Z początku puścimy tych, którzy tam siedzą, następnie jeńców, co teraz przybyli, a na końcu was trzech. Zajmie się tym Winnetou, ponieważ ja nie mam czasu. Musicie natychmiast opuścić płaskowzgórze, oczywiście pieszo, udając się w kierunku Cienistego Źródła. Po godzinie roześlę we wszystkie strony wojowników, ażeby zabijali każdego schwytanego w pobliżu Mogollona. Zapamiętaj to sobie! — oznajmiłem głosem nie uznającym sprzeciwu.

Po tej złowrogiej przestrodze odszukałem Winnetou i poprosiłem, aby zajął się uwolnieniem jeńców. Wziął do pomocy sporą gromadę Nijorów. Ja zaś udałem się do Marty, która czekała na mnie niecierpliwie.

ZAKOŃCZENIE

— Dzięki Bogu, nie jest pan ranny! — zawołała Marta, wyciągając do mnie ręce. — A więc jednak się pan oszczędzał?

— Tak się oszczędzałem, że aż spadłem z konia — zaśmiałem się.

— Ale nie wyrządził pan sobie żadnej krzywdy?

— Tacy odświętni jeźdźcy nigdy sobie nic złego nie robią.

— Niech pan nie kpi! Upadek z konia może mieć bardzo niebezpieczne następstwa. Chciałabym wiedzieć, jak to się stało? — zapytała zatroskana.

— Później o tym opowiem. Teraz muszę pani coś pokazać. Proszę iść ze mną!

Wspięliśmy się na wyżynę. Wskazałem jej brata, który siedział na trawie, zwrócony do nas plecami.

— Oto pani brat. Proszę do niego podejść. On coś pani pokaże.

— Co takiego?

— Coś, co znajduje się w tym oto pugilaresie. Proszę go wziąć z sobą! — To mówiąc wręczyłem jej portfel.

— Czy pan dotrzyma mi towarzystwa?

— Nie. Muszę pośpieszyć na Łysinę Kanionu, ale niebawem wrócę albo też przyślę kogoś po panią.

Ledwo uszedłem kilka kroków, usłyszałem za sobą radosne okrzyki. Obejrzawszy się, zobaczyłem rodzeństwo w gorącym uścisku powitania.

Kiedy tylko ukazałem się na Łysinie Kanionu, podszedł do mnie adwokat. Z ponurym wyrazem twarzy przemówił tonem zwierzchnika:

— Widziałem, jak sir odszedł z panią Werner. Dokąd ją pan zaprowadził?

— Dlaczego master o to pyta?

— Ponieważ lady jest pod moją opieką, a zatem obchodzi mnie, kto jej dotrzymuje towarzystwa.

— Czy uważa pan towarzystwo Old Shatterhanda za nieodpowiednie?

Nie odpowiedział na pytanie, więc dodałem:

— Potwierdź pan tylko, a polecisz głową w dół kanionu. Miss Werner przekonała się dostatecznie, ile jest warta pańska opieka. Nie potrafił sir nawet siebie ochronić przed niebezpieczeństwem. Ponieważ jestem tu z panem sam na sam, co się nieprędko powtórzy, chcę skorzystać z okazji i zapytać, czy stary Hunter zostawił jakieś nieruchomości?

— Co master nazywa nieruchomościami?

— Grunty, domy, place, hipoteki, prawo użytkowania, renty państwowe itd. — odparłem.

— Nie uważam za stosowne odpowiadać! — rzekł wyniośle.

— A więc przypominam panu, że Dziki Zachód zna niezawodne środki rozwiązywania języka. Jeden z nich zaraz panu zademonstruję.

Wziąłem lasso i chciałem nim związać ręce Murphy'ego. Bronił się, wobec czego rzekłem:

— Cicho, bo powalę pana pięścią! Nie jesteśmy w Nowym Orleanie, gdzie mógł sir wobec mnie i Winnetou udawać wielkiego mecenasa. Tu obowiązują inne prawa, z którymi niebawem pana zapoznam.

To mówiąc powaliłem go na ziemię; krzyknął z trudem chwytnym oddech. Jednym końcem lassa związałem mu ręce, drugi zaś przymocowałem do stojącego w pobliżu konia, którego dosiadłem. Jechałem stępa, więc mógł iść za mną, lecz tak był wystraszony, że wnet zaczął krzyczeć:

— Stój, zatrzymaj się! Będę odpowiadał!

Osadziłem konia i podciągnąłem lasso.

— Dobrze! Ale następnym razem popędzę konia galopem. Niech pan to sobie zapamięta! Jeśli przetrączę panu kości, winę za to będzie master musiał przypisać sam sobie.

— Odpowiem! — rzekł wściekły. — Ale niech no sir tylko przybędzie do Nowego Orleanu! Pociągnę pana do odpowiedzialności i każę ukarać! — zagroził.

— Słusznie, mister Murphy! Wkrótce już nadarzy się taka sposobność. Zamierzam bowiem odwieźć tam Meltonów, a ponieważ w tej sprawie muszę i z pana coś niecoś wydostać, więc będzie mógł mnie sir zaskarżyć. Wątpię jednak, czy tamtejsi sędziowie będą się zbytnio zajmować tym, co działo się w Nowym Meksyku czy w Arizonie. Mają po uszy pracy z własną Luizjaną. A zatem odpowiadaj pan! — rozkazałem. — Czy po mister Hunterze zostały jakieś nieruchomości?

— Tak.

— Na pewno zachowały się spisy?

Ponieważ milczał, spałem konia.

— Stój, stój, zachowały się spisy! — zawołał. — W testamencie i pozostałych aktach.

— Postaraj się pan, aby te dokumenty nie zginęły! Jonatan Melton oczywiście spieniężył te nieruchomości? — zapytałem, domyślając się już odpowiedzi.

— Tak.

— A ponieważ śpieszył się, zapewne sprzedawał je za grosze. Niech mi pan wymieni kupców!

Ociągał się z odpowiedzią, ale gdy tylko chwyciłem za cugle, natychmiast zawołał:

— Ja oraz inni kupiliśmy wszystko.

— Ach, więc to tak! Wobec tych innych był pan pośrednikiem?

— Tak.

— Ładne rzeczy, sir, ładne rzeczy! Może pan to przypłacić życiem. Z tego to więc powodu aż tak się pan przeraził, że udał się czym prędzej w daleką podróż do Frisco, do prawowitych spadkobierców. Teraz już wszystko rozumiem! Dlatego będę również i pana uważał niejako za jeńca. Poza tym muszę jeszcze zapytać, kto dokonał sprzedaży?

— Melton.

— Czy był prawnym spadkobiercą?

— Nie.

— Czy w takim razie ta sprzedaż ma znaczenie prawne?

— Nie.

— Widzę, że kiedy przytroczyć pana do siodła, jakże prędko i dobrze sir odpowiada! Obiekty sprzedaży muszą być zwrócone i to w takim stanie, w jakim znajdowały się w momencie kupna.

— Ale kto poniesie stratę? — zawołał zdenerwowany.

— Oczywiście, że nabywcy. Padli przecież ofiarą oszustwa.

— To mnie zupełnie zrujnuje! — krzyknął z rozpaczą w głosie.

— Nie szkodzi! Na podobnych interesach wkrótce odzyska pan majątek. Zresztą, te straty nie budzą współczucia, gdyż to sir właśnie poparł i błogosławił kręactwa Meltona. Ale na dzisiaj już dosyć! Do tej sprawy wrócę później, gdyż podoba mi się zapał, z jakim master opowiada.

Zeskoczyłem z konia i uwolniłem adwokata. Odszedł pośpiesznie i skrył się jak najdalej przed moim wzrokiem.

Jonatan Melton leżał spętany na ziemi. Po walce z adwokatem miał wciąż spuchniętą twarz. Zobaczywszy mnie, odwrócił się na drugi bok.

— Wyprawa wojenna skończyła się, mister Melton — rzekłem. — Pańscy przyjaciele wydali cię na szubienicę. Czy wciąż jeszcze uważa master, że zdoła się wymigać od odpowiedzialności?

Zwrócił się w moją stronę i krzyknął:

— Nie tylko ucieknę, ale ponadto odzyskam swoje pieniądze!

— Z góry panu winszuję! Poza tym mam dla pana radosną niespodziankę.

Wydałem po cichu rozkaz, aby sprowadzono jego ojca. Wraz z nim przybyli Franciszek i Marta. Ujrzawszy Jonatana, stary Melton na chwilę oniemiał, ale wnet zawołał:

— A więc jednak! Jesteś schwytany! Komu to zawdzięczasz?

— Temu oto! — odparł Jonatan, wskazując na mnie.

— Temu kundlowi, który nas wszystkich zgubił! Gdzie masz pieniądze?

— On je zagarnął!

— Już nie on! Teraz są w ręku muzyka! — warknął stary.

— Mylisz się, ojcze!

— Nie, widziałem, jak skrzypek trzymał pugilares. Przyniosła mu go śpiewaczka. Liczyli razem te pieniądze.

— Tak jest, panie Melton — wtrąciłem. — Lady i ten młody człowiek są, jak panu wiadomo, właściwymi spadkobiercami po starym Hunterze. Dlatego też wręczyłem im ten portfel.

— Według mnie — roześmiał się szyderczo — niezbyt długo będą go mieli!

— A potem znów wróci do pana, tak sir właśnie myśli? Już raz panu winszowałem, teraz czynię to po raz drugi. Kiedy zaś master odzyska swe pieniądze, pogratuluję po raz trzeci i ostatni. Na tym chwilowo poprzestaniemy!

Nie uszło mojej uwagi, że Jonatan i Judyta zamieniają z sobą porozumiewawcze spojrzenia. Zdawało się, że są już pogodzeni. Dlatego na boku rzekłem do Judyty:

— Seniora, Jumowie odchodzą wraz z Mogollonami. Wracają do puebla. Czy nie chciałyby pani pójść za ich przykładem?

Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. Nie zdawała sobie sprawy z intencji owego zapytania, rozumiała jednak, że nie nasunęła go życzliwość.

— Czy chce mnie pan uwolnić, abym mogła wrócić do puebla?

— Może.

— A więc zmienił pan swój sąd o mnie? — zapytała naiwnie.

— Nie jest to przecież dowód słabości charakteru.

— Mężczyzna nie powinien myśleć dziś tak, a jutro całkiem inaczej!

— Nawet jeśli się akurat w danym momencie myli? A może zupełnie niesłusznie panią potępiałem?

— Zmienił sir własne zdanie? — rzekła dumnie.

— Uważałem panią za istotę złą, a pani jest tylko lekkomyślna.

— To nie jest komplement!

— Nie mam zamiaru prawić pani komplementów. Przecież nie wspólny interes połączył panią z Meltonem, lecz miłość. Czy nie mam racji? A zatem wina seniory nie jest tak wielka, jak początkowo sądziłem. Została już pani w dostatecznej mierze ukarana. Nie chcę pani jeszcze bardziej unieszczęśliwiać, wydając ją sądowi. Jesteś więc wolna! Może pani pójść, dokąd tylko zechce.

Słowa te wywarły zgoła inne wrażenie, niż należałoby przewidywać. Ja jednak tego się właśnie wrażenia spodziewałem.

— Zostanę tutaj — odparła krótko i stanowczo Judyta.

— Z jakiego to powodu?

— Należę do Jonatana. Tam gdzie jest on, tam i ja muszę być. Pójdę za nim wszędzie, dokądkolwiek on pójdzie.

— Wcześniej chcieliście się prawie że pozabijać — rzekłem z uśmiechem — a dzisiaj już nie chce go pani opuścić. Ta nagła zmiana uczuć musi mieć jakiś ważny powód. Czy mogę wiedzieć, jaki?

— Dlaczego pan sam tego nie odgadnie? Widocznie stracił senior swój osławiony dar przenikliwości.

— O, bynajmniej, nie straciłem.

— Tak? No, więc niech pan powie, proszę!

Spojrzała na mnie z wyrazem takiej ironii i bezczelności, że postanowiłem zagrać w otwarte karty.

— Kiedy się pani zdawało, że pieniądze znikły w wodzie, cała miłość do Meltona wzięła w łeb. Potem jednak dowiedziała się pani, że miliony są w ręku mister Vogla. Jonatan zaś twierdzi, że je odzyska z powrotem. I oto miłość seniory odżyła z nową siłą. Sądzi pani, że nie będę mógł jej strzec tak solidnie, jak mężczyzn, a zatem, być może, nadarzy się pani sposobność zrzcucenia więzów. Potem uwolni pani Jonatana. Oczywiście, że stanie się to w nocy. Odbierzecie pieniądze od mister Vogla i oboje ulotnicie się jak kamfora. Jak seniora myśli, czy dobrze odgaduję jej myśli?

— Myli się pan!

Słowa te, wypowiedziane powoli, przekonały mnie, że miałem rację.

— Świetnie — stwierdziłem. — Powinienem zabrać panią ze sobą, gdyż zasłużyła seniora na karę. Ale ponieważ musiałbym wówczas strzec pani z podwójną czujnością, więc wolę postąpić tak, jak powiedziałem, czyli zwrócić pani wolność.

— Nic z tego! Nawet jeśli każesz mi odejść, ja zostanę!

— Mister Dunker! — zawołałem donośnym głosem.

Długi Dunker przybiegł natychmiast.

— Czy zechciałby pan wziąć na konia tę oto damę, nawet jeśli będzie się wzbraniała? — zapytałem go.

— Z przyjemnością! — roześmiał się. — Z rozkoszą tym większą, im bardziej się będzie broniła. Czy mam zamienić ją w spokojniutką, pokorną i powolną nam kobietę?

— Tak. Weź pan do pomocy dwóch Nijorów. Pojedźcie do Cienistego Źródła, dokąd udali się Mogollonowie i Jumowie. Gdy tylko na nich natraficie, przekazcie im lady i wróćcie tu czym prędzej.

— W porządku. Uwiniemy się szybko.

W tej chwili zbliżył się do nas wódz Nijorów. Rozmawiając z nim, przyglądałem się jednocześnie rozpaczliwym wysiłkom Judyty. Dunker niewiele sobie z tego robił. Związał ją, owinął pledami i wsadził na konia przy pomocy dwóch Nijorów. Wkrótce odjechali.

Szybka Strzała zapytał, gdzie rozbijemy obóz. Nie uważałem za stosowne zostawać tutaj, na Łysinie Kanionu, gdyż nie należało ufać Mogollonom, aczkolwiek byli rozbrojeni. Gdyby na przykład wrócili w nocy, byłibyśmy narażeni, wprawdzie nie na niebezpieczeństwo, ale bądź co bądź na nieprzyjemności. Dodajmy jeszcze, że Nijorowie pragnęli szybko wrócić do domu. Postanowiliśmy wyruszyć do ich rodzinnej wioski.

Po upływie godziny byliśmy gotowi do wymarszu. Podzielono między wojowników zdobytą na wrogach broń i konie. Jeńców przytroczono do siodła. Marta wsiała do karety, którą ja powoziłem. Pojechaliśmy, zostawiając na miejscu jednego Indianina, aby przyprowadził Długiego Dunkera i jego obu towarzyszy, jak tylko wrócą.

Nie będę opisywał dosyć uciążliwej podróży. Po dwóch godzinach przybyliśmy do często wspomianej Mrocznej Doliny, gdzie dogonił nas wkrótce Dunker. Zameldował, że przekazał Judytę wojownikom Jumów.

W niespełną godzinę przed zachodem słońca powitali nas z entuzjazmem mieszkańcy wioski, uprzedzeni przez gońca o naszym przybyciu.

Przez resztę tego dnia, a także przez następne, świętowano łatwe i szybkie zwycięstwo. Winnetou, Emery, Dunker i ja doznaliśmy wspaniałej gościnności. Oglądano nas z ciekawością i z szacunkiem, jaki przystoi tylko sławnym mężom. Bawiliśmy w wiosce przez

pięć dni trochę przymusowo, a trochę dobrowolnie, ponieważ spragnieni byliśmy wreszcie wypoczynku, tym bardziej potrzebnego, że oczekiwała nas daleka droga powrotna.

Stara karetka była tak nadwerężona, że trzeba ją było zostawić. Za to Nijorowie sklecieli dla Marty lektykę, z wygarbowanych skór, z rzemieni i żerdzi.

W dzień przed naszym wyjazdem oddział Nijorów udał się na polowanie na antylopy. My nie wzięliśmy w nim udziału. Kiedy wrócili myśliwi, powstał w wiosce straszliwy zgiełk. Siedzieliśmy akurat w namiocie wodza. Wyjrzawszy, z wrażenia aż zaniemówiliśmy. Myśliwi zamiast antylop, przyprowadzili z sobą dwoje jeńców, a mianowicie jednego Mogollona i białą squaw, czyli Judytę.

Jak się okazało, w odległości godziny jazdy od wioski Nijorowie natknęli się na nią i sześciu Mogollonów. Z Indian zdołali schwytać tylko jednego, pozostałych pięciu uciekło. Ale rzeczą najbardziej zdumiewającą było to, że wszyscy mieli ze sobą strzelby. Skąd mogli je wziąć? — zadawaliśmy sobie pytanie.

Z początku wypytywaliśmy o to Mogollona. Milczał uporczywie, nie powiedział ani słowa. Wtedy zwróciliśmy się do Judyty, która mimo tylu doświadczeń, nie straciła nic ze swej beczelnej arogancji.

— Czego pani szukała w pobliżu wioski? — zwróciłem się do niej.

— Niech się pan domyśli! — odparła ze śmiechem.

— Oczywiście swego narzeczonego.

— Powiedziałaś już panu, że należę do niego!

— Wie pani, że zrezygnowaliśmy z jej towarzystwa, ale może nie wie seniora, że jej towarzysze narażali własne życie, podchodząc tak blisko do Nijorów!

— To mnie nie obchodzi.

— Skąd wzięli strzelby?

— Nie powinno to was interesować.

— Czy przyszła mnie pani zmusić, abym ją z sobą zabrał?

— A cóż innego mogłam mieć na celu?

— Uwolnienie Meltona.

— Czy sądzi pan, że mielibyśmy odwagę wtargnąć do tak wielkiego obozu? Nie jesteśmy głupcami.

— W nocy można się było na to odważyć. Ale pani zamierzała co innego. Wyszła seniora na zwiady, aby obserwować nasz wyjazd. Następnie chcieliście udać się za nami i napaść na nas. Uwolnienie Jonatana i odzyskanie pieniędzy powetowałyby Mogollonom poniesioną klęskę.

— To dziwne, jaki z pana szczywany lis — rzekła uśmiechem, ale tym razem wymuszonym. Prawdopodobnie więc trafiłem w sedno.

— Smutne jest pani życie — powiedziałem — i skończy pani marnie.

— Cóż to pana obchodzi! Jakie jest moje życie i jak ja skończę, to moja rzecz, a nie pańska!

— Skoro stale wchodzi nam seniora w drogę, mamy wręcz obowiązek zająć się panią. Postaramy się już o to, abyś nie mogła nam więcej przeszkadzać. Wódz Nijorów a nasz brat przetrzyma panią tutaj w niewoli przez kilka tygodni. To będzie jedyny skutek pani obecnej, a zgoła niekobiecej przygody, a także jedyny na panią sposób.

Widać było na jej twarzy ogromne przerażenie. Wkrótce się jednak opanowała i rzekła zmienionym, błagalnym już głosem:

— Postąpi pan wobec mnie nader niesprawiedliwie, sir! Nie chciałam bynajmniej oswobodzić Meltona, a pragnęłam jedynie prosić pana, abys mnie zabrał z sobą.

— Prosić? I po to zabrałaś w drogę sześciu Indian? W dodatku uzbrojonych? Niech pani kogo innego czaruje swoim syrenim głosem, nie mnie. Zostanie seniora w niewoli przez

kilka tygodni. Postanowiłem tak nieodwołalnie. Co potem, to już pani rzecz, nie nasza. A teraz, proszę stąd zmykać! Niech mi się pani nie pokazuje więcej na oczy!

Odeszła, lecz odwróciła się jeszcze i zapytała:

— A więc istotnie Melton będzie, ukarany?

— Tak.

— Niech więc pan jedzie! Ale pamiętaj, że nie ominie cię pewna przygoda, nawet jeśli mnie przy tym nie będzie!

Ta groźba była dowodem, że przygotowywano na nas napad. Pięciu Mogollonów zdołało umknąć. Należało się spodziewać, że w nocy wkradną się do obozu, ciekawi losu swej przywódczyni i współplemieńca. Wieczorem zaciągnęliśmy dookoła wioski strażę; wartownicy leżeli schowani w wysokiej trawie. Potwierdziły się nasze przewidywania. Tym razem pochwyciliśmy czterech Mogollonów, piąty zdołał zbiec.

Następnego dnia mogliśmy wyruszyć bez obawy. Przez kilka godzin odprowadzał nas oddział Nijorów, po czym byliśmy już zdani tylko na własne siły. Konie ciągnęły lektykę Marty. Nijorowie postarali się dla nas o dobre wierzchowce, dzięki czemu pędziliśmy z ogromną szybkością. Wyminęliśmy okolice Wężowej Góry i Flujo Blanco. Stąd skierowaliśmy się na tę samą drogę, którą przybyliśmy.

Nadzieja ratunku dla Meltona słabła z każdą chwilą. Postaraliśmy się o to, aby nie mógł rozmawiać z ojcem, który popadł w jakiś osobliwy stan. Mamrotał wciąż niezrozumiale, budził się w nocy z krzykiem i bredził na jawie.

Po drugiej stronie Kolorado dotarliśmy do doliny, gdzie stary Melton zamordował brata. Rozbiliśmy na noc obóz koło grobu zamordowanego. Na tym upiornym miejscu bratobójstwa leżał jeszcze szkielet konia, pożartego przez sępy.

Gdyby nas zapytano, dlaczego właśnie tu urządziliśmy postój, nie umielibyśmy dać zadowalającej odpowiedzi.

Jedliśmy wszyscy kolację, oprócz starego Meltona, który leżał na ziemi i stękał. Naraz, gdy księżyc dopiero co wypłynął na niebo, poprosił:

— Proszę uwolnić mi rękę.

— Po co? — zapytałem zaskoczony.

— Abym mógł je złożyć. Pragnę się modlić, sir!

Co za nieoczekiwana prośba! Czy mogłem mu jej odmówić? Naturalnie, że nie! Poleciałem Długiemu Dunkerowi, który siedział najbliżej Meltona, aby ją spełnił.

Dunker natychmiast wykonał rozkaz. Melton, zanim ten jeszcze rozwiązał mu więzy, spytał:

— Gdzie spoczywa mój brat, sir?

— Tuż przy panu. Pod głazami.

— Pogrzebcie mnie przy nim!

W tej samej chwili Dunker głośno krzyknął. Ujrzeliśmy, jak schwycił Meltona za rękę.

— Co się stało? — zapytałem.

— Wyciągnął mi nóż zza pasa — odpowiedział Dunker.

— A więc odbierz mu, szybko!

— To nie takie proste, trzyma go mocno! Chce się przebić! Nie dam rady... już... już za późno!

Zerwałem się na równe nogi, podskoczyłem; odtrąciłem Dunkera i nachyliłem się nad starym. Z ust jego wydobywało się rżenie. Trzymając nóż obiema rękami, wbił go sobie w serce aż po rękojęć. Po kilku sekundach skonał.

Byliśmy tak oszołomieni, że mogliśmy tylko w milczeniu stać nad trupem tego, który zginął tak jak mu przepowiedziałem, z własnej ręki. A Jonatan, jego syn? Leżał, spoglądając złowrogo na księżyc, i nie wypowiedział ani słowa.

— Mister Melton — zawołałem po pewnym czasie — czy słyszał pan, co się zdarzyło?

- Tak — rzekł spokojnie.
- Ojciec pana nie żyje.
- Wiem, zakłął się.
- Czy to pana nie wzruszyło? — zapytałem z niedowierzaniem.
- Nie. Lżej mu teraz. Śmierć tutaj, na tym miejscu, była dla niego najlepszym wyjściem.

Inaczej zawisłby na stryczku.

- Człowieku, tak spokojnie i niewzruszenie mówisz o własnym ojcu?!
- Czy sądzi pan, że on mówiłby o mnie inaczej?

Wiedziałem, że ma słuszość, ale rzekłem:

- Stanowczo inaczej, na pewno inaczej!

— Nie, sir. Zdradziłby mnie i wydał tak samo, jak każdego innego, gdyby mu to mogło przynieść jakąś korzyść. Niech go pan zakopie w dole razem z bratem, którego zamordował!

Ten brak serca i to okrucieństwo podziały na mnie bardziej, niż sam desperacki czyn starego. Czy naprawdę mogą istnieć tacy ludzie? Niestety, tak! A czy można ich nazywać ludźmi? Nie należy do ostatniej chwili wątpić o ich poprawie. Każdy człowiek ma szansę znaleźć swoje właściwe miejsce w społeczeństwie.

Pogrzebaliśmy nieboszczyka, tam gdzie pragnął, przy bracie. Nazajutrz ruszyliśmy dalej. Po przebyciu wielu mil drogi zatrzymaliśmy się ponownie. Sądzę, że nikt, prócz Jonatana i Murphy'ego, nie zmrużył oka tej nocy.

Następnego dnia przybyliśmy do Albuquerque, gdzie pozwoliliśmy wypocząć naszym koniom. Później zdaliśmy władzom sprawę z wszystkich przeżyć i przygód i poprosiliśmy o eskortę dwóch policjantów dla Jonatana. Dla Marty trzeba było nabyć powóz. Po załatwieniu jeszcze innych koniecznych czynności wyruszyliśmy do fortu Bascon, a stamtąd do Red River i dalej aż do Nowego Orleanu.

Jakże ogromnie zdumieli się miejscowi detektywi, ujrzawszy złoczyńcę sprowadzonego z najbardziej niedostępnego zakątka Dzikiego Zachodu. Okazano nam wiele szacunku i podziwu. Winnetou stał się bohaterem dnia. Popularność znosił ze stoickim spokojem. Niestety, bardzo wiele czasu straciliśmy na składanie zeznań.

W mieście gdy dowiedziano się, gdzie mieszka Marta ze swoim bratem, i że jest nader piękną kobietą oraz wspaniałą śpiewaczką, przysyłano jej dziennie co najmniej pół tuzina propozycji małżeńskich. Franciszek zaś otrzymywał ogromne ilości projektów, które miały w krótkim czasie podwoić czy też potroić przypadający mu w udziale majątek.

Istotnie, majątek ten został mu przyznany. Murphy lękając się moich pogroźek, spowodował naprawienie szkód, jakie sam wyrządził. Ale nikomu nie opowiadał, że to właśnie moje łąso nauczyło go właściwie postępować. Znacznie później przeczytałem jego sprawozdanie z ówczesnych przygód, które drukowano, o ile się nie mylę, w „Crescent”. Ku mojemu zdumieniu przeczytałem czarno na białym, że wszystkiego dokonał, na wszystko się ważył, wszystko osiągnął sam jeden Murphy. Winnetou zaś, Emery, Dunker i ja odgrywaliśmy w całej tej historii nieznaczne, drugoplanowe role. Tak oto można się mylić co do własnych, dobrze w pamięci przechowywanych przygód! Od tego czasu lękam się cokolwiek uczynić, powiedzieć, nawet pomyśleć, jeśli w promieniu trzech czy pięciu mil znajduje się amerykański adwokat. Moje opowieści podróżnicze zostały wydrukowane w setkach amerykańskich pism i tysiącach książek, a nikt mnie nie zapytał o zgodę na druk, nikt nawet nie przysłał w podzięce ani jednego egzemplarza. Wydawcy amerykańscy zbili w taki to sposób fortuny, jedynym zaś moim honorarium stał się grubiański list, który kiedyś przysłał mi w odpowiedzi najbardziej oświecony spośród tych panów.

A koniec?

Długi Dunker wciąż jeszcze wędruje po Dzikim Zachodzie. O Emerym Czytelnik dowie się niebawem. Krüger-bej umarł, jak o tym pisały gazety, niestety, nie w jego malowniczym

stylu. Jonatan Melton — fałszywy Small Hunter — został skazany na wieloletnie więzienie, lecz wkrótce zmarł w swej celi. O Judycie zaś i jej ojcu nigdy już nic nie słyszałem.

— A rodzina Voglów?

Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie bez głębokiego wzruszenia.

Olbrzymia fortuna nie zawróciła im w głowie, o co się w pewnej chwili obawiałem.

Żyli nad wyraz skromnie, rozwijając swoje muzyczne zainteresowania. Część majątku przekazali na budowę i prowadzenie sierocińców oraz domów dla ludzi samotnych. Szczególną opieką otaczali młode muzyczne talenty, jakich nie brakowało w okolicy.

Będąc ich częstym gościem, nie bez wzruszenia wracałem do naszych wspólnych przygód. Zauważyłem też, że na wspomnienie o Winnetou, Marta nie potrafiła ukryć ogarniającego ją zmieszania.

Nie dziwiłem się jej wcale.